

**Marion Zimmer Bradley**

**MGŁY AVALONU**

**Tłumaczyła: Dagmara Chojnacka**

**Wydanie polskie: 2001**

**Wydanie oryginalne: 1982**

**TMN**

„...Morgan le Fay nie wyszła za mąż, lecz została oddana do szkoły zakonnej, gdzie stała się wielką mistrzynią magii”.

Malory, *Morte d'Arthur*

# PROLOG

## Mówi Morgiana...

*W moich czasach zwano mnie różnie: siostrą, kochanką, kapłanką, czarownicą, królową. Teraz rzeczywiście stałam się jedną z Wiedzących i może nadejść czas, kiedy moja wiedza będzie potrzebna. A jednak, myśląc trzeźwo, zdaję sobie sprawę z tego, że ostatnie słowo będzie należało do chrześcijan, gdyż świat czarów na zawsze oddala się od świata, którym rządzi Chrystus. Nie wiodę sporu z Chrystusem, tylko z jego księżmi, którzy Wielką Boginię zowią demonem i zaprzeczają, iż kiedykolwiek Ona miała władzę na tym świecie. W najlepszym razie mówią, że Jej moc pochodziła od szatana. Albo ubierają Ją w błękitne szaty Pani z Nazaretu – która rzeczywiście na swój sposób posiadała moc – i mówią, że była wieczną dziewicą. Ale cóż dziewczica może wiedzieć o smutkach i trudach ludzkości?*

*A teraz, gdy świat się zmienił, a Artur – mój brat, mój kochanek, ten, który królem był i królem być miał – leży martwy (lud powiada, że tylko śpi) na Świętej Wyspie Avalon, ta historia powinna być opowiedziana. O tym, jak było, zanim księża Białego Chrystusa nadeszli, by przestłonić wszystko swymi świętymi i swymi legendami.*

*Albowiem, tak jak mówię, zmienił się sam świat. Był taki czas, kiedy wędrowiec, jeśli miał ochotę i znał choćby kilka tajemnic, mógł wypłynąć łodzią na Morze Lata i dotrzeć nie do Glastonbury pełnego mnichów, lecz do Świętej Wyspy Avalon, gdyż w tamtych czasach wrota łączące światy unosiły się we mgle i otwierały się wedle woli i myśli wędrowca. To właśnie jest wielka tajemnica, którą znali wszyscy światli ludzie w naszych czasach: tym, co człowiek myśli, stwarza wokół siebie świat, codziennie na nowo.*

*A teraz księża, myśląc, że to narusza moc ich Boga, który raz na zawsze stworzył niezmienny świat, zamknęli te drzwi (które były drzwiami jedynie w ludzkich umysłach) i droga wiedzie już tylko do wyspy księży, obwarowanej dźwiękami kościelnych dzwonów, które odpychają wszystkie myśli o tym innym świecie, ukrytym w ciemności. Księża mówią, że jeśli ten świat w ogóle istnieje, to jest własnością szatana i przedsionkiem do piekła, jeśli nie samym piekłem.*

*Nie wiem, co ich Bóg mógł, a czego nie mógł stworzyć. Wbrew temu, co o mnie mówią, nigdy za wiele nie wiedziałam o księżach, nigdy też nie nosiłam habitu, jak ich zakonne niewolnice. Jeśli na dworze Artura w Kamelocie wolano tak o mnie myśleć, kiedy się tam pojawiałam (gdyż zawsze nosiłam czarne suknie przynależne Wiedzącej kapłance Wielkiej Matki), nie wyprowadzałam ich z błędu. A już pod koniec panowania Artura byłoby to nawet niebezpieczne. Dla wygody chyliłam więc głowę tak, jak nigdy by nie uczyniła moja wspaniała mistrzyni: Viviana, Pani Jeziora, niegdyś największa, poza mną, przyjaciółka Artura, a potem najzacieklejsza jego przeciwniczka, także – poza mną.*

*Ale walka się skończyła; mogłam w końcu pożegnać Artura, kiedy leżał umierający, nie jako mego wroga i wroga mojej Bogini, lecz tylko jako mojego brata i jak umierającego człowieka potrzebującego pomocy Matki, tak jak potrzebuje jej każdy. Wiedzą to nawet księża ze swoją wieczną dziewicą Maryją w błękitnych szatach; bo w godzinie śmierci ona też staje się Matką Świata.*

*Tak więc Artur leżał w końcu z głową na moich kolanach, nie widząc we mnie siostry, kochanki czy wroga, ale tylko kapłankę, Wiedzącą, Panią Jeziora; spoczywał na łonie Wielkiej Matki, z której się narodził i do której, tak jak każdy, musiał powrócić. I być może, kiedy wiozłam go łodzią, tym razem nie na wyspę mnichów, ale na prawdziwą Świętą Wyspę leżącą w skrytym w ciemnościach świecie poza naszym światem, na wyspę Avalon, gdzie teraz poza mną dotrzeć mogą tylko nieliczni, Artur żałował wrogości, która stanęła między nami.*

*Opowiadając tę historię, będę czasem mówiła o rzeczach, które wydarzyły się, kiedy byłam zbyt młoda, by je rozumieć, albo o zdarzeniach, przy których nie byłam osobiście, i być może mój słuchacz odwróci się, mówiąc: to pewnie jej czary. Jednak ja zawsze miałam dar Wzroku. Umiałam też zaglądać w ludzkie umysły; a wtedy byłam blisko związana z ludźmi, o których opowiadam. Był więc czas, że wszystko, o czym myśleli, było mi w jakiś sposób wiadome. A zatem opowiem moją historię.*

*Gdyż pewnego dnia opowiedzą ją także księża, tak jak oni ją widzieli. Może pomiędzy tymi dwoma opowieściami zajaśnieje promień prawdy.*

*To jest bowiem coś, czego nie wiedzą księża, ze swoim Jedyńm Bogiem i Jedyńą Prawdą: nie istnieje jedna prawdziwa opowieść. Prawda ma wiele twarzy, prawda jest jak ta stara ścieżka do Avalonu nie tylko od twej własnej woli i od twych własnych myśli zależy, dokąd droga cię zawiedzie i czy na końcu znajdziesz się na Świętej Wyspie Wieczności, czy też pomiędzy księżmi i ich dzwonami, ich śmiercią, ich szatanem i piekłem, i wiecznym potępieniem... ale może jestem dla nich niesprawiedliwa. Nawet Pani Jeziora, która nienawidziła księży jak jadowitych żmii i miała po temu słuszne powody, skarciła mnie kiedyś za złe wyrażanie się o ich Bogu.*

*„Bo wszyscy Bogowie są jednym Bogiem” powiedziała mi wtedy, jak to mówiła wiele razy wcześniej i jak ja powtarzałam wielokrotnie moim nowicjatom, i jak będzie powtarzała*

*każda kapłanka, która przyjdzie po mnie, „i wszystkie Boginie są jedną Boginią, tak jak jeden jest tylko Inicjator. I każdy człowiek ma swą własną prawdę i swego Boga w sercu.”*

*Może być więc tak, że prawda unosi się gdzieś pomiędzy drogą do Glastonbury, Wyspy Księży i drogą do Avalonu, na zawsze zagubioną we mgłach Morza Lata.*

*Ale oto jest moja prawda; opowiadam ją wam ja, Morgiana, którą w późniejszych czasach zwano Morgan le Fay.*

# Księga pierwsza

## MISTRZYNI MAGII

### 1

Nawet w środku lata Tintagel był ponurym miejscem; Igriana, małżonka diuka Gorloisa, spoglądała w morze z przylądka. Wpatrując się w mgły i opary, zastanawiała się, poczym kiedykolwiek pozna, że dzień i noc są równej długości, by móc świętować Nowy Rok. Tego roku wiosenne burze były niezwykle gwałtowne. Dniami i nocami łoskot morza rozbrzmiewał echem po zamku, tak, że w końcu nikt już nie mógł spać i nawet psy zawodziły żałośnie.

Tintagel... byli wciąż tacy, co wierzyli, że zamek został wzniesiony na tym urwistym, odległym krańcu długiego cypla wychodzącego w morze, dzięki czarom starożytnych ludów z Ys. Diuk Gorlois śmiał się z tego i powiadał, że gdyby znał trochę tych czarów, powstrzymałby nimi morze przed wdzieraniem się w ląd. W ciągu czterech lat, odkąd przybyła tu jako żona Gorloisa, Igriana widziała jak ziemia, dobra ziemia, znikająca w wodach kornwalijskiego morza.

Długie ramiona czarnych skał, ostre i urwiste, wyciągały się w morze z nadbrzeża. Kiedy świeciło słońce, bywało jasno i przejrzyste, a niebo i ziemia błyszczały jak klejnoty, którymi Gorlois obsypał ją w dniu, gdy powiedziała mu, że nosi ich pierwsze dziecko. Jednak Igriana nigdy nie lubiła ich zakładać. Klejnot, który w tej chwili zdobił jej szyję, podarowano jej w Avalonie: kamień księżycowy, który odbijał błękitną jasność morza i nieba; lecz we mgle dzisiejszego dnia nawet klejnot wyglądał matowo.

We mgle dźwięki niosą się na dużą odległość. Kiedy Igriana odwróciła się plecami do morza i stała, patrząc w kierunku lądu, wydało jej się, że słyszy stukot kopyt koni i mułów i głosy, ludzkie głosy, tutaj, w tym opuszczonym Tintagel, gdzie nie żył nikt prócz kóz, owiec, pasterzy i ich psów, pań z zamku, kilku służących i paru starców dla ochrony.

Powoli Igriana zawróciła i skierowała się z powrotem do zamku. Jak zwykle, kiedy stała w jego cieniu, czuła się przytłoczona wynurzającym się z mgieł masywem tych prastarych

kamieni piętrzących się na końcu długiego cypla wychodzącego w morze. Pasterze wierzyli, że zamek zbudowali Starożytni z ziem Lyonesse i Ys; w pogodne dni, jak mawiali rybacy, można było zobaczyć ich stare zamki głęboko pod wodą. Ale dla Igriany wyglądały one jedynie jak skalne wieże, stare góry i pagórki zatopione przez wciąż wdzierające się w ląd morze, które nawet teraz wgryzało się powoli w skały, na których stał zamek. Tutaj, na końcu świata, gdzie morze bez końca pożerało ziemię, łatwo było wierzyć w zatopione krainy na zachodzie; snuto opowieści o wielkiej ognistej górze, która wybuchnęła, daleko na południu, a odmęty pochłonęły tam wielką krainę. Igriana nigdy nie wiedziała, czy wierzy w te opowieści czy nie.

Tak. Z pewnością słyszała we mgle głosy. To nie mogli być dzicy jeźdźcy zza morza ani z wybrzeża Erin. Dawno minęły już czasy, kiedy musiała się obawiać każdego obcego dźwięku czy cienia. Nie był to też diuk, jej mąż. Bawił daleko na północy, walczył z Saksonami u boku Ambrozjusza Aurelianusa, Najwyższego Króla Brytanii; gdyby miał zamiar wracać, przysłałby wiadomość.

Nie musiała się obawiać. Gdyby jeźdźcy byli wrogami, powstrzymałyby ich straże i wojsko, które diuk pozostawił na posterunkach przy wjeździe na cypel, by broniły jego żony i dziecka. Żeby się przez nich przedrzeć, trzeba by całej armii. A któż wysłałby armię przeciwko Tintagel?

Był taki czas, pomyślała bez żalu Igriana, wchodząc powoli na zamkowy dziedziniec, że wiedziałyby, kto nadjeżdża do zamku.

I nagle ta myśl zasmuciła ją trochę. Od narodzenia Morgiany nawet już nie płakała za domem. A Gorlois był dla niej dobry. Uspokajał ją w pierwszym okresie pełnym strachu i nienawiści, obdarowywał klejnotami i pięknymi rzeczami, przywoził jej wojenne trofea. Otoczył ją służącymi i dworakami i traktował ją zawsze jak równą sobie, z wyjątkiem narad wojennych. Nie mogłaby żądać więcej, chyba, że poślubiłaby mężczyznę z Plemion. Ale w tym nie zostawiono jej wyboru. Córka Świętej Wyspy musi robić to, co najlepsze jest dla jej ludu, choćby oznaczało to pójście na śmierć w ofierze, poświęcenie dziewictwa w Świętym Związku czy zamążpójście, które, jak myślano, scementuje pewne sojusze; i to właśnie zrobiła Igriana, poślubiając romańskiego Diuka Kornwalii, obywatela, który, choć Rzymianie opuścili już Brytanię, żył na sposób rzymski.

Zsunęła płaszcz z ramion, wewnątrz dziedzińca, poza zasięgiem przejmującego wiatru, było ciepłej. I nagle mgła zawirowała i rozwiła się, a przed nią na chwilę pojawiła się postać, która zmaterializowała się z oparów: jej przyrodnia siostra, Viviana, Pani Jeziora, Pani Świętej Wyspy.

– Siostro! – Słowa zamarły w powietrzu i Igriana wiedziała, że nie krzyknęła ich na głos, a tylko wyszeptła, przyciskając ręce do piersi. – Czy ja naprawdę cię tutaj widzę?

Twarz Viviany wyrażała naganę, a głos wydawał się rozbrzmiewać w podmuchach wiejącego za murami wiatru.

*Czy wyrzekłaś się Wzroku, Igriano? Z własnej woli?*

Dotknięta tą niesprawiedliwością, Igriana odparła:

– To ty zarządziłaś, że mam poślubić Gorloisa... – Ale obraz jej siostry rozmył się we mgle, już go nie było, nigdy nie istniał.

Igriana zamruwała, wizja zniknęła. Otuliła się płaszczem, bo poczuła zimno, przejmujące zimno. Wiedziała, że ta wizja wzięła swą moc z ciepła i życiowej siły jej własnego ciała.

Nie wiedziałam, że wciąż jeszcze mogę widzieć w ten sposób, byłam pewna, że już nie potrafię... pomyślała. Potem zadrżała, przypominając sobie, że ojciec Columba na pewno uzna to za robotę diabła, a ona powinna się z tego wypowiadać. Co prawda tutaj, na końcu świata, księża byli bardziej wyrozumiali, ale nie wyznana wizja z pewnością spotkałaby się z naganą.

Skrzywiła się. Dlaczego miała traktować wizytę swojej własnej siostry jako dzieło diabła? Niech ojciec Columba gada sobie, co chce; może przynajmniej ten jego Bóg jest mądrzejszy od niego. Co, pomyślała Igriana, powstrzymując chichot, wcale nie byłoby takie trudne. Być może ojciec Columba został księdzem, bo żaden zakon Druidów nie chciał mieć w swoich szeregach takiego głupca. Ten Bóg Chrystus wydawał się nie zwracać uwagi na to, że jego księża są głupi, jeśli tylko potrafili mamrotać swoje msze i trochę pisać i czytać. Ona, Igriana, miała więcej zakonnej wiedzy niż ojciec Columba i kiedy chciała, mówiła lepszą łaciną. Nie uważała się za osobę wykształconą; nie miała dość samozaparciu, by studiować głębszą wiedzę Starej Religii albo brać udział w Misteriach w stopniu większym, niż było to absolutnie wymagane od córki Świętej Wyspy.

I mimo, że nie była wtajemniczona w żadne Misteria, wśród tych zromanizowanych barbarzyńców mogła uchodzić za dobrze wykształconą damę.

W małej komnacie zamkowej, do której w pogodne dni wpadały słoneczne promienie, jej trzynastoletnia młodsza siostra Morgause, już zapowiadająca się na piękną kobietę, ubrana w luźną domową szatę z surowej wełny i stary zniszczony płaszcz Igriany, zarzucony na ramiona, beznamiętnie przędła podłużnym wrzecionem, nawijając nierówną przędzę na rozchwiany kołowrotek. Na podłodze u jej stóp mała Morgiana turlała stare wrzeciono jak piłkę, wpatrując się w esy-floresy, które wywijał nierównomierny kształt wrzeciona.

Dziewczynka co chwila obracała je w innym kierunku swymi pulchnymi paluszkami.

– Nie wystarczy już tego przędzenia? – poskarżyła się Morgause. – Bolać mnie palce! Dlaczego cały czas muszę prząść i prząść, jakbym była dworką?

– Każda dama musi się nauczyć prząść – skarciła ją Igriana, wiedząc, że tak właśnie powinna zrobić. – A twoja nitka to prawdziwa kłęska, raz cienka, raz gruba... Palce przestaną cię boleć, kiedy je przyzwyczaisz. Bolać palce są oznaką twojego lenistwa, bo nie zahartowały się do tej pracy... – Wzięła od Morgause wrzeciono i kołowrotek i zaczęła je obracać z niedbałą łatwością; pod jej wprawnymi palcami nierówna przędza wygładzała się w idealnej grubości nitkę. – Patrz, można prząść tę przędzę, nie robiąc supelków... – Nagle



znudziło jej się zachowywać tak, jak powinna. – Ale teraz możesz odłożyć wrzeciono. Zanim minie południe, będą tu goście.

Morgause spojrzała na nią zdziwiona.

– Nic nie słyszałam – powiedziała. – Nie było też żadnego gońca z wiadomością!

– To mnie nie dziwi – odparła Igriana. – Bo i nie było gońca. Otrzymałam Przesłanie. Viviana jest w drodze na zamek. I jest z nią Merlin. – O tym ostatnim sama nie wiedziała, dopóki tego nie powiedziała na głos. – Więc możesz zaprowadzić Morgianę do niani, a sama iść i włożyć świąteczną szatę, tę farbowaną szafranem.

Morgause ochocho odłożyła wrzeciono, ale zatrzymała się i spojrzała na Igrianą.

– Moja szafranowa suknia? Dla mojej siostry?

– Nie dla naszej siostry, Morgause, ale dla Pani Świętej Wyspy i dla Posłańca Bogów. – Igriana upomniała ją ostro.

Morgause wpatrywała się we wzór na posadzce. Była wysoką, mocną dziewczyną, dopiero zaczynającą smuknąć i dojrzewać; jej gęste włosy były rudawe, jak u Igriany, a jasna skóra usiana była piegami, choć usilnie stosowała okłady z mleka i błagała zielarkę o napary i maści, żeby się ich pozbyć. Miała dopiero trzynaście lat, a była już tak wysoka jak Igriana i zanosilo się, że będzie jeszcze wyższa. Niezgrabnie podniosła Morgianę i wyszła. Igriana zawołała za nią:

– Powiedz niani, żeby ubrała dziecko w świąteczną sukienkę, a potem możesz małą przynieść tutaj. Viviana jeszcze jej nie widziała.

Morgause odburknęła złośliwie, że nie widzi powodu, dlaczego wielka kapłanka miałaby chcieć oglądać berbecia, ale że mruknęła to pod nosem, Igriana miała wymówkę, by nie zwrócić jej uwagi.

W komnacie Igriany u góry wąskich schodów było zimno; palono tu tylko w środku zimy. Kiedy nie było Gorloisa, dzieliła łóżko ze swoją dworką Gwennis, a długotrwała nieobecność męża była okazją, by mieć przy sobie także małą Morgianę. Czasami spała tu też Morgause, kryjąc się przed okropnym zimnem pod futrzanymi narzutami. Wielkie małżeńskie łóżko z baldachimem i kotarami chroniącymi od przeciągów było więcej niż wystarczająco obszerne dla trzech kobiet i dziecka.

Stara Gwen drzemała teraz w kącie i Igriana nie chciała jej budzić.

Zdjęła swą codzienną suknię z surowej wełny i pospiesznie włożyła piękną szatę, wiązaną przy szyi jedwabną wstążką, którą Gorlois przywiózł jej w podarunku z jarmarku w Londinium. Na ręce włożyła kilka srebrnych pierścionczków, które miała jeszcze z dzieciństwa... teraz wchodziły tylko na dwa najmniejsze palce... Na szyi zawiesiła naszyjnik z bursztynu, który dostała od Gorloisa. Suknia była farbowana na rdzawy kolor i miała zieloną wierzchnią tunikę.

Znalazła swój rzeźbiony kościany grzebień i zaczęła rozczesywać włosy, siedząc na ławie i cierpliwie przeciągając grzebień przez każdy kosmyk. Z drugiej komnaty usłyszała głośny

wrzask i uznała, że to niania czesze Morgianę, której nie bardzo się to podoba. Wrzask ustał raptownie, pomyślała, że dziecko uspokojono klapssem, a może, jak to się czasem zdarzało, kiedy Morgause była w dobrym humorze, to ona przejęła czesanie małej swymi zręcznymi, cierpliwymi palcami. To stąd Igriana wiedziała, że jej młodsza siostra mogłaby dobrze praść, gdyby chciała, tak zręcznie robiła wszystko inne – czesała, gręplowała, piekła świąteczne ciasta.

Igriana zaplotła włosy, spięła je na czubku głowy złotą spinką, w fałdy sukni wpięła piękną złotą broszę. Spojrzała na swe odbicie w starym lustrze z brązu, które dostała w prezencie ślubnym od swojej siostry Viviany, a które, jak mówiono, przywiezione było z samego Rzymu. Sznurując suknię, zauważyła, że jej piersi były już takie, jak kiedyś: nie karmiła Morgiany od roku, piersi były tylko trochę cięższe i bardziej miękkie. Wiedziała, że odzyskała dawną smukłość, bo w tej sukni wychodziła za mąż, a teraz tasiemki nie były ani trochę napięte.

Gorlois, gdy wróci, będzie oczekiwał, że znów weźmie ją do łóża. Ostatnio, kiedy ją widział, miała wciąż Morgianę przy piersi, a on przychylił się do jej prośby, by mogła karmić dziecko jeszcze przez lato, kiedy tyle małych dzieci umiera. Wiedziała, że był niezadowolony, bo dziecko nie było synem, którego tak pragnął – ci Rzymianie liczyli ciągłość swych rodów po męskiej linii, zamiast rozsądniej, po linii matki; to było głupie, bo który mężczyzna mógł kiedykolwiek wiedzieć z całą pewnością, kto był ojcem dziecka kobiety? Oczywiście, ci Rzymianie robili wielką sprawę z tego, kto kładł się z ich kobietami, zamykali je i kazali śledzić. Nie, żeby Igriany trzeba było pilnować; jeden mężczyzna był wystarczającym złem, któż chciałby jeszcze innych, którzy mogliby okazać się nawet gorsi?

Ale, mimo iż oczekiwał syna, Gorlois był wyrozumiały, pozwalał jej mieć Morgianę w łóżu i dalej ją karmić, a nawet trzymał się od żony z daleka, kładąc się w nocy z jej dwórką Ettarr, by Igriana nie zaszła znów w ciążę i nie straciła mleka. On także wiedział, ile dzieci umierało, jeśli były odstawione od piersi za wcześnie, zanim umiały żuć mięso i chleb. Dzieci karmione owsianym kleikiem były chorowite, a latem często brakowało koziego mleka, nawet gdyby chciały je pić. Dzieci karmione krowim czy kobyliwym mlekiem często dostawały torsji i umierały albo dostawały wzdęć i też umierały. Więc pozwolił jej zostawić Morgianę przy piersi, tym samym o następne półtora roku odkładając narodziny syna, którego tak pragnął. Choćby tylko za to będzie mu zawsze wdzięczna i nie będzie się sprzeciwiać, jakkolwiek szybko teraz znów zajdzie w ciążę.

Ettarr dostała brzucha dzięki tej jego ostatniej wizycie i chodziła cała dumna; może to ona pierwsza urodzi syna diuka Kornwalii?

Igriana nie zwracała na dziewczynę uwagi; Gorlois miał innych synów bękartów, jeden z nich był z nim nawet teraz, w obozie najwyższego wodza, księcia Uthera. Ale Ettarr zachorowała i poroniła, a Igriana miała na tyle wyczucia, żeby nie pytać Gwen, czemu była z tego taka zadowolona. Stara Gwen za dużo wiedziała o ziołach, by Igriana mogła mieć

spokojne sumienie. *Pewnego dnia*, postanowiła w końcu, *każę jej powiedzieć dokładnie, czego dorzuciła Ettarr do piwa.*

Zeszła do kuchni, ciągnąc długą suknię po kamiennych schodach.

Była tam już Morgause w najlepszej szacie, ubrała Morgianę w świąteczną sukienkę, też farbowaną szafranem, i dziecko wydawało się w niej śniade jak Pikt. Igriana podniosła ją i z radością trzymała w ramionach. Malutka, śniada, delikatna, o kosteczkach tak drobnych, jakby się trzymało miękkiego ptaszka. Po kim to dziecko odziedziczyło wygląd? Ona i Morgause były wysokie i rudowłose, miały kolory ziemi, jak wszystkie kobiety Plemion. A Gorlois, choć ciemnowłosy, był Rzymianinem – wysokim, smukłym, z orlą twarzą, stwardniałą przez lata walk przeciw Saksonom – zbyt pełnym swej rzymskiej dumy, by młodej żonie otwarcie okazywać czułość, dla urodzonej zaś w miejsce upragnionego syna córki nie miał nic poza obojętnością.

A jednak, przypomniała sobie Igriana, ci rzymscy mężczyźni uważali, że nad swymi dziećmi mają boskie prawo życia i śmierci.

Wielu było takich, nawet chrześcijan, którzy zażądaliby, by córkę natychmiast odstawić od piersi, żeby żona od razu mogła im dać syna.

Gorlois był dla niej dobry, pozwolił jej zatrzymać małą przy sobie.

Być może, choć nie podejrzewała go o zbyt wielką wyobraźnię, wiedział, jak ona, kobieta Plemion, traktuje narodziny córki.

Kiedy wydawała polecenia na przyjęcie gości – kazała przynieść z piwnic wino, a na pieczone przygotować nie króliki, ale dobrą baraninę z ostatniego uboju – usłyszała na dziedzińcu gdakanie i hałas przestraszonych kur i wiedziała, że jeźdźcy przekroczyli granicę cypla. Służba była zalękniona, ale większość z nich pogodziła się już z faktem, że ich pani ma dar Wzroku. Do tej pory tylko udawała, uciekając się do sprytnego zgadywania i kilku sztuczek; to jednak wystarczyło, żeby się jej bali. Ale teraz myślała: *może Viviana ma rację, może wciąż mam Wzrok. Może tylko myślałam, że go utraciłam – bo przez te miesiące, zanim Morgiana się urodziła, byłam taka słaba i bezsilna. Teraz wróciłam do siebie. Moja matka była wielką kaptanką do dnia swojej śmierci, choć urodziła kilkoro dzieci.*

Ale, odpowiedziała sobie w myślach, jej matka urodziła te dzieci na wolności, jak przystało kobiecie Plemion, takim ojcom, jakich sama wybrała, nie jako niewolnica jakiegoś Rzymianina, którego zwyczajnie dawały mu władzę nad kobietami i dziećmi. Zniecierpliwiona, odpędziła od siebie te myśli; jakie ma znaczenie, czy naprawdę posiada Wzrok, czy tylko go udaje, skoro trzyma to służbę w posłuszeństwie?

Powoli wyszła na dziedziniec, który Gorlois wciąż lubił nazywać atrium, choć nic tu nie przypominało willi, w której mieszkał, zanim Ambrozjusz mianował go diukiem Kornwalii. Jeźdźcy właśnie zsiadali z koni i jej wzrok natychmiast odnalazł jedyną wśród nich kobietę. Kobietę niższą od niej i już niemłodą, ubraną w męską tunikę i wełniane bryczesy, okutaną w peleryny i szale. Przez długość dziedzińca ich oczy spotkały się w powitaniu, lecz Igriana

posłusznie podeszła i skłoniła się przed wysokim, szczupłym mężczyzną, który zsiadał z kościstego muła. Ubrany był w niebieskie szaty barda, a przez ramię przewieszoną miał harfę.

– Witam cię w Tintagel, Panie Posłańcu. Sprowadzasz błogosławieństwo pod nasz dach i zaszczytasz nas swoją obecnością.

– Dzięki ci, Igriano – powiedział dźwięczny głos i Taliesin, Merlin Brytanii, Druid, Bard, złożył dłonie na wysokości twarzy i wyciągnął je nad Igrianą w geście błogosławieństwa.

Mając za sobą ten obowiązek, Igriana podbiegła do swej przyrodniej siostry i chciała przed nią także skłonić się po błogosławieństwo, ale Viviana pochyliliła się i powstrzymała ją.

– Nie, nie dziecko, to jest rodzinna wizyta. Będzie jeszcze czas, byś mi oddała honory, jeśli będziesz chciała... – Przycisnęła Igrianą do siebie i pocałowała w usta. – A to jest dzidzius? Od razu widać, że ma w sobie krew Starego Ludu. Igriano, ona jest podobna do naszej matki.

W tym czasie Viviana, Pani Jeziora i Świętej Wyspy miała trzydzieści kilka lat. Jako najstarsza córka starożytnego rodu Kapłanek Jeziora objęła święty urząd po swej matce. Teraz wzięła Morgianę w ramiona, trzymając ją z doświadczeniem kobiety nawykłej do piastowania małych dzieci.

– Ona jest podobna do ciebie – powiedziała zdziwiona Igriana, zdając sobie sprawę, że powinna przecież już dawno to zauważyć.

Ale od kiedy po raz ostatni widziała Vivianę, a było to na jej ślubie, minęły już cztery lata. Tyle się od tego czasu wydarzyło, ona sama tak bardzo się zmieniła, wtedy była tylko przerażoną piętnastoletnią dziewczynką, oddaną w ręce mężczyzny ponad dwukrotnie starszego od siebie...

– Ale proszę do środka, panie Merlinie, siostrze. Wejdźcie się ogrzać.

Wolna od okręcających ją peleryn i szalów, Viviana, Pani Avalonu, była zaskakująco malutką kobietą, nie wyższą niż dobrze wyrosnięta dziewięcio- lub dziesięcioletnia dziewczynka. W luźnej tunice, z nożem wiszącym u przepasującego talię pasa, w obszernych wełnianych bryczesach i grubych skarpetach wyglądała jak drobniutkie dziecko ubrane w dorosłe rzeczy. Miała małą, smagłą, trójkątną twarz, czoło przysłaniały włosy ciemne jak cienie pod skalnymi półkami. Jej oczy były także ciemne, wielkie na tej małej twarzy.

Igriana nigdy przedtem nie zauważyła, jaka Viviana jest malutka.

Służka wniosła puchar dla gości: gorące wino z resztką przypraw, które Gorlois przysłał z targowisk w Londinium. Viviana wzięła puchar w dłonie, a Igriana aż zamrugowała na ten widok – wraz z gestem, którym ujęła kielich, kapłanka nagle stała się wysoka i wspaniała. Tak jakby był to kielich ze Świętych Regaliów. Ułożyła go między dłońmi i powoli podniosła do ust, mrużąc błogosławieństwo. Upiła łyk, odwróciła się i podała naczynie Merlinowi. Wziął go z niskim ukłonem i przyłożył do ust. Kiedy z kolei Igriana podjęła kielich od swoich gości, spróbowała wina i wypowiedziała powitalną formułę, to choć ledwo wtajemniczona w

Misteria, poczuła, że w pewien sposób ona także uczestniczy w powadze tego pięknego rytuału.

Potem odłożyła puchar i magia chwili uleciała. Viviana znów była tylko drobną kobietą ze śladami zmęczenia na twarzy, Merlin nie więcej niż przygarbionym, starym człowiekiem.

Igriana szybko zaprowadziła oboje do ognia.

– O tej porze roku to daleka droga, od wybrzeży Morza Lata – powiedziała pamiętając, kiedy tą drogą jechała jako świeżo poślubiona małżonka, przestraszona i pełna nienawiści, w wozie obcego sobie męża, który jak dotąd, był tylko głosem i przerażeniem w nocy. – Co sprowadza cię tutaj w czasie wiosennych burz, moja pani i siostrze?

*I dlaczego nie mogłaś przyjechać wcześniej, czemu zostawiłaś mnie samą, bym musiała się uczyć, jak być żoną, samotnie urodzić dziecko, w strachu i tęsknocie za domem? A skoro nie mogłaś przyjechać wcześniej, to, po co w ogóle przyjechałaś, teraz, kiedy jest już za późno, a ja w końcu pogodziłam się z moim poddaństwem?*

– Droga jest rzeczywiście daleka – odparła Viviana miękko, a Igriana wiedziała, że kapłanka usłyszała, tak jak słyszała zawsze, również i te słowa, których ona nie wypowiedziała na głos. – A to są niebezpieczne czasy, dziecko. Ale przez te lata wyrosłaś na kobietę, nawet, jeśli to były lata samotne, tak samotne, jak lata odosobnienia wymagane w inicjacji bardów lub... – dodała z ledwie widocznym cieniem uśmiechu – jak lata nauki na kapłankę. Gdybyś wybrała tę drogę, przekonałabyś się, że jest równie samotna, moja Igriano. Tak, oczywiście – powiedziała schylając się, a twarz jej się rozpogodziła. – Możesz mi usiąść na kolanach, maleńka. – Podniosła Morgianę, a Igriana przyglądała się temu w zadziwieniu.

Zazwyczaj Morgiana była płochliwa jak dziki króliczek. Na wpół zazdrośnie, na wpół poddając się znajomemu urokowi, patrzyła, jak dziecko sadowi się na kolanach Viviany. Viviana wyglądała na osobę niemal zbyt kruchą, by bezpiecznie utrzymać małą. Zaiste, czarodziejka, kobieta ze Starego Ludu. I możliwe, że Morgiana rzeczywiście będzie do niej bardzo podobna.

– A jak miewa się Morgause, odkąd przysłałam ją do ciebie rok temu? – spytała Viviana, spoglądając w górę na Morgause, która w swej szafranowej szacie żałośnie stała w ciemnym kącie. – Chodź tu i pocałuj mnie, siostrzyczko. Och, będziesz taka wysoka, jak Igriana – powiedziała, wyciągając ramiona, by uścisnąć dziewczynę, która posłusznie, jak na wpół wytresowany szczeniaczek, nieśmiało wyszła z cienia. – Tak, usiądź tu przy moich nogach, jeśli chcesz. – Morgause usiadła na podłodze, tuląc głowę do kolan Viviany, a Igriana dostrzegła, że jej posępne oczy napęlniają się łzami.

*Ma nas wszystkie w swoich rękach. W jaki sposób może mieć nad nami wszystkimi taką władzę? Ale może to, dlatego, że ona jest jedyną matką, jaką Morgause kiedykolwiek miała? Viviana była już dorosła, kiedy Morgause przyszła na świat, zawsze była dla niej, dla nas obu, zarówno matką, jak i siostrą. Ich matka, która była już naprawdę zbyt stara, by rodzić*

dzieci, zmarła, wydając Morgause na świat. Wcześniej tego samego roku Viviana też urodziła dziecko. Jej dziecko zmarło, więc Viviana wykarmiła Morgause własną piersią.

Morgiana ułożyła się wygodnie w objęciach Viviany; Morgause siedziała przytulona do jej nóg, opierając swą jedwabistozłotą głowę na jej kolanach. Kapłanka podtrzymywała dziecko jednym ramieniem, a wolną ręką gładziła miękkie włosy dorastającej dziewczyny.

– Chciałam do ciebie przyjechać, kiedy urodziła się Morgiana – powiedziała Viviana. – Ale sama byłam wtedy w ciąży. W tamtym roku urodziłam syna. Oddałam go już na wychowanie i myślę, że jego przybrana matka może go wysłać na naukę do mnichów. Jest chrześcijanką.

– Nie przeszkadza ci to, że będzie wychowany jako chrześcijanin? – spytała Morgause. – Czy jest ładny? Jak ma na imię?

Viviana zaśmiała się.

– Nazwałam go Balan – powiedziała. – A jego przybrana matka nazwała swojego syna Balin. Jest między nimi tylko dziesięć dni różnicy, więc bez wątpienia będą wychowywani jak bliźniacy. Nie, nie mam nic przeciwko temu, że będzie wyrastał jako chrześcijanin. Jego ojciec też jest chrześcijaninem, a Priscilla to dobra kobieta. Powiedziałaś, Igriano, że droga tutaj jest daleka. Wierz mi, dziecko, że teraz jest nawet dłuższa, niż kiedy poślubiłaś Gorloisa. Może nie tyle jest dłuższa z Wyspy Księży, na której rośnie Święty Głóg, ile o wiele dłuższa z Avalonu...

– I dlatego właśnie tu przybyliśmy – powiedział nagle Merlin, a jego głos zabrzmiał jak bicie wielkiego dzwonu, aż Morgiana nagle usiadła i zaczęła popłakiwać ze strachu.

– Nie rozumiem – odparła Igriana, czując nagle dziwny niepokój. – Przecież oba te miejsca są tak blisko...

– Oba są jednym – powiedział Merlin, siedząc sztywno wyprostowany. – Ale wyznawcy Chrystusa wolą mówić nie tyle, że oni nie powinni mieć innego Boga przed swoim Bogiem, ile, że nie ma innego Boga poza ich Bogiem. I że on sam stworzył świat. Że sam nim rządzi. Że sam jeden stworzył gwiazdy i wszystko, co istnieje.

Igriana szybko wykonała święty znak przeciwko bluźnierstwu.

– Ale tak nie może być – nalegała – żaden Bóg nie może sam władać wszystkim... a co z Boginią? Co z Matką...?

– Oni uważają – powiedziała Viviana swym miękkim, niskim głosem – że Bogini nie istnieje, gdyż domeną kobiety, jak mówią, jest początek wszelkiego zła. To przez kobietę, jak mówią, zło dostało się na ten świat. Mają jakąś fantastyczną żydowską baśń o jabłku i wężu.

– Bogini ich ukarze – odparła Igriana, wstrząśnięta. – A jednak wydałaś mnie za jednego z nich?

– Nie wiedzieliśmy, że ich bluźnierstwa są tak rozległe – powiedział Merlin. – W naszych czasach byli przecież wyznawcy różnych Bogów. Ale oni szanowali Bogów innych ludzi.

– Ale co to ma wspólnego z długością drogi z Avalonu? – spytała Igriana.

– Tak, więc dotarliśmy do celu naszej wizyty – powiedział Merlin. – Druidzi wiedzą, że to wierzenia ludzkości kształtują świat i całą rzeczywistość. Dawno temu, kiedy wyznawcy Chrystusa po raz pierwszy przybyli na naszą wyspę, wiedziałem, że to decydujące wydarzenie naszych czasów, moment, który zmieni świat.

Morgause spojrzała na starego człowieka oczyma rozszerzonymi ze zdziwienia.

– Czy jesteś aż tak stary, Czcigodny?

Merlin uśmiechnął się do dziewczyny.

– Nie w moim obecnym ciele. Ale czytałem wiele w wielkiej sali, która jest nie na tym świecie. Tam są spisane *Kroniki Wszelchrzeczy*. Poza tym wtedy również żyłem. Ci, którzy są Panami tego świata, zezwolili mi powrócić, ale już w innym ziemskim ciele.

– Te sprawy są zbyt zawiłe dla małej, Czcigodny Ojczy – powiedziała Viviana, delikatnie mu przerywając. – Ona nie jest kapłanką. To, co Merlin chciał powiedzieć, siostrzyczko, to, że żył, kiedy chrześcijanie tu przybyli, i że wybrał i pozwolono mu na to, by mógł się zreinkarnować, żeby dokończyć swoje dzieło. To są Misteria, których nie musisz rozumieć. Ojczy, mów dalej.

– Wiedziałem, że był to jeden z tych momentów, który zmieni historię całej ludzkości – powiedział Merlin. – Chrześcijanie chcą wypłenić całą wiedzę poza własną. I dlatego wypędzają z tego świata wszystkie tajemnice, poza tymi, które pasują do ich własnej wiary. Ogłosili za herezję to, że człowiek może żyć więcej niż jeden raz a to już przecież wie każdy wieśniak...

– Ale jeśli ludzie nie będą wierzyli w więcej niż jedno życie – zaprotestowała wstrząśnięta Igriana – to jak unikną rozpacz? Jaki sprawiedliwy Bóg stworzyłby niektórych ludzi biedakami, a innych możnymi i szczęśliwymi, gdyby jedno życie było wszystkim, co jest im dane?

– Nie wiem – odpowiedział Merlin. – Może chcą, by ludzie rozpaczali nad srogością losu, by na kolanach błagali Chrystusa, żeby ich zabrał do nieba. Nie wiem, w co wierzą wyznawcy Chrystusa ani na co liczą. – Na chwilę zamknął oczy i widać było głębokie zmarszczki na jego twarzy. – Ale w cokolwiek wierzą, ich przekonania zmieniają kształt tego świata, nie tylko duchowo, ale także na płaszczyźnie materii. Kiedy zaprzeczają istnieniu ducha i królestwa Avalonu, te rejony przestają dla nich istnieć. Oczywiście, że one wciąż istnieją, ale już nie w tym samym świecie, jakim jest świat wyznawców Chrystusa. Avalon, Święta Wyspa, nie jest już tą samą wyspą Glastonbury, na której my, wyznawcy Starej Wiary, niegdyś pozwoliliśmy mnichom zbudować swoją kaplicę i klasztor. Gdyż nasza mądrość i ich mądrość... ile wiesz o filozofii naturalnej, Igriano?

– Bardzo mało – odpowiedziała młoda kobieta, patrząc z lękiem na kapłankę i starego Druida. – Nigdy mnie tego nie uczono.

– Szkoda – powiedział Merlin. – Bo musisz to zrozumieć, Igriano. Postaram się wytłumaczyć ci to jak najprościej. Uważaj – powiedział, zdejmując z szyi swój złoty torques\*

\* Torques – forma naszyjnika

i wyciągając miecz z pochwy. – Czy mogę to złoto i ten brąz umieścić jednocześnie na tym samym miejscu?

Patrzyła na niego, mrugając i nie rozumiejąc.

– Nie, oczywiście, że nie. Mogą leżeć obok siebie, ale nie na tym samym miejscu, chyba, że jeden najpierw przesuniesz.

– I tak właśnie jest ze Świętą Wyspą – powiedział Merlin. – Mnisi złożyli nam przysięgę, czterysta lat temu, zanim nadeszli tu Rzymianie i próbowali nas podbić, że nigdy nie powstaną przeciwko nam i nie wypędzą nas za pomocą oręża. Gdyż byliśmy tutaj przed nimi, a oni wnosili prośbę, no i byli słabi. I dotrzymali tej przysięgi, tyle muszę im oddać. Ale w duchu, w swoich modlitwach, nigdy nie przestali walczyć z nami o to, by ich Bóg wypędził naszych Bogów, by ich mądrość panowała nad naszą mądrością. W naszym świecie, Igriano, jest dość miejsca dla wielu Bogów i wielu Bogiń. Ale w świecie chrześcijan... jak by to powiedzieć... nie ma miejsca dla naszej wizji ani dla naszej wiedzy. W ich świecie jest tylko jeden Bóg. I on nie tylko musi zwyciężyć nad wszystkimi innymi Bogami; musi sprawić, by w ogóle nie było żadnych innych Bogów, tak jakby nigdy nie istnieli inni Bogowie, a jedynie fałszywi idole, dzieło ich Diabła. I tylko wyznając tego Boga, ludzie mogą być zbawieni w tym swoim jednym życiu. Oto, w co wierzą. A świat zmienia się zgodnie z tym, w co ludzie wierzą. I tak światy, które kiedyś były jednym, oddalają się od siebie... Są, więc teraz dwie Brytanie, Igriano: jeden świat pod Jedynym Bogiem i Chrystusem, a za nim świat, w którym wciąż panuje Wielka Matka, ten świat, który Stare Ludy wybrały, by w nim żyć i w niego wierzyć. To już się wcześniej zdarzało. Był taki czas, kiedy Czarowny Lud, Lud Świetlisty, wycofał się z naszego świata, oddalając się coraz dalej i dalej we mgły, tak, że teraz tylko zabłąkany wędrowiec może przypadkiem spędzić noc w krainie Elfów, a jeśli mu się to przydarzy, czas na naszym świecie płynie bez niego. Może wyjść po jednej nocy i odkryć, że wszyscy jego bliscy już dawno nie żyją i że minął tuzin lat. A teraz, mówię ci, Igriano, to znów się wydarza. Nasz świat, rządzony przez Boginię i jej towarzysza, Rogatego Pana, świat, który znasz, świat wielu prawd, jest siłą spychany z głównego nurtu czasu. Nawet już teraz, Igriano, jeśli podróżny wybierze się do Avalonu bez przewodnika, a nie zna drogi bardzo dobrze, nie dojedzie tam, znajdzie się na Wyspie Księży. Dla większości ludzi nasz świat jest już teraz zagubiony we mgłach Morza Lata. To się zaczęło, jeszcze zanim opuścili nas Rzymianie. Teraz, kiedy całą Brytanię pokrywają kościoły, nasz świat oddala się coraz dalej i dalej. Dlatego zajęło nam tyle czasu, by tutaj dotrzeć. Coraz mniej jest dróg i miast należących do Starego Ludu, byśmy mogli orientować się w drodze. Światy wciąż się stykają, wciąż leżą obok siebie, blisko jak kochankowie, ale się rozłączają i jeśli się ich nie zatrzyma, pewnego dnia będą to dwa odrębne światy i nikt nie będzie mógł przechodzić z jednego w drugi...



– A niech się rozłączą – przerwała rozgniewana Viviana. – Ja wciąż uważam, że powinniśmy pozwolić, by się rozdzieliły! Nie chcę żyć w świecie chrześcijan, którzy wypierają się Matki...

– Ale co z innymi ludźmi? Co z tymi, którzy będą musieli żyć w rozpacz? – Głos Merlina znów przypominał miękkie bicie dzwonu. – Nie, przejście musi pozostać, nawet jeśli ma być sekretne. Części tych światów są wciąż jednym. Saksoni najeżdżają zarówno jeden, jak i drugi. Ale coraz więcej naszych wojowników jest wyznawcami Chrystusa. Saksoni...

– Saksoni to okrutni barbarzyńcy – powiedziała Viviana. – Plemiona nie dadzą rady samotnie przegnać ich z wybrzeży. A Merlin i ja widzieliśmy, że Ambrozjusz już niedługo pozostanie na tym świecie, a ten najwyższy przywódca, Pendragon... zowią go Uther, tak?... będzie jego następcą. Ale w tym kraju jest wielu, którzy nie poddadzą się zwierzchnictwu Pendragona. Cokolwiek przydarzy się naszemu światu od strony duchowej, to żaden z tych światów nie przetrwa długo saksońskich mieczy i pożogi. Zanim będziemy mogli stoczyć duchową bitwę, która powstrzyma światy przed oddalaniem się od siebie, musimy ocalić serce Brytanii przed spłonieniem w ogniu Saksonów. A napadają nie tylko Saksoni, ale też Jutowie, Szkoci i wszystkie te dzikie ludy, które nadchodzą z Północy. Każde miejsce, nawet sam Rzym, jest teraz zagrożone. Tyłu ich jest. Twój mąż walczył całe życie. Ambrozjusz, król Brytanii, jest dobrym człowiekiem, ale może się domagać lojalności tylko od tych, którzy kiedyś podążali za Rzymem. Jego ojciec nosił purpurę i Ambrozjusz także miał ambicje zostania cesarzem. Potrzebny nam jednak przywódca, za którym pójdą wszystkie ludy Brytanii.

– Ale wciąż jest Rzym – zaprotestowała Igriana. – Gorlois powiedział mi, że kiedy Rzym upora się ze swymi problemami w Wielkim Mieście, legiony powrócą! Czy nie możemy poprosić Rzymu o pomoc przeciwko tym dzikim ludom z Północy? Rzymianie byli najlepszymi wojownikami na świecie, zbudowali na północy wielki mur, by powstrzymać najeźdźców...

Głos Merlina przybrał znów tę głuchą barwę wielkiego dzwonu.

– Widziałem to w Świętej Studni – powiedział. – Orzeł odleciał i już nigdy nie powróci do Brytanii.

– Rzym nic już nie może – potwierdziła Viviana. – Musimy mieć naszego własnego przywódcę, takiego, który będzie mógł władać całą Brytanią. Bo inaczej, kiedy oni wszyscy ruszą przeciw nam, cała Brytania upadnie i na setki i setki lat polegniemy w ruinach pod saksońskim najeźdźcą. Światy rozdziela się nieodwołalnie i Avalon nie przetrwa nawet w legendach, by dawać ludzkości nadzieję. Nie, musimy mieć władcę, który potrafi wymóc lojalność od wszystkich ludów obu Brytanii: Brytanii księży i Brytanii świata mgieł, rządzonego z Avalonu. Uzdrawione przez tego Wielkiego Króla – jej głos rozbrzmiewał teraz czystym dźwiękiem przepowiedni – oba światy znów się połączą w jeden i będzie w nim

miejsce zarówno dla Bogini, jak i dla Chrystusa, dla kotła i dla krzyża. I ten przywódca nas zjednoczy.

– Ale gdzie znajdziemy takiego króla? – spytała Igriana. – Kto nam da takiego przywódcę?

I wtedy nagle poczuła lęk i lodowate zimno na karku. Gdy Merlin i kapłanka odwrócili się, by na nią spojrzeć, ich wzrok wydawał się ją unieruchamiać, czuła się jak mały ptaszek w cieniu skrzydeł wielkiego sokoła. I wtedy zrozumiała, dlaczego wieszcz – posłaniec Druidów – zwany był Merlinem.\*

Ale kiedy Viviana przemówiła, jej głos brzmiał bardzo miękko:

– Ty, Igriano. Ty urodzisz Wielkiego Króla – powiedziała.

## 2

W pokoju panowała cisza, zakłócana tylko trzaskaniem ognia.

W końcu Igriana usłyszała, że sama bierze głęboki oddech, jakby właśnie obudziła się z długiego snu.

– O czym wy mówicie? Czy to znaczy, że Gorlois ma być ojcem tego Wielkiego Króla? – Słyszała, jak słowa odbijają się echem w jej własnym umyśle i dźwięczą tam. Zastanawiała się, dlaczego nigdy nie podejrzewała, że Gorlois może mieć tak wspaniałe przeznaczenie. Widziała, jak jej siostra i Merlin wymienili spojrzenia, widziała także drobny gest, którym kapłanka powstrzymała słowa starego człowieka.

– Nie, dostojny Merlinie, to musi powiedzieć kobieta kobiecie... Igriano, Gorlois jest Rzymianinem. Plemiona nigdy nie pójdą za żadnym człowiekiem, który będzie synem Rzymianina. Najwyższy Król, jakiego uznają, musi być dzieckiem Świętej Wyspy, prawdziwym synem Bogini. Twoim synem, tak, Igriano. Ale same Plemiona nie zwyciężą Saksonów i innych dzikich ludów z Północy. Będzie nam potrzebna pomoc Rzymian i Celtów, i Kymrów, a oni pójdą tylko za swym własnym najwyższym dowódcą, diukiem wojny, swoim Pendragonem, synem człowieka, któremu zaufali, by nimi władał i im przewodził. Stary Lud także szuka syna królewskiej krwi. Twego syna, Igriano, ale jego ojcem będzie Uther Pendragon.

Igriana patrzyła na nich, zaczynając rozumieć, aż wściekłość przebiła się w końcu przez jej oszołomienie. I wtedy wybuchnęła:

– Nie! Ja już mam męża i urodziłam mu dziecko! Nie pozwolę wam znowu grać w kamyki o moje własne życie! Wysłałam za męża, tak jak mi kazaliście... i nigdy się nie dowiecie... – Słowa uwięzły jej w gardle.

\* Merlin – w języku angielskim również odmiana sokoła (kobuz).

Nigdy przecież nie zdoła im opowiedzieć o tym pierwszym roku. Nawet Viviana nigdy się nie dowie. Może im najwyżej powiedzieć: *bałam się*, albo: *byłam samotna i przerażona*, albo: *lepszy byłby gwałt, bo potem mogłabym uciec i się zabić, ale to wciąż byłyby tylko słowa, wyrażające zaledwie najmniejszą część tego, co czuła*.

Ale nawet gdyby Viviana dotknęła jej swym umysłem i poznała całą prawdę, której ona nie umiała wypowiedzieć, to tylko spojrzalaby na nią ze zrozumieniem, może nawet z litością, ale nigdy nie zmieniłaby zdania ani nie cofnęła choćby odrobiny tego, czego wymagała od Igriany. Słyszała to od swej siostry dostatecznie często, kiedy jeszcze Viviana myślała, że Igriana zostanie kapłanką Misteriów: Jeśli chcesz uniknąć swego losu lub odsunąć cierpienie, to tylko skażesz się na podwójne cierpienie w innym życiu.

Tak, więc nie powiedziała ani słowa, tylko wpatrywała się w Vivianę z tłumionym żalem, który gromadził się w niej przez te ostatnie cztery lata, kiedy samotnie, z pokorą wykonywała swój obowiązek, poddając się przeznaczeniu. Ale znowu? Nigdy, powiedziała w duchu Igriana, nigdy. Z uporem potrzęsnęła głową.

– Posłuchaj mnie, Igriano – powiedział Merlin. – Jestem twym ojcem, ale nie daję mi to żadnych praw. To królewska krew Pani Avalonu wyznacza rodową linię, przechodząc z córki na córkę Świętej Wyspy. Jest zapisane w gwiazdach, dziecko, że tylko król pochodzący z dwóch królewskich linii, jednej linii Plemion, które wyznają Boginię, i drugiej linii tych, którzy sprzymierzają się z Rzymem, zażegna wszystkie waśnie na naszych ziemiach. Musi nadejść pokój, by te ziemie żyły zgodnie obok siebie. Pokój dostatecznie długi, by także kocioł i krzyż mogły zawrzeć przymierze. Jeśli nadejdzie taki pokój, Igriano, nawet ci, którzy wyznają krzyż, będą posiadali wiedzę o Misteriach, by pocieszała ich w tym losie pełnym cierpienia i grzechu i w tej ich wierze w tylko jedno, krótkie życie, w czasie którego muszą wybrać między piekłem i niebem na całą wieczność. W przeciwnym razie nasz świat rozplynie się we mgle i miną setki, a może i tysiące lat, podczas których Bogini i Święte Misteria będą zapomniane przez całą ludzkość, z wyjątkiem może tej garstki nielicznych, którzy będą potrafili przechodzić z jednego świata w drugi. Czy pozwolisz, by Bogini i jej dzieło zniknęło z tego świata, Igriano? Ty, która zrodzona jesteś z Pani Świętej Wyspy i Merlina Brytanii?

Igriana spuściła głowę, blokując łagodnemu głosowi starca dostęp do swego umysłu. Zawsze wiedziała, choć nikt jej tego nie mówił, że Taliesin, Merlin Brytanii, dzielił z jej matką tę iskrę życia, która ją stworzyła, ale córka Świętej Wyspy nie mówi o takich rzeczach. Córka Pani Avalonu należy tylko do Bogini i do tego mężczyzny, któremu matka odda ją pod opiekę – najczęściej bratu, nie zaś temu, który ją począł. Był ku temu powód: żadnemu religijnemu mężczyźnie nie wolno było rościć sobie prawa do dziecka Bogini, a za takie uważane były wszystkie dzieci urodzone przez Najwyższą Kapłankę. To, że Taliesin powołał się teraz na swoje ojcostwo, zaskoczyło ją, ale i wzruszyło.

Jednak odpowiedziała z uporczywym sprzeciwem, nie patrząc w jego stronę:

– Gorlois mógłby zostać wybrany Pendragonem. Z pewnością ten Uther nie może być aż taki wspaniały i niezastąpiony. A skoro taki ktoś jest ci potrzebny, to czemu nie użyjesz swoich czarów, by mianować Gorloisa Wielkim Smokiem, wojennym diukiem Brytanii, najwyższym dowódcą? Wtedy, gdy urodzi się nam syn, będziesz miał swojego Wielkiego Króla...

Merlin pokręcił głową, ale odezwała się Viviana i ten ich cichy spisek rozgniewał Igriane jeszcze bardziej. Dlaczego oboje występują zgodnie przeciwko niej?

– Nie urodzisz Gorloisowi syna – rzekła miękko Viviana.

– A więc może ty jesteś samą Boginią, że w jej imieniu rozdzielasz kobietom prawo do narodzin dzieci? – spytała Igriana niegrzecznie wiedząc, że jej słowa zabrzmiały dziecinnie. – Gorlois ma synów z innymi kobietami. Dlaczegoż ja nie miałabym dać mu syna z prawego łóża, jak tego pragnie?

Viviana nie odpowiedziała od razu. Patrzyła przez chwilę prosto w oczy Igriany, po czym spytała bardzo cicho:

– Czy ty kochasz Gorloisa, Igriano?

Igriana wpatrywała się w posadzkę.

– To nie ma nic do rzeczy. To sprawa honoru. Był dla mnie dobry... – przerwała, ale jej myśli biegły dalej same: *Dobry, kiedy nie miałam do kogo się zwrócić, kiedy byłam samotna i opuszczona, i nawet ty mnie opuściłaś i zostawiłaś na pastwę losu. Co ma do tego miłość?* – To sprawa honoru – powtórzyła. – Jestem mu to winna. Pozwolił mi zatrzymać Morgianę, gdy była wszystkim, co posiadałam w mej samotności. Był miły i cierpliwy. A dla mężczyzny w jego wieku to niełatwe. On chce syna i wierzy, że to najważniejsze dla jego życia i honoru. I nie odmówię mu tego. Jeśli urodzę syna, będzie to syn Gorloisa, a nie żadnego innego mężczyzny. Przysięgam to na ogień...

– Cisza! – Głos Viviany, jak głośne uderzenie w gong, zagłuszył słowa Igriany. – Zabraniam ci, Igriano! Nie składaj przysięgi, bo będziesz na wieki zaprzysiężona!

– A cóż ci każe mniemać, że nie dotrzymam swojej przysięgi? – wybuchnęła Igriana. – Wychowano mnie w prawdzie! Ja też jestem dzieckiem Świętej Wyspy, Viviano! Możesz być moją starszą siostrą i moją kapłanką, i Panią Avalonu, ale nie wolno ci traktować mnie, jakbym była gaworzącym dzieckiem, takim jak mała Morgiana, która nie rozumie jeszcze ani słowa z tego, co się do niej mówi, i nie zna znaczenia przysięgi!

Morgiana, słysząc swoje imię, usiadła wyprostowana na kolanach kapłanki. Pani Jeziora uśmiechnęła się i pogładziła jej czarne włoski.

– Nie myśl, że ta malutka nic nie rozumie – powiedziała. – Dzieci wiedzą więcej, niż to sobie wyobrażamy. Nie umieją wypowiedzieć swoich myśli, więc uważamy, że nie myślą. A jeśli chodzi o twoją małą... cóż, to jeszcze przyszłość i nie chcę o tym przy niej mówić... ale kto wie, pewnego dnia ona też będzie wielką kapłanką...

– Nigdy! Nawet gdybym musiała zostać chrześcijanką, żeby temu zapobiec! – krzyknęła Igriana. – Czy myślisz, że pozwolę ci knuć przeciwko życiu mojego dziecka, tak jak knujesz przeciw mnie?

– Uspokój się, Igriano – powiedział Merlin. – Jesteś wolna, jak wolne jest każde dziecko Bogini. Przybyliśmy pokornie cię prosić, nie rozkazywać. Nie, Viviano – powiedział, unosząc dłoń, kiedy kapłanka chciała mu przerwać. – Igriana nie jest bezbronną zabawką w rękach losu. A jednak myślę, że gdy się wszystkiego dowie, dokona słusznego wyboru.

Morgiana zaczęła się niecierpliwie kręcić, ale Viviana przytuliła ją, delikatnie głaszcząc po główce, i dziecko się uspokoiło. Igriana wstała i chwyciła małą na ręce, zła i zazdrosna o prawie magiczną moc swej siostry nad jej córeczką. Teraz Morgiana wydawała się obca w jej ramionach, odległa, jakby czas spędzony z Vivianą zmienił ją, naznaczył, jakby należała teraz do Igriany w mniejszym stopniu. Igriana poczuła piekące ją w oczy łzy. Morgiana była wszystkim, co miała, a teraz ją także traci. Morgiana, tak jak wszyscy inni, padła ofiarą uroku Viviany, tego uroku, który potrafił zmieniać ludzi w bezwolne pionki w jej grze... Zwróciła się ostro do Morgause, która wciąż siedziała z głową wtuloną w kolana Viviany:

– Wstań natychmiast, Morgause, i idź do swej komnaty. Jesteś już prawie kobietą i nie powinnaś się zachowywać jak rozpieszczone dziecko!

Morgause podniosła głowę, odgarniając falę rudych włosów ze swej ślicznej, smutnej twarzy.

– Dlaczego wybrałaś Igrianą do swych planów, Viviano? – spytała. – Ona nie chce brać w nich udziału. Ale ja jestem kobietą i też jestem córką Świętej Wyspy. Dlaczego nie wybierzesz mnie dla Uthera Pendragona? Dlaczego ja nie mogę być matką Wielkiego Króla?

– Myślisz, że można tak lekkomyślnie igrać z przeznaczeniem, Morgause? – Merlin uśmiechnął się.

– A dlaczego Igriana ma być wybrana, a ja nie? Ja jeszcze nie mam męża...

– Jest w twej przyszłości król i wielu synów, ale tym musisz się zadowolić, Morgause. Żaden mężczyzna czy kobieta nie może wziąć na siebie czyjegoś losu. Twój los, a także los twych synów zależy od tego Wielkiego Króla. Nie mogę powiedzieć więcej – zakończył Merlin. – Wystarczy, Morgause.

Igriana, stojąc z Morgianą w ramionach, poczuła się pewniej.

– Ależ ja zapominam o gościnności. Moja siostrze, czcigodny Merlinie, pozwólcie, że służba wskaże wam przygotowane dla was komnaty, przyniesie wam wino i wodę do mycia. A o zachodzie słońca będzie gotowa wieczerza – powiedziała spokojnym, opanowanym głosem.

Viviana wstała. Igriana poczuła ulgę: oto przemówiła oficjalnie i poprawnie i znów była panią swych uczuć, nie biernym dzieckiem, lecz żoną Gorloisa, diuka Kornwalii.

– A więc o zachodzie, siostrze.

Ale Igriana dostrzegła spojrzenie, które Viviana wymieniła z Merlinem, i mogła je odczytać tak wyraźnie, jak słowa: *Dajmy na razie spokój. Dam sobie z nią radę, jak zawsze.*

Igriana poczuła, jak jej twarz ściąga się w gniewie. *Rzeczywiście, tak zawsze było. Ale tym razem tak nie będzie. Poddalam się jej woli, kiedy byłam dzieckiem i nie umiałam się sprzeciwić. Ale teraz jestem dorosła, jestem kobietą, nie tak łatwo mną kierować, jak tą przestraszoną dziewczynką, którą byłam, kiedy oddała mnie Gorloisowi za żonę. Teraz będę postępować zgodnie z własną wolą, a nie wolą Pani Jeziora.*

Służba odprowadziła gości. W swej własnej komnacie Igriana ułożyła Morgianę na łóżku i krzątała się przy niej nerwowo. Myśli zaprzętało jej to, co usłyszała.

Uther Pendragon. Nigdy go nie widziała, ale Gorlois wiele opowiadał o jego męstwie. Był bliskim krewnym, siostrzeńcem Ambrozjusza Aurelianusa, Najwyższego Króla Brytanii. Ale w przeciwieństwie do Ambrozjusza, Uther był Brytem z Brytów, bez domieszki rzymskiej krwi, tak że Kymrowie i Plemiona nie wahali się za nim podążać. Nie ulegało wątpliwości, że pewnego dnia Uther zostanie wybrany Najwyższym Królem. Ambrozjusz nie był już młody, więc ten dzień mógł nie być zbyt odległy.

*A ja byłabym królową... O czym ja w ogóle myślę? Czyż zdradziłabym Gorloisa i splamiła własny honor?*

Kiedy podniosła znów do twarzy lustro z brązu, zobaczyła w nim odbicie swej siostry stojącej w drzwiach. Viviana zdjęła już bryczesy, w których przyjechała, i ubrała luźną szatę z niefarbowanej wełny; jej długie włosy opadały luźno, miękkie i ciemne jak runo czarnej owcy. Wydała jej się drobna, krucha, postarzała, a jej oczy były oczyma kapłanki zamkniętej w jaskini przed inicjacją, zapatrzone w inny czas, w inny świat... Igriana niecierpliwie odpędziła od siebie te myśli.

Viviana podeszła bliżej, wyciągając dłoń, by dotknąć jej włosów.

– Malutka Igriano, już nie taka malutka – powiedziała czule. – Czy wiesz, maleńka, że to ja wybrałam ci imię: Grainné, na cześć Bogini ognisk Beltanu... Ile czasu minęło, odkąd służyłaś Bogini podczas święta Beltanu, Igriano?

Usta Igriany nieznacznie rozciągnęły się w uśmiechu.

– Gorlois jest Rzymianinem i chrześcijaninem. Naprawdę myślisz, że w jego domostwie obchodzi się obrzędy Beltanu?

– Nie, chyba raczej nie – odpowiedziała rozbawiona Viviana. – chociaż na twoim miejscu nie przysięgłabym bez wahania, że twoja służba nie wymyka się po kryjomu z zamku w letnie przesilenie, by palić ognie i kłaść się razem w pełni księżyca. Ale głowom chrześcijańskiego domostwa nie wypada tak czynić, nie pod okiem ich surowego księdza i ich niemiłosiernego Boga...

– Nie wolno ci tak mówić o Bogu mego małżonka, który jest Bogiem miłości – ucięła ostro Igriana.

– Jeśli tak twierdzisz... A jednak to On wypowiedział wojnę wszystkim innym Bogom i morduje tych, którzy nie oddają mu czci – powiedziała Viviana. – Możemy się tylko modlić, by się uchować przed taką bożą miłością. Mogłabym się powołać na śluby, które kiedyś złożyłaś, byś wykonała to, co ci każe w imię Bogini i Świętej Wyspy...

– O, doprawdy? – spytała cynicznie Igriana. – To teraz moja Bogini wymaga ode mnie, żebym była dziwką, a Merlin Brytanii i Pani Jeziora będą moimi rajfurami?!

Oczy Viviany błysnęły złowrogo, podeszła bliżej i przez chwilę Igriana myślała, że kapłanka uderzy ją w twarz.

– Jak śmiesz! – powiedziała i choć nie podniosła głosu, to zabrzmiał on echem w całej komnacie, a na wpeł śpiąca pod wełnianym kocem Morgiana usiadła nagle i zaczęła płakać ze strachu.

– A teraz obudziłaś mi dziecko – mruknęła Igriana i usiadła na skraju łoża, uspokajając małą.

Powoli wzburzenie opuściło twarz Viviany. Usiadła obok siostry.

– Nie zrozumiałaś mnie, Grainné. Czy myślisz, że Gorlois jest nieśmiertelny? Mówię ci, dziecko, szukałam w gwiazdach przeznaczenia wszystkich tych, których życie ważne jest dla losów i pokoju Brytanii w latach, które nadejdą, i powtarzam ci, imię Gorloisa nie jest tam zapisane.

Igriana poczuła nagłą miękkość w kolanach i słabość w całym ciele.

– Czy Uther go zabije?

– Przysięgam ci, że Uther nie będzie miał udziału w jego śmierci. Kiedy Gorlois zginie, Uther będzie daleko. Ale pomyśl, dziecko. Tintagel to wielki zamek. Kiedy zabraknie Gorloisa, by nim rządzić, czy myślisz, że Uther długo będzie zwlekał, zanim powie jednemu ze swych diuków: Weź ten zamek razem z kobietą, do której należy? Lepszy przecież sam Uther niż jeden z jego ludzi.

*Morgiana. Co stanie się z moim dzieckiem? A co z moją młodszą siostrą, Morgause? Zaprawdę, kobieta, która należy do mężczyzny, musi się modlić, by on żył i jej bronił.*

– A nie mogłabym wtedy wrócić na Świętą Wyspę i do końca moich dni żyć w Avalonie jako kapłanka?

– To nie jest twoim przeznaczeniem, maleńka – odpowiedziała Viviana, a jej głos znów był łagodny. – Nie wolno się chować przed swym losem. Dano ci odegrać ważną rolę w ratowaniu tej ziemi, ale droga do Avalonu jest dla ciebie na zawsze zamknięta. Czy sama pójdziesz drogą swego przeznaczenia, czy też bogowie muszą cię na nią zaciągnąć siłą?

Nie czekała na odpowiedź Igriany.

– To stanie się już niebawem. Ambrozjusz Aurelianus jest umierający. Przez wiele lat przewodził Brytanii i teraz jego diukowie spotkają się, by wybrać nowego Najwyższego Króla. A poza Utherem nie ma innego, któremu wszyscy mogliby ufać. Więc Uther musi być zarówno najwyższym dowódcą, diukiem wojny, jak i królem. I będzie potrzebował syna.

Igriana czuła, jak gdyby ściany wokół niej zamykały się jak pułapka.

– Skoro uważasz, że to takie ważne, czemu sama tego nie zrobisz? Jeśli przez zostanie żoną diuka wojny i Najwyższego Króla można zyskać tyle władzy, czemu nie spróbujesz oмотać Uthera swoimi czarami i sama nie urodzisz mu tego syna, którego chce przeznaczenie?

Ku jej zaskoczeniu Viviana długo się zastanawiała, zanim odpowiedziała:

– Czy myślisz, że o tym nie myślałam? Ale zapomniałaś, ile mam lat, Igriano. Jestem nawet starsza od Uthera, a on nie jest już młodzikiem, jak na wojownika. Miałam dwadzieścia sześć lat, kiedy urodziła się Morgause. Teraz mam trzydzieści i dziewięć i minął już czas, gdy mogłam rodzić.

W lustrze, które nie wiedzieć czemu wciąż trzymała w dłoni, Igriana ujrzała odbicie swej siostry, wykrzywione, niewyraźne, rozmywające się, jak woda. Obraz na chwilę stał się wyraźny, a potem zaczął się znów rozwiewać, aż całkiem zniknął. Igriana powiedziała:

– Tak myślisz? A ja ci mówię, że urodzisz jeszcze jedno dziecko.

– Mam nadzieję, że nie – odparła Viviana. – Jestem starsza, niż była nasza matka, kiedy zmarła przy porodzie Morgause, małe miałabym szanse, by uniknąć podobnego losu. To ostatni rok, kiedy wezmę udział w obrzędach Beltanu. Potem przekażę swój urząd którejś młodszej kobiecie, a sama zostanę Wiedzącą, jak wszystkie Pradawne. Miałam nadzieję, że pewnego dnia to naszej Morgause przekażę miejsce Bogini...

– To dlaczego nie zatrzymałaś jej w Avalonie i nie kształciłaś na kapłankę i twoją następczynię?

Viviana wyglądała na bardzo zasmuconą.

– Ona się nie nadaje. Pod płaszczem Bogini ona widzi tylko władzę, a nie nie kończące się poświęcenie i cierpienie. I dlatego ta droga nie jest dla niej...

– Nie wydaje mi się, żebyś aż tak bardzo cierpiała – skomentowała Igriana.

– Nic o tym nie wiesz. Ty też nie wybrałaś tej drogi. Ja, która poświęciłam jej całe życie, wciąż twierdzę, że byłoby łatwiej wieść życie prostej wieśniaczki, martwiącej się o zbiory i cielenie jałówek. Widzisz mnie w szatach i koronie Bogini, tryumfującą przy rytualnym kotle. Nie widzisz ciemności jaskini ani głębiny morskich otchłani... nie zostałam do tego powołana, drogie dziecko, i powinnaś dziękować Bogini, że co innego jest ci przeznaczone.

*Myślisz, że po tych czterech latach ja nic nie wiem o cierpieniu i niemym przetrwaniu?* – pomyślała Igriana, ale nie wypowiedziała tych słów na głos. Viviana pochylała się nad Morgianą i z czułością głaskała jej ciemne włoski.

– Och, Igriano, nawet nie wiesz, jak ci zazdroścę... całe życie tak bardzo marzyłam o córeczce. Morgause była dla mnie jak córka, Bogini mi świadkiem, ale równocześnie była mi zawsze tak odległa, jakby zrodzona z zupełnie obcej osoby, a nie naszej matki... Tęskniłam za córką, w której ręce mogłabym złożyć mój urząd – westchnęła. – Ale urodziłam tylko jedną dziewczynkę, która zaraz umarła, a wszyscy synowie są ode mnie daleko... – Wzruszyła



ramionami. – Cóż, takie jest moje przeznaczenie, któremu muszę się poddać, tak jak ty musisz się poddać swemu. Proszę cię tylko o jedno, Igriano, a resztę pozostawię Tej, która włada nami wszystkimi. Kiedy Gorlois znów wróci do domu, wybierze się do Londinium na wybory Najwyższego Króla. Musisz znaleźć jakiś sposób, żeby mu towarzyszyć.

Igriana wybuchnęła śmiechem.

– A, tylko tego ode mnie żądasz? A przecież to trudniejsze niż cała reszta! Naprawdę uważasz, że Gorlois zada sobie i swoim ludziom trud eskortowania młodej żony do Londinium? Oczywiście, że chciałabym tam pojechać, ale prędzej figi i pomarańcze z południowych krain zakwitną w Tintagel, niż Gorlois mnie ze sobą zabierze!

– A jednak, mimo wszystko musisz coś wymyślić, żeby pojechać. I musisz zobaczyć Uthera Pendragona.

Igriana znów się roześmiała.

– A ty, jak przypuszczam, dasz mi amulet, żeby zakochał się we mnie bez opamiętania?

Viviana dotknęła jej kręconych, rudych włosów.

– Jesteś młoda, Igriano. I wydaje mi się, że nie masz w ogóle pojęcia, jaka jesteś piękna. Nie myślę, żeby Uther potrzebował jakichkolwiek amuletów.

Igriana poczuła, jak przez całe jej ciało przebiega dziwny dreszcz lęku.

– Może to raczej ja powinnam dostać taki amulet, żeby przed nim nie uciekać!

Viviana westchnęła. Dotknęła kamienia księżycowego na szyi Igriany.

– To nie jest podarunek od Gorloisa...

– Nie. Dostałam go od ciebie na ślubie, nie pamiętasz? Mówiłaś, że należał do naszej matki.

– Daj mi to. – Viviana sięgnęła do szyi Igriany, pod kręcone włosy, i rozpięła łańcuszek.

– Kiedy ten kamień powróci do ciebie, Igriano, pamiętaj o tym, co ci mówiłam, i rób to, czego oczekuje od ciebie Bogini.

Igriana spojrzała na klejnot w dłoni kapłanki. Westchnęła, ale nie zaprotestowała. *Niczego jej nie obiecałam* – pomyślała z naciskiem, *niczego*.

– A ty pojedziesz do Londinium na wybory królewskie, Viviano?

Kapłanka pokręciła głową.

– Udaję się na ziemie innego króla, który nawet jeszcze nie wie, że będzie musiał walczyć u boku Uthera. To Ben z Armoriki w Mniejszej Brytanii zostaje mianowany Najwyższym Królem swych ziem, a w zamian jego Druidzi zażądali od niego, by wypełnił Wielki Rytuał. Zostałam wysłana, by przewodniczyć w Uświęconym Związku.

– Myślałam, że to ziemie chrześcijańskie.

– Ależ tak – stwierdziła obojętnie Viviana. – I księża będą bili w swoje dzwony i namaszcza go swymi świętymi olejami, i powiedzą mu, że jego Bóg się dla niego poświęcił. Ale lud nie zaakceptuje króla, który sam nie zaprzysięgnie Wielkiej Ofiary.

– Tak niewiele wiem... – westchnęła Igriana.

– W dawnych czasach, Igriano – powiedziała kapłanka – Najwyższy Król był związany na śmierć i życie ze swoją ziemią i ślubował, tak jak ślubuje Brytanii każdy Merlin, że jeśli na jego ziemie spadnie nieszczęście lub nadejdzie niebezpieczeństwo, on zginie, aby ziemia mogła żyć. A gdyby odmówił tej ofiary, ziemia zniknie. Ja... nie powinnam o tym mówić, to należy do Misteriów, ale na swój sposób ty, Igriano, też ofiarowujesz swoje życie, by uzdrowić te ziemie. Żadna kobieta, kładąc się do połogu, nie wie nigdy, czy Bogini nie zażąda od niej ofiary z życia. Ja też leżałam skulona i bezsilna, z nożem przytkniętym do gardła, wiedząc, że jeśli śmierć mnie zabierze, moja krew odkupi te ziemie... – Głos Viviany zamarł. Igriana też siedziała zdumiona, bez słowa. – Część Mniejszej Brytanii także zniknęła we mgłach i nie można już znaleźć Wielkiej Kamiennej Świątyni. Droga wiodąca do Świątyni to teraz tylko nagie głązy. Chyba, że odnajdzie się drogę do Karnak – powiedziała Viviana. – Ale król Ban ślubował, że powstrzyma świąty przed oddalaniem się od siebie, a wrota Misteriów pozostaną otwarte. Tak więc wstąpi w Uświęcony Związek ze swą ziemią na dowód, że jeśli zajdzie potrzeba, jego własna krew będzie przelana, by użyźnić pola. Wypada, by moja ostatnia posługa w służbie Matki, zanim zajmę miejsce między Wiedzącymi, połączyła jego ziemie z Avalonem. Tak, więc w tym Misterium będę dla niego Boginią.

Zamilkła, ale dla Igriany komnatę wciąż wypełniało echo jej głosu. Viviana pochyliła się i wzięła śpiącą Morgianę w ramiona, trzymając ją z wielką czułością.

– Jeszcze nie jest panienką, a ja nie jestem Wiedzącą – powiedziała. – Ale we trzy tworzymy Trójkę, Igriano. Razem tworzymy Boginię i Ona jest tutaj, obecna między nami.

Igriana zdziwiła się, czemu kapłanka nie wymieniła ich siostry Morgause, a że były w tym momencie tak otwarte na siebie, Viviana usłyszała jej myśli tak wyraźnie, jakby Igriana powiedziała to na głos.

Odpowiedziała szeptem, a Igriana zobaczyła, że drży.

– Bogini ma czwartą twarz, która pozostaje tajemnicą, i powinnaś się do niej modlić, tak jak ja, jak ja się modłę, Igriano, by Morgause nigdy nie nosiła tej twarzy.

### 3

Igrianie wydawało się, że jedzie tak w deszczu już od zawsze.

Podróż do Londinium była jak podróż z krańca świata.

W życiu prawie nie podróżowała, wyjątkiem była droga z Avalonu do Tintagel. Porównywała wystraszone i zrozpaczone dziecko z tamtej podróży i dzisiejszą siebie. Teraz jechała u boku Gorloisa, a on zadawał sobie nawet trud, by opowiadać jej o ziemiach, które przemierzali. Śmiała się wraz z nim i żartowała, a nocami z chęcią dzieliła z nim łożę w namiocie. Od czasu do czasu tęskniła za Morgianą zastanawiając się, jak dziecko znosi rozłąkę – czy nocami płacze za matką, czy chce jeść, karmiona przez Morgause? Ale

przyjemnie było znów być wolną, jechać w tym wspaniałym towarzystwie mężczyzn. Igriana świadoma była ich zachwyconych spojrzeń, ale i szacunku, jaki jej okazywali – żaden nie odważył się do niej zbliżyć, pozwalali sobie jedynie na to, by śledzić ją wzrokiem.

Znów była dziewczyną, ale teraz już nie przerażoną i stroniącą od tego obcego mężczyzny, który był jej mężem i którego musiała w jakiś sposób zadowolić. Była znów dziewczyną, lecz wolną od lęków swego dzieciństwa i cieszyła się tym. Nie przeszkadzał jej nawet ciągły deszcz, który zakrywał widok odległych wzgórz, tak że jechali wciąż w kręgu otaczającej ich mgły.

*Moglibyśmy zgubić się w tej mgle, zawędrować do Czarownej Krainy i nigdy już nie wrócić do tego świata, gdzie umierający Ambrozjusz i ambitny Uther planują ocalenie Brytanii od dzikich najeźdźców. Brytania mogłaby zatonać, jak Rzym, pod naporem barbarzyńców, a my byśmy nawet o tym nie wiedzieli, i nic by nas to nie obchodziło...*

– Czy jesteś zmęczona, Igriano? – Głos Gorloisa był miły i troskliwy. Doprawdy wcale nie był tym ludożercą, jakim wydawał jej się podczas tych pierwszych przerażających dni cztery lata temu!

Teraz był tylko starzejącym się człowiekiem, z siwizną na skroniach i brodzie (choć golił się starannie na rzymską modłę), naznaczonym bliznami przez lata wojaczki, i wzruszająco gotowym, by jej dogadzać. Może, gdyby nie była tak przerażona i zbuntowana w tamtych dniach, mogłaby dostrzec, że i wtedy starał się być dla niej miły.

Nigdy nie był okrutny, a jeśli ją ranił, to dlatego, że chyba tak mało wiedział o kobiecym ciele i o tym, jak się z nim obchodzić. Teraz wydało jej się to tylko nieporadnością, nie okrucieństwem; a jeśli skarżyła się, że sprawia jej ból, pieścił ją delikatnie. Młodsza Igriana myślała, że przerażenie i ból są nieuniknione. Teraz była mądrzejsza.

Uśmiechnęła się do niego radośnie i powiedziała:

– Nie, wcale nie jestem zmęczona. Mogłabym tak jechać bez końca! Ale skąd wiesz, przy tej mgle, że nie zgubimy drogi i że w ogóle dojedziemy do Londinium!

– Nie musisz się o to martwić – odpowiedział z naciskiem. – Moi przewodnicy są doświadczeni i znają każdą piędź tej ziemi. Przed zmierzchem dojedziemy do starej rzymskiej drogi, która prowadzi do samego serca miasta. Tę noc zatem spędzimy już pod dachem i w porządnym łóżku.

– O, będę rada ze snu w prawdziwym łóżku – powiedziała Igriana skromnie i zobaczyła, tak jak się tego spodziewała, jak nagle gorąco oblewa jego twarz i oczy. Ale odwrócił głowę, niemal jakby się jej bał, a Igriana ucieszyła się, odkrywszy moc, jaką nad nim miała.

Jechała dalej u jego boku, zastanawiając się nad nagłą życzliwością, którą poczuła dla Gorloisa, życzliwością zmieszaną z żalem, tak jakby stał jej się drogi właśnie teraz, kiedy wiedziała, że musi go stracić. W jakiś sposób była, bowiem pewna, że jej dni u jego boku są policzone. Przypomniała sobie chwilę, kiedy po raz pierwszy zrozumiała, że on umrze.

Przyjęła właśnie jego posłańca. Gorlois wysłał jednego ze swych ludzi, mężczyznę o podejrzliwych oczach lustrujących wszystko wokół, które mówiły Igriane bez słów, że gdyby ten człowiek miał młodą żonę, przybyłby do swego domu bez ostrzeżenia, mając nadzieję na odkrycie czegoś niestosownego. Igriana pewna swej niewinności, z nienagannie ułożoną służbą, kuchnią utrzymaną w porządku, zignorowała podejrzliwe spojrzenia i ugościła posłańca. Niech sobie wypytuje służbę, jeśli ma ochotę. Dowie się, że poza swą siostrą i czcigodnym Merlinem ona nikogo nie przyjmowała w Tintagel.

Kiedy posłaniec odjechał, Igriana, wracając przez dziedziniec, zatrzymała się nagle. Padł na nią wielki cień, choć stała w pełnym słońcu. Przeszył ją lęk. I w tym momencie zobaczyła Gorloisa.

Zdziwiła się, gdzie jest jego koń, jego drużyna? Wydał jej się starszy i chudszy, tak że w pierwszej chwili z trudem go poznała. Twarz miał zapadłą i wynędzniałą. Na policzku widniała blizna od miecza, której nie pamiętała.

– Mężu! – krzyknęła. – Gorlois! – A potem, uderzona niewysłowionym bólem na jego twarzy, zapomniała o swoim lęku przed nim i o latach żalu. Podbiegła i przemówiła, jakby zwracała się do własnego dziecka: – O mój drogi, co się z tobą stało? Co cię tutaj sprowadza w tym stanie, samotnie, bez broni i ludzi! Czy jesteś chory? Czy jesteś... – I wtedy zamilkła, a jej głos powoli zamierał dalekim echem. Bo nie było tam nikogo, tylko nierównomierne cienie i ukośne, odbite od morza światło przeświecające przez chmury. I echo jej własnego głosu.

Przez resztę dnia próbowała przekonać samą siebie, że było to jedynie Przesłanie, takie jak to, które zapowiedziało wizytę Morgiany. Ale знаła prawdę. Gorlois nie posiadał Wzroku, nigdy by go nie użył i nie wierzyłby w jego istnienie, nawet gdyby miał ten dar. To, co zobaczyła – wiedziała z całą pewnością, mimo iż nigdy w życiu nie widziała jeszcze nic podobnego – było zjawą jej męża, jego sobowtórem i zapowiedzią jego śmierci.

A kiedy w końcu przyjechał, cały i zdrowy, próbowała otrząsnąć się z tego wspomnienia. Za każdym razem, kiedy za jego postacią dostrzegała znany cień z blizną na policzku i niewysłowionym smutkiem w oczach, mówiła sobie, że to tylko zwodzi ją gra światła i cienia. Gorlois nie był bowiem ani ranny, ani smutny. Przeciwnie miał wspaniały humor, przywiózł moc podarków dla niej i nawet sznur koralików dla Morgiany. Z podróżynych sakiew pełnych saksońskich łupów wyciągnął także czerwony płaszcz dla Morgause.

– Bez wątpienia należał do jakiejś saksońskiej ladacznicy, co to jeżdżą za wojskiem, a może nawet do jednej z tych wyjących wojowniczek, które półnagie walczą na polu bitwy u boku mężczyzn – powiedział ze śmiechem, ujmując dziewczynę pod brodę – Najwyższy czas, by nosiła go porządna brytyjska panna. Dobrze ci w tym kolorze, siostrzyczko. Kiedy trochę urośniesz, będziesz tak śliczna, jak moja żona.

Morgause chichotała i wdzięczyła się, przymierzając płaszcz.

Kiedy później on i Igriana przygotowywali się do snu (mała Morgiana została tej nocy z płaczem wyprawiona do pokoju Morgause), Gorlois zauważył ostro:

– Musimy wydać tę dziewczynę za mąż tak szybko, jak to będzie możliwe, Igriano. To suczka z oczyma łasymi na wszystko, co choćby kształtem przypomina mężczyznę. Widziałaś, jak wodzi oczami nie tylko za mną, ale nawet za moimi młodszymi wojownikami? Nie pozwolę, żeby taka jak ona zhańbiła moją rodzinę albo miała wpływ na moją córkę!

Igriana zgodziła się z nim. Nie mogła zapomnieć, że widziała jego śmierć. Nie chciała się kłócić z człowiekiem skazanym. Poza tym ją także drażniło zachowanie Morgause.

*A więc Gorlois ma umrzeć. Cóż, nie trzeba wcale przepowiedni, by przewidzieć, że mężczyzna, który ma lat czterdzieści i pięć, który przez całe życie walczył z Saksonami, nie dożyje dorastania swych wnuków. Nie powinnam pozwolić, by to sprawiło, że uwierzę w całą resztę tych bzdur, które mi powiedziała, bo jeszcze zacznę się spodziewać, że Gorlois zabierze mnie do Londinium!*

Ale następnego dnia, kiedy nie spieszyli się, by wstać od stołu po śniadaniu, a Igriana reperowała szerokie rozdarcie na jego najlepszej tunice, spytał otwarcie:

– Czy nie zastanawiałaś się, co sprowadziło mnie tak nagle Igriano?

Po minionej nocy miała odwagę spojrzeć mu prosto w oczy z uśmiechem.

– Czyż powinnam pytać szczęście, dlaczego przywiodło mojego małżonka do domu po roku nieobecności? Mam nadzieję, że oznacza to, iż wybrzeża saksońskie są wolne i znów w brytyjskich rękach.

Pokiwał głową i uśmiechnął się. Potem uśmiech znikł.

– Ambrozjusz Aurelianus jest umierający. Stary orzeł wkrótce odleci, a nie ma pisklęcia, by zajęło jego miejsce. To tak, jakby legiony znów odchodziły. On był Najwyższym Królem przez wszystkie moje dni i dobrym władcą dla tych z nas, którzy wciąż, tak jak ja, mieli nadzieję, że pewnego dnia Rzym powróci. Teraz już wiem, że dzień ów nigdy nie nadejdzie. Królowie brytyjscy z bliska i z daleka zostali zwołani, by zebrać się w Londinium i wybrać nowego Najwyższego Króla i wojennego przywódcę. Ja także muszę pojechać. To była długa podróż, by zabawić w domu tak krótko, bo nim upłyną trzy dni, powinienem znów wyruszyć. Ale nie mógłbym być tak blisko i nie zobaczyć ciebie i dziecka. To będzie wielki zjazd, Igriano, i wielu diuków i królów przywiezie swoje małżonki. Czy chciałabyś ze mną pojechać?

– Do Londinium?

– Tak, jeśli pojedziesz tak daleko – powiedział. – I jeśli zdołasz rozstać się z tym dzieckiem. Nie wiem, czemu nie miałabyś tego zrobić. Morgiana jest zdrowa i silna, a tu jest tyle kobiet, że wystarczy, by zająć się tuzinem takich dzieci jak ona. A jeśli udało mi się sprawić, że znów jesteś przy nadziei... – spojrzał jej w oczy z takim uśmiechem, jakiego wcześniej nie potrafiłaby sobie nawet wyobrazić na jego twarzy – to jeszcze nie będzie ci to przeszkadzało w konnej jeździe. – W jego głosie była czułość, jakiej nigdy by się po nim nie

spodziewała, zwłaszcza kiedy dodał: – Wolałbym się na razie nie rozstawać z tobą, przynajmniej przez jakiś czas. Czy pojedziesz ze mną, żono?

*Musisz coś zrobić, by pojechać z nim do Londinium.*

Tak powiedziała Viviana. A teraz sam Gorlois sprawił, że nie musi go nawet prosić. Igriana poczuła, że ogarnia ją panika – jakby dosiadła spłoszonego konia. Podniosła do ust kufel z piwem i sączyła je powoli, by ukryć zmieszanie.

– Oczywiście, że pojedę, jeśli tak chcesz.

Dwa dni później byli w drodze, jadąc na wschód ku Londinium, ku obozowiskom Uthera Pendragona, ku umierającemu Ambrozjuszowi. Na wybory Najwyższego Króla...

Po południu dotarli do rzymskiej drogi i mogli jechać prędeż, a później tego dnia ujrzeli przedmieścia Londinium i poczuli zapach rzeki, która otaczała miasto. Igriana nigdy nie wyobrażała sobie, że na jednym miejscu mogło stać tyle domów. Po jeździe otwartą przestrzenią południowych pól czuła teraz, jakby brakło jej oddechu, jakby te domy zamykały się nad nią. Jechała jak w transie, czując, że te kamienne ulice i mury odcinają ją od powietrza, od światła i od samego życia... jak ludzie w ogóle mogli żyć między tymi murami?

– Tej nocy będziemy spać w domu jednego z moich żołnierzy, który mieszka w mieście – powiedział Gorlois – a jutro stawimy się na dworze Ambrozjusza.

Tego wieczora, siedząc przy kominku (co za luksus, myślała, ogień prawie w lecie!), spytała go:

– Jak myślisz, kto zostanie nowym Najwyższym Królem?

– A jakaż to różnica dla kobiety, kto rządzi ziemią?

Uśmiechnęła się do niego przymilnie. Rozpuściła już włosy na noc i widziała, jak jej uśmiech go rozgrzewał.

– Choć jestem kobietą, Gorloisie, też muszę mieszkać na tej ziemi i chciałabym wiedzieć, jakiemu człowiekowi mój mąż będzie służył w wojnie i w pokoju.

– Pokoju? Nie będzie pokoju, przynajmniej nie za mego żywota – powiedział Gorlois. – Nie z tymi wszystkimi dzikusami plądrującymi nasze bogate wybrzeża. Musimy zebrać wszystkie siły, żeby się bronić. Wielu jest takich, którzy chętnie przywdziałiby płaszcz Ambrozjusza, by poprowadzić nas na wojnę. Na przykład Lot z Orkney. Surowy człowiek, ale można na nim polegać, mocny przywódca, dobry w bitewnej strategii. Jednak wciąż nieżonaty, nie daje dynastii. Jest młody jak na Najwyższego Króla, ale ambitny. Nigdy nie znałem tak ambitnego człowieka. Jest też Uriens z Północnej Walii. Nie ma problemu z dynastią, ma już synów. Ale to człowiek bez wyobraźni: chce robić wszystko tak, jak to było czynione dawniej, mówi, że skoro raz się sprawdziło, to znowu się sprawdzi. I podejrzewam, że nie jest dobrym chrześcijaninem.

– A jaki byłby twój wybór? – spytała Igriana.

– Żaden z nich – westchnął. – Służyłem Ambrozjuszowi całe swoje życie i pójdę za człowiekiem, którego on wybierze. To sprawa honoru, a człowiekiem Ambrozjusza jest

Uther. Po prostu. Nie, żebym lubił Uthera. To rozpustnik, ma z tuzin bękartów, żadna kobieta nie jest przy nim bezpieczna. Chodzi na msze, bo tak robi wojsko i dlatego, że tak wypada. Wolałbym, żeby był uczciwym poganinem niż chrześcijaninem tylko ze względu na zyski, jakie mu to może przynieść.

– A jednak go popierasz...

– O tak, jest żołnierzem godnym Cezara. Wojsko pójdzie za nim do piekła, jeśli będzie trzeba. Nie szczędzi trudu, by być przez nich lubianym, wiesz, potrafi przechadzać się po obozie i próbować ich racji, żeby się upewnić, że to się nadaje do jedzenia. Kiedy ma wolny dzień, zamiast odpocząć, potrafi iść do kwatermistrza, by oficjalnie zwolnić ze służby jakiegoś bezzębego weterana. Przed bitwą śpi na dworze razem z żołnierzami. Ludzie by za niego oddali życie, i oddają. Ma zarówno rozum, jak i wyobraźnię. Zdołał zawrzeć pokój z oddziałami paktu i sprawił, że tej jesieni walczyły u naszego boku. Dla mnie to on myśli trochę za bardzo jak Sakson, wie, jak oni rozumują. Tak, będę go popierał. Ale to nie znaczy, że lubię tego człowieka.

Słuchając tego, Igriana pomyślała, że Gorlois powiedział więcej o sobie niż o którymkolwiek z kandydatów na króla. W końcu spytała:

– A ty nigdy nie myślałeś... jesteś przecież Diukiem Kornwalii i Ambrozjusz cię ceni, czy ty nie mógłbyś zostać wybrany Najwyższym Królem?

– Uwierz mi, Igriano, nie pragnę korony. A ty chciałabyś być królową?

– Nie odmówiłabym – powiedziała, przypominając sobie przepowiednię Merlina.

– Mówisz tak, bo jesteś za młoda, żeby wiedzieć, co to znaczy – odparł Gorlois z uśmiechem. – Czy naprawdę chciałabyś rządzić królestwem, tak jak musisz rządzić swymi służącymi w Tintagel, być wciąż na każde zawołanie? Był taki czas, kiedy byłem młodszy... ale nie chcę spędzić reszty życia na wojnie. Ambrozjusz dał mi Tintagel wiele lat temu, a do niedawna nie spędziłem w nim dość czasu, żeby móc przywieźć do domu żonę! Będę bronił tych wybrzeży tak długo, jak będę mógł utrzymać miecz, ale chcę mieć syna, żeby bawił się z moją córką, i trochę spokojnego czasu, by móc łowić ryby, siedząc na skałach, chodzić na łowy i siedzieć w słońcu patrząc, jak wieśniacy zbierają swoje plony. I może mieć czas, by pojednać się z Bogiem, aby wybaczył mi te wszystkie rzeczy, które musiałem w życiu robić jako żołnierz. Ale nawet jeśli w kraju panuje pokój, Najwyższy Król nie ma spokoju, bo jeśli wróg opuści nasze wybrzeża, to wtedy zaczną ze sobą walczyć jego przyjaciele, jeśli już o nic innego, to o jego względy. Nie, nie dla mnie korona, a kiedy będziesz w moim wieku, będziesz się z tego cieszyła.

Kiedy Gorlois mówił, Igriana poczuła pieczenie pod powiekami.

Więc ten szorstki żołnierz, ten ponury człowiek, którego się bała, teraz czuł się przy niej na tyle swobodnie, by odkryć przed nią swoje marzenia. Z całego serca zapragnęła, by mógł mieć swoje kilka ostatnich lat w słońcu, jak chciał, z dziećmi bawiącymi się obok. Ale nawet

tutaj, w blasku kominka, wydawało jej się, że widzi wszechobecny cień przeznaczenia, które go ścigało.

*To tylko moja wyobraźnia. Pozwoliłam, żeby słowa Merlina sprawiły, że widzę głupoty,* powiedziała sobie, a kiedy Gorlois ziewnął i przeciągnął się, mówiąc, że jest zmęczony drogą, pospieszyła, by pomóc mu zdjąć ubranie.

Prawie nie spała w tym obcym łóżu, kręciła się i wierciła, słuchając cichego oddechu Gorloisa. Od czasu do czasu przyciągał ją do siebie przez sen, a ona tuliła go do piersi, jakby był jej dzieckiem. *Może Merlin i Pani Jeziora po prostu boją się swoich własnych cieni, myślała. Może, Gorlois rzeczywiście będzie miał czas, by zestarzeć się na słońcu.* Może, zanim zasnął, faktycznie posiał w jej łonie ziarno, z którego wyrośnie syn, choć oni mówili, że tak się nigdy nie stanie. Ale przed świtem zapadła w męczący sen, śniąc o świecie we mgłach, o brzegu Świętej Wyspy coraz bardziej i bardziej rozplywającym się we mgle. Wydawało jej się, że ciężko wiosłuje na łodzi, wycieńczona, szukając wyspy Avalon, gdzie Bogini z twarzą Viviany czeka na nią, by zapytać, jak dobrze wypełniła to, co jej kazano. Ale choć brzeg wydawał jej się znajomy, widziała nawet rzędy jabłoni, kiedy zacumowała, by iść do Świątyni; w Świątyni z jej snu stał krucyfiks, a chór czarno ubranych chrześcijańskich zakonnic zawodził jeden ze swych żałosnych lamentów, a kiedy zaczęła uciekać, szukając wszędzie swej siostry, dźwięk kościelnych dzwonów zagłuszył jej nawoływania. Obudziła się z raptownym westchnieniem – krzykiem człowieka śpiącego. Usiadła na łóżu, słysząc wszędzie kościelne dzwony.

Gorlois usiadł przy niej.

– To kościół, gdzie Ambrozjusz chodzi na mszę. Ubierz się szybko, Igriano, pójdziemy tam razem.

Kiedy okręcała tkany jedwabny pas wokół swej wierzchniej szaty, do drzwi zapukał dziwnie wyglądający sługa. Powiedział, że chce się widzieć z panią Igrianą, małżonką diuka Gorloisa. Igriana podeszła do drzwi i wydało jej się, że rozpoznaje tego człowieka.

Skłonił się i wtedy przypomniała sobie, że wiele lat temu widziała go wiosłującego na łodzi Viviany. To przypomniało jej także niedawny sen i poczuła zimno.

– Twa siostra, pani, przysłała ci to od czcigodnego Merlina – powiedział. – I prosi cię, byś to nosiła i pamiętała o swym przyrzeczeniu, nic więcej. – Podał jej mały pakunek zawinięty w jedwab.

– Cóż to jest, Igriano – spytał Gorlois, podchodząc do niej z surową miną. – Kto przesyła ci podarki? Czy rozpoznajesz posłańca?

– To jeden z ludzi mojej siostry z wyspy Avalon – odpowiedziała Igriana, odwijając pakunek, ale Gorloisowi to nie wystarczyło.

– Moja żona nie będzie dostawała podarków od posłańców, których nie znam – powiedział ostro i wyjął pakunek z jej dłoni.



Otworzyła usta ze zdumienia, a cała jej życzliwość dla Gorloisa uleciała w okamgnieniu. Jak on śmiał?

– Ależ to jest ten błękitny kamień, który miałaś na sobie podczas naszego ślubu – powiedział Gorlois, marszcząc brwi. – A co to za obietnica? I w jaki sposób twoja siostra, jeśli to rzeczywiście od niej, weszła w posiadanie tego kamienia?

Zebrawszy szybko myśli, Igriana skłamała mu po raz pierwszy w życiu.

– Kiedy siostra mnie odwiedziła – powiedziała – dałam jej ten klejnot razem z łańcuszkiem, by naprawiła zapinkę. Ona zna złotnika w Avalonie, który jest lepszy niż jakikolwiek w Kornwalii. A obietnica, o której mówiła, to taka, żebym lepiej uważała na swoje klejnoty, gdyż jestem już dorosłą kobietą, a nie nierozważnym dzieckiem, które nie umie się obchodzić z drogocennymi przedmiotami. Czy mogę dostać mój naszyjnik, mężu?

Wręczył jej kamień, wciąż marszcząc brwi.

– Mam u siebie ślusarzy, którzy by to naprawili bez pouczania cię. Twoja siostra nie ma prawa dłużej tego robić. Viviana zbyt się przejmuje. Może zastępowała ci matkę, kiedy byłaś dzieckiem, ale teraz już nie jesteś pod jej opieką. Musisz się starać być bardziej dorosła i mniej zależna od domu.

– No to teraz dostałam dwa pouczenia – powiedziała zagniewana Igriana, zakładając klejnot na szyję. – Jedno od mej siostry, a drugie od mego męża, jakbym rzeczywiście była niesfornym dzieckiem.

Wydało jej się, że nad jego głową znów widzi ten cień, straszną zjawę człowieka skazanego na śmierć. Nagle z całego serca zapagnęła, by nie uczynił jej brzemienną, by nie nosiła w łonie dziecka człowieka skazanego... czuła lodowate zimno.

– Już dobrze, Igriano – mruknął, wyciągając rękę, by pogłaskać ją po włosach. – Nie bądź na mnie zła. Będę się starał pamiętać, że jesteś już dorosłą kobietą w dziewiętnastej wiosnie, a nie tylko piętnastoletnim dzieckiem! Chodź, musimy się przygotować na królewską mszę, a księża nie lubią, kiedy ludzie wchodzą i wychodzą, gdy msza już się zaczyna.

Kościół był mały, zbudowany z plecionki narzuconej gliną, a zimne wnętrze rozświetlało światło lamp. Igriana była zadowolona, że włożyła swój gruby wełniany płaszcz. Gorlois szepnął jej, że białowłosy ksiądz, wyglądający równie dostojnie jak każdy Druid, był osobistym księdzem Ambrozjusza i podróżował razem z wojskiem, a to była dziękczynna msza za powrót króla do domu.

– Czy król tu jest?

– Właśnie wchodzi do kościoła, idzie na to miejsce przed ołtarzem – szepnął Gorlois, pochylając głowę.

Poznała go od razu po ciemnoczerwonym płaszczu, zarzuconym na czarną, bogato haftowaną tunikę, i po wysadzanych klejnotami mieczu. Pomyślała, że Ambrozjusz Aurelianus musiał mieć około sześćdziesięciu lat. Był wysokim, szczupłym mężczyzną wygolonym po rzymsku, szedł jednak zgarbiony, stawiając kroki ostrożnie, jakby miał jakąś

wewnętrzną ranę. Kiedyś może był przystojny, teraz jego twarz była żółta i pomarszczona, ciemne wąsy obwisłe i prawie całkiem siwe, a włosy szpakowate. Obok niego szło dwóch czy trzech doradców lub królów. Chciała się dowiedzieć, kim są, ale kiedy ksiądz zobaczył wchodzącego króla, zaczął czytać ze swej wielkiej księgi, więc przygryzła wargę i zamilkła. Słuchała mszy, której nawet teraz, po czterech latach pobierania nauk u ojca Columby, nie rozumiała do końca, i wcale się tym nie martwiła. Wiedziała, że nie wypadało rozglądać się w kościele, jak jakaś prostaczka ze wsi, ale spod kaptura swego płaszcza zerkała ukradkiem na mężczyzn otaczających króla: w jednym rozpoznała, jak jej się wydawało, Uriensa z Walii. Był tam też bogato ubrany mężczyzna, smukły i przystojny, z ciemnymi włosami równo przyciętymi po rzymsku na wysokości brody. Zastanawiała się, czy to nie był Uther, przyjaciel Ambrozjusza i być może jego następca. Przez całą długą mszę stał opiekuńczo u boku Ambrozjusza, a kiedy stary król się potknął, ten smukły, ciemnowłosy mężczyzna podtrzymał go. Patrzył z uwagą na księdza, ale Igriana nauczona czytać ludzkie myśli z wyrazu twarzy wiedziała, że on wcale nie słucha ani księdza, ani mszy, a jego myśli krążą gdzie indziej, wokół jego własnych spraw. Raz tylko podniósł głowę i spojrzał prosto na Gorloisa, spotkał też wzrok Igriany. Jego oczy były ciemne, skryte pod grubymi, czarnymi brwiami, a Igriana poczuła, że przeszywa ją dreszcz obrzydzenia. Jeśli to jest Uther, postanowiła, nie chce mieć z nim nic wspólnego. Życie u jego boku to zbyt wielka cena za koronę. Uther musiał być starszy niż wyglądał, bo na oko nie miał więcej lat niż dwadzieścia i pięć.

W połowie mszy przy drzwiach zrobiło się lekkie zamieszanie i do środka wszedł wysoki mężczyzna o wojskowym wyglądzie, szeroki w ramionach, lecz kościsty, ubrany w grubą wełnianą pelerynę, jakie noszą ludzie Północy. Za nim weszła grupa czterech czy pięciu żołnierzy. Ksiądz mówił dalej nie przerywając, ale diakon stojący obok niego uniósł głowę znad swej Biblii i rzucił gniewne spojrzenie. Wysoki mężczyzna odkrył głowę, odsłaniając jasne włosy, już lekko przerzedzone i łysiejące na czubku. Przepychał się wśród stojących wiernych. Ksiądz powiedział: Módlmy się, i klękając, Igriana dostrzegła, że ten wysoki, jasnowłosy człowiek i jego żołnierze są bardzo blisko nich. Żołnierze uklękli obok ludzi Gorloisa, a ten jasnowłosy uklękł obok niej. Kiedy klękał, rzucił dokoła jedno szybkie spojrzenie, by upewnić się, że jego ludzie mają miejsce. Potem pobożnie pochylił głowę i słuchał modlitw.

Nie podniósł głowy ani razu przez całe długie nabożeństwo. Nawet gdy wierni zaczęli podchodzić do ołtarza po swój poświęcony chleb i wino, on nie poszedł. Gorlois dotknął ramienia Igriany i posłusznie poszła u jego boku. Chrześcijanie utrzymywali, że żona winna wyznawać wiarę swego męża, więc ten ich Bóg mógłby winić Gorloisa, gdyby to ona poszła do komunii źle przygotowana. Ojciec Columba długo spierał się z nią o to, jak należy właściwie się modlić i przygotowywać, aż Igriana zdecydowała, że po prostu nigdy nie będzie do tego dostatecznie dobrze przygotowana. Ale gdyby nie podeszła do komunii,

Gorlois byłby na nią zły, a poza tym nie mogła zakłócić teraz ciszy w kościele, sprzecząc się z nim, nawet szeptem.

Wracając na swoje miejsce z nieprzyjemnym smakiem jałowego chleba i wina w ustach, które musiała przyjąć na głodny żołądek, zobaczyła, że ten wysoki mężczyzna podnosi głowę. Gorlois uprzejmie skinął mu i poszedł dalej. Mężczyzna spojrzął na Igrianę i wydało jej się przez chwilę, że on śmieje się zarówno z niej, jak i z Gorloisa.

Poczuła, że też się uśmiecha. Potem na widok karcącego spojrzenia Gorloisa poszła za nim i posłusznie uklękła u jego boku. Ale dostrzegła, że jasnowłosy mężczyzna jej się przygląda. Z jego stroju ludzi Północy wnioskuje, że to mógł być Lot z Orkney, ten, którego Gorlois nazwał młodym i ambitnym. Niektórzy mieszkańcy Północy byli też jasnowłosi, jak Saksonowie.

Rozpoczął się końcowy psalm. Słuchała słów, nie zwracając jednak na nie zbytnej uwagi.

*Pan zesłał pokutę na swój lud,  
Zgodnie ze swym odwiecznym prawem...  
Imię jego święte i straszne;  
Lęk przed Panem to początek mądrości.*

Gorlois pochylał głowę, przyjmując błogosławieństwo. Tyle się dowiadywała o swym mężu przez te kilka dni. Wiedziała, że jest chrześcijaninem, kiedy za niego wychodziła. Ale w tych czasach większość ludzi była chrześcijanami, a nawet, jeśli nie byli, to bardzo uważali, żeby tego nie wyjawiać, z wyjątkiem ludzi mieszkających w pobliżu Świętej Wyspy, gdzie królowała Stara Wiara, albo między barbarzyńcami z Północy lub Saksonami. Ale nie wiedziała, że Gorlois był naprawdę pobożny.

Błogosławieństwo się zakończyło. Ksiądz i jego diakoni wyszli niosąc swój długi krzyż i Świętą Księgę. Igriana spojrziała w miejsce gdzie stał król. Był zmęczony i poźółkły, a kiedy odwrócił się, by opuścić kościół, ciężko wsparł się na ramieniu młodego ciemnowłosego mężczyzny, który stał przy nim i podtrzymywał go przez większość mszy.

– Lot z Orkney nie traci czasu, prawda, mój panie Kornwalii? – powiedział ten wysoki, jasnowłosy mężczyzna w pelerynie. – Nie popuszcza ostatnio łokcia Ambrozjusza i nie zaprzestaje swych starań!

A więc, pomyślała Igriana, to nie jest Lot z Orkney, jak sądziłam.

Gorlois przytaknął chrząknięciem.

– Twa pani małżonka, Gorloisie?

Gorlois powiedział niechętnie i niegrzecznie:

– Igriano, moja droga, to jest nasz diuk wojny Uther, którego Plemiona zważą Pendragonem, od jego sztandaru.

Ukloniła się, mrugając z zaskoczenia. Uther Pendragon, ten niezdarny człowiek, biały jak Sakson? To miał być lord, który zastąpi Ambrozjusza? Ten nieokrzesany prostak, który ośmielił się zakłócać świętą mszę? Tymczasem Uther wpatrywał się – nie, jak stwierdziła Igriana, nie w jej twarz, ale w coś poniżej. Spuszczając wzrok, by sprawdzić, czy przypadkiem nie rozlała na suknię mszalnego wina, zrozumiała, że on wpatruje się w księżycowy kamień na jej piersiach.

Zirytowana zastanawiała się, czy on nigdy wcześniej nie widział takiego kamienia?

Gorlois także zauważył kierunek jego wzroku.

– Chciałbym przedstawić moją panią królowi; miłego dnia, mój panie diuku – powiedział i odszedł, nie czekając na pożegnanie Uthera. Kiedy znaleźli się poza zasięgiem jego słuchu, stwierdził: – Nie podoba mi się sposób, w jaki on na ciebie patrzy, Igriano. To nie jest człowiek, którego powinna znać cnotliwa kobieta. Unikaj go.

– Nie na mnie patrzył, mężu, tylko na klejnot, który noszę. Czy on jest zachłanny na bogactwa? – spytała Igriana.

– On jest zachłanny na wszystko – uciął krótko Gorlois, idąc tak szybko, że Igriana w swoich cienkich trzewiczkach potykała się na kamiennym gościńcu. Wyprzedzili królewską grupę.

Ambrozjusz, otoczony swymi księżmi i doradcami, wyglądał jak każdy stary, schorowany człowiek, który poszedł na mszę poszcząc i teraz marzył, by usiąść i zjeść śniadanie. Szedł, przyciskając dłoń do jednego boku, jakby go tam bolało. Ale uśmiechnął się do Gorloisa z prawdziwą przyjaźnią i Igriana zrozumiała, czemu cała Brytania pogodziła się, by służyć temu człowiekowi i wypędzić Saksonów z wybrzeży.

– Cóż to, Gorloisie, tak szybko wróciłeś z Kornwalii? Niewielką miałem nadzieję ujrzeć cię tu przed Radą albo w ogóle jeszcze na tym świecie – powiedział.

Głos miał słaby, oddech krótki, ale wyciągnął ramiona do Gorloisa, który delikatnie uściskał starego człowieka, potem wykrzyknął:

– Jesteś chory, panie, powinieneś zostać w łóżku!

– Obawiam się, że już wkrótce będę leżał w łóżku, i to na dobre – powiedział Ambrozjusz z bladym uśmiechem. – Biskup też zabronił mi wstawać i nawet ofiarował, że przyniesie mi święte sakramenty, ale chciałem znowu pokazać się moim ludziom. Zjedz ze mną śniadanie, Gorloisie, i opowiedz mi, co tam słyhać w twoich spokojnych stronach.

Szli dalej obok siebie, a Igriana podążała za mężem. Po drugiej stronie króla szedł ten szczupły, śniady mężczyzna ubrany w purpurowe szaty. Pamiętała już, to Lot z Orkney. Kiedy doszli do pałacu Ambrozjusza i król zajął wygodne miejsce, przywołał do siebie Igriane.

– Witaj na moim dworze, pani Igriano. Twój mąż powiedział mi, że jesteś córką Świętej Wyspy.

– Tak, panie – odpowiedziała zawstydzona.

– Niektórzy z waszych ludzi są doradcami na moim dworze. Moim księżom nie podoba się, że wasi Druidzi zajmują równe im rangą miejsca, ale ja im powtarzam, że jedni i drudzy służą Wielkim ponad nami, jakiegokolwiek są ich imiona. A mądrość jest mądrością, nieważne, skąd pochodzi. Czasem nawet myślę, że wasi Bogowie wymagają mądrzejszych ludzi na swe służki niż nasz Bóg na swoje. – Ambrozjusz uśmiechnął się do niej. – Chodź, Gorloisie, usiądź przy stole tu, przy mnie.

Kiedy Igriana zajęła swoje miejsce na wymoszczonej ławie, wydało jej się, że Lot z Orkney krąży wokół jak pies, którego kopnięto, ale który chce z powrotem wkraść się w łaski swego pana.

Jeśli Ambrozjusz miał wokół siebie ludzi, którzy go kochali, to dobrze. Ale czy Lot kochał króla, czy tylko chciał być w pobliżu tronu, tak aby blask władzy mógł oświetlić także jego? Zauważyła, że choć Ambrozjusz ponaglał swych gości, by częstowali się białym chlebem, miodem i świeżą rybą, sam jadł tylko okruchy chleba, moczone w mleku. Zauważyła także jasną żółć znaczącą białka jego oczu. Gorlois powiedział, że Ambrozjusz umiera. Widziała w życiu dosyć umierających ludzi, by wiedzieć, że Gorlois mówił prawdę.

A ze słów Ambrozjusza wynikało, że też o tym wiedział.

– Szpiedzy mi donieśli, że Saksoni zawarli jakiś pakt. Zabili konia i przysięgali na jego krew czy inne takie brednie, razem z ludami Północy – powiedział Ambrozjusz. – I tym razem walki mogą przenieść się do Kornwalii. Uriens, możliwe, że będziesz musiał poprowadzić naszą armię na ziemie zachodnie. Ty i Uther, który zna walijskie wzgórza jak rękojeść własnego miecza. Wojna może zawitać nawet na twoich spokojnych ziemiach, Gorloisie.

– Ale ty jesteś zabezpieczony, tak jak my na Północy, przez skaliste wybrzeże – powiedział Lot z Orkney swym miękkim głosem. – Nie myślę, żeby horda dzikusów wybrała się zaatakować Tintagel, nie znając skał i przylądków. A i od strony lądu ten długi cypel bardzo ułatwi obronę zamku.

– To prawda – odrzekł Gorlois – ale są miejsca, plaże, do których mogą przybijać łodzie, a nawet, jeśli nie uda im się zdobyć zamku, są wioski, bogate ziemie, płony. Mogę bronić zamku, ale co z ziemią? Jestem ich diukiem i mam bronić mego ludu.

– Wydaje mi się, że zarówno diuk, jak i król powinien być czymś więcej – powiedział Ambrozjusz. – Ale nie wiem czym. Nigdy nie żyłem w czasach pokoju, by na to odpowiedzieć. Może zrobią to nasi synowie. To może się zdarzyć za twego życia, Locie, jesteś z nas najmłodszy.

W przyległym korytarzu rozległy się jakieś głosy i wysoki, jasnowłosy Uther wszedł do komnaty. Trzymał parę psów na uwięzi, a ich smycze zasupały się. Psy szczekały i podskakiwały. Uther stał przy drzwiach, cierpliwie rozplątując smycze, potem podał je służce i wszedł do komnaty.

– Przeszkadzasz nam dziś od samego rana, Uther – powiedział Lot jadownicie. – Najpierw księżom w mszy świętej, a teraz królowi przy śniadaniu.

– Czy przeszkodziłem? Błagam o wybaczenie, panie – powiedział Uther uśmiechając się, a król wyciągnął do niego rękę, odwzajemniając uśmiech, jakby witał ulubione dziecko.

– Przebaczam ci, Uther, ale proszę cię, odeślij te psy. No, chodź i usiądź tutaj, mój chłopcze – powiedział Ambrozjusz, podnosząc się z trudem, a Uther uściskał króla.

Igriana zobaczyła, że zrobił to ostrożnie, z szacunkiem. *Och, Uther naprawdę kocha króla. To nie tylko ambicja czy dworskie zabieganie o względy!*, pomyślała.

Gorlois chciał ustąpić swego miejsca przy Ambrozjuszu, ale król gestem nakazał mu siedzieć spokojnie. Uther przełożył swą długą nogę przez ławę i przestąpił przez nią, by wcisnąć się na miejsce obok Igriany. Zagarnęła bliżej siebie spódnice, a kiedy się potknął, poczuła się niezręcznie. *Jakiż on niezdamy! Jak wielki, przyjazny psiak!*

Musiał wyciągnąć rękę, żeby się podeprzeć i nie upaść prosto na Igrianą.

– Wybacz mą niezdamność, pani – powiedział, uśmiechając się do niej. – Jestem już chyba za duży, żeby siedzieć na twoich kolanach!

Wbrew własnej woli odwzajemniła uśmiech.

– Nawet twoje psy są na to za wielkie, mój panie Utherze!

Sięgnął po chleb i rybę, częstując ją miodem, który nabierał łyżką z dzbana. Grzecznie odmówiła.

– Nie lubię słodczy – wytłumaczyła.

– Nie potrzebujesz ich, pani – powiedział, a ona zauważyła, że znów wpatruje się w jej dekolt. Czy on nigdy nie widział księżycowego kamienia? A może wpatrywał się w zaokrąglenie jej piersi?

Nagle stała się świadoma tego, że jej piersi nie są już tak wysokie i jędrne jak kiedyś, zanim karmiła Morgianę. Igriana poczuła, jak rumieńce oblewają jej skronie, i szybko upiła łyk świeżego, zimnego mleka.

Był wysoki i jasnowłosy, skórę miał gładką i bez zmarszczek.

Czuła zapach jego potu, świeży i czysty jak u dziecka. A jednak nie był taki znów bardzo młody – jasne włosy już rzedły na jego opalonych skroniach. Poczuła dziwne skrępowanie, coś, czego nigdy w życiu nie doznała. Jego udo dotykało jej nogi na całej szerokości ławy i była tego bardzo świadoma. Jakby noga stała się oddzielną częścią jej własnego ciała. Spuściła oczy i wzięła do ust kęs chleba z masłem, słuchając rozmowy Gorloisa i Lota o tym, co się stanie, jeśli wojna nadejdzie do zachodnich krain.

– Tak, Saksonowie to wojownicy – powiedział Uther, przyłączając się do rozmowy – ale jednak walczą na sposób mniej więcej cywilizowany. Za to ci z Północy, Szkoci i dzikie plemiona z tamtych stron to szaleńcy. Wpadają w bitwę nago i z wrzaskiem i bardzo ważne jest, by tak wyszkolić nasze drużyny, żeby twardo umiały odeprzeć atak, a nie rozpierzchały się ze strachu przed ich napaścią.

– I w tym legiony miały przewagę nad naszymi ludźmi – powiedział Gorlois. – To byli żołnierze z wyboru, karni, wyszkoleni w wojennym rzemiośle, a nie rolnicy i kmiotkowie powołani do walki bez wiedzy o tym, co mają robić, którzy wracają do siebie na rolę, kiedy niebezpieczeństwo mija. Brytanii potrzebne są legiony. Może gdybyśmy znów zwrócili się do cesarza...

– Cesarz – powiedział Ambrozjusz, uśmiechając się słabo – ma dosyć własnych kłopotów. Potrzebujemy jeźdźców, legionów kawalerii. Ale jeśli chcemy legionów w Brytanii, Utherze, musimy je sobie sami wyszkolić.

– Tego się nie da zrobić – wtrącił Lot z przekonaniem – bo nasi ludzie będą walczyć w obronie swoich domów i z lojalności dla swych własnych klanowych wodzów, ale nie dla żadnego Najwyższego Króla czy cesarza. A przecież walczą tylko po to, by wrócić do swoich domów i cieszyć się pokojem. Ludzie, którzy za mną idą, idą za mną, a nie za jakimś ideałem wolności. Miałem nawet pewne trudności, żeby przyszli tak daleko na południe. Powiadają, i mają trochę racji, że przecież nie ma już Saksonów tam, gdzie mieszkają, więc dlaczego mają walczyć tutaj? Mówią, że kiedy Saksoni dojdą do ich ziemi, będzie dość czasu, by wtedy bronić się i walczyć. I że ludy z nizin powinny zajmować się obroną swoich własnych ziem.

– Czy oni nie rozumieją, że jeśli przyjdą aż tu, by zatrzymać Saksonów, to ci mogą nigdy nie dotrzeć do ich ziem... – zaczął gorąco Uther, ale Lot podniósł ze śmiechem swą wąską dłoń.

– Uspokój się, Uther, przecież ja to wiem! To moi ludzie tego nie rozumieją! Z ludów mieszkających na północ od wielkiego muru, Ambrozjuszu, nie uformujesz dla Brytanii ani legionów, ani żadnej stałej armii.

– Więc może cesarz miał wtedy rację; może powinniśmy znów rozmieścić oddziały na murze. Nie, jak on, by bronić miast przed dzikimi plemionami z Północy, ale by bronić twych ziem przed Saksonami, Locie – powiedział Gorlois z naciskiem.

– Nie mamy tylu oddziałów – wtrącił niecierpliwie Uther. – Nie możemy oddać żadnych wyszkolonych ludzi! Możemy zostawić wojska paktu, by broniły Saksońskich Wybrzeży, a sami udać się na zachód odpierać Szkotów i tych z Północy. Myślę, że główny obóz powinniśmy założyć w Kraju Lata. Wtedy zimą nie będą mogli się przedostać i napadać na nasze obozy, jak to robili trzy lata temu, bo nie znajdą drogi wśród wysp.

Igriana słuchała uważnie, bo sama przecież urodziła się w Kraju Lata i wiedziała, jak zimą morze wdzierało się i zalewało łąd. To, co latem było przejezdnymi, choć zwodniczymi groblami, zimą zmieniało się w jeziora i długie, wewnętrzne morza. Nawet całej armii najeźdźców byłoby trudno poruszać się po Kraju Lata, chyba, że latem.

– Tak właśnie poradził mi Merlin – powiedział Ambrozjusz – i nawet zaoferował miejsce, byśmy mogli założyć wielki obóz dla naszych armii w Kraju Lata.

Uriens odezwał się szorstkim głosem:

– Nie podoba mi się pozostawianie Saksońskich Wybrzeży wojskom paktu. Sakson to Sakson i dotrzyma przysięgi tylko wtedy, kiedy mu to będzie na rękę. Myślę, że największym błędem naszych czasów było to, że Konstantyn zawarł przymierze z Yortigernem...

– Nie – odparł Ambrozjusz. – Pies, który ma w sobie krew wilka, będzie walczył z wilkami zajadlej niż każdy inny pies. Konstantyn nadał Saksonom Yortigerna ich własne ziemie i walczyli w ich obronie. Oto, czego chcą ci Saksoni: ziemi. To są rolnicy i będą się bić na śmierć i życie, żeby utrzymać swoją ziemię w pokoju. Wojska paktu dzielnie walczyły przeciw tym Saksonom, którzy najeżdżali nasze wybrzeża...

– Ale teraz jest ich już tyłu – powiedział Uriens – że domagają się, by przyznać im więcej ziemi, i straszą, że jeśli im jej nie damy, przyjdą i sami sobie wezmą. Więc teraz, jakby nie dość było walki z Saksonami zza morza, musimy walczyć z tymi, których Konstantyn sprowadził na nasze ziemie...

– Dostyc – rzekł Ambrozjusz, podnosząc swą szczupłą rękę, a Igriana pomyślała, że jest strasznie chory. – Nie mogę naprawić błędów, które popełnili ludzie zmarli jeszcze przed moim narodzeniem, jeśli to w ogóle były błędy. Mam dość własnych błędów do naprawiania, a nie będę żył dość długo, by ze wszystkimi się uporać.

Lecz póki żyję, zrobię, co w mojej mocy.

– Myślę, że najlepsze, co możemy zrobić – powiedział Lot – to przepędzić wszystkich Saksonów, którzy są na naszej ziemi, a potem umocnić granice, by nie wrócili.

– Nie sądzę, aby to było słuszne – rzekł Ambrozjusz. – Niektórzy z nich mieszkają tu od czasów swych dziadów, pradziadów i prapradziadów. I nie opuszczą ziemi, którą uważają za swoją, chyba, że jesteśmy gotowi wszystkich ich zabić. Nie powinniśmy też pogwałcać praw naszego własnego paktu. Jeśli zaczniemy walczyć między sobą tutaj, wewnątrz Brytanii, to skąd znajdziemy siły, ludzi i broń, kiedy napadną nas z zewnątrz? Poza tym niektórzy Saksoni mieszkający na Saksońskim Wybrzeżu to chrześcijanie i będą walczyć razem z nami przeciw dzikim ludom i ich pogańskim Bogom.

– Coś mi się zdaje – powiedział Lot z grymasem uśmiechu – że biskupi Brytanii mieli rację, kiedy odmówili wysłania misjonarzy, by zbawiali saksońskie duszyczki na naszym wybrzeżu mówiąc, że gdyby Saksoni mieli być przyjęci do nieba, to oni z takiego nieba rezygnują! Mamy dosyć kłopotów z Saksonami na tej ziemi, czy w niebie też mamy wysłuchiwać ich dzikich wrzasków?

– Myślę, że nie bardzo rozumiesz pojęcie nieba – powiedział znajomy głos, a Igriane przesyłał dziwny dreszcz rozpoznania.

Spojrzała na koniec stołu, na tego, kto się odezwał. Nosił prostą, szarą suknię, trochę jak mnisi habit. Nie poznała Merlina w tym stroju, ale jego głos rozpoznałaby wszędzie.

– Czy rzeczywiście myślisz, że ludzkie swary i niedoskonałości powędrują z nami aż do nieba, Locie?



– Cóż, jeśli o to chodzi, to nigdy nie spotkałem nikogo, kto był w niebie – odpowiedział Lot. – I myślę, że ty też nie, panie Merlinie. Ale przemawiasz mądrze jak jakiś ksiądz, czyżbyś na starość złożył święte śluby, sir?

Merlin roześmiał się.

– Mam jedną rzecz wspólną z waszymi księżmi. Spędziłem w życiu wiele czasu, by rozdzielić sprawy ludzkie od tych, które należą do Boga. I kiedy już skończyłem je rozdzielać, stwierdziłem, że nie ma między nimi znów tak wielkiej różnicy. Tutaj, na ziemi, nie widzimy tego, ale kiedy pozbędziemy się tego ciała, będziemy wiedzieć więcej i zrozumiemy, że nasze spory nic Boga nie obchodzą.

– To dlaczego walczymy? – spytał Uther i uśmiechnął się szeroko, jakby przekomarzał się ze starcem. – Jeśli w niebie wszystkie nasze spory będą wyjaśnione, to czemu nie odłożymy oręża i nie uściskamy Saksonów jak braci?

Merlin znów się uśmiechnął i odpowiedział przyjaźnie:

– Kiedy już będziemy doskonali, tak właśnie się stanie, panie Utherze. Ale Saksoni jeszcze o tym nie wiedzą, a i my też nie, więc gdy przeznaczenie prowokuje ludzi do walki, cóż, musimy odegrać swoje role w tym doczesnym życiu. Ale potrzebujemy pokoju, by ludzie mogli zacząć rozmyślać o niebie, a nie tylko o bitwach i wojnach.

– Nie bardzo mi się uśmiecha siedzieć i rozmyślać o niebie, starcze! – powiedział Uther ze śmiechem. – Zostawiam to tobie i innym księżom. Ja jestem człowiekiem walki, byłem nim całe moje życie. I modlę się, by resztę życia spędzić na wojnie, jak przystoi mężczyźnie, a nie zakonnikowi!

– Uważaj, o co się modlisz – odrzekł Merlin, patrząc z powagą na Uthera – bo Bogowie z całą pewnością ci to dadzą.

– Nie chcę być stary i myśleć o niebie i pokoju – nie przestawał Uther. – Bo wydają mi się bardzo nudne. Chcę wojny i grabieży, i kobiet... o tak... kobiet! Ale księżom nie podoba się żadna z tych rzeczy.

– Nie jesteś, więc o wiele lepszy od tych Saksonów, prawda, Uther? – spytał Gorlois.

– Nawet twoi księża mówią, że trzeba kochać swoich wrogów, Gorlois – odparł Uther ze śmiechem i przechylił się przez Igrianę, żeby poklepać Gorloisa serdecznie po plecach. – Więc kocham Saksonów, bo dają mi to, czego pragnę od życia! I ty też powinienes, bo kiedy mamy trochę pokoju, jak teraz, możemy ucztować i cieszyć się kobietami, a potem znów wrócić do walki, jak przystoi prawdziwym mężczyznom! Czy myślisz, że kobietom zależy na takich mężczyznach, którzy siedzą w domu przy ogniu i liczą morgi? Czy myślisz, że twoja piękna żona, która tu siedzi, byłaby tak szczęśliwa z kmiotkiem, jak jest szczęśliwa z diukiem i przywódcą?

Gorlois odpowiedział poważnie:

– Jesteś jeszcze na tyle młody, że możesz tak mówić, Uther. Kiedy będziesz miał moje lata, też będziesz miał dosyć wojny.

Uther zachichotał i spytał:

– Czy masz dosyć wojny, Ambrozjuszu, mój panie?

Ambrozjusz uśmiechnął się, ale wyglądał na bardzo zmęczonego:

– To nie miałoby znaczenia, nawet gdybym miał dość wojny, Utherze, gdyż Bóg w swojej mądrości zdecydował zesłać mi wojnę trwającą całe moje życie, niech więc się dzieje jego wola. Będę bronił mego ludu i tak winni czynić ci, co przyjdą po mnie. Może w twoich czasach, albo w czasach twoich synów, będziemy mieć pokój wystarczająco długi, by się zastanowić, o co walczymy.

Wtrącił się Lot z Orkney:

– Ależ my tu wszyscy filozofujemy, czcigodny Merlin, mój pan król, nawet ty, Utherze, wzięłeś się za filozofię. Ale to wszystko nie odpowie nam na pytanie, jak się bronić przed tymi dzikimi ludami, które atakują nas ze wschodu i zachodu, i Saksonami na naszych własnych ziemiach. Myślę, że wszyscy wiemy, iż z Rzymu nie nadejdzie pomoc. Jeśli chcemy legionów, musimy je sami wyćwiczyć, myślę też, że powinniśmy także mieć własnego cesarza, bo tak jak żołnierze potrzebują swych własnych przywódców i własnych królów, tak wszyscy królowie tej wyspy potrzebują kogoś, kto będzie nimi rządził.

– A dlaczego naszego Najwyższego Króla mielibyśmy zwać cesarzem albo w ten sposób o nim myśleć? – spytał mężczyzna, do którego zwracano się imieniem Ektoriusz. – Cesarze w swoim czasie dobrze zarządzili Brytanią, ale teraz przekonaliśmy się, na co się przydało ich cesarstwo... kiedy zaczęły się kłopoty w ich własnej stolicy, wycofali legiony, a nas zostawili na pastwę barbarzyńców. Nawet Magnus Maksymus...

– On nie był cesarzem – powiedział Ambrozjusz z uśmiechem. – Magnus Maksymus chciał zostać cesarzem, w czasach gdy dowodził tutejszymi legionami, to normalna ambicja każdego diuka wojny. – Igriana zobaczyła krótki uśmiech, jakim obdarzył Uthera ponad głowami innych. – Więc zebrał swoje legiony i wyruszył na Rzym, pragnąc, by go ogłoszono cesarzem. Nie był pierwszym ani ostatnim, który tak czyni, mając za sobą armię. Ale nigdy nawet nie dotarł do Rzymu i wszystkie jego ambicje spełzły na niczym. Zostało po nim tylko kilka legend... czy to nie w twych stronach, wśród wzgórz Walii, opowiadają wciąż o Magnusie Wielkim, który powróci na czele legionów i swym wspaniałym mieczem odeprze wszystkich najeźdźców?

– O tak – potwierdził Uther. – Mówią, że to on jest bohaterem tej legendy z pradawnych czasów o królu, który był królem i który znów powróci, by uratować swój lud, gdy nadejdzie wielka potrzeba. Cóż, gdybym znalazł taki czarodziejski miecz, o którym też mówią, sam bym mógł się udać na wzgórze mego kraju i zebrać tyle legionów, ile bym chciał.

– A może – powiedział Ektoriusz poważnie – tego nam właśnie trzeba: króla z legendy. Kiedy pojawi się taki król, znajdzie się i miecz.

– Twoi księża powiedzieliby – wtrącił złośliwie Merlin – że jedynym królem, który był i który będzie, jest wielki Chrystus w niebiesiech, i że podążając za jego świętą sprawą, innego króla nie potrzebujesz.

Ektoriusz zaśmiał się ostro i krótko.

– Chrystus nie poprowadzi nas do bitwy. A i żołnierze, proszę nie poczytać tego za bluźnierstwo, mój królu i panie, nie poszliby się bić pod sztandarem Księcia Pokoju.

– Może winniśmy znaleźć takiego króla, który przypomni ludziom stare legendy – powiedział Uther, a w komnacie zapanowała cisza.

Igriana, która w życiu nigdy wcześniej nie była obecna przy męskiej naradzie wojennej, wciąż umiała na tyle czytać myśli, by wiedzieć, co oni wszyscy słyszeli w tej ciszy: pewność, że obecny Najwyższy Król, który teraz siedział wśród nich, nie dożyje następnego lata. Który z nich w przyszłym roku o tej porze będzie zasiadał na jego miejscu?

Ambrozjusz oparł głowę na wysokim oparciu swego krzesła. Dla Lota był to pretekst, by odezwać się swym przymilnym głosem zazdrośnika:

– Jesteś znużony, sir, zmęczyliśmy cię, pozwól, że zawołam twego szambelana.

Ambrozjusz uśmiechnął się do niego miło.

– Już wkrótce, kuzynie, odpocznę na dobre. – Sam wysiłek mówienia był dla niego zbyt wielki.

Pozwalając, by Lot pomógł mu wstać od stołu, wydał tylko długie, bolesne westchnienie. Kiedy wyszedł, biesiadnicy rozbili się na grupy, rozmawiając i spierając się cichymi głosami. Do Gorloisa podszedł człowiek zwany Ektoriuszem.

– No, no, pan z Orkney nie traci żadnej okazji, by się przypodobać, a ukrywa to pod powłóczką troski o króla. Teraz to my jesteśmy tymi złymi ludźmi, którzy zmęczyli Ambrozjusza i skrócili jego życie.

– Lota nie obchodzi życie Najwyższego Króla – odparł Gorlois. – Pilnuje tylko, by Ambrozjusz nie miał okazji ustanowić swego kandydata, a wielu z nas, między innymi ja, myślę, że ty także, Ektoriuszu, uszanowałyby jego wybór.

– A czemu nie – odpowiedział Ektoriusz. – Ambrozjusz nie ma syna i nie ma prawa ustanawiać dziedzica, ale jego wola winna nas prowadzić i on o tym wie. Uther trochę zbyttnio się pali do cesarskiej purpury, jak na mój gust, ale w gruncie rzeczy jest lepszy niż Lot, więc jeśli doszłoby do wyboru między kwaśnymi jabłkami...

– Nasi ludzie pójdą za Utherem – przytaknął Gorlois – ale Plemiona, Bendigeid Vran i jego drużyna, nie zechcą uznać przywódcy na tyle rzymskiego. A my potrzebujemy Plemion. One zaś pójdą za Lotem...

– Lot się nie nadaje na Najwyższego Króla – odparł Ektoriusz. – Już lepiej stracić poparcie Plemion niż poparcie wszystkich innych ludów. Sposób Lota polega na tym, żeby podzielić nas na skłócone ze sobą obozy, tak by tylko on jeden cieszył się zaufaniem wszystkich. Tfu! – Splunął. – Ten człowiek to wąż, i na tym koniec.

– A jednak jest przekonujący – dodał Gorlois – ma rozum, odwagę, wyobraźnię...

– To samo ma Uther. I obojętnie, czy Ambrozjusz będzie miał szansę oświadczyć to formalnie, Uther jest człowiekiem, którego on wybiera.

Gorlois zacisnął nerwowo szczęki, po czym powiedział:

– Prawda. Prawda. Honorom odpowiadam za wypełnienie woli Ambrozjusza. A jednak wolałbym, żeby jego wybór padł na człowieka, którego moralność odpowiadałaby jego odwadze i talentom przywódczym. Nie ufam Utherowi... a jednak... – Pokręcił głową i nagle spojrzął na Igrianę. – Dziecko, to z pewnością cię nie interesuje. Każę jednemu z moich ludzi odprowadzić cię do domu, gdzie spędzaliśmy noc.

Odprawiona jak małe dziecko, Igriana bez sprzeciwu udała się w stronę domu. Było około południa. Miała o czym rozmyślać. A więc również mężczyzn, nawet Gorloisa, honor zobowiązywał do robienia tego, czego nie chcieli. Nigdy o tym wcześniej nie myślała.

A oczy Uthera, wpatrzone w nią, prześladowały ją w myślach. Jak on na nią patrzył – nie, nie na nią, na księżycowy kamień. Czy Merlin w jakiś sposób z czarował klejnot, tak by Uther pożądał kobiety, która go nosiła?

*Czy muszę poddać się woli Merlina i Viviany? Czy mam być bezwolnie oddana Utherowi, tak jak zostałam oddana Gorloisowi?* Poczła odrazę na tę myśl. A jednak... wbrew sobie, wciąż czuła dotyk Uthera na swej dłoni, widziała intensywność jego szarych oczu, gdy spotykały jej wzrok.

*Mogę równie dobrze uwierzyć, że Merlin z czarował kamień, tak bym to ja poczuła pociąg do Uthera!* Kiedy dotarła do domu, natychmiast zdjęła klejnot i wrzuciła go do sakiewki przytroczonej do paska. *Co za głupota, pomyślała, przecież wcale nie wierzę w te opowieści o miłosnych zaklęciach i amuletach.* Była dorosłą, dziewiętnastoletnią kobietą, a nie pokornym dzieckiem. Miała męża i może nawet nosiła już w łonie ziarno, z którego wyrośnie syn, tak przez niego upragniony. A gdyby miał jej się spodobać jakiś inny mężczyzna poza własnym mężem, gdyby chciała postąpić nieskromnie, to z pewnością byli mężczyźni bardziej pociągający niż ten wielki gbur, z włosami rozwichrzonymi jak u Saksona i swoimi manierami człowieka Północy, który ważył się zakłócać świętą mszę i przerywać śniadanie Najwyższego Króla. Mogła równie dobrze wziąć do swego łóżka tego rycerza, który ją odprowadzał, przynajmniej był młody, gładki i przystojny. Ale przecież ona, cnotliwa żona, nie miała ochoty brać do łóżka żadnego innego mężczyzny poza swym prawowitym małżonkiem.

Jeśli już by to zrobiła, to na pewno nie z Utherem. Przecież on byłby jeszcze gorszy niż Gorlois, taki wielki, niezdarny niedźwiedź, nawet, jeśli oczy miał szare jak morze, a dłonie mocne i nie pomarszczone...

Igriana zakłęła pod nosem, wyjęła kołowrotek ze swoich bagaży i wzięła się do pracy. Co ona właściwie wyrabiała, rozmyślając o Utherze, jakby rzeczywiście rozważała możliwość wykonania rozkazu Viviany? Czy Uther naprawdę będzie następnym Najwyższym Królem?

Widziała, jak na nią patrzył. Ale Gorlois mówił, że to rozpustnik, może patrzył tak na każdą kobietę? Jeśli już musi oddawać się rozmyślaniom, może przecież równie dobrze myśleć o czymś rozsądnym: jak Morgiana się czuje bez matki, czy gospodyni dobrze pilnuje Morgause, żeby nie wodziła cielęcym wzrokiem za żołnierzami pilnującymi zamku? Tak, Morgause mogła na przykład oddać swe dziewictwo jakiemuś przystojnemu mężczyźnie, nawet nie myśląc o honorze i obowiązkach; cała nadzieja, że ojciec Columba odpowiednio ją pouczy.

*Moja własna matka wybierała takich kochanków, jakich chciała, by byli ojcami jej dzieci, a była przecież wielką kapłanką Świętej Wyspy. Viviana robi to samo.* Igriana opuściła wrzecziono na kolana i zmarszczyła brwi. Myślała o przepowiedni Viviany, że jej dziecko z Utherem będzie owym wielkim królem, który uzdrowi te ziemie i pogodzi ze sobą skłócone ludy. To, co usłyszała tego ranka przy królewskim stole, upewniło ją, że na takiego króla przyjdzie im jeszcze poczekać.

Rozdrażniona znów chwyciła wrzecziono. Taki król potrzebny był już teraz, a nie dopiero wtedy, kiedy jakieś dziecko, nawet jeszcze nie poczęte, osiągnie wiek męski. Merlin był opętany starymi legendami o królach. Co to było, o czym jeden z królów, chyba Ektoriusz, opowiadał? O Magnusie Wielkim, sławnym przywódcy, który opuścił Brytanię w poszukiwaniu cesarskiej korony? To nonsens, by przypuszczać, że syn Uthera mógłby być powracającym Magnusem.

Później tego dnia zaczęły bić dzwony, a w chwilę potem wrócił Gorlois. Był smutny i stropiony.

– Ambrozjusz umarł kilka minut temu – powiedział. – Dzwony ogłaszają jego odejście.

Dostrzegła ból na jego twarzy, chciała go pocieszyć.

– Był stary – powiedziała. – I bardzo kochany. Poznałam go dopiero dziś, ale widziałam, że to taki człowiek, którego wszyscy kochają i są mu wierni.

– To prawda – westchnął Gorlois – i nie mamy nikogo podobnego, by zajął jego miejsce. Odszedł i zostawił nas bez dziedzica. Kochałem tego człowieka, Igriano, i straszne było patrzeć, jak cierpi. Gdyby był jakiś następca godny jego imienia, cieszyłbym się, że spoczął na wieki. Ale co teraz z nami będzie?

Jakiś czas potem poprosił, by Igriana naszykowała jego najlepsze szaty.

– O zachodzie odbędzie się msza żałobna za króla i muszę tam być. Ty też powinnaś, Igriano. Czy zdołasz się ubrać bez pomocy dworki, czy mam poprosić naszego gospodarza, by przysłał ci służącą?

– Ubiorę się sama – odrzekła, wyjmując suknię z cieniutko tkanej wełny, haftowaną na szwach i rękawach. We włosy zaplotła swą jedwabną wstążkę. Zjadła trochę chleba i sera. Gorlois nic nie jadł mówiąc, że gdy jego król znajduje się przed bożym tronem, gdzie jego dusza będzie sądzona, on będzie pościł i modlił się do chwili pogrzebu.

Igriana, którą na Świętej Wyspie uczono, iż śmierć jest tylko bramą do nowych narodzin, nie mogła tego zrozumieć. Dlaczego chrześcijanie tak bardzo bali się odejścia na wieczny spoczynek?

Przypomniał jej się ojciec Columba zawodzący swoje żałobne psalmy. Tak, ich Bóg miał być także Bogiem strachu i kary. Mogła zrozumieć, dlaczego król musiał dla dobra swego ludu czynić rzeczy, które obciążały jego sumienie. Nawet ona mogła to zrozumieć i wybaczyć, jakże więc miłosierny Bóg mógłby być bardziej fanatyczny i mściwy niż najskromniejszy z jego śmiertelnych? Przypuszczała, że to była jedna z chrześcijańskich tajemnic.

Idąc na mszę u boku Gorloisa, wciąż się nad tym zastanawiała.

Słuchała, jak księża śpiewają smutno o bożym sądzie i dniu grozy, w którym dusza stanie przed wiecznym potępieniem. W połowie tej pieśni zobaczyła, że Uther Pendragon, klęczący daleko po drugiej stronie kościoła, z twarzą pobielającą nad swą jasną tuniką, podniósł ręce, by zakryć nimi twarz i ukryć szloch. Parę minut potem wstał i wyszedł z kościoła. Zauważyła, że Gorlois przygląda jej się z naganą, schyliła więc głowę, by pobożnie wysłuchiwać nie kończących się hymnów.

Ale kiedy msza się skończyła, mężczyźni zebrali się na zewnątrz, a Gorlois przedstawił ją żonie Uriensa, króla Północnej Walii, pulchnej, poważnej matronie, oraz żonie Ektoriusza, która miała na imię Flavilla i była uśmiechniętą kobietą, niewiele starszą od Igriany.

Rozmawiała przez chwilę z kobietami, ale one mówiły tylko o tym, co śmierć Ambrozjusza oznaczała dla żołnierzy i dla ich mężów.

Igriana przestała tego słuchać. Nie interesowały ją rozmowy kobiet, a ich świętoszkowate zachowanie męczyło ją. Flavilla była ciężarna od około sześciu księżyców, brzuch już wyraźnie wypychał jej wierzchnią tunikę w rzymskim stylu. Po chwili zeszły na rozmowę o rodzinach. Flavilla urodziła dwie córki, które umarły na letnie wzdęcia w zeszłym roku, i teraz miała nadzieję, że urodzi syna. Żona Uriensa, Gwyneth, miała małego synka mniej więcej w wieku Morgiany. Spytały o dziecko Igriany, a potem mówiły o skuteczności amuletów z brązu przeciw zimowym gorączkom i o tym, że jeśli się położy do kołyski książkę, z której ksiądz odprawia mszę, jest to świetny sposób przeciw rachityzmowi.

– To złe jedzenie powoduje krzywicę – powiedziała Igriana. – Moja siostra, która jest kapłanką i uzdrowicielką, powiedziała mi, że żadne dziecko, które ssie pierś zdrowej matki przez pełne dwa lata, nie będzie cierpiało na rachityzm. Tylko wtedy, kiedy dostanie złe odżywioną mamkę albo będzie za wcześnie odstawione od piersi.

– Uważam to za głupi przesąd – powiedziała Gwyneth. – Książka mszalna jest święta i bardzo skuteczna przeciw każdej chorobie, ale szczególnie przeciw chorobom małych dzieci, które są chrztem oczyszczone z grzechów swych ojców, a same jeszcze nie popełniły własnych grzechów.

Igriana niecierpliwie wzruszyła ramionami. Nie chciała się sprzeczać z kimś, kto mówi takie bzdury. Kobiety dalej rozprawiły o amuletach i zaklęciach na dziecięce choroby, a ona stała, rozglądając się dyskretnie na boki, czekając na jakąś okazję, żeby od nich odejść. Po jakimś czasie dołączyła do nich jeszcze jedna kobieta, której imienia Igriana nawet nie знаła. Ona też nosiła już wysoką ciężę i kobiety natychmiast wciągnęły nowo przybyłą do swojej rozmowy, nie zwracając uwagi na Igriane. Odczekała trochę i mówiąc (choć nikt tego nie słyszał), że idzie poszukać Gorloisa, po cichu odeszła i skierowała się na tyły kościoła.

Był tam niewielki cmentarz, a za nim jabłkowy sad. Gałęzie pokrywała biel kwitnących kwiatów, bladych w świetle księżyca. Zapach jabłoni był świeży i miły Igrianie, dla której odory miasta były okropne: psy i mężczyźni załatwiali tu swe potrzeby wprost na kamienne ulice. Za każdymi drzwiami był śmierdzący kuchenny śmietnik, pełen wszystkiego, od starych mat cuchnących uryną, gnijącego mięsa, aż do zawartości nocników.

Szła powoli przez sad. Niektóre drzewa były bardzo stare, powyginane, z gałęziami zgiętymi nisko do ziemi. Nagle usłyszała cichy dźwięk i zobaczyła, że na jednej z takich niskich gałęzi siedzi człowiek. Nie widział Igriany. Głowę miał opuszczoną, a twarz zakrytą dłońmi. Ale po jasnych włosach poznała, że był to Uther Pendragon. Miała się już odwrócić i cichutko wycofać, wiedząc, że na pewno nie chciałby, by widziała go pogrążonego w rozpacz, ale usłyszał jej lekkie kroki i podniósł głowę.

– Czy to ty, moja pani Kornwalii? – Jego twarz wykrzywił kwaśny uśmiech. – Teraz możesz pobiec do swego dzielnego Gorloisa i opowiedzieć mu, że brytyjski diuk wojny skrył się, by płakać jak kobieta!

Podeszła do niego powoli, zdziwiona jego złą, agresywną miną.

– Czy myślisz, że Gorlois nie rozpacza, mój panie? – spytała. – Jakże zimny i bez serca musiałby być człowiek, by nie płakać i nie rozpaczać po królu, którego kochał całe swoje życie! Gdybym była mężczyzną, nie chciałabym iść na wojnę pod takim przywódcą, który nie oplakuje zmarłych, których kochał, poległych druhów, a nawet dzielnych wrogów.

Uther wziął długi oddech, wycierając oczy w rękaw swojej tuniki.

– Cóż, to prawda – odparł. – Kiedy byłem młody, zabiłem w bitwie saksońskiego wodza Horse, z którym przedtem wiele razy walczyłem w bitwach, ale zawsze uchodził z życiem. I oplakiwałem jego śmierć, bo był to szlachetny człowiek. Mimo że był Saksonem, żałowałem, że musimy być wrogami, a nie braćmi i przyjaciółmi. Ale potem powiedziałem sobie, że jestem już za stary, by rozpaczać nad czymś, czemu nie mogę zapobiec. A jednak, kiedy usłyszałem tego świętego ojczulka straszącego sądem i wiecznym potępieniem przed tronem Bożym i kiedy sobie przypomniałem, jakim dobrym i pobożnym człowiekiem był Ambrozjusz i jak kochał i bał się Boga, i nigdy nie pominął okazji, by zrobić coś dobrego... czasami ten ich Bóg wydaje mi się nie do zniesienia i omal żałuję, że bez potępienia nie mogę słuchać mądrych Druidów, którzy nie mówią o sądach, ale o tym, że człowiek jest rozliczany z tego, w jaki sposób żyje. Jeśli ci święci biskupi mówią prawdę, to Ambrozjusz jęczy teraz w

ogniu piekielnym, by nie być zbawiony aż do końca świata. Niewiele wiem o niebie, ale chciałbym, by to tam był mój król.

Wyciągnęła do niego rękę, mówiąc cicho:

– Nie myślę, aby księza Chrystusa wiedzieli cokolwiek więcej o tym, co się dzieje po śmierci, niż wie każdy śmiertelny człowiek. Tylko Bogowie to wiedzą. Na Świętej Wyspie, gdzie się wychowałam, zawsze nam mówiono, że śmierć to tylko wrota do nowego życia i większej mądrości i chociaż nie znałam dobrze Ambrozjusza, chcę wierzyć, że jest on teraz u stóp swego Boga i pobiera nauki o tym, czym jest prawdziwa wiedza. Jakiż mądry Bóg skazałby człowieka na piekło za niewiedzę, zamiast nauczyć go, jak postępować lepiej w następnym życiu?

Poczuła dotknięcie ręki Uthera na swojej dłoni. Usłyszała jego głos w ciemności:

– Cóż, może tak jest. Jeden z ich apostołów powiedział przecież: „Teraz widzę jak przez szkło, niewyraźnie, ale po śmierci ujrzę twarzą w twarz”. Być może nie wiemy, nawet księza nie wiedzą, co dzieje się po śmierci. Jeśli Bóg jest wszechwiedzący, dlaczego mielibyśmy myśleć, że jest mniej łaskawy niż ludzie? Powiadają, że Chrystus był do nas zesłany po to, by pokazać Bożą miłość, a nie jego sądy.

Przez jakiś czas siedzieli w milczeniu. Potem Uther zapytał:

– Gdzie nauczyłaś się takiej mądrości, Igriano? Mamy święte kobiety w naszym kościele, ale one nie są zamężne ani nie przebywają między nami, grzesznikami.

– Urodziłam się na Wyspie Avalon, a moja matka była kapłanką Wielkiej Świątyni.

– Avalon – powiedział – leży na Morzu Lata, prawda? Byłaś dziś na Radzie, pani, wiesz, że mamy tam jechać. Merlin obiecał mi, że zabierze mnie do króla Leodegranza i przedstawi na jego dworze. Jednak jeśli Lot z Orkney postawi na swoim, to ja i Uriens powrócimy do Walii jak wyjące psy z podwiniętymi ogonami albo będziemy walczyć u jego boku i oddamy mu cześć, a to uczynię nie prędzej, niż słońce wzejdzie nad zachodnim wybrzeżem Irlandii.

– Gorlois powiedział, że z pewnością to ty, panie, zostaniesz następnym Najwyższym Królem – powiedziała Igriana i uderzyło ją nagle, że oto siedzi tu, na gałęzi drzewa, z następnym królem Brytanii, rozprawiając o religii i sprawach stanu. On też o tym pomyślał, wyczuła to w jego głosie, kiedy powiedział:

– Nigdy nie myślałem, że będę rozmawiał o takich sprawach z małżonką Diuka Kornwalii.

– Czy naprawdę sądzisz, że kobiety nic nie wiedzą o sprawach stanu? – spytała. – Moja siostra Viviana, tak jak przedtem moja matka, jest Panią Avalonu. Król Leodegranz i inni królowie często zwracają się do niej o radę w sprawach losów Brytanii.

Uther odpowiedział z uśmiechem:

– Może ja też powinienem się jej poradzić, jak zyskać poparcie Leodegranza i Bana z Mniejszej Brytanii. Bo jeśli słuchają jej rad, to muszę jedynie pozyskać jej zaufanie. Powiedz mi, czy Pani Jeziora jest zamężna i czy jest urodziwa?



Igriana zachichotała.

– Ona jest kapłanką, a kapłanki Wielkiej Matki nie mogą wychodzić za mąż ani wiązać się z żadnym śmiertelnym mężczyzną. Należą tylko do Bogów.

Nagle przypomniała sobie o tym, co Viviana jej powiedziała, i o tym, że ten człowiek siedzący obok niej na gałęzi był częścią przepowiedni. Zesztywniała przerażona tym, co uczyniła – czy oto sama na własnych nogach wchodziła do pułapki, którą zastawili na nią Viviana i Merlin?

– Co się stało, Igriano? Czy jest ci zimno? Czy boisz się wojny? – spytał Uther.

Powiedziała pierwszą rzecz, która przyszła jej na myśl:

– Rozmawiałam z żonami Uriensa i pana Ektoriusza. Nie wydają się zbyt przejęte sprawami stanu. Myślę, że to dlatego Gorlois nie wierzy, że ja mogę o tym cokolwiek wiedzieć.

– Znam panie Flavillę i Gwyneth – zaśmiał się Uther. – One rzeczywiście zostawiają wszystko swoim mężom, a same zajmują się tylko przedzeniem, tkaniem, dziećmi i podobnymi kobiecymi sprawami. Czy ty się tym nie interesujesz pani, czy też jesteś tak młoda, na jaką wyglądasz, za młoda niemal, by być poślubioną, a co dopiero, by mieć dzieci, którymi się musisz martwić?

– Jestem mężatką od czterech lat – odpowiedziała Igriana – i mam córeczkę, która ma trzy lata.

– Powinienem zazdrościć Gorloisowi. Każdy mężczyzna chce mieć dziedziców. Gdyby Ambrozjusz miał syna, nie bylibyśmy teraz w takim kłopotcie. A teraz... – Uther westchnął – nie chcę nawet myśleć, co stanie się z Brytanią, jeśli ta żaba z Orkney zostanie Najwyższym Królem, ale oddałbym wszystkie swoje ambicje, żeby tylko Ambrozjusz mógł teraz siedzieć razem z nami na tej gałęzi, albo choćby jego syn, który mógł być dziś w nocy koronowany w tym kościele! Ambrozjusz bał się tego, co się stanie, gdy odejdzie. Omal nie umarł już zeszłej zimy, ale miał nadzieję, że będzie żył dość długo, byśmy wszyscy zgodzili się, kto będzie jego następcą...

– Jak to się stało, że nie miał synów?

– Och, miał synów, nawet dwóch. Jednego zabili Saksoni, miał na imię Konstantyn, po królu, który nawrócił tę wyspę. Drugi zmarł na gorączkę, kiedy miał zaledwie dwanaście lat. Ambrozjusz wciąż powtarzał, że ja stałem się synem, jakiego chciał mieć... – Uther ukrył znów twarz w dłoniach i zaszlochał. – Chciał zrobić mnie również swym spadkobiercą, ale inni królowie nie chcieli o tym słyszeć. Uznawali mnie jako diuka wojny, ale byli zazdrośni o moje wpływy, najgorszy był ten przeklęty Lot. Być Najwyższym Królem... Nie dla ambicji, Igriano, przysięgam, ale po to, by dokończyć to, czego nie zdążył Ambrozjusz!

– Myślę, że wszyscy to wiedzą – powiedziała, głaszcząc jego dłoń.

Czuła się porażona jego rozpaczą.

– Nie myślę, by Ambrozjusz mógł być szczęśliwy, nawet w niebie, jeśli patrzy w dół i widzi ten smutek i zamieszanie, królów już spiskujących, a każdy patrzy tylko, jak zagarnąć dla siebie najwięcej wpływów i władzy! Zastanawiam się, czy byłoby zgodne z jego wolą, żebym zamordował Lota, by przejąć władzę? Kiedyś kazał nam zaprzysiąc braterstwo krwi i tej przysięgi nie złamię – powiedział Uther.

Jego twarz była wilgotna od łez. Igriana chwyciła swój cienki welon i osuszyła mu oczy, jakby był jej dzieckiem.

– Wiem, że cokolwiek zrobisz, Utherze, zrobisz zgodnie z honorem. Nikomu innemu Ambrozjusz nie ufał tak, jak tobie.

Oślepił ich nagły blask pochodni. Igriana zamarła na gałęzi, welon wciąż trzymała przy twarzy Uthera.

– Czy to ty, panie Pendragonie? – spytał ostry głos Gorloisa. – Czy nie widziałeś... o! Pani, ty tutaj?

Igriana zaskoczona i wobec tego ostrego głosu Gorloisa ogarnięta nagle poczuciem winy, zeskoczyła z gałęzi. Jej suknia zahaczyła o wystający sęk i zadarła się, odsłaniając jej lniane pantalony. Pospiesznie pociągnęła suknię w dół i usłyszała trzask rozrywanej tkaniny.

– Myślałem, że się zgubiłaś, nie było cię w naszej kwaterze – powiedział Gorlois ochryple. – Co ty tu robisz, na niebiosy?

Uther ześlizgnął się z gałęzi. Człowiek, którego widziała przed chwilą bezbronnego, łkającego nad utratą swego króla i przybranego ojca, przytłoczonego ciężką na nim odpowiedzialnością, zniknął w mgnieniu oka. Jego głos zabrzmiał mocno i zdecydowanie:

– Cóż, Gorloisie, zdruzżyły mnie te księżę zawodzenia i wyszedłem poszukać świeżego powietrza, wolnego od pobożnych pień. A twoja pani, która stwierdziła, że trajkotanie dobrych niewiast niezbyt leży w jej guście, tu się na mnie natknęła. Pani, dziękuję ci – powiedział, oddając jej ukłon, i odszedł.

Spostrzegła, że uważał, by trzymać twarz bezpiecznie poza światłem pochodni. Gorlois, teraz sam na sam z Igrianą, spojrział na nią podejrzliwie. Gestem rozkazał jej iść przed sobą.

– Moja pani, powinnaś być ostrożniejsza, by uniknąć plotek. Powiedziałem ci, byś trzymała się z daleka od Uthera. On ma taką reputację, że żadna cnotliwa kobieta nie powinna być przyłapana na rozmowie z nim na osobności.

Igriana odwróciła się ze złością.

– To tak właśnie o mnie myślisz, że jestem kobietą, która ukradkiem wymyka się, by parzyć się z obcym mężczyzną na dworze, jak zwierzę? Czy myślisz może, że łączyłam się z nim na tej gałęzi drzewa jak jakiś ptaszek? A może chcesz obejrzeć moją szatę, czy nie jest pognieciona od leżenia z nim na ziemi?

Gorlois podniósł rękę i uderzył ją, niezbyt mocno, w usta.

– Nie będziesz przede mną odgrywała złoŃnicy, pani! Kazałem ci go unikać i masz mi być posłuszną! Wierzę, że jesteś uczciwa i cnotliwa, ale nie ufam temu mężczyźnie. Nie chcę też, byś dostała się na języki kobiet!

– O, z pewnością nikt nie ma bardziej zdroźnych myśli niż te wasze dobre kobiety! Gorsią są jeszcze tylko księża! – powiedziała z wściekłością. Masowała usta w miejscu, gdzie uderzenie Gorloisa rozcięło jej wargę o zęby. – Jak śmiesz podnosić na mnie rękę! Jeśli cię zdradzę, możesz mi nawet odbić mięso od kości, ale nie będę bita za słowa! Czy ty sobie wyobrażasz, na wszystkich Bogów, że my rozmawialiśmy o miłości?

– A o czym, na Boga, mogłaś o tej porze rozmawiać z tym mężczyzną?

– Rozmawialiśmy o wielu rzeczach – powiedziała Igriana – najwięcej o Ambrozjuszu w niebie, tak... o niebie i o tym, czego człowiek może się spodziewać po śmierci.

Gorlois rzucił jej podejrzliwe spojrzenie.

– Nie bardzo w to wierzę, przecież on nawet nie potrafił okazać zmarłemu szacunku, zostając na świętej mszy.

– Miał dosyć, tak jak i ja, tych wszystkich żałobnych psalmów, jakby opłakiwali najgorszego z ludzi, a nie najlepszego z królów!

– W obliczu Boga wszyscy jesteśmy tylko nędznymi grzesznikami, Igriano, a w oczach Chrystusa król nie znaczy więcej niż każdy śmiertelnik.

– Tak, tak – przerwała niecierpliwie. – Słyszałam, co mówią wasi księża, i zadają sobie nawet wiele trudu, żeby nam w kółko powtarzać, że Bóg jest miłością i jest naszym dobrym ojcem w niebie. Jednak zauważyłam, jak bardzo uważają, żeby samemu nie wpaść w jego ręce, i opłakują tych, którzy odchodzą na wieczny odpoczynek, dokładnie tak, jak się opłakuje tych, co mają być złożeni na krwawą ofiarę na ołtarzu Wielkiego Kruka. Powtarzam ci, Uther i ja rozmawialiśmy o tym, co ci księża wiedzą o niebie. I ja jestem zdania, że niewiele!

– Jeśli ty i Uther rozmawialiście o religii, był to z pewnością jedyny raz w jego życiu, kiedy ten przyziemny człowiek to robił! – odburknął Gorlois.

– On płakał, Gorloisie – powiedziała Igriana, a była już bardzo zła. – Płakał za królem, który był dla niego jak ojciec. I jeśli siedzenie i słuchanie tego kociego zawrodożenia księży jest okazywaniem zmarłemu szacunku, to oby nikt mi nigdy takiego szacunku nie okazywał! Zazdroszczę Utherowi, że jest mężczyzną i mógł po prostu wyjść, kiedy chciał. Z pewnością, gdybym się urodziła mężczyzną, nigdy bym nie siedziała spokojnie i nie słuchała owych głupot, jakie prawią w kościele! Ale ja nie mogłam wyjść, bo zawłókł mnie tam mężczyzna, dla którego ważniejsi są księża i ich psalmy niż ten, który zmarł!

Doszli już do drzwi swojej kwatery. Gorlois z twarzą pociemniałą od gniewu wepchnął ją brutalnie do środka.

– Nie będziesz się do mnie zwracała tym tonem, pani, albo naprawdę cię wychłostam!

Igriana zdała sobie sprawę, że w złości obnażyła zęby jak dzika kotka, a jej głos zasyczał złowrogo.

– Dotknij mnie tylko, na swoją zgubę, Gorlois, a już ja cię nauczę, że córka Świętej Wyspy Avalon nie jest niczyją służką ani niewolnicą!

Gorlois otworzył ze złością usta, by odpowiedzieć, i przez chwilę Igriana myślała, że znów ją uderzy. Ale z widocznym wysiłkiem opanował złość i odwrócił się od niej.

– Nie wypada, bym stał tu i wrzeszczał, gdy mój król i pan leży jeszcze nie pochowany. Możesz spędzić noc tutaj, jeśli nie boisz się spać sama. Jeśli się boisz, każę cię odprowadzić do domu Ektoriusza, byś mogła spać z Flavillą. Moi ludzie i ja będziemy pościć i modlić się do wschodu słońca, kiedy to Ambrozjusz zostanie złożony do ziemi na spoczynek.

Igriana patrzyła na niego z zaskoczeniem i dziwną, rosnącą pogardą. A więc ze strachu przed duchem zmarłego – choć ukrywał to pod pretekstem szacunku i tak o tym myślał – nie będzie jadł ani pił, ani leżał z kobietą, aż jego król nie zostanie pochowany. Chrześcijanie twierdzili, że są wolni od przesądów Druidów, ale mieli swe własne przesady. Igriana pomyślała, że te przesady są groźniejsze, bo przeciwne naturze. Była bardzo zadowolona, że tej nocy nie będzie musiała kłaść się z Gorloisem.

– Nie – powiedziała. – Nie boję się spać sama.

#### 4

Ambrozjusz został pochowany o świcie. Igriana w towarzystwie wciąż zagniewanego i milczącego Gorloisa przyglądała się ceremonii z dziwną obojętnością. Od czterech lat próbowała się pogodzić z religią, którą wyznawał Gorlois. Teraz jednak wiedziała, że choć będzie okazywała tej religii należny szacunek, bo przecież uczono ją, że wszyscy Bogowie są jednym Bogiem i nikomu nie wolno szydzić z imienia, pod jakim inny człowiek znajduje swojego Boga, nie będzie się już starała być tak pobożna, jak dotąd. Żona powinna wyznawać religię swego małżonka, więc będzie udawała, że robi wszystko, co wypada i należy. Ale nigdy już nie padnie ofiarą strachu i nie pozwoli, by ten ich wszystkowiedzący, mściwy Bóg miał nad nią moc.

Podczas ceremonii widziała Uthera. Był zmęczony i wynędzniały, wokół oczu miał czerwone obwódki, jakby on także pościł i nie spał przez całą noc. Biedny człowiek, nie miał nikogo, kto przejmowałby się tym, że pości, albo powiedział mu, jaka to głupota – jakby zmarli mogli krążyć w pobliżu żyjących albo pilnowali, co robią, i byli zazdrośni o ich napoje i jadło! Mogła się założyć, że król Uriens nie popełnił podobnego głupstwa; wyglądał czerstwo, był wypoczęty. Igriana poczuła żal, iż nie jest tak stara i mądra jak żona Uriensa, która umiała przemówić mężowi do rozsądku i wytłumaczyć mu, co winien robić w podobnej sytuacji.

Po pochówku Gorlois zabrał Igrianę do ich kwatery i zjadł z nią śniadanie, ale był wciąż ponury i milczący. Zaraz po posiłku powiedział:

– Muszę wziąć udział w Radzie. Lot i Uther skoczą sobie do gardeł i muszę im wszystkim jakoś przypomnieć, co było wolą Ambrozjusza. Przykro mi, że zostawiam cię tu samą, ale wysłę człowieka, by oprowadził cię po mieście, jeśli chcesz.

Dał jej trochę pieniędzy w monetach i poprosił, by kupiła sobie podarek na targu, jeśli miała ochotę. Powiedział, że jego człowiek też będzie niósł sakiewkę, więc może kupić przyprawy i inne rzeczy potrzebne do domu w Kornwalii.

– Nie ma powodu, abyś przyjechała tak daleko i nie kupiła tego, co jest ci potrzebne. Nie jestem człowiekiem ubogim, możesz kupić wszystko, co jest ci konieczne do prowadzenia gospodarstwa jak należy i nie musisz mnie pytać o zgodę. Pamiętaj, że ci ufam, Igriano – zakończył i położył dłonie po obu stronach jej twarzy, by ją pocałować.

Choć tego nie powiedział, wiedziała, że na swój oschły sposób przepraszał za swoje podejrzenia i gniewne uderzenie. Poczwała w sercu życzliwość dla niego i oddała mu pocałunek z prawdziwą czułością.

Chodzenie po wielkich targach Londinium było fascynujące.

Choć miasto było tak brudne i śmierdzące, przypominało cztery czy pięć dożynekowych jarmarków naraz. Sztandar Gorloisa niesiony przez jego zbrojnego człowieka chronił ją przed popchnięciami i napieraniem tłumu. A jednak bycie na tym ogromnym targowisku było trochę przerażające. Setki sprzedawców przekrzykiwało się nawzajem. Wydawało jej się, że wszystko, co widziała, było nowe i piękne, wszystko chciałaby mieć. Ale zanim cokolwiek kupiła, postanowiła najpierw dokładnie obejść stragany. Wybrała przyprawy, długą sztukę cienkiego, wełnianego materiału z wysp, o wiele cieńszego niż ten, jaki tkano z wełny kornwalijskich owiec; Gorlois powinien mieć w tym roku nową szatę. Przygotuje osnowę do tkania zaraz po powrocie do Tintagel. Dla siebie kupiła kilka małych motków jedwabnej przędzy, myślała, jak przyjemnie będzie tkać przędę w tych wspaniałych kolorach, delikatną i miłą w dotyku w porównaniu z szorstką wełną i lnem. Nauczy tkać także Morgause. A w przyszłym roku będzie najwyższy czas, by zacząć uczyć prząść Morgianę.

Gdyby faktycznie nosiła następne dziecko Gorloisa, to w przyszłym roku będzie ciężka i gruba, więc poświęci czas, by siedzieć i uczyć Morgianę, jak prząść. Cztery lata to wystarczający wiek, żeby zacząć się wprawiać, jak trzymać wrzeciono i obracać nitkę. Nawet jeśli ta nitka nie będzie przydatna do niczego poza związaniem woreczków z ziołami.

Kupiła też kilka kolorowych wstążek. Będą ładnie wyglądały na paradnej sukience Morgiany i można je będzie odpruwać za każdym razem, kiedy dziecko wyrośnie z sukienki, i przekładać kołnierzyk i mankiety do nowego stroju. Teraz, kiedy Morgiana była już dosyć duża, żeby nie brudzić ubranek, wypadało, by wyglądała jak przy stało na córkę diuka Kornwalii.

Targowiska robiły wspaniały interes. Z daleka dostrzegła żonę króla Uriensa i inne bogato odziane panie i zastanawiała się, czy każdy członek Rady, który miał żonę, wysłał ją tego ranka na zakupy na jarmarki Londinium, podczas gdy wrzały debaty. Igriana kupiła

srebrne zapinki do butów, choć była pewna, że dostałaby dokładnie takie same na każdym targu w Kornwalii. Ale wydawało się jej odpowiednie, by miała zapinki do butów, które pochodziły aż z samego Londinium. Kiedy jednak jakiś człowiek chciał jej sprzedać broszkę ze srebrną koronką zdobioną bursztynowy kamień, odmówiła, przerażona wydawaniem takiej kwoty pieniędzy. Była bardzo spragniona, a otwarte miejsce, gdzie sprzedawano kwas chlebowy i gorące, placki, kusiło ją, ale wydało jej się rzeczą ohydną, by tak siedzieć i jeść na dworze jak pies. Powiedziała, by eskortujący ją żołnierz wrócił razem z nią do kwatery, i postanowiła, że tam zje trochę sera i napije się piwa. Eskortujący ją człowiek też był chyba zmęczony, więc dała mu jedną z drobnych monet, które jej zostały, i kazała, by kupił sobie piwa lub kwasu, jeśli ma ochotę.

Kiedy wróciła, była tak wykończona, że po prostu siedziała i bezmyślnie wpatrywała się w to, co kupiła. Chciałaby móc od razu zacząć pracować nad kanwami, ale to musiało poczekać, aż powróci do swego małego warsztatu. Miała ze sobą kołowrotek, ale czuła się zbyt słabo. Więc siedziała tak, przyglądając się zakupom, aż wrócił Gorlois. Wyglądał na zmęczonego.

Starał się zainteresować tym, co wybrała, chwając jej roztropność, ale widziała, że choć podziwiał wstążki do sukienek Morgiany i powiedział, że miała rację, kupując srebrne zapinki, myślami był gdzie indziej.

– Powinnaś też mieć srebrny grzebień, a może także i nowe lustro, to stare z brązu jest całe podrapane. Mogłabyś to stare oddać Morgause, już jest dużą dziewczyną. Jutro możesz iść i wybrać sobie jakieś, jeśli chcesz.

– Czy będzie jeszcze jedno posiedzenie Rady?

– Obawiam się, że tak. I pewnie następne i następne. Aż przekonamy Lota i innych, by wypełnili wolę Ambrozjusza i przyjęli Uthera jako Najwyższego Króla – westchnął Gorlois. – Wszyscy oni to uparte osły! Gdybyż Ambrozjusz zostawił syna, moglibyśmy mu wszyscy poprzysiąc wierność jako Najwyższemu Królowi i wybrać diuka wojny wedle zasług bitewnych. Nie ma wątpliwości, że byłby to Uther, to wie nawet Lot. Ale Lot jest piekielnie uparty i chce zostać Najwyższym Królem, a rozumie z tego tylko tyle, jakie to będzie wspaniałe nosić koronę i odebrać od nas wszystkich przysięgi a na Północy są tacy, którzy chcieliby mieć na tronie kogoś od siebie, więc popierają Lota. Myślę nawet, że jeśli w końcu Uther zostanie wybrany, to wszyscy królowie Północy, może z wyjątkiem Uriensa, i tak odjadą do siebie, nie składając wasalskiej przysięgi. Nie, nawet za cenę utrzymania lojalności ludów Północy nie przysięgną Lotowi posłuszeństwa. Moje zaufanie do niego nie sięga dalej, niż mógłby go zanieść mój kopniak w zadek w dżdżysty dzień! – otrząsnął się. – Ale to musi być nudne dla kobiecych uszu, Igriano. Podaj mi trochę chleba i zimnego mięsa, jeśli łaska. Nie spałem wcale zeszłej nocy i jestem taki zmęczony, jakbym cały dzień toczył bitwę. Spory to męcząca praca.

Chciała powiedzieć, że przeciwnie, bardzo się tym interesuje, ale powstrzymała się i dała spokój. Nie będzie się poniżała, żeby wyciągać z niego opowieści, jakby była dzieckiem błagającym o bajkę na dobranoc. Jeśli nawet będzie zmuszona dowiedzieć się o tym, co się dzieje, z plotek ludzi na targu, to trudno. Gorlois będzie zmęczony dziś w nocy i nie będzie pragnął niczego poza snem.

Leżała u jego boku, nie mogąc zasnąć do bardzo późna, i stwierdziła, że rozmyśla o Utherze. Jak on musiał się czuć, wiedząc, że Ambrozjusz chciał, by to jego wybrano Najwyższym Królem, a teraz musiał wymuszać ten wybór, może nawet mieczem? Wierciła się niespokojnie, zastanawiając się, czy Merlin rzeczywiście nie rzucił na nią uroku, żeby nie mogła przestać myśleć o Utherze. W końcu odpłynęła w sen, a w świecie snu znalazła się w sadzie, w którym rozmawiała z Utherem, tam gdzie otarła jego łzy swym welonem. Teraz, we śnie, on uchwycił oba końce welonu i przyciągnął ją blisko do siebie. Położył swoje usta na jej ustach i w tym pocałunku była taka słodycz, słodycz, jakiej nie знаła przez wszystkie lata spędzone z Gorloisem. Poddawała się temu pocałunkowi, czuła, jak to uczucie przenika całe jej ciało. Spojrzała w jego niebieskie oczy i w tym śnie pomyślała: *Zawsze byłam tylko dzieckiem, aż do tej chwili nie wiedziałam, co to znaczy być kobietą.* Powiedziała:

– Nigdy nie wiedziałam, co to znaczy kochać.

On przyciągnął ją do siebie jeszcze bliżej, położył jej ciało na swoim, a Igriana, czując to ciepło i słodycz przenikające całe jej ciało, znów podniosła ku niemu usta i zbudziła się, zaszokowana, by zobaczyć, że Gorlois we śnie wziął ją w ramiona. Słodycz ze snu wciąż była w jej ciele, więc objęła go za szyję z sennym przyzwoleniem. Ale już wkrótce tego żałowała, czekając niecierpliwie, aż on skończy i zapadnie znów w ciężki sen. A ona aż do rana leżała całkowicie przebudzona, drżąc i rozmyślając nad tym, co się z nią dzieje.

Rada ciągnęła się przez cały tydzień. Co wieczór Gorlois wracał blady i zły, zmordowany klótniami. Kiedyś wybuchnął:

– Siedzimy tu i gadamy, a na wybrzeżach Saksonowie pewnie już gotują się do wojny z nami! Czy ci głupcy nie wiedzą, że nasze bezpieczeństwo zależy od tego, czy zastępy paktu utrzymają Saksońskie Wybrzeże, a one pójdą tylko za Utherem albo za kimś ze swoich ludzi? Czy Lot jest tak uprzedzony do Uthera, że wolałby iść za jakimś pomalowanym wodzem, który wierzy w Boga-Konia?

Poblady nawet przyjemności targowisk. Przez większość tygodnia lało i Igriana, która na swojej drugiej wyprawie kupiła kilka igieł, siedziała i naprawiała ubrania Gorloisa i swoje. Żałowała, że nie ma tu swojego warsztatu, żeby zająć się tkaniem. Z niektórych materiałów robiła ręczniki, obrębiając je na brzegach kolorową nicią.

W następnym tygodniu nadeszły jej miesięczne krwawienia. Czuła się pokonana i oszukana. A więc jednak Gorlois nie zapłodnił jej synem, którego chciał. Nie miała jeszcze nawet dwudziestu lat, niemożliwe, by już była jałowa! Przypomniała sobie starą opowieść, którą kiedyś słyszała, o kobiecie, która miała starego męża i nie mogła mu urodzić syna,

dopóki pewnej nocy nie wymknęła się na pole i nie legła z pasterzem, a jej stary mąż był bardzo rad ze ślicznego, zdrowego synka. Jeśli nie zaszła w ciążę, to z całą pewnością była to wina Gorloisa, myślała z żalem. To on był stary, krew miał rozrzedzoną przez lata wojen i walk. A potem, wahając się między poczuciem winy i niepewnością, myślała o swoim śnie. Tak powiedzieli Merlin i Viviana: urodzi syna Najwyższemu Królowi, syna, który uleczy te ziemie ze wszystkich sporów. Gorlois sam powiedział, że gdyby Ambrozjusz zostawił syna, nie byłoby tych wszystkich waśni. Gdyby Uther został Najwyższym Królem, rzeczywiście od razu potrzebowaliby syna.:

*A ja jestem młoda i zdrowa. Gdybym ja była jego królową, dalałabym mu syna... I kiedy dochodziła do tego momentu, zaczynała płakać z nagłą, beznadziejną żalnością. Jestem żoną starego człowieka i moje życie jest skończone w dziewiętnastej wiosnie. Mogłabym w rzeczy samej być starą, starą kobietą, której nie zależy, czy będzie żyć, czy umrze, siedzącą przy ogniu i rozmyślającą o niebie!*

Położyła się do łóżka i powiedziała Gorloisowi, że jest chora.

Któregoś dnia, kiedy Gorlois był na Radzie, do jej kwatery przyszedł Merlin. Chciała na nim wyładować całą swą wściekłość i żalność – to on wszystko zaczął, ona była już pogodzona ze swoim losem i zadowolona, dopóki on jej z tego stanu nie wytrącił! Ale było rzeczą nie do pomyślenia, by zwrócić się niegrzecznie do Merlina Brytanii, nawet, jeśli był jej ojcem.

– Gorlois powiedział mi, że zaniemogłaś, Igriano. Czy mogę ci jakoś pomóc moją sztuką leczniczą?

Spojrzała na niego z rozpaczą.

– Tylko jeśli możesz sprawić, bym była znów młoda. Czuję się taka stara, ojciec, taka stara!

Pogłaskał jej lśniące, miedziane loki i powiedział:

– Nie widzę siwizny w twoich włosach ani zmarszczek na twojej twarzy, moje dziecko.

– Ale moje życie jest skończone, jestem starą kobietą, żoną starego człowieka...

– Cicho, cicho – pocieszał ją – jesteś zmęczona i chora, z pewnością poczujesz się lepiej, kiedy księżyc znów zmieni fazę. Tak jest naprawdę lepiej – powiedział, patrząc na nią wymownie, i nagle zrozumiała, że odczytał jej myśli. To było tak, jakby przemawiał prosto do jej umysłu, powtarzając to, co powiedział jej w Tintagel: *Nie urodzisz Gorloisowi syna.*

– Czuję się... jak w pułapce – powiedziała.

Położyła głowę i rozpłakała się. Nie odezwała się więcej.

Merlin głaskał jej nie uczesane włosy.

– Sen to teraz najlepsza rzecz na twą chorobę, Igriano. A sny są prawdziwym lekarstwem na wszystko, co cię trapi. Ja, który jestem mistrzem snów, ześlę ci taki, który cię uleczy.

Wyciągnął nad nią dłoń w błogosławieństwie i odszedł.

Zastanawiała się, czy może to on albo Viviana rzucili na nią wcześniej jakiś urok i byli odpowiedzialni za jej stan – może jednak poczęła dziecko Gorloisa, a oni je z niej spędzili?



Takie rzeczy się zdarzały. Nie wyobrażała sobie, żeby Merlin wysyłał kogoś, by zatruł jej piwo ziołami lub miksturami, ale z jego mocą może mógł to uczynić czarami lub urokiem? A potem pomyślała, że może jednak stało się dobrze. Gorlois był stary, widziała cień jego śmierci. Czy chciała samotnie wychowywać jego syna? Kiedy Gorlois wrócił tego wieczora, wydało jej się, że znów widzi unoszący się nad nim potworny kształt, zjawę oczekującej na niego śmierci ze śladem od miecza na policzku, twarzą zapadniętą i stężoną bólem i cierpieniem.

Odwróciła się od niego, bo kiedy jej dotknął, czuła, jakby pocałował ją człowiek martwy, trup.

– Moja droga, nie możesz być taka smutna – pocieszał ją Gorlois, siedząc przy niej na brzegu łoża. – Wiem, że jesteś zmęczona i chora, musisz tęsknić za domem i dzieckiem, ale to już nie potrwa długo. Mam dla ciebie nowiny. Posłuchaj, to ci opowiem.

– Czy Rada zbliża się już do ogłoszenia koronacji?

– Być może – odpowiedział Gorlois. – Czy słyszałaś ruch na ulicach dziś po południu? Cóż, to Lot z Orkney i królowie Północy odjechali. W końcu zrozumieli, że nie wybierzemy Lota na Najwyższego Króla wcześniej, nim słońce i księżyc wzejdą razem na zachodzie, a więc wyjechali, zostawiając nas, byśmy mogli uczynić to, co uważamy za zgodne z wolą Ambrozjusza. Gdybym był Utherem, sam mu to zresztą powiedziałem, nie spacerowałbym teraz samotnie po zmroku. Lot odjechał jak kundel, któremu obcięto ogon, i zdaje mi się, że on jest zdolny uleczyć swą zranioną dumę, nasylając na Uthera kogoś ze sztyletem.

– Naprawdę myślisz, że Lot mógłby próbować zabić Uthera? – wyszeptwała.

– Cóż, nie dorównuje mu w otwartym polu. Nóż w plecy, to by było podobne do Lota. Jestem nawet zadowolony, że już go nie ma między nami, choć ulżyłoby mi, gdybym wiedział, że Lot jest zaprzysiężony, by utrzymać pokój. Nie odważyłby się złamać przysięgi, którą złożył na jakąś świętą relikwię. Ale nawet i wtedy bym go pilnował – powiedział Gorlois.

Kiedy leżeli w łożu, przyciągnął ją do siebie, ale pokręciła głową i odepchnęła go.

– Jeszcze jeden dzień – powiedziała, a on, westchnąwszy, obrócił się na bok i prawie natychmiast zasnął.

Nie mogła już dłużej trzymać go od siebie z daleka, myślała. Ale na samą myśl o tym teraz, kiedy znów widziała zjawę jego śmierci, ogarnęło ją przerażenie.

Mówiła sobie, że cokolwiek się stanie, powinna pozostać wierną żoną tego zacnego człowieka, który był dla niej dobry. I to znów przywiodło jej na pamięć wspomnienie komnaty, w której Merlin i Viviana zburzyli jej poczucie bezpieczeństwa i cały jej spokój.

Czuła, jak wzbierają w niej łzy, ale starała się stłumić łkania, nie chcąc obudzić Gorloisa.

Merlin powiedział, że ześle jej sen, by uleczyć jej cierpienie.

A jednak to wszystko zaczęło się właśnie od snu. Bała się zasnąć ze strachu, że kolejny sen zabierze jej nawet tę resztkę spokoju ducha, jaki miała. Przeczuwała bowiem, że coś

takiego może zburzyć całe jej dotychczasowe życie, jeśli na to pozwoli, każe jej złamać dane obietnice. Choć nie była chrześcijanką, dość się nasłuchiwała ich nauk, by wiedzieć, że takie myśli i marzenia były przez nich uważane za wielki grzech.

*Gdyby Gorlois nie żył...* Igriana wstrzymała oddech porażona strachem. Po raz pierwszy pozwoliła sobie na to, żeby tak pomyśleć. Jak mogła życzyć mu śmierci? Był jej mężem, ojcem jej córeczki. Skąd mogła wiedzieć, że nawet jeśli Gorlois nie stałby już między nimi, Uther by ją chciał? Jak mogła leżeć u boku jednego mężczyzny i tęsknić za innym?

*Viviana mówiła tak, jakby podobne rzeczy zdarzały się często... czy jestem po prostu dziecinna i naiwna, że o tym nie wiem?*

*Nie zasnę, żeby nie śnić...*

Jeśli dalej będę się tak kręcić, pomyślała, Gorlois się obudzi.

Gdyby zobaczył, że płaczę, chciałby wiedzieć dlaczego. A co mogła mu powiedzieć? Cichutko wyslizgnęła się z łóżka. Nagie ciało okręciła swym długim płaszczem i usiadła przy resztkach tlącego się jeszcze ognia. Dlaczego, zastanawiała się, wpatrując się w płomień, Merlin Brytanii, Druid, kapłan, doradca królów, Posłannik Bogów, miałby mieszać się w życie młodej kobiety? A jeśli o to chodzi, to co kapłan Druidów robił jako królewski doradca na dworze, który był ponoć chrześcijański?

*Jeśli uważam, że Merlin jest taki mądry, czemu nie chcę się pogodzić z jego wolą?*

Minęło dużo czasu, zanim poczuła, że jej oczy są zmęczone wpatrywaniem się w gasnący ogień, i zaczęła zastanawiać się, czy powinna wrócić do łoża i położyć się u boku Gorloisa, czy też wstać i pochodzić, by nie zasnąć i nie ryzykować obiecanego przez Merlina snu.

Podniosła się i cicho podeszła do drzwi. W stanie, w jakim była, nie zdziwiła się wcale, że kiedy się odwróciła, ujrzała swe własne ciało wciąż okręcone w płaszcz, siedzące przy kominku. Nie trudziła się otwieraniem drzwi od pokoju, ani też wielkich frontowych drzwi całego domu. Prześlizgnęła się przez nie jak widmo.

Na zewnątrz dziedziniec domu przyjaciela Gorloisa, w którym mieszkali, zniknął. Stała na wielkiej równinie, gdzie ogromne kamienie tworzyły krąg, zaledwie muskane nikłym blaskiem brzasku...nie, to światło nie pochodziło od słońca, to był ogromny ogień po zachodniej stronie, tak że całe niebo rozświetlała luna.

Niebo płonęło na zachodzie, tam gdzie były zaginione lądy Lyonesse i Ys i wielka wyspa Atlas – Alamesios lub Atlantis, zapomniane królestwo morza. To tam był ogromny pożar, tam gdzie wybuchnęła góra i w ciągu jednej nocy zginęły setki tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci.

– Ale kapłani wiedzieli – odezwał się głos u jej boku. – Przez ostatnie sto lat budowali kamienną świątynię na tej równinie, by nie stracić rachuby pór roku, zaćmień księżyca i słońca. Ludzie, którzy tu żyją, nie mają takiej wiedzy, ale wiedzą, że my jesteśmy mędrkami, kapłanami i kapłankami z za morza, i będą dla nas budować, tak jak budowali wcześniej...

Igriana bez zdziwienia spojrzała na odzianą w błękit postać obok siebie. Choć jego twarz była zupełnie inna, a na głowie miał dziwne nakrycie malowane w węże, a wokół ramion złote bransolety też w kształcie węży, jego oczy były oczyma Uthera Pendragona.

Podmuchy zimnego wiatru omiatały pustą równinę, na której tylko ogromny krąg z kamieni oczekiwał wschodu słońca, wznoszącego się już powoli nad kamienne bloki. Oczyma swojego żyjącego ciała Igriana nigdy nie widziała Świątyni Słońca w Salisbury, gdyż Druidzi nie zbliżali się do niej. Któż, pytali, mógłby czcić najwyższych Bogów nad Bogami w świątyni wzniesionej ludzkimi rękoma? Tak, więc swoje obrzędy Druidzi obchodzili w lasach, między drzewami zasadzonymi ręką Bogów. Ale kiedy była dziewczynką, Viviana opowiedziała jej o tej świątyni zbudowanej dzięki zapomnianej już dziś sztuce tak precyzyjnie, że nawet ci, którzy nie znali sekretów kapłanów, mogli się z niej dowiedzieć, kiedy nadejdą zaćmienia, śledzić ruchy gwiazd i zmiany pór roku.

Igriana wiedziała, że stojący obok niej Uther spoglądał na zachód, ku płonącemu niebu. Czy był to naprawdę Uther, ten wysoki mężczyzna w szacie kapłana ziemi zatopionej wieki temu, z kraju, którego nazwa była już tylko legendą?

– A więc w końcu spełniło się to, co nam mówili – powiedział i otoczył ją ramieniem. – Nigdy naprawdę w to nie wierzyłem, aż do tej chwili, Morgan.

Przez chwilę Igriana, żona diuka Gorloisa, zastanawiała się, dlaczego ten człowiek zwraca się do niej imieniem jej dziecka. Ale nawet w chwili, kiedy w myślach zadała sobie to pytanie, wiedziała już, że „Morgan” nie było imieniem, ale tytułem kapłanki, znaczącym nie więcej, niż „kobieta, która przyszła z morza” w religii, którą nawet Merlin Brytanii uznałby za legendę, a może tylko cień legendy.

Usłyszała samą siebie, choć to nie ona formułowała myśl.

– Mnie też wydawało się to niemożliwe, że Lyonesse, Ahtarrath i Ruta zapadną się i znikną z powierzchni ziemi, jakby nigdy nie istniały. Czy myślisz, że to prawda, iż to Bogowie karzą Atlantis za grzechy? – spytała.

– Nie sądzę, by Bogowie działali w ten sposób – odparł człowiek u jej boku. – Ziemia trzęsie się w wielkim oceanie leżącym za oceanem, który znamy. I choć mieszkańcy Atlantis opowiadali o zaginionych ziemiach Mu i Hy-Brasil, ja wiem, że to w tym najogromniejszym oceanie na zachodzie trzęsie się ziemia, a wyspy powstają i zapadają się nawet tam, gdzie ludzie nie znają grzechu ani zła, lecz żyją niewinni jak ci, którzy istnieli, zanim Bogowie dali nam wiedzę o wyborze dobra lub zła. A skoro Bogowie zsyłają te nieszczęścia zarówno na niewinnych, jak i grzesznych, znaczy to tylko, że te tragedie nie mogą być karą za grzechy, ale siłą natury. Nie wiem, czy w tym zniszczeniu jest wyższy sens, czy po prostu ziemia nie jest jeszcze ukształtowana w swej ostatecznej formie, tak jak my, ludzie, nie jesteśmy jeszcze doskonali. Może planeta też próbuje rozwijać swą duszę i doskonalić się. Nie wiem, Morgan. To sprawy dla najwyżej Wtajemniczonych. Wiem tylko, że wywieźliśmy sekrety świątyni, choć przysięgaliśmy nigdy tego nie czynić, a więc złamaliśmy przysięgę.

– Ale kapłani kazali nam to zrobić – powiedziała, drżąc.

– Żaden kapłan nie może nas rozgrzeszyć za złamanie tej przysięgi, gdyż słowo dane Bogom rozbrzmiewa poprzez wszystkie czasy. Dlatego będziemy za to cierpieć. To prawda, że cała wiedza naszych świątyń nie powinna była zaginąć w głębinach morskich. Więc zostaliśmy wysłani, by tę wiedzę wywieźć i uratować, wiedząc, że za złamanie przysięgi będziemy musieli cierpieć poprzez kolejne wcielenia. Tak być musi, siostrze.

– Jak możemy być karani jeszcze i w przyszłych żywotach za coś, co nam rozkazano? – spytała z żalem. – Czy kapłani uważają, że to sprawiedliwe, abyśmy my cierpieli za to, że byliśmy im posłuszni?

– Nie – odpowiedział. – Ale przypomnij sobie przysięgę, którą złożyliśmy... – Jego głos nagle się załamał. – Składaliśmy ją w świątyni teraz zagubionej pod wodą, gdzie wielki Orion już panował nie będzie. Przysięgaliśmy temu, który wykradł z nieba ogień, że człowiek nie będzie już żył w ciemnościach. Z daru ognia przyszło wiele dobra, ale także wiele zła, gdyż człowiek nauczył się używać go przeciw sobie... tak więc ten, który wykradł ogień, choć imię jego jest czczone w każdej świątyni za to, że przyniósł ludzkości światło, cierpi wieczne tortury przykuty do skały łańcuchem, a kruki wyżerają mu serce... To właśnie są Misteria: człowiek może ślepo słuchać kapłanów i praw, które oni stanowią, a jednak żyć w niewiedzy. Ale może z własnej woli nie być posłusznym, czyniąc jak ten, który przyniósł Światło, i skazać się na cierpienia w Kole Życia. Popatrz – wskazał na niebo, gdzie świecił ten Większy-Niż-Bogowie, u pasa mając trzy gwiazdy: czystości, prawości i wyboru. – On jest spokojny, choć jego świątynie zatonęły. I popatrz, tam, gdzie jego drogę przecina wielkie Koło, wciąż niezmiennie, choć tu w dole ziemia może się gotować, burzyć świątynie, miasta całe, zsyłać ludzi na straszną śmierć. A my wybudowaliśmy tu nową świątynię, by jego mądrość nigdy nie zginęła.

Człowiek, o którym wiedziała, że jest Utherem, przytulił ją do siebie. Ona także płakała. Uniósł jej twarz ku swojej nagłym gestem i pocałował ją. Na jego ustach poczuła słony smak jego łez. Powiedział:

– Nie potrafię tego żałować. Mówili nam w świątyniach, że prawdziwe szczęście można znaleźć jedynie w uwolnieniu się od Koła, które jest śmiercią i ponownym narodzeniem, że musimy znienawidzić ziemskie rozkosze i cierpienia i tęsknić jedynie za spokojem wieczności. A jednak ja kocham życie na ziemi, Morgan.

I kocham ciebie. Miłością, która jest silniejsza niż życie i śmierć.

I jeśli grzech jest ceną za połączenie nas ze sobą, życie po życiu, poprzez wieki, to będę grzeszył z radością i bez żalu, aby grzech przywiódł mnie znów do ciebie, ukochana!

Nigdy w całym swoim życiu Igriana nie doświadczyła pocałunku takiego jak ten. Pełnego pasji, a jednak wydawało się, że łączyła ich ze sobą jakaś siła o wiele potężniejsza niż tylko pożądanie. W tym momencie przepłynęła przez nią pamięć o tym, gdzie wcześniej знаła tego człowieka. Pamięć o wielkich marmurowych kolumnach i złotych gwiazdach w Wielkiej

Świątyni Oriona, pamięć o mieście Węzy, które leżało poniżej, i alei sfinksów, stworzeń o ciałach lwów i twarzach kobiet, strzegących drogi do Wielkiej Świątyni... a teraz stali na nagiej równinie, przed nimi był okrąg z surowych kamieni, a na zachodzie dogorywał ogień, gasnące światło ziemi ich narodzin, ziemi, na której żyli razem w Świątyni, odkąd byli małymi dziećmi i gdzie zostali połączeni w świętym ogniu, by nie rozłączać się nigdy, póki żyją. A teraz uczynili coś, co połączy ich także poza śmierć...

– Kocham tę ziemię – odezwał się wzburzonym głosem. Oto stoimy tu, gdzie świątynie buduje się z nieciosanego kamienia, a nie ze złota, srebra i piaskowca. Ale ja już kocham tę ziemię i oddam życie, by bronić jej spokoju. Tę zimną ziemię, gdzie nigdy nie świeci słońce...

– Zadrzał pod swą szatą, ale Igriana odwróciła go, obracając plecami od gasnącego ognia Atlantis.

– Spójrz na wschód – powiedziała. – Bo zawsze, kiedy światło umiera na zachodzie, ze wschodu przychodzi obietnica nowych narodzin.

I stali tak razem, przytuleni, kiedy słońce wschodziło, przeświecając przez otwór między olbrzymimi kamieniami jak przez ogromne oko.

– To rzeczywiście wielki cykl narodzin i śmierci – szepnął.

Przytuliła go do siebie jeszcze mocniej.

– Przyjdzie taki dzień, że ludzie zapomną, a to miejsce nie będzie dla nich niczym więcej niż tylko okręgiem z kamieni. Ale ja będę pamiętał. I powrócę do ciebie, ukochana, przysięgam...

A potem usłyszała głos Merlina, mówiący posępnie:

– Uważaj, o co się modlisz, bo z pewnością to otrzymasz.

Cisza. Igriana spostrzegła nagle, że jest naga, okręcona tylko w swój płaszcz, zwinięta w kłębek przed dogasającym kominkiem w ich pokoju. Gorlois chrząkał cicho w łożu.

Drżąc, owinęła się w ciepły szal i przemarznięta do szpiku kości wślizgnęła z powrotem do łoża, chcąc wyłowić z niego resztki ciepła.

Morgan. Morgiana. Czy dała córce to imię, bo naprawdę je ze sobą przyniosła? Czy nie był to tylko dziwaczny sen zesłany przez Merlina, by przekonać ją, że знаła Uthera Pendragona w jakimś innym życiu?

Ale to nie był sen. Sny są pomieszane, niewyraźne, w ich świetle iluzja miesza się ze strzępami rzeczywistości. Wiedziała, że w jakiś sposób zawędrowała do Krainy Prawdy, gdzie udaje się dusza, choć ciało pozostaje w innym miejscu. I jakimś cudem przeżyła nie sen, lecz wspomnienie.

Przynajmniej jedna rzecz została wyjaśniona. Jeśli ona i Uther znali się i kochali w przeszłości, to tłumaczyło, dlaczego miała takie nieodparte uczucie, że go dobrze zna, dlaczego nie wydawał się jej obcy. Dlaczego nawet ta jego niezdarność i niemal chłopięcość nie wydawały jej się obraźliwe, ale były tylko częścią osoby, którą jest i zawsze był. Przypomniała sobie czułość, z jaką otarła jego łzy swoim welonem, teraz wiedząc już, co

wtedy myślała: *tak, zawsze taki był*. Impulsywny, chłopięcy, niecierpliwie dążący do osiągnięcia tego, czego chciał, nigdy nie liczący się z ceną.

Czy to rzeczywiście oni przynieśli sekrety zaginionego ładu na te ziemie, wieki temu, kiedy tamte krainy dopiero co zapadły się w wodach oceanu na zachodzie i razem zasłużyli na karę za złamanie przysięgi? Karę? A potem, nie wiedząc czemu, przypomniała sobie, że ponowne narodziny i życie na ziemi były uważane za karę, bo oznaczały życie w ludzkim ciele, a nie wieczny spokój. Wygięła usta w uśmiechu, myśląc: czy to kara czy nagroda, że żyję w swoim ciele?

Przypominając sobie nagłe przebudzenie tego ciała w ramionach mężczyzny, który był czy miał być, czy też już kiedyś był Utherem Pendragonem, wiedziała z pewnością, której nie miała nigdy wcześniej, że pomimo to, co mówili kapłani, dla niej życie, narodziny, ponowne życie w tym ciele było wystarczającą nagrodą.

Zakopała się głębiej w łożu i leżała tak, nie czując już senności i uśmiechając się w ciemność. A więc może Viviana i Merlin widzieli to, co przeznaczone było teraz wiedzieć także jej: że była połączona z Utherem taką więzią, przy której jej związek z Gorloisem był tylko powierzchowny i krótkotrwały. Zrobi tak, jak oni chcieli: to było jej przeznaczenie. Ona i mężczyzna, który teraz jest Utherem, związali się wiele żywotów temu z losem tej ziemi, do której przybyli, gdy spłonęła Wielka Świątynia. I teraz, kiedy Misteria były znowu zagrożone, tym razem przez hordy barbarzyńców i dzikich ludów Północy, oboje znów powrócili. Dane jej będzie urodzić jednego z największych bohaterów, który, jak mówiła legenda, powróci do życia, gdy będzie potrzebny, króla, który był i jest, i znów przybędzie, by wybawić swój lud... Nawet chrześcijanie mieli swoją wersję tego podania. Mówili, że kiedy urodził się ich Jezus, jego matka miała wizje i przepowiednie, że urodzi króla. Igriana uśmiechała się wciąż w ciemności, myśląc o przeznaczeniu, które połączyło ją znów z mężczyzną, którego kochała tyle wieków temu. Gorlois? Cóż Gorlois mógł mieć wspólnego z jej przeznaczeniem, może tylko tyle, że ją przygotował. Inaczej mogła być po prostu zbyt młoda, by zrozumieć, co jej się przydarza.

*W tym życiu nie jestem kapłanką. A jednak wiem, że wciąż jestem posłusznym dzieckiem swego przeznaczenia; tak jak muszą nimi być wszyscy ludzie.*

*A tutejsi kapłani i kapłanki nie mogą się łączyć w małżeństwa. Oddają się tym, którym powinni, by z woli Bogów dać życie tym, którzy są istotni dla losów ludzkości.*

Pomyślała o wielkiej konstelacji na północy nieba, zwanej Kołem. Wieśniacy zwali ją Wozem lub Wielką Niedźwiedzicą. Obracała się wiecznie ku północy, na północ od wszystkich gwiazd. Ale wiedziała, że w swej wiecznej wędrówce ta konstelacja symbolizuje nie kończące się Koło Narodzin, Śmierci i Ponownych Narodzin.

A ten Olbrzym, który przemierzał nieboskłon z mieczem u pasa... przez chwilę wydało się Igrianie, że widzi owego bohatera, który ma nadejść, z wielkim mieczem w dłoni,

mieczem zdobywcy. Kapłani ze Świętej Wyspy postarają się, by miał taki miecz, miecz prosto z legend.

U jej boku Gorlois obrócił się i przytulił ją, a ona posłusznie poszła w jego ramiona. Jej obrzydzenie ustąpiło miejsca czułości i litości. Nie czuła też w ogóle strachu, że może ją zapłodnić nie chcianym dzieckiem. To nie było jej przeznaczone. Biedny, skazany człowiek, nie miał udziału w tym Misterium. Należał do ludzi tylko raz narodzonych, a nawet jeśli nie, to innych wcieleń nie pamiętał.

Była zadowolona, że Gorlois ma na pociechę swą prostą wiarę.

Później, kiedy wstali, zaczęła podśpiewywać, a Gorlois patrzył na nią zdziwiony.

– Wydaje mi się, że znów czujesz się dobrze – powiedział, a ona uśmiechnęła się do niego.

– O tak, tak – odpowiedziała. – Nigdy nie czułam się lepiej.

– A więc leczenie Merlina pomogło ci – powiedział, a ona znów się uśmiechnęła, nic jednak nie odpowiadając.

## 5

Wydawało się, że przez kilka dni całe miasto nie mówiło o niczym innym, jak tylko o tym, że Lot z Orkney wycofał swe wojska i odjechał na Północ. Obawiano się, że to opóźni ostateczny wybór.

Ale zaledwie w trzy dni później, kiedy Igriana kończyła ostatnie szwy na nowej szacie z cieniutkiej wełnianej tkaniny, którą kupiła na targowisku, Gorlois wrócił do kwatery, by powiedzieć jej, że Rada doradców Ambrozjusza postanowiła, iż zgodnie ze znanym im od dawna życzeniem zmarłego władcy, Uther Pendragon zostanie wybrany Najwyższym Królem, by panować nad Brytanią i przewodzić królom jej ziem.

– Ale co z Północą? – spytała Igriana.

– Uther znajdzie jakiś sposób, by pogodzić się z Lotem, a jeśli nie, to będzie z nim walczył – powiedział Gorlois. – Nie lubię Uthera, ale to najlepszy wojownik, jakiego mamy. Nie boję się Lota i jestem pewien, że Uther także się go nie lęka.

Igriana rozpoznała w sobie znajomy niepokój Wizji. Zrozumiała, że Lot będzie wiele znaczył w latach, które nadejdą... Ale zachowała milczenie. Gorlois jasno dawał jej do zrozumienia, iż nie pochwalał, kiedy zabierała głos w męskich sprawach, i wołała nie kłócić się ze skazanym na śmierć człowiekiem, któremu pozostało już tak niewiele czasu.

– Widzę, że twoja nowa szata jest już prawie gotowa. Jeśli chcesz, możesz ją założyć, kiedy Uther zostanie mianowany Najwyższym Królem i koronowany w kościele. Później przyjmie na dworze wszystkich swoich ludzi i ich małżonki, zanim nie odjedzie na Zachód, na tamtejszą koronację – powiedział Gorlois. – Nosi imię Pendragona, czyli Największego

Smoka, od sztandaru, pod którym walczy. A oni tam mają jakiś własny zabobonny rytuał dotyczący smoków i królów...

– Smok oznacza to samo, co wąż – wytłumaczyła mu Igriana. – To symbol mądrości, symbol druidyczny.

Gorlois zmarszczył gniewnie brwi i powiedział, że nie ma zamiaru słuchać o takich symbolach w chrześcijańskim kraju.

– Namaszczenie przez biskupa powinno im wystarczyć!

– Ale nie wszyscy ludzie potrafią zrozumieć wyższe Misteria – powiedziała Igriana.

Nauczyła się tego jako dziecko na Świętej Wyspie, a od czasu swego snu o Atlantis wydawało jej się, że wszystkie te wczesne nauki o Misteriach, choć była pewna, iż o nich zapomniała, teraz przybrały w jej umyśle nową głębię. – Mędrcy wiedzą, że symbole i znaki są niepotrzebne, ale prosty lud potrzebuje swych smoków latających nad królem, tak samo jak potrzebują ogni Beltanu i Wielkiego Związku, w którym król poślubia swoje ziemie...

– Takie rzeczy są zakazane dla chrześcijan – przerwał jej Gorlois twardo. – Tak powiedzieli apostołowie: jedno jest tylko imię pod słońcem, które może nas wybawić, a te wszystkie znaki i symbole to diabelska robota. Nie zdziwiłbym się, gdybym usłyszał, że Uther, ten nieczysty człowiek, wziął udział w pogańskich rytuałach, by przypochlebić się tym nieuczonym prostakom. Mam nadzieję pewnego dnia ujrzeć takiego Najwyższego Króla Brytanii, który będzie się trzymał jedynie chrześcijańskich obrzędów!

Igriana uśmiechnęła się.

– Nie myślę, by którekolwiek z nas dożyło tego dnia, mój mężu. Nawet Apostołowie z twej świętej księgi pisali, że jest mleko dla dzieci a mięso dla silnych mężczyzn. Ludzie prości, raz tylko narodzeni, potrzebują swoich świętych studni i wiosennych girlandów, i tańców wokół ognia. To byłby smutny dzień dla Brytanii, gdyby nie zapaliły się już więcej noworoczne ogniska, a girlandy z kwiatów nie opadły do świętych studni...

– Nawet diabeł potrafi opatrnie cytować święte słowa – powiedział Gorlois, ale nie był już zły. – Może to miał na myśli jeden z apostołów, mówiąc, że kobiety powinny zachować ciszę w kościele, bo one są podatne na takie namowy. Kiedy będziesz starsza i mądrzejsza, Igriano, przekonasz się. A na razie możesz się przystroić najpiękniej, jak tylko chcesz, na uroczystości w kościele i późniejsze przyjęcie.

Igriana założyła swą nową szatę i szczotkowała włosy tak długo, aż lśniły jak czysta miedź. Kiedy przejrzała się w nowym srebrnym lusterku – Gorlois posłał po nie na targ i kazał je dla niej kupić – ze smutkiem pomyślała, czy Uther w ogóle ją zauważy. Tak, była piękna, ale były przecież inne kobiety, równie piękne jak ona, młodsze, niezamężne, które nie miały dzieci. Dlaczego miałby chcieć właśnie jej, starej i czyjejś żony?

Przez cały czas kościelnych ceremonii przyglądała się z uwagą, jak Uther był namaszczany i zaprzysięgany na króla. Przynajmniej tym razem nie rozległy się żałobne zawodzenia o Bożym gniewie, ale radosne psalmy dziękczynne, dzwony brzmiały wesoło, a



nie złowróźnie. Później na byłym dworze Ambrozjusza odbyło się przyjęcie z wykwintnym jedzeniem, winem i wielką pompą, a wojenni dowódcy Ambrozjusza jeden po drugim składali Utherowi przysięgę na wierność.

Zanim te wszystkie oficjalne ceremonie się skończyły, Igriana poczuła się zmęczona. Ale wreszcie było po wszystkim i panowie oraz ich damy zebrali się wokół przysmaków. Odeszła trochę na bok, przyglądając się zgromadzonym. I tutaj w końcu znalazł ją Uther, tak jak się tego w duchu spodziewała.

– Moja Pani Kornwalii.

– Mój królu, mój panie. – Oddała mu głęboki ukłon.

– Nie musimy zwracać się do siebie tak oficjalnie – powiedział szybko i chwycił ją za ramiona dokładnie tak, jak zrobił to w jej śnie.

Patrzyła na niego jak urzeczona, spodziewając się w każdej chwili, że na jego rękach ujrzy złote bransolety w kształcie węży.

Ale on powiedział tylko:

– Nie masz dzisiaj księżycowego kamienia... To było takie dziwne, ten kamień. Kiedy pierwszy raz go na tobie ujrzałem, to było tak jak w moim śnie... Miałem gorączkę, zeszej wiosny, a Merlin się mną opiekował, i miałem bardzo dziwny sen, i teraz wiem, że to w tym śnie po raz pierwszy trzymałem cię w ramionach, jeszcze zanim moje oczy ujrzały twoją twarz. Pewnie się wpatrywałem w ten kamień jak jakiś wieśniak, pani Igriano, bo cały czas usiłowałem sobie przypomnieć mój sen i rolę, jaką odgrywałaś w nim ty i ten księżycowy kamień na twojej szyi.

– Powiedziano mi, że jedną z mocy tego kamienia jest budzenie prawdziwych wspomnień duszy... ja też śniłam... – odparła cicho.

Lekko położył rękę na jej ramieniu.

– Nie pamiętam. Dlaczego wydaje mi się ciągle, że widzę coś złotego na twych rękach, Igriano? Czy masz może złotą bransoletkę w kształcie... w kształcie smoka?

Pokręciła głową.

– Nie teraz – odrzekła porażona świadomością, że on, nawet o tym nie wiedząc, w jakiś sposób dzielił z nią ten sam sen, to samo wspomnienie.

– Och, pomyślisz, że jestem całkiem niewychowanym grubianinem, moja pani Kornwalii. Czy mogę poczęstować cię winem?

Bez słowa zaprzeczyła ruchem głowy. Wiedziała, że gdyby w tej chwili próbowała utrzymać kielich w drżących rękach, rozlałoby wino na suknię.

– Nie wiem, co się ze mną dzieje – powiedział Uther gwałtownie – To wszystko, co się stało w ostatnich dniach, śmierć mojego króla i ojca, spory między królami, wybór mnie na Najwyższego Króla, to wszystko wydaje mi się nierealne. A ty, Igriano, jesteś z tego wszystkiego najbardziej nierealna! Czy byłaś kiedyś na zachodzie, tam gdzie na równinie stoi wielki okrąg z kamieni? Powiadają, że w dawniejszych czasach to była świątynia Druidów,

ale Merlin mówi, że to nieprawda, że wybudowano okrąg długo przed tym, zanim Druidzi przybyli na te ziemie. Czy byłeś tam?

– Nie w tym życiu, mój panie.

– Chciałbym ci to miejsce pokazać, bo kiedyś śniłem, że byłem tam z tobą, och, błagam, pani, nie pomyśl, że zwariowałem, bo tak ciągle opowiadam o snach i przepowiedniach – powiedział z nagłym, chłopięcym uśmiechem. – Mówmy lepiej bardzo spokojnie o zwyczajnych sprawach. Jestem tylko biednym wodzem z Północy, który nagle stał się Najwyższym Królem Brytanii i chyba mi to trochę uderzyło do głowy!

– Będę więc spokojna i zwyczajna – zgodziła się Igriana z uśmiechem. – Gdybyś był panie żonaty, spytałabym cię, jak się miewa twoja żona i czy twój najstarszy syn... zaraz, co by było najzwyczajniejszym pytaniem... aha, czy skończył już ząbkować przed upałami i czy nie dostał wysypki od ubranek!

Uther zachichotał.

– Pewnie myślisz, że jestem stary jak na kawalera? – spytał. – Bóg wie, miałem w życiu dosyć kobiet. Może nie powinienem tego mówić przy żonie mojego najpobożniejszego wodza... Ojciec Jerome powiada, że miałem daleko zbyt wiele kobiet, by wyszło to na zdrowie mojej duszy! Ale nigdy nie spotkałem takiej, na której by mi zależało, kiedy już wstaliśmy z łoża. Więc bałem się, że jeśli poślubię jakąś kobietę, zanim z nią legnę, to ona tak samo mi się znudzi. Zawsze wydawało mi się, że między kobietą i mężczyzną winna być jakaś więź mocniejsza niż to, choć chrześcijanie uważają, że to wystarczy. Jak to oni mówią? A, że lepiej się ożenić, niż płonąć. Cóż, ja nie płonąłem, bo zwykłem ogień zaspokajać, a wtedy sam wygasał. A jednak czuję, że może być płomień, którego nie można ugasić tak łatwo. I że taką właśnie kobietę winienem poślubić... – nagle zapytał ją wprost: – Czy ty kochasz Gorloisa, Igriano?

Viviana spytała ją o to samo, a ona odpowiedziała wtedy, że to nie ma znaczenia. Nie wiedziała, co mówi. Teraz powiedziała spokojnie:

– Nie. Zostałam mu dana, kiedy byłam zbyt młoda, by wiedzieć, za kogo wychodzę.

Uther odwrócił się i spacerował nerwowo. W końcu zatrzymał się i powiedział:

– A ja wiem, że nie jesteś tą, którą można po prostu wziąć do łoża. Więc dlaczego na wszystkich Bogów muszę być opętany przez kobietę, która jest poślubiona jednemu z moich najbardziej oddanych zwolenników...

*A więc Merlin także Uthera omotał swoimi wścibskimi czarami.*

Ale teraz Igriana tego nie żałowała. To było jej przeznaczenie i stanie się, co ma się stać. Ale nie mogła uwierzyć, by jej przeznaczeniem było zdradzić Gorloisa tak okrutnie, właśnie tutaj. Kiedy jednak Uther położył dłoń na jej ramieniu, poczuła się jak w tamtym śnie, prawie widziała cień wielkiego kręgu z kamieni. Nie wiedziała, co czynić. *Nie, to było w innym świecie, w innym życiu.* Wydało jej się, że całe jej ciało i dusza wyrywają się i pragną teraz

doświadczyć tego pocałunku z ich snu. Zakryła twarz dłońmi i rozplakała się. Spojrzał na nią zdziwiony i bezsilny, cofając się kilka kroków.

– Igriano – szepnął. – Co my mamy począć?

– Nie wiem – odparła, łkając. – Nie wiem.

Jej przekonanie zmieniło się w dręczącą niepewność. Czy ten sen został na nią zesłany specjalnie, tylko po to, by ją omotać i czarami nakłonić do zdrady Gorloisa i złamania małżeńskiej przysięgi?

Na jej ramię opadła dłoń, zaciskając się w ciężkim uścisku.

Gorlois patrzył gniewnie i podejrzliwie.

– A cóż to za nieprzyzwoite rzeczy, moja pani? Co jej powiedziałaś, mój królu, że moja żona taka jest roztrzęsiona? Wiem, żeś jest człowiekiem niskich obyczajów i bezlitosnym, ale mimo wszystko, panie, zwykła przyzwoitość powinna cię powstrzymać przed nagabywaniem żony wasala na twojej własnej koronacji!

Igriana podniosła ku niemu rozgniewaną twarz.

– Gorlois! Nie zasłużyłam sobie na to! Co ja ci kiedykolwiek zrobiłam, abyś mógł rzucać na mnie takie podejrzenia w miejscu publicznym!

Głowy rzeczywiście zaczęły się odwracać w ich stronę, gdy usłyszano, że ktoś mówi podniesionym głosem.

– A więc dlaczego, pani, płaczesz, skoro nie powiedział ci nic zdroźnego? – Gorlois chwycił jej rękę w nadgarstku tak mocno, iż myślała, że ją zgniecie.

– Jeśli o to chodzi – powiedział Uther – musisz spytać swą panią, czemu płacze, bo ja tego nie wiem. Ale puść jej rękę albo cię do tego zmuszę. Mąż czy nie, nikt nie będzie ranił kobiety w moim domu.

Gorlois puścił jej ramię. Widziała, jak ślady po jego palcach natychmiast czerwienieją i zmieniają się w ciemne siniaki. Masowała rękę, lzy ściekały jej po policzkach. Czuła się tak, jakby w obecności tych wszystkich ludzi przyłapano ją na cudzołóstwie, ponizono.

Zakryła twarz welonem i rozplakała się jeszcze mocniej. Gorlois popchnął ją przed sobą. Nie słyszała, co powiedział do Uthera. Dopiero, kiedy znaleźli się sami na ulicy, spojrzała na niego zaskoczona.

– Nie chciałem cię oskarżać przed wszystkimi – zaczął wściekłym głosem – ale Bóg mi świadkiem, miałem prawo to zrobić! Uther patrzył na ciebie tak, jak mężczyzna patrzy na kobietę, którą zna tak, jak żaden chrześcijanin nie powinien znać żony innego mężczyzny!

Igriana, czując serce łomoczące jej w piersiach, wiedziała, że to prawda. Była zrozpaczona i zdezorientowana. Mimo, że widziała Uthera tylko cztery razy i dwa razy o nim śniła, patrzyli na siebie tak i zwracali się do siebie w taki sposób, jakby od lat byli kochankami, wiedząc o sobie wszystko, i nawet więcej niż wszystko, o swych ciałach, sercach i umysłach. Przypomniała sobie swój sen, w którym wydawało się, że są ze sobą złączeni od lat węzłem, który jeśli nawet nie był węzłem małżeńskim, był równie silny.

Kochankowie, partnerzy, kapłani – jakkolwiek by to nazwać. Jak mogła wytłumaczyć Gorloisowi, że znała Uthera jedynie ze snu, lecz że zaczęła o nim myśleć jako o człowieku, którego kochała na długo przed tym, zanim się narodziła, kiedy ona, Igriana, była jedynie cieniem. Jak miała mu wytłumaczyć, że esencja jej istoty była tym samym, co esencja tamtej kobiety, która kochała tamtego obcego mężczyznę z wężami ze złota na ramionach?...jak miała powiedzieć to Gorloisowi, który nie wiedział i nie chciał nic wiedzieć o Misteriach?

Popchnął ją przed sobą do domu. Wiedziała, że był gotów ją uderzyć, jeśli się odezwie. Ale jej milczenie rozjuszyło go jeszcze bardziej.

– Czy nie masz mi nic do powiedzenia, żono?! – wrzasnął i złapał ją tak mocno za już posiniaczoną rękę, że głośno krzyknęła z bólu. – Czy myślisz, że nie widziałem, jak patrzyłaś na swego kochanka?

Wyrwała rękę z jego uchwytu, czując, że za chwilę on wyłamie jej ramię ze stawu.

– Jeśli tyle widziałeś, to powinieneś także widzieć, że odwróciłam się od niego, choć nie chciałam niczego więcej, tylko pocałunku! I nie słyszałeś pewnie, jak mówił do mnie, że jesteś jego lojalnym wasalem i on nigdy nie sięgnąłby po żonę swego przyjaciela...

– Jeśli kiedykolwiek byłem mu przychylny, to już nie jestem! – powiedział Gorlois z twarzą pociemniałą od gniewu. – Czy myślisz, że będę dalej popierał człowieka, który dobiera się do mojej żony w miejscu publicznym, hańbiąc mnie przed wszystkimi zebranymi wodzami?

– Nie uczynił tego! – krzyknęła Igriana płacząc. – Nie zrobiłam nigdy nic poza tym, że tylko dotknęłam jego ust! – Oskarżenia Gorloisa wydały jej się tym bardziej niesprawiedliwe, że przecież pożądała Uthera, a jednak uczciwie trzymała się od niego z daleka. *Cóż, skoro oskarża mnie o zdradę, choć jestem zupełnie niewinna, to czemu nie zrobiłam tego, co chciał Uther?*

– Widziałem, jak na niego patrzyłaś! I trzymałaś się ode mnie z daleka w łóżu od chwili, kiedy tylko pierwszy raz spojrzałaś na Uthera, ty niewierna dziwko!

– Jak śmiesz! – sapnęła z wściekłością i chwyciła srebrne lustro, które jej podarował, rzucając nim w jego kierunku. – Cofnij, co powiedziałaś, albo przysięgam ci, że prędzej rzucę się do rzeki, nim mnie jeszcze kiedyś w życiu dotkniesz! Kłamiesz i wiesz, że kłamiesz!

Gorlois schylił głowę i lustro uderzyło w ścianę. Igriana zerwała swój bursztynowy naszyjnik – jeszcze jeden nowy prezent od męża – i rzuciła nim w ślad za lustrem. Drżącymi palcami zdarła z siebie nową elegancką suknię i rzuciła mu ją na głowę.

– Jak śmiesz tak o mnie mówić, ty, który obrzuciłeś mnie prezentami, jakbym była jedną z ladacznic idących za wojskiem albo którąś z twoich dziwek! Jeśli twierdzisz, że jestem dziwką, to gdzie są prezenty, które dostałam od kochanków? Wszystkie prezenty, które mam, dostałam od swojego męża, parszywego kłamcy, który stara się kupić sobie moją powolność, żeby zaspokoić żądę, bo księża zrobili z niego w połowie eunucha! Od tej chwili będę nosiła

tylko to, co utkałam własnymi rękoma, nie tknę twych obrzydliwych prezentów, ty niegodziwcu! Twoje usta i myśli są tak brudne, jak twoje plugawe pocałunki!

– Cicho bądź, ty złośliwa sekutnico! – krzyknął Gorlois, uderzając ją tak mocno, że upadła na ziemię. – A teraz wstań i przykryj się jak uczciwa chrześcijanka, i nie zdzieraj z siebie szat, by mnie doprowadzać do obłędu swoim widokiem! Czy to tak uwiodłaś mojego króla?

Z trudem stanęła na nogi, odkopując resztki podartej sukni, najdalej jak mogła, i rzuciła się na niego, uderzając go w twarz raz zarazem. Chwytał ją, starając się unieruchomić. Zgniół ją w uścisku. Igriana była silna, ale Gorlois był wojownikiem i postawnym mężczyzną. Po chwili przestała walczyć, wiedząc, że nie ma szans.

Popychając ją w kierunku łoża, szeptał przez zęby:

– Już ja cię nauczę, by nie patrzeć na nikogo innego tak, jak powinnaś patrzeć tylko na ślubnego małżonka!

Odrzuciła głowę z pogardą.

– Czy wydaje ci się, że kiedykolwiek spojrzę jeszcze na ciebie inaczej niż z obrzydzeniem, jak na węża? O tak, możesz mnie zawlec do łoża i zmusić po swojej woli, twoja chrześcijańska litość zezwala gwałcić własną żonę! Nie obchodzi mnie, co o mnie mówisz, Gorlois, bo w głębi serca wiem, że jestem niewinna! Aż do tej chwili czułam wyrzuty, że jakieś czary kazały mi kochać Uthera. A teraz żałuję, że nie zrobiłam tego, o co mnie błagał, tylko dlatego, że tak łatwo uwierzyłeś w kłamstwo o mojej winie, jakby to była prawda o mojej niewinności! I kiedy ja miałam na względzie twój honor i mój własny, ty z łatwością uwierzyłeś, że mogłabym rzucić swój honor w błoto!

Pogarda w jej głosie sprawiła, że Gorlois puścił ją i wpatrywał się w jej twarz.

– Czy mówisz prawdę, Igriano? Czy jesteś naprawdę niewinna? – spytał zduszonym głosem.

– Czy myślisz, że poniżyłabym się do kłamstwa? Tobie?

– Igriano, Igriano – powiedział pokornie – wiem dobrze, że jestem dla ciebie za stary, że byłaś mi dana bez miłości i nie z własnej woli, ale myślałem, że może w tych ostatnich dniach zaczęłaś o mnie myśleć trochę przychylniej... i kiedy ujrzałem cię płaczącą przed Utherem... – głos mu się załamał – przebac mi, przebac mi, błagam cię, jeśli rzeczywiście cię skrzywdziłem...

– Skrzywdziłeś mnie – powiedziała głosem, w którym dźwięczały sople lodu. – I dobrze robisz, że błagasz o przebaczenie, którego nie dostaniesz, aż piekło powstanie, a ziemia zapadnie się w zachodnie morze! Lepiej idź i pogódź się z Utherem. Czy naprawdę myślisz, że możesz się narazić na gniew Najwyższego Króla Brytanii? A może masz zamiar kupić jego łaski, tak jak chciałeś kupić moje?

– Cicho! – powiedział Gorlois ze złością. Twarz mu poczerwieniała. Poniżył się przed nią i Igriana wiedziała, że tego też nigdy jej nie wybaczy. – Przykryj się! – warknął.

Igriana dopiero teraz zauważyła, że wciąż jest do pasa naga.

Podeszła do łoża, na którym leżała jej stara szata, i leniwie zarzuciła ją przez głowę. Niespiesznie zaczęła wiązać sznurówki. Gorlois zebrał z podłogi bursztynowy naszyjnik i lustro i wyciągnął je w jej kierunku, ale odwróciła oczy i zignorowała to. Potem położył rzeczy na łożu, a ona nawet na nie nie spojrzała.

Patrzył na nią przez chwilę, a potem pchnął drzwi i wyszedł.

Pozostawiona sama, Igriana zaczęła składać swoje rzeczy do podróżnych juków. Nie wiedziała, co ma zamiar zrobić. Może pójdzie i poszuka Merlina, poprosi go o radę. To przecież on puścił w ruch całą tę karuzelę zdarzeń i spowodował, że tak się pokłóciła z Gorloisem. Wiedziała przynajmniej tyle, że z własnej woli nie zostanie dłużej pod jednym dachem z mężem. Nagły ból przeszył jej serce: przecież pobrali się w rzymskim prawie, a wedle tego prawa Gorlois miał absolutną władzę nad ich córeczką, Morgianą. Musi więc udawać aż do chwili, zanim nie uda jej się umieścić dziecka w bezpiecznym miejscu! Może mogłaby wysłać małą na wychowanie do Viviany, na Świętą Wyspę?

Zostawiła podarowane jej przez Gorloisa klejnoty na łożu, pakowała jedynie te szaty, które własnymi rękoma utkała w Tintagel.

Z klejnotów zostawiła sobie tylko księżycowy kamień, który dostała od Viviany. Później zrozumiała, że właśnie te krótkie chwile wahania udaremniły jej ucieczkę, bo właśnie gdy układała rzeczy na łożu, oddzielając własne od tych, które jej podarował, Gorlois wszedł do komnaty. Rzucił jedno szybkie spojrzenie na jej spakowane juki i skinął głową.

– Dobrze – powiedział. – Szykujesz się do drogi. Odjedziemy przed świtem.

– Co to ma znaczyć, Gorloisie?

– To znaczy, że rzuciłem moją przysięgę Utherowi w twarz i powiedziałem mu to, co powinienem był powiedzieć od razu. Tak więc jesteśmy wrogami. Jadę teraz do Kornwalii zorganizować obronę zachodu przeciw Saksonom i Irlandczykom, gdyby tam przyszli. Powiedziałem mu, że jeśli spróbuje przywieść swoje wojsko na moje ziemie, powieszę go jak przestępcę, którym jest, na pierwszym lepszym drzewie.

Patrzyła na niego chwilę, w końcu się odezwała.

– Jesteś szalony, mój mężu. Ludzie z Kornwalii sami nie utrzymają zachodnich ziem, jeśli nadejdą zbrojni Saksoni. Ambrozjusz to wiedział, Merlin o tym wie, Boże, nawet ja to wiem, choć jestem tylko kobietą zajmującą się domem! Czy w jednej chwili złości, z powodu jakiejś szalonej kłótni z Utherem spowodowanej twoją własną ślepą zazdrością, chcesz zburzyć wszystko, czemu Ambrozjusz poświęcił całe życie i o co walczył przez ostatnie lata?

– Bardzo się troszczysz o Uthera!

– Troszczyłabym się o samego wodza Saksonów, gdyby stracił największego poplecznika w bezpodstawnej kłótni! Na Bogów, Gorloisie, dla naszego własnego życia i życia tych wszystkich ludzi, którzy będą szukali twej pomocy, gdy nadejdą Saksoni, błagam cię, zażegnaj ten spór z Utherem i nie zrywaj przymierza w ten sposób!

Lot już odjechał! Jeśli odjedziesz i ty, nie będzie nikogo poza oddziałami paktu i kilkoma pomniejszych królami, by u jego boku bronić Brytanii! – Potrząsała głową w rozpacz. – Obym tak rzuciła się ze skał w Tintagel, zanim w ogóle przyjechałam do Londinium! Przysięgnę, na co tylko chcesz, że jedyne, co zrobiłam, to dotknęłam ust Uthera Pendragona! Czy z powodu kobiety zerwiesz przymierze, dla którego umarł Ambrozjusz?

Gorlois spojrzął na nią groźnie.

– Gdyby nawet Uther nigdy na ciebie nie spojrzął, moja pani, to by być w zgodzie z własnym sumieniem, nie powinienem iść za człowiekiem tak rozpustnym, takim złym chrześcijaninem. Wcale nie ufam Lotowi, ale teraz wiem, że Utherowi winienem ufać jeszcze mniej. Od początku powinienem był słuchać głosu sumienia, a wtedy nigdy bym się nie zgodził, by go popierać. Włóż moje szaty do wolnych juków. Posłałem już po konie i naszych zbrojnych ludzi.

Patrzyła na jego niewzruszoną twarz, wiedząc, że jeśli zaprotestuje, on znowu ją uderzy.

W milczeniu, opanowując złość, usłuchała. Była w pułapce, nie mogła uciec. Dopóki Gorlois miał jej córeczkę w Tintagel, nie mogła nawet schronić się u swojej siostry na Świętej Wyspie.

Układała wciąż w juki poskładane koszule i tuniki, kiedy usłyszała bijące na trwogę dzwony.

– Zostań tutaj! – rzucił krótko Gorlois i pospiesznie wyszedł z domu.

Igriana ze złością pobiegła za nim, ale drogę zagroził jej osiłkowaty strażnik, jeden z ludzi Gorloisa, którego wcześniej nigdy nie widziała. Zastawił swą piką w poprzek wyjściowe drzwi, uniemożliwiając jej przejście przez próg. Miał tak silny kornwalijski akcent, że ledwo mogła rozróżnić słowa, ale zrozumiała, iż diuk Gorlois rozkazał, by dopilnowano, by jego pani była bezpieczna w środku, a on miał rozkaz wykonać.

Szarpanie się z tym człowiekiem byłoby poniżej jej honoru, poza tym podejrzewała, że jeśli nawet by spróbowała, to po prostu wniósłby ją z powrotem jak worek mięsa. W końcu westchnęła i wróciła do środka, by dokończyć pakowanie. Z ulicy dochodziły ją krzyki i zamieszanie, odgłosy biegnących ludzi, bijące w pobliskim kościele dzwony, choć nie była to godzina mszy. Raz usłyszała ścinające się miecze i zastanawiała się, czy to nie Saksoni dostali się do miasta.

To byłby rzeczywiście wspaniały moment na atak – akurat kiedy wszyscy dowódcy Ambrozjusza byli ze sobą skłóceni! Cóż, to by jej rozwiązało jeden problem, ale co by się stało z Morgianą, samą w Tintagel?

Dnia ubywało i blisko zmroku Igriana zaczęła się bać. Czy Saksoni stali u bram miasta, czy Uther i Gorlois znowu się pokłócili, czy jeden z nich był już martwy? Kiedy w końcu Gorlois stanął w drzwiach komnaty, była niemal rada, że go widzi. Wzrok miał zimny i nieobecny, szczęki zaciśnięte, twarz ściągniętą, jak w bólu.

Odezwał się do Igriany tonem nie znoszącym sprzeciwu.

– Ruszamy o zmroku. Czy utrzymasz się w siodle, czy też mam rozkazać jednemu z ludzi, by wioził cię za sobą na poduszce? Nie będziemy mieli czasu, by zwalniać do kobiecego tempa.

Chciała go zarzucić tysiącem pytań, ale równocześnie wołała nie dawać mu satysfakcji, okazując ciekawość.

– Skoro ty możesz jechać, mężu, to i ja pojedę w siodle.

– Lepiej się zastanów, bo nie będziemy mieli czasu, by się zatrzymywać, jeśli zmienisz zdanie. Załóż najcieplejszy płaszcz, jazda nocą będzie zimna, nadchodzi mgła od morza.

Igriana związała włosy w węzeł i okręciła się swoim grubym płaszczem. Miała na sobie tunikę i bryczesy, które zawsze wkładała do konnej jazdy. Gorlois podsadził ją na konia. Ulica była gęsto wypełniona zbrojnymi ludźmi z długimi pikami. Gorlois powiedział coś cicho jednemu z kapitanów, potem wrócił i wsiadł na konia. Za Gorloisem i Igrianą ruszyło około dwunastu jeźdźców. Gorlois sam ujął lejce jej konia i pociągając je gniewnie, rzucił krótkie:

– Ruszaj!

Nie była pewna drogi. Milcząc, jechała w zapadającym zmroku tam, gdzie prowadził Gorlois. Gdzieś na tle nieba dostrzegła ogień, ale nie mogła rozpoznać, czy było to ognisko straży, czy jakiś dom stał w ogniu, czy były to po prostu ogniska podróżnych kupców obozujących na targowym placu. Nigdy nie potrafiła w tych stłoczonych ulicach znaleźć sama drogi nad rzekę, ale kiedy wokół nich pojawiły się grube płaty mgły, zorientowała się, że zbliżają się do brzegów. Po chwili usłyszała pisk lin, które nawijane na wielkie kołowroty asekurowały ciężkie tratwy promu.

Jeden z ludzi Gorloisa zsiadł z konia i wprowadził na pokład jej rumaka. Gorlois jechał u jej boku. Kilku ludzi popłynęło końmi wpław. Zdała sobie sprawę, że musi być już bardzo późno, bo o tej porze roku było długo widno. Niemożliwe było, by ktoś wyruszał w drogę po ciemku. Potem usłyszała krzyk z brzegu.

– Odjeżdżają! Odjeżdżają! Najpierw Lot, a teraz pan Kornwalii, a my zostajemy bez obrony!

– Wszyscy zbrojni opuszczają miasto! Co zrobimy, jeśli Saksoni wylądują na południowych brzegach?

– Tchórze! – krzyknął z brzegu ktoś inny, kiedy prom ze strasznym trzaskiem zaczął odpływać. – Tchórze! Uciekają, kiedy kraj stoi w ogniu!

W ciemności poleciał kamień. Trafił jednego z drużyny w skórzany ochraniacz na piersiach. Trafiony zaklął, ale Gorlois powiedział coś do niego ostro i mężczyzna zamilkł. Z brzegu poleciało jeszcze kilka przekleństw i kilka kamieni, ale szybko znaleźli się poza ich zasięgiem. Kiedy jej oczy przywykły do ciemności, Igriana zobaczyła, że twarz Gorloisa jest blada i nieruchoma jak marmurowy posąg. Tej nocy w ogóle się do niej nie odezwał, choć jechali do świtu. A nawet, gdy świt zapłonął za ich plecami, obejmując świat purpurową mgłą, zatrzymali się tylko na chwilę, by dać wytechnąć koniom i ludziom. Gorlois rozłożył na



ziemi płaszcz, by Igriana mogła się położyć, i przyniósł jej trochę czerstwego chleba, ser i kubek wina – żołnierską rację, ale wciąż się do niej nie odzywał.

Była zmęczona i posiniaczona od jazdy. I skonfundowana. Wiedziała, że Gorlois pokłócił się z Utherem i wycofał swoje wojska, ale nic więcej. Czy Uther pozwolił mu odjechać tak bez sprzeciwu? Cóż, pozwolono odjechać Lotowi.

Po krótkim odpoczynku Gorlois przyprowadził konie i chciał jej pomóc wsiąść, ale w tym momencie Igriana się zbuntowała.

– Nie pojedę dalej, jeśli mi nie powiesz, gdzie jedziemy i dlaczego! – Starła się ściszać głos, nie chcąc zawstydzać Gorloisa w obecności jego ludzi, ale patrzyła na niego bez lęku. – Dlaczego uciekamy z Londinium jak złodzieje po nocy? Powiesz mi teraz, co się dzieje, albo będziesz musiał kazać przywiązać mnie do końskiego grzbietu, a ja będę głośno krzyczała przez całą drogę do Kornwalii!

– Czy myślisz, że tak nie zrobię, jeśli będę musiał? – odpowiedział. – Nie próbuj się ze mną spierać, ty, przez którą musiałem się wyprzeć własnego honoru, złamać złożone przysięgi i sprzeniewierzyć się pamięci mojego króla!

– Jak śmiesz mnie o to obwiniać! – skoczyła na niego Igriana. – Nie zrobiłeś tego przeze mnie, ale przez swoją szaleńczą zazdrość! Jestem niewinna tego, cokolwiek twój chory umysł myśli, że zrobiłam...

– Cisza, kobieto! Uther też przysiągł, że jesteś niewinna. Ale jesteś kobietą i opętałaś go jakimś urokiem, jak myślę. Poszedłem do Uthera, mając nadzieję na zażegnanie kłótni, a wiesz, jaką ten zły i lubieżny człowiek złożył mi ofertę? Zażądał ode mnie, bym się z tobą rozwiódł i oddał cię jemu!

Igriana wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczyma.

– Skoro tak źle o mnie myślisz, skoroś przekonany, że jestem cudzołożnicą, czarownicą, złem wcielonym, to czemu nie uradowała cię możliwość takiego łatwego pozbycia się mnie?

W środku rozsadzała ją wściekłość na to, że nawet Uther myślał o niej jak o kobiecie, którą można po prostu oddać, nie pytając o jej zgodę! Że zwrócił się do Gorloisa, żeby mu ją podarował jak niechcianą kobietę! Tak samo, jak kiedyś Gorlois zwrócił się o jej rękę nie do niej, a do pani Avalonu. Czy była koniem, którego można sprzedać na wiosennym jarmarku? Część niej drżała z ukrywanej radości – Uther jej chciał! Chciał jej tak mocno, że starł się z Gorloisem i postradał sprzymierzeńców w kłótni o kobietę! Ale druga część jej osobowości płonęła z gniewu. Dlaczego nie poprosił jej samej, by to ona opuściła Gorloisa i przyszła do niego z własnej woli?

Ale Gorlois potraktował jej pytanie poważnie.

– Przysięgłaś mi, że nie popełniłaś cudzołóstwa. A żaden chrześcijanin nie oddała od siebie żony, chyba, że z powodu cudzołóstwa.

Igriana zamilkła rozdarta między uczuciem skruchy i niepokoju.

Nie mogła mu być wdzięczna, ale przynajmniej wysłuchała, co miała mu do powiedzenia. A jednak podejrzewała, że chodziło głównie o jego dumę. Nawet jeśli myślał, że go zdradziła, nie chciał, by jego ludzie wiedzieli, że młoda żona wolała innego mężczyznę zamiast niego. Może nawet wolałby wybaczyć jej grzech cudzołóstwa, niż pozwolić na to, by ludzie myśleli, że nie potrafił utrzymać wierności młodej kobiety.

– Gorlois... – zaczęła, ale uciszył ją gestem ręki.

– Wystarczy. Nie mam cierpliwości, by z tobą rozmawiać. W Tintagel będziesz miała czas, żeby zapomnieć o tym szaleństwie. A co do Pendragona, będzie miał co robić na wojnie na Saksońskim Wybrzeżu. Jeśli cię oczarował, cóż, jesteś młoda i jesteś kobietą, niewiele znasz mężczyzn i świata. Nie będę ci tego więcej wypominał. Za rok lub dwa będziesz miała syna, by odciągnął twe myśli od tego człowieka, którego sobie upodobałaś.

W ciszy Igriana pozwoliła Gorloisowi podsadzić się na konia.

Niech sobie wierzy, w cokolwiek chce wierzyć, nie mogła powiedzieć nic, co przebiłoby tę żelazną maskę. A jednak jej myśli uparcie wracały do tego, co powiedzieli jej Merlin i Viviana: że jej los był związany z losem Uthera. Po swoim śnie uwierzyła w to, wiedziała już, dlaczego znów się spotkali. Zaczęła akceptować to jako wolę Bogów. A jednak oto odjeżdża z Londinium z Gorloisem, przymierze leży w gruzach, a Gorlois jest wyraźnie zdecydowany na to, by Uther już nigdy nie ujrzał jej na oczy. Oczywiście, że w wypadku wojny na Saksońskim Wybrzeżu Uther nie będzie miał czasu na podróż na koniec świata, do Tintagel. A gdyby nawet mógł przyjechać, to nigdy nie dostanie się do zamku, który nawet kilku ludzi mogło z łatwością utrzymać nawet i do końca świata. Gorlois mógłby ją tam zostawić, zamkniętą za grubymi murami, zasuwami i ostrymi skałami tak długo, aż stanie się starą kobietą. Igriana zakryła twarz płaszczem i rozplakała się.

Już nigdy nie zobaczy Uthera. Wszystkie plany Merlina legły w gruzach. Ona jest związana z człowiekiem, którego nienawidzi – teraz już wiedziała, że go nienawidzi – wcześniej nigdy nie dopuszczała do siebie tej myśli. A mężczyzna, którego kochała, nie potrafił wymyślić nic lepszego, jak tylko zażądać od dumnego Gorloisa, by mu ją oddał z własnej i nieprzymuszonej woli! Później, kiedy przypominała sobie tę podróż, wydawało jej się, że płakała przez całą drogę, przez wszystkie dnie i noce, kiedy przemierzali wrzosowiska i szerokie doliny Kornwalii.

Drugiej nocy rozbili obóz i ustawili namioty, by odpocząć jak należy. Ucieszyła się z ciepłego jedzenia i możliwości spania w namiocie, choć wiedziała, że teraz już nie uda jej się uniknąć małżeńskiego łoża. Nie będzie mogła krzyczeć czy szarpać się z Gorloisem, nie, kiedy spali w namiocie otoczonym przez jego żołnierzy. Była jego żoną od czterech lat, nikt przy zdrowych zmysłach nie uwierzyłby w historię gwałtu. Nie miała dość siły, by mu się opierać, poza tym nie chciała dać się poniżyć w nierównej walce. Zaciśnęła zęby i postanowiła przyzwolić mu na to, czego będzie chciał. Żałowała tylko, że nie zna owych zaklęć, o których mówiono, że strzegą kapłanek Bogini. Kiedy kapłanki kładły się z

mężczyznami podczas ogni Beltanu, poczynają dziecko tylko wtedy, kiedy tego chciały. To byłoby zbyt okrutne, gdyby poczęła syna, którego on chciał, właśnie teraz, kiedy została tak poniżona i całkowicie pokonana.

Merlin powiedział: *Nie urodzisz Gorloisowi syna*. Ale nie ufała już przepowiedniom Merlina po tym, gdy zobaczyła, jak rozsypał się cały jego plan. Okrutny, knowający starzec! Potraktował ją tak, jak mężczyźni zaczęli traktować swe córki, odkąd nadeszli Rzymianie – jak fanty, które mają poślubić tego mężczyznę, którego wybrał ojciec, jak towar sprzedawany na jarmarkach, jak kobyły czy mleczne kozy! Znalazła u boku Gorloisa spokój i ten spokój okrutnie zburzono. I to na nic! Płakała cicho, gotując się do łoża, zrezygnowana, zrozpaczona, niepewna własnej siły nawet na tyle, by móc odsunąć Gorloisa od siebie złym słowem. Z tego, jak się zachowywał, widziała, że jest gotowy, by dowieść swych praw posiadacza, wygnać z niej wspomnienie o jakimkolwiek innym mężczyźnie poza sobą samym, zmuszając ją, by zwróciła na niego uwagę w jedyny sposób, jaki znał – zniewalając ją.

Jego znajome dłonie na jej ciele, jego twarz pochylona w ciemności nad jej twarzą były jak dłonie i twarz obcego człowieka. A jednak, kiedy przyciągnął ją do siebie, był niezdolny, miękki i bezsilny.

I choć szarpał ją i ścisnął, starając się rozpaczliwie rozbudzić swe pożądanie, na nic się to nie zdało. W końcu zaklął wściekłym szeptem i dał jej spokój.

– Czy rzuciłaś jakiś urok na mą męskość, ty przeklęta suko?

– Nie – odpowiedziała cicho, z pogardą. – Choć rzeczywiście, gdybym znała takie zaklęcia, to zrobiłabym to z chęcią, mój ty mocny i szlachetny mężu. Oczekujesz, że będę płakała, bo nie możesz wziąć mnie siłą? Spróbuj tylko, a ja będę tu leżała i śmiała ci się w twarz!

Na chwilę uniósł się, zaciskając pięść.

– O tak – powiedziała. – Uderz mnie. To nie będzie po raz pierwszy. I może sprawi, że poczujesz się na tyle mężczyzną, by twoja dzida podniosła się do czynu!

Klnąc wściekle, odwrócił się do niej plecami i znów się położył.

Igriana leżała rozbudzona, drżąc. Wiedziała, że osiągnęła swoją zemstę. I rzeczywiście, przez całą drogę do Kornwalii Gorlois nie mógł z nią być, nieważne, jak bardzo się starał. W końcu Igriana zaczęła się sama zastanawiać, czy może rzeczywiście, nawet o tym nie wiedząc, siłą swego słusznego gniewu nie rzuciła jakiegoś uroku na jego męskość. Już wtedy wiedziała tą bolesną intuicją, jaką mają kapłanki, że Gorlois nigdy nie będzie w stanie ją osiąść.

Kornwalia bardziej niż kiedykolwiek wydawała się na samym końcu świata. W tych pierwszych dniach, kiedy Gorlois zostawił ją tu samą pod strażą – był wobec niej cały czas lodowato milczący, nie odzywał się ani słowem, dobrym czy złym – Igriana złapała się na tym, że zastanawia się, czy Tintagel w ogóle jeszcze istnieje w realnym świecie, czy też, jak Avalon, istnieje już tylko w królestwie mgieł, czarów, nie mając nic wspólnego z tym światem, który odwiedziła podczas swej jedynej krótkiej podróży na zewnątrz.

Mimo że jej nieobecność była taka krótka, wydało jej się, że Morgiana urosła od dzidziusia do małej dziewczynki, poważnej, cichej małej dziewczynki, która bez końca wypytywała o wszystko, co tylko widziała. Morgause też urosła, figura jej się zaokrągliła, dziecinna twarz nabrała wyrazu – miała wysokie kości policzkowe, a spod ciemnych brwi spoglądały oczy otoczone długimi rzęsami.

Jaka ona piękna, myślała Igriana, nie zdając sobie sprawy, że Morgause była bliźniaczym odbiciem jej samej w wieku lat czternastu.

Morgause szalała z radości na widok podarków, które Igriana jej przywiozła. Podskakiwała wokół siostry jak rozbawiony szczeniak.

Wokół Gorloisa także. Szczebotała z nim podniecona, posyłała mu powłóczyste spojrzenia i starała się usiąść mu na kolanach, jakby była dzieckiem w wieku Morgiany. Igriana zauważyła, że Gorlois się nie roześmiał i strząsnął ją z kolan, jak pieska, ale pogłaskał jej długie, rude włosy, uśmiechnął się i uszczypnął ją w policzek.

– Jesteś za duża na takie wybryki, Morgause – powiedziała Igriana ostro. – Podziękuj panu Kornwalii i zabierz podarki do swojej komnaty. I schowaj na razie jedwabie, bo takich rzeczy nie będziesz nosiła, aż dorośniesz. I nawet nie myśl, że zaczniesz tu od razu odgrywać damę!

Morgause pozbierała wszystkie piękne rzeczy i poszła płacząc do swojej komnaty. Igriana spostrzegła, że Gorlois śledzi dziewczynę wzrokiem. *Morgause ma dopiero czternaście lat*, pomyślała zgorzonna, a potem z przerażeniem zdała sobie sprawę, że przecież sama była tylko o rok starsza, kiedy oddano ją Gorloisowi za żonę.

Później zobaczyła ich razem w przedsionku, kiedy Morgause skłaniała ufnie głowę na jego ramieniu. Widziała, jak Gorlois na nią patrzył. Igriane ogarnął nagły gniew. Nie tyle na dziewczynę, co na Gorloisa. Widziała, jak niezręcznie się od siebie odsunęli, kiedy ona weszła do sieni. Gdy Gorlois się oddalił, spojrzała na Morgause i nie spuściła wzroku, dopóki dziewczyna nie zachichotała ze zdenerwowania i nie spojrzała w podłogę.

– Dlaczego tak na mnie patrzysz, Igriano? Boisz się, że Gorlois lubi mnie bardziej niż ciebie?

– Gorlois był za stary dla mnie, czyż tym bardziej nie jest za stary dla ciebie? Przy tobie wydaje mu się, że odzyska mnie taką, jaka byłam kiedyś, zbyt młodą, by mu powiedzieć „nie”

lub spojrzeć na innego mężczyznę. Ale ja nie jestem już dłużej posłuszną dziewczynką, lecz kobietą z własnym zdaniem. Więc może mu się wydawać, że z tobą łatwiej mu pójdzie.

– A więc – zaczęła Morgause, już bardziej pewna siebie – może powinnaś się bardziej starać, by zadowalać swego męża, zamiast narzekać, że jakaś inna kobieta robi dla niego coś, czego ty nie możesz.

Igriana podniosła już dłoń, żeby uderzyć dziewczynę, ale powstrzymała się całą siłą woli. Odezwała się, starając się opanować, jak tylko mogła.

– Czy myślisz, że zależy mi na tym, kogo Gorlois bierze do swego łóżka? Jestem pewna, że dostatecznie używał sobie z ladacznicami, ale wolałabym, by nie było wśród nich mojej siostry. Nie mam ochoty na jego pieszczoty i gdybym cię nienawidziła, to z chęcią bym mu ciebie dała. Ale jesteś za młoda. Tak jak ja byłam za młoda. A Gorlois to chrześcijanin. Jeśli pozwolisz mu ze sobą zlegnąć i on ci zrobi dziecko, nie będzie miał innego wyjścia, jak tylko wydać cię w pośpiechu za któregośkolwiek ze swoich ludzi, jeśli ten zgodzi się przyjąć używany towar. Ci Rzymianie nie są tacy jak nasz lud, Morgause. Gorlois może być tobą oczarowany, ale nie odsunie mnie, by ciebie wziąć za żonę, wierz mi. Wśród naszych ludów dziewictwo nie ma wielkiego znaczenia, kobieta o sprawdzonej płodności, napęczniała dzieckiem, jest najbardziej upragnioną żoną. Ale tak nie jest u tych chrześcijan. Mówię ci: potraktowaliby cię jak kogoś zhańbionego. A mężczyzna, który by cię poślubił, przez całe życie kazałby ci cierpieć za to, że to nie on posiał dziecko, które urodziłaś. Czy tego właśnie pragniesz, Morgause, ty, która możesz poślubić króla, jeśli zechcesz? Czy zmarnujesz życie, siostrze, by mi dokuczyć?

Morgause pobladła.

– Nie miałam pojęcia... – powiedziała. – O nie, nie chcę być zhańbiona, Igriano, wybac mi.

Igriana pocałowała ją, a potem dała jej srebrne lustro i bursztynowy naszyjnik. Morgause patrzyła na nią z niedowierzaniem.

– Ale to prezenty od Gorloisa...

– Przysięgam, że nigdy już nie założę nic od niego – powiedziała. – Są twoje. Dla tego króla, którego Merlin zobaczył w twojej przyszłości, siostrzyczko. Ale musisz zachować czystość, zanim on po ciebie nie przyśle.

– Nie obawiaj się – powiedziała Morgause i znów się uśmiechnęła.

Igriana była zadowolona, że udało jej się zagrać na ambicjach dziewczyny. Morgause była zimna i wyrachowana, nigdy nie poddałaby się uczuciu czy emocji. Patrząc na nią, Igriana żałowała, że sama też nie jest pozbawiona umiejętności kochania.

*Chciałabym móc być szczęśliwa z Gorloisem albo umieć – tak jak zapewne zrobiłaby Morgause – pozbyć się Gorloisa i być królową Uthera.*

Gorlois pozostał w Tintagel tylko przez cztery dni i była zadowolona, kiedy odjechał. Pozostawił w zamku około tuzina zbrojnych.

Przed wyjazdem zawołał ją do siebie.

– Ty i dziecko będziecie tu bezpieczne i dobrze strzeżone – powiedział krótko. – Jadę zebrać ludzi z Kornwalii przeciwko irlandzkim lub północnym najeźdźcom, lub przeciw siłom Uthera, gdyby zechciał przybyć tutaj i próbował wziąć coś, co do niego nie należy, kobietę czy zamek.

– Myślę, że Uther będzie miał zbyt wiele do zrobienia na swej własnej ziemi – odpowiedziała, zagryzając zęby w rozpacz.

– Z Bożą pomocą – odrzekł – bo mamy wystarczająco dużo wrogów i bez niego. Ale niemal chciałbym, żeby przyjechał, bym mógł mu pokazać, iż Kornwalia nie jest jego, bo jemu się zdaje, że może mieć wszystko!

Igriana nic na to nie odpowiedziała. Gorlois odjechał ze swymi ludźmi, a ona musiała zaprowadzić porządek w swoim gospodarstwie, odnowić swój związek z córeczką, postarać się odzyskać utraconą przyjaźń Morgause... Ale myśl o Utherze zawsze jej towarzyszyła, choć starała się jak mogła zająć czas obowiązkami. To nawet nie ten rzeczywisty Uther ją prześladował, ten Uther, którego widziała w kościele, na dworze i w sadzie, porywczy i trochę chłopięcy, nawet gburowaty i nieporadny. Tego Uthera, Pendragona, Najwyższego Króla, trochę się bała – myślała, że może nawet naprawdę się go lęka, tak jak kiedyś lękała się Gorloisa. Kiedy myślała o Utherze – mężczyźnie, o jego pocałunkach i uściskach, i o tym, czego jeszcze może od niej pragnąć, czasem czuła tę rozbrajającą słodycz, którą знаła ze swego snu, ale czasem przejmował ją paniczny strach, jakby znów była tym zniewolonym dzieckiem, które obudziło się rano po nocy poślubnej, skostniałe z przerażenia. Małżeński akt wydawał jej się wtedy czymś potwornym, a nawet groteskowym, takim, jakim wydawał jej się tamtego ranka.

W nocnej ciszy, kiedy leżała wsłuchana w cichy oddech Morgiany u swego boku, lub gdy w dzień siedziała na tarasie i prowadziła rączkę córeczki w jej pierwszych, nieporadnych próbach przedzenia, powracał do niej wciąż ten inny Uther, Uther, którego spotkała przy kamiennym kręgu, poza zwykłym czasem i przestrzenią; ten kapłan z Atlantis, z którym dzieliła tajemnice Misteriów. Wiedziała, że tego Uthera będzie kochała jak własne życie, że jego nigdy nie będzie mogła się bać czy lękać i że cokolwiek się między nimi stanie, będzie to słodycz, radość większa niż jakakolwiek dotąd jej znana. Po prostu kiedy do niego podeszła, wiedziała, że odnalazła zagubioną część samej siebie, z nim razem stanowiła całość. Mieli wspólne przeznaczenie i w jakiś sposób musieli je wypełnić... często kiedy myślami dochodziła do tego momentu, zatrzymywała się i przypatrywała się sobie samej z niedowierzaniem. Czy była szalona, z tymi marzeniami o wspólnym przeznaczeniu i drugiej połówce własnej duszy? Z pewnością fakty były prostsze i mniej piękne. Po prostu ona, kobieta zamężna, matrona i matka dziecka, zadurzyła się w mężczyźnie młodszym i przystojniejszym niż jej własny prawowity małżonek i poddała się marzeniom o nim. I dlatego poróżniła się z tym dobrym i szlachetnym człowiekiem, któremu została oddana.

Siadała wtedy i przedła zawzięcie, zaciskając zęby w poczuciu winy i zastanawiając się, czy całe życie będzie musiała pokutować za coś, co popełniła jedynie na wpół świadomie.

Wiosna zmieniła się w lato, dawno minął czas ogni Beltanu. Upał rozciągał się nad ziemią leniwą mgłą, a morze było spokojne i tak czyste, że czasami Igrianie wydawało się, iż daleko, między chmurami, dostrzega zapomniane miasta Lyonesse i Atlantis. Potem dni zaczęły się kurczyć, a czasami w nocy zdarzały się przymrozki.

I wtedy po raz pierwszy Igriana usłyszała nowiny o wojnie, przyniesione z jarmarku przez zamkowych ludzi. Podobno irlandzcy jeźdźcy byli na wybrzeżu, spalili kościół i wioskę, porwali jedną czy dwie kobiety, widziano ponoć także armie, ale nie wojska Gorloisa, które maszerowały na zachód do Kraju Lata i na północ do Walii.

– Jakie armie? – spytała Igriana.

– Nie wiem, pani, bo ja ich nie widziałem – odpowiedział człowiek z zamkowej straży. – Ten, co widział, mówi, że mają sztandary z orłami, jak rzymskie legiony z dawnych czasów, a to przecież niemożliwe. Ale powiedział też, że na jednym sztandarze mieli czerwonego smoka.

*Uther!* pomyślała Igriana z bólem. *Uther jest niedaleko! I nawet się nie dowie, gdzie ja jestem!* Dopiero potem spytała o wieści o Gorloisie i człowiek powiedział jej, że jej mążonek także jest w Kraju Lata i że armie mają tam jakieś narady.

Tej nocy długo wpatrywała się w swe stare lustro z brązu żałując, że nie jest to szklane lustro kapłanki, w którym można zobaczyć, co dzieje się nawet bardzo daleko.

Chciałaby móc się poradzić Viviany albo Merlina. Oni zaczęli te wszystkie kłopoty – czy teraz ją opuścili? Dlaczego nie przyjadą zobaczyć, jak wszystkie ich plany legły w gruzach? Czy może znaleźli inną kobietę odpowiedniej krwi, by to ją postawić na drodze Uthera, żeby urodziła mu króla, który pewnego dnia uzdrowi te ziemie i pogodzi zwaśnionych?

Ale z Avalonu nie nadeszła żadna wiadomość ani posłanie, a zbrojni ludzie pozostawieni w zamku nie zezwalali Igrianie nawet na przejażdżkę do miasteczka na targ. To Gorlois, mówili z szacunkiem, zakazał tego przez wzgląd na sytuację w kraju. Kiedyś patrząc z wysokiego okna, zobaczyła zbliżającego się jeźdźca. Zatrzymały go strażę w połowie cypla. Jeździec wyglądał na zdenerwowanego i Igrianie wydawało się, że spogląda na mury z bezsilnością, ale w końcu zawrócił konia i odjechał. Igriana zastanawiała się, czy to nie był posłaniec do niej, któremu strażę zabroniły wstępu.

A więc była więźniem w zamku swego męża. Mógł mówić, a nawet w to wierzyć, że umieścił ją tutaj dla jej własnego bezpieczeństwa, w obawie przed zamieszczeniem w kraju, ale prawda była inna: jego zazdrość doprowadziła do tego, że ją uwięził. Igriana sprawdziła swoje podejrzenia kilka dni później, wzywając do siebie dowódcę straży.

– Chcę wysłać wiadomość do mojej siostry z zaproszeniem, by mnie odwiedziła – powiedziała. – Czy pošlesz człowieka z wieścią do Avalonu?

Wydawało jej się, że mężczyzna starał się unikać jej wzroku.

– No cóż, pani – powiedział – nie mogę tego zrobić. Mój pan rozkazał bardzo wyraźnie, że wszyscy z nas muszą pozostać tu na miejscu i bronić Tintagel w przypadku oblężenia.

– Czy nie możesz, zatem wynająć jeźdźca z wioski, żeby wyruszył w drogę, jeśli dobrze mu zapłacę?

– Mojemu panu by się to nie spodobało, pani, przykro mi.

– Rozumiem – odrzekła i odesłała go. Nie doszła jeszcze do takiej desperacji, by starać się przekupić kogoś z ludzi Gorloisa.

Ale im więcej się nad tym zastanawiała, tym większy ogarniał ją gniew. Jak on śmiał uwięzić ją tutaj, ją, siostrę Pani Avalonu! Była jego żoną, a nie służką czy niewolnicą! W końcu postanowiła wykonać rozpaczliwy krok.

Nie ćwiczyła jej w sztuce Wzroku. Używała go tylko trochę, spontanicznie, jako dziewczynka, ale jako dorosła kobieta nie posługiwała się nim nigdy, poza krótką wizją Viviany. A od czasu, gdy widziała śmiertelną zjawę Gorloisa, zamknęła się na wszystkie wizje.

Przecież ta właśnie, na Bogów, wcale się nie sprawdziła! Gorlois był wciąż jak najbardziej żywy. A jednak miała nadzieję, że teraz w jakiś sposób uda jej się zobaczyć, co nastąpi. To był niebezpieczny krok – wychowała się na opowieściach o tym, co przytrafiało się takim, którzy wdawali się w sztuki, w których nie byli wprawieni. Najpierw postanowiła spróbować inaczej. Kiedy pierwsze liście zaczęły żółknąć, zawołała znów do siebie dowódcę straży.

– Nie mogę tak tu siedzieć w ciągłym zamknięciu jak szczur w pułapce – powiedziała. – Muszę iść na targowisko. Trzeba kupić barwniki, brakuje też koziego mleka, nowych igieł i szpilek i wielu innych rzeczy na nadchodzącą zimę.

– Pani, nie mam rozkazów, aby pozwolić ci opuścić zamek – powiedział i odwrócił oczy. – Odbieram rozkazy tylko od mego pana, a nie miałem od niego wieści.

– A więc ja zostanę tutaj, a posłę jedną z moich kobiet – odrzekła. – Pójdzie Ettarr lub Isotta, a z nią panienka Morgause. Czy tak będzie dobrze?

Na jego twarzy widoczna była ulga, że znalazła wyjście z sytuacji, nie kazać mu łamać rozkazów, a rzeczywiście było konieczne, żeby ktoś z zamku udał się na jarmark przed nastaniem zimy. Wiedział to równie dobrze jak ona. To było skandaliczne, by zabraniać pani domu tego, co w końcu było jednym z jej podstawowych obowiązków.

Morgause niezwykle się uradowała, kiedy Igriana powiedziała jej, że ma iść na targ. *Nie dziwota, pomyślała Igriana. Nikt z nas nie wychodził stąd przez całe lato. Nawet pasterze są wolniejsi od nas, bo oni przynajmniej wyprowadzają owce, żeby się pasły na równinach!* Patrzyła z zazdrością, jak Morgause owinięta w czerwony płaszcz, który dostała od Gorloisa, wyruszyła na osiołku w eskorcie dwóch zbrojnych ludzi, dworek Ettarr i Isotty, a także dwóch kobiet kuchennych, które miały nieść sprawunki. Trzymając Morgianę za rączkę, Igriana patrzyła za nimi z przyłądka, aż nie zniknęły z widoku.



Czuła, że nie znajdzie siły, by wrócić znów do zamku, który stał się dla niej więzieniem.

– Mamo – spytała Morgiana stojąca u jej boku – czemu my nie możemy pojechać na jarmark z ciocią?

– Bo twój ojciec sobie tego nie życzy, laleczko.

– Dlaczego on nie chce, żebyśmy pojechali? Czy myśli, że będziemy niegrzeczne?

Igriana się zaśmiała.

– Rzeczywiście. Myślę, że on tak właśnie uważa, córeczko.

Morgiana zamilkła. Małe, ciche, zamyślane stworzonko. Włoski miała już na tyle długie, że można je było zaplatać w warkoczyki sięgające do połowy ramion, ale tak cienkie, że wymykały się ze splotów w luźne, elfie loczki otaczające jej głowę. Oczy miała ciemne i poważne, a brwi równe i proste, już tak gęste, że były najwyraźniejszą częścią jej twarzy. *Mała czarodziejka*, myślała Igriana. *Zupełnie nieludzka, jak wróżka*. Nie była wiele większa od córeczki pasterza, która nawet nie skończyła dwóch lat, choć Morgiana miała już prawie cztery. Mówiła zaś tak wyraźnie i mądrze, jak duże ośmio- lub dziewięcioletnie dziecko. Igriana wzięła małą na ręce i przytuliła.

– Mój ty maleńki cudzie!

Morgiana poddała się pieszczocie i nawet sama pocałowała matkę, co zdziwiło Igrianę, bo nie była wylewnym dzieckiem. Ale już wkrótce zaczęła się niecierpliwie wiercić, nie należała do dzieci, które lubią być długo noszone. Wszystko wołała robić sama. Zaczęła się już nawet sama ubierać i wiązać sobie trzewiki. Igriana postawiła ją na ziemi i Morgiana statecznie ruszyła u jej boku do zamku.

Igriana usiadła przy tkackim warsztacie, mówiąc Morgianie, by wzięła swój kołowrotek i usiadła przy niej. Dziewczynka usłuchała i Igriana, wprawivszy w ruch jej kołowrotek, przez chwilę się jej przyglądała. Mała była zręczna i dokładna; jej nitka jeszcze się plątała, ale mocno trzymała wrzeciono, jakby to była zabawka, wykręcając je małymi paluszkami. Gdyby miała większe dłonie, przędłaby już tak dobrze jak Morgause. Po chwili Morgiana się odezwała:

– Nie pamiętam mojego ojca, mamo. Gdzie on jest?

– Jest daleko w Kraju Lata ze swymi żołnierzami, córeczko.

– Kiedy wróci do domu?

– Nie wiem, Morgiano. Czy chcesz, żeby wrócił?

Dziewczynka zastanawiała się przez chwilę.

– Nie – powiedziała – bo kiedy tu był, pamiętam to tylko troszkę, musiałam spać w komnacie cioci, a tam było ciemno i na początku się bałam. Oczywiście, byłam wtedy bardzo mała – dodała poważnie i Igriana musiała ukryć uśmiech. Po chwili dziewczynka znów się odezwała: – I nie chcę, żeby on wracał, bo sprawiał, że płakałam.

Cóż, Viviana miała rację. Kobiety nie dają wiary, ile maleńkie dzieci rozumieją z tego, co się wokół nich dzieje.

– Dlaczego nie masz następnego dzidziusia, mamó? Inne kobiety rodzą dziecko, jak tylko przestają karmić to starsze. A ja już mam cztery lata. Słyszałam, jak Isotta mówiła, że powinnaś mi dać braciszka. Myślę, że chciałabym mieć małego braciszka, żeby się z nim bawić. Albo nawet siostrzyczkę.

Igriana już zaczęła mówić:

– Bo twój ojciec... – i nagle się zatrzymała. Nieważne, jak dorosła Morgiana mogła się wydawać, miała dopiero cztery lata i Igriana nie mogła przecież zwierzać jej się z takich rzeczy. – Bo Bogini Matka nie postanowiła jeszcze zesłać mi syna, dziecinko – dokończyła.

Na taras wszedł ojciec Columba. Odezwał się surowo:

– Nie powinnaś mówić dziecku o Boginiach i przesądach. Gorlois pragnie, by była wychowana jak dobra chrześcijańska panienska.

Morgiano, twoja matka nie ma syna, bo twój ojciec był na nią zły i Bóg odmówił jej dziecka, by ukarać ją za jej grzeszne myśli.

Nie po raz pierwszy Igriana miała ochotę rzucić kołowrotkiem w tę czarną, złowróbną wronę. Czy Gorlois wyświadczył się temu człowiekowi? Czy on wiedział o wszystkim, co się między nimi stało? W minionych miesiącach często się nad tym zastanawiała, ale nie miała żadnego pretekstu, by go zapytać, poza tym wiedziała, że i tak by jej nie powiedział. Nagle Morgiana wstała i odwróciła się do księdza z grymasem.

– Idź sobie, starcze – powiedziała wyraźnie. – Nie lubię cię. Moja mama przez ciebie płacze. Moja mama wie więcej od ciebie i jeśli mówi, że to Bogini nie zesłała jej dziecka, ja wierzę w to, co ona mówi, a nie ty. Bo moja mama nie kłamie!

Ojciec Columba zwrócił się gniewnie do Igriany:

– Teraz widzisz, do czego prowadzi twoja samowola, moja pani? To dziecko powinno zostać zbite. Daj ją mnie, a ja ją ukarzę za brak szacunku!

I w tym momencie gniew i bunt Igriany eksplodowały. Ojciec Columba zaczął już iść w stronę Morgiany, która nawet nie drgnęła.

Igriana weszła między nich.

– Jeśli dotkniesz mojego dziecka, księżu – powiedziała – zabiję cię tam, gdzie stoisz. Mój mąż sprowadził cię tutaj, więc ja nie mogę cię wygnać, ale w dniu, kiedy jeszcze raz pojawisz się w mojej obecności, splunę na ciebie. Precz z moich oczu!

Ale ksiądz nie ustępował:

– Mój pan powierzył mi duchową opiekę nad całym tym domostwem, moja pani, a ja nie unoszę się dumą. Wybaczam ci to, co powiedziałaś.

– Tyle dbam o twoje przebaczenie, co o buczenie kozła! Precz z moich oczu albo zawołam dworki i każę cię wyrzucić! Jeśli nie chcesz być stąd wyniesiony, to wyjdź sam i nie próbuj się do mnie zbliżać, aż po ciebie nie poślę, a to nastąpi, dopiero jak słońce wzejdzie nad zachodnią Irlandią! Precz!

Ksiądz patrzył na jej płonące oczy, na jej podniesioną rękę, a potem wycofał się niezgrabnie.

Teraz, kiedy odważyła się na otwarty bunt, sparaliżowała ją własna śmiałość. Ale przynajmniej uwolniła się od księdza, uwolniła też Morgianę. Nie pozwoli, żeby jej córkę wychowano tak, by wstydziła się własnej kobiecości.

Morgause wróciła z targu późnym wieczorem. Starannie wybrała zakupy – Igriana wiedziała, że sama nie zrobiłaby tego lepiej – za własne pieniądze kupiła nawet cukierek do ssania dla Morgiany.

Przyniosła też moc nowinek z targowiska. Siostry siedziały do północy w komnacie Igriany, rozmawiając jeszcze długo po tym, jak Morgiana zasnęła z klejącą się buzią, w rączkach wciąż ściskając swój cukierek. Igriana wyjęła go z rąk małej, owinęła i odłożyła na później. Wróciła do Morgause, by wypytać ją o dalsze nowiny.

*To niegodne, bym z jarmarcznych plotek musiała dowiadywać się wiadomości o moim własnym mężu!*

– Jest ponoć wielki zjazd w Kraju Lata – powiedziała Morgause. – Mówią, że Merlin pogodził Lota i Uthera. Mówią też, że sprzymierzył się z nimi Ban z Mniejszej Brytanii i wysłał im konie kupione w Hiszpanii... – zająknęła się trochę przy tej nazwie. – Gdzie to jest, Igriano? Czy to w Rzymie?

– Nie, ale to bardzo daleko na południu i o wiele bliżej od Rzymu niż nasze ziemie – odpowiedziała Igriana.

– Była też bitwa z Saksonami i był tam Uther ze swym sztandarem ze smokiem – ciągnęła Morgause. – Słyszałam też harfiarza, który śpiewał balladę o tym, że diuk Kornwalii uwięził swoją panią w Tintagel. – W ciemności Igriana widziała, że oczy dziewczyny były szeroko otwarte z przejęcia, usta wilgotne i rozchylone. – Igriano, powiedz mi prawdę, czy Uther był twoim kochankiem?

– Nie, nie był – odpowiedziała Igriana. – Ale Gorlois wierzył, że tak było, i dlatego właśnie pokłócił się z Utherem. Nie dał mi wiary, kiedy powiedziałam mu prawdę.

– Mówią, że król Lot jest przystojniejszy od Uthera – powiedziała Morgause – i że szuka żony, a powtarzane szeptem plotki mówią, że będzie próbował pokonać Uthera i zostać Najwyższym Królem, jeśli będzie wiedział, że może to bezpiecznie uczynić. Czy on jest bardziej przystojny niż Uther? Czy Uther jest rzeczywiście taki boski, jak mówią?

– Nie wiem, Morgause. – Igriana potrząsnęła głową.

– Przecież mówią, że był twoim kochankiem...

– Nie obchodzi mnie, co mówią – przerwała jej Igriana – ale jeśli o to, chodzi, to myślę, że wedle przyjętych na świecie opinii oni obaj są dorodnymi mężczyznami. Lot jest ciemny, a Uther jasny, jak człowiek Północy. Ale to nie dla jego jasnej twarzy wolałam Uthera.

– A dlaczego? – spytała niecierpliwie Morgause i Igriana westchnęła wiedząc, że dziewczyna tego nie zrozumie. Ale pragnienie, by w końcu móc się z kimś podzielić tym, co czuła, a czego nikomu nie mogła zawierzyć, spowodowało, że powiedziała:

– Dlaczego?... Właściwie nie wiem... Tylko że to było tak, jakbym znała go od początku świata, jakby nigdy nie mógł stać mi się obcy, cokolwiek by zrobił, cokolwiek by między nami zaszło.

– Ale jeśli jedynie cię pocałował...

– To nie ma znaczenia – westchnęła Igriana zmęczonym głosem. I wtedy, płacząc, w końcu powiedziała na głos to, o czym wiedziała od dawna, a do czego nie chciała się przyznać: – Nawet gdybym w życiu nie miała już ujrzeć jego twarzy, jestem z nim związana i będę związana aż do śmierci. I nie wierzę, by Bogini zburzyła całe moje dotychczasowe życie, gdybym miała go już więcej nie zobaczyć.

W słabym świetle widziała, że Morgause przygląda jej się z zadziwieniem i ukrywającą zazdrością, jakby w oczach młodszej dziewczyny siostra stała się nagle bohaterką starego romansu. Igriana chciała jej powiedzieć, że to nie jest tak, że to wcale nie jest romantyczne, że tak po prostu się stało. Wiedziała jednak, że nie potrafi jej tego wytłumaczyć, bo Morgause nie miała na tyle życiowego doświadczenia, by móc oddzielić romantyczną historię od leżącej u podłoża marzeń czy fantazji okrutnej i twardej rzeczywistości.

Niech, więc myśli, że to romans, skoro jej to sprawia przyjemność, pomyślała Igriana i zdała sobie nagle sprawę, że ten rodzaj rzeczywistości nigdy nie dotknie Morgause. Ona żyła w innym świecie.

Teraz, więc zrobiła następny krok, oddalając od siebie księdza, który był człowiekiem Gorloisa, i następny krok, zwierając się Morgause z miłości do Uthera. Viviana mówiła o światach oddalających się od siebie, a Igrianie wydało się, że zaczęła żyć w takim właśnie świecie, odległym od tego normalnego – w którym być może Gorlois miał prawo oczekiwać, że ona będzie jego wierną służką, żoną, niewolnicą. Z tym normalnym światem łączyła ją teraz jedynie Morgiana. Patrzyła na dziecko śpiące z rączkami lepkiemi od cukru, czarnymi włoskami rozrzuconymi dokoła i na szeroko otwarte oczy swej młodszej siostry. Zastanawiała się, czy dla tego wezwania, które w sobie czuła, potrafiłaby przeciąć nawet te ostatnie więzy, które łączyły ją z rzeczywistym światem.

Ta myśl sprawiła jej wielki ból, ale w środku własnej duszy szepnęła:

– Tak, nawet to.

I w ten sposób następny krok, którego tak ogromnie się bała, stał się dla niej łatwiejszy.

Tej nocy leżała bezsennie między Morgause a swoją córeczką i starała się podjąć decyzję. Czy powinna uciec i zaufać temu, że Uther ją odnajdzie? Tę myśl odrzuciła prawie natychmiast. Czy powinna po kryjomu wysłać Morgause do Avalonu z wiadomością, że została uwięziona? Nie. Skoro już nawet na jarmarkach śpiewano pieśni o jej uwięzieniu, to

jej siostra przyjechałaby do niej, gdyby to mogło coś pomóc. W głębi serca nękały ją wciąż wątpliwości i rozpacz. A jeśli jej wizja była fałszywa... a może, skoro od razu nie uciekła do Uthera, oni zaniechali swego planu, znaleźli inną kobietę dla Uthera i dla zbawienia Brytanii. Tak jak w przypadku, gdy Wielka Kapłanka chorowała w czasie Rytuałów, wybierano na jej miejsce kogoś innego.

Nad ranem, kiedy niebo zaczynało jaśnieć, zapadła w niespokojny sen. I w nim znalazła radę, gdy straciła już na nią nadzieję.

W momencie kiedy się obudziła, poczuła, jakby w jej myślach jakiś głos wyraźnie powiedział: *Na ten jeden dzień pozbądź się dziecka i dziewczyny, a będziesz wiedziała, co robić.*

Dzień wstał jasny i słoneczny. Kiedy jadły śniadanie składające się z koziego sera i świeżo upieczonego chleba, Morgause spojrzała na rozświetlone niebo i powiedziała:

– Jestem już taka znużona tym zamknięciem. Dopiero wczoraj na targu zrozumiałam, jak mam już dość tego domu!

– A więc weź Morgianę i wyjdź na cały dzień z kobietami pasterzy – zaproponowała Igriana. – Myślę, że mała też by chciała wyjść.

Zawinęła dla nich plastry chleba i mięsa. Dla Morgiany było to jak święto. Igriana patrzyła, jak odchodziły, teraz mając nadzieję, że uda jej się uniknąć podejrzliwych oczu ojca Columby, bo choć przestrzegał jej rozkazu i nie zbliżał się do niej, ale wzrokiem wszędzie ją śledził. Przed południem, kiedy siedziała, tkając, wszedł do komnaty i powiedział:

– Pani...

Nawet na niego nie spojrzała.

– Kazałam ci trzymać się ode mnie z daleka. Poskarż się na mnie Gorloisowi, kiedy przyjedzie do domu, ale nie odzywaj się do mnie.

– Jeden z ludzi Gorloisa został ranny, spadając ze skały. Jego towarzysze mówią, że umiera i proszą mnie, bym do niego przyszedł. Nie musisz się obawiać, będziesz strzeżona należycie.

O tym dobrze wiedziała. Nigdy nie myślała nawet, że gdyby udało jej się jakoś pozbyć księdza, ułatwiłoby jej to ucieczkę. A poza tym gdzie mogłaby pójść? To były ziemie Gorloisa i żaden z jego poddanych nie udzieliłby jej pomocy, ze strachu przed jego gniewem.

Zwykła ucieczka nigdy nie była jej zamiarem.

– Idź i niech cię diabeł porwie, żebyś mi się już więcej na oczy nie pokazywał! – powiedziała i odwróciła się do niego plecami.

– Jeśli próbujesz mnie przekląć, kobieto...

– A po co miałabym marnować oddech na przekleństwo? Mogę ci równie dobrze życzyć Bożej pomocy w jak najszybszej drodze do nieba i niech ten twój Bóg znajdzie więcej przyjemności w twoim towarzystwie niż ja.

Kiedy odszedł i zobaczyła, jak pośpiesznie jedzie przez dziedziniec na swym małym osiołku, zrozumiała, dlaczego czuła taką potrzebę, by uwolnić się od obecności księdza. Na swój własny sposób on też był wtajemniczony w Misteria, choć to nie były Misteria jej religii. Szybko by wyczuł i potępił to, co miała zamiar zrobić. Poszła do komnaty Morgause i znalazła srebrne lustro. Potem zeszła do kuchni i kazała służącym rozpalić ogień w swojej komnacie. Zdziwiły się, bo dzień nie był zimny, ale powtórzyła polecenie, jakby to była najnormalniejsza rzecz na świecie. Wzięła sobie z kuchni kilka potrzebnych rzeczy: sól i trochę oliwy, trochę chleba i małą flaszkę wina – nie miała wątpliwości, że służba pomyśli, iż jest jej to potrzebne do posiłku u siebie – żeby do końca ukryć swe zamiary, wzięła też trochę sera i później rzuciła go mewom.

Na zewnątrz w ogrodzie zerwała lawendę, udało jej się też znaleźć kilka owoców dzikiej róży. Swoim małym ostrym sztyletem ucięła parę symbolicznych gałązek jałowca i mały kawałek leszczyny. Kiedy wróciła do komnaty, zamknęła drzwi na zasuwę i zdjęła ubranie. Drżąc stanęła naga przed ogniem. Nigdy tego wcześniej nie robiła, wiedziała, że Viviana potępiłaby to, bo ci, którzy nie są uczeni czarów, mogą sobie przysporzyć wielu kłopotów, jeśli ich próbują.

Ale wiedziała, że w taki sposób mogła przywołać Wzrok, nawet, jeśli sama go nie posiadała.

Wrzuciła jałowiec do ognia, a kiedy uniósł się dym, przyłożyła gałąź leszczynową do czoła. Przed ogniem położyła owoce i kwiaty, potem solą i oliwą dotknęła swych piersi, zjadła kęs chleba, upiła łyk wina, potem, drżąc, położyła srebrne lustro tak, by odbijał się w nim blask ognia. Zaczerpnęła z beczki na wodę do mycia włosów i polała czystą deszczową wodą gładką powierzchnię lustra. Wyszeptała:

– Na rzeczy znane i nieznanie, na wodę i ogień, sól, oliwę i wino, na kwiaty i owoce, zaklinam cię, Bogini, pozwól mi ujrzeć mą siostrę Vivianę.

Powierzchnia wody zmarszczyła się powoli. Igriana zadrżała nagle jak w podmuchu lodowatego wiatru. Zastanawiała się, czy zaklęcie zadziała, czy jej czary nie były bluźnierstwem. Na powierzchni ukazała się najpierw jej własna twarz, ale powoli zaczęła się rozpląwać, aż przemieniła się w potężną twarz Bogini z kłociami jarzębiny zdobiącymi jej czoło. A potem, kiedy obraz się wyostrzył i uspokoił, Igriana zobaczyła coś innego niż to, czego oczekiwała.

Widziała wewnątrz komnaty, którą znała. To był kiedyś pokój jej matki w Avalonie, a teraz były tam kobiety odziane w ciemne szaty kapłanek. Z początku na darmo szukała wśród nich swojej siostry. Kobiety wchodziły i wychodziły, kręciły się, w komnacie było zamieszanie.

A potem zobaczyła swoją siostrę, Vivianę. Wyglądała na chorą, zmęczoną i cierpiącą i chodziła, chodziła w tę i z powrotem, opierając się na ramieniu jednej z kapłanek. Przerazona Igriana zrozumiała, co widzi. Viviana w swej jasnej szacie z surowej wełny była brzemienna,

z wyдутym brzuchem, twarzą skurczoną bólem, i wciąż tak chodziła i chodziła... Igriana pamiętała, że akuszerki kazały jej robić to samo, kiedy zaczęła rodzić Morgianę.

*Nie, nie! O Matko Ceridwen, błogostawiona Bogini, nie... nasza matka tak umarła, ale Viviana była pewna, że już nie urodzi... a teraz ona umrze, nie przeżyje porodu w tym wieku... dlaczego, kiedy zrozumiała, że poczęła, nie wzięła jakiejś mikstury, żeby się pozbyć dziecka? Oto koniec wszystkich jej planów... to już naprawdę koniec...*

A ja zrujnowałam swoje życie przez senne marzenie... a potem Igriana nagle się zawstydziała, że myśli o własnym nieszczęściu, kiedy Viviana miała zlec w położu i nie było nadziei, by jeszcze wstała z niego żywa. Przerazona, zalana łzami, nie mogła oderwać wzroku od lustra. I wtedy nagle Viviana podniosła głowę, patrząc ponad głowę kapłanki, na której ramieniu się opierała. I w jej cierpiących oczach pojawiło się zrozumienie i czułość. Igriana jej nie słyszała, ale to było tak, jakby Viviana mówiła wyraźnie w jej umyśle.

*Dziecko... siostrzyczko... Grainné...*

Igriana chciała ją zawołać, wykrzyczeć swój lęk, rozpacz i przerażenie, ale nie mogła zrzucić teraz na Vivianę ciężaru swych własnych zmartwień. Całe swoje serce włożyła w jeden szloch.

*– Słyszę cię, moja matko, moja siostrze, moja kapłanko i moja Bogini...*

*– Igriano, powiadam ci, nawet w tej godzinie nie trać nadziei, nie rozpaczaj! Jest wyższy cel wszystkich cierpień, widziałam to... nie rozpaczaj... I przez chwilę, czując, jak włosy na jej ramionach podnoszą się ze strachu, Igriana rzeczywiście poczuła na swym policzku delikatny dotyk, jak najłżejszy z pocałunków, a Viviana szepnęła: „Siostrzyczko...” Potem Igriana zobaczyła, jak twarz jej siostry kurczy się w bólu i jak Viviana opada zemdlna w ramiona kapłanek. Wiatr zmarszczył wodę na powierzchni lustra i Igriana widziała w nim już tylko własną twarz, spuchniętą od płaczu, patrzącą zza wodnej zasłony. Zadrżała, sięgnęła po coś do przykrycia, cokolwiek, by się ogrzać, i wrzuciła służące do czarów lustro w ogień.*

Potem rzuciła się na łożo i zaczęła szlochać.

*Viviana kazała mi nie rozpaczać. Ale cóż mam robić innego, skoro ona umiera?!*

Leżała tak, płacząc aż do odrętwienia. W końcu, kiedy nie miała już do wyplakania ani jednej łzy, podniosła się ciężko i umyła twarz w wodzie. Viviana była umierająca, może już nie żyła. Ale jej ostatnie słowa prosiły Igriane, by nie traciła nadziei. Ubrała się i powiesiła na szyi księżycowy kamień, który Viviana jej podarowała. I wtedy, w lekkim zawirowaniu powietrza zobaczyła stojącego przed sobą Uthera.

Tym razem wiedziała, że było to Przesłanie, a nie żywy człowiek.

Żaden człowiek, a już na pewno nie Uther Pendragon, nie mógłby się dostać do jej strzeżonej komnaty, żeby nie być zauważonym i zatrzymanym. Miał na sobie grubą pelerynę, ale na przedramionach – i stąd właśnie wiedziała, że to nie był sen – miał węże, które widziała, kiedy śniła o ich życiu na Atlantis. Tylko że teraz nie były to złote bransolety, ale żywe węże, które sycząc podnosiły głowy.

Ale ona się ich nie bała.

– Ukochana – powiedział i choć rozpoznała ton jego głosu, w pokoju panowała cisza, padało tylko światło od ognia. Przez jego szept słyszała trzask palących się gałęzi jałowca. – Przyjadę do ciebie w środku zimy, w zimowe przesilenie. Przysięgam ci to. Przyjadę do ciebie, cokolwiek zagrozi drogę. Bądź dla mnie gotowa w zimowe przesilenie...

A potem znów była sama, do komnaty wpadało słońce. Morze jaśniało błękitem, a na dziedzińcu słyszała śmiejące się głosy Morgause i swojej małej córeczki.

Igriana wzięła głęboki oddech i spokojnie wypila resztę wina. Na pusty żołądek, bo od śniadania pościła; poczuła, jak wino zakręciło jej lekko w głowie. Potem spokojnie zeszła na dół, by oczekiwać nowin, o których wiedziała, że nadejdą.

## 7

Najpierw powrócił do domu Gorlois.

Igriana była wciąż podniecona, ale i przerażona swą niedawną wizją.

Nigdy dotąd nie myślała o tym, że Viviana mogłaby umrzeć, lecz teraz, mimo słów nadziei, nie wyobrażała sobie, by jej siostra mogła przeżyć. Spodziewała się czegoś innego: jakichś magicznych wieści od Uthera albo wiadomości, że Gorlois nie żyje, a ona jest wolna. To, iż pojawił się sam Gorlois, pokryty kurzem, głodny i patrzący wilkiem, sprawiło, że Igriana zaczęła uważać swą wizję jedynie za okłamywanie samej siebie albo zwidy nastane przez Złego Ducha.

*Cóż, jeśli tak właśnie jest, to też dobrze, bo to by znaczyło, że moja siostra żyje, a ta wizja była tylko zjawą zrodzoną z moich własnych lęków.* Powitała więc Gorloisa spokojnie, przygotowała wieczerzę, kąpiel, świeże, suche ręczniki. Zwracała się do niego jedynie miłymi słowami. Niech mu się wydaje, jeśli ma ochotę, że ona żałuje wcześniejszych waśni i stara się znów zdobyć jego względy. To, co Gorlois myśli lub robi, nie miało już dla niej żadnego znaczenia. Już go nawet nie nienawidziła, nie rozpamiętywała wcześniejszych lat smutku i rozpacz. Cierpienia przygotowały ją na to, co ma nadejść. Osobiście podawała Gorloisowi jadło i napoje, dopilnowała odpowiedniego rozlokowania jego ludzi i powstrzymywała się od zadawania mu pytań. Na chwilę przyniosła wymytą, uczesaną, śliczną Morgianę, by przywitała się z ojcem, a potem kazała Isottcie położyć małą spać.

Gorlois westchnął, odsuwając od siebie talerz.

– Rośnie na ładną dziewczynkę, ale jest jak dziecko z czarownego ludu, ludu z wydrążonych wzgórz. Skąd u niej taka krew? Nie ma jej wśród mojej rodziny.

– Moja matka była ze starej krwi – odrzekła Igriana – a także Viviana. Myślę, że jej ojciec musiał być z czarownego ludu.

Gorlois zadrżał i powiedział:



– A ty nawet nie wiesz, kto był jej ojcem. Jedną z rzeczy, którą Rzymianie dobrze uczynili, to to, że wytępilli te ludy. Nie boję się żadnego uzbrojonego człowieka, którego mogę zabić, ale boję się tych podziemnych ludzików z wydrążonych wzgórz, z tymi ich zaklętymi kręgami i jedzeniem, od którego można i przez sto lat wędrować pod urokiem, albo ich elfich strzał, które powalają człeka znienacka i wysyłają do piekieł... Diabeł ich stworzył na zgubę chrześcijan i uważam, że zabijanie ich to wypełnianie woli Bożej!

Igriana pomyślała o ziołach i okładach, które kobiety z czarownego ludu przynosiły nawet zwycięskim wrogom, by zaleczyć ich rany od zatrutych strzał. Strzał, których używano tylko w absolutnej ostateczności. Myślała o swojej własnej matce, zrodzonej z czarownego ludu i o nieznanym ojcu Viviany. A Gorlois, tak jak Rzymianie, chciałby widzieć koniec tego prostego ludu. I to w imię swojego Boga?

– Cóż, stanie się tak, jak Bóg zechce – powiedziała na głos.

– Może Morgiana powinna być wychowywana w klasztorze świętych sióstr, by zło, które odziedziczyła z twoją starą krwią, nie miało do niej dostępu? – zastanawiał się Gorlois. – Zajmiemy się tym, kiedy będzie dostatecznie duża. Pewien święty człowiek powiedział mi kiedyś, że kobiety dziedziczą krew po swoich matkach, i tak jest od czasów Ewy, że zło i grzech, które wypełniają niewiastę, przechodzą na jej córkę. Ale syn będzie zawsze dziedziczył krew po swoim ojcu, tak jak Chrystus został stworzony na podobieństwo ojca swego, Boga. Tak, więc, jeśli będziemy mieli syna, Igriano, nie musimy się bać, że będzie po nim znać tę złą krew starych ludów ze wzgórz.

Igriana zawrzała gniewem, ale przysięgła sobie przeciw, że go nie rozzłości.

– Toteż stanie się tak, jak zechce twój Bóg – powiedziała spokojnie. Wiedziała przeciw, jeśli on zapomniał, że już nigdy nie dotknie jej tak, jak mężczyzna dotyka kobiety. Teraz to, co on zrobi czy co powie, nie miało już znaczenia.

– Powiedz mi, coź przywiodło cię do domu tak niespodziewanie, mój mężu?

– Oczywiście, że Uther – odrzekł Gorlois. – Na Wyspie Smoka, która leży niedaleko Wyspy Księży, Glastonbury, odbyło się wielkie mianowanie na króla. Nie pojmuję, dlaczego księża na to pozwalają, ta Wyspa Smoka to przeklęte miejsce! Oddawali tam cześć swemu Rogatemu Panu lasów, karmili węże i wyrabiali takie szaleństwa, dla których nie powinno być miejsca w chrześcijańskim kraju! Król Leodegranz, który panuje w Kraju Lata, jest za mną i odmówił przymierza z Utherem. Leodegranz nie szanuje Uthera bardziej niż ja, lecz nie chce teraz wszczynać wojny z Pendragonem. Nie wypada, byśmy się bili między sobą, kiedy Saksoni zbierają siły na wschodnich wybrzeżach. Gdyby tego lata ruszyli Szkoci, znajdziemy się między młotem a kowadłem. A tymczasem Uther wysłał ultimatum, że mam oddać swoich Kornwalijszyków pod jego komendę, a jak nie, to przyjdzie i mnie zmusi. Więc przyjechałem. Mogę utrzymać Tintagel przez wieki całe, jak będzie trzeba. Ale ostrzegłem Uthera, że jeśli jego noga postanie w Kornwalii, będę z nim walczył. Leodegranz zawarł z Utherem pakt, dopóki Saksoni nie odejdą z kraju, ale ja tego nie zrobię.

– Na Boga, to szaleństwo – powiedziała Igriana. – Leodegranz ma rację, Saksoni nie mają szans, jeśli wszystkie ludy Brytanii będą walczyć razem. Jeśli będziecie się spierać między sobą, Saksoni mogą atakować po jednym królestwie i niewiele czasu minie, a cała Brytania będzie czciła Bogów-Koni!

Gorlois odsunął gwałtownie talerze.

– Nie przypuszczam, by niewiasta wiedziała cokolwiek o sprawach honoru, Igriano. Chodź do łóża.

Myślała, że będzie jej wszystko jedno, co on z nią zrobi, że już nie potrafi się tym przejmować. Nie była jednak przygotowana na tak desperacką walkę, jaką stoczyła duma Gorloisa. Na koniec znowu ją zbił, wyklinając:

– Rzuciłaś urok na moją męskość, ty przeklęta wiedźmo!

Kiedy wyczerpany w końcu zapadł w sen, Igriana leżała u jego boku z twarzą pulsującą bólem i cicho płakała. Więc taka była nagroda za jej uległość? Taka sama, jak kara za krnąbrne słowa?

Teraz rzeczywiście była usprawiedliwiona w swojej nienawiści do niego i to w pewnym sensie przyniosło jej ulgę. Nie czuła się winna za to, że nim gardzi. Nagle z całą siłą zapragnęła, by Uther go zabił.

Odjechał następnego dnia o świcie, zabierając wszystkich ludzi poza marnym półtuzinem, który zostawił do obrony Tintagel. Z rozmów, które usłyszała na dziedzińcu przed ich odjazdem, zrozumiała, że Gorlois miał nadzieję złapać armię Uthera w zasadzkę przy wejściu z wrzosowisk do doliny. A wszystko z powodu tego, co nazywał honorem; pozbawi całą Brytanię jej najwyższego króla, zostawi ziemię bezbronną i nagą jak kobieta, by zgwałciły ją hordy saksońskich najeźdźców, tylko dlatego, iż nie był dostatecznie mężczyzną dla swej żony i obawiał się, że Uther nim będzie.

Po jego odjeździe dni ciągnęły się swoim rytmem, deszczowe i ciche. Potem nadeszły przymrozki i wrzosowiska zawiąło śniegiem.

Później nie było już nawet widać wrzosowisk, chyba że w najlepszą pogodę. Igriana tęskniła do jakichś wieści. Czuła się jak borsuk uwięziony w zimowej norze.

Zimowe przesilenie. Uther powiedział, że przyjedzie do niej w zimowe przesilenie. Ale teraz zaczęła się zastanawiać, czy nie był to tylko sen. Kiedy jesienne dni ciągnęły się w nieskończoność, zimne i ciemne, zaczęła wątpić w swoją wizję, wiedziała jednak, że nie pomogą żadne próby powtórzenia jej dla nabrania pewności.

Uczono ją w dzieciństwie, że takie poleganie na sztuce magii nie było dobre. Wolno było szukać błysku światła w ciemności i to już zrobiła.

Ale magia nie powinna być jak sznurek, którego dziecko musi się trzymać, by móc chodzić – bo wtedy człowiek staje się niezdolny do zrobienia własnego kroku bez pomocy nadnaturalnych sił.

*Nigdy nie umiałam polegać na sobie*, myślała z goryczą. Kiedy była dzieckiem, kierowała nią Viviana; kiedy tylko podrosła, została wydana za Gorloisa, a on uważał, że powinna się go o wszystko pytać, a w czasie jego nieobecności zwracać się nieustannie po radę do ojca Columby.

Tak więc teraz, wiedząc, że ma szansę zacząć myśleć samodzielnie, skupiła się na sobie samej. Uczyła córeczkę prząść, zaczęła też uczyć Morgause sztuki tkania różnymi kolorami. Uzupełniała zapasy jedzenia, bo wyglądało na to, że zima może być dłuższa i cięższa niż zazwyczaj. Zachłannie słuchała nowin, które docierały do niej od pasterzy odwiedzających targ lub od przygodnych wędrowców – ale tych było niewiele, kiedy zima zamknęła się nad Tintagel.

Było już po święcie Samhain, gdy do zamku przysła żebraczka okutana w łachmany i podarte szale, zmęczona i z odmrożonymi nogami. Stopy miała pookręcane szmatami i cała nie bardzo była czysta, ale Igriana wpuściła ją do środka i posadziła przy ogniu. Dała jej miskę pożywnej zupy z kozim mięsem i czerstwy chleb – to, co ona sama jadła na wieczerzę. Kiedy dostrzegła, że kobieta kuleje i ma na stopie ranę od kamienia, kazała kuchcikowi nagrzać wody i znaleźć czysty gałganek do opatrzenia rany. Kupiła dwie igły z sakiew kobiety – były dość tępe, miała lepsze, ale przydadzą się, by uczyć Morgianę pierwszych ściegów. Potem, czując, że już sobie na to zasłużyła, spytała kobietę, czy ma jakieś nowiny z Północy.

– Żołnierze, pani – powiedziała staruszka, wzdychając. – I Saksoni. Zbierają się na północnych drogach, i bitwa... i Uther ze swym sztandarem ze Smokiem... Saksoni na północ od niego i jak mówią, diuk Kornwalii przeciwko niemu na południu. Wszędzie bitwy, nawet koło Świętej Wyspy...

– Przychodzisz ze Świętej Wyspy? – spytała Igriana.

– Tak, pani, zgubiłam się tam wśród jezior, zgubiłam we mgle... Księża dali mi suchy chleb i kazali, bym przysła na mszę i się wypowiedziałam, ale co za grzechy może mieć taka stara kobieta jak ja? Wszystkie moje grzechy już dawno popełnione, zapomniane, odpuszczone, i nawet już ich nie żałuję... – powiedziała z cichym rechotem. Igrianie wydało się, że żebraczka jest trochę niespełna rozumu, a co jej jeszcze z konceptu pozostało, zbladło w trudach, samotności i długiej wędrówce.

– Oj, doprawdy, starzy i biedni niewiele mają okazji do grzechu, pani, chyba tylko, że mogą zwątpić w boskie miłosierdzie, a skoro Bóg nie zrozumie, czemu w to wątpimy, no to nie jest taki mądry, jak myślą jego księża, he, he, he... ale mi nie w smak było słuchać mszy, a w ich kościele to jest jeszcze zimniej niż na dworze, więc chodziłam we mgle i wtedy zobaczyłam łódź. I jakoś tak dotarłam na Świętą Wyspę... a tam kobiety Pani Jeziora dały mi jedzenie i pozwoliły się ogrzać, jak ty, pani... he, he, he...

– Widziałaś Panią? – spytała Igriana, pochylając się i patrząc z napięciem w twarz kobiety. – Och, powiedz mi, co u niej, to moja siostra...

– Oj, tyle to i ona mi powiedziała, że jej siostra jest żoną diuka Kornwalii, jeśli diuk jeszcze żyje, a tego nie wiedziała, he, he, he... O, oj, ona mi dała dla ciebie wiadomość, to dlatego przyszedłam aż tu, przez wrzosowiska i skały, gdzie moje biedne stopy poraniły się na kamieniach, he, he, he... zaraz, co to ona mi powiedziała, oj, ja biedna, nie pamiętam. Chyba zgubiłam wiadomość we mgle wokół Świętej Wyspy, księża, wiesz, pani, powiedzieli mi, że nie ma żadnej Świętej Wyspy teraz ani nigdy nie będzie, powiedzieli, że Bóg ją zatopił w morzu; myślę, że cała ta gościna u nich to sprawka czarów i zwidy nasłanych przez diabła... – przerwała, skuliła się i kasłała.

Igriana czekała.

– Opowiedz mi o Pani Avalonu. Czy ją widziałaś? – spytała w końcu.

– Oj, tak, widziałam, a nie jest taka, jak ty, pani, ona jest jak czarodziejka, mała i ciemna... – Oczy staruszki rozjaśniły się i oprzytomniały. – Teraz pamiętam wiadomość. Pani powiedziała: powiedz mojej siostrze Igrianie, że powinna pamiętać swoje sny i nie tracić nadziei, a ja się z tego śmiałam, he, he, he, na co komu potrzebne sny, może tylko wam, paniom z wielkich zamków, nam, co chodzimy po drogach we mgle, nic nie przyjdzie ze snów... A, tak, jeszcze to: we żniwa urodziła zdrowego synka i kazała mi powiedzieć, że czuje się dobrze ponad wszelkie oczekiwania i nadzieje i że chłopczyka nazwała Galahad.

Igriana wydała długie westchnienie ulgi. A więc rzeczywiście, Viviana przeżyła poród ponad najśmielsze oczekiwania. Żebraczka mówiła dalej:

– Powiedziała też, he, he, he, że on jest królewskim synem i że wypada, by jeden królewski syn służył drugiemu... czy coś z tego rozumiesz, pani? To brzmi jak kolejny sen i księżycowe omamy, he, he, he... – Zniosła się rechetem, zakutana w swe łachmany, chude ręce wyciągała do ciepła bijącego od ognia.

Ale Igriana знаła znaczenie wieści. *Jeden królewski syn powinien służyć drugiemu.* A więc Viviana rzeczywiście urodziła syna Banowi z Mniejszej Brytanii, po rytuale Wielkiego Związku. Jeśli zgodnie z przepowiednią Viviany i Merlina Igriana urodziłaby syna Uthera, Najwyższego Króla Brytanii, pierwszy z nich służyłby drugiemu. Przez chwilę czuła, jak wzbiera w niej taki sam histeryczny śmiech, jakim zanosila się ta obłąkana staruszka. *Panny młodej jeszcze nie doprowadzono do łoża, a my już ustalamy, jak się będzie wychowywać synów!*

W swym uniesieniu Igriana zobaczyła obu chłopców, narodzonego i nie narodzonego, bawili się u jej stóp, jak cienie; czy syn Viviany, Galahad, to ten ciemny, co będzie zawsze przy jeszcze nie narodzonym synu Uthera? Igrianie wydało się, że widzi ich w migotaniu ognia: ciemnego, szczupłego młodzieńca o oczach Viviany i wyrostka o jasnych włosach, płowych jak u człowieka Północy... a potem ujrzała święte Regalia Druidów, błyszczące w świetle płomieni: talerz, kielich, miecz i oszczep. Trzymano je teraz w Avalonie, po tym jak Rzymianie spalili święte gaje. Widziała, jak te cztery siły natury migoczą w świetle ognia: talerz ziemi, kielich wody, miecz ognia i oszczep powietrza... Kiedy płomień migotał i

tańczył, wydało jej się, że przelatuje jej po głowie myśl, iż Regaliów starczy dla każdego z nich. Co za szczęśliwe zrządzenie...

Nagle zamrugła i wyprostowała się. Ogień zupełnie już wygasł, Stara żebraczka spała możliwie blisko paleniska, ze stopami owiniętymi w szmaty i szale. Komnata była pusta. Jej dworka drzemała na ławie, okręcona w pled i płaszcz. Służba poszła już do łóżek. Czy ona przespała pół nocy tu, przy ogniu i to wszystko jej się śniło? Obudziła dworkę i posłała ją do łoża. Zostawiła śpiącą żebraczkę w spokoju i sama poszła do swojej komnaty. Wczołgała się między Morgause i Morgianę i mocno przytuliła śpiącą córeczkę, jakby chcąc ją ochronić przed zjawami i strachem.

A potem zima zapadła na dobre. W Tintagel nie było zbyt wiele drzewa na opał, tylko rodzaj skał, które się paliły, ale paliły się źle kopcąc w komnatach, czerniąc drzwi i sufity. Czasami musieli nawet palić suszone wodorosty i wtedy cały zamek śmierdział zdechłymi rybami, jak morze w czasie odpływu. W końcu nadeszły słuchy o tym, że armia Uthera idzie w kierunku Tintagel i już gotuje się do przejścia przez wrzosowiska.

W normalnych warunkach armia Uthera mogła bez trudu pokonać ludzi Gorloisa. *Ale jeśli wpadną w zasadzkę? Uther nie zna tych ziem!* Będzie się czuł dostatecznie zagrożony skalistym i nieznanym terenem, wiedząc, że siły Gorloisa zgromadzone są bliżej Tintagel.

Uther nie będzie podejrzewał zasadzki tak prędko!

Nie mogła zrobić nic, tylko czekać. Siedzieć i czekać w zamku czy w chacie – taki był los niewiasty, odkąd nadeszli Rzymianie.

Przedtem celtyckie plemiona słuchały rad swoich kobiet, a daleko na północy była nawet wyspa kobiet-wojowniczek, które wytwarzały broń i szkoliły wodzów w wojennym rzemiośle...

Igriana co noc leżała bezsennie i rozmyślała o swoim mężu i kochanku. *Jeżeli*, myślała, *można nazwać kochankiem mężczyzną, z którym nigdy nawet się nie wymieniło prawdziwego pocałunku.* Uther przysiągł, że przyjedzie do niej w zimowe przesilenie. Ale jak zdoła przebrnąć przez wrzosowiska i przebić się przez zasadzkę Gorloisa, który się tam na niego zaczął...?

Gdybyż tylko była wyszkoloną czarodziejką albo kapłanką, jak Viviana. Wychowano ją na opowieściach o tym, jakie zło może wmieszać się w czary, które mają wymóc na Bogach czyjąś wolę.

Ale czy można było pozwolić, by Uther został oszukany, a jego ludzie wymordowani? Wmawiała sobie, że Uther miał swoich szpiegów i czujki i nie potrzebował pomocy kobiety. Jednak wciąż czuła, niepokieszona, że musi być coś jeszcze, co mogłaby zrobić poza tym siedzeniem i czekaniem.

Na kilka tygodni przed zimowym przesileniem rozpętała się śnieżna burza i szalała przez dwa dni tak gwałtownie, że Igriana wiedziała, iż na wrzosowiskach żadne stworzenie, które

nie jest zakopane w swej norze jak królik, nie ma szans na przeżycie. Nawet tutaj, w bezpiecznych murach zamku ludzie gromadzili się przy kilku rozpalonych kominkach i drząc słuchali wyjącego wiatru. Przez ten śnieg i zawieję w dzień było tak ciemno, że Igriana nie mogła nawet prząść. Zapasy pochodni były ograniczone i nie śmiała ich bardziej wyczerpywać, bo musieli jeszcze długo znosić jarzmo zimy. Przez większość czasu siedzieli więc w ciemności, a Igriana starała się przypomnieć sobie stare baśnie z Avalonu, by zabawić Morgianę i powstrzymać Morgause przed niecierpliwym kręceniem się z nudów.

Gdy w końcu dziecko i dziewczyna zasypiały, Igriana siadywała tak jak teraz przed resztkami skromnego ognia, okutana w płaszcz, zbyt napięta, by się położyć. Wiedziała, że i tak by nie zasnęła, tylko obolałymi oczyma wpatrywałaby się w ciemność, starając się wysłać swe myśli przez te wszystkie mile... gdzie? Czy do Gorloisa, by ujrzeć, dokąd zawiodła jego zdrada? Bo to była zdrada: przysiągł przymierze z Utherem jako Najwyższym Królem, a potem przez własną zazdrość i brak zaufania złamał dane słowo.

Czy do Uthera, próbującego rozbić obóz na tych nie znanych sobie polach, miotanego przez zawieję, zagubionego, oślepionego?

Jak mogła dotrzeć do Uthera? Próbowwała zebrać wszystkie wspomnienia o tym, czego nauczyła się o magii jako mała dziewczynka w Avalonie. Uczono ją, że ciało i dusza nie są na stałe ze sobą złączone. We śnie dusza opuszcza ciało i wędruje do krainy snów, czasami, jak u wyszkolonych Druidów, do krainy prawdy, tam gdzie Merlin skierował ją raz we śnie.

...Podczas porodu Morgiany, kiedy bóle wydawały się ciągnąć w nieskończoność, w pewnym momencie na krótko opuściła swe ciało, widziała siebie leżącą w dole, skurczoną istotę otoczoną akuszerkami i pocieszaną przez dworki, gdy ona sama płynęła gdzieś w górze, wolna od bólu i radosna. Potem ktoś się nad nią pochylił, mówiąc z naciskiem, że teraz musi pracować mocniej, bo widać już główkę dziecka, a ona powróciła do tego bólu i strasznego wysiłku i o wszystkim zapomniała. Ale jeśli mogła to zrobić wtedy, może to zrobić teraz. Drząc pod płaszczem, Igriana wpatrywała się w ogień i siłą woli zmusiła się, by być gdzie indziej...

Udało się. Wydawało się, jakby stała obok siebie, świadomość miała niezwykle wyostrzoną. Główną zmianą było to, że nie słyszała już dłużej dzikiego wycia burzy za zamkowymi murami. Nie obejrzała się za siebie – mówiono jej, że jeśli wyjdzie się z ciała, nigdy nie wolno się na nie oglądać, bo ciało wciągnie duszę z powrotem ale w jakiś sposób, nawet bez oczu, widziała wszystko dokoła wiedziała, że jej ciało wciąż siedzi nieruchomo przed dogasającym ogniem. Teraz, kiedy już to zrobiła, przestraszyła się. *Powinnam była najpierw podsycić ogień*, pomyślała, ale wiedziała, że jeśli wróci do ciała, nigdy już nie zdobędzie się na odwagę, by znowu tego spróbować.

Pomyślała o Morgianie, żywej więzi między nią a Gorloisem Nawet jeśli on tę więź odrzucał, wyrażał się o dziecku obelżywie, ta więź istniała. Mogła go więc odnaleźć, jeśli chciała. Jeszcze zanim do końca to pomyślała, znalazła się... gdzie indziej.

...Gdzie była? Dostrzegła blask niewielkiej lampy i przy jej nikłym świetle zobaczyła swego męża, w otoczeniu skupionych przy sobie głów. Mężczyźni tłoczyli się w jednej z maleńkich lepianek na wrzosowiskach.

Gorlois mówił:

– Walczyłem u boku Uthera przez wiele lat, pod dowództwem Ambrozjusza, i jeśli choć trochę go znam, będzie liczył na odwagę i zaskoczenie. Ci ludzie nie znają naszej kornwalijskiej pogody, nie przyjdzie im do głowy, że jeśli o zachodzie słońca szaleje burza, to zaraz po północy niebo się rozpogodzi. A więc nie ruszą się przed świtem, ale skoro tylko słońce wzejdzie, będą już na koniach i gotowi do drogi, mając nadzieję wcześniej nas zaskoczyć. Ale jeśli zdołamy otoczyć jego obóz w tych godzinach między przejaśnieniem a wschodem słońca, to my możemy ich zaskoczyć, kiedy będą się zwijać.

Będą się sposobić do marszu, nie do bitwy. Przy odrobinie szczęścia możemy ich pokonać, zanim jeszcze zdążą wyjąć miecze z pochew!

Kiedy armię Uthera potniemy w kawałki, to on sam, nawet jeśli nie zginie, przynajmniej podwinie ogon i wyniesie się z Kornwalii, by nigdy tu nie wrócić. – Przy słabym świetle lampy Igriana zobaczyła, że Gorlois obnażył zęby jak dzikie zwierzę. – A jeśli on polegnie, to jego armia rozproszy się jak pszczoły w ulu, kiedy ktoś zabije ich królową!

Igriana poczuła, jak instynktownie się cofa; nawet jeśli była bezcielesna, była duchem, wydało jej się, że Gorlois musi ją widzieć, unoszącą się nad nimi. I rzeczywiście, podniósł głowę i zmarszczył brwi, pocierając dłonią policzek.

– Czuję przeciąg, zimno tutaj – zamruczał.

– A jakżeby mogło być inaczej? Zimno tu jak diabli, kiedy szaleje taka zawierucha – warknął jeden z ludzi, ale zanim skończył, Igriana już tam nie było.

Unosiła się w bezcielesnej pustce drżąc, opierając się pragnieniu, by powrócić do Tintagel. Tęskniła, by wrócić do swego ciała, do ognia, by już nie błądzić pomiędzy światami jak jakaś latająca, śmiertelna zjawia...

Jak mogła dotrzeć do Uthera, by go ostrzec? Między nimi nie było więzi. Nigdy nie wymieniła z nim nawet namiętnego pocałunku, który by złączył ich ciała i mógł połączyć także bezcielesną duszę, którą była teraz. Gorlois oskarżył ją o cudzołóstwo; przerażona Igriana znów żałowała, że tak się nie stało. Była oślepią ciemnością, bezcielesna, zawieszona w nicości. Wiedziała, że nawet cień myśli sprowadzi ją z powrotem do komnaty w Tintagel, gdzie jej przemarznięte ciało leżało skulone przed wygasłym paleniskiem. Walczyła, by pozostać w tej śmiertelnie czarnej ciemności, zmagając się, modliła się bez słów: *Pozwól mi dotrzeć do Uthera*, wiedząc równocześnie, że dziwne prawa świata, w którym się teraz znajdowała, nie zezwalają na to. W tym ciele nie była związana z Utherem.

*Ale moja więź z Utherem jest silniejsza od więzi cielesnej, bo przetrwała przez więcej niż jedno życie!* Igriana czuła, jak w myślach sprzecza się z czymś nieuchwytnym, jakby zwracała się do sędziego wyższego niż to, co tworzyło prawa tego życia, cokolwiek by to było.

Ciemność silniej na nią napierała i poczuła, że nie może oddychać, że gdzieś tam w dole ciało, które opuściła, było skostniałe do szpiku kości, że brakło mu oddechu. Coś w niej krzychało: *Wracaj! Wracaj! Uther to dorosły mężczyzna, nie potrzebuje twojej opieki!* A ona, walcząc z całej siły, by pozostać tam, gdzie była, odpowiadała samej sobie: *On jest tylko człowiekiem! Nie jest odporny na zdradę!*

Teraz w tej naciskającej ciemności pojawiła się jeszcze głębsza ciemność i Igriana wiedziała, że nie patrzy na swoją niewidzialną istotę, ale na kogoś Innego. Drżąca, przemarznięta, skołowana, nie usłyszała cielesnymi uszami, lecz każdym nerwem zrozumiała znaczenie rozkazu: – Wracaj. Musisz wracać. Nie masz prawa tu być. Prawa są ustanowione i twarde. Nie możesz tu pozostać bezkarnie.

Usłyszała, jak odpowiada tej dziwnej ciemności:

– Jeśli trzeba, poniosę przewidzianą karę.

– Dlaczego chcesz udać się tam, gdzie to zabronione?

– Muszę go ostrzec – odparła z zapamiętaniem i wtedy nagle, tak jak ćma rozwija swoje wielkie skrzydła, kiedy opuszcza kokon, coś wewnątrz Igriany, co było większe niż ona sama, otworzyło się i rozpostarło swe skrzydła.

Ciemność wokół niej zniknęła, a przerażający cień, który ją ostrzegał, był teraz jedynie kształtem kobiety w welonie, takiej jak ona, kapłanki, z pewnością nie Bogini ani nie starej Śmierci Kostuchy. Igriana powiedziała wyraźnie:

– Jesteśmy związani i zaprzysiężeni na życie i poza nim. Nie masz prawa zabraniać.

Nagle Igriana spostrzegła, że na jej rękach wiją się złote węże takie jak we śnie o kamiennym kręgu. Uniosła ramiona i krzyknęła słowo w dziwnym języku. Nigdy potem nie mogła sobie przypomnieć więcej niż tylko pół sylaby, tylko tyle, że zaczynało się „Aaaach...” i że było to słowo Mocy. Nie wiedziała też, skąd to słowo przyszło do niej w takiej chwili, do niej, która w tym życiu nie była nawet kapłanką. Wzbraniająca wstępu postać zniknęła i Igriana zobaczyła światło, światło, jak wschodzące słońce...

Nie, to było słabiutkie światło latarni, zrobionej z ogarka wsadzonego do drewnianego pudełka, przysłoniętego cienkim płatem rogu. Zaledwie nikły blask wśród oblodzonych cieni maleńkiej, zapadniętej chaty o kamiennych ścianach, naprędce pozalepianej gałęziami i słomą. Ale w blasku dziwnego, nie istniejącego światła – a może ona w swej bezcielesnej formie widziała po ciemku? – mogła rozróżnić wśród cieni kilka twarzy, twarzy ludzi, których widziała w Londinium w otoczeniu Uthera, królów, wodzów, żołnierzy. Wycieńczeni i przemarznięci, kulili się wokół maleńkiej latarni, jakby jej migocący płomień mógł ich jakoś rozgrzać. Uther był między nimi, wychudzony i wyczerpany. Jego dłonie krwawiły od odmrożeń, swą wełnianą pelerynę miał ciasno okręconą dokoła głowy i zawiniętą pod szyją. Nie był to ten dumny i królewski kochanek, którego widziała w swej pierwszej wizji, ani nawet nie ten niezdarny i głośny wojownik, który wpadł do kościoła, wszystkim przeszkadzając. Ten zmęczony, wycieńczony człowiek, z twarzą poczerwieńiałą od mrozu,



wydał jej się prawdziwszy i przystojniejszy niż kiedykolwiek przedtem. Igriana, bolejąc z litości, pragnąc wziąć go w ramiona i ogrzać, krzyknęła z całych sił: *Uther!*

Wiedziała, że usłyszał, bo widziała, jak podniósł głowę i rozejrzał się po całym tym zimnym schronieniu, drżąc, jakby powiał tam jeszcze zimniejszy wiatr. A potem, poprzez pelerynę i ubrania, którymi był okręcony, zobaczyła węże oplecione wokół jego nadgarstków. Nie były prawdziwe; wiły się jak żywe węże, a w taką pogodę żaden znany ludzkości wąż nie opuściłby swojej kryjówki. Ale ona je widziała, a Uther jakimś cudem zobaczył ją. Otworzył usta, by coś powiedzieć. Rozkazującym gestem nakazała mu milczeć.

*Musisz wstać i ruszać z miejsca albo jesteś zgubiony!* Wiadomość nie ułożyła się w jej umyśle w słowa, ale wiedziała, że została przekazana prosto do jego myśli. *Śnieg przestanie padać wkrótce po północy. Gorlois i jego żołnierze myślą, że jesteście unieruchomieni tu, gdzie obozujecie. Napadną na was i porąbią w kawałki! Musisz się przygotować na ich atak!*

Przekazała mu te ostatnie słowa, bezdźwięcznie, dosłownie resztkami sił. Już gdy je formułowała, czuła, że siła woli, która przywiodła ją aż tutaj poprzez otchłań, wbrew prawom tego świata, słabnie. Nie była przyzwyczajona do takich zadań, walczyła, by nie odejść, nie dokończywszy ostrzeżenia. Czy tylko mu uwierzą? Czy będą gotowi na spotkanie z Gorloisem? Czy może zostaną w miejscu, nieporuszeni, a gdy minie burza, Gorlois znajdzie ich skulonych jak kury na grzędzie gotowe na napaść lisa? Ale nie mogła działać nic więcej. Ogarnął ją śmiertelny chłód i całkowite wyczerpanie, czuła, jak zapada się w ciemność i lodowate zimno, jakby burza szalała na wskroś jej całego ciała...

... leżała na kamiennej posadzce, przed wystygłym popiołem paleniska. Nad nią hulał przejmująco zimny wiatr. Jakby burza, która szła za nią wszędzie podczas jej wizji, przyszła aż tu, by miotać jej ciałem... nie, to nie było tak. Podmuchy cichnącej już burzy otworzyły drewniane okiennice i do pokoju wpadały bicze lodowatego deszczu.

Było jej zimno. Było jej tak zimno, że wydawało jej się, iż już nigdy nie ruszy się z miejsca, ale będzie tak leżała, aż nie zamrznie, aż ziąb przejmujący jej ciało nie zmieni się w sen śmierci. W tej chwili było jej wszystko jedno.

*Musi być kara za pogwałcenie tabu; takie jest prawo. Uczyniłam rzecz zabronioną i nie wyjdę z tego bez szwanku. Jeśli Uther jest bezpieczny, zgadzam się na to, nawet jeśli karą będzie śmierć...* i naprawdę, w tamtej chwili, skulona pod nie dającym już schronienia płaszczem, Igriana czuła, że śmierć byłaby wybawieniem. Przynajmniej nie będzie jej już tak zimno...

Ale Morgiana, Morgiana, która spała blisko tego otwartego okna, jeśli okno nie zostanie zamknięte, zziębnie i może dostać płucnej gorączki... Gdyby chodziło o nią samą, Igriana nie ruszyłaby z miejsca. Ale dla swego dziecka i dla niczemu nie winnej siostry zmusiła się do bolesnego powstania, zmusiła ręce i nogi do ruchu Potykając się, jakby była pijana, doczłapała do okna i przemarzniętymi rękoma usiłowała zamknąć okiennice. Dwa razy wiatr wyrwał je z jej dłoni, słyszała swój własny szloch, kiedy z nimi walczyła. Nie czuła bólu, ale

wiedziała, że zerwała sobie paznokiec, kiedy okiennica zmagala się z nią jak żywa istota. W końcu udało jej się uchwycić framugi i zamknąć okno ostatnim wysiłkiem. Zakładając drewniany skobel, zobaczyła, że przytrzasnęła między okiennicami zsiniały z zimna palec.

W komnacie było wciąż zimno, lodowate zimno. Wiedziała, że bez ognia Morgiana i Morgause i tak zachorują... niczego bardziej w tej chwili nie pragnęła, jak tylko wczłgać się do łoża pomiędzy nie, nie zdejmując płaszcza, i ogrzać się między ich młodymi ciałami. Ale do rana było jeszcze wiele godzin, a to ona nie dopilnowała ognia. Trzęsąc się, okręcając płaszcz ciaśniej wokół ciała, wzięła z kominka szufłę na żar i ruszyła w dół schodów, czując, jak kaleczy przemarznięte stopy, kiedy potyka się o kamienie. W kuchni przed osłoniętym paleniskiem trzy kobiety spały przytulone do siebie i zwinięte jak psiaki. Tu było ciepło, a nad ogniem wisiał parujący kocioł – bez wątplenia owsianka na poranny posiłek. Cóż, to była przecież jej kuchnia i jej owsianka. Igriana zanurzyła kubek w kotle i napiła się gorącej zupy. Ale nawet to nie mogło jej rozgrzać. Potem napełniła szufłę rozżarzonymi węglami i zakryła palenisko, zakryła też szufle; i trzymając ją w zawiniętej fałdzie płaszcza, ruszyła znów w górę schodów. Była słaba, nogi się pod nią uginały, a pomimo gorącego napoju miotały nią takie dreszcze, że bała się, iż upadnie. *Nie wolno mi upaść, bo jak upadnę, to już nigdy się nie podniosę, a żar z szufli roznieci pożar...*

Uklękła przed zimnym kominkiem w swojej komnacie, czując, jak wstrząsają ją coraz mocniejsze dreszcze, a piersi wypełnia ból. Ale nie było jej już zimno, czuła gorąco w całym ciele. Cierpliwie rozpałała ogień, dorzucając małe kawałki łuczywa na rozpałkę, a potem cienkie gałązki. W końcu zajął się długi pień i ogień buchnął w górę, aż pod sufit. Igrianie było teraz tak gorąco, że zrzuciła z siebie płaszcz i chwiejnie podeszła do łoża. Podniosła Morgianę i położyła się z dzieckiem w ramionach. Nie wiedziała jednak, czy zasnęła, czy umarła.

Nie, nie umarła. Śmierć nie przyniosłaby tych przejmujących, naprzemiennych fal zimna i gorąca... Wiedziała, że leży już długo, owinięta w parujące prześcieradła, które zabierano i zmieniano na nowe, kiedy stygły. Wiedziała, że w jej gardło wmuszają gorące napoje, czasem były to mdlące ziołowe napary przeciw gorączce, czasem mocne alkohole mieszane z wodą. Dni, tygodnie, lata, wieki mijały poza nią, kiedy tak leżała trawiona na przemian gorączką i chłodem, znosząc te wszystkie okropności, które wlewano jej w gardło, zbyt słaba nawet, by móc je zwymiotować. Raz przyszła do niej Morgause i spytała z pretensją:

– Jeśli byłaś chora, Igriano, czemu mnie nie zbudziłaś i to mnie nie kazałaś rozpałić ognia?

Ciemny kobiecy kształt, który wtedy zagradzał jej drogę, stał teraz w kącie komnaty i Igriana w końcu poznała jej twarz: to jednak była Śmierć Kostucha, która pilnuje wrót do obszarów zakazanych, a teraz ją ukarze...

Przyszła Morgiana i przyglądała się matce, a na jej małej, poważnej twarzączce malowało się przerażenie. Igriana chciała pocieszyć córeczkę, ale była zbyt słaba, by mówić. Był tam też Uther, wiedziała jednak, że poza nią nikt go nie widzi, nie wypadało jej więc zawołać imienia mężczyzny innego niż jej prawnie poślubiony małżonek... nikt by o niej źle nie pomyślał, gdyby wzywała Gorloisa. Ale nawet jeśli była umierająca, nie chciała na głos wymówić jego imienia, nie chciała o nim więcej słyszeć ani za życia, ani po śmierci.

Czy swą zakazaną magią zdradziła Gorloisa? Czy był to tylko sen, tak samo nierealny, jak jej próba ostrzeżenia Uthera? Czy go uratowała? Wydało jej się, że znów wędruje po lodowatej przestrzeni, starając się w oślepieniu pokonać burzę i zanieść swe ostrzeżenie.

Kiedyś przyszedł ojciec Columba i mamrotał nad nią swoją łacinę, ona była bezsilna. Jakim prawem przyszedł ją denerwować ostatnim namaszczeniem, kiedy ona nie mogła się bronić? Wdała się w czary, wedle jego poglądów była kobietą grzeszną, potępiłby ją za zdradę Gorloisa, chciałby pomścić swego pana. Powróciła znów burza miotająca jej ciałem, bez końca błędziła w zamieci, starając się odnaleźć Morgianę, która się zgubiła, za to widziała Morgause, która miała na głowie koronę Wielkich Królów całej Brytanii. Potem ujrzała Morgianę stojącą na dziobie łodzi, która płynęła po Morzu Lata do Avalonu, Morgiana miała na sobie szaty kapłanki, szaty, które nosiła Viviana... a potem była tylko ciemność i cisza.

Później pokój wypełniał słoneczny blask. Igriana poruszyła się i stwierdziła, że nie może usiąść.

– Leż spokojnie, pani – powiedziała Isotta – za chwilę przyniosę twoje lekarstwo.

Igriana otworzyła usta i zdziwiła się, że wydobył się z nich jedynie szept:

– Jeśli przeżyłam twoje ziołowe wywary, to pewnie i to przetrzymam. Jaki to dzień?

– Tylko dziesięć dni zostało do nocy zimowego przesilenia, pani. A jeśli chodzi o to, co się stało, to wiemy tylko tyle, że w nocy ogień musiał zgasnąć w twej komnacie i do tego okno się otworło.

Panienka Morgause mówi, że widziała, jak wstajesz, pani, by je zamknąć, i potem wyszłaś i wróciłaś z szuflą żaru. Ale nie odzywałaś się i rozpałałaś ogień, więc ona nie wiedziała, że byłaś chora, aż do rana, kiedy płonęłaś w gorączce i nie rozpoznałaś ani jej, ani dziecka.

To było proste wytłumaczenie. Tylko Igriana wiedziała, że jej choroba była czymś więcej, że była karą za próbę czynienia czarów przekraczających jej siły, podczas których jej ciało i dusza wyczerpały się prawie do granicy wytrzymałości.

– A co z... – Igriana zatrzymała się; nie wolno jej spytać o Uthera, cóż ona sobie myśli? – Czy są jakieś nowiny od mego pana, diuka Kornwalii?

– Żadnych, pani. Wiemy, że była bitwa, ale wieści nie nadejdą, zanim drogi nie będą znów przejezdne po tej wielkiej śnieżycy – powiedziała dworka. – Ale teraz nie wolno ci już więcej mówić, pani, musisz się napić gorącej owsianki i zasnąć.

Igriana cierpliwie wypila gorący rosół, który jej przynieśli, i usnęła. Wieści nadejdą, gdy będzie po temu odpowiedni czas.

## 8

W wieczór zimowego przesilenia pogoda znów zmieniła się na cieplejszą. Przez cały dzień śnieg i lód topniał i kapał, drogi zamieniły się w błoto, opadła mgła i miękko ułożyła się nad morzem i zamkowym dziedzińcem. Kiedy ktoś się odezwał, wydawało się, że głos niesie bez końca i odbija się echem. Wczesnym popołudniem na chwilę wyjrzało słońce i Igriana wyszła na dziedzińiec po raz pierwszy od swojej choroby. Czuła się już całkiem dobrze, ale tak jak wszyscy niecierpliwie oczekiwała wieści.

Uther przysiągł, że przyjedzie w zimowe przesilenie. Jak może mu się to udać, skoro rozdzielala ich armia Gorloisa? Przez cały dzień była nieobecna i zamyślona, nawet ostro zbesztala Morgianę, która biegala jak szalona, radujac się wolnością po miesiącach zimowego uwięzienia.

*Nie powinnam się denerwować na moje dziecko tylko dlatego, że myślami jestem przy kochanku!*, pomyślała Igriana i zła na siebie zawołała Morgianę i ucałowała ją. Kiedy ustami dotknęła miękkiego policzka dziewczynki, przebiegł ją zimny dreszcz; swoimi zakazanymi czarami, ostrzeżeniem Uthera o zasadzce Gorloisa, mogła skazać ojca tego dziecka na śmierć...

... ale nie. To Gorlois zdradził swego Najwyższego Króla. Cokolwiek ona, Igriana, uczyniła czy nie, Gorlois był skazany na śmierć, a przez zdradę stanu zasłużył na to. Chyba że rzeczywiście udało mu się przebić swą zdradę zamordowaniem człowieka, którego jego król, Ambrozjusz, wyznaczył na obrońcę całej Brytanii!

Przyszedł do niej ojciec Columba nalegając, by zakazała swej służbie i dworkom rozpalania zimowych ognisk.

– A ty sama, pani, winnaś dać im dobry przykład, przychodząc dziś wieczór na mszę – namawiał. – Od dawna, pani, nie przyjmowałaś sakramentu.

– Byłam chora – odparła obojętnie. – A co do sakramentów, wydaje mi się, że pamiętam, jak dawałeś mi ostatnie namaszczenie, kiedy byłam cierpiąca. Chociaż może mi się tylko śniło? Śniło mi się wiele rzeczy.

– A wśród nich takie – powiedział ksiądz – o jakich żadna chrześcijańska kobieta śnić nie powinna. Tylko przez wzgląd na mego pana udzieliłem ci sakramentu, kiedy nie miałaś możliwości wyznać grzechów, by przyjąć go godnie.

– Oj, wiedziałam, że nie zrobięś tego dla mojego dobra – odrzekła, wyginając wargi w lekkim uśmiechu.

– Nie mam prawa wyznaczać zasięgu Bożej łaski – powiedział ksiądz, a Igriana знаła koniec tej myśli, której nie wypowiedział na głos: jeśli trzeba, będzie się tłumaczył Bożym miłosierdziem, bo z jakichś powodów Gorloisowi zależało na tej kobiecie, więc Bogu pozostawi osąd i bez wątpienia Bóg ją ukarze...

W końcu jednak zgodziła się przyjść na mszę. Chociaż nie przepadała za tą religią, jednak Ambrozjusz był chrześcijaninem, chrześcijaństwo stało się religią światłych ludzi w Brytanii i z pewnością nieodwołalnie będzie coraz popularniejsze. Uther będzie je publicznie wyznawał, niezależnie od swoich prywatnych poglądów na sprawy religii. Nie wiedziała, jakie one są, nie mieli możliwości rozmawiać ze sobą o sprawach sumienia. Czy kiedykolwiek się dowie? *Przysiągł, że przyjedzie do mnie w zimowe przesilenie...*

Igriana spuściła wzrok i starała się skupić uwagę na mszy.

Zapadł zmierzch, Igriana rozmawiała w kuchni ze służbą, kiedy usłyszała ruch za murami i odgłosy konnych jeźdźców. A potem krzyki na dziedzińcu. Zrzuciła na głowę kaptur i wybiegła na zewnątrz, Morgause za nią. Na podjeździe stali jeźdźcy w rzymskich płaszczach, jakie nosił Gorlois, ale strażę zagradzały im drogę swymi długimi pikami.

– Mój pan, diuk Gorlois, zostawił rozkazy, że podczas jego nieobecności nikt nie może wejść do środka.

Jeden z nowo przybyłych, który jechał w środku grupy, uniósł się w siodle. Wydawał się niewiarygodnie wysoki.

– Jam jest Merlin Brytanii – powiedział, a jego mocny głos zadudnił w ciemności i mgle.  
– Odstap, człowieku. Czy mnie zabronisz wstępu?!

Strażnik cofnął się odruchowo, ale przed niego wystąpił ojciec Columba i podniósł ręce w zdecydowanym geście zakazu.

– Ja ci zabraniam! Mój pan, diuk Kornwalii, powiedział, że szczególnie ty, stary czarowniku, w żadnym wypadku nie masz prawa tu wejść!

Żołnierze przyglądali się z otwartymi ustami, a Igriana mimo wściekłości (co za głupi, ograniczony ksiądz!) musiała przyznać, że podziwia jego odwagę. Nie było łatwą rzeczą przeciwstawić się Merlinowi Brytanii.

Ojciec Columba uniósł w górę duży, drewniany krzyż, który nosił u pasa.

– W imię Chrystusa, przepadnij! W imię Boże, powróć do krainy ciemności, z której przychodzisz!

Dźwięczny śmiech Merlina odbił się echem od zamkowych murów

– Dobry bracie w Chrystusie – powiedział. – Twój Bóg i mój Bóg jest jednym. Czy naprawdę myślisz, że zniknę od twego egzorcyzmu? Czy może myślisz, że jestem jakimś diabłem z krainy ciemności? Nie, chyba, że zapadnięcie nocy zesłanej przez Boga nazywasz ciemnością! Przybywam z kraju nie bardziej mrocznego niż Kraj Lata i patrz, ci ludzie, którzy są ze mną, wiozą pierścien jego lordowskiej mości, samego diuka Kornwalii. Spójrz.

Błysnęła pochodnia i jeden z zakapturzonych jeźdźców wyciągnął nagą dłoń. Na pierwszym palcu błyszczał pierścień Gorloisa.

– A teraz wpuść nas, ojczy, bo nie jesteśmy złymi duchami, lecz żywymi ludźmi, którzy są zziębnięci i zmęczeni, gdyż przebyliśmy daleką drogę. Czy może mamy się przeżegnać i zmówić na głos pacierz, żeby ci to udowodnić?

Igriana wysunęła się do przodu, zwilżając nerwowo wargi. Co tu się dzieje? Jeśli oni weszli w posiadanie pierścienia Gorloisa, musieli być rzeczywiście jego posłańcami. Z pewnością musiała znać któregoś z nich. Nie rozpoznała jednak nikogo, wiedziała też, że Gorlois nie wybrałby Merlina na swego wysłannika. Czyżby więc Gorlois nie żył i w ten sposób miała otrzymać wiadomość o jego śmierci?

– Pozwólcie mi zobaczyć pierścień. Czy to naprawdę jego własność czy oszustwo? – powiedziała szybko, zduszonym głosem.

– To naprawdę jego pierścień, pani Igriano – powiedział głos, który znała, i Igriana pochylając głowę, by obejrzeć pierścień w świetle pochodni, ujrzała znajome dłonie, duże, szerokie, z odciskami, a ponad nimi zobaczyła coś, co widziała tylko w swojej wizji.

Wokół owłosionych przedramion Uthera wiły się, wytatuowane niebieskim urzetem, dwa węże, jeden na każdym nadgarstku. Myślała, że kolana odmówią jej posłuszeństwa i osunie się na kamienny podjazd.

Tak przysiągł: *Przyjadę do ciebie w zimowe przesilenie*. I przyjechał, z pierścieniem Gorloisa!

– Mój panie i diuku – powiedział radośnie ojciec Columba, podchodząc bliżej, ale Merlin uniósł dłoń, zakazując mu mówić.

– Cicho! To tajna misja! – powiedział. – Ani słowa.

Książdz odsunął się posłusznie, zaskoczony, lecz pewien, że zakapturzonym człowiekiem jest Gorlois. Igriana złożyła ukłon, wciąż zmagając się z radością i niedowierzaniem.

– Panie, wejdź proszę – powiedziała, a Uther, ciągle ukrywając twarz pod kapturem, wyciągnął dłoń z pierścieniem i uściśnął jej palce. Jej dłoń wydała jej się lodowato zimna, a jego ręka była ciepła i pewna, podtrzymywał ją, kiedy razem weszli do zamkowego holu.

Uciekła się do banałów:

– Czy mam kazać podać wino i posłać po wieczerzę, panie?

Zamruczał jej prawie do ucha:

– Na miłość boską, Igriano, znajdź jakiś sposób, byśmy mogli być sami. Ten książdzulek ma bystre oczy, nawet w mroku, a ja chcę, by wszyscy myśleli, iż naprawdę przyjechał tu Gorlois.

Zwróciła się do Isotty:

– Przynies wódę i piwo żołnierzom, tu do holu, także dla czcigodnego Merlina. Przynies też wódę do mycia i wszystko, czego będą potrzebować. Ja przyjmę mego pana w naszej komnacie. Każ tam natychmiast przysłać wino i wieczerzę.

Służba rozpiezchła się we wszystkich kierunkach, by wypełnić jej rozkazy. Merlin pozwolił służącym zdjąć z siebie płaszcz i ostrożnie umieścił harfę na jednej z ław. W drzwiach stanęła Morgause, rzucając żołnierzom zalotne spojrzenia. Jej oczy napotkały wysoką postać Gorloisa i dygnęła w ukłonie.

– Mój pan Gorlois! Witaj, drogi bracie! – powiedziała i zaczęła iść w jego kierunku.

Uther zrobił niewielki zakazujący gest, a Igriana szybko zasłoniła go sobą. To jest niewiarygodne! Nawet w płaszczu Uther nie przypomina Gorloisa bardziej niż ja sama!

– Mój pan jest strudzony, Morgause – powiedziała ostro – i nie ma nastroju na pogawędkę z dziećmi. Zabierz. Morgianę do swojej komnaty i zatrzymaj ją tam. Dziś w nocy będzie spała z tobą.

Marszcząc brwi z niezadowolenia, Morgause podniosła Morgianę i weszła na górę po schodach. Igriana chwyciła dłoń Uthera i trzymała ją, kiedy wchodzili za Morgause, trzymając się jednak od niej w sporej odległości. Co to za intryga i dlaczego? Kiedy wiodła go do komnaty, którą dzieliła z Gorloisem, serce biło jej tak mocno, że myślała, iż zemdleje. W końcu zamknęła za nimi drzwi.

Gdy znaleźli się w środku, Uther wyciągnął ramiona, by zamknąć ją w uścisku. Odrzucił kaptur i stał tak, z włosami i brodą wilgotnymi od mgły, z wyciągniętymi ramionami, ale ona nie podeszła do niego.

– Mój królu! Co się dzieje? Dlaczego oni wszyscy uważają cię za Gorloisa?

– Taka magiczna sztuczka Merlina – odpowiedział Uther. – Głównie zasługa płaszcza i pierścienia, ale też i trochę czarów. To wyszłoby na jaw, gdyby zobaczyli mnie w pełnym świetle albo bez płaszcza. Ale widzę, że ciebie nie zwiodłem, tak zresztą przypuszczałem. To jawa, Igriano, nie sen. Przysiągłem, że przyjadę do ciebie, Igriano, w zimowe przesilenie i dotrzymałem przysięgi. Czy za moje trudy nie dostanę nawet całusa?

Podeszła i zdjęła z niego płaszcz, ale unikała dotyku.

– Mój królu, jak zdobyłeś pierścień Gorloisa?

Jego twarz sposepniała.

– To? Odciąłem mu z ręki w czasie bitwy, ale ten zdrajca odwrócił się i uciekł. Nie pojmię mnie źle, Igriano, przyjeżdżam wedle prawa, a nie jak złodziej po nocy. Te czary są po to, by chronić twoją reputację w oczach innych, nic więcej. Nie chcę, by moją przyszłą żonę okrzyczano cudzołożnicą. Ale przychodzę tu w majestacie prawa. Życie Gorloisa to życie oszusta. Otrzymał Tintagel jako zaprzysiężony wasal Ambrozjusza Aurelianusza, odnowił tę przysięgę mnie, a teraz ją złamał. Z pewnością to rozumiesz, pani Igriano? Żaden król nie może pozwolić, by jego wasale bezkarnie łamali przysięgi i występowali zbrojnie przeciw niemu.

Schyliła głowę, potakując.

– Przez niego straciłem to, co osiągnąłem przez rok zmagania się z Saksonami. Kiedy opuścił Londinium ze swoimi ludźmi, nie mogłem przeciw nim ruszyć i musiałem się

wycofać i pozwolić im rozgrabić miasto i zabić moich poddanych, których przysięgałem bronić – mówił z goryczą i surowym wyrazem twarzy. – Mogę wybaczyć Lotowi, odmówił złożenia przysięgi. Z nim zresztą też muszę wyrównać rachunki, albo zawrze ze mną pokój, albo dopilnuję, by stracił tron i został powieszony. Ale on nie jest zdrajcą i krzywoprzysięcą. Gorloisowi ufałem. Dał słowo i złamał je, a ja oto jestem na ruinach tego, nad czym Ambrozjusz pracował całe swoje życie, wszystko muszę zaczynać od nowa. To przez Gorloisa zapłaciłem tę cenę i teraz przyszedłem, by odebrać mu Tintagel. Odbiorę mu także życie, i on o tym wie.

Jego twarz przypominała kamienny posąg.

Igriana przełknęła ślinę.

– I jego żonę też posiadasz, wedle prawa, razem z zamkiem?

– Och, Igriano – powiedział, przyciągając ją do siebie obiema rękami. – Od chwili, gdy ujrzałem cię tamtej nocy podczas wielkiej zamieci, wiem, jakiego dokonałaś wyboru. Gdybyś mnie nie ostrzegła, straciłbym najlepszych ludzi i bez wątpienia także życie. Dzięki tobie, gdy nadjechał Gorlois, byłem gotów na jego przyjęcie. To właśnie wtedy zdobyłem jego pierścień, wzięłbym też całą rękę, i głowę, ale przede mną uciekł.

– Wiem doskonale, że nie miałaś innego wyboru, mój królu... – zaczęła Igriana i w tej chwili rozległo się pukanie do drzwi.

Służąca wniosła tacę z jedzeniem i dzban wina.

– Mój panie – powiedziała, składając ukłon.

Igriana mechanicznie wyswobodziła się z ramion Uthera, wzięła od kobiety tacę i zamknęła za nią drzwi. Podniosła płaszcz Uthera, który rzeczywiście niewiele się różnił od płaszcza Gorloisa, i powiesiła go na krawędzi łoża, by wysechł. Uklękła i pomogła mu zdjąć buty, wzięła od niego miecz i pas. Jak posłuszna żona, przemknęło jej przez myśl, ale wiedziała, że dokonała wyboru. Było nawet dokładnie tak, jak mówił Uther: Tintagel należał do najwyższego Króla Brytanii; tak samo jego pani. I było tak z jej własnej woli. Temu królowi oddała swe serce.

Służąca przyniosła suszone mięso ugotowane z soczewicą, bochenek świeżo upieczonego chleba, trochę sera, wino. Uther jadł jak człowiek wyголоzony, mówiąc:

– Od dwóch księżyców jestem w polu dzięki temu przeklętemu zdrajcy, którego zowiesz małżonkiem. To pierwszy posiłek, który jem pod dachem, od święta Samhain, nasz dobry księżulek, tam na dole, z pewnością by mnie upomniał, że mówi się: Wszystkich Świętych.

– To tylko to, co było przygotowane na moją i służby kolację, wcale nieodpowiednie, mój królu...

– Po tym, co jadłem w tym zimnie, to dla mnie posiłek godny Bożego Narodzenia – powiedział, głośno przeżuając, odrywając mocnymi palcami kawałki chleba i nożem ucinając kawałek sera. – Czy nie usłyszę od ciebie nic innego poza tym „mój królu”? Tak marzyłem o tej chwili, Igriano – powiedział, odkładając ser i przypatrując się jej. Objął ją w



pasie i pociągnął do swego krzesła. – Czy nie masz dla mnie ani jednego miłosnego słowa? Czy to możliwe, że wciąż jesteś wierna Gorloisowi?

Igriana pozwoliła, by przyciągnął ją do siebie. Teraz powiedziała to głośno:

– Dokonałam wyboru.

– Tak długo czekałem – wyszeptał, pociągając ją w dół, tak że na wpół uklękła, oparta o jego kolana. Palcami obrysowywał kontury jej twarzy. – Zacząłem się już bać, że to nigdy nie nastąpi, a ty teraz nie masz dla mnie słowa miłości ani przychylnego spojrzenia. Igriano, Igriano, czy ja to wszystko tylko śniłem, że mnie kochasz, że mnie pragniesz? Czy powinienem być zostawić cię w spokoju?

Poczuła zimno. Drżała od stóp do głów. Szepnęła:

– Nie, nie, a jeśli to był sen, to ja śniłam także.

Spojrzała na niego, nie wiedząc, co jeszcze ma zrobić czy powiedzieć. Nie bała się go, tak jak bała się Gorloisa, ale teraz, kiedy chwila nadeszła, poczuła nagłą, dziką panikę, że posunęła się tak daleko.

Wciąż otaczał ją ramieniem. Posadził ją na swoich kolanach, pozwoliła mu mocniej się przytulić, złożyła głowę na jego piersiach.

Otoczył jej drobny nadgarstek swą wielką dłonią.

– Nigdy nie myślałem, że jesteś taka delikatna. Jesteś wysoka, myślałem o tobie jak o dużej kobiecie z królewską postawą, a ty naprawdę jesteś taka maleńka, gołymi rękoma mógłbym cię złamać wpół, jak ptaszka, masz takie drobne kosteczki... – Dłońmi objął jej talię. – I jesteś taka młoda...

– Wcale nie jestem aż taka młoda – powiedziała ze śmiechem. – Od pięciu lat jestem mężatką i mam dziecko.

– Wydajesz się na to za młoda – powiedział Uther. – Czy to była ta malutka, którą widziałem na dole?

– Moja córeczka, Morgiana – odparła Igriana i nagle zdała sobie sprawę, że on też był skrepowany, grał na zwłokę.

Przypomniała sobie, że mimo trzydziestu czterech lat jego doświadczenie ograniczało się do takich kobiet, które mógł mieć na zawołanie, a cnotliwa kobieta równa mu pochodzeniem była dla niego czymś nowym.

Żałowała, nagle nad tym bolejąc, że nie wie, co powinna zrobić lub powiedzieć.

By zyskać trochę czasu, wolną dłonią obrysowywała wijące się węże, wytatuowane wokół jego nadgarstków.

– Nie widziałam ich przedtem...

– Nie – odrzekł. – Otrzymałem je podczas pasowania na króla na Wyspie Smoków. Żałuję, że nie było cię tam ze mną, moja królowo – wyszeptał i ujął jej twarz w obie dłonie, odchylając jej głowę w tył, by pocałować ją w usta. – Nie chcę cię wystraszyć – wyszeptał – ale tak długo marzyłem o tej chwili, tak długo...

Drżąc pozwoliła mu się całować, czując, jak odmienność tego pocałunku pobudza coś dziwnego głęboko w jej ciele. Z Gorloisem nigdy tego nie czuła... i nagle znów ogarnął ją lęk. Z Gorloisem to zawsze było coś, co jej czyniono, a ona nie brała w tym udziału, mogła się od tego odciąć, obserwować bez emocji. Zawsze pozostawała sobą, Igrianą. Teraz, wraz z dotknięciem ust Uthera, zrozumiała, że nie może dłużej pozostać bierna, że już nigdy nie będzie osobą taką jak dotąd. Ta myśl przerażała ją. A jednak świadomość tego, jak bardzo on jej pragnął, burzyła krew w jej żyłach. Zaciśnęła dłoń na węzłach na jego ręce.

– Widziałam je we śnie... ale myślałam, że to tylko sen...

Skinał głowę z powagą.

– Śniłem o nich, jeszcze zanim je dostałem. I mam wciąż wrażenie, że ty także miałaś coś podobnego, wokół ramion... – Znow ujął jej delikatny nadgarstek i wodził po nim palcem. – Tylko, że twoje były złote...

Poczuła na ciele gęsią skórę. A więc to rzeczywiście nie był sen, lecz obraz z Krainy Prawdy.

– Nie pamiętam całego snu – mówił Uther, patrząc ponad jej ramieniem – tylko że staliśmy razem na wielkiej równinie i było tam coś jak ogromny, kamienny krąg... Co to znaczy, Igriano, że mamy te same sny?

Czuła, że głos więźnie jej w gardle, jakby miała się za chwilę rozpląkać.

– Może oznacza to tylko, że jesteśmy sobie przeznaczeni, mój królu... mój panie... mój ukochany.

– Moja królowo, moja umiłowana... – Nagle spojrzął jej w oczy długo i pytająco. – Z pewnością czas snów już się skończył, Igriano. Zanurzył dłonie w jej włosach, wyjmując z nich spinki, pozwolił, by włosy opadły na jej haftowany kołnierz i na jego twarz. Odgarniał długie loki drżącymi rękoma. Podniósł się, wciąż trzymając ją w objęciach. Nigdy nie przypuszczała, że ma takie silne ręce. Przemierzył pokój dwoma wielkimi krokami i położył ją na łożu. Kłękając u jej boku, pochylił się i znów ją pocałował.

– Moja królowo... – zamruczał – żałuję, że nie byłaś koronowana u mego boku, podczas obrzędów... Były tam takie rytuały, o jakich żaden chrześcijanin nie powinien opowiadać, ale Stare Ludy, które żyły tu na długo przed tym, zanim nadeszli Rzymianie, bez tego nie uznałyby mnie za króla. Przebyłem długą drogę, by do ciebie dotrzeć, a część tej drogi, jestem pewien, nie należała do tego świata.

To przypomniało jej o tym, co mówiła Viviana o rozdzielaniu się światów we mgłach. I wspomnienie Viviany przywiodło jej na myśl to, o co Viviana ją prosiła i jak ona się temu sprzeciwiała.

*Nie wiedziałam, byłam wtedy za młoda, niedoświadczona, nic nie rozumiałam. Nie wiedziałam, że coś może mnie tak oszołomić, przeniknąć, ogarnąć.*

– Czy zażądano od ciebie, byś zawarł Wielki Związek z ziemią, jak to było w dawnych czasach? Wiem, że wymagano tego od króla Bana z Mniejszej Brytanii... – Przeszyło ją nagle,

ostre ukłucie zazdrości, że jakaś kapłanka mogła dla niego spełnić rolę symbolu ziemi, której przysięgał bronić.

– Nie – odpowiedział. – I nie jestem pewien, czybym się na to zgodził, ale nie żądano tego ode mnie. Merlin też powiedział, że jeśli zajdzie potrzeba, to on, Merlin, jest zaprzysiężony, by zginąć za nasze ziemie... – przerwał. – Ale to cię pewnie nie obchodzi.

– Zapomniałeś – odrzekła – że byłam wychowana w Avalonie, moja matka była tam kapłanką, a moja starsza siostra jest teraz Panią Jeziora.

– Czy ty też jesteś kapłanką, Igriano? – zaprzeczyła ruchem głowy. Miała zamiar powiedzieć proste „nie”. zamiast tego odrzekła: – Nie w tym życiu.

– Zastanawiam się... – Znów palcami jednej ręki dotknął miejsca na jej nadgarstku, gdzie w wyobraźni widział węże, drugą ręką dotykając swoich tatuaży. – Zawsze mi się wydawało, że żyłem już wcześniej. Uważam, że życie jest zbyt wspaniałe, by mogło się wydarzyć tylko raz, a potem być zdmuchnięte jak lampa powiewem wiatru. I dlaczego, kiedy pierwszy raz spojrzałem w twoją twarz, czułem, jakbym znał cię od początku świata? Te sprawy należą do Misteriów i myślę, że ty wiesz o nich więcej niż ja. Mówisz, że nie jesteś kapłanką, a jednak miałaś dość tajemnej mocy, by przyjść do mnie tamtej nocy wśród wielkiej śnieżycy i ostrzec mnie... Myślę, że chyba nie powinienem cię o to pytać, bo mogę od ciebie usłyszeć coś, czego żaden chrześcijanin wiedzieć nie powinien. A wracając do tego... – Opuszką palca znów dotknął swych węży. – Jeśli nosiłem je we wcześniejszym życiu, może to tłumaczy, dlaczego człowiek, który je tatuował w noc mego mianowania, powiedział mi, że mam do nich prawo. Słyszałem, iż chrześcijańscy księża wygnali wszystkie takie węże z naszych wysp... ale ja nie lękam się smoków i noszę je na znak, że jak smok rozwinę skrzydła mojej opieki nad tą ziemią.

– Jeśli tak się stanie – szepnęła – będziesz z pewnością największym z królów, mój panie.

– Nie nazywaj mnie tak! – przerwał z naciskiem, pochylając się nad nią i zamykając jej usta pocałunkiem.

– Uther – szepnęła, jak we śnie.

Jego dłonie poruszały się przy jej szyi i znów się pochylił, by teraz z kolei ucałować jej nagie ramiona. Ale kiedy zaczął ściągać jej szatę, zadrżała i odsunęła się. Oczy jej wypełniły się łzami i nie mogła wydobyć głosu, ale on położył dłonie na jej ramionach i spojrzał jej w oczy.

– Czy on cię skrzywdził, kochana moja? – spytał miękko. – Niech mnie Bóg ukarze gromem, jeśli kiedykolwiek będziesz się musiała mnie lękać, teraz czy w przyszłości. Z całego serca żałuję, że kiedykolwiek w ogóle byłaś żoną Gorloisa. Gdybym odnalazł cię pierwszy... lecz co się stało, to się nie odstanie. Ale przysięgam ci, moja królowo: nigdy nie będziesz się musiała mnie bać. – W migocącym świetle lampy jego oczy były ciemne, choć wiedziała, że są niebieskie. – Igriano, ja... dla mnie było to oczywiste, bo w jakiś sposób byłem pewien, że ty musisz wiedzieć, co ja czuję. Wiem bardzo niewiele o takich kobietach

jak ty. Jesteś moją miłością, moją żoną, moją królową. Przysięgam ci na mą koronę i na mą męskość, że będziesz moją królową i nigdy nie przedłożę ponad ciebie innej kobiety ani cię nie odsunę. Czy myślisz, że chciałem cię potraktować jak kobietę rozpustną? – Głos mu drżał i Igriana widziała, że był porażony strachem, strachem, że może ją utracić.

Gdy zobaczyła, że on też się boi, że jego też można zranić, jej własny lęk uleciał.

Otoczyła jego szyję ramionami i powiedziała wyraźnie:

– Ty jesteś mą miłością, moim panem i moim królem i będę cię kochać, jak długo żyję i tak długo potem, jak Bóg zechce.

Tym razem pozwoliła mu zdjąć z siebie szatę i naga poszła bez sprzeciwu w jego ramiona. Nigdy, nigdy nie podejrzewała, że to może być tak. Do tej chwili, mimo pięciu lat małżeństwa i urodzenia dziecka, była niewinną dziewicą, niedoświadczoną dziewczynką.

Teraz jej serce, ciało i umysł zlały się w jedno i połączyły się z Utherem tak, jak nigdy nie połączyła się z Gorloisem. Myślała, omdlewając, że nawet dziecko w łonie nie może być mocniej związane ze swoją matką...

Leżał zmęczony na jej ramieniu, jego sztywne, jasne włosy łaskotały jej piersi.

– Kocham cię, Igriano – zamruczał – cokolwiek się stanie, kocham cię. A gdyby przybył tu Gorlois, zabiję go, zanim mógłby cię jeszcze raz dotknąć.

Nie chciała myśleć o Gorloisie. Gładząc jasne włosy na jego czole, wyszeptwała:

– Śpij kochany, śpij.

Ona nie chciała zasnąć. Nawet, kiedy jego oddech stał się ciężki i powolny, leżała z otwartymi oczyma, pieszcząc go delikatnie, by go nie zbudzić. Jego pierś była prawie tak gładka, jak jej własna, pokrywało ją tylko kilka jasnych, miękkich włosków. Dotąd wyobrażała sobie, że wszyscy mężczyźni są zwaliści i owłosieni. Zapach jego ciała był słodki, choć ciężki od potu i miłosnych soków. Czuła, że nigdy nie będzie miała dość dotykania go. Miała ochotę, by się obudził i znów wziął ją w ramiona, a równocześnie zazdrośnie strzegła jego snu. Nie czuła już lęku ani wstydu. To, co z Gorloisem było obowiązkiem i przyzwoleniem, teraz stało się rozkoszą omal nie do zniesienia, tak jakby została połączona z jakąś niewidzialną cząstką swego własnego ciała i duszy.

W końcu usnęła na chwilę, niespokojnie, wtulona w jego ciało.

Spała może z godzinę, gdy obudziło ją poruszenie na dziedzińcu.

Usiadła, odrzucając do tyłu swe długie włosy. Uther sennie pociągnął ją w dół.

– Leż spokojnie, ukochana, do świtu jeszcze daleko.

– Nie – odpowiedziała z instynktowną pewnością. – Nie wolno nam teraz zwlekać.

Zarzuciła suknię i kaftan, zawijając włosy do góry. Lampa się wypaliła i po ciemku nie mogła znaleźć zapinki do włosów. W końcu chwyciła welon, by go zarzucić na głowę, wślizgnęła stopy w buty i zbiegła na dół po schodach. Było wciąż o wiele za ciemno, by widzieć wyraźnie. W wielkim holu padał jedynie słaby blask od osłoniętego ognia. I nagle powietrze przed nią zawirowało i zatrzymała się jak porażona.

Przed nią stał Gorlois, na policzku miał wielkie cięcie od miecza, patrzył na nią z niewypowiedzianym smutkiem, żalem i przerażeniem. To było Przesłanie, które widziała już wcześniej, widmo, zjawa śmierci. Uniósł dłoń i zobaczyła, że nie ma pierścienia i trzech palców. Jego twarz była trupio blada, ale patrzył na nią z bólem i miłością, a jego usta poruszyły się i choć w lodowatej ciszy, która ich otaczała, nie słyszała głosu, wiedziała, że wymówił jej imię.

I w tej chwili zrozumiała, że on także ją kochał, na swój własny, szorstki sposób, i że czymkolwiek ją zranił, robił to z miłości. Zaprawdę, to z miłości do niej pokłócił się z Utherem, zaprzepaścił zarówno honor, jak i szlachecki tytuł. A ona za jego miłość odpłacała mu tylko nienawiścią i niecierpliwością... Dopiero teraz zrozumiała, że tak jak ona zakochała się w Utherze, tak Gorlois kochał się w niej.

Rozpacz ścisnęła jej gardło i już miała krzyknąć w głos jego imię, kiedy powietrze znów zawirowało i zjawa zniknęła, nigdy jej tam nie było. W tym momencie opadła też lodowata cisza wokół niej i usłyszała głosy ludzi krzyczących na dziedzińcu.

– Z drogi! – krzyczał ktoś. – Otwierać! Światła! Dajcie tu światła!

Do holu wszedł ojciec Columba, przytknął pochodnię do osłoniętego kominka i zapalił ją. Pospiesznie otworzył drzwi.

– Co to za wrzaski...

– Wasz pan został zabity, ludu Kornwalii – krzyknął jakiś głos.

– Przynosimy ciało diuka! Otwierać! Gorlois, diuk Kornwalii leży martwy, a my niesiemy jego ciało na pochówek!

Igriana poczuła ramiona Uthera, które podtrzymały ją z tyłu, inaczej by upadła. Ojciec Columba głośno protestował:

– Nie! To nie może być! Diuk przyjechał do domu wczoraj w nocy z kilkorgiem swych ludzi, śpi teraz na górze, w komnacie swojej pani...

– Nie! – To był głos Merlina, spokojny, lecz brzmiący w najdalszych zakamarkach dziedzińca. Wziął pochodnię, odpalił ją od pochodni ojca Columby i podał ją jednemu ze zbrojnych. – Zdrajca diuk nigdy za życia nie powrócił do Tintagel. Twoja pani stoi oto z twym najwyższym panem i twym królem, Utherem Pendragonem. Dziś połączysz ich ślubem, ojczy.

Między ludźmi słyhać było okrzyki i pomruki, a służba, która przybiegła w pośpiechu, stała zaszokowana patrząc, jak do holu wnoszono kołyskę z nie wyprawionej niedźwiedziej skóry.

Igriana odsunęła się od przykrytego ciała. Ojciec Columba pochylił się, na chwilę odsłonił twarz trupa, uczynił znak krzyża, potem znów się odwrócił. Twarz miał zbolałą i wściekłą.

– To są czary, to jest magia! – splunął, wymachując wkoło swym krzyżem. – To przekłete złudzenie, to twoja robota, stary czarowniku!

– Nie waż się tak zwracać do mego ojca! – powiedziała Igriana.

Merlin uniósł dłoń.

– Nie potrzebuję pomocy niewiasty ani żadnego mężczyzny, królu Utherze – powiedział.

– Widzieliście to, co chcieliście zobaczyć, wasz pan powrócił do domu. Tyle że waszym panem nie był krzywoprzysięzca Gorlois, który zaprzepścił Tintagel, lecz wasz prawdziwy pan i Najwyższy Król, który przybył odebrać, co do niego należy. Wracaj do twych kapłańskich obowiązków, ojcze, trzeba wyprawić pogrzeb, a kiedy to się stanie, odprawisz ślubną mszę dla swego króla i mej pani, którą wybrał na swoją królową.

Igriana stała wtulona w ramię Uthera. Spotkała potępiający, pełen nagany wzrok ojca Columby; wiedziała, że chętnie by na nią napadł, nazwał ją dziwką i wiedźmą, ale powstrzymywał go strach przed Utherem. Ksiądz odwrócił się od niej i ukląkł przy ciele Gorloisa; modlił się. Po chwili Uther także ukląkł, jego jasne włosy połyskiwały w świetle pochodni. Igriana ruszyła, by klęknąć obok niego.

Biedny Gorlois. Był martwy, spotkała go śmierć zdrajcy, na którą w pełni zasłużył. Jednak kochał ją, a teraz nie żył.

Powstrzymała ją dłoń na jej ramieniu. Merlin patrzył jej przez chwilę w oczy, a potem powiedział łagodnie:

– Tak więc stało się, Grainné. Twoje przeznaczenie, tak jak zostało przepowiedziane. Uważaj, byś przyjęła je z całą odwagą, na jaką cię stać.

Klękając przy zwłokach Gorloisa, modliła się za niego, a potem, płacząc, za siebie. Za nieznaną los, który ich czekał. Czy rzeczywiście było to przeznaczone od początku świata, czy zostało sprowadzone przez magiczne moce Merlina i Avalonu i przez jej własne czary? Teraz Gorlois leżał martwy, a ona patrzyła na twarz Uthera, już drogą jej i kochaną. Wiedziała, że wkrótce nadejdą inni, a on podejmie ciężar królowania i że już nigdy nie będzie należał tylko do niej tak całkowicie, jak tej ostatniej nocy. Klęcząc pomiędzy swym zmarłym mężem i mężczyzną, którego kochała, walczyła z pokusą, by posłużyć się jego miłością do siebie i namówić go – a wiedziała, że potrafi to uczynić – by odwrócił swą uwagę od spraw królestwa i poświęcił ją tylko jej. Ale Merlin nie połączył ich dla jej własnej przyjemności. Wiedziała, że nalegając, by zatrzymać Uthera, działałaby przeciwko temu samemu przeznaczeniu, które przywiodło ich do siebie, i wszystko by zniszczyła. Kiedy ojciec Columba powstał z klęczek i gestem nakazał ludziom, by wnieśli ciało do kaplicy, dotknęła jego ramienia. Odwrócił się zniecierpliwiony.

– Pani?

– Mam ci wiele do wyznania, ojcze, zanim mój pan i diuk zostanie złożony na wieczny spoczynek i zanim wezmę ślub. Czy wysłuchasz mej spowiedzi?

Patrzył na nią zaskoczony, marszcząc brwi. W końcu odparł:

– O świecie, pani – i odszedł.

Merlin śledził Igrianę wzrokiem, gdy do niego podchodziła. Spojrzała mu w twarz i powiedziała:

– Tu i teraz, mój ojcze, bądź mi świadkiem, że od tej chwili na zawsze skończyłam z czarami. Niech się dzieje wola Boża.

Merlin patrzył łagodnie na jej wzburzoną twarz. Odezwał się głosem tak miękkim, jakiego jeszcze nigdy nie słyszała:

– Czy myślisz, że wszystkie twe czary mogłyby sprawić coś, co już wcześniej nie było wolą Bożą, moje dziecko?

Chwyając się rozpaczliwie resztek równowagi, bo czuła, że jeśli tylko sobie na to pozwoli, rozszoła się tutaj, przy wszystkich tych ludziach, powiedziała:

– Pójdę się odziać, ojcze, i przysposobić jak należy.

– Musisz przywitać dzień, jak przystało na królową, córeczko.

*Królowa.* Dźwięk tego słowa przeniknął jej ciało dreszczem. Ale to dlatego zrobiła to wszystko, co zrobiła, po to się narodziła. Weszła powoli po schodach. Musi obudzić Morgianę i powiedzieć córce, że jej ojciec nie żyje. Na szczęście dziecko jest za małe, by go pamiętać czy po nim rozpaczać.

A kiedy zawołała dworki, każąc im przynieść swe najlepsze szaty, klejnoty i uczesać sobie włosy, w zamyśleniu położyła dłoń na brzuchu. W jakiś sposób, ostatnim tchnieniem magii, zanim na zawsze się jej wyrzekła, wiedziała, że owocem tej jednej nocy, kiedy byli tylko kochankami, a nie królem i królową, będzie syn Uthera. Zastanawiała się, czy Merlin już o tym wie.

## **Mówi Morgiana...**

*Myślę, że moim pierwszym prawdziwym wspomnieniem jest ślub mej matki i Uthera Pendragona. Mego ojca pamiętam tylko trochę.*

*Kiedy jako mała dziewczynka bywałam smutna, wydawało mi się, że go pamiętam, zwałistego mężczyznę z czarną brodą i czarnymi włosami. Pamiętam, że bawiłam się takim łańcuchem, który nosił na szyi.*

*Pamiętam, że kiedy byłam już trochę starsza i czułam się nieszczęśliwa, kiedy karcila mnie matka, albo – co zdarzało się rzadko – Uther mnie zauważał, by mnie zganić, pocieszałam się myślą, że gdyby mój prawdziwy ojciec żył, toby mnie lubił i sadzał na kolanach, i dawał mi piękne podarki. Teraz, gdy jestem starsza i wiem, jakim był człowiekiem, wydaje mi się bardziej prawdopodobne, że kiedy tylko urodziłby mu się syn, umieściłby mnie w klasztorze i już nigdy o mnie nie myślał.*

*Nie, żeby Uther był dla mnie kiedykolwiek niedobry; po prostu córka go nie interesowała. W jego sercu królowała zawsze moja matka, a on w jej. I to miałam mu za złe – że przez tego wielkiego, gburowatego człowieka straciłam matkę. Kiedy Uther wyjeżdżał na wojnę – a w czasie, kiedy dorastałam było mnóstwo bitew – moja matka Igriana pieściła mnie i kochała, własnymi rękoma uczyła mnie prząść i tkać kolorową przędzą. Ale gdy tylko na widoku pojawiały się wojska Uthera, odsyłała mnie do mojej komnaty i zapominała o mnie do czasu, gdy znów nie odjechał. Czy jest więc dziwne, że z całego serca nienawidziłam widoku sztandaru ze smokiem i jakichkolwiek jeźdźców zbliżających się do Tintagel?*

*A gdy urodził się mój brat, zrobiło się jeszcze gorzej. Przy piersi mojej matki pojawiło się to płaczące stworzenie, całe białe i różowe.*

*Najgorsze było to, że ona oczekiwała, iż mnie będzie na nim zależało tak samo jak jej.*

*„To twój mały braciszek”, powtarzała, „Opiekuj się nim i kochaj go”. Kochać go? Nienawidziłam go całym sercem, bo teraz, kiedy się do niej zbliżałam, odpychała mnie i mówiła, że jestem już dużą dziewczynką, za dużą, żeby się wdrapywać na jej kolana, za dużą, żeby przynosić jej moje wstążki do zabawy, za dużą, by składać głowę na jej kolanach, kiedy byłam smutna. Miałam ochotę go szczypać, ale wiedziałam, że ona by mnie za to znienawidziła. Czasami myślałam, że i tak mnie nienawidzi. A Uther strasznie się przejmował moim bratem. Ale myślę, że zawsze miał nadzieję na jeszcze jednego syna. Nigdy mi nie powiedziano, ale jakoś wiedziałam – może podsłuchiłam rozmowy kobiet, może już wtedy miałam większy dar Wzroku, niż zdawałam sobie z tego sprawę – ale wiedziałam, że on po raz pierwszy zległ z moją matką, kiedy ona jeszcze była żoną Gorloisa i wciąż byli tacy, co wierzyli, że to dziecko nie było synem Uthera, ale synem diuka Kornwalii.*

*Nie rozumiałam, jak ktoś w ogóle mógł w to wierzyć, bo jak mówiono, Gorlois był ciemnowłosy i miał orle rysy, a mój brat był taki jak Uther – miał jasne włosy i szare oczy.*

*Nawet jeszcze za życia mego brata, który został koronowany jako król Artur, słyszałam najrozmaitsze opowieści o tym, skąd pochodzi jego imię. Była nawet taka wersja, że imię pochodziło od Arth-Uther, czyli narodzony-z-Uthera, ale tak nie było. Kiedy był dzieckiem, wołano na niego Gwydion – jasny, bo miał takie płowe włosy. To samo imię nosił później jego syn, ale to już inna historia.*

*Prawda jest prosta: kiedy Gwydion miał sześć lat, został wysłany na wychowanie do Ektoriusza, jednego z wasali Uthera w Północnym Kraju, niedaleko Eborakum. I Uther zażądał, by mój brat został ochrzczony jako chrześcijanin, i na chrzcie dano mu na imię Artur.*

*Ale od dnia swych narodzin aż do szóstego roku życia wciąż się koło mnie pętał. Kiedy tylko moja matka Igriana odstawiła go od piersi, wręczyła mi go mówiąc: „To jest twój mały braciszek, a ty musisz go kochać i opiekować się nim”. I gdyby nie to, że matka tak go kochała, to z chęcią zabiłabym to wrzeszczące stworzenie i wyrzuciła do morza ze skały, a potem pobiegła do matki z błaganiem, by znów była tylko moja.*



*Któregoś razu, kiedy przybył Uther, a ona wystroiła się w najlepsze szaty, jak to zawsze dla niego robiła, założyła swój księżycowy kamień i bursztynowy naszyjnik, spojrzęła na mnie i brata, ucałowała nas w pośpiechu i już była gotowa, by pobiec do Uthera, a ja patrzyłam na jej rozpalone policzki, czułam jej oddech przyspieszony ze szczęścia, że jej mężczyzna powrócił do domu – i nienawidziłam obu, Uthera i mojego brata. I kiedy staliśmy tak u góry schodów z płaczem, czekając, aż niania po nas przyjdzie, mały ruszył za nią w dół po schodach krzycząc „Mamo! Mamo!” – wtedy prawie jeszcze nie umiał mówić – upadł i uderzył brodą o stopień. Zawołałam matkę, ale ona już była w drodze do swego króla. Odwróciła się tylko i odkrzyknęła ze złością:*

*– Morgiano, mówiłam ci, żebyś pilnowała dziecka! – i zbiegła w dół.*

*Podniosłam go, otarłam mu brodę swoim welonem, a on wciąż płakał. Rozciął sobie wargę o ząbki – myślę, że wtedy miał wszystkiego osiem czy dziesięć zębów. Wciąż płakał i wołał matkę, ale kiedy nie przychodziła, usiadłam na schodach, trzymając go na kolanach. Objął mnie za szyję swoimi małymi rączkami i wtulił buzię w moją sukienkę, a po chwili, wciąż popłakując, usnął. Ciężył mi na kolanach, jego włoski były miękkie i wilgotne. Był wilgotny także w innym miejscu, ale stwierdziłam, że specjalnie mi to nie przeszkadza. Z tego, jak się we mnie wtulał, rozumiałam, że on nawet nie wie, iż nie śpi w ramionach matki. Pomyślałam, że Igriana zapomniała o nas obojgu, zostawiła go tak samo, jak zostawiła mnie. A więc teraz ja muszę być jego matką.*

*Potrząsnęłam nim troszkę, a kiedy się obudził, oplótł mi szyję rączkami, żebym go podniosła, a ja przewiesiłam go sobie przez biodro, tak jak robiła nasza niania.*

*– Nie płacz – powiedziałam. – Zabiorę cię do niani.*

*– Mamo – jęknął.*

*– Mama poszła i jest z królem – powiedziałam – ale ja się tobą zajmę, braciszku.*

*I trzymając w dłoni jego pulchną rączkę rozumiałam, o co chodziło Igrianie: byłam za dużą dziewczynką, żeby płakać i garnąć się do matki, bo teraz miałam pod swoją opieką maleństwo.*

*Myślę, że miałam wtedy wszystkiego z siedem lat.*

*Kiedy Morgause, siostra mojej matki, została wydana za króla Lota, pamiętam tylko, że był to dzień, gdy po raz pierwszy założyłam dorosłą suknię i bursztynowy naszyjnik w srebrnej oprawie. Lubiłam Morgause, bo często miała dla mnie czas, kiedy nie miała go matka, i opowiadała mi historie o moim ojcu. Po jego śmierci, jak mi się wydaje, Igriana nigdy nie wymówiła jego imienia. Ale chociaż kochałam Morgause, to bałam się jej, bo czasem mnie szczypała, ciągnęła za włosy i nazywała męczącym bachorem. I to ona pierwsza wymyśliła dla mnie przezwisko, przez które wtedy płakałam, choć dzisiaj jestem z niego dumna. Morgause szydziła:*

– Jesteś zrodzona z czarownego ludu. Dlaczego nie pomalujesz twarzy na niebiesko i nie ubierzesz się w jelenie skóry, Morgiano Czarodziejko! – Wiedziałam niewiele o przyczynach zaślubin i dlaczego Morgause wychodziła za mąż tak młodo. Wiedziałam, że matka cieszyła się z jej małżeństwa i wyjazdu, bo wyobrażała sobie, że Morgause zerka na Uthera pożądliwie; chyba nie zdawała sobie sprawy z tego, że Morgause patrzyła pożądliwie na każdego mężczyznę, jakiego spotykała. Była jak goniąca się suka, choć myślę, że głównie dlatego, iż nikomu tak naprawdę nie zależało na tym, co robiła. Na ślubie, wystrojona w moją nową świąteczną suknię, słyszałam, jak mówiono, co to za szczęście, że Uther tak szybko zażegnał swą kłótnię z Lotem z Orkney, dając mu nawet za żonę swą własną szwagierkę. Uważałam, że Lot był czarujący. Jak myślę, tylko Uther był zupełnie odporny na ten urok. Wydawało się, że Morgause naprawdę go kocha albo może tylko uznała za słuszone udawać, że tak jest.

Myślę, że to właśnie było moje pierwsze spotkanie z Panią Avalonu, które pamiętam. Tak jak Morgause, była moją ciotką, także pochodziła z dawnego ludu – była mała i ciemna, rumiana, w czarne włosy miała wplecione purpurowe wstążki. Już wtedy nie była młoda, ale uważałam, tak jak zawsze uważam od tamtej chwili, że była piękna. Głos miała głęboki i miękki. A najbardziej lubiłam w niej to, że zawsze zwracała się do mnie, jakbym była kobietą równą jej wiekiem, bez tej zdrobniałej sztuczności, z jaką większość dorosłych zwraca się do dzieci.

Weszłam do holu trochę spóźniona, bo moja niania nie mogła zapleść mi wstążek we włosy i w końcu musiałam zrobić to sama; zawsze byłam zręczna i potrafiłam szybko i sprawnie robić wiele rzeczy, które dorosłym szły o wiele wolniej. Już wtedy przedtłam równie dobrze jak moja matka i o wiele lepiej, niż Morgause kiedykolwiek umiała to czynić. Byłam z siebie bardzo dumna, ze swojej szafranowej sukni i obrębionych złotem wstążek, i naszyjnika z bursztynu, który dostałam w miejsce dzieciennych koralików, z których wyrosłam. Ale przy głównym stole nie było już miejsca i zawiedziona krążyłam dokoła. Wiedziałam, że w każdej chwili matka może mnie zesać do mniejszego stołu albo zawołać niankę, żeby mnie wyprowadziła, albo zwrócić na mnie uwagę wszystkich, wołając służącą. Żeby mi przyniosła krzesło. A choć byłam księżniczką Kornwalii, to na dworze Uthera w Caerleon byłam tylko córką królowej i człowieka, który zdradził swego Najwyższego Króla.

I wtedy zobaczyłam małą, śniadą kobietę, naprawdę tak malutką, że z początku myślałam, iż to tylko trochę starsza ode mnie dziewczynka. Siedziała na wyszywanym taborecie. Wyciągnęła do mnie ramiona i powiedziała:

– Choć tutaj, Morgiano. Pamiętasz mnie?

Nie pamiętałam, ale spojrzałam na jej śniadą, promienną twarz i poczułam, jakbym znała ją od początku wszelkiego czasu.

*Wahałam się chwilę, bo bałam się, że każe mi usiąść na swoich kolanach, jakbym była małym dzieckiem. Ale ona uśmiechnęła się i przesunęła na brzeg taboretu. Teraz widziałam, że nie była dziewczynką, ale kobietą.*

*– Żadna z nas nie jest zbyt duża – powiedziała. – Myślę, że ten taboret pomieści nas obie, bo był zrobiony dla o wiele większych ludzi.*

*Od tej chwili ją pokochałam, tak bardzo, że czasem czułam się, winna, bo ojciec Columba, spowiednik mojej matki, mówił, że powinnam czcić swego ojca i matkę ponad wszystkich innych ludzi.*

*Tak więc przez całe weselne przyjęcie siedziałam obok Viviany i dowiedziałam się, że była przybraną matką Morgause – bo ich matka zmarła przy porodzie Morgause, a Viviana karmiła siostrę jak własne dziecko. To mnie fascynowało, bo byłam zła, kiedy moja matka nie pozwoliła oddać mojego braciszka do mamki i karmiła go własną piersią. Uther mówił, że królowej nie wypada tak czynić, i w tym się z nim zgadzałam; nienawidziłam widoku Gwydiona przy piersi Igriany. Przypuszczam, że tak naprawdę to byłam po prostu zazdrosna, ale wstydziłabym się do tego przyznać.*

*– Czy w takim razie wasza matka, twoja i Igriany, była królową? – spytałam, bo Viviana była ubrana tak bogato jak Igriana i każda z królowych Północy.*

*– Nie, Morgiano, nie była królową, lecz wielką kaptanką, Panią Jeziora. A ja jestem Panią Avalonu na jej miejscu. Pewnego dnia może ty też będziesz kaptanką. Płynie w tobie stara krew, a być może masz także dar Wzroku.*

*– Co to jest Wzrok?*

*Zmarszczyła brwi.*

*– Igriana ci nie powiedziała? Powiedz mi, Morgiano, czy kiedykolwiek zdarza ci się widzieć rzeczy, których inni nie mogą zobaczyć?*

*– Cały czas – powiedziałam, zdając sobie nagle sprawę, że ta wspomniała pani wszystko o mnie wie. – Tylko że ojciec Columba mówi, że to działanie diabła. A mama mówi, że nie powinnam o tym opowiadać i nigdy nikomu o tym nie wspominać, nawet jej, bo to nie są rzeczy odpowiednie na chrześcijańskim dworze i gdyby Uther się o tym dowiedział, toby mnie posłał do klasztoru. A mnie się wydaje, że nie chcę iść do klasztoru i nosić czarnych sukien i już nigdy się nie uśmiechać.*

*Viviana rzuciła słowo, za które kiedyś niania wyszorowała mi usta dziegciowym mydłem, którego się używa do szorowania podłogi i kuchni.*

*– Posłuchaj mnie, Morgiano. Twoja matka ma rację, że nigdy nie powinnaś o tym mówić ojcu Columbie...*

*– Ale Bóg by się na mnie gniewał, gdybym skłamała księdzu.*

*Znowu powiedziała to brzydkie słowo.*

*– Posłuchaj, drogie dziecko: to ksiądz jest zły, jeśli mu skłamiesz, i wmawia ci, że to jego Bóg jest zły. Ale Wielki Stwórca ma lepsze rzeczy do roboty, niż gniewać się na młodych ludzi,*

*a to jest sprawa twego własnego sumienia. Zaufaj mi, Morgiano: nigdy nie mów ojcu Columbie więcej, niż musisz, ale zawsze wierz w to, co mówi ci Wzrok, bo to przychodzi do ciebie bezpośrednio od Bogini.*

*– Czy Bogini to to samo co Maria Dziewica, Matka Boska?*

*Viviana zmarszczyła brwi.*

*– Wszyscy Bogowie są jednym Bogiem i wszystkie Boginie są jedną Boginią. Wielka Bogini nie będzie na ciebie zła, jeśli nazwiesz ją imieniem Marii, która była dobra i kochała ludzi. Słuchaj, moja droga, to nie jest rozmowa na tę okazję. Ale przysięgam ci, że dopóki w mym ciele jest życie i tchnienie, nigdy nie pójdziesz do klasztoru, bez względu na to, co każe Uther. Teraz, kiedy wiem, że masz dar Wzroku, poruszę niebo i ziemię, jeśli będzie trzeba, żeby sprowadzić cię do Avalonu. Czy to będzie nasz sekret, Morgiano? Obiecasz mi to?*

*– Obiecuję – odpowiedziałam, a ona pochyliła się i pocałowała mnie w policzek.*

*– Słuchaj, harfiarze zaczynają grać do tańca. Czy Morgause nie wygląda pięknie w tej błękitnej szacie?*

## 9

Pewnego wiosennego dnia, siódmego roku panowania Uthera Pendragona w Caerleon, Viviana, kapłanka Avalonu i Pani Jeziora, wyszła o zmierzchu, by spojrzeć w swe magiczne zwierciadło.

Choć tradycja, wedle której kobieta pełniła urząd kapłanki, była starsza od Druidów, Viviana podzielała jedną z zasad druidycznej wiary: że wielkie siły, które stworzyły wszechświat, nie powinny być czczone w pomieszczeniach zbudowanych ludzkimi rękoma, a Wieczności nie wolno zamykać w żadnym przedmiocie ludzkiego wyrobu. Dlatego zwierciadło Pani Jeziora nie było zrobione z brązu ani nawet ze srebra.

Za nią wznosiły się szare głazy starożytnej Świątyni Słońca, zbudowanej przez Lud Świetlisty, który wieki temu przybył tu z Atlantis.

Przed nią leżało wielkie jezioro, otoczone wysokimi, falującymi trzcinami i otulone mgłą, która teraz otaczała ziemie Avalonu nawet w słoneczne dni. Ale poza tym jeziorem rozciągały się tu inne jeziora i wyspy na całej przestrzeni zwanej Krajem Lata. Przez większość roku były to zalane słońcą wodą trzęsawiska i moczary, ale w środku lata bagna osychały w słońcu, odsłaniając żyzną ziemię, zdatną do wypasania na niej zwierząt, bogato porośniętą trawą i roślinnością.

W tym miejscu Brytanii morze cofało się rok za rokiem, oddając coraz więcej suchego lądu... kiedyś cała ta ziemia będzie żyzna i bogata. Ale nie Avalon. W tej chwili Avalon leżał na wieki zatopiony we mgłach, ukryty dla wszystkich, poza garstką wiernych. Kiedy pielgrzymi przybywali do chrześcijańskiego klasztoru, który mnisi nazywali Szklanym

Miastem, Świątynia Słońca była dla nich niewidoczna, istniała w innym, obcym świecie. Patrząc na Świątynię za pomocą Wzroku, Viviana mogła dostrzec kościół, który zbudowano na jej miejscu.

Wiedziała, że kościół był tam od dawna, choć jej stopa nigdy w nim nie powstała. Wieki temu – tak powiedział jej Merlin, a ona mu wierzyła – niewielka grupka księży przybyła tu z południa.

Przywiedli ze sobą swego proroka Nazarejczyka na nauki; historia utrzymuje, że rzeczywiście sam Jezus był tutaj kształcony, w świętym miejscu Druidów, gdzie niegdyś wznosiła się Świątynia Słońca, i że tu posiadał całą ich mądrość. A wiele lat później, kiedy – jak mówiła historia – ich Chrystus został złożony w ofierze, swym życiem wypełniając prastare Misterium Poświęcającego się Boga (Misterium to było starsze niż sama Brytania), jeden z jego krewnych powrócił tutaj i wbił swój kostur w ziemię na Świętym Wzgórzu, a laska zakwitła jako krzew głogu, który odtąd kwitł nie tylko latem, ale przez cały rok, także wśród zimowych śniegów. A Druidzi na pamiątkę łagodnego proroka, którego znali i kochali, zgodzili się, by Józef z Arymathei wybudował na terenie Świętej Wyspy kaplicę i klasztor poświęcone swemu Bogu; gdyż wszyscy Bogowie są jednym.

Ale to było bardzo dawno. Przez jakiś czas chrześcijanie i Druidzi żyli obok siebie, czcąc Jedyne, ale potem na wyspę przybyli Rzymianie i choć byli powszechnie znani z tolerancji dla lokalnych bóstw, bezwzględnie zwalczali Druidów. Wycinali i palili ich święte gaje, rozpowszechniali kłamstwa, że Druidzi składają ofiary z ludzi.

Prawdziwą winą Druidów było oczywiście to, że podburzali ludność, by nie akceptowała rzymskiego prawa i rzymskiego pokoju. A potem, w jednym ogromnym akcie potężnej magii Druidzi dokonali ostatniej wielkiej zmiany w świecie, by ocalić ten jedyny przybytek swej wiedzy. Przesunęli Wyspę Avalon z ludzkiego świata. Teraz wyspa leżała we mgle, która ją skrywała, a dostęp do niej mieli tylko wtajemniczeni, którzy pobierali tu nauki, i ci, którym pokazano sekretne przejście przez Jezioro. Ludzie Plemion wiedzieli o Wyspie i na niej oddawali swą cześć. Od kiedy cesarz Konstantyn po jakiejś wizji, którą miał na polu bitwy, hurtem ochrzcił swoje legiony, Rzymianie wierzyli, że wszyscy Druidzi zostali wytępieni przez ich Chrystusa. Nie wiedzieli, że na ukrytej wyspie kilku pozostałych przy życiu Druidów dalej przekazywało młodym pokoleniom swą starożytną wiedzę.

Kiedy chciała, Viviana mogła widzieć podwójnym Wzrokiem, gdyż była Najwyższą Kapłanką Avalonu. Jeśli chciała, mogła oglądać wieżę, którą zbudowano na szczycie samego Toru, na Świętej Górze Inicjacji. Była to wieża dedykowana Michałowi, jednemu z ich żydowskich aniołów, którego zadaniem było ponoć trzymanie w ryzach podziemnego świata demonów. To bolało Vivianę jako bluźnierstwo, nawet teraz, ale pocieszała się myślą, że przecież nie działo się to w jej świecie. Jeśli ci ograniczeni chrześcijanie woleli myśleć o wielkich, starych Bogach jako o demonach, to tylko oni stawali się przez to ubożsi. Bogini

żyła, cokolwiek chrześcijanie o niej myśleli. Viviana skupiła myśli na swych własnych sprawach.

Przyszła tu, by spojrzeć w magiczne zwierciadło, póki na niebie stał księżyc w nowiu.

Choć było jeszcze na tyle jasno, że mogła widzieć bez trudu, Pani Jeziora niosła ze sobą maleńką lampkę, migocącą nikłym światłem.

Odwróciła się od trzciny i słonych bagien i podążyła dróżką w głąb wyspy, wolno wspinając się po stromym brzegu, mijając kamienne ruiny starych chat, które dawno temu wybudowali nad jeziorem mieszkający tu ongiś ludzie.

Blask jej niewielkiej lampki stawał się coraz bardziej widoczny w ciemnościach. Czysty, cieniutki sierp wschodzącego księżyca błyszczał ponad drzewami, jak srebrny naszyjnik na szyi kapłanki.

Szła wzdłuż starej procesjonalnej drogi, wspinając się powoli – bo choć była wciąż silna i pełna werwy, nie była już młoda – aż dotarła do jeziora – zwierciadła, leżącego cicho pomiędzy wielkimi, pradawnymi głazami.

Woda była czysta, odbijała światło księżyca. Kiedy przystanąła, zamigotało w niej także światło lampy. Pochyliła się, zanurzyła dłoń w wodzie i napiła się. Było zabronione, by zanurzać w tej wodzie jakąkolwiek rzecz zrobioną ludzkimi rękoma. Powyżej, gdzie ze skały tryskało źródło, pielgrzymi mogli przychodzić z dzbanami i nabierać wody, ile chcieli. Gdy poczuła czysty, metaliczny smak wody, jak zawsze ogarnął ją zachwyty: to źródło płynęło od początku świata i będzie płynęło na wieki, hojne i magiczne, dostępne dla wszystkich ludzi. Z pewnością źródło takie jak to było darem Wielkiej Bogini. Pijąc, Viviana ukłękła i uniosła twarz do wschodzącego na niebie wąskiego sierpa księżyca.

Ale po tej chwili zachwyty, którego doznawała zawsze, odkąd przyszła tu pierwszy raz jako nowicjanka z Domu Dziewcząt, wróciła do swoich spraw. Ustawiła lampkę na płaskiej skale tuż przy krawędzi wodnego zwierciadła, by jej światło odbijało się w wodzie tak, jak światło księżyca. Teraz obecne były cztery żywioły: ogień w lampie, którą przyniosła; woda, której się napiła; ziemia, na której stała; a gdy wezwała siły powietrza, jak zwykle podczas wymawiania zaklęcia, podmuch wiatru zmarszczył spokojną powierzchnię wody.

Przez chwilę siedziała medytując. W końcu sformułowała dla siebie pytania o sprawy, w których chciała poradzić się magicznego zwierciadła.

*Co dzieje się z Brytanią? Co dzieje się z moją siostrą i jej córeczką, urodzoną na kapłankę, i z jej synkiem, który jest nadzieją Brytanii?*

Przez chwilę, kiedy wiatr marszczył wody zwierciadła, widziała tylko przelotne, pomieszane obrazy – czy były one tylko w jej umyśle, czy rzeczywiście pojawiały się na niespokojnej wodnej tafli?

Dostrzegła urywki bitew, zamazane falami na wodzie, zobaczyła sztandar Uthera ze smokiem i swoich ludzi z Plemion walczących u jego boku. Widziała Igrianę strojną i w koronie, taką, jaką widziała ją w rzeczywistości. A potem przez mgnienie, które sprawiło, że

serce zabiło jej mocniej, zobaczyła płaczącą Morgianę; w kolejnym, porażającym widzeniu ujrzała jasnowłosego chłopca, leżącego spokojnie, bez ruchu – czy był żywy czy martwy?

Potem księżyc zniknął we mgle i wizja się skończyła. Choć starała się, jak mogła, Viviana nie była w stanie przywołać jej z powrotem, widziała już tylko niewyraźne migawki: Morgause piastującą swego drugiego synka, Lota i Uthera chodzących po wielkim holu i obrzucających się gniewnymi słowami i niewyraźne wspomnienie posiniaczonego, umierającego dziecka. Ale czy te rzeczy się wydarzyły, czy było to tylko ostrzeżenie przed czymś, co ma nadejść?

Przygryzając wargi, Viviana pochyliła się i podniosła swoją lampkę. Pozostałe w niej krople oliwy strzepnęła do wody – oliwa palona, by przywołać Wzrok, nie powinna być nigdy używana do zwykłych celów. W zapadającej ciemności wróciła szybkim krokiem po procesjonalnej drodze do miejsca zamieszkania kapłanek.

Zawołała do siebie te, które jej tego dnia usługiwały.

– Przygotujcie wszystko do drogi o pierwszym brzasku – powiedziała. – I powiadomcie moją nowicjatkę, by była gotowa do pełnienia obrzędów przy pełni księżyca, bo zanim przybędzie go choćby o dzień, ja muszę być w Caerleon. Zawiadomcie Merlina.

## 10

Jechali głównie wczesnym rankiem, w południe leżeli ukryci i ruszali znów o zmierzchu. W tej chwili kraj był spokojny – wojna toczyła się daleko na wschodzie. Ale od dawna wiadano o bandach saksońskich maruderów czy rzezimieszkach z Północy, którzy napadali na wioski lub odizolowane wiejskie posiadłości. Podróżni byli ostrożni i jeśli nie mieli ze sobą zbrojnych dla ochrony, nie ufali nikomu.

Viviana spodziewała się prawie, że dwór Uthera będzie opuszczony i znajdzie w nim tylko kobiety, dzieci i mężczyzn niezdolnych do walki, ale już z daleka dostrzegła łopocący na maszcie sztandar ze smokiem, znak, że król jest w domu. Zacisnęła usta. Uther ani nie lubił, ani nie ufał Druidom i Świętej Wyspie. A jednak posadziła na tronie tego człowieka, którego nie lubiła, bo był najlepszym z przywódców, jacy pojawili się w tym kraju. Teraz musiała znaleźć sposób, by z nim współpracować. Przynajmniej nie był na tyle oddanym chrześcijaninem, by stawiać sobie za cel wytrzebienie innych religii. *Lepiej, myślała, mieć za Najwyższego Króla człowieka nie najwyższych lotów niż religijnego fanatyka.*

Od jej ostatniego pobytu na dworze Uthera obronne mury wspięły się wyżej. Na obwarowaniach stały strażę, które teraz zatrzymały jej grupę. Dała swym ludziom rozkazy, by nie wymieniali żadnego z jej tytułów, a powiedzieli jedynie, że przybyła siostra królowej. Nie była to chwila odpowiednia na to, by wymagać hołdów należnych jej jako Pani Avalonu, misja, z którą przyjechała, była zbyt pilna.

Poprowadzono ich przez porośniętą trawą dziedziniec, obok zapasów nagromadzonych tak, jak w ufortyfikowanych twierdzach.

Gdzieś w dali słyszała odgłosy snycerzy czy kowali, walących w swe młoty. Pasterki ubogo odziane w tuniki ze skór wpędzały bydło na noc, Viviana uniosła brwi, rozpoznając wszystkie przygotowania do oblężenia.

Zaledwie kilka lat temu w Tintagel Igriana wybiegła ją powitać na dziedziniec. Teraz poważny, bogato wystrojony szambelan, jednoręki – bez wątpienia wojskowy weteran z armii Uthera – powitał ją uroczystym ukłonem i powiódł do komnaty na wyższej kondygnacji.

– Przykro mi, Pani – powiedział – ale brakuje nam pomieszczeń mieszkalnych. Będziesz musiała dzielić komnatę z dwiema damami dworu królowej.

– Będę zaszczycona – odpowiedziała dostojnie.

– Przyślę służącą. Wystarczy, że rozkażesz, Pani, a ona przyniesie wszystko, czego tylko ci trzeba.

– Wszystko, czego mi potrzeba – powiedziała Viviana – to trochę wody do mycia i informacja, kiedy zobaczę swoją siostrę.

– Pani, jestem pewien, że królowa przyjmie cię w odpowiednim czasie...

– Czyżby Uther trzymał dwór na modłę cesarów? Słuchaj no, człowieku, jestem Panią Avalonu i nie nawykłam, by kazano mi czekać. Ale jeśli Igriana wspięła się aż na takie wyżyny, to proszę cię, przyślij do mnie panienkę Morgianę najszybciej, jak to możliwe!

Jednoręki weteran aż się cofnął, ale kiedy znów się odezwał, mówił już mniej formalnie, a bardziej po ludzku.

– Pani, jestem pewien, że królowa przyjęłaby cię z chęcią od razu, ale przybyłaś w chwili niebezpieczeństwa i kłopotów. Młody książę Gwydion tego ranka spadł z konia, na którym nikt nie powinien mu pozwolić jeździć, i królowa nie odchodzi od niego nawet na chwilę!

– Na Boginię! A więc przybywam za późno! – Viviana cicho szepnęła do samej siebie. Głośno zaś powiedziała: – Zaprowadź mnie do nich, natychmiast. Jestem uczona we wszelkich sztukach uzdrawiania i jestem pewna, że Igriana by po mnie posłała, gdyby wiedziała, że tutaj jestem.

Szambelan skłonił się, mówiąc:

– Tędy, Pani.

Idąc za nim, Viviana przypomniała sobie, że nawet nie miała czasu, by zmienić strój i zdjąć męskie bryczesy, które wkładała do konnej jazdy. A przecież zamierzała zaprezentować się w całym dostojństwie Avalonu. Cóż, były rzeczy ważniejsze.

Szambelan zatrzymał się przed drzwiami.

– Rzykuję głową, przeszkadzając królowej. Nawet swoim dworkom nie pozwala przynieść sobie jedzenia i picia...

Viviana pchnęła ciężkie drzwi i weszła do komnaty. Śmiertelna cisza, jak w pokoju umierającego. Błada i wycieńczona Igriana w potarganych szatach, zastygła jak kamienny



posąg, klęczała przy łożu. Ubrany na czarno ksiądz stał bez ruchu, mrużąc bezgłośnie modlitwy. Mimo że poruszała się cicho, Igriana ją usłyszała.

– Jak śmiesz – zaczęła wściekłym szeptem i nagle przerwała. – Viviano! Bóg mi cię zsyła!

– Dostałam ostrzeżenie, że możesz mnie potrzebować – powiedziała Viviana. To nie był czas na rozprawianie o magicznych wizjach. – Nie, Igriano, płaczem niczego dobrego nie zdziałasz – dodała. – Pozwól mi go zbadać i zobaczyć, w jakim jest stanie.

– Lekarz królewski...

– To pewnie stary dureń, który zna tylko nalewki z koziego łajna – odrzekła spokojnie Viviana. – Leczyłam takie rany, zanim ty wyrosłaś z pieluch, Igriano. Pozwól mi zbadać dziecko.

Viviana widziała Utherowego syna tylko raz, przelotnie; miał wtedy około trzech lat i wyglądał jak każdy jasnowłosy i jasnooki dzieciak. Teraz wyciągnął się do wzrostu niezwykłego jak na jego wiek – był szczupły, ale miał dobrze umięśnione ręce i nogi, podrapane i poobijane jak u każdego ruchliwego chłopca. Viviana odkryła go i zobaczyła na jego ciele wielkie, świeże siniaki.

– Czy wypluł choć trochę krwi?

– Ani trochę. Krew na jego wargach jest stąd, że wybił sobie zęba, ale ten ząb i tak się kiwał.

Viviana rzeczywiście dostrzegła opuchniętą wargę i dziurę po zębie w ustach dziecka. Poważniejszy był siniec na skroni i Viviana przeżyła chwilę prawdziwego strachu. Czyżby to był koniec wszystkich jej planów?

Małym palcem wodziła po głowie chłopca. Kiedy dotknęła sińca na skroni, zobaczyła, że skrzywił się z bólu. To był najlepszy znak, jakiego mogła się spodziewać. Gdyby krwawił wewnątrz czaszki, do tego czasu byłby już w głębokiej śpiączce i nie czułby nawet największego bólu. Pochyliła się i uszczypnęła go bardzo mocno w udo.

Jęknął przez sen.

Igriana zaprotestowała:

– Sprawiasz mu ból!

– Nie – odpowiedziała Viviana. – Staram się dowiedzieć, czy będzie żył, czy umrze. Wierz mi, będzie żył. – Delikatnie klepnęła go w policzek, a chłopiec na chwilę otworzył oczy.

– Podaj mi świecę – zażądała Viviana i poruszyła świecą w polu jego widzenia.

Przez chwilę wodził wzrokiem za płomieniem, a potem znów zamknął oczy i jęknął z bólu.

Viviana podniosła się z łoża.

– Zadbaj, żeby leżał spokojnie, nie dawaj mu jeść niczego poza wodą i zupą, niczego konkretnego przez dzień lub dwa. I nie maczaj jego chleba w winie, a tylko w zupie lub mleku. Za trzy dni będzie biegał jak dawniej.

– Skąd wiesz? – zapytał ksiądz.

– Bo mam doświadczenie w leczeniu, a jak myślisz skąd?

– Czy nie jesteś wiedźmą z Wyspy Czarownic?

Viviana zaśmiała się cicho.

– W żadnym wypadku, ojcie. Jestem kobietą, która tak jak ty spędziła życie na studiowaniu świętych tajemnic, a Bóg uznał za słuszne dać mi dar leczenia. – Pomyślała, jak sprytnie potrafi użyć ich własnego żargonu przeciwko nim; ona wiedziała, on nie, że Bóg, którego czczą, jest potężniejszy i mniej zakłamany niż jakikolwiek kapłan.

– Igriano, muszę z tobą pomówić, chodź ze mną...

– Muszę tu zostać, gdyby znów się obudził, będzie mnie wołał...

– Bzdura, przyślij tu niańkę. Chodzi o coś ważnego!

Igriana wpatrywała się w nią przez chwilę.

– Zawołaj Isottę, by czuwała przy księciu – powiedziała w końcu do jednej z dworek i poszła za Vivianą.

– Igriano, jak to się stało?

– Nie jestem pewna... mówią, że dosiadł ogiera swego ojca...nie wiem na pewno... wiem tylko, że wnieśli go tu jak martwego...

– I to tylko twoje szczęście, że rzeczywiście nie był martwy powiedziała wzburzona Viviana. – Czy to tak Uther pilnuje bezpieczeństwa swego jedynego syna?

– Viviano, nie wypominaj mi tego... próbowałam dać mu innych synów... – odparła Igriana drżącym głosem. – Ale myślę, to kara za moje cudzołóstwo, iż nie mogę urodzić Utherowi wielu synów...

– Czyś ty oszalała, Igriano? – wybuchnęła Viviana, ale się opanowała. Nie powinna pouczać siostry teraz, kiedy ta była załamana i wycieńczona czuwaniem przy chorym dziecku. – Przyjechałam, bo przewidziałam jakieś niebezpieczeństwo, które grozi – tobie albo dziecku. Ale o tym pomówimy później. Zawołaj swoje kobiety, załóż świeże szaty, a... kiedy ty w ogóle ostatnio coś jadłaś? – spytała, patrząc na siostrę badawczo.

– Nie pamiętam... wczoraj wieczorem chyba zjadłam trochę chleba i napiłam się wina...

– Więc zawołaj służbę i zjedz coś – powiedziała Viviana niecierpliwie. – Wciąż jestem cała zakurzona z drogi. Pozwól, że pójdę i zmyję z siebie kurz i brud podróży i założę jakieś suknie, by wyglądać jak przystało kobiecie w zamku. Porozmawiamy później.

– Czy jesteś na mnie zła, Viviano?

– Jestem zła, jeśli to jest złość, na to, jakie los płała niespodzianki, i to głupie z mojej strony. – Poklepała Igrianą po ramieniu. – Idź się przebrać, Igriano, i zjedz coś. Tym razem dziecku nic się nie stało.

W jej komnacie rozpalono już ogień. Na stołeczku przed kominkiem siedziała mała kobieta, ubrana w suknię tak prostą i ciemną, że przez chwilę Viviana myślała, iż to jedna ze służących. Potem dostrzegła, że ta prosta szata była z najcieńszego materiału, a welon był bogato haftowany. Wtedy rozpoznała córkę Igriany.

– Morgiano – powiedziała i pocałowała ją. Dziewczynka była teraz prawie wzrostu Viviany. – Wciąż myślę o tobie jako o dziecku, a ty już jesteś niemal kobietą...

– Słyszałam, że przyjechałaś, ciociu, i przyszedłam cię przywitać, ale powiedziano mi, że od razu poszłaś zobaczyć mojego brata. Jak on się czuje, Pani?

– Jest ciężko posiniaczony i poobijany, ale wydobrzeje bez leczenia, tylko leżąc – odrzekła Viviana. – Kiedy się obudzi, muszę jakoś przekonać Igrianą i Uthera, żeby trzymali od niego z daleka lekarzy i ich głupie medykamenty. Jak mu dadzą na wymioty, to mu się pogorszy. Od twojej matki nie usłyszałam nic, tylko płacz i narzekanie. Czy ty możesz mi powiedzieć, jak to się stało? Czy tu nie ma nikogo, kto przypilnowałby dziecka jak należy?

Morgiana spłótła swoje drobne palce.

– Nie jestem pewna, jak to się stało. Mój brat to odważny dzieciak i zawsze chce dosiadać koni, które są dla niego za szybkie albo za duże, ale Uther wydał rozkazy, że wolno mu jeździć tylko ze stajennym. Tego dnia jego kucyk kulał, więc poprosił o innego konia, ale jak to się stało, że wyprowadził Utherowego ogiera, nikt nie wie. Wszyscy stajenni wiedzieli, że nie wolno mu nawet podchodzić do Groma, i wszyscy przysięgają, że tego nie widzieli. Uther zapowiedział, że powiesi stajennego, który na to pozwolił, ale szukaj wiatru w polu. Sądzę, że ten człowiek jest już pewno daleko stąd. Mówią, że mimo wszystko Gwydion trzymał się grzbietu Groma mocno, jak cierń owczego runa, dopóki na drogę ogiera ktoś nie wypuścił rozplodowej klaczy. Nie można też znaleźć tego, kto wypuścił klacz. Więc oczywiście ogier skoczył za klaczą, a mój brat w mgnieniu oka, wyskoczył z siodła! – Jej mała, śniada buzia zadrżała. – Czy on, naprawdę będzie żył?

– Naprawdę będzie żył.

– Czy ktoś już powiadomił Uthera? Matka i ksiądz mówili, że na nic się nie przyda w komnacie chorego...

– Igriana z pewnością się tym zajmie.

– Z pewnością – odrzekła Morgiana, a Vivianę zaskoczył cyniczny uśmiech na jej twarzy.

Morgiana najwidoczniej nie przepadała za Utherem, nie była też zachwycona miłością swej matki do męża. A jednak była na tyle wrażliwa, by pamiętać, żeby Uthera powiadomiono o stanie zdrowia syna. To nie była zwyczajna dziewczynka.

– Ile masz teraz lat, Morgiano? Czas płynie tak szybko, że teraz, kiedy się starzeję, nie nadążam go liczyć.

– W letnie przesilenie skończę jedenaście.

*Wystarczająco*, pomyślała Viviana, *by rozpocząć naukę na kapłankę*. Spojrzała w dół i stwierdziła, że wciąż ma na sobie podróżny strój.

– Morgiano, czy możesz kazać służącej, by mi przyniosła wodę do mycia, i przysłać mi kogoś, żeby pomógł mi przyodziać się godnie na spotkanie króla i królowej?

– Po wodę już posłałam. Jest tam, w kotle przy ogniu – powiedziała Morgiana, a potem zawahała się i dodała wstydliwie: – Będę zaszczycona, jeśli sama będę mogła ci służyć, Pani.

– Jak chcesz. – Viviana pozwoliła, by Morgiana pomogła jej zdjąć wierzchnie szaty. Potem zmyła z siebie kurz podróży.

Przyniesiono już jej juki i wyjęła z nich zieloną suknię; Morgiana dotknęła tkaniny zachwycona.

– Jaki to piękny, zielony kolor. Nasze kobiety nie potrafią, uzyskać takiej wspaniałej zieleni. Powiedz mi, czego używacie, by ją otrzymać?

– Tylko urzetu barwierskiego.

– Myślałam, że urzet daje jedynie niebieskie kolory.

– Nie, ten jest inaczej obrabiany, suszony i gotowany. Później porozmawiamy o barwnikach, jeśli interesuje cię wiedza o ziołach – powiedziała Viviana. – Ale teraz musimy się zająć czymś innym. Powiedz mi, czy twemu bratu często wydarzają się takie przygody?

– Nie, naprawdę. Jest silny i wyćwiczony, zwykle jest dosyć grzeczny. Ktoś się kiedyś z niego naśmiewał, że jeździ na takim małym kucyku, a on odpowiedział, że będzie wojownikiem, a pierwszą powinnością żołnierza jest słuchać rozkazów i że jego ojciec zabronił mu dosiadać konia za dużego na jego siły. Więc nie mogę sobie wyobrazić, jak to się stało, że dosiadł Groma. Ale i tak nic by się nie stało, gdyby...

Viviana skinęła głową.

– Też chciałabym wiedzieć, kto wypuścił tę klacz i dlaczego.

Kiedy Morgiana zrozumiała sugestię, otworzyła szeroko oczy. Patrząc na nią z uwagą, Viviana powiedziała:

– Pomyśl. Czy zdarzało mu się jeszcze kiedyś uniknąć śmierci, Morgiano?

– Miał letnią gorączkę... – odparła z wahaniem – ale wszystkie dzieci ją miały zeszłego roku. Uther twierdził, że nie powinno mu się było pozwolić bawić z dziećmiakami pasterzy. Od nich się zaraził. Myślę... chyba ze czworo z nich umarło. Ale był też wypadek, kiedy się zatrzał...

– Zatrzał?

– Isotta, a powierzyłabym jej własne życie, przysięgała, że do jego zupy dodała tylko dobrych ziół i grzybów. A jednak był taki chory, jakby jadowity muchomor znalazł drogę do jego owsianki. Ale jak to się mogło stać? Isotta zna się na grzybach i odróżnia dobre od trujących, nie jest jeszcze stara i ma dobry wzrok... – Oczy Morgiany znów się rozszerzyły. – Pani Viviano, czy myślisz, że ktoś czyha na życie mego brata?

Viviana przyciągnęła dziewczynkę do siebie.

– Przyjechałam, bo dostałam takie właśnie ostrzeżenie. Jeszcze nie pytałam, skąd pochodzi niebezpieczeństwo, nie miałam czasu. Czy wciąż masz dar Wzroku, Morgiano? Kiedy rozmawiałam z tobą ostatnim razem, powiedziałaś...

Dziewczynka zarumieniła się i patrzyła w dół, na swoje buty.

– Igriana kazała mi tego nie rozpowiadać i powiedziała, że powinnam odwracać myśli od złudnych wizji i skupiać się na realnym świecie, więc próbowałam...

– I w tym Igriana ma rację, bo nie powinnaś pochopnie wspominać o takich rzeczach ludziom raz narodzonym – powiedziała Viviana. – Ale obiecuję ci, że ze mną będziesz mogła zawsze rozmawiać swobodnie. Mój Wzrok może pokazać mi tylko to, co jest związane z bezpieczeństwem Świętej Wyspy i przetrwaniem Avalonu, ale syn Uthera jest także synem twojej własnej matki i dzięki tej więzi twój Wzrok może go odnaleźć i powiedzieć ci, kto próbuje nastawać na jego życie. Bogowie wiedzą, że Utherowi nie brakuje wrogów.

– Ale ja nie umiem używać Wzroku...

– Ja ci pomogę, jeśli będziesz chciała – odrzekła Viviana.

Dziewczynka spojrzała na nią z twarzą skurczoną strachem.

– Uther zabronił czarów na swoim dworze.

– Uther nie jest moim panem – powiedziała Viviana powoli. – I nikt nie może panować nad czyimś sumieniem. A ty jak myślisz, czy próba dowiedzenia się, zali ktoś rzeczywiście czyha na życie twojego brata, czy też może to tylko przypadek, będzie obrazą Boga?

– Nie, myślę, że to nie może być złe – odpowiedziała Morgiana niepewnie. Zamilkła, głośno przełknęła ślinę, w końcu powiedziała: – Nie wierzę, byś ty kiedykolwiek mogła namawiać mnie do czegoś, co jest złe, ciociu.

Serce Viviany przeszył nagły ból. Cóż uczyniła, by zasłużyć na takie zaufanie? Z całego serca pragnęła, by ta drobna, poważna dziewczynka była jej własną córką, córką, którą była winna Świętej Wyspie i której nigdy nie dane jej było urodzić. Choć zaryzykowała tak późne macierzyństwo i omal nie zmarła przy porodzie, na świat przychodzili tylko synowie. A tutaj, jak się wydawało, była następczyni, którą zesłała jej Bogini, krewniaczka z darem Wzroku, do tego dziewczynka darzyła ją całkowitym zaufaniem. Przez chwilę nie mogła wydobyć głosu.

*Czy jestem gotowa, by być bezwzględna także wobec tego dziecka? Czy będę umiała ją wyszkolić, nie oszczędzając, czy też moja miłość sprawi, że będę wobec niej mniej surowa, niż jest to konieczne, bym mogła ją przygotować do roli Wielkiej Kapłanki?*

*Czy mogę wykorzystać jej miłość do mnie, na którą w żaden sposób nie zasłużyłam, by przynieść ją do stóp Bogini?*

Ale lata samodyscypliny sprawiły, że odczekała, aż głos jej będzie zupełnie opanowany, i powiedziała:

– A więc niech się tak stanie. Przynieś mi srebrną lub miedzianą misę idealnie czystą i wyszorowaną piaskiem. Napełnij ją świeżą, deszczową wodą, nie wodą czerpaną ze studni. Pilnuj, by nie rozmawiać z nikim od chwili, gdy napełnisz misę.

Do powrotu Morgiany, Viviana siedziała skupiona przed kominkiem.

– Musiałam ją sama wyszorować – powiedziała dziewczynka, a napełniona po brzegi czystą wodą misa, którą trzymała, aż świeciła i błyszczała.

– Teraz rozpuść włosy, Morgiano.

Spojrzała na nią zdziwiona, ale Viviana powiedziała cicho i wyraźnie:

– Żadnych pytań.

Morgiana wyjęła kościaną zapinkę i jej długie czarne włosy, gęste i proste, opadły falą na ramiona.

– A teraz, jeśli masz na sobie jakieś klejnoty, też je zdejmij i odłóż na bok, żeby nie były blisko misy.

Morgiana ściągnęła dwa małe pierścioneczki, które miała na palcu, i wypięła broszę z wierzchniej szaty. Bez zapięcia szata zsunęła się z jej ramion, a Viviana podeszła i bez słowa pomogła jej zupełnie ją zdjąć, tak że Morgiana została w samej tylko spodniej sukni. Wtedy Viviana otworzyła niewielki woreczek, który miała zawieszony na szyi, i wyjęła z niego szczyptę pokruszonych ziół, które napełniły komnatę słodkawym, pleśniowym zapachem. Wrzuciła do basenu zaledwie kilka okruszyn, po czym powiedziała cichym, spokojnym głosem:

– Patrz w wodę, Morgiano. Całkowicie uspokój swe myśli i powiedz mi, co widzisz.

Morgiana podeszła i uklękła przed napełnioną misą, patrząc w skupieniu na czystą powierzchnię wody. W komnacie było bardzo cicho, tak cicho, że Viviana słyszała bzyk jakiegoś owada na zewnątrz. Morgiana odezwała się stłumionym, niepewnym głosem:

– Widzę łódź. Jest udrapowana na czarno i są w niej cztery kobiety... cztery królowe... bo wszystkie mają korony... jedna z nich to ty... a może to ja?

– To łódź Avalonu – powiedziała cicho Viviana. – Wiem, co widzisz.

Przesunęła delikatnie dłonią nad powierzchnią wody i zobaczyła, jak w ślad za jej ręką woda się marszczy.

– Spójrz raz jeszcze, Morgiano. Mów, co widzisz.

Tym razem cisza trwała dłużej. W końcu dziewczynka odezwała się tym samym, sennym głosem:

– Widzę jelenie, wielkie stado jeleni, a między nimi jest człowiek, ciało ma pomalowane, założyli mu jelenie rogi, och, upadł, zabijają go. – Głos jej zadrżał i Viviana raz jeszcze przesunęła dłonią nad wodą, a na powierzchni pojawiły się zmarszczki.

– Wystarczy – rozkazała. – Teraz zobacz brata.

Znowu cisza, cisza, która wydłużała się i ciągnęła; Viviana czuła, jak jej ciało drętwieje z napięcia i bezruchu, ale dzięki długoletniej wprawie i dyscyplinie ani drgnęła. W końcu Morgiana zamruczała:

– Jak on spokojnie leży... ale oddycha. Niedługo się obudzi.

– Widzę moją matkę... nie, to nie jest matka, to moja ciocia Morgause, a z nią są wszyscy jej synowie... jest ich czterech... jakie to dziwne, wszyscy noszą korony... i jest jeszcze jeden, ten trzyma miecz... czemu on jest taki młody? Czy on jest jej synem? Och, on go zabije, zabije go, zabije, o nie! – Jej głos zamienił się w pisk.

Viviana dotknęła jej ramienia.

– Wystarczy – powiedziała. – Obudź się, Morgiano.

Dziewczynka potrząsnęła głową, jak piesek budzący się ze snu.

– Czy ujrzałam coś? – spytała.

Viviana potaknęła.

– Pewnego dnia nauczysz się widzieć i pamiętać – powiedziała. – Na teraz wystarczy.

Teraz mogła stawić czoło Utherowi i Igrianie. Z tego, co wiedziała, Lot z Orkney był człowiekiem honoru i złożył przysięgę na wierność Utherowi. Ale gdyby Uther zmarł, nie pozostawiając dziedzica... Morgause już urodziła dwóch synów, a pewnie będzie ich więcej – Morgiana widziała czterech – i nie było sposobu, by maleńkie królestwo Orkney utrzymało czworo książąt. Możliwe, że gdy bracia dorosną, skoczą sobie do gardeł. A Morgause... Wzdychając Viviana przypomniała sobie nienasycone ambicje Morgause.

Gdyby Uther zmarł bez dziedzica, wtedy Lot, małżonek siostry samej królowej, byłby logicznym kandydatem na objęcie tronu. Gdyby Lot został Najwyższym Królem, jego synowie dziedziczyliby mniejsze królestwa...

*Czy Morgause posunęłaby się do knoń przeciw życiu dziecka?*

Viviana nie chciała tak myśleć o dziewczynie, którą wykarmiła własną piersią. Ale Morgause i Lot razem, z ich ambicjami!

To mogło być całkiem łatwe, przekupić stajennego albo umieścić na dworze jednego ze swych ludzi z rozkazem, by sprowadzał na dziecko niebezpieczeństwo najczęściej, jak to było możliwe. Nie tak łatwo, oczywiście, ominąć troskliwą niańkę, która jest równocześnie zaufaną dworką królowej, ale niańkę można uspić albo dosypać jej czegoś do wina, by zmylić jej czujność i dorzucić coś trującego do jedzenia. A choćby dzieciak doskonale jeździł konno, trzeba człowieka o wiele silniejszego niż sześciolatek, by powstrzymać ogiera, który poczuł klacz w rui.

*Wszystkie nasze plany mogły lec w gruzach w jednej chwili...*

W porze wieczery podeszła do Uthera siedzącego samotnie przy głównym stole. Wasale i służba zajadali swój chleb z boczkiem przy mniejszych stołach, w holu. Uther wstał i skłonił się z szacunkiem.

– Igriana jest wciąż przy dziecku, szwagierko; prosiłem ją, by spoczęła, ale powiedziała, że się nie położy, dopóki mały się nie obudzi i jej nie rozpozna.

– Już rozmawiałam z Igrianą, Utherze.

– O tak, mówiła mi, powiedziała, że dałaś swoje słowo, iż dziecko będzie żyło. Czy to było rozsądne? A jeśli umrze, teraz...

Twarz Uthera była zatroskana i spięta. Nie wyglądał starzej niż w dniu, kiedy poślubił Igriane; Viviana pomyślała, że włosy ma tak jasne, iż nie można w nich nawet dostrzec siwizny. Był bogato ubrany na rzymską modłę. Był też gładko wygolony, jak Rzymianie. Nie nosił korony, ale na ramionach miał dwie bransolety ze szczerego złota i bogaty złoty kołnierz.

– Tym razem nie umrze. Mam doświadczenie z ranami głowy. A obrażenia ciała nie uszkodziły płuc. Za dzień lub dwa będzie już biegał.

Twarz Uthera trochę się rozluźniła.

– Jeśli kiedykolwiek się dowiem, kto wypuścił tę klacz... powinienem sprać chłopaka do nieprzytomności za to, że wsiadł na Groma!

– To nic by nie dało. On już zapłacił cenę za brak rozwagi. Jestem pewna, że dostał odpowiednią lekcję – powiedziała Viviana. – Ale powinienes lepiej pilnować syna.

– Nie mogę go przecież pilnować dzień i noc. Tak często wyjeżdżam na wojny, a przecież takiego dużego chłopca nie można trzymać uwiązane u fartucha niańki. A już przedtem omal go nie straciliśmy...

– Morgiana mi mówiła.

– Pech, po prostu pech. Człowiek, który ma tylko jednego syna, zawsze musi być zdany na łaskę losu – powiedział Uther. – Ależ ja zapominam o uprzejmości, krewniaczkko. Proszę, usiądź tu przy mnie. Jeśli chcesz, częstuj się z mojego talerza. Wiem, że Igriana chciała posłać po ciebie, dałem już zgodę na wysłanie człowieka, ale przybyłaś szybciej, niż mogliśmy sobie zamaryć. Czy jest więc prawdą, że czarownice ze Świętych Wysp potrafią latać?

Viviana zachichotała.

– Oj, jak bym chciała! Nie musiałabym zniszczyć w błocie dwóch par dobrych butów! Niestety, mieszkańcy Avalonu, nawet sam Merlin, muszą chodzić lub jeździć konno, jak zwykli ludzie. – Wzięła kawałek białego chleba i posmarowała go masłem z drewnianej czarki. – Ty, który nosisz na nadgarstkach węże, tym bardziej nie powinienes dawać wiary tym starym bajkom! Po prostu jest między nami więź krwi. Igriana jest córką mojej matki, wiem więc, kiedy mnie potrzebuje.

Uther zacisnął usta.

– Miałem już swoją porcję snów i czarów, nie chcę ich więcej w moim życiu.



To uciszyło Vivianę, tak jak było zamierzone. Pozwoliła jednej ze służących nałożyć sobie solonej baraniny i wyraziła uznanie dla świeżych gotowanych warzyw, pierwszych w tym roku. Kiedy trochę zjadła, odłożyła nóż i powiedziała:

– Jakkolwiek tu przybyłam, Utherze, było to szczęście i znak dla mnie, że twoje dziecko jest chronione przez Bogów... a ta opieka jest mu zaiste potrzebna.

– Nie zniosę już dłużej takiego szczęścia – odpowiedział głuchym głosem. – Jeśli naprawdę jesteś czarodziejką, szwagierko, błagam cię, byś dała Igrianie amulet przeciwko niepłodności. Kiedy ją poślubiłem, myślałem, że da mi wiele dzieci, bo staremu Gorloisowi już urodziła córkę, ale mamy tylko jedno, a ono ma już sześć lat.

*Zapisane jest w gwiazdach, że nie będziesz miał więcej synów.* Viviana powstrzymała się jednak od powiedzenia tego w głos człowiekowi siedzącemu naprzeciw niej. Rzekła tylko:

– Porozmawiam z Igrianą. Upewnię się, czy to nie jakaś wewnętrzna choroba, która ją trawi, nie powoduje, że nie może począć.

– Och, ona bywa brzemienna, ale nie może unosić dziecka dłużej niż przez miesiąc lub dwa. A jedyne, które donosiła do porodu, wykrwawiło się na śmierć, kiedy odcięto mu pępowinę – powiedział Uther ze smutkiem. – Dziecko było zdeformowane, więc może lepiej się stało... ale gdybyś mogła dać jej jakiś amulet na zdrowe dziecko, nie wiem nawet, czy wierzę w takie rzeczy, ale gotów jestem chwycić się każdej nadziei!

– Nie mam takich amuletów – powiedziała Viviana, serdecznie mu współczując. – Nie jestem Wielką Boginią, by móc ci dawać lub odbierać dzieci, a nawet gdybym mogła, nie zrobiłabym tego. Nie wolno mi zmieniać tego, co wyznaczył los. Czy tego nie mówi ci nawet sam ksiądz?

– O tak, ojciec Columba prawi o poddaniu się woli Bożej; ale ksiądz nie ma pod sobą królestwa, które pograży się w chaosie, jeśli umrę bezpotomnie! – powiedział Uther. – Nie wierzę, żeby taka była wola Boża!

– Nikt z nas nie wie, czego chce Bóg – odparła Viviana. – Ani ty, ani ja, ani nawet ojciec Columba. Lecz zda mi się, że nie trzeba magii i czarów, by pojąć, że musisz czuwać nad życiem tego małego, bo to on musi zasiąść na tronie.

– Niech Bóg uchroni. – Uther zacisnął usta. – Bolałbym wraz z Igrianą, gdyby umarł jej syn, ja też bym cierpiał, to dobre i obiecujące dziecko, ale nie może być dziedzicem najwyższego Króla Brytanii. Jak ten kraj długi i szeroki, nie ma człowieka, który by nie wiedział, że to dziecko zostało poczęte, kiedy Igriana była wciąż żoną Gorloisa. Do tego urodził się o cały miesiąc wcześniej, niż powinien się urodzić, gdyby był moim synem. Oczywiście, był maleńki i słabowity, zdarza się, że dzieci wychodzą z łona przed wyznaczonym czasem, ale nie mogę jeździć i opowiadać tego wszystkim, którzy liczyli dni ciąży na palcach, prawda? Jak dorośnie, będzie diukiem Kornwalii, ale nie mogę liczyć na to, że zrobię go Najwyższym Królem. Nawet, jeśli dożyje dorosłego wieku, co przy tym szczęściu jest mało prawdopodobne.

– Jest do ciebie bardzo podobny – powiedziała Viviana. – Czy myślisz, że wszyscy na dworze są ślepi?

– A co z tymi wszystkimi, którzy nigdy nie byli na dworze? Nie, muszę mieć dziedzica, na którego pochodzeniu nie będzie plamy. Igriana musi urodzić mi następnego syna.

– Cóż, może z Boską pomocą – odrzekła Viviana – ale nie możesz wymuszać na Bogu swojej woli ani pozwolić, by Gwydion stracił życie. Dlaczego nie wysłać go na wychowanie do Tintagel? To jest tak daleko, że jeśli oddasz go w ręce swego najbardziej zaufanego z wasali, odesłanie go przekona wszystkich, iż rzeczywiście był synem Gorloisa, a ty nie masz zamiaru sadzać go na tronie. Może wtedy przestaną knuć przeciw niemu.

Uther zmarszczył brwi.

– Jego życie nie będzie bezpieczne tak długo, aż Igriana nie urodzi mi następnego syna. Nawet gdybym wysłał go do samego Rzymu czy do kraju Gotów!

– Przy czym w podróży mogą być wypadki... – zgodziła się Viviana. – Mam, więc inną propozycję. Przyślij go na wychowanie do mnie, do Avalonu. Tam nie dostanie się nikt oprócz wiernych, którzy służą Świętej Wyspie. Mój własny najmłodszy syn ma siedem lat, ale niebawem odeślę go do króla Bana w Mniejszej Brytanii, by był wychowywany jak przystoi na syna człeka szlachetnie urodzonego. Ban ma innych synów, więc Galahad nie będzie dziedzicem, ale Ban go uznał i dał mu ziemie i dobra. Będzie go trzymał na dworze jako pazia, a gdy dorośnie, jako rycerza. W Avalonie twój syn nauczy się wszystkiego, co powinien wiedzieć o historii tego kraju i swoim przeznaczeniu... i przeznaczeniu Brytanii. Utherze, nikt z twoich wrogów nie wie, gdzie leży Avalon, tam dziecku nic nie grozi.

– To by go chroniło. Ale to niemożliwe. Mój syn musi być wychowywany jako chrześcijanin. Kościół jest potężny. Nigdy nie zaakceptuje króla...

– Myślałam, że powiedziałaś, iż on nie może być królem po tobie – ucięła sucho Viviana.

– Cóż, zawsze jest taka możliwość – odrzekł zrozpaczony Uther – jeśli Igriana nie miałaby innych synów. Gdyby był wychowany między Druidami i ich czarami, księża okrzyknęliby, że ma konszachty Ze Złem.

– Czy ja wyglądam na diabła, Utherze? Albo Merlin? – Spojrzała mu prosto w oczy, aż Uther spuścił wzrok.

– Nie, oczywiście, że nie.

– Więc dlaczego nie chcesz powierzyć syna Igriany mojej i Merlina mądrości, Utherze?

– Ponieważ nie ufam czarom Avalonu – powiedział w końcu Uther. Nerwowym ruchem dotknął swych wytatuowanych węży. – Widziałem na tych waszych wyspach takie rzeczy, że każdy dobry chrześcijanin by pobladł, a do czasu, kiedy mój syn dorośnie, wszystkie te wyspy będą chrześcijańskie. Król nie będzie się już musiał wdawać w takie historie.

Viviana miała ochotę wybuchnąć. *Głupcze! To Merlin i ja posadziliśmy cię na tym tronie, a nie twoi chrześcijańscy księża czy biskupi.* Ale kłócąc się z Utherem, niczego by nie zyskała.

– Musisz postępować tak, jak nakazuje ci sumienie, Utherze. Ale błagam cię, byś wysłał go gdzieś na wychowanie i utrzymał to miejsce w tajemnicy. Ogłoś, że wysyłasz go na wychowanie w surowszych warunkach, z dala od komplementów i nadszkakiwań dworu, to dość powszechne. I spraw, by wszyscy myśleli, że jedzie do Mniejszej Brytanii, gdzie ma kuzynów na dworze króla Bana. A wyślij go do któregoś z twych biedniejszych wasali, może któregoś ze starych dworzan Ambrozjusza: Uriensa, Ektoriusza, kogoś mało znanego i bardzo zaufanego.

Uther powoli kiwał głową.

– To będzie tragedia dla Igriany rozstać się z tym dzieckiem. Ale księżę musi być wychowywany tak, by sprostał swojemu przyszłemu przeznaczeniu. I szkolony w sztuce wojennej. Nie powiem nawet tobie, szwagierko, gdzie go wyślę.

Viviana uśmiechnęła się do siebie, myśląc, *Czy ty naprawdę myślisz, Uther, że utrzymasz to przede mną w sekrecie, jeśli zechcę się dowiedzieć?* Ale była zbyt roztropna, by powiedzieć to na głos.

– Muszę cię prosić o jeszcze jedną łaskę, szwagrze – powiedziała. – Daj mi Morgianę na wychowanie do Avalonu.

Uther przez chwilę patrzył zaskoczony, potem potrząsnął głową.

– Niemożliwe.

– Czy jest coś niemożliwego dla Najwyższego Króla, Pendragonie?

– Są tylko dwie drogi dla Morgiany – odrzekł Uther. – Musi poślubić człowieka absolutnie mi wiernego, kogoś, komu ufam. A jeśli nie znajdę tak mocnego popiecznika, by ją za niego wydać, pójdzie do klasztoru i założy welon. Nie potrzebuję w tym królestwie powstania w Kornwalii.

– Nie wydaje się zbyt pobożna na dobrą zakonnicę.

Uther wzruszył ramionami.

– Za posag, który jej dam, weźmie ją każdy klasztor.

Vivianę nagle ogarnął gniew. Przeszyła Uthera wzrokiem i powiedziała:

– A tobie się wydaje, Uther, że utrzymasz to królestwo bez poparcia Plemion? Ich nic nie obchodzi twój Chrystus i twoja religia. Oni słuchają Avalonu. A kiedy dawali ci to... – Wysunęła palec i dotknęła tatuaży na jego nadgarstkach. Uther odsunął się nerwowo, ale ona ciągnęła dalej: – Kiedy dawali ci to, przysięgli słuchać Pendragona. Lecz kiedy Avalon wycofa swoje poparcie dla ciebie, to spadniesz tak nisko, Uther, jak wysoko cię posadziliśmy.

– Sprytne słowa, Pani, ale czy możesz zrobić to, czym grozisz? – odparował Uther. – Czy zrobiłabyś to dla dziewczynki, do tego córki Gorloisa?

– Przekonaj się. – Przykuła go wzrokiem.

Tym razem nie spuścił oczu. Był dostatecznie wściekły, by zmierzyć się z nią spojrzeniem jak równy. Viviana myślała, *Bogini! Gdybym była o dziesięć lat młodsza, jak my byśmy mogli rządzić razem z tym mężczyzną!*

W całym swoim życiu spotkała nie więcej niż jednego czy dwóch ludzi, którzy dorównywali jej mocą. A Uther był przeciwnikiem godnym jej żelaznej woli. I taki powinien być, by utrzymać to królestwo, zanim przeznaczony mu król nie dorośnie. Tego nie mogła zaprzepaścić nawet dla Morgiany. Postanowiła jednak spróbować go przekonać.

– Utherze, posłuchaj mnie. Ta dziewczynka ma dar Wzroku, urodziła się z tym. Nie ma takiego sposobu, by uciekła Niewidzialnemu, to podąży za nią, dokądkolwiek pójdzie. A zamieszana w takie rzeczy będzie wytykana jako czarownica, nienawidzona. Czy takiej doli chcesz dla księżniczki twego dworu?

– Czy wątpisz w to, że Igriana potrafi wychować swą córkę jak przystało na dobrą chrześcijankę? W najgorszym wypadku, za murami klasztoru będzie niegroźna...

– Nie! – powiedziała Viviana tak głośno, że niektórzy siedzący przy mniejszych stołach w holu unieśli głowy i spoglądali na nią zdziwieni. – Utherze, ta dziewczynka urodziła się, by być kapłanką. Zamknij ją w klasztorze, a zwiędnie jak dzika mewa w klatce. Czy chciałbyś skazać dziecko Igriany na śmierć lub dożywotnie cierpienie? Ja naprawdę wierzę, a rozmawiałam z dziewczynką, że w klasztorze ona się zabije.

Widziała, że te argumenty do niego dotarły, kuła, więc żelazo, póki gorące.

– Jest urodzona na kapłankę. Pozwól jej, by nauczyła się odpowiednio używać swoich zdolności. Utherze, czy ona jest tu taka szczęśliwa albo czy jest aż taką ozdobą twego dworu, że zmartwisz się, gdy go opuści?

Zaprzeczył wolnym ruchem głowy.

– Staralem się ją pokochać ze względu na Igrianą. Ale ona jest... taka... niesamowita. Morgause lubiła z niej żartować i nazywała ją czarodziejką. Gdybym nie wiedział, kto jest jej ojcem, to gotów byłbym w to uwierzyć.

– To prawda. Ona jest taka jak ja i moja matka. – Viviana zmusiła się do uśmiechu. – Nie dla niej klasztor i kościelne dzwony.

– Ale jak mogę odebrać Igrianie wszystkie jej dzieci naraz? – spytał zrozpaczony Uther.

Viviana też poczuła ukłucie bólu, a nawet poczucie winy. Ale potrząsnęła głową.

– Igriana jest również z rodu kapłanek. Będzie posłuszna swemu przeznaczeniu, tak jak ty, Utherze, jesteś posłuszny swemu. A jeśli obawiasz się gniewu swego dworskiego księdza... – dodała, zgadując przyczyny jego zmieszania, i po oczach Uthera poznała, że dobrze trafiła. – Po prostu nie mów nikomu, gdzie ją posyłasz. Napomknij, jeśli chcesz, że oddałeś ją do klasztornej szkoły, bo jest zbyt mądra i poważna na dworskie flirciki i kobiece plotki. Igriana zaś, wiedząc, że jej dzieci są bezpieczne i dorastają do swego własnego przeznaczenia, będzie szczęśliwa, mając ciebie.

Uther skinął głową.

– Niech się tak stanie – powiedział. – Zatem chłopiec będzie wychowywany przez mego najbardziej zaufanego i najskromniejszego wasala, ale jak mam go tam wysłać i zachować sekret? Czy niebezpieczeństwo nie podąży za nim?

– Można go wysłać tajnymi sposobami i pod osłoną czarów, tak jak ty sam przybyłeś do Tintagel – odrzekła Viviana. – Mnie nie ufasz, to wiem, ale czy zaufasz Merlinowi?

– Mym własnym życiem – powiedział Uther. – Niech, więc Merlin go zabierze. A Morgiana pojedzie do Avalonu.

Oparł głowę na dłoniach, jakby ciężar, który go przytłaczał, był zbyt trudny do wytrzymania.

– Jesteś mądra – powiedział, po czym podniósł głowę i wpatrywał się w Vivianę z nie ukrywaną nienawiścią. – Wolałbym, żebyś była głupią kobietą, którą mógłbym gardzić... A niech cię diabli!

– Jeśli twoi księża mają rację – wycedziła spokojnie – to jestem już dostatecznie przeklęta, więc ty możesz sobie zaoszczędzić oddechu.

## 11

Gdy dojeżdżały do Jeziora, słońce już zachodziło. Viviana obróciła się na swym kucyku, by spojrzeć na Morgianę, która jechała trochę za nią. Twarz dziewczynki poszarzała z głodu i wyczerpania, ale nie narzekała. Viviana, która specjalnie narzuciła duże tempo, była zadowolona. Życie kapłanki Avalonu nie było łatwe i musiała się przekonać, czy Morgiana potrafi znieść zmęczenie i niewygody.

Teraz powstrzymała swojego kuczka i pozwoliła, by Morgiana się z nią zrównała.

– Tam leży Jezioro – powiedziała. – Za chwilę będziemy pod dachem, gdzie czeka na nas jedzenie, picie i ciepło ognia.

– Powitam to wszystko z radością – odrzekła dziewczynka.

– Czy jesteś zmęczona, Morgiano?

– Trochę – odparła nieśmiało. – Lecz przykro mi, że ta podróż się kończy. Lubię oglądać nowe rzeczy, a nigdy przedtem nie wyjeżdżałam.

Zatrzymały konie nad brzegiem, a Viviana starała się spojrzeć na te znane jej okolice oczyma obcego – mętne, zielone wody Jeziora, wysokie trzciny okalające brzeg, ciche, nisko zwisające chmury, pływające po wodzie wodorosty. Było tak cicho, że Viviana mogła słyszeć myśli dziewczynki: *Jak tu samotnie, ciemno i straszno.*

– Jak dostaniemy się do Avalonu? Nie ma tu mostu, chyba nie będziemy musiały płynąć na koniach? – spytała Morgiana, a Viviana, pamiętając, jak podczas wiosennych powodzi dokładnie tak musiała uczynić, pospieszyła z zapewnieniem:

– Nie, wezwę łódź.

Uniosła obie dłonie i zakryła nimi twarz, odsunęła od siebie wszystkie niepotrzebne dźwięki i obrazy i wysłała bezgłośnie wołanie. Za kilka chwil na zielonkawych wodach

Jezióra pojawiła się łódź. Na jednym końcu udrapowana czernią i srebrem, płynęła tak cicho, że wydawała się ślizgać po powierzchni jak jakiś wodny ptak.

Nie słychać było uderzeń wiosł, ale kiedy łódź podpłynęła bliżej, widać było wiosłarzy, zanurzających swe wiosła bez najmniejszego plusku czy dźwięku. Byli to śniadzi, niewysocy mężczyźni, półnaczy, wytatuowani na niebiesko w magiczne wzory. Viviana spostrzegła, jak oczy Morgiany rozszerzają się na ten widok ze zdziwienia, ale dziewczynka milczała.

*Przyjmuje to wszystko zbyt spokojnie, myślała Viviana. Jest za mała, by docenić magię, którą ogląda. Muszę jej to jakoś uświadomić.*

Cisi wiosłarze dopłynęli do brzegu, cumując łódź za pomocą dziwacznie splecionej z wodorostów liny. Viviana dała dziewczynce znak, by zsiadła z konia, i zwierzęta wprowadzono na pokład. Kiedy jeden z wytatuowanych mężczyzn wyciągnął rękę, by pomóc Morgianie wsiąść, spodziewała się niemal, że ta ręka okaże się nierzeczywista, że cała łódź jest tylko wizją. Ale dłoń była twarda, pokryta odciskami i zgrubieniami. Viviana zajęła swoje miejsce na dziobie jako ostatnia i łódź ruszyła w jezioro, powoli i bezgłośnie.

Przed nimi wyrastała Wyspa i święty Tor ze swą wysoką wieżą świętego Michała; nad cichą wodą niósł się dźwięk dzwonów śpiewających miękko Angelus. Morgiana przeżegnała się z przyzwyczajenia, ale jeden z wiosłarzy rzucił jej tak ostre spojrzenie, że aż opuściła dłoń. Kiedy łódź sunęła po wodzie wśród wysokich trzciny, mogła z daleka widzieć klasztor i kościół. Viviana dostrzegła nagły lęk na twarzy dziewczynki – czy jednak jechali na Wyspę Księży, gdzie klasztorne mury zamkną się wokół niej na zawsze?

– Czy jedziemy do tego kościoła na wyspie, ciociu?

– Nie dojedziemy do kościoła – Viviana odpowiedziała spokojnie – choć to prawda, że zwykły wędrowiec, albo nawet ty, gdybyś wypłynęła na Jezioro sama, nigdy by nie dotarł do Avalonu. Czekaj i patrz. I nie zadawaj pytań; to będzie jedno z twych zadań, kiedy rozpoczniesz naukę.

Uciszona Morgiana zamilkła. W jej oczach wciąż czał się strach.

Po chwili powiedziała cichutko:

– To jak w tej baśni o cudownej łodzi, która wypływa z Wysp do Krainy Młodości...

Viviana nie słuchała. Stała na dziobie łodzi, oddychając głęboko, zbierając siły do magicznego aktu, którego miała za chwilę dokonać. Przez chwilę zastanawiała się, czy wciąż ma jeszcze dość siły. *Jestem już stara*, pomyślała w nagłej panice, *ale muszę dożyć chwili, gdy Morgiana i jej brat dorosną. Pokój całego tego kraju zależy od tego, czy będę potrafiła uchronić te dzieci!*

Odsunęła od siebie te myśli. Zwątpienie było zgubne. Przypomniała sobie, że przecież robiła to niemal każdego dnia swego dorosłego życia i stało się to dla niej tak naturalne, że mogłaby to wykonać nawet we śnie albo na łożu śmierci. Stała sztywno wyprostowana, zamknięta w magicznym skupieniu, potem wyciągnęła ramiona, wyprostowała je na całą długość i uniosła wysoko nad głowę, dłonie odwracając w kierunku nieba. Potem szybko

wydychając powietrze, opuściła ręce – a wraz z nimi opadły mgły. Zniknął zarys kościoła, zniknęły wybrzeża Wyspy Księży, zniknął nawet Tor.

Łódź sunęła w gęstej, nieprzeniknionej mgle, otulającej wszystko ciemnością. W tej ciemności Viviana słyszała, że Morgiana oddycha szybko, jak małe, przestraszone zwierzątko. Już miała się odezwać, by dodać dziewczynce otuchy i powiedzieć, że nie ma się czego bać, ale zrezygnowała i zachowała milczenie. Morgiana rozpoczęła już przecież swoje kapłańskie szkolenie i musiała się nauczyć, jak pokonywać lęk, tak jak pokonywała zmęczenie, niewygody i głód.

Łódź sunęła przez mgły. Gładko i szybko – bo na jeziorze nie było innych łodzi – przedzierała się przez grubą, lepka wilgoć; Viviana czuła ją na włosach i brwiach, wsiąkającą w jej wełniany szal. Morgiana drżała z nagłego zimna.

A potem w jednej chwili mgła zniknęła, jakby rozsunięto kurtynę.

Przed nimi rozciągał się skąpany w słońcu pas wody i zielone wybrzeże. Tu także był Tor – Viviana usłyszała, jak dziewczynka ze zdumienia szybko łapie powietrze. Na szczycie tego Toru wznosił się bowiem okrąg z ogromnych kamieni, błyszczących w słońcu.

Wiodła do nich szeroka procesjonalna droga, wijąc się spiralnie wokół tego ogromnego wzgórza, na sam szczyt. U stóp Toru stały budynki, w których mieszkali kapłani, a na zboczu widoczna była Święta Studnia i srebrne odbicie zwierciadlanego jeziora. Wzdłuż brzegu rosły jabłkowe sady, nad nimi dęby. Między konarami połyskiwały złotem jemioty, jakby zawieszane w powietrzu.

– Jakie to piękne – wyszeptła Morgiana, a Viviana usłyszała zachwyt w jej głosie. – Pani, czy to prawdziwe?

– To jest bardziej prawdziwe niż jakiekolwiek inne miejsce, które w życiu widziałas – odpowiedziała Viviana – i wkrótce się o tym przekonasz.

Łódź dopłynęła do brzegu i osiadła na piaszczystym dnie; milczący wioślarze przywiązali ją liną i pomogli wysiąść Pani Jeziora.

Potem wyprowadzili konie. Morgiana musiała wyjść z łodzi sama.

Przez całe życie miała pamiętać ten pierwszy widok Avalonu o zachodzie słońca. Zielone łąki schodziły łagodnie w dół aż do trzin okalających brzeg Jeziora. Po wodzie sunęły łabędzie, cicho, jak ta magiczna łódź. Między jabłoniami i dębami wznosił się niski budynek z szarego kamienia i Morgiana z daleka widziała odziane na biało postacie poruszające się wolno po ocienionych drzewami alejkach.

Słyszała dochodzący skądś cichy dźwięk harfy. Czy ta nisko wisząca, czerwona chmura była tym samym słońcem, które znała? Ziemia zalana była złotem i ciszą, a ona czuła, jak łyżki zaciskają jej gardło. Nie wiedząc dlaczego, myślała: Przybyłam do domu, choć przecież całe życie spędziła w Tintagel i Caerleon i nigdy nie widziała tego miejsca.

Viviana zakończyła wydawanie poleceń dotyczących koni i znów zwróciła się do Morgiany. Spozstrzegła zdziwiony i zachwycony wzrok dziewczynki i nie odezwała się,

dopóki Morgiana nie wzięła głębokiego oddechu, jakby budziła się z długiego snu. Wąską ścieżką szły w ich kierunku kobiety ubrane w ciemne suknie i wierzchnie tuniki z jeleniej skóry, niektóre z nich miały wschodzący księżyc wytatuowany niebieską farbą między brwiami. Niektóre były niskie i śniade – jak Morgiana i Viviana, pochodziły z ludu Piktów, ale było też kilka wysokich i smukłych, o jasnych lub rudomiedzianych włosach. Dwie czy trzy miały nieomylnie cechy rzymskiego pochodzenia. W milczeniu złożyły Vivianie pełen szacunku ukłon, a ona uniosła dłoń w geście błogosławieństwa.

– To jest moja krewniaczka – powiedziała. – Na imię ma Morgiana. Będzie jedną z was, weźcie ją... – Wtedy spojrzała na dziewczynkę, która stała drżąc.

Słońce już zaszło i szary zmierzch wyssał wspaniałe kolory z magicznego krajobrazu. Dziecko było zmęczone i wystraszone. Przed nią było jeszcze dosyć prób i zadań; nie musi ich zaczynać tak od razu.

– Jutro – powiedziała do Morgiany – pójdziesz do Domu Dziewcząt. Tam nie będzie miało znaczenia, czy jesteś moją krewną i księżniczką. Nie będziesz miała imienia i przywilejów, z wyjątkiem tych, na które sobie sama zasłużysz. Ale tylko na dzisiejszą noc pójdziesz ze mną; w czasie tej podróży nie miałyśmy czasu ze sobą porozmawiać.

Morgiana poczuła taką ulgę, aż kolana zrobiły jej się miękkie. Te stojące przed nią kobiety, ubrane w dziwne szaty, ze znakami na czołach, przerażały ją bardziej niż cały dwór Uthera razem wzięty.

Widziała, jak Viviana wykonuje niewielki gest i kapłanki – bo jak myślała, to były one – odwróciły się i odeszły. Viviana wyciągnęła rękę i Morgiana chwyciła jej dłoń, bezpiecznie mocną i realną.

I znów Viviana była tą ciocią, którą znała, ale równocześnie była też ową wspaniałą postacią, która sprowadziła mgły. Raz jeszcze Morgiana poczuła impuls, żeby uczynić znak krzyża, i zastanawiała się, czy wtedy cały ten świat by nie zniknął, tak jak mawiał ojciec Columba, który twierdził, że wszystkie czary i demony muszą pierzchnąć przed tym znakiem.

Ale nie przeżegnała się. Wiedziała, że już nigdy w życiu tego nie zrobi. Tamten świat pozostał za nią, na zawsze.

Na skraju jabłkowego sadu, między dwoma drzewami, które właśnie zaczynały kwitnąć, stał mały domek z drzewa i gliny. W środku płonął ogień. Młoda kobieta, tak jak tamte ubrana w ciemną suknię i tunikę z jelenich skór, powitała je milczącym ukłonem.

– Nie odzywaj się do niej – powiedziała Viviana. – W tej chwili obowiązują ją śluby milczenia. Jest kapłanką w czwartym roku przygotowań, na imię ma Raven\*

W milczeniu Raven zdjęła z Viviany wierzchnie okrycie i zabłocone, zniszczone drogą buty. Na znak Viviany tak samo pomogła Morgianie. Przyniosła im wodę do mycia, a później jedzenie: jęczmienny chleb i suszone mięso. Do picia była tylko zimna woda, ale była świeża i tak wspaniała, że Morgiana w życiu nie piła smaczniejszej.

\* Raven – kruk



– To jest woda ze Świętej Studni – powiedziała Viviana. – Nie pijamy tu nic innego; przynosi wizje i bystrość widzenia. A miód pochodzi z naszych własnych uli. Jedz mięso i ciesz się nim, bo nie będziesz go jadła przez całe lata. Kapłanki nie jadają mięsa, dopóki nie ukończą swego szkolenia.

– A dlaczego, Pani? – Morgiana nie potrafiła już powiedzieć „ciociu” ani „krewniaczko”. Między nią a tymi familiarnymi zwrotami stało wspomnienie niemal boskiej postaci przywołującej mgły. – Czy to źle jeść mięso?

– Oczywiście, że nie, i nadejdzie dzień, że będziesz mogła jeść wszystko, co zechcesz. Ale dieta wolna od zwierzęcego mięsa sprzyja wyższemu poziomowi świadomości, a taki musisz mieć, kiedy będziesz się uczyła, jak używać Wzroku i jak kontrolować swoje magiczne zdolności, zamiast pozwalać, by to one władały tobą. We wczesnych latach nauki kapłanki, tak jak Druidzi, jedzą tylko chleb i owoce, czasami trochę ryb z jeziora, a piją jedynie wodę ze Studni.

– Ty piłaś wino w Caerleon, Pani... – zauważyła Morgiana nieśmiało.

– Oczywiście, i ty też będziesz mogła, gdy nauczysz się, kiedy i co można jeść i pić, a kiedy należy się powstrzymać – odparła Viviana krótko.

To uciszyło Morgianę i siedziała chwilę, pogryzając swój chleb z miodem. Ale chociaż była głodna, jedzenie rosoło jej w ustach.

– Czy już się najadłaś? – spytała Viviana. – Dobrze, więc pozwól Raven zabrać naczynia, powinnaś kłaść się spać, dziecko. Ale usiądź tu na chwilę ze mną przy ogniu i porozmawiajmy, bo jutro Raven zabierze cię do Domu Dziewcząt i już nie będziesz mnie spotykać, tylko na obrzędach. Dopiero kiedy się nauczysz, jak wypełniać swe obowiązki, będziesz mogła, tak jak inne kapłanki, pełnić swoją kolejną służbę w moim domu, by mi pomagać. Ale do tego czasu ty też możesz już być związana ślubami milczenia i nie będzie ci wolno odzywać się ani odpowiadać. Ale dziś wieczorem jesteś tylko moją krewną, jeszcze nie zaprzysiężoną służbie Bogini, i możesz mnie pytać, o co tylko chcesz.

Wyciągnęła rękę i Morgiana usiadła przy niej na ławie, przy ogniu. Viviana odwróciła się i powiedziała:

– Czy możesz wyjąć zapinkę z moich włosów, Morgiano? Raven poszła już spać i nie chcę jej znów przeszkadzać.

Morgiana wyciągnęła rzeźbioną, kościaną spinkę z włosów Viviany, które opadły w dół, długie i czarne. Jedynie na jednej skroni jaśniał siwy pukiel. Viviana westchnęła, wyciągając bosa stopy do ognia.

– Dobrze być znów w domu. W ostatnich latach musiałam zbyt dużo podróżować – powiedziała – a nie jestem już na tyle młoda, by sprawiało mi to przyjemność.

– Powiedziałaś, że mogę ci zadawać pytania – zaczęła Morgiana nieśmiało. – Dlaczego niektóre tutejsze kobiety mają niebieskie znaki między brwiami, a inne nie?

– Błękitny półksiężyc to znak, że są zaślubione Bogini, by żyć i umrzeć wedle jej woli. Te, które są tutaj tylko po to, by nauczyć się używać Wzroku, nie składają takich ślubów.

– Czy ja mam złożyć śluby?

– To będzie twój własny wybór – odrzekła Viviana. – Bogini powie ci, czy ma życzenie położyć na tobie swą dłoń. Tylko chrześcijanie traktują klasztor jak kuchenny śmietnik, do którego mogą wyrzucać swoje niechciane córki i wdowy.

– Ale skąd będę wiedziała, czy Bogini mnie chce?

Viviana uśmiechnęła się w ciemności.

– Ona zawoła cię głosem, który bez wątplenia zrozumiesz. Jeśli usłyszysz to wołanie, nie będzie takiego miejsca na ziemi, które skryłoby cię przed jej głosem.

Morgiana zastanawiała się, czy Viviana też złożyła takie śluby, ale była zbyt nieśmiała, by zapytać. *Oczywiście! Przecież jest Wielką Kapłanką, Panią Avalonu...*

– Ja też usłyszałam ten głos – powiedziała spokojnie Viviana, używając swej sztuki odpowiadania na niewypowiedziane pytania. – I złożyłam śluby. Ale mój znak wytarł się z czasem... jeśli spojrzysz z bliska, myślę, że jeszcze trochę zobaczysz, o tu, pod włosami.

– Tak, trochę widzę... co to znaczy być zaślubioną Bogini, Pani? Kto to jest Bogini? Kiedyś spytałam ojca Columbę, czy Bóg ma jeszcze jakieś imiona, a on odpowiedział, że nie, że jest tylko jedno Imię, które może nas zbawić, i brzmi ono Jezus Chrystus, ale... – zamilkła, przestraszona. – Ja bardzo mało o tych sprawach wiem...

– Świadomość, że nie wiesz, to początek mądrości – powiedziała Viviana. – W takim przypadku, kiedy zaczniesz naprawdę się uczyć, nie będziesz zmuszona zapominać wszystkiego, co wcześniej wydawało ci się wiedzą. Bóg zwany jest wieloma imionami, ale wszędzie jest tylko Jeden. Tak, więc kiedy modlisz się do Marii, Matki Jezusa, to nawet o tym nie wiedząc, modlisz się też do Matki Świata pod jedną z jej wielu postaci. Bóg księży i Wielki Bóg Druidów to ten sam Bóg. I dlatego Merlin czasem zasiada wśród chrześcijańskich doradców Najwyższego Króla; on wie, nawet jeśli oni tego nie wiedzą, że Bóg jest Jeden.

– Moja mama mówiła, że twoja mama była tu kapłanką przed tobą, Pani...

– To prawda, ale nie chodzi tylko o dziedzictwo krwi. Zostałam Wielką Kapłanką raczej dlatego, że odziedziczyłam po matce dar Wzroku i poświęciłam się Bogini z własnej woli. Bogini nie zawołała do siebie ani twej matki, ani Morgause. Więc wysłałam Igrianę, by poślubiła twego ojca, potem Uthera, a Morgause, by wyszła za mąż wedle życzenia króla. Małżeństwo Igriany służyło Bogini; nad Morgause nie ma ona mocy.

– Czy kapłanki powołane przez Boginię nigdy nie wychodzą za mąż?

– Zazwyczaj nie. Nie przysięgają żadnemu mężczyźnie. Wyjątkiem jest Wielki Związek, kiedy kapłan i kapłanka łączą się jako symbole Boga i Bogini, a narodzone z takiego związku dzieci należą tylko do Bogini, a nie do śmiertelnych ludzi. To jedno z Misteriów i dowiesz się o nim wszystkiego w odpowiednim czasie. Ja tak się narodziłam. Nie mam ziemskiego ojca...

Morgiana wpatrywała się w nią, aż w końcu szepnęła:

– Czy to znaczy że... że twoja matka zległa z Bogiem?

– Nie, oczywiście, że nie. Tylko z kapłanem, który był w mocy Boga; pewnikiem był to kapłan, którego imienia nawet nie znała. Bo w tamtym miejscu i czasie Bóg wszedł w ciało tego człowieka, tak że sam człowiek był nieistotny i został zapomniany. – Twarz Viviana była zamyślona, jakby coś wspominała.

Morgiana widziała, jak wspomnienia przesuwają się nad jej brwiami. Wydawało się, że blask ognia malował w komnacie obrazy... wielką postać Rogatego Pana... Viviana nagle zdrząła i mocniej określiła się płaszczem.

– Czy nie jesteś zmęczona, dziecinko? Powinnaś spać...

Ale Morgiana znów była ciekawa.

– Czy urodziłaś się w Avalonie?

– Tak, choć wychowałam się na Wyspie Druidów, daleko na północy, na Wyspach. A kiedy podrosłam, Bogini położyła na mnie swą dłoń... krew kapłanki płynie we mnie mocno, myślę też, że tak samo płynie w tobie, moje dziecko. – Jej głos był oddalony, wstała i patrzyła w ogień. – Staram się przypomnieć sobie, ile to lat temu przybyłam tutaj z tą starą kobietą... księżyc był bardziej na południu, bo to było we żniwa, a potem nadeszły mroczne dni Samhain i koniec roku. Zima tamtego roku była sroga, nawet w Avalonie. Nocami słyszałyśmy wycie wilków, leżał głęboki śnieg. Głodowałyśmy, bo nikt nie mógł się przebić przez śnieżycę, a kilka niemowląt przy piersi zmarło, gdy matki straciły mleko... Potem Jezioro zamarzło i przywieźli nam prowiant na saniach. Byłam wtedy dziewczynką, piersi mi jeszcze nie wyrosły, a teraz jestem już starą, starą kobietą, staruchą... tyle lat, moje dziecko.

Morgiana czuła, że ręka starszej kobiety drży; trzymała ją mocno w swojej dłoni. Po chwili Viviana przyciągnęła dziewczynkę do siebie i stała tak, otaczając ramieniem jej kibić.

– Tyle księżyców, tyle letnich przesileń... a teraz wydaje mi się, że Samhain nadchodzi zaraz po nocy Beltanu, szybciej niż księżyc przybywało od nowiu do pełni, kiedy byłam młoda. I ty też będziesz stać tutaj przed ogniem i starzeć się, jak ja się starzeję, chyba że Matka ma dla ciebie inne zadania... och, Morgiano, Morgiano, moja maleńka, powinnam cię była zostawić w domu twojej matki...

Morgiana gwałtownie objęła kapłankę ramionami.

– Nie zostałam tam! Już wolałabym umrzeć...

– Wiem o tym – odparła Viviana, wzdychając. – Myślę, że Bogini na tobie też położyła swą dłoń. Lecz pamiętaj, że zmieniasz życie łatwe i przyjemne na srogie i trudne, Morgiano. I może się zdarzyć, że będę miała dla ciebie do wypełnienia zadania tak okrutne jak te, które Wielka Matka stawiała przede mną. Teraz myślisz tylko o uczeniu się posługiwania się Wzrokiem i o mieszkaniu na pięknej ziemi Avalonu, ale posłuszeństwo woli Ceridwen to nie jest łatwe zadanie, córeczko... Ona jest nie tylko Wielką Matką Miłości i Narodzin, jest także Panią Ciemności i Śmierci. – Viviana, wzdychając, gładziła miękkie włosy dziewczynki. – Ona jest także Morrigan, zwiastunką nieszczęścia, Wielkim Krukiem... och, Morgiano,

Morgiano, jakże żałuję, że nie jesteś moim własnym dzieckiem, ale nawet wtedy nie mogłabym cię oszczędzić. Muszę cię użyć dla jej celów, tak jak ja sama byłam używana. – Pochyliła głowę i na chwilę oparła ją na ramieniu dziewczynki. – Wierz mi, że cię kocham, Morgiano, bo nadejdzie czas, że będziesz mnie nienawidziła tak, jak teraz mnie kochasz...

Morgiana wzburzona padła na kolana.

– Nigdy – wyszeptała. – Jestem w rękach Bogini... i twoich.

– Niechaj Ona sprawi, abyś nigdy nie żałowała tych słów – powiedziała Viviana. Wyciągnęła dłonie do ognia. Były małe, mocne i trochę opuchnięte od upływu lat. – Tymi rękoma przyjmowałam na świat dzieci i widziałam, jak spływa po nich krew umierających. Raz wydałam na śmierć człowieka, człowieka, który leżał w mych ramionach i którego przysięgałam kochać. Zniszczyłam spokój twojej matki, a teraz zabrałam jej dzieci. Czy nie boisz się mnie i nie nienawidzisz mnie, Morgiano?

– Lękam się ciebie – powiedziała dziewczynka, wciąż klęcząc u jej stóp; jej mała, poważna twarzyczka była zarumieniona od ognia. – Ale nigdy nie mogłabym cię nienawidzić.

Viviana westchnęła głęboko, odsuwając od siebie przecucia i lęki.

– I to nie mnie się lękasz – powiedziała – lecz Jej. Obie jesteśmy w Jej rękach, dziecko. Twoje dziewictwo jest poświęcone Bogini. Uważaj, by dobrze go strzec, zanim ona nie wyjawia swej woli.

Morgiana położyła swoje małe rączki na dłoniach kapłanki.

– Niech tak się stanie – szepnęła. – Przysięgam.

Następnego dnia poszła do Domu Dziewcząt i została tam przez wiele lat.

## **Mówi Morgiana...**

*Jak opisać proces stawania się kapłanką? To, co nie jest oczywiste, jest tajemnicą. Ci, którzy podążali tą drogą – wiedzą. Ci, którzy nią nie podążali, nigdy nie rozumieją, nawet gdybym opisała wszystkie zakazane sekrety. Siedem razy nadchodziła i mijała noc Beltanu; siedem razy zimy mroziły nas chłodem. Wzrok przychodził łatwo; Viviana powiedziała, że jestem urodzoną kapłanką. Nie było tak łatwo przywoływać go wtedy, kiedy chciałam, i tylko wtedy, kiedy chciałam, gdy zaś nie powinnam czegoś wiedzieć, bramy Wzroku trzymać zamknięte.*

*Najtrudniej przychodziły mi drobne zaklęcia, zmuszanie umysłu do chodzenia po nieznanymi ścieżkami. Przywoływanie i zapalenie ognia, przywoływanie mgieł, sprowadzanie deszczu – to wszystko było proste. Ale to, by wiedzieć, kiedy sprowadzić deszcz czy mgły, a kiedy pozostawić je w rękach Bogów, to już proste nie było. Były też lekcje, w których mój dar Wzroku nic nie mógł mi pomóc: wiedza o ziołach, wiedza lecznicza, długie pieśni, z których*

*ani jedno słowo nie mogło być nigdy zapisane, bo jakże wiedza Wielkich może być spisana za pomocą czegoś, co stworzyły ręce człowieka? Niektóre lekcje były czystą radością, bo pozwolono mi grać na harfie, a nawet zbudować własną harfę ze świętego drewna i wnętrzości zwierzęcia złożonego na ofiarę. Ale niektóre zadania były potworne.*

*Najcięższa, jak myślę, była nauka patrzenia w siebie pod wpływem narkotyków, które pomagały oddzielić umysł od ciała. Ciało chorowało i wymiotowało, kiedy uwolniony umysł przemierzał czas i przestrzeń, czytał z kart przeszłości i przyszłości. Ale o tym nie wolno mi opowiadać. W końcu nadszedł dzień, kiedy wywieziono mnie z Avalonu, odzianą tylko w koszulę, uzbrojoną jedynie w maty sztylet kapłanki, bym sama wróciła – jeśli potrafię. Wiedziałam, że jeśli nie wrócę, będą mnie optakiwać, jak zmarłą, ale bramy nigdy już się przede mną nie otworzą, chyba że sama zmuszę je do tego rozkazem i siłą woli. I kiedy mgły zamknęły się nade mną, długo błądziłam wokół nieznanego Jeziora, słysząc tylko dzwony i żałobne śpiewy mnichów. Aż w końcu przedarłam się przez mgły i przywołałam Ją, stojąc mocno stopami na ziemi, głową sięgając gwiazd, rozciągając się od horyzontu po horyzont, krzyknęłam wielkie słowo Mocy...*

*I mgły rozstały się, a przed sobą ujrzałam ten sam słoneczny brzeg, na który Pani Jeziora przywiozła mnie siedem lat wcześniej.*

*Postawiłam stopy na ziemi mego domu i płakałam, tak jak wtedy, gdy przybyłam tu po raz pierwszy jako przestraszone dziecko. A potem między moimi brwiami ręka samej Bogini zostawiła znak półksiężycy... ale to jest Misterium, o którym zabronione jest pisać. Ci, którzy czuli na swym czole piekący pocałunek Ceridwen, będą wiedzieć, o czym mówię.*

*To zdarzyło się drugiej wiosny od czasu, kiedy zakończyłam okres milczenia. Galahad, który był już rycerzem i walczył z Saksonami pod dowództwem swego ojca, króla Bana z Mniejszej Brytanii, powrócił do Avalonu.*

## 12

Kapłanki, które już ukończyły pewien etap szkolenia, po kolei pełniły służbę u Pani Jeziora, a w czasie, kiedy Pani była bardzo zajęta przygotowaniem na nadchodzące obchody letniego przesilenia, jedna z nich zawsze spała w jej małym domku, tak by Pani dzień i noc mogła mieć kogoś na każde zawołanie. Było tak wcześnie, że słońce wciąż skrywało się za mgłą na skraju horyzontu, gdy Viviana weszła do małego pokoiku za swoją komnatą, gdzie spała jej pomocnica, i cicho ją obudziła.

Kobieta siadła na łóżku i zarzuciła na suknię swą skórzaną tunikę.

– Powiedz wioślarzom, by byli gotowi. I zawołaj moją krewniaczkę, Morgianę, by do mnie przyszła.

Kilka minut później Morgiana z szacunkiem zatrzymała się przed wejściem. Viviana klęczała przed kominkiem, rozpalając ogień. Po dziewięciu latach szkolenia w sztuce kapłańskiej Morgiana poruszała się tak cicho, że żaden dźwięk, a nawet drgnienie powietrza nie zdradzało jej kroków. Ale po tych wszystkich latach sekrety kapłanek były jej tak znane, że nie zdziwiła się, kiedy Viviana odwróciła głowę, gdy tylko podeszła do drzwi.

– Wejdz, Morgiano – powiedziała.

Wbrew swemu zwyczajowi Viviana nie poprosiła krewniaczki, by usiadła, lecz przez jakiś czas stojącej bacznie się przypatrywała.

Morgiana nie była wysoka, nigdy się na to nie zanosilo. Przez lata spędzone w Avalonie osiągnęła już swój dojrzały wzrost i była o kilka centymetrów wyższa od Pani Jeziora. Jej czarne włosy były splecione w warkocz z tyłu głowy i związane skórzanym rzemykiem. Ubrana była w ciemną suknię i skórzaną tunikę, jak każda kapłanka, a między jej brwiami połyskiwał niebieski półksiężyc. Choć była tak niepozorna i anonimowa, w jej oczach krył się błysk, który odpowiadał teraz na zimne spojrzenie Viviany. Pani Jeziora wiedziała z doświadczenia, że Morgiana, choć niewielka i delikatna, kiedy chciała, potrafiła rzucić na siebie czar, który sprawiał, że wyglądała nie tylko postawnie, ale majestatycznie. Już teraz trudno było określić jej wiek, a Viviana wiedziała, że będzie wyglądała prawie tak samo nawet wtedy, gdy w jej czarnych włosach pojawi się siwizna.

Z nagłą ulgą Viviana pomyślała, *Nie, ona nie jest piękna*, po czym zastanowiła się, dlaczego miałyby to mieć dla niej jakieś znaczenie. Bez wątpienia Morgiana, tak jak każda kobieta, nawet kapłanka na całe życie zaprzysiężona służbie Bogini, wołałaby być piękna i bardzo rozpaczała nad tym, że taka nie jest. *Kiedy będziesz w moim wieku, moje dziecko, nie będzie już miało znaczenia, czy jesteś piękna czy nie*, pomyślała Viviana z lekkim uśmiechem, *bo każdy, kogo spotkasz, będzie uważał cię za skończoną piękność, jeśli tylko będziesz chciała, żeby tak myślał. A kiedy nie będziesz miała na to ochoty, będziesz mogła nie zwracać niczyjej uwagi i udawać, że jesteś zwykłą, szarą kobietą*. Ponad dwadzieścia lat temu Viviana toczyła ze sobą swoją własną wojnę. Widziała wtedy, jak Igriana wyrasta na rdzawowłosą piękność o mlecznobiałej cerze, za którą młoda jeszcze wtedy Viviana oddałaby chętnie duszę i całą swoją moc. Czasami w chwilach samozwątpienia ciągle jeszcze zastanawiała się, czy nie pchnęła Igriany w małżeństwo z Gorloisem po to, by nie być zmuszona wciąż patrzeć na wspaniałą urodę i urok młodszej kobiety, które przypominały jej nieustannie o własnej zwyczajności i surowości. *Ale w końcu przecież przywiodłam ją do małżeństwa z człowiekiem, który był jej przeznaczony na długo przedtem, zanim jeszcze wielkie głazy świętego okręgu w Salisbury stały jeden na drugim*, pomyślała.

Nagle spostrzegła, że Morgiana wciąż stoi przed nią, czekając na polecenia. Uśmiechnęła się.

– Doprawdy, starzeję się – powiedziała. – Na chwilę zatraciłam się we wspomnieniach. Nie jesteś już dzieckiem, które przybyło tu wiele lat temu, ale ja czasem o tym zapominam, moja Morgiano.

Morgiana uśmiechnęła się i uśmiech całkowicie odmienił jej twarz, która normalnie była raczej posępna. *Teraz wygląda jak Morgause*, pomyślała Viviana, *choć poza tym wcale nie są do siebie podobne. To krew Taliesina.*

– Myślę, że ty niczego nie zapominasz, Pani – powiedziała Morgiana.

– Może faktycznie. Czy jadłaś już śniadanie, dziecko?

– Nie, ale nie jestem głodna.

– To dobrze, chcę, abyś popłynęła łodzią.

Morgiana, która przywykła do milczenia, odpowiedziała jedynie potakującym skinieniem głowy. W żadnym wypadku nie była to dziwna prośba. Łódź Avalonu musiała zawsze być prowadzona przez kapłankę, która znała sekretne przejście przez mgły.

– To misja rodzinna – powiedziała Viviana – bo to mój syn zbliża się do Wyspy. Pomyślałam, więc, że to będzie miłe, jeśli na spotkanie wyjedzie mu krewniaczka.

– Balan? – Morgiana uśmiechnęła się. – Czy jego przyrodni brat Balin nie będzie się lękał o jego duszę, jeśli Balan wykroczy poza dźwięk kościelnych dzwonów?

W oczach Viviany błysnęła iskierka rozbawienia.

– Obaj to dumni mężczyźni i dzielni wojownicy i wiodą nieposzlakowane życie, nawet w ocenie Druidów. Nikogo nie krzywdzą, nikomu nie narzucają swej woli i starają się naprawiać zło, jeśli je napotkają. Nie wątpię, że gdy walczą we dwójkę, bok w bok, dla Saksonów są czterokrotnie bardziej groźni. I rzeczywiście, nie lękają się niczego, poza złośliwymi czarami tej strasznej wiedźmy, która jest matką jednego z nich... – Zachichotała jak dziewczynka, a Morgiana zaśmiała się razem z nią. Viviana spoważniała, mówiąc: – Cóż, jednak nie żałuję, że oddałam Balana na wychowanie w świat. Nie miał powołania, więc byłby z niego bardzo zły Druid, a nawet jeśli jest stracony dla Bogini, to ona bez wątplenia nad nim czuwa na swój sposób, mimo że on modli się do niej na różańcu i nazywa ją Maryją Dziewicą. Nie, Balan jest wciąż na wybrzeżu i walczy z Saksonami u boku Uthera, a ja jestem z tego rada. Mówię o swoim młodszym synu.

– Myślałam, że Galahad jest wciąż w Mniejszej Brytanii.

– Ja też, ale zeszłej nocy ujrzałam go Wzrokiem... jest tutaj. Kiedy go ostatni raz widziałam, miał zaledwie dwanaście lat. Bardzo wyrósł, jeśli mogę tak rzec. Musi mieć chyba teraz ze szesnaście lat albo i więcej, może już walczyć, ale nie jestem przekonana, czy on w ogóle powinien nosić oręż.

Morgiana uśmiechała się, a Viviana przypomniała sobie, że gdy Morgiana przybyła tutaj i była samotnym dzieckiem, czasami pozwalano jej spędzać wolny czas na zabawach z Galahadem, jedynym dzieckiem, które tutaj wychowywano.

– Ban z Benwick musi być już stary – zauważyła Morgiana.

– O tak. I ma wielu synów, tak, że mój syn jest między nimi tylko jeszcze jednym bękartem. Ale przyrodni bracia się go boją i woleliby, żeby poszedł gdzie indziej, poza tym dziecka z Wielkiego Związku nie można traktować jak zwykłego bękartą. – Viviana odpowiedziała na niewypowiedziane pytanie. – Ojciec da mu ziemie i posiadłości w Brytanii, ale zanim jeszcze skończył sześć lat, dopilnowałam, by serce Galahada zawsze należało do Avalonu. – Dostrzegła błysk w oczach Morgiany i znów odpowiedziała na jeszcze nie zadane pytanie: – Że to okrutne, by zawsze tęsknił? Być może. To nie ja byłam okrutna, ale Bogini. Jego przeznaczenie jest tutaj, widziałam go za pomocą Wzroku, klęczącego przed Świętym Kielichem...

Morgiana z lekką ironią znów wykonała potakujący gest, którym kapłanka pod ślubami milczenia przyjęłaby polecenie.

Nagle Viviana rozzłościła się na samą siebie. *Siedzę tutaj, usprawiedliwiając się przed tą dziewczyną z tego, co uczyniłam z własnym życiem i życiem moich synów! Nie jestem jej winna żadnych wyjaśnień!*

– Wsiądź na łódź, Morgiano, i przywieź go do mnie – powiedziała z chłodnym dystansem.

Po raz trzeci Morgiana wykonała milczący gest i odwróciła się, by odejść.

– Chwileczkę – zatrzymała ją Viviana. – Kiedy go przywieziesz, zjesz tu razem z nami śniadanie. Jest twoim kuzynem i krewnym.

Kiedy Morgiana odpowiedziała uśmiechem, Viviana zdała sobie sprawę, że starała się wywołać ten uśmiech i sama zdziwiła się własnym zachowaniem.

Morgiana udała się ścieżką nad brzeg Jeziora. Serce biło jej wciąż szybciej niż zwykle. Ostatnimi czasy zdarzało się często, że kiedy rozmawiała z Panią Avalonu, gniew walczył w niej z miłością, a żadnej z tych emocji nie wolno jej było okazać. To czyniło dziwne rzeczy z jej umysłem. Dziwiła się sobie, bo była przecież nauczona kontrolować swoje uczucia, tak jak kontrolowała słowa, a nawet myśli.

Pamiętała Galahada ze swych pierwszych lat w Avalonie. Był chudym, śniadym, żywym chłopcem. Nie przepadała za nim, ale ponieważ tęskniła za swym własnym braciszkiem, pozwalała samotnemu chłopcu bawić się ze sobą. Potem wysłano go na wychowanie i od tamtej pory widziała go tylko raz, kiedy miał dwanaście lat – pamiętała tylko oczy, zęby i długie kończyny wystające z przykrótkiego ubrania. Przechodził akurat okres żywotnej nienawiści do wszystkiego, co kobiece, a ona zajęta była najtrudniejszą częścią swego szkolenia, nie zwracała, więc na niego zbytniej uwagi.

Niscy mężczyźni, którzy przyprowadzili łódź, skłonili się z milczącym szacunkiem przed Boginią, której uosobieniem była wyższa kapłanka. Skinęła im bez słowa i zajęła swe miejsce na dziobie.

Łódź cicho i gładko wplotnęła w mgły. Morgiana czuła wilgoć przenikającą przez jej ubranie i osiadającą na jej brwiach. Była głodna i przemarznięta do szpiku kości, ale



przywykła nie zwracać na to uwagi. Kiedy wypłynęli z mgły, na dalekim drugim brzegu wzeszło już słońce i widziała czekającego tam jeźdźca na koniu. Łódź zbliżała się już do brzegu, ale Morgiana w rzadkiej chwili samozapomnienia stała tak, nieświadomie wpatrując się w jeźdźca. Był delikatnej budowy, jego pociągła, śniada, przystojna twarz odcinała się wyraźnie od purpurowej czapki z orlim piórem i szerokiego purpurowego płaszcza, który zgrabnie go otulał. Kiedy zsiadł z konia, wdzięk, z jakim się poruszał, naturalny wdzięk tancerza, zaparł jej dech w piersi. Czy kiedykolwiek mogła chcieć być krągła i płowowłosa, skoro ktoś szczupły i śniady mógł być tak piękny? Czy też miał ciemne, migotały w nich psotne iskierki – i to wystarczyło, by Morgiana go poznała, choć pod żadnym innym względem nie przypominał tamtego chudego chłopaczka z kościstymi nogami i ogromnymi stopami.

– Galahad – powiedziała, sposobem kapłanek specjalnie obniżając głos, by powstrzymać go od drżenia. – Nie poznałabym cię.

Skłonił się zamaszycie, zakręcając fantazyjnie peleryną. Czy kiedykolwiek wyśmiewała to jako akrobatyczne popisy? Ruch wydawał się organicznie wychodzić z jego ciała.

– Pani – powiedział.

*On też mnie nie rozpoznał. Tym lepiej.*

Dlaczego w tej właśnie chwili przypomniały jej się słowa Viviany? *Twoje dziewictwo jest poświęcone Bogini. Strzeż go, zanim Matka nie objawi swej woli.* Zdziwiona Morgiana zrozumiała, że po raz pierwszy w życiu patrzyła na mężczyznę z pożądaniem. Wiedząc, że takie rzeczy były nie dla niej, gdyż miała pokierować swym życiem zgodnie z wolą Bogini, dotąd patrzyła na mężczyznę jak na ofiary składane Bogini, która pod postacią kapłanek mogła ich osiąść lub odrzucić, zgodnie ze swoją wolą. Viviana rozkazała, by w tym roku Morgiana nie brała jeszcze udziału w rytuale Beltanu, po którym wiele innych kapłanek chodziło ciężarnych z woli Bogini, by urodzić dziecko lub spędzić je za pomocą ziół i eliksirów, o których się uczyła. Był to nieprzyjemny i niebezpieczny proceder, jednak jeśli nie dokonało się go w porę, ryzykowało się jeszcze bardziej nieprzyjemny proces porodu i wydanie na świat męczących niemowląt, które były wychowywane na Wyspie lub oddawane na wychowanie zgodnie z wolą Pani Jeziora. Morgiana była szczęśliwa, że tym razem uniknęła tego losu. Wiedziała, że Viviana ma co do niej inne plany.

Dała znak, by wszedł na pokład. *Nigdy nie dotykaj obcego przybysza* – to były słowa starej kapłanki, która ją uczyła. *Kapłanka Avalonu musi być jak postać z innego świata.* Zastanawiała się, czemu cofnęła dłoń w chwili, gdy miała dotknąć jego ręki. Z pewnością, która sprawiła, że krew mocniej pulsowała jej w skroniach, wiedziała, że pod gładką skórą leżały twarde mięśnie, pulsujące życiem, pragnęła znów napotkać jego wzrok. Odwróciła się i starała się opanować.

Kiedy się odezwał, jego głos był głęboki i dźwięczny.

– Teraz, kiedy poruszyłaś rękoma, poznałem cię. Zmieniło się wszystko, poza twymi dłońmi. Kapłanko, czy nie byłaś kiedyś moją krewniaczką, Morgiana? – Czarne oczy błysnęły. – Nic innego w tobie nie jest takie, jak wtedy, kiedy nazywałem cię Morgianą Czarodziejką...

– Byłam i jestem Morgianą. Ale minęły lata – powiedziała, odwracając się i dając milczącym wioślarzom znak, by ruszali.

– Czar Avalonu nigdy się nie zmienia – zamruczał, wiedziała jednak, że nie mówi do niej. – Te mgły i trzciny, i krzyk wodnych ptaków... i ta łódź, jak zaklęta, sunąca do cichego brzegu... Wiem, że nic tu po mnie, a jednak, z jakiegoś powodu, ciągle wracam...

Łódź płynęła cicho w poprzek jeziora. Nawet teraz, choć od lat wiedziała, że to nie czary, ale efekt wytrwałego i żmudnego ćwiczenia, Morgiana wciąż była pod wrażeniem magicznej ciszy, w jakiej pracowali wioślarze. Obróciła się, by przywołać mgły. Była świadoma stojącego za nią młodzieńca. Stał z jednym ramieniem opartym o siodło. Z łatwością utrzymywał równowagę, balansując bez ruchu środkiem ciężkości, tak że kiedy łódź płynęła czy zakręcała, prawie się nie poruszał. Morgiana potrafiła robić to samo, ale po latach ćwiczeń, jemu zaś przychodziło to z naturalną łatwością.

Wydawało jej się, że czuje jego wzrok jak namacalne ciepło na karku. Podeszła na dziób i uniosła ramiona, opadły długie rękawy płaszcza. Głęboko wciągnęła powietrze, skupiając się przed magicznym aktem, wiedząc, że musi skoncentrować wszystkie swe siły.

Była bardzo zła na siebie, za tę świadomość, że on na nią patrzy.

*A niech zobaczy! Niech się mnie boi i wie, że jestem samą Boginią!* Ale odezwał się w niej także długo zagłuszany bunt. *Nie! Chcę, żeby widział kobietę! Nie Boginię, nawet nie kapłankę!* Jeszcze jeden głęboki wdech i zniknęło nawet wspomnienie tej myśli.

Ramiona uniosły się w górę, ku łukowi nieba. Opadły w dół, a za nimi opadły mgły, jak długie rękawy jej szaty. Cisza i mgły otaczały ich teraz ze wszystkich stron. Morgiana stała bez ruchu, czując tuż za sobą ciepło ciała młodego mężczyzny. Jeśli poruszy się choć trochę, dotknie jego ręki. Poczuje, jak to dotknięcie parzy jej dłoń.

Odsunęła się z szelestem szat i zebrała wokół siebie wolną przestrzeń, otulając się nią jak welonem. Równocześnie przez cały czas dziwiła się sobie, powtarzając w myślach: *To tylko mój kuzyn, to syn Viviany, który siadał mi na kolanach, kiedy był smutny i samotny!* Specjalnie przywołała do siebie owo wspomnienie dzikiego chłopca, pokrytego siniakami i zadrapaniami, ale kiedy wyjechali z mgły, ciemne oczy wciąż się do niej śmiały, a jej kręciło się od tego w głowie.

*Oczywiście, że jest mi słabo, przecież nic jeszcze nie jadłam,* mówiła sobie i obserwowała głodne oczy Galahada, kiedy spoglądał na Avalon. Widziała, jak się przeżegnał. Viviana byłaby zła, gdyby to zobaczyła.

– To rzeczywiście z czarowanej kraina – powiedział cicho – a ty, jak zawsze, jesteś Morgianą Czarodziejką... ale jesteś teraz kobietą, i to piękną kobietą, krewniaczką...

*Nie jestem piękna, on widzi majestat Avalonu*, myślała niecierpliwie. Ale odezwało się w niej znów coś buntowniczego, *Chcę, żeby mnie uważał za piękną, mnie, a nie magiczne olśnienie!* Zacisnęła usta, wiedząc, że znów wygląda władczo, nakazująco, jak kapłanka.

– Tędy – rzuciła krótko i kiedy łódź osiadła na piaszczystym brzegu, dała wiosłarzom znak, by zajęli się koniem.

– Za pozwoleniem, pani – powiedział. – Sam się tym zajmę. To nie jest zwykłe siodło.

– Jak chcesz – odrzekła i przystanęła patrząc, jak sam rozsiodłuje konia. Była jednak zbyt ciekawa wszystkiego, co go dotyczy, by tak stać w milczeniu. – Rzeczywiście, to dziwne siodło... co to za długie skórzane rzemienie?

– Używają ich Scytowie. Nazywają to strzemionami. Mój ojciec zabrał mnie na pielgrzymkę i zobaczyłem to w ich kraju. Nawet Rzymianie nie mieli takiej jazdy, bo za pomocą strzemion Scytowie potrafią sterować końmi i nawet zatrzymać je w pełnym galopie. W ten sposób mogą walczyć z siodła – powiedział. – I nawet w lekkiej zbroi, jaką nosi kawaleria, jeździec jest niepokonany w starciu z rycerzem stojącym na ziemi. – Uśmiechnął się, jego śniada, żywa twarz pojaśniała. – Saksoni wołają mnie Alfgar, czyli Strzała Elfów, która nadchodzi z ciemności i uderza niewidzialna. Na dworze Bana przyjęli to imię i nazywają mnie Lancelot, co jest najbliższym tłumaczeniem, jakie mogli wymyślić. Pewnego dnia będę miał cały legion konnicy tak wyposażonej, a wtedy niech Saksonowie mają się na baczności!

– Twoja matka mówiła mi, że już jesteś wojownikiem – powiedziała Morgiana, zapominając o znizeniu głosu.

Uśmiechnął się do niej.

– No, teraz rozpoznaję twój głos, Morgiano Czarodziejko... jak mogłaś powitać mnie jako kapłanka, krewniaczko? Cóż, myślę, że taka była wola Pani Avalonu. Ale ja wołę cię taką, a nie dostojną jak Bogini – powiedział, a w jego oczach pojawiły się znajome chochliki, które zapamiętała z dzieciństwa.

Czepiając się resztek swego dostojństwa, Morgiana odparła:

– Tak, Pani nas oczekuje i nie powinniśmy zwlekać.

– O tak – zaśmiał się. – Zawsze musimy spieszyć, by spełniać jej wolę... jak przypuszczam, ty też jesteś jedną z tych, które biegają na każde jej zawołanie i z lękiem słuchają każdego jej słowa.

Na to Morgiana nie znalazła odpowiedzi. Powiedziała więc tylko:

– Tędy.

– Pamiętam drogę – odparł i ruszył u jej boku, zamiast trzymać się z szacunkiem z tyłu. – Ja też przybiegałem i spełniałem jej rozkazy, i drżałem, kiedy marszczyła brwi, dopóki nie zrozumiałem, że jest nie tylko moją matką, ale uważa się za kogoś potężniejszego niż jakakolwiek królowa.

– Bo taka jest – odpowiedziała Morgiana ostro.

– Bez wątpienia, ale ja żyję w świecie, gdzie mężczyźni nie robią wszystkiego na polecenie kobiety. – Spostrzegła, że szczękę miał zaciśniętą, a potny chochlik zniknął z jego spojrzenia. – Wolałbym raczej mieć kochającą matkę niż potężną Boginię, której każdy oddech rozkazuje ludziom żyć lub umierać wedle jej woli.

Na to Morgiana także nie znalazła żadnej odpowiedzi. Przyspieszyła kroku, tak aby musiał ostro się starać, by dotrzymać jej tempa.

Raven – wciąż milcząca, gdyż złożyła śluby wiecznego milczenia, które przerywała tylko na czas rytualnego transu – skinieniem głowy wpuściła ich do środka.

Kiedy jej oczy przywykły do mroku, Morgiana zobaczyła, że Viviana postanowiła powitać syna nie w swych zwyczajnych ciemnych szatach i skórzanej tunice, lecz w pysznej purpurowej sukni. Włosy miała zaczesane wysoko do góry, połyskiwały w nich szlachetne kamienie.

Nawet Morgianie, która sama знаła sekrety okrywania się urokiem, na widok wspaniałości Viviany aż zaparło dech. Wyglądała jak Bogini przyjmująca petenta w swej podziemnej świątyni.

Morgiana widziała napiętą szczękę Galahada, dostrzegła, jak knykcie jego zaciśniętych dłoni bieleją na tle śniadej skóry. Słyszała jego oddech i odgadła wysiłek, z jakim opanował głos, kiedy podniósł się z głębokiego ukłonu.

– Moja pani i matko, pozdrawiam cię.

– Galahadzie – powiedziała Viviana. – Chodź, usiądź tu przy mnie.

Zamiast tego wybrał miejsce naprzeciw niej. Morgiana stała wciąż przy drzwiach, ale Viviana gestem dłoni zaprosiła ją do stołu.

– Czekałam, by zjeść z wami śniadanie. Morgiano, dołącz do nas.

Podano świeżą rybę z Jeziora, ugotowaną z ziołami i obficie polaną masłem; świeżo upieczony, gorący chleb i świeże owoce.

Morgiana rzadko jadła takie przysmaki w skromnym domostwie kapłanek. Ona i Viviana jadły niewiele, ale Galahad nabierał wszystkiego ze zdrowym apetytem wciąż rosnącego młodzieńca.

– Przygotowałaś ucztę godną króla, matko.

– Jak się miewa twój ojciec i co słyhać w Mniejszej Brytanii?

– Dość dobrze, choć w ostatnim roku nie spędzałem tam wiele czasu. Ojciec wysłał mnie w daleką podróż, bym dla potrzeb jego wojsk zapoznał się z tajemnicami kawalerii Scytów. Myślę, że w tej chwili nawet Rzymianie, choć są wspaniałymi żołnierzami, nie mają takiej jazdy. Mamy stado iberyjskich koni... ale przecież nie interesują cię sprawy rozplodowych ogierów. Jadę z wiadomością dla Pendragona o nowych skupiskach armii saksońskich. Nie mam wątpliwości, że przed latem zaatakują z pełną siłą. Jakże ja żałuję, że nie mam ani czasu, ani pieniędzy, by wyszkolić choć legion takiej jazdy!

– Kochasz konie – powiedziała zaskoczona Viviana.

– To cię dziwi, Pani? Ze zwierzętami zawsze dokładnie wiadomo, co myślą, bo one nie umieją kłamać ani udawać, że są czymś innym, niż są – powiedział.

– Wszystkie sekrety natury będą stały przed tobą otworem – rzekła Viviana – kiedy powrócisz do Avalonu i rozpoczniesz życie Druida.

– Wciąż ta sama stara śpiewka, Pani? Myślałem, że dałem ci swą odpowiedź, gdy cię widziałem ostatnim razem.

– Galahadzie – powiedziała – miałeś wtedy dwanaście lat. To za mało, by wiedzieć, co dla ciebie najlepsze.

Niecierpliwie potrząsnął ręką.

– Nikt mnie już nie nazywa Galahadem, oprócz ciebie i Druida, który dał mi to imię. W Bretanii i na polu bitwy jestem Lancelotem.

– Czy myślisz, że obchodzi mnie, co mówią żołnierze? – spytała z uśmiechem.

– A więc wołałabyś, bym spokojnie siedział w Avalonie i grał na harfie, kiedy w prawdziwym świecie toczy się walka na śmierć i życie?

Viviana rzuciła mu gniewne spojrzenie.

– Czy chcesz przez to powiedzieć, że ten świat nie jest prawdziwy, mój synu?

– Jest prawdziwy – odparł Lancelot, gestykulując niecierpliwie – ale prawdziwy w inny sposób, odcięty od walki tam, na zewnątrz. Czarowny świat, świat wiecznego pokoju, to mój dom, o tak, dopilnowałaś tego, Pani. Ale wydaje się, że nawet słońce inaczej tu świeci. I to nie tutaj mają miejsce prawdziwe zmagania z życiem. Nawet Merlin ma na tyle rozumu, że to pojmuje.

– Merlin dopiero po wielu latach nauki potrafi odróżnić to, co rzeczywiste, od tego, co nierealne – powiedziała Viviana. – I ty też musisz się tego nauczyć. Na świecie jest wystarczająco wielu rycerzy, mój synu. Twoim zadaniem jest widzieć dalej i może nawet rozkazywać wszystkim rycerzom.

Pokręcił głową.

– Nie, Pani, nie mów więcej. Ta droga nie jest dla mnie.

– Jeszcze nie dorosłeś na tyle, by wiedzieć, czego chcesz – stwierdziła sucho Viviana. – Czy dasz nam siedem lat, tyle, ile dałeś swemu ojcu, by sprawdzić, czy nie jest to droga właściwa dla ciebie?

– Za siedem lat – odpowiedział Lancelot z uśmiechem – mam nadzieję, że wszyscy Saksoni zostaną wyparci z naszych wybrzeży, i mam nadzieję przyłożyć rękę do zwycięstwa nad nimi. Nie mam czasu na czary i tajemnice Druidów, Pani, i nie chciałbym go mieć, nawet gdybym mógł. Nie, matko, proszę cię, byś dała mi błogosławieństwo i odesłała z Avalonu, bo prawdę mówiąc, odjadę z twoim błogosławieństwem czy bez niego. Żyję w świecie, w którym mężczyźni nie czekają na pozwolenie niewiast, by robić to, co chcą.

Morgiana aż skurczyła się w sobie na widok gniewnej bladości, która oblała twarz Viviany. Kapłanka podniosła się z miejsca i choć była małą istotą, wściekłość i furia dodały jej wzrostu i dostojeństwa.

– Czy sprzeciwiasz się Pani Avalonu, Galahadzie z Jeziora?

Nie cofnął się przed nią. Patrząc, jak blednie mimo swej śniadej cery, Morgiana wiedziała, że pod tym wdziękiem i miękkością kryje się żelazna wola, równa woli Pani Jeziora. Odpowiedział spokojnie:

– Gdybyś mnie o to poprosiła, gdy wciąż jeszcze tak pragnąłem twej miłości i aprobaty, Pani, bez wątpienia mogłem nawet uczynić to, co każesz. Ale nie jestem już dzieckiem, moja Pani i matko, i im szybciej przyjmiesz to do wiadomości, tym prędzej osiągniemy zgodę i przestaniemy się kłócić. Życie Druida nie jest dla mnie.

– Czy zostałeś chrześcijaninem? – spytała, sycząc ze złości.

Westchnął i potrząsnął głową.

– Nie do końca. Odebrano mi nawet tę pociechę, choć na dworze Bana wzięliby mnie za chrześcijanina, gdybym chciał. Myślę, że nie mam wiary w żadnego Boga, poza tym. – Położył dłoń na swoim mieczu.

Viviana z westchnieniem opadła na ławę. Wzięła głęboki oddech i uśmiechnęła się.

– A więc – powiedziała – jesteś mężczyzną i nie można cię przekonać. Jednak chciałabym, byś porozmawiał o tym z Merlinem.

Morgiana, obserwując z boku całą scenę, widziała, jak napięcie opuszcza twarz młodzieńca. *Jemu się wydaje, że ona dała za wygraną, pomyślała. Nie zna jej na tyle, by wiedzieć, że jest bardziej zła niż kiedykolwiek.* Lancelot był na tyle młody, że pozwolił, by ulga odbiła się w jego głosie.

– Jestem ci wdzięczny za zrozumienie, Pani. I chętnie zasięgnę porady Merlina, jeśli sprawi ci to przyjemność. Ale nawet chrześcijańscy księża wiedzą, że powołanie w służbę Bogu to dar od Boga, a nie coś, co przychodzi, bo ktoś tego chce lub nie. Bóg, czy jak wolisz, Bogowie, nie powołali mnie, nie dali mi nawet żadnego dowodu, że istnieją.

Morgiana przypomniała sobie słowa, które Viviana powiedziała jej wiele lat wcześniej: *To zbyt wielki ciężar, by nosić go niezgodnie ze swą wolą.* Ale po raz pierwszy naprawdę zadała sobie pytanie: *Co zrobiłaby Viviana, gdybym kiedykolwiek w czasie tych wszystkich lat przyszła do niej i powiedziała, że chcę odejść? Pani Jeziora jest nazbyt pewna, że zna wolę Bogini.* Takie heretyczne myśli przeszkadzały jej, więc szybko wyrzuciła je z umysłu. Obserwowała Lancelota. Na początku była jedynie oczarowana jego urodą, gracją jego ruchów. Teraz dostrzegęła szczegóły: pierwszy puszek zarostu na jego brodzie – nie miał widocznie czasu albo z wyboru nie ogolił twarzy na wzór rzymski; jego wąskie dłonie miały piękny kształt, były stworzone do strun harfy lub oręża, miał troszkę odcisków po wewnętrznych stronach dłoni i na palcach, więcej na prawej niż na lewej dłoni. Na jednym przedramieniu miał małą bliznę, już pobielającą, która wyglądała, jakby nosił ją od wielu lat, i

inną bliznę, w kształcie półksiężyca, na lewym policzku. Jego rzęsy były długie, jak u dziewczyny. Ale nie miał tego androgynicznego dziewczęcachłopięcego wyrazu, jaki ma wielu chłopców, zanim ich twarz pokryje zarost. Był jak młody ogier. Morgiana myślała, że nigdy przedtem nie widziała tak męskiego stworzenia. Ponieważ była wyszkolona w odczytywaniu takich detali, myślała: *Nie ma w nim nic z tej miękkości, jaką daje wychowanie przez kobiety, by mógł być posłuszny jakiegokolwiek kobiecie. Wyrzekł się dotknięcia Bogini w sobie. Pewnego dnia będzie miał z nią kłopoty...* Jej myśli znów pobiegły w inną stronę. Przypomniała sobie, że pewnego dnia na którymś z wielkich świąt będzie musiała odegrać rolę Bogini i czując przyjemne gorąco w ciele, pomyślała: *Chciałabym, by to on był wtedy Bogiem...* Zagłębiała w swoich marzeniach, nie słyszała nawet, o czym rozmawiają Lancelot i Pani Jeziora, aż dźwięk własnego imienia wymówionego przez Vivianę przywołał ją do rzeczywistości. Wróciła do siebie, jakby była gdzieś daleko, błędząc po świecie.

– Morgiano? – powtórzyła kapłanka. – Mój syn dawno nie odwiedzał Avalonu. Zabierz go ze sobą. Jeśli chcecie, możecie spędzić dzień na wybrzeżu, na dziś jesteś zwolniona ze swych obowiązków. Pamiętam, że kiedy byliście dziećmi, lubiliście chodzić po brzegach Jeziora. Dziś wieczór, Galahadzie, zjesz wieczerzę z Merlinem, a noc spędzisz z młodymi kapłanami, którzy nie są pod ślubami milczenia. A jutro, jeśli wciąż będziesz tego chciał, możesz odjechać z moim błogosławieństwem.

Skłonił się nisko i wyszli.

Słońce stało już wysoko i Morgiana przypomniała sobie, że nie odprawiła porannych modlitw. Cóż, miała pozwolenie Pani, które zwalniało ją z obowiązków, poza tym nie była już jedną z młodszych kapłanek, dla których omińnięcie obrządków oznaczało winę i karę.

Dzisiaj miała zamiar zadziwić kilka młodszych kobiet, przygotowując barwniki do rytualnych szat, ale to nie było nic takiego, co nie mogłoby poczekać jeden dzień, a nawet kilka dni.

– Pójdę do kuchni – powiedziała – i wezmę dla nas trochę chleba na drogę. Możemy zapolować na dzikie ptaki, jeśli chcesz. Lubisz polować?

Uśmiechnął się do niej i skinął głową.

– Może kiedy przyniosę matce kilka ptaków w prezencie nie będzie na mnie taka zła. Chciałbym się z nią pogodzić – powiedział i dodał prawie ze śmiechem: – Kiedy jest zła, ciągle jeszcze się jej boję. Kiedy byłem mały, to wierzyłem, że kiedy mnie przy niej nie ma, to zdejmuje śmiertelną powłokę i staje się rzeczywiście Boginią.

Ale nie powinienem tak o niej mówić, widzę, że ty jesteś do niej bardzo przywiązana.

– Ona jest do mnie też przywiązana, jak przybrana matka – odrzekła Morgiana powoli.

– A czemuż nie miałyby być? Jest twoją krewniaczką, czyż nie? Twoja matka, jeśli sobie dobrze przypominam, była żoną diuka Kornwalii, a teraz jest żoną Pendragona... prawda?

Morgiana przytaknęła. To było tak dawno, że prawie nie pamiętała Igriany, a teraz czasami wydawało jej się nawet, że po prostu była sierotą. Nauczyła się żyć, nie potrzebując

żadnej matki poza Boginią, a między kapłankami miała wiele siostr, nie potrzebowała więc ziemskiej matki...

– Nie widziałam jej od wielu lat.

– Widziałem królową Uthera tylko raz, z daleka, jest bardzo piękna, ale wydaje się zimna i zamknięta. – Lancelot zaśmiał się nerwowo. – Na dworze mojego ojca przywykłem do kobiet, które interesują się tylko ładnymi szatami, klejnotami, swoimi małymi dziećmi i czasami, jeśli są niezamężne, znalezieniem męża... Niewiele wiem o kobietach. Ale ty nie jesteś taka jak one. Nie przypominasz żadnej kobiety, którą kiedykolwiek spotkałem.

Morgiana poczuła, że się rumieni. Odezwała się niskim głosem, przypominając mu:

– Jestem kapłanką, jak twoja matka...

– Och, ale tak się od niej różnisz, jak dzień od nocy. Ona jest potężna, okrutna i piękna i można ją tylko kochać, uwielbiać i bać się jej, ale ty... czuję, że jesteś z krwi i kości i mimo tych wszystkich otaczających cię tajemnic wciąż jesteś realna! Ubierasz się jak kapłanka i wyglądasz jak jedna z nich, ale kiedy patrzę w twoje oczy, widzę tam prawdziwą kobietę, której mogę dotknąć... – mówił żywo i ze śmiechem, więc ujęła jego dłonie i też się zaśmiała.

– O tak, jestem prawdziwa, tak prawdziwa, jak ziemia pod twymi stopami albo ptaki na tym drzewie...

Szli razem wzdłuż brzegu, Morgiana prowadziła go po wąskiej ścieżce, uważnie omijając granice drogi procesjonalnej.

– Czy to jest święte miejsce? – zapytał. – Czy zabronione jest wspinanie się na Tor, jeśli się nie jest kapłanką albo Druidem?

– Zabronione jest tylko w czasie wielkich świąt – odpowiedziała. – I z pewnością możesz wejść tam ze mną. Ja mogę chodzić, gdzie chcę. W tej chwili nie ma na szczycie Toru nikogo poza owcami, które się tam pasą. Chcesz się na niego wspiąć?

– Tak – powiedział. – Pamiętam, że wszedłem tam raz, gdy byłem dzieckiem. Myślałem, że to zabronione, więc byłem pewien, że jak mnie ktoś zobaczy, zostanę ukarany. Wciąż pamiętam widok z góry. Ciekawy jestem, czy ciągle jest tak ogromny, jak mi się wydawało, kiedy byłem chłopaczkiem.

– Jeśli chcesz, możemy wejść po drodze procesjonalnej. Nie jest taka stroma, bo wije się wkoło i wkoło Toru, ale jest dłuższa.

– Nie – odparł. – Wolę się wspiąć prosto w górę, ale... – zawahał się – czy to nie za stroma wspinaczka dla dziewczyny? Ja polując wspiniałem się po wyższych górach, ale czy ty dasz radę w tych długich spódnicach?

Zaśmiała się, mówiąc mu, że wspina się tam często.

– A jeśli chodzi o spódnice, to jestem do nich przyzwyczajona. Ale jak mi będą przeszkadzać, to po prostu podwinę je nad kolano i założę za pasek.

Uśmiechnął się powoli, zachwycony.



– Większość kobiet, które znam, uważałoby się za zbyt skromne, by pokazywać gołe nogi.

Morgiana zarumieniła się.

– Nigdy nie myślałam, że skromność ma coś wspólnego z nogami odsłoniętymi w czasie wspinaczki. Z pewnością mężczyźni wiedzą, że kobiety też mają nogi, tak jak oni. Pokazanie czegoś, co i tak mogą sobie wyobrazić, nie może być aż taką obrazą skromności. Wiem, że tak mówią chrześcijańscy księża, ale im się wydaje, że ludzkie ciało jest dziełem jakiegoś diabła, a nie Boga. Uważają, że mężczyzna nie może spojrzeć na ciało kobiety, żeby od razu nie paść żądzą, by je osiąść.

Odwrocił wzrok i wtedy zrozumiała, że pod tą powierzchowną pewnością siebie jest wciąż wstydlivy i to ją ucieszyło. Razem ruszyli pod górę. Morgiana, która była silna i wyćwiczona w chodzeniu, nadała tempo, które go zadziwiło i które po chwili okazało się dla niego zbyt szybkie. Gdzieś w połowie drogi Morgiana zrobiła przerwę i z wielką satysfakcją stwierdziła, że on ciężko dyszy, podczas gdy ona oddycha spokojnie i z łatwością. Przed wyruszeniem w drugą, bardziej stromą i skalistą część drogi zatknęła długie fałdy sukni za pasek, tak że tylko jeden koniec zwisał jej do kolan.

Do tej pory nigdy ani przez moment nie wahała się przed odsłonięciem nóg, ale teraz, kiedy wiedziała, że on na nie patrzy, nie mogła zapomnieć, że nogi ma zgrabne i mocne. Zastanawiała się, czy on mimo wszystko nie uważa tego za nieskromność. Na szczycie, kiedy wdrapała się na skraj wzniesienia, usiadła w cieniu ogromnych kamieni tworzących krąg. Minutę czy dwie po niej Lancelot także dotarł na szczyt i rzucił się obok niej na trawę, znów ciężko dysząc.

Kiedy w końcu odzyskał głos, powiedział:

– Myślę, że ostatnio za dużo jeździłem konno, a za mało chodziłem i wspinałem się! A tobie nawet nie brakuje tchu.

– Ale ja jestem przyzwyczajona tu przychodzić i nie zawsze chce mi się iść naokoło drogą procesjonalną.

– A na Wyspie Księży nie ma nawet cienia tego kamiennego kręgu – powiedział, wskazując na głązy.

– Nie – odrzekła. – W ich świecie jest tylko kościół i wieża. Jeśli posłuchamy uszami duszy, to usłyszymy kościelne dzwony... tutaj są zaledwie cieniem, a w ich świecie my jesteśmy cieniem.

Zastanawiam się czasami, czy to nie dlatego w nasze święte dni oni unikają tego kościoła i urządzają posty i czuwania. To by było dla nich zbyt niesamowite, gdyby wokół siebie poczuli cień tych kamieni, a ci z nich, którzy mają jeszcze jakąś pozostałość Wzroku, może nawet czuliby wokół siebie przechodzących Druidów i słyszeli echa ich hymnów.

Lancelot zadrzał i wydawało się, że na chwilę chmury zakryły słońce.

– A ty, czy ty masz dar Wzroku? Czy potrafisz spojrzeć poza zasłonę, która oddziela światy? – zapytał.

– Każdy go ma – powiedziała Morgiana – ale ja jestem wyszkolona w jego użyciu lepiej niż wszystkie kapłanki. Czy chcesz zobaczyć, Galahadzie?

Znowu zadrżał.

– Błagam cię, nie nazywaj mnie tym imieniem, kuzynko.

Morgiana zaśmiała się.

– A więc chociaż tak długo żyłeś między chrześcijanami, wciąż wierzysz w ten stary zabobon czarownego ludu, że jeśli ktoś zna twoje prawdziwe imię, to może mieć władzę nad twą duszą? Ty znasz moje imię, kuzynie. A jak w takim razie chciałbyś, żebym cię nazywała? Lance?

– Jakkolwiek chcesz, byle nie tym imieniem, które dała mi moja matka. Wciąż lękam się jej głosu, kiedy wypowiada to imię w pewien sposób. Wydaje mi się, jakbym ten strach wyssał z jej piersi wraz z mlekiem...

Morgiana nachyliła się nad nim i położyła palec między jego brwiami, w miejscu, które jest wrażliwe dla Wzroku. Lekko na nie dmuchnęła i usłyszała, jak Lancelot ze zdziwienia łapie głośno powietrze. Kamienny krąg roztopił się w słońcu. Przed nimi rozciągała się teraz cała przestrzeń na szczycie Toru. Stał tu mały kościółek, a obok niska, kamienna wieża, ozdobiona nieudolnym malowidłem przedstawiającym anioła.

Kiedy szereg ubranych na szaro postaci zaczął iść dokładnie w ich kierunku, Lancelot przeżegnał się szybko.

– Czy oni nas widzą, Morgiano? – wyszeptał drżącym głosem.

– Niektórzy z nich być może widzą nas jako cienie. Kilku może myśleć, że jesteśmy jednymi z nich albo że oślepią ich słońce i widzą coś, czego nie ma – odparła i nagle zamilkła.

Zdała sobie sprawę, że to, co powiedziała, było częścią Misteriów i naprawdę nie powinna tego odkrywać przed kimś niewtajemniczonym. Ale nigdy w życiu nie czuła się z nikim tak blisko; wiedziała, że nie potrafiłaby mieć przed nim tajemnic, że to był jej prezent dla niego. Wytłumaczyła sobie, że przecież Pani chciała go zatrzymać w Avalonie. Ach, jakież byłby z niego Merlin!

Słyszała cichy odgłos pieśni: *Baranku Boży, który wypędzasz z nas całe zło tego świata, zmiłuj się nad nami...*

On też to śpiewał cichutko, pod nosem. Śpiewał wciąż, gdy kościół już zniknął, a przed nimi znów wyrósł kamienny krąg.

– Proszę cię – powiedziała spokojnie – to obraza Wielkiej Bogini śpiewać tutaj takie słowa. Świat, który ona stworzyła, nie jest złem i żaden z jej kapłanów nie pozwoliłby go tak nazwać.

– Jak chcesz – zamilkł, a na jego twarz znów padł cień.

Miał piękny głos, tak słodki, że kiedy przestał śpiewać, pragnęła znów go usłyszeć.

– Czy grasz na harfie, Lance? Masz tak piękny głos, że mógłbyś być bardem.

– Uczyli mnie, kiedy byłem dzieckiem. Potem pobierałem już tylko nauki, jakie przystają synowi szlachcica – odpowiedział. – Nauczyłem się tylko tak bardzo kochać muzykę, by być wiecznie niezadowolonym z własnego grania.

– Naprawdę? Każdy Druid musi najpierw stać się bardem, zanim zostanie kapłanem, bo muzyka jest jednym z kluczy do praw wszechświata.

– To jest kuszące – westchnął Lancelot. – To jeden z niewielu powodów, dla których mógłbym wybrać to powołanie. Ale moja matka chciałaby, żebym tylko siedział w Avalonie i grał na harfie, kiedy świat wokół nas się rozpada, Saksoni i dzikie ludy Północy palą, grabią i rujnują... czy widziałaś kiedyś wioskę napadniętą przez Saksonów, Morgiano? – Sam szybko odpowiedział na swoje pytanie: – Nie. Nie widziałaś, jesteś bezpiecznie chroniona w Avalonie, poza światem, w którym takie rzeczy się zdarzają. Ale ja muszę o nich myśleć. Jestem żołnierzem i wydaje mi się, że w tych strasznych czasach jedyną rzeczą godną mężczyzny jest bronić tej pięknej ziemi przed grabieżą i pożogą.

Zamilkł, patrzył gdzieś daleko, widział potworne rzeczy.

– Jeśli wojna jest takim złem – powiedziała Morgiana – czemu nie schronić się przed nią tutaj? Tak wielu Druidów oddało życie w tym ostatnim, wielkim magicznym akcie, który oddzielił to miejsce od świata, by je ustrzec przed profanacją, że nie mamy dość synów, by ich wyszkolić na ich miejsce.

– Avalon jest piękny – westchnął – i gdybym mógł całe królestwo uczynić tak spokojnym, jak to miejsce, chętnie bym tu został na zawsze i spędził życie na grze na harfie, komponowaniu muzyki i rozmowach z duchami wielkich drzew... ale nie wydaje mi się to godne mężczyzny, by zaszyć się tutaj bezpiecznie, gdy inni muszą cierpieć. Morgiano, nie mówmy już o tym. Przez dzisiejszy dzień, proszę cię, pozwól mi zapomnieć. Tam na zewnątrz świat jest pełen cierpienia, a ja przybyłem tu po dzień lub dwa spokoju. Czy odmówisz mi tego? – Jego głęboki, śpiewny głos drżał lekko, a ból, jaki w nim słyszała, uderzył ją tak mocno, że przez chwilę myślała, iż się rozpłacze. Ujęła jego dłoń i uściśnęła.

– Chodź – powiedziała. – Chciałaś sprawdzić, czy widok jest taki, jakim go pamiętasz...

Wyprowadziła go poza kamienny krąg i z góry spojrzeli na Jezioro. Wokół Wyspy woda połyskiwała w słońcu, marszcząc się lekko. Daleko w dole, po jeziorze sunęła łódeczka, z tej wysokości nie większa niż skacząca ryba. Inne wyspy, pogrążone we mgle, wyłaniały się jak niewyraźne zjawy, rozmyte przez odległość i magiczną zasłonę, która oddzielała Avalon od świata.

– Niedaleko stąd – powiedział – jest stary czarodziejski fort zbudowany na szczycie wzgórza, a stojąc na jego murach, można zobaczyć Tor i Jezioro. Jest tam też wyspa, która ma kształt zwiniętego smoka. – Wskazał kierunek swą kształtną dłonią.

– Znam to miejsce – potwierdziła Morgiana. – Leży na jednej ze starych magicznych linii mocy, które przecinają ziemię; zawieziono mnie tam raz, bym poczuła moce ziemi. Czarowny lud znał się na tym, ja potrafię te siły wyczuć tylko trochę, czuję, jak ziemia i powietrze lekko wibrują. Czy ty potrafisz to wyczuć? Jesteś synem Viviany, też masz w sobie starą krew.

– Łatwo jest czuć, jak ziemia i powietrze wibrują mocą tutaj, na magicznej wyspie – powiedział cicho. Odwrócił się, przeciągnął i ziewnął. – Ta wspinaczka musiała mnie zmęczyć bardziej, niż myślałem; a przez większość zeszłej nocy jechałem konno. Jestem gotów, by usiąść w słońcu i zjeść trochę tego chleba, który dla nas przyniosłaś!

Morgiana zaprowadziła go na sam środek kamiennego kręgu.

Jeśli był wrażliwy, myślała, to poczuje ogromną moc tego miejsca.

– Połóż się tu na ziemi, a ona napełni cię znowu siłą – powiedziała i wręczyła mu kawałek chleba, który wcześniej grubo posmarowała masłem i miodem, a potem zawinęła w skóry.

Jedli powoli, zlizując z palców miód. Ujął jej rękę, uniósł ją do góry i żartobliwie ssął resztki miodu kapiące z jej palców.

– Jakaś ty słodka, kuzynko – powiedział ze śmiechem, a ona poczuła, jak całe jej ciało budzi się od tego dotyku.

Chwyliła jego dłoń, by odwzajemnić gest, ale puściła ją nagle, jak oparzona. Być może dla niego była to tylko zabawa, ale nie dla niej. Odwróciła się, kryjąc w trawie rozognioną twarz. Siła płynąca z ziemi wydawała się przepływać przez nią, wypełniać całe jej ciało energią samej Bogini.

– Jesteś dzieckiem Bogini – powiedziała w końcu – czy nie wiesz nic o Misteriach?

– Bardzo niewiele, choć raz mój ojciec opowiedział mi o tym, jak zostałem poczęty. Jestem dzieckiem z Wielkiego Związku króla i ziemi. I dlatego, jak mi się wydaje, on myśli, że powinienem być wierny ziemi Brytanii, która jest dla mnie ojcem i matką... Byłem też w samym sercu Wielkich Misteriów, na wielkiej Alei Kamieni w Karnak, tam gdzie kiedyś stała starożytna świątynia. To jest miejsce mocy, podobne do Avalonu. Czuję tu moc – powiedział. Odwrócił się i spojrzał jej w twarz. – Jesteś jak Bogini tego miejsca – dodał w zamyśleniu. – Wiem, że w starej wierze kobiety i mężczyźni łączą się ze sobą ogarnięci Jej mocą... chociaż księża chętnie by tego zabronili, tak jak chcieliby powalić wszystkie starożytne kamienie, takie jak te tutaj nad nami i jak ogromne głazy w Karnak... już obalili część, ale to zbyt wielkie zadanie.

– Bogini do tego nie dopuści – stwierdziła pewnie Morgiana.

– Być może – odparł Lancelot i wyciągnął dłoń, by dotknąć półksiężycy na jej czole. – To w tym miejscu mnie dotknęłaś, kiedy pozwoliłaś mi zajrzeć na tamtą stronę. Czy to miejsce ma coś wspólnego ze Wzrokiem? Czy to jeszcze jedno z Misteriów, o którym nie wolno ci mówić? Cóż, a więc nie będę pytał. Ale czuję się tak, jakbym został zwabiony do jednego z tych elfich zamków, gdzie, jak powiadają, w ciągu jednej nocy może minąć sto lat.

– No, nie aż tak wiele – odparła Morgiana ze śmiechem. – Ale to prawda, że czas płynie tam inaczej. Słyszałam jednak, że niektórzy z bardów wciąż potrafią wchodzić i wychodzić z krainy elfów... ta kraina po prostu przesunęła się we mgły jeszcze głębiej niż Avalon, to wszystko.

Mówiąc to, zadrżała.

– Może kiedy powrócę do rzeczywistego świata – powiedział Lancelot – Saksoni będą już pokonani... i przepędzeni.

– A ty będziesz rozpaczał, że nie masz już celu w życiu?

Roześmiał się i potrząsnął głową, trzymając jej dłoń w swojej. Po chwili odezwał się cicho:

– A czy ty... byłaś już na ogniach Beltanu, by służyć Bogini?

– Nie – odpowiedziała spokojnie. – Jestem dziewczyną, dopóki chce tego Bogini. Najpewniej jestem przeznaczona do Wielkiego Związku... Viviana nie objawiła mi jeszcze swej woli ani woli Bogini... – Opuściła głowę i pozwoliła, by włosy opadły jej na twarz.

Czuła się zawstydzona, tak jakby on mógł czytać w jej myślach i odkryć pożądanie, które ogarnęło ją jak nagły płomień. Czy rzeczywiście poświęciłaby tę swoją strzeżoną cnotę, gdyby on o to poprosił?

Dotąd zakaz nigdy nie był dla niej ciężarem. Teraz czuła, jakby między nimi leżał płonący miecz. Zapadła długa cisza, cienie chmur przysłaniały słońce, nie słychać było żadnego dźwięku poza cichym bzykaniem owadów w trawie.

W końcu Lancelot wyciągnął rękę i przyciągnął ją do siebie. Delikatnie pocałował półksiężyc na jej czole, a pocałunek parzył ją jak ogień. Jego głos był cichy, lecz wyraźny:

– Niech wszyscy Bogowie uchowają, bym przekroczył granicę, poza którą zakazuje ci wykraczać Bogini, moja droga. Jesteś dla mnie święta, jak sama Bogini.

Przytulił ją do siebie; czuła drzenie jego ciała. Przepętno ją szczęście tak intensywne, że aż bolesne.

Od czasu kiedy była małym i beztróskim dzieckiem, nigdy nie zaznała, co znaczy być szczęśliwą. Szczęście było czymś, co niejasno pamiętała z czasów, zanim matka obarczyła ją ciężarem opieki nad młodszym bratem. A tutaj, na Wyspie, gdzie życie wznosiło się na poziomy duchowe, zaznała zarówno uniesień i wspaniałości mocy, jak i cierpienia i udręki stawianych przed nią zadań. Ale nigdy nie poznała czystego szczęścia, które czuła teraz. Wydawało jej się, że słońce świeci jaśniej, że chmury płyną po niebie jak wielkie skrzydła, tnąc czyste, wonne powietrze; każde źdźbło trawy połyskiwało swym własnym, wewnętrznym światłem, światłem, które wydawało się płynąć także z niej. Ujrzała siebie odbitą w oczach Lancelota i wiedziała, że jest piękna i że on jej pragnie, i że jego miłość i szacunek dla niej są tak wielkie, iż potrafi dla niej powstrzymać w ryzach swoje własne żądze. Czuła, jak rozpięta ją radość.

Czas się zatrzymał. Rozpływała się w rozkoszy. On tylko gładził jej policzek najdelikatniejszym z dotknięć, które było jak muśnięcie piórkiem. Żadne z nich nie pragnęło więcej. Bawiła się miękko jego palcami, wyczuwając odciski na dłoniach.

Po długiej chwili przyciągnął ją bliżej i okrył brzegiem swego płaszcza. Leżeli przy sobie, ledwo się dotykając, pozwalając mocom słońca, ziemi i powietrza przepływać przez siebie w harmonii. Zapadła w lekki sen, w którym wciąż była świadoma ich splecionych rąk. Wydało jej się, że już kiedyś, dawno temu, leżeli tak jak teraz, szczęśliwi, wieczni, w bezkresnym radosnym spokoju, jakby byli częścią tych wielkich kamieni, które stoją od wieków; tak jakby pamiętała, że kiedyś już tu z nim była. Później obudziła się i zobaczyła, że on śpi. Usiadła i patrzyła na niego. Z ogromną czułością zapamiętywała każdy szczegół jego twarzy.

Minęło już południe, kiedy się obudził z uśmiechem i przeciągnął jak kot. Wciąż zamknięta w bańce swego szczęścia, usłyszała, jak powiedział:

– Mielibyśmy iść polować na ptactwo. Chciałbym się pogodzić z matką, jestem tak szczęśliwy, że nie mogę znieść myśli o pozostawaniu w nieprzyjaźni z jakąkolwiek żywą istotą, ale może duchy przyrody ześlą nam jakiegoś ptaszka, którego przeznaczeniem jest być przez nas szczęśliwie spożytym...

Zaśmiała się i chwyciła go za rękę.

– Zaprowadzę cię w miejsce, gdzie ptaki polują na ryby, i jeśli taka jest wola Bogini, to nie złapiemy nic, więc nie będziemy musieli czuć się winni, że mieszamy się do ich przeznaczenia. Ale tam jest błoto, więc będziesz musiał zdjąć te buty do konnej jazdy, a ja znowu będę musiała podwinąć suknie. Czy używasz oszczepu, jak Piktowie, albo ich małych zatrutych strzał, czy łapiasz w sieć i skręcasz ptakom szyje?

– Myślę, że najmniej cierpią, jak się je szybko złapie w siatkę i od razu ukręci szyję. – Lancelot powiedział z rozmysłem, a ona przytaknęła.

– Przyniosę siatkę i powróż.

Kiedy schodzili z Toru, nie spotkali nikogo. Drogę, która w tamtą stronę zajęła im ponad godzinę, teraz pokonali w kilka minut. Morgiana wstąpiła do baraku, gdzie chowano sieci i sidła i przyniosła dwie pary. Cicho szli brzegiem, aż znaleźli odpowiednie miejsce w dalekim zakątku Wyspy. Boso weszli do wody, kryjąc się w trzcinach i zakładając sieci. Stali teraz w wielkim cieniu Toru i powietrze było tu chłodne. Wodne ptactwo zaczęło już nadlatywać na posiłek.

Po chwili usłyszeli szamotanie się ptaka złapanego w sieć Morgiany.

Poruszając się zwinnie, podeszła, chwyciła ptaka za nogi i w kilka chwil skręciła mu szyję. Wkrótce Lancelot złapał następnego, potem jeszcze jednego. Związał je razem pękiem trzcin.

– To wystarczy – powiedział. – Miła zabawa, ale w taki dzień jak ten wolę niczego nie zabijać bez potrzeby. Mam już jednego dla matki i dwa dla Merlina. Czy może ty też chcesz jednego?

Potrząsnęła głową.

– Ja nie jadam mięsa.

– Jesteś taka drobna – zauważył. – Myślę, że nie potrzebujesz wiele pokarmu. Ja jestem wielki i szybko głodnieję.

– Czy teraz też jesteś głodny? Jest jeszcze za wcześnie na jagody, ale możemy poszukać owoców głogu...

– Nie – odpowiedział. – Nie, naprawdę. Jak trochę zgłodnieję, to kolacja będzie mi lepiej smakować.

Przemoczeni wyszli na brzeg. Morgiana zdjęła swoją skórzaną tunikę, by ją wysuszyć na krzaku, żeby nie zeszywniała. Zdjęła też suknię i wycisnęła ją z wody. Stała ubrana tylko w halkę z niewybielonego lnu. Znaleźli miejsce, gdzie zostawili buty, ale ich nie zakładali. Usiedli na trawie, trzymając się za ręce, i obserwowali, jak ptaki pływały, a potem rozkładając nagle ogony, nurkowały za małymi rybkami.

– Jak spokojnie – powiedział Lancelot. – Tak jak byśmy byli jedynymi żyjącymi ludźmi na świecie, poza czasem i przestrzenią, wolni od wszystkich trosk i zmartwień, myśli o bitwach, królestwach, walce...

– Chciałabym, by ten dzień trwał wiecznie! – powiedziała drżącym głosem, bo uderzyła ją myśl, że to się musi niebawem skończyć.

– Morgiano, ty płaczesz? – spytał z przejęciem.

– Nie – odparła rażno, strzepując z rzęs jedyną nieposłuszną łzę, przez którą świat rozsypywał się w małe migocące kawałki.

Nigdy nie była w stanie płakać, nigdy, przez wszystkie te lata ciężkich zadań nie uroniła choćby jednej łzy, w strachu czy w bólu.

– Kuzynko... Morgiano – powiedział, tuląc ją do siebie i gładząc po policzku.

Odwróciła się i przywarła do niego, skrywając twarz w jego tunice. Był taki ciepły, czuła równe bicie jego serca. Po chwili ukląkł, uniósł jej twarz do góry, delikatnie chwytając ją pod brodę. Ich usta się spotkały.

– Chciałabym, byś nie była zaprzysiężona Bogini... – wyszeptał.

– Ja też – odpowiedziała cicho.

– Chodź tu, chodź, pozwól mi cię przytulić, o tak, przysięgłem, że nie... nie przekroczę...

Zamknęła oczy. Było jej wszystko jedno. Jej przysięga wydała się odległa o tysiące lat. Nawet myśl o gniewie Viviany nie mogła jej zatrzymać. Po latach często zastanawiała się, co by się stało, gdyby zostali tak jeszcze choć kilka chwil. Bez wątpienia Bogini, w której rękach się znajdowali, dopełniłaby na nich swej woli. Ale w momencie, kiedy ich usta znowu się połączyły, Lancelot zeszywniał, jakby usłyszał coś, co było poza zasięgiem jej słuchu.

Morgiana odsunęła się i usiadła.

– Morgiano, co to jest?

– Nic nie słyszę – powiedziała, starając się wyłowić uchem coś poza dźwiękiem wody, wiatru kołyszącego trzciniami i odgłosu skaczących od czasu do czasu ryb. A potem to usłyszała, jak ciche westchnienie... jak szloch.

– Ktoś płacze – powiedział Lancelot i szybko rozprostował swe długie nogi, by wstać.

– To tam, ktoś jest ranny albo się zgubił... to brzmi jak głos małej dziewczynki...

Morgiana szybko ruszyła za nim, bosa, zostawiając suknię i tunikę na krzaku. Możliwe było, że jedna z młodszych kapłanek zagubiła się tutaj, choć nie wolno im było oddalać się od Domu Dziewcząt.

Ale małe dziewczynki były tylko dziewczynkami i nie można było wierzyć, że nie będą łamały reguł. Kiedyś stara kapłanka powiedziała jej, że Dom Dziewcząt to miejsce dla małych dziewczynek, których jedynym obowiązkiem w życiu jest psucie, rozlewanie, łamanie wszystkiego, włączając w to reguły wspólnego życia, aż nie rozleją, nie zepsują i nie połamią wszystkiego, co się da, i dopiero wtedy w ich umysłach będzie trochę miejsca na wiedzę. Teraz, kiedy Morgiana była pełną kapłanką i sama zaczęła szkolić młodsze, coraz częściej myślała, że owa stara kapłanka miała rację: ona z pewnością nigdy nie była tak głupia i bezmyślna jak niektóre z tych dziewczynek, które teraz przebywały w Domu Dziewcząt.

Szli za dźwiękiem. Był niewyraźny, czasami milkł na całe minuty, a potem powracał, całkiem słyszalnie. Mgła zaczęła napływać grubymi płatami znad Jeziora i Morgiana nie była pewna, czy to zwykła mgła, powstała z wilgoci i nadchodzącego zachodu słońca, czy też była to granica welonu mgły, który otaczał magiczne królestwo.

– Tam – powiedział Lancelot, nagle dając nura w mgłę. Morgiana poszła za nim i ujrzała przechodzącą z cienia w rzeczywistość, to znów rozplywającą się we mgle postać dziewczynki, która płacząc stała po kostki w wodzie.

*Tak, pomyślała Morgiana, ona rzeczywiście tam jest; a równocześnie: Nie, to nie jest kapłanka. Dziewczynka była niestychanie piękna. Wydawała się cała złotem i bielą. Cerę miała jasną jak kość słoniowa gdzieniegdzie jedynie przetykana koralem, jej oczy były jak najjaśniejszy błękit nieba, włosy długie, płowe i świecące przez mgłę jak żywe złoto. Ubrana była w białą sukienkę, którą na próżno próbowała uchronić przed zamoczeniem. Wydawało się, że roni łzy w taki sposób, iż nie wykrzywia to w ogóle jej twarzy; płacząc wyglądała jeszcze piękniej.*

– Co się stało, dziecko? Zgubiłaś się? – spytała Morgiana.

Wpatrując się w nich ze strachem, dziewczynka wyszeptała:

– Kim jesteście? Myślałam, że nikt mnie tutaj nie usłyszy, wołałam siostry, ale żadna z nich mnie nie usłyszała, a potem ziemia zaczęła się poruszać i tam gdzie stałam na suchym lądzie, nagle stałam w wodzie, a wokół mnie były tylko trzciny i tak się przestraszyłam... Co to za miejsce? Nigdy go nie widziałam, a jestem już w klasztorze prawie rok... – Przeżegnała się.



Wtedy Morgiana zrozumiała, co się stało. Welon mgły stawał się czasami cieńszy w miejscach o skoncentrowanej mocy, a ta dziewczynka była na tyle wrażliwa, by być tego świadoma. Czasem przytrafiało się to ludziom jako chwilowa wizja i wtedy mogli zobaczyć inny świat jako cień albo chwilowe widzenie; ale całkowite przejście do tego świata było rzadkością.

Dziewczynka zrobiła krok w ich kierunku, ale zatrzymała się zalękniona. Bagniste dno ugięło się pod jej stopami.

– Stój spokojnie – powiedziała Morgiana uspakajająco. – Tutaj dno jest trochę niestabilne. Ja znam przejście. Pomogę ci, kochanie.

Ale kiedy ruszyła do przodu z wyciągniętą ręką, Lancelot wystąpił przed nią, uniósł dziewczynkę, zaniósł ją na suchy ląd i posadził na ziemi.

– Masz mokre buty – powiedział. – Zdejmij je, to wyschną.

Patrzyła na niego w zadziwieniu. Już przestała płakać.

– Jesteś bardzo silny. Nawet mój ojciec nie jest taki silny. I myślę, że już cię gdzieś widziałam, czyż nie?

– Nie wiem – odpowiedział Lancelot. – Kim jesteś? Kim jest twój ojciec?

– Mój ojciec to król Leodegranz – powiedziała. – Ja jestem tutaj w szkole, w klasztorze... – Głos znów zaczął jej drżeć. – Gdzie on jest? Nie widzę nawet budynku, ani kościoła...

– Nie płacz – powiedziała Morgiana podchodząc, a dziewczynka cofnęła się przed nią. – Czy jesteś kimś z czarownego ludu? Masz ten niebieski znak na czole... – Uniosła dłoń i znowu się przeżegnała. – Nie... – mówiła dalej z wahaniem. – Nie możesz być demonem, bo nie znikasz, kiedy się żegnam, a siostry mówiły, że wtedy każdy demon musi zniknąć... ale jesteś mała i brzydka jak ci z czarownego ludu...

– Nie, oczywiście, że żadne z nas nie jest demonem – powiedział Lancelot zdecydowanie. – Myślę, że umiemy znaleźć drogę z powrotem do twojego klasztoru.

Serce Morgiany zamarło, bo spostrzegła, że teraz patrzył na nieznajomą dokładnie tak, jak zaledwie kilka minut wcześniej patrzył na nią: z miłością, pożądaniem, niemal uwielbieniem.

Odwrócił się do Morgiany, pytając z nadzieją:

– Możemy jej pomóc, prawda?

Morgiana ujrzała siebie taką, jaką musiała wydawać się Lancelotowi i tej złotej dziewczynce – mała, śniada, z tym barbarzyńskim, niebieskim znakiem na czole, w ubłoconej do kolan halce, z nieskromnie odsłoniętymi ramionami, brudnymi stopami, rozczochranymi włosami. *Mała i brzydka jak ci z czarownego ludu. Morgiana Czarodziejka.* Tak wyśmiewano ją od dzieciństwa. Poczwała falę nienawiści do siebie, obrzydzenia dla swego drobnego, śniadego ciała, swych pólnagich ramion, ubłoconej tuniki.

Zerwała wilgotną spódnicę z krzaka i wciągnęła na siebie, nagle świadoma swych gołych nóg. Włożyła też swoją brudną, skórzaną tunikę. Przez chwilę, kiedy Lancelot się jej

przyglądał, czuła, że i jemu ona musi wydawać się brzydka, barbarzyńska, obca. Natomiast to cudowne złote stworzenie należało do jego świata.

Podszedł i z ukłonem pełnym szacunku ujął dłoń nieznajomej dziewczynki.

– Chodź, pokażemy ci powrotną drogę.

– Tak – powiedziała głucho Morgiana. – Pokażę ci drogę. Idź za mną i trzymaj się blisko, bo grunt tu zdradliwy, możesz się zgubić i nie móc się wydostać przez długi czas.

Przez chwilę dławiącej wściekłości kusiło ją, by wyprowadzić ich oboje na nieprzebyte bagna – potrafiłaby to zrobić, znała drogę – wyprowadzić ich tam i zostawić, żeby się potopili albo na wieczność błakali się we mgle.

– Jak masz na imię? – spytał Lancelot.

– Na imię mi Gwenifer\* – powiedziała dziewczynka, a Morgiana usłyszała, jak Lancelot mówi cicho:

– Jakie piękne imię, pasuje do damy, która je nosi.

Morgianę zalała fala nienawiści tak silnej, iż myślała, że zemdleje od mocy jej uderzenia. Poczwała, że ta nienawiść będzie z nią aż do śmierci, i przez tę ulotną chwilę naprawdę pragnęła umrzeć. Dzień utracił wszystkie barwy, otaczała ją szarość, mgły i zdradliwe trzciny, a wraz ze światłem uleciało całe jej szczęście.

– Chodź – powtórzyła martwym głosem – pokażę ci drogę.

Kiedy odwróciła się i ruszyła przed siebie, usłyszała, jak się razem śmieją, idąc z tyłu. Poprzez swą głuchą nienawiść zastanawiała się, czy śmieją się z niej. Słyszała dziecinny głosik Gwenifer mówiący:

– Ale ty nie należysz do tego okropnego miejsca, prawda? Ty nie wyglądasz jak ktoś z czarownego ludu, ty nie jesteś mały i brzydki.

*Nie*, pomyślała, *nie, on jest piękny, a ona – mała i brzydka*. Te słowa wtopiły jej się w serce; zapomniała, że przecież wygląda jak Viviana, a Vivianę uważała zawsze za piękną. Usłyszała, jak Lancelot mówi:

– Nie, nie, naprawdę, bardzo bym chciał wrócić razem z tobą. Naprawdę bym chciał, ale obiecałem dziś wieczorem zjeść kolację z moim krewnym, a matka i tak już się na mnie gniewa. Nie chcę rozzłościć także tego starszego człowieka. Ale nie, nie należę do Avalonu... – a po chwili: – Nie... ona jest... cóż... kuzynką mojej matki czy coś takiego, znaleźliśmy się, kiedy byliśmy jeszcze dziećmi, to wszystko.

Morgiana wiedziała, że mówił o niej. A więc tak prędko wszystko, co było między nimi, zostało sprowadzone do dalekich więzów rodzinnych! Walczyła z całym siłą, by powstrzymać łzy, które boleśnie zaciskały jej gardło. Wiedziała, że płacz uczyniłby ją w ich oczach jeszcze obrzydliwszą. Zatrzymała się dopiero na suchym lądzie.

– Tam leży twój klasztor, Gwenifer. Bądź ostrożna i trzymaj się ścieżki, bo znowu możesz się zgubić we mgle.

\* W oryginale Gwenhwyfar (wym. Głenifer) – staroangielska wersja imienia Guinevra.

Zobaczyła, że dziewczynka trzyma Lancelota za rękę. Morgianie wydało się, że niechętnie puścił jej dłoń.

– Dziękuję, och, dziękuję – rzekła do niego dziewczynka.

– To Morgianie powinnaś podziękować – przypomniał jej Lancelot. – To ona wie, jak wejść i wyjść z Avalonu.

Dziewczynka rzuciła jej przelotne, zawstydzone spojrzenie i dygnęła uprzejmie.

– Dziękuję, pani Morgiano.

Morgiana wciągnęła głęboko powietrze, otaczając się znowu magiczną aurą kapłanki, sprowadzając urok, którym mogła się okryć, kiedy chciała. Wiedziała, że teraz, mimo brudnego i poszarpanego ubrania, bosych stóp, włosów zwisających mokrymi strąkami wokół ramion, nagle wydała się wysoka i wspaniała. Wykonała niedbały ruch błogosławieństwa i odwróciła się bez słowa. Kolejnym gestem wezwała Lancelota, by szedł za nią. Choć już tego nie widziała, dobrze wiedziała, że zdumienie i lęk znów powróciły na twarz dziewczynki. Ona jednak odchodziła w ciszy, płynąc bezszelestnie, jako kapłanka Avalonu. Czuła za sobą oporne kroki Lancelota.

Po chwili obróciła się, ale mgły już się zamknęły, a dziewczynka zniknęła za nimi.

– Jak ty to zrobiłaś, Morgiano? – spytał Lancelot drżącym głosem.

– Jak zrobiłam co? – spytała.

– Nagle wyglądałaś tak... jak... jak moja matka. Wysoka i daleka, niedostępna i... nie całkiem rzeczywista. Jak żeński demon. Przestraszyłaś tę biedną dziewczynkę, nie powinnaś była tego robić!

Morgiana przygryzła wargi z bólu i nagłej wściekłości.

– Kuzynie, jestem tym, kim jestem – odpowiedziała spokojnym, głębokim głosem.

Odwróciła się i szybko ruszyła przed siebie, zostawiając go z tyłu. Była zmarznięta, zmęczona i chora chorobą duszy. Tęskniła za samotnością w Domu Dziewcząt. Lancelot został daleko za nią, ale nie zwracała na to uwagi. Stąd znał już powrotną drogę.

## 13

Wiosną następnego roku, w szalejącej burzy, późno w nocy, przybył do Avalonu Merlin. Kiedy powiadomiono o tym Panią Jeziora, otworzyła szeroko oczy ze zdziwienia.

– W noc taką jak ta topią się nawet żaby – powiedziała. – Cóż go sprowadza w taką pogodę?

– Nie wiem, Pani – odpowiedział młody Druid, który przyniósł wiadomość. – Nawet nie posłał po łódź, tylko przyszedł sam, sekretnymi ścieżkami, i powiedział, że musi się widzieć z tobą, Pani, jeszcze dziś w nocy, zanim położysz się spać. Posłałem po suche rzeczy dla niego,

bo jego własny strój był w takim stanie, jaki możesz sobie wyobrazić. Chciałem mu także podać jedzenie i wino, ale spytał, czy może wieszczę z tobą.

– Powiedz mu, że go zapraszam – powiedziała Viviana, ostrożnie utrzymując obojętny wyraz twarzy.

Bardzo dobrze opanowała sztukę ukrywania swych myśli. Ale kiedy młody mężczyzna wyszedł, pozwoliła sobie na zaskoczone spojrzenie i zmarszczenie brwi.

Posłała po usługujące jej kobiety i zamiast swojej zwykłej skromnej kolacji kazała im przynieść jedzenie i wino dla Merlina i na nowo podsycić ogień. Po jakimś czasie usłyszała na zewnątrz jego kroki, a kiedy wszedł, od razu skierował się do ognia. Taliesin był już teraz przygarbiony, brodę i włosy miał całkiem siwe. W pożyczonej zielonej szacie któregoś z bardów nowicjuszy wyglądał trochę niepoważnie, chude kostki wystawały mu spod zbyt krótkiej sukni.

Usadziła go przy kominku – zauważyła, że wciąż jeszcze drżał – ustawiła przed nim talerz jedzenia, kubek wina, dobrego wina z awalońskich jabłek w srebrnym rzeźbionym kubku.

Sama usiadła na niewielkim stołeczku obok, wzięła ze sobą swój chleb i suche owoce i przyglądała się, jak on je. Kiedy odsunął talerz i siedział, pociągając wino, odezwała się:

– Teraz wszystko mi opowiedz, ojcze.

Stary człowiek uśmiechnął się do niej.

– Nigdy nie myślałem, że usłyszę, jak mnie tak nazywasz, Viviano. A może myślisz, że na starość złożyłem też śluby kościelne?

– Nie – odparła, zaprzeczając ruchem głowy. – Ale ty byłeś kochankiem mojej matki, która była tu Panią przede mną, i jesteś ojcem dwóch moich siostr. Wspólnie służyliśmy Bogini i Wyspie Avalon przez więcej lat, niż zdołam spamiętać, i może dziś w nocy tęskno mi, by usłyszeć głos ojca, który doda mi otuchy... nie wiem.

Czuję się bardzo stara tej nocy. Ojcz... Taliesinie. Czy myślisz, że jestem za stara, by być twoją córką?

– Nigdy, Viviano. – Stary Druid znów się uśmiechnął. – Ty się nie starzejesz. Ja wiem, ile masz lat, albo ostatecznie mogę obliczyć twój wiek, jeśli zechcę, ale mnie wciąż wydajesz się dziewczynką. Nawet teraz mogłabyś mieć tylu kochanków, ilu byś chciała, gdybyś tylko miała na to ochotę.

Machnęła ręką.

– Bądź pewien, że nigdy nie znalazłam mężczyzny, który znaczyłby dla mnie więcej niż tylko konieczność, obowiązek lub przelotną przyjemność – powiedziała. – I tylko raz, jak myślę, spotkałam mężczyznę, poza tobą, który dorównywałby mi siłą. – Roześmiała się. – Chociaż gdybym była o dziesięć lat młodsza, to myślisz, że zrezygnowałabym z możliwości bycia żoną Najwyższego Króla i objęcia tronu przez mego syna?

– Nie wiem, czy Galahad, jak to oni go teraz nazywają...? Lancelot? Ja nie wiem, czy on jest z takiego materiału, z jakiego robi się królów. To wizjoner, trzcina miotana wiatrem.

– Ale gdyby spłodził go Uther Pendragon...

Taliesin potrząsnął głową.

– To wyznawca, Viviano, nie przywódca.

– A choćby nawet. To się bierze z wychowania na dworze Bana, gdzie jest bękartem. Gdyby był wychowany jako królewski syn...

– A kto rządziłby Avalonem przez te wszystkie lata, gdybyś ty wybrała koronę w chrześcijańskich ziemiach?

– Gdybym nimi rządziła u boku Uthera – powiedziała – to już nie byłyby chrześcijańskie. Myślałam, że Igriana będzie miała nad nim moc i użyje jej dla Avalonu...

– Nie ma co się rozwodzić nad rozlanym mlekiem, Viviano. To właśnie o Utherze muszę ci opowiedzieć. Jest umierający.

Uniosła głowę i przyglądała się mu.

– Tak więc czas już nadszedł... – Czuła, jak serce jej przyspiesza. – On jest za młody, by umrzeć...

– Sam prowadził swych ludzi w bój, choć ktoś rozsądniejszy w jego wieku powierzyłby to jakiemuś generałowi. Został ranny i wdała się gorączka. Zaoferowałem swe usługi jako uzdrowiciel, ale Igriana zabroniła, tak jak i księża. Zresztą i tak nic bym nie mógł zrobić. Jego czas nadszedł. Ujrzałem to w jego oczach.

– Jaką królową jest Igriana?

– Prawie dokładnie taką, jak przewidziałś – odrzekł stary Druid. – Jest piękna, dostojna, pobożna, zawsze chodzi w żałobie po dzieciach, które utraciła. W dzień zaduszny powiła jeszcze jednego syna, ale żył tylko cztery dni, nie więcej. A jej ksiądz przekonał ją, że to kara za jej grzechy. Odkąd poślubiła Uthera, nie owiał jej choćby cień skandalu, poza tym zbyt wczesnym narodzeniem pierwszego syna. Ale to wystarczyło. Spytałem ją, co zamierza uczynić po śmierci Uthera, i kiedy już się wyplakała, powiedziała, że pójdzie do klasztoru. Zaproponowałem jej schronienie w Avalonie, gdzie mogłaby być blisko córki, ale odparła, że to nie byłoby odpowiednie dla chrześcijańskiej królowej.

Uśmiech zamarł na twarzy Viviany.

– Nigdy nie myślałam, że usłyszę to z ust Igriany.

– Viviano, nawet w myślach nie możesz jej oskarżać o to, co sama spowodowałaś. Avalon wyrzucił ją, kiedy najbardziej go potrzebowała. Czy potępisz tę dziewczynę za to, że znalazła pociechę w wierze prostszej niż nasza?

– Nie wątpię, że jesteś jedynym człowiekiem w całej Brytanii, który Najwyższą Królową nazywa „dziewczyną”!

– Dla mnie, Viviano, czasem nawet ty jesteś małą dziewczynką. Tą samą małą dziewczynką, która wdrapywała mi się na kolana, by dotknąć strun mojej harfy.

– A teraz już nawet nie mogę grać. Palce z wiekiem straciły giętkość – powiedziała Viviana.

Merlin potrząsnął głową.

– Ach, nie, moja droga – powiedział, wyciągając swą własną, chudą, powyginaną dłoń. – Przy moich twoje ręce są młode, a jednak ja codziennie rozmawiam nimi z moją harfą, ty mogłabyś robić to samo. Ale twoje ręce nawykły do dzierżenia władzy, nie strun.

– A cóż stałoby się z Brytanią, gdyby tak nie było? – spytała mrużąc oczy.

– Viviano – odpowiedział poważniejszym tonem – ja cię nie osądzam. Ja tylko mówię o tym, co jest.

Westchnęła i oparła brodę na dłoniach.

– Miałam rację, kiedy powiedziałam, że dziś w nocy potrzebuję ojca. Tak więc to już nadeszło, to, czego tak się baliśmy i co szykowaliśmy przez tyle lat. A co z synem Uthera, ojczu? Czy jest gotów?

– Musi być gotów – powiedział Merlin. – Uther nie dożyje nocy świętojańskiej. A te padlinożercze wrony już się zbierają, tak jak wtedy, gdy Ambrozjusz leżał na łożu śmierci. Jeśli chodzi o chłopca... nie widziałas go?

– Czasami widzę jego obraz w magicznym zwierciadle – powiedziała. – Wygląda na zdrowego i silnego, ale to nie mówi mi nic poza tym, że może wyglądać jak król, kiedy do tego dojdzie. Ty go odwiedzałaś, prawda?

– Za zgodą Uthera od czasu do czasu jeździłem sprawdzić, jak rośnie. Widziałem, że ma te same łacińskie i greckie księgi, z których twój syn tyle się nauczył o strategii i sztuce wojennej. Ektoriusz jest Rzymianinem do szpiku kości, żyje historiami podbojów Cezara i wypraw Aleksandra. To wykształcony człowiek i obu synów wyszkolił w sztuce wojennej. Młody Kajusz już walczył w bitwie tego roku. Artur żałował, że nie może iść, ale jest posłusznym synem i zrobił tak, jak rozkazał Ektoriusz.

– Jeśli on jest taki rzymski – powiedziała Viviana – to czy Artur zechce być poddanym Avalonu? Bo musi rządzić zarówno Piktami, jak i Plemionami, pamiętaj.

– Zająłem się tym – odparł. – Doprowadziłem do tego, by spotkał wojowników z niskiego ludu. Powiedziałem mu, że walczyli u boku Uthera podczas wojen i bronili naszej wyspy. Artur nauczył się od nich strzelać elfimi strzałami i bezszelestnie poruszać się w lesie i na bagnach. I... – Merlin zatrzymał się, a potem dodał z naciskiem: – I potrafi wytropić jelenie, i nie boi się wejść między nie.

Viviana na moment zamknęła oczy.

– Jest taki młody...

– Bogini zawsze wybiera najmłodszego i najsilniejszego mężczyznę, by prowadził jej wojowników – powiedział Taliesin.

– Niech się tak stanie – odrzekła Viviana i skinęła głową. – Zostanie poddany próbie. Jeśli możesz, przywieź go tutaj, zanim Uther umrze.

– Tutaj? – Merlin potrząsnął głową. – Nie przed zakończeniem próby. Tylko wtedy możemy pokazać mu drogę do Avalonu i oba królestwa, którymi musi rządzić.

Viviana znów skinęła głową.

– A zatem na Wyspę Smoka.

– Czy to będzie starodawna próba? Uther nie był sprawdzany w ten sposób przed mianowaniem na króla...

– Uther był wojownikiem. Wystarczyło uczynić go panem smoka – powiedziała Viviana.

– Ten chłopiec jest młody i nie skrwawiony w walce. Musi być poddany próbie.

– A jeśli nie da rady...

Viviana zacisnęła zęby.

– Nie wolno mu przegrać!

Taliesin zaczekał, aż znowu na niego spojrzy, i powtórzył:

– A jeśli nie da rady...

– Bez wątpienia Lot jest gotów, jeśli do tego dojdzie – westchnęła.

– Powinnaś była wziąć jednego z synów Morgause i wychować go tutaj, w Avalonie – powiedział Merlin. – Gawain byłby odpowiedni. Jest zapalczywy, kłótlivy. To byczek, podczas gdy syn Uthera to ogier. Ale w Gawainie są zadatki na króla, jak myślę. On także pochodzi od Bogini, przecież Morgause też jest córką twojej matki, w jej synu płynie więc królewska krew Avalonu.

– Nie ufam Lotowi – odparła Viviana porywczo. – A Morgause ufam jeszcze mniej!

– A jednak Lot rządzi klanami na północy, myślę, że Plemiona by go zaakceptowały...

– Ale ci, którzy są wierni Rzymowi, nigdy – powiedziała Pani Jeziora. – I wtedy mielibyśmy w Brytanii dwa królestwa, wciąż ze sobą skłócone, a żadne z nich nie dość silne, by odeprzeć Saksonów i dzikich najeźdźców z Północy. To musi być syn Uthera, nie wolno mu zawieść!

Stary człowiek pokiwał głową i odezwał się współczującym głosem.

– Bogini nie objawia mi swojej woli – powiedział. – To ty przepowiedziałaś, że ten chłopiec będzie miał moc przewodzenia całej Brytanii. Ostrzegalem cię przed pychą, Viviano, przed zbytnią pewnością, że wiesz, co najlepsze dla każdego żyjącego człowieka. Dobrze rządziłaś Avalonem...

– Ale jestem stara – powiedziała, unosząc twarz i widząc litość w jego oczach – i niedługo nadejdzie dzień...

Merlin spuścił głowę. Jego też nie oszczędzało to prawo.

– Kiedy ten czas nadejdzie, będziesz wiedziała, Viviano. To jeszcze nie teraz.

– Nie – powiedziała, walcząc z uczuciem rozpacz, które tak jak teraz czasem ją nachodziło. Czowała gorąco w ciele i zamęt w głowie. – Kiedy nadejdzie taki czas... taki czas, że nie będę już mogła dojrzeć, co niesie przyszłość, wtedy będę wiedziała, że nadeszła pora, by przekazać komuś panowanie nad Avalonem. Morgiana jest jeszcze młoda, a Raven, którą

bardzo lubię, oddała się ciszy, swój głos zaś podarowała Bogini. Ta chwila jeszcze nie nadeszła, ale jeśli przyjdzie zbyt wcześnie...

– Kiedykolwiek to nadejdzie, będzie to czas właściwy, Viviano – powiedział Merlin.

Wstał, wysoki i przygarbiony, zachwiał się i widziała, jak mocno oparł się na lasce. – A więc przywiozę chłopca na Wyspę Smoka, kiedy zejda śniegi, a wtedy zobaczymy, czy jest gotowy, by uczynić go królem. A potem dasz mu miecz i kielich, na dowód, że między Avalonem i zewnętrznym światem istnieje wieczna więź...

– Najwyżej miecz – powiedziała Viviana. – Nie jestem pewna co do kielicha.

Merlin skinął głową.

– Zostawiam to twojej mądrości. Ty, nie ja, jesteś głosem Bogini. Lecz nie ty będziesz Boginią dla niego...

– Spotka Matkę, kiedy zatryumfuje – powiedziała, przytakując ruchem głowy. – I z jej rąk weźmie miecz zwycięstwa. Ale najpierw musi się sprawdzić i musi spotkać Panią Łowów... – Przez twarz przemknął jej cień uśmiechu. – I bez względu na to, co potem nastąpi, tym razem już nie zaryzykujemy tak, jak w przypadku Uthera i Igriany. Za wszelką cenę musimy zapewnić dziedzica królewskiej krwi...

Kiedy Merlin poszedł, siedziała jeszcze długo, obserwując pojawiające się w płomieniach obrazy, patrząc jedynie w przeszłość, tym razem nie pragnęła zaglądać przez zasłonę w mgły przyszłości.

Wiele lat temu, tak wiele, że nie pamiętała już ile, ona także oddała swe dziewictwo Rogatemu Bogu, Wielkiemu Myśliwemu, bogu spiralnego tańca życia. Teraz nie myślała nawet o dziewicy, która odegra tę rolę w nadchodzącym rytuale, pozwoliła swym myślom powędrować w przeszłość, wspominała też i te czasy, kiedy grała rolę Bogini w Wielkim Związku...

...nigdy nie było to dla niej niczym więcej niż tylko obowiązkiem; czasem przyjemnym, czasem niesmacznym, ale zawsze była posłuszna, oddana Wielkiej Matce, która rządziła jej życiem, od czasu gdy po raz pierwszy tu przyjechała. Nagle pozazdrościła Igrianie, a część jej umysłu zastanowiła się, dlaczego zazdrości kobiecie, która straciła wszystkie swoje dzieci – albo umarły, albo musiała je oddać na wychowanie, a teraz miała cierpieć wdowieństwo i zakończyć życie za murami klasztoru.

*Zazdrość jej miłości, którą poznała... Nie mam córek, synowie są mi obcy i dalecy... Nigdy nie kochałam, myślała. Nie zaznałam też nigdy tego, co znaczy być kochaną, lęk, podziw, cześć... to wszystko było mi dane. Nigdy miłość. I czasem wydaje mi się, że oddałabym to wszystko, by choć raz jakaś ludzka istota spojrziała na mnie tak, jak Uther patrzył na Igrianą w dniu ich zaślubin.*

Westchnęła cicho, półgłosem powtarzając to, co wcześniej powiedział jej Merlin:

– Cóż, nie ma się co rozwodzić nad rozlanym mlekiem...



Uniosła głowę, a usługująca jej kapłanka podeszła bezszelestnie.

– Pani?

– Zawołaj do mnie... nie. – Zatrzymała się, niespodziewanie zmieniając zdanie. *Niech sobie śpi. To nieprawda, że nigdy nie kochałam ani nie byłam kochana. Kocham Morgianę ponad wszelką miarę. I ona kocha mnie.*

A teraz to też może się skończyć. Ale musi się stać tak, jak zechce Bogini.

## 14

Bledziutki rogalik księżycyca w nowiu świecił na zachód od Avalonu. Morgiana powoli wspinała się pod górę, bosymi stopami pokonując spiralną drogę, cicha i blada jak dziewiczy księżyc. Włosy miała rozpuszczone, jej szata spływała luźno, nieprzepasana. Wiedziała, że strażnicy i kapłanki pilnują w milczeniu, by nikt niewtajemniczony nie zakłócił jej skupienia nie poświęconym słowem. Pod zasłoną opadających na twarz włosów oczy miała przymknięte.

Pewnym krokiem wspinała się pod górę, nie potrzebowała widzieć drogi. Za nią szła milcząca Raven. Tak jak Morgiana, była bosa, nieprzepasana, rozpuszczone włosy zasłaniały jej twarz.

W górę i w górę w gasnącym blasku księżycyca i kilku bladych gwiazd, świecących na fioletowej kopule nieba. Kamienie kręgu stały jak szare, potężne cienie. Między nimi błyskało pojedyncze światełko – nie płomień, lecz coś na kształt błędnego ognika, zaklęty ogień czarownic świecił ze środka magicznego kręgu.

Przy ostatnim blasku zachodzącego księżycyca, na chwilę odbitym w błyszczących wodach Jeziora, w ciszy podeszła do nich młodziutka kapłanka, jeszcze dziewczynka, odziana w luźną szatę z surowej wełny, jej włosy zlewały się z ciemnością. Podała Morgianie kielich.

Morgiana przyjęła go i upiła z niego bez słowa. Potem podała kielich Raven, która osuszyła go do ostatniej kropli. Srebro i złoto połyskiwały w zamierającej księżycowej poświacie. Z niewidocznych w ciemności rąk Morgiana przyjęła ogromny miecz z rękojeścią w kształcie krzyża. Stęknęła cicho, nie spodziewając się takiego ciężaru. Stojąc pośrodku kamiennego kręgu, bosa, zmarznięta, choć tego nieświadoma, mieczem obrysowała wokół siebie na ziemi wielkie koło. Stojąca za nią Raven ujęła długą włócznię i wbiła ją w sam środek czarodziejskiego ognia. Płomień zajął przymocowany do włóczni kawałek liny. Raven wyjęła włócznię i obniosła ją wokół zatoczonego przez Morgianę koła. Mętne światło ognia czarownic rozbłyskało w ciemności. Kiedy obie powróciły do środka, tam gdzie paliło się najbłedsze światło, ujrzały twarz Viviany; bez wieku, ponadczasową, bez tułowia, unoszącą się w powietrzu. Świetlistą twarz Bogini. Choć Morgiana wiedziała, że taki efekt uzyskuje się przez posmarowanie policzków i brwi świecąca substancją, która kontrastowała z ciemnością

panującą w kręgu i czarnymi szatami, jednak widok ten zawsze, nieodmiennie, zapierał jej dech w piersiach.

Błyszczące dłonie unoszące się bez ramion w powietrzu podały coś Morgianie, potem Raven. Morgiana ugryzła kęs drewnianej goryczy, zmusiła się do pokonania mdłości i połknęła. Cisza gęstniała. Oczy świeciły w ciemnościach, lecz twarze nie były widoczne.

Morgiana czuła, jakby stała przed niezmiernym tłumem cisnącym się na szczycie Toru, jednak nie widziała ani jednej pojedynczej twarzy. Nawet bezcielesna twarz Viviany zniknęła w ciemności.

Czuła ciepło ciała stojącej obok niej Raven, choć wcale się nie dotykały. Starła się uspokoić umysł medytacją, pograżając się w wyćwiczonej ciszy. Nie była pewna, dlaczego ją tu przyprawiono.

Czas mijał. Gwiazdy pojaśniały na tle coraz bardziej ciemniejącego nieba. Czas, myślała Morgiana, czas w Avalonie płynie inaczej, a może nawet w ogóle nie istnieje. Wielokrotnie podczas tych długich lat pokonywała nocą spiralną drogę wiodącą na szczyt Toru, by w środku kamiennego kręgu zgłębiać tajemnice czasu i przestrzeni.

Jednak dzisiejsza noc wydawała się inna, ciemniejsza, bardziej brzemienna tajemnicą. Morgiana nigdy przedtem nie była wywołana spośród innych kapłanek, by odegrać główną rolę w rytuale. Wiedziała, że to, co jej podano podczas magicznej wieczerzy, to zioła przywołujące Wzrok, które jednocześnie nie obniżają jego mocy ani zasięgu.

Po jakimś czasie całkowitej ciemności zaczęła w umyśle widzieć obrazy. Małe, kolorowe obrazy, widziane jakby z wielkiej odległości.

Ujrzała stado biegnących jeleni. Potem zobaczyła znów tę samą wielką ciemność, która okryła ziemię tamtego dnia, gdy słońce zgasło i wiał zimny wiatr, a ona przestraszyła się wtedy, że oto świat się kończy; ale stare kapłanki zebrane na dziedzińcu wytłumaczyły jej, że to Bóg Księżyca zakrywa świetlistą twarz Bogini, a ona dołączyła do kapłanek i razem z nimi radośnie pobiegła, krzycząc, by go wystraszyć i przepędzić. Potem wytłumaczono jej, jak poruszają się księżyc i słońce i dlaczego od czasu do czasu nachodzą na siebie. Pojęła, że to siły natury, a wierzenia ludu o twarzach Bogów są tylko symbolami, potrzebnymi ludziom na obecnym poziomie ich rozwoju, gdyż wizualizują wielkie prawdy. Pewnego dnia wszyscy ludzie będą znali wewnętrzne prawdy, ale na razie nie były im one potrzebne.

Morgiana obserwowała wewnętrznym Wzrokiem, tak jak to robiła w życiu, jak pory roku przemijały nad wielkim kamiennym kręgiem; obserwowała narodziny, płodność, a w końcu śmierć Boga. Zobaczyła wielkie procesje wspinające się spiralnie do zagajnika na szczycie Toru, zanim jeszcze postawiono tu kamienny krąg... czas stał się przezroczysty, stracił swe zwykłe znaczenie. Widziała, jak mali, pomalowani ludzie przyszli, dojrżeli i zostali zmieceni, a potem tak samo Plemiona, a potem Rzymianie, później wysocy przybysze z wybrzeży Galii, a po nich... czas przestał istnieć, a ona widziała tylko wędrówki ludów i dojrzewanie świata; lody nadeszły i stopniały, i nadeszły znowu, widziała wielkie świątynie Atlantis teraz

zatonione na zawsze pod wodami oceanów, widziała, jak nowe lądy powstają i znikają... i ciszę, i poza nocą wielkie gwiazdy toczące się kołem...

Za sobą usłyszała przeraźliwy, świdrujący krzyk, aż skóra jej ścierpła. To krzyczała Raven, Raven, której głosu nigdy przedtem nie słyszała. Raven, która pewnego razu, łapiąc spadającą lampę, poparzyła się wrzącym olejem i gdy bandażowano jej rany, zatykała usta rękoma, by z bólu nie złamać ślubu, którym swój głos oddała Bogini.

Zawsze będzie nosiła blizny. Kiedyś patrząc na nią, Morgiana pomyślała: *Ślub, który ja złożyłam, to w porównaniu z jej przysięgą tak niewiele, a jednak o mało go nie złamałam dla ciemnowłosego chłopca o słodkim głosie.*

A teraz Raven krzyczała głośno w bezksiężycową noc. To był wysoki, elektryzujący krzyk, jak wycie rodzącej kobiety. Po trzykroć wibrujący ton okrążył szczyt Toru i Morgiana znów zadrzała. Wiedziała, że nawet zakonnice na tej drugiej wyspie, która istniała równolegle z ich światem, musiały obudzić się w swych odosobnionych celach i żegnać znakiem krzyża, słysząc ten przeraźliwy krzyk, który rozbrzmiewał pomiędzy światami.

Po krzyku nastąpiła cisza, cisza, która Morgianie wydała się przepełniona oddechem, równym, wstrzymywanym oddechem niewidzialnych inicjatek, które stały wokół tej porażającej samotności zamieszkaną jedynie przez trzy nieruchome kapłanki. Potem, dusząc się i kaszląc, jakby to długie milczenie zraniło jej głos, Raven zawołała:

– Ach, siedem razy Koło, Koło o trzynastu osiach, obróciło się na niebie... siedmiokrotnie Matka narodziła swego czarnego syna.

Znów zapadła cisza, tym głębsza w porównaniu z niedawnym wołaniem, przerywana jedynie urywanym oddechem natchnionej kapłanki. Znów krzyknęła:

– Och, płonę, płonę! Już czas, już czas... – i znowu pogrążyła się w ciężkiej ciszy, brzemiennej trwogą. – Biegną! Biegną na wiosenne bekowisko, biegną, walczą, wybierają króla... ach, krew, krew, a najwspanialszy z nich wszystkich biegnie, a na jego dumnych rogach jest krew...

Przedłużająca się cisza. Morgiana poza ciemnością swych powiek ujrzała wiosenny bieg stada jeleni. Raz jeszcze zobaczyła dawno zapomnianą wizję, której fragmenty widziała kiedyś w srebrnej misie: między jeleniami był człowiek, bił się, walczył...

– To dziecko Bogini, biegnie, biegnie... Rogaty Pan musi zginąć... i Rogaty Pan musi przejąć koronę... Dziewica Łowczyni zawoła do siebie swego pana, musi złożyć swą cnotę Bogom... ach, ta pradawna ofiara, ta stara ofiara... płonę, płonę... – Słowa zaczęły nachodzić na siebie, zamazywać się, aż stały się całkowicie niezrozumiałe i zamarły w jednym, długim szlochu. Przez zamknięte powieki Morgiana ujrzała, jak Raven pada nieprzytomna na ziemię i leży bez ruchu. Ciszę przerywał tylko dźwięk łapanego przez nią z trudem powietrza.

Gdzieś zahuczał puszczyk. Raz, dwa, trzy razy.

Z ciemności wyszły kapłanki, ciche i ciemne, niebieskie półksiężycy świeciły na ich czołach. Delikatnie podniosły Raven i zabrały ją. Podniosły też Morgianę. Czuła, jak jej ciężką głowę ktoś tuli czule do miękkich piersi. I nie wiedziała nic więcej.

Trzy dni później, kiedy trochę odzyskała siły, Viviana przysłała po nią.

Morgiana wstała i próbowała się ubrać, ale była jeszcze zbyt słaba, więc przyjęła pomoc jednej z młodszych kapłanek, wdzięczna losowi, że dziewczyna była pod ślubami milczenia i nie odzywała się do niej. Długi post, okropna słabość spowodowana rytualnymi ziołami, napięcie tamtej nocy wciąż dawały się we znaki jej ciału.

Poprzedniej nocy zjadła trochę zupy, a tego ranka chleb namoczony w mleku, lecz wciąż czuła się chora i pusta, osłabiona długą chorobą.

Kręciło jej się w głowie. Do tego jej miesięczne krwawienia nadeszły z taką siłą, jak nigdy przedtem. Wiedziała, że to także może być uboczny efekt wywołany przez święte zioła. Chora i zobojętniała, żałowała, że Viviana nie zostawiła jej w spokoju, aż wydobrzeje. Ale wykonała polecenie Viviany, tak jakby spełniała rozkaz samej Bogini, gdyby ta wyjrzała z nieba i oznajmiła głośno swą wolę. Kiedy się ubrała, zaplotła włosy i związała je skórzanym rzemieniem, pomalowała świeżą niebieską farbą półksiężyc na czole, poszła ścieżką wiodącą do domu, gdzie mieszkała Najwyższa Kapłanka.

Tak jak to było jej przywilejem, weszła bez pukania i bez zapowiedzi. Jakoś zawsze wyobrażała sobie, że w tym domu Viviana czeka na nią, siedząc na swym podobnym do tronu krześle jak Bogini, ale tego dnia Viviana była na tyłach komnaty, a kominek nie był zapalony, lecz ciemny i zimny. Viviana miała na sobie prostą szatę ze zgrzebnej wełny z kapturem, który naciągnęła na głowę. Po raz pierwszy Morgiana zdała sobie wyraźnie sprawę z tego, że Viviana była kapłanką nie tylko reprezentującą Panią i Matkę, ale także pradawną Wiedzącą, przedstawicielkę Śmierci Kostuchy. Jej twarz była zapadnięta, poorana zmarszczkami i Morgiana pomyślała: *Oczywiście, jeżeli rytuał wyczerpał Raven i mnie, a my obie jesteśmy młode i silne, to jak musiał wpłynąć na Vivianę, która zestarzała się w służbie tej, której służymy wszystkie?*

Potem Viviana odwróciła się i uśmiechnęła do niej, ciepłym uśmiechem, i Morgiana znów poczuła tę dawną znajomą falę miłości i czułości. Ale jak przystało na młodszą kapłankę w obecności Pani, czekała, aż Viviana odezwie się pierwsza. Viviana gestem kazała jej usiąść.

– Czy już wyzdrowiałaś, dziecko?

Morgiana opadła na ławę wiedząc, że nawet ten krótki spacer ją wyczerpał. Pokręciła głową.

– Wiem – powiedziała Viviana – czasami, kiedy nie wiedzą, jak zareagujesz, dają za dużo. Następnym razem nie bierz wszystkiego, co ci dają, osądź, ile możesz przyjąć. Wystarczająco, by sprowadzić Wzrok, ale nie tyle, by ci mogło aż tak bardzo zaszkodzić.

Teraz masz już to prawo, by kierować się swym własnym osądem w wypełnianiu obowiązków.

Z jakiegoś powodu te słowa wciąż dźwięczały Morgianie w uszach: *kierować się własnym osądem, kierować się własnym osądem*. Jestem wciąż chora po tych narkotykach, które mi dali, pomyślała i niecierpliwie potrząsnęła głową, by odpędzić myśli i móc słuchać Viviany.

– Ile rozumiałaś z przepowiedni Raven?

– Bardzo niewiele – przyznała. – To wszystko było tajemnicą. Nie jestem nawet pewna, dlaczego tam byłam.

– Częściowo dlatego – powiedziała Viviana – by dodać jej swojej mocy. Ona nie jest silna. Leży wciąż w łóżku i martwię się o nią. Ona wie, ile ziół może przyjąć, ale nawet tak niewiele to dla niej zbyt dużo. Wymiotowała krwią i wciąż krwawi. Ale nie umrze.

Morgiana wyciągnęła rękę, by się oprzeć. Czuła się pusta, zbladła i zachwiała się pod nagłą falą nudności. Bez wyjaśnienia wstała, pokuśtykała na zewnątrz i zwymiotowała, zwracając chleb i mleko, które przełknęła tego ranka. Usłyszała, jak Viviana wymawia jej imię, i kiedy skończyła i stała, opierając się ciężko o framugę drzwi, podeszła do niej jedna z młodszych kapłanek z ręcznikiem, by mogła wytrzeć twarz. Ręcznik był wilgotny i lekko pachniał ziołami. Kiedy wróciła do środka, Viviana podtrzymała ją, a potem podała jej niewielki kubek.

– Popijaj to powoli – powiedziała.

Napój palił ją w język i na chwilę zwiększył uczucie nudności – był to silny alkohol destylowany przez Plemiona z Północy, nazywali go wodą życia. Próbowwała go tylko raz czy dwa. Ale kiedy przełknęła, poczuła intensywne ciepło rozlewające się po jej pustym żołądku i po kilku minutach poczuła się lepiej, pewniej, prawie świetnie.

– Jeszcze trochę – powiedziała Viviana – to ci wzmocni serce. Czy teraz czujesz się lepiej?

Morgiana przytaknęła.

– Dziękuję.

– Dziś wieczorem będziesz już mogła jeść – powiedziała Viviana, a w tym dziwnym stanie, w którym była Morgiana, zabrzmiało to dla niej jak rozkaz. Jakby Viviana potrafiła rozkazać nawet jej żołądkowi, by się zachowywał jak należy. – A więc pomówmy o przepowiedni Raven. W dawnych dniach, na długo przed tym, zanim mądrość i wiedza Druidów dotarły na nasze ziemie z zatopionych świątyń na zachodnich lądach, czarowny lud, z którego krwi obie się wywodzimy, ty i ja, moja Morgiano, żył tutaj na brzegach śródlądowego morza. Zanim nauczyli się siać owies i zbierać plony, żywili się owocami i mięsem jeleni, na które polowali. W tamtych czasach nie było między nimi króla, lecz tylko królowa, która była ich matką, choć wtedy jeszcze nie umieli myśleć o niej jako o Bogini. A skoro żyli z polowania, ich królowa i kapłanka nauczyła się przywoływać do siebie jelenie i

prosić ich duchy, by poświęciły się i oddały życie dla życia Plemienia. Ale za ofiarę musi być złożona ofiara. Jeleń oddawał życie dla Plemienia, więc ktoś z Plemienia musiał oddać za to swoje życie, a przynajmniej podjąć ryzyko, że jelenie mogły, jeśli chciały, wziąć jego życie w zamian za swoje. I w ten sposób równowaga była zachowana. Czy rozumiesz to, moja kochana?

Morgiana usłyszała to niezwykle czułe słowo i w swym skołatanim umyśle zastanawiała się: *Czy ona mi mówi, że ja mam być tą ofiarą? Czy moje życie wybrało Plemię? Nieważne. Należę do Bogini na życie i na śmierć.*

– Rozumiem, Matko, a przynajmniej tak mi się wydaje.

– Tak więc matka Plemienia co roku wybierała swego towarzysza. A ponieważ on godził się oddać swe życie dla Plemienia, ludzie Plemienia darowywali mu swoje życie. Nawet jeśli niemowlęta przy piersi głodowały, on miał jadła zawsze pod dostatkiem. Mógł też mieć wszystkie kobiety Plemienia, tak by to on, najsilniejszy i najlepszy, mógł je zapładniać. Poza tym matka Plemienia była często za stara na rodzenie dzieci, musiał więc mieć wybór między młodymi kobietami i żaden mężczyzna Plemienia nie ważył się mu odmówić tego, czego chciał. A potem, kiedy rok upływał, w tamtych czasach robiono to co roku, zakładał na siebie rogi jelenia i strój z niewyprawionej jeleniej skóry, by jelenie myślały, że jest jednym z nich. I biegł ze stadem, gdy Matka Łowczyni rzucała na nie zaklęcie do biegu.

O tej porze roku stado już było po wyborze swojego Przewodnika, Króla Ogiera, i czasami Król Ogier wyczuwał obcego i walczył z nim. Wtedy Rogaty Pan ginął.

Morgiana poczuła na plecach ten sam zimny dreszcz, który czuła tam, na szczycie Toru, gdy ten rytuał rozgrywał się przed jej zamkniętymi oczyma. *Roczny król musi zginąć za swój lud.* Czy narkotyki wciąż na nią działały, że znów widziała to tak wyraźnie?

– Cóż, czasy się zmieniły, Morgiano – powiedziała cicho Viviana. – Teraz te stare rytuały nie są już potrzebne, bo zbieramy plony, a ofiary są bezkrwawe. Jedyne w porze wielkiego zagrożenia Plemiona potrzebują takiego przywódcy. A Raven przepowiedziała, że to jest czas takiego zagrożenia. Więc raz jeszcze odbędzie się próba dla tego, który zaryzykuje życie dla swego wybranego ludu, tak by z kolei oni poszli za nim nawet na śmierć. Mówiłam ci już o Wielkim Związku?

Morgiana przytaknęła. Z takiego związku narodził się Lancelot.

– Plemionom czarownego ludu i Plemionom Północy został dany wielki przywódca i on właśnie poddany będzie próbie starego rytuału. Jeśli przeżyje tę próbę, co do pewnego stopnia zależy od mocy, z jaką Łowczyni zaczaruje jelenie, zostanie obwołany Królem Ogierem, Rogatym Panem, towarzyszem Dziewicy Łowczyni, będzie ukoronowany rogami Boga. Morgiano, wiele lat temu powiedziałam ci, że twoje dziewictwo należy do Bogini. Teraz ona go żąda, w ofierze Rogatemu Bogu. Ty będziesz Dziewicą Łowczynią i oblubienicą Rogatego Pana. Zostałaś wybrana do tego zadania.

W pokoju było bardzo cicho, jakby znów stały w środku rytualnego kręgu. Morgiana nie śmiała przerwać tej ciszy. W końcu wiedząc, że Viviana czeka, aż wyrazi zgodę – jak to ona powiedziała, tak dawno temu? To zbyt wielki ciężar, by brać go na siebie wbrew własnej woli? – skinęła głową.

– Moje ciało i moja dusza należą do Niej, by uczyniła z nimi wedle swej woli – szepnęła.  
– A twoja wola jest Jej wolą, Matko. Niech się tak stanie.

## 15

Odkąd tu przybyła, Morgiana opuściła Avalon jedynie dwa lub trzy razy, a były to zaledwie krótkie podróże w najbliższe sąsiedztwo, na wybrzeża Morza Lata, gdzie uczyła się rozpoznawać miejsca, które mimo upływu czasu utrzymały wciąż swą dawną moc.

Teraz czas i przestrzeń nie miały dla niej znaczenia. Zabrano ją z wyspy o świcie, w ciszy, szczelnie otuloną i przysłoniętą welonem, by żadne niepożądane oko nie mogło ujrzyć poświęconej osoby.

Niesiono ją w zamkniętej lektyce, aby nawet słońce nie padało na jej twarz. Zanim minął dzień tej podróży ze Świętej Wyspy, straciła całkowicie rachubę czasu, miejsca i odległości. Zagłębiona w medytacji, niejasno świadoma tego, że zaczyna wpadać w magiczny trans.

Był czas, że walczyła z nadejściem tego ekstatycznego stanu. Teraz witała go z radością, otwierając swój umysł na Boginię, wzywając Boginię, by posiadała ją, użyła jej jako swego instrumentu, zawładnęła jej duszą i ciałem, tak aby we wszystkich swych czynach mogła być samą Boginią.

Zapadła noc: przez zasłony lektyki przeświecał księżyc niemal w pełni. Kiedy biegacze zatrzymali się i wysiadła, poczuła, jak światło księżyca oblewa ją całą pocałunkiem Bogini. Poczowała słabość ogarniającego ją transu. Nie wiedziała, gdzie jest, i było jej wszystko jedno. Szła teraz tam, gdzie ją prowadzono, bierna, pogrążona w transie, niewidząca. Wiedziała jedynie, że idzie na spotkanie swego przeznaczenia.

Znalazła się w chacie, gdzie oddano ją w ręce obcej kobiety, która przyniosła jej chleb i miód, ale Morgiana nie tknęła jedzenia. Nie chciała przerywać postu aż do czasu rytualnej wieczerzy. Wypiła tylko wodę z wielkim pragnieniem. Było tam łożo, ustawione tak, że księżyc padał prosto na jej twarz. Kobieta podeszła, by zamknąć drewniane okiennice, ale Morgiana zatrzymała ją władczy gestem. Przez większość nocy leżała pogrążona w transie, czując na sobie światło księżyca jak niewidzialny dotyk. W końcu zasnęła, ale płytko, budząc się, to znów drzemiąc, jak strudzony wędrowiec. Dziwne obrazy przewijały się przed jej oczyma: jej matka pochylająca się nad jasną główką tego małego intruza, Gwydiona, lecz jej miedziane włosy i mleczne piersi bardziej odpychały, niż zachęcały; widziała Vivianę, tylko że ona, Morgiana, była zwierzęciem ofiarnym, a Pani wiodła ją gdzieś na postronku.

Usłyszała własny głos, mówiący: *Nie musisz ciągnąć, sama idę*. Widziała Raven krzyczącą bezgłośnie. Potem wielka rogata postać, pół ludzka, pół zwierzęca, nagle odsłoniła kotary przy wejściu do jej pokoju i wtargnęła do środka. Obudziła się i usiadła na łożu, ale w komnacie nie było nikogo, z wyjątkiem światła księżyca i tej obcej kobiety śpiącej spokojnie u jej stóp. Położyła się znów i usnęła, tym razem głęboko i bez snów.

Obudzono ją na godzinę przed świtem. W przeciwieństwie do transu poprzedniego dnia, teraz była w pełni świadoma wszystkiego, co ją otacza – zimnego, świeżego powietrza, mgieł zabarwionych różowością w miejscu, gdzie miało wzejść słońce, silnego zapachu małych, śniadych kobiet, odzianych w stroje ze źle ufarbowanych tkanin. Wszystko było wyraziste i miało ostre, piękne kolory, tak jakby chwila ta została świeżo stworzona rękoma samej Bogini.

Śniade kobiety szeptały między sobą cicho, jakby nie chciały przeszkadzać tej obcej kapłance; słyszała je, ale z języka, którym mówiły, rozpoznała zaledwie kilka słów.

Po chwili najstarsza z nich – ta sama, która powitała ją i gościła poprzedniego dnia – podeszła do Morgiany i przyniosła jej świeżą wodę. Morgiana podziękowała jej ukłonem, jak kapłanka kapłance, a potem dziwiła się, dlaczego to zrobiła. Kobieta była stara; jej długie, poskręcane włosy, zapięte kościaną zapinką, były prawie całkiem siwe, ciemną skórę znaczyły niebieskie plamy. Szatę miała z tak samo źle ufarbowanej tkaniny, jak pozostałe kobiety, ale na niej nosiła pomalowaną w magiczne symbole tunikę z niewyprawionej jeleniej skóry, na której wciąż widoczne były kawałki sierści. Jej szyję zdobiły dwa naszyjniki: jeden ze wspaniałych bursztynów – nawet Viviana nie miała piękniejszego, a drugi z kawałków kości i złotych, subtelnie rzeźbionych baretek. Postawę miała tak dumną, jak sama Viviana. Morgiana zrozumiała, że jest to Matka plemienia i kapłanka tego ludu.

Własnymi rękoma kobieta rozpoczęła przygotowania Morgiany do rytuału. Rozebrała ją do naga i pomalowała spody jej stóp i wewnętrzne strony dłoni niebieskim barwikiem, odnowiła też półksiężyc na jej czole. Na jej piersiach i brzuchu obrysowała kształt księżyca w pełni, a tuż nad ciemną linią jej włosów łonowych namalowała czarny księżyc. Szybko, niemal mechanicznie, rozchyliła jej nogi i wsunęła między nie dłoń. Zażenowana Morgiana wiedziała, czego kobieta szuka. Do tego rytuału kapłanka musiała być dziewicą. Morgiana była nietknięta. Poczła nagły, na wpół przyjemny dreszcz lęku, a równocześnie zdała sobie sprawę, że jest okropnie głodna. Była jednak wyćwiczona w opanowywaniu głodu.

I po chwili głód ją opuścił.

Kiedy wyprowadzono ją na zewnątrz, słońce zaczęło już wschodzić. Była okręcona w taki sam płaszcz, jak ta stara kobieta. Wymalowano na nim magiczne znaki: księżyc i jelenie rogi. Była świadoma obcości własnego pomalowanego ciała. Część jej umysłu jakby z bardzo daleka przyglądała się ze zdziwieniem, a nawet pogardą, tym tajemniczym symbolom, o wiele starszym niż wiedza Druidów, której ją tak skwapliwie wyuczono. Ten stan trwał tylko przez moment i ustąpił natychmiast. Zastąpiło go zaufanie w mądrość owego ludu, starszego nawet



niż wiedza o nim, który powołał ten rytuał dzięki swej mocy i wierze. Za sobą ujrzała okrągłą chatę z kamienia, w której spędziła noc. Z boku stała inna, podobna chata, a z niej wyprowadzano teraz młodego mężczyznę. Nie widziała go dokładnie, bo słońce świeciło jej prosto w oczy. Dostrzegła jedynie, że był wysoki, mocno zbudowany, jasnowłosy. *Nie jest więc jednym z tego ludu?* Ale nie do niej należało zadawanie pytań. Mężczyźni plemienia, pod wodzą najstarszego, o silnych, gruzłowatych mięśniach kowala, malowali młodzieńca od stóp do głów niebieskim urzetem. Wysmarowali jego ciało zwierzęcym tłuszczem i okryli je płaszczem z niewyprawionych, surowych skór. Na głowę założyli mu jelenie poroże; na cichy rozkaz najstarszego młodzieniec opuścił głowę, by sprawdzić, czy rogi są dobrze przymocowane i nie przesuną się przy żadnym ruchu. Morgiana dostrzegła dumny ruch, jakim odrzucił głowę, i nagle przeszył ją dreszcz świadomości, który dotarł do najskrytszych zakamarków jej ciała.

*To jest Rogaty Pan, to jest Bóg, to jest oblubieniec Dziewicy Łowczyni...*

We włosy wpleciono jej girlandy purpurowych jagód i ustrojono we wianek z pierwszych wiosennych kwiatów. Drogocenny naszyjnik z kości i złota został z namaszczeniem zdjęty z szyi Matki plemienia i zawiązany na szyi Morgiany; czuła jego ciężar, jak ciężar czystej magii. Oślepiało ją wschodzące słońce. Włożono jej coś do ręki.

Bębenek ze skóry naciągniętej na okrągłą ramę. Tak jakby wszystko działo się gdzieś obok, usłyszała, jak jej własna ręka weń uderza.

Stali na zboczu wzgórza, które schodziło łąką w dół i kończyło się ciemnym brzegiem gęstego lasu. W ciszy i pustce czuła życie, które tętniło w jego głębi – jelenie poruszające się cicho i z gracją, zwierzątka wspinające się na drzewa, ptaki wylatujące z gniazd, tarzające się w piasku, rozbudzone mocą tej pierwszej wiosennej pełni. Na chwilę odwróciła się i spojrzała za siebie, na szczyt wzgórza. Nad nimi, jak wryta w białym piaskowcu, stała monstrualna postać, zwierzęcia czy człowieka, tego nie potrafiła powiedzieć, bo oczy zasły jej łzami od słońca. Czy był to biegnący jeleni czy kroczący człowiek z fallusem nabrzmiałym siłami życia?

Nie widziała twarzy idącego obok siebie młodzieńca, czuła tylko pulsujące w nim życie. Na całym wzgórzu panowała dostojna, wyczekująca cisza. Czas się zatrzymał, znów stał się przezroczysty, był czymś, w czym ona się zanurzała, płynęła, poruszała bez wysiłku. Bębenek znów był w rękach starej kapłanki, choć nie pamiętała, by go jej oddawała. Słońce oślepiało jej oczy, kiedy w dłoniach poczuła głowę Boga, błogosławiła go. Coś w jego twarzy... oczywiście, zanim powstały te wzgórza, znała tę twarz, tego mężczyznę, swego oblubieńca... znała go przed stworzeniem świata... Nie słyszała wypowiedzianych przez siebie rytualnych słów, czuła tylko ukrytą w nich moc: *Idź i zwyciężaj... biegnij z jeleniami... śmigły i silny jak wiosenny przyptyw... na wieki niech błogosławione będą stopy, które cię tutaj przywiodły...* Nie była świadoma tego, że mówi, czuła jedynie moc swych błogosławiących rąk, siłę, która płynęła z jej ciała, przez jej ciało, tak jakby siła samego słońca wlewała się w nią i z niej

przepląwała w stojącego przed nią młodzieńca. *Teraz załamata się moc zimy, a nowa moc wiosny będzie z tobą i przywiedzie cię do zwycięstwa... życie Bogini, życie świata, krew Matki naszej, ziemi, wylana za lud...*

Podniosła ramiona, rzucając błogosławieństwo na las, na ziemię, czując fale mocy przepływające przez jej ręce niemal jak widzialne promienie światła. Ciało mężczyzny, tak jak i jej własne, błyszczało w słońcu. Nikt stojący wokół nich nie ważył się zakłócić ciszy, dopóki ona nie odrzuciła rąk, czując, jak moc przechodzi także na nich wszystkich. Z gardeł zaczęła rosnać pieśń. Nie słyszała słów, tylko zamkniętą w nich moc.

*Życie budzi się wiosną, jelenie biegną w gęstwinie, a nasze życie biegnie z nimi. Król Byk, król świata, pokona je, Król Byk, Rogaty Pan, błogosławiony przez Matkę, zwycięży...*

Stała napięta jak łuk gotowy do wypuszczenia strzały. I wtedy dotknęła Rogatego Pana, uwalniając całą swą moc, która jakby, przeniknęła ich wszystkich. I ruszyli. Biegli jak wiatr w dół zbocza, rączy jak fale wiosennego przypływu. Morgiana została z tyłu, wiedząc, że moc ją opuściła. Padła na ziemię i leżała bez ruchu. Wilgotny chłód przenikał jej ciało. Ale nie czuła tego, zagłębiona w transie.

Leżała jak martwa, ale część niej pobiegła razem z nimi, wraz z nimi pędziła w dół zbocza, wśród mężczyzn plemienia, podążających za Rogatym Panem. Goniły ich ujadania, jakby psy czekały, i częścią świadomości Morgiana wiedziała, że to kobiety popędzały mężczyzn do biegu.

Słońce stało już wysoko na niebie, Wielkie Koło Życia toczyło się po nieboskłonie, bezsilnie próbując dogonić boskiego oblubieńca, jej Ciemnego Syna...

Siły ziemi, dudniące jak wiosenne fale, płynęły i tętniły w sercach biegnących mężczyzn. Po chwili zniknęło oślepiające światło słońca i połknęła ich czarna ściana lasu. Z biegu przeszli w bezszelestny trucht, naśladując lekkie kroki jeleni. Byli jak stado, podążali za rogowym wieńcem swego przewodnika, odzianego w płaszcz, który chronił go przed rozpoznaniem przez zwierzęta. Jego szyję zdobiły naszyjniki, oznaczające nie kończący się łańcuch: życia, karmienia, porodu, śmierci, jedzenia i bycia, jedzonym po to, by nakarmić dzieci Wielkiej Matki.

*...weź swe dzieci w opiekę, Matko, Król Byk musi zginąć, by wykarmić twego Ciemnego Syna...*

Ciemność i gęstwa leśnego życia zamknęły się nad nimi; cisza, cisza jeleni... Morgiana zrozumiała, że las oznacza życie, a jelenie to serce lasu. Wysłała nań swe błogosławieństwo. Część niej leżała wciąż na zalanym słońcem zboczu, wycieńczona, bez siły, pozwalając, by życiodajna moc słońca płynęła przez jej ciało, rozgrzewała jej krew. Ale część niej biegła wraz z jeleniami i ludźmi plemienia, aż stali się jednym... zjednoczyli się... była w cichych krokach dorosłych byków i w maleńkich jelonkach, i w smukłych łaniach, to samo życie płynęło w nich, tak jak płynęło w jej ciele, tak jak płynęło w ciałach mężczyzn cicho zacząjących w leśnej gęstwinie...

Poczuła, że gdzieś w leśnej głębinie Przewodnik Stada uniósł głowę, węszył pod wiatr, rozpoznał zapach przeciwnika, kogoś obcego... nie wiedziała, czy był to czworonożny Przewodnik Stada czy ten dwunożny, którego błogosławiła. Wobec Matki Ziemi byli jednym, a ich los był teraz w rękach Bogini. Rogi uderzyły o rogi, nozdrza wchłaniały zapach lasu, szukały Obcego, ofiary, napastnika, rywala, choć nikt rywalem nie był.

Och, Bogini... ruszyli, depcząc leśną ściółkę, milczący mężczyźni trzymali się z tyłu. Biegną, biegną, aż oszalałe serce bólem rozerwie pierś, aż prawo ciała zapanuje nad wszelką wiedzą i myślą, biegną, uciekają, szukają i gonią. Morgiana biegła z uciekającymi jeleniami i ścigającymi je ludźmi, biegła z toczącą się siłą płonącego słońca i mocą wiosennego przypływu, biegła z falą życia...

Leżąc bez ruchu, z twarzą przytuloną do ziemi, czuła na plecach gorąco słonecznych promieni, czas pędził, to znów stawał w miejscu.

Morgiana ujrzała – i wydawało jej się, że gdzieś już to wszystko kiedyś widziała, w wizji, gdzieś, kiedyś, bardzo dawno temu widziała, tak jak teraz – wysokiego, szczupłego młodzieńca, który upadł, upadł pomiędzy jelenie, ściskając w dłoni nóż. Wpadł między ich ostre rogi! Wiedziała, że krzyknęła w głos. Wiedziała też, że jej straszny krzyk dotarł wszędzie, tak że nawet Przewodnik Stada zadziwiony zatrzymał się w środku natarcia, słysząc ten dźwięk. Na moment wszystko zamarło i w tej przeraźliwej chwili ciszy dostrzegła, że młodzieniec, ciężko dysząc, podniósł się na nogi, natarł z pochyloną do przodu głową, zakotłosał porożem, zwał się ze zwierzęciem... widziała, jak swym młodym ciałem i silnymi rękoma zmagają się z przeciwnikiem... błysnął nóż, na ziemię trysnęła krew, on też krwawił, Rogaty Pan, krew na jego dłoniach i krew z długiej rany na jego boku, krew tryskała na ziemię, krew przelana dla Matki, by życie nasyciło się tą krwią... a potem trysnęła na niego krew Przewodnika, kiedy nóż dotarł do serca zwierzęcia... mężczyźni ruszyli naprzód z oszczepami...

Widziała, jak niosą go z powrotem, pokrytego krwią swego bliźniaka i rywala, Króla Byka, Przewodnika Stada. Wokół niego tłoczyli się mali, smagli ludzie, okrywali go ciepłymi skórąmi. Powracali w tryumfie. Zapłonęły ogniska. Kiedy kobiety ją podniosły, Morgiana nie zdziwiła się wcale, widząc, że słońce już zachodzi.

Potykała się ze zmęczenia, jakby ona też przez cały dzień biegła wraz z Jeleniami i myśliwymi.

Znów ukoronowali ją purpurą zwycięstwa. Przywiedli przed nią Rogatego Pana. Krwawił, a ona pobłogosławiła go i nazaczyła jego czoło krwią jelenia. Zabitemu zwierzęciu odcięto głowę z porożem, które miało pokonać następnego Przewodnika; rogi, które Król Byk nosił tego dnia, połamane i poharatane, wrzucono do ogniska. Niebawem poczuła zapach pieczonego mięsa i zastanawiała się, czy było to mięso człowieka czy zwierzęcia...

Usadzono ich przy ogniu obok siebie i przyniesiono im pierwsze kawałki pieczystego. Mięso splotywało krwią i tłustym sokiem. Morgianie zakręciło się w głowie, bogaty smak

odurzył ją po tak długim poście. Przez chwilę bała się, że zrobi jej się niedobrze. On jadł z apetytem, siedząc obok niej. W blasku ognia dostrzegła, że ma piękne, mocne ramiona... zamrugła, bo w niezwykłej chwili podwójnego widzenia ujrzała owinięte wokół tych ramion węże, ale natychmiast zniknęły. Dokoła nich kobiety i mężczyźni plemienia dzielili się rytualną ucztą. Śpiewali hymn zwycięstwa w starym języku, tak że Morgiana rozumiała tylko część słów:

*Zatryumfował, zabił...  
... Krew Matki naszej zrosiła ziemię...  
... trysnęła na ziemię krew Boga...  
...i powstanie i zapanuje na zawsze...  
...zwyciężył i będzie zwyciężał na wieki,  
aż po kres świata...*

Stara kapłanka, która sposobiła ją tego ranka, przycisnęła jej do ust srebrny kubek. Poczula, jak mocny napój piecze jej gardło i pali trzewia. Płomień o silnym smaku miodu. Już była pijana krwią z mięsa. W ciągu ostatnich siedmiu lat tylko kilka razy jadła mięso.

Głowa kiwała jej się bezwładnie, kiedy uniesiono ją, rozebrano do naga, znów pokryto jej ciało malunkami i ozdobiono girlandami, brwi i sutki naznaczono jelenią krwią.

*Bogini przyjmuje swego oblubieńca, lecz zabije go znów, kiedy nadejdzie czas, gdyż narodzi Ciemnego Syna, który pokona Króla Byka...*

Młoda dziewczyna od stóp do głów pokryta niebieską farbą wybiegła na zaorane pole, trzymając wielką misę. Biegąc, dłonią rozlewała na ziemię ciemne krople. Morgiana usłyszała wielki okrzyk, który rozległ się gdzieś za nią.

– Pola są pobłogosławione, daj nam pokarm, o Wielka Matko!

Przez chwilę jakaś niewielka część Morgiany, skołowanej i pijanej, tylko w połowie obecnej we własnym ciele, zauważyła z zimną rozwagą, że z pewnością musiała postradać zmysły; ona, cywilizowana i wykształcona kobieta, księżniczka, kapłanka, spowinowacona z królewską linią Avalonu, wyuczona przez Druidów, oto stała tu wymalowana jak dzikuska, śmierdziała świeżo utoczoną krwią, zносиła te barbarzyńskie zawodzenia...

...potem wszystko znowu zniknęło. Księżyc w pełni, spokojny i majestatyczny, wznosił się ponad chmury, które dotąd go przysłaniały. Naga, skąpana w księżycowym świetle Morgiana czuła, jak przepływa przez nią światłość samej Bogini... nie była już Morgianą, nie miała imienia, była kapłanką, dziewicą i matką zarazem... na biodrach zawiesili jej girlandę z purpurowych jagód; ten brutalny symbol nagle ją przeraził, poczuła cały ciężar swego dziewictwa.

W oczy błysnęła jej pochodnia i powiedli ją w kierunku ciemności, cisza echem odbijała się wokół niej i ponad nią. Jaskinia. Dokoła, na ścianach, widziała święte symbole,

namalowane tam od początku dziejów: jelenie rogi, mężczyznę z rogami na czole, nabrzmiąły brzuch i pełne piersi Tej Która Daje Życie...

Kapłanki zawiodły Morgianę do legowiska pokrytego jelenimi skórami. Była zziębnięta i przestraszona, drżała. Stara kobieta zmarszczyła brwi ze współczuciem. Wzięła Morgianę w ramiona i pocałowała w usta. Morgiana na chwilę przywarła całym ciałem do staruszki, tuląc się do niej w nagłej panice, jakby ramiona tej starej kobiety były ramionami jej własnej matki... potem kapłanka uśmiechnęła się i znów ją pocałowała, dotknęła jej piersi w błogosławieństwie i odeszła.

Leżała tak, wokół siebie czuła życie ziemi; wydało jej się, że rośnie, że wypełnia sobą całą jaskinię, a malunki na ścianach są teraz na jej brzuchu, na jej piersiach, nad nią pochylała się ogromna postać z piaskowca, zwierzę czy człowiek, kroczący z nabrzmiętym fallusem... księżyc, który świecił wciąż na zewnątrz jaskini, wypełniał ją całą swym blaskiem... Bogini wchodziła w nią, zajmowała jej ciało i duszę. Wyciągnęła ramiona i wiedziała, że na jej rozkaz tam, na zewnątrz, przy dogasającym świetle ognisk, kobiety i mężczyźni, popychani ku sobie pulsującym pędem życia, łączyli się ze sobą.

Młoda dziewczynka, ta, która rozsiewała na polu użyźniające krople krwi, padła w ramiona starego, muskularnego myśliwego. Morgiana ujrzała, jak po krótkiej walce jej ciało z cichym okrzykiem znalazło się pod ciałem mężczyzny, a nogi rozwarły się przed nieodpartą siłą natury, która nimi zawładnęła. Morgiana widziała, nie patrząc, w migocącym blasku pochodni leżała z zamkniętymi oczyma, słuchała krzyków.

Staął u wejścia do jaskini. Na głowie nie miał już poroża. Włosy miał posklejane, ciało wciąż umazane na niebiesko i splamione krwią, skórę białą jak kredowe ciało tego monstrualnego stworzenia na suficie jaskini... Rogaty Pan, oblubieniec. Poruszał się niepewnie. Był nagi, poza girlandą na biodrach, taką samą, jaką miała ona. Ujrzała życie wezbrane w nim tak, jak w tej kredowej postaci. Ukląkł u jej boku. Mimo oszołomienia dostrzegła w świetle pochodni, że był tylko młodym chłopcem. Nie był jednym z tych niskich, smagłych ludzi, był wysoki i jasnowłosy... *Dlaczego wybrali króla, który nie jest jednym z nich?* Myśl przeleciała przez jej umysł jak księżycowy promień i zgasła. Już nie myślała.

*Nadszedł czas, by Bogini powitała swego Rogatego Pana.* Kołysząc się, klęczał na skraju pokrytego skórami legowiska, mrugał oślepiiony migocącym światłem pochodni. Wyciągnęła rękę, chwyciła jego ramiona, przyciągnęła go do siebie. Czuła słodkie ciepło i ciężar jego ciała. Musiała go poprowadzić. *Jestem Wielką Matką, która wie wszystko, która jest dziewicą i matką, i wszystkowiedzącą, która prowadzi i dziewicę, i jej oblubieńca...* Oszołomiona, przerażona, półprzytomna, w uniesieniu poczuła, jak moc życia ogarnia ich oboje, jak bezwiednie porusza jej ciałem, jak porusza nim, jak gwałtownie prowadzi go w nią, aż oboje zaczęli poruszać się w jednym rytmie, nie wiedząc, co za siła nimi zawładnęła. Jakby z wielkiego oddalenia usłyszała swój krzyk, a potem ciszę przeszył jego wysoki, drżący głos.

Nigdy później nie wiedziała, co każde z nich krzyczało w tamtej chwili. Pochodnia wypaliła się i zgasła w momencie, gdy gwałtowna fala jego młodego życia wybuchła i wytrysnęła w jej łono.

Jęknął i opadł na jej ciało. Leżał bez ruchu, ciężko dysząc.

Odsunęła go trochę, przeniosła na bok jego ciężar i zmęczona tuliła go do siebie. Czuła, jak on całuje jej nagie piersi. Potem powoli jego oddech uspokoił się i po chwili już spał w jej ramionach. Ucałowała jego włosy i miękki policzek z namiętą czułością, a potem także zasnęła.

Kiedy się obudziła, była już głęboka noc; do jaskini sączyło się światło księżyca. Była straszliwie zmęczona, bolało ją całe ciało.

Sięgnęła pomiędzy nogi i poczuła krew. Odrzuciła do tyłu swe wilgotne włosy i przy świetle księżyca spojrzała na jego wyciągnięte ciało, ciało wyczerpanego człowieka, pogrążone w głębokim śnie.

Był wysoki, mocny i piękny, choć w tym świetle nie widziała wyraźnie jego rysów, a magiczny Wzrok już ją opuścił. Teraz widziała jedynie świecącą tarczę księżyca, a nie wszechwładną twarz Bogini. A ona znów była Morgianą, nie cieniem Wielkiej Matki; była znowu sobą, w pełni świadomą tego, co się wydarzyło.

Przez chwilę pomyślała o Lancelocie, którego kochała i któremu tak pragnęła oddać swój dar. A teraz podarowała go nie ukochanemu, lecz bezimiennemu obcemu...

Nie, nie wolno jej tak myśleć. Nie była kobietą, była kapłanką i dała moc Dziewicy Rogatemu Panu, tak jak było jej to przeznaczone, zanim powstały zręby tego świata. Pogodziła się ze swym losem, jak winna to uczynić kapłanka Avalonu.

Czuła, że minionej nocy wydarzyło się tu coś szczególnego.

Zmarzła i położyła się, naciągając na siebie okrycie z jeleniej skóry. Zmarszczyła nos, czując jej zapach. Posypali skóry słodkimi ziołami, więc chociaż pcheł w nich nie powinno być. Na podstawie fal wyliczyła, że za godzinę nastąpi świt. Chłopiec u jej boku wyczuł poruszenie i usiadł zaspany.

– Gdzie jesteście? – spytał. – A, tak, pamiętam, w jaskini. O, już się rozjaśnia. – Uśmiechnął się i wyciągnął do niej dłoń.

Pozwoliła mu się przytulić i pocałować. Objął ją swymi mocnymi ramionami.

– Zeszłej nocy byłaś Boginią – zamruczał – ale obudziłem się i oto widzę, że jesteś kobietą.

– A ty nie jesteś Bogiem, lecz mężczyzną? – Zaśmiała się cicho.

– Myślę, że mam już dosyć bycia Bogiem, a poza tym wydaje mi się, że nie wypada, by człowiek z krwi i kości próbował Nim być – powiedział, wciąż trzymając ją w ramionach. – Wystarczy mi, że jestem tylko człowiekiem.

– Być może jest czas, by być Boginią i Bogiem, i czas, by nie być niczym więcej niż ciałem – odparła.

– Bałem się ciebie wczoraj w nocy – wyznał. – Myślałem, że jesteś Boginią, ogromniejszą niż życie... a ty jesteś taka mała! – Nagle zamrugął i powiedział: – Ale ty przecież mówisz moim językiem, nawet nie zauważyłem... A więc nie jesteś z tego plemienia?

– Jestem kapłanką ze Świętej Wyspy.

– A kapłanka jest kobietą – powiedział, dłońmi delikatnie błądząc po jej piersiach, które pod jego dotykiem nagle stwardniały i stały się spragnione. – Czy myślisz, że Bogini będzie na mnie zła, iż bardziej podoba mi się kobieta?

Znów się zaśmiała.

– Bogini doskonale zna ludzkie słabości.

– A jej kapłanka?

Nagle poczuła się zawstydzona.

– Nie... nigdy przedtem nie byłem z mężczyzną... i to nie byłem ja, lecz Bogini...

Przyciągnął ją jeszcze bliżej do siebie.

– Skoro Bóg i Bogini zaznali rozkoszy, czy nie powinni jej zaznać także kobieta i mężczyzna?

Jego dłonie stawały się śmielsze. Pociągnęła go na siebie.

– Wydaje się to słuszne – powiedziała.

Tym razem mogła już w pełni świadomie smakować tę delikatność i zdecydowanie, młode silne dłonie i niebywałą czułość, kryjącą się pod ich śmiałością. Roześmiała się uradowana tą niespodziewaną przyjemnością, którą odczuwała. Otworzyła się na niego w pełni, czuła jego rozkosz jak swoją własną. Nigdy w życiu nie była taka szczęśliwa.

Leżeli spełnieni, oplatając się ramionami i nogami, pieszcząc się nawzajem w przyjemnym znużeniu.

W końcu, gdy coraz bardziej się rozwidniało, westchnął.

– Wkrótce po mnie przyjdą – powiedział. – I tyle tego jeszcze przede mną... mają mnie zabrać gdzieś, gdzie dadzą mi miecz i inne rzeczy... – Usiadł i uśmiechnął się do niej. – I chciałbym się umyć i dostać szaty odpowiednie dla cywilizowanego człowieka, uwolnić się w końcu od tej niebieskiej farby i krwi... W jaki sposób to się odbywa! Zeszłej nocy nawet nie wiedziałem, że cały jestem umazany krwią... popatrz, ty też jesteś brudna od krwi jelenia, tam gdzie na tobie leżałem...

– Myślę, że kiedy po mnie przyjdą, wykąpią mnie i dadzą mi świeże szaty – powiedziała.

– Ciebie też wykąpią, w strumieniu.

Westchnął z chłopięcym smutkiem. Mówił łamiącym się, niepewnym jeszcze barytonem. Jakże on mógł być tak młody, ten olbrzym, który walczył z przewodnikiem stada i zabił go samym nożem?

– Nie myślę, żebym kiedykolwiek jeszcze w życiu cię spotkał – rzekł – gdyż jesteś kapłanką poświęconą Bogini. Ale pragnę ci to powiedzieć... – Pochylił się i złożył pocałunek

na jej piersi. – Ty byłaś pierwsza. Nieważne, ile kobiet będę miał, przez całe życie zawsze będę cię pamiętał i kochał cię, i błogosławił cię. Przymierzam ci to.

Po jego policzku spływały łzy. Morgiana sięgnęła po okrycie i delikatnie osuszyła mu łzy, tuląc jego głowę do piersi.

Na ten gest jakby przestał oddychać.

– Twój głos – wyszeptał. – I to, co właśnie zrobiłaś... dlaczego wydaje mi się, że cię znam? Czy dlatego, że jesteś Boginią, a pod jej postacią wszystkie kobiety są jedną? Nie... – Zeszytniał, uniósł się, ujął jej twarz w dłonie.

W narastającym świetle ujrzała, jak jego dziecinne rysy tężeją w maskę dorosłego mężczyzny. Wciąż jedynie na wpół świadoma tego, skąd go zna, usłyszała jego ochryply okrzyk.

– Morgiana! Ty jesteś Morgiana! Morgiana, moja siostra! Och, Dziewico Maryjo, co myśmy uczynili!?

Powoli podniosła dłonie do oczu.

– Mój bracie – szepnęła. – O Bogini! Bracie! Gwydion...

– Artur... – powiedział z trudem.

Przytuliła go mocno i po chwili zaszlochał, wciąż trzymając ją w ramionach.

– Nic dziwnego, że wydawało mi się, iż znam cię od czasu przed stworzeniem świata... – powiedział, płacząc. – Zawsze cię kochałem, a to... o Boże, co myśmy zrobili...

– Nie płacz – powiedziała zrozpaczona. – Nie płacz. Jesteśmy w rękach tej, która nas tu przywiodła. To nie ma znaczenia. Tutaj nie jesteśmy bratem i siostrą, jesteśmy kobietą i mężczyzną wobec Bogini, niczym więcej.

*A ja ciebie nie rozpoznałam. Mój braciszku, moja dziecino, ty, który leżałeś na mej piersi jak niemowlę. Morgiano, Morgiano, mówiłam ci, żebyś zaopiekowała się dzieckiem... odeszła i zostawiła nas, a on usnął, płacząc w moich ramionach. A ja go nie poznałam.*

– Już dobrze – powtórzyła, kołyszając go. – Nie płacz, braciszku, ukochany mój, mój maleńki, nie płacz, już dobrze.

Ale mimo że go pocieszała, sama była pogrążona w rozpacz.

*Dlaczego nam to zrobiłaś? Wielka Matko, Pani, dlaczego?*

Nie wiedziała, czy wzywa Vivianę czy Boginię.

Przez całą długą drogę do Avalonu Morgiana leżała w swojej lektyce. W głowie jej huczało, a w myślach uporczywie kołatało jedno pytanie: Dlaczego? Po trzech dniach postu i długim dniu rytuału była wyczerpana. Niejasno zdawała sobie sprawę z tego, że uczta i



kochanie się powinny znieść wcześniejsze napięcie, i zapewne tak właśnie by się stało, gdyby nie ów poranny szok.

Znała samą siebie na tyle, by wiedzieć, że kiedy minie zmęczenie i szok, nadejdzie gniew. Miała nadzieję, że spotka się z Vivianą, zanim jej wściekłość wybuchnie, dopóki wciąż jeszcze potrafi zachować jakieś pozory spokoju.

Tym razem obrano drogę przez Jezioro i na własną wyraźną prośbę pozwolono jej przejść spory kawałek pieszko. Nie była już rytualnie zawołaną Dziewicą prowadzoną na ceremonię, lecz tylko jedną z kapłanek Pani Jeziora. Na łodzi poproszono ją, by przywołała mgły i otworzyła drogę do Avalonu. Wstała niemal mechanicznie, tak bardzo nauczyła się traktować to Misterium jak coś zwyczajnego i część swego życia.

Jednak gdy uniosła ramiona w geście przywołania, przyszedł nagły, paraliżujący moment zwątpienia. Zmiana wewnątrz niej wydawała się tak ogromna, czy więc wciąż posiadała moc, by otworzyć bramy? To wrażenie było tak silne, że zawahała się, a mężczyźni w łodzi spojrzeli na nią z uprzejmym współczuciem. Poczuła, jakby ich oczy przeszywały ją na wskroś, i przeżyła chwilę tak silnego wstydu, jakby wszystko, co wydarzyło się ostatniej nocy, było wypisane na jej twarzy językiem pożądania. Nad Jeziorem unosił się cichy dźwięk kościelnych dzwonów i nagle Morgiana znalazła się z powrotem w czasach swojego dzieciństwa. Słyszała, jak ojciec Columba rozprawia o cielesnej czystości jako o największej świętości, i o Maryi, Matce Boga, która cudownym sposobem urodziła swego syna, nie będąc nigdy skażona cielesnym grzechem. Już wtedy Morgiana myślała: *Co to za wierutne bzdury? W jaki sposób jakakolwiek kobieta może począć dziecko, nigdy nie zaznawszy mężczyzny?* Ale teraz na dźwięk kościelnych dzwonów coś w niej pękło, coś skuliło się w środku i poczuła nagle spływające jej po policzkach łzy.

– Pani, czy jesteś chora?

Potrząsnęła głową i odpowiedziała sucho:

– Nie. Przez chwilę poczułam się słabo.

Głęboko wciągnęła powietrze. Artura nie było w łodzi. Nie, oczywiście, że nie, przecież Merlin zabrał go tajemnym przejściem.

*Bogini jest jedna – Maryja Dziewica, Wielka Matka, Łowczyni... a ja mam swój udział w jej wielkości.* Otrząsnęła się i ponownie uniosła ramiona, płynnie opuszczając w dół zasłone mgieł, przez którą mogli dostać się do Avalonu.

Zapadał zmierzch i choć Morgiana była głodna i zmęczona, skierowała swe kroki prosto do domu Pani Jeziora. Ale kiedy miała wejść, w drzwiach zatrzymała ją usługująca kapłanka.

– W tej chwili Pani nie może nikogo przyjąć.

– Bzdura – powiedziała Morgiana, czując, jak przez jej zbawienne odrętwienie zaczyna się przedzierać gniew. Miała nadzieję, że go powstrzyma, dopóki nie zobaczy się z Vivianą. – Jestem jej krewniaczką. Spytaj, czy mogę wejść.

Kapłanka odeszła, lecz szybko powróciła z wiadomością.

– Pani rzekła: powiedz Morgianie, by natychmiast poszła do Domu Dziewcząt, a ja przyjmę ją w odpowiednim czasie.

Przez chwilę fala gniewu zalała Morgianę z taką siłą, że była bliska tego, by odepchnąć kobietę z przejścia i wdrzeć się do domu Viviany. Jednak powstrzymał ją strach. Nie wiedziała, jaka kara groziła kapłance za złamanie przysięgi posłuszeństwa, ale mimo miotającego nią gniewu, cichy, trzeźwy głosik podpowiedział jej, że tak naprawdę wcale nie chce dowiedzieć się tego w ten sposób.

Wzięła głęboki oddech, przybrała spokojny wyraz twarzy godny kapłanki, skłoniła się pokornie i odeszła. Łzy, które przedtem siłą powstrzymała, słysząc kościelne dzwony na Jeziorze, teraz powracały. Przez chwilę żałowała, że nie może pozwolić im popłynąć. Kiedy w końcu dotarła do Domu Dziewcząt, sama w swym cichym pokoju mogła płakać, jeśli chciała. Ale teraz łzy nie nadchodziły. Tylko oszołomienie, ból i gniew, których nie umiała nawet wyrazić. Tak jakby całe jej ciało i duszę związano w jeden wielki supeł cierpienia.

Minęło dziesięć dni, zanim Viviana po nią przysłała. Księżyc, który wspinała pełnią oświecał zwycięstwo Rogatego Pana, wisiał teraz na niebie jak cienki, obumierający strzep. Do czasu, kiedy młoda kapłanka przyniosła jej wiadomość, że Viviana wzywa ją do siebie, Morgiana poddała się już całkowicie swej przemożnej wściekłości.

*Zagrała sobie na mnie, tak jakbym ja zagrała na harfie.* Te słowa tak uparcie kołatały jej w głowie, że gdy zbliżając się do domu Viviany, usłyszała dźwięki harfy, pomyślała, że to echo jej własnych gorzkich myśli. Potem pomyślała, że to gra Viviana. Ale podczas pobytu w Avalonie wiele uczyła się muzyki i potrafiła rozpoznać dźwięk harfy Viviany. Pani Jeziora była, najogólniej mówiąc, tylko starannym muzykiem.

Słuchała, mimo woli zastanawiając się, kto tak grał? Taliesin?

Wiedziała, że zanim został Merlinem, był najwspanialszym z bardów, owianym legendą w całej Brytanii. Często słyszała jego grę zarówno w czasie wesółych świąt, jak i dostojnych rytuałów. Ale teraz jego dłonie były stare. Nigdy nie stracił techniki, ale nawet w dniach świetności nie wydawał takich dźwięków. To musiał być jakiś nowy harfiarz, którego z pewnością nigdy wcześniej nie słyszała. Zanim jeszcze zobaczyła, wiedziała już, że harfa musi być większa od tej, na której grywał Taliesin. A palce nieznanego muzyka rozmawiały ze strunami tak, jakby je zaczarował.

Viviana opowiedziała jej kiedyś starą baśń z jakiejś dalekiej krainy; była to opowieść o bardzie, którego gra sprawiała, że głazy w wielkich świątyniach same tańczyły, a drzewa z żalu opuszczały na ziemię liście, a kiedy zawędrował do krainy zmarłych, surowi sędziowie tak wzruszyli się jego muzyką, że pozwolili jego ukochanej powrócić na ziemię. Morgiana stała bez ruchu przed drzwiami, a wszystko, co wcześniej czuła, rozpląnęło się w tej muzyce. Poczula, że cały płacz wzbierający w niej przez ostatnich dziesięć dni, może powrócić, i jeśli

na to pozwoli, jej gniew stopnieje we łzach, a ona zostanie tylko zwyczajną, bezbronną dziewczyną.

Gwałtownie pchnęła drzwi i stanęła w nich bez powitania.

W środku był Merlin Taliesin, ale to nie on grał. Siedział zasłuchany, pochylony do przodu, z dłońmi złożonymi na kolanach.

Viviana ubrana w swe codzienne szaty też siedziała, ale dalej od ognia, swoje honorowe miejsce oddała obcemu harfiarzowi.

To był młody człowiek, w zielonej szacie barda, gładko wygolony na rzymską modłę, miał kręcone włosy koloru ciemniejszego od rdzy. Miał głęboko osadzone oczy, a czoło szerokie i jakby za duże.

Morgiana, nie wiedzieć czemu, spodziewała się, że te oczy będą ciemne, jednak były niemal przesywająco błękitne. Zmarszczył brwi na to niespodziewane najście, ręce zatrzymały się w połowie akordu.

Viviana też wyglądała na niezadowoloną, ale zignorowała brak szacunku.

– Chodź tu, Morgiano, i usiądź przy mnie. Wiem, że kochasz muzykę, i pomyślałam, że zechcesz posłuchać Kevina Barda.

– Słuchałam na zewnątrz.

Merlin się uśmiechnął.

– No to posłuchaj tutaj. On jest nowy w Avalonie, ale myślę, że chyba wiele może nas nauczyć.

Morgiana weszła i usiadła na małym stołeczku obok Viviany.

Pani Jeziora przedstawiła ją:

– Panie, to Morgiana, moja krewna. Ona też pochodzi z królewskiej linii Avalonu. Kevinie, widzisz przed sobą tę, która pewnego dnia będzie Panią Jeziora.

Morgiana poruszyła się zaskoczona. Nigdy dotąd nie przypuszczała, że Viviana takie właśnie ma co do niej plany. Ale gniew zagłuszył w niej uczucie wdzięczności. *Myśli, że powie jedno pochlebne słowo, a ja przybiegnę lizać jej stopy jak piesek!*

– Oby ten dzień był jak najdalej, Pani, i oby twa mądrość dalej nas prowadziła – odrzekł Kevin gładko.

Mówił ich językiem, jakby to był jego własny, ale Morgiana dostrzegła, że nie była to jego rodzinna mowa. Trochę się zastanawiał i szukał słów, choć akcent był niemal bezbłędny. Cóż, miał w końcu muzyczny słuch. Musiał mieć, zdecydowała Morgiana, około trzydziestu lat, może trochę więcej. Ale po tym pierwszym spojrzeniu, kiedy zaskoczył ją błękit jego oczu, już mu się nie przyglądała. Wzrok miała utkwiony w harfie na jego kolanach.

Tak jak wcześniej zgadła, ten instrument był większy nawet od tej harfy, na której Taliesin grywał na największych świętach. Był zrobiony z ciemnoczerwonego, połyskującego drewna, zupełnie innego niż bladożółte drewno brzozy, z którego robiono harfy w Avalonie. Zastanawiała się, czy właśnie to nadawało jej to jedwabiste, przejrzyste brzmienie. Łuk harfy

miał cudną linię, wygiętą wdzięcznie jak obłok, klucze były wyrzeźbione z dziwnej, białej kości, a całość pomalowana i zdobna w nie znane Morgianie runiczne znaki, choć jak każda wykształcona niewiasta w Avalonie, umiała czytać i pisać greckie litery. Kevin zauważył, jak pilnie się przygląda i z jego twarzy prawie zniknął wyraz niezadowolenia.

– Podziwiasz Moją Panią – powiedział, głaszcząc palcami ciemne drewno. – Tak ją nazywam, odkąd ją dla mnie zbudowano. To prezent od króla. To jedyna kobieta, mężatka czy panna, której pieśczoży nigdy mnie nie znudzą, a głos nigdy nie obrzydnie.

Viviana uśmiechnęła się do harfiarza.

– Niewielu mężczyznom trafiają się takie kochanki.

Skrzywił się w cynicznym uśmiechu.

– O, jak wszystkie kobiety, ona też podda się każdej ręce, która ją będzie pieścić, ale myślę, że wie, iż to ja najwprawniej przyprowadzam ją o drzenie swym dotykiem, a że jak każda kobieta jest lubieżna, najbardziej kocha mnie.

– Zdaje mi się, że nie jesteś najlepszego zdania o kobietach z krwi i kości – powiedziała Viviana.

– Bo tak jest, Pani. Z wyjątkiem Bogini. – Wypowiedział te słowa z leciutkim uśmiechem, który jednak nie był jeszcze szyderstwem. – Jestem szczęśliwy, nie mając innej ukochanej, poza tą oto Moją Panią, która nigdy mnie nie łaje, jeśli ją zaniedbuję, ale zawsze jest tą samą słodką kochanką.

– Może – wtrąciła Morgiana, podnosząc wzrok – traktujesz ją lepiej, niż traktowałbyś kobietę z krwi i kości, więc ona ci to wynagradza jak należy.

Viviana ściągnęła brwi i Morgiana wiedziała, że tą wypowiedzią przesadziła.

Kevin gwałtownie podniósł głowę nad harfy i napotkał oczy Morgiany. Przez chwilę wytrzymała ten wzrok i była zaskoczona jego goryczą i wrogością. Tak jakby rozumiał coś z jej własnego gniewu, jakby sam znał cierpienie i zmagał się z nim.

Może coś by odpowiedział, ale Taliesin dał mu znak i bard znów schylił głowę nad harfą. Teraz zobaczyła, że grał inaczej niż wszyscy harfiarze, którzy trzymali instrument w poprzek piersi, uderzając weń lewą dłonią. On ułożył harfę między kolanami i pochylił się nad nią.

To ją zaskoczyło, ale kiedy muzyka zaczęła wypełniać pokój, jak płynące ze strun księżycowe światło, zapomniała o dziwnym widoku.

Widziała, jak jego twarz się zmienia, staje się daleka i nieobecna, spokojna. Zdecydowała, że woli go, gdy gra, niż kiedy mówi.

W komnacie nie było innego dźwięku poza muzyką, która wypełniała ją aż po belki sklepienia, tak jakby słuchacze wstrzymali nawet swe oddechy. Muzyka wyparła wszystko inne, a Morgiana spuściła na twarz welon i pozwoliła popłynąć łzom. Wydawało jej się, że w tej muzyce słyszy przypływ wiosennych fal, tę słodką świadomość, która wypełniła jej ciało, kiedy bez ruchu leżała w jaskini skąpiana w księżycowym blasku, oczekując nadejścia świtu. Viviana pochyliła się, ujęła jej dłoń i tak jak to czyniła wtedy, gdy Morgiana była jeszcze

dzieckiem, delikatnie pieściła jej palce. Morgiana nie potrafiła zatrzymać łez. Uniosła dłoń Viviany do swoich ust i ucałowała. Pomyślała z ogromnym smutkiem. *Przecież ona jest już stara, tak się postarzała, odkąd tu przybyłam...* Zawsze dotąd Viviana wydawała jej się bezwiewowa, niezmienna jak sama Bogini. *Ale przecież ja też się zmieniłam, nie jestem już dzieckiem... kiedyś powiedziała mi, gdy tylko tu przybyłam, że nadejdzie dzień, kiedy będę jej nienawdziła tak, jak ją kocham... wtedy w to nie wierzyłam...* Walczyła z łkaniem. Bała się, że wyda jakiś dźwięk, który ją zdradzi, a co więcej, zakłóci płynny śpiew harfy. Nie, nie potrafię nienawdzić Viviany, myślała. Cały jej gniew stopniał w smutek tak ogromny, że przez chwilę myślała, iż wybuchnie głośnym szlochem. Płakała nad sobą, nad zmianami, które w niej zaszły, nad Vivianą, która była kiedyś tak piękna, prawie jak sama Bogini, a teraz coraz bardziej zbliżała się do Śmierci Kostuchy. Płakała nad tym, że pewnego dnia ona także, jak Viviana, podda się nieubłaganemu upływowi czasu i będzie staruszką; i nad tym dniem, gdy wraz z Lancelotem wdrapała się na szczyt Toru i leżała w słońcu, łaknąc jego dotyku, sama jeszcze nie wiedząc, czego tak naprawdę pragnie. Płakała też za czymś, co bezpowrotnie utraciła. Nie tylko za dziewictwem, ale za zaufaniem i wiarą, których już nigdy nie odzyska. Wiedziała, że siedząca obok niej Viviana także cicho płacze, skryta za swoim welonem.

Podniosła wzrok. Kevin siedział bez ruchu, tylko jego palce żyły na strunach. Potem ta smutna, nawiedzona muzyka zamilkła. Podniósł głowę. Palce znów pogładziły struny, wydobywając z nich wesołe, radosne tony pieśni, jaką żniwiarze śpiewają na polach, o ostrym rytmie i rubasznym słowach. Tym razem zaśpiewał. Głos miał mocny i czysty. Morgiana pod pozorem tej skocznej muzyki wyprostowała się i zaczęła bacznie obserwować jego dłonie. Odsunęła welon, próbując niepostrzeżenie otrzeć zdradzieckie łzy.

Zauważyła, że mimo całego kunsztu gry, w jego dłoniach było coś dziwnego. Wydawały się jakoś zdeformowane. Kiedy przyjrzała się uważniej, zauważyła, że kilku palcom brakowało środkowego stawu, tak że w struny uderzał kikutami. W lewej dłoni w ogóle brakowało małego palca. A całe dłonie, choć podczas gry wydawały się piękne i subtelne, pokryte były dziwnymi przebarwieniami. Kiedy odłożył harfę i pochylił się, by ją ustawić, odsunął się jeden z rękawów jego szaty i na ręce ujrzała okropne białe plamy, jak blizny po poparzeniach lub strasznych ranach. Teraz, kiedy patrzyła z bliska, widziała, że cała jego twarz jest pokryta siecią blizn, szczególnie na brodzie i szczęce. Dostrzegł jej zainteresowanie i uniósł głowę.

Napotkał jej wzrok i wytrzymał go, patrząc na nią długo i niechętnie.

Morgiana odwróciła oczy, rumieniąc się. Po tej muzyce, która dotknęła głębi jej duszy, nie chciała go ranić.

– Cóż – powiedział szorstko – Moja Pani i ja zawsze chętnie śpiewamy tym, którzy chcą słuchać jej głosu, ale nie przypuszczam, że wezwiałś mnie, Pani, tylko dla rozrywki. Ani ty, mój panie Merlinie.

– Nie tylko – odparła Viviana swym głębokim, pięknym głosem. – Ale dałeś nam rozkosz, którą będę pamiętać przez wiele lat.

– Ja również – powiedziała Morgiana. Teraz czuła się wobec niego tak zawstydzona, jak przedtem była śmiała. Mimo to podeszła bliżej, by lepiej się przyjrzeć wspaniałej harfie. – Nigdy przedtem takiej nie widziałam – szepnęła.

– W to wierzę – powiedział Kevin. – Bo kazałem ją zrobić wedle własnego projektu. Harfiarz, który uczył mnie mojej sztuki, w rozpaczy wznosił ręce do nieba, krzycząc, że to bluźnierstwo przeciw Bogom, i przysięgał, że będzie wydawała jedynie ohydny hałas straszący zwierzęta. Tak jak te wielkie harfy wojenne, dwa razy tak wysokie jak człowiek, które taszczono na wozach na szczyty wzgórz w Galii i tam je zostawiano, żeby wiatr grał na nich dzikie dźwięki. Podobno nawet same rzymskie legiony się ich wystraszyły.

Cóż, ja zagrałem na jednej z tych wojennych harf, a wdzięczny król dał mi zezwolenie, by zrobiono dla mnie taką harfę, jakiej sobie zażyczę...

Przerwał mu Taliesin.

– On mówi prawdę – powiedział do Viviany. – Choć nie wierzyłem w to, kiedy to pierwszy raz usłyszałem. Jaki śmiertelnik zdołałby zagrać na jednym z tych olbrzymów?

– Ja to uczyniłem – rzekł Kevin – i dlatego król kazał zrobić Moją Panią. Mam jeszcze mniejszą, zbudowaną podobnie, ale nie tak piękną.

– Jest rzeczywiście piękna – powiedziała Morgiana. – Aż czego są klucze? Z kości wieloryba?

– Jak mi powiedziano, są wyrzeźbione z zębów bestii, które żyją w ciepłych krajach, daleko na południu. Wiem tylko, że to wspaniały i gładki materiał, a także twarde i wytrzymały. Ponoć jest cenniejszy niż złoto, choć tak nie wygląda.

– Nigdy nie widziałam, by ktoś trzymał harfę, tak jak ty...

– Nie – powiedział Kevin ze swym skrzywionym uśmiechem. – Mam mało siły w ramionach, więc musiałem znaleźć inny sposób trzymania. Widziałem, że przyglądasz się moim dłoniom. Kiedy miałem sześć lat, dom, w którym mieszkałem, spalili Saksoni, a ja byłem w środku. Za późno mnie wyciągnięto. Nikt nie wierzył, że przeżyję, ale ich wszystkich zadziwiłem... a ponieważ nie mogłem ani chodzić, ani się bić, posadzili mnie w kącie i stwierdzili, że z moimi połamanymi rękoma – wyciągnął je teraz do przodu – może choć między kobietami nauczę się prząć i tkać. Ale nie miałem do tego smykałki. I któregoś dnia przybył stary harfiarz i w zamian za miskę stawy postanowił zabawić kalekę. Kiedy mi pokazał instrument, spróbowałem zagrać. I jakoś zagrałem, a harfiarz zarobił tej zimy na chleb, ucząc mnie gry, i następnie, ucząc mnie śpiewu. Mówił rodzinie, że w ten sposób mogę potem zarabiać na życie. Tak więc przez dziesięć lat nie robiłem nic innego, tylko siedziałem w kącie i grałem, aż moje nogi na tyle wydobrzały, że mogłem znów zacząć uczyć się chodzić... – Wzruszył ramionami i zza pleców wydobył długi kawał materiału, owinął weń harfę i schował ją do skórzanego futerału ozdobionego haftowanymi znakami. – A potem

zostałem harfiarzem w wiosce i bywałem na królewskim dworze. Kiedy stary król umarł, jego syn nie miał ucha do muzyki, więc pomyślałem, że najlepiej będzie opuścić królestwo, zanim zacznie pożądliwie spoglądać na złoto na mojej harfie. Potem przybyłem na Wyspę Druidów, a tam uczyłem się sztuki bardów, i w końcu przysłano mnie do Avalonu, i oto jestem... – Zakończył znów wzruszeniem ramion. – Ale wciąż nie powiedzieliście mi, czemu kazaliście mi przybyć, panie Merlinie, ani ty, Pani.

– Ponieważ ja jestem już stary – powiedział Merlin – a wydarzenia, którym damy początek dzisiejszej nocy, zaowocują w pełni może dopiero w następnym pokoleniu. A gdy ten czas nadejdzie, mnie już nie będzie.

Viviana pochyliła się do przodu.

– Czy miałeś jakieś ostrzeżenie, ojczu?

– Nie, nie, moja droga. Nie marnowałbym Wzroku na coś takiego. My nie niepokoimy Bogów, by dowiedzieć się, czy następnej zimy będzie padał śnieg. I tak jak ty wezwałaś tutaj Morgianę, ja przyprowadziłem Kevina Barda, by był ktoś młodszy, kto poprowadzi wszystko dalej, kiedy mnie nie będzie. Tak więc słuchajcie moich wieści: Uther Pendragon leży umierający w Caerleon, a gdzie upada lew, tam zbierają się kocięta. Przyniesiono nam wiadomość, że w krainach Kentu gromadzi się wielka liczba wojska, bo ludy Paktu zdecydowały, że teraz jest najlepszy moment, by ruszyć zbrojnie i zabrać nam resztę Brytanii. Posłali po posiłki z głównego lądu, na północ od Galii, by przyjechali i pomogli im zburzyć to, czego dokonał Uther. I to jest właśnie czas, by wszystkie nasze ludy stanęły do walki pod jednym sztandarem, który przez tyle lat przygotowywaliśmy. Nie ma wiele czasu. Potrzeba im króla. I to natychmiast. Nie możemy czekać nawet kolejnego księżyca, bo na nas ruszą. Lot chce tronu, ale ludy Południa za nim nie pójdą. Są też inni: diuk Markus z Kornwalii, Uriens z Północnej Walii, ale żaden z nich nie uzyska poparcia spoza swych własnych ziem. A my możemy się ostać jak ten osiołek, który padł z głodu między dwoma żłobami jadła, nie wiedząc, z którego zjeść najpierw... Musimy koronować syna Pendragona, mimo że jest taki młody.

– Nigdy nie słyszałem, by Pendragon miał syna – powiedział Kevin. – A może uznał tego syna, którego jego żona poczęła z diukiem Kornwalii i urodziła zaraz po ślubie z Utherem? Uther musiał bardzo się śpieszyć do żeniaczki, skoro nawet nie mógł poczekać, aż ona urodzi dziecko, zanim wziął ją do łóża.

Viviana podniosła rękę, by go uciszyć.

– Młody książę jest synem Uthera – powiedziała. – Nikomu nie wolno w to wątpić i nikt wątpić nie będzie, skoro tylko go ujrzy.

– Doprawdy? Więc Uther dobrze zrobił, że go ukrył – odrzekł Kevin. – Bo jego syn z żoną innego mężczyzny...

Viviana znów uciszyła go gestem dłoni.

– Igriana jest mą siostrą i pochodzi z królewskiego rodu Avalonu. A syn Uthera i Igriany jest tym, którego nadejście obwieściły przepowiednie, jest królem, który był i który będzie. Już podjął próbę rogów i został koronowany przez Plemiona.

– Ale który z brytyjskich królów przyjmie za swego Najwyższego Króla jakiegoś chłopca, co ma zaledwie siedemnaście wiosen? – spytał Kevin sceptycznie. – Może być nawet dzielny jak sam legendarny Cuchulain, ale oni będą chcieli kogoś lepiej wykształconego.

– Jeśli o to chodzi, to był on szkolony w sztuce wojennej, jak przystało na królewskiego syna – powiedział Taliesin. – Choć on sam nie wie, że jest królewskiej krwi. Ale myślę, że podczas ostatniej pełni dowiedział się wiele o swym przeznaczeniu. Uther osiągnął wyżyny nie znane żadnemu przywódcy w jego czasach. Ten młodzieniec Artur sięgnie jeszcze wyżej. Widziałem go na tronie. Nie chodzi o to, czy go zaakceptują, ale co możemy uczynić, by posadzić go na tronie w całym majestacie Najwyższego Króla, tak by wszyscy skłóceni ze sobą królowie podali sobie ręce i zgodnie wystąpili przeciwko Saksonom, zamiast walczyć między sobą!

– Znalazłam na to sposób – powiedziała Viviana. – I dokonamy tego, kiedy wszędzie nowy księżyc. Mam dla niego miecz, miecz prosto z legendy, którego żaden żywy bohater nigdy dotąd nie nosił. – Zamilkła na chwilę, potem ciągnęła powoli: – I za ten miecz zażądam od niego przysięgi. Każę mu przysiąc, że pozostanie wierny Avalonowi niezależnie od tego, co zrobią chrześcijanie. I wtedy może fala się odwróci i Avalon będzie mógł powrócić zza mgieł, a księża, zakonnicy i ich Bóg odejdą w cień i mgły, gdy Avalon będzie znów błyszczał w świetle ludzkiego świata.

– Ambitny plan – powiedział Kevin. – Jeśli zaprawdę Najwyższy Król Brytanii będzie zaprzysiężony Avalonowi...

– To zostało zaplanowane, zanim się jeszcze narodził!

– Chłopiec był wychowany jako chrześcijanin. Czy złoży taką przysięgę? – spytał powoli Taliesin.

– Na ile dla młodego chłopca są realne debaty o Bogu, w porównaniu z legendarnym mieczem, dzięki któremu może przewodzić nad swoim ludem i dokonać wielkich czynów? – oburzyła się Viviana. – Cokolwiek z tego wyjdzie, posunęliśmy się już za daleko, by teraz się wycofać. Wszyscy jesteśmy zdecydowani. Za trzy dni księżyc znów będzie w nowiu i w tym właśnie czasie nadziei on otrzyma miecz.

Niewiele zostało do powiedzenia. Morgiana siedziała cicho, słuchając, podniecona i wzburzona. Za długo była już w Avalonie, pomyślała. Zbyt długo ukrywała się wśród kapłanek, myślała tylko o świętych sprawach i tajemnej wiedzy. Zapomniała, że na zewnątrz też istnieje świat. Jakoś dotąd nigdy nie myślała o tym, że przecież Uther Pendragon, mąż jej matki, był Najwyższym Królem Brytanii i że jej brat pewnego dnia też nim zostanie. *Nawet z tą plamą wątpliwości na swym urodzeniu*, pomyślała ze swoim nowo odkrytym cynizmem.



Być może nawet inni królowie z ochotą powitają władcę, który nie jest związany lojalnością z żadną frakcją, syna Pendragona, który jest przystojny i skromny i może posłużyć za symbol, wokół którego się zjednoczą? Co więcej, jest takim kandydatem, którego już przyjęły Plemiona i Piktowie, i Avalon... a potem Morgiana wzdrygnęła się na myśl o swoim w tym udziale. To na nowo przywołało jej gniew.

Kiedy Taliesin i Kevin podnieśli się, by odejść, przypomniała sobie, dlaczego dziesięć dni wcześniej, kiedy wszystko było jeszcze świeże w jej pamięci, chciała koniecznie zobaczyć Vivianę...

Harfa Kevina, o wiele większa od normalnych harf, była trudna do przenoszenia i pod jej ciężarem bard wyglądał dziwnie. Jedno kolano miał sztywne i ciągnął stopę po ziemi. Wstrętny, pomyślała. *Wstrętny, groteskowy człowiek; ale kto by tak pomyślał, kiedy gra? W tym człowieku jest więcej, niż ktokolwiek może przypuszczać.* A potem przypomniała sobie, co powiedział Taliesin. Wiedziała, że widzi przed sobą następnego Merlina Brytanii, tak jak Viviana nazwała ją następną Panią Jeziora. Ta wiadomość nie podnieciła jej, choć gdyby Viviana powiedziała jej to przed ową podróżą, która zmieniła jej życie, byłaby zapewne szczęśliwa i dumna. Teraz radość była przygaszona tym, co się wydarzyło.

*Z moim bratem, moim bratem. Nie miało znaczenia, kiedy byliśmy kapłanem i kapłanką, Boginią i Bogiem łączącymi się w mocy rytuału. Ale rankiem, po przebudzeniu, gdy byliśmy tylko mężczyzną i kobietą... razem... to było prawdziwe... to było grzechem...*

Viviana stała w drzwiach i patrzyła za odchodzącymi.

– Jak na człowieka tak okaleczonego, dobrze się porusza. Szczęśliwie dla świata, że przeżył i że nie skończył jako żebrak na gościńcu albo płotac maty na jarmarkach. Taki talent jak ten nie powinien być trzymany w ukryciu, ani nawet zamykany na królewskim dworze. Taki głos i dłonie należą do Bogów.

– Jest zaiste uzdolniony – powiedziała Morgiana. – Ale zastanawiam się, czy jest mądry? Merlin Brytanii musi być nie tylko wykształcony i utalentowany, lecz mądry. I... dzielny.

– Pozostawiam to Taliesinowi – powiedziała Viviana. – Co ma się stać, niech się stanie. To nie ode mnie zależy.

I nagle gniew Morgiany wziął górę nad jej spokojem.

– Czy rzeczywiście przyznajesz, Pani, że na tej ziemi jest coś, nad czym nie masz władzy? Myślałam, że uważasz, iż twoja wola jest wolą Bogini, a wszyscy ludzie muszą ci służyć!

– Nie wolno ci mówić w ten sposób, moje dziecko – odparła Viviana, patrząc na nią zdziwiona. – Jestem pewna, że nie chciałaś mnie obrazić.

Gdyby Viviana odpowiedziała ostrym słowem, to rozgrzałoby gniew Morgiany. Ale ta łagodność ją zaskoczyła. Powiedziała tylko:

– Viviano, dlaczego? – i poczuła, że łzy znów napływają jej do oczu.

Tym razem głos Viviany był zimny.

– Czyżbym jednak zbyt długo pozwoliła ci żyć między chrześcijanami i ich gadaniem o grzechach? Pomyśl, dziecko. Jesteś z królewskiej linii Avalonu. On także. Czy mogłabym cię oddać komuś pospolitemu? Albo kogoś takiego dać przyszlęmemu Najwyższemu Królowi?

– A ja ci wierzyłam, kiedy powiedziałaś... kiedy powiedziałaś, że to jest wola Bogini...

– Bo tak było – powiedziała Viviana łagodniej, nie rozumiejąc. – Ale nawet mimo to nie mogłabym cię dać komuś niegodnemu. Ciebie, moja Morgiano... – Jej głos był teraz miękki i czuły. – On był taki mały, kiedy się rozstaliście... myślałam, że nigdy cię nie rozpozna. Żałuję, że ty go poznałaś, ale przecież i tak prędzej czy później musiałybyś się dowiedzieć. A on nie musi wiedzieć jeszcze bardzo długo.

Morgiana napięła całe ciało, by powstrzymać złość.

– On już wie. On wie. I myślę, że był nawet bardziej przerażony niż ja.

Viviana westchnęła.

– Cóż, teraz już nic na to nie możemy poradzić. Co się stało, to się nie odstanie. A w tej chwili los Brytanii jest ważniejszy od twych uczuć...

Morgiana odwróciła się na pięcie i nie czekała, aż Viviana dokończy.

## 17

Księżyc na niebie był ciemny. W takim czasie, jak mówiono nowicjatom w Domu Dziewcząt, Bogini chowa swą twarz przed światem, radząc się samych niebios i Bogów, którzy władają ponad Bogami znanymi ludzkości. W czasie ciemnego księżyca Viviana pozostawała w odosobnieniu, jej spokoju strzegły dwie młode kapłanki.

Przez większość dnia nie opuszczała łoża. Leżała z zamkniętymi oczyma i zastanawiała się, czy rzeczywiście nie jest, jak powiedziała Morgiana, pijana władzą, czy nie uważa, że może wszystkimi rządzić wedle własnego uznania.

*To, co uczyniłam, myślała, uczyniłam, by ocalić tę ziemię i jej lud przed gwałtem i niewolą, przed nawrotem do barbarzyństwa, przed upadkiem większym od tego, jaki Rzym ucierpiał przez najazd Gotów.*

Pragnęła przywołać Morgianę, tęskniła za ich dawną bliskością.

Jeśli dziewczyna rzeczywiście ją znienawidziła, byłaby to największa cena, jaką przyszło jej kiedykolwiek zapłacić za swe czyny.

Morgiana była jedyną istotą ludzką, którą ona naprawdę kochała.

*Ona jest córką, którą byłam winna Bogini. Ale co się stało, to się stało i nie można tego cofnąć. Królewska krew Avalonu nie mogła zostać splamiona pospolitą krwią. Myślała o Morgianie ze smutną nadzieją, że pewnego dnia dziewczyna to zrozumie. Ale nawet gdyby tak się nie stało, Viviana wiedziała, że uczyniła jedynie to, co musiała, nic więcej.*

Tej nocy spała źle, męczyły ją chaotyczne wizje synów, których tak od siebie oddaliła, obrazy z zewnętrznego świata, w których młody Artur jechał konno u boku Merlina. Czy przybył na czas do swego umierającego ojca? Przez sześć tygodni Uther Pendragon leżał umierający w Caerleon. Czasem mu się polepszało, to znów pogarszało. Ale nie wyglądało na to, by miał żyć dłużej.

Kiedy zbliżał się świt, wstała i ubrała się tak cicho, że żadna ze służących jej kapłanek się nie obudziła. Czy Morgiana spała w Domu Dziewcząt, czy też tak jak ona leżała bezsennie z ciężkim sercem, a może płakała? Morgiana nigdy wcześniej nie rozplakała się w jej obecności, aż do tego dnia, kiedy harfa Kevina dotknęła ich serc, ale nawet wtedy ukryła swoje łzy.

*Dokonało się! Nie mogłam jej oszczędzić. Ale z całego serca żałuję, że nie było innego sposobu...*

Cicho wyszła do ogrodu za domem. Ptaki się budziły. Jabłonie kwitły słodko pachnącym kwieciem, które dało imię tej wyspie.

*Kiedy nadejdzie ich czas, wydadzą owoce, tak jak to, o czym wiem tylko ja, wyda swoje owoce w swoim czasie. Ale ja nie zakwitnę ani już nie wydam owoców... czuła ciężar minionych lat. Starzeję się, już teraz się zdarza, że Wzrok mnie zawodzi. Wzrok, który dano mi, bym władała tą ziemią.*

Jej własna matka nie dożyła takiego wieku. Zaiste nadejdzie czas, może już nadchodził, kiedy będzie musiała złożyć brzemień swego świętego urzędu i oddać panowanie nad Avalonem kolejnej Pani Jeziora. A jej pozostanie jedynie stać z tyłu jako Wiedzącej albo jak samej Śmierci.

*Morgiana nie jest jeszcze gotowa. Ona ciągle jeszcze żyje czasem zwyczajnego świata. Wciąż jeszcze drży i szlocha nad tym, czego nie można uniknąć.* W myślach zrobiła przegląd wszystkich kapłanek Avalonu, starych i młodych. Nie było żadnej, której mogłaby powierzyć władzę. Morgiana pewnego dnia dojrzeje do tej roli, ale jeszcze nie teraz. Raven. Tak Raven miałaby dość siły. Ale ona oddała swój głos Bogini. Raven była stworzona do boskiej ekstazy i kontaktu z innym wymiarem, a nie do trzeźwej rady i osądu tego świata. Co stanie się z Brytanią, jeśli ona, Viviana, umrze, zanim Morgiana osiągnie pełnię swej mocy?

Nad jej głową niebo wciąż było ciemne, choć na wschodzie świt zaczynał już różowić mgły. Kiedy obserwowała, jak się rozwidnia, na niebie zaczęły się tworzyć czerwone chmury i splątały się w kształt wielkiego smoka, który rozciągnął się teraz nad całym horyzontem. Potem niebo przecięła wielka, spadająca gwiazda, burząc kształt czerwonego smoka. Jej blask na chwilę oślepił Vivianę, a kiedy znów odzyskała wzrok, smok zniknął, na niebie szybowwały jedynie obłoki, białe w promieniach wschodzącego słońca.

Po plecach Viviany przebiegł nagły dreszcz. Taki znak zdarzał się raz na pokolenie – cała Brytania musiała go widzieć. Oto odchodzi Uther, pomyślała. *Żegnaj smoku, który rozpostarłeś swe skrzydła nad naszymi wybrzeżami. Teraz będziemy na łasce Saksonów.*

Westchnęła. Nagle, bez ostrzeżenia, powietrze zawirowało. Przed nią, pośrodku ogrodu, stanął mężczyzna. Zadrżała – nie tak, jak jakaś zwyczajna kobieta mogłaby zadrzeć na widok intruza, ona nie znała strachu przed żadną żyjącą istotą, lecz dlatego, że od dawna już nie doznała Przesłania tego rodzaju. Wizja, która pojawiła się przed nią nie przywołana, musiała mieć ogromne znaczenie i moc.

*Moc spadającej gwiazdy, znak, jakiego nie widziałam za swego żywota...*

Przez chwilę nie rozpoznała stojącego przed nią mężczyzny. Trawiąca go choroba pobieliała jego jasne włosy, szerokie ramiona skurczyły się, plecy pochyliły. Cerę miał pożółkłą, a oczy zapadnięte z bólu. Ale mimo to Uther Pendragon wydawał się jak zwykle wyższy niż większość mężczyzn. I choć w ogrodzie panowała prawie cisza, to jednak poprzez jego głos słyszała śpiew ptaków, a przez jego ciało widziała kwitnące jabłonie. Jednak przemówił do niej tak, jak za życia, oschle, bez cienia łagodności.

*Cóż, Viviano, spotykamy się po raz ostatni. Jest między nami więź, choć nie taka, jakiej bym pragnął; nie byliśmy przyjaciółmi, szwagierko. Ale uwierzyłem w twą wizję, bo to, co mówiłaś, zawsze się sprawdzało. I jesteś jedyną osobą, która może zapewnić, że następny Najwyższy Król Brytanii otrzyma to, co prawnie do niego należy.*

Teraz dopiero spostrzegła ogromną ranę na jego piersi. Jak to się stało, że Uther Pendragon, leżący w zamku Caerleon, zmarł od tej rany, a nie od swej długotrwałej choroby?

*Zginąłem tak, jak przystało na wojownika. Wojska Paktu znów zerwały swe przyrzeczenia i moja armia nie potrafiłaby stawić im czoła, gdybym nie kazał się zanieść na pole bitwy. Wtedy znów zbrali się do ataku, ale Aesc, wódz Saksonów, nie nazwę tego dzikiego barbarzyńcy mianem króla, przebił się do przodu i zabił trzech ludzi z mojej przybocznej straży. Zabiłem go, zanim jego strażnicy zdążyli zabić mnie. I wygraliśmy tę bitwę. Następna będzie już dla mojego syna. Jeśli osiądzie na tronie.*

Viviana usłyszała, jak odpowiada mu na głos, choć nie przerwała ciszy.

– Artur jest królem z długiej królewskiej linii Avalonu. Nie potrzebuje krwi Pendragona, by zająć przynależne mu miejsce Najwyższego Króla.

Ale ta odpowiedź, która żyjącego Uthera przyprawiłaby o wybuch gniewu, teraz wywołała tylko słaby uśmiech i Viviana usłyszała jego głos po raz ostatni.

*Jestem pewien, szwagierko, że przekonanie o tym innych królów wymagałoby czegoś więcej niż twoje czary. Możesz nisko sobie cenić krew Pendragona, ale to na niej oprze się Merlin, by posadzić Artura na tronie.*

Potem postać Uthera Pendragona zbladła przed jej oczyma. A przed nią stał inny człowiek, którego za życia Viviana widziała jedynie w snach. I w tej jednej chwili zrozumiała, dlaczego żaden mężczyzna nie był dla niej nigdy niczym więcej, niż tylko obowiązkiem, przyjemnością jednej nocy lub drogą do osiągnięcia władzy. Oto przez moment stała na ziemi, która zatoneła, nim wzniesiono kamienny krąg na szczycie Toru, a wokół ramion miała wijące się złote węże... półksiężyc palił jej czoło jak rozgrzany metal, a ona

poznała go wiedzą spoza tego czasu i przestrzeni... Z jej gardła wydobył się krzyk rozpaczony za tym, czego nie zaznała w tym życiu; krzyk udręki nad utratą tego, którego aż do tej chwili nie rozpoznała. A potem ogród znów był pusty, tylko ptaszki ćwierkały wesoło we mgle, którą rozpraszało już wschodzące słońce.

*A gdzieś daleko w Caerleon Igriana, wiedząc, że została wdową, płacze za swym ukochanym... to ona powinna go teraz opłakiwać...* Viviana oparła się o wielki, pochylony pień starego drzewa, przygniecioną nieoczekiwanym smutkiem. On nigdy jej nie poznał. Nie lubił jej, nie ufał jej aż do ostatniej chwili, kiedy to śmiertelna powłoka, którą nosił za tego żywota, opadła... *Bogini, miej litość... życie minęło, a ja go nie poznałam... odszedł, znów odszedł, czy rozpoznam go, kiedy ponownie się spotkamy, czy też raz jeszcze będziemy ślepi, mijając się jak obcy ludzie?* Ale odpowiedziała jej tylko cisza, a Viviana nie potrafiła nawet się rozplakać.

*Igriana będzie po nim płakała... ja nie mogę...*

Szybko pozbierała się w sobie. Nie było czasu, by stać i rozpaczać za miłością, która była jak sen wewnątrz innego snu. Czas znów zaczął dla niej płynąć. Przypomniała sobie wizję z lekkim niedowierzaniem. Teraz nie mogła w sobie znaleźć żalu za zmarłym, nie czuła niczego poza irytacją. Mogła się spodziewać, że będzie próbował umrzeć w najbardziej nieodpowiednim czasie, zanim zdoła mianować swego syna następcą tronu przed tymi wszystkimi pomniejszych królami żądnymi władzy. Dlaczego nie został w Caerleon, dlaczego dał się ponieść dumie, która kazała mu pokazać się po raz ostatni na polu walki? Czy w ogóle zobaczył się ze swym synem? Czy Merlin przybył na czas?

Wizja minęła już bezpowrotnie. Nie było sposobu, by znów ją przywołać po to tylko, by zadawać nieistotne pytania. Uther zaiste przybył do niej w samą godzinę swej śmierci. Możliwe, że Igriana nawet jeszcze o tym nie wie, ale on odszedł.

Viviana spojrzała w niebo. Nie było na nim jeszcze śladu księżyca w nowiu. Może uda jej się jeszcze coś zobaczyć w zwierciadle? Czy powinna przywołać Raven? Nie, nie było na to czasu, a Raven może się nie zgodzić, by przerwać swe milczenie dla wizji dotyczącej doczesnych spraw. Zawołać Morgianę? Viviana skuliła się na samą myśl o spotkaniu oczu Morgiany.

*Czy ona, tak jak ja, przeżyje całe swe życie, nosząc w piersi martwe serce?*

Wzięła głęboki, głośny oddech i odwróciła się, by opuścić ogród. Było wciąż chłodno i wilgotno, słońce skrywało się jeszcze za mgłą. Idąc szybko po tajemnej ścieżce prowadzącej do Świętej Studni, nie napotkała nikogo. Uklękła, by dłońmi zaczerpnąć wody ze źródła. Potem podeszła do jeziora-zwierciadła. Przez tyle lat służyła w tutejszej świątyni, że nauczyła się traktować swą moc widzenia jako coś naturalnego. Ale teraz zaczęła się modlić, co było do niej niepodobne.

*Bogini, nie pozbawiaj mnie mocy, jeszcze nie, jeszcze nie przez jakiś czas... Matko, ty wiesz, że nie proszę o to dla siebie, lecz po to, by ta ziemia mogła być bezpieczna, zanim nie powierzę jej rękom, które przygotowałam, by jej strzegły.*

Przez chwilę widziała jedynie zmarszczki na wodzie jeziora. Zaciśnęła dłonie, jakby mogła tym przyspieszyć wizję. Potem powoli zaczęły się pojawiać obrazy: zobaczyła Merlina, jak przemierza kraj po swych sekretnych szlakach, czasem jako Druid i Bard, jak przystało na posłańca Bogów, innym razem jako stary żebrak czy kupiec lub jako zwyczajny harfiarz. Jego twarz zaczęła się zmieniać i teraz widziała Kevina Barda, odzianego w białe szaty Posłańca Avalonu, to znów w szatach szlachcica, jak spiera się z chrześcijańskimi księżmi... a za jego głową widoczny był cień, cały był otoczony cieniem, rozpoznała cień starego dębowego gaju, cień krzyża... zobaczyła go ze świętymi regaliai Druidów... widziała młodego Artura, z czołem wciąż umazany krwią jelenia, którego pokonał, i śmiejącą się Morgianę, w wieńcu z kwiatów, ze śladami krwi na twarzy...

Nie chciała na to patrzeć i walczyła ze sobą, by nie odwrócić wzroku i nie przerwać przepływu wizji... Ujrzała rzymską willę i Artura stojącego między dwoma młodzieńcami; jednym był jej młodszy syn Lancelot, przypuszczała, że ten drugi to zapewne przybrany brat Artura, Kajusz, syn Ektoriusza... ujrzała Morgause w otoczeniu swych synów; jeden po drugim klękali u stóp Artura.

Potem zobaczyła łódź Avalonu, okrytą czarnym całunem, na dziobie stała Morgiana, tyle że była starsza... była starsza i płakała.

Viviana niecierpliwie przesunęła dłonią ponad powierzchnią wody. To nie był czas po temu, by stać tutaj i szukać pomocy w wizjach, których znaczenia w tej chwili jeszcze nie rozumiała. Szybkim krokiem wróciła do domu i zawołała służące jej kapłanki.

– Ubierzcie mnie – zażądała krótko. – I poślijcie po Merlina.

Musi natychmiast jechać do Caerleon i przywieźć do mnie młodego Artura, zanim nowy księżyc na niebie nie będzie starszy niż dzień.

Nie ma czasu do stracenia.

## 18

Ale Artur nie przybył do Avalonu wraz z nowym księżycem.

Morgiana widziała narodziny nowego księżyca, ale nie przerwała swego postu, który utrzymywała w ciemnej fazie. Było jej słabo i czuła, że jak tylko coś zje, zrobi jej się niedobrze. Cóż, może tego powinna oczekiwać. Czasami czuła się tak, kiedy miały nadejść jej miesięczne krwawienia, potem poczuje się lepiej. I później tego dnia rzeczywiście poczuła się lepiej, wypita trochę mleka i zjadła chleb.

Po południu przysłała po nią Viviana.

– Uther leży martwy w Caerleon – powiedziała. – Jeśli czujesz, że powinnaś pojechać do swojej matki...

Przez chwilę Morgiana rozważała to, ale w końcu pokręciła przecząco głową.

– Nie lubiłam Uthera – powiedziała – I Igriana doskonale o tym wie. Bogini sprawi, że ci jej kościelni doradcy pocieszą ją lepiej, niż ja bym potrafiła.

Viviana westchnęła. Wyglądała na zmęczoną i smutną i Morgiana zastanawiała się, czy ona też odchorowuje ten ciężki okres ciemnego księżyca.

– Choć przykro mi to mówić – odrzekła w końcu Viviana – obawiam się, że masz rację. Wysłałabym cię do niej, gdyby było trzeba. Byłby jeszcze czas, byś wróciła do Avalonu zanim... – Zamilkła, a w końcu dodała: – Wiesz o tym, że za życia Uther trzymał Saksonów w ryzach, choć za cenę ciągłych walk. Nie mieliśmy nigdy więcej niż kilka miesięcy pokoju. Obawiam się, że teraz będzie jeszcze gorzej. Mogą dojść nawet do Avalonu... Morgiano, jesteś kapłanką, widziałaś święte oręża...

Morgiana potaknęła, a Viviana ciągnęła dalej:

– Może nadejść dzień, że ten miecz będzie musiał być wzniesiony w obronie Avalonu i całej Brytanii.

*Czemu ona mi to mówi?* myślała Morgiana. *Jestem kapłanką, a nie wojownikiem. Nie mogę unieść tego miecza w obronie Avalonu.*

– Pamiętasz miecz.

*Bosa, zziębnięta, rysuje okrąg ciężarem trzymanego w dłoniach miecza; słyszy, jak zawsze milcząca Raven krzyczy z przerażenia...*

– Pamiętam.

– A więc mam dla ciebie zadanie – powiedziała Viviana. – Kiedy ten miecz zostanie wzniesiony w walce, muszą go chronić wszystkie czary, jakie znamy. Ty wykonasz pochwę na ten miecz, Morgiano. Zamkniesz weń każde zaklęcie, które znasz, tak aby ten, który będzie walczył tym mieczem w bitwie, nie stracił krwi. Czy potrafisz to uczynić?

*Zapomniałam,* myślała Morgiana, *że może być zadanie dla kapłanki takie, jak zadanie dla wojownika.* Używając swej sztuki czytania myśli, Viviana rzekła:

– Tak więc ty też będziesz miała swój udział w walce o obronę tych ziem.

– Niech się tak stanie – powiedziała Morgiana, zastanawiając się, czemu Viviana, która była Wielką Kapłanką Avalonu, nie wzięła tego ważnego zadania na siebie. Pani nie dała jej odpowiedzi, lecz odparła:

– Musisz pracować, mając miecz przed sobą. Chodź, Raven pomoże ci swą magiczną ciszą.

Choć starała się pamiętać, że ona jest tylko narzędziem, przez które przepłynie moc Bogini, a nie samą mocą, Morgiana była na tyle młoda, by dać się ponieść uniesieniu, kiedy w ciszy poprowadzono ją do tajemnego miejsca, odpowiedniego dla tak ważnego zadania.

Otoczyły ją kapłanki, które miały być czujne na każde jej skinienie, tak by ona nie musiała przerywać ciszy koniecznej dla nagromadzenia mocy potrzebnej do zaklęć. Miecz ułożono przed nią na Inianej serwecie. Obok niego stał niski kielich wytopiony ze srebra, ze złotą otoczką wokół krawędzi. Był napełniony wodą ze Świętej Studni.

Nie była to woda do picia – jedzenie i picie przygotowano dla niej na boku – lecz po to, by mogła spoglądać weń i widzieć takie rzeczy, które będą jej potrzebne do wykonania zadania.

Pierwszego dnia skroiła podszewkę z cieniutkiej skóry łani. Po raz pierwszy mogła pracować tak wspaniałymi narzędziami; z przyjemnością trzymała w dłoniach specjalną żelazną igłę, którą dostała do zrobienia ściegów. Choć wiedziała, że to dziecinne, a jednak była dumna z siebie, kiedy raz czy dwa ukłuła się w palec i nawet nie pisnęła. Nie umiała powstrzymać cichego westchnienia zachwytu, kiedy pokazano jej bezcenny kawałek purpurowego aksamitu. Był zafarbowany barwnikiem, który, jak jej kiedyś powiedziano, kosztował za uncję więcej pieniędzy, niż potrzeba było na kupienie willi i wynajęcie ludzi, by przez rok uprawiali ziemię. Aksamit miał pokryć skórę łani i to na nim miała wyszyć wszystkie magiczne symbole i zaklęcia. Dostała do tego specjalne złote i srebrne nici.

Tak więc pierwszy dzień spędziła, krojąc kształt skórzanej podszewki i mającego ją pokryć aksamitu. Zanim położyła się spać, pogrążona w medytacji nad tym, co ma czynić, prawie w transie nacięła mieczem swoje ramię i roztarła krew na skórzanej podszewce.

*Bogini! Wielki Kruku! Na tą pochwę wylano krew, aby już nie musiało na nią tryskać więcej krwi, kiedy znajdzie się w bitwie.*

Spała głęboko, śniąc, że siedzi na wysokim wzgórzu, z którego widać całą Brytanię, i haftuje zaklęcia, wszywając je jak promienie światła w samą ziemię. W dole pod nią biegł Przewodnik Stada, a do niej podbiegł mężczyzna i wziął miecz z jej rąk...

Obudziła się nagle z myślą: *Artur! To Artur ma nosić ten miecz, on jest synem Pendragona...* i leżąc w ciemności, zrozumiała, że to dlatego Viviana jej właśnie powierzyła zadanie wykonania magicznej pochwy dla miecza, który on będzie nosił jako symbol wszystkich ludów. To Artur przelał krew jej dziewictwa i to właśnie ona, tak samo pochodząca z królewskiej linii Avalonu, musi wykonać zaklętą pochwę, która będzie strzegła królewskiej krwi.

Przez cały następny dzień pracowała w ciszy, zaglądając do kielicha, obserwując pojawiające się w nim obrazy. Od czasu do czasu zatrzymywała się pogrążona w medytacji i czekała na inspirację. Wyszyła księżyc w nowiu, aby Bogini zawsze strzegła miecza i chroniła świętą krew Avalonu. Była tak otoczona magiczną ciszą, że każda rzecz, na którą spojrzała, każdy ruch jej poświęconych rąk stawał się zaklęciem. Czasami wydawało się, jakby spod jej palców spływały promienie światła. Pod półksiężycem wyszyła księżyc w pełni, a potem czarny księżyc, gdyż wszystkie rzeczy tego świata muszą odpowiednio następować po sobie. Ponieważ wiedziała, że Najwyższy Król Brytanii musi rządzić



chrześcijańską ziemią, a także dlatego, że kiedy pierwsi wyznawcy Chrystusa przybyli do Brytanii, przyszedli do Druidów, dodała symbole chrześcijan i Druidów połączone w przyjaźni – krzyż wewnątrz okręgu z trzema skrzydłami. Na purpurowym aksamicie wyhaftowała też magiczne symbole czterech żywiołów: ziemi, powietrza, wody i ognia. A potem wyobrazenie magicznego kielicha, który stał przed nią. W nim pojawiały się i znikwały wizje, obrazy wychodziły z ciemności. Wyszyła też laskę i misę z ziemią, węża uzdrawiającego i skrzydła wiedzy, i gorejący miecz mocy... były chwile, że wydawało się, iż igła i nitka przesywają jej własne ciało lub ciało samej ziemi i niebo, przechodzą przez jej skórę i krew... znak za znakiem, symbol za symbolem, każdy naznaczony jej własną krwią i wodą ze Świętej Studni...

Pracowała przez trzy dni, śpiąc niewiele, jedząc tylko odrobinę suchych owoców, pijąc jedynie wodę ze Studni. Były chwile, kiedy patrzyła na swoje własne ręce jakby z dalekiej odległości, jakby pracowały same... bez udziału jej świadomości... zaklęcia wszywały się, znaczone krwią ziemi, krwią jej dziewictwa, siłą Przewodnika Stada, który zginął i przelał swą krew, by Rogaty Pan mógł przeżyć...

Skończyła trzeciego dnia o zachodzie. Każdy centymetr materiału pokryty był splatającymi się ze sobą symbolami. Sama nie potrafiła rozpoznać niektórych figur, które wyszyła. Z pewnością przyszedł do niej prosto od samej Bogini. Uniosła pochwę i wsunęła do niej miecz.

Potem przerwała rytualne milczenie i powiedziała na głos:

– Skończone.

Teraz, kiedy opuściło ją długotrwałe napięcie, zdała sobie sprawę, jaka jest wyczerpana, drżąca i chora. Rytuwały i długie używanie Wzroku mogły dać taki efekt. Bez wątplenia zaburzyło to jej miesięczny cykl, bo krwawienia zwykle pojawiały się u niej w czasie ciemnego księżyca. Dobrze się stało, bo na czas krwawienia kapłanki zwykle zamykały się w odosobnieniu, by chronić swą moc, tak jak robiły w czasie ciemnego księżyca, kiedy sama Bogini kryła się, by strzec swej mocy.

Przyszła Viviana i uniosła pochwę. Nie mogła powstrzymać cichego okrzyku zdumienia. Zaiste, nawet Morgianie, która przecież wykonała to własnymi rękoma, gotowe dzieło wydało się czymś wykraczającym poza ludzkie możliwości, brzemiennej magią. Viviana delikatnie dotknęła wzorów, po czym zawinęła pochwę w biały, jedwabisty materiał.

– Zrobiłaś dobrze – powiedziała, a Morgiana pomyślała wzburzona: *Jak to jest, że jej się wydaje, iż może mnie osądzać? Ja też jestem kapłanką, prześcignęłam nawet jej nauki...* I nagle sama przeraziła się tych myśli.

Viviana delikatnie dotknęła jej policzka.

– Idź i połóż się spać, najdroższa. Ta ogromna praca cię wycieńczyła.

Morgiana spała długo i głęboko, bez snów. Ale po północy obudziły ją dzwony bijące na trwogę, dzwony na alarm, kościelne dzwony przerażenia, jakie pamiętała z dzieciństwa. *Napadli na nas Saksoni! Do broni!*

Wydawało jej się, że przebudziła się nagle i nie była wcale w Domu Dziewcząt, ale w kościele; na kamiennym ołtarzu leżał oręż, a na katafalku nieopodal leżał rycerz w zbroi, okryty całunem. Nad nią wciąż dudniły dzwony, tak głośno, że mogły obudzić umarłego... nie, bo martwy rycerz się nie poruszył, a ona, zmówiwszy krótką modlitwę o przebaczenie, sięgnęła po jego miecz... i tym razem naprawdę się obudziła w ciszy własnej komnaty. Śniła te dzwony, kaplicę z płonącymi kotarami, oręż na ołtarzu, miecz, to wszystko. *Dlaczego to zobaczyłam? Wzrok nigdy nie nawiedza mnie, jeśli go nie przywołam... czy więc był to tylko sen?*

Później tego dnia zawołano ją do Pani. Teraz mogła już świadomie przypomnieć sobie niektóre wizje, które jej się pojawiały, kiedy pracowała nad pochwą do wielkiego miecza. *Opadł na ziemię w spadającej gwieździe, jak błyskawica, wielki wybuch światła... wciąż dymiący, zaniesiony do małych, smagłych kowali, którzy zamieszkiwali te tereny, zanim jeszcze wzniesiono kamienie okręgu, pełen mocy, oręż dla króla... złamany i tym razem przekuty w kształt długiego liścia... zahartowany we krwi i w ogniu... miecz trzy razy kuty, nigdy nie wyrwany z wnętrza ziemi i przez to podwójnie święty...*

Poznała imię miecza: *Ekskalibur*, co znaczyło „wykuty ze stali”.

Miecze z żelaza meteorytów były drogoczną rzadkością. Ten mógł być warty cenę całego królestwa.

Viviana kazała jej zakryć twarz welonem i iść za sobą. Kiedy wolno szły z boczem, ujrzała wysoką postać Taliesina, Merlina Brytanii. U jego boku szedł Kevin Bard, poruszając się tym swoim rozkołysanym, groteskowym krokiem. Wydał jej się jeszcze bardziej niezdamny i wstrętny, tak samo nie na miejscu, jak kapka wosku ze świecy uczipiona szlachetnego, srebrnego świecznika. A między nimi... Morgiana zamarła, rozpoznając to szczupłe, muskularne ciało, te jasne, niemal srebrzyste włosy.

Artur. Ależ oczywiście, wiedziała przecież, że miecz jest dla niego. Cóż więc dziwnego w tym, że osobiście przybył, by go otrzymać?

*On jest wojownikiem. Królem. Ten mały braciszek, którego trzymałam na kolanach.* Wydawało jej się to nierealne. Ale między dziecinną twarzą Artura a twarzą tego poważnego chłopca, krocącego między Druidami, dostrzegła też rysy tamtego młodzieńca, który wziął na siebie poroże Rogatego Boga; choć teraz szedł spokojnie, ona zobaczyła kołyszące się na jego czole rogi, śmiertelną, desperacką walkę i to, jak przyszedł do niej, pokryty krwią jelenia – nie dziecko, lecz mężczyzna, wojownik, król.

Na szept Merlina Artur uklęknął przed Panią Jeziora. Patrzył na nią z pokorą. *Nie, pomyślała Morgiana, on nigdy przedtem nie spotkał Pani, jedynie mnie, a teraz stoję w cieniu...*

Ale po chwili dostrzegł Morgianę. Widziała, jak na jego twarzy odbija się to, że ją rozpoznał. Jej także złożył ukłon. Przynajmniej, myślała Morgiana trochę bez związku, *tam, gdzie się wychowywał, nauczyli go manier godnych królewskiego syna.*

– Morgiano – powiedział cicho.

Skłoniła głowę. Poznał ją mimo welonu. Może powinna uklęknąć przed królem? Ale Pani Avalonu nie ugina kolana przed żadną ludzką mocą. Merlin mógł klękać, tak samo Kevin, gdyby mu kazano. Ale Viviana nigdy, bo ona była nie tylko kapłanką Bogini, lecz także uosabiała Boginię w sposób, jakiego mężczy kapłani męskich Bogów nigdy ani nie pojmą, ani nie uczynią. Więc Morgiana również już nigdy przed nikim nie uklęknie.

Pani Jeziora wyciągnęła do niego dłoń i nakazała mu powstać.

– Masz za sobą długą podróż – powiedziała – i jesteś strudzony. Morgiano, zaprowadź go do mego domu i każ mu dać coś do zjedzenia, zanim zaczniemy.

Wtedy dopiero się uśmiechnął, nie jak przysły król, jak Wybraniec, lecz po prostu jak głodny chłopiec.

– Dzięki ci, Pani.

W domu Viviany podziękował kapłankom, które podały mu jedzenie, i zabrał się do niego ze smakiem. Kiedy zaspokoił pierwszy głód, zapytał Morgianę:

– Czy ty też tutaj mieszkasz?

– Pani mieszka tu sama, ale po kolei usługują jej wszystkie kapłanki. Mieszkam z nią tutaj, kiedy przychodzi moja kolej służby.

– Ty, królewska córka, ty służysz?

– Musimy służyć, zanim będziemy rozkazywać – odparła z naciskiem. – Pani też służyła w swej młodości, a służąc jej, służyć samej Bogini.

Rozwagał to przez chwilę.

– Nie znam tej Wielkiej Bogini – rzekł w końcu. – Merlin powiedział mi, że Pani Jeziora jest twoją... naszą... krewniaczką.

– Jest siostrą Igriany, naszej matki.

– No to w takim razie jest moja... ciotką – powiedział Artur, wymawiając ostatnie słowo powoli, jakby nie bardzo chciało mu przejść przez gardło. – To wszystko jest dla mnie takie dziwne. Zawsze myślałem o Ektoriuszu jako o moim ojcu, a o Flavilli jak o matce. Oczywiście wiedziałem, że była jakaś tajemnica. A ponieważ Ektoriusz nie chciał ze mną o tym rozmawiać, myślałem, że chodzi o coś niegodnego, że jestem bękartem albo jeszcze gorzej. Nie pamiętam Uthera, mego ojca. Wcale. Ani mojej matki, nie tak do końca, choć czasami, kiedy Flavilla mnie ukarała, śniłem, że mieszkam gdzie indziej, z kobietą, która mnie pieści, a potem mnie od siebie odpycha... czy Igriana, nasza matka, jest do ciebie podobna?

– Nie, jest wysoka i rudowłosa – odpowiedziała Morgiana.

Artur westchnął.

– To w takim razie chyba w ogóle jej nie pamiętam. Bo w moich snach to był ktoś taki jak ty... to byłaś ty...

Przerwał, głos mu drżał. *Niebezpieczny grunt*, pomyślała Morgiana. *Nie powinniśmy o tym mówić.*

– Zjedz jeszcze jabłko, są z naszego sadu, rosną tu, na Wyspie – powiedziała spokojnym głosem.

– Dziękuję – odparł i ugryzł owoc. – To wszystko jest takie nowe i dziwne. Tyle mi się rzeczy przydarzyło, odkąd... odkąd... – Głos uwiązał mu w gardle. – Myślę o tobie cały czas. Nie mogę nic na to poradzić. To, co powiedziałem, było prawdą, Morgiano, całe życie będę cię pamiętał, bo ty byłaś pierwsza, i zawsze będę o tobie myślał i kochał cię...

Wiedziała, że powinna powiedzieć coś ostrego i raniącego. Zamiast tego odezwała się łagodnym, ale opanowanym głosem.

– Nie wolno ci myśleć o mnie w ten sposób. Dla ciebie nie jestem kobietą, ale przedstawicielką Bogini, która przysłała do ciebie. To bluźnierstwo tęsknić za mną, jakbym była jedynie śmiertelną kobietą. Zapomnij o mnie, pamiętaj Boginię.

– Próbowałem – wybuchnął, zaciskając pięści. Po chwili jednak odparł z zapałem: – Masz rację. Tak powinienem o tym myśleć. Że to tylko jeszcze jedna z tych dziwnych rzeczy, które mi się przydarzyły, odkąd zabrano mnie z domu Ektoriusza. Tajemnicze, magiczne rzeczy. Jak ta bitwa z Saksonami... – Wyciągnął ramię i podwinął rękaw tuniki, pokazując bandaż grubo nasączony żywicą i zakrzepłą krwią. – Tu zostałem ranny. Tyle że to było jak sen, ta moja pierwsza bitwa. Król Uther... – Spuścił oczy i przełknął ślinę. – Przybyłem za późno... Nigdy go nie spotkałem. Leżał na marach w kościele i zobaczyłem tylko jego zwłoki, jego oręż leżał na ołtarzu... Powiedzieli mi, że to taki zwyczaj, że kiedy ginie dzielny rycerz, to jego oręż czuwa przy nim. A potem, kiedy księża śpiewali jeszcze *Nunc Dimittis*, rozdzwoniły się dzwony na trwogę. To był atak Saksonów. Wartownik przybiegł prosto do kościoła, wyrwał linę z rąk mnicha, który dzwonił na żałobę, i sam zaczął dzwonić na trwogę. Wszyscy ludzie króla chwycili za oręż i wybiegli. Nie miałem miecza, tylko mój kordzik, ale chwyciłem włócznię od jednego ze zbrojnych. Pomyślałem, oto moja pierwsza bitwa, ale Kaj, to znaczy mój przyrodni brat, Kajusz, syn Ektoriusza, powiedział mi, że zostawił swój miecz na kwaterze i że powinienem pobiec i mu go przynieść. Lecz ja wiedziałem, że to był tylko podstęp, żeby mnie uchronić przed bitwą, bo Kaj i mój ojczym mówili, że jestem jeszcze zbyt młody, by przetaczać krew. Więc zamiast biec do naszej komnaty, wróciłem do kościoła i porwałem królewski miecz z kamiennego katafalku... No cóż – tłumaczył się Artur – on przez dwadzieścia lat walczył tym mieczem z Saksonami, z pewnością byłby kontent, że miecz znów ich odpiera, zamiast bezużytecznie leżeć na starym kamieniu! Więc wybiegłem i już miałem dać ten miecz Kajowi, bo właśnie wszyscy zbierali się do głównego natarcia, i wtedy zobaczyłem Merlina, a on zakrzyknął najpotężniejszym głosem, jaki słyszałem w życiu: „Skąd wzięłeś ten miecz, chłopcze?!” Byłem zły, bo nazwał mnie chłopcem, i to po tym,

czego dokonałem na Wyspie Smoka, więc odpowiedziałem mu, że to jest miecz do walki z Saksonami, a nie do leżenia na starych kamieniach. I wtedy nadszedł też Ektoriusz i zobaczył mnie z tym mieczem w dłoni, i wtedy oni obaj z Kajem uklękli przede mną, tak po prostu! Czułem się dziwnie, powiedziałem im: „Ojczy, dlaczego klękasz? Czemu każesz klękać mojemu bratu? Och, proszę cię, wstań, to okropne!” A wtedy Merlin rzekł strasznym głosem: „On jest Królem! Ma prawo do tego miecza!” I wtedy Saksoni przedostali się za mury zamku, bo usłyszeliśmy ich rogi, i nie było już czasu, żeby rozprawiać o mieczach ani o niczym innym. Kaj chwycił włócznię, ja ciągle miałem ten miecz, i ruszyliśmy. Niewiele pamiętam z całej bitwy, myślę, że chyba nigdy się nie pamięta. Kaj został ranny, ciężko ranny w nogę. Potem, kiedy Merlin opatrywał mi ramię, powiedział mi, kim naprawdę jestem. To znaczy, kto był moim ojcem. I przyszedł Ektoriusz i znów ukląkł i powiedział, że będzie mi wiernym rycerzem, tak jak był nim dla mojego ojca i dla Ambrozjusza, a ja byłem taki zmieszany... i jedyne, o co mnie poprosił, to żebym mianował Kaja moim szambelanem, kiedy będę miał swój dwór. Powiedziałem, że oczywiście, uczynię to chętnie, bo to przecież mój brat. To znaczy, zawsze będę go uważał za swego brata. Było wiele zamieszania o ten miecz, ale Merlin powiedział, że to przeznaczenie kazało mi pochwyć go z katafalku, i mówię ci, oni go słuchali! – Uśmiechnął się, a Morgiana poczuła przypływ miłości i litości dla niego i jego zmieszania.

Te dzwony, które ją obudziły... ujrzała, ale nie wiedziała, co widzi.

Opuściła wzrok. Między nimi zawsze już będzie więź. Czy każdy cios, który w niego uderzy, ona zawsze będzie odczuwać jak miecz wrażony w jej własne serce?

– A teraz zdaje się, że dostanę kolejny miecz – powiedział Artur. – Nie miałem żadnego miecza, a teraz mam dwa wspaniałe miecze naraz! – Westchnął i dokończył niemal rozżalonym głosem: – Ale nie rozumiem, co to wszystko ma wspólnego z byciem królem...

Choć Morgiana często widywała Vivianę w rytualnych szatach Wielkiej Kapłanki Avalonu, to nigdy nie przywykła do tego widoku. Widziała, jak wzrok Artura wędruje od jednej do drugiej i jak w jego oczach odbija się podobieństwo między nią a Vivianą. Był milczący, zadziwiony. *Przynajmniej*, pomyślała Morgiana, czując znów falę nudności w pustym żołądku, *nie kazali mu tym razem przestrzegać rytualnych postów. Może powinna była zjeść razem z nim?* Ale sama myśl o jedzeniu przyprawiała ją o mdłości. Długi kontakt z magią mógł przynieść takie reakcje. Nic dziwnego, że Viviana była tak wymizerowana.

– Chodźcie – powiedziała Viviana i ruszyła przodem.

Pani Avalonu w swym własnym królestwie szła pierwsza, nawet przed królem. Przeszli od domku, wzdłuż brzegu Jeziora i weszli do budynku, w którym mieszkali kapłani. Artur szedł bez słowa u boku Morgiany i przez moment niemal się spodziewała, że chwyci ją za rękę, jak to robił, kiedy był malutki... ale teraz ta mała dłoń, którą kiedyś trzymała w swojej,

była dłonią rycerza, większą niż jej własna, stwardniałą przez długie godziny ćwiczeń z mieczem i innym orężem. Za Arturem i Morgianą szedł Merlin z Kevinem u boku.

Zeszli w dół po wąskich schodkach. Otoczył ich wilgotny zapach podziemi. Morgiana nie zauważyła, by ktokolwiek zapalał ogień, lecz nagle coś błysnęło w ciemności i wokół nich pojawiło się blade światło. Viviana zatrzymała się tak gwałtownie, że omal na nią nie wpadli. Przez chwilę Morgiana oparła się o nią i była zaskoczona, że ciało Viviany było takie kruche i małe jak ciało normalnej kobiety, a nie niedostępnej Bogini. Pani wyciągnęła rękę i ujęła nadgarstek Artura w swą drobną dłoń. Dużo brakowało, by mogła go całkiem objąć.

– Arturze, synu Igriany z Avalonu i Pendragona, prawowity Królu Brytanii – rzekła. – Oto są rzeczy najświętsze w twojej ziemi.

Światło odbijało się od złota, srebra i drogich kamieni na kielichu i talerzu, na długiej włóczni, na purpurze i złotych i srebrnych nitkach pochwy, w której był miecz. Viviana wydobyla długie, ciemne ostrze. Błysnęły kamienie na rękojeści.

– Oto miecz Świętych Regaliów Druidów – powiedziała cicho. – A teraz przysięgnij mi, Arturze Pendragonie, Królu Brytanii, że gdy przywdziejesz koronę, będziesz tak samo sprawiedliwy dla Druidów, jak dla chrześcijan, i będziesz słuchał tajemnej sztuki tych, którzy posadzili cię na tym tronie.

Artur sięgnął po miecz z szeroko otwartymi oczyma. Morgiana poznała po jego oczach, że wiedział, co to był za miecz. Ale Viviana powstrzymała go ruchem dłoni.

– Śmierć temu, kto waży się dotknąć świętości nieprzygotowany – powiedziała. – Arturze, przysięgnij. Kiedy będziesz dzierzył ten miecz, nie ma takiego wodza czy króla, poganina czy chrześcijanina, który dotrzyma ci pola. Lecz nie jest to miecz dla króla, który będzie słuchał tylko chrześcijańskich księży. Jeżeli nie złożysz przysięgi, możesz natychmiast odjechać i nosić taki oręż, jaki możesz dostać od swych wiernych chrześcijan. Ale te ludy, które za swą władzę uznają Avalon, pójdą za tobą tylko wtedy, kiedy my im rozkażemy. Jeśli zaś przysięgniesz, będą ci wierni przez święty oręż Avalonu. Wybieraj, Arturze.

Patrzył na nią, lekko marszcząc brwi. Blade światło odbijało się od jego włosów, które wydawały się prawie białe. W końcu rzekł:

– Te ziemie mogą mieć tylko jednego władcę. Avalon nie może mną rządzić.

– Ani też nie powinni tobą rządzić księża, którzy zrobią z ciebie niewolnika swego martwego Boga – powiedziała Viviana spokojnie. – Ale my nie chcemy cię namawiać. Wybieraj, czy weźmiesz ten miecz, czy też wyrzekniesz się go i będziesz rządził we własnym imieniu, gardząc pomocą Starych Bogów.

Morgiana zauważyła, że to do niego trafiło. Tego dnia, gdy pędził wśród jeleni, to Starzy Bogowie dali mu zwycięstwo, tak że został mianowany królem między tamtym ludem, który pierwszy go uznał.

Odpowiedział szybko:

– Niech Bóg broni, bym miał gardzić... – Zamilkł, głośno przetykając ślinę. – Co muszę przysiąc, Pani?

– Tylko to: że będziesz sprawiedliwie rządził wszystkimi ludźmi, niezależnie, czy wierzą w Boga chrześcijan czy nie. I że zawsze będziesz czcił Avalon. Bo cokolwiek mówią chrześcijanie, Arturze Pendragonie, i jakkolwiek zwą swego Boga, wszyscy Bogowie są jednym Bogiem, a wszystkie Boginie jedną Boginią. Przysięgnij jedynie być wiernym tej prawdzie, nigdy nie uznawać tylko jednej wiary, gardząc drugą.

– Widziałeś – powiedział Merlin, a jego głęboki głos odbił się echem w ciemności – że ja prawdziwie czczę Chrystusa i że klękałem przed ołtarzem i dzieliłem ich święty posiłek.

– Tak... to rzeczywiście prawda, mój panie Merlinie – odparł zakłopotany Artur. – A ty, jak myślę, jesteś doradcą, któremu winienem ufać jak nikomu innemu. Każesz mi więc przysiąc?

– Mój królu i panie – powiedział Taliesin – jesteś młody jak na władcę, więc możliwe, że twoi księża i biskupi będą próbowali być sumieniem nawet dla swego króla. Ale ja nie jestem księdzem. Ja jestem Druidem. I mówię tylko, że mądrość i prawda nie są wyłączną własnością żadnego księdza. Spytaj swego własnego sumienia, Arturze, czy będzie złem przysiąc, że będziesz jednakowo sprawiedliwy dla wszystkich, niezależnie od Boga, którego wyznają, zamiast przysięgać wierność tylko jednemu Bogu.

– A więc przysięgam i biorę miecz – powiedział Artur cicho.

– Uklęknij – powiedziała Viviana. – Na znak, że król jest tylko człowiekiem, a kapłanka, nawet Wielka Kapłanka, tylko kobietą, ale Bóg jest nad nami wszystkimi.

Artur ukląkł. Morgiana pomyślała, że blask światła na jego jasnych włosach wygląda jak korona. Viviana położyła miecz na jego wyciągniętych rękach. Zacisnął dłoń na rękojeści. Głęboko wciągnął powietrze.

– Weź ten miecz, mój królu – powiedziała Viviana – i rządz nim sprawiedliwie. Tego miecza nie wykuto z żelaza wyrwanego z łona ziemi, naszej matki. Jest święty, bo wykonany z metalu, który spadł z niebios tak dawno temu, że nawet historia Druidów nie zna dokładnej daty, gdyż miecz wykuto, zanim jeszcze Druidzi przybyli na te wyspy.

Artur wstał, dzierżąc miecz w dłoni.

– Co bardziej ci się podoba – spytała Viviana – miecz czy jego pochwa?

Artur przyjrzał się z podziwem cudownie zdobionej pochwie, lecz powiedział:

– Jestem wojownikiem, pani. Pochwa jest przepiękna, ale wolę miecz.

– Mimo to – rzekła Viviana – miej tę pochwę zawsze przy sobie. Jest w niej zaklęta cała magia Avalonu. Kiedy będziesz miał ją przy sobie, to nawet jeśli otrzymasz ranę, nigdy nie wykrwawisz się na tyle, by zagrażało to twemu życiu. Materia jest zaczarowana urokami tamującymi krew. To rzadka i drogocenna rzecz. I magiczna.

Uśmiechnął się i powiedział niemal ze śmiechem, przerywając długie napięcie:

– Gdybym tylko miał ją przy sobie, gdy zadano mi ranę w bitwie z Saksonami! Krwawiłem jak zarżnięta owca!

– Nie byłeś wtedy jeszcze królem, panie – powiedział melodyjny głos Kevina Barda, który stał skryty w cieniu Merlina. – Lecz mimo zaufania do tej pochwy, radzę ci, byś trzymał dobrego nauczyciela fechtunku i nie zaniechał codziennych ćwiczeń z orężem!

Artur zaśmiał się, przypinając miecz do pasa.

– Nie obawiaj się o to, panie. Mój przybrany ojciec kazał mnie uczyć czytać staremu księdzu, który czytał mi z ewangelii o tym, jak diabeł kusił Pana Jezusa, mówiąc mu, że Bóg dał mu wszystkich aniołów, by go chroniły; a Jezus odparł, że nie wolno kusić Bożej łaski. A przecież król to tylko człowiek z krwi i kości. Pamiętaj, że swój pierwszy miecz wzięłem z miejsca, gdzie leżał martwy Uther. Nie obawiaj się, bym kusił los i Boga w ten sposób, panie Druidzie.

Z mieczem Świętych Regaliów u pasa Artur wydał się nagle wyższy, bardziej dostojny. Morgiana wyobraziła go sobie w koronie i królewskich szatach, siedzącego na wysokim tronie... i przez chwilę wydało jej się, że tę niewielką komnatę zaludniły inne postacie, jakby cienie mężczyzn, wysokich, bogato odzianych, szlachetnych, stojących wokół niego; jego Towarzysze... jego Rycerze... potem zniknęli, a on znowu był tylko młodzieńcem, uśmiechającym się niepewnie, jeszcze trochę nieśmiało noszącym swój tytuł.

Wyszli z podziemnej kaplicy. Ale zanim ją opuścili, Artur odwrócił się na chwilę, by spojrzeć na resztę Regaliów, pogrążonych teraz w mroku. Jego wątpliwość odbiła się na twarzy niemal tak wyraźnie, jakby na głos wypowiedział pytanie: *Czy dobrze uczyniłem? Czy bluźnię Bogu, którego nauczono mnie czcić jako Jedynego?*

Ciszę przerwał głęboki, łagodny głos Taliesina:

– Czy znasz moje najskrytsze marzenie, panie?

– Jakie to marzenie, panie Merlinie?

– Że pewnego dnia, jeszcze nie teraz, bo te ziemie nie są jeszcze na to gotowe, nie są też gotowi ci, którzy wyznają Chrystusa, ale że pewnego dnia Druidzi i księża będą czcić Boga wspólnie; że w ich wielkim kościele ich święta Eucharystia będzie celebrowana tym kielichem i tym talerzem, w których będzie ich chleb i wino, na znak, że wszyscy Bogowie są jednym Bogiem.

Artur przeżegnał się i odpowiedział niemal szeptem:

– Amen, niech tak się stanie, Lordzie Merlinie. Niechaj Święty Jezus sprawi, by pewnego dnia stało się to możliwe na naszych wyspach.

Morgiana poczuła igielki przebiegające jej po przedramionach i usłyszała swój własny głos, nie zdając sobie sprawy z tego, że się odzywa, gdyż przemawiał przez nią Wzrok.

– Ten dzień nadejdzie, Arturze, ale nie tak, jak myślisz. Uważaj na to, w jaki sposób doprowadzisz do tego dnia, bo może być on dla ciebie znakiem, że twoje zadanie zostało wykonane.



Artur odpowiedział zduszonym głosem:

– Jeśli taki dzień miałby kiedykolwiek nadejść, Pani, zaiste będzie to dla mnie znak, że wykonałem to, po co zasiadłem na tronie. I będę z tego rad.

– Uważaj na to, co mówisz – powiedział miękko Merlin – bo po prawdzie słowa, które mówimy, tworzą cienie tego, co ma nadejść, i wypowiadając je, pomagamy im się spełnić, mój królu.

Kiedy wyszli na światło dzienne, Morgiana zamrugała i lekko się zatoczyła. Kevin wyciągnął rękę i podtrzymał ją.

– Czy jesteś niezdrowa, pani?

Niecierpliwie potrząsnęła głową, chcąc otrząsnąć mrok, który zakrył jej oczy. Artur spojrział na nią zaniepokojony. Ale po chwili wszyscy stali już w słońcu i jego myśli zajęły obecne wydarzenia.

– Mam być koronowany w Glastonbury, na Wyspie Księży. Czy możesz opuścić Avalon, Pani, i przybyć na koronację?

Viviana uśmiechnęła się do niego.

– Chyba nie. Ale pojedzie z tobą Merlin. Morgiana także może być na twej koronacji, jeśli będzie chciała i jeśli ty sobie tego życzysz – powiedziała, a Morgiana zastanawiała się, dlaczego tak postanowiła i dlaczego się uśmiecha? – Morgiano, moje dziecko, czy pojedziesz z nimi łodzią?

Morgiana skłoniła się.

Stała na dziobie łodzi, która dopływała już do brzegu, wioząc jedynie ją, Artura i Merlina. Ujrzała oczekujących ich na brzegu zbrojnych mężczyzn. Dostrzegła w ich oczach osłupienie, kiedy łódź Avalonu pojawiła się niespodziewanie i bezszelestnie tuż przed nimi.

Jednego z nich rozpoznała. Lancelot nie zmienił się zupełnie przez te dwa lata, był jedynie wyższy, jeszcze przystojniejszy, odziany bogato w ciemną purpurę, nosił miecz i tarczę.

On też ją rozpoznał i skłonił się na powitanie.

– Kuzynko – powiedział.

– Poznaj moją siostrę, panią Morgianę, księżniczkę Kornwalii, kapłankę Avalonu – powiedział Artur. – Morgiano, oto nasz kuzyn i mój najdroższy przyjaciel.

– Już się spotkaliśmy. – Lancelot pochylił się nad jej dłonią i znów, poprzez słabość, która ją gnębiła, Morgiana poczuła ową tęsknotę, która miała jej już nigdy nie opuścić.

*On i ja byliśmy sobie przeznaczeni. Tamtego dnia powinnam się była zdobyć na odwagę, nawet jeśli to znaczyło złamanie ślubów...*

Po jego oczach, po czułości, z jaką dotknął jej dłoni, zrozumiała, że on również pamiętał.

Westchnęła, podniosła wzrok i została przedstawiona innym.

– To mój przyrodni brat, Kaj – powiedział Artur.

Kaj był wysoki, ciemny i rzymski do szpiku kości. Kiedy zwracał się do Artura z naturalną czcią i miłością, zrozumiała, że Artur ma rzeczywiście dwóch silnych i oddanych wodzów swych wojsk.

Przedstawiono jej kolejnych rycerzy: Bedwyrę, Lukana i Balina. Na dźwięk tego ostatniego imienia oboje, ona i Merlin, unieśli brwi ze zdziwienia: to był przyrodni brat syna Viviany, Balana. Balin był jasnowłosa, miał szerokie ramiona, odziany był ubogo, ale poruszał się z gracją równą swemu przyrodniemu bratu, Lancelotowi. Szaty były ubogie, ale oręż błyszczał i wygłądał na dobrze utrzymany i często używany.

Morgiana była zadowolona, że może zostawić Artura wśród jego rycerzy. Zanim odszedł, z szacunkiem uniósł jej dłoń do swych ust i ucałował.

– Przybądź na mą koronację, jeśli możesz, siostró – powiedział.

## 19

Parę dni później, w towarzystwie kilku ludzi z Avalonu, Morgiana wyruszyła na koronację Artura. Nigdy przez te wszystkie lata, kiedy mieszkała w Avalonie – z wyjątkiem krótkiej chwili, kiedy otworzyła mgielną zasłonę, by pomóc Gwenifer w znalezieniu drogi do klasztoru – jej stopa nie stanęła na ziemi Wyspy Księży, Ynis Witrin, Wyspy ze Szkła. Wydało jej się, że słońce świeci tu dziwnie ostro, inaczej niż łagodne i zamglone słońce Avalonu. Musiała sobie przypomnieć, że dla większości ludzi Brytanii to był realny świat, a ziemie Avalonu były tylko zaczarowanym snem, jakby należały do magicznego królestwa elfów. Dla niej jedynie Avalon był prawdziwy, a ten świat był tylko wyrazistym snem, z którego z jakiegoś dziwnego powodu nie mogła się przebudzić.

Całą przestrzeń przed kościołem pokrywały namioty i pawilony jak kolorowe grzyby. Morgianie wydawało się, że kościelne dzwony dzwonią bez przerwy dzień i noc, godzina za godziną, ich dźwięk działał jej na nerwy. Artur powitał ją i po raz pierwszy poznała Ektoriusza, wiernego księcia i rycerza, który wychowywał jej brata.

Poznała też jego żonę, Flavillę.

Za radą Viviany na tę podróż do zewnętrznego świata Morgiana zdjęła niebieskie suknie kapłanki Avalonu i poplamioną już skórzaną tunikę i włożyła prostą szatę z czarnej wełny i białą spodnią suknię.

Na splecionych włosach miała biały welon. Wkrótce zdała sobie sprawę, że ten strój upodabnia ją do matrony. Młode brytyjskie kobiety chodziły z rozpuszczonymi włosami i nosiły barwne szaty.

Wszyscy wzięli ją za zakonnice z Ynis Witrin, przykościelnego klasztoru, bo one chodziły tak surowo odziane. Jednak Morgiana nie poprawiła ich pomyłki. Nie zrobił tego również Artur, choć uniósł brwi i uśmiechnął się do niej porozumiewawczo.

Powiedział do Flavilli:

– Przybrana matko, tyle rzeczy muszę uczynić naraz. Księża chcą rozmawiać ze mną o mojej duszy, a król z Orkney i król Północnej Walii proszą o audiencję. Czy możesz zaprowadzić moją siostrę do naszej matki?

*Do naszej matki*, pomyślała Morgiana, *ale przecież ta matka jest nam obojgu obca*. Szukała w sercu jakiejś radości z tego spotkania, lecz nie znalazła żadnej. Igriana była rada, że pozbyła się swoich dzieci, córki ze smutnego pierwszego małżeństwa, i syna, który był dzieckiem miłości. Jaką więc mogła być kobietą? Morgiana odkryła, że utwardza swe serce i umysł na spotkanie z Igrianą. *Przecież nawet nie pamiętam jej twarzy*, myślała.

Jednakże gdy ujrzała Igrianą, zrozumiała, że rozpoznałaby ją zawsze i wszędzie.

– Morgiano! – Zapomniała lub pamiętała tylko w snach, jak bogaty i ciepły był głos Igriany. – Moje ukochane dziecko! Och, ty jesteś już dorosłą kobietą, a ja w swym sercu wciąż widzę cię jako małą dziewczynkę. Wyglądasz na zmęczoną i niewyspaną! Czy wszystkie te ceremonie tak cię wyczerpały, Morgiano?

Morgiana ucałowała matkę, znów czując łzy zbierające się jej w gardle. Igriana była piękna, a ona... słowa, jak z odległego snu przebiegły jej przez myśl: *mała i brzydka jak ci z czarownego ludu* – czy Igriana też uważała, że ona jest brzydka?

– A cóż to? – Delikatna dłoń Igriany dotknęła półksiężyca na jej czole. – Wymalowana jak ci z czarownego ludu, czy to wypada, Morgiano?

Morgiana odpowiedziała sucho:

– Jestem kapłanką Avalonu i z dumą noszę znak Bogini.

– To chociaż naciągnij na to swój welon, bo obrazisz przeoryszę. Masz mieszkać ze mną w klasztorze.

Morgiana mocno zacisnęła usta. *Czy ta przeorysza, gdyby przybyła do Avalonu, schowałaby swój krzyż, by nie obrażać mnie lub Pani Jeziora?*

– Nie chcę cię urazić, matko, ale to nie jest dla mnie odpowiednie, bym nocowała w murach klasztoru. Przeoryszy by się to nie spodobało, Pani Jeziora również. A ja pozostaję pod rozkazami Pani Avalonu i żyję wedle jej praw.

Sama myśl o mieszkaniu w tych murach, choćby tylko przez trzy noce uroczystości koronacyjnych, o słuchaniu dniem i nocą tych piekielnych dzwonów, mroziła jej krew w żyłach.

Igriana wyglądała na zakłopotaną.

– Cóż, będzie tak, jak sobie tego życzysz. Może mogłabyś zamieszkać z moją siostrą, Królową Orkney, czy pamiętasz Morgause?

– Rada będę gościć moją siostrzenicę Morgianę – powiedział ciepły głos i Morgiana zobaczyła jakby kopię swej matki, taką, jaką pamiętała z dzieciństwa; wysoka, bogato odziana w kolorowe jedwabie, z klejnotami wplecionymi w koronę jasnych włosów. – Och, byłaś taką malutką dziewczynką, a już jesteś kobietą i do tego kapłanką! – Zamknęła

Morgianę w ciepłym, pachnącym uścisku. – Witaj i usiądź tu przy mnie. Jak się miewa nasza siostra Viviana? Doszły do nas wspaniałe wieści o niej, ponoć to ona jest siłą, która spowodowała te wszystkie wielkie wydarzenia i posadziła syna Igriany na tronie. Nawet Lot nie mógł się równać z kimś, kogo popierał Merlin i czarowny lud, i wszystkie Plemiona, i nawet wszyscy Rzymianie. I tak twój mały braciszek będzie królem! Czy przybędziesz na dwór, Morgiano, by mu doradzać, tak jak Uther zawsze słuchał dobrej rady Pani Avalonu?

Morgiana roześmiała się i rozluźniła w uścisku Morgause.

– Król winien czynić tylko to, co sam uzna za właściwe, to, jak myślę, pierwsza rzecz, którą winni wiedzieć wszyscy. A Artur jest na tyle podobny do Uthera, że sam szybko się tego nauczy.

– O tak, teraz nie ma większych wątpliwości co do tego, kto go spłodził, choć tyle było na ten temat gadania – powiedziała Morgause i westchnęła z naganą. – Ależ Igriano, nie wolno ci znowu szlochać... to powinno być dla ciebie powodem do radości, a nie smutku, że twój syn jest tak podobny do ojca i że popiera go cała Brytania, gdyż przysięgał rządzić sprawiedliwie wszystkimi ziemiami i ludami.

Igriana zamrugła, powstrzymując łzy. *W ciągu ostatnich dni musiała chyba wiele płakać*, pomyślała Morgiana. Igriana rzekła:

– Jestem szczęśliwa, że Artur... – Ale głos jej się załamał i nie mogła skończyć.

Morgiana gładziła ramię matki, lecz była zniecierpliwiona. Zawsze, zawsze, odkąd tylko mogła sięgnąć pamięcią, jej matka nigdy nie myślała o dzieciach, liczył się tylko Uther, Uther... nawet teraz, gdy był już martwy i leżał w grobie, matka odsuwała na bok ją i Artura dla wspomnień o mężczyźnie, którego kochała tak, że zapomniała o całym świecie. Z ulgą zwróciła się znów do Morgause:

– Viviana mówiła, że masz synów...

– To prawda – powiedziała Morgause – choć większość z nich jest jeszcze na tyle mała, by być tutaj pod opieką kobiet. Ale najstarszy będzie przysięgał na wierność królowi. Gdyby Artur zginął w bitwie, a przecież nawet Uther nie uniknął tego losu, to mój Gawain jest jego najbliższym krewnym, chyba że ty już masz syna, Morgiano? Nie? Czyżby kapłanki Avalonu poprzysięgły czystość jak zakonnice, że w twoim wieku nie dałaś Bogini ani syna, ani córki? A może podzieliłaś los swej matki i straciłaś wiele dzieci przy porodzie? O, wybac mi, Igriano, nie miałam zamiaru ci przypominać...

Igriana przełknęła łzy.

– Nie powinnam płakać nad Bożą wolą. Dano mi więcej, niż ma większość kobiet. Mam córkę, która służy Bogini w wierze, w której się wychowałam, i syna, który jutro będzie koronowany koroną swego ojca. A moje pozostałe dzieci są w łonie Chrystusa.

*O Bogini*, pomyślała Morgiana, *co za sposób myślenia o Bogu i o tych wszystkich pokoleniach zmarłych spoczywających w jego łonie!* Wiedziała, że to tylko metafora, sposób pocieszenia dla zbolalej matki, jednak przeszkadzało jej bluźnierstwo tego konceptu.

Przypomniała sobie, że Morgause zadała jej pytanie i przecząco pokręciła głową.

– Nie, nie urodziłam żadnych dzieci, Morgause, do tego roku, do święta Beltanu byłam dziewicą i moja cnota należała do Bogini. – Zamilkła nagle, nie powinna mówić więcej.

Igriana, która była większą chrześcijanką, niż Morgause zdawała sobie z tego sprawę, byłaby przerażona na samą myśl o rytuale, w którym ona odegrała rolę Bogini dla swego własnego brata.

A potem przeszył ją dreszcz przerażenia tak silny, że poczuła znów falę nudności. To stało się przy pełni księżyca, a od tej pory zdążyło go już ubyc, przybyć i ubyc znowu. Jednak jej krwawienia nie nadeszły, nie było też żadnego znaku, by wkrótce tak się miało stać. Była zadowolona, że ta przypadłość nie będzie jej trapiła podczas koronacji, i myślała, że to reakcja na wielką magię. Aż do tej chwili nie pomyślała o żadnym innym wytłumaczeniu.

*Rytuał żyzności ziemi i plonów, i żyzności kobiet plemienia.* Wiedziała o tym. Jednak tak wielkie było jej zaślepienie i duma, że była pewna, iż kapłanka Bogini, będzie odporna na cel tego rytuału. A przecież widziała inne młode kapłanki, jak bladły i wymiotowały po ogniach Beltanu, aż zaczynały pęcznieć i nabrzmiewać noszonym w łonie owocem. Widziała, jak rodzą się dzieci, ba, kilkorgu z nich sama pomagała przyjść na świat swymi sprawnymi dłońmi kapłanki. Ani razu jednak w swym głupim zaślepieniu nie przyszło jej do głowy, że ona także może powrócić z rytuału z pełnym łonem...

Zobaczyła na sobie bystry wzrok Morgause. Specjalnie wciągnęła powietrze i ziewnęła szeroko, by wypełnić ciszę.

– Podróżuję od świtu – powiedziała – i jeszcze nawet nie jadłam śniadania. Jestem głodna.

Igriana przeprosiła za to zaniedbanie i posłała swe kobiety po chleb i piwo. Morgiana wmusiła w siebie posiłek, choć jedzenie przyprawiało ją o mdłości. Teraz już wiedziała dlaczego.

*Bogini! O Bogini Matko! Viviana wiedziała, że to się może stać, a jednak mnie nie oszczędziła!* Wiedziała, co trzeba zrobić, i to tak szybko, jak to tylko możliwe. Nie mogła nic uczynić jeszcze przez trzy dni uroczystości koronacyjnych Artura, bo tutaj nie miała dostępu do korzeni i ziół, jakie rosły w Avalonie. Poza tym tu nie mogła się tak rozchorować. Skurczyła się na samą myśl o tej przemocy i chorobie, jednak to musiało być zrobione, i to bez zwłoki, albo zimą urodzi syna, synowi swej własnej matki! Co więcej, Igriana nie może się o niczym dowiedzieć, sama myśl o czymś takim wydałaby jej się złem ponad wszelkie wyobrażenie. Morgiana zmusiła się, by jeść, rozmawiać o błahostkach i plotkować jak pozostałe kobiety.

Ale kiedy rozmawiała, jej umysł ani na chwilę nie przestawał myśleć. Tak, ten piękny len, z którego była jej szata, został utkany w Avalonie, nigdzie nie ma tak pięknej materii, może to zasługa konopi, które rosnąc nad Jeziorem, mają dłuższe włókna, są bardziej giętkie, no i bielsze niż gdziekolwiek indziej. Ale w sercu myślała: *Artur, on nigdy nie może się*

*dowiedzieć. Ma na głowie dość zmartwień. Jeśli tylko potrafię znieść ten ciężar i zachować milczenie, by oszczędzić mu troski podczas koronacji, to tak uczynię.* Tak, uczono ją gry na harfie, ależ to nierozsądne, matko, uważać, że kobieta nie powinna się zajmować muzyką. Nawet jeśli w jednej z ewangelii napisano, że kobiety winny zachować ciszę w kościele, nie wypada nawet myśleć, że głos kobiety śpiewającej Jego łaskę mógłby obrazić Boga. Czyż Jego własna matka nie wzniosła dziękczynnego hymnu na wieść, że ma urodzić dziecko za sprawą Ducha Świętego? Kiedy Morgiana wzięła do ręki harfę i zagrała dla swej matki, pod melodią refrenu kryła się rozpacz, gdyż zrozumiała, tak jak Viviana, że ma być następną Panią Avalonu i jest winna Bogini przynajmniej jedną córkę. Bezbożnym byłoby pozbyć się dziecka poczętego z Wielkiego Związku. Ale jakże może uczynić inaczej? Matka tego chrześcijańskiego Boga uradowała się na wieść, że Bóg dał jej dziecko, ale Morgiana mogła tylko buntować się w cichej udręce przeciw Bogu, który przybrał postać jej brata... Była przyzwyczajona do prowadzenia swego życia na dwóch poziomach naraz, lecz mimo to wysiłek sprawił, że usta jej pobladyły, a głos się załamywał. Była zadowolona, że Morgause jej przerwała.

– Morgiano, masz piękny głos, mam nadzieję usłyszeć go na mym własnym dworze. Igriano, ufam, że ujrzę cię jeszcze wiele razy przed końcem uroczystości koronacyjnych, ale teraz muszę iść sprawdzić, jak opiekują się moimi dziećmi. Ja też nie przepadam za kościelnymi dzwonami i zbyt częstą modlitwą, a Morgiana wygląda na zmęczoną podróżą. Myślę, że powinnam ją zabrać do moich namiotów, gdzie będzie się mogła położyć, tak by rano była świeża i wypoczęta na koronację Artura.

Igriana nawet nie próbowała ukryć ulgi.

– To prawda, ja zaś powinnam być na południowej mszy – powiedziała. – Wiecie obie, że po koronacji Artura zamieszkam w klasztorze w Tintagel, w Kornwalii. Artur zaprosił mnie, bym zamieszkała z nim, ale mam nadzieję, że wkrótce będzie miał własną królową i nie będzie mnie potrzebował.

O tak, będą nalegać, by Artur pojął żonę, i to szybko. Morgiana zastanawiała się, któremu z tych pomniejszych królów uda się dostąpić honoru bycia królewskim teściem. *A mój syn mógłby być dziedzicem tej korony... nie. Nie, nawet nie wolno mi tak myśleć.*

I znów ogarnął ją gorzki gniew. Dlaczego, dlaczego Viviana jej to zrobiła? Ukartowała to wszystko, by Artur i Morgiana mogli odegrać jakąś mrzonkę o Bogu i Bogini... czy chodziło tylko o to?

Igriana ucałowała i uściskała je obie, obiecując, że wkrótce znów się zobaczą.

Kiedy szły w kierunku barwnej alei namiotów, Morgause powiedziała:

– Igriana tak się zmieniła, że bym jej nie poznała. Kto mógłby pomyśleć, że zrobi się taka pobożna? Bez wątplenia dokona żywota między tymi przerażonymi zakonnicami. I choć przykro mi to mówić, rada jestem, że nie jestem jedną z nich. Nie mam powołania do klasztoru.

Morgiana zmusiła się do uśmiechu.

– Przypuszczam, że nie masz. Małżeństwo i macierzyństwo wydają się ci służyć. Kwitniesz jak dzikie róże na zboczach, ciociu.

Morgause uśmiechała się leniwie.

– Mój mąż jest dla mnie dobry i podoba mi się bycie królową. On jest człowiekiem Północy, a więc tego, że słucha moich rad, nie uważa za nic zdrożnego, jak to twierdzą ci głupcy, Rzymianie. Mam nadzieję że Artur nie będzie całkiem zepsuty przez to rzymskie wychowanie, które mogło mu pomóc w naukach wojennej sztuki, lecz jeśli będzie gardził Plemionami, długo nie porządzi. Nawet Uther był na tyle mądry, by to wiedzieć, i kazał się koronować na Wyspie Smoka.

– Tak też uczynił Artur – powiedziała Morgiana. Więcej zdradzić nie mogła.

– A prawda, coś o tym słyszałam i myślę, że on jest rozsądny. Jeśli chodzi o mnie, to jestem ambitna. Lot słucha mych rad i w naszym królestwie dobrze się wiedzie. Księża się na mnie krzywią i powiadają, że nie pilnuję swego miejsca przynależnego kobiecie, a bez wątplenia uważają, że jestem jakąś diabelską czarownicą albo wiedźmą, bo nie siedzę skromnie przy kądzieli i tkackim warsztacie. Ale Lot nie poważa księży, choć jego lud jest raczej chrześcijański... prawdę powiedziawszy, to większości z nich jest wszystko jedno, czy Bogiem ich kraju jest biały Chrystus czy Bogini, czy Rogaty Pan, czy nawet saksoński Bóg-Koń, tak długo, jak ziemia daje im plony i mają pełne brzuchy. Ja myślę jednak, że ziemia rządzona przez księży oznacza ziemię pełną tyranii i na tym świecie, i na tamtym. Uther w ostatnich latach trochę za bardzo przechylił się na ich stronę, jeśli byś mnie pytała o zdanie. Niech Bogini pozwoli, by Artur miał więcej rozsądku.

– Przystał sprawiedliwie odnosić się do Bogów Avalonu, zanim Viviana dała mu miecz Druidów.

– Zrobiła to? – spytała Morgause. – Zastanawiam się, skąd wpadła na taki koncept? Ale dosyć już o Bogach, królach i tych wszystkich sprawach, powiedz mi, Morgiano, co cię trapi?

– Kiedy nie usłyszała odpowiedzi, ciągnęła dalej: – Czy myślisz, że nie poznam brzemiennej kobiety, kiedy ją zobaczę? Igriana tego nie zauważyła, ale ona teraz widzi tylko swoją żalobę.

Morgiana zmusiła się, by jej słowa zabrzmiały swobodnie.

– Cóż, rzeczywiście może tak być. Byłam na ognjach Beltanu.

Morgause zachichotała.

– Jeśli to był twój pierwszy raz, to możesz nie mieć pewności przez miesiąc lub dwa, ale gratuluję ci. Już i tak minęły twe najlepsze lata do rodzenia, w twoim wieku ja miałam już trójkę dzieci. Nie radzę ci mówić Igrianie, jest teraz za bardzo chrześcijańska, by zaakceptować dziecko Bogini. No cóż, jak myślę, z czasem wszystkie kobiety się starzeją. Viviana też już musi być w podeszłych latach. Nie widziałam jej od urodzin Gawaina.

– Mnie wydaje się wciąż taka sama – powiedziała Morgiana.

– A jednak nie przyjechała na koronację Artura. Cóż, damy sobie radę bez niej. Ale nie wydaje mi się, by na długo zadowolona została pozostawieniem w cieniu. Pewnego dnia, nie wątpię w to, już ona dopilnuje, by na naszych ołtarzach i dworach tryumfował znów kocioł Bogini, a nie kielich tej chrześcijańskiej wieczerzy miłości. I nie będę płakać, gdy ten dzień nadejdzie.

Morgiana poczuła proroczy dreszcz i ujrzała w myślach księdza w rytualnych szatach, unoszącego kielich Misteriów przed ołtarzem Chrystusa. A potem wyraźnie zobaczyła przed swymi oczyma klęczącego Lancelota; jego twarz oświetlał blask, jakiego w życiu nigdy nie widziała... potrząsnęła głową, by oczyścić umysł z niepowołanej wizji.

Dzień koronacji Artura wstał jasny i przejrzysty. Przybywali przez całą noc, z najdalszych zakątków Brytanii, by ujrzyć swego króla koronowanego na Wyspie Księży. Były tu tłumy niskich, smagłych ludzi; byli rudowłosi, wysocy i brodaci członkowie Plemion odziani w skóry i kraciaste materie zdobne matowymi klejnotami z Północy. Najwięcej było zromanizowanych ludów z cywilizowanych ziem. Byli też wysocy, jasnowłosi i barczyści Anglowie i Saksoni z oddziałów Paktu, którzy osiedli na południe od Kentu, a teraz przybyli odnowić przymierze. Wzgórza pełne były ludzi.

Nawet na ogniach Beltanu Morgiana nigdy nie widziała tylu osób zebranych na jednym miejscu i była tym trochę przestraszona.

Sama miała uprzywilejowane miejsce z Igrianą, Lotem, Morgause i jej synami oraz rodziną Ektoriusza. Król Lot, smukły, smagły i czarujący, pochylił się nad jej dłonią, ucałował ją i zrobił całe przedstawienie, nazywając ją „krewniaczką” i „kuzynką”, ale Morgiana, zaglądając poza ten powierzchowny uśmiech, dostrzegła w oczach Lota złość i gorycz. Przecież knował i snuł intrygi, by ten dzień nie nadszedł. Teraz jego syn Gawain miał być ogłoszony najbliższym spadkobiercą Artura. Czy to zaspokoi jego ambicje, czy też wciąż będzie dążył do tego, by podważyć autorytet Najwyższego Króla?

Morgiana dokładnie zlustrowała Lota i zdecydowała, że nie lubi go ani trochę.

Potem rozdzwoniły się kościelne dzwony i ze zboczy wzgórz otaczających nizinę przed kościołem wzniósł się ogromny okrzyk. Z kościelnych drzwi wyszedł smukły młodzieniec, w jego włosach błyszczały promienie słońca. *Artur*, pomyślała Morgiana, *ich młody król, jak bohater prosto z legendy, z tym wspinałym mieczem w dłoni*. Chociaż z miejsca, gdzie siedziała, nie mogła dosłyszeć słów, dostrzegła jedynie księdza, który włożył na głowę Artura wąską, złotą koronę Uthera.

Artur uniósł w górę miecz i powiedział coś, czego również nie dosłyszała. Ale powtarzano to z ust do ust i kiedy dotarło w końcu do niej, Morgiana poczuła ten sam dreszcz, który czuła, widząc go, jak tryumfalnie wraca po zwycięstwie nad Przewodnikiem Stada.

*Wszystkie ludy Brytanii, powiedział, oto mój miecz dla waszej ochrony i moja prawica dla sprawiedliwości.*



Na przód wysunął się teraz Merlin, odziany w białe szaty swego urzędu. Przy wielbnyim biskupie Glastonbury wyglądał łagodnie i spokojnie. Artur skłonił się im obu, ujmując równocześnie ich dłonie. *Sama Bogini musiała mu podpowiedzieć, by tak uczynił, pomyślała Morgiana i po chwili usłyszała, jak Lot mówi to samo na głos.*

– Cholernie sprytnie postawić na równi Biskupa i Merlina obok siebie na znak, że obaj będą mu doradzali!

– Nie wiem, kto zajmował się jego nauczaniem – powiedziała Morgause – ale wierzę mi, syn Uthera nie jest głupcem.

– Teraz nasza kolej – powiedział Lot, podnosząc się z miejsca i podając ramię Morgause. – Pójdź, pani, i nie zwracaj uwagi na ten tłum siwowłosych starców i księży. Nie wstydę się przyznać, że rządysz u mego boku na równi ze mną. Hańba Utherowi, że nie postępował tak z twoją siostrą.

Morgause uśmiechnęła się kwaśno.

– Może to nasze szczęście, że Igriana nie miała na tyle siły i woli, by się tego domagać.

Morgiana także wstała i pod wpływem nagłego impulsu przyłączyła się do nich. Lot i Morgause dwornie przepuścili ją przed sobą.

Choć nie uklękła przed Arturem, jednak pochyliła głowę.

– Przynoszę ci hołd Avalonu, królu Arturze, i tych, którzy służą Bogini.

Za plecami słyszała szemrania księży, między ubranymi na czarno zakonnicami dostrzegła Igriane. W myślach usłyszała, jakby Igriana powiedziała na głos: *zdecydowana, dumna i uparta, taka była nawet w dzieciństwie.* Zmusiła się, by nie słuchać tych myśli. Była kapłanką Avalonu, a nie jedną z tych uwięzionych zakonnych kur!

– Witam cię jako mą siostrę i jako przedstawicielkę Avalonu. – Artur ujął ją za rękę i wskazał jej miejsce niedaleko siebie. – Oddaję ci szacunek jako jedynemu poza mną dziecku mej matki i jako samodzielnej księżniczce Kornwalii, droga siostrzo.

Puścił jej dłoń, a ona skłoniła głowę, by powstrzymać się przed omdleniem, bo w oczach jej pociemniało i w głowie szumiało. *Dlaczego akurat teraz muszę się tak czuć? To przez Artura. Nie, nie przez niego, przez Boginię. To jej wola, nie nasza.*

Lot wysunął się do przodu i ukląkł przed Arturem. Artur podniósł go.

– Witaj, drogi wuju.

*Ten sam drogi wuj, pomyślała Morgiana, który, jeśli się nie mylę, z ochotą zobaczyłby go martwego, gdy Artur był dzieckiem.*

– Locie z Orkney, czy będziesz bronił naszych wybrzeży przed najeźdźcami z Północy i przybędziesz mi na pomoc, gdy wybrzeża Brytanii będą zagrożone?

– Tak uczynię, królu. Przysięgam.

– A więc polecam ci w pokoju rządzić ziemiami Orkney i Lothianu i nigdy nie upomnę się o nie ani nie będę z tobą o nie walczył – powiedział Artur i pochylił się lekko, by złożyć

pocałunek na policzku Lota. – Obyście ty i twa królowa rządzili dobrze i długo na Północy, wuju.

Wstając, Lot powiedział:

– Proszę o łaskę, bym mógł przedstawić ci rycerza do twego orszaku; proszę, byś uczynił go jednym ze swych towarzyszy, królu Arturze. Mój syn Gawain...

Gawain był wielki, wysoki i silnie zbudowany, raczej jak męska wersja Igriany i Morgause. Głowę otaczały mu rude loki i choć był niewiele starszy od Artura – a nawet, jak myślała Morgiana, musiał być trochę młodszy, bo przecież Morgause nie poślubiła Lota przed narodzinami Artura – był już młodym olbrzymem, wysokim na sześć stóp.

Ukląkł przed Arturem, a Artur podniósł go i ucałował.

– Witaj, kuzynie. Z radością uczynię cię pierwszym z mych rycerzy. Mam nadzieję, że przyłączą się do ciebie i powitają cię moi najdrożsi przyjaciele – powiedział i skinął na trzech młodych mężczyzn stojących z boku. – Lancelocie, Gawain jest naszym kuzynem. To jest Kaj, a to Bedwyr, moi przyrodni bracia. Teraz mam swych rycerzy jak sam grecki Aleksander.

Przez cały dzień Morgiana stała i obserwowała, jak królowie ze wszystkich stron Brytanii podchodzili, składali hołd Najwyższemu Królowi i przysięgali wspierać go w walce i bronić wybrzeży.

Jasnowłosy król Pellinor, pan Kraju Jezior, podszedł, by ugiąć kolano przed Arturem i prosić o pozwolenie opuszczenia uroczystości przed ich zakończeniem.

– Dlaczego, Pellinorze? – spytał Artur ze śmiechem. – Myślałem, że będziesz tu dla mnie wiernym popiecznikiem, a ty chcesz mnie opuścić tak szybko?

– Dostałem wieści z mego kraju, panie, że szaleje tam smok. Przysięgałem, że będę go ścigał, aż go zabiję.

Artur uściskał go i wręczył mu złoty pierścień.

– Nie będę pozbawiał ludzi ich króla, kiedy go potrzebują. Ruszaj więc i zajmij się zabiciem tego smoka, a gdy tego dokonasz, przywieź mi jego głowę.

Miało się już ku zachodowi, kiedy wszyscy królowie i szlachta, którzy przybyli na koronację, złożyli hołd i przysięgli przymierze nowemu Najwyższemu Królowi. Artur był jeszcze chłopcem, ale wytrzymał to długie popołudnie z nienaganną uprzejmością, traktując każdą osobę, która podchodziła, jakby była pierwszą. Tylko Morgiana nauczona w Avalonie sztuki czytania z twarzy, widziała oznaki jego zmęczenia. W końcu było po wszystkim i rozpoczęła się uczta.

To był długi dzień, a Artur, mimo że był młody, wykonał swój obowiązek z uwagą i skupieniem. Morgiana spodziewała się, że Artur usiądzie do wieczerzy między młodzieńcami, których mianował na swych rycerzy. Tymczasem usiadł między biskupami i starszyzną z rady swego ojca.

Morgiana z zadowoleniem zauważyła, że był w tym gronie Merlin. W końcu Taliesin był jego rodzonym dziadkiem, choć nie była pewna, czy Artur o tym wie. Kiedy skończył jeść – a pałaszował jak młody chłopak, który wciąż rośnie – wstał i zaczął obchodzić gości.

W prostej białej tunice, za ozdobę mając jedynie wąską, złotą koronę, wyróżniał się spośród barwnie odzianych królów i szlachty jak biały jelen w ciemnym borze. Jego rycerze dotrzymywali mu kroku: wielki, młody Gawain, ciemnowłosa Kaj o orlich, rzymskich rysach i sardonicznym uśmiechu – kiedy podszedł bliżej, Morgiana zauważyła, że w rogu ust ma jeszcze świeżą, czerwoną bliznę, która unosi mu część twarzy we wstrętny grymas. Szkoda, przedtem był pewnie przystojny. Obok niego Lancelot wyglądał ślicznie jak dziewczyna; nie – miał w sobie coś gwałtownego, męskiego i pięknego, był raczej jak dziki kot. Morgause patrzyła na niego łakomym wzrokiem.

– Morgiano, kto to jest ten piękny młodzieniec obok Kaja i Gawaina, ten w purpurze?

– Twój siostrzeniec, ciociu – roześmiała się Morgiana. – Syn Viviany, Galahad. Ale Saksoni nazwali go Elfią Strzałą, jest więc zwany Lancelotem.

– Kto by pomyślał, że Viviana, która jest taka pospolita, może mieć takiego przystojnego syna! Jej starszy syn, Balan, ten to już na pewno nie jest przystojny. Gruboskórny, krzepki i szczerzy, godny zaufania jak stary pies. Ale on jest taki jak Viviana. A nikt przy zdrowych zmysłach nie nazwałby jej przecież piękną!

Te słowa ubodły Morgianę w samo serce. *Mówią, że jestem podobna do Viviany. Czy więc wszyscy sądzą, że jestem brzydka? Ta dziewczynka powiedziała: mała i brzydka jak ci z czarownego ludu...*

– Uważam, że Viviana jest bardzo piękna – odparła zimno.

– Od razu widać – parsknęła Morgause – że byłaś wychowana w Avalonie, który jest nawet bardziej odizolowany od świata niż większość zakonów. Nie sądzą, byś miała pojęcie o tym, jakiej kobiecej urody pragną mężczyźni.

– Daj spokój – wtrąciła się Igriana – są inne zalety poza urodą. A ten Lancelot ma oczy swej matki, a nikt nigdy nie przeczył, że Viviana ma piękne oczy. Viviana ma tyle wdzięku, że nikt nie zwraca uwagi na to, czy jest piękna. Pamiętają tylko, jaką przyjemność sprawiał im jej wspaniały głos i piękne oczy. Piękno nie polega jedynie na królewskiej postawie, jasnej cerze i złotych lokach, Morgause.

– Ach, ty też nie chodzisz po ziemi, Igriano – odparła Morgause. – Jesteś królową, a każdy i tak uważa, że królowa jest piękna. I byłaś żoną człowieka, którego bardzo kochałaś. Większość z nas nie ma takiego szczęścia, a to pociecha wiedzieć, że twą urodę podziwiają inni mężczyźni. Gdybyś całe życie musiała przeżyć z Gorloisem, też byś się cieszyła ze swej jasnej twarzy i pięknych włosów i robiła wszystko, by przewyższyć urodą te kobiety, które nie mają nic poza urokiem, ładnymi oczyma i słodkim głosem. Mężczyźni są jak dzieci, najpierw dostrzegają tylko to, czego pragną: pełne piersi...

– Sostro! – upomniała ją Igriana, lecz Morgause ciągnęła ze złośliwym uśmiechem:

– No cóż, łatwo ci było być cnotliwą, siostrze, bo ten, którego kochałaś, był królem. Większość z nas nie ma takiego szczęścia.

– Czyż po tych wszystkich latach nie kochasz Lota, Morgause?

Morgause wzruszyła ramionami.

– Miłość to rozrywka dobra w alkowie i przy kominku w zimie. Lot we wszystkim szuka mej rady, a w czasie wojny pozostawia mi całkowite zarządzanie swym pałacem. I kiedykolwiek zdobywa łupy ze złota, srebra czy pięknych materii, ja pierwsza mogę z nich wybierać. Więc jestem mu za to wdzięczna, a on nigdy nie miał nawet cienia powodu, by przypuszczać, że wychowuje syna innego mężczyzny. Ale to nie znaczy, że muszę być ślepa, kiedy jakiś młodzieniec ma ładne rysy i ramiona jak młody byczek i do tego podoba mu się jego królowa.

*Nie wątpię w to*, pomyślała Morgiana trochę zdegustowana, *że Morgause uważa to za wielką zaletę, a siebie samą za wielce cnotliwą królową*. Po raz pierwszy od wielu lat czuła się zmieszana, widząc, że cnoty nie da się tak jednoznacznie określić. Chrześcijanie stawiali czystość ponad wszystkie inne cnoty, w Avalonie zaś największą cnotą było oddanie swego ciała Bogu lub Bogini w zgodzie z siłami natury; to, co jedna strona uważała za cnotę, dla drugiej było najczarniejszym grzechem i niewdzięcznością wobec ich Boga. Jeśli jedni mieli rację, to drudzy musieli być w błędzie. Jej wydawało się, że chrześcijanie odrzucają najświętszą rzecz pod słońcem, ale dla nich ona nie była więcej warta niż nierządnicza. Gdyby teraz powiedziała, że ogniska Beltanu to uświęcony obowiązek wobec Bogini, nawet Igriana, która została wychowana w Avalonie, byłaby zgorszona i pomyślała, że przemawia przez nią jakiś demon.

Odwróciła oczy w kierunku nadchodzących młodzieńców: jasnowłosego i szarookiego Artura, szczupłego i zgrabnego Lancelota i wielkiego, rudowłosego Gawaina, który górował nad pozostałymi jak byk nad dwoma hiszpańskimi ogierami. Artur podszedł i skłonił się przed swoją matką:

– Pani – i zaraz się poprawił: – Matko, czy ten dzień był dla ciebie nużący?

– Nie bardziej niż dla ciebie, synu. Czy usiądziesz tutaj?

– Tylko na chwilę, matko. – Kiedy usiadł, zaczął bezwiednie podjadać leżące na stole słodycze, które Morgiana odłożyła ze swego talerza.

To przypomniało Morgianie, jak bardzo młody był Artur.

Wciąż przeżuając migdałowe ciasteczko, powiedział:

– Matko, czy pragniesz ponownie wyjść za mąż? Jeśli tak, to znajdę najbogatszego i najmilszego z królów, by cię poślubił. Król Uriens z Północnej Walii jest wdowcem. Nie wątpię, że byłby szczęśliwy, mogąc wziąć cię za żonę.

– Dziękuję, drogi synu. – Igriana uśmiechnęła się do niego. – Ale po tym, jak byłam żoną Najwyższego Króla, nie chcę być małżonką kogoś pomniejszego. I bardzo kochałam twego ojca. Nie chcę go nikim zastępować.

– Cóż, niech się stanie wedle twojej woli, matko – powiedział Artur. – Tylko obawiałem się, że będziesz samotna.

– Trudno być samotną w klasztorze, synu, gdzie są inne kobiety. I jest tam Bóg.

– A ja bym już wolała zamieszkać w leśnej pustelni niż w domu pełnym gadających niewiast! – wtrąciła Morgause. – Jeśli jest tam Bóg, to z pewnością musi mu być trudno dojść do głosu!

Kiedy Igriana jej odpowiadała, Morgiana ujrzała przez chwilę swoją matkę taką, jaką pamiętała ją z dzieciństwa, surową i dosadną.

– Wyobrażam sobie, że jak każdy małżonek obarczony stadkiem żon, On spędza większość czasu, raczej słuchając swych oblubienic, niż sam do nich przemawiając. Ale jeśli ktoś pilnie chce usłyszeć głos Boga, to jest on zwykle blisko. Tylko czy ty kiedykolwiek w życiu byłaś cicho na tyle długo, by móc Go usłyszeć, Morgause?

Śmiejąc się, Morgause wykonała gest jak szermierz, który pokazuje, że dostał uderzenie.

– A co z tobą, Lancelocie – spytała, uśmiechając się zalotnie. – Czy jesteś już zaręczony, a może nawet żonaty?

Zaśmiał się i potrząsnął przecząco głową.

– Ach nie, nie, ciociu. Bez wątpienia mój ojciec, król Ban, znajdzie mi żonę. Ale na razie chcę być przy moim królu i służyć mu.

Artur, uśmiechając się do przyjaciela, poklepał go po ramieniu.

– Nie wątpię, że dzięki moim dwóm silnym kuzynom jestem strzeżony równie dobrze jak każdy z tych starożytnych cesarzy!

– Arturze, myślę, że Kaj jest zazdrosny – powiedziała Igriana cicho. – Zwróć się też i do niego.

Słyszając to, Morgiana podniosła wzrok na smutną, pokrytą bliznami twarz Kaja. To musi być dla niego zaiste trudne; po latach, kiedy uważał, że Artur jest tylko nic nie znaczącym wychowankiem jego ojca, teraz został tak prześcignięty przez swego młodszego brata; to młodszy brat został królem i do tego miał teraz przy sobie dwóch nowych przyjaciół, którym oddał serce.

– Kiedy w tym kraju zapanuje pokój – powiedział Artur – bez wątpienia znajdziemy dla was wszystkich żony i zamki. Ale ty, Kaj, będziesz zarządzał moim zamkiem jako mój osobisty szambelan.

– Bardzom z tego rad bracie, o, wybac, powinienem rzec: mój królu i panie...

– Nie – przerwał mu Artur i odwrócił się, by uściskać Kaja. – Niech mnie Bóg pokarze, bracie, jeślibym kiedykolwiek kazał ci się tak nazywać!

Igriana przełknęła łzy.

– Arturze, kiedy tak mówisz, czasem wydaje mi się, że słyszę głos twego ojca...

– Żałuję tak bardzo, pani, że nie mogłem lepiej go poznać. Lecz wiem także, że król nie zawsze może czynić to, na co ma ochotę, to samo dotyczy królowej. – Uniósł dłoń Igriany i ucałował, a Morgiana pomyślała: *A więc nauczył się już tej prawdy o swojej pozycji.*

– Przypuszczam – powiedziała Igriana – że dopilnowali już tego, by ci powiedzieć, iż powinienes się ożenić.

– O tak – odparł Artur, wzruszając ramionami. – Zdaje mi się, że każdy król ma córkę, którą chciałby wydać za Najwyższego Króla. Myślę, że poradzę się Merlina, którą z nich winieniem wybrać.

Odnalazł wzrok Morgiany i wydało jej się, że w jego oczach kryje się niezmierna bezbronność.

– Niewiele przecież wiem o kobietach... – dokończył.

– A więc musimy ci znaleźć najpiękniejszą niewiastę w królestwie – powiedział wesoło Lancelot. – I najwyżej urodzoną.

– Nie – rzekł powoli Kaj – skoro Artur otwarcie przyznaje, że wszystkie kobiety są dla niego jednakie, znajdziemy mu taką z najlepszym posagiem.

Artur zachichotał.

– A więc pozostawię to tobie, Kaj. I nie wątpię, że zostanę tak dobrze ożeniony, jak jestem ukoronowany. Radziłbym, byś zapytał o radę Merlina, a sądzę, że i Jego Wielbność arcybiskup też chciałby mieć w tej sprawie coś do powiedzenia. A co z tobą, Morgiano? Czy mam ci znaleźć męża, czy będziesz jedną z dworek mojej królowej? Któż miałby stać w tym królestwie wyżej niż córka mojej matki?

Morgiana z trudem wydobyła głos.

– Mój królu i panie, jestem szczęśliwa w Avalonie. Proszę, nie kłopotz się szukaniem dla mnie małżonka. *Nawet wtedy*, pomyślała z goryczą, *nawet wtedy, jeśli okaże się, że jestem przy nadziei! Nawet wtedy nie!*

– Niech więc tak się stanie, siostrze, choć nie wątpię, że jego świątobliwość będzie miał na ten temat swoje zdanie. Według niego kobiety Avalonu to wszystko złe czarownice i jakoweś harpie.

Morgiana nie odpowiedziała, a Artur odwrócił wzrok niemal z poczuciem winy i spojrzął w kierunku pozostałych królów i doradców. Zauważył, że Merlin na niego patrzy.

– Wydaje mi się, że minął już dozwolony czas, który mogłem spędzić z moją matką, siostrą i przyjaciółmi. Muszę wracać do obowiązków bycia królem. Pani. – Skłonił się Igrianie, oddał bardziej formalny ukłon Morgause, ale kiedy zbliżył się do Morgiany, pochylił się i pocałował ją w policzek.

Zamarła.

*Matko, Bogini, cóż za węzeł spleliśmy. On mówi, że zawsze będzie mnie kochał i za mną tęsknił, a to jest jedyna rzecz, której nie wolno mu czynić! Gdybyż tylko Lancelot czuł tak samo...*

Westchnęła.

Igriana podeszła i ujęła jej dłoń.

– Jesteś zmęczona, córko. Te długie godziny stania na słońcu wyczerpały cię. Czy jesteś pewna, że nie chcesz raczej wrócić wraz ze mną do klasztoru, gdzie jest tak spokojnie? Nie? No cóż, a więc, Morgause, zabierz ją do swego namiotu, jeśli łaska.

– O tak, droga siostró. A ty idź odpocząć. – Morgause patrzyła za odchodzącymi młodzieńcami. Artur taktownie zwalniał, by kulejący Kaj mógł dotrzymać mu kroku.

Morgiana wróciła wraz z Morgause do jej namiotu. Była zmęczona, ale musiała uważnie i taktownie słuchać, kiedy Lot rozprawiał o jakimś planie, o którym mówił Artur. Chodziło o walkę z siodła, taktykę ataku, która mogłaby pokonać tabuny jazdy i piechoty Saksonów, którzy nie byli wyszkolonymi żołnierzami.

– Ten chłopak to mistrz strategii – mówił Lot. – To może się nawet udać. Przecież to właśnie grupy Piktów, Szkotów i Plemion atakujące zniemacka potrafiły pokonywać legiony, jak mi mówiono, bo Rzymianie byli tak przyzwyczajeni do uporządkowanej walki wedle ustalonych reguł, przeciw zastępom, które stawały do bitwy.

A jazda ma zawsze przewagę nad piechotą; jak słyszałem, to rzymskie oddziały kawalerii zawsze odnosiły największe zwycięstwa.

Morgiana przypomniała sobie, z jaką pasją Lancelot rozprawiał o swych teoriach walki. Jeśli Artur podzielał jego zapał i był gotów współpracować z nim i stworzyć oddziały jazdy, to rzeczywiście mógł nadejść czas, kiedy wszystkie hordy Saksonów zostaną przegnane z tej ziemi. Wtedy zapanuje pokój dłuższy niż legendarne dwieście lat Pax Romana. A skoro Artur posiadał miecz Avalonu i regalia Druidów, to czas, który nadejdzie, mógłby być zaiste panowaniem jak z bajki... Viviana mówiła raz o Arturze jako o królu z legendy, który niesie legendarny miecz. I Bogini mogłaby znów władać na tej ziemi, a nie ten martwy Bóg chrześcijan ze swym cierpieniem i śmiercią... Odplynęła w marzenia i do rzeczywistości przywołały ją dopiero słowa Morgause.

– Ależ, moja droga, ty prawie zasypiasz, idź do swego łoża, pozwalamy ci odejść – powiedziała i wysłała jedną ze swych własnych dworek, by pomogła Morgianie zdjąć szaty, umyć nogi i zapleść włosy.

Spała długo i głęboko, bez snów, zmęczenie wielu dni w końcu ją pokonało. Ale kiedy się obudziła, nie mogła się zorientować, gdzie jest i co się z nią dzieje. Wiedziała tylko, że jest jej niedobrze i musi wyjść z namiotu i zwymiotować. Kiedy się wyprostowała, kręciło jej się w głowie; była już przy niej Morgause, podtrzymała ją silnie i troskliwie, pomogła wrócić do środka. Tak Morgiana zapamiętała ją z najwcześniejszego dzieciństwa, Morgause była na przemian to miła, to złośliwa. Teraz otarła spocone czoło Morgiany wilgotnym ręcznikiem i usiadła przy niej. Rozkazała dworce przynieść kubek wina dla swej siostrzenicy.

– Nie, nie chcę, znów się pochoruję...

– Wypij – powiedziała Morgause stanowczo – i postaraj się zjeść ten kawałek chleba, jest czerstwy, nie zaszkodzi ci. W tym stanie musisz mieć coś w brzuchu. – Roześmiała się. – Rzeczywiście, to coś w twym brzuchu powoduje te wszystkie kłopoty.

Zawstydzona Morgiana odwróciła wzrok, ale głos Morgause znów był miły.

– No, już dobrze, dziewczyno, przecież wszystkie przez to przechodzimy. Więc jesteś w ciąży, i co z tego? Nie ty pierwsza i nie ostatnia. Kto jest ojcem, czy może nie powinnam pytać? Widziałam, jak spoglądasz na przystojnego syna Viviany, czy on był tym szczęśliwcem? Nie? A więc to dziecko ogni Beltanu? Tak właśnie myślałam. A czemu nie?

Morgiana zacisnęła pięści w geście sprzeciwu, mimo pocieszeń Morgause.

– Nie urodzę go. Kiedy wrócę do Avalonu, wiem, co mam zrobić.

Morgause spoglądała na nią zatroskana.

– Och, moja droga, czy musisz? W Avalonie ucieszą się z dziecka Bogini, a ty jesteś z królewskiej linii Avalonu. Nie powiem, żebym sama nigdy tego nie zrobiła, mówiłam ci, że byłam ostrożna, by nigdy nie urodzić dziecka, które nie było Lota, co nie znaczy, że zawsze spałam sama, kiedy on wyjeżdżał na wojny. Cóż, a dlaczego nie? Nie sądzę, by on zawsze kładł się samotnie! Ale stara akuszerka powiedziała mi kiedyś, a znała dobrze swój fach, muszę przyznać, no więc powiedziała mi, że kobieta nigdy nie powinna próbować pozbyć się pierwszego dziecka, które nosi, bo jeśli tak uczyni, może uszkodzić swoje łono tak, że już nigdy nie urodzi następnego.

– Jestem kapłanką, a Viviana się starzeje. Nie chcę, żeby to mi przeszkadzało w pełnieniu obowiązków w świątyni.

Mówiąc to, Morgiana wiedziała, że ukrywa prawdę. W Avalonie były kobiety, które pełniły swe obowiązki do ostatnich miesięcy ciąży, a potem inne kobiety z radością dzieliły ich zadania między siebie, by brzemiennie mogły odpoczywać przed porodem. A potem miały nawet czas na to, by karmić swe dzieci, zanim te nie zostały oddane na wychowanie. Niektóre córeczki były wychowywane na kapłanki, tak jak była wychowywana Igriana. Sama Morgause do dwunastego roku życia dorastała w Avalonie jako przybrana córka Viviany.

Morgause spojrziała na nią wymownie.

– Tak, myślę, że każda kobieta czuje się podobnie, kiedy po raz pierwszy nosi w swym łonie dziecko: usidlona, zła. To jest coś, czego się lęka i czego nie może zmienić. Wiem, że tak było z Igrianą, tak samo było ze mną. Przypuszczam, że tak jest z każdą kobietą. – Wyciągnęła ramiona i objęła nimi Morgianę, tuląc ją do siebie. – Ale, drogie dziecko, Bogini jest dobra. Kiedy dziecko zacznie w tobie rosnać, Bogini wleje w twe serce miłość do niego, nawet jeśli nic nie czujesz do mężczyzny, który je spłodził. Dziecinko, wyszłam za mąż, mając lat piętnaście, za człowieka o wiele starszego ode mnie; w dniu, w którym przekonałam się, że noszę dziecko, byłam gotowa rzucić się do morza, wydawało mi się, że to koniec mej młodości, koniec mojego życia. Och, nie płacz – powiedziała, gładząc wilgotne włosy Morgiany. – Wkrótce poczujesz się lepiej. Ja też nie przepadam za chodzeniem z wielkim



brzuchem i popuszczaniem jak dziecko w pieluchach przez cały dzień. Ale to przemija, a niemowlę przy piersi jest taką radością, jak rodzenie jest bólem. Urodziłam już czwórkę i chętnie miałabym następne, tak często żałuję, że jeden z mych synów nie jest córką. Jeśli nie chcesz wychowywać swego dziecka w Avalonie, to ja ci je wychowam, co o tym myślisz?

Morgiana westchnęła głęboko i załkała, unosząc głowę z ramienia Morgause.

– Och, przepraszam, napłakałam na twą piękną szatę...

Morgause wzruszyła ramionami.

– Jeśli nic gorszego jej się nie przytrafi, to nie ma problemu. Widzisz? Mdłości mijają i przez resztę dnia będziesz się już dobrze czuła. Czy myślisz, że Viviana puściłaby cię z wizytą do mnie? Mogłabyś pojechać wraz z nami do Lothian, gdybyś chciała. Nie widziałas nigdy Orkney, a zmiana dobrze by ci zrobiła.

Morgiana podziękowała jej, lecz powiedziała, że musi wracać do Avalonu, a zanim odjedzie, musi się pożegnać z Igrianą.

– Nie radziłabym ci zwierzać się jej – powiedziała Morgause. – Taka się zrobiła święta, że byłaby zgorszona, lub przynajmniej uważałaby to za swój obowiązek, żeby być.

Morgiana uśmiechnęła się blado. Nie miała zamiaru zwierzać się Igrianie ani nikomu innemu. Zanim Viviana będzie mogła się dowiedzieć, nie będzie już nic, czego mogłaby się dowiedzieć. Była wdzięczna Morgause za rady i za dobrą wolę, i propozycje, ale nie zamierzała z nich skorzystać. Zawzięcie powtarzała sobie, że jej przywilejem jest dokonać własnego wyboru. Jest kapłanką i cokolwiek czyni, musi poddawać własnemu osądowi.

Cały czas podczas pożegnania z Igrianą – a przebiegało ono w napięciu i było niejednokrotnie przerywane przez te przekłete dzwony wzywające zakonnice do obowiązków – myślała, że to Morgause była dla niej bardziej jak matka, którą pamiętała, niż sama Igriana.

Igriana wydała się Morgianie stara, surowa i pobożna. Pożegnała ją z ulgą. Wracając do Avalonu, wiedziała, że wraca do domu. Teraz nigdzie na całym świecie nie miała już innego domu.

Ale jeśli Avalon nie był już jej domem, co wtedy?

## 20

Było wcześniej rano, kiedy Morgiana cichutko wymknęła się z Domu Dziewcząt na dzikie łąki nad Jeziorem. Obeszła Tor i wyszła na skraj lasu; przy odrobinie szczęścia znajdzie tu wszystko, czego potrzebuje, bez wchodzenia w mgłę.

Wiedziała, czego szukać: pojedynczego korzenia, kory z pewnego krzewu i dwóch rodzajów ziół. Wszystko to można było znaleźć w Avalonie. Mogła to po prostu wziąć ze składziku w Domu Dziewcząt, ale wtedy musiałaby się tłumaczyć, do czego jej to potrzebne, a przed tym się wzdrygała. Nie chciała ani żartów, ani współczucia innych kobiet. Lepiej, jeśli

znajdzie wszystko sama. Znała się trochę na sztuce zielarskiej i akuszerskiej. Nie musiała się skazywać na niczyją łaskę.

Jedno z potrzebnych ziół rośnie w ogrodzie Avalonu; zerwała je niepostrzeżenie. Po inne rośliny musiała iść dalej. Zaszła już dość daleko, zanim zauważyła, że jeszcze nie weszła w mgły. Rozglądając się, stwierdziła, że znalazła się w części Avalonu, której nie zna, a to przecież było czyste szaleństwo. Mieszkała w Avalonie od ponad dziesięciu lat, znała tu każdy kamyk i korzeń, każdą ścieżkę i prawie każde drzewo. To było niemożliwe, by mogła się zgubić w Avalonie.

A jednak tak się stało. Zaszła w gęstą część lasu, gdzie drzewa były starsze i większe niż jakiegokolwiek, które znała. Były też krzewy, zioła i drzewa, jakich nigdy przedtem nie widziała.

Czy to możliwe, by w jakiś sposób, sama o tym nie wiedząc, przeszła przez mgły i znalazła się na lądzie otaczającym Jezioro i Wyspę? Nie. W myślach odtworzyła każdy swój krok. Nie mijała mgieł. W każdym razie Avalon był niemal wyspą i jeśli by nawet przeszła przez jego granice, doszłaby jedynie do wód Jeziora. Była też tajemna, prawie sucha grobla przejezdna konno, ale to na pewno nie było nigdzie w pobliżu.

Nawet tamtego dnia, kiedy ona i Lancelot znaleźli we mgle Gwenifer, byli otoczeni moczarami, a nie lasem. Nie, nie znajdowała się na Wyspie Księży, nie była też na stałym lądzie, chyba że w jakiś magiczny sposób posiadała cudowną umiejętność chodzenia po wodzie Jeziora. Nie była to też żadna część Avalonu. Spojrzała w górę, próbując określić swoje położenie względem słońca, ale nigdzie nie mogła go dostrzec. Był już teraz jasny dzień, ale światło było jak miękka jasność na niebie, wydawało się płynąć ze wszystkich kierunków naraz.

Morgiana poczuła chłód strachu. Nie była w żadnym ze znanych sobie światów. Czy to możliwe, by w czarach Druidów, które usunęły Avalon ze zwykłego świata, znajdowała się dalsza, nieznaną kraina, świat położony wokół Avalonu lub za nim? Patrząc na grube pnie drzew, na prastare dęby, leszczyny, wierzby i paprocie, wiedziała, że nie znajduje się w żadnym świecie, który kiedykolwiek przedtem widziała. Był tam stojący osobno, poskręcany dąb, stary ponad wszelkie wyobrażenie, którego nie mogłaby nie zauważyć i nie znać.

W rzeczy samej, tak stare i szlachetne drzewo byłoby przez Druidów oznaczone jako święte! „Na Boginię! Gdzie ja jestem?” Gdziekolwiek jest, nie może tak po prostu stać. Albo znajdzie w końcu w część tego świata, którą rozpozna, znajdzie jakiś szczegół, po którym będzie mogła wrócić, albo dojdzie do miejsca, gdzie zaczynają się mgły, i w ten sposób powróci do swego świata.

Powoli brnęła przez gęstniejący las. Wydało jej się, że przed nią, w kierunku, w którym idzie, jest polana. Rzeczywiście. Polanę otaczały leszczyny. Instynktownie wiedziała, że żadnego z tych drzew nigdy nie tknął metal noży, jakimi Druidzi obcinają rozwidlające się leszczynowe gałązki, które potrafią znajdować wodę, ukryte skarby lub trujące substancje. Na

wyspie Avalon był leszczynowy las, ale знаła tamtejsze drzewa. Tam przed laty sama ucięła własną gałązkę, gdy po raz pierwszy uczyła się tej sztuki. To nie był ten zagajnik. Na samym skraju polany dostrzegła niewielką kępę ziół, których szukała. Cóż, równie dobrze może je zerwać teraz, niech ta wędrówka na coś się przyda. Podeszła i uklękła, podkładając pod kolana zwinięte fałdy spódnicy. Zaczęła kopać.

Dwukroć, kiedy odgarniała ziemię, miała uczucie, że ktoś ją obserwuje, po plecach przebiegły jej drobne igiełki, które zna każdy, kto żył w leśnej głuszy. Ale kiedy podniosła wzrok, nie dostrzegła nikogo, choć między drzewami przesuwiał się jakby cień cienia.

Za trzecim razem nie podnosiła oczu tak długo, jak tylko mogła wytrzymać, mówiąc sobie, że przecież nikogo tam nie ma. Wyrwała ziele z ziemi i zaczęła czyścić korzeń, mrużąc zakłęcie odpowiednie na taką okazję – modlitwę do Bogini, by przywróciła życie wyrwanej roślinie i by w miejsce tej, którą zabrała, mogły zawsze rosnać inne. Ale uczucie, że jest obserwowana, stało się silniejsze i w końcu Morgiana podniosła oczy. W cieniu, na skraju lasu, prawie niewidoczna, przyglądała się jej kobieta.

Nie była to jedna z kapłanek; Morgiana nigdy wcześniej jej nie widziała. Miała na sobie szatę barwy leszczynowych liści, kiedy więdną pod koniec lata. Okrywał ją ciemny płaszcz. Na szyi delikatnie błyskało coś złotego. Najpierw Morgiana pomyślała, że jest to kobieta z tego małego, smąglego ludu, wśród którego oczekiwała na Króla Byka. Ale postawa nieznanym w niczym nie przypominała tych małych, polujących ludzi. Nosila się jak kapłanka lub królowa.

Morgiana nie mogła określić jej wieku, ale głęboko osadzone oczy i linie wokół nich mówiły jej, że ta kobieta nie była młoda.

– Co czynisz, Morgiano Czarodziejko?

Wzdłuż pleców przebiegły Morgianie lodowate dreszcze. Skąd ta kobieta znała jej imię? Ukrywając swój lęk pod maską kapłanki odpowiedziała:

– Jeśli znasz me imię, pani, z pewnością wiesz także, co robię. – Zdecydowanie odwróciła wzrok od wpatrzonych w nią ciemnych oczu i wróciła do czyszczenia korzeni.

Po chwili znów podniosła oczy, na wpeł oczekując, że dziwna kobieta zniknie tak szybko, jak się pojawiła, ale ona wciąż tam była, przyglądając się spokojnie pracy Morgiany. Teraz jej wzrok spoczął na brudnych dłoniach Morgiany, na złamanym podczas kopania paznokciu.

– Tak, wiem, co robisz i co masz zamiar uczynić. Dlaczego?

– A co tobie do tego?

– Życie jest drogie memu ludowi – odparła kobieta. – Choć ani nie rodzimy się, ani nie umieramy tak łatwo jak wasz rodzaj. Ale dziwię się, że ty, Morgiano, w której płynie królewska krew Starego Ludu, przez co jesteś mą daleką krewną, pragniesz pozbyć się jedyne dziecko, jakie kiedykolwiek urodzisz.

Morgiana przełknęła z trudem. Podniosła się z klęczek świadoma swych brudnych, pokrytych ziemią rąk, na wpuł oczyszczonych korzeni, które wciąż trzymała, wygniecionej od klęczenia na wilgotnej ziemi sukni. Czuła się jak gęślarka stojąca przed Wielką Kapłanką. Ale odpowiedziała zaczepnie:

– Dlaczego tak mówisz? Jestem wciąż młoda. Dlaczego uważasz, że jeśli usunę to dziecko, nie urodzę tuzina innych?

– Zapomniałam, że jeśli czarowna krew jest rozcieńczona, Wzrok przychodzi do ciebie niepełny i wykrzywiony – odparła kobieta. – Niechaj ci wystarczy, że powiem: Widziałam. Pomyśl dwakroć, Morgiano, zanim odrzucisz to, co Bogini zesłała ci przez Króla Byka.

Nagle Morgiana się rozplakała. Mówiła, przetykając łzy:

– Ja go nie chcę! Ja go nie chciałam! Dlaczego Bogini mi to czyni? Jeśli przychodzisz od niej, czy możesz mi na to odpowiedzieć?

Nieznajoma kobieta patrzyła na nią ze smutkiem.

– Nie jestem Boginią, Morgiano, nie jestem nawet jej posłanniczką. Mój rodzaj nie zna ani Boga, ani Bogini, lecz tylko łono naszej matki, która jest pod naszymi stopami i nad naszymi głowami, z której przyszliśmy i do której powracamy, gdy kończy się nasz czas. Dlatego miłujemy życie i płaczemy, widząc, że ktoś je odrzuca. – Podeszła do przodu i wyjęła korzeń z dłoni Morgiany. Powiedziała: – Nie potrzebujesz tego – i rzuciła korzeń na ziemię.

– Jakie jest twoje imię? – krzyknęła Morgiana. – Co to za miejsce?

– Nie umiałabyś wymówić mego imienia w swoim języku – powiedziała kobieta i nagle Morgiana zastanowiła się nad tym, w jakim one rozmawiają języku. – Jeśli zaś chodzi o to miejsce, to jest las leszczynowy. Jest tylko tym, czym jest. Prowadzi do mego domu, a tamta ścieżka – wskazała ręką – poprowadzi cię do twego domu w Avalonie.

Morgiana spojrzała za jej wskazującym palcem. Tak, była tam dróżka, choć mogłaby przysiąc, że jej tam nie było, kiedy przyszła na tę polanę.

Pani wciąż stała obok niej. Otaczał ją dziwny zapach, nie silny odór nie mytego ciała, jak w przypadku tamtej plemiennej kapłanki, ale ciekawa, nieokreślona woń jakby jakiegoś nieznanego ziela lub korzenia; dziwny, świeży, niemal gorzki zapach. I tak jak czynią rytualne zioła przywołujące Wzrok, ta woń sprawiła, jakby na oczy Morgiany padło jakieś zaklęcie, tak że widziała więcej niż normalnie, tak jakby wszystko było nowe i czyste, nie przypominało zwyczajnej, codziennej rzeczywistości.

Pani odezwała się niskim, urzekającym głosem:

– Możesz zostać tu ze mną, jeśli zechcesz. Uśpię cię tak, że urodzisz swe dziecko bez bólu, a ja je zabiorę dla silnego życia, które w nim jest, i będzie żyło dłużej niż między istotami twego rodzaju. Gdyż widzę jego przeznaczenie w twoim świecie: będzie się starał czynić dobro, lecz jak większość twego rodzaju, uczyni tylko zło. Ale jeśli zostanie tutaj, między moim ludem, będzie żył długo, długo, prawie, jak ty byś to powiedziała, wiecznie, być może będzie między nami czarodziejem lub magiem. Będzie żył wśród drzew i dzikiej

przyrody, nigdy nie okiełzanej przez człowieka. Zostań tu, maleńka; oddasz mi dziecko, którego nie chcesz wychowywać, a potem powrócisz do swego ludu, wiedząc, że ono jest szczęśliwe i że nie stanie mu się krzywda.

Morgiana poczuła nagły, śmiertelny ziąb. Wiedziała, że stojąca przed nią kobieta nie jest w pełni ludzką istotą; ona, Morgiana, też przecież miała w sobie odrobinę owej pradawnej krwi Elfów: Morgiana Czarodziejka, tak brzmiało jej stare przezwisko, którym drażnił ją Lancelot. Odsunęła dłoń czarownej kobiety i zaczęła biec w kierunku dróżki, którą tamta jej wskazała. Biegła pędem, jakby gonił ją jakiś demon.

Kobieta krzyknęła za nią:

– A więc poroń swoje dziecko albo je uduś zaraz po urodzeniu, Morgiano Czarodziejko, gdyż twój lud ma swe własne przeznaczenie, a jaki los czeka syna Króla Byka? Król musi zostać wypędzony przez swego syna i zginąć... – Ale jej głos rozplątał się w powietrzu, gdy Morgiana zanurzyła się we mgle, biegnąc i potykając się.

Gałęzie łapały jej suknie i włosy, przygniatały ją do ziemi, kiedy wrywała się w panice, aż w końcu przebrnęła przez mgły i znalazła się w ciszy i słonecznym blasku. Wiedziała, że znów stoi na znajomej ziemi Avalonu.

Księżyc znowu był w ciemnej fazie. Niebo nad Avalonem zakrywały letnie mgły, lecz Viviana była kapłanką od tylu już lat, że znała fazy księżyca, jakby fale przyptywów płynęły w jej własnych żyłach.

W ciszy przemierzała swoją komnatę, aż w końcu poprosiła jedną z usługujących jej kapłanek:

– Podaj moją harfę.

Ale kiedy położyła harfę z bladożółtego wierzbowego drewna na kolanach, tylko bezmyślnie dotykała strun, nie mając ochoty ani serca, by grać.

Gdy noc zbladła przed świtem, Viviana wstała i wzięła maleńką lampkę. Jej służka natychmiast pojawiła się w drzwiach tylnej komnaty, gdzie spała, ale Viviana gestem rozkazała młodej kobiecie wrócić do łoża. A sama, cicha jak duch, poszła ścieżką prowadzącą do Domu Dziewcząt i wślizgnęła się do środka. Poruszała się ciszej niż kotka.

Weszła do komnaty, w której spała Morgiana, podeszła do łoża i spojrzała na śpiącą twarz tak bardzo podobną do jej własnej. We śnie twarz Morgiany była twarzą tamtej małej dziewczynki, która przybyła do Avalonu tyle lat temu i która zapadła Vivianie w głąb serca. Pod ciemnymi rzęsami widoczne były ciemne sińce, a brzegi powiek otaczała czerwona obwódka, jakby Morgiana płakała przed snem.

Trzymając lampkę wysoko, Viviana długo przyglądała się swej krewniczce. Kochała Morgianę tak, jak nigdy nie kochała Igriany czy Morgause, którą wykarmiła własną piersią; tak jak nigdy nie kochała żadnego z mężczyzn, którzy dzielili jej łożo przez jedną noc lub przez kilka miesięcy. Nie kochała tak nawet Raven, którą osobiście szkoliła na kapłankę od

siódmego roku życia. Raz tylko czuła taką przemożną miłość, taki wewnętrzny ból, jakby każdy oddech umiłowanego zadawał śmierć – czuła ją dla swej córeczki, którą urodziła w pierwszym roku swego kapłaństwa. Córeczki, która przeżyła zaledwie sześć miesięcy i którą, płacząc po raz ostatni, Viviana pochowała, mając zaledwie piętnaście lat. Od chwili, kiedy po raz pierwszy trzymała swe dziecko w ramionach, do momentu, gdy wydało ostatnie tchnienie, Viviana śledziła każdy jej oddech jak w transie, w delirium bólu i miłości, jakby ukochane dziecko było częścią jej własnego ciała, a każda chwila jego radości lub cierpienia była jej własnym odczuciem. To działo się całe życie temu, lecz Viviana wiedziała, że kobieta, która się urodziła, została wtedy pochowana w leszczynowym gaju w Avalonie. Kobieta, która odeszła od tego maleńkiego grobu, nie roniąc łzy, była już zupełnie inną osobą, nie poddającą się nigdy jakimkolwiek ludzkim emocjom.

Miła, tak, zadowolona, nawet szczęśliwa, czasami; lecz nie ta sama kobieta. Kochała swych synów, lecz od chwili ich narodzin była pogodzona z myślą, że odda ich na wychowanie przybranym matkom.

Pozwoliła sobie trochę miłować Raven... Ale bywały chwile, kiedy Viviana czuła w najskrytszych zakamarkach swego serca, że to w ciele dziecka Igriany Bogini przysłała jej z powrotem zmarłą córeczkę.

*A teraz ona płacze, a każda jej łza pali moje serce. Bogini, dałaś mi to dziecko, bym je miłowała, a jednak musiałam ją wydać na takie cierpienia... Cała ludzkość cierpi, nawet Ziemia płacze nad udręką swych synów. W naszym cierpieniu, Matko Ceridwen, zbliżamy się do ciebie... Viviana szybko uniosła dłoń do oczu i potrząsnęła głową, tak że pojedyncza łza zniknęła bez śladu. Ona też jest zaprzysiężona temu, co musi nastąpić; jej cierpienia jeszcze się nie zaczęły...*

Morgiana poruszyła się przez sen i obróciła na bok, a Viviana przestraszona, że dziewczyna mogłaby się obudzić, a ona musiałaby znów napotkać to oskarżenie w jej oczach, szybko wycofała się z komnaty i cicho wróciła do swego domostwa.

Leżała na łożu i starała się zasnąć, ale nie zmrużyła oka. Raz, o świcie, ujrzała przesuwający się pod ścianą cień i w szarym świetle rozpoznała twarz: to była Śmierć, czekała na nią pod postacią starej kobiety odzianej w łachmany i omotanej cieniem.

*Matko, czy przyszedł po mnie?*

*Jeszcze nie, moja córko i moje drugie ja, przyszedł tu tylko, byś mogła pamiętać, że cię oczekuję, jak oczekuję każdego śmiertelnika...*

Viviana zamrugnęła i kiedy znów otworzyła oczy, kąt pokoju był ciemny i pusty. Z pewnością nie potrzebuję napomnienia, że ona na mnie czeka...

Leżała w ciszy, czekając, tak jak nauczona była czekać, aż w końcu świt zawitał do komnaty. Ale nawet kiedy się ubrała, nie zjadła śniadania. Przerwie post ciemnej fazy, dopiero gdy na wieczornym niebie ukaże się rogalik młodego księżyca. Potem zawołała posługującą jej kapłankę:

– Przeprowadź do mnie panią Morgianę.

Kiedy Morgiana przyszła, Viviana zauważyła, że młoda kobieta ubrała się w szaty kapłanki najwyższego stopnia, włosy uplotła wysoko, u pasa miała niewielki nóż w kształcie sierpa. Usta Viviany rozchyliły się w półuśmiechu. Kiedy się pozdrowiły i Morgiana usiadła obok niej, powiedziała:

– Po dwakroć już księżyc pociemniał. Powiedz mi, Morgiano, czy Rogaty Pan z lasu ożywił twe łono?

Morgiana rzuciła jej szybkie spojrzenie jak małe, przerażone zwierzątko w pułapce, a potem odezwała się gniewnie i zaczepnie:

– Sama mi powiedziałaś, że powinnam się kierować własnym osądem. Pozbyłam się go.

– Nie uczyniłaś tego – odparła Viviana, uspokajając głos tak, by nie było w nim śladu emocji. – Dlaczego kłamiesz? Mówię ci, że nie wolno ci tego robić.

– Zrobię to!

Viviana poczuła moc dziewczyny. Przez chwilę, kiedy Morgiana szybko wstała z ławy, wydało się, że nagle stała się wysoka i dostojna. Ale to była tylko sztuczka kapłanek, którą Viviana doskonale знаła.

*Prześcignęła mnie, nie mogę już dłużej nad nią panować. Mimo to odezwała się, zbierając wszystkie siły i autorytet:*

– Nie wolno ci. Królewskiej krwi Avalonu nie wolno się pozbywać.

Nagle Morgiana upadła na ziemię i przez moment Viviana bała się, że dziewczyna rozszłocha się bez pamięci.

– Dlaczego mi to uczyniłaś, Viviano? Dlaczego wykorzystłaś mnie w ten sposób? A ja myślałam, że mnie kochasz! – Twarz jej się zmieniała, lecz nie płakała.

– Bogini mi świadkiem, że kocham cię, dziecko, tak jak nigdy nie kochałam żadnej ludzkiej istoty – powiedziała Viviana spokojnie. – Ale kiedy cię tu sprowadziłam, powiedziałam ci: może nadejść czas, że będziesz mnie nienawidziła tak, jak wtedy mnie kochałaś. Jestem Panią Avalonu. Nie tłumaczę się z tego, co czynię. Robię to, co muszę, ani mniej, ani więcej. I ty też będziesz tak postępować, kiedy nadejdzie czas.

– Ten dzień nie nadejdzie nigdy! – krzyknęła Morgiana – Gdyż powiadam ci tu i teraz, że po raz ostatni wykorzystłaś mnie i zabawiłaś się mną jak kukielką! Nigdy więcej! Nigdy!

Viviana opanowała głos, głos wyszkolonej kapłanki, który pozostaje spokojny, choćby na nią waliły się niebiosy.

– Uważaj na to, jak mnie przeklinasz, Morgiano; słowa rzucone w gniewie mają złą moc powracania wtedy, gdy najmniej ich pragniesz.

– Przeklinać cię? Nie myślałam o tym – odparła szybko Morgiana. – Ale już dłużej nie będę twoją zabawką. Jeśli zaś chodzi o to dziecko, dla którego poruszyłaś niebo i ziemię, by sprowadzić je na świat, to nie urodzę go w Avalonie, byś mogła się radować z tego, co uczyniłaś.

– Morgiano – powiedziała Viviana, wyciągając do niej dłoń, lecz Morgiana cofnęła się. W ciszy zabrzmiały jej słowa: – Niechaj Bogini postąpi z tobą tak, jak ty postąpiłaś ze mną, Pani.

Nie mówiąc więcej ani słowa, odwróciła się i wyszła, nie czekając na pozwolenie.

Viviana siedziała zeszywniała, jakby pożegnalne słowa Morgiany rzeczywiście były przekleństwem.

Kiedy w końcu mogła znów jasno myśleć, przywołała jedną z kapłanek; był już dzień i kawałek cieniuteńkiego, srebrnego rogalika był widoczny na zachodzie nieba.

– Powiedz mej krewniczce, pani Morgianie, by przybyła mi służyć. Nie pozwoliłam jej odejść.

Kapłanka wyszła, ale długo nie wracała. Było już ciemno i Viviana zawołała inne kapłanki, by przyniosły jej jedzenie, kiedy wróciła ta pierwsza.

– Pani – powiedziała i skłoniła się, a twarz miała pobielaną.

Viviana poczuła, jak gardło się jej zaciska, i nagle przypomniała sobie, jak dawno temu jedna z kapłanek w rozpaczy po urodzeniu dziecka, którego nie chciała, powiesiła się na własnym pasku na gałęzi drzewa w leszczynowym gaju. *Morgiana! Czy to przed tym Śmierć przyszła mnie ostrzec? Czyżby targnęła się na własne życie?*

Odezwała się przez wyschnięte gardło:

– Kazałam ci przyprowadzić tu panią Morgianę.

– Pani, nie mogłam.

Viviana podniosła się, a twarz miała straszną. Młoda kapłanka cofnęła się tak szybko, że omal nie przewróciła się o własną spódnicę.

– Co się stało z panią Morgianą!

– Pani – wyjąkała młoda kobieta – ona... jej nie było w swojej komnacie, pytałam wszędzie. Znalazłam... znalazłam w jej komnacie to... – powiedziała, pokazując welon i skórzaną tunikę, srebrny półksiężyc i nóż w kształcie sierpa, który Morgiana otrzymała w dniu swojej inicjacji. – A na nadbrzeżu powiedzieli mi, że zawołała łódź i pojechała na łąd. Myśleli, że wypełnia twoje rozkazy, Pani.

Viviana wciągnęła głęboko powietrze, wyciągnęła rękę i wzięła nóż i srebrny wisiołek. Spojrzała na jedzenie, które stało na stole, i ogarnęła ją okropna słabość. Usiadła i szybko zjadła trochę chleba i wypila kubek wody ze Świętej Studni. Dopiero wtedy się odezwała:

– To nie twoja wina, przepraszam, że tak surowo się odezwałam.

Trzymała w ręku nóż Morgiany i po raz pierwszy w życiu, kiedy spojrzała na swoją rękę i zobaczyła pulsującą na nadgarstku żyłę, pomyślała, jak łatwo byłoby przeciąć ją nożem i patrzeć, jak życie z niej uchodzi. *A więc Śmierć przyszła po mnie, nie po Morgianę. Jeśli żąda krwi, dostanie moją.* Morgiana zostawiła nóż. A więc nie powiesi się ani nie podetnie sobie



żył. Bez wątpienia uda się do swojej matki po radę i pociechę. Pewnego dnia powróci, a jeśli nie, wszystko jest w rękach Bogini.

Kiedy znów została sama, wyszła z domu i przy bladym świetle młodego księżyca poszła w górę ścieżką prowadzącą do jej magicznego zwierciadła.

Artur został koronowany na króla, myślała. Wszystko, o co walczyłam przez ostatnie dwadzieścia lat, dopełniło się. A jednak ja zostałam tu samotna i osierocona. Niechaj będzie ze mną tak, jak chce Bogini, lecz zanim umrę, pozwól mi raz jeszcze zobaczyć twarz mej córki, mego jedynego dziecka. Pozwól mi zobaczyć, czy wszystko jest z nią dobrze. *Matko, w imię twoje...*

Ale tafla jeziora ukazała jedynie ciszę... i cienie, a pod tym wszystkim, głęboko, miecz w rękach jej własnego syna, Balana.

### **Mówi Morgiana...**

*Mali, smagli wioślarze nie przyglądali mi się. Przywykli do tego, że Viviana podróżowała w takich strojach, jakie wybierała, a cokolwiek kapłanka wybrała, było dobre w ich oczach. Żaden z nich nie próbował się do mnie odzywać, a ja starałam się rezolutnie patrzeć w inną stronę.*

*Mogłam uciec z Avalonu tajemną ścieżką. Biorąc łódź, wiedziałam, że Viviana z pewnością dowie się o moim wyjeździe... ale nawet przed samą sobą bałam się przyznać do lęku, jaki trzymał mnie z dala od tajemnej ścieżki. Bałam się, że moje kroki mogą zaprowadzić mnie nie na stały ląd, lecz znów do tej nieznannej krainy, gdzie rosną kwiaty i drzewa nie tknięte ręką ludzką, słońce nigdy nie świeci, a szydercze oczy kobiety czarodziejki potrafią zajrzeć na samo dno mej duszy.*

*Wciąż miałam przy sobie zioła w sakiewce przytroczonej do paska, ale kiedy łódź bezgłośnie wpłynęła we mgły, rozwiązałam rzemyk i wysypałam je do wody. Wydato mi się, że pod powierzchnią coś błysnęło jak cień... blask złota, może drogich kamieni; ale odwróciłam wzrok, bo wioślarze czekali, bym podniosła mgły.*

*Avalon pozostał za mną. Wyrzekłam się go. Wyspę oświetlało wschodzące słońce, ale ja nie odwróciłam się, by po raz ostatni spojrzeć na Tor i kamienny krąg.*

*Nie będę igraszką w rękach Viviany. Nie urodzę syna swego brata dla tajemniczych celów Pani Jeziora. Jakimś sposobem od początku wiedziałam, że to będzie syn. Gdybym wierzyła, że urodzę dziewczynkę, pozostałabym w Avalonie i dała Bogini córkę, którą winna byłam jej świątyni. Nigdy, przez wszystkie następne lata, nie przestałam żałować, że Bogini zeszła mi syna zamiast córki, która by mogła służyć w jej świątyni i gajach.*

*I tak po raz ostatni wypowiedziałam magiczne słowa – tak wtedy uważałam – i mgły rozstały się, a my przybiliśmy do brzegu Jeziora. Czuję się jak przebudzona z długiego snu. Kiedy po raz pierwszy w życiu ujrzałam Avalon, spytałam: „Czy to prawdziwe?” i pamiętam, jak Viviana odpowiedziała mi: „To bardziej realne niż każde inne miejsce”. Ale już nie było realne. Spojrzałam na gęste trzciny i pomyślałam, że to właśnie jest realne, a lata w Avalonie są tylko snem, który zbladnie, a potem zupełnie zniknie, kiedy się obudzę.*

*Padła deszcz. Zimne krople spadały na taflę Jeziora. Włożyłam na głowę kaptur mego grubego płaszcza i wyszłam na prawdziwy brzeg. Przez chwilę patrzyłam, jak łódź znika we mgle, a potem odwróciłam się.*

*Nigdy nie wątpiłam, gdzie powinnam iść. Nie do Kornwalii, choć całą duszą tęskniłam za krainą mego dzieciństwa, gdzie długie ramiona skał wyciągają się w ciemne wody morza, a między klifami leżą głębokie cieniste doliny, za ukochanym i prawie zapomnianym wybrzeżem w Tintagel. Igriana przyjąłaby mnie. Ale była szczęśliwa za murami klasztoru i wydawało mi się słuszne, by mogła tam bezpiecznie zostać. Nigdy nie myślałam o udaniu się do Artura, choć nie miałam wątpliwości, że zrozumiałby mnie i dał schronienie.*

*Bogini spełniła na nas swą wolę. Czuję żal o to, co zdarzyło się między nami tamtego ranka. To, co uczyniliśmy jako Bóg i Bogini, było częścią rytuału, lecz to, co stało się o świecie, przydarzyło się już tylko nam. Ale to także stało się z woli Bogini.*

*Jedynie ludzkość przestrzega tych nakazów i zakazów pokrewieństwa; rodzaj zwierzęcy nie zna tych podziałów, a przecież ludzie należą do świata zwierząt. Jednak przez wzgląd na Artura, który był wychowany jako chrześcijanin, wiedziałam, że on nigdy nie powinien się dowiedzieć, iż ma syna ze związku, który nazwałby wielkim grzechem.*

*Jeśli chodzi o mnie, to nie byłam ani wychowana, ani kształcona przez księży. Dziecko, które nosiłam w łonie – tak postanowiłam myśleć – nie zostało poczęte przez żadnego śmiertelnika. Zostało mi zesłane przez Króla Byka, Rogatego Pana, jak wypadło na pierwsze dziecko zaprzysiężonej kaptanki.*

*A więc skierowałam kroki na północ. Nie bałam się długiej drogi przez mokradła i niziny, która w końcu przywiedzie mnie do królestwa Orkney i mojej ciotki Morgause.*

## Księga druga

### NAJWYŻSZA KRÓLOWA

#### 1

Daleko na północy, gdzie Lot był królem, głęboki śnieg pokrywał wzgórza. Nawet w południe często bywało prawie ciemno. W te rzadkie dni, kiedy wyglądało słońce, mężczyźni mogli wychodzić na polowania, lecz kobiety były uwięzione w zamku. Morgause, niecierpliwie przędąc – wciąż nienawidziła wrzeciona, jak za dawnych lat, ale w komnacie było zbyt ciemno na inną pracę – poczuła nagle lodowaty podmuch od otwartych drzwi i podniosła głowę. Odezwała się lekko karcącym tonem:

– Jest na to za zimno, Morgiano, a ty przez cały dzień narzekałaś na ziąb. Chcesz nas wszystkich zamienić w lodowe soople?

– Nie narzekałam – odparła Morgiana. – Czy powiedziałam, choć słowo? W komnacie jest duszno jak w wychodku, a dym śmierdzi. Chcę tylko odetchnąć! – Zatrzasnęła drzwi i wróciła do kominka, drżąc i zacierając ręce. – Od lata ani razu nie było mi ciepło.

– Wcale w to nie wątpię – powiedziała Morgause. – Twój mały pasażer kradnie całe ciepło z twego ciała; jemu jest ciepło i przytulnie, a matka się trzęsie. Tak jest zawsze.

– Przynajmniej minęło zimowe przesilenie, rozwidnia się wcześniej i ściemnia później – powiedziała jedna z dworek Morgause. – A może za następne dwa tygodnie będziesz już miała swoje dzieciątko...

Morgiana nie odpowiedziała, tylko wciąż drżąc, stała przy kominku i rozcierała dłonie, jakby ją bolały.

Morgause pomyślała, że dziewczyna wygląda jak własny cień. Twarz miała poszarzałą i śmiertelnie wychudłą, w porównaniu z ogromnym brzuchem ręce wyglądały jak piszczele kościotrupa. Pod oczyma miała wielkie ciemne sińce, a powieki zaczerwienione jakby od ciągłego płaczu. Choć była w tym zamku od tylu księżyców, Morgause ani razu nie widziała, by uroniła przy innych, choć jedną łzę.

*Pocieszyłabym ją, ale jak mam to zrobić, kiedy ona nie płacze?*

Morgiana miała na sobie starą szatę Morgause, wypłowiałą, zniszczoną, ciemnoniebieską suknię, groteskowo za długą. Wyglądała niedbale, a nawet niechlujnie. Morgause była niepocieszona, że jej krewniaczka nie zadała sobie nawet trudu, by wziąć do ręki igłę z nitką i jakoś skrócić tę sukienkę. Morgiana miała też spuchnięte kostki, które jakby wylewały jej się z butów. To od jedzenia tylko solonych ryb i suszonych warzyw, o tej porze roku nie było nic innego. Oni wszyscy potrzebowali świeżego pożywienia, ale przy tej pogodzie było o nie trudno. Może mężczyznom poszczęści się dziś na polowaniu, a jej uda się zmusić Morgianę do zjedzenia mięsa. Po własnych czterech ciążach Morgause znała tę prawie głodową ostatnią fazę. Pamiętała, jak kiedyś, w ciąży z Gawainem, poszła do mleczeni i zjadła trochę wapna, które trzymano tam do bielenia ścian. Stara akuszerka powiedziała jej wtedy, że kiedy ciężarna kobieta nie może się powstrzymać przed jedzeniem takich dziwacznych rzeczy, to znaczy, że dziecko ich potrzebuje i ona powinna mu dać to, czego ono chce.

Może jutro przy górskim potoku pojawiają się świeże zioła – to było coś, czego pragnęła każda ciężarna kobieta, szczególnie teraz, pod koniec zimy.

Piękne czarne włosy Morgiany były potargane w luźnym warkoczu, wyglądały, jakby ich nie czesała i nie splatała na nowo od tygodni. Teraz odeszła od kominka, wzięła z półki grzebień i zaczęła czesać jednego z małych pokojowych piesków Morgause. *Lepiej byś się zajęła czesaniem własnych włosów*, pomyślała Morgause, ale nic nie powiedziała. Ostatnio Morgiana była taka drażliwa, że nic jej nie można było powiedzieć. *Ale w jej stanie, tak blisko rozwiązania, to zupełnie normalne*, pomyślała, patrząc, jak młodsza kobieta przeciąga grzebień po psiej sierści. Piesek skomlał i wyrwał się, a Morgiana uciszała go głosem łagodniejszym niż ten, jakim ostatnio zwracała się do ludzi.

– To już nie powinno być długo, Morgiano – powiedziała Morgause uspokajająco. – Do Matki Boskiej Gromnicznej z pewnością już urodzisz.

– Nie mogę się doczekać – odparła Morgiana. Poklepała pieska i postawiła na podłodze. – No, teraz wyglądasz porządnie i możesz być między damami... jakiś ty śliczny z tą wyczesaną sierścią!

– Dorzucę do ognia – powiedziała jedna z kobiet, imieniem Beth, odkładając wrzeczono i wrzucając wełnę do koszyka. – Mężczyźni z pewnością niebawem wrócą, robi się ciemno. – Podchodząc do kominka, potknęła się o leżący na ziemi patyk i upadła. – Gareth, ty mały diabełku, czy w końcu pozbierasz te śmieci? – Wrzuciła patyk do ogniska, a pięcioletni Gareth, który cały czas przesuwiał patyczki i przemawiał do nich pod nosem, wydał z siebie dziki wrzask. To było jego wojsko!

– No, Gareth, jest noc i twoje zastępy muszą już iść do swoich namiotów – powiedziała szybko Morgiana.

Pochlipując, chłopczyk zsunął kupkę patyków do kąta, ale jeden czy dwa ostrożnie ułożył w fałdzie swojej tuniki. To były grubsze kijki, które Morgiana kilka miesięcy wcześniej

wyrzeźbiła tak, że przypominały ludzi w hełmach i zbrojach i miały tuniki zafarbowane na purpurowo sokiem z buraków.

– Zrobisz mi jeszcze jednego rzymskiego rycerza, Morgiano?

– Nie teraz, Gareth – powiedziała. – Ręce mnie bolą z zimna. Może jutro.

Gareth objął ją za kolana i marudził dalej:

– Kiedy ja będę na tyle duży, żeby iść na polowanie z ojcem i Agraveinem?

– Myślę, że dopiero za kilka lat – odpowiedziała Morgiana z uśmiechem. – Musisz być taki duży, żeby się nie zgubić w śnieżnej zaspie!

– Ja jestem duży! – powiedział, prostując się, jak tylko mógł.

– Patrz, kiedy siedzisz, to jestem nawet wyższy od ciebie! – Kopnął w krzesło. – Nic tu nie ma do roboty!

– Cóż – powiedziała Morgiana – zawsze mogę cię nauczyć prząść i wtedy nie będzie ci się nudzić.

Podniosła wrzeciono Beth i wyciągnęła w jego kierunku, ale skrzywił się i cofnął.

– Ja będę rycerzem! Rycerze nie przędą!

– A szkoda – powiedziała kwaśno Beth – bo jakby wiedzieli, jaka to ciężka praca, to może wtedy nie zdzieraliby tylu ubrań!

– A jednak był taki rycerz, który prządł, jak mówi baśń – powiedziała Morgiana, wyciągając ramiona do chłopczyka. – Chodź tutaj. Nie, usiądź na ławie, Gareth, jesteś już za ciężki, żeby cię trzymać na kolanach jak niemowlę przy piersi. To było w dawnych czasach, zanim nadeszli Rzymianie, żył rycerz imieniem Achilles i rzucono na niego czar. Stara wróżbitka powiedziała jego matce, że on zginie w bitwie, więc matka przebrała go w sukienki i ukryła między kobietami, gdzie nauczył się prząść, tkać i robić wszystko, co przystoi młodej pannie.

– I zginął w bitwie?

– Rzeczywiście, tak się stało. Bo kiedy miasto Troja było obleżone, zwołano wszystkich królów i rycerzy, by przyszli je zdobyć, i Achilles poszedł wraz z innymi. I był najbardziej waleczny ze wszystkich rycerzy. Podobno dano mu wybór, że może żyć długo i bezpiecznie, a potem umrzeć jako stary człowiek w swoim własnym łóżu i być zapomniany, lub też może mieć krótkie życie i zginąć młodo w wielkiej chwale. A on wybrał chwałę; i dlatego ludzie wciąż opiewają w swych sagach jego historię. Walczył z trojańskim rycerzem imieniem Hektor, co w naszym języku znaczy Ektoriusz...

– Czy to był ten sam rycerz Ektoriusz, który wychowywał naszego króla Artura? – spytał chłopczyk z szeroko otwartymi oczyma.

– Z pewnością nie ten sam, bo to się działo wiele setek lat temu, ale to mógł być jeden z jego pradziadów.

– Kiedy będę na dworze i będę rycerzem króla Artura – powiedział Gareth, a oczy miał już okrągłe jak spodki – będę najwaleczniejszy w bitwach, a w turniejach będę wygrywał wszystkie nagrody. Co się stało z Achillesem?

– Nie pamiętam, słyszałam to tak dawno, jeszcze na dworze Uthera – odparła Morgiana. Przyciskała dłonie do krzyża, jakby bolały ją plecy.

– Opowiedz mi o rycerzach króla Artura, Morgiano. Ty naprawdę widziałaś Lancelota, prawda? Ja też go widziałem tamtego dnia na koronacji. Czy on zabił wiele smoków? Powiedz mi, Morgiano...

– Nie dręcz jej, Gareth, ona źle się czuje – powiedziała Morgause. – Biegnij do kuchni i zobacz, może znajda tam dla ciebie kawałek placka.

Dziecko posmutniało, ale posłusznie odeszło, po drodze przemawiając półgłosem do swego wyrzeźbionego rycerza:

– Tak, sir Lancelocie. Wyruszamy, aby zabić wszystkie smoki z jeziora...

– Temu w głowie tylko bitwy i wojny – powiedziała zniecierpliwiona Morgause. – I ten jego wspaniały Lancelot, jakby nie dosyć było, że już Gawain walczy u boku Artura! Mam nadzieję, że kiedy Gareth dorośnie, to w kraju będzie już panował pokój!

– Będzie pokój – rzekła Morgiana jakby do siebie – ale to nie będzie miało znaczenia, bo on zginie z ręki swego najdroższego przyjaciela...

– Co?! – krzyknęła Morgause, ale oczy młodszej kobiety były nieobecne i nieprzytomne. Morgause potrząsnęła nią lekko i spytała: – Morgiano, Morgiano, jesteś chora?

Morgiana zamrugła i pokręciła głową.

– Przepraszam... co... co mówiłaś?

– Co ja do ciebie mówiłam? Raczej co ty mi powiedziałaś? – pytała Morgause, ale na widok zdziwienia w oczach Morgiany przeszedł ją dreszcz. Poglaskała dłoń siostrzenicy, starając się złożyć jej słowa na karb gorączki. – Chyba musiałaś zasnąć z otwartymi oczyma – dodała.

Stwierdziła, że nawet nie chce dopuścić do siebie myśli, iż Morgiana mogła mieć chwilę proroczego widzenia Wzrokiem.

– Musisz bardziej dbać o siebie, Morgiano, prawie nic nie jesz, nie sypiasz...

– Od jedzenia robi mi się niedobrze – powiedziała Morgiana z westchnieniem. – Gdyby tak było lato, mogłabym zjeść jakieś owoce... Wczoraj w nocy śniło mi się, że jem jabłka z Avalonu.. – Głos jej zadrżał i opuściła głowę, by Morgause nie dostrzegła wiszących na jej rzęsach łez. Ale zacisnęła pięści i nie rozplakała się.

– Wszystkim nam znudziły się solone ryby i wędzony boczek, Morgiano – powiedziała Morgause – ale jeśli Lotowi uda się polowanie, to musisz zjeść trochę świeżego mięsa.

Morgause pomyślała, że w Avalonie Morgiana nauczyła się ignorować głód, pragnienie i zmęczenie. Ale teraz, kiedy była ciężarna i powinna zapomnieć o surowej dyscyplinie, to jakby na przekór szczyciła się tym, że znosi wszystkie trudy bez narzekania.

– Ty jesteś doświadczoną kapłanką, Morgiano, przywykłaś do postów, ale twoje dziecko nie zniesie głodu i pragnienia, a ty jesteś stanowczo za chuda...

– Nie szydź ze mnie! – powiedziała Morgiana gniewnie, pokazując na swój niesłychanie wielki brzuch.

– Ale twoje ręce i twarz to skóra i kości – nalegała Morgause. – Nie wolno ci się tak głodzić, nosisz dziecko i musisz o nim myśleć!

– Będę się o nie troskać, jeśli ono zatroszczy się o mnie! – odparła Morgiana i gwałtownie wstała, ale Morgause chwyciła ją za ręce i posadziła z powrotem.

– Drogie dziecko, wiem, co przeżywasz, urodziłam aż czworo, pamiętasz? Te ostatnie dni są gorsze niż wszystkie poprzednie miesiące razem wzięte!

– Powinam się go była pozbyć, kiedy był po temu czas!

Morgause już otworzyła usta, by ją zganić, ale zamiast tego westchnęła i powiedziała:

– Teraz za późno mówić, że powinnaś była zrobić to czy tamto; jeszcze dziesięć dni i to się skończy. – Z fałd sukni wyjęła swój własny grzebień i zaczęła rozczesywać splątane włosy Morgiany.

– Zostaw – powiedziała Morgiana niecierpliwie, odsuwając głowę. – Jutro sama to zrobię. Byłam za bardzo zmęczona, żeby o tym myśleć. Ale skoro nie możesz już na mnie patrzeć w tym stanie, to dobrze, daj mi ten grzebień!

– Siedź spokojnie, *lennavan* – powiedziała Morgause. – Nie pamiętasz, że kiedy byłaś małą dziewczynką w Tintagel, to płakałaś, żebym to ja czesała twoje włosy, bo twoja niania... jak ona miała na imię?... A, już pamiętam, Gwennis, tak, na pewno. Ona cię ciągnęła za włosy, a ty wtedy mówiłaś: „Niech mnie czesze ciocia Morgause!” – Przeciągała grzebień przez każdy pukiel z osobna i czule gładziła głowę Morgiany. – Masz piękne włosy.

– Czarne i sztywne jak końska grzywa w zimie!

– Nie, delikatne jak wełna czarnej owcy i połyskliwe jak jedwab – powiedziała Morgause, wciąż głaszcząc ciemne pukle. – Siedź spokojnie, zaplotę je... Zawsze chciałam mieć córeczkę, żebym ją mogła ślicznie ubierać i zaplatać jej włosy, o tak... ale Bogini zesłała mi samych synów, więc to ty będziesz moją malutką córeczką, teraz, kiedy mnie potrzebujesz... – przyciągnęła ciemną głowę do swych piersi. Morgiana leżała tak, drżąc od łez, których nie mogła uronić.

– Już dobrze, dobrze, moja maleńka, nie płacz, to już niedługo, no, już dobrze... nie dbałaś o siebie, potrzebujesz matczynej opieki, moja maleńka...

– Bo... bo tu jest tak ciemno... tak tęsknię za słońcem...

– W lecie mamy więcej słońca niż potrzeba, jasno jest nawet o północy – powiedziała Morgause – i dlatego zimą słońca jest tak mało. – Morgianą wciąż wstrząsało niepohamowane łkanie, a Morgause tuliła ją, delikatnie kołyszając. – No już, maleńka, *lennavan*, no już... wiem, jak się czujesz... urodziłam Gawaina w najciemniejszym dniu zimy. Było ciemno i ponuro tak jak teraz, a ja miałam zaledwie szesnaście lat i byłam taka

przeżona, nic nie wiedziałam o rodzeniu. Żałowałam wtedy, że nie zostałam jako kapłanka w Avalonie albo na dworze Uthera, gdziekolwiek, byle nie tutaj. Lot wyjechał na wojnę, nienawidziłam swojego wielkiego ciała, cały czas chorowałam i bolał mnie krzyż, i byłam zupełnie sama, tylko z obcymi kobietami. Czy dasz wiarę, że przez całą zimę w tajemnicy trzymałam w łożu swoją starą lalkę i tuliłam ją, i co noc zasypiałam z płaczem? Takim byłam dzieckiem! Ty przynajmniej jesteś dorosłą kobietą, Morgiano.

– Wiem, że jestem za stara, żeby być taka dziecinna... – powiedziała Morgiana, przełykając łzy. Wciąż tuliła się do Morgause, która gładziła jej włosy.

– A teraz to dziecko, które urodziłam, zanim sama stałam się dorosłą kobietą, jest daleko i walczy z Saksonami – powiedziała. – A ty, którą trzymałam na kolanach jak laleczkę, będziesz miała swoje dziecko. O, wiedziałam, że mam ci o czymś powiedzieć: córka kucharki, Marged, wczoraj urodziła, to pewnie dlatego owsianka była dziś rano taka do niczego, więc będzie gotowa mamka dla twojego dziecka. Choć myślę, że kiedy je zobaczysz, to bez wątpienia sama będziesz je chciała wykarmić.

Morgiana zrobiła gest obrzydzenia, a Morgause się uśmiechnęła.

– Ja też tak czułam przed urodzeniem każdego z mych synów, ale kiedy tylko raz na nich spjrzałam, poczułam, że nigdy nie mogłabym ich wypuścić ze swoich ramion... Co ci jest, Morgiano?

– Bolał mnie plecy. Za długo siedziałam, to wszystko – powiedziała Morgiana i wstała z miejsca.

Zaczęła chodzić po komnacie, dłońmi podtrzymując dół kręgosłupa. Morgause w zamyśleniu zmrużyła oczy; tak, tak, od kilku dni wielki brzuch dziewczyny zsunął się trochę niżej, to już nie powinno być długo. Powinna kazać nanieść do komnaty kobiet świeżej trawy i porozmawiać z akuszerkami, żeby były w pogotowiu.

Drużyna Lota upolowała na wzgórzach jelenia. Zwierzę odarto ze skóry i wyczyszczono, teraz zapach pieczystego wypełniał cały zamek i nawet Morgiana nie odmówiła kawałka świeżej wątroby, ociekającej krwią. Wedle zwyczaju, takie przysmaki zostawiano dla tych kobiet, które akurat były przy nadziei.

Morgause widziała, jak Morgiana skrzywiła się ze wstrętem, ona sama tak robiła, kiedy kazano jej jeść podobne rzeczy, gdy była w ciąży. Ale Morgiana, tak jak czyniła to ona, jadła mimo obrzydzenia, jej ciało domagało się pożywienia, choć umysł się buntował.

Jednak później, kiedy mięso było już gotowe i roznoszono pokrajane płaty, Morgiana odmówiła. Morgause wzięła kawałek i położyła na talerzu Morgiany.

– Jedz – rozkazała. – Nie, Morgiano, posłuchasz mnie, nie wolno ci w ten sposób głodzić siebie i dziecka.

– Nie mogę – odparła Morgiana, ścisząc głos. – Zemdli mnie, odłóż je na bok, później się postaram zjeść.



– O co chodzi?

Morgiana spuściła głowę i wyszeptła:

– Nie mogę jeść... jeleniego mięsa... jadłam je wtedy, na ogniach Beltanu i teraz... mdli mnie od samego zapachu...

*A dziecko zostało poczęte podczas tego rytuału. Co ją tak trapi? To powinno być przecież przyjemne wspomnienie*, myślała Morgause, uśmiechając się na wspomnienie swej własnej inicjacji na ogniach Beltanu. Zastanawiała się, czy dziewczyna nie dostała się w ręce jakiegoś wyjątkowo brutalnego mężczyzny i nie przeżyła czegoś podobnego do gwałtu. To tłumaczyłoby jej rozpacz i niechęć do tej ciąży. Ale co się stało, to się nie odstanie, a Morgiana jest dostatecznie dorosła, by zrozumieć, iż nie wszyscy mężczyźni to brutale, nawet jeśli raz trafiła na takiego, który nie był ani delikatny, ani nie umiał się obchodzić z kobietami.

Morgause wzięła kawałek owsianego placka i umoczyła go w soku z pieczeni.

– A więc zjedz, chociaż to, w ten sposób skorzystasz z mięsa – powiedziała. – Zrobiłam ci też herbatę z pączków dzikiej róży, jest kwaśna i będzie ci smakowała. Pamiętam, jak w ciąży pragnęłam kwaśnych rzeczy.

Morgiana zjadła posłusznie i Morgause wydało się, że na jej policzki wystąpiły lekkie rumieńce. Skrzywiła się na kwaśny napój, ale mimo to wypła go duszkiem.

– To dziwne – powiedziała – nie smakuje mi, a jednak nie mogę przestać tego pić.

– Twoje dziecko tego potrzebuje – odparła Morgause poważnie. – Dzieci w łonie wiedzą najlepiej, co dla nich dobre, i domagają się tego.

Siedzący między myśliwymi Lot uśmiechnął się przyjaźnie do swej szwagierki.

– Stary, chudy zwierz, ale dobry obiad na zimowy wieczór – powiedział. – Cieszę się, że nie upolowaliśmy ciężarnej łani. Widzieliśmy nawet dwie czy trzy, ale rozkazałem moim ludziom, by je poniechali, nawet odwołałem psy. Chcę, żeby urodziły w spokoju, a ich czas już się zbliża, były takie ciężkie. – Ziewnął i podniósł Garetha, którego buzia świeciła się od sosu i tłuszczu. – Już niedługo będziesz na tyle duży, żeby polować z nami – powiedział. – Ty i mały diuk Kornwalii.

– Kto jest diukiem Kornwalii, ojczu? – spytał Gareth.

– No jak to, dziecko, które nosi Morgiana – odparł Lot i uśmiechnął się, widząc, jak Gareth wpatruje się w Morgianę.

– Nie widzę żadnego dziecka! Gdzie twoje dziecko, Morgiano?

Morgiana zaśmiała się zmieszana.

– W przyszłym miesiącu o tej porze pokażę ci je.

– Czy przyniesie ci je Panna Wiosna?

– Można tak powiedzieć – odparła, uśmiechając się mimo woli.

– A jak dziecko może być diukiem?

– Mój ojciec był diukiem Kornwalii. Ja jestem jego jedynym ślubnym dzieckiem. Kiedy Artur wstąpił na tron, oddał Tintagel naszej matce, Igrianie. Tak więc ja go odziedziczę, a potem moi synowie, jeśli ich będę miała.

Morgause, patrząc na nią, pomyślała: *Jej syn stoi bliżej tronu niż mój Gawain. Ja jestem rodzoną siostrą Igriany, a Viviana tylko siostrą przyrodnią, więc Gawain jest bliższy tronu niż Lancelot. Ale syn Morgiany będzie siostrzeńcem Artura. Ciekawe, czy Morgiana o tym myślała?*

– A więc bez wątplenia, Morgiano, twoje dziecko będzie księciem Kornwalii.

– Albo księżną – odparła Morgiana, znów się uśmiechając.

– Nie, mogę poznać po tym, jak je nosisz, szeroko i nisko, że to będzie syn – powiedziała Morgause. – Urodziłam czterech, poza tym patrzyłam na brzuchy moich dworek... – Złośliwie uśmiechnęła się do Lota i dodała: – Mój mążnek bardzo poważnie traktuje to stare powiedzenie, które mówi, że król winien być ojcem swego ludu!

– Uważam, że to dobrze, by moi prawowici synowie zrodzeni z mojej królowej mieli wielu przyrodnich braci – odparł Lot pogodnie. – Jak powiadają, bez braci plecy masz odkryte, a moich synów jest wielu... Szwagierko, czy nie zechcesz wziąć harfy i zagrać dla nas?

Morgiana odsunęła talerz z resztkami namoczonego placka.

– Za dużo zjadłam, by móc śpiewać – powiedziała i zaczęła znów przemierzać salę. Morgause widziała, jak dłońmi znowu podpira sobie plecy. Gareth uczeplił się jej sukni.

– Zaśpiewaj mi, Morgiano, zaśpiewaj mi o smoku!

– To jest za długie na dzisiaj, musisz się już kłaść – powiedziała, ale podeszła w kąt komnaty, wzięła niewielką harfę, która tam stała, i usiadła na ławie. Zagrała kilka dźwięków, schyliła się, by poprawić struny, a potem zaśpiewała rubaszną, wojskową pieśń biesiadną.

*Napadli w noc Saksoni wieś,*

*Gdy ludzi sen pomorzył.*

*Wybili białogłowy, bo*

*Woleli gwałcić kozy!*

– Tej pieśni z pewnością nie nauczyłaś się w Avalonie, szwagierko! – powiedział Lot ze śmiechem, kiedy Morgiana wstała, by odstawić harfę.

– Zaśpiewaj jeszcze – prosił Gareth, ale pokręciła głową.

– Brakuje mi tchu do śpiewu – powiedziała.

Postawiła harfę i wzięła kołowrotek, ale po chwili go odłożyła i znów zaczęła chodzić po sali.

– Co ci jest? – zapytał Lot. – Wiercisz się jak niedźwiedź w klatce.

– Bolał mnie plecy, kiedy siedzę – odparła – a od tego mięsa, które ciocia we mnie wmusiła, w końcu rozbolał mnie brzuch.

Chwyliła się za krzyż i nagle zgięła do przodu, jakby złapał ją skurcz; wydała głośny okrzyk, a Morgause spostrzegła, że jej długa suknia robi się ciemna i mokra poniżej kolan.

– O Morgiano, zmoczyłaś się! – krzyknął Gareth. – Jesteś za duża, żeby moczyć ubranie, moja niania by mnie za to zbiła!

– Cicho bądź, Gareth – powiedziała Morgause ostro i podbiegła do Morgiany, która wciąż stała pochylona z twarzą purpurową ze zdziwienia i wstydu.

– Już dobrze, Morgiano – powiedziała, biorąc ją pod ramię. – Czy boli cię tutaj? I tutaj? Tak myślałam. Po prostu już rodzisz, nie wiedziałaś o tym?

Ale skąd miała wiedzieć. To było jej pierwsze, a nigdy nie przysłuchiwała się opowieściom innych kobiet, więc nie mogła poznać objawów. Przez większość dnia musiała już odczuwać pierwsze bóle.

Morgause zawołała Beth i rozkazała:

– Zabierz księżniczkę Kornwalii do sali kobiet i zawołaj Megan i Branwen. I rozpuść jej włosy; nie może mieć na sobie nic splecionego ani związanego, na ubraniu też. – Potem zwróciła się do Morgiany, głaszcząc ją po głowie: – Żałuję, że nie wiedziałam o tym wcześniej, kiedy zaplatałam ci włosy. Zaraz tam przyjdę i zostanę przy tobie, Morgiano.

Patrzyła za wychodzącą dziewczyną, która ciężko opierała się na ramieniu Beth.

– Muszę iść i zostać przy niej – powiedziała do Lota. – To jej pierwszy raz i biedactwo będzie przerażone.

– Nie ma pośpiechu – odparł Lot chłodno. – Skoro to pierwsze, to będzie w połogu całą noc i będziesz jeszcze miała czas, żeby ją trzymać za rękę. – Uśmiechnął się do żony przymilnie. – Tak się śpieszysz, by rywal naszego Gawaina przyszedł na ten świat?

– Co masz na myśli? – spytała cicho.

– Tylko tyle, że Artur i Morgiana są z jednego łona i jej syn stoi bliżej tronu niż nasz.

– Artur jest młody – odrzekła zimno. – I ma dość czasu, by spłodzić cały tuzin synów. Skąd ta myśl, że będzie potrzebował innego dziedzica?

– Los jest przekorny. – Lot wzruszył ramionami. – Co prawda w bitwie życia Artura strzegą czary i nie wątpię, że Pani Jeziora ma z tym coś wspólnego, niech ją diabli, a Gawain jest aż nazbyt oddany królowi. Ale szczęście może się odwrócić od Artura i jeśli taki dzień by nadszedł, chciałbym być pewien, że Gawain stoi najbliżej tronu. Pomyśl dobrze, Morgause. Życie noworodka jest kruche. Możesz poprosić swoją Boginię, żeby mały diuk Kornwalii nie złapał drugiego oddechu.

– Jak mogłabym to zrobić Morgianie?! Ona jest dla mnie jak własna córka!

Lot czule ujął żonę pod brodę.

– Jesteś kochającą matką, Morgause, i nie chciałbym, byś była inna. Ale wątpię, czy Morgiana tak tęskni za tym, by trzymać w ramionach swe dziecko. Sam słyszałem, jak mówiła, że żałuje, iż się go nie pozbyła...

– Była chora i słaba – odparła Morgause ze złością. – Czy myślisz, że ja nie mówiłam tak samo, kiedy miałam już dość noszenia ciężkiego brzucha? Każda kobieta mówi podobne rzeczy w ostatnich tygodniach ciąży.

– Jednakowoż gdyby dziecko Morgiany urodziło się bez tchu, to nie myślę, by zbytnio rozpaczała. Ani, i to chcę podkreślić, nie powinnaś rozpaczać ty.

Morgause broniła siostrzenicy:

– Jest dobra dla naszego Garetha, robi mu zabawki, opiekuje się nim, opowiada bajki. Jestem pewna, że będzie tak samo dobrą matką dla swego dziecka.

– Jednak, powtarzam, nie jest w naszym interesie ani w interesie naszych synów, by Morgiana myślała o swym synu jako o dziedzicu Artura. – Objął żonę ramieniem. – Posłuchaj, skarbie, ja i ty mamy czterech synów i gdy dorosną, bez wątpienia rzucą się sobie do gardeł, bo Lothian to za małe królestwo na tyłu! Lecz gdyby Gawain był Najwyższym Królem, znalazłoby się dla nich wszystkich aż nadto ziem!

Powoli pokiwała głową. Lot nie darzył miłością Artura, tak samo jak wcześniej Uthera. Ale nie myślała, że jest aż tak bezwzględny.

– Czy prosisz mnie, bym zabiła jej dziecko, gdy wyjdzie z łona?

– Jest naszą krewną i moim gościem – powiedział Lot. – Zatem jest nietykalna. Nie ściągnę na siebie przekleństwa za bratobójstwo. Powiedziałem jedynie, że życie niemowląt jest kruche i trzeba się nimi bardzo troskliwie zajmować. A jeśli Morgiana nie będzie miała do tego głowy, możliwe, że nikt nie będzie miał czasu, by przypilnować dzieciaka.

Morgause zacisnęła zęby i odwróciła głowę.

– Muszę iść do mojej krewnej.

Lot uśmiechnął się za jej plecami.

– Dobrze rozważ, co powiedziałem, żono.

W komnacie na dole rozpalono ogień; w kotle gotowała się owsianka, bo szykowała się długa noc. Na podłodze rozrzucono świeże siano. Jak większość szczęśliwych matek, Morgause szybko zapomniała o trudach własnych porodów, ale na widok świeżego siana zacisnęła zęby i po jej plecach przebiegł dreszcz. Morgianę przebrano w luźną koszulę, rozpuszczone włosy luźno opadały na plecy. Chodziła w tę i z powrotem po komnacie, wsparta na ramieniu Megan. Panowała atmosfera święta, bo tak w istocie było dla pozostałych kobiet.

Morgause podeszła do siostrzenicy i wzięła ją pod ramię.

– Teraz możesz pochodzić trochę ze mną, a Megan pójdzie przygotować powijaki dla twego dziecka – powiedziała. Morgiana spojrzała na nią i Morgause pomyślała, że oczy

dziewczyny przypominają oczy zwierzęcia w potrzasku, które czeka, aż ręka myśliwego poderżnie mu gardło.

– Czy to długo potrwa, ciociu?

– Nie myśl o tym, co będzie – powiedziała Morgause czule. – Pomyśl raczej, skoro już musisz, że właściwie byłaś w położu przez większość dnia, więc teraz wszystko pójdzie o wiele szybciej.

Ale w duchu pomyślała: *Nie będzie jej łatwo, jest taka drobna, i niechętnie rodzi to dziecko. Bez wątpienia przed nią jeszcze długa, ciężka noc...*

Potem przypomniała sobie, że Morgiana ma dar Wzroku, więc nie ma sensu kłamać. Poklepała ją po bladym policzku.

– Nieważne, dziecinko, troskliwie się tobą zajmiemy. Przy pierwszym położu to zawsze trwa długo, bo dziecko nie chce opuścić ciepłego gniazdka, ale zrobimy wszystko, co tylko można. Czy ktoś przyniósł już do komnaty kota?

– Kota? Tak, jest tu kotka, ale po co, ciociu? – spytała Morgiana.

– Bo jeśli, moja maleńka, widziałaś kiedyś, jak kotka się koci, wiesz, że wydaje na świat dzieci, mrużąc, a nie płacząc z bólu, więc może przyjemność, jaką ona odczuwa przy rodzeniu, ulży twoim bólom – powiedziała Morgause, głaszcząc zwierzątko. – To takie porodowe zaklęcia, których może nie znacie w Avalonie. Teraz możesz usiąść i trochę odpocząć. Potrzymaj kotkę na kolanach.

Przez chwilę Morgiana spokojnie głaskała kotkę, ale wkrótce ponownie zwinęła się z bólu i Morgause kazała jej wstać i chodzić.

– Chodź tak długo, jak dasz radę, to wszystko przyspieszy.

– Jestem taka zmęczona, taka zmęczona... – poskarżyła się Morgiana, jęcząc cicho.

*Będziesz jeszcze bardziej zmęczona, zanim to się skończy*, pomyślała Morgause, ale nie powiedziała tego na głos, tylko objęła dziewczynę ramieniem.

– Oprzyj się o mnie, dziecinko... o tak.

– Tak mi przypominasz mamę... – powiedziała Morgiana, tuląc się do Morgause. Skrzywiła się, jakby miała się rozpłakać. – Tak bym chciała, żeby moja mama tu była... – Zamilkła i przygryzła wargę, jakby żałowała tej chwili słabości.

Zaczęła znów chodzić, chodzić w tę i z powrotem po pełnej kobiet komnacie.

Godziny ciągnęły się. Niektóre kobiety zasnęły, ale było ich wciąż dosyć, by na zmianę spacerować z Morgianą, która z biegiem czasu była coraz bledsza i bardziej przerażona. Słońce już wzeszło, a akuszerki wciąż nie pozwalały Morgianie położyć się na sianie, choć była tak zmęczona, że potykała się i ledwie powłóczyła nogami.

Czasem mówiła, że jej zimno, i otulała się grubym płaszczem, to znowu zrzucała okrycie, mówiąc, że płonie z gorąca. Co jakiś czas wymiotowała, aż w końcu wychodziła z niej tylko zielonkawa żółć.

Mimo to wciąż targały nią nudności, choć zmuszano ją do picia gorących wywarów z ziół, które połykała spragniona. Ale potem znów męczyły ją mdłości. Morgause obserwowała ją, powracając myślami do tego, co powiedział Lot. Zastanawiała się, czy cokolwiek, co zrobi, będzie miało znaczenie... bo Morgiana mogła w ogóle nie przeżyć tego połogu.

W końcu nie mogła już dłużej chodzić. Położono ją. Jęczała i gryzła wargi przy częstych skurczach. Morgause klęczała przy niej i trzymała ją za rękę. Godziny mijały. Długo po południu Morgause spytała cicho:

– Czy on... ojciec dziecka... był o wiele większy od ciebie? Czasem, jak dziecko tak długo nie może się urodzić, to znaczy, że wdało się w ojca i jest za duże dla matki.

Zastanawiała się teraz, tak jak i wcześniej, kto był ojcem tego dziecka? Widziała, jak Morgiana zerka na Lancelota na koronacji Artura. Jeśli Morgiana nosiła dziecko Lancelota, to by tłumaczyło, czemu Viviana była taka zła, że biedna Morgiana musiała uciekać z Avalonu...

Przez te wszystkie miesiące Morgiana nie wyjawiała ani powodu, dla którego opuściła świątynię, ani kto był ojcem, tyle tylko, że stało się to na ogniach Beltanu. Viviana tak dbała o Morgianę, że nie pozwoliłaby jej mieć dziecka z byle kim...

Ale jeśli Morgiana, buntując się przeciw wyznaczonemu jej losowi, wzięła sobie za kochanka Lancelota albo zwabiła go na ognie Beltanu, to mogłoby tłumaczyć, czemu ta wybrana przez Vivianę następczyni, dziedziczka Pani Jeziora, musiała uchodzić z Avalonu.

Teraz Morgiana odpowiedziała jedynie:

– Nie widziałam jego twarzy. Przyszedł do mnie jako Rogaty Pan.

Jednak Morgause wiedziała, czując swoim własnym, słabym darem Wzroku, że dziewczyna kłamie. Dlaczego?

Godziny się dłużyły. Raz Morgause wróciła do głównej sali, gdzie mężczyźni z drużyny Lota grali w kości. Lot przyglądał się grze, na jego kolanach siedziała jedna z młodszych dworek Morgause, a on bez żenady pieścił jej piersi. Kiedy Morgause weszła, dziewczyna speszyła się i chciała umknąć z jego kolan, ale Morgause wzruszyła tylko ramionami.

– Zostań, gdzie siedzisz, nie potrzebujemy cię między akuszerkami, a dziś w nocy muszę czuwać przy mej krewnej i nie mam głowy, by się z tobą spierać o miejsce w jego łożu. Jutro to co innego.

Młoda kobieta spłoniona spuściła głowę.

– I jak tam z Morgianą, skarbie? – spytał Lot.

– Niedobrze – opowiedziała Morgause. – Mnie nigdy nie było aż tak ciężko... – I dopiero wtedy wybuchnęła z wściekłością: – Czy rzuciłeś na nią urok, by nigdy nie wstała z połogu!?

Lot potrząsnął głową.

– To ty się znasz na czarach i urokach, pani. Nie życzę Morgianie źle. Bóg świadkiem, to byłaby wielka strata, taka ładna kobieta. Morgiana jest piękna, ma jednak taki cięty język! Ale to już wasza rodzinna cecha, prawda, kochanie? Lecz to jedynie dodaje potrawie pieprzu...

Morgause uśmiechnęła się do męża. Choćby wybierał sobie do łoża śliczniutkie zabawki – a dziewczyna na jego kolanach była tylko jedną z nich – ona wiedziała, że jej pozycja jest pewna.

– Gdzie jest Morgiana, mamó? – spytał Gareth. – Powiedziała, że dzisiaj zrobi mi nowego rycerza do zabawy!

– Jest chora, syneczku. – Morgause westchnęła głęboko, przybita smutkiem.

– Wkrótce wyzdrowieje – powiedział Lot – a wtedy będziesz miał małego kuzyna, z którym będziesz się bawił. On będzie twoim przybranym braciszkiem i przyjacielem. Jak to mówią, więzy krwi trwają przez trzy pokolenia, a przyjaźni, przez siedem. A skoro syn Morgiany będzie dla ciebie tym i tym, to znaczy więcej nawet niż prawdziwym bratem.

– Będę bardzo szczęśliwy, kiedy będę miał przyjaciela – powiedział Gareth. – Bo Agravein się ze mnie śmieje i nazywa mnie głupim dzieciakiem, i mówi, że jestem za duży na drewnianych rycerzyków!

– Cóż, syn Morgiany będzie twoim przyjacielem, dopiero kiedy trochę podrośnie – powiedziała Morgause. – Najpierw będzie jak szczeniaczek z zamkniętymi oczkami, ale za rok czy dwa już będziesz się mógł z nim bawić. Bogini słucha modlitw małych dzieci, synku, więc teraz musisz się modlić do Bogini, żeby cię wysłuchała i dała Morgianie silne i zdrowe dziecko, a nie przychodziła do niej jako Śmierć Kostucha... – I nagle Morgause się rozplakała.

Gareth patrzył na matkę zdziwiony, a Lot spytał:

– Czy jest aż tak źle, kochanie?

Morgause potaknęła. Ale nie chciała straszyć synka. Otarła łzy rękawem. Gareth wznosił oczy w górę i powiedział:

– Proszę cię, droga Bogini, daj mej cioci Morgianie silnego synka, żebyśmy mogli razem rosnąć i być rycerzami.

Mimo woli Morgause roześmiała się i pogłaskała jego pulchne policzki.

– Jestem pewna, że takiej prośby Bogini musi wysłuchać. Teraz muszę wrócić do Morgiany.

Kiedy wychodziła z sali, czuła na plecach wzrok Lota i przypomniała sobie to, co mówił wcześniej: że dla nich byłoby lepiej, gdyby syn Morgiany nie przeżył.

*Powinnam być szczęśliwa, jeśli choć Morgiana wyjdzie z tego żywa*, pomyślała i po raz pierwszy naprawdę pożałowała, że nauczyła się tak niewiele z wielkiej magicznej sztuki Avalonu, bo teraz tak potrzebowała jakiegoś amuletu czy zaklęcia, by pomóc Morgianie.

Ona tak cierpiała, tak bardzo cierpiała... jej własne porody były niczym przy tym położeniu...

Wróciła do komnaty kobiet. Teraz położne kazały Morgianie uklęknąć, by pomóc dziecku wyjść z łona. Podtrzymywały ją, ale zwisała na ich ramionach jak martwa kukielka. Co chwilę krzyczała, a potem znów przygryzała wargi, starając się być dzielna. Morgause

podeszła i klękła przy niej na zakrwawionym sianie. Wyciągnęła ręce i Morgiana chwyciła się ich kurczowo, patrząc na Morgause nieprzytomnym wzrokiem.

– Mamo! – krzyknęła w głos. – Mamo! Wiedziałam, że przyjdiesz!

Potem znów wstrząsnęły nią konwulsje, odrzuciła głowę do tyłu, usta wykrzywił niemy krzyk.

– Trzymaj ją, pani, nie, nie tak, z tyłu pleców, trzymaj ją prosto!

Podtrzymując Morgianę, Morgause czuła, jak ciało dziewczyny wije się, drga, trzęsie, stara się wyrwać z objęć. Morgiana nie była już dłużej w stanie im pomagać, ani nawet ułatwiać tego, co musiały czynić. Krzyczała przy każdym dotknięciu. Morgause nie mogła na to patrzeć. Zamknęła oczy, podtrzymując drgające ciało Morgiany, która krzyknęła strasznym głosem:

– Matko! Matko!!

Morgause nie wiedziała, czy Morgiana wzywa Igrianę, czy samą Boginię. Potem opadła bez siły w ramiona Morgause, lecz nie straciła przytomności. Pokój wypełnił ostry zapach krwi, a Megan trzymała coś ciemnego i skręconego.

– Pani Morgiano, patrz! – powiedziała. – Masz pięknego syna.

Megan pochyliła się i dmuchnęła dziecku w usta. Rozległ się ostry, niezadowolony krzyk, wrzask noworodka trzęsącego się ze złości na ten zimny świat, na który musiał przyjść.

Ale Morgiana leżała w objęciach Morgause całkowicie wyczerpana i nie miała nawet siły otworzyć oczu, by spojrzeć na dziecko.

Niemowlę umyto i zawinięto. Morgiana przełknęła kubek gorącego mleka z miodem i ziołami tamującymi krwawienie i teraz leżała bez ruchu, wycieńczona. Nawet nie zareagowała, kiedy Morgause pochyliła się, by pocałować ją w czoło.

Będzie żyć i wyzdrowieje, choć Morgause nigdy nie widziała, żeby i matka, i dziecko przeżyli tak niesłychanie ciężki połów. Jedna z akuserek powiedziała, że po tym wszystkim, co musiały zrobić, żeby to dziecko przyszło na świat, wątpliwe jest, by Morgiana kiedykolwiek mogła mieć następne.

Morgause pomyślała, że może to i lepiej. Doskonale wiedziała, że jej własne porody, które wcale nie były łatwe, były niczym przy porożu Morgiany.

Podniosła zawinięte dziecko i przyglądała się malutkiej twarzyczce. Oddychał równo, choć czasami, kiedy dziecko nie krzyknęło zaraz po wyjściu na świat i trzeba mu było dmuchać w usta, to później oddech mu się zatrzymywał i umierało. Ale niemowlę było zdrowo różowe, nawet maleńkie paznokietki miało różowe. Czarne włoski, zupełnie proste i delikatne, pokrywały maleńkie rączki i nóżki. Tak, ten mały urodził się z czarownej krwi. Jak Morgiana. No, faktycznie mógł być synem Lancelota, a zatem stał podwójnie blisko Arturowego tronu.



Natychmiast trzeba dać dziecko mamce... lecz Morgause zawahała się. Bez wątpienia, gdy tylko trochę odpocznie, Morgiana będzie chciała sama trzymać i karmić małego; tak jest zawsze, nieważne, jak ciężki był poród. A nawet wydaje się, że w im większych bólach kobieta rodzi, z tym większą radością karmi niemowlę; im większe cierpienie, tym większa miłość i szczęście, kiedy dziecko znajdzie się przy jej piersi.

Jednak po chwili, wbrew własnej woli, Morgause pomyślała o słowach Lota: *Jeśli chcę widzieć mojego Gawaina na tronie, to dziecko stoi mu na drodze*. Nie chciała słuchać, kiedy to mówił, ale teraz, kiedy już trzymała niemowlę w ramionach, nie mogła się powstrzymać przed myślą, że nie byłoby źle, gdyby niańka niechący je podduśła albo gdyby okazało się za słabe, by ssać. A jeśli Morgiana nigdy go sama nie nakarmi i nie weźmie w objęcia, nie będzie czuła takiej rozpaczy; jeśli wolą Bogini byłoby, żeby nie przeżył...

*Chcę jej tylko zaoszczędzić smutku...*

Dziecko Morgiany, prawdopodobnie z Lancelotem, oboje z królewskiej linii Avalonu... gdyby Arturowi coś się stało, lud zaakceptuje to dziecko na jego tronie...

Ale nie była nawet pewna, że jest to syn Lancelota.

I choć Morgause urodziła czterech synów, to właśnie Morgiana była dziewczynką, którą pieściła i bawiła się jak laleczką, nosiła na rękach, czesała jej włoski, ubierała ją i kupowała jej podarki. Czy mogłaby to zrobić dziecku Morgiany? Kto powiedział, że Artur nie będzie miał tuzina własnych synów ze swoją królową, kimkolwiek ona będzie?

Ale syn Lancelota... tak, syna Lancelota mogłaby narazić na śmierć bez mrugnięcia. Lancelot nie był bliższym krewnym Artura niż Gawain, a jednak Artur wołał tamtego i ze wszystkim zwracał się do Lancelota. Tak jak ona sama zawsze stała w cieniu Viviany jako niechciana siostra, pominięta w wyborze na Najwyższą Królową.

Nigdy nie zapomniała Vivianie, że to Igrianę wybrała dla Uthera.

I tak samo teraz wierny Gawain będzie zawsze stał w cieniu dwornego Lancelota. Jeśli Lancelot zabawił się Morgianą lub pohańbił ją, tym większy powód, by go nienawidzić.

Nie było jednak powodu, by Morgiana musiała rodzić nieślubnego syna Lancelota w tajemnicy i smutku. Czy może Viviana uważała, że jej bezcenny synalek jest za dobry dla Morgiany? Morgause widziała, że przez te wszystkie długie miesiące Morgiana popłakiwała, ale w wielkim sekrecie; czy była porzucona i chora z miłości?

*Viviana, przeklęta, zawsze wykorzystuje innych! Popchnęła Igrianę w ramiona Uthera i nawet nie pomyślała o Gorloisie. Zabrała Morgianę do Avalonu; czy jej też zmarnuje życie?*

Gdybyż tylko miała pewność, że to syn Lancelota!

Tak jak wcześniej żałowała, że nie zna na tyle zaklęć, by ulżyć Morgianie w połogu, tak teraz znów żałowała, że tak mało zna się na czarach. Kiedy mieszkała w Avalonie, nie miała ani chęci, ani cierpliwości, by uczyć się sztuki Druidów. Mimo wszystko jednak, jako wychowanka Viviany, nauczyła się trochę od kapłanek, które ją rozpieszczały i chcąc ją zabawić, pokazywały jej różne magiczne zaklęcia i czary.

Teraz ich użyje. Zamknęła drzwi komnaty i na nowo rozpałała ogień. Wyrwała trzy włoski z główki noworodka i pochylając się nad śpiącą Morgianą, ucięła jej kilka włosów. Ukłuła paluszek dziecka swoją szpilką do włosów, tuląc go i kołysząc, by uciszyć bezbronne kwilenie. Potem wypowiadając sekretne zaklęcie, którego się nauczyła, wrzuciła do ognia zroszone krwią dziecka włosy i magiczne zioła.

W ciszy wstrzymywała oddech. Płomienie wiły się i trzeszczały, potem opadły. Przez chwilę patrzyła na nią twarz, młoda twarz okolona jasnymi włosami, cień poroża padał na oczy błękitne jak oczy Uthera...

Morgiana mówiła prawdę, kiedy powiedziała, że przyszedł do niej jako Rogaty Bóg; a jednak skłamała... przecież musiała wiedzieć...

A więc urządzili Arturowi rytuał Wielkiego Związku przed oficjalną koronacją. Czy to też zaplanowała Viviana? Dziecko poczęte z dwóch królewskich rodów?

Coś poruszyło się za jej plecami. To Morgiana z trudem podniosła się na nogi i stała, wspierając się na poręczy łoża. Twarz miała śmiertelnie bladą.

Prawie nie poruszała ustami, tylko jej oczy, głęboko zapadłe od cierpienia, przeskakiwały od ognia ku służącym do czarów rzeczom leżącym przed kominkiem.

– Morgause – powiedziała – przysięgnij jeśli mnie kochasz, przysięgnij, że nie powiesz o tym ani Lotowi, ani nikomu innemu! Przysięgnij to albo przeklnę cię wszystkimi klątwami, jakie znam!

Morgause położyła dziecko do kołyski i odwróciła się do Morgiany, Wzięła ją pod ramię i zaprowadziła z powrotem do łoża.

– Chodź, połóż się, odpocznij, maleńka. Musimy o tym porozmawiać. Artur! Dlaczego? Czy to sprawka Viviany?

Ale Morgiana powtarzała coraz bardziej wzburzona:

– Przysięgnij, że nikomu nie powiesz! Przysięgnij, że nigdy więcej o tym nie wspomnisz! Przysięgnij! Przysięgnij!

Jej oczy dziko błyszczały. Morgause przestraszyła się, że podniecenie może wywołać gorączkę.

– Morgiano, dziecko...

– Przysięgnij! Albo przeklnę cię na wiatr i ogień, morze i kamień...

– Nie! – przerwała jej Morgause, biorąc ją za rękę i próbując uspokoić. – Już dobrze. Przysięgam. Przysięgam.

Wcale nie chciała przysiąc. Myślała: Powinnam odmówić, powinnam porozmawiać o tym z Lotem... ale już było za późno, teraz już przysięgła... a Morgause nie miała ochoty być przeklętą przez kapłankę Avalonu.

– Teraz leż spokojnie – powiedziała cicho. – Musisz spać, Morgiano.

Młoda kobieta zamknęła oczy, a ona siedziała, głaszcząc jej dłoń i rozmyślając: *Cokolwiek się stanie, Gawain jest rycerzem Artura. Lot nic by nie zyskał, mając Gawaina na*

*tronie. Ale ten mały, nieważne, ilu jeszcze synów będzie miał Artur, ten jest pierworodny. Artur był wychowany na chrześcijanina i wielką do tej wiary przykłada wagę; dziecko z kazirodzkiego związku uważałby za hańbę. A dobrze jest znać taki brudny sekret króla. Również w przypadku Lota, choć dobrze mu życzę, starałam się, by wiedzieć o niektórych szczegółach jego grzechów i rozpusty.*

Dziecko w kołysce obudziło się i zapłakało. Morgiana, jak wszystkie matki, otworzyła oczy na dźwięk płaczu swego dziecka. Była zbyt słaba, by się poruszyć, ale wyszeptała:

– Moje dziecko, czy to moje dziecko? Morgause, chcę mojego dziecka.

Morgause pochyliła się i już miała położyć zawiniątko w jej ramionach, lecz zawahała się. Jeśli Morgiana raz weźmie dziecko, będzie je chciała nakarmić, pokocha je, będzie jej na nim zależało.

Ale gdyby go oddać mamce, zanim choć raz na niego spojrzy... to wtedy może wcale nic do niego nie czuć, a mały stanie się dzieckiem swych przybranych rodziców. Nie byłoby źle, gdyby dziedzic Artura, którego ten nie będzie śmiał uznać, największą lojalność odczuwał wobec Lota i Morgause, uważał ich za swych prawdziwych rodziców; dobrze by było, gdyby synowie Lota byli jego braćmi bardziej niż synowie Artura z prawego łóża, jeśli będzie ich miał...

Po twarzy Morgiany spływały łzy. Błagała:

– Daj mi moje dziecko, Morgause, pozwól mi wziąć moje dziecko. Chcę mojego dziecka...

Morgause odpowiedziała łagodnie, lecz zdecydowanie:

– Nie, Morgiano, jesteś za słaba, by go trzymać i karmić i... – szybko pomyślała o kłamstwie, w które nie obeznana w sprawach niemowląt dziewczyna łatwo by uwierzyła. – Jeśli choć raz go weźmiesz, to potem nie będzie chciał ssać mamki, więc go trzeba oddać od razu. Będiesz go mogła trzymać, kiedy trochę wrócisz do sił, a on będzie najedzony.

I choć Morgiana wciąż błagała i szlochając, wyciągała ramiona, Morgause wyniosła niemowlę z komnaty. *Teraz, pomyślała, to będzie wychowanek Lota. A my zawsze będziemy mieć broń przeciwko Najwyższemu Królowi. Zadbłam o to, że kiedy Morgiana wyzdrowieje, nie będzie do niego przywiązana i z zadowoleniem zostawi mi go na wychowanie.*

## 2

Gwenifer, córka króla Leodegranza, siedziała na wysokim murze okalającym ogród. Obiema rękami mocno trzymała się kamieni i obserwowała konie na wybiegu po drugiej stronie muru.

Dochodził do niej słodki zapach kuchennych i leczniczych ziół, z których żona jej ojca robiła medykamenty i napary. Ogród był jednym z jej ulubionych miejsc, może nawet było to jedyne miejsce poza domem, które Gwenifer naprawdę lubiła. Zwykle czuła się bezpieczniej w środku albo w dokładnie otoczonym miejscu. Mur ogrodu kuchennego sprawiał, że było tu prawie tak bezpiecznie, jak w samym zamku. Tu z góry mogła widzieć daleko, aż za dolinę, tyle tego było, przestrzeń rozciągała się dalej, niż mogła sięgnąć wzrokiem... Gwenifer na chwilę znów spojrzała do wewnątrz bezpiecznego ogrodu, bo ręce jej zdrętwiały i poczuła ten ucisk w gardle.

Tutaj, na murze okalającym jej własny ogród, było bezpiecznie.

Gdyby tylko poczuła duszący lęk, mogła się odwrócić, zejść z muru i znów być bezpieczna w zaciszu ogrodu.

Kiedy próbowała to kiedyś wytłumaczyć, żona jej ojca, Alienora, spytała zrozpaczona:

– Ale bezpieczna od czego, dziecko? Saksoni nigdy nie zapuszczają się tak daleko na zachód. Jesteśmy na wzgórzu, możemy ich dostrzec na wiele mil stąd, gdyby spróbowali przyjść. Na Boga! to właśnie ten rozległy widok sprawia, że jesteśmy bezpieczni.

Gwenifer nigdy nie mogła im wytłumaczyć. To, co oni mówili, brzmiało rozsądnie. Jak mogła powiedzieć rozsądnej i praktycznej Alienorze, że przeraża ją właśnie ciężar tego ogromnego nieba i tej szerokiej przestrzeni? Nie było się czego bać. To było głupie, żeby się bać.

A jednak nie mogła nic poradzić na to, że jej oddech stawał się krótki, zaczynała się dusić, idące od żołądka odrętwienie ogarniało całe jej ciało, spocone dłonie traciły czucie. Wszyscy się o nią martwili, ksiądz powtarzał jej, że tam na zewnątrz są tylko piękne ziemie stworzone przez Boga, ojciec wrzeszczał, że pod swoim dachem nie chce słyszeć o tych babskich bzdurach, więc nauczyła się nigdy o tym nie wspominać. Tylko w klasztorze ją rozumiano. Och, kochany klasztor, tam czuła się bezpieczna jak myszka w norce i nie musiała nigdy, przynigdy wychodzić, chyba że do otoczonego murem ogrodu. Tak by chciała tam wrócić, ale teraz była dorosłą kobietą, a macocha miała małe dzieci i potrzebowała jej pomocy.

Myśl o małżeństwie też ją przerażała. Ale wtedy przynajmniej będzie miała swój własny dom, gdzie będzie mogła robić to, co jej się podoba, bo ona będzie panią. I nikt się nie odważy z niej wyśmiewać!

W dole biegały konie, ale oczy Gwenifer były zwrócone na młodego, szczupłego mężczyznę z ciemnymi lokami, odzianego w purpurę, który stał między końmi. Był tak zwinnie, jak same zwierzęta. Rozumiała, czemu Saksoni nadali mu to imię: Elfia Strzała. Ktoś jej szepnął, że on naprawdę ma w sobie czarownicą krew.

Nazywał siebie Lancelotem z Jeziora. To jego widziała nad tym zaczarowanym jeziorem owego potwornego dnia, kiedy się zgubiła.

Był w towarzystwie tej strasznej kobiety.

Lancelot złapał konia, którego sobie upatrzył, kilku ludzi jej ojca wykrzykiwało ostrzeżenia, a Gwenifer wstrzymała oddech. Sama miała ochotę krzyknąć ze strachu. Ten koń nie pozwalał się dosiąść nawet królowi, tylko jednemu czy dwóm swoim opiekunom.

Lancelot ze śmiechem zbył ich okrzyki. Pozwolił, by trener potrzymał konia, kiedy on go siodłał. Słyszała jego wesoły głos.

– Co by dała jazda na damskiej klaczy, którą każdy może poprowadzić muśnięciem pejczy? Chcę, żebyście zrozumieli: z tak umocowanymi strzemionami mogę zmusić do posłuszeństwa najdzikszego konia, jakiego macie, i zrobić z niego bitewnego rumaka! O, w ten sposób. – Włożył stopę w coś pod brzuchem konia i wskoczył na niego, przytrzymując się tylko jedną ręką. Koń stanął dęba; Gwenifer patrzyła z otwartymi ustami, jak Lancelot przywarł do jego grzbietu, zmuszając konia do posłuszeństwa. Narowisty rumak wyrwał się, rzucał na boki, a Lancelot gestem nakazał jednemu ze stajennych, by podano mu długą pikę.

– Teraz patrzcie! Przypuśćmy, że ten snop siana to saksoński wojownik, co napiera na mnie tym swoim wielgachnym mieczem...

Puścił konia pędem w dół wybiegu; inne konie rozbiegły się, kiedy nadjechał i w biegu nabił na pikę snopek siana. Potem wyciągnął z pochwy miecz i zataczał nim wokół siebie wielkie koła, puszczając konia w galop. Nawet król cofnął się, gdy tak gnał w jego stronę. Zatrzymał konia w miejscu, tuż przed królem, zsiadł i skłonił się.

– Panie! Proszę o pozwolenie trenowania koni i ludzi, byś mógł ich poprowadzić do walki, gdy Saksoni znów nadejdą, byśmy ich pokonali, tak jak w Lasach Celidonu zeszłego lata. Odnosimy zwycięstwa, ale pewnego dnia będzie ogromna bitwa, która po wsze czasy rozsądzi, czy tą ziemią zawładną Saksoni czy Rzymianie.

Ćwiczymy wszystkie nasze konie, ale twoje, panie, są lepsze od tych, które możemy kupić lub wyhodować.

– Nie przysięgałem wierności Arturowi – odparł jej ojciec. – Z Utherem to było co innego. To był zaprawiony wojownik i człowiek Ambrozjusza. Artur to jeszcze chłopiec...

– Wciąż tak myślisz, panie, po tych wszystkich bitwach, które wygrał? – spytał Lancelot.  
– Utrzymuje swój tron już od ponad roku, jest twym Najwyższym Królem, panie. Czy przysięgałeś czy nie, każda bitwa z Saksonami, którą on wygrywa, chroni także ciebie. Ludzie i konie, chyba nie prosi o zbyt wiele?

Leodegranz skinął głową.

– To nie miejsce, by dyskutować o sprawach królestwa, sir Lancelocie. Widziałem, czego potrafisz dokonać z koniem. Jest twój, mój gościu.

Lancelot skłonił się nisko i dwornie podziękował królowi, lecz Gwenifer widziała, że oczy śmieją mu się z radości jak małemu chłopcu. Zastanawiała się, ile mógł mieć lat.

– Pójdź ze mną do zamku – powiedział jej ojciec. – Napijemy się, a ja ci złożę propozycję.

Gwenifer zsunęła się z muru i pobiegła przez ogród do kuchni, gdzie żona jej ojca doglądała kuchennych kobiet.

– Pani, mój ojciec nadchodzi z wysłannikiem Najwyższego Króla, Lancelotem. Będą chcieli jadła i wina.

Alienora rzuciła jej zdziwione spojrzenie.

– Dziękuję ci, Gwenifer. Idź i oporządź się, to podasz wino. Ja jestem zbyt zajęta.

Gwenifer pobiegła do swojej komnaty. Na prosty fartuszek, który miała na sobie, założyła swą najlepszą szatę, na szyi zawiesiła sznur koralii. Rozpuściła włosy i pozwoliła im swobodnie opaść na plecy.

Wiły się od ciasnych splotów. Założyła też swój mały złoty diadem i zeszła na dół, poruszając się lekko małymi kroczkami. Wiedziała, że w tej błękitnej szacie jest jej najładniej, ładniej niż w najdroższych nawet strojach.

Napełniła miednicę ciepłą wodą z kotła wiszącego nad ogniem i wrzuciła do niej płatki róż. Weszła do głównej sali w tej samej chwili, co jej ojciec i Lancelot. Postawiła miednicę, wzięła od nich płaszcze i powiesiła na kołku, potem podała im ciepłą, pachnącą wodę do umycia rąk. Lancelot uśmiechnął się i zrozumiała, że ją rozpoznał.

– Czy my nie spotkaliśmy się na Wyspie Księży, pani?

– Znasz mą córkę, sir?

Lancelot przytaknął, a Gwenifer odezwała się cichutkim, zawstydzonym głosem – już dawno odkryła, że ojciec nie lubi, kiedy odzywa się zbyt śmiało.

– Ojczy, pan wskazał mi drogę do mego klasztoru, kiedy się zgubiłam.

Leodegranz uśmiechnął się do niej z pobłażaniem.

– Moja mała trzpiotka, kiedy tylko oddali się od własnych drzwi na trzy kroki, zaraz się gubi. I cóż, sir Lancelocie, co myślisz o moich koniach?

– Już mówiłem, panie, są lepsze od wszystkich, które możemy kupić czy wyhodować – powiedział. – Mamy trochę koni z ziem Maurów, z dalekiej Hiszpanii. Skrzyżowaliśmy je z naszymi kucami, więc mamy konie, które są mocne i wytrzymują nasz klimat, a przy tym są zwinne i dzielne. Ale trzeba ich więcej. Tylu nie zdołamy wyhodować. Ty masz więcej, niż ci potrzeba, panie, a ja mogę ci pokazać, jak je wyćwiczyć i prowadzić do walki...

– Nie – przerwał mu król. – Jestem starym człowiekiem i nie mam ochoty uczyć się nowych bitewnych metod. Byłem żonaty cztery razy, ale moje żony rodziły tylko chorowite dziewczynki, z których większość umierała, zanim je odstawiono od piersi, a kilka nawet, zanim je ochrzczono. Mam córki: kiedy wydam najstarszą, to jej małżonek poprowadzi do walki moich ludzi i konie i będzie je sobie mógł ćwiczyć, jak mu się podoba. Powiedz swemu królowi, żeby tu przyjechał, to o tym porozmawiamy.

Lancelot odpowiedział dość sztywno:

– Jestem kuzynem i kapitanem wojsk mego pana Artura, lecz nawet ja nie rozkazuję mu, gdzie ma jechać i co robić.

– A więc poproś go łaskawie, by odwiedził starego człowieka, który nie może już oddalać się od swego ogniska – odrzekł król kwaśno. – Jeśli nie przyjedzie dla mnie, to może przyjedzie dowiedzieć się, komu powierzę moje konie i zbrojnych ludzi.

– Bez wątpienia tak uczyni. – Lancelot skłonił się.

– No, dosyć już o tym. Córko, nalej nam wina – powiedział król, a Gwenifer podeszła nieśmiało i napełniła ich kubki. – A teraz zmykaj, dziewczyno, muszę porozmawiać z moim gościem.

Odprawiona Gwenifer czekała w ogrodzie, aż jeden ze sług nie wyszedł po konia i zbroję Lancelota. Pod drzwiami podprowadzono konie: tego, na którym przyjechał, i tego, którego podarował mu jej ojciec. Ukryta w cieniu obserwowała, jak odjeżdża. Potem wyszła z cienia i czekała. Serce jej łomotało – czy nie uzna jej za zbyt śmiałą?

Ale na jej widok uśmiechnął się, a ten uśmiech zapadł jej w samo serce.

– Nie lękasz się tego wielkiego narowistego konia, panie?

Lancelot potrząsnął głową.

– Pani, myślę, że nie ma na świecie takiego konia, którego nie mógłbym dosiąść.

– Czy to prawda, że rzucasz na konie swoje czary? – spytała prawie szeptem.

Odrzucił głowę, zanosząc się śmiechem.

– Ależ skądże, pani! Nie znam czarów. Lubię konie i rozumiem je, wiem, jak myślą, to wszystko. Czy wyglądam na czarownika?

– Ale... powiadają, że masz czarownicą krew – powiedziała, a jego śmiech zabrzmiał teraz groźnie.

Odparł:

– Moja matka rzeczywiście pochodzi z ludu, który ongiś panował na tych ziemiach, na długo przedtem, nim przybyli tu Rzymianie, nawet wcześniej niż Plemiona z północy. Jest kapłanką na wyspie Avalon i wielce uczoną kobietą.

– Rozumiem, że nie chcesz źle mówić o swej matce – powiedziała Gwenifer – ale siostry z Ynis Witrin mówiły, że kobiety z Avalonu to złe wiedźmy, które służą diabłu...

Zdecydowanie pokręcił głową, wciąż poważny.

– To nieprawda. Nie znam dobrze mej matki. Byłem wychowany gdzie indziej. Lękam się jej tak samo, jak ją kocham. Ale mogę cię zapewnić, że nie jest czarownicą. Posadziła mego pana Artura na tronie, dała mu miecz, by mógł pokonać Saksonów. Czy to ci się wydaje złem? A jeśli idzie o jej magię, tylko głupcy uważają, że jest czarownicą. Ja myślę, że kobieta powinna być mądra.

Gwenifer zwiesiła głowę.

– Ja nie jestem mądra. Jestem bardzo głupia. Nawet u sióstr nauczyłam się jedynie czytać z książki do nabożeństwa, bo powiedzieli, że to mi wystarczy, i jeszcze tego, czego uczy się kobiety: o gotowaniu, o ziołach, medykamentach i opatrywaniu ran...

– Dla mnie to wszystko byłoby większą sztuką niż trenowanie koni, które ty uważasz za czary – powiedział Lancelot z szerokim uśmiechem. Potem wychylił się z siodła i dotknął jej policzka. – Jeśli Bóg pozwoli, a Saksoni nie zaatakują jeszcze przez kilka miesięcy, znów cię zobaczę, kiedy przybędę tu z orszakiem Najwyższego Króla. Zmów za mnie modlitwę, pani.

Odjechał, a Gwenifer stała, patrząc za nim z bijącym sercem. Tym razem to uczucie było jednak prawie przyjemne. On znowu przyjedzie. Chce znów przyjechać. A jej ojciec sam powiedział, że będzie wydana za kogoś, kto potrafi poprowadzić konie i ludzi do walki.

Któż mógł być lepszy niż królewski kuzyn i dowódca wojsk? Czy ojciec myślał więc, by ją wydać za Lancelota? Poczula, że rumieni się ze szczęścia i radości. Po raz pierwszy w życiu czuła się śliczna, mądra i dzielna.

Ale w zamku ojciec powiedział:

– Przystojny mężczyzna ten Elfia Strzała i sprytny przy koniach. Ale grubo za przystojny, by być czymś więcej.

Gwenifer sama zdziwiła się swoją śmiałością, gdy odpowiedziała:

– Najwyższy Król uczynił go swym dowódcą. Musi więc być najlepszym z wojowników!

Leodegranz wzruszył tylko ramionami.

– To królewski kuzyn, nie mógł zostać bez jakiegoś stanowiska. Czy on próbował zdobyć twe serce? – Zmarszczył gniewnie brwi. – A może cnotę?

Poczula, że znów się rumieni, i była na siebie beznadziejnie zła.

– Nie, to człowiek honoru i nie rzekł do mnie nic, czego nie mógłby powtórzyć w twojej obecności, ojcze.

– No, tylko sobie niczego nie wyobrażaj w tej swojej ptasiej główce – burknął Leodegranz. – Możesz mierzyć wyżej niż on. To tylko jeden z bękartów króla Bana z Bóg wie jaką ladacznicą z Avalonu!

– Jego matka jest Panią Avalonu, Wielką Kapłanką Starego Ludu! A on jest królewskim synem...

– Bana z Benwick! Ban ma tuzin nieślubnych synów. Po co się wydawać za królewskiego kapitana? Jeśli wszystko pójdzie po mej myśli, możesz poślubić samego Najwyższego Króla!

Gwenifer skurczyła się i cofnęła.

– Bałabym się być Najwyższą Królową!

– I tak się wszystkiego boisz – powiedział jej ojciec brutalnie. – I dlatego potrzebujesz mężczyzny, żeby się tobą zajął. A lepszy król niż królewski koniuszy! – Zobaczył, że usta jej drżą, i dodał łagodniejszym tonem: – No, no, maleńka, nie płacz. Musisz mi wierzyć, że ja chcę dla ciebie jak najlepiej. Po to przecież jestem, żeby się tobą opiekować i dobrze cię wydać za męża za odpowiedniego człowieka, żeby mógł dobrze strzec mojej ślicznej, maleńkiej trzpiotki.

Gdyby na nią krzyczał, Gwenifer dalej by się buntowała. *Ale jak*, myślała wzburzona, *jak mogę narzekać na najlepszego z ojców, któremu na sercu leży jedynie moje dobro.*



Pewnego dnia wczesną wiosną, w rok po koronacji Artura, Igriana siedziała w swej klasztornej celi pochylona nad haftem, którym pokrywała lnianą narzutę na ołtarz.

Przez całe życie kochała to zajęcie, choć jako młoda dziewczyna, a potem małżonka Gorloisa, jak wszystkie kobiety musiała poświęcać czas raczej na przędzenie, tkanie i szycie ubrań dla męża i domowników. Dopiero jako żona Uthera, w zamku pełnym służby, mogła się oddać pięknym haftom i tkaniu jedwabiem. Tu, w klasztorze, mogła zrobić użytek z tych umiejętności. Bo inaczej, myślała z niechęcią, musiałyby tak jak inne zakonnice tkać i szyc jedynie proste, czarne suknie z wełny, które wszystkie nosiły, nie wyłączając jej samej, lub szykować białe kawałki lnu na welony i nakrycia na ołtarz. Tylko dwie czy trzy inne siostry potrafiły tkać z jedwabiu i pięknie haftować, a wśród nich Igriana była najrzęczniejsza.

Trochę się martwiła. Dzisiaj rano, kiedy usiadła nad kanwami, znów wydało jej się, że słyszy krzyk. Odwróciła głowę, zanim zdążyła się powstrzymać. Wydało jej się, że z oddali słyszy krzyk Morgiany: „Matko!” A był to krzyk strasznego bólu i rozpacz.

Wokół niej w celi było jednak cicho i pusto. Po chwili Igriana przeżegnała się i wróciła do pracy.

A może... zdecydowanie odrzucała pokusę. Dawno temu wyrzekła się Wzroku jako szatańskiej mocy. Nie będzie miała nic wspólnego z czarami. Nie uważała, aby Viviana była sama w sobie zła, lecz Starzy Bogowie Avalonu byli z pewnością skumani z diabłem, inaczej przecież nie mogliby utrzymać swej mocy na chrześcijańskiej ziemi. Ona zaś oddała tym Starym Bogom swą jedyną córkę.

Późnym latem Viviana przysłała tu gońca z wiadomością: *Jeśli Morgiana jest z tobą, powiedz jej, że wszystko jest dobrze.* Zaniepokojona Igriana wysłała odpowiedź, że nie widziała Morgiany od koronacji Artura; myślała, że ona wciąż jest bezpieczna w Avalonie.

Matka przełożona klasztoru była oburzona tym, że jedną z jej podopiecznych odwiedza posłaniec z Avalonu. Nawet kiedy Igriana wytłumaczyła, że była to wiadomość od jej siostry, przeorysza nie była rada i oświadczyła zdecydowanie, że nie powinno być żadnych kontaktów z tak bezbożnym miejscem.

Od tego czasu Igriana bardzo się martwiła – jeśli Morgiana opuściła Avalon, to znaczy, iż poróżniła się z Vivianą. Nie do pomyślenia było, by zaprzysiężona kapłanka wysokiej rangi opuściła Wyspę w celu innym niż sprawy Avalonu. To, że Morgiana odeszła bez zgody i wiedzy Pani Jeziora, było czymś tak niesłychanym, że mroziło Igrianie krew w żyłach. Dokąd mogła pójść? Czy uciekła z jakimś kochankiem i wiodła teraz bezbożne życie bez błogosławieństwa Avalonu lub kościoła? Czy udała się do Morgause? Czy leżała gdzieś

martwa? Chociaż wciąż modliła się za córkę, jednak stanowczo odrzucała pokusę, by użyć daru Wzroku.

Mimo to prawie przez całą zimę wydawało jej się, że Morgiana spaceruje u jej boku – nie ta blada, poważna kapłanka, którą widziała na koronacji, lecz owa mała dziewczynka, która była jej jedyną pociechą w tamtych samotnych i strasznych latach spędzonych w Kornwalii, jedyną towarzyszką matki i żony, która sama była jeszcze dzieckiem. Mała Morgiana w szafranowej sukience ozdobionej wstążkami, poważne dziecko o ciemnych oczach, otulone purpurowym płaszczem. Morgiana ze swym małym braciszkiem w ramionach; jej dwoje dzieci, czarna główka i jasna, obok siebie, śpiące na jednej poduszce.

Myślała o tym, jak często zaniedbywała Morgianę, gdy w jej życiu pojawił się ukochany Uther, któremu urodziła syna i dziedzica jego tronu. Na dworze Uthera Morgiana nie była szczęśliwa, nigdy Uthera nie darzyła miłością. I to właśnie dlatego, nie tylko z powodu namowy Viviany, zezwoliła, by Morgiana była wychowywana w Avalonie.

Teraz jednak czuła się winna; czy nie pospieszyła się zbyt, oddając córkę, by sama mogła wszystkie myśli poświęcić ukochanemu Utherowi i jego dzieciom? Wbrew jej woli kołatało jej w głowie stare powiedzenie z Avalonu: *Bogini nie zsyła swych darów na tych, którzy je odrzucają...* Czy oddając oboje dzieci, jedno na wychowanie (dla jego własnego dobra – pocieszała się, pamiętając wciąż Artura leżącego bez zmysłów po upadku z ogiera), a drugie do Avalonu – sama nie skazała się na ich utratę? Czy Bogini odmówiła jej następnych dzieci dlatego, że pierwsze oddała tak chętnie? Radziła się w tej sprawie swego spowiednika, nawet kilka razy, a on zapewnił ją, że słusznie uczyniła, wysyłając z dworu Artura, bo prędzej czy później każdy chłopiec musi iść na wychowanie; jednak – powiedział – nie powinna była oddawać Morgiany do Avalonu.

Jeśli dziecko było nieszczęśliwe na dworze Uthera, powinna je była posłać do jakiejś szkoły przyklasztornej.

Kiedy dowiedziała się, że Morgiany nie ma w Avalonie, myślała, by wysłać posłańca na dwór Lota i sprawdzić, czy tam jej nie ma; ale zima rozpanoszyła się na dobre i każdy dzień był nową bitwą z odmroženiami, zimnem, złośliwą wilgocią. Nawet siostry chodziły głodne, dzieląc się resztkami pożywienia z wieśniakami i żebrakami.

I właśnie pewnego dnia w środku zimy wydało jej się, że słyszy głos Morgiany wołający ją rozpaczliwie: „Matko! Matko!” *Morgiana, samotna, przerażona... Morgiana – umierająca? Gdzie, o Boże, gdzie?* Zacisnęła palce na krzyżu, który, tak jak wszystkie zakonnice, nosiła u pasa. *Panie Jezu, miej ją w swej opiece, Maryjo, Matko Boska, nawet jeśli to grzesznica i wiedźma... Ulituj się nad nią, Jezu, jak ulitowałeś się nad kobietą z Magdali, która była gorsza od niej...*

Zaskoczona ujrzała, że na jej piękny haft kapnęła łza; mogła zniszczyć całą pracę. Otarła oczy welonem i odsunęła ramkę z tkaniną dalej od siebie, mrużąc przy tym oczy, by lepiej widzieć. Och, starzeje się, czasami wzrok jej zachodzi mgłą, a może to tylko łzy...?

Z uwagą znów pochyliła się nad pracą, lecz wciąż wydawało jej się, że ma przed sobą twarz Morgiany, a w wyobraźni słyszała ten rozpaczliwy krzyk, jakby duszę Morgiany wydzierano z ciała. Ona sama tak krzyczała, wołała matkę, której prawie nie pamiętała, kiedy rodziła Morgianę... czy wszystkie kobiety w połogu wołają matkę?

Ogarnęło ją przerażenie. Morgiana rodzi gdzieś wśród tej okrutnej zimy... Morgause robiła jakieś aluzje na koronacji Artura, mówiąc, że Morgiana wybrzydza przy jedzeniu jak ciężarna kobieta. Mimo woli Igriana zaczęła liczyć na palcach. Tak, gdyby tak było, to Morgiana urodziłaby swe dziecko w środku zimy. A teraz, mimo iż była już wczesna wiosna, ona wciąż słyszała ten krzyk; pragnęła pojechać do córki, ale gdzie, gdzie?

Za sobą usłyszała kroki i delikatne chrząknięcie. Jedna z młodych dziewcząt wychowywana w klasztorze powiedziała:

– Pani, są do ciebie goście i czekają w głównej sali. Jeden z nich to kościelny dostojnik, sam arcybiskup!

Igriana odłożyła robótkę. Nie, nie poplamiała jej. *Wszystkie łzy wylewane przez kobiety nie zostawiają śladów na tym świecie*, pomyślała z goryczą.

– Dlaczego z wszystkich żyjących akurat arcybiskup chce mnie widzieć?

– Tego mi nie powiedział, pani, i myślę, że nie powiedział nawet matce przełożonej – odparła dziewczynka i widać było, że jest chętna do rozmowy. – Ale czy nie wysłałaś pani darów dla niego na koronacji królewskiej?

Tak było w istocie, ale Igriana nie myślała, by arcybiskup przyjechał specjalnie, żeby rozmawiać o dawnej dobroczynności. Może znów czegoś chciał. Księża nie byli zachłanni dla siebie samych, ale wszyscy bez wyjątku, a zwłaszcza ci z bogatych kościołów, pożądali srebra i złota na swoje ołtarze.

– A kim są inni? – spytała, widząc, że dziewczyna chce mówić.

– Pani, tego nie wiem, ale wiem, że matka przełożona chciała zabronić wstępu jednemu z nich, bo – oczy jej się rozszerzyły – to jest czarnoksiężnik i mag, tak powiedziała, i Druid!

Igriana wstała.

– To jest Merlin Brytanii i mój ojciec. Nie jest czarownikiem, dziecko, lecz uczonym, kształconym w wielkiej mądrości. Nawet ojcowie kościołni mówią, że Druidzi są dobrymi i szlachetnymi ludźmi i wraz z nimi oddają cześć Bogu, gdyż Druidzi uznają Boga we wszelkim stworzeniu, a Jezusa uważają za jednego z Bożych proroków.

Dziewczynka dygnęła na znak, że przyjęła pouczenie, a Igriana odłożyła robótkę i poprawiła welon wokół twarzy.

Kiedy weszła do sali, ujrzała nie tylko Merlina i obcego, surowego człowieka w ciemnej szacie, jakie księża zaczęli nosić, by odróżniać się od ludzi świeckich. Był z nimi trzeci mężczyzna, którego rozpoznała z trudem, nawet kiedy się do niej odwrócił. Przez chwilę wydało jej się, że patrzy w twarz Uthera.

– Gwydion! – krzyknęła, lecz szybko się poprawiła: – Wybacz, Arturze, zapomniałam.

Chciała uklęknąć przed Najwyższym Królem, lecz szybko wyciągnął ramię i powstrzymał ją.

– Matko, nigdy nie klękaj w mej obecności, zabraniam.

Igriana skłoniła się przed Merlinem i tym obcym, surowym arcybiskupem.

– To moja matka, królowa, wdowa po Utherze – przedstawił ją Artur, a arcybiskup odpowiedział, rozciągając usta w coś, co jak Igriana przypuszczała, miało być uśmiechem:

– Teraz jednak ma wyższy zaszczyt niż królewski urząd, gdyż jest oblubienicą Chrystusa.

*Nie tyle oblubienicą*, pomyślała Igriana, *co po prostu wdową, która schroniła się w tym przybytku*. Jednak nie powiedziała tego na głos, tylko skinęła głową.

– Pani, to Patrycjusz, arcybiskup z Wyspy Księży, teraz zwanej Glastonbury, który niedawno do nas przybył – powiedział Artur.

– Wedle woli Pana – powiedział arcybiskup. – Po tym, jak ostatnio wypędziłem wszelakich diabelskich czarnoksiężników z Irlandii, przybyłem przepędzić ich także z tych chrześcijańskich ziem.

W Glastonbury znalazłem skorumpowanych księży, którzy tolerują nawet wspólne obrzędy z Druidami, a na ten widok Pan nasz, który umarł dla nas, zapłakałby krwawymi łzami!

Merlin Taliesin odezwał się łagodnym głosem:

– Czyżbyś był bardziej srogi niż sam Chrystus, bracie? Bo Jego także, jeśli pamiętam, ganiono za to, iż pocieszał wyrzutków i grzeszników, a nawet poborców podatkowych, i takie kobiety jak Magdalena, bo chcieli, by był jak Jan Chrzciciel? A w końcu, nawet kiedy już wisiał na krzyżu, czyż nie obiecał złoczyńcy, że jeszcze tej samej nocy spotka się z nim w raju? Prawda?

– Zbyt wielu ludzi usiłuje czytać Biblię i wyciąga z tego tak przerażające wnioski! – odrzekł Patrycjusz sztywno. – Ci, którzy naprawdę chcą się uczyć, winni najpierw nauczyć się słuchać swych księży i ich interpretacji Biblii.

Merlin uśmiechnął się miło.

– Nie podzielam twego zdania, bracie. Wyznaję przekonanie, iż wolą Boga jest, by ludzie sami poszukiwali wiedzy, a nie udawali się po nią do innych. Być może małe dzieci muszą dostawać jedzenie w postaci pogryzionej papki, lecz dorośli mogą sami jeść i pić ze źródła wiedzy.

– Wystarczy – powiedział Artur z uśmiechem. – Nie chcę sprzeczek między moimi najdroższymi doradcami. Mądrość lorda Merlina jest dla mnie niezastąpiona. To on posadził mnie na tronie.

– Panie – powiedział arcybiskup. – To Bóg cię tam posadził.

– Przy pomocy Merlina – odparł Artur – i przyrzekłem mu, iż we wszystkim będę zasięgał jego rady. Czy chcesz, bym był krzywoprzysięzcą, ojczyźnie Patrycjusza? – wymówił to

imię z akcentem północnych ziem, gdzie się wychowywał. – Chodź, matko, usiądź i porozmawiajmy.

– Pozwól, że najpierw poślę po wino, byście mogli odświeżyć się po tej długiej drodze.

– Dzięki, matko, i jeśli łaska, poślij też wino dla Kaja i Gawaina, którzy tu ze mną przyjechali. Nie pozwolili mi wyjechać bez ich ochrony. Upierają się, by służyć mi za szambelanów i giermków, jakbym sam nie mógł ruszyć ręką. Umiem sam o siebie zadbać, jak każdy żołnierz, przy pomocy zwykłego giermka czy dwóch, ale oni się nie zgadzają...

– Wszystko, co najlepsze, dla twych kompanów – powiedziała Igriana i odeszła rozkazać, by podano jadło i wino przybyszom i całemu orszakowi Artura.

Kiedy przyniesiono dzbany, Igriana sama rozlała wino.

– Jak się miewasz, mój synu? – Kiedy mu się dokładniej przyjrzała, wydał jej się o dziesięć lat starszy od tamtego szczupłego młodzieńca, którego koronowano zeszłego lata. Chyba jeszcze sporo urósł i zrobił się szerszy w ramionach. Na twarzy miał świeżą czerwoną bliznę; już się ładnie goiła, dzięki Bogu, cóż, żaden rycerz nie może uniknąć kilku ran...

– Jak widzisz, matko, walczyłem, lecz Bóg mnie ustrzegł – powiedział. – A teraz przybywam tu w pokojowej misji. Lecz jak ty żyjesz, matko?

– Och, tu nic się nie dzieje – odparła z uśmiechem. – Miałam jednak wieści z Avalonu, że Morgiana opuściła Wyspę. Czy jest na twoim dworze?

Pokręcił przecząco głową.

– Ależ ja nawet nie mam dworu godnego tego miana, matko – powiedział. – Kaj pilnuje zamku, musiałem go do tego zmusić, wolałby walczyć w bitwach, lecz prosiłem, by został i strzegł mego domostwa. Dwóch czy trzech dawnych rycerzy ojca, zbyt starych, by walczyć, mieszka tam z żonami i młodszymi dziećmi. Morgiana jest na dworze Lota, tak mi powiedział Gawain, gdy jego młodszy brat, Agravein, przybył na południe walczyć w mej armii. Mówił, że Morgiana jest dworką jego matki, że widział ją tylko raz czy dwa, lecz miała się dobrze i była w dobrym nastroju. Ponoć, gra Morgause na harfie i trzyma pieczę nad jej spiżarnią z ziołami. Zdaje się, że Agravein był nią dość oczarowany... – Przez twarz Artura przemknął grymas bólu.

Zdziwiło to Igrianą, lecz nic nie powiedziała.

– Dzięki Bogu, że Morgiana jest bezpieczna między krewniakami. Bałam się o nią – odparła. To nie był odpowiedni moment, zwłaszcza w obecności kościelnego dostojnika, by wypytywać, czy Morgiana urodziła dziecko. – A kiedy Agravein przybył na południe?

– Gdzieś wczesną jesienią, prawda, lordzie Merlinie?

– W istocie.

A więc Agravein i tak nic by nie wiedział. Ona sama widziała Morgianę niewiele wcześniej i niczego nie podejrzewała. Jeśli w ogóle; ciąża Morgiany nie była tylko wytworem jej matczynej wyobraźni.

– Cóż, matko, przyjechałem porozmawiać o kobiecych sprawach. Zdaje się, że powinienem się ożenić. Nie mam dziedzica poza Gawainem...

– To nie jest dobrze – powiedziała Igriana. – Lot czekał na to przez te wszystkie lata. Nie ufaj jego synowi.

Oczy Artura zapłonęły gniewem.

– Nawet tobie, matko, nie wolno tak mówić o moim kuzynie Gawainie! To mój wierny rycerz i kocham go jak brata, którego nigdy nie miałem, kocham go tak jak Lancelota! Gdyby Gawain pragnął mojego tronu, wystarczyło, żeby na pięć minut odwrócił uwagę, a zamiast tej blizny na policzku miałbym rozplataną czaszkę, a wtedy on byłby Najwyższym Królem! Mogę mu powierzyć swe życie i honor!

Igrianą zaskoczyła gwałtowność tego wybuchu.

– A więc rada jestem, iż tak lojalnego i wiernego masz następcę, mój synu – odparła i dodała z kwaśnym uśmiechem: – To zaiste musi być tragiczne dla Lota, że jego synowie tak cię kochają!

– Nie wiem doprawdy, co uczyniłem, by na to zasłużyć, lecz kochają mnie całym sercem i uważam to za błogosławieństwo.

– Tak – rzekł Taliesin. – Gawain będzie ci wierny do śmierci, Arturze, a jeśli Bóg zechce, to i potem.

– Człowiekowi nie wolno przewidywać Boskiej woli... – zaczął surowo arcybiskup, ale Taliesin nie zwrócił na niego uwagi.

– Gawainowi możesz ufać nawet bardziej niż Lancelotowi, Arturze, choć smuci mnie, że muszę to powiedzieć – dokończył.

Artur uśmiechnął się, a Igriana z bólem w sercu pomyślała, że jej syn ma cały urok Uthera i tak jak on potrafi wzbudzić wielkie oddanie u swych rycerzy. Tak bardzo jest podobny do ojca!

– Och, będę zmuszony połączyć nawet ciebie, lordzie Merlinie, jeśli tak będziesz mówił o moim najdroższym przyjacielu. Lancelotowi także powierzyłbym swe życie i honor.

Merlin odpowiedział z westchnieniem:

– O tak, życie możesz mu zawierzyć, tego jestem pewien... Nie jestem jednak pewien, czy nie załamałby się w krytycznej chwili, lecz on zaiste cię kocha i będzie strzegł twego życia bardziej niż własnego.

Znowu wtrącił się Patrycjusz:

– Gawain jest bardzo dobrym chrześcijaninem, ale co do Lancelota mam wątpliwości. Mam nadzieję, że nadejdzie czas, gdy obnażę tych wszystkich, którzy tylko nazywają siebie chrześcijanami, a w rzeczywistości wyznają demony. Według Pana: „ci, którzy nie są ze mną, są przeciwko mnie”. A w całej Brytanii pełno takich, którzy nie są wiele lepsi od pogan. Spotkałem takich w Tarze, gdy na jednym z ich świętych pogańskich wzgórz zapaliłem paschalne ognie wielkanocne, i nawet Druidzi ich króla nie mogli mnie powstrzymać. Mimo

to nawet na świętej wyspie Glastonbury, gdzie Józef z Arimathei postawił swe stopy, znalazłem księży czczących świętą studnię! To obraza Boska! Zamknę tę studnię, choćbym miał się udać do samego biskupa Rzymu!

Artur odparł z uśmiechem:

– Nie myślę, żeby biskupa Rzymu akurat obchodziło to, co się dzieje w Brytanii.

– Ojciec Patrycjusz, zrobiłbyś wielką krzywdę ludowi tej ziemi, gdybyś zamknął ich świętą studnię. To dar od Boga... – zaczął łagodnie Taliesin.

– To część pogańskiej wiary! – Oczy arcybiskupa błyszczały zimnym ogniem fanatyzmu.

– Pochodzi od Boga – upierał się stary Druid. – Gdyż wszystko na tym świecie pochodzi od Boga. A prości ludzie muszą mieć proste znaki i symbole. Jeśli czczą Boga w wodach, które płyną dzięki jego łasce, jakież w tym zło?

– Boga nie wolno czcić symbolami uczynionymi ręką człowieka...

– O, i tu absolutnie się ze sobą zgadzamy, bracie – powiedział Merlin – bo część mądrości Druidów opiera się na wierze, iż Bóg, który stoi ponad wszystkim, nie powinien być czczony w żadnym miejscu wybudowanym ludzkimi rękoma, a tylko pod swym własnym niebem. A jednak wy budujecie kościoły i zdobicie je bogato złotem i srebrem. Gdzież zatem leży zło w picciu ze świętego źródła, które sam Bóg stworzył i pobłogosławił uzdrowicielską mocą?

– To diabeł daje ci taką wiedzę – odpowiedział Patrycjusz, a Taliesin zaśmiał się głośno.

– Jednak to Bóg tworzy i zwątpienie, i samego diabła, a na końcu wszelkiego czasu wszyscy przyjdą do Niego i poddadzą się Jego woli.

Zanim Patrycjusz zdążył odpowiedzieć, przerwał im Artur:

– Wielebni ojcowie, nie przybyliśmy tu, by wieść teologiczne spory!

– To prawda – powiedziała Igriana z ulgą. – Mówiliśmy o Gawainie i drugim synu Morgause, Agraveinie, czyż nie? I o twoim ślubie.

– Szkoda – powiedział Artur. – Skoro synowie Lota kochają mnie, a sam Lot, w co nie wątpię, zrobiłby wszystko, by jego potomek był następcą Najwyższego Tronu, żałuję, że Morgause nie ma córki, bym mógł zostać jego zięciem. Wtedy by wiedział, że syn jego córki będzie mym następcą.

– To by było dobre – powiedział Taliesin – gdyż oboje bylibyście z królewskiej linii Avalonu.

Patrycjusz zmarszczył surowo brwi.

– Czyż Morgause nie jest siostrą twojej matki, królu Arturze? Ożenić się z jej córką to byłoby niewiele lepsze, niż zlegnąć z własną siostrą!

Artur wyglądał na zakłopotanego, a Igriana powiedziała:

– Zgadzam się, nawet gdyby Morgause miała córkę, to by było nie do pomyślenia!

Artur odparł ze smutkiem:

– Byłoby mi łatwo polubić siostrę Gawaina. Poślubienie jakiejś nieznajomej wcale mi się nie podoba i nie myślę, żeby ta dziewczyna też była z tego zadowolona.

– Taki jest los każdej kobiety – powiedziała Igriana i sama się zdziwiła swymi słowami. Czyżby wciąż nosiła w sercu gorycz z dawnych lat? – Małżeństwa muszą być ustalane przez głowy mądrzejsze niż głowy młodych dziewcząt.

Artur westchnął.

– Król Leodegranz zaofiarował mi swą córkę, zapomniałem jej imienia, i obiecał także, że jej posagiem będzie setka jego najlepszych ludzi, całkowicie uzbrojonych i do tego, słuchaj matko!, do tego każdy będzie na koniu z jego hodowli, tak by Lancelot mógł ich wyćwiczyć. To był jeden z sekretów rzymskich cesarzy, że ich najlepsze oddziały walczyły na koniach; poza nimi nikt oprócz Scytów nie używał koni do walki, a jedynie do przewozu zapasów i posyłania gońców. Gdybym miał cztery tysiące konnych zdalnych do walki, to wtedy, matko, mógłbym przegonić Saksonów, wracaliby na swe wybrzeża, wyjąc jak psy!

– To chyba nie może być powód do małżeństwa, synu – zaśmiała się Igriana. – Konie można kupić, a ludzi nająć.

– Tylko że Leodegranz nie ma zamiaru sprzedawać – powiedział Artur. – Sądzę, że umyślił sobie, iż w zamian za ten posag, a bez wątpienia jest to posag królewski, chce koniecznie spokrewnić się z Najwyższym Królem. Nie jest jedynym, ale zaferował więcej niż inni. Mam więc do ciebie prośbę, matko. Nie chciałbym posyłać nikogo zwyczajnego, by powiadomić króla, iż pojmę za żonę jego córkę, a on ma ją zapakować jak tobolek i wysłać na mój dwór. Czy pojedziesz dać królowi odpowiedź w moim imieniu, a potem przywieziesz królowną na mój dwór?

Igriana już miała skinąć głową na znak zgody, gdy przypomniała sobie, że przecież złożyła śluby klasztorne.

– Czy nie możesz posłać jednego z twych zaufanych druhów, może Gawaina lub Lancelota?

– Gawain to kobieciarz. Nie jestem pewien, czy chciałbym go widzieć w pobliżu mojej przyszej żony – odparł Artur ze śmiechem.

– Niech pojedzie Lancelot.

– Igriano, uważam, że ty powinnaś jechać – powiedział Merlin z powagą.

– Dlaczego, dziadku? – spytał Artur – Czy Lancelot jest taki uroczy, że obawiasz się, iż moja narzeczona pokocha jego, zamiast mnie?

Taliesin westchnął głęboko, a Igriana powiedziała:

– Pojadę, jeśli przeorysza klasztoru da mi pozwolenie.

Matka przełożona, myślała Igriana, nie może mi odmówić zezwolenia na wyjazd na ślub syna. Zdała sobie też sprawę, że po latach bycia królową nie było jej teraz łatwo siedzieć w zamknięciu za murami, z dala od wielkich wydarzeń dziejących się w kraju. Być może było to przeznaczenie każdej kobiety, lecz ona chciała go unikać tak długo, jak mogła.



Gwenifer poczuła znajomy ucisk w żołądku; zastanawiała się, czy przed odjazdem nie będzie musiała znów udać się w ustronne miejsce. Cóż by poczęła, gdyby nasza ją potrzeba, kiedy już wyruszą?

Patrzyła na Igrianę, która stała wysoka i opanowana, prawie jak matka przełożona jej dawnego klasztoru. Podczas swej pierwszej wizyty rok wcześniej, kiedy ustalano małżeństwo, Igriana wydała jej się miła i matczyna. Teraz, kiedy przybyła, by eskortować Gwenifer na ślub, była surowa i wymagająca, nie było po niej widać ani śladu tego strachu, który paraliżował Gwenifer. Jak mogła być taka spokojna? Gwenifer odezwała się – cichutkim głosem, spoglądając na czekające konie i lektykę:

– Nie boisz się, pani? To tak daleko?...

– Czy się boję? Nie – odpowiedziała Igriana. – Byłam już wiele razy w Caerleon, a o tej porze roku raczej nie napotkamy na trakcie Saksonów. Podróżowanie zimą w błocie i deszczu jest uciążliwe, ale lepsze to, niż dostać się w ręce barbarzyńców.

Gwenifer czuła, jak paraliżuje ją lęk i wstyd. Zaciśnęła pięści i patrzyła w dół na swe brzydkie, ciężkie podróżne buty. Igriana ujęła jej dłoń, rozprostowując zaciśnięte, szczupłe palce.

– Zapomniałam, że poza podróżą do klasztoru nigdy nie opuszczałaś domu. Byłaś w Glastonbury, prawda?

Gwenifer potaknęła:

– Żałuję, że tam nie wracam...

Poczuła na sobie ostry wzrok Igriany i zadrżała.

Pani może pomyśleć, że jest nieszczęśliwa, iż poślubia jej syna, i nie będzie jej lubiła... ale Igriana tylko ucisnęła jej dłoń.

– Ja też nie byłam szczęśliwa, kiedy jechałam poślubić diuka Kornwalii. Byłam nieszczęśliwa aż do dnia, gdy po raz pierwszy wzięłam w ramiona moją córeczkę. Ale ja wtedy skończyłam ledwie piętnaście lat, ty masz już prawie osiemnaście, czyż nie?

Trzymając kurczowo dłoń Igriany, Gwenifer czuła mniejszy lęk, ale kiedy wyszła za bramę, wydało jej się, że niebo wisi nad jej głową jak wielka groźba: przerażające, niskie, pokryte ciemnymi chmurami. Droga przed zamkiem przypominała morze błota, w którym wierciły się konie. Teraz ustawiano je w szyki. Gwenifer pomyślała, że jest tu więcej ludzi, niż kiedykolwiek w życiu widziała; wszyscy naraz krzyczeli i nawoływali się nawzajem, konie rżały, panowało wielkie zamieszanie. Ale Igriana mocno trzymała jej rękę i Gwenifer skurczyła się w sobie i ruszyła za nią.

– Jestem wdzięczna, że przybyłaś, by ze mną jechać, pani.

– Bardzo lubię świat, dlatego jestem zadowolona z każdej możliwości wyruszenia poza klasztorne mury – powiedziała Igriana z uśmiechem. – Uważaj, gdzie stąpasz dziecko, o tędy, patrz, twój ojciec przygotował dla nas dwa śliczne kuce. Lubisz konną jazdę?

Gwenifer potrząsnęła przecząco głową.

– Myślałam, że wolno mi będzie jechać w lektyce...

– Cóż, możesz, jeśli chcesz – odparła Igriana, patrząc na nią zdziwiona – ale to ci się szybko znudzi, jak myślę. Gdy moja siostra Viviana wyruszała w podróż, zawsze wkładała męskie bryczesy. Też powinnam takie znaleźć, choć w moim wieku to już chyba nie wypada.

Gwenifer oblała się rumieńcem.

– Ja bym nie mogła – powiedziała wstrząśnięta. – Pismo Święte zabrania, by kobiety nosiły męskie ubiory.

Igriana zachichotała.

– Apostołowie chyba nie znali północnych krain. Tam, gdzie żyli, jest gorąco – powiedziała. – Słyszałam także, że na tych ziemiach, gdzie żył nasz Pan Jezus, mężczyźni nie znają spodni, lecz noszą długie szaty, jak to wciąż czynią niektórzy Rzymianie. Myślę, iż ten zapis znaczy jedynie, że kobieta nie powinna wkładać szat jakiegoś konkretnego mężczyzny, a nie, że nie wolno jej nosić stroju szytego na męską modłę. A już moja siostra Viviana jest z pewnością najskromniejszą z kobiet, jest kapłanką Avalonu.

Oczy Gwenifer były wielkie jak spodki.

– Czy ona jest wiedźmą, pani?

– Ależ skąd, jest mądrą kobietą, uczoną w ziołach i lekach, i posiada dar Wzroku, lecz składała przysięgę, iż nigdy nie skrzywdzi ani człowieka, ani zwierzęcia. Ona nawet nie je mięsa – powiedziała Igriana. – Żyje tak surowo jak zakonnica – dodała i wskazała ręką: – Patrz, oto Lancelot, pierwszy druż Artura. Będzie nas eskortował i poprowadzi konie i ludzi.

Gwenifer uśmiechnęła się, czując, jak gorący rumieniec oblewa jej twarz.

– Znam Lancelota, był tu, by pokazać memu ojcu, co potrafi zrobić z końmi.

– O tak, on jeździ jak jeden z tych centaurów, pół ludzi, pół koni, o których opowiadali starożytni!

Lancelot zeskoczył ze swego rumaka. Policzki miał od zimna tak czerwone jak purpurowy płaszcz, który otulał jego ramiona. Wysoko postawiony kołnierz prawie zakrywał mu twarz. Skłonił się nisko.

– Pani – zwrócił się do Igriany – czy jesteś gotowa do drogi?

– Myślę, że tak. Bagaż księżniczki jest już załadowany, prawda? – odparła Igriana, patrząc na wielki wóz wyładowany po brzegi i przykryty skórą.

Było tam łożo, wielka rzeźbiona bieliźniarka, małe i duże krosna, garnki i patelnie.

– Tak, mam nadzieję, że nie ugrzęźnie w błocie – powiedział Lancelot, patrząc na zaprzęg mułów ciągnący ten wóz. – Nie tym wozem się martwię, ale tym drugim, na którym jest ślubny prezent dla Artura od teścia – dodał, patrząc niechętnie na drugi, znacznie większy

wóz. – Myślę, że byłoby lepiej zbudować królowi odpowiedni stół na miejscu, w Caerleon, skoro nie starczy mebli i stołów, które zostawił tam Uther. Nie, żebym odmawiał mej pani jej posagu – wtrącił szybko i posłał Gwenifer uśmiech, od którego twarz jej pojaśniała. – Ale stół? Jakby król Artur nie miał dość mebli do wielkiej sali.

– Jednak ten stół to wielki skarb mojego ojca – powiedziała Gwenifer. – To było wojenne trofeum otrzymane od jednego z królów Tary, gdzie walczył mój dziad i skąd przywiózł ten wspaniały stół do wielkiej sali... bo rzecz w tym, że ten stół jest okrągły, więc w środku może siedzieć bard i śpiewać albo służba może przechodzić, by podawać wino i jadło. A gdy król przyjmuje gości, nie musi się martwić, kogo posadzić na bardziej zaszczytnym miejscu... dlatego mój ojciec pomyślał, że będzie on odpowiedni dla naszego Najwyższego Króla, który musi mieć miejsce dla wszystkich swych szlachetnie urodzonych rycerzy i nie faworyzować nikogo z nich.

– To zaiste królewski podarek – odparł Lancelot grzecznie – ale muszą go ciągnąć trzy pary mułów, pani, i Bóg jeden wie, ilu stolarzy będzie musiało go z powrotem składać, gdy dotrzemy na miejsce. I zamiast jechać szybko, będziemy się musieli wlec w tempie najwolniejszego muła. No cóż, ślub i tak się nie zacznie, zanim ty tam nie dojedziesz, pani. – Uniósł głowę, nasłuchiwał chwilę i odrzyknął: – Zaraz tam będę! Nie mogę być wszędzie naraz! – Skłonił się. – Pani, muszę ruszyć tę armię z miejsca! Czy mogę pomóc wam dosiąść koni?

– Zdaje się, że Gwenifer woli jechać w lektyce – powiedziała Igriana.

– Ależ to będzie tak, jakby słońce znów schowało się za chmury – powiedział Lancelot z uśmiechem. – Lecz uczynisz, jak zechcesz, pani. Mam nadzieję, że może innego dnia zaszczytis nas swym blaskiem.

Gwenifer poczuła się mile zawstydzona, jak zwykle, gdy Lancelot wygłosił jeden ze swych ślicznych komplementów. Nigdy nie wiedziała, czy mówi poważnie, czy tylko się z nią droczy. Nagle, gdy tylko odjechał, znów poczuła lęk. Wokół niej kłębiły się tabuny koni, ludzie biegali i krzyczeli, jakby to naprawdę była armia, jak ich nazwał Lancelot, a ona była tylko jeszcze jednym niepotrzebnym meblem, niemal wojenną zdobyczą. W milczeniu pozwoliła, by Igriana zaprowadziła ją do lektyki wyמושzonej poduszkami i futrzaną narzutą. Zwinęła się w kłębek w kąciu.

– Czy zostawić odsunięte zasłony, byśmy miały trochę światła i świeżego powietrza? – spytała Igriana, sadowiąc się wygodnie na poduszkach.

– Nie! – odparła Gwenifer zdławionym głosem. – Ja... ja czuję się lepiej, kiedy są zasunięte.

Igriana zasłoniła okna, wruszając ramionami. Wyrzała przez wąski otwór między zasłonami i przyglądała się, jak odjeżdżają pierwsze stráže, jak wozy ustawiają się w szyku. Zaiste, królewski posag, ci wszyscy ludzie, zbrojni jeźdźcy, którzy wraz ze swymi rumakami,

orężem i zbroją dołączają do wojsk Artura. Wyglądali niemal jak jeden z tych rzymskich legionów, o których słyszała.

Gwenifer oparła głowę na poduszkach i zamknęła oczy.

– Czy jesteś chora? – spytała Igriana, ale Gwenifer pokręciła głową.

– To takie wielkie... – powiedziała. – Boję się – dodała szeptem.

– Boisz się? Ależ, moje drogie dziecko – zaczęła Igriana gwałtownie, ale po chwili spokojnie dodała tylko: – Wkrótce zapewne poczujesz się lepiej.

Gwenifer zakryła oczy rękoma i nie wiedziała nawet, kiedy ruszyli. Wprowadziła się w stan półsnu, w którym potrafiła trzymać swój lęk na wodzy. Gdzież jechała, pod tym ogromnym, przytłaczającym wszystko niebem, przez te rozległe równiny, przez tyle wzgórz?

Węzeł strachu w jej żołądku zaciskał się coraz ciaśniej i ciaśniej. Wokół siebie słyszała odgłosy koni i ludzi, armii w marszu. Była tylko dodatkiem do tych wszystkich mebli, ludzi i koni, i zbroi, i garnków, i okrągłego stołu. Była jeszcze jedną klaczą, rozplodową klaczą, do stajni Najwyższego Króla, by mu zapewnić królewskiego syna.

Gwenifer myślała, że udusi się od tej dławiącej ją wściekłości.

Nie, nie powinna być zła, matka przełożona w klasztorze powiedziała jej przecież, że powinnością kobiety jest wyjść za mąż i rodzić dzieci.

Ona chciała zostać w klasztorze i uczyć się czytać i pisać piękne litery swoim zręcznym piórem i pędzelkiem, ale to nie było odpowiednie dla królowny. Musi być posłuszna woli swego ojca, jakby to była wola Boska, bo to przez kobietę ludzkość popadła w grzech pierworodny i każda kobieta musi pamiętać, że to jej winą jest pierworodny grzech popełniony w raju. Żadna z kobiet nigdy nie może być absolutnie dobra, poza Marią, Matką Boską. Wszystkie inne kobiety są grzeszne, nigdy nie były inne. To jest jej kara za to, że jest taka, jak Ewa grzeszna, pełna pychy i sprzeciwu wobec Boga. Wyszepiała modlitwę i znów wprowadziła się w stan półświadomości.

Igriana pogodziła się z tym, że musi podróżować przy zasuniętych kotarach, choć pragnęła świeżego powietrza. Zastanawiała się, co na Boga było z tą dziewczyną nie tak? Nie sprzeciwiała się małżeństwu ani słowem. Cóż, ona, Igriana, też się nie sprzeciwiała poślubieniu Gorloisa. Pamiętając to pełne gniewu i przerażone dziecko, jakim wtedy była, współczuła Gwenifer. Ale dlaczego ta dziewczyna zakopała się w poduszki przy zasłoniętych oknach, zamiast z podniesioną głową jechać wierzchem na spotkanie swego nowego życia? Czego się bała? Czy Artur wydawał jej się takim potworem?

Przecież nie poślubiła starego człowieka, trzykrotnie starszego od siebie. Artur był młody, gotowy obdarzyć ją szacunkiem i miłością.

Noc spędziły w namiocie rozbitym na uważnie wybranym suchym miejscu. Słyszały wyjący na zewnątrz wiatr i uderzające w namiot krople deszczu. W nocy Igriana obudziła się i usłyszała jęk Gwenifer.

– Co ci jest, dziecko? Jesteś chora?

– Nie... pani, czy myślisz, że ja się spodobam królowi Arturowi?

– Oczywiście, dlaczego nie? – powiedziała Igriana łagodnie. – Wiesz przecież, że jesteś piękna.

– Naprawdę? – Ten cichy głosik brzmiał jedynie naiwnie, nie było w nim fałszywej kokieterii lub domagania się pochlebstwa, jak to mogłoby zabrzmieć w innych ustach. – Pani Alienora mówi, że mam za duży nos i że mam piegi jak pasterka.

– Pani Alienora... – Igriana musiała przypomnieć sobie, by być wyrozumiałą, bo Alienora była niewiele starsza od Gwenifer i w ciągu sześciu lat urodziła czworo dzieci. – Myślę, że może trochę słabo widzi. Jesteś naprawdę śliczna. Masz najpiękniejsze włosy, jakie w życiu widziałam.

– Myślę, że królowi Arturowi nie zależy na urodzie – odpowiedziała Gwenifer. – Nawet nie przysłał, by się dowiedzieć, czy nie jestem zezowata albo jednonoga, albo czy nie mam zajęcej wargi.

– Gwenifer – powiedziała Igriana łagodnie – każda kobieta jest poślubiana dla swego posagu, a już szczególnie Najwyższy Król musi się żenić tak, jak każą mu jego doradcy. Czy myślisz, że on nie spędza bezsennych nocy, zastanawiając się, jakież to los wyciągnął na tej loterii? Myślisz, że nie powita cię z radością i wdzięcznością, bo poza posagiem przynosisz mu także urodę, dobre wychowanie i wykształcenie? Był przygotowany na przyjęcie wszystkiego, co będzie musiał, więc tym szczęśliwszy będzie, widząc, że nie jesteś... jak ty to powiedziałaś? Aha: zezowata, jednonoga ani ospowata. Artur jest młody i nie ma doświadczenia z kobietami. A jestem pewna, że już Lancelot mu powiedział, iż jesteś piękna i cnotliwa.

Gwenifer westchnęła.

– Lancelot jest kuzynem Artura, prawda?

– Prawda. Jest synem Bana z Benwick i mojej siostry, która jest Wielką Kapłanką Avalonu. Był poczęty w Wielkim Związku. Wiesz coś o tym? W Brytanii Mniejszej niektóre ludy wciąż obchodzą stare pogańskie rytuały – powiedziała Igriana. – Nawet Uther, zanim koronowano go na króla, został zabrany na Wyspę Smoka i koronowany wedle tych starych obrządków, choć od niego nie wymagano, by poślubił ziemię. W Brytanii robi to za króla Merlin, i to on się poświęca dla króla, gdyby zaszła potrzeba...

– Nie wiedziałam, że w Brytanii wciąż istnieją te obrzędy – powiedziała Gwenifer. – Czy... czy Artur też był tak koronowany?

– Jeżeli nawet tak – odrzekła Igriana – to mnie tego nie powiedział. Być może do tej pory obyczaje się zmieniły i wystarczy, że Merlin jest jego głównym doradcą.

– Czy ty znasz Merlina, pani?

– To mój ojciec.

– Naprawdę? – Gwenifer wpatrywała się w nią w ciemności. – Pani, czy to prawda, że kiedy Uther Pendragon przybył do ciebie, zanim zostałaś mu poślubiona, to za sprawą czarów

Merlina przybrał postać Gorloisa, byś z nim zległa, myśląc, że jest diukiem Kornwalii, a ty wciąż spełniasz jedynie małżeński obowiązek?

Igriana zamrugła. Słyszała plotki o tym, iż urodziła Utherowi syna niezwykle szybko po ślubie, ale tej historii nie słyszała nigdy.

– Tak powiadają?

– Czasami, pani. Bardzi śpiewają o tym pieśni.

– A więc to nieprawda – powiedziała Igriana. – Miał na sobie płaszcz Gorloisa i nosił jego pierścień, który zdobył w walce, gdyż Gorlois był zdrajcą swego króla i nastawał na jego życie. Cokolwiek jednak by opowiadali, ja wiedziałam doskonale, że był to Uther, nikt inny...

Poczuła ucisk w gardle. Nawet teraz wydawało jej się, jakby Uther wciąż żył, tylko wyjechał gdzieś na wyprawę.

– Kochałaś Uthera, pani? Więc to nie były czary Merlina?

– Nie – odparła Igriana. – Bardzo go kochałam, choć myślę, że z początku chciał mnie poślubić, bo byłam z królewskiej linii Avalonu. Tak więc widzisz, małżeństwo poczynione dla dobra królestwa okazało się szczęśliwe. Kochałam Uthera. Mogłabym ci tylko życzyć takiego szczęścia, byście ty i mój syn mogli się pokochać w ten sposób.

– Mam taką nadzieję. – Gwenifer chwyciła Igrianę za rękę.

Jej palce wydały się Igrianie małe i miękkie, kruche w jej własnej silnej i pewnej dłoni. To nie były ręce stworzone do wychowywania dzieci czy opatrywania ran, lecz do igły i różańca. Leodegranz powinien był zostawić to dziecko w klasztorze, a Artur gdzie indziej szukać małżonki. Sprawy potoczą się jednak zgodnie z Bożą wolą. Było jej żal zalęknionej Gwenifer, ale było jej także żal Artura, że dostanie tak dziecinną i niechętną żonę.

Jednak sama nie była przecież lepsza, kiedy została wydana za Gorloisa. Może z upływem czasu dziewczyna nabierze siły.

W pierwszych promieniach słońca obóz już nie spał, szykowano się do drogi, która jeszcze tego samego dnia miała ich doprowadzić do Caerleon. Gwenifer była słaba i blada, a kiedy próbowała wstać, odwróciła głowę i zwymiotowała. Przez chwilę Igrianą targało okrutne podejrzenie, lecz odsunęła je od siebie. Dziewczynka, wstydliva i chowana w zamknięciu, była chora ze strachu, to wszystko. Powiedziała twardo:

– Mówiłam ci, że zamknięta lektyka cię osłabi. Dzisiaj musisz wsiąść na konia i łyknać świeżego powietrza albo do ołtarza pójdziesz z bladymi policzkami, zamiast rumiana. – W myślach dodała: *A jeśli ja przez kolejny dzień będę musiała jechać przy zastłoniętych oknach, z pewnością się wścieknę. To dopiero byłby ślub godny zapamiętania, z panną młodą bladą i chorą i matką młodego ciskającą gromy.* – Chodź, jeśli wstaniesz i dosiądziesz konia, Lancelot pojedzie z tobą i będzie cię zabawiał rozmową.

Gwenifer zaplotła włosy i nawet zadała sobie trud, by ładnie upiąć welon; zjadła niewiele, ale wypła trochę piwa i do kieszeni włożyła kawałek chleba, mówiąc, że zje go później, w drodze.

Lancelot był na nogach i krzątał się już od brzasku. Kiedy Igriana zaproponowała:

– Musisz jechać z młodą panią. Jest wystraszona, nigdy nie była daleko od domu – uśmiechnął się i oczy mu zabłyśły.

– Z wielką przyjemnością, pani.

Igriana jechała samotnie za młodymi, wdzięczna za to, że może pomyśleć w spokoju. Jacy oni są piękni – Lancelot taki ciemny i zwawy, a Gwenifer cała w bieli i złocie. Artur też jest taki jasny, ich dzieci będą prześliczne. Z pewnym zaskoczeniem zdała sobie sprawę, że cieszy się na myśl o zostaniu babcią. Będzie miło mieć obok małe dzieci, pieścić je, ale nie będą to jej własne dzieci, nie będzie się o nie musiała martwić i zadręczać. Jechała zagłębiona w miłych marzeniach, w klasztorze przywykła do takich marzeń na jawie. Patrząc na jadącą z przodu parę, zauważyła, że dziewczyna trzyma się prosto w siodle, na jej policzki wróciły kolory i nawet się uśmiecha. Igriana dobrze zrobiła, że zmusiła ją do tej jazdy.

A potem dostrzegła, jak oni na siebie patrzą.

*Dobry Boże! Uther tak na mnie spoglądał, kiedy byłem żoną Gorloisa – jakby był wygłodzony, a ja bym była nieosiągalnym dla niego jadem... Cóż z tego może wyniknąć, jeśli oni się kochają? Lancelot jest człowiekiem honoru, a Gwenifer, mogę przysiąc, cnotliwa, więc coż z tego może wyniknąć poza nieszczęściem? Po chwili zganiła samą siebie za te podejrzenia. Jadą przecież w przyzwoitej odległości od siebie, nie próbują trzymać się za ręce, uśmiechają się, bo są młodzi, a dzień jest jasny. Gwenifer jedzie na swój ślub, a Lancelot wiezie ludzi i konie dla swego króla, kuzyna i przyjaciela. Dlaczego nie mieliby być szczęśliwi, rozmawiać ze sobą wesóło i radośnie? Jestem złośliwą kobietą. Mimo to martwiła się. Co z tego wyniknie? Dobry Boże, czy to byłoby grzechem, gdybym pomodliła się do ciebie o chwilę Wzroku? Potem zaczęła się zastanawiać – czy istnieje jakiś honorowy sposób, by Artur mógł się wycofać z tego małżeństwa? To tragedia dla Najwyższego Króla poślubić kobietę, której serce należy do innego. Brytania pełna jest panien gotowych go kochać i poślubić. Ale zapłacono już posag, narzeczona opuściła dom ojca, poddani królowie i wasale już się zbierali, by wziąć udział w uroczystości zaślubin.*

Igriana postanowiła porozmawiać z Merlinem. Jako główny doradca Artura może on mógłby zapobiec temu małżeństwu, ale czy nawet on mógłby mu zapobiec, nie wywołując wojny i tragedii? To byłoby też straszne dla Gwenifer, być tak publicznie odrzuconą na oczach całej Brytanii. Nie, jest już za późno. Ślub musi się odbyć, jak zaplanowano.

Igriana westchnęła i jechała dalej ze spuszczoną głową. Dzień stracił cały swój blask. Powtarzała sobie ze złością, że wszystkie jej lęki i wątpliwości są bezpodstawne, że to tylko wyobrażenia znudzonej kobiety albo że to diabeł nasyła na nią te myśli, by ją kusić do użycia Wzroku, którego się wyrzekła, by znów stała się narzędziem grzechu i czarów.

Jednak jej oczy wciąż zwracały się na Gwenifer i Lancelota, i na tę niemal dostrzegalną aurę, która zdawała się ich otaczać – aurę pożądania, głodu, tęsknoty.

Dojechali do Caerleon tuż przed zachodem słońca. Zamek stał na wzgórzu, w miejscu dawnego rzymskiego fortu. Wciąż jeszcze widoczne były resztki rzymskich ruin, wyglądały – jak myślała Igriana – prawie tak samo, jak musiały wyglądać w tamtych czasach. Przez chwilę, widząc zbocza pokryte płachtami rozbitych namiotów, przebiegła jej przez głowę myśl, czy zamek nie jest obleżony, ale natychmiast przypomniała sobie, że ci wszyscy ludzie przybyli na ślub Najwyższego Króla.

Widząc te tłumy, Gwenifer pobladła i znów ogarnął ją lęk. Lancelot starał się ustawić długą kolumnę w jakimś należyтым porządku, a Gwenifer opuściła na twarz welon, i milcząco, jechała u boku Igriany.

– Szkoda, że zobaczą cię taką zmęczoną podróżą – powiedziała Igriana – ale spójrz, oto przybywa Artur, by nas powitać.

Dziewczyna była tak skonana, że ledwie podniosła głowę. Artur w długiej niebieskiej tunice, z mieczem schowanym w drogocennej purpurowej pochwie, zatrzymał się na chwilę na czele kolumny, by porozmawiać z Lancelotem. Po chwili tłum pieszych i konnych zaczął się przed nim rozstępować, kiedy ruszył w kierunku Igriany i Gwenifer. Skłonił się przed matką.

– Czy miałaś dobrą podróż, pani?

Podniósł wzrok na Gwenifer i Igriana spostrzegła, jak szeroko otwiera oczy zaskoczony jej urodą. Omal mogła słyszeć myśli dziewczyny.

*Tak, jestem piękna, Lancelot uważa, że jestem piękna. Czy spodobał mi się także mój panu Arturowi?*

Artur wyciągnął rękę, by pomóc jej zsiąść z konia. Zachwiała się, więc wyciągnął do niej oba ramiona.

– Moja pani i żono. Witam cię w twoim i moim domu. Obyś była tu szczęśliwa, a dzień ten był tak radosny dla ciebie, jak jest dla mnie.

Gwenifer poczuła, jak rumieniec oblewa jej policzki. Tak, Artur jest przystojny, powtarzała sobie z uporem, ma takie jasne włosy i szare, spokojne oczy. Jak bardzo się różni od wesołego i dowcipnego Lancelota! I jak inaczej na nią patrzy – Lancelot spoglądał na nią, jakby była posągami Matki Boskiej na kościelnym ołtarzu, lecz Artur przyglądał jej się trzeźwo, uważnie, jakby była kimś obcym, a on jeszcze nie był pewien, czy ma przed sobą wroga czy przyjaciela.

– Dziękuję ci, mój panie i mężu – powiedziała. – Jak widzisz, przywiozłam ci obiecany posąg z ludzi i koni.

– Ile koni? – spytał szybko.

Gwenifer się zmieszała. Cóż ona wiedziała o tych jego bezcennych koniach? Czy musiał tak jasno powiedzieć, że w tym małżeństwie chodziło o konie, a nie o nią?

Wyprostowała się, jak tylko mogła, była słusznego wzrostu, wyższa niż niektórzy mężczyźni, i odparła dumnie:



– Nie wiem, mój panie. Nie liczyłam ich. Musisz spytać swego kapitana. Jestem pewna, że pan Lancelot poda ci ich liczbę co do ostatniej klaczy i żrebaka.

*O, dzielna dziewczyna*, pomyślała Igriana, widząc, jak na tę ripostę rumieniec oblewa twarz Artura. Uśmiechnął się zmieszany.

– Wybacz mi, pani, nikt nie oczekuje, byś zajmowała się takimi sprawami. Z pewnością Lancelot powie mi to wszystko we właściwym czasie. Myślę też o ludziach, którzy z tobą przybyli. Chyba powinienem powitać ich jako mych nowych poddanych, tak jak witam moją panią i królową. – Przez chwilę wyglądał tak młodo, jak rzeczywiście był. Rozejrzał się dokoła po tym morzu ludzi i koni, wozów, mułów i rozłożył bezradnie ręce. – W tym całym zamieszaniu wątpię, by mogli mnie usłyszeć. Pozwól, że zaprowadzę cię do bram zamku. – Ujął jej rękę i poprowadził wzdłuż drogi, szukając suchych miejsc. – Obawiam się, że to bardzo zaniedbane stare zamczysko. To był fort mego ojca, ale nigdy tu nie mieszkałem od czasu, kiedy byłem dość duży, by to pamiętać. Może któregoś roku, kiedy Saksoni zostawią nas na dłużej w spokoju, znajdziemy jakieś bardziej odpowiednie miejsce na nasz dom. Ale na razie to musi wystarczyć.

Kiedy wiódł ją przez bramę, Gwenifer wyciągnęła rękę i dotknęła muru. Był to gruby, kamienny, bezpieczny rzymski mur, wyglądał, jakby stał tu od początku świata. Tu wszystko było bezpieczne.

Prawie z czułością przebiegła palcami po kamieniach.

– Jest piękny. Jestem pewna, że będzie bezpieczny... to znaczy, jestem pewna, że będziemy tu szczęśliwi.

– Mam taką nadzieję, pani Gwenifer – powiedział, po raz pierwszy używając jej imienia. Wymówił je z dziwnym akcentem.

Zastanowiła się, gdzie był wychowywany.

– Jestem bardzo młody, by rządzić tym wszystkim, tymi królestwami. Będę rad z pomocy. – Usłyszała w jego głosie drżenie, jakby się bał. Ale czego mógł się bać mężczyzna? – Mój wuj, Lot z Orkney, który jest mężem siostry mojej matki, Morgause, powiada, że jego żona sprawuje rządy tak dobrze jak on, kiedy on musi wyjechać na wojny czy narady. Z chęcią uczynię ci ten zaszczyt, pani, i pozwolę ci rządzić u mego boku.

Strach znów ścisnął żołądek Gwenifer. Jak on mógł od niej czegoś podobnego oczekiwać? Jakże kobieta mogła rządzić? Cóż ją obchodziło, na co ci dzicy barbarzyńcy z plemion Północy pozwalali swym kobietom? Odpowiedziała cichym, drżącym głosem:

– Nigdy nie posunęłabym się tak daleko, mój panie i królu.

Igriana wtrąciła zdecydowanie:

– Arturze, synu, o czym ty mówisz? Dziewczyna jechała przez dwa dni i jest wyczerpana! To nie pora, by rozprawiać o strategii królestwa, kiedy błoto na jej butach jeszcze nie wyschło! Proszę, oddaj nas pod opiekę swego szambelana, a jutro będziesz miał dość czasu, by zapoznać się ze swą małżonką!

Gwenifer pomyślała, że Artur ma nawet jaśniejszą skórę niż ona, już po raz drugi widziała, że rumieni się jak zrugane dziecko.

– Przepraszam cię, matko, i ciebie, moja pani. – Uniósł rękę i dał znak. W ich kierunku podszedł szczupły, ciemnowłosy młodzieniec, z blizną na twarzy. Wyraźnie utykał. – Mój przyrodni brat, Kaj, i mój szambelan – przedstawił go Artur. – Kaj, to Gwenifer, moja pani i żona.

Kaj skłonił się jej z uśmiechem.

– Jestem na twe usługi, pani.

– Jak widzisz – powiedział Artur – moja pani przywiozła swe meble i inne rzeczy. Pani, witam cię w twym własnym domu. Wydaj Kajowi rozkazy, jakie uznasz za słuszne, gdzie rozmieścić twój dobytek. Na razie proszę, byś pozwoliła mi odejść. Muszę dopilnować zakwaterowania ludzi i koni. – Skłonił się nisko, a Gwenifer wydało się, że widzi na jego twarzy wyraźną ulgę.

Zastanawiała się, czy jest nią rozczarowany, czy też, tak jak myślała, to małżeństwo interesowało go jedynie ze względu na posąg złożony z koni i ludzi.

Cóż, była na to przygotowana, a jednak jakieś docenienie jej osoby byłoby miłe. Zauważyła, że ten młody człowiek z blizną na twarzy wciąż stał, oczekując jej rozkazów. Był miły i uczynny, nie musiała się go obawiać.

Westchnęła i znów wyciągnęła dłoń, by dotknąć tych grubych murów, jakby w ten sposób chciała się upewnić i uspokoić głos, by zabrzmieć jak królowa, kiedy się odezwie.

– W największym wozie, sir Kaju, jest irlandzki stół biesiadny. To prezent ślubny od mego ojca dla króla Artura. To okup wojenny, bardzo stary i bardzo cenny. Dopilnuj, proszę, by go złożono w największej sali zamkowej. Lecz najpierw, proszę, dopilnuj, by przygotowano komnatę dla pani Igriany i przydzielono jej kogoś ze służby. – Aż była zaskoczona własnymi słowami.

Wydawało się, że naprawdę brzmią jak słowa królowej. A Kaj nie miał chyba wątpliwości, by ją w ten sposób traktować. Skłonił się bardzo nisko i powiedział:

– Zostanie to natychmiast wykonane, moja pani i królowo.

## 5

Przez całą noc pod zamek przybywały nowe grupy podróżnych.

Zaledwie świtało, gdy Gwenifer wyjrzała przez okno, z którego mogła widzieć całe zbocze wzgórza, pokryte gęsto namiotami, ludźmi i końmi.

– To wygląda jak święto – powiedziała do Igriany, z którą dzieliła łożę tej ostatniej panińskiej nocy w swoim życiu.

– Kiedy Najwyższy Król bierze żonę, moje dziecko – Igriana uśmiechała się do niej – to jest największe święto w tym kraju. Patrz, tamci ludzie to poddani Lota z Orkney.

*Może jest wśród nich Morgiana*, pomyślała Igriana, lecz nie powiedziała tego na głos. Kiedy była młoda, wypowiadała każdą myśl, która jej przyszła do głowy, ale teraz już tak nie czyniła. Jakie to dziwne, myślała dalej, przez wszystkie lata, kiedy kobieta jest zdolna do rodzenia, uczy się ją, by myślała tylko i wyłącznie o swych synach. Jeśli w ogóle myśli o córkach, to wtedy, kiedy już dorosną i idą w obce ręce. Córki są wychowywane dla innych rodzin. Czy dlatego, że Morgiana była jej pierworodną, była zawsze tak bliska jej sercu? Artur powrócił do jej życia po tych wszystkich latach, ale jak to było ze wszystkimi mężczyznami, stał się jej tak daleki, że nie było sposobu, by pokonać dzielącą ich odległość. Jednak między nią i Morgianą – odkryła to na koronacji Artura – istniał związek dusz, który nigdy nie zaniknie. Czy to dlatego, że Morgiana dzieliła jej pochodzenie i związek z Avalonem? Czy dlatego każda kapłanka pragnęła urodzić córkę, która pójdzie w jej ślady i nigdy nie będzie stracona dla matki?

– Ilu tu ludzi – powiedziała Gwenifer. – Nie wiedziałam, że w całej Brytanii jest tylu ludzi.

– A ty będziesz królową nad nimi wszystkimi, wiem, że to przerażające. Czuję się tak samo, kiedy poślubiałam Uthera.

Przez chwilę znów powróciła do niej myśl, że Artur źle wybrał swą królową. Gwenifer jest piękna, tak, ma dobry charakter, jest wykształcona, lecz królowa musi umieć stanąć na czele swego dworu. Może Gwenifer jest na to jeszcze zbyt nieśmiała i wylękniona?

Mówiąc najprościej, królowa ma być partnerką króla, a nie tylko gospodynią i panią jego zamku – to mógłby robić każdy szambelan.

Królowa, jak Wielka Kapłanka Avalonu, musi być symbolem, przypominać, że życie nie składa się tylko z walki i wojennych podbojów.

Król walczy i osłania tych wszystkich, którzy nie mogli walczyć sami – zapewnia ochronę kobietom, dzieciom i starcom. Wśród Plemion co silniejsze kobiety stawały do walki u boku swych mężczyzn – było nawet takie miejsce, gdzie ćwiczone mężczyźni w sztuce walki, a prowadziły je kobiety – lecz od początku dziejów męskim zadaniem było zdobywanie pożywienia i trzymanie napastników z daleka od plemiennych ognisk, gdzie chroniły się ciężarne kobiety i ludzie starzy. Zadaniem kobiet było utrzymywanie tego ogniska. Tak jak król łączył się z Wielką Kapłanką w Świętym Związku na znak, że obroni swoje ziemie, tak królowa w związku z królem tworzyła symbol siły ponad wszystkimi armiami i wojnami – stanowiła centrum, wokół którego wszyscy mogli się gromadzić, by nabrać siły do walki... Igriana niecierpliwie potrząsnęła głową. Wszystkie te symbole i stare prawdy były być może odpowiednie dla kapłanek Avalonu, ale ona, Igriana, była tak długo królową, nie kłopotując się podobnymi mądrościami. Gwenifer będzie też miała na nie dość czasu, kiedy będzie stara i te prawdy nie będą jej już do niczego potrzebne! W obecnych

czasach królowa nie jest już przecież kapłanką wieśniaków uprawiających rolę, tak jak król nie jest dawnym myśliwym, który biega pośród jeleni!

– Chodź, Gwenifer, Kaj przysłał dworękę, by ci pomogła, ale jako matka twego męża to ja ubiorę cię do ślubu, bo nie ma tu twej własnej matki, by mogła cię przygotować w tym dniu.

Ubrana Gwenifer wyglądała jak anioł. Jej przepiękne włosy połyskiwały w słońcu jak żywe złoto, swym blaskiem gasząc nawet blask złotego diademu, który miała na głowie. Jej suknia była z białej, misternie tkanej tkaniny, cieniutkiej jak pajęczyna. Ze skromną dumą Gwenifer powiedziała Igrianie, że materiał został przywieziony z dalekiej krainy, odleglejszej nawet niż Rzym i że był droższy niż złoto.

Jej ojciec zakupił go dla kościoła – całą długość kamiennego blatu na ołtarzu. A że był jeszcze mały kawałek do zawijania świętych relikwii, więc jej podarował ten kawałek, a ona uszyła swoją suknię.

Wystarczyło nawet na ślubną tunikę dla Artura – to był jej ślubny prezent dla męża.

Przyszedł Lancelot, by odprowadzić je na wczesną mszę, która miała poprzedzać ślub. Potem przez cały dzień miały się ciągnąć zabawy, uczty i turnieje. Lancelot był olśniewający w swym purpurowym płaszczu, pod którym miał jednak strój do jazdy.

– Czy nas opuszczasz, Lancelocie?

– Nie – odpowiedział przytomnie, ale nie odrywał wzroku od Gwenifer. – Jedną z atrakcji dzisiejszego dnia będzie pokaz umiejętności nowych jeźdźców i kawalerii Artura. Ja będę prowadził te pokazy po południu. Artur uważa, że pora publicznie ogłosić jego plany.

I znów Igriana dostrzegła ten beznadziejny smutek i tęsknotę w jego oczach, kiedy patrzył na Gwenifer, i blask uśmiechu dziewczyny, kiedy patrzyła na niego. Nie słyszała nawet, co do siebie mówią, nie miała zresztą wątpliwości, że było to niewinne. Jednak oni nie potrzebowali słów. Igriana ogarnęła nieuchronna świadomość, że z tego nie wyniknie nic dobrego, tylko nieszczęście.

Schodzili w dół długimi korytarzami, po drodze dołączała do nich służba, szlachta i ci wszyscy, którzy spieszyli na ranną mszę. Na schodach kościoła dołączyło do nich dwóch młodzieńców, którzy tak jak Lancelot mieli przy czapkach długie, czarne pióra. Kaj nosił takie samo. Czy był to znak rycerzy Artura?

Lancelot spytał:

– Gdzie jest Kaj, bracie? Czy nie powinien być tutaj, by wprowadzić naszą panią do kościoła?

Jeden z nowo przybyłych, wielki i barczysty, który jednak, jak zauważyła Gwenifer, miał coś pokrewnego z Lancelotem, powiedział:

– Kaj i Gawain ubierają Artura do ślubu. Myślałem, że ty też z nimi jesteś, wy trzej bowiem jesteście dla Artura jak bracia. Wysłali mnie, bym zajął ich miejsce, jako krewniak pani Igriany. Pani – zwrócił się do Igriany z ukłonem. – Czy to możliwe, że mnie nie poznasz? Jestem synem Pani Jeziora. Mam na imię Balan, a to nasz przyrodni brat, Balin.

Gwenifer lekko dygnęła. Myślała: *czy ten wielki i niezgrabny Balan naprawdę może być bratem Lancelota? To tak jakby byk nazywał siebie bratem pięknego ogiera czystej krwi!* Jego przyrodni brat, Balin, był niski i miał czerwoną twarz, a włosy żółte jak Sakson, i miał brodę jak Saksoni. Gwenifer powiedziała:

– Lancelocie, jeśli masz ochotę udać się do mego pana i króla...

– Myślę, że powinienesz do niego iść, Lancelocie – powiedział Balan ze śmiechem. – Jak każdy mężczyzna przed ślubem, Artur szaleje z niepokoju. W bitwie nasz pan może walczyć jak sam Pendragon, ale dziś rano, kiedy gotują go do ślubu, zachowuje się jak chłopiec!

*Biedny Artur, myślała Gwenifer, ten ślub to dla niego jeszcze cięższy obowiązek niż dla mnie. Ja przynajmniej nie muszę robić nic innego, tylko być posłuszna memu ojcu i królowi!* Poczula nagłą falę rozbawienia. Biedny Artur, musiałby ją poślubić dla dobra tego królestwa, nawet gdyby rzeczywiście była wstrętna lub ospowata. To był jeszcze jeden z jego bolesnych obowiązków, jak prowadzenie wojska do bitwy z Saksonami. W tym przypadku przynajmniej wiedział, czego się może po nich spodziewać! Powiedziała cicho:

– Panie Lancelocie, czy nie lepiej, byś był u boku króla Artura?

Jego oczy mówiły wyraźnie, że nie chce jej opuszczać; w ciągu ostatnich dwóch dni nauczyła się odczytywać te jego nieme sygnały.

Nigdy nie wymieniła z Lancelotem choćby jednego słowa, którego nie mogłaby wykrzyknąć głośno w obecności Igriany, swego ojca czy choćby wszystkich biskupów Brytanii naraz. Po raz pierwszy jednak wydał jej się rozdarty między dwoma pragnieniami.

– Ostatnią rzeczą, której pragnę, to opuścić cię teraz, pani, lecz Artur jest moim kuzynem i przyjacielem...

– Niech Bóg broni, bym miała kiedykolwiek stanąć między wami – powiedziała i podała mu do pocałunku swą małą dłoń. – Przez ten związek ty również staniesz się moim krewnym i kuzynem. Idź do mego pana i króla i powiedz mu... – Zawahała się strwożona własną śmiałością. Czy wypada coś takiego powiedzieć? Niech ich wszystkich Bóg ma w swojej opiece, za godzinę będzie małżonką Artura, jakie to miało znaczenie, jeśli zabrzmi to zbyt śmiało, skoro będą to słowa troski o jej pana? – Powiedz mu, że z radością zwracam mu jego wiernego kapitana i że oczekuję go z miłością; i oddaniem.

Lancelot uśmiechnął się, a jej się wydało, że ten uśmiech pociągnął w niej za jakiś sznureczek, tak że jej własne usta też rozciągnęły się w uśmiechu. Jak mogła się czuć tak bardzo z nim związana? Całe jej życie sprowadziło się teraz do odczucia jego warg na jej dłoni.

Przełknęła i nagle zrozumiała, co czuje. Mimo pokornych zapewnień o miłości do Artura, zaprzedałaby własną duszę, gdyby tylko mogła cofnąć czas i powiedzieć swemu ojcu, iż nie poślubi żadnego innego mężczyzny poza Lancelotem. To było tak realne, jak świecące w górze słońce i trawa pod jej stopami, tak prawdziwe – znów przełknęła z trudem ślinę – tak

prawdziwe, jak sam Artur właśnie szykujący się do ślubu, który odbędzie się zaraz po mszy świętej.

*Czy to jeden z okrutnych Bożych żartów, że nie wiedziałam, co czuję, aż do chwili, kiedy jest już za późno? Czy może to jakiś podstęp diabła, by odwieść mnie od wypełnienia obowiązku wobec ojca i wobec męża?* Nie słyszała, co powiedział Lancelot, widziała tylko, że wypuścił jej dłoń, odwrócił się, a teraz odchodził. Jak przez mgłę słuchała uprzejmości prawionych przez tych dwóch przyrodnych braci, Balina i Balana... który to z nich był synem kapłanki Avalonu?

Tak, Balan, brat Lancelota, lecz nie bardziej do niego podobny niż kruk do wspaniałego orła.

Zdała sobie sprawę, że Igriana coś do niej mówi.

– Zostawiam cię pod opieką rycerzy, moja droga. Muszę przed mszą porozmawiać z Merlinem.

Dotarło do niej z opóźnieniem, że Igriana oczekuje od niej pozwolenia na odejście. Jej pozycja jako Najwyższej Królowej już stała się rzeczywistością. Nawet nie usłyszała dobrze swych własnych słów, które wypowiedziała do Igriany, zanim ta odeszła.

Igriana przeszła przez dziedziniec, przepaszając wciąż osoby, które stały jej na drodze. Starła się odnaleźć w tym tłumie Taliesina.

Wszyscy byli wystrojeni w kolorowe, świąteczne ubiory, lecz on miał na sobie swe zwykłe ciemne szaty.

– Ojciec...

– Igriano, moje dziecko. – Taliesin spojrział na nią z góry, a ona poczuła dziwną radość, że stary Druid zwrócił się do niej tak samo, jak zwracał się, kiedy miała czternaście lat. – Myślałem, że towarzyszysz oblubienicy. Jakaż ona piękna! Artur znalazł prawdziwy skarb. Słyszałem też, że jest zdolna, kształcona, a także pobożna, co spodoba się biskupowi.

– Ojciec – powtórzyła Igriana, zniżając głos tak, by nikt z tłumu nie mógł jej usłyszeć. – Muszę cię o to zapytać: czy Artur ma jakieś honorowe wyjście, by uniknąć tego ślubu?

Taliesin zamrugał zaskoczony.

– Nie, wydaje mi się, że nie. Nie teraz, kiedy wszystko jest już gotowe, by połączyć ich zaraz po mszy. Niech nas Bóg ma w opiece, czy zostaliśmy oszukani? Czy jest bezpłodna, nieczysta lub... – Merlin pokręcił bezradnie głową – Nie ma możliwości zatrzymania zaślubin, chyba że jest zarażona trędem albo nosi dziecko innego mężczyzny. A nawet wtedy nie obyłoby się bez skandalu i obrazy, i zrobienia z Leodegranza wroga. Dlaczego pytasz, Igriano?

– Wierzę, że jest cnotliwa. Ale widziałam, jak patrzy na Lancelota, a on na nią. Jeśli panna młoda kocha się w innym, a jest on najserdeczniejszym przyjacielem pana młodego, to czy może z tego wyniknąć coś prócz nieszczęścia?

Merlin patrzył na nią przenikliwie. Jego stare oczy widziały tak ostro, jak zawsze.

– A więc tak to jest. Zawsze uważałem, że nasz Lancelot jest zbyt przystojny i uroczy, i właśnie to może go zgubić. Jednak mimo wszystko to honorowy chłopak. To mogą być tylko młodzieńcze mrzonki i kiedy królewska para się pobierze i pójdzie do łoża, zapomną o tym i co najwyżej będą to czasem wspominać z lekkim smutkiem jako coś, co mogło się wydarzyć.

– W dziewięciu przypadkach na dziesięć powiedziałabym, że masz rację – odparła Igriana – ale ty ich razem nie widziałeś, a ja tak.

Merlin znów westchnął.

– Igriano, Igriano, nie twierdzą, że się mylisz, ale kiedy wszystko już się stało, co możemy na to poradzić? Leodegranz uznałby to za taką obelgę, że wypowiedziałby Arturowi wojnę, a Artur ma już dosyć takich, którzy czyhają na jego tron. A może nie słyszałaś o tym królu z Północy, który przysłał Arturowi wiadomość, że zdarł brody jedenastu królom, by sobie z nich zrobić płaszcz, i Artur powinien mu wysłać okup albo on przyjedzie i zedrze także i jego brodę?

– I co Artur na to?

– No cóż, wysłał temu królowi odpowiedź, że jeśli chodzi o jego brodę, to jeszcze mu właściwie nie wyrosła, więc nie przyda mu się i na płaszcz, ale gdyby i tak ją chciał, to musi przyjść i sam sobie wziąć, jeśli znajdzie drogę wśród saksońskich trupów. I wysłał mu głowę jednego z Saksonów, bo właśnie wrócił z wojennego wypadu, mówiąc, że ta broda będzie się nadawała lepiej na podbicie płaszcza niż broda przyjaciela, u którego boku raczej powinien walczyć. I dodał jeszcze, że z chęcią wyśle mu prezent, lecz że on nie żąda od swych przyjaciół okupów i sam też ich nie składa. Wszystko to miało niewinny koniec, ale jak sama widzisz, Artur nie może sobie pozwolić na nowych wrogów, a Leodegranz byłby wielkim wrogiem. Lepiej niech poślubi tę dziewczynę. Myślę, że powiedziałabym to samo nawet wtedy, gdyby znalazł ją w łożu z Lancelotem, czego przecież nie uczynił i raczej nie uczyni.

Igriana dostrzegła, że nerwowo wykręca sobie palce.

– Co mamy robić??

Merlin bardzo delikatnie dotknął jej policzka.

– Zrobimy to, co zawsze robiliśmy, Igriano. To, co musimy, co każą Bogowie. Zrobimy, co w naszej mocy. Żadne z nas nie wyruszyło w tę drogę w poszukiwaniu własnego szczęścia, moje dziecko. Ty, która byłaś wychowywana w Avalonie, wiesz o tym doskonale.

Cokolwiek byśmy próbowali czynić, by kształtować własny los, na końcu i tak wszystko jest w rękach Bogów lub Boga, jak z pewnością wolałby usłyszeć biskup. Im starszy się staję, tym jestem pewniejszy, iż nie ma znaczenia, jakich słów używamy do wyrażania tych samych prawd.

– Pani Jeziora nie byłaby rada, słysząc twe słowa – powiedział smagły mężczyzna o szczupłej twarzy, stojący obok.

Miał na sobie ciemne szaty, które mogły oznaczać księdza lub Druida. Taliesin obrócił się do niego z uśmiechem.

– Mimo to Viviana wie, że są to słowa prawdziwe, tak jak ja to wiem... Igriana, myślę, że nie znasz naszego nowego pierwszego barda, przywiozłem go ze sobą, by grał i śpiewał na weselu. To Kevin, pani.

Kevin skłonił się nisko. Igriana zauważyła, że opiera się na rzeźbionej lasce. Jego harfę w futerale niósł za nim młody, może dwunastoletni chłopiec. Wielu bardów i harfiarzy, którzy nie byli Druidami, było ślepych lub kulawych, rzadkością było, by jakiś pełnosprawny mężczyzna mógł poświęcić czas i wysiłek na naukę tej sztuki w tych wojennych czasach. Jednak Druidzi starali się wybierać kandydatów nie tylko zdolnych umysłowo, lecz również zdrowych na ciele. Nieczęsto się zdarzało, by kogoś ułomnego dopuszczali do swych nauk, gdyż uważali, że w ten sposób Bogowie piętnują czyjąś ułomność duchową. Jednak mówienie o tym na głos byłoby rzeczą niewybaczalnie nietaktowną. Igriana mogła tylko przypuszczać, iż jego talent był tak wielki, że został przyjęty bez względu na wszystko inne.

Pojawienie się Kevina odwróciło jej uwagę od celu rozmowy, lecz kiedy się zastanowiła, przyznała Taliesinowi rację. Nie było sposobu, by odwołać ślub, nie wywołując równocześnie skandalu, a może nawet wojny. W budynku kościoła już zapalono światła, rozdzwoniły się dzwony. Igriana weszła do środka. Taliesin ukląkł, ukląkł też chłopiec niosący harfę, ale Kevin tego nie uczynił. Przez chwilę Igriana zastanawiała się, czy jako Druid nie uznaje obrzędu, tak jak kiedyś wydawało jej się, że czyni to Uther. Potem jednak, przyglądając się jego dziwacznej postawie, pomyślała, że pewnie jego noga jest całkowicie sztywna i w ogóle nie może jej zginać.

Widziała, jak biskup zmarszczył brwi, patrząc w jego kierunku.

– Słuchajcie słów Pana naszego, Jezusa Chrystusa – zaczął biskup. – Tam, gdzie dwóch czy trzech zbierze się w imię moje, tam i ja będę między wami, i o cokolwiek poprosicie w imię moje, to się spełni...

Igriana klęczała z twarzą przysłoniętą welonem, jednak była świadoma obecności Artura, który właśnie wszedł do kościoła w towarzystwie Kaja, Lancelota i Gawaina. Miał na sobie piękną białą tunikę i błękitny płaszcz. Żadnych ozdób poza wąską koroną na głowie i klejnotami błyszczącymi na pochwie jego wielkiego miecza.

Wydało jej się, że w myślach dokładnie widzi Gwenifer w tej zwiewnej białej szacie, tak jak Artur całą białą i złotą, klęczącą pomiędzy Balinem i Balanem. Lot, siwiejący i chudy, klęczał pomiędzy Morgause i jednym ze swych młodszych synów. A za nim... to było tak, jakby w harmonijny śpiew księży wdarł się wysoka, zakazana nutą dźwięk harfy. Podniosła ostrożnie głowę i próbowała dojrzeć. Wiedziała, kto tam klęczy. Twarz i sylwetka Morgiany były ukryte za Morgause.

Jednak wydało jej się, że wyczuwa jej obecność, właśnie jak fałszywą nutę w harmonii świętego obrzędu. Czyżby po tych wszystkich latach znów mogła czytać w myślach? Co kapłanka Avalonu robi w kościele? Kiedy Viviana odwiedzała ją i Uthera w latach ich małżeństwa, albo w ogóle nie brała udziału w nabożeństwach, albo przychodziła na nie,



słuchając i obserwując z uprzejmą uwagą, z jaką mogłaby obserwować bawiące się lalkami dziecko. W końcu dojrzała Morgianę – zmieniła się, była szczuplejsza, piękniejsza, odziana skromnie w suknię z czarnej wełny, na głowie miała prosty biały welon. Nie robiła niczego nadzwyczajnego – klęczała z opuszczoną głową i przymkniętymi oczyma, wzór uwagi i szacunku. A jednak chyba nawet ksiądz wyczuł emanującą z niej niecierpliwość i irytację. Dwukrotnie przerywał i spoglądał w jej kierunku, a że nie było niczego, co mógłby zarzucić jej zachowaniu, po chwili wracał do odprawiania nabożeństwa.

Uwaga Igriany też została odwrócona. Starła się skupić na modlitwach, mruzczała poprawne odpowiedzi, lecz nie mogła myśleć ani o słowach wypowiedzianych przez księdza, ani o swym synu, który miał brać ślub, ani nawet o Gwenifer, która – czuła to, nawet nie widząc – rozglądała się pod welonem, szukając wzrokiem Lancelota. Mogła myśleć tylko o swojej córce. Kiedy zakończy się msza i ślub, wtedy ją zobaczy i dowie się, gdzie była i co się z nią działo.

Potem, kiedy ksiądz czytał historię wesela w Kanie Galilejskiej, podniosła na moment wzrok i spojrzała na Artura. Zobaczyła, że jego oczy też utkwione są w Morgianę.

## 6

Siedząc pomiędzy dworkami Morgause, Morgiana w milczeniu słuchała nabożeństwa. Głowę miała opuszczoną, a na twarzy uprzejmą maskę szacunku. W środku jednak wrzała. Co za bzdury – jakby wybudowany ludzkimi rękoma budynek mógł się dzięki słowom księdza zmienić w miejsce goszczące jakiegoś Ducha, który wcale nie był stworzony przez człowieka. Błądziła myślami daleko. Miała już dosyć dworu Morgause. Teraz w końcu znalazła się blisko głównego nurtu wydarzeń – czuła się, jakby ze stojącej, zgniłej wody wrzucono ją w sam środek rwącej rzeki. Znowu czuła się żywa.

Nawet w Avalonie, choć był tak spokojny i oddalony, miała poczucie, że jest blisko nurtu życia, ale między kobietami Morgause czuła się niepotrzebna, zrezygnowana, znudzona. Teraz znowu była w ruchu, choć od czasu narodzin syna siedziała w miejscu. Przez chwilę myślała o swym małym synku, Gwydionie. Już jej prawie nie poznawał. Kiedy brała go na rękę albo tuliła, wrywał się, by wrócić do swej przybranej matki. Nawet teraz na wspomnienie jego maleńkich rączek oplatających jej szyję ogarnęła ją słabość i żal, lecz odpędziła od siebie ten obraz. On nawet nie wie, że jest jej synem. Będzie dorastał w pewności, że jest jednym z dzieci Morgause. Morgiana była rada z takiego obrotu sprawy, jednak to nie pomagało jej przezwyciężyć upartego smutku.

Cóż, pewnie każda kobieta odczuwa taki żal, kiedy musi się rozstać ze swym dzieckiem, a jednak trzeba to zrobić. Chyba że jest się zwyczajną kurą domową, która chce robić przy dzieciach to wszystko, co można zlecić każdej mamce lub służącej, i nie ma żadnego innego

zajęcia dla swych rąk. Nawet pasterki muszą zostawiać dzieci, by pilnować bydła. A co tu mówić o królowej lub kapłance? Viviana również oddała swoje dzieci. Igriana także.

Artur wyglądał męsko i przystojnie; urosł, rozrósł się w ramionach, nie był to już ten smukły chłopiec, który przyszedł do niej z twarzą umazaną krwią jelenia. Tam była moc! Nie w tych opowiastkach o wyczynach ich Boga, który chwalił się, że zmienił wodę w wino, co i tak byłoby obrazą dla darów Bogini. A może ta przypowieść znaczyła, że podczas łączenia się kobiety i mężczyzny w związek małżeński wino, oznaczające ferment ducha, zamieni ich spółkowanie w rzecz świętą, jak w Wielkim Związku? Dla dobra Artura miała nadzieję, że jego związek z tą kobietą będzie święty, kimkolwiek ona jest. Ze swego miejsca za Morgause Morgiana widziała jedynie chmurę jasnozłocistych włosów zdobnych wąskim złotym diademem i białą suknię z jakiegoś pięknego i cennego materiału.

Artur podniósł wzrok, by spojrzeć na swoją oblubienicę, lecz jego oczy odnalazły Morgianę. Widziała, jak zmienia się na twarzy. *A więc rozpoznał mnie*, pomyślała. *Nie mogłam się zmienić tak bardzo, jak on się zmienił. On z chłopca wyrósł na mężczyznę, a ja – ja wtedy już byłam kobietą i nie zmieniłam się przecież tak wiele.*

Miała nadzieję, że żona będzie kochała Artura i że on także będzie ją kochał. W myślach dźwięczały jej rozpaczliwe słowa: *Przez całe życie zawsze będę cię pamiętał i kochał cię, i błogostawił cię.* Tak jednak być nie może. On musi zapomnieć. Musi nauczyć się widzieć Boginię tylko w swej wybranej małżonce. Obok niego stał Lancelot.

Jak te lata mogły tak zmienić Artura, a Lancelota pozostawić nie zmienionego, nie tkniętego? Nie, on też się zmienił: był smutny, na policzku miał długą bliznę, która sięgała aż do linii włosów. Kaj też wyglądał szczuplej i starzej, jeszcze bardziej kulał. Patrzył na Artura jak wierny pies na swego pana. Na wpół z nadzieją, na wpół z lękiem, Morgiana rozejrzała się, by sprawdzić, czy Viviana przyjechała na ślub Artura, choć nie była na jego koronacji. Ale Pani Jeziora nie było. Był Merlin, z głową pochyloną tak, że wyglądało niemal, jakby się modlił, za nim zaś stał wysoki cień – ten przynajmniej miał na tyle rozsądku, by nie zginać kolan przed tą głupią gadaniną – Kevin Bard; świetnie!

Msza dobiegła końca. Biskup, wysoki, ascetyczny mężczyzna z twarzą wykrzywioną gorzkim grymasem, ogłaszał, że wierni mogą się rozejść. Nawet Morgiana pochyliła głowę – Viviana nauczyła ją, by przynajmniej zachowywać zewnętrzny szacunek dla obrządków innej wiary, gdyż, jak mawiała, każda wiara pochodzi od Bogów. Jedyna głowa w całym kościele, która się nie pochyliła, należała do Kevina, który stał dumnie wyprostowany. Morgiana żałowała, że nie ma na tyle odwagi, by stanąć u jego boku z podniesioną głową.

Dlaczego Artur jest taki pobożny? Czyż nie składał solennej przysięgi, by czcić Avalon na równi z kościołem? Czy nadejdzie dzień, kiedy ona albo Kevin będą mu musieli tę przysięgę przypomnieć? Z pewnością ten biały, cnotliwy aniołek, którego poślubiał, nie zrobi nic, by im pomóc. Powinni wydać Artura za kobietę Avalonu; to nie byłby pierwszy raz, kiedy zaprzysiężona kapłanka połączyłaby się z królem. Ta myśl nią wstrząsnęła, wyobraziła

sobie Raven jako Najwyższą Królową. Ta miałaby przynajmniej jedną chrześcijańską cnotę – milczenia... Morgiana pochyliła głowę i przygryzła wargi, bojąc się, że zacznie w głos chichotać.

Po mszy masa ludzka popłynęła ku wyjściu. Artur i jego rycerze pozostali na swoich miejscach, a na jego znak podeszli do nich także Lot i Morgause. Morgiana poszła za nimi. Dostrzegła, że została też Igriana, Merlin i milczący harfiarz. Podniosła oczy i napotkała spojrzenie swej matki. Wiedziała z pewnością silniejszą nawet od Wzroku, że gdyby nie obecność biskupa, matka natychmiast chwyciłaby ją w ramiona. Zarumieniła się, uciekając od ciepłego spojrzenia Igriany.

Myślała o niej tak mało, jak tylko mogła, pamiętając tylko, że w jej obecności musi strzec jedynego sekretu, którego matka nie może nigdy poznać – kto jest ojcem jej dziecka...

Podczas tamtej strasznej walki o życie w czasie porodu, której już prawie nie pamiętała, chyba głośno wołała matkę jak przerażone dziecko, ale nie była pewna. Nawet teraz bała się kontaktu z Igrianą, która kiedyś miała przecież dar Wzroku i znała mądrości Avalonu. Morgiana mogła zapomnieć wszystkie przykrości z dzieciństwa, ale czy teraz matka obwiniłaby ją także za to, co przecież nie stało się z jej winy?

Lot podszedł, by ugiąć kolano przed Arturem, a Artur z łagodnym i miłym uśmiechem podniósł go i ucałował w oba policzki.

– Rad jestem, że mogłeś przybyć na mój ślub, wuju. Szczęśliwy jestem, mając tak lojalnego przyjaciela i krewniaka, który strzeże północnych wybrzeży, a twój syn, Gawain, jest drogim memu sercu i najbliższym mi druhem. A tobie, ciociu, winien jestem wielki dług wdzięczności i podziękowania za to, że dałaś mi tak wiernego przyjaciela.

Morgause się uśmiechnęła. Morgiana pomyślała, że jest wciąż piękna, o wiele piękniejsza od Igriany.

– Ach, panie, będziesz miał wkrótce powód, by znów mi dziękować, gdyż mam młodszych synów, którzy nie mówią o niczym innym, tylko o tym, kiedy zaczną służyć Najwyższemu Królowi.

– Będą tak mile widziani, jak ich starszy brat – powiedział Artur uprzejmie i spojrzał poza Morgause, gdzie klęczała Morgiana. – Witaj, siostrze. Na mojej koronacji przyrzekłem ci coś, czego teraz mogę dotrzymać. Podejdz. – Wyciągnął do niej dłoń.

Morgiana wstała, czując mocny uścisk jego dłoni i jego napięcie. Nie spojrzał jej w oczy, lecz poprowadził ją aż do miejsca, gdzie klęczała biała ubrana kobieta w aureoli złotych włosów.

– Pani – powiedział miękko i przez chwilę Morgiana nie wiedziała, do której z nich się zwraca. Patrzył to na jedną, to na drugą.

Kiedy Gwenifer wstała i uniosła głowę, jej wzrok napotkał oczy Morgiany z wyrazem zaskoczenia i rozpoznania.

– Gwenifer, to moja siostra Morgiana, księżniczka Kornwalii. Jest mym życzeniem, by była twą pierwszą damą dworu, jako że jest z nich najwyższa urodzeniem. Morgiana widziała, jak Gwenifer zwilża wargi swym małym, różowym języczkiem, jak kociątko.

– Mój panie i królu, pani Morgiana i ja już się spotkałyśmy.

– Co? Gdzie? – wypytywał Artur z uśmiechem.

Morgiana odparła sztywno:

– To się stało, gdy ona była w klasztornej szkole w Glastonbury, panie. Zgubiła drogę we mgle i zawędrowała na wybrzeża Avalonu.

I tak jak tamtego dnia, wydało jej się nagle, jakby coś szarego i posępnego jak popiół okryło i zgasiło ten jasny dzień. Mimo swej pięknej szaty i wspaniałego welonu, przy zwiewnej białości i blasku Gwenifer, Morgiana poczuła się jak ohydne, karłowate, gruboskórne stworzenie. To trwało tylko chwilę, potem Gwenifer podeszła i uściskała ją, całując w policzek, jak przystało na krewniaczkę. Odwzajemniając jej uścisk, Morgiana czuła, że Gwenifer jest delikatna jak jakieś drogocenne szkło, zupełnie odmienna od niej. Cofnęła się zawstydzona i sztywna, tak by Gwenifer nie mogła pierwsza odsunąć się od niej. Jej własne usta wydały jej się szorstkie na miękkim jak płatek róży policzku dziewczyny.

Gwenifer powiedziała cicho:

– Witam cię, siostrze mego pana i męża, księżniczko Kornwalii, czy... czy mogę nazywać cię Morgianą, siostrze?

Morgiana wzięła głęboki oddech i wykrztusiła:

– Jeśli takie jest twoje życzenie, pani.

Kiedy to powiedziała, zorientowała się, że mogło to zabrzmieć niemiło, ale nie wiedziała, co innego mogłaby odpowiedzieć. Dostrzegła, że stojący obok Artura Gawain patrzył na nią z lekko ściągniętymi brwiami. Lot był chrześcijaninem tylko dlatego, że tak wypadło, ale Gawain był naprawdę pobożny na swój prosty sposób.

Wyprostowała się pod jego nieprzyjaznym spojrzeniem. Miała takie samo prawo być tutaj, jak i on. Byłoby wspaniale zobaczyć, jak ci pobożni rycerze Artura zapominają o swej cnocie wokół ognisk Beltanu! Cóż, Artur przysiągł uznawać lud Avalonu na równi z chrześcijanami, więc coś takiego może się przydarzyć i na jego dworze.

Być może dlatego właśnie ona się tu znalazła.

– Mam nadzieję, że będziemy przyjaciółkami, pani – powiedziała Gwenifer. – Pamiętam, jak ty i sir Lancelot znaleźliście dla mnie drogę, kiedy się zgubiłam w tej potwornej mgle. Nawet teraz drzę na samo wspomnienie tego straszego miejsca – mówiąc to, uniosła wzrok na Lancelota, który stał za Arturem.

Morgiana pobiegła za jej wzrokiem i zastanawiała się, dlaczego Gwenifer mówi teraz do Lancelota; nagle zrozumiała, że ona po prostu nie może się powstrzymać, jakby Lancelot trzymał ją swoim wzrokiem na uwięzi... A on patrzył na Gwenifer jak głodny pies na soczystą kość. Jeśli już Morgiana musi znów napotkać to delikatne różowo-białe stworzenie w

obecności Lancelota, to oboje mają szczęście, że dzieje się to w chwili, kiedy Gwenifer ma zostać zaślubiona innemu. W swej dłoni wciąż czuła dłoń Artura i to ją martwiło. Ta więź też zostanie zerwana, kiedy on weźmie Gwenifer do łóża. Gwenifer stanie się dla niego Boginią i nie będzie już spoglądał na Morgianę w sposób, który tak ją niepokoił. Jest siostrą Artura, nie jego kochanką; nie jest matką jego syna, lecz syna Rogatego Pana. I tak właśnie być musi.

*Jednak ja też nie zerwałam tej więzi. To prawda, po porodzie byłam chora i nie miałam ochoty spaść jak dojrzałe jabłuszko do łóża Lota, więc gdy tylko był w pobliżu, odgrywałam wcielenie cnoty.* Teraz jednak patrzyła na Lancelota, mając nadzieję uchwycić jego wzrok skierowany na Gwenifer.

Uśmiechnął się, lecz nie spojrzął na nią. Gwenifer wzięła jej dłoń w swoją, a drugą sięgnęła po dłoń Igriany.

– Niebawem będziecie jak moja własna siostra i moja własna matka – powiedziała. – Bo moja matka i siostra nie żyją. Stańcie za mną, kiedy będziemy zaślubiani, matko i siostró.

Choć Morgiana jak mogła, utwardzała swe serce na urok Gwenifer, jednak te spontaniczne słowa rozczuliły ją i uściśnęła ciepłą i delikatną rączkę dziewczyny. Igriana wyciągnęła wolną dłoń, by poprzez Gwenifer dosięgnąć swej córki, więc Morgiana powiedziała:

– Nie miałam dotąd sposobności, by przywitać się z tobą jak należy, matko – i wypuściła na chwilę dłoń Gwenifer, by ucałować Igrianą.

Kiedy przez chwilę wszystkie trzy stały tak razem w uścisku, pomyślała: *Zaiste, wobec Bogini wszystkie kobiety są siostrami.*

– Chodźmy więc – powiedziała Morgiana miło. – Niechaj ślub się odbędzie, a potem czas na ucztę i turnieje.

Nawet biskup, który wydał się Morgianie taki surowy, odezwał się dosyć wesoło:

– Teraz, kiedy jesteśmy wszyscy w dobrym nastroju i zaiste pełni miłości, niechaj wszyscy się radują, jak przystoi dobrym chrześcijanom w tak doniosłym dniu.

Podczas zaślubin Morgiana stała u boku Gwenifer i czuła, że dziewczyna drży. Przypomniła sobie dzień polowania na jelenie.

Ona przynajmniej była podniecona i odurzona rytuałem, a mimo to bała się i tuliła do starej kapłanki. Nagle, w przypiływie dobrego serca, zaczęła żałować, że nie może tej dziewczynie, która była wychowana w klasztorze, przekazać czegoś ze starych mądrości, pewnych nauk, które pobierają młode kapłanki. Wtedy ona też wiedziałaby, jak płyną przez nią fale słońca, lata, ziemi i życia. Mogłaby naprawdę stać się dla Artura Boginią, a on dla niej Bogiem, tak że ich małżeństwo nie byłoby tylko pustą formą, lecz prawdziwym związkiem na wszystkich płaszczyznach życia... Prawie że zaczęła już układać w myślach słowa, ale potem przypomniała sobie, że Gwenifer jest chrześcijanką i nie byłaby zadowolona z takich nauk. Westchnęła zrezygnowana, wiedząc, że nic jej nie powie.

Podniosła oczy i napotkała wzrok Lancelota. Przez chwilę wytrzymał jej spojrzenie.

Przypomniała sobie tę zalaną słońcem chwilę na szczycie Toru, kiedy powinni byli się połączyć jako mężczyzna i kobieta, Bóg i Bogini... wiedziała, że on też to wspomina. Ale opuścił wzrok i spojrzał w inną stronę, żegnając się, jak to czynili księża, znakiem krzyża.

Prosta ceremonia dobiegła końca. Morgiana podpisała się jako świadek pod ślubnym kontraktem. Zauważyła, jak równy i piękny był jej podpis przy sztywnych literach Artura i dziecinnym, nieudolnym piśmie Gwenifer. Czy zakonnice w Glastonbury niczego jej nie nauczyły? Podpisał się też Lancelot, Gawain, król Bors z Bretanii, który przybył jako świadek, i Lot, i Ektoriusz, i król Pellinor, którego siostra była matką Gwenifer. Pellinor przywiózł ze sobą córkę, którą teraz z powagą przedstawił:

– Moja córka Elaine, twoja kuzynka, moja pani i królowo. Proszę, byś przyjęła ją na dwór.

– Będę szczęśliwa, mając ją wśród dam dworu – powiedziała Gwenifer z uśmiechem. Morgiana pomyślała, że córka Pellinora jest bardzo podobna do Gwenifer – też biała i różowa, choć nie jaśniała takim blaskiem, poza tym ubrana była w prosty len farbowany szafranem, co gasiło złoty połysk jej włosów.

– Jak ci na imię, kuzynko? Ile masz lat?

– Elaine, pani, i mam lat trzynaście. – Złożyła ukłon tak głęboki, że aż się potknęła i Lancelot musiał ją podtrzymać, żeby nie upadła. Zarumieniła się i skryła twarz za welonem.

Lancelot uśmiechnął się pobłaźliwie, a Morgiana poczuła bolesne ukłucie zazdrości.

Na nią nie chce patrzeć, widzi tylko te blade, złoto-białe aniołki, bez wątpienia on też uważa, że jest mała i brzydka. I w jednej chwili cała jej uprzejmość dla Gwenifer zmieniła się w gniew, aż musiała odwrócić twarz.

Gwenifer spędziła następne godziny, witając, jak jej się wydało, każdego króla z całej Brytanii, wszyscy przedstawiali jej swe żony, siostry i córki. Kiedy nadszedł czas, by zasiąść do uczty, poza Morgianą, Elaine, Igrianą i Morgause musiała jeszcze okazywać względy i uprzejmość Flavilli, przybranej matce Artura i matce sir Kaja; królowej północnej Walii, która nosiła to samo imię co ona, Gwenifer, lecz była ciemnowłosa i miała rzymskie rysy; i pół tuzinowi innych. Szepnęła do Morgiany:

– Nie wiem, jak kiedykolwiek zdołam zapamiętać te wszystkie imiona! Czy mogę się do nich zwracać po prostu „pani” i mieć nadzieję, że się nie zorientują dlaczego?

Morgiana odszepnęła, dzielając wesołość w jej głosie:

– To jeden z przywilejów królowej, pani, nikt nie będzie śmiał cię spytać dlaczego! Cokolwiek zrobisz, będą myśleli, że to dobrze!

A jeśli nawet pomyślą inaczej, to nie odważą się tego powiedzieć!

Gwenifer cicho zachichotała.

– Ale ty musisz mówić mi po imieniu, Morgiano. Kiedy mówisz „pani”, odwracam się, czy nie ma obok jakiejś dostojnej matrony, jak Flavilla czy żona króla Pellinora!

W końcu zaczęto ucztę. Morgiana miała teraz lepszy apetyt niż na koronacji Artura. Siedziała pomiędzy Gwenifer i Igrianą i jadła z zapałem; ascetyzm Avalonu był już daleko za nią. Zjadła nawet trochę mięsa, choć nie bardzo jej smakowało, ponieważ jednak na stole nie było wody, a piwo było głównie dla służby, piła więc wino, którego naprawdę nie lubiła. Zakreśliło jej trochę w głowie, choć nie było tak mocne, jak napoje podawane na dworze Lota, których nie znosiła i nigdy nie tykała. Po jakimś czasie wystąpił Kevin, by zagrać, i rozmowy ucichły. Morgiana, która od opuszczenia Avalonu nie słyszała dobrego harfiarza, słuchała, zanurzając się we wspomnieniach.

Nagle zatęskniła za Vivianą. Nawet kiedy spojrzała na Lancelota – jako najbliższy druh Artura siedział tuż przy nim, bliżej nawet niż następca tronu Gawain, i jadł z Arturem z jednego talerza – myślała o nim tylko jako o towarzyszu tamtych lat spędzonych nad Jeziorem.

*To Viviana, a nie Igriana jest moją prawdziwą matką, i to ją wolałam...* Spuściła głowę, powstrzymując łzy, których nie umiała ronić.

Muzyka ucichła, a ona usłyszała głęboki głos Kevina:

– Mamy wśród nas jeszcze jednego muzyka. Czy pani Morgiana zaśpiewa dla zebranych?  
*Skąd on wiedział, myślała, że aż się palę, by dotknąć tej harfy?*

– To będzie zaszczyt zagrać na twojej harfie, sir. Ale tak pięknej nie miałam w rękach od wielu lat...

Artur odezwał się niezadowolonym głosem:

– Co? Moja siostra ma śpiewać dla wszystkich tych ludzi jak jakiś wynajęty grajek?

*Kevin wyglądał na obrażonego i miał do tego pełne prawo*, pomyślała Morgiana. Rozgniewana wstała nagle i powiedziała z pasją:

– To, co Mistrz Harfiarz Avalonu godzi się czynić, dla mnie uczynić będzie zaszczytem! Muzyką czci się Bogów! – Wzięła harfę z rąk Kevina i usadowiła się na ławie. Instrument był większy od jej harfy i przez chwilę jej palce gubiły się na strunach. Potem odnalazła właściwe miejsca i ręce zaczęły poruszać się pewniej. Zagrała pieśń z północy, którą słyszała na dworze Lota. Teraz była wdzięczna za wino, które oczyściło jej gardło. Usłyszała, że jej głos brzmi słodko i szeroko – powrócił tak mocny, jak dawniej, choć do tej chwili o tym nie wiedziała. Śpiewała kontraltem, mocnym i głębokim, szkolonym przez bardów Avalonu. Znow była dumna. *Gwenifer może być piękna, ale ja mam głos barda.*

A kiedy skończyła, nawet Gwenifer podeszła do niej wraz z innymi i powiedziała:

– Masz piękny głos, siostrze. Czy nauczyłaś się tak śpiewać w Avalonie?

– Ależ tak, muzyka to rzecz święta. Czy w klasztorze nie, uczono cię gry na harfie?

Gwenifer zadrzała:

– Nie przystoi kobiecie wznosić głosu w obliczu Pana...

– Wy, chrześcijanie, uwielbiacie to słowo „nieprzystojny” – zaśmiała się Morgiana. – Szczególnie jeśli odnosi się do kobiet. Jeśli muzyka jest złem, to złem jest także dla

mężczyzn. A jeśli jest dobrem, to czyż kobiety nie powinny czynić wszelkiego dobra, jakie tylko mogą, by odpłacić za ich domniemany grzech na początku świata?

– Ale mi nie pozwolono. Raz zostałam nawet zbita za to, że dotknęłam harfy... – powiedziała Gwenifer ze smutkiem. – Ty jednak rzuciłaś na nas czar i nie mogę myśleć inaczej niż tylko, że te czary są dobre...

Odezwał się Kevin:

– Wszyscy mężczyźni i kobiety w Avalonie uczą się muzyki, lecz tylko nieliczni mają taki talent jak pani Morgiana. Z pięknym głosem trzeba się urodzić, nie można się go nauczyć. A skoro to dar Boży, to niesłuszne jest takim darem pogardzać, obojętnie, czy dany jest mężczyźnie czy kobiecie. Nie wolno nam myśleć, że Bóg popełnił błąd, dając tak piękny głos kobiecie, gdyż Bóg się nigdy nie myli. Musimy więc ten dar przyjąć.

– Nie mogę się spierać w teologii z Druidem – powiedział Ektoriusz – ale jeśli miałbym córkę obdarzoną takim darem, uznałbym, że to dla niej pokusa, by przekroczyć granice wyznaczone kobiecie. Nie mówi się o tym, żeby Maryja, Matka Pana Naszego, śpiewała czy tańczyła...

– A jednak jest powiedziane – wtrącił Merlin – że kiedy Duch Święty zstąpił na nią, podniosła głos i zaśpiewała: Sławi dusza moja Pana..

Wypowiedział to jednak po grecku: Megalynei he psyche mou ton Kyrion...

Tylko Ektoriusz, Lancelot i biskup rozpoznali greckie słowa, choć Morgiana także nieraz je słyszała. Biskup powiedział stanowczo:

– Ale ona śpiewała jedynie w obecności samego Boga. Tylko Maria Magdalena śpiewała i tańczyła w obecności mężczyzn, a to zanim nasz Zbawiciel nie zbawił jej duszy dla Boga, bo taniec i śpiew były częścią jej grzechu.

Tym razem odezwała się Igriana z nutą przekory w głosie:

– Król Dawid śpiewał i grał, jak czytamy, na harfie. Czy uważasz, że bił swoje żony i córki za to, że one grały?

Na lica Morgiany wystąpiły rumieńce. Dorzuciła:

– Jeśli Maria Magdalena, skoro już o niej mówimy, grała i śpiewała, to jednak została zbawiona, a nigdzie nie jest powiedziane, że Jezus rozkazał jej siedzieć w kącie i się nie odzywać! Jeśli wylała wonne balsamy na głowę Jezusa, a on nie rozkazał swoim towarzyszom jej powstrzymać, może więc skorzystał i z innych jej darów! Bogowie dają ludziom to, co najlepsze, a nie to, co najgorsze!

– Jeśli ludzie w Brytanii w takiej formie znają religię, to zaiste jesteśmy w wielkiej potrzebie takich konsyliów, jakie teraz zwołał nasz kościół! – odparł sztywno Patrycjusz. Zmarszczył brwi, a Morgiana, żałując swych ostrych słów, spuściła głowę. Nie powinna wywoływać sporów pomiędzy Avalonem i kościołem na ślubie Artura. Ale czemu Artur się nie odezwał? Nagle wszyscy zaczęli mówić naraz, a Kevin ujął harfę i zaczął grać wesołą



melodię, przy której służba roznosiła świeże przysmaki, na które do tej chwili nikt nie miał jeszcze ochoty.

Po jakimś czasie Kevin odłożył harfę, a Morgiana, tak by uczyniła w Avalonie, napełniła kielich winem i przyklęła, aby mu go podać.

Uśmiechnął się i przyjął kielich, dając jej znak, by wstała i siadła obok niego.

– Pani Morgiano, przyjmij moje podziękowanie.

– To mój obowiązek i zaszczyt służyć takiemu muzykowi, Mistrz Harfiarzu. Czy przybywasz z Avalonu? Czy Pani Viviana miewa się dobrze?

– Dobrze, lecz bardzo się postarzała – odpowiedział cicho. – I myślę, że tęskni za tobą. Powinnaś wrócić.

Morgiana znów poczuła falę niezapomnianej rozpacz, odwróciła głowę.

– Nie mogę. Ale opowiedz mi o domu.

– Jeśli chcesz więcej nowin z Avalonu, musisz sama tam jechać. Ja nie byłem tam już od roku, gdyż muszę zbierać wieści dla Pani Jeziora ze wszystkich ziem. Taliesin jest już za stary, by być Posłańcem Bogów.

– Cóż – powiedziała Morgiana – będziesz miał jej co opowiadać o tym ślubie.

– Powiem jej, że żyjesz i masz się dobrze, bo już cię opłakiwała. Nie ma już Wzroku, by móc widzieć. Opowiem jej też o najmłodszym synu, który jest pierwszym druhem Artura. Zaprawdę – wykrzywił usta w swym cynicznym uśmiechu – patrząc na niego, można by powiedzieć, że jest jak ten najmłodszy uczeń, który na wieczerzy położył głowę na łonie Chrystusa...

Morgiana nie mogła powstrzymać śmiechu.

– Ten wasz biskup kazałby cię niewątpliwie wychłostać za bluźnierstwo, gdyby to usłyszał.

– No, oto siedzi Artur, jak Jezus ze swymi apostołami, broniąc chrześcijaństwa na wszystkich ziemiach – powiedział Kevin. – A ten nasz biskup to nieuk.

– Bo nie ma ucha do muzyki? – Morgiana zapomniała już, jak była spragniona towarzystwa ludzi równych sobie. Morgause i plotki jej dworek były tak niskie, tak przyziemne.

– Powiedziałbym, że każdy człek bez ucha do muzyki jest nieukiem, bo bez tego nie mówi, tylko bełkocze – odparował Kevin. – Lecz tu chodzi o coś więcej. Czy to jest w ogóle pora na ślub?

Morgiana już od tak dawna nie była w Avalonie, że w pierwszej chwili nie zrozumiała, co miał na myśli. Ale wskazał na niebo.

– Księżycy ubywa po pełni. To źle wróży młodej parze i Taliesin im to mówił. Ale biskup uparł się, żeby ślub był po pełni, tak aby oświetlał gościom drogę, kiedy będą wracać do domów, a poza tym to uroczystość jednego z tych ich świętych, nawet nie wiem którego! Merlin rozmawiał także z Arturem i powiedział mu, że to małżeństwo nie przyniesie mu

szczęścia, choć nie wiem dlaczego. Lecz nie było honorowego wyjścia, by odwołać ślub, bo wszystko zaszło już za daleko.

Instynktownie Morgiana zrozumiała, o czym mówił stary Druid. Ona też widziała sposób, w jaki Gwenifer patrzy na Lancelota. Czy to był przebłysk Wzroku, który kazał jej odsunąć się od Gwenifer tamtego dnia w Avalonie?

*Tamtego dnia na zawsze odebrała mi Lancelota*, pomyślała Morgiana, a potem przypomniała sobie, że przecież była wtedy związana ślubami czystości... zastanowiła się, spójrzała w siebie... Czy dla niego złamałaby śluby? Zawstydzona opuściła głowę i przez chwilę bała się prawie, że Kevin odczyta jej myśli.

Viviana powiedziała jej, że kapłanka musi wszystko poddawać własnemu osądowi. To był dobry instynkt, śluby czy nie, że pożądała Lancelota... *Zrobiłabym lepiej, nawet wedle praw Avalonu, gdybym tamtego dnia wzięła Lancelota; wtedy królowa Artura przysłaby do niego z czystym sercem, bo Lancelot utworzyłby już ze mną tę mistyczną więź. A dziecko, które urodziłam, zrodziłoby się ze starożytnej krwi Avalonu...*

Mieli dla niej jednak inne plany, a wskutek nich opuściła Avalon na zawsze, urodziła dziecko, które zniszczyło jakąkolwiek nadzieję, że kiedykolwiek da Bogini córkę do jej świątyni: po Gwydionie nie mogła już urodzić żadnego dziecka. Gdyby zaufała swemu własnemu instynktowi i osądowi, Viviana byłaby zła, ale w końcu znalazłaby dla Artura kogoś odpowiedniego...

*Robiąc dobrze, uczyniłam źle; będąc posłuszna rozkazom Viviany, pomogłam zniszczyć to małżeństwo, bo wiem już, że będzie ono katastrofą...*

– Pani Morgiano – powiedział Kevin łagodnie – jesteś zmartwiona, czy mogę uczynić coś, by ci pomóc?

Morgiana potrząsnęła głową, znów walcząc ze łzami. Zastanawiała się, czy on wie, że oddano ją Arturowi na rytualnym pasowaniu na króla. Nie mogła przyjąć jego litości.

– To nic, lordzie Druidzie. Być może podzielam twą troskę o to małżeństwo zawarte przy ubywającym księżycu. Martwię się o mego brata, nic więcej. I żał mi kobiety, którą poślubił.

Kiedy wypowiadała te słowa, wiedziała, że mówi prawdę; mimo całego lęku przed Gwenifer, połączonego nawet z nienawiścią, wiedziała, że jest jej żal dziewczyny poślubiającej mężczyznę, który jej nie kocha, a sama kochała innego, którego poślubić nie mogła.

*Jeśli zabiorę Gwenifer Lancelota, zrobię memu bratu przysługę, a także jego żonie, bo jeśli go zabiorę, ona o nim zapomni.* W Avalonie uczono ją analizowania swych prawdziwych motywów, teraz więc spójrzała w głąb siebie. Nie, nie była ze sobą uczciwa. Jeśli odbierze Gwenifer Lancelota, to nie dla dobra swego brata czy dobra królestwa, lecz tylko i wyłącznie dlatego, że sama Lancelota pożąda.

*Nie dla siebie. Tylko dla dobra innego wolno ci posłużyć się czarami. Lecz nie wolno ci okłamywać siebie samej.* Znała dosyć miłosnych zaklęć. To będzie dla dobra Artura!

Powtarzała sobie w kółko, że to przyniesie korzyść całemu królestwu, jeżeli zabierze Lancelota żonie swego brata. Bezlitosne sumienie kapłanki mówiło jednak: *Nie wolno ci. Zabronione jest używać czarów, by przymuszać świat wedle własnej woli.*

A jednak spróbuje, ale musi to zrobić bez żadnej pomocy, tylko własnymi kobiecymi siłami. Powiedziała sobie dobitnie, że Lancelot raz już jej pragnął bez pomocy czarów; z pewnością potrafi sprawić, że zapagnie jej znowu!

Gwenifer była zmęczona ucztą. Zjadła więcej, niż chciała, i choć wypita tylko jeden kielich wina, było jej gorąco, tak że odrzuciła welon i zaczęła się wachlować. Artur szedł wolno w kierunku stołu, gdzie siedziała ona i inne damy, po drodze rozmawiał z wieloma ze swych gości. W końcu dotarł do stołu, a z nim Lancelot i Gawain.

Kobiety przesunęły się wzdłuż ławy, by zrobić miejsce i Artur usiadł obok niej.

– To pierwsza chwila, kiedy w końcu mogę z tobą naprawdę porozmawiać, moja żono.

– Rozumiem. To bardziej przypomina wojenną naradę niż wesele, mój królu i panie – powiedziała, wyciągając do niego swą małą dłoń.

Roześmiał się w głos.

– Wszystkie wydarzenia w moim życiu są teraz takie. Król nie robi niczego prywatnie. Cóż – dodał z uśmiechem, widząc na jej twarzy rumieniec – prawie nic. Myślę, że będzie kilka wyjątków, moja żono. Prawo wymaga, by widzieli, jak kładziemy się razem do łóżka, ale co się wydarzy później, to już tylko nasza sprawa, mam nadzieję.

Spuściła oczy, wiedząc, że zauważył jej rumieniec. Po raz kolejny, z poczuciem winy zdała sobie sprawę, że znów o nim zapomniała, że patrzyła tylko na Lancelota i myślała pogrążona w słodkich marzeniach, jak bardzo żałuje, że to nie z nim została połączona małżeńskim węzłem. Cóż za przekłety los uczynił z niej Najwyższą Królową? Artur spoglądał na nią głodnym spojrzeniem, lecz ona nie śmiała podnieść wzroku. Widziała, że odwrócił oczy, zanim jeszcze padł na nich cień – to podeszła Morgiana. Artur zrobił dla niej miejsce obok siebie.

– Usiądź razem z nami, siostrze, dla ciebie zawsze jest tu miejsce – powiedział tak tęsknym głosem, że Gwenifer przez chwilę zastanawiała się, ile wypił. – Kiedy ucza dobiegnie końca, przygotowaliśmy różne atrakcje, może coś bardziej podniecającego niż muzyka, choć i ona jest piękna. Nie wiedziałem, że śpiewasz, siostrze. Wiedziałem, że jesteś czarodziejką, ale nie, że jesteś także muzykiem. Czy zaczarowałaś nas wszystkich?

– Mam nadzieję, że nie – odpowiedziała ze śmiechem – bo inaczej już nigdy więcej nie odważyłabym się śpiewać. Pamiętasz tę starą baśń o bardzie, który śpiewem zamienił złych olbrzymów w kamienne głazy i stoją tak zakłęci w kamiennym kręgu po dziś dzień?

– Tego nigdy nie słyszałam – powiedziała Gwenifer. – Choć w moim klasztorze opowiadano przypowieść o złych ludziach, którzy szydzili z Chrystusa, kiedy szedł na ukrzyżowanie, a jeden święty uniósł rękę i zmienił ich we wrony, które poleciały w świat na

wieki, krzyżąc żałośnie... i inną baśń, o świętym, który zamienił krąg czarownic odprawiających swe diabelskie gusta w krąg kamieni.

– Gdybym miał czas na studiowanie filozofii – powiedział leniwie Lancelot – zamiast być wojownikiem, rycerzem czy trenować konie, myślę, że postarałbym się dowiedzieć, kto naprawdę wzniosł te kamienne kręgi i dlaczego.

Morgiana zaśmiała się.

– Wiemy to w Avalonie. Viviana może ci powiedzieć, jeśli zechce.

– Ale – powiedział Lancelot – to, co mówią kapłanki czy księża, może być tak samo nieprawdą, jak opowieści twych świątobliwych zakonnic, Gwenifer, och, wybacz mi, powinienem powiedzieć: moja pani i królowo. Arturze, wybacz mi, nie miałem zamiaru okazać twej pani braku szacunku, lecz mówiłem do niej po imieniu, jeszcze gdy była młodsza i nie była królową...

Morgiana wiedziała jednak, że on tylko szukał pretekstu, by głośno wymówić jej imię.

Artur ziewnął:

– Drogi przyjacielu, ja nie mam nic przeciwko temu, jeśli nie ma moja pani. Niech Bóg broni, bym miał być takim mężem, który chce trzymać swą żonę w klatce z dala od innych ludzi. Małżonek, który nie umie zapewnić sobie przychylności i wierności własnej żony, pewnie na nie nie zasługuje. – Przechylił się i ujął dłoń Gwenifer w swoją. – Chyba dość już tego ucztowania. Lancelocie, kiedy jeźdźcy będą gotowi?

– Myślę, że niebawem – odparł Lancelot, specjalnie odwracając wzrok od Gwenifer. – Czy mój król i pan życzy sobie, abym poszedł sprawdzić?

Morgiana myślała: *On się zadrecza, nie może znieść widoku Gwenifer z Arturem, lecz nie może się zdobyć na to, by zostawić ją z nim samą.*

Odezwała się, specjalnie obracając prawdę w żart:

– Lancelocie, myślę, że młoda para chciałaby przez chwilę porozmawiać sam na sam. Może zostawimy ich tutaj, a sami pójdziemy sprawdzić, czy jeźdźcy są gotowi?

– Panie – zaczął Lancelot, a kiedy Gwenifer już otworzyła usta, by zaprotestować, dokończył szybko: – pozwól mi odejść.

Artur skinął głową, a Morgiana wzięła Lancelota za rękę.

Pozwolił się wyprowadzić, ale w połowie sali odwrócił głowę, jakby nie mógł oderwać oczu od Gwenifer. Serce jej się ścisnęło: wydawało jej się, że równocześnie nie zniesie dłużej jego udręki, a jednak oddałaby wszystko, by tylko go stąd zabrać i nie musieć dłużej znosić tego, jak on patrzy na Gwenifer. Słyszała jeszcze, jak Artur mówi:

– Do wczorajszego dnia nie miałem pojęcia, że los, zsyłając mi żonę, zesłał mi żonę tak piękną.

Na co Gwenifer odpowiedziała:

– Ale to nie los, panie, to mój ojciec.

Zanim Morgiana usłyszała odpowiedź Artura, byli już poza zasięgiem ich rozmowy.

– Pamiętam – powiedziała Morgiana – pewnego dnia w Avalonie, wiele lat temu mówiłeś, że kawaleria to klucz do zwycięstwa nad Saksonami, to zdyscyplinowana armia, taka jak rzymska. Przypuszczam, że takie masz właśnie plany co do tych jeźdźców.

– To prawda, po to ich ćwiczę. Nie wyobrażałem sobie, że kobieta może pamiętać jakiś problem wojennej strategii, kuzynko.

– Żyję w strachu przed Saksonami jak każda kobieta na tych wyspach. Kiedyś przejeżdżałam przez wioskę, przez którą przeszła banda Saksonów. Zgwałcili każdą kobietę od pięcioletnich dziewczynek po dziewięćdziesięcioletnie bezzębne staruszki. Cokolwiek daje nadzieję na pozbycie się Saksonów raz na zawsze, jest dla mnie istotne, może nawet bardziej niż dla mężczyzn i wojowników, którzy muszą się bać jedynie śmierci.

– Nigdy o tym nie myślałem – powiedział Lancelot poważnie. – Oddziałom Uthera Pendragona zdarzały się wypadki do wiosek na chętne kobiety, tak jak i ludziom Artura, ale w zasadzie nie czynią gwałtu. Zapomniałem też, Morgiano, że jesteś wykształcona w Avalonie i często myślisz o sprawach, które dla innych kobiet znaczą niewiele lub prawie nic. – Spojrzał na nią i uścisnął jej dłoń w swojej. – Zapomniałem o harfach Avalonu. Myślałem, że nienawidzę tego miejsca i że nigdy nie chcę tam wrócić. A jednak, czasami, coś niewielkiego zabiera mnie tam znowu. Dźwięk harfy. Blask słońca na kamiennym kręgu. Zapach jabłek i dźwięk latających pszczół. Ryby pluskające w jeziorze, krzyk wodnych ptaków o zachodzie słońca...

– Pamiętasz – spytała miękko – ten dzień, kiedy weszliśmy na Tor?

– Pamiętam – powiedział i dodał z nagłą goryczą w głosie: – Na Boga, jakże żałowałem, że tamtego dnia byłaś zaprzysiężona Bogini.

Odpowiedziała cicho:

– Żałuję tego niemal od tak dawna, jak sięgnę pamięcią... – Nagle głos jej się załamał, a Lancelot spojrzał na nią z troską.

– Morgiano, Morgiano, kuzynko, nigdy nie widziałem, żebyś płakała.

– Czy ty też, tak jak wielu mężczyzn, boisz się kobiecych łez?

Pokręcił głową i otoczył ją ramieniem.

– Nie – wyznał cichym głosem. – Łzy sprawiają, że kobiety są bardziej realne, bardziej bezbronne, kobiety, które nigdy nie płaczą, przerażają mnie, bo wiem, że są silniejsze ode mnie, i zawsze trochę się boję tego, co zrobią. Zawsze się bałem... Viviany.

Wyczuła, że miał powiedzieć swojej matki, lecz powstrzymał te słowa. Szli wzdłuż niskiej i długiej stajni; długa linia uwiązanych w boksach koni zasłaniała światło. W powietrzu unosił się przyjemny zapach siana i słomy. Widziała biegających na zewnątrz ludzi, przynosili snopki siana, ustawiali skórzane manekiny, siodłali konie.

Ktoś dostrzegł Lancelota i krzyknął:

– Czy jego królewska wysokość i szlachetni państwo będą niebawem gotowi, sir? Nie chcemy za wcześnie wprowadzać koni.

– Już niedługo – odkrzyknął Lancelot.

Jeden z ludzi stojących za końmi okazał się Gawainem.

– Och, kuzynko – powitał Morgianę. – Lance, nie wprowadzaj jej tutaj, to nie miejsce dla damy, niektóre z tych bestii są jeszcze nie ujeżdżone. Wciąż masz zamiar pojechać na białym ogierze?

– Postanowiłem, że będzie gotowy dla Artura, by dosiadł go w następnej bitwie, choćbym ja miał kark skręcić!

– Nie żartuj w takich sprawach – powiedział Gawain.

– A kto mówi, że żartuję? Jeśli Artur na nim nie pojedzie, ja będę na nim walczył w następnej bitwie, a dziś po południu dosiądę go w hołdzie królowej!

– Lancelocie – powiedziała Morgiana – nie ryzykuj życia w taki sposób. Gwenifer nie odróżnia jednego konia od drugiego. Jeślibyś przejechał na starej klaczy przez dziedziniec, to zrobi na niej takie samo wrażenie, jak wyczyny samych centaurów!

Spojrzenie, które jej rzucił, było niemal gniewne, ale odczytała je wyraźnie: *Jak mogłabyś zrozumieć, że muszę sobie udowodnić, iż ten dzień mnie nie zranił?*

– Osiodłaj swego konia, Gawain, i podaj dalej rozkaz. Mamy być gotowi za pół godziny – powiedział Lancelot. – I spytaj Kaja, czy chce być pierwszy.

– Chyba Kaj nie pojedzie z tą swoją kulawą nogą? – spytał jeden z jeźdźców, który mówił z bardzo silnym obcym akcentem.

Gawain obrócił się do niego i powiedział ostro:

– A ty byś mu tego odmówił? To jedyne wojskowe ćwiczenie, przy którym ta noga mu nie przeszkadza i nie musi być uwiązany w kuchni i przy kobietach!

– Nie, no rozumiem – odparł obcy i wrócił do siodłania swego konia.

Morgiana dotknęła dłoni Lancelota. Popatrzył na nią, a przekorny chochlik powrócił do jego spojrzenia. *Tutaj, pomyślała, zajmując się czymś, ryzykując głowę, robiąc coś dla Artura, tu zapomina o miłości, jest znów szczęśliwy. Gdyby tylko mógł wciąż być czymś zajęty, nie musiałby tęsknić za Gwenifer ani za żadną inną kobietą.*

– Pokaż mi tego niebezpiecznego konia, na którym pojedziesz – powiedziała.

Poprowadził ją między rzędami uwiązanych koni. Zobaczyła bladobrzysty nos, długą, jedwabistą grzywę. Wielki koń, szeroki w piersiach jak ramiona Lancelota. Zwierzę odrzuciło głowę, a jego rzenie było jak odgłos bajkowych smoków, które zioną ogniem.

– Och, ty piękny – powiedział Lancelot, kładąc rękę wzdłuż końskiego nosa. Poklepał go i cofnął się o krok. – Tego ujeżdżałem osobiście, przyuczałem do wędzidla i strzemieni. To mój prezent ślubny dla Artura, który nie ma czasu, żeby sam ujeździć wierzchowca. Przysiągłem sobie, że w dniu zaślubin będzie gotów, łagodny jak baranek.

– Przemyślany prezent – powiedziała Morgiana.

– Nie, jedyny, jaki mogę ofiarować – odparł Lancelot. – Nie jestem bogaty. Poza tym on i tak nie potrzebuje złota ani klejnotów, jest nimi obsypany. A to jest prezent, który tylko ja mogę mu dać.

– Prezent z samego siebie – powiedziała Morgiana i pomyślała: *Jak on kocha Artura. To dlatego tak się zadręcza. Nie tyle mężczy go to, że pożąda Gwenifer, lecz to, że również kocha Artura. Gdyby był zwykłym kobieciarzem, jak Gawain, nawet bym mu nie współczuła. Gwenifer jest cnotliwa i sprawiłoby mi przyjemność patrzeć, jak go odrzuca.*

– Chciałabym go dosiąść – powiedziała – nie boję się żadnego konia.

– Morgiano, ty się niczego nie boisz, prawda? – zaśmiał się Lancelot.

– O nie, kuzynie – odparła, nagle poważniejąc. – Boję się wielu rzeczy.

– Cóż ja boję się chyba nawet bardziej od ciebie. Boję się walki i Saksonów i boję się, że zostanę zabity, zanim spróbuję wszystkiego w życiu. I dlatego nigdy nie śmiem wycofać się z żadnego wyzwania... A najbardziej się boję, że i Avalon, i kościół się mylą i nie ma żadnych Bogów ani nieba, ani życia po śmierci, tak więc, gdy umrę, zniknę na zawsze. Dlatego boję się umrzeć, zanim nie zasmakuję życia do końca.

– Nie wydaję mi się, żeby zostało ci jeszcze coś, czego nie spróbowałeś – powiedziała Morgiana.

– O tak, Morgiano, jest tyle rzeczy, za którymi tęsknię, których pragnę, i kiedy omijam którąś z nich, gorzko żałuję i zastanawiam się, co za słabość czy szaleństwo powstrzymuje mnie od robienia tego, czego chcę... – Nagle odwrócił się i objął ją gwałtownie ramionami, przyciągając blisko do siebie.

*To rozpacz, myślała z goryczą, to nie mnie pragnie, tylko chwili zapomnienia, by nie myśleć o Arturze i Gwenifer połączonych tej nocy w miłosnym uścisku.*

Jego dłonie zaczęły błądzić po jej piersiach z niemal bezwiedną, umiejętną zwinnością. Przycisnął usta do jej warg i poczuła, jak napiera na nią całą długością ciała. Stała bez ruchu w jego ramionach, czując rosnące w niej aż do bólu pożądanie.

Prawie nie zdawała sobie sprawy ze swych własnych niewielkich ruchów, którymi dopasowywała swe ciało do niego. Jej wargi rozchyliły się pod naporem jego ust, jego ręce błądziły teraz po całym jej ciele. Ale kiedy przesunął ją w kierunku sterty siana, zaprotestowała:

– Mój drogi, jesteś szalony, po tej stajni kręci się z pół setki żołnierzy i jeźdźców Artura...

– Proszę cię – wyszeptał, a ona, drżąc z podniecenia, pozwoliła mu popchnąć się na siano.

Przez głowę przeleciała jej gorzka myśl: *księżniczka, księżniczka Kornwalii, kapłanka Avalonu, obłapiana w stajni jak jakaś kuchenna dziewczka, nawet bez pretekstu ogni Beltanu.* Odgoniła jednak od siebie tę myśl i pozwoliła jego dłoniom przesuwac się po swym ciele; nie stawiała oporu. *Lepsze to niż złamane serce Artura.* Nie wiedziała, czy jest to jej własna myśl czy myśl mężczyzny, którego ciało całkowicie ją teraz przykrywało, którego gwałtowne, silne

ręce znaczyły jej skórę siniakami; jego pocałunki były niemal dzikie, z furią wdzierające się w jej usta.

Poczuła, że on zмага się z jej suknią i poruszyła się, by ją dla niego rozluźnić.

I nagle rozległy się głosy, krzyczące, nawołujące, hałas jak uderzenia młota, przerażony krzyk, a w końcu z tuzin głosów zaczęło wołać:

– Kapitanie! Sir Lancelocie! Gdzie on jest? Kapitanie!

– Był tutaj! – Jeden z młodszych żołnierzy już biegł wzdłuż boksów. Klnąc siarczyście pod nosem, Lancelot błyskawicznie znalazł się pomiędzy Morgianą a młodym żołnierzem, a ona zakryła twarz welonem i półnaga skuliła się w sianie, by nie można jej było dostrzec.

– Cholera! Czy na chwilę nie mogę odejść...

– Och, panie, chodź szybko, jeden z tych obcych koni... tam była klacz i dwa ogiery zaczęły walczyć i jeden ma chyba złamaną nogę...

– Do diabła ciężkiego! – Lancelot zwinnie doprowadzał do porządku swój ubiór, równocześnie wstając i zagradzając drogę chłopcu. – Zaraz idę!

Młodzieniec zauważył Morgianę; miała nadzieję, że w panice jej nie rozpoznał, to dopiero byłby smaczny kąsek dla dworskich plotkarek. *Nie taki jednak straszny jak to, czego się nie dowiedzą... Że urodziłam syna swemu bratu.*

– Czy w czymś przeszkadzam, sir? – spytał młodzieniec i prawie że wyciągał szyję, starając się zajrzeć Lancelotowi przez ramię.

Morgiana zmartwiła się: *Jak to wpłynie na jego reputację? A może to dla mężczyzny chluba, jeśli go się przytapie na sianie?* Lancelot nawet nie odpowiedział chłopcu, tylko wypchnął go z boksu tak ostro, że ten o mało nie upadł.

– Znajdź Kaja i kowala, no, zmiataj.

Lancelot wrócił do boksu szybko jak powiew wiatru i pocałował Morgianę, która z trudem podnosiła się na nogi.

– Bogowie! Na wszystkie przeklęte... – Przygarnął ją mocno do siebie spragnionymi rękoma, pocałował znów tak gwałtownie, że czuła, jak ten pocałunek zostawia czerwony, rozpalony ślad na jej ustach. – Bogowie! Dziś w nocy, przysięgnij! Przysięgnij!

Nie mogła wydobyć głosu. Zdołała tylko skinąć głową, półprzytomna, odrętwiała. Kiedy patrzyła, jak odchodzi, całe jej ciało krzyczało z niedawnego niespełnienia. Minutę czy dwie później młody mężczyzna podszedł do niej i skłonił się z szacunkiem.

– Pani Morgiano? Jestem Griflet. Sir Lancelot przysłał mnie, abym cię odprowadził do namiotów pani. Powiedział mi, że przyprowadził cię tu, by pokazać ci konia, którego szykuje dla króla, a ty się poślizgnęłaś i upadłaś na siano. Właśnie miał zobaczyć, czy nic ci się nie stało, kiedy zaczęli na niego wołać, gdy ten ogier zaczął walczyć z koniem króla Pellinora. Błaga cię o wybaczenie i prosi, byś powróciła do zamku.



Cóż, pomyślała, to przynajmniej wytłumaczy jej pogniecioną szatę, potargane włosy i welon pełen słomianych drobin. Nie musi stawać przed obliczem Gwenifer i swej matki, wyglądając jak ta kobieta z Pisma, ta przyłapana na cudzołóstwie.

Młody Griflet wyciągnął ramię, a ona ciężko się na nim wsparła, mówiąc:

– Chyba mam skręconą kostkę.

Kuśtykała przez całą drogę do zamku. To wytłumaczy siano na stroju – mocno się zraniła, upadła. Choć była zadowolona z szybkiego refleksu Lancelota, to jednak w duchu rozpaczała, pragnąc, by ją przytulił i zaopiekował się nią.

Artur poszedł do stajni z Kajem, zaniepokojony wypadkiem przy koniach. Morgiana pozwoliła, by Gwenifer się nią zajęła, a Igriana posłała po zimną wodę i płócienne bandaże.

Na turnieju przyjęła miejsce w cieniu, u boku Igriany. Zaczęły się pokazy. Najpierw Artur wygłosił krótką mowę o nowym legionie Caerleonu, który przywróci dni rzymskiej świetności i obroni kraj. Jego przybrany ojciec Ektoriusz promieniał. Potem wyjechał pierwszy tuzin jeźdźców, pokazując nowe umiejętności, dzięki którym konie zatrzymywały się w galopie, stawały dęba, obracały się, szły w równym szyku.

– Teraz – oznajmił Artur z dumą – nikt już nie powie, że konie nadają się jedynie do ciągnięcia wozów! – Uśmiechnął się do Gwenifer. – Jak ci się podobają moi jeźdźcy, pani? Nazywam ich z rzymska *equites*, co znaczy szlachetnie urodzeni, którzy mają na własność swoje konie i sami je ekwipują.

– Kaj jeździ dobrze jak centaur – powiedziała Igriana do Ektoriusza, a stary człowiek uśmiechnął się szczęśliwy. – Arturze, nigdy nie zrobiłeś nic bardziej szlachetnego niż to, że dałeś Kajowi jednego z najlepszych koni.

– Kaj jest zbyt dobrym żołnierzem i zbyt dobrym przyjacielem, by ukrywać go za murami – powiedział Artur z przekonaniem.

– Czy to nie twój przyrodni brat? – spytała Gwenifer.

– Tak. Został ranny w swej pierwszej bitwie i bał się, że przez to na zawsze będzie już skazany na siedzenie w domu z kobietami – powiedział Artur. – Przerażający los dla rycerza. Ale w siodle walczy tak dobrze, jak każdy.

– Patrzcie – krzyknęła Igriana – legion zmiotł tę całą linię wroga. Nigdy nie widziałam takiej jazdy!

– Chyba nikt nie wytrzyma takiego ataku – powiedział król Pellinor. – Jaka szkoda, że Uther Pendragon nie dożył tej chwili, mój chłopcze, o przepraszam, mój królu i panie...

Artur przerwał mu ciepło:

– Przyjaciel mego ojca może się do mnie zwracać tak, jak ma na to ochotę, drogi Pellinorze! Ale to wszystko zasługa mego przyjaciela i dowódcy, Lancelota.

Syn Morgause, Gaheris, wesóły chłopiec wyglądający na czternaście lat, nisko skłonił się królowi.

– Panie, czy mogę iść do stajni i zobaczyć, jak zdejmują siodła?

– Możesz – powiedział Artur. – Kiedy on dołączy do Gawaina i Agraveina przy mym boku, ciociu?

– Może jeszcze w tym roku, jeśli jego bracia nauczą go sztuki walki i będą się nim opiekować – odparła Morgause, a potem nagle podniosła głos: – Nie! Ty nie, Gareth! – Próbowała złapać pulchnego sześciolatka. – Gaheris, przyprowadź go tutaj z powrotem!

Artur ze śmiechem rozłożył ramiona.

– Nie przejmuj się, chłopcy lgną do stajni jak pchły do psów. Mówili mi, że dosiadłem ogiera mego ojca, kiedy miałem zaledwie sześć lat! Nie pamiętam tego, to było niedługo przed tym, jak zostałem wysłany na wychowanie do Ektoriusza.

Morgiana zadrżała, przypominając sobie nagle obraz jasnowłosego dziecka, które leży jak martwe, i jeszcze coś, jakby cień w misie z wodą... nie... – obraz zniknął.

– Czy kostka bardzo cię boli, siostrze? – spytała Gwenifer troskliwie. – Proszę, oprzyj się na mnie.

– Gawain się nim zajmie. – Artur powrócił do tematu. – To najlepszy, jakiego mam, nauczyciel młodych rycerzy i jeźdźców.

– Lepszy niż sir Lancelot? – spytała Gwenifer.

*Ona wciąż pragnie wymawiać jego imię, myślała Morgiana. Ale to mnie pragnął tak niedawno temu, a dziś w nocy będzie już za późno... Lepsze to niż złamane serce Artura. Powiem o tym Gwenifer, jeśli będę musiała.*

– Lancelot? On jest najlepszym jeźdźcą – powiedział Artur – choć jak na mój gust zbyt ryzykuje. Oczywiście, wszyscy młodzi go uwielbiają, o patrz, tam jest twój mały Gareth, ciociu, wlecze się za nim jak psiaczek. Młodzi oddaliby wszystko za jedno słowo pochwały z jego ust. Lecz nie jest tak dobry w nauczaniu wojennej sztuki jak Gawain. Lancelot jest zbyt porywczy i lubi się popisywać. Gawain podchodzi do nich powoli, spokojnie i uczy ich wszystkiego krok po kroku; nie robią sobie nigdy krzywdy przez nieuwagę. Gawain to mój najlepszy mistrz fechtunku i walki. Patrzcie, oto Lancelot na koniu, którego dla mnie ujeździł! – Artur wybuchnął śmiechem, a Igriana rzuciła:

– A to czort!

Mały Gareth uczeplił się skórzanego siodła jak małpka, a Lancelot ze śmiechem uniósł go i posadził przed sobą, a potem puścił się w galop, sunąc prosto w górę zbocza, na szczycie którego siedział król z towarzystwem. Gnał na złamanie karku prosto na nich, tak że nawet Artur wstrzymał oddech, a Igriana cofnęła się o krok z pobielającą twarzą.

Lancelot zatrzymał się nagle tuż przed nimi, tak że koń stanął dęba w miejscu i okręcił się dookoła.

– Twój rumak, królu Arturze – krzyknął z dumą, trzymając lejce tylko jedną ręką – oraz twój kuzyn. Ciociu Morgause, weź tego małego urwisa i uszyj mu bryczesy do konnej jazdy! – dodał, opuszczając Garetha prawie wprost na kolana Morgause. – Mógł wpaść pod końskie kopyta i dać się zabić!

Gareth nie słyszał ani słowa z reprimendy matki, bo wpatrywał się wciąż w Lancelota jak urzeczony, a jego błękitne oczy pełne były podziwu i uwielbienia.

– Kiedy będziesz starszy – powiedział Artur ze śmiechem – pasuję cię na rycerza i będziesz walczył z olbrzymami i wrogimi najeźdźcami i ratował piękne damy.

– O nie, mój królu Arturze – powiedział chłopiec wciąż wpatrzony w białego konia, na którym Lancelot jeździł teraz przed trybuną. – To sir Lancelot pasuje mnie na rycerza i razem pojedziemy na wyprawę.

Ektoriusz zaśmiał się, mówiąc:

– No, wygląda na to, że młody Achilles znalazł swojego Patroklesa.

– Ja zaś zostałem całkiem w cieniu – rzekł Artur z humorem. – Nawet moja dopiero co poślubiona małżonka nie może oderwać oczu od Lancelota i prosi go, by zwracał się do niej po imieniu, a teraz mały Gareth woli być pasowany na rycerza właśnie przez niego! Gdyby Lance nie był moim najbliższym przyjacielem, szalałbym z zazdrości.

Pellinor w zadumie obserwował jeźdźca.

– Ten przeklęty smok wciąż się skrywa w jeziorze na mych ziemiach i wylazi, by zabijać wieśniaków i krowy. Może gdybym miał takiego konia, który nie bałby się walki... Myślę, że też sobie wyszkolę takiego rumaka i znów wyruszę na tę bestię. Ostatnim razem ledwie uszedłem z życiem.

– Smok, panie? – spytał mały Gareth. – Czy on ziejże ogniem?

– Nie, synku, ale potwornie śmierdzi, a z jego brzucha wydobywa się hałas, jakby sześćdziesiąt psich sfor ujadło naraz – powiedział Pellinor, a Ektoriusz dodał:

– Smoki nie zioną ogniem, chłopcze. To się wzięło ze starego powiedzenia, kiedy spadające gwiazdy nazywano smokami, bo mają długie, ogniste ogony. Może kiedyś istniały smoki ziejące ogniem, ale nie za ludzkiej pamięci.

Morgiana nie słuchała tych wywodów, choć zastanawiała się, ile w opowieści Pellinora mogło być prawdy, a ile wymyślił, żeby zafascynować dziecko. Patrzyła na Lancelota, który jeździł wkoło.

– Nigdy bym nie umiał tak ujeździć konia – powiedział Artur do Gwenifer. – Lancelot trenuje go dla mnie, do walki. Jeszcze dwa miesiące temu ten rumak był dziki jak jeden ze smoków Pellinora, a teraz spójrz na niego!

– Mnie się wciąż wydaje dziki – powiedziała Gwenifer – ale ja i tak się boję nawet najłagodniejszych koni.

– Rumak bojowy nie może być łagodny jak damski wierzchowiec – powiedział Artur. – Musi mieć ducha... o wielki Boże!!! – zakrzyknął, podrywając się z miejsca.

Na ziemi mignęło coś białego i jakiś ptak, może gęś, nagle poderwał się do lotu tuż spod końskich kopyt. Lancelot, który jechał rozluźniony, niczego nie podejrzewając, poczuł nagle, jak koń staje dęba i ostro rzuca się w tył.

Stracił kontrolę, spadł niemal pod końskie kopyta i ostatkiem sił potoczył się w bok.

Gwenifer krzyczała. Wtórowała jej Morgause i pozostałe damy.

Tylko Morgiana, całkiem zapominając, że ma niby skręconą kostkę, zeskoczyła z trybuny i rzuciła się w kierunku Lancelota, wyciągając go spod końskich kopyt. Artur złapał konia za uzdę i walcząc z nim z całych sił, odciągnął zwierzę od nieprzytomnego Lancelota. Morgiana uklękła przy nim, szybko sprawdziła puls na skroni, na której już tworzył się siniak, a krople krwi mieszały się z kurzem.

– Nie żyje? – krzyczała Gwenifer. – Czy on nie żyje?

– Żyje – powiedziała szorstko Morgiana. – Przynieście zimnej wody i trochę tego płóciennego bandaża. Ma chyba złamany nadgarstek, podparł się na nim, łagodząc upadek, dlatego nie skręcił karku! A ten guz na głowie... – Pochyliła się i przyłożyła ucho do piersi Lancelota. Poczuła, że lekko wznosi się i opada. Wzięła misę z zimną wodą, którą przyniosła córka Pellinora i obmyła mu skroń kawałkiem płótna. – Niech ktoś złapie tę gęś i ukręci jej szyję, a pastuchowi trzeba obić skórę. Sir Lancelot mógł sobie pogruchotać czaszkę lub uszkodzić królewskiego konia.

Gawain odprowadził rumaka do stajni. Ten niemal tragiczny wypadek zepsuł ogólny nastrój. Jeden po drugim, goście zaczęli się rozchodzić do swych namiotów i komnat. Morgiana owinęła głowę Lancelota i nastawiła złamany nadgarstek tak sprawnie, że skończyła operację, zanim zaczął jęczeć i wyrwać rękę. Potem po radzie z ochmistrzynią posłała Kaja po pewne zioła, które miały chorego uspić, i kazała go zanieść do łoża. Czuwała przy nim, chociaż jej nie rozpoznawał, tylko jęczał i czasem wywracał niewidzącymi oczyma.

Raz zatrzymał na niej wzrok i wyszeptał:

– Matko...

Serce Morgiany zamarło. Potem zapadł w głęboki, niespokojny sen, a kiedy się obudził, rozpoznał ją.

– Morgiano? Kuzynko? Co się stało?

– Spadłeś z konia.

– Konia? Jakiego konia? – pytał zaskoczony, a kiedy mu opowiedziała, odparł z przekonaniem: – To absurd. Ja nie spadam z koni – po czym znów zapadł w sen.

Morgiana siedziała przy nim, pozwalając, by trzymał ją za rękę, i myślała, że pęknie jej serce. Ślady jego pocałunków wciąż paliły jej usta, jej spragnione piersi. Jednak tamta chwila minęła bezpowrotnie i ona o tym wiedziała. Nawet gdyby pamiętał, już nie będzie jej chciał. Nigdy naprawdę jej nie pragnął, chciał tylko uśmierzyć ból rozmyślenia o Gwenifer i swej miłości do króla i przyjaciela.

Zaczęło się ściemniać. Z daleka, z zamku znów dochodziły odgłosy muzyki – to Kevin grał. Słysząc było śmiechy, śpiew, zabawę. Nagle drzwi się otworzyły i stanął w nich sam Artur z pochodnią w ręce.

– Siostrze, jak się czuje Lancelot?

– Będzie żył, ma twardą głowę – powiedziała, siląc się na swobodny ton.

– Chcieliśmy, byś była wśród świadków, gdy będą odprowadzać pannę młodą do łoża, tak jak byłaś świadkiem ślubu – powiedział Artur. – Lecz przypuszczam, że on nie powinien być sam, a nie chciałbym go zostawiać z szambelanem, nawet jeśli to Kaj. Lance ma szczęście, że jesteś przy nim. Jesteś jego przyrodnią siostrą, prawda?

– Nie – odparła Morgiana z niespodziewaną złością.

Artur podszedł do łoża i ujął bezwładną dłoń rannego. Lancelot jęknął, poruszył się i otworzył oczy.

– Artur?

– Jestem tu, przyjacielu – powiedział Artur, a Morgiana pomyślała, że nigdy jeszcze nie słyszała, by głos mężczyzny brzmiał tak łagodnie.

– Czy wszystko w porządku z... z twoim koniem?

– Koń ma się dobrze, do diabła z koniem. Gdybyś zginął, na cóż zdałby mi się koń? – Artur prawie płakał.

– Jak... jak to się stało?

– Cholerna gęś wleciała w górę. Pastuszek się ukrywa. Pewnie wie, że będzie sprany na kwaśne jabłko!

– Nie rób tego – powiedział Lancelot. – To tylko małe, głupie stworzenie niespełna rozumu. Nie jego wina, że gęś była sprytniejsza od niego i uciekła. Obiecuj mi, Gwydionie.

Morgiana zdziwiła się, że użył tego starego imienia. Artur uścisnął jego dłoń i pochylił się, by ucałować Lancelota w policzek, ostrożnie omijając posiniaczoną stronę.

– Obiecuję, Galahadzie. Teraz śpij.

Lancelot mocno chwycił jego rękę.

– Omal ci nie zepsułem nocy poślubnej, co? – powiedział, a w jego słowach Morgiana rozpoznała jakby swoją własną gorzką ironię.

– O tak, masz rację, moja żona tak strasznie rozpaczała, że zastanawiam się, co by zrobiła, gdybym ja skręcił kark? – odparł Artur ze śmiechem.

Morgiana przerwała mu zdecydowanie:

– Arturze, mimo że jesteś królem, on jednak musi mieć spokój!

– Racja – westchnął Artur. – Jutro przyślę do niego Merlina, ale dziś w nocy nie powinien być sam...

– Zostanę z nim – powtórzyła ze złością.

– Jeśli jesteś pewna...

– Wracaj do Gwenifer! Twoja żona czeka na ciebie!

Artur westchnął z rezygnacją. Po chwili powiedział cicho:

– Nie wiem, co mam jej powiedzieć. Ani co mam robić.

*To absurd – czy on się spodziewa, że dam mu instrukcję? Jemu albo pannie młodej?* Pod jego spojrzeniem spuściła jednak wzrok. Powiedziała bardzo cicho:

– Arturze, to proste. Daj się tylko poprowadzić Bogini.

Wyglądał jak zganione dziecko. W końcu odezwał się ochrypłym głosem, szukając słów:

– Ona... ona nie jest... Boginią. To tylko dziewczyna i... ona, ona się boi. – A po chwili wykrztusił: – Morgiano, czy nie wiesz, że ja wciąż...

Nie mogła pozwolić, żeby dokończył to, co chciał powiedzieć.

– Nie! – przerwała mu gwałtownie, unosząc zakazująco dłoń. – Arturze, pamiętaj przynajmniej o jednym. Dla niej ty zawsze będziesz Bogiem. Idź do niej jako Rogaty Pan...

Artur zadrżał i przeżegnał się. Potem wyszeptał:

– Boże, wybac mi, to kara... – i zamilkł. Stali tak, patrząc na siebie, nie mogąc wyrzec słowa. W końcu Artur powiedział:

– Morgiano, nie mam prawa... czy pocałujesz mnie choć raz?

– Bracie – westchnęła, stanęła na palcach i ucałowała go w czoło. Potem nad jego głową uczyniła znak Bogini. – Błogosławię cię – wyszeptała. – Arturze, idź do niej, idź do swej oblubienicy. Obiecuję ci, obiecuję w imieniu Bogini, że wszystko będzie dobrze. Przysięgam ci to.

Przełknął ślinę – widziała, jak poruszają się napięte mięśnie na jego szyi. W końcu oderwał od niej wzrok i rzucił:

– Niech cię Bóg błogosławi, siostrzo!

Drzwi zamknęły się za nim.

Morgiana opadła na krzesło. Siedziała tak bez ruchu, patrząc na śpiącego Lancelota, dręczyły ją pojawiające się w jej głowie obrazy.

Twarz Lancelota uśmiecha się do niej na zalanym słońcem szczycie Toru. Gwenifer, z dołem sukni okapującym wodą, uczepiona dłoni Lancelota. Rogaty Bóg z twarzą umazaną krwią jelenia odsłania kotarę przy wejściu do jaskini. Gorące usta Lancelota na jej piersiach – czy to się wydarzyło zaledwie kilka godzin temu?

– Przynajmniej – powiedziała nagle na głos – nie spędzi poślubnej nocy Artura, marząc o Gwenifer!

W końcu położyła się na skraju łoża, ostrożnie przytulając się do ciała rannego Lancelota. Leżała tak, cicho, nawet nie płacząc, pogrążona w rozpacz zbył głębokiej na łyzy. Przez całą noc nie zmrużyła oka, odsuwała od siebie wizje, które zsyłał Wzrok, walczyła ze snami, walczyła o spokój i wyciszenie wszelkich myśli, tak jak uczyła się tego w Avalonie.

A daleko, w przeciwnym skrzydle zamku, Gwenifer leżała z otwartymi oczami, patrząc z czułością i poczuciem winy na włosy Artura połyskujące w księżycowym świetle. Jego pierś unosiła się i opadała w spokojnym oddechu. Po jej policzkach wolno spływały łyzy.

*Tak bardzo chcę go kochać*, pomyślała, a potem zaczęła się modlić: O Boże i ty, Święta Dziewico Maryjo, pomóżcie mi go kochać tak, jak powinnam, on jest moim panem i moim królem i jest taki dobry, zasługuje na kogoś, kto będzie go kochał bardziej, niż ja go mogę kochać...

Wydawało jej się, że wokół niej noc oddycha smutkiem i rozpaczą.

*Ale dlaczego, dziwiła się. Artur jest szczęśliwy. Nie może mi niczego zarzucić. Skąd więc ten straszny smutek wiszący w powietrzu?*

## 7

Pewnego dnia, późnym latem, królowa Gwenifer siedziała z kilkoma damami dworu w wielkiej sali zamku Caerleon. Było bardzo gorące popołudnie. Większość z nich udawała, że przedzie lub grępluje resztki wiosennej wełny, lecz kołowrotki poruszały się niemrawo i nawet królowa, która była najrzęczniejszą wśród nich hafciarką, przestała drobić ściegi na pięknym obrusie na kościelny ołtarz, który wyszywała dla biskupa.

Morgiana odłożyła na bok wełnę i westchnęła. O tej porze roku zawsze tęskniła za domem, za mgłą, która wdziera się z morza na skały wokół Tintagel... a przecież nie widziała ich, odkąd była małym dzieckiem.

Artur ze swymi ludźmi z legionu Caerleon wyjechał na południowe wybrzeże obejrzyć nowy fort, wzniesiony w tym miejscu przez grupę Saksonów na mocy paktu. Tego lata nie było najazdów i być może Saksoni – poza tymi, którzy zawarli z Arturem pokój i żyli spokojnie w krainie Kentu – zaniechali Brytanii na dobre.

Legiony Artura istniejące od dwóch lat zmniejszyły najazdy saksońskie do sporadycznych letnich wypadów. Jednak Artur poświęcał ten okres pokoju na umacnianie obronności wybrzeży.

– Znowu jestem spragniona – powiedziała córka Pellinora, Elaine. – Pani, czy mogę iść i poprosić, by przysłano więcej dzbanów wody?

– Zawołaj Kaja, on się tym zajmie – odparła Gwenifer.

*Ona bardzo dojrzała, pomyślała Morgiana. Z wylęknionego i nieśmiałego dziecka stała się królową.*

– Powinnaś była wyjść za Kaja, kiedy król tego chciał, pani Morgiano – powiedziała Elaine, kiedy wróciła i usadowiła się na ławie obok Morgiany. – To jedyny mężczyzna w tym zamku, który nie przekroczył sześćdziesiątki, a jego żona nigdy nie będzie musiała spać sama po pół roku z rzędu.

– Możesz go sobie wziąć, jeśli chcesz – odparła Morgiana żartem.

– Wciąż się dziwię, że ty nie chcesz – powiedziała Gwenifer, jakby było to jej stare strapienie. – To by było takie odpowiednie: Kaj, przybrany brat króla i jego zaufany przyjaciel, i ty, siostra Artura i księżna Kornwalii, którą przecież jesteś w pełni, odkąd pani Igriana nie opuszcza klasztoru!

Wtrąciła się Drusilla, córka jednego z pomniejszych królów ze wschodu:

– Ale jeśli królewski brat i siostra się pobiorą, toż to przecież kazirodztwo!

– Przyrodnia siostra i adoptowany brat, ty gąsko – powiedziała Elaine. – Lecz powiedz mi, pani Morgiano, czy odstręczyły cię te jego blizny i kalectwo? Kaj nie grzeszy pięknnością, ale byłby dobrym mężem.

– Tak łatwo mnie nie oszukacie – odparowała Morgiana, udając dobry humor, którego wcale nie miała. Czy te kobiety nie myślą o niczym innym, tylko o ślubach? – Nic wam nie zależy na moim małżeńskim szczęściu z Kajem, chcecie tylko wesela, żeby przerwać tę letnią nudę! Ale nie bądźcie takie chciwe. Zeszłej wiosny sir Griflet ożenił się z Meleas i to powinno wam na razie wystarczyć! – Spojrzała na Meleas, której suknia już zaczęła się napinać na ciężarnym brzuchu. – W przyszłym roku o tej porze będziecie nawet miały dzidziusia, żeby się z nim bawić i go rozpieszczać.

– Jednak ty długo pozostajesz niezamężna, pani Morgiano – powiedziała Alienora z Galis. – A trudno ci mieć nadzieję na lepszą partię niż przyrodni brat samego Najwyższego Króla!

– Nie spiesz mi się do zamążpójścia, a Kaj nie miał na to większej ochoty niż ja.

Gwenifer zachichotała:

– Oj, prawda. On ma język prawie tak cięty, jak ty, i niezbyt słodki charakter. Jego żona będzie musiała mieć cierpliwość świętej Brygidy, a ty, Morgiano, zawsze masz w zanadru ostrą odpowiedź.

– Poza tym, jak wyjdzie za mąż, to będzie musiała prąść dla swojej rodziny – dodała Meleas. – Jak zwykle Morgiana jak najmniej chce siedzieć przy kołowrotku! – Puściła w ruch swój kołowrotek i zręcznie przeciągała wrzeciono.

Morgiana wzruszyła ramionami.

– To prawda, że wolę gręplować wełnę, ale już nic nie zostało – powiedziała i z niechęcią podjęła wrzeciono.

– A przecież jesteś między nami najlepszą prąśniczką – powiedziała Gwenifer. – Twoja nić jest zawsze równa i nigdy się nie rwie. Moja się rwie od samego patrzenia na nią.

– Zawsze byłam zręczna. Może po prostu zmęczona już jestem przędzeniem, bo matka nauczyła mnie tego, kiedy byłam taka malutka – zwierzyła się Morgiana i zaczęła przesuwac nić między palcami.

To prawda, nienawidziła prąść i wymawiała się od tego, kiedy tylko mogła... obracać, obracać nić między palcami, nieruchome ciało, tylko palce się poruszają, a koło obraca się i obraca... w górę i w dół, w górę i w dół... obracać, obracać w palcach... tak łatwo było zapaść w trans.

Kobiety plotkowały o nieistotnych wydarzeniach... Meleas i jej poranne nudności... jakaś kobieta przybyła z dworu Lota ze skandalicznymi opowieściami o jego rozwiązłości... Już ja bym im mogła opowiedzieć, gdybym chciała, że nawet siostrzenica jego żony nie mogła uciec przed jego lubieżnymi łąpskami... kosztowało mnie to wiele ostrych słów, by się ustrzec jego łoża; jemu tam wszystko jedno, dziewica czy mężatka, księżniczka czy pasterka, byleby



nosiła spódnicę... obracaj się, nitko, obracaj, patrz, jak wrzeciono się kręci, wij się, nitko, wij. Gwydion musi już być dużym chłopczykiem, ma trzy latka, już powinien mieć drewniany mieczyk i takich wyrzeźbionych rycerzyków, jakie robiła dla Garetha. Pamiętała wciąż ciężar Artura na swoich kolanach, kiedy była małą dziewczynką, tutaj, w Caerleon, na dworze Uthera... jakie to szczęście, że Gwydion nie jest podobny do ojca, mała replika Artura biegnąca po dworze Lota dopiero by wzbudziła podejrzenia. Prędzej czy później ktoś i tak poskłada do kupy kołowrotek i wrzeciono i uprzedzie sobie nic odpowiedzi...

Morgiana ze złością odrzuciła głowę. Tak łatwo jej było zapaść w trans przy przedzeniu. Ale musi odrobić swoją część, muszą mieć przędzę, by tkać tej zimy, a kobiety będą robiły szaty na bale... Kaj wcale nie był jedynym mężczyzną przed sześćdziesiątką w tym zamku. Był też Kevin Bard, który przybył z wiadomościami z Krainy Lata... jak wolno wrzeciono opada ku podłozie... wij się, wij się nitko... jakby palce żyły własnym życiem, oddzielnym od jej życia... nawet w Avalonie nienawidziła prząść... w Avalonie między kapłankami starała się odrabiać więcej niż swoją część pracy przy farbowaniu, żeby uniknąć obrzydłego kołowrotka, który wprawiał w wir jej myśli, choć ciało siedziało bez ruchu... kiedy nic się kręciła, to było jak spiralny taniec wokół Toru, w krąg i w krąg, tak jak świat kręci się wokół słońca na niebie, choć nieuczenni ludzie myślą, że jest inaczej... Rzeczy nie zawsze są takimi, jakimi się wydają, być może to wrzeciono obraca się dokoła nici tak, jak nic obraca się dokoła siebie, wkoło, wkoło, wijąc się jak wąż... jak smok na niebie... gdyby była mężczyzną i mogła wyjeżdżać razem z legionem Caerleonu, przynajmniej nie musiałaby siedzieć tu i prząść, prząść, wkoło, wkoło, wkoło... ale nawet legion jeździ wkoło Saksonów, a Saksoni wkoło nich, jak krew wkoło krąży w żyłach, czerwona krew płynie, płynie... rozlewa się na kobierzec...

Morgiana usłyszała własny krzyk dopiero wtedy, gdy rozdarł ciszę w komnacie. Upuściła wrzeciono. Potoczyło się daleko w tę krew, która płynęła purpurą, pulsowała, wylewała się na kobierzec...

– Morgiano, siostrze! Czy zakłułaś się wrzecionem? Co ci jest?

– Krew na kobiercu – wymamrotała Morgiana. – Patrz, tam, tam, tuż na wprost królewskiego tronu, zarżnięta jak owca, jak owca, na oczach Króla...

Elaine potrząsnęła nią. Morgiana wciąż zamroczonej przetarła dłonią oczy. Nie było krwi, komnatę zalewał tylko blask popołudniowego słońca.

– Siostrze, co zobaczyłaś? – spytała Gwenifer łagodnie.

*O Bogini Matko! To znów się przydarzyło!* Morgiana starała się uspokoić oddech.

– Nic, nic... Musiałam zasnąć i coś mi się przyśniło.

– Niczego nie widziałaś? – Calla, tłusta żona giermka patrzyła na nią ze zgrozą. Morgiana przypomniała sobie ostatni raz, ponad rok temu, kiedy zapadła w trans przy kołowrotku i przepowiedziała, że ulubiony koń Kaja złamie nogę w stajni i będzie trzeba mu poderżnąć gardło. Teraz powtórzyła niecierpliwie: – Nie, to tylko sen. Wczoraj w nocy śniło mi się, że

jem gęś, a nie spróbowałam gęsi od Wielkanocy. Czy każdy sen musi być od razu przepowiednią?

– Jak już masz wieścić, Morgiano – żartowała Elaine – to lepiej powiedz nam coś pożytecznego, na przykład kiedy mężczyźni wrócą do domu, żebyśmy mogły zagrzać wino albo czy Meleas szyje pieluchy dla dziewczynki czy chłopca, albo kiedy królowa zajdzie w ciążę!

– Zamknij się, idiotko! – syknęła Calla, gdyż oczy Gwenifer natychmiast napełniły się łzami.

Morgianie jeszcze kręciło się w głowie po tej niespodziewanej wizji. Przed oczyma wirowały jej małe światełka jak kolorowe świecące robaczki, które rozbiegały się po całym polu widzenia. Wiedziała, że musi to po prostu przeczekać w spokoju, lecz mimo to nie wytrzymała i wybuchnęła:

– Mam już dość tych niewybrednych dowcipów! Nie jestem wiejską guślarką, żeby się zajmować miłosnymi eliksirami, amuletami na płodność, wróżbami i urokami. Jestem kapłanką, a nie wiedźmą!!

– Już dobrze – powiedziała łagodnie Meleas. – Dajcie Morgianie spokój. Samo to słońce wystarczy, żeby widzieć rzeczy, których nie ma. Nawet jeśli zobaczyła wylaną na kobierzec krew, może to po prostu znaczyć, że nieuważny sługa nieostrożnie przechyli półmisek z pieczystym i rozleje czerwony sok! Czy napijesz się, pani? – Podeszła do dzbana z wodą i napełniła kubek. Morgiana wypła łąpczywie. – Większość przepowiedni i tak nigdy się nie sprawdza. Mogłybyście ją równie dobrze spytać, kiedy ojciec Elaine złapie w końcu tego swojego smoka, na którego wyprawia się rok po roku.

To na szczęście odwróciło uwagę kobiet. Calla zażartowała:

– Jeśli tam w ogóle jest jakiś smok, a król nie szuka jedynie pretekstu, żeby się wyrwać z domu, kiedy mu się nudzi!

– Gdybym była mężczyzną i miała za żonę panią Pellinora – powiedziała Alienora – to pewnie wolałabym towarzystwo smoka, którego nie można znaleźć, niż jej towarzystwo w łóżu.

– Powiedz mi, Elaine – spytała Meleas – czy tam naprawdę jest smok, czy twój ojciec udaje, że go ściga, bo to ciekawsze niż pilnować własnych włości? Kiedy jest wojna, mężczyźni nie muszą siedzieć i prząść, lecz gdy panuje pokój, pewnie nudzi ich zamek i gospodarstwo.

– Nigdy nie widziałam smoka – powiedziała Elaine – niech Bóg uchowa. Jednak od czasu do czasu coś porywa krowy, a raz sama widziałam ogromny ślad śluzu na polu i czułam ten smród. I leżała tam krowa, prawie całkiem pożarta i cała pokryta tym cuchnącym śluzem. To nie była robota wilka ani rosomaka.

– Ginące krowy! – parsknęła Calla. – Czarowny lud chyba nie jest na tyle chrześcijański, jak myślę, by od czasu do czasu nie ukraść krowy, kiedy nie mogą upolować jelenia.

– A mówiąc o krowach – przerwała Gwenifer zdecydowanie – chyba muszę spytać Kaja, czy jest jakaś owca albo jagnię na zarżnięcie. Potrzebujemy mięsa. Gdyby mężczyźni wrócili dziś lub jutro, nie możemy im podać owsianki i chleba z masłem! A już nawet masło zaczyna się psuć w tym upale. Chodź ze mną, Morgiano, żałuję, że twój Wzrok nie może nam powiedzieć, kiedy w końcu spadnie deszcz! A wy posprzątajcie tę wełnę i nici i pochowajcie kołowrotki. Elaine, dziecko, zanieś moje hafty do mej komnaty i dopilnuj, by się nie poplamyły.

Kiedy wychodziły z sali, spytała cicho:

– Czy naprawdę widziałaś krew, Morgiano?

– To był tylko sen – powtórzyła Morgiana uparcie.

Gwenifer spojrzała na nią srogo, czasem jednak była między nimi prawdziwa przyjaźń, więc nie drążyła tematu.

– Jeśli jednak coś widziałaś, to niech Bóg sprawi, by to była krew Saksonów, przelana daleko od tronu. Chodź, spytamy Kaja, czy ma jakieś zwierzę na ubój. Nie sezon teraz na polowania, a i tak nie chcę, żeby mężczyźni, kiedy wrócą, znów musieli wyruszać na łowy. – Ziewnęła. – Och, żeby ten upał już zelżał. Może być burza, dziś rano mleko się zwarzyło. Muszę powiedzieć kucharkom, żeby zrobiły z niego ser, zamiast wyrzucać je dla świń.

– Jesteś wzorową gospodynią, Gwenifer – powiedziała Morgiana kwaśno. – Ja bym o tym nie pomyślała, tylko pozbyła się kłopotu. Ale smród twarogu zostaje w mleczarni! Już bym wolała, żeby świnię się dobrze pożywiły.

– Są i tak dostatecznie tłuste przy tej pogodzie, wszystkie żołądki dojrzały – odparła Gwenifer, znów patrząc w niebo. – Patrz, czy to nie błyskawica?

Morgiana podążyła za jej spojrzeniem, szukając na niebie jasnego blasku.

– Tak. Mężczyźni powrócą do domu przemoknięci i zziębnięci, musimy przygotować ciepłe wino – powiedziała niemal bezwiednie, potem nagle zamilkła, kiedy Gwenifer patrzyła na nią zdziwiona.

– Teraz naprawdę wierzę, że musisz mieć dar Wzroku, bo przecież nie słyhać koni ani nie ma wiadomości od strażników na wieży, żeby ktoś nadjeżdżał – powiedziała Gwenifer. – Powiem Kajowi, żeby tak czy inaczej przygotował mięso.

Odeszła przez dziedziniec, a Morgiana stała, obejmując dłońmi bolącą głowę.

*Tak być nie powinno. W Avalonie nauczyła się przecież kontrolować Wzrok i nie pozwalać, by wdzierał się w jej świadomość, kiedy nie była na to przygotowana... Niebawem, przez to nudne życie między kobietami stanie się taką wsiową wiedźmą, która sprzedaje amulety, wróży: chłopiec czy dziewczynka albo jakich kochanków zdobędą panny. Dworskie plotki pchały ją do przedzenia, przedzenie doprowadzało do transu... Pewnego dnia, bez wątpienia, upadnę tak nisko, że w końcu dam Gwenifer amulet, o który prosi, żeby mogła urodzić Arturowi syna... bezpłodność to wielki ciężar dla królowej, a w ciągu ostatnich dwóch lat tylko raz miała jakiegokolwiek oznaki, że w ogóle jest przy nadziei.*

Jednak tylko towarzystwo Gwenifer, i może Elaine, było jeszcze znośne; większość z pozostałych kobiet w życiu nie pomyślała o niczym innym poza następnym posiłkiem czy kolejną szpulą przędzy.

Gwenifer i Elaine miały trochę wykształcenia i czasami, kiedy Morgiana siedziała z nimi, mogła sobie nieomal wyobrazić, że jest w spokojnym towarzystwie kapłanek z Domu Dziewcząt.

Burza rozpętała się tuż przed zachodem. Pioruny uderzały blisko dziedzińca, lał ulewny deszcz, a kiedy strażnik z wieży obwieścił zbliżających się jeźdźców, Morgiana ani przez chwilę nie wątpiła, że to Artur i jego drużyna.

Gwenifer rozkazała zapalić na dziedzińcu pochodnie i wkrótce mury Caerleon zapełniły się ludźmi i końmi. Gwenifer naradziła się z Kajem, który kazał zarznąć nie jagnię, ale całego barana, tak że mięso już się piekło, a gorący rosół był gotowy. Większość legionu obozowała poza głównym dziedzińcem i jak każdy dobry dowódca Artur przede wszystkim dopilnował ich zakwaterowania i doprowadzenia koni do stajni. Dopiero potem przybył na dziedziniec, gdzie oczekiwała go Gwenifer.

Głowę miał zabandażowaną pod hełmem i trochę się wspierał na ramieniu Lancelota, ale zbagatelizował jej niespokojne pytania:

– To tylko zadrapanie, spotkaliśmy na wybrzeżu Jutów. Saksoni z paktu już się z nimi prawie uporali, zanim przybyliśmy. Ha! Czuję pieczonego barana. Czy to czary? Przecież nie wiedziałaś, kiedy wrócimy?

– Morgiana powiedziała mi, że przyjedziesz. Jest też gorące wino – powiedziała Gwenifer.

– Cóż to za dobrodziejstwo dla głodnego rycerza mieć siostrę, która posiada dar Wzroku!  
– powiedział Artur i szeroko uśmiechnął się do Morgiany, która wciąż rozcierała bolące skronie.

Ucałował ją i znów obrócił się do Gwenifer.

– Jesteś ranny, mężu, pozwól, że to obejrzę...

– Nie, nie, mówiłem ci, że to nic. Nigdy nie tracę wiele krwi, przecież o tym wiesz, nigdy, jeśli tylko mam przy sobie tę pochwę od miecza – powiedział. – Ale jak ty się miewasz, pani, po tak wielu miesiącach? Myślałem, że może...

Jej oczy powoli napełniły się łzami.

– Znowu się omyliłam. Och, mój panie, tym razem byłam taka pewna, taka pewna...

Ujął jej dłoń, wobec tak widomego bólu żony nie mógł nawet wyrazić swego własnego rozczarowania.

– No cóż, musimy chyba rzeczywiście poprosić Morgianę, by dała ci ten amulet – powiedział, lecz kiedy zobaczył, jak Meleas wita Grifleta, z dumą wypinając swój ciężarny brzuch, na jego twarzy przez chwilę pojawiły się gorzkie zmarszczki. – Nie jesteśmy jeszcze starzy, moja Gwenifer.

*Jednak, myślała Gwenifer, nie jestem też taka młoda. Większość kobiet, które znam, poza Morgianą i Elaine, które nie są jeszcze zamężne, ma już dużych synów i córki, a nie skończyły dwudziestu lat.*

Igriana urodziła Morgianę, kiedy miała piętnaście, a Meleas ma zaledwie czternaście i pół! Starła się wyglądać spokojnie i niefrasobliwie, lecz gnębiło ją poczucie winy. Jeśli nawet królowa może robić coś więcej dla swego pana, to jednak jej pierwszym obowiązkiem jest dać mu syna, a ona tego obowiązku nie dopełniła, choć modliła się o to co dzień, aż bolały ją kolana.

– Jak się miewa moja droga pani? – Lancelot skłonił się przed nią z uśmiechem, a ona podała mu dłoń do ucałowania. – Po raz kolejny wracamy do domu, by zastać cię jeszcze piękniejszą niż przedtem. Jesteś jedyną niewiastą, której uroda nigdy nie przemija. Zaczynam już myśleć, że to Bóg tak nakazał, by kiedy inne kobiety robią się stare, grube i brzydkie, tyś na zawsze pozostała piękna.

Uśmiechnęła się do niego, czuła się pocieszona. Może to nawet lepiej, że nie jest w ciąży...? Widziała, że spojrzał na Meleas z pogardliwym uśmieszkiem i poczuła, że nie zniosłaby, gdyby musiała być brzydka przed Lancelotem. Nawet Artur był zaniedbany, jakby przez całą wyprawę sypiał w tej samej, wygniecionej tunice i tarzał się w swym płaszczu w błocie i ziemi; lecz Lancelot wyglądał świeżutko i czysto, płaszcz i tunikę miał wyczyszczone, jakby wystroił się właśnie na święta wielkanocne, włosy miał przycięte i gładko uczesane, skórzany pas wypolerowany, nawet orle pióro na jego czapce sterczało prosto i było suche. *On wygląda bardziej jak król niż sam Artur*, pomyślała Gwenifer.

Kiedy służba roznosiła po wielkiej sali półmiski z mięsem i chlebem, Artur przyciągnął Gwenifer do siebie.

– Chodź i usiądź tu pomiędzy mną i Lancelotem i porozmawiamy. Już od dawna nie słyszałem głosu, który nie byłby męski i ochrypnięty, i nie czułem zapachu niewieściej szaty. – Przesunął dłonią po jej warkoczu. – Ty też chodź, Morgiano, i usiądź przy mnie. Już mnie zmęczyła ta wyprawa. Chcę posłuchać dworskiej rozmowy, a nie obozowej gadaniny! – Wgryzł się łakomie w pajdę chleba. – Jak to dobrze jeść świeżo upieczony chleb! Mam już dosyć czerstwego wojskowego chleba i mięsa nadpsutego przechowywaniem.

Lancelot odwrócił się z uśmiechem do Morgiany.

– A co tam u ciebie, kuzynko? Czy nie ma nowin z Kraju Lata lub z Avalonu? Bo jeśli są, to jest tu jeszcze ktoś spragniony, by je usłyszeć. Mój brat Balan przyjechał z nami.

– Nie mam wieści z Avalonu – powiedziała Morgiana, czując na sobie wzrok Gwenifer, a może ona patrzyła na Lancelota? – Lecz nie widziałam Balana od wielu lat, przypuszczam, że jego nowiny będą świeższe niż moje.

– Jest tutaj – powiedział Lancelot, wskazując na siedzących w sali rycerzy. – Artur zaprosił go, by jadł tu, jako mój krewny, i byłoby bardzo uprzejme z twojej strony, Morgiano,

gdybyś mu zaniósła kubek wina z królewskiego stołu. Jak każdy mężczyzna, on też się ucieszy z powitania przez niewiastę, nawet jeśli to krewniaczka, a nie ukochana.

Morgiana wzięła jeden z pięknych kubków z rogu oprawnego w drzewo i skinęła na służącego, by napełnił go winem. Potem uniosła kubek w obu dłoniach i ruszyła wokół stołu, pomiędzy rycerzami. Z przyjemnością zauważyła ich spojrzenia, choć wiedziała, że po tylu miesiącach wyprawy patrzyliby tak samo na każdą dobrze urodzoną i pięknie ubraną kobietę. Nie był to specjalny komplement akurat dla jej urody. Przynajmniej Balan, który był bliskim kuzynem, czyli prawie bratem, nie będzie jej pożerał takim wygłodniałym wzrokiem.

– Witam cię, panie, twój brat Lancelot przysłał ci wino z królewskiego stołu.

– Proszę, byś najpierw ty się nim poczęstowała, pani – powiedział i nagle zamrugał. – Czy to ty, Morgiano? Prawie cię nie poznałem, tak wypiękniałaś. Zawsze cię pamiętałem w szatach Avalonu, lecz ty rzeczywiście przypominasz moją matkę. Jak się miewa Pani Jeziora?

Morgiana przytknęła do ust kubek z winem – na tym dworze była to zwykła grzeczność, lecz być może pochodziła z bardziej mrocznych czasów, gdy darów z królewskiego stołu próbowano przed gościem, z czasów, gdy trucie konkurujących królów nie należało do rzadkości. Wręczyła mu kubek, a Balan wypił długi łyk, zanim znów na nią spojrział.

– Miałam nadzieję usłyszeć nowiny o Pani Jeziora od ciebie, kuzynie. Nie byłam w Avalonie od wielu lat – powiedziała.

– Ach tak, wiedziałem, że byłaś na dworze Lota. Czy pokłóciłaś się z Morgause? Słyszałem, że o to tam nietrudno...

Morgiana potrząsnęła głową.

– Nie, ale chciałam być stamtąd na tyle daleko, by ustrzec się przed łóżem Lota, a o to jest na jego dworze bardzo trudno. Odległość między Orkney a Caerleon jest zaledwie wystarczająca.

– A więc przybyłaś na dwór Artura, by być damą dworu jego królowej – powiedział Balan. – Zdaje się, że bardziej przystoi być na tym dworze niż na dworze Morgause. Gwenifer dobrze dba o swe damy i swata im dobre partie, widzę, że małżonka Grifleta już jest przy nadziei z ich pierworodnym. Czy królowa nie znalazła dla ciebie męża, kuzynko?

Morgiana zmusiła się do beztroskiego tonu:

– Czy składasz mi ofertę, sir Balanie?

Zaśmiał się.

– Jesteś dla mnie zbyt bliską krewną, Morgiano, bo inaczej to ja przyjąłbym twoją ofertę. Słyszałem jednak jakieś plotki, że Artur przeznaczył cię dla Kaja, a to mi się wydało dobrą partią, skoro i tak już na zawsze opuściłaś Avalon.

– Kaj był tak samo mało zainteresowany mną, jak ja nim – powiedziała Morgiana ostro. – Ja zaś nigdy nie powiedziałam, że nie wrócę do Avalonu, tyle że wrócę dopiero wtedy, kiedy Viviana sama po mnie przyśle.

– Kiedy byłem małym chłopcem – powiedział Balan, a gdy przez chwilę jego czarne oczy patrzyły wprost na Morgianę, pomyślała, że rzeczywiście widzi pewne podobieństwo z Lancelotem nawet w tym wielkim, surowym mężczyźnie – źle myślałem o Pani Jeziora, o Vivianie. Myślałem, że mnie nie kocha, tak jak powinna kochać matka. Teraz myślę o niej lepiej. Jako kapłanka nie mogła się poświęcić wychowaniu syna. Tak więc oddała mnie w ręce kobiety, która nie miała do robienia nic innego, a równocześnie dała mi mego przyrodniego brata, Balina... O tak, jako dziecko czułem się też winny za to, że kocham bardziej Balina niż Lancelota, który jest przecież mym bratem z jednej matki. Teraz jednak wiem, że to Balin jest w mym sercu tym prawdziwym bratem, Lancelot zaś, choć podziwiam go za to, jakim jest wspaniałym rycerzem, zawsze będzie dla mnie kimś obcym. I jeszcze – mówił Balan z powagą – kiedy Viviana oddała mnie na wychowanie Priscilli, oddała mnie do domu, w którym mogłem poznać prawdziwego Boga i Chrystusa. To wydaje mi się dziwne, sama myśl o tym, że gdybym pozostał w Avalonie wraz z matką, byłbym teraz poganinem, tak jak Lancelot...

Morgiana uśmiechnęła się lekko.

– No cóż – powiedziała – w tym akurat nie mogę podzielać twej wdzięczności dla Pani Jeziora, bo uważam, że źle uczyniła, iż jej syn opuścił swych Bogów. Ale nawet sama Viviana często mi powtarzała, że człowiek powinien wyznawać taką religię i mieć taką duchową pociechę, jaka mu najbardziej odpowiada. Gdybym ja była naprawdę pobożną i szczerze oddaną chrześcijanką, bez wątpienia pozwoliłaby mi żyć wedle tej wiary, która była bliska memu sercu. A jednak, mimo że do jedenastego roku życia wychowywała mnie Igriana, która była bardzo dobrą chrześcijanką, myślę, że takie było moje przeznaczenie, bym widziała sprawy duchowe zgodnie z wolą Bogini.

– Balin potrafiłby o tym z tobą dyskutować lepiej ode mnie – powiedział Balan – bo jest bardziej pobożny niż ja i jest lepszym chrześcijaninem. Ja powinienem ci chyba tylko powiedzieć to, co bez wątpienia powiedział ci już ksiądz, że istnieje tylko jedna religia, w którą ludzie powinni wierzyć. Jesteś jednak mą krewną, a wiem, że moja matka jest dobrą kobietą, i wierzę głęboko, że nawet Chrystus weźmie pod uwagę jej dobroć w dniu Sądu. Co do reszty, to nie jestem księdzem i nie widzę powodu, żeby tych wszystkich problemów nie pozostawić do rozwiązania księżom, którzy są po to uczeni. Bardzo kocham Balina, ale on powinien zostać księdzem, nie rycerzem, bo taki jest pobożny... – Przez chwilę spoglądał w kierunku królewskiego stołu i zapytał: – Powiedz mi, siostrze przyrodnia, ty znasz go lepiej ode mnie... jakież to wielki ciężar leży na sercu naszego brata Lancelota?

Morgiana spuściła głowę i odparła:

– Nawet gdybym wiedziała, Balanie, to nie mogę wyjawiać cudzych sekretów.

– Masz rację, powinienem pilnować własnego nosa – powiedział Balan. – Jednak boli mnie, gdy widzę, jak się dręczy, a dręczy się bardzo. Jak ci mówiłem, miałem za złe mojej matce, że odesłała mnie tak daleko od siebie, kiedy byłem mały, ale dała mi kochającą

przybraną matkę i dom, i brata w moim wieku, z którym się razem wychowywałem, jak równy z równym. Dla Lancelota zrobiła o wiele mniej. Nigdy nie czuł się nigdzie do końca u siebie, ani w Avalonie, ani na dworze Bana z Benwick, gdzie dorastał jedynie jako jeszcze jeden z wielu bękartów króla... Viviana zaiste skrzywdziła go, i żałuję, że Artur nie dał mu jeszcze żony, żeby i on w końcu mógł mieć dom.

– Cóż – powiedziała Morgiana wesoło – gdyby król zechciał, bym poślubiła Lancelota, to wystarczy, że ustali datę.

– Ty i Lancelot? Czy nie jesteście zbyt blisko spokrewnieni? – spytał Balan, a potem myślał przez chwilę. – Nie, chyba nie... Igriana i Viviana są tylko przyrodnimi siostrami, a Gorlois i Ban z Benwick nie są spokrewnieni w żaden sposób. Choć niektórzy w kościele mówią, że przyrodnie powinowactwo przy małżeństwie powinno się liczyć tak, jak prawdziwe pokrewieństwo... a więc, Morgiano, z przyjemnością wychylę toast za twoje małżeństwo tego dnia, kiedy król da cię za żonę memu bratu. I mam nadzieję, że będziesz go kochała i troszczyła się o niego tak, jak Viviana tego nigdy nie robiła! I żadne z was nie będzie musiało opuszczać dworu, ty, jako ulubiona dama dworu królowej, i Lancelot, najbliższy przyjaciel króla. Mam nadzieję, że tak się naprawdę stanie! – Patrzył na nią z uwagą i czułością. – Artur już dawno powinien był cię wydać za mąż.

*A dlaczegóż to król ma mnie komuś dawać, jakbym była klaczą z jego stajni albo psem?*, pomyślała Morgiana, ale tylko wzruszyła ramionami. Zbyt długo mieszkała w Avalonie i teraz czasami zapomniała, iż Rzymianie uczynili prawo z tego, że kobiety są tylko częścią męskiego dobytku. Świat się zmienił i nie ma sensu buntować się teraz przeciw czemuś, czego już nie można naprawić.

Niebawem zaczęła się z powrotem przeciskać wokół wielkiego okrągłego stołu, ślubnego prezentu ojca Gwenifer dla Artura. Wielka sala w Caerleon nie była dla niego dostatecznie duża. W pewnej chwili Morgiana musiała iść po ławach, bo stół dopchnął je zbyt blisko ściany. Tak samo musieli się przepychać podkuchenni i służba nosząca gorące półmiski i dzbany.

– Czy nie ma tu Kevina? – spytał Artur. – W takim razie Morgiana musi dla nas zaśpiewać, spragniony jestem muzyki i wszystkiego, co przystoi człowiekowi cywilizowanemu. Wcale się nie dziwię, że Saksoni cały czas spędzają na wojnie. Słyszałem te żalosne zawodzenia ich śpiewaków, oni nie mają powodu, by siedzieć w domach!

Morgiana poprosiła jednego z dworzan Kaja, by przyniósł harfę z jej komnaty. Chłopiec musiał przeskoczyć przez ławę i stracił równowagę. Tylko refleks Lancelota, który go podtrzymał, uchronił harfę od upadku na podłogę.

Artur zmarszczył brwi.

– To wspaniale, że teść podarował mi taki piękny biesiadny stół – powiedział – ale w całym Caerleon nie ma sali dość wielkiej, by go mogła pomieścić. Kiedy przepędzimy Saksonów na dobre, będę musiał wybudować specjalną komnatę tylko dla tego stołu!



– Czyli że nigdy jej nie wybudujesz – zaśmiał się Kaj. – Powiedzieć: „Saksoni przepędzeni na dobre”, to tak samo jakby mówić: „kiedy znów nadejdzie Jezus” albo: „kiedy piekło zamarźnie”, albo: „kiedy na jabłoniach w Glastonbury wyrosną porzeczeki”.

– Albo: „kiedy król Pellinor złapie swojego smoka” – zachichotała Meleas.

Artur się uśmiechnął.

– Nie powinniście się śmiać z Pellinorowego smoka, bo wieść niesie, że znów go widziano, a król wyruszył, by tym razem znaleźć go i zabić, nawet wypytywał Merlina, czy nie zna jakichś czarów specjalnie na smoki!

– No pewnie, już go widziano, jak trole na wzgórzach zamieniane w kamienie przez światło dnia albo głazy z kamiennych kręgów, tańczące przy świetle księżyca – zakpił Lancelot. – Zawsze się znajdą ludzie, którym się wydaje, że widzą to, co chcą zobaczyć. Niektórzy widzą świętych i ich cuda, inni smoki i czarowny lud. Nigdy jednak nie spotkałem żyjącego człowieka, który by naprawdę widział smoka albo elfa.

Mimo woli Morgiana przypomniała sobie tamten dzień w Avalonie, kiedy poszła szukać ziół i korzeni i zawędrowała do nie znanej krainy, gdzie rozmawiała z nią kobieta-czarodziejka i chciała wychować jej dziecko... co naprawdę wtedy widziała? Czy była to tylko chora wyobraźnia ciężarnej kobiety?

– I ty to mówisz, choć byłeś wychowany jako Lancelot z Jeziora? – spytała cicho i Lancelot odwrócił się w jej kierunku.

– Bywa, że to też wydaje mi się nierealne... a tobie nie, siostrze?

– Czasami tak, to prawda – odpowiedziała – lecz czasami tęsknię za Avalonem...

– O tak, ja również – powiedział.

Od dnia zaślubin Artura nigdy, ani razu, słowem czy spojrzeniem nie dał do zrozumienia, że kiedykolwiek myślał o niej inaczej niż tylko jako o towarzysze dziecinnych zabaw i przybranej siostrze. Była już pewna, że od dawna przywykła do bólu, jaki jej to sprawia, lecz teraz znów ją to uderzyło, kiedy jego piękne, czarne oczy patrzyły na nią z taką sympatią.

*Prędzej czy później, wszystkim się to wyda jasne, tak jak powiedział Balan: oboje jesteśmy wolni, królewska siostra i najbliższy przyjaciel...*

– Cóż – powiedział Artur – kiedy przepędzimy Saksonów na dobre, i proszę się nie śmiać, jakby to była jakaś bajka, teraz możemy to zrobić i myślę, że oni o tym wiedzą, to wtedy wybuduję sobie zamek z wielką salą, która pomieści również ten stół. Wybrałem już nawet miejsce. To taki fort na wzgórzu, który stał tam, zanim przybyli Rzymianie, i nawet widać z niego Jezioro. To niedaleko ziem twego ojca, Gwenifer. Znasz to miejsce, gdzie rzeka wpada do jeziora...

– Znam – powiedziała. – Kiedy byłam małą dziewczynką, poszłam tam pewnego razu na jagody. Była tam stara, zrujnowana studnia i znaleźliśmy przy niej elfie strzały. Stary lud, który tam żył, zostawił swoje strzały...

Jakie to dziwne, myślała Gwenifer, że przecież był czas, kiedy lubiła chodzić na wycieczki pod tym ogromnym, wysokim niebem i nie martwiła się, czy są blisko jakieś mury, za którymi może się schować. A teraz, kiedy tylko wychodziła na zewnątrz i nie mogła dotknąć muru, kręciło jej się w głowie i robiło się słabo. Nieraz czuła nawet ucisk lęku w żołądku, kiedy tylko przechodziła przez dziedziniec. Musiała biec, żeby jak najszybciej poczuć bezpieczeństwo w postaci jakiejś ściany.

– To miejsce łatwo sfortyfikować – powiedział Artur – choć mam nadzieję, że kiedy przegonimy Saksonów, to na tych ziemiach zapanuje szczęście i pokój.

– Nieprzystojna myśl dla rycerza, bracie – powiedział Kaj. – Co będziesz robił, gdy będzie pokój?

– Zawołam Kevina Barda, by komponował dla mnie pieśni, i sam będę ujeżdżał swoje konie i dosiadał ich dla przyjemności – powiedział Artur. – Moi rycerze i ja będziemy mogli wychowywać naszych synów, nie wkładając miecza w każdą małą rączkę, nim dostatecznie dorośnie. Patrz, Kaju, czy nie byłoby lepiej, gdybyś nie musiał walczyć, zanim nie byłeś dostatecznie silny, by móc się dobrze obronić? Czasami czuję się winien, że to ty zostałeś zraniony, a nie ja, bo Ektoriusz chciał mnie uchronić, tak jak obiecał Utherowi! – Spojrzał na swego przyrodniego brata z miłością i troską, a Kaj uśmiechnął się do niego.

– Poza tym – powiedział Lancelot – będziemy wciąż się szkolić, organizując turnieje, tak jak robiono w antycznych czasach, a głowy zwycięzców będziemy przybierać wieńcami z laurowych liści... Co to jest laur, Arturze? Czy to rośnie na naszych wyspach?! Czy tylko w kraju Achillea i Aleksandra?

– Merlin mógłby ci to wyjaśnić – powiedziała Morgiana, bo Artur wyglądał na zbitego z tropu. – Ja też nie wiem, ale nawet gdyby nie było tu laurów, to i tak mamy wiele roślin, z których można robić wieńce dla zwycięzców twoich zawodów.

– I będziemy mieć girlandy i harfiarzy... – rozmarzył się Lancelot. – Zaśpiewaj nam, Morgiano.

– Lepiej zaśpiewam wam teraz – odparła Morgiana – kiedy zaczniecie już te swoje turnieje, to pewnie nie pozwolicie kobietom śpiewać.

Wzięła harfę i zaczęła grać.

Spoczęła niedaleko miejsca, gdzie siedziała po południu, kiedy zobaczyła krew rozlaną na królewski kobierzec... czy to się rzeczywiście stanie, czy była to jedynie fantazja? Dlaczego miałaby myśleć, że naprawdę wciąż posiada dar Wzroku? Nigdy już do niej nie przychodził, chyba że podczas tych niespodziewanych transów...

Zaczęła śpiewać starą pieśń, którą słyszała jeszcze w Tintagel lament rybaczeki, która widzi tonące łodzie. Wiedziała, że swym głosem przykuwa uwagę wszystkich. W ciszy, która zapanowała w całej sali, przeszła do starych pieśni z wysp, które słyszała na dworze Lota: śpiewała legendę o syrenie, która opuściła morskie głębiny, by znaleźć śmiertelnego kochanka, pieśni o samotnych pasterkach, pieśni śpiewane przy przędzeniu i przy

gręplowaniu wełny. Nawet kiedy już się zmęczyła, prosili o jeszcze, ale podniosła dłoń w odmownym geście.

– Wystarczy, naprawdę, nie mogę już dłużej śpiewać. Ochrypłam jak jakiś kruk.

Niedługo potem Artur zawołał służbę, by pogasiła pochodnie w sali i odprowadziła gości do komnat. Jednym z zadań Morgiany było dopilnowanie, by wszystkie niezamężne kobiety położyły się bezpiecznie spać w długiej komnacie przylegającej do komnaty królowej, po przeciwnej stronie zamku niż komnaty rycerzy i dworzan. Ociągała się jednak przez chwilę, patrząc na Artura i Gwenifer, którzy żegnali się z Lancelotem.

– Jestem żołnierzem, to mój obowiązek sprawdzić, czy z wojskiem i końmi wszystko w porządku, zanim sam się położę.

Artur zaśmiał się, obejmując ramieniem talię Gwenifer.

– Musimy cię ożenić, Lance, to nie będziesz spędzał nocy samotnie na zimnie. Mianowałem cię dowódcą mojej jazdy, ale to nie znaczy, że musisz spać między końmi!

Gwenifer poczuła ból w piersiach, kiedy napotkała wzrok Lancelota. Wydało jej się, że niemal może czytać jego myśli, że on zaraz znów powie na głos to, co już kiedyś powiedział: *Moje serce tak pełne jest mojej królowej, że nie ma w nim miejsca dla żadnej innej damy...* Wstrzymała oddech, lecz Lancelot tylko westchnął i uśmiechnął się do niej. *Nie, pomyślała, jestem mężatką, żoną, chrześcijanką, to grzech nawet mieć takie myśli; muszę odprawić pokutę.* Potem poczuła, że gardło zaciska jej się tak, że niemal nie może przełykać, a myśli napływają mimo jej woli: *To wystarczająca pokuta, że muszę być rozłączona z tym, którego kocham...* westchnęła tak głośno, że aż Artur spojrzał na nią zdziwiony.

– Co się stało, kochanie, czy coś cię zabolowało?

– To... tylko się ukłułam szpilką – powiedziała i odwróciła głowę, udając, że w fałdach sukni szuka zapomnianej szpilki. Dostrzegła, że Morgiana się jej przygląda i przygryzła wargi. *Ona zawsze mnie śledzi... a ona przecież ma dar Wzroku. Czy zna wszystkie moje grzeszne myśli? Czy dlatego patrzy na mnie z taką naganą?*

A przecież Morgiana nigdy nie zwróciła się do niej inaczej, jak tylko z siostrzaną troską. Kiedy była w ciąży, w pierwszym roku po ślubie, i dostała gorączki, i poroniła dziecko w piątym miesiącu, nie mogła znieść przy sobie obecności żadnych innych kobiet poza Morgianą, a Morgiana dbała o nią prawie jak własna matka. Dlaczego jest więc jej taka niewdzięczna?

Lancelot znów życzył im dobrej nocy i odszedł. Gwenifer prawie z bólem czuła otaczające ją ramie Artura, widziała szczerą chęć w jego oczach. Od dawna nie byli razem. Ona jednak poczuła nagły, przejmujący żal. Od czasu poronienia ani razu nie była w ciąży, czy on nawet nie potrafi dać mi dziecka?

Nie, nie, to na pewno jest jej wina, jedna z akuszerok powiedziała jej, że jest taka choroba wśród bydła, kiedy roni cielęta raz za razem, i czasami kobiety też zapadają na tę chorobę, tak że nie mogą nosić dziecka dłużej niż miesiąc lub dwa, góra trzy. W jakiś sposób, przez

nieuwagę, musiała się tą chorobą zarazić, może weszła do obory w złym czasie albo wypła mleko od krowy, która poroniła swoje małe, i tym samym naraziła życie przyszłego syna i dziedzica swego pana, i to wszystko jej wina... Przygnieciona poczuciem winy podążyła za Arturem do ich komnaty.

– To wcale nie żarty, Gwen – powiedział Artur, siadając na łożu, by zdjąć skórzane buty.  
– Musimy ożenić Lancelota. Widziałas, jak ci wszyscy młodzi chłopcy lgną do niego i jak umie z nimi rozmawiać? Powinien mieć własnych synów. Wiem, Gwen! Ożenimy go z Morgianą!

– Nie!!! – wyrwało jej się, zanim w ogóle pomyślała, a Artur popatrzył na nią zdziwiony.

– Co się z tobą dzieje? Czy nie wydaje ci się, że to doskonały wybór? Moja kochana siostra i mój najlepszy przyjaciel? I pomyśl, że w razie czego ich dzieci byłyby najbliższymi dziedzicami naszego tronu, gdyby tak się stało, że Bogowie nie zesłają nam dzieci... Nie, nie, nie płacz, moja kochana – prosił, a upokorzona Gwenifer wiedziała, że jej twarz wykrzywia się w brzydkim grymasie. – Nie chciałem ci tego wypominać, moja najdroższa, dzieci przychodzą, gdy Bogini tego chce, lecz tylko ona wie, kiedy będziemy mieć dzieci i czy w ogóle będziemy je mieć. I choć Gawain jest mi drogi, nie mam zamiaru sadzać na tronie syna Lota, gdybym umarł bezdzietnie. Morgiana to córka mojej matki, a Lancelot jest moim kuzynem...

– Przecież to nie ma znaczenia, czy Lancelot będzie w ogóle miał synów – powiedziała Gwenifer. – On jest tylko piątym czy szóstym synem króla Bana, i do tego bękartem!

– Nigdy nie myślałem, że usłyszę, jak właśnie ty, z wszystkich ludzi, będziesz wyrzucała memu najdroższemu przyjacielowi i krewniakowi jego urodzenie – powiedział Artur. – I wiedz, że on nie jest zwykłym bękartem, lecz synem Bogini z Wielkiego Związku...

– Pogańskie bezeceństwa! Gdybym była królem Banem, to wygnałabym precz wszystkie te rozpustne wiedźmy! I ty też powinienes tak uczynić!

Artur niespokojnie obrócił się w łożu.

– Lancelot nie miałby powodu, by mnie kochać, gdybym wygnał z tego królestwa jego matkę. Przysięgałem czcić Avalon, przysięgałem na miecz, który dano mi przed koronacją.

Gwenifer spojrzała na olbrzymi miecz Ekskalibur wiszący nad łożem w swej zaczarowanej pochwie pokrytej magicznymi symbolami, które wydały się teraz świecić srebrnym blaskiem i szydzić z niej. Zgasła pochodnię i położyła się u boku Artura, mówiąc:

– Nasz Pan Jezus ochroni cię lepiej, niż wszystkie te grzeszne czary. Ty nie miałeś nic wspólnego z ich bezecną Boginią i czarami, zanim zostałeś królem, prawda? Wiem, że takie rzeczy robiono za czasów Uthera, ale to chrześcijańskie ziemie!

Artur poruszył się niespokojnie.

– Na tych ziemiach żyje wiele ludów, także Stary Lud, który mieszkał tutaj, zanim nadeszli Rzymianie. Nie możemy im odebrać ich Bogów. A to, co się działo przed moją koronacją, ciebie nie dotyczy, moja Gwenifer.

– Człowiek nie może służyć dwóm panom – powiedziała Gwenifer zaskoczona własną śmiałością. – Wolałabym, byś był całkowicie chrześcijańskim władcą, mój panie.

– Służę wszystkim moim poddanym, nie tylko tym, którzy wyznają Chrystusa.

– Wydaje mi się, że to właśnie oni, a nie Saksoni są twymi wrogami. Prawdziwy chrześcijanin winien walczyć tylko z tymi, którzy nie wierzą w Chrystusa.

Artur próbował się zaśmiać.

– Teraz mówisz jak sam biskup Patrycjusz. On by wolał raczej ochrzcić Saksonów, niż ich zabijać, i kazałby nam żyć z nimi w zgodzie. Ja zaś uważam tak, jak ci biskupi, którzy tu dawniej byli. Wiesz, co powiedzieli, kiedy im kazano wysłać do Saksonów misjonarzy?

– Nigdy o tym nie słyszałam.

– Powiedzieli, że nie wyślą do Saksonów misjonarzy, bo wtedy musieliby znosić ich obecność nawet po śmierci, przed Bożym tronem.

Artur śmiał się serdecznie, ale Gwenifer nie odpowiedziała, dopiero po chwili westchnęła głęboko.

– Pomyśl nad tym, moja Gwenifer. To mi się wydaje najlepsze małżeństwo z możliwych, mój najdroższy przyjaciel i moja siostra. Wtedy on byłby mi bratem, a jego synowie dziedzicami... – W ciemności otoczył ją ramionami i dodał: – Ale teraz musimy się postarać o to, byśmy nie potrzebowali innych dziedziców, moja kochana, poza tymi, których ty mi dasz.

– Oby Bóg tak sprawił – szepnęła, idąc w jego ramiona.

Starła się odsunąć od siebie wszystko inne poza Arturem, teraz, w jej objęciach.

Morgiana zwlekała z położeniem się. Kiedy już dopilnowała, czy wszystkie kobiety są bezpieczne, stanęła przy oknie. Elaine, z którą dzieliła łóżko, szepnęła:

– Chodź spać, Morgiano, już późno, musisz być zmęczona.

Morgiana potrząsnęła głową.

– Nie jestem śpiącą. Chyba księżyc wzburzył mi krew.

Nie chciała się kłaść i zamykać oczu. Nawet jeśli nie miała już Wzroku, to męczyła ją własna wyobraźnia. Wokół niej mężczyźni łączyli się ze swymi żonami... *Prawie jak święto Beltanu w Avalonie*, pomyślała z kwaśnym uśmiechem... Była pewna, że nawet nieżonaci żołnierze znaleźli sobie jakieś kobiety na tę noc. Wszyscy, począwszy od króla, aż do stajennego, leżeli dzisiaj w czyichś ramionach, z wyjątkiem dam dworu królowej. Gwenifer uważała ochronę ich cnoty za swój obowiązek, tak jak to powiedział Balan. *A ja jestem pilnowana razem z nimi.*

Lancelot na ślubie Artura... nic z tego nie wyszło, chociaż nie z ich winy. *A teraz Lancelot unika pozostawiania w zamku, kiedy tylko może... bez wątplenia dlatego, by nie patrzeć na Gwenifer w objęciach Artura! Ale jest tu teraz...* i tak jak ona, jest tej nocy samotny, między żołnierzami, na pewno marzy o królowej, o jedynej kobiecie w całym królestwie, której mieć nie może. Bo z pewnością każda kobieta na dworze, zamężna czy nie,

była tak chętna, by go mieć, jak ona sama. Gdyby nie ten pech na weselu Artura, już by go zdobyła, a ponieważ był człowiekiem honoru, gdyby zaszła w ciążę, poślubiłby ją.

*Choć to mało prawdopodobne, bym zaszła w ciążę po tym, co przeszłam przy porodzie Gwydiona... ale tego nie musiałabym mu mówić. I potrafiłabym uczynić go szczęśliwym, nawet gdybyśmy nie mieli dzieci. Był czas, że mnie pragnął, zanim jeszcze poznał Gwenifer, a nawet potem... gdyby nie tamten wypadek, sprawiłabym, że w moich ramionach zapomniałby o niej...*

*Wcale nie jestem niegodna pożądania... kiedy dzisiaj śpiewałam wielu rycerzy spoglądało na mnie łakomie...*

*Mogłabym sprawić, by Lancelot mnie pragnął...*

– Nie idziesz spać? – spytała Elaine niecierpliwie.

– Jeszcze nie... chyba się trochę przejdę – powiedziała Morgiana, chociaż było to zabronione.

Elaine skuliła się zaleknie, co tak denerwowało Morgianę. Zastanawiała się, czy Elaine zaraziła się tym od Gwenifer, jak gorączką albo nową modą noszenia welonu.

– Nie boisz się, tam na zewnątrz śpi tylu mężczyzn...

Morgiana się roześmiała.

– A myślisz, że nie nudzi mi się już spać samej? – Ale spostrzegła, że ten żart uraził Elaine, więc dodała delikatniej: – Jestem siostrą króla. Nikt się nie ośmieli zaczepiać mnie wbrew mojej woli. Naprawdę uważasz, że jestem taka pociągająca, że żaden mężczyzna mi się nie oprze? Mam dwadzieścia i sześć lat, nie jestem taką kuszącą, świeżutką dziewicą jak ty, Elaine.

Nie zdejmując szat, położyła się obok Elaine. Tak, jak się obawiała, w ciszy i ciemności jej wyobraźnia – a może był to Wzrok? – tworzyła obrazy:

Artur z Gwenifer, w całym zamku mężczyźni z kobietami połączeni miłością lub prostym pożądaniem.

A Lancelot, czy też był sam? Silniejsze niż wyobraźnia okazały się wspomnienia. Przypomniała sobie tamten dzień, jasne słońce na szczycie Toru, pocałunki Lancelota po raz pierwszy budzące świadomość jej ciała. I tę gorycz i żal, że wiążą ją śluby. A potem na weselu Artura, kiedy Lancelot omal nie podarł na niej szat i nie posiadał jej tam, w stajni... pragnął jej wtedy...

W jej wyobraźni pojawił się obraz tak wyraźny, jakby sprowadzony Wzrokiem – Lancelot chodzący samotnie po dziedzińcu, z twarzą pełną bólu i goryczy... *Nie użyłam Wzroku ani czarów, by przyciągnąć go do siebie z egoistycznych pobudek... to przyszło do mnie mimo woli...*

Powoli, by nie obudzić Elaine, uwolniła się spod ramienia dziewczyny i cicho wyslizgnęła się z łóża. Była ubrana, musiała tylko włożyć buty. Po cichutku wyszła z komnaty, poruszając się bezszelestnie jak duch z Avalonu.

*Jeśli to tylko moja wyobraźnia i jego tam nie będzie, to przejdę się trochę, by ostudzić gorączkę i wrócę do łóżka, nic się nie stanie.* Jednak ten obraz nie zniknął z jej umysłu i wiedziała, że Lancelot tam jest, tak jak ona samotny i rozbudzony.

On też pochodzi z Avalonu... *fale przyływu biegną także w jego krwi...* Przechodząc cichutko obok śpiących straży, spojrzała w niebo. Księżyc w pierwszej kwadrze świecił jasno na płaską przestrzeń pomiędzy stajniami. Nie, nie tutaj, z drugiej strony... Przez chwilę myślała: *Nie, nie ma go, to był sen, moja wyobraźnia.* Już miała zawrócić, by iść do łóżka, nagle ogarnięta wstydem. Ktoś ze straży mógł ją zauważyć i wszyscy się dowiedzą, że kiedy uczciwi ludzie śpią, królewska siostra wymyka się po nocach, bez wątplenia w jakichś nierządnych celach...

– Kto to? Stać! Pokaż się! – Głos był cichy i zachrypnięty; głos Lancelota.

Nagle, mimo całego rozgrzankowania, Morgiana się przestraszyła: Wzrok się nie omylił, ale co dalej? Ręka Lancelota podążyła do miecza. W cieniu wydawał się bardzo wysoki i szczupły.

– To ja, Morgiana – powiedziała cicho, a on zdjął dłoń z rękojeści.

– Kuzynko, to ty?

Wyszła z cienia. Na jej widok jego zmartwiona twarz rozpogodziła się.

– Tak późno? Czy mnie szukasz? Jakies kłopoty w zamku? Artur? Królowa?

*Nawet teraz myśli tylko o królowej,* przemknęło przez głowę Morgianie i poczuła mrowienie w koniuszkach palców i na łydkach – gniew zmieszany z podnieceniem.

– Nie, z tego, co wiem, wszystko jest w porządku. Nie znam sekretów królewskiej sypialni!

Oblał się rumieńcem, dostrzegła to w ciemności jak cień na jego twarzy. Odwrócił głowę.

– Nie mogłam zasnąć – powiedziała. – Dlaczego mnie pytasz, co tu robisz, skoro sam nie jesteś w łóżku? A może Artur mianował cię nocnym strażnikiem?

– Nie bardziej niż ciebie – odparł rozweselony. – Nie mogłem zasnąć, chyba księżyc wzburzył mi krew.

Użył tego samego określenia, które ona powiedziała Elaine.

Uznała to za dobry omen, za symbol tego, że myślą w podobny sposób i że odpowiedzieli nawzajem na swoje wezwanie, tak jak wibruje struna harfy, kiedy uderzy się w strunę obok.

Lancelot szedł przy jej boku, mówiąc cicho:

– Nie mogę ostatnio spać, myślę o tych wszystkich bitwach...

– I jak wszyscy żołnierze chciałbyś znów znaleźć się w polu?

– Nie – westchnął. – Choć to może nie wypada, by żołnierz marzył o pokoju.

– Nie sądzę – powiedziała – bo po cóż idzie się na wojnę, jeśli nie po to, by wszystkim ludziom przynieść pokój? Jeśli żołnierz za bardzo kocha wojnę, to staje się jedynie narzędziem do zabijania. Cóż innego przywiodło Rzymian na nasze spokojne wyspy, jak tylko chęć podboju i walki dla samej walki?

– Twój ojciec był jednym z tych Rzymian, kuzynko. – Lancelot uśmiechnął się. – I mój też.

– Jednak bardziej cenię nasze spokojne Plemiona, które chciały jedynie uprawiać swoje pola i czcić Boginię. Jestem z ludu mojej matki – i twojej także.

– Tak, ale ci wszyscy wspaniali bohaterowie, o których dzisiaj mówiliśmy, Achilles, Aleksander, wszyscy uważali, że tylko walka i wojna jest odpowiednim zajęciem dla mężczyzn, i nawet na naszych wyspach jest teraz tak, że wszyscy mężczyźni najpierw myślą o wojnie, a pokój uważają jedynie za chwilę przerwy, dobrą dla kobiet. – Westchnął. – To są ciężkie myśli, nic dziwnego, że sen nas opuścił, Morgiano. Dziś w nocy oddałbym wszystkie wspaniałe miecze, które kiedykolwiek wykuto, i wszystkie wspaniałe pieśni o Achillesie i Aleksandrze, za jedno jabłko z gałęzi Avalonu... – Ze smutkiem odwrócił głowę.

Morgiana wsunęła swoją rękę w jego dłoń.

– Ja też, kuzynie.

– Nie wiem, dlaczego tak tęsknię za Avalonem, przecież nie mieszkałem tam długo – zastanawiał się Lancelot. – A jednak myślę, że to najpiękniejsze miejsce na ziemi, jeśli w istocie jest ono na tej ziemi. Myślę, że wielkie czary Druidów zabrały Avalon z tego świata, bo był zbyt piękny dla nas, niedoskonałych ludzi, i musi pozostać jak sen o Niebie, nieosiągalny... – Roześmiał się cicho. – Mój spowiednik nie byłby zadowolony, gdyby słyszał, co mówię!

– A więc zostałeś chrześcijaninem, Lance? – Morgiana zaśmiała się.

– Obawiam się, że niezbyt dobrym – powiedział. – Jednak ta ich religia wydaje mi się taka dobra i prosta. Chciałbym w nią wierzyć. Mówią: uwierz w to, czego nie widziałeś, wyznawaj to, czego nie rozumiesz, to ważniejsze niż wierzyć w to, co widzisz. Mówią, że nawet Jezus, kiedy powstał z martwych, zganił człowieka, który chciał włożyć rękę w rany Chrystusa, żeby sprawdzić, czy nie jest duchem albo zjawą, bo ważniejsze jest wierzyć, nie ujrzawszy.

– Wszyscy znów powstaniemy – powiedziała Morgiana bardzo cicho – i znowu, i znowu, i znowu. Nie przychodzimy na ten świat raz, by potem iść do nieba czy do piekła, lecz żyjemy wiele razy, aż nie staniemy się równi Bogom.

Lancelot spuścił głowę. Teraz, kiedy jej oczy przywykły do ciemności, widziała go wyraźnie: delikatną linię skroni schodzącej łukiem do oka, długi, wąski zarys szczęki, miękkie ciemne brwi i kręcące się nad nimi włosy. Jego piękność znów przeszła bólem jej serce.

– Zapomniałem, że jesteś kapłanką i wierzysz...

Ich dłonie splatały się ciasno. Poczowała, że jego ręka niespokojnie się porusza, i zwolniła uścisk.

– Czasami sama nie wiem, w co wierzę. Może zbyt długo przebywam już poza Avalonem – powiedziała.



– Ja też nie wiem, w co wierzę – odparł. – Ale podczas tej długiej, długiej wojny widziałem śmierć tylu mężczyzn i kobiet, i małych dzieci. Wydaje mi się, że walczę bez przerwy, odkąd dorosłem na tyle, by utrzymać miecz. A gdy widzę, jak umierają, to myślę, że wiara to tylko złudzenie, a prawda jest taka, że umieramy tak jak zwierzęta, i już nie istniejemy, jak ścięta trawa, jak zeszłoroczny śnieg.

– Lecz one także powracają – wyszeptała Morgiana.

– Doprawdy? Czy to tylko złudzenie? – W jego głosie brzmiała gorycz. – Myślę, że może to wszystko nie ma żadnego znaczenia, a te wszystkie opowieści o Bogach i Boginiach to tylko bajki, żeby pocieszyć dzieci. O Boże, Morgiano, czemu o tym rozmawiamy? Powinnaś się położyć, kuzynko, ja także...

– Odejdę, jeśli chcesz – powiedziała, ale kiedy tylko się odwróciła, ogarnęła ją radość, bo Lancelot wyciągnął do niej rękę.

– Nie, nie, kiedy jestem sam, nachodzą mnie te straszne myśli i wątpliwości, a jeśli już muszą mnie męczyć, to wolę o nich mówić na głos, by móc usłyszeć, jakie to szaleństwa. Zostań ze mną, Morgiano...

– Tak długo, jak tylko zechcesz – szepnęła i poczuła, że łzy napływają jej do oczu.

Wyciągnęła ręce i otoczyła go w pasie. Jego” mocne ramiona objęły ją mocno, lecz po chwili zwolniły uścisk, jakby z żalem.

– Jesteś taka malutka, zapomniałem, jaka jesteś drobna, mógłbym cię zgnieść gołymi rękoma...

Zagłębił dłonie w jej włosach, luźno rozpuszczonych pod welonem. Głaskał je, potem zaczął nawijać kosmyki wokół swoich palców.

– Morgiano, Morgiano, czasami wydaje mi się, że jesteś jedyną rzeczą w moim życiu, która jest samym dobrem. Jesteś jak wróżka, o których mówią w legendach, jak kobieta-elf, która przychodzi z nieznanymi ziem, by nieść śmiertelnym ludziom słowa piękna i pociechy, a potem znów odchodzi gdzieś na zachodnie wyspy i nigdy już nie wraca...

– Ale ja nie odejdę – wyszeptała.

– Nie...

Na jednym końcu dziedzińca leżała wielka kłoda, na której czasem przysiadali żołnierze, czekając na konie. Pociągnął ją w tamtym kierunku.

– Usiądź tu przy mnie – powiedział, ale po chwili się zawahał. – Nie, to nie jest miejsce dla damy... – Zaczął się śmiać. – Tak samo jak stajnia, pamiętasz, Morgiano?

– Myślałam, że zapomniałeś, po tym, jak ten diabelski koń cię zrzucił...

– Tylko nie diabelski. Niejeden raz uratował w bitwie życie Artura, Artur uważa go niemal za anioła stróża – powiedział Lancelot. – Ach, to był fatalny dzień. Mogłem cię wtedy skrzywdzić kuzynko, biorąc cię w ten sposób. Od dawna pragnąłem błagać cię o przebaczenie i usłyszeć, że mi wybaczasz i że nie żywisz do mnie urazy...

– Urazy? – Spojrzała mu w oczy i aż zakręciło jej się w głowie od silnej emocji. – Urazy? Może tylko do tych, którzy nam wtedy przeszkadzili...

– Doprawdy? – Jego głos brzmiał miękko.

Ujął jej twarz w obie dłonie i pochylił się, kładąc usta na jej ustach. Morgiana miękko poddała się temu, otwierając usta pod naporem jego warg.

Był gładko ogolony, czuła szorstkość jego skóry na swoim policzku, ciepłą słodycz jego języka w swych ustach. Przyciągnął ją bliżej, prawie unosząc nad ziemię, cicho mrucał. Pocałunek trwał tak długo, aż ona sama z żalem nie odsunęła ust, by nabrać tchu. Zaśmiał się cichutko.

– No to znów jesteśmy w tym samym miejscu... tak, jakby to się już wydarzyło... tyle że tym razem obetnę głowę każdemu, kto nam przeszkodzi... Ale stoimy tu, całując się koło stajni jak parobek i podkuchenna! Co teraz, Morgiano? Gdzie pójdziemy?

Nie miała pojęcia. Nie było takiego miejsca, w którym mogliby być bezpieczni. Nie mogła go zabrać do swej komnaty, którą dzieliła z Elaine i czterema innymi damami dworu, a sam Lancelot wybrał nocleg między żołnierzami. Coś głęboko mówiło jej, że to nie powinno być tak; królewska siostra i przyjaciel nie powinni szukać ukrycia.

Jeśli rzeczywiście w ten sposób czuli, powinni poczekać do rana i poprosić Artura o zgodę na ślub...

Jednak w głębi serca, tak głęboko, że nie musiała o tym pamiętać, wiedziała, że to nie tego pragnie Lancelot. Mógł jej rzeczywiście pożądać w przypiływie namiętności, ale nic więcej. A czy za tę chwilę namiętności ona może go zamknąć w pułapce przysięgi na całe życie? Plemienne obrzędy były bardziej uczciwe, pozwalały, by mężczyźni i kobiety łączyli się ze sobą wraz z przypiływami słońca i księżyca w ich krwi, tak jak chciała Bogini. I tylko jeśli później pragnęli dzielić ze sobą dom i wychowywać dzieci, myślano o małżeństwie. W głębi serca wiedziała także, że tak naprawdę nie chce poślubić ani Lancelota, ani nikogo innego. Chociaż czuła, że dla jego własnego dobra, także dla dobra Artura, a nawet Gwenifer, najlepiej by było odsunąć go od dworu.

Były to jednak tylko przelotne myśli. Odurzała ją jego bliskość, mocne bicie jego serca tuż przy jej policzku – pragnął jej. W tej chwili w jego sercu nie było żadnej myśli o Gwenifer czy kimkolwiek innym, myślał tylko o niej.

*Niech się z nami dzieje wedle woli Bogini; mężczyzna i kobieta...*

– Już wiem – szepnęła i chwyciła go za rękę.

Za stajniami i dziedzińcem była ścieżka wiodąca do sadu. Trawa była tu bujna i miękka, czasami kobiety przychodziły tu w słoneczne popołudnia.

Lancelot rozłożył na trawie swój płaszcz. Wokół nich unosił się ulotny zapach trawy i jabłek. Prawie tak, jakbyśmy byli w Avalonie, pomyślała Morgiana. Czytając w jej myślach, Lancelot powiedział:

– Znaleźliśmy sobie na dzisiejszą noc kawałek Avalonu.

Pociągnął ją w dół. Zdjął jej welon i głaskał włosy, ale nie wydawał się spieszyć, by osiągnąć więcej, tylko obejmował ją delikatnie, od czasu do czasu pochylając się, by złożyć pocałunek na jej czole lub policzku.

– Trawa jest sucha, nie opada rosa. Bez wątpienia przed świtem będzie deszcz – zamruczał, pieszcząc jej ramiona i ręce.

Czuła na sobie jego dłonie, pokryte odciskami i twarde, tak twarde, że aż się zdziwiła, kiedy sobie przypomniała, że Lancelot jest przecież o całe cztery lata młodszy od niej. Pamiętała tę historię – urodził się, kiedy Viviana myślała, że już nie będzie miała więcej dzieci. Jego długie palce mogły bez trudu otoczyć całą jej dłoń i zamknąć w uścisku.

Bawił się jej palcami, jej pierścionkami, potem przesunął dłoń na jej piersi i zaczął rozwiązywać tasiemki sukni. Była odurzona, przebiegały ją dreszcze, namiętność przepływała przez jej ciało jak morskie fale obmywające plażę. Wsunęła się pod niego i zatopiła w jego pocałunkach. Zamruczał coś, ale nie słuchała, nie zrozumiała, co powiedział, nie potrafiła już rozróżniać słów.

Musiał jej pomóc zdjąć suknie. Szaty noszone na dworze były bardziej skomplikowane niż prosty strój, który nosiła jako kapłanka.

Poczuła się niezręcznie i niezgrabnie. Czy mu się spodoba? Jej piersi wydawały jej się miękkie i wiotkie, były takie od urodzenia Gwydiona; pamiętała, że gdy pierwszy raz ich dotykał, były małe i jędrne.

Jednak wydawał się niczego nie zauważyć, pieścił jej piersi, brał sutki w palce, a potem delikatnie pieścił je wargami i zębami. Wtedy zupełnie się zatraciła, na świecie nie istniało dla niej nic, poza jego dłońmi, które jej dotykały, poza jej rękoma, które przesunęły się po jego nagich ramionach, plecach, delikatnych i miękkich włosach na jego piersi. Zawsze myślała, że włosy na męskiej piersi są twarde i sztywne, ale u niego były miękkie i jedwabiste, jak jej własne, kręciły się tuż przy skórze. Jak przez mgłę przypomniała sobie, że jej pierwszy raz był z młodzikiem, nie więcej niż siedemnastoletnim, który nie bardzo wiedział, o co chodzi, tak że to ona musiała go prowadzić, pokazywać mu, co ma robić... a dla niej był to także jedyny raz, tak że dla Lancelota była prawie dziewicą... w przyptywie żalu pomyślała, jaka to szkoda, że to nie jest jej pierwszy raz, żeby mogła to tak wspaniale zapamiętać. To tak właśnie powinno być... to powinno być właśnie tak... Przywarła do niego całym ciałem, jęcząc, myślała, że już dłużej nie znieśie tego oczekiwania...

On jednak wydawał się jeszcze nie gotów, choć ona była całkowicie otwarta, jej ciało wypełniało pulsujące pożądanie. Poruszała się pod nim, spragniona, przyciągając go do siebie. Wyszepiała jego imię, błagając, niemal z lękiem. Wciąż ją delikatnie całował, jego ręce głaskały ją i uspokajały. Ale ona nie chciała, by ją uspokajał, całe jej ciało krzychało o spełnienie, to było nienasycone pragnienie, agonía. Chciała coś powiedzieć, błagać go, ale z ust wydobył jej się tylko szloch i jęk.

Trzymał ją delikatnie w objęciach, wciąż głaszcząc.

– Cicho, cicho, Morgiano, poczekaj, już więcej nie... nie chcę cię zranić, splamić twego honoru, nigdy bym tego nie uczynił. O tak, połóż się przy mnie, pozwól mi, zaspokoje cię...

W rozpacz i zmieszaniu pozwoliła mu robić to, co chciał, ale nawet kiedy jej ciało wołało o tę rozkosz, którą jej dawał, w środku narastał w niej dziwny gniew. Co z przepływem życia między ciałami ich dwojga, ciałem mężczyzny i kobiety, z unoszącą i wypełniającą je falą Bogini? Wydawało jej się, że on próbuje okiełzać tę falę, że jej miłość do niego obraca w żart, w grę, w udawanie. I jakby mu to nie przeszkadzało, jakby to tak właśnie miało być, byle tylko oboje doznali rozkoszy... jakby nie miało znaczenia nic, tylko ich ciała, jakby dla niego nie istniało prawo innego, całkowitego połączenia z życiową energią. Dla wychowanej w Avalonie kapłanki, wyczulonej na wielkie fale życia i wieczności, to zmysłowe, powolne, wyrachowane kochanie się było niemal jak bluźnierstwo, jak odmowa poddania się woli Bogini.

A jeszcze później, w głębi rozkoszy zmieszanej z poniżeniem, zaczęła go usprawiedliwiać. On nie był, tak jak ona, wychowany w Avalonie, lecz rzucony od zastępczej rodziny do dworu, do wojskowych obozów. Był rycerzem prawie od tak dawna, odkąd dorósł na tyle, by trzymać miecz, całe życie spędzał w polu, może po prostu nie wiedział, a może znał tylko takie kobiety, które nie dawały mu nic więcej, poza chwilą rozkoszy dla ciała, lub takie kobiety, które wołały igrać z miłością, naprawdę nic nie dając... powiedział: nie, chcę cię zranić ani splamić twego honoru, jakby rzeczywiście wierzył, że mogło być coś niewłaściwego i wstydliwego w pełnym byciu razem. Teraz, zaspokojony, odsunął się od niej trochę, lecz wciąż jej dotykał, bawił się nią, całował jej szyję i piersi. Zamknęła oczy, tuląc się do niego, zła i rozżalona. Cóż, może na nic innego nie zasługuje, zachowała się jak ladacznica, przychodząc do niego w ten sposób, może więc sama była sobie winna, że potraktował ją jak ladacnicę... a ona była taka zamoczona, że pozwoliła mu wziąć się w ten sposób, pozwoliłaby mu robić, co tylko chciał, wiedząc, że gdyby poprosiła, o więcej, straciłaby nawet to... teraz wciąż go pragnęła z tym nieznośnym bólem, którego nigdy nie zaspokoi. Ale on wcale jej nie chciał... w sercu wciąż pragnął Gwenifer lub jakiejś kobiety, którą mógł mieć, nie dając z siebie więcej niż ten pusty dotyk skóry. Chciał, kobiety, która oddałaby się i nie żądała od niego niczego więcej, poza rozkoszą. Przez ból i pragnienie miłości poczuła, jak rośnie w niej nikły płomyk pogardy. I to było największe cierpienie – że kochała go tak samo, że wiedziała, iż zawsze będzie go kochać, nie mniej niż w tym momencie pragnienia i rozpacz.

Usiadła i naciągnęła na siebie szatę, wiązała ją na ramionach drżącymi palcami.

Usiadł i przyglądał jej się w milczeniu, wyciągnął rękę, by pomóc jej poprawić suknię. Po długiej chwili odezwał się ze smutkiem:

– Źle uczyniliśmy, moja Morgiano, ty i ja. Czy jesteś na mnie zła?

Nie mogła mówić. Ból zaciskał jej gardło. W końcu odezwała się, z trudem wymawiając słowa:

– Nie, nie jestem zła.

Wiedziała, że powinna podnieść głos i krzyknąć na niego, domagać się tego, czego nie mógł jej dać... a może nie mógł tego dać żadnej kobiecie?

– Jesteś moją kuzynką i krewną, ale nic złego się nie stało – powiedział, a głos mu drżał.

– Przynajmniej o to nie muszę się winić, że sprowadzę na ciebie hańbę przed całym dworem... za nic na świecie bym tego nie zrobił, wierz mi, kuzynko, bardzo cię szanuję...

Nie mogła już dłużej powstrzymać szlochu.

– Lancelocie, błagam cię, w imię Bogini, nie mów tak! Jakie zło się stało? To była wola Bogini, oboje tego pragnęliśmy...

Przerwał jej nagłym gestem.

– Mówisz tyle o Bogini i takich grzesznych rzeczach... Przerażasz mnie, Morgiano. Kiedy ja powstrzymywałem się od grzechu, jednak spojrzałem na ciebie z pożądaniem, choć wiedziałem, że to źle. – Wkładał ubranie drżącymi rękoma. W końcu powiedział, prawie płacząc: – A ten grzech wydaje mi się bardziej nawet śmiertelny, niż był... bo... Gdybyś tylko tak nie przypominała mojej matki, Morgiano...

To było jak uderzenie w twarz, jak okrutny i zdradziecki cios.

Przez moment nie mogła wydobyć głosu. Potem wydało jej się, że w jednej chwili ogarnia ją furia rozgniewanej Bogini, i poczuła, jak wstaje, rośnie, wiedziała, że spływa na nią majestat Bogini, jak działo się dawniej, na łodzi Avalonu; mimo swego niepozornego wzrostu czuła, jak nad nim góruje; widziała, jak ten dzielny rycerz, kapitan królewskiej jazdy, cofa się przed nią, mały i przerażony, jak każdy człowiek na widok Bogini.

– Jesteś... jesteś godnym pogardy głupcem, Lancelocie – powiedziała. – Nie jesteś nawet wart przekleństwa!

Odwrociła się i szybko odeszła, zostawiając go siedzącego z na wpół rozwiązanymi bryczesami, patrzącego za nią w zadziwieniu i wstydzie. Serce jej waliło. Połowa niej chciała na niego wrzeszczeć jak rozwścieczona mewa, druga połowa miała ochotę paść i płakać w rozpacz i bólu, błagać o głębszą miłość, której jej odmówił, wzgardziwszy darem Bogini... Przez głowę przelatywały jej fragmenty myśli, wspomnienia starej legendy o Bogini odepchniętej przez śmiertelnego człowieka i jak ta Bogini kazała go rozszarpać na kawałki swym myśliwskim psom... i był w niej smutek, że dostała to, o czym marzyła przez te wszystkie długie lata, lecz obróciło się to w popiół i kurz.

*Ksiądz by powiedział, że to kara za grzech. Nasłuchałam się tego dosyć od księdza na dworze Igriany, zanim wyjechałam do Avalonu. Czy w głębi serca jestem bardziej chrześcijanką, niż sama o tym wiem? I znów wydało jej się, że serce jej pęknie z tej zrujnowanej, rozpaczliwej miłości.*

W Avalonie to by było niemożliwe – ten, kto w ten sposób zbliżyłby się do Bogini, nie mógłby się oprzeć jej mocy... Chodziła tam i z powrotem, w jej żyłach płonął nie ugaszony ogień, wiedziała, że nikt nie jest w stanie zrozumieć tego, co czuje, poza inną kapłanką

Bogini. *Viviana*, pomyślała z tęsknotą, *Viviana* by zrozumiała, albo *Raven*, albo którakolwiek z nas, wychowanych w *Domu Dziewcząt*... *Co ja robiłam przez te wszystkie lata tak daleko od mojej Bogini?*

### **Mówi Morgiana...**

*Trzy dni później dostałam od Artura pozwolenie, by opuścić dwór i wrócić do Avalonu.*

*Powiedziałam tylko, że tęsknię za Wyspą i za Vivianą, moją przybraną matką. Przez te dni nie rozmawiałam z Lancelotem, poza zdawkowymi uprzejmościami, kiedy nie mogliśmy uniknąć spotkania. Zauważyłam, że nawet wtedy unikał mego wzroku, i czułam się zła i upokorzona. Schodziłam mu z drogi, żeby tylko się z nim w ogóle nie spotykać.*

*Wzięłam więc konia i pojechałam na wschód poprzez wzgórza.*

*I nie powróciłam do Caerleon przez wiele lat, nie wiedziałam też o niczym, co działo się na dworze Artura... ale to już osobna opowieść.*

## **8**

Latem następnego roku Saksoni gromadzili się na wybrzeżach a Artur i jego rycerze spędzili cały ten rok na zbieraniu wojsk do bitwy, o której wiedzieli, że musi nadejść. Artur poprowadził swych ludzi do walki i odparł Saksonów, lecz nie była to decydująca bitwa i ostateczne zwycięstwo, na które miał nadzieję. Nieprzyjaciel ucierpiał znacznie i będzie potrzebował ponad roku, by znów się pozbierać, jednak Artur nie miał dość ludzi i koni, by pokonać wroga zdecydowanie i raz na zawsze, tak jak planował. W wielkiej bitwie otrzymał ranę, która nie wydawała się poważna, ale zaogniła się i zakaziła i musiał spędzić prawie całą jesień przykuty do łoża. Na Caerleon padały już pierwsze śniegi, kiedy mógł znów wyjść na zamkowy dziedziniec, wspierając się na lasce. Blizny miał nosić do końca życia.

– Będzie już wiosna, zanim zdołam znów dosiąść konia – powiedział zmartwiony do Gwenifer, która stała w pobliżu muru owinięta ciasno błękitnym płaszczem.

– W istocie, tak być może – powiedział Lancelot – i jeszcze dłużej, mój drogi panie, jeśli zaziębisz ranę, zanim się w pełni wygoi. Błagam cię, wracaj już do środka, patrz, na płaszczu Gwenifer są płatki śniegu.

– I na twojej brodzie, Lance, a może to pierwsza siwizna? – zażartował Artur. Lancelot się roześmiał.

– Myślę, że jedno i drugie, w tym masz nade mną przewagę, mój królu, twoja broda jest tak jasna, że nie będzie na niej znać siwizny, kiedy nadejdzie. Proszę, oprzyj się na moim ramieniu.

Artur chciał go odprawić, ale odezwała się Gwenifer:

– Nie, weź jego ramię, Arturze, zepsułbyś całe nasze leczenie, gdybyś upadł, a te kamienie są śliskie, bo śnieg na nich topnieje, kiedy tylko osiada.

Artur westchnął i oparł się na ramieniu przyjaciela.

– Teraz mam przedsmak tego, jak to musi być, kiedy jest się starym – zaśmiał się, gdy Gwenifer podeszła i ujęła go pod drugie ramię. – Czy będziecie mnie tak samo kochać i wspierać, kiedy faktycznie włosy i broda mi posiwieją i będę chodził o lasce jak Merlin?

– Nawet kiedy będziesz miał lat dziewięćdziesiąt, mój panie – odparł Lancelot, śmiejąc się razem z nim. – Już to widzę, Gwenifer trzyma cię pod jedno ramię, ja pod drugie, gdy nasze stare nogi posuwają się małymi kroczkami w kierunku twego tronu. Wszyscy będziemy mieli wtedy pod dziewięćdziesiątkę! – Nagle spowaźniał. – Martwię się Taliesinem, panie, jest coraz słabszy i wzrok go zawodzi. Czy nie powinien wrócić do Avalonu i przez swe ostatnie lata odpocząć w spokoju?

– Bez wątplenia powinien – powiedział Artur. – Ale mówi, że nie zostawi mnie samego, jedynie z księżmi za doradców.

– A jakichże lepszych doradców od księży mógłbyś mieć, mój panie? – wybuchnęła Gwenifer. Nienawidziła tego bezbożnego słowa Avalon. Przerazało ją to, że Artur przysiągł bronić tej pogańskiej wiary.

Weszli do sali, gdzie płonął ogień. Artur zrobił zniecierpliwioną minę, kiedy Lancelot pomagał mu usadzić się na krześle.

– O tak, posadźcie staruszka przy kominku i dajcie mu grzane wino. Dobrze, że w ogóle pozwalacie mi nosić buty i spodnie, zamiast nocnej koszuli!

– Mój drogi panie – zaczęła Gwenifer, ale Lancelot położył jej rękę na ramieniu.

– Nie przejmuj się, wszyscy mężczyźni są tak samo marudni, kiedy chorują, on nawet nie wie, jak ma dobrze, że opiekują się nim piękne damy, podają mu pożywną strawę, czystą bieliznę i te grzańce na ziołach, na które tak się krzywi... Leżałem z raną w wojskowym obozie, a doglądał mnie zgorzkniały starzec, zbyt niedołężny, by walczyć. Leżałem we własnych odchodach, bo nie mogłem się podnieść, a nie było w pobliżu nikogo, kto by mi pomógł. Dostawałem tylko czerstwy chleb, który mogłem moczyć w kwaśnym piwie. Przestań marudzić, Arturze, albo postaram się o to, żebyś leczył swą ranę po męsku, jak przystało na żołnierza!

– Oj, on to rzeczywiście może zrobić – powiedział Artur, uśmiechając się ciepło do przyjaciela. – Nie bardzo się lękasz swego króla, księżę Galahadzie. – Wziął łyżkę z rąk Gwenifer i zaczął jeść mieszankę ciepłego wina z miodem i rozmoczonym w nim chlebem. –

O, to dobre, rozgrzewa, z przyprawami, prawda? To te same przyprawy, po które kazałaś mi posłać do Londinium...

Kiedy Artur skończył, podszedł do nich Kaj.

– I jak się ma rana po godzinnym spacerze, mój panie? Czy wciąż bardzo boli?

– Nie tak bardzo jak ostatnim razem, tyle mogę powiedzieć. Po raz pierwszy poznałem, co to prawdziwy strach, strach, że mogę umrzeć, nie dokończywszy swego dzieła.

– Bóg by na to nie pozwolił – powiedziała Gwenifer, a Artur poklepał ją po ręce.

– To samo sobie mówiłem, ale jakiś głos wewnętrzny powtarzał mi, że to wielki grzech pychy myśleć, że ja lub ktokolwiek może zostać oszczędzony po to, by dokonać jakiegoś dzieła. Długo myślałem o takich rzeczach, kiedy leżałem, nie mogąc wstać z łoża.

– Nie widzę, aby pozostało ci tak wiele do zrobienia, mój panie, poza ostatecznym zwycięstwem nad Saksonami – powiedział Kaj. – Teraz jednak powinieneś wrócić do łoża, zmęczył cię pobyt na powietrzu.

Kiedy położono Artura w łożu, Kaj zabrał jego ubranie i zbadał wielką ranę, z której przez bandażę wciąż sączyła się wydzielina.

– Poślę po kobiety – powiedział Kaj. – Muszą ci znów zrobić gorące okłady, nadwerżyłaś ranę. Dobrze, że się na nowo nie otworzyła, kiedy chodziłaś.

Kobiety wniosły parujące kotły i kładły na ranę Artura wilgotne gorące kompresy z ziołowych wywarów, tak gorące, że Artur krzywił się i jęczał.

Kaj znów się odezwał:

– I tak masz szczęście, Arturze. Gdyby ten miecz uderzył cię choćby o pięść wyżej, Gwenifer miałaby jeszcze większy powód do zmartwienia, a ty byłbyś sławny jako wykastrowany król... jak w tej starej legendzie! Znasz tę opowieść, gdzie król zostaje zraniony w udo, i w miarę, jak opada z sił, marnieje i jałowije jego ziemia, i będzie jałowiec, aż nie nadejdzie młodzian, który znów sprawi, że ziemia będzie żyzna...

Gwenifer zadrżała, a Artur powiedział, sycząc z bólu pod gorącym kompresem:

– To nie jest legenda do opowiadania rannemu!

– Myślałem, że to ci bardziej uświadomi twoje szczęście, iż twoje ziemie nie zmarnieją i nie będą jałowe – odparł Kaj. – Koło Wielkanocy, śmiem powiedzieć, łono naszej królowej znów powinno być pełne, jeśli wam się poszczęści...

– Oby Bóg dał – powiedział Artur, ale Gwenifer skrzywiła się i odwróciła twarz.

Po raz kolejny zaszała w ciążę i znów straciła płód, i to tak szybko, że prawie nie zdążyła poczuć, iż jest przy nadziei.

Czy już zawsze tak z nią będzie? Czy była jałowa? Czy była to Boża kara za to, że nie starała się zbyt pilnie, by jej mąż był lepszym chrześcijaninem?

Jedna z kobiet zabrała kompres i chciała go wymienić, ale Artur zawołał Gwenifer:

– Nie, niech to zrobi moja pani, jej ręce są delikatniejsze.



Gwenifer chwyciła parujący kompres, tak gorący, że parzył jej palce, ale przyjęła ten ból z wdzięcznością, jako pokutę. To jej wina, wszystko jej wina, powinien ją odesłać jako jałową i wziąć inną żonę, która da mu dziecko. Źle się stało, że w ogóle się z nią ożenił, miała już wtedy osiemnaście lat, jej najlepsze lata do rodzenia minęły.

Chyba że...

*Gdyby tylko była tu Morgiana, wyłagałabym od niej ten amulet, który uczyniłby mnie płodną...*

– Wydaje mi się, że potrzeba nam leczniczej sztuki Morgiany – powiedziała. – Rana Artura nie goi się tak, jak powinna, a Morgiana jest słynną mistrzynią sztuki uzdrawiania, tak samo jak Pani Avalonu. Dlaczego nie pošlemy do Avalonu i nie poprosimy, by jedna z nich przybyła na dwór?

Na te słowa Kaj zmarszczył brwi.

– Nie widzę ku temu potrzeby. Rana Artura goi się dość dobrze. Widziałem o wiele gorsze rany, które w pełni się goiły.

– Ale ja chętnie bym zobaczył moją siostrę – powiedział Artur – albo moją przyjaciółkę i dobroczyńcę, Panią Jeziora. Z tego jednak, co mówiła mi Morgiana, pewnikiem nie zobaczymy ich razem...

– Wyślę posłańca do Avalonu z prośbą, by moja matka przyjechała, jeśli tego pragniesz, Arturze – powiedział Lancelot, patrzył jednak na Gwenifer i ich oczy spotkały się na chwilę.

Przez te miesiące choroby Artura stale był u jej boku i był dla niej taką podporą, że nie wiedziała, co by bez niego uczyniła. Przez pierwsze dni, kiedy nikt nie wierzył, że Artur przeżyje, czuwał przy nim razem z nią, niestrudzony. Jego miłość do Artura sprawiała, że Gwenifer wstydziła się swych własnych myśli. *On jest kuzynem Artura, tak samo jak Gawain, stoi tak samo blisko tronu, bo jest synem siostry Igriany. Gdyby cokolwiek stało się Arturowi, Lancelot byłby takim królem, jakiego nam trzeba... w dawnych czasach król był niczym, tylko małżonkiem królowej...*

– Mamy więc posłać po Panią Vivianę? – spytała Gwenifer.

– Tylko jeśli masz życzenie widzieć Panią Jeziora – powiedział Artur i westchnął. – Myślę, że w tej chwili najbardziej potrzeba mi tej cierpliwości, którą zalecał mi biskup, gdy ostatnio z nim rozmawiałem. Bóg rzeczywiście okazał mi łaskę, że nie leżałem w takiej niemocy, kiedy Saksoni nadeszli po raz pierwszy, a jeśli Bóg będzie dalej dla mnie dobry, będę mógł dosiadać konia, kiedy nieprzyjaciel znów nam zagrozi. Gawain zbiera ludzi na północy, prawda? U Lota i Pellinora?

– Tak – odparł Lancelot ze śmiechem. – Powiedział Pellinorowi, że jego smok musi zaczekać, aż rozprawimy się z saksońskim białym koniem... Pellinor ma zebrać wszystkich swych ludzi i konie i być gotów na nasze wezwanie. Lot też przybędzie, choć jest już stary, ale nie opuści żadnej szansy, kiedy królestwo może wciąż przypaść jego synom.

*Zaiste przejdzie na jego synów, jeśli nie dam Arturowi potomka*, pomyślała Gwenifer. Wydawało się, że każde słowo, które ktokolwiek wypowiedział w jakiegokolwiek sprawie, było zatrutą strzałą wymierzoną prosto w jej serce za to, że nie wypełniła pierwszej powinności królowej. Artur ją lubił, mogli być szczęśliwi, gdyby choć przez chwilę mogła poczuć się wolna od brzemienia winy za swoją bezdzietność. Przez jakiś czas była niemal zadowolona z tej rany Artura, bo i tak nie mógł myśleć o zbliżeniu z jakąkolwiek kobietą, nie czuła się więc winna. Mogła o niego dbać i opiekować się nim, mieć go tylko dla siebie, co tak rzadko zdarzało się żonom, których mężowie nie należeli do nich, tylko do królestwa. Mogła go kochać i nie myśleć wciąż o swej winie; kiedy jej dotykał, mogła myśleć o ich miłości, nie tylko o lęku i nie spełnionych nadziejach. *Czy tym razem w końcu da mi dziecko? A jeśli tak, to czy zostanie ono we mnie, czy znów stracę tę bezcenną nadzieję królestwa?* Opiekowała się nim w dzień i w nocy, dbała o niego jak matka o chore dziecko, a kiedy zaczął nabierać sił, siadywała przy nim, rozmawiała z nim, śpiewała mu – choć nie miała do śpiewu słodkiego głosu Morgiany – sama chodziła do kuchni i gotowała dla niego takie rzeczy, jakich mógł pragnąć chory człowiek, by nabrał ciała po tej wycieńczającej chorobie i niemocy, która złożyła go na początku lata.

*Ale na co się zdadzą wszystkie moje starania, skoro nie potrafię zapewnić tego, że królestwo będzie miało dziedzica?*

– Żałuję, że nie ma Kevina – powiedział Artur – albo Morgiany. Chciałbym posłuchać muzyki. Nie mamy teraz na dworze dobrych muzyków!

– Kevin powrócił do Avalonu – powiedział Lancelot. – Merlin mi mówił, że udał się w jakichś świętych sprawach, tak tajemnych, że nie mógł powiedzieć nic więcej. Dziwię się, że księża pozwalają na sekrety Druidów na tych chrześcijańskich ziemiach.

Artur wzruszył ramionami.

– Nie rządę niczym sumieniem, mimo że jestem królem.

Gwenifer odezwała się surowo:

– Bóg winien być czczony w taki sposób, jakiego żąda, Arturze, a nie, jak się ludziom podoba. Dlatego zesłał nam Chrystusa.

– Ale nie przysłał go na te ziemie – powiedział Artur – a kiedy święty Józef przybył do Glastonbury i wbił w ziemię swój kostur, który zakwitł, Druidzi przyjęli go, a on nie wzdragał się przed dzieleniem ich religii.

– Biskup Patrycjusz powiada, że to zła i heretycka przypowieść – nalegała Gwenifer. – A księża, którzy utrzymują związki z Druidami, powinni być pozbawieni sutanny i wygnani, tak samo jak biskup przegna wszystkich Druidów!

– Nie zrobi tego za mego panowania – powiedział Artur zdecydowanie. – Przysięgałem chronić Avalon. – Uśmiechnął się i wyciągnął dłoń w kierunku ściany, na której wisiał wielki miecz Ekskalibur w swej purpurowej pochwie. – Ty zaś masz powód, by być wdzięczna ich magii, Gwenifer, gdybym nie miał przy sobie tej pochwy, nic by mnie nie ocaliło. I tak o

mało nie wykrwawiłem się na śmierć, tylko te czary powstrzymały krwawienie. Czy nie byłbym gorzej niż niewdzięcznikiem, gdybym wystąpił przeciwko nim?

– I ty w to wierzysz? – spytała Gwenifer. – Stawiasz magię i czary ponad Bożą wolę?

– Ależ, kochanie – odparł Artur i pogładził jej jasne włosy – czy wierzysz, że cokolwiek, co uczyni człowiek, może przekreślić wolę Boga? Jeśli rzeczywiście ta pochwa uchroniła mnie przed wykrwawieniem się na śmierć, nie mogło być wolą Bożą, bym zginął. Wydaje mi się, że moja wiara jest bliżej Boga niż twoja, jeśli ty się obawiasz, że jakiś czarnoksiężnik mógłby zmienić to, czego pragnie Bóg. Wszyscy jesteśmy w rękach Boga.

Gwenifer rzuciła Lancelotowi krótkie spojrzenie, przez chwilę uśmiechał się, jakby z nich drwił, ale uśmiech znikł i Gwenifer pomyślała, że to musiał być tylko cień.

– Jeśli masz ochotę na muzykę Arturze, – powiedział – Taliesin przyjdzie dla ciebie zagrać, mam nadzieję. Choć jest już stary i nie ma głosu do śpiewu, jego dłonie wciąż nie straciły swych umiejętności.

– Więc poślij po niego – powiedział Artur i zaśmiał się. – Pismo powiada, że stary król Saul wzywał swego młodego harfiarza, by dla niego grał i kołł jego myśli, a oto przeciwnie, ja, młody król, który potrzebuje starego harfiarza, by mu grał i podtrzymywał na duchu!

Lancelot poszedł szukać Merlina, a kiedy nadszedł starzec z harfą, długo siedzieli wszyscy w wielkiej sali, słuchając muzyki.

Gwenifer myślała o Morgianie, kiedy dla nich grała w tym miejscu. *Gdybyż tu była i dała mi amulet, ale nie wcześniej niż mój pan wydobrzeje...* a potem, patrząc przez ogień kominka na Lancelota, poczuła w ciele mrowienie. Siedział na ławie, oparty o ścianę i słuchał muzyki. Ręce miał splecione za głową, długie nogi wyciągnięte do ognia. Inni mężczyźni i kobiety także przyszli, by posłuchać muzyki. Elaine, córka Pellinora, była na tyle sprytna, że wcisnęła się na ławę obok Lancelota, ale on nie zwracał na nią uwagi.

*Lancelot powinien się ożenić. Muszę napisać do króla Pellinora, żeby dał mu Elaine za żonę. Jest moją kuzynką i w przeciwieństwie do mnie, jest wolna... – ale wiedziała, że tego nie zrobi.* Powtarzała sobie, że będzie na to czas, kiedy Lancelot sam im powie, że chce się ożenić.

*Gdyby Artur nie wyzdrowiał...*

*Och, nie, nigdy, nigdy bym tak nie pomyślała...* przeżegnała się w skrytości. *Jednakże, myślała, od dawna nie byłam już w jego ramionach, a i tak jest mało prawdopodobne, że Artur da mi dziecko...* Złapała się na tym, że zastanawia się, jakby to było w łóżu z Lancelotem. Czy on dałby jej dziecko, którego pragnie? A gdyby wzięła Lancelota na kochanka? Wiedziała, że są kobiety, które tak czynią... Morgause nawet się z tym nie kryła, teraz, kiedy nie mogła już mieć dzieci, jej cudzołóstwo było tak skandaliczne, jak rozwiązłość Lota. Poczowała, że oblewa się rumieńcem, i miała nadzieję, że nikt nie zauważył, jak patrzy na dłonie Lancelota, które teraz leżały spokojnie na jego kolanach. Zastanawiała się, jakby to było czuć, jak te dłonie ją pieszczą... – nie, nie wolno jej myśleć o takich rzeczach.

Kiedy kobiety biorą sobie kochanków, muszą uważać, żeby nie zajść w ciążę, by nie urodzić dziecka, które mogłoby przynieść hańbę im lub ich mężom, więc jeśli ona była jałowa, to nie miało znaczenia... wtedy jej bezpłodność byłaby szczęśliwym zrzędzeniem... Na Boga, jak może, ona, wierna żona i chrześcijanka, jak może mieć takie myśli? Już kiedyś o tym myślała, lecz gdy wyjawiała to na spowiedzi, ksiądz powiedział tylko, że ma po temu powody, bo jej mąż tak długo choruje, że jej myśli mogą obrócić się ku takim rzeczom. I że nie powinna się czuć winna, lecz wiele się modlić za męża i dbać o niego, i myśleć o tym, że jemu jest jeszcze trudniej.

Gwenifer wiedziała, że to była dobra i troskliwa rada, ale czuła, że ksiądz nie zrozumiał jej do końca, nie pojął, jaką jest złą kobietą i jakie grzeszne i przewrotne ma myśli. Bo inaczej z pewnością by ją potępił i dał jej ciężką pokutę, a wtedy ona poczułaby się lepiej, bardziej wolna...

*Lancelot nigdy by jej nie wypomniał, że jest jałowa...*

Zdała sobie sprawę, że ktoś wymówił jej imię. Podniosła głowę wystraszona, jakby jej myśli mogły być widoczne dla wszystkich.

– Nie, już wystarczy muzyki, lordzie Merlinie – powiedział Artur. – Już się ściemnia, a moja pani omal nie zasnęła na siedząco. Jest pewno przemęczona opieką nade mną... Kaju, niech służba poda obiad, ale ja wrócę do łoża i tam zjem trochę mięsa.

Gwenifer podeszła do Elaine i poleciła jej, by zajęła jej miejsce przy stole, bo ona zostanie przy królu. Kaj poszedł wydać rozkazy służbie, a Lancelot podał Arturowi ramię, kiedy ten, wspierając się na lasce, pokuśtykał do swej komnaty. Lancelot pomógł mu jak niańka usiąść delikatnie na łożu.

– Jeśli w nocy by czegoś potrzebował, pamiętaj, by po mnie posłano, wiesz, gdzie śpię... – powiedział cicho do Gwenifer. – Potrafię go podnieść łatwiej niż ktokolwiek inny...

– O nie, myślę, że nie będzie takiej potrzeby, ale dziękuję.

Był taki wysoki, kiedy przy niej stał. Delikatnie położył dłoń na jej policzku.

– Jeśli chcesz iść spać ze swymi damami dworu, ja zostanę i będę przy nim czuwał, wyglądasz, jakbyś potrzebowała długiego, niczym nie zakłóconego snu. Jesteś jak karmiąca matka, która nie zna odpoczynku, póki jej dziecko nie nauczy się przesypiać całej nocy. Mogę się zająć Arturem, nie ma potrzeby, byś przy nim czuwała. Mogę spać w komnacie obok, w zasięgu ręki.

– Jesteś dla mnie taki dobry – powiedziała – ale wolę sama przy nim zostać.

– Poślij jednak po mnie, jeśli będzie trzeba. Nie próbuj sama go podnosić – odparł Lancelot. – Obiecuj mi, Gwenifer.

Jak słodko jej imię brzmiało w jego ustach, słodziej nawet, niż kiedy mówił: *moja pani* albo *moja królowo...*

– Obiecuję, przyjacielu.

Schylił się i złożył na jej czole pocałunek leciutki jak muśnięcie

– Jesteś taka przemęczona – powiedział – połóż się i dobrze wyśpij.

Jego dłoń jeszcze przez chwilę pozostała na jej policzku, a kiedy, ją zabrał, czuła w tym miejscu piekące zimno, jakby bolał ją ząb.

Położyła się u boku Artura.

Przez jakiś czas myślała, że on już śpi. Ale po chwili odezwał się w ciemność:

– On jest dla nas dobrym przyjacielem, nieprawdaż, moja żono?

– Nawet brat nie mógłby być lepszy.

– Kaj i ja byliśmy wychowani jak bracia i bardzo go kocham, lecz prawdą jest, co powiadają, że krew gęstsza jest od wody, a pokrewieństwo przynosi bliskość, której nie umiałem sobie wyobrazić, zanim nie spotkałem kogoś mojej krwi... – Artur poruszył się niespokojnie i westchnął. – Gwenifer, jest coś, co chciałbym ci powiedzieć.

Serce zabiło jej ze strachu. Czy widział, jak Lancelot ją pocałował, czy oskarży ją o niewierność?

– Obiecuj mi, że nie zaczniesz znowu płakać – powiedział. – Nie zniosę tego. Przysięgam ci, że nie mam zamiaru ci niczego wypominać, lecz jesteśmy poślubieni już od wielu lat, a przez ten czas tylko dwa razy miałaś choćby nadzieję na dziecko. Nie, nie, błagam cię, nie płacz, pozwól mi mówić – prosił. – Jest możliwe, że to nie twoja wina, lecz moja. Miałem inne kobiety, jak wszyscy, mężczyźni. Jednak, mimo iż nigdy nie próbowałem ukrywać tego, kim jestem, przez te wszystkie lata ani jedna z tych kobiet, ani nikt z, ich rodzin nie przyszedł do mnie i nie powiedział: taka a taka kobieta urodziła ci bękarta. Może być, że to w moim nasieniu nie ma życia, więc kiedy nawet zachodzisz w ciążę, dziecko się dalej nie rozwija...

Spuściła głowę, by zasłona włosów ukryła jej twarz. Czy ona także myślała podobnie?

– Moja Gwenifer, posłuchaj mnie. To królestwo musi mieć dziedzica. Gdyby się tak stało, w jakimkolwiek czasie, że urodzisz dziecko, bądź pewna, że ja nie będę o nic pytał. Jeśli o mnie chodzi, każde dziecko, które urodzisz, uznaję za swoje i wychowam jako mego dziedzica.

Myślała, że rumieniec na jej twarzy wybuchnie żywym ogniem.

On uważał ją za zdolną do zdrady?

– Nigdy, nigdy nie mogłabym tego uczynić, królu mój i panie...

– Znasz zwyczaj Avalonu, nie, żono, nie przerywaj mi, pozwól mi mówić. Jeśli mężczyzna i kobieta łączą się tam w tym celu, mówi się, że takie dziecko rodzi się z Bogów. Gwenifer, chciałbym, by Bóg zesłał nam dziecko, ktokolwiek miałby spełnić Bożą wolę, płodząc je, czy mnie rozumiesz? A gdyby się stało tak, że ten, który wypełni wolę niebios, byłby moim najdroższym, najbliższym przyjacielem i bliskim krewnym, błogosławiłbym go i dziecię, które urodzisz. Nie, nie, nie szlochaj, nie powiem nic więcej – zakończył z westchnieniem i wyciągnął do niej rękę, by mogła oprzeć głowę na jego ramieniu. – Nie jestem wart tego, byś tak mnie kochała.

Po chwili zasnął, lecz Gwenifer leżała z otwartymi oczyma, łzy spływały jej po policzkach. *Och, nie, myślała, mój ukochany, mój najdroższy panie, to ja nie jestem godna twojej miłości, a teraz jeszcze dałeś mi zgodę, bym cię zdradziła...* Nagle, po raz pierwszy w życiu, pozazdrościła Arturowi i Lancelotowi. Byli mężczyznami, musieli wieść aktywne życie, wyjeżdżać w pole i ryzykować życie w bitwach, ale byli wolni od takich przerażających decyzji. A cokolwiek ona robiła, jakkolwiek podejmowała decyzję, obojętnie, jak niewielką – choćby to, czy podać na obiad jagnię czy suszone mięso – na jej duszy leżał ten ogromny ciężar, że od tego, co zadecyduje, mogą zależeć losy królestwa. A teraz to miało stać się jej własnym wyborem, nie tylko wolą Boga, czy da temu królestwu dziedzica i czy będzie on z krwi Uthera Pendragona albo... innej.

Jak ona, kobieta, mogła podjąć taką decyzję? Gwenifer naciągnęła na głowę swoją futrzaną narzutę, zwinęła się w kulkę i leżała przerażona.

To właśnie dziś wieczorem siedziała i patrzyła, jak Lancelot słucha harfiarza, kiedy do jej umysłu zakradła się ta myśl. Kochała go od dawna, ale teraz zaczęła rozumieć, że także go pożąda. W swym sercu nie jest wcale lepsza od Morgause, która cudzołożyła, kiedy tylko mogła z rycerzami swego męża, a nawet, jak powtarzano sobie szeptem, z przystojnymi paziami i sługami. Artur jest taki dobry, a ona szczerze go lubi, tu, w Caerleon, czuje się bezpieczna. Nie może przecież dopuścić, żeby ludzie w zamku i okolicach mogli szeptać o niej skandaliczne plotki, jak o Morgause.

Gwenifer chciała być dobra, utrzymać w czystości swą duszę i nie splamić cnoty, znaczyło też dla niej wiele, by ludzie widzieli, jaka jest cnotliwa, i mówili o niej jako o dobrej i nienagannej królowej.

Sama na przykład nie mogła powiedzieć niczego złego o Morgianie, żyła u jej boku przez trzy lata i z tego, co wiedziała, Morgiana była tak cnotliwa, jak ona sama. Jednak szerzyły się plotki, że Morgiana jest wiedźmą, bo mieszkała w Avalonie i posiadała tajemną wiedzę o ziołach, uzdrawianiu i dar przepowiadania, więc ludzie w zamku i okolicach szeptali, że Morgiana ma konszachty z czarownym ludem albo i z samym diabłem. I nawet ona sama, chociaż znała Morgianę tak dobrze, czasami zastanawiała się, jak to możliwe, by to, co powtarza tyle osób, mogło być zupełną nieprawdą.

A jutro musi zobaczyć Lancelota i jak zwykle spełniać swoje obowiązki u boku Artura, wiedząc, że on dał jej, ni mniej, ni więcej, tylko przyzwolenie... jak w ogóle będzie jeszcze mogła kiedykolwiek spojrzeć Lancelotowi w oczy? On ma w sobie krew Avalonu, jest synem Pani Jeziora, możliwe, że też trochę potrafi czytać w myślach, może spojrzeć jej w oczy i zobaczyć, o czym ona myśli!

A potem przez jej odrętwiałe ciało przepłynęła fala tak silnego gniewu, że aż się przeraziła. Leżąc tak zła i przestraszona.

Gwenifer myślała, że ze strachu przed tym, co mogłaby zrobić, już nigdy nie odważy się wyjść ze swojej komnaty. Każda kobieta na dworze pragnęła Lancelota – tak, nawet sama

Morgiana. Widziała, jak jej szwagierka na niego patrzy i właśnie dlatego, kiedy dawno temu Artur powiedział, że oni powinni się pobrać, taka była strapiona – Lancelot z pewnością uznałby Morgianę za zbyt śmiałą. Być może, że się pokłócili, bo zauważyła, że przez ostatni dzień czy dwa przed wyjazdem Morgiany do Avalonu rozmawiali ze sobą mniej niż zwykle i nie patrzyli sobie w oczy.

Tak, tęskniła za Morgianą... ale w gruncie rzeczy była zadowolona, że Morgiana opuściła dwór, i nie pośle ani do Avalonu, ani do Tintagel, by dowiedzieć się, co u niej słychać. Wyobraziła sobie, że powtarza Morgianie to, co właśnie powiedział jej Artur – umarłaby ze wstydu, jednak podejrzewała, że Morgiana by się z niej śmiała: z pewnością by powiedziała, że to tylko od niej zależy, czy weźmie sobie Lancelota na kochanka, a może nawet, że to decyzja Lancelota.

I wtedy poczuła, jakby przeszedł przez nią żywy płomień, jak ognie piekielne – wyobraziła sobie, że może zaofiarować siebie Lancelotowi, a on mógłby odmówić. Wtedy już na pewno umarłaby ze wstydu. Nie wiedziała, jak mogłaby jeszcze kiedyś spojrzeć w oczy Lancelotowi, Arturowi albo swoim damom dworu, którymi nigdy nie targały takie pokusy. Wstydziłaby się o tym powiedzieć nawet księdzu, bo księża by się dowiedzieli, że Artur nie jest takim dobrym chrześcijaninem, jak powinien. Jak znajdzie siłę, by w ogóle wyjść z zamku, lub nawet opuścić to bezpieczne schronienie swojej komnaty i tego łóża? Tutaj nic złego nie może jej się przytrafić ani jej zranić.

Poczuła się chora. Jutro tak właśnie powie swoim damom, a one pomyślą, tak jak i Lancelot, że jest tylko przemęczona czuwaniem przy Arturze w dzień i w nocy. Będzie, tak jak dotąd, dobrą i cnotliwą królową i chrześcijanką – nigdy, przenigdy nie pomyśli już inaczej.

Artur jest wycieńczony długą chorobą i unieruchomieniem, to wszystko. Gdyby czuł się dobrze, nigdy by o czymś podobnym nie pomyślał i bez wątpienia będzie jej wdzięczny, że nie posłuchała tego szaleńczego pomysłu i oboje ich uchroniła od strasznego grzechu.

A jednak, gdy już miała zapaść w sen, przypomniało jej się to, co powiedziała jedna z kobiet dawno temu, na kilka dni przed wyjazdem Morgiany. Powiedziała, że Morgiana powinna jej dać amulet... cóż, powinna. Gdyby Morgiana zaczarowała ją tak, że nie miałaby wyboru, tylko kochać Lancelota, wtedy byłaby uwolniona od tego przerażającego wyboru... *Kiedy Morgiana wróci, pomówię z nią o tym.*

Morgiany nie było jednak na dworze prawie od dwóch lat i mogło się zdarzyć, że nie wróci już nigdy...

*Jestem już za stara na te podróże*, myślała Viviana, jadąc konno w zimowym deszczu z pochyloną głową, ciasno okryta płaszczem.

Potem ogarnęła ją złość: *To teraz powinno być zadanie Morgiany, to ona miała zostać po mnie Panią Avalonu!*

Taliesin powiedział jej, a było to już cztery lata temu, że Morgiana przybyła do Caerleon na ślub Artura, została oddana Gwenifer jako jedna z dam dworu i zamieszkała na zamku. *Pani Jeziora służącą królowej?* Jak Morgiana śmiała w ten sposób porzucić swą prawdziwą, wyznaczoną jej drogę? Jednak gdy wysłała do Caerleon posłańca z wiadomością, że Morgiana powinna przybyć do Avalonu, posłaniec wrócił, mówiąc, że Morgiana opuściła dwór... myśleli, że pojechała do Avalonu.

*Jednak w Avalonie jej nie ma. Nie ma jej też w Tintagel u Igriany ani na dworze Lota w Orkney. Dokąd więc pojechała?*

Mogło jej się przydarzyć coś złego w jednej z tych samotnych podróży. Mogła zostać schwytana przez jakiegoś marudera albo opryszka, których wszędzie było pełno. Mogła stracić pamięć albo zostać zgwałcona, zamordowana, wrzucona do jakiegoś dołu i nigdy nie odnaleziono by jej ciała... *Och, nie*, pomyślała Viviana, *gdyby stała jej się krzywda, z pewnością ujrzałabym to w zwierciadle... lub za pomocą Wzroku...*

Nie mogła jednak być tego pewna. Wzrok przychodził do niej teraz z trudem, często, kiedy próbowała coś zobaczyć, przed jej oczyma pojawiał się tylko irytujący welon szarej mgły, zasłona niewiadomego, której Viviana nie ważyła się rozdzierać. A los Morgiany był skryty za tą zasłoną.

*Bogini*, modliła się teraz, tak jak to robiła wiele razy wcześniej, *Matko, oddałam ci swoje życie, przyprowadź do mnie moje dziecko, póki jeszcze żyję... ale nawet gdy wymawiała te słowa, wiedziała, że nie będzie odpowiedzi, tylko szary deszcz, jak welon niewiadomego.*

Odpowiedź Bogini pozostawała ukryta gdzieś hen, w otchłani nieba.

Czy kiedy ostatni raz odbywała tę podróż pół roku temu, tak samo ją to zmęczyło? Wydawało jej się, że przedtem jeździła zawsze lekko jak dziewczyna, a teraz kroki osiołka potrzęsały każdą kosteczką w jej ciele, a zimno wdzierało się w nią i kęsało swymi ostrymi, lodowatymi ząbkami.

Jeden z ludzi z jej obstawy odwrócił się i powiedział:

– Pani, widzę już w dole zabudowania. Dojedziemy tam, jak się zdaje, nim noc zapadnie.

Viviana podziękowała, starając się, by w jej głosie nie zabrzmiała taka ulga, jaką odczuła. Przed swoją obstawą nie mogła okazywać słabości.

Gawain powitał ją na wąskim dziedzińcu, kiedy zsiadała ze swego osiołka. Podtrzymał ją, by nie wdepnęła w błoto.



– Witaj, Pani – powiedział – jak zwykle to wielka radość cię widzieć. Mój syn, Balin, i twój syn, będą tu przed świtem, posłałem do Caerleon, by przybyli.

– Czy jest aż tak źle, przyjacielu? – spytała Viviana, a Gawain potaknął.

– Z trudem ją rozpoznasz, pani. Zupełnie zmarniała, a kiedy cokolwiek zje albo wypije, to mówi, że jakby ogień palił jej wnętrzności. To już nie potrwa długo, mimo wszystkich twoich leków.

– Tego się obawiałam – powiedziała Viviana z westchnieniem. – Kiedy ta choroba raz kogoś chwyci, nigdy już nie wypuszcza ze swych szponów. Może będą mogła jej ulżyć.

– Oby Bóg dał – powiedział Gawain – bo te lekarstwa, które zostawiłaś w czasie ostatniej wizyty, teraz już niewiele pomagają. Budzi się po nocach i płacze jak małe dziecko, kiedy myśli, że damy dworu ani ja nie słyszymy. Nie mam nawet serca się modlić, by dłużej żyła, tak strasznie cierpi, Pani.

Viviana znów westchnęła. Kiedy pół roku temu była w tych stronach po raz ostatni, zostawiła tu swoje najmocniejsze leki i eliksiry i z nadzieją myślała, że jesienią Priscilla złapie gorączkę i umrze szybko, zanim leki stracą dla niej moc działania. Nie mogła uczynić nic więcej. Pozwoliła, by Gawain poprowadził ją do domu, usadził przy ogniu i rozkazał służącej, by naląła jej talerz gorącej zupy z wiszącego przy ogniu kotła.

– Długo jechałaś w deszczu, Pani – powiedział – usiądź i odpocznij, moją żonę zobaczysz po wieczornym posiłku, bo o tej porze czasami udaje jej się trochę zasnąć.

– Jeśli może zasnąć choćby na chwilę, to błogosławieństwo, na pewno bym nie chciała jej przeszkodzić – powiedziała Viviana i obejmując skostniałymi dłońmi gorącą miskę z zupą, opadła na ławę. Jedna ze służących ściągnęła jej buty i zdjęła płaszcz, inna przyniosła ciepły ręcznik do wysuszenia stóp.

Viviana podciągnęła trochę spódnice, by jej kościste kolana poczuły ciepło ognia, i przez chwilę odpoczywała w błogim zapomnieniu, nie myśląc o przykrym celu swej wizyty. Potem z jednej z komnat dobiegł cichy, przeciągły płacz, a służąca zatrzymała się i zadrżała. Powiedziała do Viviany:

– To pani, biedaczka, musiała się obudzić. Miałam nadzieję, że pośpi, zanim nie nastawimy wieczerzy. Muszę do niej iść.

– Ja też pójdę – powiedziała Viviana i ruszyła za służącą do komnaty.

Gawain siedział przy ogniu i kiedy ten cichy krzyk zamierał w powietrzu, Viviana dostrzegła rozpacz na jego twarzy.

Od czasu kiedy Priscilla zachorowała, Viviana zawsze była w stanie dostrzec jakieś ślady jej dawnej urody, jakieś podobieństwo do tej wesolej, młodej kobiety, która wychowywała jej syna Balana.

Teraz jej twarz, usta i wyblakłe włosy były tej samej żółtawoszarej barwy, nawet błękitne oczy wygasły, jakby choroba wyprała z kobiety wszystkie kolory. Podczas jej ostatniej wizyty Priscilla była na nogach choć przez jakiś czas każdego dnia, teraz Viviana widziała, że chora

musiała od miesięcy być przykuta do łoża... pół roku poczyniło tyle zmian. Przedtem leki i eliksiry Viviany zawsze przynosiły ulgę, a nawet częściowe wyzdrowienie. Wiedziała jednak, że teraz było już za późno na jakąkolwiek pomoc.

Przez chwilę wyblakłe oczy rozglądały się po komnacie, usta poruszały się bezgłośnie nad opadniętą szczęką. Potem Priscilla ujrzała Vivianę, zamruwała i wyszeptwała:

– Czy to ty, Pani?

Viviana podeszła do łoża i ostrożnie ujęła pobielającą dłoń chorej.

– Przykro mi widzieć cię tak cierpiącą, moja droga przyjaciółko.

Wyblakłe, spękane usta wygięły się w grymasie, który Viviana przez chwilę odczytała jako oznakę bólu, potem jednak zrozumiała, że miał to być uśmiech.

– Nie wiem, czy można być jeszcze bardziej chorym – wyszeptwała Priscilla. – Myślę, że Bóg i jego Matka zapomnieli o mnie. Rada jestem znów cię widzieć i mam nadzieję żyć na tyle długo, by ujrzeć jeszcze mych drogich synów i pobłogosławić ich... – Westchnęła ciężko, starając się przesunąć trochę ciężar ciała. – Od tego leżenia bardzo mnie boli krzyż, ale każde dotknięcie, to jakby nóż ktoś we mnie wbijał. I taka jestem spragniona, jednak ze strachu przed bólem nie ośmielam się pić...

– Postaram się ci ulżyć, jeśli tylko będę mogła – powiedziała Viviana.

Wydała służbie polecenia, czego potrzebuje, i opatrzyła odleżyny chorej, wymyła usta Priscilli łagodzącym wywarem tak, że choć nie piła, już nie dręczyła jej spiekota w ustach. Potem usiadła przy niej, trzymając ją za rękę. Nie męczyła chorej słowami. Jakiś czas po zachodzie z dziedzińca dobiegły odgłosy. Priscilla otworzyła oczy błyszczące gorączką w świetle pochodni i wyszeptwała:

– To moi synowie!

I rzeczywiście, po chwili do komnaty wszedł Balan i jego przyrodni brat, syn Gawana, Balin. Wchodząc, musieli pochylić głowy pod niskim stropem komnaty.

– Matko – powiedział Balan i schylił się, by ucałować dłoń Priscilli, dopiero potem odwrócił się do Viviany i skłonił przed nią:

– Pani.

Viviana wyciągnęła rękę i dotknęła policzka swego starszego syna. Nie był tak przystojny jak Lancelot. Był wielkim, zwalistym mężczyzną, ale oczy miał piękne i ciemne jak ona i Lancelot. Balin był niższy, przysadzisty, szarooki. Wiedziała, że był tylko o dziesięć dni starszy od jej własnego syna. Wyglądał tak, jak niegdyś wyglądała Priscilla – jasnowłosa i rumiana.

– Moja biedna mamó – zamruczał, głaszcząc dłoń Priscilli. – Teraz Pani Viviana przybyła ci pomóc, więc już niedługo wyzdrowiejesz, prawda? Ale ty jesteś taka chuda, mamó, musisz się starać więcej jeść, żebyś znów była zdrowa i silna...

– Nie – wyszeptwała Priscilla – już nigdy nie będę silna, aż do czasu, kiedy zasiądę do wieczerzy z Jezusem w niebie, drogi synu...

– O nie, mamó, nie wolno ci tak mówić – zapłakał Balin, a Balan napotkał wzrok Viviany i westchnął.

Odezwał się tak cicho, że ani Priscilla, ani jej syn Balin nie mogli go usłyszeć:

– On nie rozumie, że ona umiera, Pani... matko. Wciąż się upiera, że wyzdrowieje. Miałem naprawdę nadzieję, że ona odejdzie jesienią, kiedy wszyscy zapadliśmy na gorączkę, ale zawsze była taka silna... – Balan potrząsnął głową, na jego masywnej szyi pojawił się rumieniec.

Viviana dostrzegła, że łzy stoją mu w oczach; wytarł je szybko. Po chwili powiedziała, że wszyscy powinni wyjść i pozwolić chorej odpocząć.

– Pożegnaj się ze swymi synami, Priscillo, i pobłogosław ich – powiedziała, a oczy Priscilli jakby na chwilę się rozjaśniły.

– Chciałabym, by zaprawdę było to pożegnanie, zanim mi się pogorszy... nie chciałabym, by mnie widzieli taką, jak byłem dziś rano – wyszeptła, a Viviana dostrzegła przerażenie w jej oczach.

Nachyliła się nad Priscillą i powiedziała miękko:

– Myślę, że mogę ci obiecać, iż nie będziesz już musiała dłużej cierpieć, moja droga, jeśli masz życzenie, by to zakończyć.

– Proszę – powiedziała umierająca i Viviana poczuła, jak jej dłoń zaciska się kurczowo na jej ręce w błagalnym geście.

– A więc zostawię cię teraz samą z twoimi synami – powiedziała Viviana spokojnie – gdyż obaj są twymi synami, choć urodziłaś tylko jednego z nich.

Wyszła do dużej komnaty, gdzie znalazła Gawana.

– Przynieście mi moje juki – powiedziała, a gdy to uczyniono, przez chwilę szukała w jednej z przegródek. Potem zwróciła się do mężczyzny: – Teraz przez chwilę będzie jej lepiej, ale niewiele więcej mogę już zrobić, chyba tylko zakończyć jej cierpienia. Myślę, że ona tego właśnie pragnie.

– Nie ma więc nadziei? Absolutnie żadnej?

– Nie. Nie pozostało jej już nic prócz bólu, a nie myślę, by twój Bóg chciał, żeby cierpiała jeszcze bardziej.

– Często powtarzała – powiedział wstrząśnięty Gawan – że żałuje, iż nie miała odwagi rzucić się do rzeki, kiedy jeszcze mogła chodzić...

– Nadszedł więc czas, by odeszła w pokoju – powiedziała Viviana cicho. – Chcę jednak, byś wiedział, że cokolwiek zrobię, czynię to na jej własną prośbę...

– Pani – odpowiedział Gawan – zawsze ci ufałem, i moja żona także kocha cię i ufa ci. Nie pytam o więcej. Jeśli zakończą się jej cierpienia, wiem, że będzie cię błogosławiła.

Jednak twarz miał ściągniętą rozpaczą. Poszedł za Vivianą do mniejszej komnaty. Priscilla mówiła coś cicho do Balina. Puściła jego rękę, a on, szlochając, podszedł do ojca. Wyciągnęła swą wychudłą dłoń do Balana i odezwała się drżącym głosem:

– Ty także byłeś mi dobrym synem, chłopcze. Opiekuj się zawsze swoim przyrodnim bratem i proszę, byś się modlił za moją duszę.

– Tak uczynię, matko – powiedział Balan i pochylił się, by ją ucałować, ale kiedy się zbliżył, wydała cichy okrzyk lęku i bólu, więc tylko uniósł jej pobielającą dłoń i przycisnął ją do ust.

– Mam tu twoje lekarstwo, Priscillo – powiedziała Viviana. – Powiedz dobranoc i zaśnij...

– Jestem taka zmęczona – wyszeptała umierająca. – Z ogromną chęcią zasnę... bądź błogosławiona, Pani, i twoja Bogini także...

– W imię tej, która okazuje łaskę – wyszeptała Viviana i uniosła głowę Priscilli, by ta mogła przełknąć lekarstwo.

– Boję się pić. To gorzkie, a ile razy coś przełknę, nadchodzi ból – wyszeptała Priscilla.

– Przysięgam ci, siostrze, że jeśli to wypijesz, nie nadejdzie żaden ból – powiedziała Viviana zdecydowanie i przechyliła kubek.

Priscilla wypięła i uniosła swą słabą rękę, by dotknąć twarzy Viviany.

– Pocałuj mnie na pożegnanie, Pani – powiedziała z tym udreńczonym uśmiechem, a Viviana przycisnęła wargi do jej kościstego czoła.

*Przynosiłam życie, a teraz przychodzę jako Kostucha Śmierć... Matko, czynię dla niej jedynie to, co, mam nadzieję, ktoś kiedyś uczyni dla mnie,* myślała Viviana i zadrzała. Podniosła oczy i napotkała zmarszczone brwi Balina.

– Chodźmy – powiedziała – pozwólmy jej odpocząć.

Wyszli do dużej komnaty. Gawan został w tyle, trzymał wciąż żonę za rękę. To dobrze, myślała Viviana, że został przy żonie.

Służba przygotowała wieczerzę, Viviana zajęła swoje miejsce i posiliła się, bo była wyczerpana po długiej drodze.

– Czy jechaliście z dworu Artura w Caerleon przez cały dzień, chłopcy? – spytała i uśmiechnęła się. Ci „chłopcy” byli już mężczyznami!

– Tak, z Caerleon – powiedział Balan. – To była straszna droga, w zimnie i deszczu!

Nałożył sobie solonej ryby i posmarował chleb masłem, po czym wręczył drewniane naczynie Balinowi.

– Nic nie jadłeś, bracie.

Balin wzruszył ramionami.

– Nie mam serca do jadła, gdy nasza matka leży w takim stanie, ale dzięki Bogu, teraz ty przybyłaś, Pani. Już wkrótce matka wyzdrowieje, prawda? Twoje leki tak bardzo jej pomogły ostatnim razem, to było jak cud, i teraz znów jej się poprawi, prawda?

Viviana popatrzyła mu w oczy. Czy to możliwe, by nie rozumiał?

Odezwała się cicho:

– Najlepiej dla niej będzie, jeśli połączy się z Bogiem na tamtym świecie, Balinie.

Spojrzał na nią, jego rumiana twarz pobladła.

– Nie! Ona nie może umrzeć! – krzyknął. – Pani, powiedz mi, że jej pomożesz, że nie pozwolisz jej umrzeć...

– Nie jestem twoim Bogiem – powiedziała Viviana surowo – i nie rozporządzam ludzkim życiem i śmiercią, Balinie. Chciałbyś ją jeszcze dłużej trzymać w tym strasznym cierpieniu?

– Ty, Pani, znasz przecież wszystkie magiczne zaklęcia – protestował Balin ze złością. – Po co tu przyjechałaś, jeśli nie po to, by znów ją uzdrowić? Słyszałem sam, jak mówiłaś, że możesz zakończyć jej cierpienia...

– Jest tylko jedno lekarstwo na tę chorobę, która zawładnęła twoją matką – powiedziała Viviana, kładąc ze współczuciem dłoń na ramieniu Balina. – I to jest jedyne litościwe rozwiązanie.

– Balinie, daj pokój – powiedział Balan i chciał położyć swą wielką, twardą dłoń na dłoni brata. – Czy chciałbyś, by dłużej cierpiała?

Jednak Balin odrzucił głowę i wbił wzrok w Vivianę.

– A więc użyłaś swoich czarów, by ją uzdrawiać, kiedy to przynosiło zaszczyt twojej przeklętej Bogini – krzyknął. – A teraz, kiedy nie możesz już z tego wyciągnąć więcej korzyści, pozwalasz jej umrzeć...

– Uspokój się, człowieku – powiedział Balan ochryple przez zaciśnięte gardło. – Czy nie widziałeś, że nasza matka ucałowała ją i pożegnała się z nią? Tego właśnie pragnęła...

Jednak Balin wciąż wpatrywał się w Vivianę, a teraz nawet podniósł rękę, jakby chciał ją uderzyć.

– Judaszu! – krzyczał – Ty też zdradziłaś pocałunkiem! – Okręcił się napięcie i pobiegł do sąsiedniej komnaty, wciąż krzycząc: – Coś ty zrobiła! Morderczyni! Ojcze, zdradziecka morderczyni! Ojcze! Tu się dzieje zbrodnia i diabelskie czary!

W drzwiach komnaty stanął Gawan z pobielającą twarzą, gestem nakazując ciszę, lecz Balin odsunął go i wpadł do środka. Viviana poszła za nim. Zobaczyła, że Gawan zamknął już powieki zmarłej.

Balin też to zobaczył i odwrócił się do niej, wykrzykując bełkotliwie:

– Morderstwo! Zdrada! Czary! Ty diabelska zbrodniarko, ty wiedźmo!

Gawan mocno objął syna ramionami.

– Nie wolno ci nad ciałem twej zmarłej matki zwracać się w ten sposób do tej, której ona ufała i którą kochała!

Balin szarpał się, krzyczał i wrywał, chcąc dopaść Viviany.

Próbowała przemówić, by go uspokoić, ale nie słuchał. W końcu poszła do kuchni i usiadła przy ogniu. Przyszedł też Balan i ujął ją za rękę.

– Przykro mi, że on tak to przyjmuje, Pani. On wie, jak jest naprawdę, i kiedy minie szok, będzie ci wdzięczny, tak jak ja jestem. Biedna mateczka, tak bardzo cierpiała, a teraz już nadszedł tego kres, ja też cię błogosławię... – Pochylił głowę, starając się nie szlochać w głos. – Ona była... była dla mnie jak matka...

– Wiem, synu, wiem – powiedziała cicho Viviana, głaszcząc go po głowie, jakby wciąż był tym małym chłopczykiem sprzed ponad dwudziestu lat. – To dobrze, że płaczesz za swą przybraną matką, gdybyś tego nie robił, byłbyś bez serca.

Na te słowa Balan wybuchnął płaczem, klęcząc u jej boku i wtulając twarz w jej kolana. Wszedł Balin i stanął nad nimi z twarzą wykrzywioną z wściekłości.

– Wiesz, że zabiła naszą matkę, Balanie, a jednak przyszedłeś ją pocieszać?

Balan podniósł głowę, łykając łzy.

– Spełniła wolę naszej matki. Czy jesteś takim głupcem, że nie rozumiesz? Nawet z Boską pomocą nasza matka nie przeżyłaby dwóch tygodni, czy masz jej za złe, że oszczędzono jej ostatnich mąk?

Balin jedynie krzyczał w kółko:

– Moja matka! Moja matka nie żyje!

– Była także moją przybraną matką, moją matką – powiedział Balan ze złością, lecz po chwili jego twarz złagodniała. – Och, bracie, ja też rozpaczam, dlaczego się mamy kłócić? Chodź, napij się wina, jej cierpienie się skończyło i matka jest teraz z Bogiem, lepiej módlmy się za nią, zamiast w ten sposób się spierać. Chodź, bracie, zjedz, napij się, odpocznij, też jesteś utrudzony.

– Nie! – krzyknął Balin. – Nie spocznę pod tym samym dachem, który chroni tę diabelską wiedźmę, która zabiła moją matkę!

Wszedł blady i rozgniewany Gawan i uderzył Balina dłonią w twarz.

– Spokój! – powiedział. – Pani Avalonu jest naszym gościem i przyjacielem! Nie zbrukasz gościnności tego domostwa takimi obraźliwymi słowami! Usiądź, mój synu, i jedz, bo inaczej wypowiesz słowa, których wszyscy będziemy żałować!

Balin łypał na niego spođe łba, jak dzikie zwierzę.

– Nie spocznę ani się nie pożywię pod tym dachem, dopóki jest tu ta... ta kobieta.

– Czy ośmielasz się obrażać moją matkę? – spytał Balan.

– Wszyscy jesteście przeciwko mnie! – wrzasnął Balin. – A więc odejdę z tego domu, który chroni zabójczynię mojej matki! – Odwrócił się i wybiegł.

Viviana opadła na krzesło, a Balan podtrzymał ją ramieniem. Gawan zaproponował kubek wina.

– Wypij, Pani, i przyjmij, proszę, przeprosiny za mego syna – powiedział. – On nie jest sobą, wkrótce dojdzie do zdrowych zmysłów.

– Czy mam za nim iść, ojczy, żeby nie zrobił sobie jakiejś krzywdy? – spytał Balan, ale Gawan potrząsnął głową.

– Nie, nie, synu, zostań tu ze swoją matką. Słowa niewiele mu teraz pomogą.

Viviana drżąc, sączyła wino. Ona też była pełna smutku z powodu Priscilli, wspominała czasy, kiedy obie były młode, każda ze swym niemowlęciem w ramionach... Priscilla była taka śliczna i wesoła, śmiały się razem i bawiły ze swymi dziećmi, a teraz Priscilla leżała

martwa po wycieńczającej chorobie, a Viviana własną ręką podała jej kubek, w którym była śmierć. To, że spełniła tylko wolę samej Priscilli, uspokajało jej sumienie, lecz nie zagłuszało jej smutku.

*Byłyśmy razem młode, a teraz ona leży martwa, a ja jestem stara, stara jak sama Śmierć Kostucha; a te śliczne dzieci, które bawiły się u naszych stóp... jedno już ma siwiznę we włosach, a drugie zabiłoby mnie, gdyby mogło, jako złą wiedźmę i morderczynię...* Vivianie wydało się, że jej kości przenika lodowaty żal. Stała blisko ognia, lecz drżała i nie mogła się rozgrzać. Otuliła się szalem, a Balan podszedł i zaprowadził ją na najlepsze miejsce, podścielił jej poduszkę pod plecy, w dłonie włożył kubek grzanego wina.

– Ty też ją kochałaś... nie kłopotz się Balinem, Pani, w swoim czasie przyjdzie do siebie. Kiedy będzie znów logicznie myślał, zrozumie, że zrobiłaś naszej matce wielką przysługę... – Przerwał, rumieniec powoli wypełniał jego mocną szczękę. – Czy gniewasz się na mnie, Pani, że wciąż myślę tak, jakby to umarła moja własna matka?

– Masz po temu słuszne powody – powiedziała Viviana, sącząc gorące wino i głaszcząc stwardniałą dłoń swego syna. Kiedyś ta ręka była taka maleńka i miękka, myślała, mogła ją bez trudu zamknąć w swej własnej dłoni, jak pączek róży. – Bogini wie, że ona była dla ciebie bardziej matką, niż ja nią kiedykolwiek byłam.

– Tak, powinienem być wiedzieć, że ty to rozumiesz, Pani – powiedział Balan. – Tak samo powiedziała mi Morgiana, kiedy ostatnio widziałem ją na dworze Artura.

– Morgiana? Czy ona jest teraz na dworze, synu? Czy była tam, kiedy odjeżdżałaś?

Balan z żalem pokręcił głową.

– Nie, widziałem ją w zeszłym... nie, to już lata minęły, Pani. Opuściła dwór Artura... zaraz, niech pomyślę... to było, zanim Artur otrzymał tę wielką ranę... tak, ależ w lecie to już będzie trzy lata. Myślałem, że Morgiana jest z tobą, w Avalonie.

Viviana potrząsnęła głową i oparła się wygodniej na poręczu wielkiego krzesła.

– Nie słyszałam nic o Morgianie od ślubu Artura – powiedziała, a potem pomyślała, że może Morgiana wyjechała gdzieś za morze.

Spytała Balana:

– A co z twym bratem Lancelotem? Czy jest wciąż na dworze, czy powrócił do Mniejszej Brytanii?

– On nie odjedzie, jak myślę, póki Artur żyje – powiedział Balan. – Choć teraz nieczęsto bywa na dworze...

Viviana okrucieństwem swego Wzroku usłyszała jednak i te słowa, których Balan, nie chcąc powtarzać skandalicznych plotek, nie wypowiedział: *Kiedy Lancelot jest na dworze, ludzie widzą, że nigdy nie spuszcza wzroku z królowej Gwenifer i aż dwa razy odmówił Arturowi, kiedy Artur chciał go żenić.* Na głos zaś Balan mówił z wahaniem:

– Lancelot powiedział, że zaprowadzi porządek w całym królestwie Artura, więc ciągle gdzieś wyjeżdża. Zabił więcej maruderów i włóczących się rzezimieszków niż którykolwiek z

rycerzy Artura. Mówią o nim, że sam jeden wystarcza za cały oddział. Pani... – Balan podniósł głowę i spojrzał smutno w oczy Viviany. – Twój młodszy syn, matko, jest wielkim rycerzem, tak wspaniałym, jak sam Aleksander, o którym prawią legendy. Są nawet tacy, którzy mówią, że jest lepszym rycerzem niż sam Artur. Ja nie przynoszę ci takiego zaszczytu, moja pani.

– Wszyscy robimy to, co Bóg przeznacza nam do zrobienia, mój synu – powiedziała Viviana łagodnie. – Jestem jedynie szczęśliwa, widząc, że nie masz w sercu zawiści o to, iż twój brat jest lepszym rycerzem od ciebie.

– Ależ to by było tak, jakby czuć żal do Artura, że to nie ja jestem królem, matko – powiedział Balan. – A Lancelot jest skromny i dobry dla wszystkich, i cnotliwy jak panna... czy wiesz o tym, że został chrześcijaninem?

– To mnie nie dziwi – powiedziała Viviana, potrząsając głową, jednak w jej głosie zabrzmiał żal, którego nie spodziewała się usłyszeć w chwili, gdy otwierała usta. – Twój brat zawsze bał się tych rzeczy, których nie rozumiał, a wiara Chrystusa jest odpowiednia dla niewolników, którzy uważają się za niegodnych grzeszników... – Nagle zatrzymała się i po chwili dokończyła: – Przepraszam, synu, nie chciałam tego powiedzieć. Wiem, że to także twoja wiara.

Balan zamrugął i uśmiechnął się.

– No to teraz stał się prawdziwy cud, pani, że kogokolwiek prosisz o wybaczenie za swoje własne słowa!

Viviana przygryzła wargi.

– Czy naprawdę taką mnie widzisz, synu?

– Tak – potaknął. – Zawsze wydawałaś mi się najdumniejszą z kobiet, ale uważałem, że właśnie dokładnie taka powinnaś być.

Viviana szydziła w duchu z siebie samej, że oto wymusza pochlebne słowa o sobie od własnego syna! Chciała zmienić temat i mówić o czymś innym.

– Powiadasz, że Lancelot dwukrotnie odmówił ożenku? Jak myślisz, na co on czeka? Czy chce większego posagu, niż jakakolwiek panna może mu przynieść?

Znów wydało jej się, że słyszy niewypowiedziane słowa Balana: *Nie może mieć tej jedynej, której pragnie, bo ona jest poślubiona jego królowi...* lecz jej syn powiedział tylko:

– Powiada, że nie ma ochoty żenić się z żadną kobietą, i żartuje, że bardziej kocha swoje konie, niż mógłby kochać kobietę, bo ona nie wyruszałyby z nim do bitwy. Czasem mówi w żartach, że kiedyś weźmie sobie za żonę jedną z saksońskich wojowniczek. Nikt mu nie dorównuje w walce ani na turniejach, które Artur wyprawia w Caerleon. Czasem nawet Lancelot staje do walki bez tarczy albo zamienia się z kimś na konie, żeby nie mieć za dużej przewagi. Balin raz stanął przeciw niemu i zwyciężył, ale odmówił odebrania nagrody, bo dowiedział się, że Lancelotowi urwał się pałak przy siodle.

– A więc Balin także jest dzielny i honorowym rycerzem? – spytała Viviana.



– O tak, matko, nie powinnaś oceniać mego brata po dzisiejszym zachowaniu – odparł Balan z przekonaniem. – Kiedy jechał przeciw Lancelotowi, naprawdę nie wiedziałem, któremu z nich sekundować. Lancelot wręczył mu nagrodę, mówiąc, że Balin wygrał ją słusznie, bo przecież Lancelot nie stracił kontroli nad koniem, tak właśnie powiedział! Ale Balin nie chciał jej przyjąć, i stali tak, spierając się honorowo, jak dwaj bohaterowie z tych starożytnych sag, które Taliesin opowiadał nam, kiedy byliśmy dziećmi!

– Możesz być dumny z obu swych braci – powiedziała Viviana i rozmowa zeszła na inne tematy, a po chwili Viviana stwierdziła, że powinna iść i pomóc przy przygotowaniach do pogrzebu. Kiedy weszła do komnaty zmarłej, spostrzegła, że wszystkie kobiety patrzą na nią z szacunkiem, przybył też ksiądz z wioski. Powitał ją rzeczywiście bardzo uprzejmie, ale po jego słowach Viviana zorientowała się, że uważa ją za jedną z sióstr z pobliskiego klasztoru. W swej czarnej podróźnej sukni faktycznie tak wyglądała i nie miała ochoty wyprowadzać księdza z błędu. Potem pozwoliła się zaprowadzić do najlepszego łóża dla gości i w końcu mogła się położyć. Jednak wszystko to, o czym rozmawiała z Balanem, powracało do niej w snach i w pewnej chwili wydało jej się, że przez szary welon mgły widzi Morgianę, jak biegnie w las pełen dziwnych drzew i kwiatów, które nigdy nie kwitną w Avalonie. We śnie, a potem także kiedy się obudziła, powiedziała sobie: nie wolno mi dłużej zwlekać, muszę odszukać ją Wzrokiem, lub choćby tym, co mi ze Wzroku pozostało.

Następnego ranka była obecna przy składaniu ciała Priscilli do grobu. Balin powrócił i stał przy grobie, płacząc. Po pogrzebie, kiedy wszyscy wrócili do domu napić się piwa, Viviana podeszła do niego i odezwała się łagodnie:

– Czy nie uściskasz mnie i nie wymienisz ze mną słów przebaczenia, przybrany synu? Wierzaj mi, dzielę twój ból. Byłyśmy przyjaciółkami przez całe życie, pani Priscilla i ja, czyż inaczej dałabym jej na wychowanie mego własnego syna? Jestem przecież matką twego przyrodniego brata.

Wyciągnęła ramiona, lecz twarz Balina pozostała zimna i zła.

Odwrócił się na pięcie i odszedł bez słowa.

Gawan zaprosił ją, by została jeszcze dzień lub dwa i wypoczęła, ale Viviana poprosiła, by przyprowadzono jej osiołka. Powiedziała, że musi wracać do Avalonu, i zobaczyła na twarzy Gawana ulgę, choć nie wątpiła w szczerść jego gościnności. Gdyby jednak ktoś powiedział księdzu, kim ona jest, mogłaby wyniknąć niezręczna sytuacja, której Gawan wolał uniknąć na stypie własnej żony.

Balan zapytał:

– Czy chcesz, bym pojechał z tobą do Avalonu, Pani? Zdarzają się na drogach złoczyńcy i włóczędzy.

– Nie – powiedziała, podając mu rękę z uśmiechem. – Nie wyglądam jak ktoś, kto ma przy sobie złoto, a ludzie, którzy ze mną jadą, pochodzą z Plemion. Gdyby nas zaatakowano, potrafimy ukryć się wśród wzgórz. Nie jestem też żadną pokusą dla mężczyzny, który

szukałby kobiety. – Zaśmiała się i dokończyła: – A jeśli Lancelot nadal wybija wszystkich rzezimieszków, to będzie niedługo tak, jak kiedyś opowiadano, że piętnastoletnia dziewczyna wioząca sakiewkę będzie mogła podróżować od krańca do krańca tej ziemi i nie znajdzie się mężczyzna, który mógłby ją obrazić! Zostań tutaj, synu, i opłakuj swą matkę, i pogódź się z twym przyrodnim bratem. Nie wadź się z nim z mojego powodu, Balanie...

Nagle zadrżała, jakby przeniknął ją ziąb, bo w jej myślach pojawił się obraz, jakby szczerkanie oręza i jej syn krwawiący z wielkiej rany...

– Co się stało, Pani? – spytał Balan cicho.

– Nic, synu... obiecuj mi tylko, że nie poróżnisz się ze swym bratem Balinem.

– Obiecuję, matko – rzekł ze spuszczoną głową. – Powtórzę mu także, co powiedziałaś, by wiedział, że nie żywisz do niego urazy.

– Na Boginię, oczywiście, że nie – powiedziała Viviana, lecz wciąż czuła ten przejmujący chłód, choć zimowe słońce grzało ją w plecy. – Niechaj Ona cię błogosławi, mój synu, a także twego brata, choć wątpię, by chciał błogosławieństwa jakiegoś innego Boga niż jego własny. Czy ty przyjmiesz błogosławieństwo Pani, Balanie?

– Tak – powiedział, pochylając się, by ucałować dłoń Viviany.

Stał i patrzył za nią, gdy odjeżdżała.

W drodze do Avalonu powtarzała sobie, że to, co poczuła, to jedynie wynik zmęczenia i jej własnych lęków. W każdym razie Balan jest jednym z rycerzy Artura, niewykluczone więc, że w tej nieustającej wojnie z Saksonami nie uniknie rany. Obraz jednak trwał w jej pamięci – że Balan i jego przyrodni brat pokłócą się z jej powodu. W końcu wykonała odpędzający znak, by nie widzieć już więcej twarzy swego syna do czasu, aż nie ujrzy jej w rzeczywistości!

Martwiła się także Lancelotem. Już dawno przekroczył wiek, w którym mężczyzna powinien się ożenić. Jest jednak wielu takich mężczyzn, którzy nie mają serca do kobiet i szukają jedynie towarzystwa swych braci i towarzyszy. Viviana dość często się zastanawiała, czy syn Bana nie jest jednym z nich. Cóż, Lancelot musi obrać swą własną drogę, pogodziła się z tym, kiedy opuścił Avalon. Jeśli okazywał wielkie oddanie dla królowej, z pewnością robił to tylko dlatego, by towarzysze nie wyśmiewali go jako kochanka chłopców.

Jednak oddaliła synów ze swych myśli. Żaden z nich nie był tak bliski jej sercu, jak Morgiana, a Morgiana... gdzie jest Morgiana?

Niepokoili ją już wcześniej, ale usłyszawszy wieści Balana, zaczęła się poważnie lękać o jej życie. Zanim ten dzień dobiegnie końca, musi wysłać posłańców z Avalonu do Tintagel, gdzie mieszka Igriana, i na północ na dwór Lota, gdzie Morgiana mogła się udać, by być ze swym dzieckiem...

Viviana widziała małego Gwydiona raz czy dwa w swym zwierciadle, ale nie poświęcała mu zbyt wiele uwagi, skoro rósł zdrowo i bezpiecznie. Morgause była dobra dla wszystkich

małych dzieci, bo sama tyle ich miała, a będzie jeszcze dość czasu, by zajmować się Gwydionem, kiedy trochę podrośnie. Wtedy powinien przybyć do Avalonu...

Z żelazną dyscypliną przestrzeganą przez lata, udało jej się odwrócić myśli nawet od Morgiany i przybyć do Avalonu w nastroju przystającym kapłance, która właśnie wzięła na siebie rolę Śmierci dla dobra swej najstarszej przyjaciółki. Była poważna, lecz nie pogrążona w wielkim żalu, gdyż śmierć jest tylko początkiem nowego życia.

Priscilla była chrześcijanką. Wierzyła, że teraz będzie w niebie ze swoim Bogiem. *A jednak ona także narodzi się ponownie na tym niedoskonałym świecie, by szukać Boskiej opieki, znowu i znowu... Balan i ja rozstaliśmy się jak obcy ludzie, i tak być musi. Nie jestem już Matką i nie powinnam czuć więcej żalu niż wtedy, kiedy przestałam być dziewczyną Bogini...* jednak jej serce wypełniał bunt.

Zaprawdę, nadszedł już czas, by zrzekła się władzy nad Avalonem, by młodsza kobieta została Panią Jeziora, a ona stała się jedną z wiedzących, które przychodzą z radą i pomocą, lecz nie mają już tej nieograniczonej władzy. Od dawna wiedziała, że Wzrok ją opuszcza. Jednak nie może przecież złożyć władzy, dopóki nie będzie jej mogła oddać w ręce tej, którą przygotowywała na tej władzy objęcie. Czuła, że powinna czekać, aż Morgiana zapomni swe urazy i powróci do Avalonu.

*Jeżeli jednak coś się stało Morgianie... a nawet jeśli nie, to czy mam prawo być dalej Panią, skoro Wzrok mnie opuścił?*

Kiedy wypłynęli na Jezioro, była taka zmarznięta i zmęczona, że gdy załoga odwróciła się do niej, czekając, aż przywoła mgły, przez chwilę nie mogła sobie przypomnieć zaklęcia. *Zaiste, już czas, już czas najwyższy, bym przekazała swą władzę...*

Potem słowa mocy powróciły do jej pamięci i wypowiedziała je. Przez większość nocy leżała jednak bezsennie, przerażona.

Gdy nadszedł ranek, przyjrzała się niebu; księżycy ubywało i radzenie się zwierciadła w takim czasie nie miało sensu. *Czy jeszcze w ogóle na coś się zda moje patrzenie w to zwierciadło, teraz, kiedy Wzrok mnie opuścił?* Z żelazną dyscypliną zmusiła się, by nie powiedzieć nic na ten temat do żadnej z usługujących jej kapłanek. Później tego dnia spotkała się jednak z wiedzącymi i spytała je:

– Czy w Domu Dziewcząt jest jakaś dziewczyna, która nigdy jeszcze nie była w świętym gaju ani na ogniach?

– Jest córeczka Taliesina – powiedziała jedna z kobiet.

Przez moment Viviana była zdezorientowana – przecież Igriana jest już dorosła, zamężna, nawet owdowiała, jest matką Najwyższego Króla, Morgause też jest zamężną matką wielu synów. Potem zreflektowała się jednak i powiedziała:

– Nie wiedziałam, że Taliesin ma córkę w Domu Dziewcząt.

Był taki czas, myślała, że do Domu Dziewcząt nie przyjmowano nikogo bez jej wiedzy, to ona osobiście sprawdzała każdą kandydatkę, czy ma dar Wzroku i nadaje się do szkolenia w sztuce Druidów. W ostatnich latach jednak pozwoliła, by wymknęło się to jej kontroli.

– Powiedzcie mi, ile ona ma lat? Jak ma na imię? Kiedy do nas przybyła?

– Na imię ma Niniana – powiedziała stara kapłanka. – To córka Branwen, pamiętasz ją? Branwen powiedziała, że poczęła to dziecko z Taliesinem na ogniach Beltanu. Wydaje się, że to było tak niedawno, lecz mała musi już mieć jedenaście czy dwanaście lat, może nawet więcej. Była wychowywana gdzieś na Północy, ale przybyła do nas pięć czy sześć lat temu. To dobre dziecko i posłuszne, a teraz nie przybywa już do nas aż tyle dziewcząt, byśmy mogły między nimi wybierać, Pani! Nie ma już takich jak Raven czy twoja wychowanica, Morgiana. A gdzie jest teraz Morgiana, Pani? Powinna do nas wrócić!

– Zaiste, powinna wrócić – powiedziała Viviana i poczuła wstyd, że nie wie, gdzie jest Morgiana, nie wie nawet, czy żyje. *Jak ja w ogóle śmiem być Panią Avalonu, skoro nie znam nawet imienia mojej następczyni ani nie wiem, kto mieszka w Domu Dziewcząt!* Jeśli jednak ta Niniana jest córką Taliesina i kapłanki Avalonu, z pewnością musi mieć Wzrok. A nawet gdyby sama go nie miała, Viviana może sprawić, że dziewczyna zobaczy, jeśli wciąż jest dziewczicą.

– Dopilnujcie, by przysłano do mnie Ninianę przed świtem, za trzy dni od dzisiaj – powiedziała Viviana.

Choć widziała w oczach starej kapłanki tuzin pytań, z pewną satysfakcją stwierdziła, że wciąż jest niekwestionowaną Panią Avalonu, gdyż kobieta o nic więcej jej nie pytała.

Niniana przyszła do niej na godzinę przed świtem pod koniec okresu odosobnienia należącego do czasu ciemnego księżyca. Viviana spędziła większość bezsennej nocy na nieustających rozważaniach. Wiedziała, że niechętnie myśli o pozbyciu się swej pozycji i władzy, jednak gdyby mogła przekazać tę władzę Morgianie, uczyni to bez żalu. Obracała w dłoni niewielki kapłański nóż, który Morgiana pozostawiła, uciekając z Avalonu. Potem odłożyła nóż i odwróciła się, by przyjrzeć się córce Taliesina.

*Stara kapłanka, tak samo jak ja, straciła poczucie czasu; ona z pewnością ma więcej niż jedenaście czy dwanaście lat.* Dziewczynka drżała ze strachu, a Viviana przypomniała sobie, jaka przerażona była Morgiana, kiedy po raz pierwszy ujrzała ją jako Panią Avalonu.

Odezwała się łagodnie:

– Ty jesteś Niniana? Kim są twoi rodzice?

– Jestem córką Branwen, Pani, lecz nie znam imienia mego ojca. Matka powiedziała tylko, że poczęłam się na ogniach Beltanu.

Cóż, to brzmiało rozsądnie.

– Ile masz lat, Niniano?

– W tym roku skończę czternaście zim.

– Czy byłaś już na ogniach, dziecko?

Dziewczynka potrząsnęła głową.

– Nie zostałam dotąd wezwana, Pani.

– Czy masz dar Wzroku?

– Myślę, że tylko trochę, Pani – odparła, a Viviana westchnęła i powiedziała:

– Cóż, dziecko, zobaczymy. Chodź ze mną.

Wyprowadziła ją ze swego stojącego w odosobnieniu domu i poprowadziła w górę, w stronę ukrytej ścieżki wiodącej do Świętej Studni. Dziewczynka była wyższa od niej, szczupła i jasnowłosa, miała fiołkowe oczy. *Przypomina Igrianę, kiedy była w tym wieku, pomyślała Viviana, choć włosy Igriany były bardziej rudawe niż złote.* Nagle wydało jej się, że widzi tę Ninianę ukoronowaną i odzianą w szaty Pani Jeziora. Potrząsnęła niecierpliwie głową, by pozbyć się niechcianej wizji. Z pewnością tylko jej się przywidziało...

Podprowadziła Ninianę do jeziora. Stała na chwilę, by spojrzeć w niebo.

Wręczyła dziewczynce nóż, który Morgiana dostała, gdy składała kapłańskie śluby, i powiedziała cicho:

– Spójrz w to zwierciadło, moje dziecko, i zobacz, gdzie jest teraz ta, do której należy ten nóż.

Niniana odpowiedziała jej z wahaniem:

– Pani, mówiłam już... ja prawie nie posiadam Wzroku...

Viviana zrozumiała, że dziewczynka boi się niepowodzenia.

– To nie ma znaczenia. Zobaczysz Wzrokiem, który kiedyś należał do mnie. Nie bój się, dziecko, tylko spójrz za mnie w zwierciadło.

Cisza. Viviana patrzyła na pochyloną głowę dziewczyny. Stało się to, co zwykle, jakby lekki wietrzyk przeszedł nad powierzchnią wody i zmarszczył ją. Potem Niniana odezwała się cichym, nieprzytomnym głosem:

– Ach, widzę... ona śpi w ramionach szarego króla... – i zamilkła.

Co ona ma na myśli? Viviana w ogóle nie potrafiła zrozumieć tych słów. Chciała krzyknąć na Ninianę, by na siłę wymusić na niej widzenie Wzrokiem, jednak największym z możliwych wysiłków zmusiła się, by zachować ciszę. Wiedziała, że nawet jej niespokojne myśli mogą zmać Wzrok dziewczyny. Odezwała się niemal zupełnym szeptem:

– Powiedz, Niniano, czy widzisz dzień, kiedy Morgiana powróci do Avalonu?

Znów pusta cisza. Lekki podmuch – wiatr brzasku – poderwał się i znów zmarszczyła się gładka powierzchnia wody. W końcu Niniana powiedziała cicho:

– Stoi na łodzi... jej włosy są teraz całkiem siwe... – i znów zamilkła, wzdychając, jakby z bólu.

– Czy widzisz coś więcej, Niniano? Mów, powiedz mi...

Ból i przerażenie odbiły się na twarzy dziewczyny, gdy wyszeptwała:

– Och, krzyż... światłość mnie pali, kielich w jej dłoniach... Raven! Raven, czy teraz nas opuścisz? – Wydała cichy, stłumiony okrzyk, wciągając szybko powietrze i zemdlona bezwładnie opadła na ziemię.

Viviana stała bez ruchu, zaciskając dłonie, potem z głębokim westchnieniem pochyliła się, by podnieść dziewczynę. Umoczyła dłoń w jezioru i skropiła wodą bladą twarz Niniany. Po chwili dziewczynka otworzyła oczy, spojrzała z lękiem na Vivianę i zaczęła płakać.

– Tak mi przykro, Pani, nic, nic nie zobaczyłam – szlochała.

*A więc to tak. Przemówiła, lecz nie pamięta nic z tego, co ujrzała. Równie dobrze mogłam jej tego oszczędzić, nic z tego nie wyszło.* Nie miało sensu złościć się na dziewczynę, zrobiła tylko to, co jej kazano. Viviana odgarnęła jasne włosy z czoła dziewczyny i odezwała się łagodnie:

– Nie płacz, nie gniewam się na ciebie. Czy boli cię głowa? Idź, idź i odpocznij, moje dziecko.

*Bogini zsyła swe dary wedle swej woli. Dlaczego jednak, o Matko wszelkiego stworzenia, wysyłasz mnie, bym spełniała twą wolę za pomocą niesprawnych narzędzi? Odebrałaś mi moc spełniania twej woli. Dlaczego więc odebrałaś mi także tę, która może ci służyć, kiedy mnie już nie będzie?*

Niniana schodziła powoli w dół ścieżką, w stronę Domu Dziewcząt. Przyciskała dłonie do skroni. Po chwili Viviana ruszyła za nią.

Czy słowa Niniany były tylko majaczeniem? Viviana sądziła, że nie – była pewna, że dziewczyna coś zobaczyła. Jednak nie rozumiała nic z tego, co Niniana ujrzała, jej próby ubrania tego w słowa nie składały się dla Viviany w żadne znaczenia. Do tego Niniana zapomniła całą wizję, tak że nie można jej było o nią więcej pytać.

*Śpi w ramionach szarego króla.* Czy to znaczy, że Morgiana leży w objęciach śmierci?

Czy Morgiana do nich powróci? Niniana powiedziała tylko: *Stoi na łodzi...* więc Morgiana wróci do Avalonu. *Jej włosy są teraz całkiem siwe.* Powrót ten nie nastąpi więc prędko, jeśli wróci. Przynajmniej to nie było dwuznaczne.

*Krzyż. Światłość mnie pali.* Raven, Raven, kielich w jej dłoniach to z pewnością nie było nic więcej, tylko majaczenie, próba oddania słowami jakiejś niezrozumiałej wizji. Raven mogła dotykać kielicha, magicznej broni wody i Bogini... tak, Raven miała moc, by brać do rąk Wielkie Regalia.

Viviana siedziała wpatrzona w ścianę w swoim pokoju. Zastanawiała się, czy to znaczy, że teraz, kiedy Morgiana od nich odeszła, Raven powinna przejąć władzę jako Pani Jeziora?

Wydawało jej się, że nie można inaczej zrozumieć słów dziewczyny.

A równocześnie te słowa mogły nic nie znaczyć.

*Cokolwiek wiem, wciąż nic nie wiem – mogłam równie dobrze iść do Raven, która by mi odpowiedziała tylko ciszą!*

Jeżeli jednak Morgiana rzeczywiście leży w objęciach śmierci albo na zawsze jest utracona dla Avalonu, nie ma innej kapłanki, która potrafiłaby unieść ten ciężar. Raven podczas wieszczenia oddała swój głos Bogini... czy miejsce Bogini ma pozostać bez następczyni tylko dlatego, że Raven wybrała swą milczącą drogę?

Viviana siedziała sama w swoim domu, wpatrywała się w ścianę, wciąż na nowo rozważała tajemnicze słowa Niniany. Raz wstała i poszła sama tajemną ścieżką, by ponownie wpatrzeć się w spokojną wodę, lecz woda była szara, szara jak nieustępliwe niebo. Przez chwilę wydało jej się, że coś jakby się poruszyło, i Viviana wyszeptała: „Morgiana?”, wpatrując się głęboko w ciszę jeziora.

Jednak twarz, która na nią spojrzała ze zwierciadła, nie była twarzą Morgiany – to była spokojna, nieporuszona twarz Bogini, w wieńcu z białych kwiatów łożyny...

*... czy widzę własne odbicie czy odbicie Śmierci...?*

W końcu, zmęczona, wróciła.

*Wiedziałam to od początku, od kiedy weszłam na tę ścieżkę. Nadchodzi czas, kiedy jest już tylko rozpacz, kiedy próbujesz zderzyć zastonę ze świątyni i wołasz ją, i wiesz, że ona nie odpowie, bo jej tam nie ma, bo nigdy jej tam nie było, nie ma Bogini, jesteś tylko ty i jesteś sama wśród szyszczącego echa pustej świątyni...*

*Nikogo tam nie ma, nigdy nikogo tam nie było, a Wzrok to tylko sny i złudzenia...*

Kiedy ociężała schodziła ze wzgórza, zauważyła, że na niebie stoi już nowy księżyc. W tej chwili jednak nic to już dla niej nie znaczyło, poza tym że skończył się kolejny okres rytualnego odosobnienia i ciszy.

*Co ja mam wspólnego z tym udawaniem Bogini? Los Avalonu leży w moich rękach, Morgiana odeszła, a ja jestem sama ze starymi kobietami, dziećmi i na wpół wyszkolonymi dziewczynkami... sama, zupełnie sama! Jestem stara i zmęczona, śmierć już na mnie czeka...*

W jej domu kobiety rozpały ogień, a obok jej krzesła parował kubek grzanego wina, by mogła zakończyć post ciemnej fazy księżyca. Znużona opadła na krzesło, a jedna z kapłanek podeszła cicho, by ściągnąć jej buty i otulić ramiona ciepłym szalem.

*Nie ma nikogo poza mną. Wciąż jednak mam moje córki, nie jestem zupełnie sama.*

– Dziękuję wam, moje dzieci – powiedziała z niezwykłym dla siebie ciepłem, a jedna z kapłanek wstydliwie skinęła głową bez słowa. Viviana stwierdziła, że nie zna imienia dziewczyny. *Dlaczego tak się zaniedbuję?* Pomyślała jednak, że pewnie dziewczyna jest aktualnie związana ślubami milczenia. Druga z nich powiedziała cicho:

– To dla nas zaszczyt służyć ci, Matko. Czy udasz się na spoczynek?

– Za chwilę – odparła Viviana, a potem pod wpływem nagłego impulsu powiedziała: – Idź i zawołaj do mnie kapłankę Raven.

Wydało jej się, że minęło dużo czasu, zanim Raven weszła cichym krokiem do pokoju. Viviana powitała ją skinieniem głowy.

Raven skłoniła się. Potem, idąc za dłonią Viviany, usiadła naprzeciw niej. Viviana wręczyła jej kubek wciąż do połowy pełen ciepłego wina, a Raven podziękowała uśmiechem, upiła łyk i odstawiła naczynie.

W końcu Viviana odezwała się:

– Moja córko, raz już złamałaś swe milczenie, zanim Morgiana nas opuściła. Teraz szukam jej i nigdzie nie można jej znaleźć. Nie ma jej w Caerleon ani w Tintagel, ani u Lota i Morgause w Lothianie... a ja się starzeję. Nie ma kto służyć... Pytam cię, jakbym zapytywała wyroczni Bogini: czy Morgiana powróci?

Raven milczała. W końcu potrząsnęła głową, a Viviana spytała:

– Czy to znaczy, że Morgiana nie powróci? Czy też znaczy, że nie wiesz?

Młodsza kapłanka zrobiła jedynie gest oznaczający bezradność i pytanie.

– Raven – powiedziała Viviana – wiesz, że muszę złożyć swój urząd, a nie ma nikogo, kto mógłby na nim zasiąść, nikogo, kto ma dawne wykształcenie kapłańskie, nikogo, kto zaszedł tak daleko, jesteś tylko ty. Jeśli Morgiana do nas nie powróci, ty musisz być Panią Jeziora. Złożyłaś przysięgę milczenia i wiernie jej dochowałaś. Teraz nadszedł czas, by jej poniechać i wziąć z mych rąk obowiązek opieki nad tym miejscem. Nie ma innego wyjścia.

Raven potrząsnęła głową. Była wysoką kobietą delikatnej budowy i – jak pomyślała Viviana – nie była już młoda. Z pewnością o dziesięć lat starsza od Morgiany, musiała już się zbliżać do lat czterdziestu. *A przybyła tu jako mała dziewczynka, nawet jeszcze piersi jej nie rozkwitły...* Miała długie, czarne włosy, twarz śniadą i pociągłą, wielkie oczy pod gęstymi, ciemnymi brwiami. Wyglądała surowo i poważnie.

Viviana skryła twarz w dłoniach i odezwała się zachrypłym głosem, poprzez łyzy, których nie mogła uronić:

– Nie mogę już, Raven.

Siedząc tak z zakrytą twarzą, po chwili poczuła delikatny dotyk na policzku. To Raven wstała i pochylała się nad nią. Nie przemówiła, tylko wzięła Vivianę w objęcia i trzymała ją przez chwilę w uścisku. Viviana, czując ciepło przytulonej do niej kobiety, zaczęła szlochać i czuła, że może tak płakać i płakać i nigdy już nie chce przestać. Kiedy w końcu Viviana zamilkła na chwilę z czystego wyczerpania, Raven pocałowała ją w policzek i cicho odeszła.

## 10

Kiedyś Igriana powiedziała Gwenifer, że Kornwalia leży na końcu świata. Tak też się Gwenifer wydawało – tutaj równie dobrze mogli nigdy nie istnieć maruderzy, Saksoni czy Najwyższy Król albo Najwyższa Królowa. Chociaż w jasne dni mogła spojrzeć w stronę morza i dostrzec odległą, ostrą linię zamku Tintagel, to tutaj, w tym odległym kornwalijskim



klasztorze, ona i Igriana nie były nikim więcej, jak tylko dwiema chrześcijańskimi kobietami. *Dobrze, że tu przyjechałam*, pomyślała Gwenifer i ta myśl zaskoczyła ją samą.

Jednak kiedy Artur poprosił ją, by pojechała, nie wahała się opuścić bezpiecznych murów Caerleon. Podróż była dla niej jednym długim koszmarem, nawet równy i wygodny odcinek po starej rzymskiej drodze na południu. A kiedy już opuścili rzymską drogę i zaczęli jechać poprzez wysokie, otwarte wrzosowiska, Gwenifer kuliała się wylękniona w swojej lektyce, nie wiedząc nawet, co napawało ją większym przerażeniem: wysokie, otwarte niebo czy daleki, daleki widok przestrzeni porośniętej trawą, bez drzew, gdzie nagie, zimne skały sterczały w górę jak pobielale kości matki ziemi. Potem przez długi czas nie było widać żadnego żywego stworzenia, tylko krążące wysoko kruki, czekające na jakąś padlinę, a czasem bardzo daleko jeden z dzikich kucyków zatrzymywał się na chwilę w miejscu, by zarzucić swą kudłatą głową i pogalopować dalej.

Jednakże tutaj, w tym odległym kornwalijskim klasztorze, panowała cisza i spokój. Cichy dźwięk dzwonu wybijał godziny, w otoczonym murami ogrodzie kwitły róże, pnąc się po rozsypujących się ścianach. Kiedyś była to rzymska willa. Siostry usunęły część podłogi z największej sali; mówiły, że dlatego, iż przedstawiała ona jakąś skandaliczną pogańską scenę. Gwenifer ciekawiło, co to było, ale nikt jej nie powiedział, a wstydziła się zapytać. Na podłodze dokoła komnaty wciąż leżała mozaika, na której były śliczne małe delfiny i dziwne ryby, a pośrodku położono nagie cegły. Czasami po południu, kiedy Igriana odpoczywała, Gwenifer siadywała tu z zakonnkami i pracowała nad swym haftem.

Igriana była umierająca. Minęły już dwa miesiące, odkąd ta wiadomość dotarła do Caerleon. Artur musiał się udać na północ do Eborakum, by dopilnować fortyfikacji starego rzymskiego muru obronnego, nie mógł więc pojechać do matki. Nie było także Morgiany. A skoro Artur nie mógł jechać, nie do pomyslenia też było, by Viviana w tak podeszłym wieku mogła się udać w tak długą drogę, Artur więc błagał Gwenifer, by ona pojechała i zaopiekowała się jego matką. Po wielu namowach w końcu się zgodziła.

Gwenifer nie znała się na doglądaniu chorych. Choroba, na którą zapadła Igriana, cokolwiek to było, przynajmniej przebiegała bezboleśnie. Brakowało jej jednak powietrza i nie mogła długo chodzić, by nie kaszleć i nie dusić się. Siostry, które się nią zajmowały, powiedziały, że ma zajęte płuca, jednak nie pluć krwią przy kasłaniu, nie dostała gorączki ani wypieków. Miała blade wargi i sine paznokcie, a kostki u nóg tak jej spuchły, że prawie nie mogła chodzić. Była zbyt słaba, by mówić, i większość czasu spędzała w łożu. Igriana nie wydała się Gwenifer aż tak bardzo chora, ale siostry powiedziały, że naprawdę jest umierająca i że teraz to już nie powinno potrwać dłużej niż tydzień.

To była najcieplejsza część lata i tego ranka Gwenifer przyniosła z klasztornej ogrodu białą różę i położyła ją na poduszce Igriany.

Poprzedniego wieczoru Igriana z trudem wstała i poszła na nieszpory, lecz tego ranka była tak słaba i zmęczona, że nie mogła się podnieść.

Jednak uśmiechnęła się do Gwenifer i powiedziała swym urywanym głosem:

– Dziękuję ci, droga córko. – Przystawiła kwiat do twarzy, delikatnie wachając płatki. – Zawsze chciałam mieć róże w Tintagel, ale ziemia tam była taka słaba, że nie chciały rosnąć... Mieszkałam tam pięć lat i nigdy nie zaniechałam prób, by mieć jakiś ogródek.

– Kiedy przyjechałaś, by mnie eskortować na ślub, pani, widziałas ogród w moim domu – powiedziała Gwenifer i poczuła nagłą tęsknotę za tym odległym, bezpiecznym ogrodem.

– Pamiętam, jaki był piękny, przypominał mi Avalon. Kwiaty w Avalonie są takie piękne, na dziedzińcu Domu Dziewcząt... – Zamilkła na chwilę. – Wiadomość została wysłana do Morgiany do Avalonu, prawda?

– Wiadomość została wysłana, matko. Ale Taliesin powiedział nam, że Morgiany nie widziano w Avalonie – powiedziała Gwenifer. – Bez wątplenia jest z królową Morgause w Lothianie, a w tych czasach to zajmuje posłańcowi całe wieki, by odbyć tę podróż tam i z powrotem.

Igriana ciężko westchnęła i znów zaczęła walczyć z kaszlem, a Gwenifer pomogła jej usiąść prosto. Po chwili Igriana odezwała się półgłosem:

– A jednak Wzrok powinien powiedzieć Morgianie, by do mnie przyjechała. Ty byś przyjechała, gdybyś wiedziała, że twoja matka jest umierająca, prawda? Oczywiście, przecież przyjechałaś, a ja nawet nie jestem twoją własną matką. Dlaczego Morgiana nie przybyła?

*To dla niej nic nie znaczy, że ja tu jestem*, pomyślała Gwenifer. *To nie mnie chce widzieć. Nikogo nie obchodzi, czy jestem tu czy gdzie indziej.* I wydało jej się, jakby zraniono ją w samo serce. Ale Igriana patrzyła na nią wyczekująco, więc powiedziała:

– Być może Morgiana nie otrzymała wiadomości. Może wstąpiła gdzieś do klasztoru, została chrześcijanką i wyrzekła się Wzroku.

– Tak się mogło stać... Ja też tak zrobiłam, kiedy wyszłam za Uthera – powiedziała cicho Igriana. – Jednak od czasu do czasu Wzrok przychodzi do mnie niewołany i myślę, że gdyby Morgiana była umierająca czy chora, wiedziałabym o tym – mówiła strapiionym głosem. – Wzrok przyszedł do mnie przed twoim ślubem... powiedz mi, Gwenifer, czy kochasz mego syna?

Gwenifer skurczyła się pod spojrzeniem jasnych oczu chorej; czy Igriana mogła zajrzeć aż w głąb jej duszy?

– Kocham go bardzo i jestem mu wierną królową, pani.

– O tak, wierzę, że jesteś... ale czy jesteście ze sobą szczęśliwi?

Igriana na chwilę zamknęła szczupłe dłonie Gwenifer w swoich i nagle się uśmiechnęła.

– Cóż, pewnie jesteście. I będziecie jeszcze szczęśliwsi, bo w końcu nosisz jego syna.

Gwenifer otworzyła usta i wpatrywała się w Igrianą.

– Ja, ja... ja nie wiedziałam.

Igriana znów się uśmiechnęła, łagodnym, radosnym uśmiechem, tak że Gwenifer pomyślała: *Tak, wierzę, że kiedy była młoda, była tak piękna, że Uther mógł zapomnieć o wszelkiej rozwadze i uciekać się do czarów i zaklęć, by ją zdobyć.*

– Tak często bywa – powiedziała Igriana – choć ty już nie jesteś taka młoda. Dziwię się, że jeszcze nie macie dzieci.

– To nie z braku chęci ani nie dlatego, że nie dość mocno się o to modłę – odparła Gwenifer tak wstrząśnięta, że prawie nie wiedziała, co mówi. Czy stara królowa zaczynała majaczyć? To był zbyt okrutny temat, by żartować. – Jak... co każe ci myśleć, pani, że jestem przy nadziei?

– Zapomniałam, że nie masz Wzroku – powiedziała Igriana.

– Mnie też już dawno opuścił, już dawno sama się go wyrzekłam, ale tak jak powiedziałam, zakrada się do mojej podświadomości, a nigdy dotąd mnie nie zmylił.

Gwenifer zaczęła płakać, a strapiona Igriana wyciągnęła swą wychudłą rękę i położyła ją na dłoni młodej kobiety.

– Dlaczego, kiedy przekazuję ci dobre nowiny, ty płaczesz, dziecko?

*Teraz pomyśli, że ja nie chcę tego dziecka, a ja nie zniosę, żeby ona źle o mnie myślała...*  
Gwenifer odpowiedziała roztrzęsiona:

– Tylko dwa razy przez wszystkie te lata małżeństwa w ogóle miałam powód, by uważać, że jestem w ciąży, a i wtedy nosiłam dziecko tylko przez miesiąc lub dwa. Powiedz mi, pani, czy... – Gardło jej się ścisnęło i nie śmiała wypowiedzieć tego na głos: *Powiedz mi, Igriano, czy urodzę to dziecko? Czy widziałaś mnie z dzieckiem Artura przy piersi? Co by jej ksiądz powiedział na takie konszachty z czarami?*

Igriana poklepała jej dłoń.

– Żałuję, że nie mogę powiedzieć ci więcej, ale Wzrok przychodzi i odchodzi, kiedy chce. Bóg da, że wszystko dobrze się skończy, moja droga. Być może nie mogę zobaczyć więcej, bo kiedy twoje dziecko się narodzi, mnie już tu nie będzie, by je zobaczyć. Nie, nie, dziecinko, nie płacz – prosiła. – Jestem gotowa odejść z tego świata, odkąd ujrzałam ślub Artura. Chciałabym zobaczyć twego syna, chciałabym trzymać w ramionach dziecko Morgiany, gdyby je kiedyś miała, lecz Uther odszedł, a moje dzieci mają się dobrze. Być może Uther czeka na mnie poza śmiercią, a także moje dzieci, które utraciłam w połogach. A jeśli tak nie jest... – wzruszyła ramionami – to nigdy się tego nie dowiem...

Igriana zamknęła oczy, a Gwenifer pomyślała: *zmęczyłam ją.*

Siedziała cicho, aż chora usnęła, potem wstała i poszła do ogrodu.

Czuła się zupełnie odrętwiała; naprawdę nie przyszło jej do głowy, że może być w ciąży. Jeśli w ogóle cokolwiek myślała, to raczej, że trudy podróży przesunęły jej krwawienia... Przez pierwsze trzy lata małżeństwa za każdym razem, gdy krwawienia się opóźniały, myślała, że jest przy nadziei. Potem, tamtego roku, kiedy Artur najpierw przez długi czas był na wyprawie zakończonej bitwą pod Lasem Celidon, potem był ranny i zbyt słaby, by się do

niej zbliżyć, krwawienia też się opóźniały. W końcu Gwenifer zrozumiała, że jej miesięczne przypadłości przychodzą nieregularnie – nie było sposobu, by przewidzieć ich nadejście według księżyca, bo czasem dwa lub trzy miesiące mogły minąć zupełnie bez śladu.

Teraz jednak, kiedy Igriana jej to powiedziała, Gwenifer zastanawiała się, czemu sama o tym wcześniej nie pomyślała; nie przyszło jej nawet na myśl, by wątpić w słowa starej Królowej. Coś w głowie Gwenifer mówiło: *Czary*, a cichutki głosik napominał ją: *Wszystkie te sprawy pochodzą od Diabła i nie powinny się zdarzyć w tym domostwie świętych kobiet. Ale inny głos mówił: Jakże to może być złe, że mi powiedziała?* To było prawie tak, myślała, jak wtedy, kiedy anioł został przysłany do dziewicy Maryi, by oznajmić jej, że urodzi syna... przez chwilę Gwenifer przeraziła się swej własnej śmiałości, a potem zaczęła cichutko chichotać na samą myśl o porównaniu starej, umierającej Igriany z aniołem.

W tym momencie rozległ się dzwon nawołujący do modlitwy i Gwenifer, chociaż była tu tylko gościem i nie miała takich obowiązków, udała się do kaplicy i uklękła na swoim zwykłym miejscu przeznaczonym dla gości. Niewiele jednak słyszała z nabożeństwa, gdyż całym sercem i duszą zagłębiła się w najgorliwszej w swym życiu modlitwie.

*Nadeszła odpowiedź na wszystkie moje modlitwy! O dzięki ci, Panie i Chrystusie, i nasza Błogosławiona Panienko!*

*Artur się mylił.* To nie była jego wina. Nie było potrzeby... raz jeszcze ogarnął ją ten sam paralizujący wstyd, który poczuła, kiedy jej to wtedy powiedział, kiedy dał jej zgodę, by go zdradziła... *i jakąż byłam wtedy złą kobietą, że nawet mogłam coś podobnego rozważyć...* A teraz mimo jej całego zepsucia Bóg nagroził ją, choć na to nie zasłużyła. Gwenifer podniosła głowę i zaczęła śpiewać wraz z innymi *Magnificat* tak donośnie, że aż przeorysza rzuciła jej ostre spojrzenie.

*Nie wiedzą, czemu jestem taka wdzięczna... nie wiedzą, za jak wiele powinnam dziękować...*

*Nie wiedzą także, jaka jestem zepsuta. Bo nawet tu, w tym świętym miejscu, myślałam o tym, którego kocham...*

I nagle, mimo całej swej radości, poczuła jakby ostry ból: *teraz on zobaczy mnie grubą z dzieckiem Artura i pomyśli, że jestem brzydka i wstrętna, i już nigdy na mnie nie spojrzy z miłością i tęsknotą.* Nawet poprzez radość wypełniającą jej serce, poczuła się mała, skulona i smutna.

*Artur dał mi pozwolenie i mogliśmy mieć siebie, przynajmniej raz, a teraz już nigdy... nigdy... nigdy...*

Zakryła twarz dłońmi i zaczęła cicho płakać. Nie obchodziło jej już nawet, że przeorysza na nią patrzy.

Tej nocy oddech Igriany stał się tak ciężki, że nie mogła nawet położyć głowy, by odpocząć. Musiała siedzieć wyprostowana, oparta o wiele poduszek, żeby w ogóle móc

oddychać, a i tak bez końca kasłała i dusiła się. Przeorysza dała jej jakiś lek, który miał ulżyć płucom, ale Igriana powiedziała, że tylko ją od niego mdli i nie może go więcej brać.

Gwenifer czuwała przy niej, od czasu do czasu zapadając w drzemkę, lecz budziła się, kiedy tylko chora się poruszała. Podawała jej wodę albo poprawiała poduszki pod plecami, żeby jej trochę ulżyć. W komnacie paliła się tylko mała lampka, ale księżyc świecił jasno, a noc była taka ciepła, że zostawiono otwarte drzwi, które wychodziły na ogród. Bezustannie słyhać więc było miarowy pomruk morza, które daleko za ogrodem uderzało falami w przybrzeżne skały.

– Dziwne – powiedziała z trudem Igriana dobiegającym jakby z oddali głosem – nigdy bym nie przypuszczała, że właśnie tu przybędę, by umrzeć... Wciąż jeszcze pamiętam, jaka opuszczona się czułam, jaka samotna, kiedy po raz pierwszy przyjechałam do Tintagel, jakbym przybyła na sam koniec świata. Avalon był taki jasny, taki piękny, pełen kwiatów...

– Tutaj też są kwiaty – powiedziała Gwenifer.

– Ale nie takie, jak kwiaty w moim domu. Tutaj jest tak nago, skaliście. Czy byłaś kiedyś na Wyspie, dziecko?

– Byłam w szkole w klasztorze Ynis Witrin, pani.

– Pięknie jest na Wyspie. A kiedy jechałam tutaj przez wrzosowiska, wszystko było takie wysokie, opuszczone, że aż się bałam...

Igriana wykonała lekki ruch w kierunku Gwenifer. Kiedy Gwenifer ujęła jej dłoń, zaniepokoił ją jej chłód.

– Jesteś dobrym dzieckiem – powiedziała Igriana – że przybyłaś tak daleko, kiedy moje własne dzieci nie mogły. Pamiętam, że nie znosisz podróży, a teraz przyjechałaś tak daleko, choć jesteś w ciąży.

Gwenifer rozcierała jej lodowate dłonie w swoich.

– Nie męcz się mówieniem, matko.

Igriana wydała cichy dźwięk, przypominający śmiech, ale brzmiał bardziej jak poświst.

– Czy myślisz, że to teraz ma jakieś znaczenie, Gwenifer? Skrzywdziłam cię... tego samego dnia, kiedy miał się odbyć twój ślub, poszłam do Taliesina i spytałam go, czy był jakiś honorowy sposób dla Artura, by odwołać to małżeństwo.

– Ja... nie wiedziałam. Dlaczego?

Wydało jej się, że Igriana waha się z odpowiedzią, ale nie była pewna, może chora tylko znowu walczyła, by złapać oddech.

– Nie wiem... może dlatego, iż myślałam, że nie będziesz szczęśliwa z moim synem. – Znowu zaniósł się tak ciężkim kaszlem, że wydawało się, iż nigdy już nie złapie tchu.

Kiedy trochę się uspokoiła, Gwenifer powiedziała:

– Teraz już nie wolno ci więcej mówić, matko. Czy chcesz, bym zawołała księdza?

– Do diabła ze wszystkimi księżmi – odparła Igriana wyraźnie. – Nie chcę żadnego z nich koło siebie! Och, nie bądź taka zaskoczona, dziecko! – Przez chwilę leżała bez słowa. –

Myślałaś, że jestem taka pobożna, bo pod koniec życia schroniłam się w klasztorze? A gdzie indziej miałam pójść? Viviana przyjęłaby mnie w Avalonie, ale nie mogłam jej zapomnieć, że to ona wydała mnie za Gorloisa... Za murami tego ogrodu leży Tintagel, jak więzienie... i zaiste było to dla mnie więzienie. Jednak to jedyne miejsce, które mogę nazywać moim własnym. I czułam, że zasłużyłam sobie na nie tym, co tam przeżyłam...

Kolejna długa, cicha walka o oddech. W końcu powiedziała:

– Żałuję, że Morgiana do mnie nie przyjechała... ona ma Wzrok, powinna była wiedzieć, że umieram...

Gwenifer zauważyła, że w oczach Igriany stoją łzy. Masując jej lodowate dłonie, które teraz były całkiem sztywne, odezwała się łagodnie:

– Jestem pewna, że gdyby wiedziała, to na pewno by przyjechała, matko.

– A ja nie jestem tego taka pewna... odesłałam ją od siebie w ręce Viviany. Chociaż doskonale wiedziałam, jaka Viviana potrafi być bezwzględna, wiedziałam, że dla dobra tej ziemi i dla swej własnej miłości do władzy może posłużyć się Morgianą tak bezwzględnie, jak posłużyła się mną... – Głos Igriany przeszedł w szept: – Odesłałam ją od siebie, bo czułam, że jeśli już skazana jest na zło, to lepiej, by była w Avalonie w rękach Bogini, niż wpadła w ręce czarnych księży, którzy nauczają myśleć, że jest zła, ponieważ jest kobietą.

Gwenifer była głęboko wstrząśnięta. Wciąż rozgrzewała lodowate dłonie między swymi i umieściła gorące cegły przy stopach Igriany; ale te stopy także były zimne jak lód, a kiedy je rozcierała, Igriana powiedziała, że ich nie czuje.

Gwenifer pomyślała, że powinna spróbować jeszcze raz.

– Ale teraz, gdy zbliża się twój koniec, czy nie chcesz porozmawiać z jednym z księży Chrystusa, droga matko?

– Powiedziałam ci, że nie – odparła Igriana – albo po tych wszystkich latach, kiedy musiałam siedzieć cicho, by mieć spokój, w swym domu, w końcu im powiem otwarcie, co naprawdę o nich myślę... kochałam Morgianę tak, że wysłałam ją do Viviany, żeby choć ona mogła przed nimi uciec... – Znow zaczęła się dusić. – Artur – powiedziała w końcu – on nigdy nie był moim synem... był synem Uthera, tylko nadzieją na następcę, niczym więcej. Bardzo kochałam Uthera i rodziłam mu synów, bo tak wiele dla niego znaczyło, by mieć syna, który po nim odziedziczy... Naszego drugiego syna, tego, który umarł zaraz po odcięciu pępownicy, myślę, że jego mogłabym pokochać tylko dla siebie, jak kochałam Morgianę... Powiedz mi, Gwenifer, czy mój syn wyrzuca ci, że jeszcze nie dałaś mu potomka?

Gwenifer spuściła głowę, czując, jak oczy pieką ją od łez.

– Nie, nie, on jest taki dobry... ani razu mi tego nie wypomniał. Powiedział mi kiedyś, że on ani razu nie uczynił ciążną żadnej kobiety, choć znał ich wiele, tak więc być może wina nie jest moja.

– Jeśli on kocha cię dla ciebie samej, to jest bezcennym klejnotem między mężczyznami – powiedziała Igriana. – Tym lepiej, że teraz możesz go uszczęśliwić... Morgianę kochałam

tak bardzo dlatego, że była wszystkim, co mogłam kochać. Byłam młoda i udręczona... nie wyobrażasz sobie, jaka byłam nieszczęśliwa tej zimy, kiedy ją urodziłam, samotna, z daleka od domu, i nawet jeszcze niedorośła. Bałam się, że wyrośnie z niej jakiś potwór, przez tę ogromną nienawiść, którą czułam cały czas, kiedy byłam z nią w ciąży, ale była najcudniejszą dziewczynką, poważną, mądrą, jak czarodziejskie dziecko. Tylko ją i Uthera kochałam w życiu... gdzie ona jest, Gwenifer? Gdzie ona jest, że nie przybyła do swej umierającej matki?

Gwenifer powtórzyła ze współczuciem:

– Bez wątpienia nie wie, że jesteś chora...

– A Wzrok!? – krzyknęła Igriana, poruszając się niespokojnie na poduszkach. – Gdzie ona może być, że nie widzi, iż umieram? Ach, widziałam, że jest głęboko strapiona, jeszcze na koronacji Artura, a jednak nic nie powiedziałam. Nie chciałam wiedzieć... czułam, że mam dosyć własnego zmartwienia i nie odezwałam się, kiedy ona mnie potrzebowała... Gwenifer, powiedz mi prawdę! Czy Morgiana urodziła gdzieś dziecko, samotnie i daleko od wszystkich, których kocha? Czy ci o tym mówiła? Czy aż tak mnie nienawidzi, że nie przyjechała do mnie, nawet kiedy umieram, tylko dlatego, że nie wypowiedziałam na głos wszystkich mych obaw na koronacji Artura? O Bogini... wyrzekłam się Wzroku, by mieć spokój w swoim domu, bo Uther był wyznawcą Chrystusa... wskaż mi, gdzie jest moje dziecko, moja córeczka...

Gwenifer przytrzymała ją w uścisku.

– Musisz leżeć spokojnie, matko... stanie się, jak Bóg zechce... Tutaj nie wolno ci wzywać Bogini ani demonów...

Igriana usiadła nagle wyprostowana. Mimo jej schorowanej, opuchniętej twarzy, zsiniałych warg, spojrzała na młodą kobietę w taki sposób, że Gwenifer nagle przypomniała sobie: *Ona także jest Najwyższą Królową tej ziemi.*

– Nie wiesz nawet, co mówisz – powiedziała Igriana z dumą, litością i pogardą. – Bogini jest ponad wszystkimi innymi Bogami. Religie przychodzą i odchodzą, jak się o tym przekonali Rzymianie i bez wątpienia przekonają się o tym także chrześcijanie, ale Ona jest ponad nimi wszystkimi.

Pozwoliła Gwenifer położyć się na poduszkach i jęknęła:

– Żeby tak ogrzały mi się stopy... tak, wiem, że położyłaś tam gorące cegły, ale ich nie czuję. Kiedyś czytałam w starej księdze, którą dał mi Taliesin, o pewnym uczonym, którego zmuszono, by wypić cykutę. Taliesin mówi, że ludzie zawsze zabijali mędrców. Tak jak ludzie z dalekiego południa powiesili Chrystusa na krzyżu, i ten mądry i święty człowiek też był zmuszony do wypicia cykuty, bo rabini i królowie twierdzili, że nauczał fałszywej doktryny. A kiedy umierał, powiedział, że czuje, jak zimno ogarnia jego ciało od stóp, no i umarł... ja nie piłam cykuty, ale tak jakbym wypła... a teraz zimno dosięga już mego serca...

– Zadrżała i zamilkła.

Przez chwilę Gwenifer pomyślała, że przestała oddychać. Ale nie, serce wciąż słabiutko biło. Igriana jednak już nie przemówiła, leżała tylko, ciężko dysząc, a na krótko przed świtem urywany oddech zatrzymał się zupełnie.

## 11

Igriana została pochowana w południe, po smutnym nabożeństwie żałobnym.

Gwenifer stała nad grobem, po jej policzkach spływały łzy, kiedy owinięte całunem ciało opuszczano do grobu. Nie mogła jednak należycie opłakiwać swej teściowej. *Jej życie tutaj było jednym wielkim kłamstwem, nie była prawdziwą chrześcijanką.* Jeśli prawdą było to, w co wierzyli chrześcijanie, to już w tej chwili Igriana smażyła się w ogniu piekielnym. I tego Gwenifer nie mogła znieść, kiedy myślała o tym, jaka Igriana była dla niej dobra.

Oczy ją piekły od łez i niewyspania. Niskie niebo wtórowało ponuremu nastrojowi: pełne ciężkich chmur, jakby za chwilę spaść miał deszcz. Tutaj, w klasztornych murach, była bezpieczna, lecz wkrótce będzie musiała opuścić to spokojne miejsce i jechać całe dni przez otwarte wrzosowiska, pod tym czyhającym wszędzie groźnym niebem, wiszącym jak zmora nad nią i nad jej dzieckiem...

Gwenifer zadrżała i położyła ręce na brzuchu, jakby tym gestem chciała ochronić małego lokatora przed groźbą tego nieba.

*Dlaczego zawsze tak się boję? Igriana była poganką, zaprzedaną pokusom diabła, ale ja jestem bezpieczna, ja proszę Chrystusa o zbawienie. Czegóż można się bać pod niebem Pana? A jednak pełna była tego samego bezpodstawnego lęku, który tak często ją ogarniał. Nie wolno mi się bać. Jestem Najwyższą Królową całej Brytanii; jedyna, która poza mną miała prawo do tego tytułu, śpi tutaj, przykryta ziemią... Najwyższa Królowa, nosząca dziecko Artura. Dlaczego miałabym się bać czegokolwiek na tym Bożym świecie?*

Zakonnice skończyły swój psalm i odeszły od grobu. Gwenifer znów zadrżała i szczerzej otuliła się płaszczem. Teraz musi o siebie bardzo dbać: dobrze jeść, wiele odpoczywać, upewnić się, że nic złego się nie przydarzy, jak poprzednio. Potajemnie policzyła na palcach. Jeśli to się stało tego ostatniego razu, zanim wyjechała... ale nie, jej krwawienia nie pojawiały się już od ponad dziesięciu niedziel, nie była jednak zupełnie pewna. Mimo to jej syn narodził się prawdopodobnie gdzieś około Wielkiejnocy. Tak, to był dobry czas; pamiętała, że kiedy jej dworka Meleas rodziła swojego syna, był sam środek zimy, a na dworze wył taki wiatr, jakby wszyscy diabli czekali, by porwać duszę noworodka, i Meleas nalegała, żeby ksiądz przyszedł aż do komnaty kobiet i ochrzcił jej dziecko, niemal zanim jeszcze wydało pierwszy krzyk. Nie, Gwenifer była zadowolona, że nie będzie rodzić w zimowych ciemnościach. Jednak by tylko mieć to wytęsknione od dawna dziecko, zgodziłaby się na połów nawet w samą noc wigilijną!



Rozległ się dzwon, do Gwenifer podeszła przeorysza. Nie skłoniła się przed nią – powiedziano Gwenifer, że ziemską władzę nie ma tutaj znaczenia, jednak ona była mimo wszystko Najwyższą Królową, więc przeorysza pochyliła głowę bardzo uprzejmie i powiedziała:

– Czy zostaniesz jeszcze z nami, pani? Będziemy głęboko zaszczycone, goszcząc cię tak długo, jak tylko masz życzenie.

*Och! Gdybym tylko mogła zostać! Tutaj jest tak spokojnie...*

– Nie mogę. Muszę wracać do Caerleon – powiedziała Gwenifer z widocznym żalem.

*Nie powinnam odkładać przekazania Arturowi dobrej nowiny – nowiny o jego synu...*

– Najwyższy Król musi się dowiedzieć o... o śmierci swej matki – dokończyła. Potem wiedząc, co kobieta chce usłyszeć, dodała szybko: – Bądźcie pewne, że powiem mu, jak dobrze się nią opiekowaliście. W ostatnich dniach swego życia miała wszystko, czego tylko mogła zapragnąć.

– To była dla nas przyjemność, wszystkie kochałyśmy panią Igrianę – powiedziała stara zakonnica. – Twa eskorta, pani, zostanie powiadomiona i będzie gotowa do drogi jutro z samego rana. Oby Bóg was strzegł i zesłał dobrą pogodę.

– Jutro? Czemu nie dzisiaj? – spytała Gwenifer, lecz zaraz się zreflektowała. Nie, to byłoby niemal obraźliwe. Sama nawet nie wiedziała, że tak się spieszy, by przekazać Arturowi dobre nowiny, by zakończyć ten niemy wyrzut, iż jest jałowa. Położyła dłoń na ramieniu przeoryszy. – Musisz się teraz wiele za mnie modlić, matko, i za bezpieczeństwo syna Najwyższego Króla.

– Czy to prawda, pani? – Pomarszczona twarz zakonnicy zmarszczyła się jeszcze bardziej z zadowolenia, że została powiernicą królowej. – Będziemy się za ciebie modliły. To będzie wielka radość dla naszych sióstr, kiedy się dowiedzą, że są pierwszymi, które się modlą za naszego nowego księcia.

– Poczynię dary dla waszego klasztoru...

– Darów Boskich i modlitwy nie można kupić za złoto – odparła przeorysza skromnie, ale minę miała bardzo zadowoloną.

W komnacie sąsiadującej z komnatą Igriany, gdzie Gwenifer mieszkała w czasie swego pobytu, krzątała się jej służąca. Pakowała szaty i rzeczy do podróżnych juków. Kiedy Gwenifer weszła, spojrzała na nią i zaczęła gderać:

– To nie przystoi powadze Najwyższej Królowej, pani, podróżować tylko z jedną służącą! Tyle to może mieć żona byle jakiego rycerza! Powinnaś sobie wziąć jeszcze jedną służącą z tutejszej wioski i jakąś damę do towarzystwa!

– Poproś więc jedną z sióstr nowicjatek, by ci pomogła – powiedziała Gwenifer – ale im mniej nas będzie, tym szybciej będziemy mogli jechać.

– Słyszałam na dziedzińcu, że na południowych wybrzeżach lądują Saksoni – gderwała dalej służąca. – Wkrótce w tym kraju już w ogóle nie będzie można nigdzie bezpiecznie podróżować!

– Nie bądź głupia – odparła Gwenifer. – Saksoni na południowym wybrzeżu są związani paktem, że zachowają pokój na ziemiach Najwyższego Króla. Wiedzą, co potrafią legiony Artura, przekonali się o tym pod Lasem Celidonu. Myślisz, że chcą zostać mięsem dla kruków? W każdym razie my już niedługo będziemy z powrotem w Caerleon, a pod koniec lata przenosimy dwór do Kamelotu w Krainę Lata. Rzymianie bronili się w tym forcie przed barbarzyńcami. Nigdy go nie zdobyto. Już teraz sir Kaj tam jest i buduje wielką salę, która pomieści okrągły stół, tak by wszyscy królowie i rycerze mogli razem przy nim zasiadać.

Tak jak się spodziewała, odwróciła uwagę służącej.

– To niedaleko twego rodzinnego domu, prawda, pani?

– Tak, ze szczytu Kamelotu można dojrzeć przez wodę królestwo mego ojca. Nawet raz w dzieciństwie zaszłam do Kamelotu – powiedziała Gwenifer, przypominając sobie, że kiedy była małą dziewczynką, zanim jeszcze poszła do szkoły w klasztorze Ynis Witrin, zabrano ją na spacer aż do ruin starego rzymskiego fortu.

Niewiele tam zostało, poza murami, a ksiądz nie omieszkiał uczynić z tego lekcji o tym, jak to ulotne są dni ziemskiej wielkości...

Tej nocy śniło jej się, że stoi wysoko na szczycie Kamelotu; ale nadpłynęły gęste mgły od wybrzeża, tak że szczyt wydawał się wyspą pływającą w morzu chmur. Poprzez mgły widziała szczyt Toru na Ynis Witrin, ukoronowany kamiennym kręgiem, choć przecież dobrze wiedziała, że te kamienie zostały obalone przez księży już ponad sto lat temu. I jakimś dziwnym sposobem wydało jej się, że widzi stojącą na szczycie Toru Morgianę, która śmieje się z niej i szydzi, a na głowie ma wieniec z białych kwiatów łożyny. A potem Morgiana stała obok niej w Kamelocie i obie patrzyły na Krainę Lata, tak daleko, aż do Wyspy Księży, widziały w dole jej dawny dom, gdzie królował jej ojciec, Leodegranz, i Wyspę Smoka tonącą we mgle.

A Morgiana była odziana w dziwne szaty i wysoką podwójną koronę i stała tak, że Gwenifer nie do końca mogła ją widzieć, tylko wiedziała, że ona tam jest. Powiedziała: *Jestem Morgiana Czarodziejka i dam ci całe to królestwo jako Najwyższej Królowej, jeśli padniesz na ziemię i oddasz mi cześć.*

Gwenifer obudziła się nagle, w uszach wciąż miała szyderczy śmiech Morgiany.

Pokój był pusty, słychać było jedynie pochrapywanie służącej, która spała na macie, na podłodze. Gwenifer zrobiła znak krzyża i położyła się z powrotem spać. Ale przed samym zaśnięciem wydało jej się, że patrzy w czystą wodę jeziora, oświetloną światłem księżycy, lecz zamiast jej własnej twarzy woda odbija jakby bardzo odległą, bladą twarz Morgiany, która ma na głowie wianek z białych kwiatów łożyny, jak jedna z tych kukiełek na żniwa,

które czasem jeszcze robią wieśniacy. I znów Gwenifer musiała usiąść i przeżegnać się znakiem krzyża, zanim mogła ułożyć się do snu.

Wydało jej się, że obudzono ją o wiele za wcześnie, ale sama przecież nalegała, by wyruszyli o pierwszym brzasku. Kiedy ubierała się przy świetle lampki, słyszała padające na dworze ciężkie krople deszczu. Jednak gdyby w tym klimacie zostali z powodu ulewy, mogliby nie wyruszyć przez następny rok. Czuła mdłości i zawroty głowy, ale teraz już wiedziała, że jest po temu powód, i po kryjomu poklepała swój wciąż jeszcze płaski brzuch, jakby się chciała upewnić, że to prawda. Nie miała ochoty jeść, ale posłusznie przełknęła trochę chleba i zimnego mięsa. Miała przed sobą długą drogę. I chociaż nie miała ochoty na jazdę w deszczu, to przynajmniej było prawdopodobne, że przy tej pogodzie Saksoni czy rozbójnicy też będą woleli zostać w domach.

Zawiazywała kaptur swego najcieplejszego płaszcza, kiedy weszła przeorysza. Po chwili formalnych podziękowań za bogate dary, które Gwenifer poczyniła dla klasztoru w imieniu swoim i w imieniu Igriany, przeorysza przeszła do faktycznego powodu tej pożegnalnej wizyty.

– Kto teraz rządzi Kornwalia, pani?

– Cóż... nie jestem pewna – odparła Gwenifer, próbując sobie przypomnieć. – Wiem, że Najwyższy Król oddał Tintagel pani Igrianie, kiedy się ożenił, by miała jakieś własne włości, i przypuszczam, że po niej należy on teraz do pani Morgiany, córki Igriany z diukiem Gorloisem. Nawet nie wiem, kto tam teraz jest kasztelanem.

– Ani ja – powiedziała przeorysza. – Jakiś rycerz czy zaufany sługa pani Igriany, bez wątplenia. To dlatego przyszedłem z tobą porozmawiać, pani... zamek w Tintagel to cenny łup i powinien być zamieszkały, bo inaczej na tych ziemiach też rozpęta się wojna. Jeśli pani Morgiana jest zamężna i przybędzie tu mieszkać, to, jak myślę byłoby dobrze. Nie znam jej, ale skoro to córka Igriany, przypuszczam, że z pewnością jest dobrą kobietą i dobrą chrześcijanką.

*To źle przypuszczasz*, pomyślała Gwenifer, i znów wydało jej się jakby słyszała ten szyderczy śmiech ze swego snu. Nie chciała jednak źle mówić o krewnej Artura do obcej osoby.

– Przekaż mą wiadomość Królowi Arturowi, pani – powiedziała zakonnica – że ktoś winien przybyć i zamieszkać w Tintagel. Słyszałam znowu o plotce, którą powtarzano, kiedy zmarł Gorlois, że jakoby miał syna bękarta i jakichś innych krewnych, którzy mogą teraz próbować na nowo zdobyć te ziemie. Kiedy Igriana tu mieszkała, wszyscy wiedzieli, że ziemie są pod panowaniem Artura, ale teraz byłoby dobrze, gdyby Najwyższy Król przysłał tu jednego ze swych najlepszych rycerzy, może poślubionego pani Morgianie.

– Powiem Arturowi – przyrzekła Gwenifer i kiedy już wyruszyli, dalej się nad tym zastanawiała.

Niewiele się znała na sprawach państwowych, ale pamiętała, że zanim na tronie zasiadł Uther, w kraju panował chaos, tak samo kiedy Uther umarł i myślnano, że nie zostawił potomka; wyobrażała sobie, że coś takiego może się teraz zdarzyć w Kornwalii, gdyby nie było tu nikogo, kto by rządził i pilnował prawa. Morgiana jest teraz królową Kornwalii i powinna przybyć, by nią rządzić. A potem Gwenifer przypomniała sobie, jak Artur powiedział kiedyś, że jego najdroższy przyjaciel winien poślubić jego siostrę. Ponieważ Lancelot nie był bogaty i nie miał własnych ziem, byłoby słuszne, gdyby razem z Morgianą objęli panowanie w Kornwalii.

*A teraz, gdy ja mam urodzić Arturowi syna, najlepiej by było odesłać Lancelota daleko od dworu, żebym już nigdy nie mogła widzieć jego twarzy i myśleć o nim takich rzeczy, jakich nie powinna myśleć żadna zamężna kobieta i dobra chrześcijanka.* Jednak nie mogła znieść myśli o Lancelocie ożenionym z Morgianą. Czy na tym złym świecie była kiedykolwiek kobieta tak zła, jak ona, Gwenifer?

Jechała z twarzą schowaną w kapturze płaszcza. Nie słuchała rozmów rycerzy, którzy byli jej eskortą, ale po jakimś czasie zorientowała się, że przejeżdżają przez spaloną wioskę. Jeden z rycerzy poprosił ją o pozwolenie, by zatrzymali się na chwilę, i poszedł sprawdzić, czy ktoś w wiosce nie przeżył. Powrócił ze strapioną miną.

– Saksoni – powiedział do pozostałych i szybko zamilkł, kiedy zobaczył, że królowa to słyszy.

– Nie bój się, pani, już odjechali, ale musimy jechać tak szybko, jak tylko możemy, i powiadomić o tym Artura. Jeśli znajdziemy ci szybszego konia, czy utrzymasz większe tempo?

Gwenifer poczuła, jak strach zaciska jej gardło. Wyjechali właśnie z jednej z głębokich dolin i to przepelnione groźbą niebo zamykało się nad nimi wielkim łukiem – czuła się tak, jak małe zwierzątko musi się czuć w trawie, gdy nakryje je cień wielkiego jastrzębia. Kiedy się odezwała, głos miała cieniutki i drżący, jak mała dziewczynka:

– Nie mogę teraz jechać szybciej. Noszę dziecko Najwyższego Króla i nie śmiem go narażać na niebezpieczeństwo.

Wydało jej się, że rycerz – a był to Griflet, mąż Meleas, jej własnej dworki – zmełł w ustach przekleństwo i zacisnął szczękę.

W końcu odezwał się, próbując ukryć zniecierpliwienie:

– W takim razie, pani, powinniśmy cię odwieźć do Tintagel albo do innego wielkiego domu w tych stronach, albo z powrotem do klasztoru, byśmy sami mogli ruszyć galopem i dotrzeć do Caerleon przed jutrzejszym świtem. Jeśli jesteś brzemienna, z pewnością nie możesz podróżować nocą! Czy pozwolisz, by jeden z nas odwiózł ciebie i twą kobietę z powrotem do Tintagel albo do klasztoru?

*Bardzo bym chciała znów być bezpieczna za murami, jeśli na tej ziemi są Saksoni... ale nie wolno mi być takim tchórzem. Artur musi się dowiedzieć o swym synu.*

– A czy jeden z was nie może pojechać szybciej w kierunku Caerleon, a reszta podróżować w moim tempie? – spytała z uporem.

– Albo czy nie można wynająć gońca, by szybko zaniósł wiadomość?

Griflet wyglądał, jakby znów miał ochotę zakląć.

– W tej chwili na tej ziemi nie mógłbym zaufać żadnemu wynajętemu gońcowi, pani, a w eskorcie jest nas niewielu nawet jak na spokojne czasy, zaledwie starczy, by cię ochronić. Cóż, musi być tak, jak jest, bez wątplenia ludzie Artura już dostali wieści.

Odwrócił się, zaciskając szczęki, i był taki zły, że Gwenifer chciała go przywołać i zgodzić się na wszystko, co mówił. Upomniała się jednak zdecydowanie, by nie być takim tchórzem. Teraz, kiedy nosi królewskiego potomka, musi się zachowywać jak królowa i odważnie jechać dalej.

*A gdybym tak wróciła do Tintagel, a na te ziemie by przyszli Saksoni, to musiałabym tam pozostać aż do końca wojny i do nastania całkowitego spokoju, a to mogłoby długo trwać... a gdyby Artur nawet nie wiedział, że jestem przy nadziei, mógłby być rad z tego, że siedzę tam nawet i całe wieki. Dlaczegoż miałby chcieć sprowadzać bezpłodną królową na swój nowy dwór w Kamelocie? Jak nic posłuchałby rady tego starego Druida, który mnie nienawidzi, Taliesina, który jest jego dziadkiem, i zamiast mnie wzięłby sobie jakąś kobietę, która co dziesięć miesięcy rodziłaby mu zdrowego brzdąca...*

*Ale kiedy Artur się dowie, wszystko będzie dobrze...*

Lodowaty wiatr owiewał rozległe wzgórza i przenikał ją aż do szpiku kości. Po jakimś czasie poprosiła, żeby znów się zatrzymali i rozstawili jej lektykę, by mogła jechać w środku, bo... jazda wierzchem zbyt nią trzęsie. Griflet był wściekły i przez chwilę myślała, że zapomni o swych manierach i zaklnie, ale posłusznie wydał rozkazy, a ona z wdzięcznością skuliła się w swojej lektyce, zadowolona z wolnego tempa i zasuniętych kotar, które teraz oddzielały ją od tego przerażającego nieba.

Przed zmierzchem deszcz na chwilę ustał i wyszło słońce, wisiało nisko nad tymi upiornymi wzgórzami.

– Tu ustawimy namioty – powiedział Griflet. – Ze wzgórz przynajmniej będziemy mogli widzieć na dużą odległość. Jutro dojedziemy do starej rzymskiej drogi i wtedy będziemy mogli jechać szybciej...

Potem ściszył głos i powiedział coś do innych rycerzy, czego Gwenifer nie mogła usłyszeć, ale skurczyła się, wiedząc, że był zły na wolne tempo, w jakim musieli podróżować. Jednak przecież każdy wiedział, że brzemienna kobieta może łatwiej poronić, jeśli jedzie na szybkim koniu, a ona już dwukrotnie poroniła... czy oni chcieli, by i tym razem straciła Arturowego syna?

Spała źle w namiocie, na twardej ziemi, jej płaszcz i koce były całkiem wilgotne, a ciało bolało ją od konnej jazdy. Ale po jakimś czasie zasnęła, pomimo ulewnego deszczu, który przeciekał do namiotu.

Obudził ją odgłos jeźdźców i krzyk: to był głos Grifleta, ostry i zachrypnięty.

– Kto jedzie? Stać!

– To ty, Griflet? Poznaję twój głos – odpowiedział mu krzyk z ciemności. – To ja, Gawain, szukam was. Czy jest z wami królowa?

Gwenifer owinęła się płaszczem i wyszła z namiotu.

– To ty, kuzynie? Co tu robisz?

– Miałem nadzieję, że zastanę was jeszcze w klasztorze – powiedział po chwili Gawain, zsiadając z konia. Za nim w ciemności pojawiły się inne postacie, czterech czy pięciu ludzi Artura, choć Gwenifer nie mogła rozróżnić ich twarzy. – Skoro jesteś tutaj, pani, mniemam, że królowa Igriana odeszła z tego świata...

– Umarła przedwczoraj w nocy – powiedziała Gwenifer, a Gawain westchnął.

– Cóż, wola Boża – odparł – lecz te ziemie są pod bronią, pani. Skoro już tu jesteś i tak daleko w drodze, to myślę, że powinnaś jechać dalej do Caerleon. Gdybyś była wciąż jeszcze w klasztorze, to miałem rozkazy odwiedzić ciebie i te zakonnice, które chciały się schronić, do zamku Tintagel i prosić cię, byś tam pozostała, aż nie zapanuje pokój.

– Teraz zaś możesz sobie oszczędzić podróży – powiedziała Gwenifer zirytowana, ale Gawain potrząsnął głową.

– Skoro moja wiadomość jest spóźniona, a jak myślę, siostry i tak wolą schronić się w klasztorze, to muszę jechać prosto do Tintagel z wieścią, by wszyscy zaprzysięgli Arturowi zbrojni natychmiast do niego przybyli. Saksoni zbierają się na wybrzeżu, a jest ich więcej niż sto statków, takie sygnały świetlne zostały wysłane z morskich latarni. Cały legion Caerleon, wszyscy mężczyźni się zbierają.

Kiedy wiadomość dotarła do Lothianu, natychmiast przybyłem, by dołączyć do Artura, a on wysłał mnie do Tintagel, bym przekazał wieści dalej – przerwał, by nabrać tchu. – Nawet sam Merlin nie jest lepszym posłańcem niż ja w tych dniach.

– Mówiłem królowej, że powinna zostać w Tintagel, ale teraz jest już za późno, by tam wracać! A przy wojskach gromadzących się na drogach... – wtrącił Griflet. – Gawain, a może ty powinienesz odprowadzić królową z powrotem do Tintagel?

– Nie – powiedziała Gwenifer wyraźnie. – Muszę jechać dalej, nie boję się.

*Jeśli szykuje się wojna, to Artur tym bardziej będzie wdzięczny za dobrą nowinę, którą ona mu przyniesie.*

Gawain i tak potrząsnął niecierpliwie głową na propozycję Grifleta.

– Nie mogę się opóźniać, jadąc z kobietami, chyba żeby to była sama Pani Jeziora, która potrafi galopować cały dzień na najszybszym koniu! A z ciebie, pani, kiepski jeździec, nie, nie wymawiam ci tego, nikt nie oczekuje, byś jeździła jak rycerz, ale ja nie mogę zwlekać...

– A do tego królowa jest brzemienna i musi jechać najwolniej, jak tylko można – powiedział mu Griflet z równą niecierpliwością.

– Gawain, czy nie możesz zostawić tu swoich najwolniejszych jeźdźców, by eskortowali królową, a ja pojedę z tobą do Tintagel?

Gawain się uśmiechnął.

– Nie wątpię, że chciałbyś być w samym sercu akcji, Griflecie, ale tobie powierzono właśnie to zadanie i nikt ci go nie zazdrości – powiedział. – Czy znalazłby się dla mnie kubek wina i kawałek chleba? Będę jechał całą noc, żeby dotrzeć do Tintagel o świcie. Mam wieści dla Markusa, który jest wojennym diukiem Kornwalii i ma zebrać swoich rycerzy. To może być ta wielka bitwa, którą przepowiedział Taliesin, w której albo przepadniemy, albo raz na zawsze przepędzimy Saksonów z tych ziem! Dlatego wszyscy muszą przybyć i walczyć u boku Artura.

– Teraz nawet niektóre z oddziałów Paktu dołączą do niego – powiedział Griflet. – Jedź, skoro musisz, Gawain, i niech cię Bóg prowadzi. – Rycerze uściśli się. – Spotkamy się znów, kiedy Bóg pozwoli, przyjacielu.

Gawain skłonił się Gwenifer. Wyciągnęła do niego rękę.

– Jeszcze chwilę – powiedziała. – Czy moja krewna Morgause ma się dobrze?

– Jak zwykle, pani.

– Moja szwagierka Morgiana jest zatem bezpieczna na dworze Morgause?

Gawain spojrział na nią zdziwiony.

– Morgiana? Nie, pani, nie widziałem mej krewniaczki Morgiany od wielu lat. Z pewnością nie odwiedzała Lothianu, tak przynajmniej mówi moja matka – odparł uprzejmie mimo zniecierpliwienia. – Muszę już ruszać.

– Niech cię Bóg prowadzi – powiedziała i stała jeszcze chwilę, nasłuchując, jak koński tętent odbija się echem w ciemności.

– Zbliża się świt – stwierdziła Gwenifer. – Czy jest sens znowu się kłaść, czy może powinniśmy zwinąć obóz i ruszyć do Caerleon?

Griflet wydał się zadowolony z tej propozycji.

– Prawda, w tym deszczu i tak nikt nie pośpi, a skoro ty możesz już jechać, pani, ja będę szczęśliwy, kiedy znajdę się znów w drodze. Bóg wie, co jeszcze napotkamy, zanim dotrzemy do Caerleon.

Kiedy nad wzgórzami wzeszło słońce, jechali przez kraj jakby już gotowy do wojny. O tej porze roku rolnicy powinni być na polach, ale mimo że przejeżdżali obok kilku dużych gospodarstw, nigdzie nie było widać owiec, psy nie szczekały, dzieci nie wybiegały, by im się przyjrzeć. Nawet na starej rzymskiej drodze nie napotkali ani jednego podróżnego.

Gwenifer, drżąc, zrozumiała, że dotarli tu już wieści o nadciągającej wojnie, a ci, którzy na nią nie wyruszyli, pochowali się za zamkniętymi drzwiami, by chronić się przed armiami obu stron.

*Czy podróż w tym tempie nie jest niebezpieczna dla mojego dziecka?* Teraz jednak był to wybór między jednym a drugim złem: narażać dziecko Artura tą szybką jazdą albo przedłużyć

podróż i być może wpaść w ręce saksońskich wojsk. Stwierdziła, iż Griflet nie ma już więcej powodu do narzekań, że ona go opóźnia. Jednak kiedy jechała wierzchem, nie chcąc się schronić w swej lektyce, by znów jej nie oskarżył o zwłokę, czuła, jak strach nieubłaganie wciąż krąży nad jej głową.

Po długim dniu jazdy, tuż przed zachodem, dostrzegli wieżę strażniczą, którą jeszcze Uther wybudował w Caerleon. Na jej szczycie powiewała wielka purpurowa flaga Pendragona i kiedy przejeżdżali obok, Gwenifer się przeżegnała.

*Teraz, kiedy wszyscy chrześcijanie mają stawić czoło barbarzyńcom, czy ten symbol starej pogańskiej wiary poświęconej diabłu ma służyć temu, by pod nim zbierały się wojska chrześcijańskiego króla?*

Raz już rozmawiała o tym z Arturem, ale odpowiedział, że przysięgał swym poddanym, iż będzie nad nimi panował jako Wielki Smok, tak nad chrześcijanami, jak i nad poganami bez różnicy, i zaśmiał się, wyciągając ramiona pokryte tatuażem barbarzyńskich węży. Czuła nienawiść do tych węży-symboli, jakich nie powinien nosić żaden chrześcijanin. Artur był jednak uparty.

– Noszę je na pamiątkę koronacji, kiedy zająłem miejsce Uthera na tych ziemiach. Nie będziemy już o tym mówić, pani.

I w żaden sposób nie mogła go zmusić, by z nią o tym rozmawiał albo wysłuchał, co na ten temat ma do powiedzenia ksiądz.

– Służba Bogu to jedna sprawa, a królowanie to inna, moja Gwenifer. Chciałbym, byś wszystko ze mną dzieliła, ale nie masz życzenia dzielić władzy, więc nie będziemy o tym rozmawiać. A jeśli chodzi o księży, to nie ich sprawa. Powtarzam ci, poniechaj tego.

Powiedział to zdecydowanym głosem, choć nie był zły, jednak ona posłusznie spuściła głowę i zamilkła. Jednakże teraz, kiedy przejeżdżała pod flagą Pendragona, zadrżała. *Jeśli nasz syn ma rządzić chrześcijańskim krajem, to czy wypada, by nad zamkiem jego ojca powiewał sztandar Druidów?*

Jechali powoli między obozowiskami wypełniającymi równinę pod Caerleon. Niektórzy rycerze, ci, co dobrze ją znali, podchodzili i wiwatowali na cześć swej królowej. Uśmiechała się i machała do nich. Przejechali między wojskiem Lothianu zgromadzonym pod sztandarem Lota; między ludami Północy odzianymi w źle wyprawione skóry, zbrojnymi w piki i długie toporki – nad ich obozem powiewał sztandar Morrigan, Wielkiego Kruka Wojny. Z obozu wyszedł brat Gawaina, Gaheris, i skłonił się Gwenifer, a potem szedł przy koniu Grifleta.

– Czy mój brat cię odnalazł, Griflecie? Miał wiadomość dla królowej...

– Spotkał nas, kiedy już cały dzień byliśmy w drodze – powiedziała Gwenifer – i łatwiej nam było jechać dalej, niż zawracać.

– Pójdę z wami aż do zamku, bo wszyscy rycerze Artura mają dziś wieczerzać z królem – powiedział Gaheris. – Gawain był zły, że go posłano z wieściami, ale nikt nie jeździ tak



szybko, jak mój brat, kiedy trzeba. Twoja pani jest jeszcze tutaj, Griflecie, ale szykuje już siebie i dziecko do podróży na nowy dwór. Artur powiedział, że wszystkie kobiety muszą wyjechać, bo tam łatwiej je będzie obronić, a może do ich ochrony przeznaczyć niewiele wojska.

Do Kamelotu! Gwenifer ścisnęło się serce. Przyjechała taki kawał aż z Tintagel, by przywieźć Arturowi nowiny o dziecku, a on jej się każe spakować i odeśle ją do Kamelotu?

– Nie znam tego sztandaru – powiedział Griflet, patrząc na wizerunek złotego orła, który jak żywy rozwijał swe skrzydła. Sztandar wydawał się bardzo stary.

– To sztandar Północnej Walii – powiedział Gaheris. – Przybył Uriens ze swym synem Avallochem. Uriens twierdzi, że jego ojciec zdobył ten sztandar na Rzymianach ponad sto lat temu. To może nawet być prawda! Ludzie z Uriensowych wzgórz to silni wojownicy, choć nie powiedziałbym tego w ich obecności.

– A to czyj sztandar? – spytał Griflet, lecz tym razem, choć Gaheris chciał odpowiedzieć, odezwała się Gwenifer:

– To sztandar mego ojca, króla Leodegranza, błękitny sztandar z krzyżem wyhaftowanym złotem.

Jako młoda dziewczyna sama pomagała dworkom swej matki haftować go dla króla. Mówiono, że jej ojciec wybrał ten wzór po tym, jak usłyszał opowieść, że jeden z cesarzy rzymskich ujrzał na niebie znak krzyża przed którąś z wielkich bitew. *Powinniśmy teraz walczyć pod tym znakiem, a nie pod węzami Avalonu!* Zadygotała, a Gaheris spojrzał na nią zaniepokojony.

– Czy jesteś zziębnięta, pani? Musimy pospieszać do zamku, Griflecie, bez wątpienia Artur oczekuje swej królowej.

– Musisz być utrudzona jazdą, pani – powiedział Griflet, patrząc na nią przyjaźnie. – Już niebawem znajdziesz się pod opieką swych kobiet.

Kiedy zbliżali się do bram zamku, wielu towarzyszy Artura, których znała, machało do niej i przyjaźnie ją pozdrawiało. *Przyszłego roku o tej porze, pomyślała, będą wiwatować na cześć swego księcia.*

Wielki, zwałisty mężczyzna, w skórzanej zbroi i stalowym hełmie, wyszedł na drogę zataczającym się krokiem i zatrzymał się tuż przed jej koniem. Wyglądało na to, że się potknął, ale skłonił się Gwenifer, a ona zauważyła, że specjalnie zaszedł jej drogę w ten sposób.

– Pani, moja siostró – powiedział. – Czy mnie nie poznajesz?

Gwenifer zmarszczyła brwi i przyglądała mu się chwilę, zanim go rozpoznała.

– To ty...

– Meleagrant – powiedział. – Przybyłem tu, by walczyć u boku twego ojca i twego męża, siostró.

– Nie wiedziałem, że twój ojciec ma syna, królowo – powiedział Griflet z przyjaznym uśmiechem. – Witamy wszystkich, którzy walczą pod sztandarem Artura.

– Może wstawisz się za mną u swego małżonka króla, siostró – przerwał mu Meleagrant.

Gwenifer, patrząc na niego, poczuła lekki niesmak. Był ogromnym mężczyzną, prawie olbrzymem, i jak to często było u tak wielkich ludzi, wydawał się nieproporcjonalny, jakby jedna część jego ciała urosła bardziej niż druga. Jedno oko było wyraźnie większe i zezowate, jednak starając się być sprawiedliwa, Gwenifer pomyślała, że nieforemność tego człowieka nie jest jego winą, a ona naprawdę nic o nim nie wie. Lecz zachował się arogancko, nazywając ją siostrą w obecności wszystkich tych ludzi, a teraz jeszcze chwycił ją za rękę, jakby chciał ją pocałować. Zwinęła dłoń w pięść i wyrwała mu.

Starła się opanować głos:

– Bez wątpienia, jeśli na to zasłużysz, Meleagrancie, mój ojciec wstawi się za tobą do Artura, a on pasuje cię na jednego ze swych rycerzy. Jestem tylko kobietą i nie mam takiej władzy, by ci to obiecać. Czy jest tu mój ojciec?

– Jest z Arturem w zamku – odparł Meleagrant ponuro. – A ja tu zostałem jak ten pies, przy koniach!

– I nie widzę powodu, byś miał prawo do czegoś więcej, Meleagrancie – powiedziała Gwenifer zdecydowanie. – Ojciec dał ci miejsce u swego boku, bo twoja matka była kiedyś jego faworytą...

– Wszyscy w tym kraju wiedzą – odpowiedział Meleagrant ostro – wiedzą tak samo, jak moja matka, że jestem synem króla, jego jedynym żyjącym synem! Siostró, wstaw się za mną u naszego ojca!

Znów musiała wyrwać rękę, bo chciał ją chwycić.

– Puść mnie, Meleagrancie! Mój ojciec twierdzi, że nie jesteś jego synem, a skąd ja mogę wiedzieć coś więcej? Nigdy nie znałam twojej matki, to sprawa między tobą a moim ojcem!

– Musisz mnie wysłuchać – nalegał wzburzony Meleagrant, ciągnąc ją za rękę, aż Griflet zagroził mu drogę, mówiąc:

– No, no, człowieku, nie wolno ci w ten sposób zwracać się do królowej albo Artur każe podać twoją głowę na srebrnym półmisku dziś przy wieczerzy! Jestem pewien, że nasz pan i król przyzna tobie, co ci się należy, a jak będziesz dla niego dzielnie walczył w tej bitwie, bez wątpienia rad będzie mieć cię wśród swoich rycerzy. Lecz nie wolno ci w ten sposób zaczepiać królowej!

Meleagrant obrócił się w jego stronę i choć Griflet był silnie zbudowanym młodzieńcem, tamten górował nad nim, tak że Griflet wyglądał przy nim jak małe dziecko. Olbrzym odezwał się:

– I ty będziesz mi mówił, co mi wolno powiedzieć mojej własnej siostrze, ty niewyrośły gogusiu?!

Griflet położył dłoń na rękojeści swojego miecza.

– Dostałem rozkaz ochraniać królową i mam zamiar wykonać zadanie, które powierzył mi Artur. Zejdź mi z drogi albo cię do tego zmuszę!

– A to z czyją pomocą? – zadrwił Meleagrant, zadowolony ze swego szyderstwa.

– Na przykład z moją – powiedział Gaheris, stając szybko u boku Grifleta. Tak jak jego brat Gawain, Gaheris był wielkim, silnym mężczyzną, można było z niego zrobić dwóch szczupłych Grifletów.

– I z moją – powiedział Lancelot z ciemności, idąc szybko w kierunku konia Gwenifer.

Myślała, że rozplacze się z ulgi. Nigdy nie wydał jej się bardziej przystojny niż w tej chwili. I choć Lancelot był szczupły i lekkiej budowy, coś w samej jego obecności sprawiło, że Meleagrant się cofnął.

– Czy ten człowiek cię niepokoi, pani Gwenifer?

Przełknęła tylko ślinę i skinęła głową, bo ku własnemu zaskoczeniu stwierdziła, że nie może wydobyć głosu. Meleagrant znów napierał:

– A kimże ty jesteś?

– Uważaj – odezwał się Gaheris. – Czyżbyś nie znał sir Lancelota?

– Jestem kapitanem królewskiej jazdy – powiedział Lancelot swoim leniwym, rozbawionym głosem. – I rycerzem królowej. Masz mi może coś do powiedzenia?

– Mam sprawę do swojej siostry – odparł Meleagrant, ale Gwenifer odezwała się cieniutkim głosikiem:

– Nie jestem jego siostrą! Ten człowiek twierdzi, że jest synem mego ojca, bo jego matka była kiedyś jedną z królewskich kobiet! Nie jest synem mego ojca, lecz nisko urodzonym przybłądą, którego miejsce jest w stajniach, choć mój ojciec był na tyle dobry, by przyjąć go do swego domu!

– Najlepiej zejdź nam z drogi – powiedział Lancelot, przyglądając się Meleagrantowi z pogardą, i widać było, że Meleagrant wie, z kim ma do czynienia, i nie ma ochoty wdawać się z nim w spór.

Cofnął się, mówiąc zduszonym głosem:

– Pewnego dnia pożałujesz tego, Gwenifer – ale pozwolił im przejechać bez przeszkód.

Lancelot był odziany ze swą zwykłą nienaganną starannością, w szkarłatną tunikę i szkarłatny płaszcz. Włosy miał świeżo przycięte i uczesane, twarz gładko ogoloną. Jego dłonie były tak białe i gładkie, jak dłonie Gwenifer, choć wiedziała, że są twarde i mocne jak stal. Był przystojniejszy niż kiedykolwiek. I przybył w samą porę, by uratować ją od tego okropnego spotkania z Meleagrantem.

Uśmiechnęła się – nie potrafiła się powstrzymać. Tak jakby obudziło się coś ukrytego w niej głęboko...

*Nie, nie wolno mi patrzeć na niego w ten sposób. Mam zostać matką syna Artura...*

– Zapewne nie chcesz wchodzić przez wielką salę, pani, taka zmęczona, w szatach mokrych z podróży – powiedział Lancelot. – Czy padało przez większość drogi? Pozwól, że

odprowadzę ciebie i twoją służącą do bocznych drzwi, tak że będziesz mogła się udać prosto do swych komnat i odświeżyć się. Powitasz króla Artura w wielkiej sali, kiedy się przebierzesz w czyste szaty, ogrzejesz i wysuszysz. Ależ ty drżysz! Czy to ten zimny wiatr, Gwenifer?

Od dawna miał przywilej zwracania się do niej po imieniu, bez formalnego „moja pani” czy „moja królowo”, ale jej imię nigdy nie brzmiało tak słodko na jego wargach jak dzisiaj.

– Jak zwykle troszczysz się o mnie – powiedziała i pozwoliła mu poprowadzić swego konia.

– Griflicie, idź i powiedz królowi, że jego pani jest bezpieczna w swej komnacie – powiedział Lancelot. – Ty też idź, Gaheris, z pewnością chcesz jak najszybciej znaleźć się między rycerzami. Ja zaopiekuję się królową.

Przy drzwiach pomógł jej zsiąść z konia, a ona myślała jedynie o dotyku jego rąk. Spuściła wzrok i nie patrzyła na niego.

– Wielka sala jest pełna rycerzy – powiedział. – Straszne panuje zamieszanie. Okrążył stół trzy dni temu wywieziono aż na trzech wozach do Kamelotu, pojechał też Kaj, by go ustawić w nowej wielkiej sali. Teraz wysłano jeźdźca, by sprowadził Kaja z powrotem, wraz ze wszystkimi zdolnymi do walki z Krainy Lata...

Spojrzała na niego wystraszona.

– Gawain powiedział nam o lądowaniu Saksonów. Czy to naprawdę ta wojna, której obawiał się Artur?

– Od lat wszyscy wiedzieliśmy, że musi nadejść, Gwen – odparł cicho. – Na tę chwilę Artur ćwiczył swoje legiony, a ja trenowałem jeźdźców. Kiedy to się skończy, być może będziemy mieli pokój, na który czekaliśmy całe moje życie i życie Uthera.

Nagle zarzuciła mu ramiona na szyję.

– Możesz zginąć – wyszeptwała.

Po raz pierwszy odważyła się zrobić coś takiego. Stała przytulona do niego, przyciskając twarz do jego ramienia, a on objął ją obiema rękami. Nawet poprzez swój strach czuła słodycz tego, że tak ją trzyma. Odezwał się, a głos mu drżał:

– Wszyscy wiedzieliśmy, że pewnego dnia to musi nadejść, moja droga. Ale na nasze szczęście mieliśmy całe lata, by się przygotować, i mamy Artura, który nas poprowadzi. Nawet ty sama nie wiesz, jakim wielkim jest przywódcą i jak bardzo jest wszystkim drogi! Jest młody, lecz jest najwspanialszym Najwyższym Królem, jakiego mieliśmy od czasów sięgających daleko przed najazd Rzymian. Z Arturem jako wodzem z pewnością przepędzimy precz Saksonów, a reszta to już wola Boża, moja Gwenifer. – Delikatnie poklepał ją po plecach. – Biedna dziewczynka, jesteś taka zmęczona, pozwól, odprowadzę cię do twoich kobiet...

Czuła, jak jego ręka drży, i nagle ogarnął ją wstyd, że tak się rzuciła w jego ramiona, jakby była wojskową markietanką.

W jej komnatach też panowało zamieszanie. Meleas układała szaty w skrzyniach, Elaine wydawała polecenia służącym. Elaine podeszła i z płaczem objęła Gwenifer.

– Pani, tak się o ciebie martwiłyśmy, że będziesz w drodze! Miałyśmy nadzieję, że dostaniesz wiadomość, zanim opuścisz klasztor, i że zostaniesz bezpieczna w Tintagel!

– Nie – odparła Gwenifer. – Igriana umarła. Gawain nas spotkał, kiedy już cały dzień byliśmy w drodze, a poza tym moje miejsce jest u boku mego małżonka.

– Pani, czy Griflet powrócił z tobą? – spytała Meleas.

– On mnie tu przywiózł. – Gwenifer skinęła głową. – Myślę, że zobaczysz go przy obiedzie. Słyszałam, jak Gaheris mówił, że wszyscy rycerze mają spotkać się z królem przy wieczerzy.

– Jeśli można to nazwać wieczerzą – powiedziała Meleas. – To bardziej przypomina rozdzielanie żołnierskich racji. To miejsce jest jak obóz wojskowy, a będzie jeszcze gorzej. Elaine i ja robimy, co możemy, żeby utrzymać jakiś porządek. – Meleas zwykle uśmiechnęta, młoda i pulchna, teraz wyglądała na zmęczoną i strapioną. – Ułożyłam twe szaty i wszystko, co będzie ci potrzebne tego lata w skrzyniach, byś była gotowa rankiem wyruszyć do Kamelotu. Król powiedział, że wszystkie musimy natychmiast wyjechać, a Kamelot jest już gotowy, by tam zamieszkać, Kaj wszystko przygotował. Nigdy nie myślałyśmy, że będziemy wyruszać w ten sposób, w pośpiechu i niemal pod przymusem.

*Nie, pomyślała Gwenifer, Jechałam całe dni i nie mam zamiaru znowu wyruszać! Moje miejsce jest tutaj, a mój syn ma prawo się urodzić w zamku swego ojca. Nie pozwolę się znowu odsyłać i przesyłać, jak jakiś bagaż albo podrózne juki!*

– Spokojnie, Meleas – powiedziała – może wcale nie ma aż takiego pośpiechu. Poślij kogoś po wodę i przygotuj mi szatę, która nie jest wilgotna i umazana błotem, jak ta. A kim są te wszystkie kobiety?

Okazało się, że te wszystkie kobiety były żonami niektórych rycerzy i lennych królów, które miały być także wysłane do Kamelotu. Było łatwiej, by jechały razem w jednym konwoju, a w Kamelocie byłyby bezpieczne od Saksonów.

– To niedaleko od twojego domu – dodała Elaine, jakby chciała przekonać niechętną Gwenifer. – Możesz odwiedzić żonę swego ojca, swoje siostry i braci. Albo, skoro Leodegranz jest na wojnie, twoja macocha może zamieszkać z nami w Kamelocie.

*To nie byłoby miłe dla żadnej z nas, pomyślała Gwenifer i sama się zawstydziała. Najchętniej zakończyłaby tę dyskusję kilkoma słowami: Jestem brzemienna, nie mogę podróżować, ale wzdrygnęła się na myśl o tych wszystkich podnieconych pytaniach, którymi by ją zasypały. Najpierw powinien dowiedzieć się Artur.*

Kiedy Gwenifer zeszła do wielkiej sali, pustej bez okrągłego stołu, wspaniałych sztandarów i dywanów na ścianach, Artur siedział przy prostym stole ustawionym w połowie komnaty, blisko ognia, otoczony półtuzinem swych rycerzy. Reszta tłoczyła się nieopodal.

Niecierpliwiła się, by mu przekazać swoją nowinę, ale nie mogła jej teraz oznajmić na głos przed całym dworem! Musi czekać do wieczora, kiedy znajdą się sami w łożu, to jedyny moment, kiedy w ogóle miała go tylko dla siebie. Gdy Artur podniósł wzrok i ujrzał ją, wstał i podszedł, by ją uściskać.

– Gwen, moja najdroższa! Miałem nadzieję, że wiadomość od Gawaina zatrzyma cię bezpiecznie w Tintagel!

– Jesteś zły, że wróciłam?

– Oczywiście, że nie – zaprzeczył. – A więc drogi są jeszcze bezpieczne, a ty miałaś szczęście. Przypuszczam jednak, że to oznacza, iż moja matka...

– Umarła dwa dni temu i została pochowana na terenie klasztoru – powiedziała Gwenifer. – A ja natychmiast wyruszyłam, by ci przekazać wiadomość. Ty zaś masz do mnie jedynie pretensje, że nie zostałam bezpiecznie w Tintagel z powodu tej wojny!

– Nie pretensje, moja droga – powiedział łagodnie. – Tylko troszczę się o twoje bezpieczeństwo. Ale jak widzę, sir Griflet dobrze się tobą opiekował. Chodź i usiądź tu przy nas. – Poprowadził ją do ławy i posadził u swego boku.

Srebrne nakrycia i talerze zniknęły, zapewne także wysłano je już do Kamelotu. Zastanawiała się, co się stało z piękną czerwoną rzymską wazą, którą dostała od macochy w ślubnym prezencie. Ściany były nagie, wszystko opustoszałe, jedli wieczerzę z prostych drewnianych misek, jakie można było kupić na targu.

– To miejsce już wygląda tak, jakby przeszła tędy bitwa – powiedziała, maczając kawałek chleba w zupie.

– Wydało mi się słuszne, by zacząć wszystko wysyłać do Kamelotu – powiedział Artur. – I wtedy nadeszły wieści o lądowaniu Saksonów i zaczęło się całe zamieszanie. Twój ojciec jest tutaj, kochanie, na pewno chcesz się z nim przywitać.

Leodegranz siedział niedaleko, choć nie w bezpośrednim kręgu rycerzy, którzy otaczali Artura. Podeszła, by go ucałować, czuła pod dłońmi jego kościste ramiona. Ojciec zawsze wydawał jej się wielkim mężczyzną, wielkim i dumnym, a teraz nagle był stary i wynędzniały.

– Mówiłem królowi Arturowi, że nie powinien cię być wysyłać w podróż w tych niebezpiecznych czasach – powiedział. – No tak, bez wątplenia to dobrze, że chciał, byś czuwała przy łożu jego umierającej matki, ale wobec swej żony też ma obowiązki, a Igriana ma przecież niezamężną córkę, która powinna być przy swej matce. Gdzież to jest księżniczka Kornwalii, że nie pojechała?

– Nie wiem, gdzie jest Morgiana – odpowiedział Artur. – Moja siostra jest dorosłą kobietą i panią swego losu. Nie musi mnie prosić o pozwolenie, by być tu czy tam.

– Tak, taki to już los króla – ciągnął gderliwie Leodegranz. – Jest panem wszystkich, tylko nie swojej własnej rodziny. Alienora jest taka sama, a ja mam jeszcze trzy córki, za młode, by wyjść za mąż, a każda myśli, że może rządzić w moim domu! Zobaczysz je w Kamelocie, Gwenifer. Posłałem je tam dla bezpieczeństwa, a najstarsza, Isotta, jest już dość duża, może byś zechciała ją przyjąć na swą damę dworu? To twoja własna przyrodnia siostra. A ponieważ nie mam żadnych synów, chciałbym, byś poprosiła Artura, by ją wydał za jednego ze swych najlepszych rycerzy, kiedy już dorośnie.

Gwenifer pokręciła głową zdumiona na myśl o tym, że Isotta, jej przyrodnia siostra, jest już na tyle duża, by przybyć na dwór. Cóż, miała prawie siedem lat, kiedy Gwenifer wyszła za mąż, teraz musi być dużą, dwunasto- lub trzynastoletnią dziewczynką. Elaine nie była starsza, kiedy przybyła do Caerleon. Bez wątpienia, jeśli poprosi, Artur wyda Isottę za jednego z rycerzy, może za Gawaina? Albo, skoro Gawain będzie kiedyś królem Lothianu, lepiej za Gaherisa, który też jest królewskim kuzynem.

– Jestem pewna, że razem z Arturem znajdziemy kogoś odpowiedniego dla mojej siostry.

– Lancelot jest jeszcze nieżonaty – powiedział Leodegranz – a także diuk Markus z Kornwalii. Choć bez wątpienia będzie bardziej odpowiednie, jeśli Markus poślubi panią Morgianę i połączą swoje prawa, wtedy księżna będzie miała kogoś, kto będzie bronił jej ziem. A skoro, jak wiem, pani Morgiana jest jedną z tych damulek Pani Avalonu, już diuk Markus będzie umiał ją okiełzać.

Gwenifer uśmiechnęła się na myśl o Morgianie posłusznie poślubionej komuś, kto jest, jak inni uważają, odpowiedni. A potem ogarnęła ją złość. Dlaczego Morgianie wszystko wolno? Żadna inna kobieta nie może robić tego, co jej się podoba, nawet Igriana, która była matką króla, została wydana za mąż tak, jak jej rodzina uważała za słuszne. Artur powinien użyć swej władzy i wydać Morgianę za mąż, zanim ta zniesławi ich wszystkich! Gwenifer bezpiecznie oddaliła od siebie wspomnienie, że kiedy Artur mówił o wydaniu Morgiany za swego przyjaciela Lancelota, ona się sprzeciwiła. *Och, jestem samolubna... Sama nie mogę go mieć, więc żałuję mu żony.*

Nie, powiedziała sobie, będzie szczęśliwa, kiedy Lancelot się ożeni, jeśli dziewczyna będzie odpowiednia i cnotliwa!

– Myślałem, że księżniczka Kornwalii jest między twymi damami – rzekł Leodegranz.

– Była – odpowiedziała Gwenifer – lecz opuściła nas kilka lat temu, by odwiedzić swą krewną, i już nie wróciła.

I znowu powróciło do niej pytanie: gdzie właściwie jest Morgiana? Nie w Avalonie, nie w Lothianie u Morgause, nie w Tintagel u Igriany, może być w Mniejszej Brytanii albo na pielgrzymce w Rzymie, albo w krainie elfów, albo nawet w samym piekle! Tak nie może dłużej być, Artur ma prawo wiedzieć, gdzie podziewa się jego najbliższa rodzina, którą była

dla niego Morgiana po śmierci matki! Jednak gdyby mogła, Morgiana z pewnością przybyłaby do swej umierającej matki?

Gwenifer chciała wrócić na swe miejsce u boku Artura. Lancelot i król rysowali coś czubkami mieczy na drewnianej tablicy, którą mieli przed sobą, pojadając równocześnie z tego samego talerza.

Gwenifer przygryzła wargi, rzeczywiście, mogła równie dobrze zostać w Tintagel, bo najwidoczniej Arturowi było wszystko jedno, czy ona jest tutaj czy nie. Już miała się wycofać, by dołączyć do swych dworek, ale spojrzął na nią i z uśmiechem wyciągnął do niej ramię.

– O nie, kochanie, nie chciałem cię odstraszyć, muszę rzeczywiście naradzić się ze swym dowódcą, ale jest tu miejsce i dla ciebie. – Przywołał jednego ze sług. – Przynies tu talerz dla mej pani. Lancelot i ja zrobiliśmy straszny bałagan na tym talerzu. Jest tu też gdzieś świeży chleb, jeśli coś jeszcze zostało, bo bez Kaja w kuchniach panuje istny chaos.

– Ja już się najadłam – powiedziała, opierając się lekko na jego ramieniu, a on mechanicznie gładził jej włosy. Po swej drugiej stronie czuła ciepłe i mocne ciało Lancelota, między nimi dwoma była bezpieczna.

Artur pochylił się do przodu, jedną ręką wciąż głaskał jej włosy, drugą trzymał miecz, którym rysował.

– Spójrz, czy możemy poprowadzić konie tędy? Jechalibyśmy szybko. Wozy i zapasy można posłać przez równiny, wtedy jeźdźcy i wojsko mogą się udać na skróty, nieobciążeni. Kaj kazał piec specjalny chleb na drogę dla wojsk i gromadził go od czasów bitwy pod Lasem Celidon. Oni pewnie wylądają tutaj. – Wskazał miejsce na prowizorycznej mapie, którą wyrysował. – Leodegranz, Uriens, podejdźcie tu i popatrzcie...

Podszedł ojciec Gwenifer, a z nim drugi mężczyzna, szczupły, ciemny i zwinny, choć włos już mu siwiał, a twarz pokrywały zmarszczki.

– Królu Uriensie – powiedział Artur – witam cię jako przyjaciela mego ojca i mego przyjaciela. Czy poznałeś już mą panią, Gwenifer?

Uriens się pokłonił. Głos miał miły i melodyjny:

– To dla mnie zaszczyt, pani. Kiedy czasy będą spokojniejsze, przywiozę mą małżonkę, jeśli wolno, by ci ją przedstawić na dworze w Kamelocie.

– Będzie mi miło – powiedziała Gwenifer, czując, że jej głos brzmi nieszczerze, nigdy się nie nauczyła, jak wypowiadać te grzeczne frazesy tak, by brzmiały wiarygodnie.

– To nie będzie tego lata, teraz mamy inne zajęcia – dodał Uriens i pochylił się nad mapą Artura. – W czasach Ambrozjusza prowadziliśmy armię w głąb kraju tędy, nie mieliśmy tylu koni, tylko te do ciągnięcia wozów. Można je jednak poprowadzić tędy i skrócić drogę. Trzeba tylko uważać na bagna, kiedy przechodzi się na południu przez Krainę Lata...

– Wolałbym uniknąć wspinaczek po skałach – powiedział Lancelot, ale Uriens pokręcił głową. – Przy tylu koniach, lepiej jechać tędy.



– Na tych wzgórzach konie mogą się potykać o kamienie i łamać nogi – spierał się Lancelot.

– Już nawet lepsze to, sir Lancelocie, niż ludzie, wozy i konie tonący w błocie. Lepsze skały niż bagna – odpowiedział Uriens. – Patrzcie, tu jest wielki rzymski mur...

– Już nic nie widzę, tyle tu nagryzmołone – powiedział Lancelot zniecierpliwiony. Podszedł do ognia i zanurzył w nim koniec długiego kijka, potem pomachał nim, by ugasić płomień i zaczął spalonym końcem rysować na gołej podłodze. – Patrzcie, tu jest Kraina Lata, a tu Jeziora i rzymski mur... Powiedzieliśmy, trzysta koni, a tędy dwieście...

– Naprawdę aż tyle? – spytał Uriens z niedowierzaniem. – Legiony Cezarów nie miały więcej!

– Przez siedem lat je trenowaliśmy, a także odpowiednich jeźdźców – powiedział Lancelot.

– Dzięki tobie, drogi kuzynie – dodał Artur.

Lancelot odwrócił się do niego z uśmiechem.

– Dzięki tobie, mój królu, bo uwierzyłeś w to, co możemy osiągnąć.

– Niektórzy żołnierze wciąż nie umieją walczyć z siodła – powiedział Uriens. – Jeśli chodzi o mnie, to walczyłem całkiem nieźle, prowadząc wojsko pieszo...

– To i dobrze – powiedział Artur zadowolony – bo i tak nie mamy tylu koni, by starczyło dla wszystkich, którzy chcą walczyć z siodła, nie ma też tylu siodeł, uprząży i strzemion, choć wszyscy rymarze w kraju pracowali tak szybko, jak tylko mogli. A jak ciężko było mi znaleźć pieniądze, by za to zapłacić, a wszyscy uważają mnie za chciwego tyrana – zaśmiał się, poklepał Gwenifer po plecach i dokończył: – Przez cały czas nawet nie miałem tyle własnych pieniędzy, by kupić mojej królowej jedwabiu na jej hafty! Wszystko szło na konie, kowali i rymarzy! – Nagle jego rozbawienie zniknęło i spoważniał, niemal sposepniał. – A teraz nadszedł wielki sprawdzian tego wszystkiego, co zrobiliśmy i do czego jesteśmy zdolni. Tym razem to prawdziwy zalew Saksonów, przyjaciele. Jeśli ich nie zatrzymamy, to połowa z nich wystarczy, by w tym kraju głodne nie chodziły tylko wilki i kruki!

– W tym jest właśnie przewaga konnych oddziałów – powiedział Lancelot z przekonaniem. – Zbrojni jeźdźcy potrafią pokonać wroga liczniejszego pięć, dziesięć, może nawet i dwadzieścia razy. Przekonamy się, ale jeśli się nie mylimy, to tym razem pokonamy Saksonów na dobre. Jeśli nie, to zginiemy, broniąc naszych domów i ziem, które kochamy, naszych kobiet i małych dzieci.

– Tak – rzekł Artur cicho. – Tak uczynimy. Bo nad czym innym pracowaliśmy od chwili, gdy dorośliśmy na tyle, by utrzymać w dłoni miecz, Galahadzie?

Uśmiechnął się tym rzadkim, słodkim uśmiechem, a Gwenifer pomyślała, czując ukłucie zazdrości: *On do mnie nigdy się tak nie uśmiecha. Jednak kiedy usłyszysz nowiny, które mam dla niego, wtedy...*

Lancelot przez chwilę odpowiadał uśmiechem na jego uśmiech, a potem westchnął:

– Miałem wiadomość od mego przyrodniego brata, Lionela, najstarszego syna króla Bana, że podniesie żagle za trzy, nie... – zatrzymał się i policzył na palcach – on już jest na morzu, posłaniec się opóźnił. Ma czterdzieści statków i ma nadzieję, że możliwie dużo saksońskich statków zepchnie na skały albo na południe, na wybrzeże kornwalijskie, gdzie nie będzie im tak łatwo przybić do brzegu.

Kiedy on osiągnie brzeg, poprowadzi swoje oddziały do miejsca, gdzie wszyscy się zbieramy. Muszę wysłać gońca z wieścią, gdzie się spotkamy. – Wskazał na zaimprovizowaną mapę na kamiennej posadzce.

Potem przy drzwiach rozległ się gwar różnych głosów i wysoki, chudy, siwiejący mężczyzna zaczął się przeciskać między porostawianymi stołami i ławami. Gwenifer nie widziała Lota z Lothianu od czasu bitwy pod Lasem Celidonu.

– No to widzę salę Artura, jakiej nie byłem w stanie sobie wyobrazić, naga, bez tego okrągłego stołu... Co to, Arturze, kuzynie, grasz na podłodze w kości ze swoimi kolegami?

– Okrągły stół już odjechał do Kamelotu – odparł Artur, wstając – a z nim odjechały inne meble i kobiece sprzęty. Widzisz tu wojenny obóz, czekający jedynie świtu, by wysłać ostatnie kobiety do Kamelotu. Większość niewiast i wszystkie dzieci już tam są.

Lot skłonił się Gwenifer i odezwał się swym gładkim głosem:

– Tak więc teraz zamek Artura będzie zaiste ogołocony. Ale czy to bezpieczne dla kobiet i dzieci, by jechać przez kraj gotujący się do wojny?

– Saksoni jeszcze nie dotarli tak daleko w głąb łądu – powiedział Artur – nie ma więc niebezpieczeństwa, jeśli wyruszą natychmiast. Muszę odesłać aż pięćdziesięciu moich ludzi, a niewdzięczne to zadanie, by zrezygnowali z pola walki i pilnowali Kamelotu. Królowa Morgause jest bezpieczna u siebie w Lothianie, dobrze, że moja siostra jest tam razem z nią!

– Morgiana? – Lot potrząsnął głową. – Nie było jej w Lothianie od wielu lat! No, no, no. Ciekawe, gdzież mogła zawędrować? I z kim? Zawsze podejrzewałem, że w tej młodej kobiecie jest coś więcej, niż potrafiłem dostrzec! Ale czemu do Kamelotu, mój panie Arturze?

– Łatwo go obronić – powiedział Artur. – Pięćdziesięciu ludzi może go utrzymać nawet do ponownego nadejścia Chrystusa! Gdybym zostawił kobiety tutaj, w Caerleon, musiałbym wraz z nimi zostawić aż dwustu ludzi. Nie rozumiem, dlaczego mój ojciec uczynił z Caerleon swój fort. Miałem nadzieję, że zanim Saksoni znów nadejdą, cały dwór będzie już przeniesiony do Kamelotu i wtedy Saksoni musieliby przejść całą długość Brytanii, by do nas dotrzeć, a my wydalibyśmy im bitwę na takim polu, które sami wybierzemy.

Gdybyśmy ich wywiedli na moczary i bagna Kraju Lata, gdzie ziemia nigdy nie jest taka sama dwa lata z rzędu, to same moczary zrobiłyby za nas dużą robotę, a mały lud Avalonu dokończyłby dzieła swymi elfimi strzałami.

– I tak przyjdą z pomocą – powiedział Lancelot, podnosząc się z kolan i kończąc studiowanie mapy na podłodze. – Avalon już przysłał trzystu zbrojnych, a jak mówią, nadejdzie ich więcej. A kiedy ostatnim razem rozmawiałem z Merlinem, powiedział mi, że

Avalon wysłał też jeźdźców do twego kraju, królu Uriensie, by Stary Lud, który zamieszkuje twoje wzgórza, także przybył i walczył u naszego boku. Tak więc mamy legion konnych żołnierzy gotowych do walki na równinie; każdy jeździec w zbroi, z mieczem i piką, każdy może zabić z tuzin lub więcej Saksonów. Potem mamy wiele pieszego wojska, łuczników i rębaczy, którzy mogą walczyć w dolinach i na wzgórzach. Potem mamy wielu ludzi z Plemion, z pikami i toporami, i Stary Lud, który może urządzić zasadzki i niewidoczny dla nikogo razić swymi elfimi strzałami. Myślę, że możemy stanąć do walki ze wszystkimi Saksonami z całej Galii i wszystkich wybrzeży kontynentu!

– I to właśnie będziemy musieli uczynić – powiedział Lot. – Walczę z Saksonami od czasów Ambrozjusza, tak samo jak obecny tu Uriens, ale nigdy nie musieliśmy stawić czoła takiej armii, jaka teraz nadciąga.

– Od chwili mojej koronacji wiedziałem, że ten dzień nadejdzie, Pani Jeziora powiedziała mi o tym, kiedy dawała mi miecz Ekskalibur. A teraz wysłała wszystkich ludzi Avalonu, by zjednoczyli się pod sztandarem Pendragona.

– Wszyscy przybędziemy – powiedział Lot.

Gwenifer zadrżała, a Artur zauważył ze współczuciem:

– Moja droga, jechałaś już całe dwa dni, a o świcie znów musisz wyruszyć. Mogę wezwać twoje kobiety, by odprowadziły cię do łoża?

Pokręciła głową, splatając dłonie na kolanach.

– Nie, nie, nie jestem zmęczona, nie Arturze... to nie wypada, by poganie z Avalonu, zaprzędani czarom, walczyli u boku chrześcijańskiego króla! A kiedy zgromadzisz ich pod tym pogańskim sztandarem...

– Królowo – spytał Lancelot grzecznie – czy chcesz, by lud Avalonu siedział i przyglądał się, jak ich domy padają łupem Saksonów? Brytania to także ich ziemie, będą o nią walczyć tak jak my, bronić naszych ziem przed barbarzyńcami. A Pendragon jest ich zaprzysiężonym królem.

– To nie to mi się nie podoba – powiedziała Gwenifer, starając się mówić spokojnie, by nie zabrzmiała jak mała dziewczynka, która zabiera głos na naradzie mężczyzn. *Przecież, powiedziała sobie, Morgause doradza Lotowi w rządach, a Viviana nigdy nie stroni od zabierania głosu w sprawach państwowych!* – Nie podoba mi się to, że my i lud Avalonu będziemy walczyć po tej samej stronie. Ta bitwa powinna być walką ludzi cywilizowanych, wyznawców Chrystusa, potomków Rzymu przeciwko tym, którzy nie wyznają naszego Boga. Stary Lud jest naszym wrogiem na równi z Saksonami i to nigdy nie będzie chrześcijański kraj, dopóki wszyscy oni nie będą martwi lub przegnani na swoje wzgórza, a ich demony razem z nimi! I nie podoba mi się, Arturze, że masz pogańską flagę za swój sztandar! Tak jak Leodegranz powinienes walczyć pod krzyżem Chrystusa, byśmy mogli odróżnić wroga od przyjaciela!

Lancelot patrzył na nią zaskoczony.

– Czy ja też jestem twoim wrogiem, Gwenifer?

– Ty jesteś chrześcijaninem, Lancelocie – odparła, kręcąc głową.

– Moja matka to ta sama grzeszna Pani Avalonu, którą posądzasz o czary – powiedział. – Ja sam byłem wychowany w Avalonie, a Stary Lud to mój lud. Mój własny ojciec, który jest chrześcijańskim królem, też brał udział w Wielkim Związku z Boginią dla dobra tej ziemi! – zakończył zły i urażony.

Artur położył dłoń na rękojeści Ekskalibura schowanego w swej purpurowo-złotej pochwie. Na widok jego dłoni dotykającej magicznych symboli na pochwie i węży wijących się na jego przedramieniu, Gwenifer odwróciła wzrok, lecz spytała:

– Jak Bóg ma nam dać zwycięstwo, jeśli nie wyrzekniemy się wszystkich czarnoksiężskich symboli i nie będziemy walczyć w imię jego krzyża?

– No cóż, jest coś w tym, co mówi królowa – odezwał się pojednawczo Uriens. – Ja jednak niosę do bitwy swe orły w imię mych ojców i w imię Rzymu.

– Ofiaruję ci swój sztandar z krzyżem, królu Arturze, jeśli chcesz – powiedział Leodegranz. – Noś go z godnością, dla swojej królowej.

Artur potrząsnął głową. Tylko lekki rumieniec na jego policzkach mówił Gwenifer, jaki jest zły.

– Przysięgałem walczyć pod królewskim sztandarem Pendragona i tak uczynię lub zginę. Nie jestem tyranem. Jeśli ktoś ma na to ochotę, może iść do walki pod sztandarem Chrystusa, ale sztandar Pendragona zostanie na znak, że cały lud Brytanii: chrześcijanie, Druidzi, Stary Lud, Plemiona, powinien walczyć wspólnie. Tak jak smok jest nad wszystkimi zwierzętami, tak Pendragon jest ponad wszystkimi ludźmi! Wszystkimi, mówię!

– I orły Uriensa, i Wielki Kruk Lothianu, będą walczyć u boku smoka – powiedział Lot, wstając. – Czy nie ma tu Gawaina, Arturze? Chciałbym porozmawiać z moim synem, myślałem, że on nie odstępował twemu boku!

– Brakuje mi go tak, jak tobie, wuju – odparł Artur. – Nie wiem, jak się odwrócić, kiedy nie ma Gawaina za moimi plecami, ale musiałem go posłać z wiadomością do Tintagel, gdyż nikt nie jeździ tak szybko jak on.

– O, masz tu wielu innych do ochrony – powiedział Lot kwaśno. – Widzę, że Lancelot nigdy nie oddala się od ciebie dalej niż na kilka kroków, gotów zawsze wypełnić puste miejsce.

Lancelot zapłonął się, lecz odpowiedział gładko:

– Tak już jest, wuju, że wszyscy rycerze Artura prześcigają się nawzajem, by dostąpić zaszczytu bycia jak najbliższym króla, a kiedy Gawain jest tutaj, to nawet Kaj, który jest przybranym bratem Artura, i ja, rycerz królowej, musimy zadowolić się dalszym miejscem.

Artur odwrócił się do Gwenifer.

– Teraz już naprawdę, królowo, musisz się położyć. Ta rada może się jeszcze przeciągnąć długo w noc, a ty musisz być o świcie gotowa do drogi.

Gwenifer splotła mocno dłonie. *Ten jeden raz, ten jedyny raz, daj mi odwagę, by przemówić...*

– Nie, mój panie – powiedziała wyraźnie. – Nie wyruszam o świcie ani do Kamelotu, ani do żadnego innego miejsca na tej ziemi.

Policzki Artura znów pokrył rumieniec, który ostrzegał ją, jaki jest zły.

– A to co ma znaczyć, pani? Nie możesz zwlekać, kiedy w kraju panuje wojna. Chętnie dałbym ci dzień czy dwa odpoczynku przed podróżą, lecz musimy się spieszyć, by wszyscy byli bezpieczni, zanim nadciągną Saksoni. Powiadam ci, Gwenifer, kiedy nadejdzie ranek, twój koń i rzeczy będą gotowe. Jeśli nie chcesz jechać wierzchem, możesz podróżować w lektyce albo poniosą cię na krześle, ale wyruszyć musisz.

– Nie pojedę! – odparła wzburzona. – I nie zmusisz mnie do tego, chyba że siłą posadzisz mnie na koniu i przywiążesz do siodła!

– Niech Bóg broni, bym miał to uczynić – powiedział Artur – ale o co ci chodzi, pani? – Był strapiiony, jednak starał się, by jego głos brzmiał miło i beztrzesko. – Wszystkie te wielkie legiony są posłuszne memu słowu, czy mam doznać porażki w mym własnym domu od mej własnej żony?

– Twój ludźmi mogą słuchać twych rozkazów – powiedziała zrozpaczona. – Oni nie mają takiego powodu jak ja, by tu pozostać! Zostanę tylko z jedną służącą i akuszerką, panie, ale nigdzie nie pojedę, nawet tak blisko, jak nad brzeg naszej rzeki, dopóki nasz syn się nie urodzi!

*No i powiedziałam to... tutaj, przy tych wszystkich ludziach...*

Artur najwidoczniej zrozumiał, lecz zamiast radości, okazał jedynie zaskoczenie. Potrząsnął głową. Powiedział tylko:

– Gwenifer... – i zamilkł.

Lot zachichotał i spytał:

– Jesteś brzemienna, pani? To gratuluje! Ale to nie powinno ci przeszkodzić w podróży. Morgause każdego dnia ciężko siadała na konia, aż była zbyt wielka, by koń mógł ją unieść, a po tobie nawet jeszcze nie widać, że nosisz dziecko. Nasze akuszerki mówią, że świeże powietrze i ruch są zdrowe dla brzemiennych kobiet, a kiedy moja ulubiona klacz jest żrebna, jeżdżę na niej do sześciu tygodni przed tym, jak się ożrebi!

– Nie jestem klaczą – odparła Gwenifer zimno. – I dwukrotnie już poroniłam. Czy narazisz mnie na to jeszcze raz, Arturze?

– Jednak nie możesz tu pozostać. To miejsce nie będzie miało należytej obrony – powiedział Artur zmartwiony. – A my możemy wyruszyć z wojskiem w każdej chwili! Nie będzie też uczciwe, by kazać twym kobietom, żeby zostały z tobą i ryzykowały pojmanie przez Saksonów. Jestem pewien, że to ci nie zaszkodzi, droga żono. Wśród tych kobiet, które wyruszyły do Kamelotu w zeszłym tygodniu, także były brzemiennie. Nie możesz tu zostać, kiedy wszystkie twoje kobiety wyjadą, tutaj będzie po prostu wojskowy obóz, Gwenifer!

Gwenifer spojrzała na swoje dworki.

– Czy żadna z was nie zostanie z królową?

– Ja z tobą zostanę, jeśli kuzyn Artur zezwoli – powiedziała Elaine, a Meleas dodała:

– Ja także bym została, jeśli mój pan pozwoli, choć nasz synek jest już w Kamelocie...

– Nie, Meleas, ty musisz być ze swoim dzieckiem – powiedziała Elaine. – Ja jestem jej krewną i zniosę wszystko, co zniesie Gwenifer, nawet życie w zbrojnym obozie między mężczyznami. – Podeszła i stanęła u boku Gwenifer, chwytając jej dłoń. – Czy nie mogłabyś jednak pojechać w lektyce? W Kamelocie będzie bezpieczniej.

Lancelot wstał i podeszedł do Gwenifer. Pochylił się nad jej dłonią i powiedział cicho:

– Pani, błagam cię, wyjedź wraz z resztą kobiet. Ten kraj może leżeć w gruzach już za kilka dni, jeśli nadejdą Saksoni. W Kamelocie będziesz blisko ziem twego ojca. Moja własna matka jest w Avalonie, tylko o dzień drogi, jest słynną uzdrowicielką i akuszerką i jestem pewien, że przyjedzie, by się tobą opiekować, a nawet zostanie z tobą, kiedy dziecko już się urodzi. Jeśli pošlę wiadomość do mej matki, by tam do ciebie przybyła, czy pojedziesz?

Gwenifer spuściła głowę i walczyła, by się nie rozplakać. *Znowu muszę robić to, co mi każą, jak każda kobieta; nie obchodzi ich, czego ja chcę!* Nawet Lancelot się do nich przyłączył, by ją zmusić do posłuszeństwa. Pamiętała swą podróż tutaj z Krainy Lata, nawet w towarzystwie Igriany była przerażona. A cały ten dzień jechała przez te okropne przestrzenie z Tintagel. Teraz nareszcie jest bezpieczna wśród murów i nie ma ochoty już nigdy opuszczać tego schronienia. Może gdy będzie silniejsza, kiedy jej syn będzie już bezpieczny w jej ramionach... może wtedy odważy się na tę podróż, ale nie teraz... a Lancelot chce jej w podarunku ofiarować towarzystwo tej wiedźmy, swojej matki! Jak mógł pomyśleć, że pozwoliłaby się zbliżyć tej czarownicy do swojego syna? Artur może być splamiony powiązaniem i przysięgami z Avalonem, ale jej syna nigdy nie dotknie to pogańskie zło.

– To miło z twojej strony, Lancelocie – powiedziała z uporem – ale ja nie pojedę nigdzie, dopóki nie narodzi się mój syn.

– Nawet gdybyś mogła pojechać do samego Avalonu? – spytał Artur. – Ty i twój syn bylibyście tam bardziej bezpieczni niż gdziekolwiek na tym świecie.

Zadrżała i przeżegnała się.

– Niech Bóg broni! I Najświętsza Panienska! – wyszeptwała. – To już prędzej bym poszła do samej czarownej krainy!

– Gwenifer, posłuchaj mnie – zaczął Artur zdecydowanie, lecz po chwili westchnął z rezygnacją. Wiedziała, że wygrała. – Niech będzie, jak chcesz. Jeśli podróż wydaje ci się większym niebezpieczeństwem niż pozostanie tutaj, to niech Bóg broni, bym ja miał cię zmuszać...

– Arturze, pozwolisz jej na to? – spytał wzburzony Gaheris. – Mówię ci, powinieneś ją zapakować na konia i wysłać stąd, czy jej się to podoba czy nie! Mój królu, czy będziesz posłuszny kobiecym fanaberiom?

Artur pokręcił głową strapiiony.

– Spokój, kuzynie. Łatwo poznać, że nie jesteś żonaty. Gwenifer, rób, jak chcesz. Może z tobą pozostać Elaine, jedna służąca, jedna akuszerka i twój ksiądz, nikt więcej. Wszyscy inni mają wyruszyć o świcie. A teraz udaj się do swej komnaty, Gwen, nie mam już na to więcej czasu!

Gwenifer posłusznie nadstawiła policzek do jego męzowskiego pocałunku, jednak nie miała jakoś wcale uczucia, że właśnie odniosła zwycięstwo.

Wszystkie kobiety wyruszyły o świcie. Meleas błagała, by pozostać z królową, ale Griflet nie chciał o tym słyszeć.

– Elaine nie ma ani męża, ani dzieci – powiedział. – Niech ona zostanie. Chociaż na miejscu króla Pellinora nie pozwoliłbym mojej córce zostać, nawet dla królowej. Ty musisz jechać, żono.

A Gwenifer wydawało się, że rzucił jej spojrzenie pełne pogardy.

Artur dał jej jasno do zrozumienia, że główna część zamku jest teraz obozem wojskowym, a ona ma się trzymać swoich komnat wraz z Elaine i służącą. Większość jej mebli została odesłana do Kamelotu, przyniesiono więc łoże z gościnnej komnaty i dzieliła je teraz z Elaine. Artur spędzał noce w obozie z mężczyznami. Raz dziennie przysyłał kogoś, by dowiedzieć się, jak się ma, ale widywała go rzadko.

Na początku codziennie myślała, że w każdej chwili zobaczy, jak wyruszają do bitwy z Saksonami, albo że bitwa nadejdzie aż w te strony. Mijał jednak dzień za dniem, a potem tydzień za tygodniem i nic się nie działo. Pojedynczy jeźdźcy i posłańcy przybywali i odjeżdżali, Gwenifer widziała, że gromadzi się coraz więcej wojska, ale zamknięta w swej komnacie i małym ogródku słyszała tylko to, co przynosiły jej służąca i akuszerka, większość wiadomości była nieprawdziwa albo były to same plotki. Czas płynął jej wolno, rankiem czuła się zwykle słabo i nie miała na nic ochoty, poza leżeniem w łóżku. Później zwykle zaczynała czuć się lepiej i nerwowo przemierzała swój maleńki ogródek, nie mając nic innego do roboty, jak tylko wyobrażać sobie sceny buszujących po wybrzeżach Saksonów i myśleć o swoim dziecku... Miała ochotę zacząć szyć ubranka dla dziecka, ale nie było wełny do przędzenia, a wielkie krosna już zabrano.

Zostały jej jednak małe krosna, jedwab i wygryplowana wełna, i wszystkie przybory do haftowania, które zabrała ze sobą do Tintagel. Zaczęła planować, że zrobi sztandar...

Kiedyś Artur obiecał jej, że kiedy da mu syna, będzie mogła poprosić go o każdy prezent, jaki w jego mocy będzie jej dać, więc wymyśliła sobie, że tego dnia poprosi go, by pozbył się tego pogańskiego sztandaru Pendragona i wzniosł sztandar z krzyżem Chrystusa. To sprawi, że wszystkie ziemie we władaniu Najwyższego Króla będą chrześcijańskie, a legion Artura będzie świętym wojskiem strzeżonym przez Maryję Dziewicę.

Sztandar stawał się nawet piękniejszy, niż myślała – błękitny, haftowany złotą nicią, a na płaszcz Świętej Dziewicy użyła swych drogocennych szkarłatnych jedwabi. Nie miała innego zajęcia, więc tkła ten sztandar od rana do nocy, a przy pomocy Elaine praca posuwała się bardzo szybko. *I w każdy ścieg tego sztandaru wszyję moje modlitwy za bezpieczeństwo Artura i za to, by te ziemie były chrześcijańskie od Tintagel aż po Lothian...*

Pewnego popołudnia przyszedł odwiedzić ją Merlin, czcigodny Taliesin. Zawahała się, czy powinna pozwolić, by ten stary poganin i wyznawca demonów zbliżał się do niej w takim czasie, kiedy ona nosi w łonie Arturowego syna, który pewnego dnia będzie królem chrześcijańskich ziem? Ale patrząc w łagodne oczy staruszka, przypomniała sobie, że jest to przecież ojciec Igriany i że będzie pradiadkiem jej dziecka.

– Niechaj Wieczny cię błogosławi, Gwenifer – powiedział, wyciągając ramiona w błogosławieństwie.

Zrobiła znak krzyża i bała się, czy to go nie obrazi, ale wydał się przyjąć to po prostu jako wymianę pozdrowień.

– Jak się miewasz, pani, w tym zamknięciu? – spytał, rozglądając się po pokoju. – Jesteś tu omal jak w lochu! Lepiej by ci było w Kamelocie czy w Avalonie albo na wyspie Ynis Witrin, byłaś tam w szkole u zakonnicy, prawda? Przynajmniej miałabyś świeże powietrze i ruch! Tu jest duszno jak w chlewie!

– Mam dosyć powietrza w ogrodzie – odparła Gwenifer, obiecując sobie, że pościel powinna być wietrzona codziennie, a służąca powinna zamieść i wywietrzyć komnatę, która zapchana była ich rzeczami. Było tu za mało miejsca dla czterech kobiet.

– Ale pamiętaj, moje dziecko, żeby codziennie spacerować na świeżym powietrzu, nawet jeśli pada, powietrze to najlepsze lekarstwo na wszystko – powiedział Taliesin. – Mogę sobie wyobrazić, że może ci tu być słabo. Nie, dziecko, nie przyszedłem, by ci wypominać – dodał cicho. – Artur powiedział mi szczęśliwą nowinę i cieszę się wraz z tobą, tak jak wszyscy. A ja mam ku temu specjalne powody, niewielu ludzi bowiem dożywa takiej chwili, by ujrzeć swoje prawnuki. – Jego stara, pomarszczona twarz wydawała się jaśnieć radością. – Jeśli jest cokolwiek, co mógłbym dla ciebie uczynić, jestem na twoje rozkazy, pani. Czy przysyłają ci odpowiednie świeże pożywienie czy tylko wojskowe racje?

Gwenifer zapewniła go, że ma wszystko, czego mogłaby zapragnąć, codziennie posyłano jej kosz świeżego jedzenia, choć nie powiedziała mu, że nie ma specjalnie apetytu.

Opowiedziała mu o śmierci Igriany, że została pochowana w Tintagel i że ostatnią rzeczą, którą uczyniła przed śmiercią, było to, że powiedziała Gwenifer o dziecku. Starła się niewiele mówić o Wzroku, ale odważyła się spytać, patrząc na starca strapiona:

– Panie, czy wiesz, gdzie jest Morgiana, że nawet nie przybyła do łoża śmierci swojej własnej matki?

– Przykro mi, ale nie wiem. – Powoli pokręcił głową.



– Ale to skandaliczne, żeby Morgiana nie dała znać swojej rodzinie o tym, gdzie wyjechała!

– Być może, że udała się, jak to czynią niektóre kapłanki Avalonu, na jakąś magiczną pielgrzymkę albo odseparowała się od świata, by szukać wizji – zastanawiał się Taliesin, ale on też był zmartwiony. – W takim wypadku by mnie nie powiadomiono, ale myślę, że gdyby była w Avalonie, gdzie mieszka moja córka, wiedziałbym o tym... – Westchnął. – Morgiana jest dorosłą kobietą i nie musi nikogo pytać o zgodę, co ma robić.

To by jej dało nauczkę, pomyślała Gwenifer, gdyby Morgiana musiała zapłacić za swój upór i za bezbożny sposób, w jaki żyje!

Zacisnęła pięści i nie odpowiedziała staremu Druidowi, spuściła tylko wzrok, by nie dostrzegł jej złości... *on o mnie dobrze myśli, nie chcę, by zaczął myśleć inaczej*. Taliesin niczego jednak nie zauważył, bo Elaine pokazywała mu sztandar.

– Widzisz, tak właśnie spędzamy nasz czas w zamknięciu, dobry ojczu.

– Szybko wam idzie – powiedział Merlin z uśmiechem. – Jak widzę, nie dajecie czasu... jak to mówią księża? A... że do nudzących się diabła ma łatwy dostęp, ale wy nie dajecie tu diabłu dostępu, jesteście zajęte, jak te pszczołki w ulu. Już widzę, jaki to piękny wzór.

– A kiedy go robię, modłę się – powiedziała Gwenifer zaczepnie. – I w każdy ścieg wszywam modlitwę, by Artur i krzyż Chrystusa zwyciężyli Saksonów i ich pogańskich bogów! Czy nie złajesz mnie, Lordzie Merlinie, że to czynię, kiedy ty każesz Arturowi walczyć pod pogańskim sztandarem?

Merlin odpowiedział łagodnie:

– Modlitwa nigdy nie idzie na marne, Gwenifer. Czy myślisz, że my się nie modlimy? Kiedy Artur dostał swój wielki miecz Ekskalibur, miecz włożono do pochwy, w którą kapłanka wszyła zaklęcia o bezpieczeństwo i opiekę, a modliła się i pościła przez pięć dni, przez cały czas, kiedy nad tym pracowała. Bez wątplenia zauważyłaś, że Artur, nawet jeśli jest ranny, traci niewiele krwi.

– Wolę, by chronił go Chrystus, nie czary – odparła Gwenifer gorąco, a stary człowiek uśmiechnął się i powiedział:

– Bóg jest jeden i jest tylko jeden Bóg. Wszystko inne to tylko sposoby, w jakie nieświadomi ludzie próbują przedstawić Boga w takiej formie, by mogli go pojąć. Tak jak twój obraz Świętej Dziewicy, pani. Nic nie dzieje się na tym świecie bez przyzwolenia Jedyne go, który da nam zwycięstwo lub klęskę, wedle swojej woli. Zarówno Smok, jak i Dziewica to tylko znaki, którymi ludzie oznaczają to, co jest ponad nasze pojęcie.

– A nie byłbyś zły, gdyby zdjęto sztandar Pendragona, a na jego miejsce wzniesiono nad naszymi legionami sztandar Dziewicy? – spytała Gwenifer pogardliwym tonem.

Merlin stał blisko niej, wyciągnął pomarszczoną dłoń, by pogłaskać błyszczący jedwab.

– Taka piękna rzecz, jak ta – powiedział spokojnie – i zrobiona z taką miłością, jakże mógłbym ją potępić? Ale są tacy, którzy kochają swój sztandar Pendragona, tak jak ty

kochasz krzyż Chrystusa... Czy odmówisz im ich świętości, pani? Ci z Avalonu, Druidzi, kapłani, kapłanki, wiedzą, że sztandar jest jedynie symbolem, a sam symbol jest niczym, gdyż rzeczywistość jest wszystkim. Lecz maluczcy ludzie, nie, oni by nie zrozumieli, oni muszą mieć swego Smoka, jako symbol opieki ich króla.

Gwenifer pomyślała o małych ludziach wiernych Avalonowi i tych z odległych wzgórz Walii, którzy przybyli ze swymi toporkami, a nawet małymi łukami i strzałami, a ciała mieli strasznie wysmarowane farbami. Zadrżała ze zgrozy, że lud tak dziki i barbarzyński ma walczyć u boku chrześcijańskiego króla.

Merlin dostrzegł jej drżenie i błędnie ocenił jego przyczynę.

– Wilgotno tutaj – powiedział – musisz częściej wychodzić na słońce... – ale po chwili zrozumiał i delikatnie objął Gwenifer ramieniem. – Drogie dziecko – powiedział łagodnie – musisz pamiętać o tym, że ten kraj jest dla wszystkich ludzi, niezależnie od ich Bogów, a my walczymy z Saksonami nie dlatego, że nie chcą wyznawać naszych Bogów, ale dlatego, że chcą palić i grabić nasze ziemie, i zabrać dla siebie wszystko, co mamy. Walczymy w obronie pokoju na tych ziemiach, pani, zarówno chrześcijanie, jak i poganie, i to dlatego takie rzesze gromadzą się pod wodzą Artura. Chciałabyś, by był tyranem, który dusze swojego ludu zamyka w niewoli swego własnego Boga, czego nie ośmielili się uczynić nawet rzymscy cesarze?

Ona jednak wciąż drżała, a Taliesin powiedział, że musi już iść, lecz że powinna go powiadomić, gdyby czegoś potrzebowała.

– Czy Kevin Bard jest w zamku, panie? – spytała Elaine.

– Tak, chyba tak, powinienem być o tym pomyśleć. Przyślę go, by zagrał dla was, w tym waszym odosobnieniu.

– Z chęcią go posłuchamy – powiedziała Elaine – ale chciałam prosić o pożyczenie jego harfy. Albo twojej, Lordzie Druidzie?

Merlin wahał się chwilę.

– Kevin nie pożyczycy swojej harfy, Moja Pani to zazdrosna kochanka – powiedział z uśmiechem. – A moja harfa jest poświęcona Bogom i nie mogę pozwolić nikomu jej dotknąć. Ale Morgiana nie zabrała ze sobą swojej harfy, kiedy wyjeżdżała. Jest w jej komnacie. Czy mam ją wam przysłać, pani Elaine? Umiesz grać?

– Niezbyt dobrze – odparła Elaine – ale znam się na tyle, by nie uszkodzić instrumentu, a to da naszym dłoniom jakieś zajęcie, kiedy znużymy się tkaniem.

– Twoim – powiedziała Gwenifer – ja zawsze uważałam, że kobiecie nie przystoi grać na harfie.

– No to niech nie przystoi – upierała się Elaine – ale oszaleję w tym zamknięciu, jeśli nie będę miała czym się zająć, a tu i tak nikt mnie nie zobaczy, nawet gdybym tańczyła nago, jak Salome przed Herodem!

Gwenifer zachichotała, ale po chwili się przeraziła: co sobie Merlin o nich pomyśli? Jednak starszek śmiał się serdecznie.

– Przyślę ci harfę Morgiany, pani, i możesz się oddać temu nieprzystojnemu zajęciu, choć ja w istocie nie widzę niczego nieodpowiedniego w muzyce!

Tej nocy Gwenifer śniła, że Artur stał przy niej, a węże na jego rękach ożyły i wpełzły na jej sztandar, brudząc go i plamiąc swym zimnym śluzem... Obudziła się, ciężko dysząc i łapiąc powietrze, i przez cały dzień nie miała siły, by wstać. Po południu Artur przyszedł ją odwiedzić i stał zmartwiony koło łóża.

– Nie widzę, by to zamknięcie dobrze ci robiło, pani – powiedział. – Wolałbym, byś była bezpieczna w Kamelocie! Dostałem wieści od królów z Mniejszej Brytanii, że aż trzydzieści saksońskich statków zepchnęli na skały, a my wyruszamy za dziesięć dni, nie więcej. – Przygryzł wargi. – Chciałbym, by już było po wszystkim, byśmy wszyscy byli bezpieczni w Kamelocie. Módl się do Boga, Gwenifer, byśmy tam bezpiecznie wrócili... – Usiadł na brzegu łóża, a ona wzięła go za rękę. Jednak jeden z jej palców dotknął węża na jego nadgarstku i cofnęła dłoń z przerażeniem.

– Co się stało, Gwen? – szepnął Artur, biorąc ją w ramiona. – Moja biedna dziewczynka, chorujesz od tego zamknięcia... Tego się właśnie bałem!

Walczyła, by powstrzymać łzy.

– Miałam sen... śniło mi się... och, Arturze! – powiedziała błagalnym głosem, siadając nagle wyprostowana i odrzucając nakrycia. – Nie mogę tego znieść, że pozwalasz, by ten przeklęty smok wszystko przykrył, tak jak w moim śnie... Spójrz, co dla ciebie zrobiłam! – Drepcząc na bosaka, pociągnęła go obiema rękami w kierunku krosien. – Widzisz, już prawie skończony, za trzy dni mógłby być gotowy...

Artur otoczył ją ramieniem i tulił do siebie.

– Szkoda, że to tak wiele dla ciebie znaczy, Gwenifer. Przykro mi. Poniosę go do walki obok sztandaru Pendragona, jeśli chcesz, ale nie mogę złamać przysięgi, którą dałem.

– Bóg cię pokarze, jeśli będziesz wierny przysiędze, którą złożyłeś poganom, a nie jemu – krzyknęła. – On ukarze nas oboje...

Ujął jej zaciśnięte pięści.

– Moja biedna dziewczynka, jesteś chora i zmęczona, i nic dziwnego. A teraz, niestety, jest już za późno, by cię odesłać, nawet gdybyś chciała jechać. Po drodze do Kamelotu mogą już być bandy Saksonów. Postaraj się uspokoić, kochanie – powiedział i zrobił kilka kroków w kierunku drzwi.

Pobiegła za nim i uczepliła się jego ramienia:

– Nie jesteś więc zły...?

– Zły? Kiedy ty jesteś chora i przemęczona? – Ucałował ją w czoło. – Ale o tym już nie będziemy więcej rozmawiać, Gwenifer. Teraz muszę iść. Oczekuję gońca, który może przybyć w każdej chwili. Przyślę Kevina, żeby ci zagrał. Jego muzyka cię rozweseli. –

Pocałował ją ponownie i wyszedł, a Gwenifer wróciła do sztandaru i zaczęła pracować nad nim jak w gorączce.

Kevin przyszedł późno następnego dnia, podpierając na łasce swe zniekształcone ciało. Harfę miał przewieszoną przez jedno ramię, co tym bardziej dawało jego postaci kształt ogromnego garbusa, kiedy stanął pod światło u wejścia do komnaty. Gwenifer wydało się, że zmarszczył nos z niesmakiem i nagle zobaczyła pokój jego oczyma, zavalony rzeczami czterech kobiet, duszny, niewietrzony. Uniósł rękę w błogosławieństwie Druidów, a Gwenifer aż się skurczyła – mogła przyjąć ten gest od czcigodnego Taliesina, ale uczyniony przez Kevina napełnił ją strachem, jakby mógł rzucić pogański czar na nią i na jej dziecko.

Potajemnie przeżegnała się znakiem krzyża i zastanawiała się, czy to zauważył. Elaine podeszła do niego i odezwała się z szacunkiem:

– Pozwól, że pomogę ci przy harfie, Mistrzu Harfiarzu.

Cofnął się, jakby chciał ją odpędzić, choć jego melodyjny głos śpiewaka zabrzmiał bardzo uprzejmie:

– Dziękuję, ale nikt nie może dotykać Mojej Pani. Jeśli niosę ją na własnym grzbiecie, choć sam muszę opierać się na łasce, to czy nie sądzisz, iż jest po temu powód, pani?

– Nie chciałam cię urazić – powiedziała Elaine, opuszczając głowę jak skarczone dziecko.

– Oczywiście, skąd mogłaś wiedzieć? – odparł i skrzywił się boleśnie, albo tak tylko wydawało się Gwenifer, by zdjąć harfę i ustawić ją na podłodze.

– Czy jest ci wygodnie, Mistrzu Harfiarzu? Czy napijesz się wina, by oczyścić gardło przed śpiewem? – spytała Gwenifer, a on uprzejmie przyjął kielich.

Zauważył sztandar na krosnach i zwrócił się do Elaine:

– Jesteś córką króla Pellinora, czyż nie, pani? Czy tkasz sztandar dla swego ojca, by go niósł w bitwie?

Gwenifer powiedziała pospiesznie:

– Dłonie Elaine pracują tak sprawnie, jak moje, ale sztandar jest dla Artura.

Jego piękny głos był tak obojętny, jakby podziwiał pierwsze dziecinne próby tkania.

– Jest piękny, będzie wspaniale wyglądał na ścianie w Kamelocie, kiedy tam pojedziesz, pani, ale jestem pewien, że Artur poniesie sztandar Pendragona, tak jak przed nim czynił to jego ojciec. Damy nie lubią jednak rozprawiać o bitwach. Czy mam wam zagrać? – Ułożył ręce na strunach i zaczął grać.

Gwenifer słuchała oczarowana, nawet jej służąca przycupnęła przy drzwiach, zdając sobie sprawę, że może podziwiać królewski dar. Grał długo w zapadającym zmroku, a Gwenifer, słuchając, ponownie narodziła się w świecie, gdzie nie było różnic między chrześcijanami i poganami, gdzie nie istniały wojny i pokój, tylko ludzki duch, gorejący przeciw wielkiej ciemności, jak wieczny ogień. Kiedy dźwięki harfy w końcu wybrzmiały, Gwenifer nie mogła wydobyć głosu, zauważyła też, że Elaine cicho płacze. Po dłuższej chwili powiedziała:

– Słowami nie można wyrazić tego, co nam podarowałaś, Mistrzu. Mogę tylko powiedzieć, że zawsze będę to pamiętać.

Krzywy uśmiech Kevina jakby drwił z jej uczuć i z jego własnych, kiedy powiedział:

– Pani, w muzyce, ten, kto daje, otrzymuje tak samo wiele, jak ten, kto słucha. – Odwrócił się do Elaine. – Widzę, że masz harfę pani Morgiany. Zatem wiesz, że prawdą jest to, co mówię.

– Stawiam w muzyce dopiero pierwsze kroki – powiedziała Elaine. – Kocham grać, ale słuchanie mnie nie sprawia nikomu przyjemności, wdzięczna jestem moim towarzyszkom za ich wytrzymałość, kiedy zmagam się z dźwiękami.

– To nieprawda, wiesz, że lubimy cię słuchać – zaprzeczyła Gwenifer, a Kevin dodał z uśmiechem:

– Harfa jest chyba jedynym instrumentem, który nigdy nie brzmi fałszywie, nieważne, jak słabo ktoś na niej gra. Być może dlatego właśnie poświęcona jest Bogom?

Gwenifer zacisnęła usta – czy on musi psuć rozkosz tej chwili gadaniem o swoich piekielnych Bogach? Ten człowiek jest przecież zniekształconą larwą, gdyby nie jego muzyka, nigdy by mu nie pozwolono zasiadać w szacownym towarzystwie, gdzieś nawet słyszała, że był niczym więcej, jak tylko jakimś wsiowym bękartem. Nie chciała go obrażać, skoro przybył, by sprawić im radość, ale odwróciła głowę. Niech Elaine z nim rozmawia, jeśli ma ochotę. Wstała i podeszła do drzwi do ogrodu.

– Tak tu gorąco jak w piekielnych czeluściach – powiedziała zirytowana i otworzyła drzwi na oścież.

Ciemniejące już niebo przecinały jasne snopy iskier, jakby płonące strzały wyrzucone z północy.

Na krzyk Gwenifer Elaine, służąca, a nawet Kevin, który delikatnie pakował swoją harfę, pospieszyli do drzwi.

– Och, co to jest i co to przepowiada?! – krzyknęła Gwenifer.

– Ludzie Północy mawiają, że to strzały wypuszczane w krainie olbrzymów – powiedział Kevin spokojnie. – Kiedy widoczne są na ziemi, przepowiadają wielką bitwę. A z pewnością właśnie to nas teraz czeka. Bitwa, pani, w której legiony Artura przy pomocy Bożej mogą zdecydować o tym, czy będziemy żyć jak cywilizowani ludzie, czy na zawsze przepadniemy w ciemności. Powinnaś była jechać do Kamelotu, pani Gwenifer. To niedobrze, by w takiej chwili król musiał się martwić o kobiety i dzieci.

Odwróciła się do niego i wybuchnęła:

– A co ty możesz wiedzieć o kobietach, dzieciach czy bitwach, Druidzie?!

– Cóż, to nie będzie moja pierwsza bitwa, królowo – odparł spokojnie. – Moja Pani jest darem króla, który obdarował mnie za grę na swych wojennych harfach. Czy myślisz, że ukryję się bezpiecznie wraz z kobietami i chrześcijańskimi księżmi, tymi odzianymi w suknie eunuchami? Nie ja, pani. Nawet Taliesin, choć jest taki stary, nie uchylił się od bitwy... –

Zapadła cisza, jedynie ognie z północy przecinały niebo. – Jeśli pozwolisz, królowo, muszę się udać do króla Artura i naradzić się z nim i Lordem Merlinem, co te ognie przepowiadają dla bitwy, która nas czeka.

Gwenifer poczuła, jakby ktoś wbił jej w brzuch ostry nóż. *Nawet ten ułomny poganin może być teraz przy Arturze, a ja, jego żona, muszę siedzieć w ukryciu, choć noszę w łonie nadzieję jego królestwa!* Myślała, że jeśli urodzi Arturowi syna, to on będzie musiał dać jej należne jej miejsce i okazywać jej wielki szacunek, i nie będzie jej już traktował jak nieużytecznej kobiety, którą był zmuszony przyjąć jako część posagu z koni! A jednak siedzi tu teraz zagoniona do kąta, bo nie udało mu się jej wyprawić, nawet odrzucił jej wspaniały sztandar.

– Czy źle się czujesz, moja królowo? – spytał Kevin z troską w głosie. – Pani Elaine, pomóż jej! – Wyciągnął rękę do Gwenifer, ale jego dłoń była wykręcona jak sucha gałąź.

Gwenifer zobaczyła węża wijącego się na nadgarstku, wytatuowanego błękitną farbą... cofnęła się i popchnęła go, a Kevin, który i tak nie trzymał się pewnie na nogach bez swojej laski, upadł na kamienną posadzkę.

– Odsuń się ode mnie! – krzyczała, łapiąc oddech. – Nie dotykaj mnie swymi przeklętymi wężami! Ty demonie z piekła rodem, nie dotykaj swoimi diabelskimi wężami mojego dziecka...

– Gwenifer! – Elaine podbiegła, ale zamiast podtrzymać Gwenifer, uklękła troskliwie przy Kevinie i podała mu rękę, by mógł wstać.

– Lordzie Druidzie, nie przeklinaj jej, jest chora i nie wie, co mówi.

– Ach tak?! – wrzasnęła Gwenifer. – Myślisz, że nie wiem, jak wy wszyscy na mnie patrzycie, jak na wariatkę, jakbym była głucha, ślepa i niema? I chcesz mnie zmylić miłymi słowami, a sam idziesz i za plecami księży namawiasz Artura do pogańskich czarów i zła, ty, który chciałbyś nas wydać w ręce diabelskich czarnoksiężników! Wynoś się stąd, nie chcę, by moje dziecko urodziło się oszpecone, bo spojrzalam na twoją ohydłą twarz!

Kevin zamknął oczy, a jego zniekształcone dłonie zacisnęły się, ale odwrócił się bez słowa i z wysiłkiem zaczął zakładać swoją harfę na ramię. Potknął się, chcąc ująć laskę. Elaine mu ją podała i Gwenifer usłyszała jej szept:

– Przebacz jej, Lordzie Druidzie, jest chora, nie wie...

Śpiewny głos Kevina zabrzmiał ostro:

– Wiem o tym dobrze, pani. Myślisz, że nigdy przedtem nie słyszałem od kobiet takich słodkich słów? Przykro mi, chciałem tylko sprawić wam przyjemność – powiedział, a Gwenifer, zakrywając twarz rękoma, słyszała jego nierówny krok, kiedy z wysiłkiem wychodził z komnaty.

Nawet kiedy już wyszedł, nie przestała kołysać się, zakrywając głowę dłońmi. Och, rzucił na nią urok tymi plugawymi wężami, czuła, jak kłują jej ciało, a te ognie na niebie palą jej

mózg... Krzyknęła i wciąż kryjąc twarz w dłoniach, upadła, wijąc się z bólu, a strzały przebijały jej ciało... Przyszła do siebie dopiero słysząc krzyk Elaine:

– Gwenifer! Kuzynko! Spójrz na mnie! Przemów do mnie! Och, Matko Święta, pomóż nam... posłać po akuszerkę! Patrzcie, krew...

– Kevin! – krzyczała Gwenifer – Kevin przeklął moje dziecko! – Uniosła się mimo paralizującego bólu i waliła pięściami o kamienną podłogę. – O Boże, pomóż mi, pošlijcie po księdza, księdza, może on potrafi odczynić ten urok... – Nie zwracając uwagi na wody i krew, które spływały po jej udach, podczołgała się do swojego sztandaru na krosnach, żegnając się raz za razem znakiem krzyża, aż wszystko dokoła niej zapadło się w ciemność i koszmar.

Dopiero wiele dni później zrozumiała, jak bardzo była chora, że omal nie wykrwawiła się na śmierć, kiedy poroniła czteromiesięczne dziecko, które było zbyt małe i słabe, by samo oddychać.

*Artur teraz z pewnością mnie znienawidzi, nawet nie potrafiłam donosić jego syna do porodu...* Kevin, to Kevin mnie przeklął swoimi węzami... Pograżała się w koszmarnych snach pełnych węży i płonących strzał, a raz kiedy Artur przyszedł do niej i chciał podtrzymać jej głowę, z przerażeniem cofnęła się wpatrzona w węże, które wydawały się pełzać po jego rękach.

Nawet kiedy już minęło śmiertelne niebezpieczeństwo, nie odzyskała sił, tylko leżała pograżona w bezsilnej apatii, bez ruchu, po jej twarzy spływały łzy. Nie miała nawet siły, by je otrzeć. Nie, to było szaleństwo myśleć, że Kevin ją przeklął, to musiały być wymysły jej delirium... To nie było pierwsze dziecko, które poroniła i jeśli była jakaś wina, to jej własna, bo zostając tutaj, nie miała świeżego powietrza i pożywienia, ruchu i towarzystwa swoich kobiet.

Przyszedł jej spowiednik i on też się zgodził, że to szaleństwo myśleć, iż Kevin rzucił urok... Bóg nie posłużyłby się pogańskim kapłanem, by ją ukarać.

– Nie możesz tak szybko zrzucić winy na innych – powiedział ksiądz surowo. – Jeśli jest jakaś wina, musi być twoja. Czy na twoim sumieniu są jakieś niewyjawione grzechy, pani Gwenifer?

Niewyjawione? Nie. Już dawno wyznała swą miłość do Lancelota i to zostało rozgrzeszone, a ona starała się, by myśli kierować tylko ku swemu prawowitemu małżonkowi. Nie, to nie mogło być to... a jednak zawiodła.

– Nie mogłam przekonać... nie byłam na tyle silna, żeby przekonać Artura, by wyrzekł się pogańskich węży i pogańskiego sztandaru – powiedziała słabym głosem. – Czy Bóg mógł za to ukarać moje dziecko?

– Tylko ty wiesz, co leży na twoim sumieniu, pani. I nie mów o ukaraniu synka... on jest na łonie Chrystusa... to ty i Artur jesteście ukarani, jeśli to w ogóle jest kara – dodał szybko – a tego nie wolno mi twierdzić.

– Co mogę zrobić, by odpokutować? Co mogę uczynić, by Bóg zesłał Arturowi syna dla Brytanii?

– Czy rzeczywiście zrobiłaś wszystko, by być pewna, że Brytania będzie mieć chrześcijańskiego króla? A może powstrzymujesz słowa, choć powinnaś je powiedzieć, bo chcesz się przypodobać twemu mężowi? – spytał ksiądz srogo.

A kiedy odszedł, leżała i wpatrywała się w sztandar. Wiedziała, że teraz już każdej nocy na niebie płoną północne ognie, na znak wielkiej bitwy, która ma nadejść; a jednak pewnego razu rzymski cesarz ujrzał na niebie znak krzyża i wtedy zmieniły się losy całej Brytanii. Gdyby mogła przynieść Arturowi taki znak...

– Chodź, pomóż mi wstać – rozkazała swej służącej. – Muszę skończyć sztandar, by Artur poniósł go do bitwy.

Tej nocy Artur przyszedł do jej komnaty właśnie w chwili, kiedy szyła ostatnie ściegi, a kobiety zapalały lampy.

– Jak się miewasz, moja droga? Cieszę się, że znów widzę cię na nogach, i to na tyle silną, by pracować – powiedział Artur i pocałował ją. – Najdroższa, nie wolno ci się tak zamartwiać... żadna kobieta nie mogłaby donosić dziecka do zdrowego porodu pod takim naciskiem, z bitwą wiszącą w powietrzu, naprawdę powinienem był cię wysłać do Kamelotu. Jesteśmy jeszcze młodzi, moja Gwenifer, Bóg może nam jeszcze zesłać wiele dzieci...

Widziała jednak ból wypisany na jego twarzy i wiedziała, że podziela jej smutek. Chwyciła jego dłoń i pociągnęła go na ławę, na której siedziała przed sztandarem.

– Czy nie jest ładny? – spytała, choć wiedziała, że zabrzmiało to jak pytanie dziecka pragnącego pochwały.

– Jest bardzo piękny. Myślę, że nigdy nie widziałem jeszcze tak pięknej roboty, jak ta. – To mówiąc, położył dłoń na haftowanej złotem purpurowej pochwie swego miecza, którego nigdy nie odkładał. – Ale twój sztandar jest jeszcze piękniejszy.

– A w każdy ścieg wszyłam modlitwę za ciebie i twoich rycerzy – powiedziała z dumą. – Arturze, posłuchaj mnie, czy nie myślisz, że może tak być, iż Bóg ukarał nas, bo uważa, że nie jesteśmy godni, by dać temu królestwu kolejnego króla, ty i ja, dopóki nie przysięgniemy wiernie Bogu służyć, nie na pogański sposób, ale na nowy, wedle nauk Chrystusa? Wszystkie złe pogańskie moce są zjednoczone przeciwko nam, a my musimy walczyć z nimi znakiem krzyża.

Artur położył rękę na jej dłoni i powiedział:

– Posłuchaj, kochanie, to szaleństwo. Wiesz dobrze, że służę Bogu najlepiej, jak mogę...

– Ale wciąż wznosisz ten pogański sztandar ze smokiem nad twymi wojskami! – krzyknęła.

Artur zmartwiony kręcił głową.

– Kochana moja, nie mogę złamać przysięgi danej Pani Avalonu, która posadziła mnie na tronie...



– To Bóg, nikt inny, posadził cię na tronie – powiedziała z zapalem. – Och, Arturze, jeżeli mnie kochasz, zrób to, jeśli chcesz, by Bóg dał nam następne dziecko! Czy nie widzisz, jak nas pokarał, zabierając naszego syna?!

– Nie powinnaś tak mówić – powiedział Artur zdecydowanie. – Nie wolno ci myśleć, że Bóg mógłby uczynić coś tak szalonego. Przyszedłem ci powiedzieć, że Saksoni w końcu się zbierają, a my wyruszamy, by wydać im bitwę pod Mount Badon! Chciałbym, byś była już na tyle zdrowa, by jechać do Kamelotu, ale nie... jeszcze nie...

– O, wiem doskonale, że jestem ci tylko zawadą! – krzyknęła gorzko. – Nigdy nie byłam niczym więcej, szkoda, że nie umarłam razem z moim dzieckiem!

– Nie, nie, nie mów tak – powtarzał Artur łagodnie. – Jestem przekonany, że z moim wspaniałym mieczem Ekskaliburem i moimi rycerzami zwyciężymy wroga. A ty musisz się za nas modlić dzień i noc, moja Gwenifer. – Wstał i dodał: – Wyruszamy dopiero o świcie. Postaram się przyjść do ciebie i się pożegnać, zanim wyruszymy, może przyjdzie także twój ojciec i Gawain, i może Lancelot, on przesyła ci swoje pozdrowienia, Gwenifer, bardzo się niepokoił, kiedy usłyszał, że jesteś taka chora. Czy porozmawiasz z nimi, jeśli przyjdą?

Spuściła głowę i powiedziała gorzko:

– Będę posłuszna woli mego pana i króla. Tak, niech przyjdą, choć dziwię się, że prosisz mnie o modlitwy, a nie mogę cię nawet przekonać, byś się pozbył tego pogańskiego sztandaru i wznosił znak Chrystusa... i bez wątpienia Bóg zna twoje zamiary, gdyż nie pozwolił ci wyruszyć do bitwy z przekonaniem, że twój syn będzie panował na tej ziemi, gdyż ty jeszcze nie postanowiłaś uczynić tej ziemi chrześcijańską...

Zatrzymał się i puścił jej dłoń. Czuła, jak na nią patrzy. W końcu ukląkł przy niej, chwycił ją pod brodę i podniósł jej twarz tak, by na niego spojrzała. Odezwał się bardzo cicho:

– Moja droga żono, moja jedyna miłości, w imię Boże, czy naprawdę w to wierzysz?

Potaknęła tylko, bo nie mogła mówić, ocierała łzy w rękaw sukni, jak małe dziecko.

– A ja ci mówię, kochana, tu przed Bogiem, że nie wierzę, by Bóg postępował w ten sposób ani w to, że ma dla niego jakieś znaczenie, jaki niesiemy sztandar. Ale jeśli to takie dla ciebie ważne... – Zatrzymał się i przełknął ślinę. – Gwenifer, nie mogę tego znieść, że jesteś w takiej rozpacz. Jeśli poniosę do bitwy ponad moimi wojskami ten sztandar z Dziewicą, to czy przestaniesz rozpaczać i będziesz się za mnie modlić do Boga z lekkim sercem?

Spojrzała na niego całkowicie odmieniona, jej serce wypełniała niesłychana radość. Czy naprawdę miał zamiar to dla niej zrobić?

– Och, Arturze, tak się modliłam, tak się modliłam...

– Tak więc – powiedział Artur z westchnieniem – przysięgam ci, Gwenifer, że wezmę do bitwy tylko twój Chrystusowy sztandar z Dziewicą i żaden inny znak nie będzie wzniesiony nad moim legionem. Niech się tak stanie, amen.

Pocałował ją, ale Gwenifer pomyślała, że jest bardzo smutny.

Ujęła jego dłonie i ucałowała je, i po raz pierwszy wydało jej się, że wężę na jego nadgarstkach nie są niczym innym, jak tylko wyblakłym obrazkiem, i że rzeczywiście musiała być szalona, myśląc, iż miały moc, by skrzywdzić ją czy jej dziecko.

Artur rozkazał swemu giermkowi, który czekał u progu, by ostrożnie zwinął sztandar, a potem wznosił go nad obozem.

– Gdyż wyruszamy o świcie – dokończył – a wszyscy muszą zobaczyć sztandar mojej królowej, ze Świętą Dziewicą i krzyżem powiewającym nad legionem Artura.

– Panie, a... a co ze sztandarem Pendragona? – Giermek patrzył na niego zaskoczony.

– Zanieś go do kasztelana i każ gdzieś odłożyć. Wyruszamy pod sztandarem Pana.

Giermek uczynił, jak mu kazano, a Artur spojrział na Gwenifer i uśmiechnął się, lecz niewiele było w tym uśmiechu radości.

– Przyjdę do ciebie o zachodzie wraz z twoim ojcem i kilkoma krewnymi. Zjemy wieczerzę tutaj, każę przynieść jedzenie do twojej komnaty, by Elaine nie musiała się kłopotać. Do zobaczenia, moja droga – powiedział i odszedł.

W końcu obiad podano jednak w innej sali, gdyż komnata Gwenifer nie pomieściłaby tylu gości. Gwenifer i Elaine założyły swe najlepsze szaty, które pozostały w Caerleon, i wplotły wstążki we włosy. Po ponurym odosobnieniu ostatnich tygodni miło było mieć jakieś święto. Ucztę – choć tak naprawdę nie składało się na nią nic więcej poza racjami wojskowymi – rozłożono na krzyżowych stołach. Większość ze starych doradców Artura została odesłana do Kamelotu, z biskupem Patrycjuszem włącznie, lecz na wieczerzę zaproszono Merlina Taliesina, króla Lota, króla Uriensa z Walii, diuka Markusa z Kornwalii, a także starszego przyrodniego brata Lancelota, Lionela z Mniejszej Brytanii, najstarszego syna i dziedzica króla Bana. Lancelot był tam także, znalazł nawet dogodny moment, by podejść do Gwenifer i ucałować jej dłoń, patrząc jej w oczy z beznadziejną czułością.

– Czy już wyzdrowiałaś, pani? Tak się o ciebie martwiłem. – Pocałował ją pod osłoną ciemności, poczuła tylko delikatne jak piórko muśnięcie jego ust na skroni.

Przybył także król Leodegranz, by posapując i mrużąc, ucałować jej czoło.

– Przykro mi z powodu twojej niemocy, moja droga, i że straciłaś swoje dziecko, ale Artur powinien był cię zapakować do lektyki i odesłać do Kamelotu, ja tak bym postąpił z Alienorą, gdyby mi się sprzeciwiła – gderał. – A teraz widzisz, że niczego nie zyskałaś, zostając!

– Nie wolno ci jej strofować – powiedział miękko Taliesin – już dość się nacierpiała, mój panie. Jeśli Artur nie ma jej za złe, to nie powinien robić tego również ojciec.

– Kim jest ten diuk Markus? – Elaine taktownie zmieniła temat.

– To kuzyn Gorloisa z Kornwalii, tego, który zginął, zanim Uther zasiadł na tronie – odparł Lancelot. – A teraz poprosił Artura, czy będzie mógł, jeśli wygramy bitwę pod Mount Badon, otrzymać Kornwalię przez małżeństwo z naszą krewną, Morgianą.

– Ten stary człowiek? – spytała Gwenifer zaskoczona.

– Myślę, że równie dobrze można wydać Morgianę za kogoś starszego, nie ma takiej urody, by zainteresować młodego człowieka – powiedział Lancelot. – Jest jednak uczona i mądra, ale tak się akurat składa, że Markus nie chce jej dla siebie, lecz dla swego syna Drustana, który jest jednym z najlepszych rycerzy Kornwalii. Artur właśnie mianował go na swego towarzysza, w wigilię jutrzejszej bitwy. Choć jest też prawdopodobne, że jeśli Morgiana nie wróci na dwór, Drustan poślubi córkę starego bretońskiego króla Hoela. – Lancelot zachichotał. – Dworskie plotki i swatanie małżeństw, czy nie ma innego tematu do rozmowy?

– Cóż – wtrąciła Elaine śmiało – a kiedy nam opowiesz o swoim małżeństwie, sir Lancelocie?

– W dniu, w którym twój ojciec ofiaruje mi twoją rękę, pani, nie odmówię. – Skłonił uprzejmie głowę. – Jednak twój ojciec będzie cię zapewne chciał wydać za kogoś bogatszego niż ja, a skoro dama mego serca jest już poślubiona... – skłonił się Gwenifer, a ona dostrzegła smutek w jego oczach – nie spieszę się do żeniaczki.

Elaine splonęła i spuściła oczy.

– Prosiłem Pellinora, by do nas dołączył – powiedział Artur – ale wolał zostać w obozie ze swymi ludźmi i pilnować porządku przy wymarszu. Niektóre wozy już ruszają. Patrzcie! – Wskazał na okno. – Strzały północy znów nad nami płoną!

– Czy Kevina Harfiarza nie ma z nami? – spytał Lancelot.

– Prosiłem, by przyszedł, jeśli chce – powiedział Taliesin – ale odparł, że woli nie obrażać królowej swoją obecnością. Czy poróżniliście się, Gwenifer?

– Odezwałam się do niego ostro, kiedy byłam chora i bardzo cierpiąca – powiedziała, spuszczając oczy. – Jeśli go zobaczysz, Lordzie Druidzie, czy powtórzysz mu, że bardzo chciałabym go prosić o wybaczenie?

Z Arturem u boku i jej sztandarem powiewającym nad obozem czuła miłość i łaskę dla wszystkich, nawet dla barda.

– Myślę, że on wie, iż przemawiała przez ciebie gorycz i rozpacz – odparł Taliesin łagodnie i Gwenifer ciekawa była, co też młodszy Druid mu powiedział.

Nagle drzwi się otwały i Lot z Gawainem wtargnęli do środka.

– Co się dzieje, królu Arturze? – spytał Lot. – Sztandar Pendragona, któremu ślubowaliśmy wierność, nie powiewa już nad obozem, a między Plemionami panuje wielkie poruszenie! Powiedz, co uczyniłeś?

Artur pobladł.

– Nic ponad to, kuzynie, co przystoi narodowi chrześcijańskiemu; będziemy walczyć pod sztandarem Chrystusa i Dziewicy.

– Łucznicy Avalonu mówią już o opuszczeniu cię, Arturze! – rzucił się na niego Lot. – Wywieś swój sztandar Chrystusa, jeśli tak ci nakazuje sumienie, ale wywieś obok niego także sztandar Pendragona z wężami mądrości albo ujrzysz swoje wojska rozproszone, z niezgodą

w sercach, jak były przez cały ten uciążliwy czas oczekiwania! Czy chcesz to wszystko zniszczyć? Piktowie ze swymi małymi elfimi strzałami zabili już wcześniej wielu Saksonów, a mogą zabić jeszcze więcej. Błagam cię, nie pozbywaj się w ten sposób ich sztandaru i ich pomocy!

Artur uśmiechnął się z trudem.

– Tak jak ów cesarz, który ujrzał znak na niebie i rzekł: *W imię tego znaku zwyciężymy*, tak uczynimy i my. Ty, Uriensie, który nosisz orły Rzymu, znasz tę historię.

– Znam, mój królu – powiedział Uriens. – Lecz czy mądrze jest zabierać znak ludziom Avalonu? Tak jak i ja, mój królu Arturze, ty także nosisz na rękach węże, na znak kraju starszego niż krzyż.

– Ale będzie to już nowy kraj, gdy wygramy tę bitwę – powiedziała Gwenifer. – A jeśli nie wygramy, nie będzie to miało znaczenia.

Kiedy mówiła, Lot odwrócił się w jej kierunku i popatrzył na nią z nienawiścią.

– Mogłem się domyśleć, że to twoja robota, królowo.

Gawain podszedł nerwowo do okna i spojrzał na obóz.

– Widzę ruch wokół ognisk – powiedział. – Mały lud Avalonu i ci z twoich ziem, królu Uriensie. Arturze, kuzynie. – Podszedł do króla. – Błagam cię, jako najstarszy z twych towarzyszy, zawieś nad obozem sztandar Pendragona dla tych, którzy chcą pod nim walczyć.

Artur zawahał się, ale spojrzał w błyszczące oczy Gwenifer, uśmiechnął się do niej i powiedział:

– Złożyłem przysięgę. Jeśli wygramy bitwę, nasz syn obejmie panowanie nad ziemią zjednoczoną pod znakiem krzyża. Nie mam władzy nad sumieniem innych, ale tak jak to napisano w Piśmie Świętym, ja i mój dom będziemy służyć Panu.

Lancelot głęboko wciągnął powietrze. Odsunął się od Gwenifer.

– Mój panie i królu, przypominam ci, iż jestem Lancelotem z Jeziora i czczę Panią Avalonu. W imieniu tej, mój królu, która była ci przyjacielem i dobroczyńcą, błagam cię o to: pozwól, abym sam poniósł do walki sztandar Pendragona. Wtedy dotrzymasz swojej przysięgi, lecz nie złamiesz przysięgi danej Avalonowi.

Artur zastanawiał się, Gwenifer niecierpliwie potrząsała głową, Lancelot patrzył na Taliesina. Biorąc ciszę za zgodę, Lancelot już miał wyjść z komnaty, kiedy odezwał się Lot:

– Arturze, nie! Już dosyć jest teraz gadania o tym, że Lancelot jest twoim ulubieńcem i dziedzicem! Jeśli on poniesie sztandar Pendragona, wszyscy pomyślą, iż sam go wyznaczyłeś, by niósł twój znak, i w kraju nastąpi podział: twoi zwolennicy pod znakiem krzyża i zwolennicy Lancelota pod Pendragonem!

– Ty niesiesz swój własny sztandar! – wybuchnął gwałtownie Lancelot. – Tak samo Leodegranz, tak samo Uriens i diuk Markus z Kornwalii, dlaczego ja nie mogę nieść swego sztandaru, sztandaru Avalonu?!

– Bo Pendragon to sztandar całej Brytanii, zjednoczonej pod jednym Wielkim Smokiem – powiedział Lot, a Artur westchnął i potaknął.

– Musimy walczyć pod jednym sztandarem, a tym sztandarem jest krzyż. Przykro mi, że muszę ci tego odmówić, kuzynie – powiedział Artur i wyciągnął dłoń do Lancelota. – Ale nie mogę na to pozwolić.

Lancelot stał z zaciśniętymi ustami, widać było, że powstrzymuje gniew. Potem podszedł do okna. Za jego plecami Lot powiedział:

– Słyszałem to pomiędzy moimi wojownikami z Północy, mówią, że to są włócznie Saksonów, z którymi musimy się zmierzyć, i że dzikie łabędzie krzyczą, i że na wszystkich nas czekają kruki...

Gwenifer stała, mocno trzymając dłoń Artura w swojej. Odezwała się spokojnie:

– W imię tego znaku zwyciężymy... – a Artur ścisnął jej dłoń.

– Choćby wszystkie moce piekieł, a nie tylko Saksoni, były przeciwko nam, pani, z moimi rycerzami nie mogę przegrać. I z tobą u mego boku, Lancelocie – powiedział Artur i podszedł, by przyciągnąć Lancelota bliżej siebie.

Przez chwilę Lancelot stał nieporuszenie, twarz miał wciąż ściągniętą w gniewną maskę. W końcu powiedział z głębokim westchnieniem:

– Niech tak będzie, Królu Arturze. Lecz... – Zawahał się, a stojąca blisko niego Gwenifer poczuła drżenie, które przebiegło po jego ramionach. – Nie wiem, co o tym powiedzą w Avalonie, kiedy wieść tam dojdzie, mój królu i panie.

I przez chwilę w komnacie zapadła zupełna cisza, tylko za oknem migotały ognie strzał Północy.

A potem Elaine zasłoniła okno, zakrywając złowieszcze znaki, i odezwała się wesoło:

– Zasiądźcie do wieczerzy, moi panowie! Bo jeśli wyruszacie do bitwy o świcie, nie możecie odjechać bez uczyty, a naszykowano dla was, co najlepsze!

Kiedy siedzieli przy wieczerzy, a Lot, Uriens i diuk Markus dyskutowali z Arturem o strategii i rozstawieniu wojsk, Gwenifer znów i znów napotykała spojrzenie ciemnych oczu Lancelota, które wypełniały smutek i rozpacz.

## 13

Kiedy Morgiana poprosiła o pozwolenie na opuszczenie dworu Artura w Caerleon, by odwiedzić Avalon i swą przybraną matkę, starała się skupiać myśli głównie na Vivianie – w ten sposób nie musiała rozważać tego, co wydarzyło się między nią i Lancelotem.

Ileć razy pozwoliła swym myślom zboczyć na ten temat, było to jak przypalanie gorącym żelazem wstydu. Ofiarowała mu siebie z całą szczerością, na stary sposób, a on nie chciał od niej nic poza dziecinną zabawą, która drwiła z jej kobiecości. Nie wiedziała nawet, czy jest

taka zła na niego czy na samą siebie, na to, że tak się z nią obszedł, czy na to, że tak go pragnęła...

Od czasu do czasu żałowała ostrych słów, które mu powiedziała. Dlaczego obrzuciła go wyzwiskami? Jest taki, jakim stworzyła go Bogini, ani gorszy, ani lepszy. Innym razem, w trakcie swojej podróży na wschód, czuła, że powinna raczej winić siebie; w myślach kołatała jej stara obelga Gwenifer: *mała i brzydka jak z czarownego ludu*. Gdyby miała więcej do zaoferowania, gdyby była taka piękna, jak piękna jest Gwenifer... gdyby zadowolili się tym, co on mógł jej dać... a potem nagle jej umysł przeskakiwał na drugą stronę: on ubliżył jej samej i Bogini poprzez nią... Tak udręczona jechała przez krainę zielonych pagórków. Po jakimś czasie jej myśli zwróciły się ku temu, co oczekiwało ją w Avalonie.

Opuściła Świętą Wyspę bez pozwolenia. Wyrzekła się statusu kapłanki, zostawiając nawet swój nóż inicjacyjny; od tamtej pory, przez te wszystkie lata, zawsze zaczesywała włosy nisko na czoło, by nikt nie mógł dostrzec wytatuowanego na nim niebieskiego półksiężycy. Teraz w jednej z wiosek zamieniła niewielki połączony pierścionek na trochę niebieskiego barwika, którego używały Plemiona, i odświeżyła wyblakły znak.

*Wszystko, co mnie spotkało, zdarzyło się dlatego, że złamałam przysięgi dane Bogini...* potem przypomniało jej się, co Lancelot powiedział w swej rozpacz, że nie ma ani Bogów, ani Bogiń, że to tylko kształty, które przerażona ludzkość nadaje temu, czego nie potrafi pojąć rozumem.

Nawet gdyby to była prawda, wcale nie umniejszało to jej winy.

Bo czy Bogini rzeczywiście przybiera taką formę, jak sobie wyobrażali, czy też jest jeszcze inną wielką niewiadomą natury, to jednak ona opuściła świątynię i sposób życia i myślenia, któremu była zaprzysiężona, zapomniała o wielkich falach i rytmach ziemi. Jadła pokarm zabroniony kapłankom, odbierała życie zwierzętom, ptakom i roślinom, nie składając dziękczynienia dla tej części Bogini, która poświęcała się dla jej dobra; żyła bezmyślnie, oddała się mężczyźnie, nie próbując poznać woli Bogini w jej słonecznych falach, zrobiła to dla czystej przyjemności, by zaspokoić pragnienie. Nie, to nie do pomyślenia, że wróci i wszystko będzie jak dawniej. Jadąc pośród wzgórz, dojrzewających pól w użyźniającym je deszczu, z coraz to większym i większym bólem zaczęła zdawać sobie sprawę, jak daleko odeszła od nauk Viviany i Avalonu.

*Przepaść jest większa, niż myślałam. Nawet jeżeli ci, którzy orzą ziemię, oddalają się od niej w swym życiu, będąc chrześcijanami, to czynią tak dlatego, że ich religia powiada, iż Bóg dał im władzę nad wszystkimi żyjącymi roślinami i zwierzętami. Jednak my, mieszkańcy wzgórz i moczarów, lasów i dalekich pól, my wiemy, że to nie my mamy władzę nad naturą, lecz ona ma władzę nad nami, od momentu kiedy pożądanie rozpala lędźwie naszych ojców i łona naszych matek, by wydać nas na świat, pod jej władaniem, poprzez czas, kiedy dojrzewamy w łonie i rodzimy się w jej imię, poprzez życie roślin i zwierząt, które musi zostać poświęcone, by nas ubrać i wyżywić, i dać nam siłę do życia... wszystko to, wszystko jest we*

*władaniu Bogini i bez jej łaskawego przyzwolenia żaden z nas nie wydałby pierwszego oddechu, wszystko stałoby się jałowe i umarło. I nawet kiedy nadchodzi czas naszej jałowości i śmierci, tak by inni mogli nadejść i zająć nasze miejsce na ziemi, to także jej sprawa, tej, która jest nie tylko Zieloną Panią żyznych pól, lecz także Czarną Panią ziarna leżącego w ukryciu pod śniegiem, panią kruka i jastrzębia, które przynoszą śmierć innym zwierzętom, i panią robaków, które w głębi ziemi pracują nad zniszczeniem tego, co już odstąpiło swój czas; na ostatku jest także Naszą Panią gnicia, niszczenia i śmierci...*

Rozmyślając nad tym wszystkim, Morgiana zrozumiała w końcu, że to, co stało się między nią i Lancelotem, było naprawdę nieistotne; największy grzech nie był w tym, co robiła z Lancelotem, lecz w jej sercu, w tym, że odwróciła się od Bogini. Jakie ma znaczenie to, co księża uważają za dobre, cnotliwe, grzeszne czy wstydlive? Rana zadana jej dumie to tylko uzdrawiające oczyszczenie.

*Bogini rozprawi się z Lancelotem w swoim czasie i na swój własny sposób. To nie należy do mnie.* W tym momencie pomyślała, że najlepiej by było, gdyby już nigdy nie ujrzała swego kuzyna na oczy.

Nie. To niemożliwe, by mogła wrócić na swe miejsce wysokiej kapłanki... Viviana może się jednak zlitować i pozwolić jej naprawić grzechy popełnione przeciwko Bogini. W tej chwili myślała, że byłaby szczęśliwa, gdyby mogła zostać w Avalonie choćby jako służąca lub pokorna robotnica na polach. Czuła się jak chore dziecko, które spieszy, by złożyć głowę na kolanach swej matki i zapłakać... pośle po swego syna, żeby się wychowywał w Avalonie między kapłanami, i nigdy już nie zboczy z drogi, w której została wykształcona...

Kiedy po raz pierwszy znów ujrzała Tor, który wzbijał się dumnie pomiędzy innymi wzgórzami, zielony i wieczny, po jej twarzy popłynęły łzy. Wraca do domu, do domu, do swego własnego miejsca i do Viviany. Stanie w kamiennym kręgu i będzie się modlić do Bogini, by jej omyłki zostały naprawione, by mogła powrócić do tego miejsca, z którego przegnała ją jej własna duma i zapamiętanie.

Wydało jej się, że Tor bawi się z nią w ciuciubabkę, raz był widoczny, wzbijał się między wzgórzami jak nabrzmiąły fallus, to znów ukrywał się między mniejszymi pagórkami lub znikał zupełnie w gęstej mgle. W końcu Morgiana przybyła nad ten sam brzeg Jeziora, gdzie tyle lat temu przyjechała z Vivianą.

W świetle późnego popołudnia szare wody rozciągały się przed nią cichą pustką. Na tle czerwieniejącego nieba trzciny były czarne i gołe, a brzegi Wyspy Księży, ledwo co widoczne, wynurzały się z mgły zachodu. Nic nie szeleściło, nic nie poruszało się w wodzie, choć całym sercem i wysiłkiem woli rozpaczliwie próbowała dotrzeć myślą do Świętej Wyspy i przywołać łódź... Przez godzinę stała bez ruchu. Potem zapadła ciemność. Zrozumiała, że przegrała.

Nie... łódź nie przyjedzie po nią, ani tej nocy, ani kiedykolwiek.

Przyjechałaby po kapłankę, po wybraną, ukochaną wychowankę Viviany; ale nie przyjedzie po uciekinierkę, która żyła na świeckich dworach i przez cztery lata robiła, co jej się podobało. Już raz, podczas swojej inicjacji, została wyrzucona z Avalonu, a cały sprawdzian, czy nadaje się na kapłankę, polegał właśnie na tym, czy potrafi wrócić bez niczyjej pomocy. Nie mogła przywołać łodzi. Z całej duszy bała się krzyknąć na głos słowo mocy, które sprowadziłoby łódź poprzez mgły. Ten, kto zdradził swoje prawo do tego, by być nazywanym dzieckiem Avalonu, nie był tego godzien. Kiedy wody pociemniały, a ostatki słonecznego światła wyblakły w mgłach zmierzchu, Morgiana patrzyła z rozpaczą na odległy brzeg. Nie, nie śmie wezwać łodzi. Była jeszcze inna droga do Avalonu, przez drugi brzeg Jeziora, gdzie można przejść po tajemnej ścieżce wśród moczarów i tam odnaleźć drogę do ukrytego świata. Zbolała z samotności, zaczęła iść wzdłuż brzegu, prowadząc za sobą konia. Cicha obecność wielkiego zwierzęcia, jego chrapliwy oddech za jej plecami, dawały małe pocieszenie. Gdyby wszystko zawiodło, może spędzić noc nad brzegami jeziora. To nie będzie pierwsza noc, którą prześpi samotnie na wolnym powietrzu. A rano znajdzie drogę. Przypomniała jej się tamta samotna podróż na dwór Lota, w przebraniu, wiele lat temu.

Wygodne życie i dobrobyt dworu osłabiły ją, ale zrobi to znowu, jeśli będzie trzeba.

Było tak cicho, nie słyhać było ani dźwięku dzwonów z Wyspy Księży, ani śpiewów z klasztoru, ani krzyku ptaków. Jakby weszła w zaczarowaną krainę. W końcu znalazła miejsce, którego szukała.

Ściemniało się i w gęstniejącym mroku każdy krzak czy drzewo przybierało dziwny kształt jakiegoś potwora, smoka, dziwadła. Morgiana odzyskiwała jednak sposób myślenia, który miała, kiedy żyła w Avalonie; nie ma tu nic, co by mogło ją skrzywdzić, jeśli ona nie zamierza niczemu uczynić krzywdy.

Zaczęła iść tajemną ścieżką. W połowie drogi musi przejść przez mgły, bo inaczej ścieżka zaprowadzi ją tylko do kuchennego ogródka mnichów za klasztorem. Stanowczo postanowiła nie myśleć o gęstniejącej ciemności, lecz pogрузić się w medytacji i skupić umysł nad celem swej podróży. Jakby każdym krokiem wypowiadała zaklęcie, jakby wchodziła spiralną drogą na szczyt Toru i zbliżała się do kamiennego kręgu... poruszała się cicho z półprzymkniętymi oczyma, uważnie stawiając nogę za nogą. Teraz czuła już wokół siebie chłód mgieł.

Viviana wcale nie uważała tego za takie znów zło, że ona zległa ze swym bratem i urodziła mu dziecko... to dziecko pochodzące z królewskiej linii Avalonu było bardziej królem niż sam Artur. Gdyby takie dziecko urodziła Lancelotowi, mogłoby się wychowywać tu, w Avalonie, i pewnego dnia zostać największym z Druidów. A teraz co się stanie z jej synem? Dlaczego zostawiła Gwydiona w rękach Morgause? *Jestem wyrodną matką*, myślała Morgiana. Powinnam posłać po mego syna. Nie miała jednak ochoty spojrzeć w oczy Artura i powiedzieć mu o istnieniu jego dziecka. Nie chciała, by księża i damy dworu patrzyły na nią i mówiły: To jest kobieta, która urodziła syna Rogatemu Panu wedle starego pogańskiego zwyczaju Plemion, które malują twarze, noszą rogi i biegają między jeleniami, jak dzikie



zwierzęta... chłopcu jest dobrze tam, gdzie jest. Dwór Artura to nie miejsce dla niego, a co ona by poczęła z trzyletnim chłopczykiem płaczącym jej się pod nogami? Pod nogami Artura?

Były jednak chwile, kiedy o nim myślała, wspominała noce, kiedy go jej przynosili, nakarmionego i słodko pachnącego, kiedy tuliła go i pieściła, nie myśląc o niczym, a całe jej ciało wypełniało niewysłowione szczęście... kiedy jeszcze była taka szczęśliwa? *Tylko raz*, myślała, *kiedy ja i Lancelot leżeliśmy w słońcu na szczycie Toru, kiedy polowaliśmy na wodne ptaki nad brzegami Jeziora...* nagle zamrugnęła i stwierdziła, że do tej pory powinna już zejść o wiele dalej, powinna już minąć mgły i być na stałym lądzie Avalonu.

I rzeczywiście, moczary zniknęły, otaczały ją drzewa, a ścieżka pod stopami była twarda, nie doszła też do ogrodu mnichów czy ich zabudowań. Powinna w tej chwili być na łące za Domem Dziewcząt, która styka się z sadem. Teraz musi pomyśleć o tym, co powie, kiedy ją tu znajdą, o słowach, którymi winna przemówić do mieszkańców Avalonu, by przekonać ich, że ma prawo tu być. Czy naprawdę ma?

Wydało jej się, że jest jaśniej, może już wschodził księżyc, było trzy czy cztery dni po pełni, wkrótce będzie na tyle jasno, że znajdzie drogę. Nie mogła oczekiwać, że każde drzewo i krzak będą dokładnie takie same jak wtedy, kiedy tu mieszkała i znała każdą piędź ziemi.

Zacisnęła dłoń na uździe swego konia, nagle zalękniona, że może zgubić drogę na tych kiedyś dobrze znanych terenach.

Nie, rzeczywiście robiło się coraz jaśniej, już całkiem wyraźnie rozróżniała krzaki i drzewa. Jeśli wschodził księżyc, dlaczego nie widziała go ponad drzewami? Może w jakiś sposób zawróciła, kiedy tak szła z na wpół zamkniętymi oczyma, próbując odnaleźć ścieżkę, która poprowadzi ją poprzez mgły do innego świata? Gdyby tylko mogła dostrzec jakiś znany szczegół! Nie było chmur, wyraźnie widziała niebo, mgły też zniknęły, ale nie dostrzegęła żadnej gwiazdy.

Może już zbyt długo przebywała daleko od takich rzeczy? Nie widziała choćby śladu wschodzącego księżyca, choć minęło już wiele czasu, odkąd niebo...

Nagle poczuła, jakby lodowata woda spłynęła w dół jej kręgosłupa i zamieniła w lód krew krążącą w jej żyłach. Tamtego dnia, kiedy poszła szukać ziół i korzeni, kiedy chciała pozbyć się rosnącego w niej dziecka... czy znów zawędrowała do tej zaczarowanej krainy, która nie była ani światem Brytanii, ani tajemnym światem, w którym magia Druidów ukryła Avalon, lecz jeszcze starszą, ciemniejszą krainą, w której nie było ani gwiazd, ani słońca...?

Próbowała uspokoić gwałtowne bicie serca. Mocniej ścisnęła końską uzdę i przytuliła się do ciepłej, spoczonej sierści, czując solidność mięśni i kości, słysząc ciężki oddech zwierzęcia, rzeczywisty i prawdziwy. Oczywiście, jeśli zatrzyma się na chwilę i zbierze myśli, na pewno odnajdzie drogę... ale lęk w niej narastał.

*Nie mogę wrócić. Nie mogę wrócić do Avalonu, nie jestem godna, nie potrafię odnaleźć drogi we mgle...* W dniu próby inicjacyjnej przez chwilę czuła się podobnie, ale wtedy stanowczo zwalczyła swój strach.

*Wtedy byłam młodsza i niewinna. Wtedy jeszcze nigdy nie zdradziłam Bogini ani tajemnych nauk, nigdy nie zdradziłam życia...*

Morgiana walczyła, by opanować narastające fale strachu. Strach i to najgorsza rzecz. Strach spowoduje, że znajdzie się na łasce wszelkiego nieszczęścia. Nawet dzikie zwierzęta potrafią wyczuć strach w ludzkim ciele i zaatakować, choć przed odważnymi uciekają.

Dlatego właśnie najodważniejsi z ludzi mogli bezpiecznie biegać między jeleniami tak długo, aż na ich skórze nie pojawił się zapach strachu... czy to dlatego, zastanawiała się, smarowano ich ciała tym kwaśnym niebieskim barwikiem, że pokrywał zapach strachu? Może prawdziwie odważni ludzie to ci, którzy w myślach nie przedstawiają sobie obrazów tego, co może się stać, jeśli sprawy ułożą się niepomyślnie.

Nic nie może jej tutaj skrzywdzić, nawet gdyby się okazało, że zawędrowała do samej czarownej krainy. Przecież już raz tu była, a ta kobieta, która wtedy z niej drwiła, ani jej nie groziła, ani nie chciała jej skrzywdzić. Ci ludzie są nawet starsi niż Druidzi, ale oni swym życiem i zwyczajami przestrzegają woli Bogini i mogło się nawet okazać, że potrafią wskazać jej właściwą drogę. Tak więc w żadnym wypadku nie ma się czego bać. W najgorszym razie nie spotka nikogo i spędzi samotną noc między drzewami.

Nagle zobaczyła światło – czy było to jedno ze świateł, które paliły się na dziedzińcu Domu Dziewcząt? Jeśli tak, to niebawem będzie w domu, a jeśli nie, będzie mogła zapytać o drogę ludzi, których tam napotka. Jeśli zboczyła na Wyspę Księży i spotka kogoś z mnichów, on może się jej przestraszyć, myśląc, że jest czarownicą. Zastanawiała się, czy od czasu do czasu kobiety z czarownej krainy nie przychodzą tu, by kusić księży. To byłoby zrozumiałe, że tutaj, w samym sercu świątyni Bogini, niektórzy księża z większą wyobraźnią niż inni mogli odczuwać pulsowanie tego miejsca, rozumieć, że ich sposób życia jest wyrzeczeniem się życiodajnych sił, którymi tętni cały świat. Wyrzekali się życia, zamiast je sławić, począwszy od życia serca i życia natury, aż do tego życia, które przepływa między mężczyzną i kobietą.

*Gdybym ja była Panią Avalonu, to w noc, kiedy księżyc jest w nowiu, wysyłałabym dziewczęta do tego męskiego klasztoru, żeby im pokazać, iż Bogini nie wolno lekceważyć ani się jej wypierać, że są mężczyznami, a kobiety nie są podstępny wymysłem ich wyimaginowanego diabła, i że Bogini potrafi ich zmusić do uległości... o tak, na święto Beltanu albo w lecie...*

*A może ci szaleni księża wyrzuciliby dziewczęta i myśleli, że to demony, które przybyły na pokusę ich wiary? Przez chwilę wydało jej się, jakby słyszała głos Merlina: Niechaj wszystkim ludziom wolno będzie czcić takiego Boga, jakiego chcą...*

*Nawet takiego, myślała, który wypiera się samego życia na ziemi? Wiedziała jednak, że Taliesin by odpowiedział: Tak, nawet takiego...*

Teraz wśród drzew widziała już wyraźnie kształt pochodni, płonącej żółtobłękitnym ogniem. Jej blask na chwilę ją oślepił, a potem zobaczyła człowieka, który niósł tę pochodnię. Był szczupły i smagły, nie był to ani ksiądz, ani Druid. Na biodrach miał przepaskę z poplamionej jeleniej skóry, a na nagich ramionach jakiś ciemny płaszcz; wyglądał jak jeden z małych ludzi Plemion, ale był od nich wyższy. Włosy miał długie i czarne, a na nich girlandę z kolorowych liści – jesiennych liści, choć liście na drzewach jeszcze nie pożółkły.

Jego głos był miły i miękki, kiedy przemówił do Morgiany w starym dialekcie:

– Witaj, siostrze, czy zaskoczyła cię noc? Chodź tędy. Pozwól, poprowadzę twego konia, znam ścieżkę.

To wygląda tak, pomyślała Morgiana, jakby mnie tu oczekiwano.

Poszła za nim, jak we śnie. Pod stopami ścieżka stawała się szersza i łatwiejsza do stapania, a blask pochodni rozwiewał mglisty mrok.

Mężczyzna prowadził konia, a od czasu do czasu odwracał się do niej i uśmiechał. Potem zatrzymał się i wziął ją za rękę, jakby prowadził małe dziecko. Miał bardzo białe zęby, a jego czarne oczy radośnie błyszczały w świetle pochodni.

Było teraz więcej światła; w pewnym momencie, nawet nie zauważyła kiedy, oddał jej konia komuś innemu i poprowadził ją w krąg światła – nie pamiętała, by wchodziła do środka, a jednak znalazła się w wielkiej sali, gdzie ucztowali mężczyźni i kobiety w girlandach na głowach. Niektórzy mieli wieńce z jesiennych liści, girlandy niektórych kobiet były z pierwszych wiosennych kwiatów, małych bladych pierwiosnków, które zakwitają w ukryciu, nawet zanim jeszcze zejdą śniegi. Gdzieś grała harfa.

Przewodnik nie opuszczał jej boku. Zaprowadził ją do głównego stołu, gdzie jakoś bez specjalnego zdziwienia Morgiana rozpoznała tę samą kobietę, którą widziała wcześniej, tę, która na głowie miała wieniec z nagich, białych kwiatów łożyny. Szare oczy kobiety były bez wieku, pełne mądrości, jakby potrafiła zrozumieć i odczytać wszystkie rzeczy.

Mężczyzna usadził Morgianę na ławie i włożył w jej dłoń kufel zrobiony z jakiegoś metalu, którego nie znała... napój w nim był słodki i łagodny i miał smak torfu i wrzosów. Piła spragniona i po chwili zdała sobie sprawę, że wypła zbytnie szybko po tak długim poście i poczuła oszołomienie. Przypomniała jej się stara opowieść – jeśli zabłądzisz do czarownej krainy, pamiętaj, żeby nigdy nie pić ani nie próbować ich jedzenia... ale to była tylko stara baśń, oni nie zrobią jej krzywdy.

– Co to za miejsce? – spytała.

– To Zamek Chariot – odpowiedziała Pani. – Witaj w naszych progach Morgiano, królowo Brytanii.

– Nie, nie, ja nie jestem królową – powiedziała, potrząsając głową. – Moja matka była Najwyższą Królową, ja jestem tylko księżniczką Kornwalii, nic więcej...

Pani uśmiechnęła się.

– To wszystko jedno. Jesteś zmęczona, długo byłaś w drodze. Jedz i pij, siostrzyczko, a jutro ktoś zaprowadzi cię, gdzie tylko będziesz chciała. Teraz jest czas, by ucztować...

Na jej talerzu pojawiły się owoce, chleb – ciemny, miękki chleb z jakiegoś nieznanego ziarna, wydawało jej się, że gdzieś już go próbowała... Zobaczyła, że mężczyzna, który ją tu przyprowadził, ma na rękach złote bransolety, które wiją się jak żywe węże...

Przetarła oczy, myśląc, że zapadła w dziwny sen, i kiedy znów spojrzała, zobaczyła tylko bransoletę, a może nawet tatuaż, taki, jaki Artur otrzymał na ceremonii pasowania na króla. Czasami, kiedy spoglądała na tego człowieka, pochodnie świeciły tak dziwnie, że wydawało jej się, iż nad jego czołem widzi cień poroża, a Pani ma koronę i naszyjnik ze złota. Po chwili znów wyglądało to tak, jakby to był jedynie wieniec z łożyny i naszyjnik z małych muszelek, tych, które miały kształt intymnych części kobiecych i dlatego były poświęcone Bogini. Siedziała między nimi, skądś dobiegał dźwięk harfy, muzyką słodsza niż ta, którą grały nawet harfy Avalonu...

Nie czuła już znużenia. Słodki napój oczyścił jej umysł ze zmęczenia i smutku. Później ktoś włożył w jej dłonie harfę i ona także grała i śpiewała; nigdy przedtem jej głos nie brzmiał tak słodko, miękko i czysto. Grając, zapadła w sen, w którym wszystkie twarze wokół niej miały rysy podobne do ludzi, których znała... Wydało jej się, że spaceruje po brzegu słonecznej wyspy i gra na dziwnie wygiętej harfie. A potem był czas, że siedziała na wielkim kamiennym dziedzińcu i stary, mądry Druid w dziwnych, długich szatach uczył ich posługiwać się kompasem i określać pozycje gwiazd, i były też pieśni i dźwięki, które potrafiły otwierać zamknięte drzwi lub wznosić kamienne kręgi, a ona nauczyła się tego wszystkiego i na jej czoło włożono złotą koronę w kształcie węża...

Pani powiedziała, że nadszedł czas na spoczynek – o poranku ktoś przyprowadzi jej konia. Tej nocy spała w chłodnej komnacie obwieszanej liśćmi, a może to były kobierce, które tylko wydawały się poruszać i zmieniać, opowiadając historie wszelakich rzeczy, które się wydarzyły? Zobaczyła też samą siebie, utkaną na tych kobiercach, z harfą w dłoniach, z Gwydionem na kolanach, i zobaczyła inny swój obraz utkany na kobiercu – była na nim razem z Lancelotem – bawił się jej włosami i trzymał ją za rękę, i wiedziała, że było coś, o czym powinna pamiętać, jakiś powód, dla którego powinna być zła na Lancelota; nie mogła sobie jednak przypomnieć, co to było.

Kiedy Pani powiedziała, że tego dnia jest święto, więc powinna pozostać jeszcze dzień lub dwa i tańczyć z nimi, zgodziła się... od tak dawna przecież nie tańczyła i nie weseliła się. Kiedy próbowała wyliczyć, jakie to było święto, nie mogła sobie przypomnieć... z pewnością nie zrównanie dnia z nocą, jeszcze było za wcześnie, nie mogła też dostrzec księżyca ani gwiazd, żeby sama to określić, tak jak ją uczono.

Ozdobili jej włosy girlandą z kwiatów – kolorowych, letnich kwiatów, bo jak powiedziała Pani – nie jesteś już dziewicą. Była bezgwiezdna noc i martwiło ją to, że nie widzi księżyca,

tak jak za dnia nie widziała słońca. Czy minął jeden dzień, czy też dwa, a może trzy? Czas zdawał się nie mieć znaczenia; jadła, kiedy była głodna, spała w miejscu, w którym akurat poczuła znużenie, sama albo kładła się na łożu miękkim jak trawa z jedną z dziewcząt. Kiedyś, ku swemu zdziwieniu stwierdziła, że dziewczyna – tak... była podobna do Raven – obejmuje ją ramionami i całuje, a ona oddaje pocałunki bez zdziwienia czy wstydu. Było tak, jak to bywa w snach, gdzie dziwne rzeczy są całkowicie możliwe, owszem, dziwiła się temu trochę, a równocześnie to nie miało żadnego znaczenia, żyła w zaczarowanym śnie. Czasami zastanawiała się, co się stało z jej koniem, lecz kiedy wspomniała o odjeździe, Pani powiedziała, że nie powinna jeszcze o tym myśleć, chcieli, by została z nimi dłużej... kiedyś, lata później, kiedy próbowała sobie przypomnieć wszystko, co jej się przydarzyło w Zamku Chariot, uświadomiła sobie, że była taka chwila, gdy leżała na kolanach Pani i ssała jej pierś, i nie wydawało jej się to wcale dziwne, że ona, dorosła kobieta, leży w ramionach swojej matki i jest całowana i pieszczona jak niemowlę. To z pewnością musiał być tylko jeden ze snów, kiedy była zamoczona tym mocnym, słodkim winem...

Czasem wydawało jej się, że Pani była Vivianą, i myślała wtedy: *Czy zachorowałam? Czy majaczę w gorączce i śnią mi się wszystkie te dziwne rzeczy?* Spacerowała z dziewczętami i szukała korzeni i ziół, a pory roku nie miały znaczenia. A podczas święta – czy było to tej samej nocy czy następnej? – tańczyła przy dźwiękach harf, a potem sama zasiadła do gry, a muzyka, którą grała, brzmiała zarazem wesoło i melancholijnie.

Kiedyś, kiedy szukała jagód i kwiatów na girlandy, potknęła się o coś – białe, wyczyszczone kości jakiegoś zwierzęcia. Dokoła szyi miało kawałek skórzanego paska, a na nim skrawek czerwonej materii – przypominało to torbę, w której przewoziła swój dobytek, jadąc z Caerleon. Zastanawiała się, co się stało z jej własnym koniem, czy jest bezpieczny w tutejszych stajniach? W zaczarowanym zamku w ogóle nie widziała stajni, ale przypuszczała, że musiały gdzieś być.

Na razie wystarczyło jej, że śpiewa, tańczy, pozwala czasowi płynąć oczarowana...

Raz ten sam człowiek, który ją tu przywiódł, wyprowadził ją z tanecznego kręgu. Nigdy nie poznała jego imienia. Skoro nie widziała ani słońca, ani księżyca, to w jaki sposób fale przyływu mogły tak burzyć krew w jej żyłach?

– Masz przy sobie nóż – powiedział. – Musisz go odłożyć, nie mogę znieść jego obecności.

Rozplatała skórzany rzemień, który miała obwiązany wokół pasa, i odrzuciła sztylet daleko, nie wiedziała nawet, gdzie upadł. Wtedy mężczyzna przyszedł do niej, jego czarne włosy opadły na jej włosy; jego usta miały słodki smak jagód i tego mocnego, wrzosowego napoju. Rozebrał ją. Przywykła do zimna, nie przeszkadzało jej, że trawa pod nimi była chłodna, że ona była naga pod jego ciałem.

Dotknęła go, był ciepły, jego ciało było ciepłe, jego mocny męski członek gorący i twardy, jego ręce, które otwierały jej uda, były silne i niecierpliwe. Całe jej ciało przyjęło go

z takim głodem, jak ciało dziewicy. Poruszała się wraz z nim i wokół siebie czuła rytm pulsujących pod nią fal ziemi.

Potem się przestraszyła... nie chciała, by dał jej dziecko, tak bardzo chorowała po porodzie Gwydiona, że kolejne dziecko z pewnością by ją zabiło. Kiedy miała to powiedzieć, czule położył dłoń na jej ustach i zrozumiała, że czytał w jej myślach.

– Nie obawiaj się tego, słodka pani, fale nie są dobre po temu... to jest czas rozkoszy, nie rozmnażania – powiedział miękko, a ona poddała się jego ciału.

Tak, widziała poroże ocieniające jego czoło, znów leżała z Rogatym Panem i było tak, jakby gwiazdy spadały w otaczający ich las, czy może były to tylko błędne ognie i świetliki?

Raz chodziła po lesie z dziewczętami i doszła do jeziora, pochyliła się i zerkając w głębię wody, zobaczyła patrzącą na siebie twarz Viviany. Jej włosy już siwiały, pełno w nich było siwych kosmyków, na twarzy miała zmarszczki, których Morgiana nie pamiętała. Usta Viviany były otwarte, wydawała się wołać, a Morgiana myślała: *Jak długo tutaj jestem? Z pewnością muszę tu być już cztery czy pięć dni, może nawet tydzień. Muszę iść. Pani powiedziała, że ktoś odprowadzi mnie do brzegów Avalonu...*

I poszła do Pani, i powiedziała jej, że naprawdę musi teraz odejść.

Zapadał jednak już zmrok, z pewnością jutro będzie na to czas...

Potem znów wydało jej się, że widzi w wodzie Artura, jego wojsko się zbierało... Gwenifer wyglądała na znużoną i dziwnie postarzałą, trzymała Lancelota za rękę, kiedy się z nią żegnał, a on pocałował ją w usta. *O tak*, myślała Morgiana z goryczą, *w takie gry on właśnie lubi się bawić. I to Gwenifer odpowiada – mieć całą jego miłość i oddanie i nigdy nie narazić swego honoru...* O nich też z łatwością zapomniała.

A potem pewnej nocy przebudziła się przestraszona, słysząc skądś potężny krzyk, i przez chwilę wydało jej się, że stoi na szczycie Toru pośrodku kamiennego kręgu i słyszy ten przeszywający krzyk, rozbrzmiewający poprzez światy – ten głos, który słyszała tylko raz, odkąd dorosła, ten zachrypnięty, ostry głos, stępiony od nieużywania, głos Raven, która łamała swe milczenie tylko wtedy, kiedy Bogowie chcieli przekazać wieść, którą obawiali się powierzyć komuś innemu..

*Ach! Pendragon zdradził Avalon, smok odleciał... sztandar smoka nie powiewa już przeciw saksońskim wojownikom... płaczcie, płaczcie, jeśli Pani postawi stopę poza ziemią Avalonu, bo z pewnością nie wróci tu więcej... i tylko odgłos szlochu i płaczu w nagłej ciemności...*

I cisza. Morgiana usiadła wyprostowana, komnatę zalewało szarawe światło, po raz pierwszy od chwili, kiedy przybyła do tej dziwnej krainy jej umysł był zupełnie jasny.

*Jestem już tutaj zbyt długo, przyszła zima. Muszę natychmiast odjechać, zaraz, zanim ten dzień dobiegnie końca... Nie, nie mogę nawet tak powiedzieć, bo słońce tutaj nie zachodzi... Muszę odejść zaraz, natychmiast.* Wiedziała, że powinna poprosić o swego konia, a potem

nagle przypomniała sobie i zrozumiała: jej koń od dawna leżał martwy w lesie. Z nagłym lękiem pomyślała: Od jak dawna tutaj jestem?

Sięgnęła po swój sztylet i przypomniała sobie, że go wyrzuciła.

Zawiązała na sobie szatę – wydała jej się spłowiała. Nie pamiętała, by prała suknię ani bieliznę, ale nie były zbyt zabrudzone. Nagle przyszło jej do głowy, czy nie oszalała.

*Jeśli przemówię do Pani, będzie mnie znów prosiła, bym nie odjeżdżała...*

Zaplotła włosy i upięła je do góry... dlaczego pozwoliła im zwisać luźno, ona, dorosła kobieta? Wyruszyła ścieżką, która, jak myślała, zaprowadzi ją do Avalonu.

### **Mówi Morgiana...**

*Do dzisiejszego dnia nigdy się nie dowiedziałam, ile nocy i dni spędziłam w czarownej krainie – nawet teraz umysł mnie zawodzi, kiedy próbuję to ustalić. Przy największych staraniach mogę się doliczyć nie mniej niż pięciu, ale nie więcej niż trzynastu dni. Nie jestem też pewna, ile czasu upłynęło w świecie na zewnątrz ani w Avalonie, kiedy tam byłam, jednak dzięki temu, iż ludzkość lepiej liczy czas niż czarowny lud, wiem, że minęło jakieś pięć lat.*

*Być może, a myślę o tym coraz częściej, kiedy się starzeję, to, co określamy przemijaniem czasu, wydarza się jedynie dlatego, że całym naszym ciałem i duszą przywykliśmy do tego, by wszystko liczyć – paluszki nowo narodzonego dziecka, wschody i zachody słońca... tak często myślimy o tym, ile dni musi minąć albo ile pór roku, zanim dojrzeją plony, albo zanim nasze dziecko dojrzeje w łonie i przyjdzie na świat, albo kiedy wydarzy się jakieś dawno upragnione spotkanie; i liczymy czas obrotami ziemi i powrotami słońca, co jest pierwszym kapłańskim sekretem. W czarownej krainie nie wiedziałam nic o przemijaniu czasu, a więc dla mnie on nie przemijał. Bo kiedy stamtąd powróciłam, zobaczyłam, że na twarzy Gwenifer jest więcej zmarszczek, a subtelna młodość Elaine zaczyna już trochę więdnąć, ale moje własne ręce nie były chudsze, moja twarz była nietknięta przez zmarszczki i choć w naszej rodzinie siwizna pojawia się w młodym wieku – w dziewiętnastej wiosnie Lancelot miał już parę siwych kosmyków – moje włosy były nietknięte czasem i czarne, jak krukże skrzydła.*

*Zaczęłam też myśleć, że od kiedy Druidzi zabrali Avalon z tego świata ciągłego liczenia i pamiętania, to zaczyna się przytrafiać także tutaj. W Avalonie czas nie mija co prawda niepostrzeżenie, jak we śnie, tak jak w czarownej krainie. Jednak zaprawdę czas zaczął trochę zbaczać. Widzimy słońce i księżyc Bogini i odprawiamy obrzędy w kamiennym kręgu, tak więc czas nigdy do końca nas nie opuszcza; lecz nie biegnie tak samo, jak czas gdzie indziej, choć można by pomyśleć, że skoro znamy ruchy słońca i księżycy, to powinny być one takie same, jak w zewnętrznym świecie... a jednak tak nie jest. W tych ostatnich latach mogłam przebywać w Avalonie przez miesiąc, a kiedy wyjeżdżałam na zewnątrz, odkrywałam, że minął cały*

*kwartał. I w tych ostatnich latach rzadko opuszczałam Avalon, bo nie miałam cierpliwości do tego, co się działo w zewnętrznym świecie; a kiedy ludzie zauważyli, że pozostaję zawsze młoda, częściej niż kiedykolwiek nazywali mnie czarodziejką albo wiedźmą.*

*To było jednak dużo później...*

*Bo kiedy usłyszałam ten przeraźliwy krzyk Raven, który przedostał się przez przestrzeń pomiędzy światami i dotarł do mego umysłu, mimo że przebywałam w ponadczasowym śnie czarownej krainy, wyruszyłam... lecz nie do Avalonu.*

## 14

W świecie na zewnątrz promienie słońca jasno przeświecały poprzez lekkie chmurki nad Jeziorem, a z oddali rozbrzmiewał w powietrzu dźwięk dzwonów. Morgiana nie odważyła się podnieść głosu poprzez ten dźwięk, by krzyknąć słowo mocy, które przywoła łódź, ani przyjąć na siebie postaci Bogini.

Spojrzała na swe odbicie w lustrzanych wodach Jeziora. Jak długo – zastanawiała się – przebywała w czarownej krainie? Kiedy uwolniła umysł od zaklęć, wiedziała, choć mogła przypomnieć sobie zaledwie dwa czy trzy dni, że była tam na tyle długo, by jej piękna, ciemna wyjściowa suknia podarła się całkiem na dole, w miejscach gdzie ciągnęła się po ziemi. W jakiś sposób zgubiła albo wyrzuciła swój sztylet – nie była pewna, co się z nim stało. Niektóre rzeczy, które jej się tam przydarzyły, przypominała sobie jako sny i szaleństwa i twarz płonęła jej ze wstydu. Jednak pomiędzy tym były także wspomnienia muzyki słodszej niż ta, którą słyszała nawet w świecie Avalonu czy gdziekolwiek indziej, chyba tylko wtedy, kiedy znalazła się na skraju krainy Śmierci, podczas porodu dziecka... wtedy nieomal miała ochotę przekroczyć granicę życia, choćby tylko po to, by słyszeć tę muzykę. Pamiętała też dźwięk swego głosu, kiedy śpiewała przy akompaniamencie zaczarowanej harfy – nigdy dotąd nie grała ani nie śpiewała tak słodko. *Chciałabym tam wrócić i zostać na zawsze.* I niemal już zawróciła, lecz powstrzymało ją wspomnienie przerażonego krzyku Raven.

Artur zdradził Avalon, łamiąc przysięgę, którą dał, otrzymując miecz w najświętszym miejscu Druidów. Vivianie grozi niebezpieczeństwo, gdyby opuściła Avalon. Powoli, starając się poskładać wszystko w myślach, Morgiana zaczęła sobie przypominać. Wyruszyła z Caerleon – wydawało się zaledwie kilka dni temu, lecz wtedy było lato. Nigdy nie dotarła do Avalonu i teraz wygląda na to, że już nigdy tam nie powróci... patrzyła ze smutkiem na szczyt Toru.

Gdyby mogła wślizgnąć się do Avalonu za wyspą – ale tamta ścieżka zawiodła ją tylko do czarownej krainy.



Gdzieś tam straciła konia i szytlet. Teraz przypomniała sobie, że widziała pobielające kości, i zadrżała. Zauważyła też, że kościół na szczycie Toru wygląda inaczej, księża musieli go rozbudowywać i z pewnością nie zdołaliby go tak powiększyć przez miesiąc albo dwa...

*W jakiś sposób muszę się dowiedzieć, ile księżyców minęło, kiedy ja biegałam po lesie z dziewczętami Pani albo zaznawalam rozkoszy z czarodziejskim mężczyzną, który mnie tam zaprowadził...* – myślała, zaciskając dłonie w nagłym strachu.

*Nie, nie mogło przecież minąć więcej niż dwa, najwyżej trzy dni...*

Rozgorączkowana nie wiedziała, że był to początek niepewności, która będzie w niej wciąż rosła i której nigdy do końca nie zdoła wyjaśnić. Teraz, kiedy myślała o tamtych nocach, była przestraszona i zawstydzona, drżała na wspomnienie rozkoszy w ramionach smagłego mężczyzny, rozkoszy, jakiej nigdy wcześniej nie знаła – a jednak teraz, kiedy była już z dala od czarów, wydawało jej się to czymś wstydlivym, uczynionym we śnie. A pieszczoty, które otrzymywała i dawała czarodziejskim dziewczętom, coś, o czym nigdy by nawet nie śniła bez takiego oczarowania... wydarzyło się także coś z Panią... teraz, kiedy o tym myślała, Pani była bardzo podobna do Viviany, i to też zawstydziło Morgianę... w czarownej krainie wydawało się, jakby takich rzeczy pragnęła całe swoje życie, ale w zewnętrznym świecie nigdy by się na nie nie odważyła, nawet nie śmiałyby o nich marzyć.

Mimo ciepłego słońca zaczęła drzeć. Nie wiedziała, jaka to może być pora roku, lecz na skraju Jeziora, ukryte w trzcinach, leżały jeszcze łąty nieroztopionego śniegu. W imię Bogini, czyżby minęła zima i znów nadchodziła wiosna? I jeśli w zewnętrznym świecie minęło na tyle dużo czasu, by Artur zdążył zaplanować zdradę Avalonu, to musiało być dłużej, niż miała odwagę przypuszczać.

Straciła nie tylko szytlet i konia, ale wszystko, co ze sobą miała.

Buty też były podarte, nie miała przy sobie jedzenia i znajdowała się sama na brzegach niegościnniej krainy, daleko od jakiegokolwiek miejsca, gdzie była znana jako królewska siostra. Cóż, już przedtem bywała głodna. Po jej twarzy przemknął cień uśmiechu. W okolicach były wielkie domy i klasztory, gdzie pewnie będzie mogła dostać trochę chleba jako żebraczka. Zdoła dotrzeć na dwór Artura, może po drodze dojdzie do jakiejś wioski, gdzie będą potrzebowali usług akuszerki, tak że wymieni swe umiejętności na chleb.

Posłała pożegnalne, długie spojrzenie wodom Jeziora. Czy odważy się podjąć ostatnią próbę i wymówić słowo mocy, które przywiedzie ją do Avalonu? Gdyby mogła pomówić z Raven, może dowiedziałyby się dokładniej, jakie niebezpieczeństwo zagraża... otworzyła usta, by krzyknąć zaklęcie, i wycofała się. Nie może spotkać Raven, tej Raven, która tak skrupulatnie przestrzegała praw Avalonu, która w niczym nie przyniosła wstydu szacie kapłanki. Jakże mogłaby spojrzeć w jasne oczy Raven, pamiętając to, co sama uczyniła w świecie na zewnątrz i w czarownej krainie? Raven wyczytałaby wszystko z jej umysłu w jednej chwili... przez łyzy widziała rozmyte kształty brzegów Jeziora i wieży kościoła... w

końcu odwróciła się plecami do Avalonu, zwracając się w stronę starej rzymskiej drogi, która wiodła na wschód, z tyłu kopalni, i docierała do Caerleon.

Była już w drodze od trzech dni, zanim napotkała innego podróżnego. Pierwszą noc spędziła w opuszczonej chatce pasterskiej, bez jedzenia, schroniła się od wiatru, lecz nic więcej. Drugiego dnia przyszła na farmę, gdzie nie było nikogo poza półgłupim pastuszkim; ale on pozwolił jej usiąść i ogrzać się przy ogniu, a kiedy wyjęła mu kolec ze stopy, dał jej kawałek swojego chleba. Zdarzało się, że już dłużej obywatela się bez pożywienia.

Kiedy dotarła bliżej Caerleon, ze zdziwieniem napotkała dwa spalone domostwa i plony gnijące na polach... tak jakby przeszli tędy Saksoni! Weszła do jednego z domów, który wyglądał na splądrowany, bo nic w nim prawie nie zostało. Na podłodze w jednej z izb znalazła jednak stary płaszcz, który musiał ktoś porzucić w popłochu, a pewnie był zbyt zniszczony nawet dla rabusiów.

Płaszcz był jednak z ciepłej wełny i Morgiana okręciła się nim, choć teraz wyglądała już zupełnie jak żebraczka. Zimno dokuczało jej bardziej niż głód. Pod wieczór w opuszczonym obejściu pojawiło się trochę drobiu. Kury to stworzenia, które się przyzwyczajają, jeszcze się widać nie nauczyły, że nikt ich tu nie nakarmi. Morgiana złapała jedną i ukręciła jej szyję. W zrujnowanym piecu rozpałała mały ogień, jeśli będzie miała szczęście, nikt nie zauważy dymu wydobywającego się z ruin, a nawet jeśli, pomyśla, że to duchy.

Oskubała kurę i upiekła ją nad ogniem, nadzianą na długi patyk. Kura była taka stara i twarda, że nawet mocne zęby Morgiany miały kłopot z pogryzieniem, ale była głodna od tak dawna, że nie zwracała na to uwagi. Wyssała kości, jakby to był najkruchszy pieczony ptaszek.

W jednej z przybudówek, w której pewnie mieściła się kuźnia, znalazła kawałek skóry. Wyniesiono każde narzędzie i każdy, nawet najmniejszy kawałek metalu, ale dokoła leżały skrawki skór. Morgiana zawinęła w nie resztki kury. Chciała także naprawić sobie buty, lecz nie miała noża. Cóż, może znajdzie jakąś wioskę, gdzie na chwilę pożyczą jej nóż. Co za szaleństwo ją opanowało, żeby wyrzucić sztylet?

Było kilka dni po pełni i kiedy wyruszała ze spalonego gospodarstwa, na progu leżał szron, a na niebie, mimo dnia, wciąż jeszcze widoczny był spory księżyc. Kiedy wyszła przed drzwi, niosąc swoje skórzane zawiniątko i podpierając się grubym kijem – bez wątpienia porzucił go jakiś pasterz – usłyszała gdzieś na podwórzu dumne gdakanie. Odszukała gniazdo i zjadła surowe jajko, jeszcze ciepłe od ciała kokoszki, tak że czuła się dobrze i całkiem syto.

Wiał ostry, zimny wiatr, szła w szybkim tempie, zadowolona z płaszcza, choć taki był wyświechtany i podarty. Zrobił się późny ranek i zaczęła właśnie myśleć, czyby nie usiąść przy drodze i nie zjeść trochę zimnego mięsa, kiedy usłyszała za sobą tętent końskich kopyt.

Najpierw pomyślała, by po prostu dalej iść, ma przecież takie samo prawo do drogi, jak każdy inny. Potem jednak przypomniała sobie zrujnowane gospodarstwo i zeszła na bok,

ukrywając się za krzakiem. Trudno było ocenić, co za ludzie podróżowali po drogach w tych czasach, skoro Artur był zbyt zajęty utrzymywaniem pokoju z Saksonami, by pilnować spokoju i zapewnić bezpieczeństwo na drogach w głębi kraju. Jeśli podróżny będzie wyglądał niegroźnie, zapyta go o nowiny; a jeśli nie, no cóż, będzie tak leżała w ukryciu, aż obcy nie zniknie z widoku.

To był samotny jeździec otulony w zielony płaszcz, siedzący na wysokim, chudym koniu; jechał sam, bez służącego czy jucznego konia. Nie, ale za sobą wioził wielki pakunek – nie, też nie. To jego ciało było tak zgarbione w siodle – i wtedy Morgiana poznała, kim musi być ten człowiek, i wyszła ze swojego ukrycia.

– Kevinie Harfiarzu! – krzyknęła.

Zatrzymał konia – zwierzę było dobrze wyszkolone i posłusznie stanęło w miejscu. Spojrzał w dół, marszcząc brwi, usta miał wygięte w przykrym grymasie – a może to tylko blizny, które nosił?

– Nie mam dla ciebie nic, kobieto – powiedział i dopiero wtedy wykrzyknął: – Na Boginię! Przecież to pani Morgiana! Co ty tu robisz, pani? Zeszłego roku słyszałem, że byłaś w Tintagel u swojej matki, zanim umarła, ale kiedy Najwyższa Królowa pojechała na jej pogrzeb, powiedziała, że nie, że tam cię nie było...

Morgiana zachwiała się i oparła na kiju, żeby nie upaść.

– Moja matka... nie żyje? Nie słyszałam...

Kevin zsiadł z konia, podtrzymując się zwierzęcia, zanim nie dobył swej laski, by się na niej oprzeć.

– Usiądźmy tutaj, pani. Nie słyszałaś? Gdzie, w imię Bogini, przepadłaś? Wieści dotarły nawet do Avalonu, do Viviany, lecz jest już zbyt słaba i stara na taką podróż.

*Tylko gdzie ja byłam? Nie, nie słyszałam o tym. Możliwe, że kiedy zobaczyłam twarz Viviany w leśnym jeziorze, to wtedy wołała mnie z tą wieścią, a ja o tym nie wiedziałam. Ból ścisnął jej serce. Tak bardzo oddaliły się od siebie z Igrianą – rozstały się niedługo po tym, jak Morgiana skończyła jedenaście lat, jednak teraz wypełniała ją rozpacz, jakby była tą samą małą dziewczynką, która płakała, opuszczając dom Igriany. O, moja matka, a ja nic o tym nie wiedziałam... Siedziała na skraju drogi, łzy spływały jej po twarzy.*

– Jak umarła? Czy słyszałaś?

– Myślę, że to serce. To się stało na wiosnę rok temu. Wierz mi, Morgiano, nie słyszałem nic poza tym, że była to śmierć naturalna, której oczekiwano od dawna.

Przez chwilę Morgiana nie mogła opanować głosu na tyle, by odpowiedzieć. W rozpacz było także przerażenie, bo najwidoczniej przebywała poza tym światem dłużej, niż jej samej wydawało się możliwe... Kevin powiedział: rok temu na wiosnę. A więc minęła więcej niż jedna wiosna, kiedy ona bawiła w czarownicj krainie! Bo latem, kiedy opuszczała dwór Artura, Igriana nie była nawet cierpiąca! Nie chodziło więc o to, ile miesięcy upłynęło, ale ile lat! Czy może dowiedzieć się tego od Kevina, nie wyjawiając, gdzie była?

– W moich jukach jest wino, Morgiano, chętnie bym ci usłużył, lecz musisz je sama wziąć... nie za dobrze ostatnio chodzę, jeśli w ogóle. Jesteś chuda i blada, jesteś może głodna? I jak to się stało, że spotykam cię na tej drodze odzianą... – Kevin skrzywił się z przesadnym niesmakiem – gorzej niż jakakolwiek żebraczka?

Morgiana w myślach decydowała, co może powiedzieć.

– Przebywałam... w osamotnieniu, daleko od świata. Sama już nie wiem, od jak dawna nie widziałam żadnego człowieka ani z żadnym nie rozmawiałam. Nawet straciłam rachubę pór roku.

To wszystko było prawdą, bo kimkolwiek byli mieszkańcy czarownej krainy, z pewnością nie byli oni ludźmi.

– Mogę w to uwierzyć – powiedział Kevin. – Wierzę nawet, że nie słyszałaś nic o wielkiej bitwie...

– Widzę, że cały ten kraj jest spalony.

– Ach, to było już trzy lata temu – powiedział Kevin, a Morgiana aż się skurczyła. – Niektóre z oddziałów Paktu złamały swoje przysięgi i przeszły przez tę krainę, rabując i niszcząc. W walce z nimi Artur dostał wielką ranę i przez pół roku nie opuszczał łoża.

– Kevin dostrzegł zmartwioną twarz Morgiany i źle zrozumiał powód jej troski. – Och, teraz czuje się już zupełnie dobrze, ale wtedy nawet nie mógł stanąć na nogi, wyobrażam sobie, jak pragnął twych leczniczych umiejętności, Morgiano. Potem Gawain przyprowadził z Północy wszystkie wojska Lota i przez trzy lata mieliśmy pokój. A potem, latem zeszłego roku, była wielka bitwa pod Mount Badon, w tej bitwie zginął Lot, ach, cóż to było za zwycięstwo, bardowie będą o nim śpiewać przez sto lat – ciągnął Kevin. – Nie myślę, żeby przy życiu został choć jeden saksoński wódz od Kornwalii aż po Lothian, poza tymi, którzy uznają Artura za króla. Od czasów cesarzy nie wydarzyło się nic równie wielkiego. I teraz na całej tej ziemi panuje pokój pod rządami Artura.

Morgiana wstała i podeszła do juków. Znalazła flaszkę wina.

Kevin powiedział:

– Przynieś też chleb i ser. Zbliża się południe, zjem tu razem z tobą.

Kiedy wszystko przyniosła i otworzyła swoje zawiniątko z resztkami kury, ofiarując mu poczęstunek, pokręcił przecząco głową.

– Dziękuję, ale teraz nie jadam mięsa, składałem śluby... Zadziwia mnie, że ty jesz mięso, Morgiano, kapłanka twojego stopnia...

– To albo głódówka – odparła Morgiana i opowiedziała mu, jak zdobyła kurę. – Ale i tak nie przestrzegam tego zakazu, odkąd opuściłam Avalon. Jem to, co przede mną postawią.

– Osobiście uważam, że to nie ma specjalnego znaczenia, czy się je mięso, ryby czy ziarno – powiedział Kevin. – Choć chrześcijanie robią wielką sprawę ze swych postów, a przynajmniej ten Patrycjusz, który jest teraz biskupem Artura. Przedtem braciszkanie, którzy mieszkali wraz z nami w Avalonie, powtarzali powiedzenie Chrystusa, że nie to kała

człowieka, co dostaje się do jego ust, tylko to, co z nich wychodzi i dlatego człowiek powinien z pokorą jeść wszystkie boskie dary. Słyszałem, że tak samo mawiał Taliesin. Jeśli chodzi o mnie, sama bez wątpienia to wiesz, że na pewnym poziomie wtajemniczenia w Misteria, to, co się je, ma wielki wpływ na umysł. Nawet boję się teraz spróbować mięsa, upijam się nim bardziej niż nadmiarem wina!

Morgiana potaknęła. Znała dobrze to uczucie. Kiedy piła święte zioła, nie mogła jeść nic, tylko trochę chleba i owoców, nawet ser czy gotowana soczewica były zbyt syte i mdliły ją.

– A gdzie teraz podążasz, Morgiano? – spytał, a kiedy mu powiedziała, wpatrywał się w nią, jakby była szalona. – Do Caerleon? Po co? Tam nic nie ma... a może nie wiesz, chociaż ciężko mi w to uwierzyć... Artur podarował go jednemu z rycerzy, który dobrze walczył w bitwie. I w dniu Zesłania Ducha Świętego przeniósł cały swój dwór do Kamelotu, tego lata mija rok, odkąd tam mieszka. Taliesinowi to się nie podobało, że otworzył nowy dwór w chrześcijańskie święto, ale Artur zrobił tak, by sprawić przyjemność królowej, we wszystkim jej teraz słucha... – Morgianę zaskoczył dziwny grymas na jego twarzy. – Skoro jednak nie słyszałaś o bitwie, to pewnie nie słyszałaś także o tym, jak Artur zdradził lud Avalonu i Plemiona.

Morgiana zatrzymała kubek w drodze do ust.

– Właśnie dlatego przybywam, Kevinie. Słyszałam, że Raven przerwała swe milczenie i przepowiedziała właśnie coś takiego...

– To było więcej niż przepowiednia – powiedział bard.

Z trudnością wyprostował nogę, jakby siedzenie na ziemi długi czas w jednej pozycji było dla niego bolesne.

– Artur zdradził... Co on uczynił? – Morgianie brakło tchu. – Nie wydał ich chyba w ręce Saksonów...?

– A więc rzeczywiście nie słyszałaś. Plemiona przysięgały wierność Pendragonowi, tak przysięgały na koronacji Artura, a przedtem na koronacji Uthera... Na wielką wojnę przybył też Mały Lud, starszy nawet niż Plemiona, przyszli ze swymi miedzianymi toporkami i procami, i elfimi strzałami, bo oni tak samo jak czarowny lud nie mogą nosić broni z żelaza. Wszyscy, wszyscy zaprzysiężeni, by wspomagać Wielkiego Smoka. A Artur ich zdradził... odrzucił sztandar ze smokiem, mimo że błagaliśmy go, by pozwolił go nieść do bitwy choćby Gawainowi lub Lancelotowi. On jednak przysięgł, że na pole pod Mount Badon poniesie tylko sztandar krzyża i Świętej Dziewicy. I tak uczynił.

Morgiana milczała przerażona, przypominając sobie pasowanie Artura na króla. Nawet Uther nie przysięgał w ten sposób ludowi Avalonu! I on złamał taką przysięgę?

– I Plemiona go nie opuściły? – wyszeptała w końcu.

– Niektórzy prawie że to uczynili – powiedział Kevin z wielkim gniewem. – Niektórzy ze Starego Ludu z walijskich wzgórz rzeczywiście wrócili do domu, kiedy wzniesiono sztandar z krzyżem. Król Uriens nie mógł ich powstrzymać. A jeśli chodzi o resztę, cóż, wiedzieliśmy,

że tamtego dnia Saksoni mają nas. Mogliśmy albo razem z Arturem i jego rycerzami wyruszyć do bitwy, albo do końca swoich dni żyć w saksońskiej niewoli, to była bowiem owa wielka bitwa, którą wcześniej przepowiadano. A on miał święty miecz Ekskalibur ze świętych regaliów. Tak jakby sama Bogini wiedziała, że w kraju rządzonym przez Saksonów jeszcze gorzej by jej się działo, bo gdy poszedł do walki, Bogini dała mu zwycięstwo... – Kevin zaproponował Morgianie resztkę wina, a kiedy potrząsnęła głową, osuszył flaszkę. – Viviana powinna przybyć z Avalonu, by oskarżyć go o krzywoprzysięstwo – powiedział – ale wzdraga się zrobić to przed wszystkimi jego ludźmi. Tak więc to ja jadę do Kamelotu, by mu przypomnieć o ślubach. Jeśli mnie nie posłucha, to Viviana przysięgła, że sama przybędzie do Kamelotu w dniu, kiedy wszyscy ludzie przedstawiają swoje skargi, Artur bowiem przyrzekł, że w Zielone Świątki sam ich wysłucha i będzie rozsądzał. I wtedy, powiedziała Viviana, stanie przed nim jako zwykła poddana i zażąda od niego wypełnienia przysięgi, i przypomni mu o tym, jaki los czeka tych, którzy łamią swoje słowo.

– Niech Bogini sprawi, by Pani Jeziora nigdy nie musiała się aż tak ponizac – powiedziała Morgiana.

– Ja tam przemówiłbym do niego z gniewem, a nie spokojnymi słowami, lecz to nie ode mnie zależy – odparł Kevin i wyciągnął rękę. – Czy pomożesz mi się podnieść? Myślę, że mój koń uniesie nas oboje, a jeśli nie, to gdy dojedziemy do miasta, musimy ci kupić konia. Byłbym szarmancki jak sam Lancelot i oddał ci swego rumaka, ale... – Pokazał na swe kalekie ciało. Morgiana pomogła mu stanąć.

– Jestem silna, mogę iść pieszo. Jeśli już musimy coś kupować, to raczej buty i nóż dla mnie. Nie mam przy sobie ani monety, potem zwrócę ci wszystko.

– Jesteś moją siostrą z Avalonu, to, co moje, należy i do ciebie, takie jest prawo. Między nami nie ma mowy o zapłacie.

Morgiana poczuła, jak rumieni się ze wstydu, że Kevin w ten sposób musiał jej przypominać jej własne śluby. *Zaprawdę, jestem nie z tego świata.*

– Pozwól, że pomogę ci dosiąść konia. Będzie stał spokojnie?

– Gdyby nie – uśmiechnął się Kevin – to niewielki byłby dla mnie z niego pożytek w takich podróżach, jakie ja samotnie odbywam. Ruszajmy, chcę jutro dotrzeć do Kamelotu.

W miasteczku położonym między wzgórzami znaleźli szewca, który naprawił buty Morgiany, i kupili stary miedziany sztylet.

Człowiek, który im go sprzedał, powiedział, że od czasu wielkiej bitwy w tej krainie podobne rzeczy są na wagę złota. Kevin kupił jej też porządny płaszcz, mówiąc, że z tego łachmana, który znalazła w spalonej farmie, nie można nawet zrobić derki na siodło. Przystanek jednak bardzo ich opóźnił, a kiedy znów znaleźli się na drodze, zaczął padać śnieg i szybko się ściemniało.

– Powinniśmy byli zostać w tym mieście – powiedział Kevin. – Mogłem za swoją muzykę dostać nocleg i kolację dla nas obojga.

Sam mogę spać w szałasie albo pod murem, owinięty w płaszcz, ale nie Pani Avalonu.

– Skąd wiesz, że nigdy tak nie spałam? – spytała Morgiana.

– Wyglądasz, jakbyś ostatnio sypiała w ten sposób aż nazbyt często. – Zaśmiał się, patrząc na nią. – Lecz choćbyśmy nie wiem jak pospieszali konia, dziś wieczór nie dojedziemy do Kamelotu, musimy się rozejrzeć za schronieniem.

Po jakimś czasie poprzez coraz gęściej padający śnieg dostrzegli ciemny kształt opuszczonej chaty. Nawet Morgiana nie mogła do niej wejść wyprostowana, pewnie była to stajnia dla bydła, ale zwierząt nie było tu od tak dawna, że zniknął nawet ich zapach, a pokryty słomą dach był w dobrym stanie. Uwiązali konia i wczłógali się do środka. Kevin gestem pokazał jej, by rozciągnęła swój stary płaszcz na brudnej podłodze. Ułożyli się obok siebie, każde owinięte w swój płaszcz. Było jednak tak zimno, że słysząc, jak Morgiana szczęka zębami, Kevin powiedział w końcu, że powinni przytulić się do siebie i okryć oboma płaszczami naraz.

– Jeśli cię nie odstręcza bliskość mego kalekiego ciała – powiedział, a Morgiana usłyszała w jego głosie ból i gniew.

– Jeśli chodzi o twoje kalectwo, Kevinie Harfiarzu, to wiem tylko tyle, że twymi połamanymi rękoma tworzysz muzykę piękniejszą niż ja, a nawet niż Taliesin, choć nasze ręce są zdrowe – odparła Morgiana i zgrabnie wtuliła się w ciepło jego ciała. Z głową ułożoną we wgłębieniu jego ramienia poczuła, że teraz w końcu może zasnąć...

Szła przez cały dzień i była znużona, spała głęboko, ale obudziła się, gdy tylko światło zaczęło przeświecać przez szpary w nieszczelnych ścianach. Ścierpła od leżenia na twardej podłodze, a kiedy spojrzała wokół na te brudne, gliniane ściany, przebiegł ją dreszcz.

Ona, Morgiana, kapłanka Avalonu, księżna Kornwalii, leży tutaj w bydlęcej stajni, odrzucona przez Avalon... czy kiedykolwiek tam powróci? A przybywa z miejsca jeszcze gorszego niż to, z Zamku Chariot w czarownej krainie, która jest poza wiedzą wszystkich chrześcijan i wszystkich pogan, poza wrotami tego świata... ona, z taką troską wychowywana przez Igrianę, ona, siostra Najwyższego Króla, uczona przez Panią Jeziora, przyjęta przez Boginię... teraz wszystko to odrzuciła. Nie, nie odrzuciła, zabrano jej to, kiedy Viviana wysłała ją na rytuał pasowania na króla, z którego powróciła z dzieckiem spłodzonym z własnym bratem.

*Igriana nie żyje, moja matka nie żyje, a ja nie mogę powrócić do Avalonu, już nigdy...* Morgiana zaczęła bezradnie płakać, tłumiąc szloch szorstką materią płaszcza. W mrocznym świetle zabrzmiał miękki, zduszony głos Kevina:

– Czy płaczesz za swoją matką, Morgiano?

– Za matką i za Vivianą, a najbardziej może nad samą sobą. – Morgiana nie była pewna, czy wypowiedziała te słowa na głos.

Otoczyło ją ramię Kevina, a ona pozwoliła, by jej głowa opadła na jego pierś, i płakała, płakała, aż już więcej płakać nie mogła. Po długiej chwili odezwał się, gładząc jej włosy:

– Mówiłaś prawdę, Morgiano. Nie wzdurasz się przede mną.

– Jakżebyś mogła – odparła, przysuwając się bliżej – kiedy jesteś taki dobry?

– Nie wszystkie kobiety tak myślą – powiedział. – Nawet kiedy przychodzę na ognie Beltanu, słyszę czasem... bo niektórym się wydaje, że skoro mam kalekie ręce i nogi, to muszę być także głuchy i niemy... słyszałem, jak niejedna z nich, jak nawet dziewczęta Bogini szeptały do swoich kapłanek, by posadziły je daleko ode mnie, żebym przypadkiem nie mógł na nie spojrzeć, kiedy nadejdzie czas, by oddalić się od ognia...

Morgiana aż usiadła z oburzenia.

– Gdybym ja była tą kapłanką, wyrzuciłabym taką kobietę precz od ognia, bo śmiała zwątpić w to, pod jaką postacią Bóg może do niej przyjść... co wtedy robiłeś, Kevinie?

– Zamiast przeszkadzać w obrzędach albo zmuszać jakąś kobietę do takiego wyboru, odchodziłem tak cicho, że nikt nie zwracał uwagi. Sam Bóg nie może zmienić tego, co one o mnie myślą. Nawet zanim jeszcze prawo Druidów zabroniło mi łączenia się z kobietami, które oddają swoje ciało za złoto, nie mogłem namówić żadnej, by mnie przyjęła. Może powinienem raczej zostać kapłanem między chrześcijanami, bo jak słyszałem, oni uczą swoich księży, jak żyć bez kobiet. Albo powinienem żałować, że kiedy najeźdźcy okaleczyli moje ciało, równocześnie mnie też nie wykastrowali, żeby mi na tym w ogóle nie zależało. Przepraszam, nie powinienem o tym mówić. Ale zastanawiam się, czy zgodziłaś się leżeć u mego boku dlatego, że nie uważasz mojego kalekiego ciała za ciało mężczyzny i nie masz mnie za jednego z nich...

Morgiana słuchała go przerażona cierpieniem i goryczą tych słów, ranami zadanymi jego męskości. Znała uczucia, które wyrażał muzyką swych dłoni, jego wrażliwość. Czy nawet w obliczu Bogini kobiety widziały tylko jego ułomne ciało? Pamiętała, jak sama rzuciła się w ramiona Lancelota, pamiętała ranę zadaną jej dumie, ranę, która, wiedziała to, nigdy nie przestanie krwawić.

Ostrożnie pochyliła się i pocałowała go w usta, przyciągnęła do siebie jego dłoń i ucałowała blizny na nich.

– Nigdy w to nie wątp, dla mnie jesteś mężczyzną, a Bogini pokazała mi drogę. – Mówiąc to, położyła się i odwróciła w jego stronę. Spojrzał na nią ostro. Na moment skurczyła się na widok wyrazu jego twarzy – czyżby myślał, że się nad nim lituje? Nie, ona tylko podzielała świadomość jego cierpienia, a to było co innego.

Spojrzała mu prosto w oczy... tak, gdyby ta twarz nie była tak ściągnięta goryczą, tak wykrzywiona cierpieniem, mógłby być przystojny. Miał ładne rysy i bardzo ciemne, łagodne oczy. Los oszpecił jego ciało, lecz nie jego duszę – żaden tchórz nie wytrzymałby nauk u Druidów.

*Pod płaszczem Bogini, jak każda kobieta jest moją siostrą i moją córką, i moją matką, tak każdy mężczyzna musi mi być ojcem i kochankiem, i synem... Mój ojciec zginął zbyt wcześnie, bym go mogła pamiętać, a swego syna nie widziałam, odkąd przestał ssać pierś... lecz temu*



*mężczyźnie dam to, do czego skłania mnie Bogini...* Morgiana znów ucałowała jego pokrytą bliznami dłoń i położyła ją sobie na piersi, pod suknią.

Był niedoświadczony – co wydało jej się dziwne u człowieka w jego wieku. Jakżeby mogło być inaczej? A potem pomyślała: *To naprawdę jest pierwszy raz, kiedy zrobiłam to ze swej własnej wolnej woli, a dar przyjęto po prostu, tak jak był ofiarowany.* Coś w niej zostało uleczone. Dziwne, że stało się to z człowiekiem, którego prawie nie znała i dla którego czuła jedynie sympatię. Nawet pomimo swego niedoświadczenia, był dla niej łagodny i uważny. Czuła, jak gdzieś w środku rośnie w niej wielka i niewysłowiona czułość.

– Dziwne – powiedział w końcu swym spokojnym, melodyjnym głosem. – Wiedziałem, że jesteś kapłanką i że jesteś mądra, nigdy jednak nie myślałem, że jesteś także piękna.

– Ja? Piękna? – Zaśmiała się szorstko, ale była mu wdzięczna, że choć przez tę chwilę taka mu się wydawała.

– Morgiano, powiedz mi, gdzieś ty była? Nie spytałbym o to, lecz gdziekolwiek to było, leży ci to na sercu.

– Nie wiem – wyrwało jej się. Nigdy nie myślała, że mu o tym powie. – Chyba gdzieś poza światem... starałam się dostać do Avalonu, ale nie mogłam tam wejść, droga była dla mnie zamknięta, jak myślę. To już drugi raz, kiedy byłam... gdzie indziej. W innej krainie, w krainie snów i czarów, w krainie, gdzie czas stoi w miejscu i nie istnieje, i gdzie nie ma nic, prócz muzyki... – Zamilkła. Czy harfiarz pomyśli, że oszalała?

Palcem kreślił linię wokół kącika jej oka. Było zimno, a oni odrzucili przykrycia, teraz delikatnie znów okrył ich płaszczami.

– Ja też tam raz byłem i też słyszałem ich muzykę... – powiedział jakby oddalonym, rozmarzonym głosem. – I w tamtym miejscu nie byłem wcale kaleki, a ich kobiety nie wyśmiewały mnie... Może pewnego dnia, kiedy przestanę się obawiać szaleństwa, znów do nich pójde... pokazali mi tajemne przejścia i powiedzieli, że mogę wrócić, dzięki mojej muzyce... – Znów jego miękki głos zamilkł na długo.

Morgiana zadrżała i odwróciła głowę.

– Lepiej już wstańmy. Jeśli nasz biedny koń nie zamarzł tej nocy, to dziś dojedziemy do Kamelotu.

– A jeśli przyjedziemy razem – powiedział Kevin – to pomyślą, że wraz ze mną byłaś w Avalonie. To nie ich sprawa, gdzie przebywałaś, jesteś kapłanką i nie musisz się spowiadać żadnemu żyjącemu człowiekowi, ani ich księżom, ani nawet samemu Taliesinowi.

Morgiana żałowała, że nie ma porządnej sukni i przybędzie na dwór Artura w łachmanach żebraczki. Cóż, nie ma na to rady. Kevin przyglądał się, jak zaplata włosy. Potem podała mu rękę i pomogła wstać, zwyczajnym, prostym gestem, ale spostrzegła, że w jego oczach znów pojawił się ten wyraz goryczy. Chował się za setkami murów rezerwy i gniewu. Kiedy już wychodzili przez drzwi, dotknął jej dłoni.

– Nie podziękowałem ci, Morgiano...

– Och, jeśli należą się jakieś podziękowania – powiedziała z uśmiechem – to z obu stron, przyjacielu, a może nie wiesz o tym?

Przez chwilę kalekie palce zacisnęły się mocniej na jej dłoni... a potem ujrzała jakby łunę ognia, zobaczyła jego twarz otoczoną płomiennym pierścieniem, wykrzywioną, topniejącą, a wszędzie wokół niego ogień... ogień... Zesztywniała i wyszarpnęła dłoń, wpatrując się w niego z przerażeniem.

– Morgiano! – krzyknął. – Co się stało?

– Nic, nic, skurcz w stopie – skłamała, a kiedy wyciągnął rękę, by ją podtrzymać, odsunęła się. *Śmierć! Śmierć poprzez spalenie! Co to mogło oznaczać? Nawet najgorsi zdrajcy nie umierali taką śmiercią... a może zobaczyła tylko to, co mu się przydarzyło, kiedy był chłopcem?* Choć chwila Widzenia trwała tak krótko, Morgiana była roztrzęsiona, jakby to ona sama wypowiedziała słowo, które skazało go na tę śmierć.

– Chodź – powiedziała niemal opryskliwie. – Ruszajmy.

## 15

Gwenifer nigdy nie chciała mieć nic wspólnego ze Wzrokiem.

Czyż nie powiedziane było w Piśmie Świętym, że żaden człowiek nie wie, co dzień mu przyniesie? Jednak, mimo że w ostatnim roku, od kiedy przeprowadzili się do Kamelotu, w ogóle nie myślała o Morgianie, tego ranka przebudziła się, pamiętając sen o niej – w tym śnie Morgiana wzięła ją za rękę i poprowadziła do ogni Beltanu, i pozwoliła jej tam położyć się z Lancelotem. Kiedy już się rozbudziła, mogła się śmiać z szaleństwa tego snu. Z pewnością sny zsyła diabeł, bo wszystkie jej sny dawały jej takie występne rady, o jakich żadna chrześcijanka nie powinna myśleć, a najczęściej rady te wypowiadała właśnie Morgiana.

*Cóż, odeszła z tego dworu i nie muszę już nigdy więcej o niej myśleć... nie, nie życzę jej źle, chcę, by mogła odpokutować za swoje grzechy i znaleźć spokój w jakimś klasztorze... byle gdzieś bardzo daleko stąd.* Teraz, kiedy Artur wyrzekł się dla niej tych pogańskich obyczajów, Gwenifer czuła, że mogłaby być nawet szczęśliwa, gdyby nie te sny, w których Morgiana namawiała ją do bezecnych rzeczy. Nawet w tej chwili, kiedy siedziała, pracując nad obrusem na ołtarz, ten sen wciąż ją prześladował. Prześladował ją tak mocno, że aż wydało jej się grzeszne siedzieć tak i haftować złoty krzyż, skoro myśli o Lancelocie. Odłożyła nić i wyszeptwała modlitwę, mimo to jej myśli dalej biegły swoim torem. Na Boże Narodzenie, po jej błaganiach, Artur obiecał, że zakaże ogni Beltanu na wsiach. Była pewna, iż już dawno by to uczynił, tylko Merlin mu zabraniał. Każdemu byłoby trudno nie lubić tego starego człowieka – był taki dobry i taki miły. Gdyby tylko był chrześcijaninem, byłby lepszy niż wszyscy księża. Taliesin mówił jednak, że to nie będzie uczciwe wobec prostego ludu, jeśli im się zabierze wiarę w Boginię, która troszczy się o plony na ich polach i płodność ich

bydła i ich samych. Oczywiście, tacy ludzie niewielkie mogli mieć grzechy, wszystko, co robili, to praca na polu i troska o zebranie tyłu plonów, by wystarczyło im jadała, żeby utrzymać się przy życiu. Nie do pomyślenia było, by diabeł miał się zajmować takimi ludźmi, jeśli w ogóle diabeł istniał.

Jednak Gwenifer nalegała:

– Pewnie myślisz, że oni nie grzeszą, kiedy idą na swoje ognie Beltanu i odprawiają te ohydne obrzędy, i kładą się z cudzymi żonami i mężami...

– Bóg wie, że niewiele mają w życiu radości – odparł Taliesin spokojnie. – Nie uważam tego za takie znów zło, iż cztery razy w roku, kiedy zmieniają się pory, mogą się zabawić i poczuć szczęśliwi. Nie znalazłbym powodu, by kochać takiego Boga, który myśli w ten sposób i nazywa ich grzesznikami. Czy ty uważasz, że zasługują na potępienie, moja królowo?

– Każda chrześcijanka powinna tak uważać – odparła. – Żeby wychodzić w pole i tańczyć nago, i łączyć się z pierwszym napotkanym mężczyzną... to nieskromne, grzeszne i złe.

Taliesin z westchnieniem potrząsnął głową.

– A jednak, królowo, nikt nie powinien być panem czyjegoś sumienia. Nawet jeśli ty uważasz, że to złe i grzeszne, czy śmiesz twierdzić, że wiesz, co jest dobre dla drugiego? Nawet mędracy nie wiedzą wszystkiego, a być może Bóg ma inne zamiary, niż potrafimy to pojąć naszym ograniczonym rozumem.

– Jeśli jednak potrafię odróżnić dobro od zła, a potrafię, bo tego uczą nas księża i tak naucza nas Bóg w swoim Piśmie Świętym, to czy nie powinnam się bać Boskiej kary, jeśli nie ustanowię takich praw, które by strzegły mojego ludu przed grzechem? – spytała Gwenifer. – To mnie Bóg by obarczył tym grzechem, gdybym zezwoliła na zło w swoim królestwie, więc gdybym była królem, to już dawno zakazałabym tych obrzędów.

– A więc, pani, mogę jedynie powiedzieć, że to szczęście, iż nie ty jesteś królem. Król musi chronić swój lud przed obcymi, przed najeźdźcami, i prowadzić ich do obrony, król musi być pierwszym, który naraża się na niebezpieczeństwo, tak jak rolnik staje w obronie swych pól przed grabieżą. Lecz nie jest jego obowiązkiem narzucać ludziom, co mają czuć ich serca.

Ona jednak odparowała gorąco:

– Król jest obrońcą swego ludu, ale na co się zda, że obroni ich ciała, jeśli dusze dostaną się we władanie szatana? Słuchaj, Lordzie Merlinie, jestem królową i matką w tym kraju wysyłają swoje córki na mój dwór, by uczyły się i służyły mi, rozumiesz to? Więc jakąż królową bym była, gdybym pozwoiliła córce innej kobiety zachować się nieskromnie i przez to zajść w ciążę albo jak królowa Morgause, o tak, słyszałam o tym, gdybym ja też pozwałała, żeby moje dworki szły do królewskiego łoża, jeśli król ma na nie ochotę? Matki powierzają mi swe córki, bo wiedzą, że będę ich chronić...

– Co innego, kiedy opiekujesz się dziewczętami zbyt młodymi, by miały własne zdanie, i musisz być dla nich jak matka, która je porządnie wychowa – powiedział Taliesin. – Król rządzi dorosłymi ludźmi.

– Bóg tego nie powiedział, że jest inne prawo dla dworu i inne dla ludu! On chce, by wszyscy ludzie wypełniali jego przykazania. A gdyby tak nie było Jego prawa? Jak myślisz, co by się stało z tym krajem, gdybym to ja z moimi dworakami wyszła na pole i zachowywała się tak nieskromnie? Jak można pozwalać na podobne rzeczy, i to w zasięgu kościelnych dzwonów?

Taliesin uśmiechnął się ciepło.

– Nawet gdyby żadne prawa tego nie zabraniały, to wątpię, byś ty, pani, wyszła na pola w ognie Beltanu. Zauważyłem to, ty nie lubisz w ogóle wychodzić na dwór.

– Dane mi jest dobro chrześcijańskiej nauki i opieka księży i ja wolę nie wychodzić – odparła ostro.

– Ależ, Gwenifer – powiedział Taliesin bardzo łagodnie, jego błękitne oczy spoglądały na nią spomiędzy siateczki zmarszczek i plam na starej twarzy. – Pomyśl tylko tak: założmy, że prawo tego zabrania, a twoje sumienie mówi ci, że rzeczą słuszną jest oddać się Bogini na znak, że to ona rządzi nad nami, nad duszą i nad ciałem? Gdyby twoja Bogini chciała, byś szła na obrzęd, czy wtedy, droga moja, pozwoliłabyś na to, by jakieś nowe prawo zabraniające ogni Beltanu wstrzymało cię przed uczestnictwem? Pomyśl tylko, droga pani, nie więcej niż dwieście lat temu... czy biskup Patrycjusz ci tego nie mówił? Wtedy było surowo zabronione, tutaj, w Krainie Lata, by ktokolwiek czcił Chrystusa i odbierał należne bogom Rzymu i prawowite miejsce. I byli wtedy chrześcijanie, którzy woleli raczej umrzeć, niż zrobić coś tak błędnego jak zapalenie kadzidła przed ich bożkami, o, widzę, że słyszałaś tę historię. Czy chciałabyś, by twój Bóg był takim samym tyranem, jak rzymscy cesarze?

– Ale Bóg jest prawdziwy, a to były tylko bałwany zrobione przez człowieka – upierała się Gwenifer.

– Nie tak bardzo, nie bardziej niż ten obraz Maryi, który Artur poniósł do bitwy... – odparł Taliesin. – Obraz, by wlać otuchę w serca wiernych. Mnie, Druidowi, jest ściśle zabronione, bym mógł mieć jakikolwiek obraz przedstawiający Boga, bo tak mnie nauczono w wielu moich żywotach, że już tego nie potrzebuję; myślę o moim Bogu i on jest we mnie. Ale raz narodzeni nie potrafią tego, więc potrzebują swych Bogów w kamiennych kręgach i jeziorach, tak jak twoi prości ludzie potrzebują obrazu Dziewicy Maryi i krzyża, jaki niektórzy z naszych rycerzy noszą na swych tarczach, aby ludzie wiedzieli, że są chrześcijanami.

Gwenifer czuła, że w tym rozumowaniu było jakieś pęknięcie, ale nie potrafiła się spierać z Merlinem. W końcu to tylko stary człowiek, i do tego poganin.

*Kiedy urodzę Arturowi syna – powiedział mi kiedyś, że wtedy będę mogła poprosić o wszystko, co może mi dać – to wtedy go poproszę, by zabronił ogni Beltanu i ogni żniwnych.*

Gwenifer przypominała sobie tę rozmowę wiele miesięcy później, tego ranka po dziwnym śnie. Bez wątpienia Morgiana tak by jej właśnie poradziła – żeby poszła z Lancelotem na ognie Beltanu...

Artur powiedział, że nie będzie pytał, jeśli ona urodzi dziecko, dał jej wyraźne pozwolenie, by wzięła sobie Lancelota na kochanka... pochylając się nad krzyżem, który haftowała, czuła, jak twarz jej płonie. Nie była godna dotykać tej robótki. Odłożyła obrus i zawinęła go w kawałek prostego materiału. Popracuje nad nim, kiedy się uspokoi.

U progu jej komnaty rozległy się nierówne kroki Kaja.

– Pani – powiedział – król pyta, czy nie zechcesz przyjść na pole ćwiczeń. Jest coś, co chce ci pokazać.

Gwenifer skinęła na swoje damy.

– Elaine, Meleas, chodźcie ze mną. Reszta z was może iść albo zostać tu i dalej pracować, jak chcecie.

Jedna z kobiet, która była już starsza i krótkowzroczna, postanowiła zostać i dalej prażyć, pozostałe, zadowolone z okazji wyjścia na słońce, tłoczyły się za królową.

W nocy jeszcze padał śnieg, ale zima już mijała, teraz śnieg szybko topniał w słońcu. W trawie pojawiały się pierwsze pąki, jeszcze miesiąc, a będzie mnóstwo kwiatów. Kiedy przybyła do Kamelotu, jej ojciec, Leodegranz, przysłał swego ulubionego ogrodnika, by zdecydował, jakie warzywa i zioła najlepiej się tu przyjmą.

Wzgórze było ufortyfikowane jeszcze na długo przed nadejściem Rzymian i niektóre zioła już tu rosły. Gwenifer kazała je przesadzić do kuchennego ogrodu, a kiedy na zboczach wzgórza odkryła kępy dzikich kwiatów, wyprosiła u Artura, by pozostawił zbocze do jej dyspozycji. Wybudował więc pole ćwiczeń z daleka od niego.

Lękliwie spoglądała w górę, kiedy przechodziły po łące. Tu było tak pusto, tak blisko nieba. Caerleon stał bezpiecznie blisko ziemi.

Tutaj, w Kamelocie, w deszczowe dni wydawało się, że jest się na wyspie otoczonej mgłą i oparami, jak w Avalonie – ale w czyste, słoneczne dni, takie jak ten, Kamelot wznosił się wysoko, górując nad całą otaczającą go ziemią. Stojąc na skraju wzniesienia, Gwenifer mogła widzieć mile lasów i pól...

To tak, jakby być zbyt blisko Raju; z pewnością nie było słuszne, by ludzie, zwykli śmiertelnicy, byli tak wysoko, ale Artur twierdził, że choć w kraju panuje pokój, to zamek królewski powinien być trudny, do zdobycia.

Na jej spotkanie nie wyszedł Artur, lecz Lancelot. Pomyślała, że zrobił się jeszcze przystojniejszy. Teraz, kiedy już nie musiał wciąż krótko ścinać włosów pod hełm, zapuścił je i spływały mu lokami na ramiona. Nosił też krótką brodę – podobało jej się to, choć Artur drażnił się z nim i mówił, że jest próżny. Artur miał włosy zawsze obcięte krótko, jak żołnierz, i codziennie kazał się golić swym szambelanom, tak gładko i dokładnie, jak cesał włosy.

– Pani, król cię oczekuje – powiedział Lancelot i podał jej ramię, by zaprowadzić ją na miejsca, które Artur kazał wybudować w pobliżu drewnianej barierki otaczającej ćwiczebny dziedziniec. Artur skłonił się jej, uśmiechem podziękował Lancelotowi i ujął jej dłoń.

– Tutaj, Gwenifer, usiądź przy mnie. Wezwałem cię, bo chcę ci pokazać coś szczególnego. Patrz tam...

Widziała grupkę młodszych rycerzy i kilku młodzików, którzy służyli we dworze, walczących ze sobą w zaaranżowanej bitwie: podzieleni na dwie grupy, bili się drewnianymi mieczami i dużymi tarczami.

– Patrz na tego wysokiego w podartej szafranowej koszuli – powiedział Artur – czy nie przypomina ci kogoś?

Gwenifer spojrzała na chłopca, obserwując jego udaną potyczkę – odbił się od reszty, zaatakował z furją, górował nad przeciwnikiem, jednego z chłopców zdzielił tak silnie, że tamten padł nieprzytomny, innego odepchnął jednym uderzeniem w tarczę. Był zaledwie młodzikiem, na różowych policzkach dopiero pojawiały się pierwsze zwiastuny zarostu i wciąż jeszcze wyglądał jak cherubinek, ale miał ponad sześć stóp wzrostu, a ramiona szerokie i mocne jak tur.

– Walczy jak sam diabeł – powiedziała Gwenifer. – Kim on jest? Wydaje mi się, że widziałam go gdzieś na dworze...

– To ten młody chłopak, który przybył na dwór i nie chciał podać swego imienia – odparł Lancelot. – Więc oddaliśmy go Kajowi, żeby pomagał w kuchni. To ten, którego nazywają „Przystojny”, bo dłonie ma tak delikatne i białe. Kaj robił mu wiele niewybrednych żartów, o tym, jak poplami sobie te rączki, obracając rożen lub obierając warzywa. Nasz Kaj ma ostry język.

– Chłopak jednak nigdy nie odpowiadał na zaczepki – powiedział Gawain, siedzący po drugiej stronie Artura. – Mógłby zgnieść Kaja gołymi rękoma, ale kiedy inni chłopcy namawiali go, by uderzył Kaja, szczególnie wtedy, kiedy ten zrobił wulgarny żart na temat jego pochodzenia, mówiąc, że pewnie jest niskiego rodu i jest synem pomywaczy, skoro ta robota tak łatwo mu idzie, Przystojny tylko spojrział przez ramię i powiedział, że nie wypada mu bić człowieka, który został kaleką w służbie swego króla.

– To musiało być dla Kaja gorsze niż najcięższe lanie – zauważył Lancelot z przekąsem. – Kaj uważa, że nie nadaje się do niczego poza obracaniem rożna i podawaniem talerzy. Któregoś dnia, Arturze, musisz znaleźć dla Kaja jakąś wyprawę, nawet gdyby chodziło tylko o odkrycie śladów smoka Pellinora.

Siedzące za nimi Elaine i Meleas zachichotały.

– Cóż – powiedział Artur – tak uczynię. Kaj jest zbyt dobry i zbyt lojalny, by pozwolić mu tak skwaśnieć. Wiesz, że chciałem mu dać Caerleon, ale odmówił. Powiedział, że jego ojciec przykazał mu służyć mi własnymi rękoma tak długo, jak żyje, i że przyjedzie wraz ze

mną do Kamelotu, by prowadzić mój dwór. A ten chłopiec, mówisz na niego Przystojny, tak, Lance? Czy on ci kogoś nie przypomina, moja pani?

Patrzyła uważnie na chłopca, który teraz nacierał na ostatniego z grupy przeciwników, wiatr rozwiewał jego jasne, długie włosy.

Miał szerokie, jasne czoło i duży nos, a jego dłonie zaciśnięte na broni były rzeczywiście gładkie i białe. Wtedy Gwenifer spojrzała za Artura i zobaczyła taki sam duży nos i niebieskie oczy, choć te były ukryte pod grzywą rudych włosów.

– Ależ on wygląda jak Gawain – powiedziała, jakby to było coś nieprawdopodobnego.

– Na Boga, tak właśnie jest – odparł Lancelot ze śmiechem – a ja nigdy tego wcześniej nie dostrzegłem, choć tak często go widuję.

To ja dałem mu tę szafranową koszulę, nie miał nawet jednej całej koszuli...

– Dałeś mu wiele więcej – powiedział Gawain – gdy go spytałem, czy ma wszystko, czego potrzeba, powiedział mi o twoich hojnych darach. To bardzo wspaniałomyślne z twojej strony, że tak pomogłeś chłopcu, Lance.

Artur odwrócił się i spytał zaskoczony:

– A więc on faktycznie jest twojej krwi, Gawain? Nie wiedziałem, że masz syna...

– Nie królu, to jest mój najmłodszy brat, Gareth, ale nie pozwolił mi tego wyjawić.

– I nigdy mi o tym nie powiedziałeś, kuzynie? – spytał Artur z wyrzutem. – Masz tajemnice przed swoim królem?

– Nie, nie... – zaprotestował zażenowany Gawain, a jego wielka twarz pokryła się rumieńcem, tak że cały, od ceglanoczerwonych policzków po płomiennie rude włosy, wydawał się jednego koloru. Gwenifer zdziwiła się, że taki wielki mężczyzna potrafi się czerwienić jak dziecko. – Nigdy, mój królu, ale chłopiec błagał mnie, bym nic nie mówił, powiedział, że wywyższyłeś mnie, bo jestem twoim kuzynem i krewnym, lecz że jeśli on miałby zdobyć zaszczyt na dworze Artura i zasłużyć się w oczach wielkiego Lancelota, tak właśnie powiedział, Lance, wielkiego Lancelota, to chciał, żeby to było wyłącznie za jego czyny, a nie za imię i urodzenie.

– To głupie – wtrąciła Gwenifer, a Lancelot tylko się uśmiechnął.

– Nie, to bardzo honorowo z jego strony. Często sam żałowałem, że nie miałem na tyle rozumu i odwagi, by zrobić tak samo, zamiast być tolerowanym dlatego, że jestem bękartem króla Bana, który nie musiał niczego sam w życiu zdobywać. To dlatego zawsze z taką furią walczę w bitwach, żeby nikt nie mógł powiedzieć, że nie zasługuję na swoje przywileje.

Artur delikatnie położył dłoń na nadgarstku Lancelota.

– O to nigdy nie musisz się bać, przyjacielu – powiedział. – Wszyscy wiedzą, że jesteś najlepszym z moich rycerzy i najbliższym mojego tronu. Gawain – odwrócił się do rudowłosego mężczyzny – ciebie też nie faworyzowałem dlatego, że jesteś mym krewnym i następcą, ale za twoją lojalność i odwagę, i za to, że więcej niż tuzin razy uratowałeś mi życie. Byli tacy, co mi mówili, iż mój następca nie powinien być równocześnie moim

przybocznym rycerzem, bo gdyby zbyt dobrze wykonywał swoje obowiązki, to nigdy nie zasiądzie na tronie, ale ja wciąż na nowo mogłem być tylko szczęśliwy, iż tak lojalny krewny chroni moją głowę. – Artur otoczył Gawaina ramieniem. – A więc to twój brat, a ja o tym nie wiedziałem.

– Ja też tego nie wiedziałem, gdy przybył na dwór – powiedział Gawain. – Kiedy widziałem go ostatni raz, na twoim ślubie, był małym chłopczykiem nie wyższym od ostrza mego miecza, a teraz, sam widzisz. Kiedyś zobaczyłem go w kuchni i pomyślałem, że może to jakiś bękart z mojej rodziny. Bóg jeden wie, ilu Lot ich miał, ale potem go rozpoznałem, a Gareth ubłagał mnie, bym nie wyjawiał, kim jest, tak żeby mógł sam się zasłużyć.

– No cóż, rok pod rządami twardej ręki Kaja może zrobić mężczyznę z każdego maminsynka – powiedział Lancelot – a on zachowuje się naprawdę godnie, na Boga.

– Dziwiłem się, że go nie poznałeś, przecież to przez niego omal nie zginąłeś na ślubie Artura – powiedział wzruszony Gawain. – a może nie pamiętasz, jak oddałeś go naszej matce i kazałeś mu uszyć bryczesy do konnej jazdy i sprać go za tamten wybryk?

– I zaraz potem sam omal nie postradałem życia, tak, teraz pamiętam – odparł Lancelot ze śmiechem. – A więc to ten sam mały łobuziak! Ależ on o wiele przewyższa w umiejętnościach innych chłopców, powinien już ćwiczyć razem ze zbrojnymi rycerzami. Wygląda na to, że może zostać najlepszym z nich. Mogę się oddalić, panie?

– Jak tylko chcesz, przyjacielu.

Lancelot odpasał swój miecz.

– Pilnuj go dla mnie, pani – powiedział, wręczając go Gwenifer. Przeskoczył przez ogrodzenie, podniósł jeden z drewnianych batonów, którymi ćwiczyli młodszy chłopcy, i pobiegł w kierunku wielkiego, jasnowłosego młodzika.

– Jesteś za duży dla tych chłopaków, panie. Podejź no i spróbuj swych sił z kimś bliższym twoim rozmiarom!

Bliższy twoim rozmiarom?, zdziwiła się Gwenifer z nagłym lękiem. Przecież Lancelot nie jest wysoki, niewiele nawet wyższy od niej samej, a młody Przystojniak góruje nad nim o ponad głowę!

Spostrzegłszy królewskiego dowódcę jazdy, chłopiec wahał się przez chwilę, ale Artur dał znak przyzwolenia i twarz chłopca zajaśniała radością. Natarł na Lancelota, podnosząc swą drewnianą broń do uderzenia, i widać było, jak się zdziwił, kiedy cios opadł, ominąwszy Lancelota; Lancelot zrobił unik, obrócił się błyskawicznie i trafił chłopca w ramię. Przesunął ciężar uderzenia, tak że prawie nie dotknął młodzika, tylko rozdarł mu koszulę. Gareth szybko się pozbierał, odparował sprawnie następny cios, a Lancelot poślizgnął się na mokrej trawie i przez chwilę wyglądało na to, że straci równowagę i upadnie przed chłopcem na kolana. Przystojniak cofnął się. Lancelot złapał równowagę i krzyknął:



– Głupcze! A gdybym był saksońskim wojownikiem? – i zadał mu silny cios w plecy płaską stroną drewnianego miecza. Cios powalił Garetha, broń wypadła mu z dłoni i poszybowała przez połowę pola, a on leżał na wpół ogłuszony.

Lancelot podbiegł i klęknął przy nim, uśmiechając się.

– Nie chciałem cię skrzywdzić, chłopcze, ale musisz się nauczyć większej czujności. – Wyciągnął do niego rękę. – Oprzyj się na mnie, o tak.

– Uczyniłeś mi wielki zaszczyt, panie – powiedział chłopiec, rumieniąc się. – I zaiste dobrze mi zrobiło poczuć twą siłę.

Lancelot poklepał go po ramieniu.

– Obyśmy zawsze walczyli u swego boku, a nie jako wrogowie, Przystojniaku – powiedział i wrócił do króla. Młodzik podniósł drewniany miecz i dołączył do swych towarzyszy, którzy otoczyli go i żartowali:

– No, Przystojniaku, omal nie powaliłeś w walce królewskiego dowódcy!

Artur uśmiechnął się, kiedy Lancelot z powrotem przeskoczył przez ogrodzenie.

– Wspaniale uczyniłeś, Lancelocie – powiedział – będzie z niego twardy rycerz, jak jego brat. – Po chwili dodał, patrząc na Gawaina: – Kuzynie, nie mów mu, że wiem, kim jest, powody, dla których zataił imię, były chwalebne. Powiedz mu jednak, że go widziałem i że pasuję go na rycerza w Zielone Świątki, jeśli wtedy, kiedy poddani zgłaszają mi swoje prośby, on też stawia się przede mną i poprosi mnie o miecz należny jego randze.

Twarz Gawaina zajaśniała. Teraz Gwenifer musiała przyznać, że ktokolwiek widział tych dwóch mężczyzn, powinien się domyśleć ich pokrewieństwa, bo mieli identyczne uśmiechy.

– Dziękci ci, mój królu i panie – powiedział Gawain. – Oby służył ci tak wiernie, jak ja.

– O, na pewno będzie – odparł Artur poruszony. – Co za szczęście, że mam takich towarzyszy i przyjaciół.

Gwenifer pomyślała, że Artur rzeczywiście umie wzbudzać u wszystkich miłość i wierność – to był sekret jego królowania, bo choć waleczny w bitwach, sam nie był zbyt wielkim wojownikiem.

Wielekroć widziała, jak w zawodach, które urządzali sobie, by nie stracić formy, Lancelot, a nawet stary Pellinor pokonywali Artura i wysadzali z siodła. Artur nigdy nie był o to zły ani nie cierpiał na tym jego duma, ale zawsze szczerze powtarzał, że szczęśliwy jest, mając tak dobrych wojowników, by go chronili, i silniejszych przyjaciół niż wrogów.

W chwilę później chłopcy pozbiali swoje drewniane oręża i odeszli. Gawain poszedł porozmawiać z bratem, a Artur poprowadził Gwenifer w kierunku obronnego muru. Lancelot stał na wielkim, wysokim wzgórzu, płaskim na szczycie – była to równina duża jak spore miasto. Tu właśnie zbudowali swój zamek i gród, otoczony obronnym murem. Artur zaprowadził Gwenifer na swoje ulubione miejsce, na szczycie muru, skąd rozciągał się widok na szeroką dolinę.

Zakręciło jej się w głowie i kurczowo trzymała się ściany. Z miejsca, gdzie stali, mogła dojrzeć swój rodzinny dom, krainę króla Leodegranza, a trochę bardziej na północ wyspę, która z daleka wydawała się skrzycona jak śpiący smok.

– Twój ojciec starzeje się, a nie ma syna – powiedział Artur. – Kto obejmie po nim panowanie?

– Nie wiem, pewnie będzie chciał, byś ty wyznaczył kogoś, kto będzie rządził jako regent w moim imieniu – odparła Gwenifer.

Jedna z jej siostr zmarła przy porodzie, daleko stąd, w Walii, a druga zginęła podczas napadu na ich zamek. Druga żona jej ojca także nie urodziła mu syna, więc Gwenifer była jedyną następczynią tronu.

Jakże ona, kobieta, mogła utrzymać królestwo przed tymi, którzy byli żądni ziemi? Spojrzała na krainę swego ojca i spytała:

– Ciekawa jestem, czy twój ojciec, Pendragon, także był pasowany na króla na Wyspie Smoka?

– Tak mi powiedziała Pani Jeziora, on także przysięgał zawsze chronić starej religii i Avalonu, i tak uczynił – odparł Artur w zamyśleniu i stał dalej wpatrzony w Wyspę Smoka.

Gwenifer zastanawiała się, jakie pogańskie bzdury chodzą mu po głowie.

– Kiedy jednak zwróciłeś się do prawdziwego Boga, on dał ci największe zwycięstwo, tak że wypędziłeś Saksonów z tych ziem po wsze czasy.

– To głupie tak myśleć – powiedział Artur. – Nigdy, jak sądzę, żadne ziemie nie są bezpieczne po wsze czasy, tylko kiedy Bóg tego chce.

– To Bóg dał ci te wszystkie ziemie, Arturze, byś mógł nimi władać jako chrześcijański król. To tak, jak z tym prorokiem Eliaszem, o którym opowiedział mi biskup. Kiedy Eliaz poszedł razem z kapłanami Boga i spotkał kapłanów Baala, i jedni, i drudzy zawołali swego boga. I Jedyne Bóg okazał się największy, a Baal był tylko idolem, więc nie mógł im odpowiedzieć. Gdyby w wierze Avalonu była jakakolwiek moc, to czyż Bóg i Dziewica daliby ci zwycięstwo?

– Moja armia przepędziła Saksonów, lecz ja mogę zostać ukarany za krzywoprzysięstwo – powiedział Artur.

Nienawidziła, kiedy te zmarszczki bólu i cierpienia pojawiały się na jego twarzy.

Podeszła trochę w stronę południową i wyteżyła wzrok. Z tego miejsca, kiedy się uważnie patrzyło, można było zobaczyć sam czubek wieży kościoła Świętego Michała, który stał na szczycie Toru. Zbudowano ten kościół pod jego wezwaniem, bo święty Michał był panem podziemi i pilnował, by pogańscy Bogowie pozostawali w piekle. Czasami jednak obraz rozmywał się przed jej oczyma i wtedy widziała na szczycie Toru nie kościół, ale kamienny krąg.

Zakonnice powiedziały jej, że taki krąg stał tam rzeczywiście w starych, pogańskich czasach i księża włożyli ogromny wysiłek w to, by powalić ogromne kamienie i zepchnąć je

w dół. Gwenifer przypuszczała, że ma wgląd w pogańskie królestwo, bo jest tak grzeszną kobietą. Raz nawet śniło jej się, że ona i Lancelot leżą razem w cieniu kamiennego kręgu, a on dostaje od niej to, czego mu nigdy dotąd nie dała...

Lancelot. Był taki dobry, nigdy nie nalegał na więcej, niż chrześcijańska niewiasta i kobieta zamężna mogła mu dać, nie okrywając się hańbą... jednakże jest zapisane, że sam Chrystus powiedział: *ktokolwiek patrzy na kobietę z pożądaniem, to już popełnia z nią cudzołóstwo w swoim sercu...* tak więc zgrzeszyła z Lancelotem i nie było odwrotu, oboje są potępieni. Zadrżała i odwróciła wzrok od Toru, bo wydało jej się, że Artur czyta w jej myślach. Wypowiedział imię Lancelota...

– ...nie uważasz tak, Gwenifer? Najwyższy czas, by Lancelot się ożenił.

Zmusiła się, by odpowiedzieć spokojnym głosem:

– W dniu, w którym poprosi cię o żonę, mój królu i panie, powinieneś mu ją dać.

– Tyle że on nie poprosi – powiedział Artur. – Nie chce mnie opuścić. Córka Pellinora byłaby dla niego dobrą żoną, a to twoja własna kuzynka, nie myślisz, że to by było odpowiednie? Lancelot nie jest bogaty, Ban miał zbyt wielu bękartów, żeby któremuś z nich dać wiele. To by była dobra partia dla obojga.

– Och, bez wątpienia masz rację – odparła Gwenifer. – Elaine wodzi za nim wzrokiem jak ci chłopcy na polu ćwiczebnym, którzy zabiegają, by złowić jego miłe słowo, lub choćby spojrzenie...

Mimo że raniło jej to serce, jednak może najlepiej będzie, jeśli Lancelot się ożeni. Jest zbyt dobry, by całe życie wiązać z nią, która mogła mu przecież dać tak niewiele, a poza tym ona też mogłaby wtedy naprawić swój grzech i dotrzymać postanowienia, że nie będzie grzeszyć więcej, czego dotrzymać nie potrafiła, kiedy Lancelot był blisko.

– Cóż, porozmawiam o tym ponownie z Lancelotem – powiedział Artur. – Twierdzi, że nie ma zamiaru się żenić, ale może zrozumie, iż nie musi to oznaczać odejścia z mego dworu. Czyż nie byłoby dobrze dla mnie i dla nas obojga, gdyby nasze dzieci miały pewnego dnia dzieci Lancelota za towarzyszy?

– Niech Bóg sprawi, by taki dzień nadszedł – odparła Gwenifer i przeżegnała się.

Stali razem na wzniesieniu, spoglądając na Krainę Lata, która rozciągała się w dole.

– Na drodze jest jakiś jeździec – powiedział Artur, patrząc na gościniec, który prowadził do zamku. Kiedy jeździec zbliżył się, Artur go rozpoznał. – To Kevin Harfiarz przybywa z Avalonu. I tym razem przynajmniej miał na tyle rozsądku, by wziąć ze sobą giermka.

– To nie jest giermek – powiedziała Gwenifer, przyglądając się szczupłej postaci siedzącej na koniu za Kevinem. – To kobieta. Jestem zaskoczona, myślałam, że Druidzi są jak księża i stronią od kobiet.

– Tak, niektórzy tak, kochanie, ale słyszałem od Taliesina, że wszyscy ci, którzy nie są najwyżsi rangą, mogą się nawet żenić i często to robią. Może Kevin wziął sobie żonę, a może tylko przyjechał z kimś, kto podążał w tę samą stronę? Poślij jedną ze swych kobiet, by

powiadomiła Taliesina o jego przybyciu, a drugą do kuchni. Skoro dziś wieczorem będziemy mieć muzykę, to wypada też, by uświetniła ją odpowiednia uczta! Chodźmy w tę stronę, by go przywitać, taki artysta jak Kevin zasługuje na powitanie przez samego króla.

Zanim doszli do wielkiej bramy, już została otwarta i sam Kaj wyszedł witać wielkiego harfiarza w Kamelocie. Kevin skłonił się królowi, ale oczy Gwenifer spoczęły na szczupłej, ubogo odzianej postaci stojącej za nim.

Morgiana skłoniła się i powiedziała:

– Tak więc powróciłam na twój dwór, bracie.

Artur podszedł, by ją ucałować i uściskać.

– Witaj z powrotem, siostrze, tak długo cię nie było – powiedział, policzkiem wciąż dotykając jej policzka. – A teraz, kiedy nasza matka od nas odeszła, powinniśmy trzymać się razem. Nie opuszczaj mnie już nigdy, siostrze.

– Nie mam takiego zamiaru – powiedziała.

Gwenifer także podeszła, by ją uściskać, czuła, jak twarde i kościste jest ciało Morgiany w jej ramionach.

– Wyglądasz, jakbyś od dawna była w drodze, siostrze – powiedziała Gwenifer.

– Prawda, byłam bardzo daleko – odparła Morgiana, a Gwenifer trzymała ją za rękę, kiedy szły przez dziedziniec.

– Gdzie byłaś? Nie było cię tu tak długo, myślałam już prawie, że nigdy nie wrócisz – powiedziała Gwenifer.

– Ja też tak niemal myślałam – potwierdziła Morgiana, ale nie wyjawiała Gwenifer, gdzie przebywała.

– Rzeczy, które u nas zostawiłaś, twoja harfa, suknie i wszystko inne, są ciągle w Caerleon. Jutro pošlę po nie, by przywieziono je tak szybko, jak tylko posłaniec potrafi jechać – zapewniła Gwenifer, prowadząc ją do komnaty swoich dam dworu. – Do tego czasu, jeśli chcesz, pożyczę ci swoją suknię. Długo byłaś w drodze, siostrze, wyglądasz, jakbyś sypiała w bydlęcej stajni. Czy napadli cię rozbójnicy i zabrali twoje rzeczy?

– Rzeczywiście miałam przykre przygody po drodze – powiedziała Morgiana – i gdybyś przysłała mi kogoś, by mi naszykował kąpiel i bym się mogła przebrać w czyste szaty, będę ci wdzięczna. Prosiłabym także o pożyczanie grzebienia i spinek do włosów, i koszuli.

– Moja suknia będzie na ciebie za długa – powiedziała Gwenifer – ale bez wątpienia dasz radę jakoś ją upiąć, zanim twoje rzeczy nie powrócą. Dam ci z przyjemnością grzebienie i spinki, i koszule, i buty, bo te wyglądają, jakbyś w nich szła do Lothianu i z powrotem! – Skinęła na jedną ze swych dwerek i przykazała: – Przynies czerwony szatę i welon do niej, i koszulę, i moją drugą parę butów, i pończochy, wybierz wszystko tak, by siostra mego pana była ubrana godnie do swego stanu. I niech kąpielowa naszykuje kąpiel. – Spojrzała z niesmakiem na suknię, którą Morgiana miała na sobie, i dodała: – Jeśli tej nie da się wyczyścić i wywietrzyć, daj ją jednej z podkuchennych!

Kiedy Morgiana pojawiła się przy królewskim stole, odziana była w czerwoną szatę, która bardzo jej pasowała, przydając kolorów śniadej cerze; prosili ją, by zaśpiewała, ale nie chciała. Powiedziała, że jeśli Kevin jest na dworze, nikt nie powinien słuchać ćwierkania drozda, skoro może usłyszeć pieśń słowika.

Następnego dnia Kevin poprosił Artura o prywatną audiencję i on, król, a także Taliesin zamknęli się na wiele godzin i nawet kazali sobie osobno podać wieczerzę, ale Gwenifer nie dowiedziała się, o czym rozmawiali, Artur mówił jej niewiele o sprawach stanu. Bez wątpienia byli na niego źli, że postanowił odrzucić swoje śluby dla Avalonu, jednak prędzej czy później i tak będą musieli przyjąć to, że jest chrześcijańskim królem. Gwenifer zaś miała inne sprawy do przemyślenia.

Tej wiosny na dworze zapanowała gorączka, nawet niektóre z jej dworek zachorowały, tak że do Wielkanocy nie miała czasu myśleć o niczym innym. Nigdy nie przypuszczała, że ucieszy się z obecności Morgiany, ta jednak znała się tak doskonale na leczeniu i ziołach, że Gwenifer była pewna, iż to właśnie dzięki wiedzy Morgiany na dworze nikt nie umarł. Słyszała, że na ziemiach wokół dworu wielu pomarło, choć w większości małe dzieci i ludzie starzy. Jej młodsza przyrodnia siostra Isotta dostała gorączki, a matka Isotty usłyszała o tym i nie pozwoliła jej zostać na dworze, więc odesłano ją. Później, w tym samym miesiącu, Gwenifer dowiedziała się, że Isotta nie żyje.

Opląkała dziewczynkę, bo zdążyła ją polubić i miała nadzieję wydać ją za jednego z rycerzy Artura, kiedy mała podrośnie.

Lancelot także zapadł na gorączkę i Artur wydał rozkazy, by zakwaterowano go w zamku i by opiekowały się nim kobiety Gwenifer. Kiedy wciąż było niebezpieczeństwo, że może się zarazić, Gwenifer nie zbliżała się do niego; znów myślała, że jest brzemienna, ale okazało się to tylko jej złudną nadzieją. Kiedy Lancelot zaczął wracać do zdrowia, odwiedzała go często i siadywała przy jego łożu.

Morgiana przychodziła także, by grać mu na harfie, bo wciąż jeszcze nie mógł opuszczać łoża. Pewnego dnia, patrząc na nich, jak rozmawiają o Avalonie, Gwenifer dostrzegła wyraz oczu Morgiany i pomyślała: *Och, ona wciąż go kocha!* Wiedziała, że Artur ciągle miał na to nadzieję – na małżeństwo Morgiany i Lancelota, i patrzyła chora z zazdrości, jak Lancelot słucha harfy Morgiany.

*Jej głos jest taki słodki; nie jest piękna, ale jest taka mądra i uczona – pięknych kobiet jest tak wiele, Elaine jest piękna, i Meleas, i córka króla Roynsa, nawet Morgause jest wciąż jeszcze piękna, tylko dlaczego Lancelotowi miałoby na tym zależeć?* Zauważyła, z jaką delikatnością i wprawą ręce Morgiany unoszą go i podają mu do picia zioła i lecznicze mikstury. Ona, Gwenifer, nie potrafiła się zbyt dobrze zajmować chorymi, brakowało jej umiejętności, siedziała więc sztywno, kiedy Morgiana rozmawiała, śmiała się i zabawiała Lancelota.

Ściemniało się i w końcu Morgiana powiedziała:

– Nie widzę nawet strun mojej harfy i ochrypłam jak wrona, nie mogę już śpiewać. Wypij swoje lekarstwo, Lancelocie, a potem przyślę twego giermka, by przygotował cię do snu.

Z kwaśnym uśmiechem Lancelot wziął kubek z jej rąk.

– Twoje lekarstwa pomagają, kuzynko, ale ten ich smak!

– Wypij – przykazała Morgiana ze śmiechem. – Na czas choroby Artur oddał cię pod moje rozkazy...

– Tak, i nie wątpię, że gdybym odmówił, spuściłabyś mi lanie i posłała spać bez kolacji, a jeśli wypiję jak grzeczny chłopczyk, dostanę całusa i miodowe ciasto – odparł Lancelot.

– Jeszcze za wcześnie na miodowe ciasto – zachichotała Morgiana – zjesz smaczny grysik. Za to, jeżeli wypijesz lekarstwo, dostaniesz całusa na dobranoc, a kiedy wyzdrowiejesz na tyle, by móc je zjeść, to sama upiekę ci miodowe ciasto.

– Dobrze, mamusiu – powiedział Lancelot, marszcząc nos.

Gwenifer zauważyła, że Morgianie nie spodobał się ten żart, ale kiedy opróżnił kubek, pochyliła się i delikatnie pocałowała go w czoło, a potem podciągnęła mu okrycia pod samą brodę, jak matka otulająca dziecko w kołysce.

– No, dobre dziecko, a teraz zaśnij – powiedziała ze śmiechem, choć ten śmiech wydał się Gwenifer brzmieć gorzko. Potem Morgiana odeszła.

Gwenifer stanęła u wezglowia łoża.

– Ona ma rację, mój drogi, powinieneś spać.

– Mam już dość tego, że Morgiana ma zawsze rację – odparł Lancelot. – Usiądź tu przy mnie na chwilę, ukochana...

Rzadko odważał się tak do niej zwracać. Usiadła na brzegu łoża i pozwoliła mu trzymać się za rękę. Po chwili przyciągnął ją do siebie i pocałował; leżała na brzegu jego łoża i pozwalała się całować znów i znów, jednak po pewnym czasie Lancelot westchnął smutno i nie zaprotestował, kiedy się podniosła.

– Moja ukochana, tak dłużej być nie może, musisz mi pozwolić opuścić ten dwór.

– Po co? Chcesz polować na ulubionego smoka króla Pellinora? A co Pellinor będzie robił dla rozrywki? To jego ulubione polowanie – powiedziała Gwenifer żartem, ale serce przeszywał jej ból.

Otoczył ją ramionami i znów przyciągnął do siebie.

– Nie, nie żartuj z tego, Gwen. Ty to wiesz i ja to wiem, i niech Bóg nas ma w opiece, myślę, że nawet Artur to wie, iż odkąd po raz pierwszy ujrzałem cię na dworze twego ojca, nie kochałem nigdy nikogo oprócz ciebie i nigdy nie pokocham. I jeśli mam pozostać wierny memu przyjacielowi i memu królowi, muszę odjechać z tego dworu i nigdy już cię nie widzieć.

– Nie będę cię zatrzymywać, jeżeli czujesz, że musisz jechać... – powiedziała Gwenifer.

– Tak jak już wcześniej odjeżdżałem – powiedział gwałtownie. – Za każdym razem, kiedy wyruszałem na wojny, połowa mnie miała nadzieję, że padnę pod mieczem Saksonów i nie powrócę już nigdy do tej beznadziejnej miłości; niech mi Bóg wybaczy, bywały chwile, kiedy nienawidziłem mego króla, któremu przysięgałem miłość i oddanie, a potem znów myślałem, że żadna kobieta nie powinna zniszczyć przyjaźni, która jest między nami, i przysięgałem sobie, że już więcej nie będę o tobie myślał inaczej niż tylko jako o żonie mego króla. Teraz jednak nie ma już wojen, a ja muszę siedzieć tutaj dzień za dniem i patrzeć na ciebie u jego boku, i myśleć o tobie w jego łóżu, o jego szczęśliwej i zaspokojonej małżonce...

– Dlaczego uważasz, że jestem bardziej szczęśliwa czy zaspokojona niż ty? – spytała drżącym głosem. – Ty przynajmniej możesz wybrać, czy zostajesz, czy odchodzisz, a mnie oddano w ręce Artura nawet bez prostego pytania „chcesz czy nie?” Ja nie mogę wstać i stąd wyjechać, kiedy coś mi się nie podoba, ale muszę tu siedzieć i czynić to, czego się ode mnie oczekuje... jeśli musisz jechać, ja nie mogę ci powiedzieć: Zostań. A jeśli zostaniesz, ja nie mogę ci rozkazać: Jedź! Ty przynajmniej jesteś wolny, by zostać lub odjechać, wedle swojej woli!

– Czy myślisz, że mogę być szczęśliwy, zostając albo jadąc? – spytał Lancelot, a Gwenifer wydało się, że on za chwilę się rozplacze. Opanował się jednak i powiedział tylko: – Kochana, co chcesz, bym uczynił? Niech Bóg broni, bym miał ci przysparzać jeszcze więcej smutku. Jeśli mnie tu nie będzie, wszystko będzie dla ciebie prostsze, musisz być tylko dobrą żoną dla Artura, nic więcej. Jeśli zostanę... – Głos mu się załamał.

– Jeśli czujesz, że twoim obowiązkiem jest wyjechać, zatem jechać musisz... – powiedziała, a po twarzy popłynęły jej łzy.

Odezwał się głosem tak napiętym, jakby miał w sobie śmiertelną ranę:

– Gwenifer... – Tak rzadko zwracał się do niej po imieniu, zawsze mawiał *moja pani* albo *moja królowo*, a kiedy mówił w żartach, to zawsze mówił Gwen. Kiedy teraz wymówił jej pełne imię, pomyślała, że w życiu nie słyszała słodsze go dźwięku. – Gwenifer, dlaczego płaczesz?

Teraz musi skłamać, i to skłamać dobrze, bo przecież, na swój honor, nie może powiedzieć mu prawdy.

– Bo... – zaczęła, zatrzymała się, a potem szlochając, dokończyła: – Bo nie wiem, jak mam żyć, jeśli ciebie nie będzie.

Przełknął ślinę, ujął obie jej dłonie w swoje i powiedział wyraźnie:

– A więc, ukochana moja, ja nie jestem królem, ale mój ojciec dał mi niewielką posiadłość w Bretanii. Czy opuścisz razem ze mną ten dwór? Ja... sam nie wiem, może to będzie bardziej honorowe, niż pozostawać na dworze Artura i kochać się z jego żoną...

A więc on mnie kocha, myślała Gwenifer. On mnie pragnie, a to jest honorowe wyjście... lecz natychmiast ogarnął ją paniczny lęk.

Jechać samej, tak daleko, nawet z Lancelotem... a potem pomyślała o tym, co wszyscy będą o niej mówić, kiedy zachowa się tak niegodnie...

Lancelot leżał, wciąż trzymając jej dłonie w swoich.

– Nigdy nie będziemy mogli wrócić, wiesz o tym, nigdy. I prawdopodobnie oboje zostaniemy wyklęci z kościoła, dla mnie to nie znaczy tak wiele, nie jestem zbyt wiernym chrześcijaninem, lecz ty, moja Gwenifer...

Opuściła na twarz welon i płakała, wiedząc, jaki z niej tchórz.

– Gwenifer – powiedział – nie chcę cię namawiać do grzechu...

– Już zgrzeszyliśmy, ty i ja – powiedziała gorzko.

– I jeśli księża mają rację, będziemy za to potępieni – dodał Lancelot równie gorzko. – A przecież nigdy nie dostałem od ciebie więcej ponad te pocałunki! Spada na nas całe zło i cała wina, a nie mamy żadnej rozkoszy, którą, jak mówią, daje grzech. Nie jestem taki pewien, czy wierzę tym księżom, bo jakież Bóg zakrada się co noc jak stróż, zagląda przez szpary, jak stara wiejska plotkara, żeby zobaczyć, czy jakiś człowiek nie sypia z żoną swego sąsiada...

– Merlin mówił coś takiego – powiedziała cicho Gwenifer. – I czasami to mi się wydaje rozsądne, a potem znów myślę, czy to nie robota diabła, który sprowadza mnie do złego...

– Och, nie mów mi o diable – odparł i znów przyciągnął ją do siebie. – Najdroższa moja, pojedę, jeśli chcesz, albo zostanę, ale nie mogę znieść tego, że jesteś taka nieszczęśliwa...

– Ja nie wiem, czego ja chcę – zapłakała i pozwoliła mu się tulić, wciąż szlochając.

W końcu Lancelot wyszeptał:

– Już zapłaciliśmy za ten grzech... – i przykrył jej usta swoimi.

Drżąc, Gwenifer poddała się pocałunkowi i jego niecierpliwym dłoniom, które szukały jej piersi. Niemal miała nadzieję, że tym razem on nie zadowolony się tylko tym, lecz w sieni rozległy się jakieś odgłosy i Gwenifer wyprostowała się przestraszona. Kiedy giermek wszedł do komnaty, siedziała skromnie na skraju łoża. Giermek zakasłał i spytał:

– Panie? Pani Morgiana powiedziała mi, że jesteś gotów na spoczynek. Pozwolisz, pani...?

*Znowu Morgiana, przeklęta!*

Lancelot zaśmiał się i puścił dłoń Gwenifer.

– Tak, bez wątpienia królowa jest także znużona. Czy obiecujesz odwiedzić mnie jutro, pani?

Była mu zarazem wdzięczna i zła na niego za to, że jego głos brzmiał tak spokojnie. Odwróciła się od światła, które przyniósł służący. Wiedziała, że welon ma pognieciony i suknię w nieładzie, twarz spuchniętą od płaczu i rozczochrane włosy. Jak ona wyglądała?

Co też ten człowiek sobie pomyśli o tym, co oni tu robili? Opuściła welon na twarz i wstała.

– Dobranoc, sir Lancelocie. Kerval, opiekuj się dobrze drogim przyjacielem mego króla – rzuciła i wyszła, mając nadzieję, że uda jej się przejść korytarz i dotrzeć do swojej komnaty,



zanim znów wybuchnie płaczem. *O Boże! Jak ja śmiem modlić się i przysięgać, Że nie zgrzeszę więcej! Winnam się modlić, by Bóg uwolnił mnie od pokusy, a nie mogę!*

## 16

Na dzień czy dwa przed nocą Beltanu Kevin Harfiarz znów przybył na dwór Artura. Morgiana ucieszyła się na jego widok. To była długa i męcząca wiosna. Lancelot wyleczył się z gorączki i odjechał do Lothianu. Morgiana zastanawiała się, czy z nim nie pojechać, by odwiedzić swojego synka, nie chciała jednak podróżować w towarzystwie Lancelota, on też nie życzyłby jej sobie za towarzyszkę podróży. *Memu synowi jest dobrze tam, gdzie teraz jest, innym razem pojedę go zobaczyć*, myślała.

Gwenifer chodziła cicha i zasmucona; przez te lata, kiedy Morgiany nie było na dworze, królowa zmieniła się z beztroskiej, dziecinnej kobiety w osobę wyciszoną, zamyśloną, bardziej pobożną, niż było to rozsądne. Morgiana podejrzewała, że Gwenifer rozpacza za Lancelotem, a znając go, myślała z lekką pogardą, że on ani nie zostawi tej kobiety całkowicie w spokoju, ani nie przywiedzie jej z całą odpowiedzialnością do grzechu. Zresztą Gwenifer mu w tym nie ustępowała – nie chciała ani mu się oddać, ani z niego zrezygnować. Morgiana zastanawiała się, co Artur o tym myśli, ale by go o to zapytać, potrzeba było kogoś bardziej odważnego niż ona.

Morgiana powitała Kevina, myśląc w duchu, iż nie jest wykluczone, że spędzą razem noc Beltanu. Fale przyływu burzyły jej krew, a skoro nie może mieć tego, którego pragnie (wiedziała, że tym człowiekiem wciąż jest Lancelot), może równie dobrze wziąć sobie kochanka, który nią się zachwyca. Miło jest być uwielbianą i upragnioną. Poza tym, Kevin swobodnie rozmawiał z nią o sprawach wagi państwowej, czego nie robił ani Artur, ani Lancelot. Przez chwilę myślała z gorzkim żalem, że gdyby pozostała w Avalonie, to w tej chwili radzono by się jej we wszystkich ważnych sprawach dotyczących jej czasów.

Cóż, teraz było już na to za późno, co się stało, to się nie odstanie.

Tak więc powitała Kevina w wielkiej sali i przykazała podać mu wino i wieczerzę. Gwenifer z ochotą powierzyła jej to zadanie – królowa lubiła słuchać gry Kevina, ale nie mogła znieść jego widoku. Kiedy bard został obsłużony, Morgiana spytała go o Avalon:

– Czy Viviana ma się dobrze?

– Tak, i wciąż jest zdecydowana przybyć do Kamelotu w Zielone Świątki – powiedział Kevin. – I dobrze, bo Artur nie chce mnie słuchać. Jednak przynajmniej obiecał, że jeszcze w tym roku nie zabroni ogni Beltanu.

– Nie wyszłoby mu to na dobre, gdyby zabronił – odparła Morgiana. – Artur ma też kłopoty bliżej domu. Za tym oknem, niemal w zasięgu wzroku, leży wyspiarskie królestwo Leodegranza, słyszałeś o tym?

– Jakiś przygodnie napotkany podróżny powiedział mi, że król nie żyje – potwierdził Kevin. – I że nie zostawił dziedzica. Jego ostatnia żona, Alienora, zmarła przy porodzie w kilka dni po nim. Gorączka zebrała na tych ziemiach okrutne żniwo.

– Gwenifer nie pojechała nawet na pogrzeb – powiedziała Morgiana. – Nie miała za kim rozpaczać, nie był to dla niej kochający ojciec. Artur radził się jej w sprawie ustanowienia tam regenta, powiedział, że teraz to królestwo należy do niej i gdyby mieli drugiego syna, on by je odziedziczył. Tyle że to mało prawdopodobne, by Gwenifer miała choć jednego syna.

– Tak, poroniła przed bitwą pod Mount Badon. – Kevin powoli kiwał głową. – Bardzo potem chorowała. Od tamtej pory nie słyszałem choćby plotki, by była brzemienna. Ile lat ma Najwyższa Królowa?

– Myślę, że co najmniej dwadzieścia i pięć – odparła Morgiana, nie była jednak pewna, tyle czasu spędziła przecież w czarownej krainie.

– To dużo, jak na pierwsze dziecko – powiedział Kevin – chociaż nie wątpię, że jak wszystkie bezdziejne kobiety, modli się o cud. Co jej dolega, że nie może zajść w ciążę?

– Nie jestem akuszerką. Wydaje się dosyć zdrowa, ale chociaż zdarła kolana na modlitwach, dziecka ani śladu.

– No cóż, Bogowie uczynią wedle swej woli – odparł Kevin – lecz będziemy potrzebowali ich litości nad tą ziemią, jeśli Najwyższy Król umrze bez potomka! A teraz nawet nie ma zagrożenia ze strony Saksonów, by powstrzymało pomniejszych lennych królów Brytanii od rzucenia się na siebie i rozgrabienia tej ziemi na strzępy. Nigdy nie ufałem Lotowi, ale on nie żyje, a Gawain jest najbardziej zaufanym człowiekiem Artura, tak więc nie ma niebezpieczeństwa ze strony Lothianu, chyba że Morgause znajdzie sobie kochanka z ambicjami do tronu Najwyższego Króla.

– Lancelot tam pojechał, lecz niebawem powinien wrócić – powiedziała Morgiana, a Kevin dodał:

– Viviana też z jakiegoś powodu wybiera się do Lothianu, choć wszyscy uważamy, że jest za stara na taką podróż.

*Tak więc zobaczy mojego syna...* serce Morgiany podskoczyło i poczuła w gardle bolesny skurcz, jakby się miała rozpłakać. Kevin wydawał się tego nie dostrzegać.

– Nie spotkałem Lancelota po drodze – powiedział. – Bez wątpienia jechał inną drogą lub zatrzymał się, by odwiedzić swą matkę, albo też... – Kevin uśmiechnął się wstydliwie – by spędzić tam święto Beltanu. Gdyby się tam zatrzymał, uradowałoby to każdą kobietę w Lothian. Morgause nie pozwoli, by taki smaczny kąsek wymknął się jej szponom.

– Jest siostrą jego matki – zaoponowała Morgiana. – Poza tym Lancelot jest na to zbyt dobrym chrześcijaninem. Ma wiele odwagi, by walczyć z Saksonami w bitwie, ale niewiele odwagi do takich zmaganiań.

– O, doprawdy? – Kevin uniósł brwi. – Nie wątpię, że wiesz to z doświadczenia, lecz z grzeczności przyjmijmy, iż powiedział ci to Wzrok! Jednak Morgause byłaby szczęśliwa,

widząc najbardziej zaufanego rycerza Artura zamieszanego w skandal, wtedy Gawain stałby się bliższy tronu. A ta kobieta podoba się wszystkim mężczyznom, nie jest wcale taka stara i jest wciąż piękna, włosy ma ciągle rude, bez cienia siwizny...

– Och – odparła Morgiana kwaśno – na targach w Lothian też sprzedają hennę z Egiptu.

– Jej talia jest szczupła, i mawiają nawet, że uprawia czarną magię, by zjednywać sobie mężczyzn – ciągnął Kevin – ale to przecież tylko plotki. Słyszałem, że wcale nieźle rządzi królestwem. Czy aż tak jej nie lubisz, Morgiano?

– Nie, to moja krewna i była dla mnie dobra... – zaczęła Morgiana i już miała powiedzieć: i wychowuje moje dziecko, to by dało jej możliwość, by spytać o Gwydiona... ale zatrzymała się. Tej tajemnicy nie może powierzyć nawet Kevinowi. Dokończyła zatem:

– Nie podoba mi się jednak, że o mojej krewnej w całej Brytanii mówią jak o ladacznicy.

– Nie jest aż tak źle – powiedział Kevin ze śmiechem i odstawił pusty kubek. – Skoro dama ma oko na przystojnych młodzieńców, to nie jest w tym pierwsza ani ostatnia. A teraz, kiedy Morgause jest wdową, nikt nie może jej rozliczać z tego, kto dzieli jej łóżko. No, nie powinienem kazać królowi czekać na siebie. Życz mi powodzenia, Morgiano, bo muszę przynieść memu władcy złe nowiny, a wiesz, jaki bywa los tych, którzy przynoszą królom niepomyślne wieści!

– Artur nie jest taki – powiedziała Morgiana – lecz jeśli to nie tajemnica, jakież to złe nowiny niesiesz?

– Wcale nie nowiny, bo już nieraz powtarzano, iż Avalon nie zgadza się na to, by Artur rządził jako chrześcijański król, niezależnie od tego, jaką wiarę sam wyznaje. Nie powinien pozwalać księżom prześladować wyznawców Bogini ani niszczyć świętych gajów. A skoro tak uczyni, to mam mu przekazać słowa Pani Avalonu: ta sama ręka, która dała mu święty miecz Druidów, może obrócić ten miecz przeciwko niemu!

– To nie będzie miła audyencja, ale może przypomni mu o jego przysiędze.

– O tak, a Viviana ma wciąż jeszcze jedną broń, której może użyć – powiedział Kevin, ale kiedy Morgiana spytała, jaka to broń, nie chciał jej tego wyjawiać.

Kiedy odszedł, Morgiana rozmyślała nad nocą, która miała nadejść. Przy wieczerzy będzie muzyka, a potem... cóż, Kevin jest dobrym kochankiem, czułym i chętnym, by ją zadowalać, a ona ma już dość samotnych nocy. Wciąż siedziała w wielkiej sali, kiedy pojawił się Kaj z wieścią, że przybył jeszcze jeden jeździec.

– To twój krewny, pani Morgiano. Czy powitasz go i podasz mu wino?

Morgiana zgodziła się. Czyżby Lancelot powrócił tak szybko?

Jednak przybyszem okazał się Balan. Z trudem go rozpoznała, utył i był tak wielki, że chyba trzeba było specjalnego konia, by mógł go unieść. On rozpoznał ją natychmiast.

– Morgiana! Witaj, krewniaczko! – powiedział i usiadł przy niej, przyjmując kubek z jej rąk. Powiedziała mu, że Artur rozmawia teraz z Kevinem i Merlinem, ale że ujrzy go przy wieczerzy. Potem spytała o nowiny.

– Tylko tyle, że na północy znów widziano smoka. Nie, nie, tym razem to nie wymysły, jak ten smok Pellinora. Sam widziałem jego ślady i rozmawiałem z dwoma ludźmi, którzy go widzieli. Nie kłamali ani nie zmyślali, żeby sobie przydać wagi, byli przerażeni i obawiali się o własne życie. Powiedzieli, że smok wyszedł z jeziora i porwał jednego z ich służących. Pokazali mi jego but.

– Jego... but, kuzynie?

– Spadł, kiedy smok go porywał, but był pokryty strasznym śluzem – odparł Balan. – Chcę poprosić Artura o tuzin rycerzy, by pojechali ze mną i położyli temu kres.

– Musisz też zaprosić Lancelota, kiedy wróci – powiedziała Morgiana tak lekko, jak potrafiła. – Będzie mu potrzebna praktyka przy smokach. Myślę, że Artur stara się wyswatać Lancelota z córką Pellinora.

Balan spojrział na nią ostro.

– Nie zazdroszczę dziewczynie, która dostanie mego braciszka za męża. Słyszałem, że jego serce jest zajęte, a może nie powinienem o tym mówić...

– Nie powinieś – ucięła Morgiana.

Balan wzruszył ramionami.

– Niech i tak będzie. Zatem Artur nie ma żadnego powodu, by chcieć znaleźć Lancelotowi żonę daleko od swego dworu. Nie słyszałem jednak o twoim powrocie, kuzynko. Dobrze wyglądasz.

– A jak się miewa twój przyrodni brat?

– Balin miał się dobrze, kiedy ostatnio go widziałem – odpowiedział Balan. – Choć dalej nie przepada za Vivianą. Z drugiej strony nie ma powodu przypuszczać, by wciąż nosił w sercu urazę z powodu śmierci naszej matki. Wtedy pieklił się i zaprzysięgał zemstę, lecz musiałby w istocie być szaleńcem, by wciąż tak myśleć.

W każdym razie, jeśli nawet takie są jego myśli, nie wspominał o nich, gdy był tutaj na Zielone Świątki, rok temu. To najnowszy zwyczaj Artura, możesz o nim nie wiedzieć, że gdziekolwiek byśmy byli w Brytanii, to wszyscy jego starzy towarzysze, rycerze Okrągłego Stołu, mają się zbierać w to święto i razem ucztować. W tym czasie Artur pasuje też nowych towarzyszy, w kolejności ich rycerskich zasług, przyjmuje też każdego poddanego, nieważne, jak niskiego pochodzenia...

– Tak, słyszałam o tym – powiedziała Morgiana i poczuła się dziwnie nieswojo.

Kevin mówił o Vivianie... powtarzała sobie, że była tylko zaniepokojona samym pomysłem, by niewiasta w latach Pani Jeziora przybywała tu jako zwyczajna petentka. Tak, jak mówi Balan, chyba tylko szalenieć mógł przechowywać myśl o zemście po tylu latach.

Tego wieczoru była wspaniała muzyka Kevina i śpiewy. Później tej samej nocy Morgiana wymknęła się z komnaty, w której sypiała z niezamężnymi damami dworu – tak cichutko, jak duch lub jak wyszkolona w Avalonie kapłanka, i odnalazła komnatę, gdzie spał Kevin.

Wyszła stamtąd przed świtem, zadowolona, lecz mimo że rozmawiali nie tylko o Arturze, to jedna rzecz, którą powiedział Kevin, niepokoiła ją.

– Artur nie chce mnie słuchać – powiedział. – Mówi, że lud Anglii to chrześcijanie, i choć on nie będzie prześladował nikogo za to, jakiego Boga wyznaje, to sam stoi po stronie księży i Kościoła, tak jak oni stoją przy jego tronie. I posłał wiadomość do Pani Avalonu, że jeśli chce z powrotem jego miecz, to musi go sobie sama wziąć.

Nawet kiedy już wślizgnęła się do własnego łóża, Morgiana nie mogła zasnąć. To był ów legendarny miecz, który przywiązał do Artura tak wielu ludzi Plemion i ludzi Północy. Dzięki przymierzu z Avalonem przystało do niego tak wielu wojowników z tajemniczych, starych, przedrzymskich ludów. A teraz wydawało się, że Artur oddalił się od tego przymierza bardziej niż kiedykolwiek dotąd.

Powinna z nim porozmawiać... nie, nie będzie chciał jej słuchać.

Jest tylko kobietą i jego siostrą, a między nimi zawsze będzie leżało wspomnienie tamtego poranka po rytuale i nigdy nie będą umieli rozmawiać ze sobą zupełnie otwarcie, jakby to mogli czynić wcześniej. Nie reprezentuje także władzy Avalonu – tę możliwość zniszczyła własnymi rękoma...

Możliwe, że Vivianie uda się przekonać Artura o wadze dochowania przysięgi. A jednak, mimo że wciąż to sobie powtarzała, minęło dużo czasu, zanim Morgiana mogła zmrużyć oczy i zasnąć.

## 17

Gwenifer poczuła jasne, słoneczne promienie, wdzierające się poprzez zasłony, zanim jeszcze wstała z łóża. *Nadeszło lato*. A wraz z nim: *święto Beltanu*. Samo serce pogańskiej wiary – była pewna, że wiele z jej służących tej nocy wymknie się z dworu; kiedy na Wyspie Smoka zapalą się ognie Beltanu w hołdzie ich Bogini, pójdą na pola... *niektóre, bez wątpienia, wrócą do domu z łonem wypełnionym dzieckiem Boga... a ja, chrześcijańska małżonka, nie mogę urodzić syna memu własnemu drogiemu panu...*

Obróciła się i leżała, patrząc na śpiącego Artura. O tak, on jest jej droгим panem i kocha go. Wziął ją jako część posagu, nawet jej wcześniej nie widząc, a jednak kochał ją, uwielbiał, szanował – to nie była przecież jej wina, że nie może wypełnić pierwszej powinności królowej i dać syna jego królestwu.

Lancelot – nie, kiedy ostatnim razem wyjechał z dworu, przysięgła sobie, że już więcej o nim nie pomyśli. Wciąż za nim tęskniła, sercem, duszą i ciałem, lecz ślubowała być lojalną i wierną żoną Artura. Nigdy więcej Lancelot nie dostanie od niej nawet tych niewinnych zabaw i igraszek, które jedynie sprawiały, że pragnęli jeszcze więcej... to było igranie z grzechem, nawet jeśli nie było w tym nic groźniejszego.

Beltan. Cóż, może jej obowiązkiem, jako chrześcijanki i królowej na chrześcijańskim dworze, jest wyprawić w tym dniu taką ucztę i święto, by wszyscy mogli się radować bez uszczerbku dla swych dusz? Wiedziała, że Artur zapowiedział już rycerskie turnieje i igrzyska z nagrodami na Zielone Świątki. Tak robił co roku, odkąd przenieśli dwór do Kamelotu. W tej chwili było jednak w zamku dosyć rycerzy, by również dzisiaj urządzać zawody – mogłaby ofiarować w nagrodę srebrny puchar. Powinna być także muzyka i tańce, a ona może zrobić dla kobiet takie konkursy, jakie czasem urządzały dla zabawy – i ofiarować wstążkę tej, która w godzinę uprzedzie najwięcej wełny lub utka na krosnach najdłuższy kawałek materiału. Tak, powinny to być niewinne zabawy, ale tak urządzone, by nikt z jej ludzi nie żałował zakazanych uciech na Wyspie Smoka.

Usiadła i zaczęła się ubierać; musi iść i naradzić się z Kajem.

Kiedy podzieliła się swym pomysłem z Arturem, pochwalił go i potwierdził, że jest wspaniały. On i Kaj spędzili resztę poranka, rozprawiając nad nagrodami, które podarują zwycięzcy pojedynku na miecze, najlepszemu jeźdźcowi, powinna być także nagroda – może płaszcz – dla najlepszego z młodych chłopców. Mimo że Gwenifer była tak bardzo zajęta przez cały ranek, jedna natrętna myśl nie dawała jej spokoju: *To jest dzień, w którym dawni Bogowie domagają się, byśmy czcili płodność, a ja, ja wciąż jestem jałowa...*

Gdzieś na godzinę przed południem, kiedy to miały się odezwać trąbki wzywające na turniej, odszukała Morgianę, chociaż wcale nie była pewna, co chce jej powiedzieć.

Po swym powrocie Morgiana przejęła pieczę nad dworską farbiarnią, gdzie kobiety farbowały uprzedzoną przez siebie wełnę.

Nadzorowała też królewski browar – wiedziała, jak przelewać piwo, żeby się nie pieniło i nie wylewało, umiała destylować mocny alkohol na lekarstwa i robić z płatków różnych kwiatów perfumy o wiele wspanialsze niż te przywożone z za morza i droższe od złota. W zamku były takie kobiety, które wierzyły, że to sztuki magiczne, lecz Morgiana powtarzała, że nie, że tylko zna się na właściwościach roślin, ziaren i kwiatów. Mówiła, że każda kobieta może robić to, co ona, jeśli jest zręczna, cierpliwa i chce poświęcić temu konieczny czas i uwagę.

Gwenifer znalazła Morgianę ubraną w odświętną szatę, teraz podkasaną, z włosami przykrytymi chustką, jak wachała próbkę piwa, które się zepsuło w dzieży.

– Wyrzucicie je – przykazała. – Zacier musiał zmarznąć i skwaśniał. Jutro nawarzymy nowego, na dziś mamy dosyć zapasów nawet na te uczty, które wymyśliła królowa. Kto wie, co jej przyszło do głowy.

– Nie masz ochoty na świętowanie, siostrze? – spytała Gwenifer, a Morgiana odwróciła się na te słowa.

– Nie za bardzo – odpowiedziała. – Zadziwia mnie, że ty masz, Gwen, myślałam, że Beltan spędzisz na swoich pobożnych postach i modlitwie, choćby po to, by pokazać, że nie jesteś jedną z tych, które weselą się ku czci Bogini plonów i pól.

Gwenifer się zarumieniła – nigdy nie była pewna, kiedy Morgiana z niej drwi.

– Może sam Bóg tak przykazał, że ludzie powinni się weselić na cześć nadchodzącego lata, i nie ma wcale potrzeby, by wspominać tu o Bogini... och, już sama nie wiem, co myśleć! Czy ty wierzysz, że Bogini daje życie polom i zbożom, i łonom jałówek i macior, i kobiet?

– Tak mnie uczono w Avalonie, Gwen. Dlaczego teraz o to pytasz? – Morgiana zdjęła chustę, którą zakrywała włosy, i Gwenifer pomyślała nagle, że Morgiana jest piękna.

Była starsza od Gwenifer – musiała mieć już po trzydzieście, ale nie wyglądała starzej, niż kiedy Gwenifer spotkała ją po raz pierwszy... nie dziwota, że wszyscy uważają ją za czarownicę! Miała na sobie szatę z delikatnej, ciemnoniebieskiej wełny, bardzo prostą, ale w swoje krucze włosy wplotła kolorowe wstążki. Włosy Morgiany były splecione wysoko nad uszami i spięte złotą klamrą. Gwenifer poczuła się przy niej szara jak mysz i prosta jak wiejska gospodyni, choć ona była Najwyższą Królową Brytanii, a Morgiana tylko pogańską księżniczką.

Morgiana wiedziała tak wiele, przy niej Gwenifer czuła się taka nieuczona – ona umiała jedynie napisać swoje imię i trochę czytać ze świętej książki. A Morgiana znała się na wszystkich naukach, tak, umiała czytać i pisać, i do tego znała się na kobiecych pracach – potrafiła tkąć i prząść, i robić piękne hafty, i farbować, i warzyć piwo, i jeszcze znała się na ziołach i na sztukach magicznych. W końcu Gwenifer wybuchnęła:

– Siostrze, mówią to w żartach, ale czy... czy to prawda, że ty znasz wszelkiego rodzaju amulety i zaklęcia na płodność? Ja... ja już nie mogę z tym dłużej żyć, wszystkie niewiasty na dworze obserwują każdy kęs, który biorę do ust, żeby zgadnąć, czy nie jestem brzemienna, albo patrzą, jak ciasno zawiązuję swoje suknie! Morgiano, jeżeli rzeczywiście znasz te zaklęcia, o których mówią, siostrze, błagam cię, czy użyczysz mi swej sztuki?

Poruszona i zakłopotana Morgiana położyła rękę na ramieniu Gwenifer.

– To prawda, że w Avalonie powiadają, iż niektóre rzeczy mogą pomóc, jeśli kobieta nie rodzi, gdy powinna, ale, Gwenifer... – zawahała się, a Gwenifer czuła, jak rumieniec wstydu oblewa jej własną twarz. W końcu Morgiana znów się odezwała: – Nie jestem Boginią. Być może, taka jest jej wola, byście z Arturem nie mieli dzieci. Czy naprawdę chciałabyś zaklęciami i amuletami odwrócić wolę Boga?

– Nawet Chrystus w ogrodzie modlił się: „Ojcze mój, jeśli to możliwe, niech mnie ominie ten kielich...” – odparła Gwenifer z zapalem.

– Gwenifer, ale on także powiedział: „Niech się stanie wola twoja” – przypomniała jej Morgiana.

– Dziwne, że wiesz takie rzeczy...

– Mieszkałam na dworze Igriany przez jedenaście lat, Gwenifer, i słyszałam ewangelię tak często jak ty.

– Ja jednak nie rozumiem, jak może być wolą Boga, by królestwo znów popadło w chaos po śmierci Artura – upierała się Gwenifer, słysząc, jak jej własny głos brzmi wysoko i ze złością. – Przez te wszystkie lata byłam uczciwa, tak, wiem, że ty w to nie wierzysz. Przypuszczam, iż myślisz tak samo, jak wszystkie kobiety na tym dworze, że z miłości do Lancelota zdradziłam mego pana, ale tak nie jest, Morgiano, przysięgam ci, że to nieprawda...

– Gwenifer, Gwenifer! Nie jestem twoim spowiednikiem! Ja ciebie nie oskarżam!

– Ale byś to zrobiła, gdybyś mogła, i myślę też, że jesteś zazdrosna! – wybuchnęła Gwenifer w białej gorączce, lecz po chwili wykrzyknęła zrozpaczona: – O nie! Nie! Nie chcę się z tobą kłócić, Morgiano, siostrze, o nie, przyszedłam cię błagać o pomoc... – Czuła, jak z oczu spływają jej łzy. – Nie uczyniłam nic złego, byłam dobrą i wierną żoną, doglądałam dworu mego pana i starałam się zasłużyć na szacunek, modliłam się za męża i starałam się spełniać wolę Boga, nie zaniedbywałam swoich obowiązków, a jednak... a jednak, za całą moją lojalność i oddanie... nawet nie otrzymałam swojej zapłaty. Każda uliczna ladacznica, każda wojskowa markietanka rozpycha się dumnie swoim wielkim brzuchem, chwali się swą płodnością, a ja...? Ja nie mam nic, nic... – Gwenifer szlochała głośno, zakrywając twarz dłońmi.

Kiedy Morgiana wyciągnęła ramiona i przytuliła Gwenifer do siebie, w jej głosie zabrzmiało zdumienie i litość:

– Nie płacz, nie płacz, Gwenifer, spójrz na mnie. Czy to dla ciebie naprawdę aż tak bolesne, że nie masz dziecka?

Gwenifer starała się uspokoić płacz i szlochanie.

– W dzień i w nocy nie mogę myśleć o niczym innym...

Po długiej chwili Morgiana powiedziała:

– Tak, widzę, że jest ci ciężko... – Wydawało jej się, że słyszy myśli Gwenifer: *Gdybym miała dziecko, nie myślałabym w dzień i w nocy o tej miłości, która naraża mój honor, bo wtedy wszystkie swoje myśli poświęciłabym synowi Artura.*

– Chciałabym ci pomóc, siostrze, ale niechętnie posługuję się magią i zaklęciami. Uczą nas w Avalonie, że prosty lud może potrzebować takich rzeczy, ale mądrzy ludzie nie uciekają się do nich, lecz znoszą los, który Bogowie im zsyłają. – Kiedy to mówiła, poczuła się jak hipokrytka; przypomniała sobie poranek, kiedy poszła szukać ziół i korzeni na miksturę, która miała jej przeszkodzić w urodzeniu dziecka Artura. To nie było poddanie się woli Bogini!

Jednak w końcu przecież tego nie uczyniła...

A potem Morgiana pomyślała z nagłą goryczą: *Ja, która nie chciałam dziecka, ja, która o mało nie umarłam przy porodzie, ja mam dziecko; Gwenifer zaś, która tęskni za nim dzień i noc, chodzi z pustym łonem i pustymi ramionami. Czy to ma być dobroć woli Bożej?*

Czuła jednak, że powinna odpowiedzieć inaczej:



– Gwenifer, chcę, żebyś to dobrze zapamiętała. Zaklęcia często czynią to, czego się po nich nie spodziewasz. Co każe ci wierzyć, że Bogini, której ja służę, może ci zesłać syna, skoro twój Bóg, który jest ponoć potężniejszy od wszystkich innych Bogów, nie może tego uczynić?

To zabrzmiało jak bluźnierstwo i Gwenifer zrobiło się wstyd za samą siebie. A jednak stwierdziła, że myśli i wypowiada na głos co innego. Głos wiązał jej w gardle, gdy mówiła:

– Myślę, że tego Boga kobiety chyba nic nie obchodzą... Wszyscy jego kapłani to mężczyźni, a Pismo w kółko powtarza, że kobiety są grzesznymi kusicielkami... być może z tego powodu on mnie nie słucha. I dlatego zwrócę się do Bogini... Bogu na mnie nie zależy...

– Wtedy znów głośno się rozplakała. – Morgiano, jeśli mi nie pomożesz, to przysięgam, że dziś w nocy pojedę łodzią na Wyspę Smoka, przekupię służącego, żeby mnie tam zawiózł, i kiedy zapłoną ognie, ja także poproszę Boginię, by dała mi dar w postaci dziecka... przysięgam, Morgiano, że to uczynię...

Ujrzała siebie w blasku ognia, jak tańczy wokół płomieni, odchodzi od ognia w objęciach nieznanego mężczyzny bez twarzy, jak leży w jego ramionach – ta myśl sprawiła, że całe jej ciało skurczyło się mocno z bólu i na wpół wstydlivej przyjemności...

Morgiana słuchała tego przerażona. *Nigdy tego nie zrobi. Straci odwagę w ostatniej chwili... Nawet ja byłam przestraszona, a przecież zawsze wiedziałam, że moja cnota należy do Boga.* Po chwili jednak, słysząc w głosie swej szwagierki niewypowiedzianą rozpacz, pomyślała: *A jednak może to zrobić; a jeśli tak uczyni, będzie nienawidziła samej siebie do końca życia.*

W pomieszczeniu nie słyhać było żadnego innego dźwięku poza szlochem Gwenifer. Morgiana zaczekała, póki się nie uspokoi, po czym powiedziała:

– Siostrze, zrobię dla ciebie, co będę mogła. Artur może dać ci dziecko, nie musisz jechać na ogień Beltanu czy szukać gdzie indziej. Nie wolno ci nigdy nikomu wyjawiać, że ci to powiedziałam, obiecaj mi to i nie zadawaj pytań. Artur spłodził już syna.

Gwenifer wpatrywała się w nią.

– Powiedział mi, że nie ma dzieci...

– Być może sam o tym nie wie. A jednak widziałam to dziecko na własne oczy. Jest wychowywane na dworze Morgause.

– A więc ma już syna i nawet jeśli ja nie urodzę mu...

– Nie! – przerwała jej Morgiana ostrym głosem. – Powiedziałam ci, nigdy nie wolno ci o tym wspominać! To takie dziecko, którego on nie może uznać. Jeśli ty nie dasz mu syna, królestwo przypadnie Gawainowi. Gwenifer, nie pytaj mnie o więcej, bo i tak nic więcej ci nie powiem ponad to, że jeśli nie masz dzieci, nie jest to wina Artura.

– Nie poczęłam ani razu od ostatnich żniw, a przez te wszystkie lata tylko trzy razy... – Gwenifer przetykała łzy i wycierała twarz welonem. – Jeśli ofiaruję siebie Bogini, ona się nade mną zlituje...

– Może się tak stać – westchnęła Morgiana. – Nie musisz jednak jechać na Wyspę Smoka. Możesz począć, wiem o tym. Być może amulet pomoże ci donosić dziecko do porodu. Ostrzegam cię jednak ponownie, Gwenifer, że zaklęcia nie czynią swej magii tak, jakby chcieli tego ludzie, lecz kierują się swymi własnymi prawami, a te prawa są tak dziwne, jak upływ czasu w czarownej krainie. Nie próbuj mnie obwiniać, Gwenifer, jeśli zaklęcie nie podziała tak, jakbyś tego oczekiwała.

– Jeśli da mi to choćby najmniejszą nadzieję na dziecko z moim panem...

– Tak powinno się stać – powiedziała Morgiana i odwróciła się.

Gwenifer podążała za nią krok w krok, jak dziecko za swoją matką. Zastanawiała się, co to będzie za zaklęcie i co uczyni, i dlaczego Morgiana wyglądała tak dziwnie i tak poważnie, jakby to ona sama była Wielką Boginią? Biorąc głęboki oddech, powiedziała sobie, że przyjmie wszystko, co tylko się zdarzy, jeśli może jej dać to, czego pragnie najbardziej na świecie.

W godzinę później, gdy trąbki obwieściły turniej, a Morgiana i Gwenifer siedziały obok siebie na skraju ćwiczebnego pola, Elaine pochyliła się do nich i powiedziała:

– Patrzcie! Kto to wjeżdża na plac u boku Gawaina?

– To Lancelot – odparła Gwenifer bez tchu. – Wrócił do domu.

Był przystojniejszy niż kiedykolwiek. Dorobił się gdzieś czerwonej blizny na policzku, co normalnie byłoby brzydkie, ale jemu dodawało zuchwałej piękności dzikiego kota. Jechał tak, jakby był zrosnięty ze swoim koniem, a Gwenifer słuchała szczebiotania Elaine, wcale go nie słysząc, oczy miała utkwione w jeźdźcu.

*Co za gorzka, gorzka ironia. Dlaczego teraz, kiedy zdecydowałam się i ślubowałam więcej o nim nie myśleć, lecz wykonywać swe obowiązki jako wierna żona... Wokół jej szyi, pod złotym naszyjnikiem, który Artur podarował jej na piątą rocznicę ślubu, czuła ciężar amuletu Morgiany, wszytego w mały woreczek ukryty na piersiach.*

Nie wiedziała, nie chciała nawet wiedzieć, co Morgiana tam włożyła.

*Dlaczego teraz? Miałam nadzieję, że kiedy on powróci na dwór w Zielone Świątki, ja już będę nosiła dziecko mego pana, a on nie będzie więcej na mnie spoglądał, gdyż widome będzie, że postanowiłam strzec swego małżeństwa.*

A jednak, wbrew swej woli, przypomniawszy sobie słowa Artura: *Jeśli urodzisz mi dziecko, nie będę o nic pytał... rozumiesz, co do ciebie mówię?* Gwenifer wiedziała aż za dobrze, co miał na myśli.

Syn Lancelota mógłby być dziedzicem królestwa. Czy ta nowa pokusa zjawiała się właśnie teraz dlatego, że popełniła ciężki grzech, prosząc Morgianę o czary? I że wymawiała straszne i nieczyste groźby w nadziei, że zmusi Morgianę, by jej pomogła...?

*Nieważne, jeśli tylko tak się stanie, że urodzę syna memu królowi... jeśli Bóg mnie za to przeklnie, co ja mam z nim wspólnego?*

Przeraziło ją jej własne bluźnierstwo, a jednak bluźnierstwem było także samo myślenie o tym, by iść na ogień Beltanu...

– Patrz, Gawain spadł, nawet on nie może zwyciężyć Lancelota – powiedziała podniecona Elaine. – I Kaj też! Jak Lancelot mógł uderzyć kalekę!

– Nie bądź głupsza, niż naprawdę musisz, Elaine – powiedziała Morgiana. – Myślisz, że Kaj byłby Lancelotowi wdzięczny, gdyby go oszczędził? Jeżeli Kaj zjawił się na turnieju, to z pewnością jest przygotowany na ryzyko takiej porażki, jaką może ponieść! Nikt go nie zmuszał do zawodów.

Od chwili kiedy Lancelot pojawił się na polu, wiadomo było, kto weźmie nagrodę. Rycerze narzekali ze śmiechem:

– Nie ma sensu, by którykolwiek z nas wpisywał się na listę, kiedy Lancelot jest tutaj – powiedział Gawain, obejmując kuzyna ramieniem. – Nie mogłeś poczekać jeszcze dzień lub dwa, Lance?

Lancelot też się śmiał, policzki miał zaróżowione. Wziął srebrny puchar i podrzucił go w powietrze.

– Twoja matka też mnie namawiała, bym został na jej dworze na czas Beltanu. Nie przybyłem tu, by was pozbawić nagrody, nie potrzebuję nagród. Gwenifer, moja pani! – krzyknął. – Weź to, a w zamian daj mi wstążkę, którą nosisz na szyi. Puchar może iść na ołtarz albo na królewski stół!

Zmieszana Gwenifer położyła dłoń na wstążce, na której wisiał amulet od Morgiany.

– Tego nie mogę ci dać, przyjacielu, ale... – sięgnęła do wstążki na jednym z rękawów, którą ozdobnie wyhaftowała małymi perełkami – weź tę, na znak łaskowości dla mego rycerza! Jeśli chodzi o nagrodę, cóż, dam nagrody wam wszystkim. – Skinęła na Gawaina i Garetha, którzy w zawodach jeździeckich przybyli do celu po Lancelocie.

– Wdziecznie uczyniłaś – powiedział Artur, wstając z miejsca, gdy Lancelot wziął haftowaną wstążkę, ucałował i przyczepił do swego hełmu. – Jednak mój najwaleczniejszy rycerz musi zostać nagrodzony. Usiądziesz dziś z nami przy stole, Lancelocie, i opowiesz nam wszystko, co ci się wydarzyło, od kiedy opuściłeś nasz dwór.

Gwenifer oddaliła się ze swymi damami, by dopilnować przygotowań do uczty. Elaine i Meleas rozprawiły o zaletach Lancelota, o jego jeździe, o hojności gestu, którym oddał swoją nagrodę. Gwenifer mogła myśleć tylko o spojrzeniu, które jej posłał, kiedy prosił ją o wstążkę z jej szyi. Kiedy podniosła oczy, spotkała ciemny, zagadkowy uśmiech Morgiany. *Nie mogę się nawet modlić o spokój umysłu. Straciłam prawo do modlitwy.*

Przez pierwszą godzinę uczty Gwenifer krzątała się po sali, upewniała się, czy wszyscy goście zostali należycie usadzeni na swych miejscach i obsłużeni. Zanim zajęła swoje miejsce, wszyscy już byli pijani, a na zewnątrz zrobiło się bardzo ciemno. Służba wniosła lampy i pochodnie, mocując je na ścianach.

Artur powiedział radośnie:

– Widzisz, pani, zapalamy nasze własne ognie Beltanu wewnątrz murów.

Morgiana usiadła w pobliżu Lancelota. Twarz Gwenifer płonęła z gorąca i od wina, które wypiała; odwróciła się, by na nich nie patrzeć.

– Ależ to dzisiaj rzeczywiście Beltan – powiedział Lancelot, ziewając. – Zupełnie zapomniałem.

– A Gwenifer postanowiła, że musimy urządzić święto, tak by nasi ludzie nie wymykali się na stare obrzędy – rzekł Artur. – Jest więcej sposobów na zabicie wilka niż obdzieranie go ze skóry. Gdybym zabronił ogni, byłbym tyranem...

– I – dodała Morgiana swym niskim głosem – niewiernym Avalonowi, mój bracie.

– Skoro jednak moja pani sprawiła, że ludziom milej jest siedzieć na naszej uczcie, niż wychodzić na pola i tańczyć przy ogniskach, to osiągnęliśmy nasz cel o wiele prościej!

Morgiana wzruszyła ramionami. Gwenifer wydawało się, że szwagierka jest skrycie rozbawiona. Morgiana wypiała niewiele, możliwe, że była jedyną całkowicie trzeźwą osobą przy królewskim stole.

– Byłeś w Lothianie, Lancelocie, czy tam też obchodzą obrzędy Beltanu? – spytała Gwenifer.

– Tak mówi królowa – odparł Lancelot. – Ale z tego, co wiem, mogła sobie ze mnie żartować, nie widziałem nic, co mogłoby sugerować, że królowa Morgause nie jest najcnotliwszą z chrześcijańskich dam – ciągnął – ale Gwenifer wydało się, że kiedy mówił, spoglądał ze skrepowaniem na Gawaina. – Zauważ, Gawain, że nie powiedziałem niczego przeciwko pani Lothianu, nie szukam kłótni z tobą czy twoimi...

Odpowiedziało mu tylko ciche chrapanie i urywany śmiech Morgiany.

– Patrz, oto twój Gawain śpi z głową na stole! Ja też chciałam cię zapytać o nowiny z Lothianu, Lancelocie... Chyba nikt tam wychowywany nie mógłby szybko zapomnieć ogni Beltanu. Słoneczne fale burzą też krew każdego wychowanego w Avalonie, jak ja, jak królowa Morgause, czyż nie, Lancelocie? Arturze, czy pamiętasz twe pasowanie na króla na Wyspie Smoka? Ile to już lat minęło... dziewięć, dziesięć...

Artur nie był zadowolony, choć odpowiedział dość grzecznie:

– Tak jak mówisz, minęło wiele lat, siostrze, a świat zmienia się z każdym rokiem. Myślę, że czasy takich obrzędów już minęły, choć może są istotne dla tych ludzi, którzy żyją ze swych płonów i muszą prosić Boginię o błogosławieństwo. Taliesin tak by powiedział, a ja nie będę mu zaprzeczał. Myślę jednak, że te obrzędy nie mają nic wspólnego z takimi jak my, którzy żyją w zamkach i miastach i słyszeli słowo Chrystusa. – Uniósł kielich z winem, opróżnił go i mówił dalej ze swadą: – Bóg da nam wszystko, czego potrzebujemy, wszystko, co powinniśmy mieć, i nie ma potrzeby wzywać starych Bogów, prawda, Lance?

Zanim Lancelot odpowiedział, Gwenifer przez chwilę czuła na sobie jego wzrok.

– A któż z nas ma wszystko, czego pragnie, mój królu? Tego nie może zapewnić żaden król ani żaden Bóg.

– Ja jednak chcę, by moi... moi poddani, by mieli wszystko, czego pragną – powtórzył Artur z trudem. – I tego też pragnie moja królowa, bo dała nam nasze własne ognie Beltanu...

– Arturze – powiedziała Morgiana łagodnie – jesteś pijany.

– I co z tego? – spytał zaczepnie. – Na mojej własnej uczcie, przy moich wła... własnych ogniach, a po cóż innego walczyłem przez tyle lat z Saksonami? By siedzieć tutaj przy moim własnym Okrągłym Stole i cieszyć się z... z pokoju i piwa, i wi... wina, i dobrej muzyki. Gdzie jest Kevin Harfiarz? Czy na mojej uczcie nie będzie muzyki?

– Nie wątpię, że Kevin pojechał czcić Boginię przy ogniskach – odparł Lancelot ze śmiechem – i gra na swojej harfie tam, na Wyspie Smoka.

– Ależ to zdrada – powiedział Artur bełkotliwie. – I jeszcze jeden powód, by zabronić ognia Beltanu, żebym ja miał swoją muzykę...

Morgiana zaśmiała się i powiedziała lekko:

– Nie wolno ci rządzić sumieniem innych ludzi, mój bracie. Kevin jest Druidem i ma prawo darować swą muzykę swoim własnym Bogom, jeśli tak chce. – Morgiana oparła brodę na rękach i Gwenifer pomyślała, że wygląda jak zadowolona kotka, zlizująca sobie śmietaną z wąsów. – Myślę jednak, że on już uczcił Beltan na swój własny sposób i teraz bez wątpienia udał się do łoża, bo całe to towarzystwo jest zbyt pijane, by docenić jego grę wśród mojej i tych ryczących kobz Gawaina! Ten nawet kiedy śpi, gra muzykę Lothianu – dodała, gdy wyjątkowo donośne chrapnięcie Gawaina przecięło ciszę.

Skinęła na jednego z szambelanów, który podszedł i podniósł rycerza na nogi. Gawain skłonił się chwiejnie Arturowi i potykając się, wyszedł z sali.

Lancelot uniósł kielich i wypił do dna.

– Ja też mam już dosyć ucztowania i muzyki, jechałem od świtu, bo chciałem zdążyć na dzisiejszy turniej, i wkrótce poproszę cię, Arturze, byś pozwolił mi się udać do łoża.

Gwenifer odgadła, jak jest pijany, po tym właśnie zwrocie: Arturze. Przy ludziach zawsze był bardzo ostrożny, by nie zwracać się do niego inaczej niż „mój panie” albo „mój królu” i tylko kiedy byli sami, mówił „Arturze” lub „kuzynie”.

W tej chwili jednak nie było chyba nikogo na tyle trzeźwego, by to zauważył, równie dobrze mogli być w tej chwili sami. Artur nawet nie odpowiedział Lancelotowi, trochę obsunął się na swoim krześle, oczy miał półprzymknięte. Cóż, myślała Gwenifer, sam to powiedział – to jego ucztą, jego ognie, a jeśli mężczyzna nie może się upić w swoim własnym domu, to po co walczył tyle lat, by te ucztę były spokojne i bezpieczne?

Gdyby zaś Artur był tej nocy zbyt pijany, by przyjąć ją w swoim łożu... czuła wstążkę na swojej szyi, a na piersiach pałacy ciężar amuletu. *Jest Beltan. Czy nie mógł zostać trzeźwy? Gdyby był zaproszony na jeden z tych pogańskich obrzędów, to wtedy by pamiętał...* myślała, a policzki płonęły jej od nieskromności tych myśli. *Ja też muszę być pijana!* Ze złością spojrzała na trzeźwą i chłodną Morgianę, która bawiła się wstążkami na swojej harfie. Czemu Morgiana tak się uśmiecha?

Lancelot pochylił się do niej i powiedział:

– Myślę, że nasz pan ma już dość ucztowania i wina, moja królowo. Czy oddalisz sługi i rycerzy, pani, a ja znajdę szambelanów Artura, by pomogli mu się położyć?

Lancelot wstał. Gwenifer widziała, że jest pijany, ale dobrze to ukrywał, poruszał się tylko trochę ostrożniej niż zwykle. Kiedy weszła między gości, by życzyć im dobrej nocy, poczuła, że jej własna głowa się kiwa, a kroki są niepewne. Widząc tajemniczy uśmiech Morgiany, wciąż słyszała słowa tej przekłętej czarownicy: *Nie próbuj mnie obwiniać, Gwenifer, jeśli zakłęcie nie podziała tak, jakbyś tego oczekiwała...*

Wrócił Lancelot, przepychając się między gośćmi opuszczającymi salę.

– Nie mogę znaleźć służącego mego pana, w kuchni powiedzieli mi, że oni wszyscy pojechali na Wyspę Smoka, na ognie... Czy jest tu jeszcze Gawain albo Balan? Tylko oni są na tyle wielcy i silni, by zanieść naszego króla do łóża...

– Gawain był zbyt pijany, by utrzymać się na własnych nogach – powiedziała Gwenifer.

– Balana zaś w ogóle nie widziałam. Ty na pewno go nie uniesiesz, jest przecież wyższy i cięższy od ciebie...

– Przynajmniej spróbuję – odparł Lancelot ze śmiechem i pochylił się nad Arturem. – Chodź, kuzynie. Gwydionie! Nie ma nikogo, kto by zaniósł cię do łóża, oprzyj się na moim ramieniu. No, wstawaj, dzielnie, no dalej. O tak... – przemawiał, jakby zwracał się do dziecka, a Artur otworzył oczy i chwiejnie stanął na nogach. *Kroki Lancelota też nie są zbyt pewne, moje zresztą też nie*, pomyślała Gwenifer, kiedy ruszyła za oboma mężczyznami. – *Piękną musimy stanowić widok, jeśli jest tu ktoś ze służby na tyle trzeźwy, by to zauważyć. Najwyższy Król, Najwyższa Królowa i królewski dowódca jazdy, wszyscy zataczają się w drodze do łóża w noc Beltanu, zbyt pijani, by niosły ich własne nogi...*

Kiedy Lancelot jakoś przepchał Artura przez drzwi ich komnaty, Artur trochę oprzytomniał. Podszedł do dzbana z wodą stojącego w kącie, opryskał sobie twarz i wypił resztę wody.

– Dziękuję ci, kuzynie – powiedział. – Moja pani i ja doprawdy mamy za co ci dziękować, to pewne, wiem dobrze, że oboje nas bardzo kochasz...

– Bóg mi na to świadkiem – odparł Lancelot, lecz spojrzał na Gwenifer jakby z rozpaczą.

– Czy mam raz jeszcze spróbować znaleźć jednego z twoich służących, kuzynie?

– Nie, zaczekaj chwilę – powiedział Artur – jest coś, co chcę ci powiedzieć, a jeśli nie znajdziesz na to odwagi teraz, kiedy jestem pijany, to na trzeźwo nigdy tego nie powiem. Gwen, czy poradzisz sobie bez swoich kobiet? Nie chciałbym, by ciekawe języki rozniosły to poza mury tej komnaty. Lancelocie, podejdź i usiądź tu przy mnie. – Siadając na brzegu łóża, Artur wyciągnął dłoń do przyjaciela. – Ty też podejdź, kochana. A teraz słuchajcie mnie oboje. Gwenifer nie ma dziecka, a czy wam się wydaje, że nie widzę, jak na siebie patrzycie? Raz już rozmawiałem o tym z Gwen, ale ona jest zbyt skromna i pobożna i nie chciała nawet słuchać. Teraz jednak, w dzień Beltanu, kiedy całe życie na ziemi wydaje się aż kipieć

plodnością... jakże mam to powiedzieć...? Jest takie stare powiedzenie między Saksonami, że przyjaciel to ktoś taki, komu pożyczysz swą ulubioną żonę i swój ulubiony miecz...

Twarz Gwenifer płonęła. Nie mogła spojrzeć na żadnego z nich.

Artur ciągnął dalej, powoli:

– Twój syn, Lancelocie, byłby dziedzicem mego królestwa, a lepsze to, niżby miało ono przypaść synom Lota... O tak, biskup Patrycjusz nazwałby to śmiertelnym grzechem, nie wątpię, jakby jego Bóg był jakąś podstarzałą przyzwoitką, która włóczy się po nocy i podgląda, kto z kim śpi... Myślę, że to większy grzech, jeśli nie zadbam o posiadanie syna, by odziedziczył to królestwo. Bo wtedy popadlibyśmy w taki chaos, jaki zagrażał tym ziemiom, zanim Uther wstąpił na tron... przyjacielu, kuzynie, co o tym myślisz?

Gwenifer zobaczyła, że Lancelot zwilża wargi końcem języka, ona też czuła suchość w ustach. W końcu Lancelot odrzekł:

– Nie wiem, co mam powiedzieć, mój panie, mój przyjacielu, mój kuzynie. Bóg wie, nie ma na tym świecie innej kobiety... – Głos mu się załamał.

Spojrzał na Gwenifer, a jej wydało się, że nie wytrzyma tej nagiej tęsknoty w jego oczach. Przez chwilę myślała, że zaraz zemdleje. Wyciągnęła dłoń, by przytrzymać się poręczy łoża.

*Jestem ciągle pijana... myślała. Ja to tylko śnię. Nie mogłam słyszeć, że powiedział to, co myślę, że powiedział...* Poczowała obezwładniającą falę wstydu. To niemożliwe, by była wciąż żywa i pozwalała im tak o sobie mówić.

Lancelot nie spuszczał z niej wzroku.

– To... o tym musi zdecydować moja pani.

Artur wyciągnął do niej ramiona. Zdjął już buty i bogaty płaszcz, który miał na sobie podczas uczty. W samej tunice wyglądał zupełnie jak ten młody chłopiec, którego poślubiła tyle lat temu.

– Gwen, chodź tu, Gwen – powiedział i pociągnął ją na swoje kolana. Wiesz, że cię kocham, myślę, że ciebie i Lanca kocham najbardziej na świecie poza... – Zamilkł i przełknął ślinę.

Gwenifer pomyślała nagle: *Zawsze obchodziła mnie tylko moja własna miłość, w ogóle nie myślałam o Arturze. Wziął mnie, nawet nie znając, nie pragnąc, a okazał mi swą miłość i szacunek, jako swej królowej. Nigdy jednak nie myślałam, że tak jak ja kocham Lancelota, może być ktoś, kogo Artur kocha i nie może mieć... nie bez grzechu i zdrady. Ciekawe, czy to dlatego Morgiana ze mnie drwi, ona zna tajemnice miłości Artura... lub jego grzechy...*

Artur ciągnął dalej:

– Myślę, że nigdy bym się nie zdobył na odwagę, by to powiedzieć, gdyby nie Beltan... Przez wiele setek lat nasi przodkowie czynili te rzeczy bez wstydu, na oczach naszych Bogów i zgodnie z ich wolą. Słuchaj, posłuchaj, najdroższa, jeśli ja też będę tu z tobą, moja Gwenifer, to gdyby poczęło się z tego dziecko, będziesz mogła przysiąc bez żadnego

kłamstwa, że to dziecko zostało poczęte w twoim małżeńskim łóżu, i żadne z nas nigdy nie musi wiedzieć na pewno, kochana, czy możesz się na to zgodzić?

Gwenifer nie mogła złapać tchu. Powoli, powoli, wyciągnęła rękę i położyła ją w dłoni Lancelota. Czuła dotyk Artura na swych włosach, kiedy Lancelot pochylił się i pocałował ją w usta.

*Od wielu lat jestem mężatką, a teraz jestem przestraszona jak dziewczyna, myślała, i wtedy przypomniała sobie słowa Morgiany, które powiedziała, zawiązując amulet na jej szyi: Uważaj, o co prosisz, Gwenifer, bo Bogini może ci to dać...*

W tamtej chwili myślała, że Morgiana chce tylko powiedzieć, iż jeśli ona modli się o dziecko, to może także umrzeć przy porodzie.

Teraz zrozumiała, że chodziło o coś o wiele bardziej subtelnego. Oto wydarzyło się tak, że może mieć Lancelota, i to bez grzechu, za zgodą i wedle woli jej własnego małżonka...

I w przeblysku świadomości pomyślała: *To przecież właśnie tego pragnęłam nade wszystko. Po tylu latach pewne jest, że jestem jałowa. Nie urodzę dziecka, ale przynajmniej dostanę to...*

Drżącymi rękoma rozwiązała swoją szatę. Wydało jej się, że cały świat skurczył się do tej jednej chwili, do tej absolutnej świadomości siebie, ciała zbolełego z pożądania, głodu, którego nigdy sobie wcześniej nie wyobrażała.

Skóra Lancelota była taka gładka, myślała dotąd, że wszyscy mężczyźni są jak Artur spaleni słońcem i owłosieni, ale jego ciało było gładkie jak u dziecka. Och, kochała ich przecież obu, kochała Artura tym bardziej, że mógł się zdobyć na taką hojność i podarować jej to... teraz obaj trzymali ją w objęciach, a ona zamknęła oczy i wystawiła twarz na ich pocałunki, nie wiedząc, którego z nich usta na pewno zamykają się na jej ustach. A jednak to z pewnością dłoń Lancelota gładziła jej policzek, zeszła niżej na jej nagą szyję, na której wciąż wisiała wstążka.

– Co to jest, Gwen? – spytał tuż przy jej ustach.

– Nic – odparła – nic. Jakies śmieci od Morgiany.

Zerwała amulet, rzuciła go w kąt komnaty i znów opadła w ramiona swego męża i kochanka.



# Księga trzecia

## KRÓL BYK

### 1

Wydawało się, że o tej porze roku w Lothianie słońce prawie nigdy nie zachodzi. Królowa Morgause obudziła się, gdy światło zaczęło przenikać przez draperie. Było tak wcześnie, że nawet mewy jeszcze nie krzyczały, jednak na tyle jasno, że widziała owłosione, dobrze umięśnione ciało młodego mężczyzny śpiącego u jej boku... cieszył się tym przywilejem prawie przez całą zimę. Był jednym z rycerzy Lota i wodził za królową tęsknym wzrokiem nawet jeszcze za jego życia. Od niej zaś nikt nie mógł wymagać, by w śmiertelnych ciemnościach tej ostatniej zimy sypiała samotnie w chłodnej królewskiej komnacie.

Nie, żeby Lot był aż tak dobrym królem – myślała, mrużąc oczy w narastającym świetle – ale panował długo, panował, jeszcze zanim Uther Pendragon wstąpił na tron. Lud był do niego przyzwyczajony. Wielu było ludzi dobrze w średnim wieku, którzy nie znali innego króla. Lot siedział już na tronie, myślała, gdy młody Lochlann przyszedł na świat... no, dla ścisłości, ona także już panowała.

Jednak ta myśl była mniej przyjemna, więc odpędziła ją od siebie.

Gawain powinien dziedziczyć tron po ojcu, lecz od czasu koronacji Artura tak rzadko odwiedzał swe ojczyste ziemie, że lud go nie znał. Tu, w Lothianie, Plemiona były całkiem zadowolone z tego, że rządzi nimi królowa, gdyż na ziemiach panował spokój. A gdyby potrzebny był im przywódca wojenny, miała przy sobie syna Agraveina. Od niepamiętnych czasów nad tym ludem panowały królowe, tak jak ich Bogini panowała nad innymi Bogami, byli więc z tej sytuacji zadowoleni.

Jednak Gawain nie opuszczał boku Artura... nawet wtedy, gdy Lancelot przyjechał na północ przed świętem Beltanu. Lancelot powiedział, że przybył dopilnować, czy latarnie morskie ustawiono prawidłowo na wybrzeżach, by statki nie wpadały na skały.

Morgause przypuszczała jednak, że przyjechał, by w ten sposób oczy Artura mogły zobaczyć, co dzieje się w Lothianie i czy nikt tutaj nie sprzeciwia się władaniu Najwyższego Króla.

Wtedy też dowiedziała się o śmierci Igriany – przedtem wieści nie dotarły do Lothianu. Kiedy była młodsza, ona i Igriana nie były przyjaciółkami, zawsze zazdrościła starszej siostrze jej urody i nigdy jej nie zapomniła, że to ją Viviana wybrała dla Uthera Pendragona.

Ona, Morgause, byłaby lepszą Najwyższą Królową niż ta ciamajda, taka posłuszna, pobożna i kochająca. Przecież kiedy wszystko jest powiedziane i dokonane, kiedy gaśnie lampa, jeden mężczyzna wcale nie różni się tak bardzo od drugiego – i każdy z nich jest śmiesznie łatwy do prowadzenia, głupio uzależniony od tej rzeczy, którą może dać mu kobieta. Ona dobrze rządziła zza tronu Lota, jeszcze lepiej poszłoby jej z Utherem, bo ona by się tak głupio nie uzależniła od księży.

Kiedy jednak usłyszała o śmierci Igriany, opłakała ją szczerze i żałowała, że nie odwiedziła jej w Tintagel przed śmiercią. Teraz zostało jej tak niewiele kobiet przyjaciółek...

Większość jej dworek wybierał Lot, głównie dla ich urody i przystępności, a najbardziej lubił takie kobiety, które nie myślały zbyt wiele i nie odzywały się zbyt inteligentnie. Powiedział kiedyś, że pod tym względem ona mu wystarcza. Słuchał jej rady we wszystkim i szanował jej spryt, ale kiedy już urodziła mu czterech królewskich synów, wrócił do tego, co zawsze wołał w łóżu – do ślicznych kobiet z niewielkim rozumem. Morgause nigdy nie wypominała mu tych przyjemności i była zupełnie zadowolona, że nie musi więcej rodzić. Jeśli tęskniła za zabawą z małymi dziećmi, miała swego wychowanka Gwydiona, a kobiety Lota wciąż rodziły – Gwydion miał dość towarzyszy zabaw królewskiej krwi!

Lochlann poruszył się u jej boku, zamruczał i sennie przyciągnął ją do siebie. Na chwilę dała spokój rozmyśleniu. Stęskniła się za nim – kiedy Lancelot był na dworze, odesłała Lochlanna, by spał z młodymi mężczyznami. Choć okazało się, że Lancelot tyle o to dbał, iż mogła równie dobrze zatrzymać Lochlanna w swym łóżu albo sama spać w psiej budzie! Cóż, teraz młodzieniec był znów przy niej. Lot nie zabraniał jej przyjemności, tak jak ona nie miała nic przeciwko jego kobietom.

Kiedy jednak podniecenie wygasło, a Lochlann zszedł schodami do wychodka na zewnątrz, pomyślała, że brakuje jej Lota. Nie, żeby kiedykolwiek był specjalnie dobry w łóżku... był już stary, kiedy go poślubiła. Tyle że gdy to było już zrobione, potrafił z nią inteligentnie rozmawiać i stwierdziła, że tęskni za tymi latami, kiedy budzili się razem, leżeli w łóżu i mówili o wszystkim, co trzeba zrobić albo co się wydarzyło w ich królestwie czy w całej Brytanii.

Zanim Lochlann wrócił, słońce świeciło już mocno, a powietrze ożyło krzykiem mew. Słyszała ciche odgłosy w dole schodów, skądś dochodził zapach pieczonego chleba. Przyciągnęła kochanka do siebie na szybki pocałunek i powiedziała:

– Musisz iść, mój drogi. Chcę, byś poszedł, zanim przyjdzie Gwydion, to już duży chłopiec i zaczyna zauważać różne rzeczy.

– Ten to widzi wszystko od chwili, kiedy go odstawiono od mamki – zachichotał Lochlann. – Jak był tu Lancelot, to śledził każdy jego ruch, nawet podczas Beltanu. Ale chyba nie musisz się martwić, jest za mały, żeby myśleć o tych rzeczach.

– Nie jestem taka pewna – powiedziała Morgause i poklepała go po policzku.

Gwydion nigdy nie robił nic, dopóki nie był pewien, że nie będzie wyśmiany, iż jest na to za mały. Choć tak był zamknięty w sobie, to nie znosił, kiedy mu mówiono, że jest za mały na cokolwiek – nawet, kiedy miał cztery latka, wpadł w furję, gdy mu powiedziano, że nie może iść szukać ptasich gniazd na skałach.

Poszedł i omal nie spadł i się nie zabił, starając się dotrzymać kroku starszym chłopcom. Pamiętała tamten wypadek i wiele innych, kiedy mu się mówiło, żeby tego czy tamtego nie robił, a on podnosił na nią swoją smagłą twarzyczkę i mówił „I tak to zrobię, a ty mnie nie powstrzymasz”. Na to mogła jedynie odpowiedzieć „Nie zrobisz tego albo sama cię zbije”. Jednak było wszystko jedno, czy go zbije czy nie – lanie tylko zwiększało jego upór. Chyba że była przygotowana na to, by go naprawdę skatować. Raz straciła panowanie i sama się wystraszyła tym, jak mocno zbiła bezbronne dziecko. Żaden z jej własnych synów, nawet uparty Gareth, nie był taki przekorny. Gwydion zawsze wiedział swoje i robił, co mu się podobało, tak więc kiedy podrósł, znalazła na niego subtelniejsze metody. „Nie zrobisz tego albo każę twojej niańce ściągnąć ci spodnie i sprać cię wierzbową różgą przed całym dworem, jakbyś był cztero – czy pięcioletnim dzieckiem”. Przez jakiś czas to skutkowało – mały Gwydion był bardzo czuły na punkcie swej godności. Teraz jednak znów robił, co chciał, i nie było na niego sposobu. Trzeba by silnego mężczyzny, żeby go sprać tak, by poczuł, a mały miał swoje sposoby, by każdy, kto go obrazi, prędzej czy później tego żałował.

Morgause miała nadzieję, że Gwydion stanie się bardziej bezbronny, kiedy zacznie mu zależeć na tym, co myślą o nim dziewczęta.

Był jak Morgiana – smagły, czarownej krwi, ale przystojny, nawet tak przystojny, jak sam Lancelot. I być może, że tak jak Lancelot, otwarcie nie będzie dbał o kobiety. Przez chwilę o tym myślała, czując poniżenie.

Lancelot... oto był najprzystojniejszy mężczyzna, jakiego widziała od wielu lat, a ona dała mu jasno do zrozumienia, że nawet królowa nie jest poza jego zasięgiem... ale Lancelot uparł się, by nie rozumieć, i skrupulatnie nazywał ją „ciotką” od początku do końca pobytu – po jego zachowaniu ktoś mógłby pomyśleć, że ona rzeczywiście jest staruszką, rówieśniczką Viviany, a nie kobietą na tyle młodą, by być jej córką!

Zaczęła jeść śniadanie w łożu, równocześnie rozmawiając ze swoimi kobietami o tym, co jest tego dnia do zrobienia. Kiedy siedziała wciąż oparta o poduszki – przynieśli jej ciepły placek, a o tej porze roku było w mleczarniach mnóstwo masła – do komnaty wszedł Gwydion.

– Dzień dobry, przybrana matko – powiedział. – Wyszędłem i przyniosłem ci trochę jagód. A w spiżarni jest śmietana. Jeśli chcesz, to pobiegnę i ci przyniosę.

Spojrzała na świeżo zerwane jagody w drewnianej miseczce.

– Jak to miło, przyrodni synku – powiedziała i usiadła wyżej, by mocno go uściskać.

Kiedy był zaledwie trochę młodszy, przy takich okazjach wdrapywał się do niej pod koce, ona zaś karmiła go plackiem i miodem, a zimą opatulała go futrami, jak każdego ukochanego malucha. Brakowało jej teraz tego małego, ciepłego ciała, tulącego się do niej, ale wydawało jej się, że jest już na to naprawdę za duży.

Gwydion wyprostował się i starannie przygładził włosy. Nie znosił pieaszczot. Jak Morgiana, która zawsze była niezwykle schludnym dzieckiem.

– Wyszędłeś wcześniej, kochanie – powiedziała Morgause – i zrobiłeś to wszystko tylko dla twojej starej przybranej matki? Nie, nie chcę śmietany. Chyba nie chcesz, żebym była gruba jak stara maciora?

Przechylił główkę na jedną stronę, jak mały, ciekawy ptaszek, i z namysłem przyglądał się Morgause.

– To nie ma znaczenia – powiedział w końcu. – Wciąż będziesz piękna, nawet jeśli byś była gruba. Są przecież kobiety na tym dworze, na przykład Mara, która nie jest grubsza od ciebie, a wszyscy, i kobiety, i mężczyźni, mówią na nią Gruba Mara. Ty jednak nie wyglądasz na tak dużą, jaka jesteś, bo kiedy ktokolwiek na ciebie patrzy, widzi tylko, że jesteś piękna. Zjedz więc sobie śmietanę, jeśli masz ochotę, przybrana matko.

Taka rezolutna odpowiedź u takiego dziecka! Cóż, zaczyna już wyrastać na mężczyznę. Będzie jednak chyba taki, jak Agravein, niezbyt wysoki, jeden ze Starego Ludu, niedorostek. Oczywiście, przy olbrzymim Garecie zawsze będzie wyglądał jak dziecko, nawet kiedy skończy dwadzieścia lat! O tak, bardzo dokładnie wymył twarz i uczesał włosy, nawet były świeżo przycięte.

– Jak ślicznie wyglądasz, kochanie – powiedziała, kiedy jego małe paluszki z gracją, precyzyjnie podniosły z miseczki jagodę. – Czy sam sobie obciąłeś włoski?

– Nie – odpowiedział. – Kazałem to zrobić służce. Powiedziałem, że mam już dość tego, że wyglądam jak domowy pies. Lot zawsze był świeżo ostrzyżony i ogolony, tak samo Lancelot przez cały czas, kiedy tu mieszkał. Chcę wyglądać jak szlachcic.

– I zawsze tak wyglądasz, mój drogi – powiedziała, patrząc na małą, śniadą dłoń trzymającą jagodę. Dłoń była pokaleczona, knykcie poobcierane, jak u każdego żywego chłopca w tym wieku, zauważyła jednak, że musiał ją długo i mocno szorować, a paznokcie nie były brudne i połamane, ale równo i krótko obcięte. – Ale dlaczego założyłeś tego ranka swoją paradną tunikę?

– Włożyłem świąteczną tunikę? – spytał z niewinnym wyrazem swej małej, smagłej twarzyczki. – No tak, chyba rzeczywiście. Cóż. – Zamilkł, a Morgause wiedziała, że jakkolwiek miał ku temu powód, ona go nigdy nie pozna. Po chwili dokończył spokojnie: –

Zmoczyłem drugą tunikę rosą, kiedy zrywałem dla ciebie jagody, pani. – Po czym dodał nagle: – Myślałem, że będę nienawidził Lancelota, matko. Gareth ciągle o nim mówił, jakby był samym Bogiem.

Morgause przypomniała sobie, że choć Gwydion nie płakał przed nią, to jednak strasznie przeżywał, kiedy Gareth odjechał na dwór Artura. Morgause też go brakowało, bo Gareth był jedyną osobą na świecie, która miała prawdziwy wpływ na Gwydiona. Potrafił go zmusić do posłuszeństwa jednym spokojnym słowem. Odkąd Gareth wyjechał, nie było osoby, której rady posłuchałby Gwydion.

– Myślałem, że Lancelot będzie pyszałkowatym głupcem – powiedział Gwydion – ale wcale taki nie jest. Opowiedział mi więcej o latarniach morskich, niż nawet sam Lot o nich wiedział, jak myślę. I powiedział, że kiedy będę starszy, powinienem przyjechać na dwór Artura i być pasowany na rycerza, jeśli będę dobry i dzielny.

– W jego głębokich, ciemnych oczach odbiło się zastanowienie. – Wszystkie kobiety mówiły, że wyglądam jak on i pytały mnie o to, a ja byłem zły, bo nie wiedziałem, co im odpowiedzieć. Przybrana matko... – pochylił się, miękkie, czarne włoski opadły mu na czoło, co dodało jego buźce niezwyklej bezbronności – powiedz mi prawdę, czy Lancelot jest moim ojcem? Myślałem, że może dlatego Gareth tak go lubi...

*Nie ty pierwszy o to pytasz, kochaneczku*, pomyślała, gładząc chłopczyka po włosach. Niezwykła dziecinność jego rysów, kiedy o to pytał, sprawiła, że jej głos zabrzmiał delikatniej niż zwykle.

– Nie, mój mały. Ze wszystkich mężczyzn w tym królestwie Lancelot nie może być twoim ojcem, sama zadbałam, by to sprawdzić. Przez cały ten rok, w którym zostałeś poczęty, Lancelot był w Mniejszej Brytanii, walcząc u boku swego ojca, króla Bana. Ja też tak myślałam, ale ty wyglądasz jak on dlatego, że Lancelot jest kuzynem twojej matki, tak jak jest moim siostrzeńcem.

Gwydion obserwował ją sceptycznie i Morgause mogła niemal czytać w jego myślach; powiedziała mu dokładnie to samo, co by mu powiedziała, gdyby wiedziała, że Lancelot jest jego ojcem. W końcu się odezwał:

– Może pewnego dnia powinienem raczej jechać do Avalonu niż na dwór Artura. Czy moja matka jest teraz w Avalonie, przybrana matko?

– Tego nie wiem. – Morgause zmarszczyła brwi... po raz kolejny ten jej dziwnie dorosły przybrany synek doprowadził do tego, że rozmawia z nim, jakby był dojrzałym mężczyzną. Tak często to robił. Zdała sobie sprawę, że teraz, kiedy Lot odszedł, Gwydion jest jedyną osobą na tym dworze, z którą może od czasu do czasu porozmawiać, jak dorosły z dorosłym! O tak, Lochlann był wystarczająco męski w łożu nocą, ale nie miał nigdy do powiedzenia więcej niż jeden z pasterzy czy któraś ze służących! – Wyjdź teraz, Gwydion, kochany. Będę się ubierała.

– Czemu mam odejść? – spytał. – Wiem przecież dobrze, jak wyglądasz, odkąd skończyłem pięć lat.

– Ale teraz jesteś starszy – odpowiedziała ze znajomym poczuciem bezsilności. – Nie wypada, byś tu był, kiedy się ubieram.

– Tak bardzo ci zależy na tym, co wypada, przybrana matko? – spytał niewinnie, lecz jego oczy spoczęły na zagłębieniu poduszki, gdzie wcześniej leżał Lochlann, a Morgause poczuła nagłą falę zniecierpliwienia i złości.

Umiał ją zagonić w kozi róg swymi wywodami, jakby był dorosłym człowiekiem i Druidem!

– Nie muszę ci się spowiadać ze swoich czynów, Gwydionie! – powiedziała ostro.

– Czy powiedziałem, że musisz? – Jego oczy były urażoną niewinnością. – Kiedy będę starszy, będę musiał wiedzieć więcej o kobietach niż wtedy, gdy byłem dzieckiem, nieprawdaż? Chcę zostać i rozmawiać.

– No, to zostań, zostań, skoro tak chcesz – powiedziała – ale odwróć się, nie będziesz się na mnie gapił, panie Bezwstydniku!

Posłusznie się odwrócił, ale kiedy dała znak kobietom, by przyniosły jej suknię, powiedział:

– Nie, włóż tę błękitną, przybrana matko, tę nowo utkaną, i twój szafranowy kaftan.

– A teraz będziesz mi udzielał rad, w co się mam ubrać? O co ci chodzi? Co to ma znaczyć?

– Chcę cię zobaczyć odzianą jak przystoi pięknej damie i królowej – powiedział przekonująco. – I powiedz im, żeby ci uczesały włosy do góry i spięły tą złotą spinką, dobrze, przybrana matko? Żeby mi zrobić przyjemność.

– Po co mam się stroić jak na dożynki, żeby cały dzień siedzieć i gręplować wełnę w moich najlepszych szatach?! Kobiety będą się ze mnie śmiały, dziecko!

– To niech się śmieją – prosił Gwydion. – Nie ubierzesz się pięknie, żeby mi zrobić przyjemność? A kto wie, co może się wydarzyć, zanim ten dzień się skończy? Możesz być jeszcze z tego rada.

Morgause, śmiejąc się, dała za wygraną:

– O, jak chcesz, skoro się upierasz, żebym się wystroiła jak na święto, niech tak będzie... w takim razie zrobimy sobie nasze własne święto! Teraz, jak przypuszczam, w kuchni powinni upiec na to wymyślone święto miodowy placek?

*To jednak dziecko, myślała, wymyślił to, żeby dostać słodycze. Czemu nie, przyniósł mi przecież jagody.*

– To co, Gwydionie, mam kazać upiec miodowy placek na kolację?

Odwrócił się. Jej suknia nie była jeszcze zasnurowana i dostrzegła, jak jego oczy przez chwilę zatrzymały się na jej białych piersiach. *No, już nie takie z niego dziecko.*

– Zawsze się cieszę z miodowego placka, ale może znalazłaby się też ryba, żeby ją upiec na obiad?

– Jeśli mamy jeść rybę – powiedziała – będziesz musiał przebrać znów tunikę i sam ją złowić. Mężczyźni są zajęci przy obsiewach.

– Poproszę Lochlanna, żeby poszedł – odpowiedział szybko. – To dla niego będzie jak święto. Należy mu się, prawda? Przybrana matko, jesteś z niego zadowolona, czyż nie?

*To idiotyczne!*, myślała Morgause. *Nie będę się rumienić przed chłopcem w tym wieku!*

– Jeśli chcesz posłać Lochlanna na połów, kochanie, zrób to. Myślę, że można go na dziś zwolnić.

Pomyślała też, że chciałaby widzieć, o co naprawdę chodzi Gwydionowi, z tą jego paradną tuniką i naleganiem, by ubrała najlepsze szaty i przygotowała dobry obiad. Zawołała gospodynię i przykazała:

– Panicz Gwydion chciałby miodowego ciasta. Dopilnuj tego.

– Dostanie swoje ciasto – powiedziała gospodyni, patrząc na chłopca z rozrzewnieniem. – Patrzcie na tę słodką buźkę, on jest jak jeden z tych aniołków.

*Aniołek. To ostatnie słowo, jakim bym go nazwała*, pomyślała Morgause, ale mimo to kazała swej dworce upiąć sobie włosy wysoko złotą spinką. Pewnie nigdy się nie dowie, o co chodzi Gwydionowi.

Dzień ciągnął się wolno, nie działo się nic nadzwyczajnego.

Morgause zastanawiała się już wcześniej, czy Gwydion ma dar Wzroku, ale nigdy nie pokazywał żadnych oznak, a gdy kiedyś spytała go o to wprost, zachował się tak, jakby w ogóle nie wiedział, o czym ona mówi. Gdyby miał Wzrok, myślała, to przynajmniej raz złapałaby go na tym, że się nim chwali.

No cóż. Z jakichś ukrytych, dziecinnych powodów Gwydion chciał mieć święto i ją do tego namówił. Bez wątplenia, odkąd Gareth wyjechał, mały był wciąż samotny, nie miał wiele wspólnego z innymi synami Lota. Nie miał też jak Gareth zamiłowania do broni i rycerskich spraw ani, z tego co mogła dotąd zauważyć, talentu do muzyki po Morgianie. Choć jego głos był czysty, czasami przynosił też połączone piszczałki, takie, na jakich grywali pasterze, i wygrywał na nich dziwne, tęsknie brzmiące melodie. Nie była to jednak taka pasja, jaką miała Morgiana, która gdyby mogła, cały dzień by przesiedziała szczęśliwa przy harfie.

Miał jednak szybki i bystry umysł. Przez trzy lata Lot posyłał po uczonego księdza z Iony, który mieszkał na dworze i uczył chłopca czytać. Lot kazał, by ksiądz uczył także Garetha, ale ten nie miał cierpliwości do jego książek. Posłusznie zmagął się z literami i łaciną, ale nie umiał się skupić nad zapisanymi symbolami czy tajemniczym językiem Rzymian dłużej niż Gawain czy kiedyś ona sama. Agravein był dość bystry – trzymał wszystkie zapiski i rachunki królestwa, miał smykałkę do numerów i liczb. Tylko Gwydion pochłaniał każdy okruszek wiedzy tak szybko, jak tylko się przed nim pojawił. Po roku umiał już czytać tak dobrze, jak sam ksiądz, i mówił po łacinie, jakby był jednym z tych rzymskich

cesarzy narodzonym na nowo. Wtedy po raz pierwszy Morgause zastanawiała się, czy mimo wszystko nie ma czegoś w tym, co mówili Druidzi – że rodzimy się wciąż na nowo i za każdym razem uczymy się coraz więcej.

*To taki syn, z którego każdy ojciec może być dumny*, myślała Morgause. *A Artur wcale nie ma syna ze swą królową. Pewnego dnia, tak pewnego dnia wyjawię tajemnicę Arturowi i wtedy będę miała w ręku królewskie sumienie.* Ta myśl serdecznie ją bawiła. Dziwiła się, że Morgiana nigdy nie użyła tego argumentu – mogła nim zmusić Artura, by wyswatał jej najbogatszego ze swych lennych królów, mogła mieć klejnoty, władzę... ale Morgiana nie dbała o takie rzeczy, tylko o swoją harfę i bzdury, które opowiadali Druidzi.

Przynajmniej ona, Morgause, zrobi lepszy pożytek z tej nieoczekiwanej władzy, którą dostała do ręki.

Siedziała w wielkiej sali, odziana z niezwykłym przepychem, gręplowała wełnę z wiosennego strzyżenia i podejmowała decyzje:

Gwydion musi mieć nowy kaftan, rośnie tak szybko, stary kaftan jest już przed kolana i na nic się nie zda w zimowe chłody, a bez wątpienia tego roku chłopiec urośnie jeszcze bardziej. A może powinna dać mu kaftan Agraveina, trochę skrócić, a dla Agraveina zrobić całkiem nowy? Przyszedł Gwydion w swej odświętnej szafranowej tunice i radośnie pociągał nosem, czując dochodzący z kuchni zapach miodowego ciasta, bogaty od przypraw. Jednak nie marudził i nie nalegał, by ukrojono mu wcześniej kawałek, jak by to zrobił jeszcze kilka miesięcy temu. W południe Gwydion powiedział:

– Matko, wezmę do ręki kawałek chleba i sera i obejdę pastwiska. Agravein powiedział, że powinienem sprawdzić, czy wszystkie ogrodzenia są w porządku.

– Ale nie w tych paradnych butach – odparła Morgause.

– Oczywiście, że nie. Pójdę boso – powiedział Gwydion, rozwiązał sandały i ustawił je koło niej, przy kominku. Tunikę wetknął sobie za pasek, tak że sięgała mu sporo powyżej kolan, wziął gruby kij i poszedł.

Morgause patrzyła za nim, marszcząc brwi – przed tym zadaniem Gwydion zawsze się wzbraniał, nieważne, co mu kazał Agravein! Co się dziś dzieje z tym chłopcem?

Po południu wrócił Lochlann z piękną, wielką rybą, tak ciężką, że Morgause nie mogła jej udźwignąć. Obejrzała ją zadowolona – nakarmi się nią wszystkich, którzy wieczerają przy królewskim stole, a zimnej pieczonej ryby starczy jeszcze na trzy dni. Oczyszczona, natarta ziołami ryba leżała gotowa do pieczenia, kiedy wrócił Gwydion. Stopy i ręce miał czysto wyszorowane, włosy uczesane.

Wsunął nogi w sandały. Spojrzał na rybę i uśmiechnął się.

– Tak, zaiste, to będzie jak święto – powiedział zadowolony.

– Czy już obszedłeś wszystkie ogrodzenia, przyrodni bracie? – spytał Agravein, który wrócił właśnie ze stajni, gdzie doglądał chorego kuca.



– Tak, większość jest w porządku – odparł Gwydion. – Tylko na samym szczycie północnego klifu, tam gdzie zeszłej jesieni pasaliśmy owce, jest wielka dziura w ogrodzeniu, wszystkie kamienie się zawaliły. Musisz tam posłać ludzi, żeby to naprawili, zanim wypuścisz na wypas owce, a już kozy to by uciekły szybciej, niżbyś je zdążył zawołać.

– Poszedłeś sam aż tak daleko? – spytała Morgause, patrząc na niego z niedowierzaniem. – Ty nie jesteś kozą, mogłeś upaść, złamać nogę w skalnej szczelinie i przez wiele dni nikt by cię nie mógł znaleźć! Mówiłam ci tyle razy, jeśli idziesz na skały, bierz ze sobą jednego z małych pastuszków!

– Miałem swoje powody, by iść sam – odparował Gwydion i po swoim, z uporem zacisnął usta. – I zobaczyłem, co chciałem zobaczyć.

– A cóż takiego mogłeś zobaczyć, co by warte było ryzyka, że się zranisz i będziesz tam samotnie leżał przez wiele dni? – spytał zirytowany Agravein.

– Jeszcze nigdy nie spadłem – odparł Gwydion – a nawet jakbym spadł, to tylko ja bym cierpiał. Co to cię obchodzi, jeśli to ja ryzykuję?

– Ja jestem twoim starszym bratem i panem tego domu – powiedział Agravein – i będziesz mi okazywał szacunek albo go w ciebie wbiję!

– Może jakbyś sobie rozbił głowę, to mógłbyś w nią wsadzić trochę rozumu – odciął Gwydion zaczepnie – bo sam to on tam z pewnością nie wyrośnie...

– Ty przeklęty mały...

– No, dalej, powiedz to – krzyknął Gwydion – wyśmiewaj moje urodzenie, ty... Nie znam imienia mego ojca, ale wiem, kto spłodził ciebie, i z dwojga złego wolę już swoją sytuację!

Agravein zrobił w jego stronę ciężki krok, ale Morgause wstała szybko i zasłoniła sobą Gwydiona.

– Nie drażnij się z chłopcem, Agravein!

– Jeśli zawsze chowa się za twoją spódnicą, matko, to co w tym dziwnego, że nie mogę go nauczyć posłuszeństwa? – spytał Agravein.

– Trzeba by kogoś lepszego od ciebie, by mnie tego nauczyć! – powiedział Gwydion, a Morgause zdziwiła się, słysząc gorycz w jego głosie.

– Cicho, cicho, dziecko, nie mów w ten sposób do swego brata – uspokajała go, a Gwydion powiedział nagle:

– Przykro mi, Agravein, nie powinienem być dla ciebie niemiły.

Uśmiechnął się, jego wielkie oczy spoglądały spoza gęstych rzęs, obrazek skruszonego dziecka.

– Ja tylko chcę twego dobra, ty mały smyku – burknął Agravein. – Myślisz, że chcę, żebyś sobie połamał wszystkie kości? I co ci strzeliło do głowy, żeby samemu wdrapywać się na te skały?

– Cóż – odparł Gwydion – inaczej byś się nie dowiedział o tej dziurze w ogrodzeniu i posłałbyś tam na wypas owce, a może nawet kozy, i wszystkie byś stracił. A ja nigdy nie drę sobie ubrania, prawda, matko?

Morgause zachichotała, bo była to prawda, Gwydion bardzo uważał na ubranie. Niektórzy chłopcy tacy byli. Z Garethem wystarczyło, że założył na siebie świeżą tunikę i zanim minęła godzina, tunika była pomięta, poplamiona i brudna, ale Gwydion mógł się wdrapywać na wysokie skały w swojej odświętnej tunice i wyglądał tak, jakby przed chwilą ubrał ją świeżo po praniu.

Gwydion spojrzał na Agraveina odzianego w roboczy kaftan i powiedział:

– Nie wypada, żebyś tak zasiadł do stołu z matką odzianą w piękne szaty. Idź i załóż czystą tunikę, bracie. Czy zasiądziesz do obiadu w starym kaftanie, jak rolnik?

– Nie będzie mną rządził taki smarkacz jak ty – odburknął Agravein, ale odszedł do swej komnaty, a Gwydion uśmiechnął się z ukrywaną satysfakcją.

– Agravein powinien mieć już żonę, matko – powiedział. – Jest taki drażliwy jak byk na wiosnę, a poza tym nie powinnaś sama tkać i naprawiać jego szat.

– Bez wątplenia masz rację – odparła rozbawiona Morgause – ale nie chcę mieć pod tym dachem jeszcze jednej królowej. Żaden dom nie jest tak duży, by pomieścić rządy dwóch kobiet.

– To powinnaś mu znaleźć taką żonę, która nie jest zbyt dobrze urodzona i jest bardzo głupia – powiedział Gwydion. – Tak żeby była szczęśliwa, że to ty jej mówisz, co ma robić, bo będzie się bała, by nie popełnić błędów między wysoko urodzonymi. Córka Nialla by się chyba nadawała. Jest bardzo ładna, a rodzina Nialla jest bogata, ale nie za bogata, bo tyle ich bydła wyzdychało podczas tej ciężkiej zimy sześć lat temu. Będzie miała dobry posag, bo Niall się boi, że dziewczyna nie wyjdzie za mąż. Przeszła świnkę, kiedy miała sześć lat i jej wzrok nie jest za dobry, nie jest też zbyt bystra. Potrafi całkiem dobrze prząć i tkać, ale nie ma ani oczu, ani zdolności do niczego więcej, więc nie będzie miała nic przeciwko temu, żeby Agravein wciąż ją czynił ciężarną.

– No, no, no, cóż z ciebie za polityk – powiedziała Morgause kwaśno. – Agravein powinien cię mianować swoim doradcą, taki z ciebie mądrała.

Pomyślała jednak: tak, mały ma rację, jutro porozmawiam z Niallem.

– Mogłoby mu się trafić gorzej – ciągnął Gwydion poważnie – ale mnie i tak już tu nie będzie, żeby to zobaczyć, matko. Miałem ci powiedzieć, że kiedy poszedłem na skały, zobaczyłem... nie, oto Donil, myśliwy, on ci powie.

I rzeczywiście, olbrzymi myśliwy właśnie wchodził do sali i skłonił się nisko przed Morgause.

– Pani – powiedział – na drodze są jeźdźcy, zbliżają się już do zamku. Jest tam wysokie krzesło – lektyka, udrapowane jak łódź Avalonu, a także garbus z harfą i służba w barwach Avalonu. Przybędą tu za pół godziny.

*Avalon!* Wtedy Morgause dostrzegła tajemniczy uśmiech Gwydiona i zrozumiała, że był na to przygotowany. *Ale nigdy nie mówił, że ma Wzrok! Jakież dziecko by się tym nie pochwalilo, gdyby miało taki dar?* I nagle fakt, że umiał to ukryć i cieszyć się tym o tyle mocniej, iż jego wiedza pozostawała w tajemnicy, wydał jej się niesamowity do tego stopnia, że aż się skurczyła, niemal lękając się swego przyrodniego synka. Widziała też, że to zauważył i że był z tego rad.

Jednak powiedział tylko:

– No, i czyż nie składa się dobrze, że mamy miodowe ciasto i pieczoną rybę, i wszyscy jesteśmy odziani w najlepsze szaty, tak że możemy oddać honory Avalonowi, matko?

– Tak – odparła Morgause, wpatrując się w przybranego syna. – Rzeczywiście, bardzo dobrze się składa, Gwydionie.

Stojąc na dziedzińcu w oczekiwaniu przyjezdnych, przypomniała sobie dzień, kiedy Viviana i Taliesin przybyli do dalekiego zamku w Tintagel. Przypuszczała, że Taliesin jest od dawna za stary na takie podróże, nawet jeśli jeszcze żyje. Słyszałaby o tym, gdyby umarł.

Viviana też nie jeździła już szybko, w wysokich butach i spodniach, jak mężczyzna, od nikogo niezależna.

Gwydion stał cicho u jej boku. W swej szafranowej tunice, z ciemnymi włoskami starannie szeszanymi z czoła, bardzo przypominał Lancelota.

– Kim są ci goście, matko?

– Przypuszczam, że to Pani Jeziora – powiedziała Morgause – i Merlin Brytanii, Posłaniec Bogów.

– Mówiłaś, że moja matka też jest kapłanką w Avalonie, czy ich przyjazd ma coś wspólnego ze mną?

– No, no, tylko mi nie mów, że jest coś, czego sam nie wiesz! – odparła Morgause ostro. Potem złagodniała. – Nie wiem, po co przybyli, mój drogi. Ja nie mam Wzroku. Tak jednak być może. Chcę, żebyś podawał wino, słuchał i uczył się, ale nie odzywał się, zanim cię nie spytają.

Pomyślała, że to byłoby trudne dla jej własnych synów – Gawain, Gaheris i Gareth byli głośni i ciekawscy i trudno było ich wyuczyć dworskich manier. Byli jak wielkie, przyjazne psy, podczas gdy Gwydion jest jak kot – cichy, tajemniczy, uważny, sprytny. Morgiana jako dziecko też była taka... *Viviana źle uczyniła, że wypędziła Morgianę, nawet jeśli była na nią zła za urodzenie dziecka... i dlaczego miała coś przeciwko temu? Ona też przecież rodziła dzieci, włączając w to tego przeklętego Lancelota, który wprowadził w królestwie Artura tyle zamieszania, że nawet tutaj wszyscy wiedzieli o tym, jakimi względami darzy go królowa.*

Potem zastanowiła się, dlaczego uważa, że to Viviana nie chciała, by Morgiana urodziła dziecko? Morgiana poróżniła się z Avalonem, ale być może była to wina Morgiany, a nie Pani Jeziora?

Pograżyła się głęboko w myślach. Dopiero Gwydion dotknął jej ramienia i powiedział cicho:

– Twoi goście, matko.

Morgause złożyła głęboki ukłon Vivianie, która wydała jej się jakby skurczona. Nigdy przedtem nie było po niej widać wieku, ale teraz bardzo się postarzała, twarz pokrywały zmarszczki, oczy były głęboko zapadnięte. Miała jednak ten sam uroczy uśmiech, a jej głos był niski i słodki, jak zawsze.

– Och, jak to dobrze cię ujrzyć, siostró – powiedziała, zamykając Morgause w uścisku. – Ile to już czasu? Nie, nie chcę myśleć o latach! Jak ty młodo wyglądasz, Morgause! Takie piękne zęby, a twe włosy lśnią jak zawsze. Poznałaś Kevina Harfiarza na ślubie Artura, zanim został Merlinem Brytanii.

Wydawało się, że Kevin także się postarzał, pochylił i skurczył, jak stary dąb. *Cóż, to pasuje do kogoś, kto naradza się z dębami*, pomyślała Morgause i poczuła, jak jej usta wyginają się w skrywanym uśmiešku.

– Witaj, Mistrzu Harfiarzu, o, powinnam powiedzieć, Lordzie Merlinie. A jak się ma szlachetny Taliesin? Czy jest jeszcze w krainie żywych?

– Żyje – powiedziała Viviana, a w tym samym czasie jeszcze jedna kobieta wysiadła z lekyki. – Jest już jednak stary i niedołężny, w taką podróż, jak ta, już więcej nie wyruszy. To jest córka Taliesina, dziecko dębowego gaju, Niniana. Jest więc twoją przyrodnią siostrą, Morgause.

Morgause była nieco zaskoczona, kiedy młoda kobieta podeszła i uściskała ją, odzywając się słodkim głosem:

– Cieszę się z poznania mej siostry.

Niniana wydawała się taka młoda! Miała jasne, rudo-złote włosy i błękitne oczy pod długimi, jedwabistymi rzęsami.

– Niniana podróżuje ze mną teraz, kiedy jestem już stara – powiedziała Viviana. – Jest jedyną poza mną mieszkanką Avalonu pochodzącą ze starej, królewskiej krwi.

Niniana była odziana jak kapłanka, jasne włosy miała splecione nisko nad czołem, ale błękitny półksiężyc, świeżo namalowany niebieskim barwikiem, był wyraźnie widoczny. Mówiła szkolonym głosem kapłanki, przepełnionym mocą, ale stojąc u boku Viviany, wydawała się młoda i bezsilna.

Morgause starała się przypomnieć sobie, że jest panią domu, a to są jej goście; w obecności tych dwóch kapłanek i Druida czuła się jak podkuchenna.

Upomniała samą siebie ze złością, że przecież te kobiety to jej własne przyrodnie siostry, a co do Merlina, to jedynie stary garbus!

– Witajcie w Lothianie i w moim domu. To jest mój syn Agravein, który rządzi tu w czasie, gdy Gawain przebywa na dworze Artura. A to mój przybrany syn, Gwydion.

Chłopiec skłonił się wdzięcznie znakomitym gościom, ale powitanie cichutko wymruczał pod nosem.

– Przystojny chłopiec i dobrze wyrosnięty – powiedział Kevin. – To więc jest syn Morgiany?

Morgause uniosła brwi.

– A na cóż zdałoby się ukrywanie tego przed kimś, kto posiada dar Wzroku, panie?

– Morgiana sama mi o nim powiedziała, kiedy dowiedziała się, że wybieram się do Lothianu – powiedział Kevin, a po jego twarzy przebiegł cień.

– A więc Morgiana znów przebywa w Avalonie? – spytała Morgause, a Kevin pokręcił głową. Morgause zauważyła, że Viviana także wygląda na zmartwioną. – Morgiana jest na dworze Artura – powiedział Kevin, a Viviana dodała:

– Ma do wykonania pracę w zewnętrznym świecie. Powróci jednak do Avalonu w wyznaczonym czasie. Czekaj na nią miejsce, które musi zająć.

– Czy mówicie o mojej matce, pani? – spytał Gwydion cicho.

Viviana spojrzała chłopcu w oczy i nagle wydała się wysoka i dostojna. *Stara kapłańska sztuczka*, pomyślała Morgause, ale Gwydion nigdy jej nie widział. Pani Jeziora przemówiła, a jej głos napełnił cały dziedziniec:

– Czemu mnie pytasz, dziecko, skoro doskonale sam znasz odpowiedź? Czyżbyś naigrawał się z daru Wzroku, Gwydionie? Uważaj. Znam cię lepiej, niż myślisz, a jest jeszcze kilka rzeczy na tym świecie, o których nie wiesz!

Gwydion cofnął się z otwartymi ustami, nagle znów był tylko nad wiek rozgarniętym dzieckiem. Morgause ponownie uniosła brwi.

A więc był ktoś i coś, co potrafiło go przestraszyć! Po raz pierwszy nie próbował się bronić czy tłumaczyć na swój zwykły, wykrętny sposób. Morgause znów przejęła inicjatywę:

– Wejdźcie. Wszystko jest gotowe na wasze przyjęcie, siostry, Lordzie Merlinie.

Kiedy spojrzała na czerwone sukno, którym kazała nakryć stół, na stojące na nim piękne naczynia i dzbany, pomyślała: *Nawet tutaj, na końcu świata, nasz dwór nie jest chlewikiem!* Usadziła Vivianę na swym własnym królewskim miejscu, obok niej posadziła Kevina Harfiarza. Niniana potknęła się, przechodząc przez próg, a Gwydion natychmiast służył jej pomocną dłońią i miłym słowem.

*No, no, no, w końcu nasz Gwydion zaczyna zauważać piękne kobiety. A może to tylko grzeczne maniery albo chęć przypochlebiania się po tym, jak Viviana go zrugala?* Wiedziała jednak doskonale, że nigdy nie pozna prawdziwej odpowiedzi.

Ryba była idealnie upieczona, różowe mięso lekko odchodziło od ości, a miodowego placka wystarczyło także dla niemal wszystkich domowników. Morgause posłała też po dodatkową beczkę piwa, tak aby każdy z jedzących w mniejszej sali też miał coś specjalnego do posiłku. Było pełno świeżo upieczonego chleba i mnóstwo mleka i masła, a

także sera zrobionego z kwaśnego mleka. Viviana jadła niewiele, jak zwykle, ale chwaliła wieszczkę.

– Zastawiłaś istic królewski stół. Lepiej by mnie nie przyjęto w samym Kamelocie. Przybywając bez zapowiedzi, nie spodziewałam się takiej gościny – powiedziała.

– Byłaś w Kamelocie? Widziałaś mych synów? – spytała Morgause, ale Viviana potrząsnęła przecząco głową i zmarszczyła czoło.

– Nie, jeszcze nie. Chociaż muszę tam pojechać, w dniu, który Artur nazywa Dniem Zesłania Ducha Świętego, jak sami ojcowie Kościoła – powiedziała i Morgause nie wiedzieć czemu poczuła zimne igiełki na karku. Jednak zajęta gośćmi, nie miała czasu się nad tym zastanawiać.

– Ja widziałem twych synów na dworze, pani – powiedział Kevin. – Gawain otrzymał niewielką ranę pod Mount Badon, ale wygoiła się czysto i zakrywa ją broda... zaczął nosić małą brodę, jak Saksoni, nie dlatego, żeby się do nich upodobnić, ale nie może się codziennie golić, żeby nie zdzierać sobie wierzchołka blizny. Może nawet wprowadzi na dwór nową modę! Nie widziałem Gaherisa, wyjechał na południe, fortyfikuje wybrzeża. Gareth ma być pasowany na rycerza i mianowany towarzyszem Artura w to właśnie święto Zesłania Ducha. Jest jednym z największych i najbardziej godnych zaufania ludzi na dworze, choć sir Kaj wciąż się z nim drażni i nazywa go „Przystojniakiem”, dla jego pięknej twarzy.

– Już dawno powinien być pasowany na rycerza Artura! – powiedział Gwydion z przekonaniem, a Kevin spojrzał na chłopca z większą sympatią.

– Tak ci zależy na godności twego krewniaka, chłopcze? Rzeczywiście, od dawna zasługuje na to, i tak go też traktują, teraz, kiedy już znane jest jego pochodzenie. Ale Artur chciał go uhonorować podczas pierwszego święta obchodzonego w Kamelocie, tak więc Gareth będzie pasowany na rycerza z najwyższymi honorami, jakie król może mu dać. Możesz być zadowolony, Gwydionie, Artur dobrze zna zalety Garetha, tak jak zna zalety Gawaina. A Gareth będzie najmłodszy z jego towarzyszy.

Wtedy, jeszcze bardziej nieśmiało, Gwydion spytał:

– Czy znasz moją matkę, Mistrzu Harfiarzu? Panią Mo... Morgianę...?

– Tak, chłopcze, znam ją dobrze – odparł Kevin miło, a Morgause pomyślała, że ten brzydki, kaleki człowiek przynajmniej mówi pięknym i kojącym głosem. – To jedna z najpiękniejszych dam na dworze króla Artura, i najbardziej wdzięcznych, i gra na harfie tak pięknie, jak bard.

– No nie – powiedziała Morgause, wykrzywiając usta w kwaśnym uśmiechu, rozbawiona widocznym uwielbieniem w głosie harfiarza. – To miło opowiadać bajki, by zrobić przyjemność dziecku, ale należy też powiedzieć prawdę. Morgiana, piękna? Jest zwyczajna, jak wrona! Igriana była piękna, kiedy była młoda, wszyscy to wiedzą, ale Morgiana wcale nie jest do niej podobna.

Kevin odezwał się z szacunkiem, ale też i z rozbawieniem:

– Jest takie stare powiedzenie w mądrościach Druidów... piękno nie jest jedynie w jasnej twarzy, ale ukryte jest w środku. Morgiana jest naprawdę bardzo piękna, królowo Morgause, choć jej piękno nie przypomina twego bardziej niż brzoza przypomina narcyz. Jest też jedyną osobą na dworze, w której ręce zgodziłbym się powierzyć Moją Panią. – Wskazał na swoją harfę, która rozpakowana stała u jego boku.

Podchwytyjąc temat, Morgause spytała Kevina, czy zaszczyli ich pieśnią.

Ujął harfę i zaśpiewał, a na ten czas w sali zapanowała absolutna cisza, słychać było tylko dźwięki instrumentu i głos barda. Kiedy śpiewał, ludzie z mniejszej sali podeszli tak blisko, jak tylko mogli, by słuchać muzyki. Gdy skończył, Morgause odprawiła służbę, pozwoliła zostać tylko Lochlannowi, który siedział cicho koło ognia.

– Ja też kocham muzykę, Mistrzu Harfiarzu – powiedziała. – Dałeś nam przyjemność, którą długo będę pamiętała. Ale nie przyjechaliście tak daleko, z Avalonu na północne ziemie, tylko po to, bym mogła ucztować przy muzyce. Proszę was, powiedzcie mi, dlaczego przybyliście tu tak nieoczekiwanie.

– Nie tak znów nieoczekiwanie – powiedziała Viviana z lekkim uśmiechem – gdyż zastałam cię odzianą w najlepsze szaty i gotową powitać nas winem, pieczoną rybą i miodowym plackiem. Dostałaś wieść o moim przybyciu, a skoro sama nie miałaś nigdy więcej niż zaledwie odrobinę Wzroku, mogę tylko przypuszczać, że to ktoś inny, kto siedzi niedaleko mnie, ostrzegł cię o tym. – Rzuciła ironiczne spojrzenie Gwydionowi, a Morgause potaknęła.

– Ale on mi nie powiedział dlaczego, prosił tylko, żebym przygotowała wszystko na święto, a ja myślałam, że to tylko dziecięce zachcianki, nic więcej.

Gwydion stanął przy krześle Kevina, kiedy harfiarz zaczął chować instrument. Wyciągnął dłoń i spytał z wahaniem:

– Czy mogę dotknąć strun?

– Możesz – odparł Kevin miło, a Gwydion pociągnął za strunę czy dwie.

– Nigdy nie widziałem tak pięknej harfy – powiedział chłopiec.

– I nigdy nie ujrysz. Myślę, że nie ma piękniejszej ani tutaj, ani nawet w Walii, gdzie jest cała szkoła bardów – odparł Kevin.

– Moja Pani to podarunek od króla, nigdy nie opuszcza mego boku. I jak wiele kobiet – dodał z dwornym ukłonem głowy w stronę Viviany – z wiekiem jest jedynie coraz piękniejsza.

– Żeby tak mój głos także stawał się słodszy w miarę, jak się starzeję – odparła rozbawiona Viviana – ale Ciemna Matka nie ma takiego życzenia. Tylko jej nieśmiertelne dzieci śpiewają coraz słodziej wraz z upływem lat. Oby Moja Pani nie śpiewała nigdy mniej pięknie niż teraz.

– Czy lubisz muzykę, paniczu Gwydionie? Uczyłeś się gry na harfie?

– Nie mam harfy, żeby na niej grać – powiedział Gwydion. – Coli, który jest jedynym harfiarzem na dworze, ma już tak sztywne palce, że rzadko dotyka strun. Nie mieliśmy tu muzyki już od dwóch lat. Ja gram trochę na małych piszczałkach, a Aran, który był kobziarzem Lota podczas wojen, nauczył mnie trochę grać na kobzie z rogu łosia... o, tam wisi. Aran poszedł z Lotem pod Mount Badon i tak jak Lot już nie powrócił.

– Przynies mi kobzę – powiedział Kevin, a gdy Gwydion przyniósł mu zawieszony na ścianie instrument, bard wytarł go czystą szmatką, wydmuchał kurz ze środka, przyłożył instrument do ust i ułożył swe powykręcane palce na dziurkach piszczałki. Zagrał krótką, taneczną melodię, a potem odłożył instrument, mówiąc: – Niewiele umiem na tym grać, moje palce nie są dość szybkie. Cóż, Gwydionie, jeśli kochasz muzykę, nauczą cię jej w Avalonie. Niech no posłucham, jak na tym grasz.

Gwydion miał wyschnięte usta – Morgause widziała, jak zwilżał wargi językiem – ale wziął instrument w dłoń i delikatnie weń dmuchnął. Potem zaczął grać wolną melodię. Po chwili Kevin skinął głową.

– Wystarczy – powiedział. – Jesteś synem Morgiany, byłoby dziwne, gdybyś w ogóle nie miał talentu. Możemy cię wiele nauczyć. Być może, że nadajesz się nawet na barda, ale bardziej prawdopodobne, że na kapłana i Druida.

Gwydion zamrugał i omal nie upuścił kobzy na podłogę; złapał ją w fałdy tuniki.

– Barda... co to znaczy? Powiedzcie mi wyraźnie!

Viviana spojrzała mu prosto w oczy.

– Nadszedł wyznaczony czas, Gwydionie. Jesteś urodzony na Druida, z dwóch królewskich linii. W Avalonie otrzymasz starodawne nauki i tajemną wiedzę, tak abyś pewnego dnia mógł nosić smoka.

Chłopiec przełknął ślinę – Morgause widziała, jak przyswaja tę wiadomość. Mogła sobie wyobrazić, że myśl o tajemnej wiedzy pociąga Gwydiona bardziej niż cokolwiek innego, co mogli mu zaoferować.

– Powiedziałaś, Pani, z dwóch... kró... królewskich linii...? – zająknął się.

Kiedy Niniana chciała mu odpowiedzieć, Viviana nieznacznie pokręciła głową, tak że Niniana powiedziała tylko:

– Wszystko to zostanie ci objaśnione, gdy nadejdzie odpowiedni czas, Gwydionie. Jeżeli masz być Druidem, to pierwszą rzeczą, jakiej musisz się nauczyć, jest zachowywać milczenie i nie zadawać pytań.

Spojrzał na nią bez słowa, a Morgause pomyślała: *Warto było ponieść wszelkie trudy tego dnia, by zobaczyć choć raz Gwydiona, który zaniemówił z wrażenia!* Cóż, nie była zaskoczona; Niniana była piękna, bardzo podobna do Igriany, kiedy była młodą dziewczyną, albo do niej samej, tyle że włosy miała bardziej jasne niż rude.



– Mogę ci wyjawic coś od razu – powiedziała Viviana – matka matki twojej matki była Panią Jeziora, pochodziła z długiej linii kapłanek. Igriana i Morgause także mają w sobie krew wielbego Taliesina, i ty też. W tobie zachowało się wiele królewskich linii tych wysp, a także krwi Druidów, i jeśli okażesz się tego godny, oczekuje cię wspaniałe przeznaczenie. Musisz się jednak okazać tego godzien. Sama królewska krew nie czyni jeszcze króla, czynią to odwaga, mądrość i zdolność przewidywania. Powiadam ci, Gwydionie, że ten, który nosi smoka, może być bardziej królem niż ten, który zasiada na tronie, gdyż tron można zdobyć siłą lub podstępem, lub tak jak go zdobył Lot, przez urodzenie się we właściwym łożu i bycie poczętym przez króla. Lecz Wielkiego Smoka można zdobyć jedynie własnym wysiłkiem, nie tylko w obecnym życiu, ale także w swych żywotach poprzednich. Objawiłam ci misterium.

– Ja... ja nie rozumiem! – odparł Gwydion.

– Oczywiście, że nie! – Głos Viviany brzmiał ostro. – Tak jak ci powiedziałam, to misterium, tajemnica i mądrzy Druidzi czasami muszą uczyć się przez wiele wcieleń, by zrozumieć rzeczy o wiele prostsze niż ta. Nie chodziło mi o to, żebyś rozumiał, lecz byś słuchał i słyszał, i uczył się być posłusznym.

Gwydion przełknął ślinę i spuścił głowę. Morgause widziała, że Niniana się do niego uśmiechnęła, a on westchnął głęboko, jakby z ulgą, i usiadł u jej stóp, cicho się przysłuchując. Po raz pierwszy nie próbował szukać usprawiedliwienia czy mądrze się tłumaczyć. *Może nauki Druidów to właśnie to, czego mu potrzeba!*, pomyślała Morgause.

– Tak więc przyjechaliście mi obwieścić, że już dostatecznie długo wychowywałam syna Morgiany i że nadszedł czas, kiedy powinien być zabrany do Avalonu i wykształcony w wiedzy Druidów. Jednakże nie przyjechalibyście osobiście taki szmat drogi tylko po to, by mi to powiedzieć, mogliście przysłać któregoś z Druidów, by przywiózł chłopca. Od lat wiedziałam, że nie przystoi synowi Morgiany, by skończył swe dni między pasterzami i rybakami. A gdzież by indziej mogło leżeć jego przeznaczenie, jeśli nie w Avalonie? Proszę was, powiedzcie mi resztę, o tak, jest coś więcej, widzę po waszych twarzach, że jest coś więcej.

Kevin otworzył już usta, by się odezwać, ale Viviana odparła ostro:

– Dlaczegoż miałabym powierzać ci moje myśli, Morgause, skoro ty tylko patrzysz, by obrócić wszystko na swoją korzyść i korzyść swoich synów? Nawet teraz Gawain stoi najbliżej tronu Artura nie tylko ze względu na swoje pochodzenie, lecz dlatego, że Artur naprawdę go miłuje. A ja przewidziałam, kiedy Artur żenił się z Gwenifer, że ona nie da mu dziecka. Myślałam jednak, że może umrze w połogu, nie chciałam więc mieszać się w szczęście Artura, wierząc, że potem znajdziemy mu bardziej odpowiednią żonę. Pozwoliłam jednak, by to trwało zbyt długo, i teraz on jej już nie oddali, mimo że jest jałowa. Ty jednak widzisz w tym tylko możliwość awansu dla twego własnego syna.

– Nie powinnaś zakładać, że ona jest jałowa, Viviano. – Twarz Kevina pokrywały gorzkie zmarszczki. – Była brzemienna przed Mount Badon i nosiła to dziecko pełnych pięć miesięcy,

równie dobrze mogła je donosić do porodu. Myślę, że poroniła przez upały, zamknięcie w zamku i przez swój własny strach przed Saksonami... i jak sądzę, to właśnie litość nad nią sprawiła, że Artur zdradził Avalon i odrzucił sztandar Smoka.

– Tak więc nie tylko przez swą jałowość, królowo Morgause, Gwenifer bardzo skrzywdziła Artura – powiedziała Niniana. – Ona jest stworzeniem księży i już zbytnio wpłynęła na króla. Gdyby pewnego dnia zdarzyło się tak, że urodziłaby mu dziecko, które by dorosło... to byłoby najgorsze ze wszystkiego.

Morgause poczuła, że nie ma czym oddychać.

– Gawain... – wydusiła.

– Gawain jest takim samym chrześcijaninem, jak Artur – przerwała jej ostro Viviana. – Pragnie jedynie we wszystkim schlebiać Arturowi!

– Nie wiem – powiedział Kevin – czy Artur naprawdę jest szczerze oddany chrześcijańskiemu Bogu, czy to tylko sprawka Gwenifer, którą chce zadowolić i której mu żal...

– Czy taki mężczyzna nadaje się do rządzenia – odezwała się Morgause z pogardą – który łamie daną przysięgę dla kobiecej zachcianki? Czy Artur rzeczywiście złamał przysięgę?

– Słyszałem, jak mówił, że skoro Chrystus i Maryja Dziewica dali mu zwycięstwo pod Mount Badon, to teraz się ich nie wyrzeknie – powiedział Kevin. – Słyszałem też, jak mówił Taliesinowi, że Maryja Dziewica jest równa Wielkiej Bogini i że to ona dała mu zwycięstwo, by zbawił te ziemie... i że sztandar Pendragona jest sztandarem jego ojca, Uthera, ale nie jego...

– A jednak – odezwała się Niniana – nie miał prawa go odrzucać. To my, w Avalonie, posadziliśmy Artura na tronie i to jest nam winien...

– A jakie ma znaczenie, który sztandar powiewa nad zastępami królewskimi? – spytała zniecierpliwiona Morgause. – Żołnierze potrzebują czegoś, co by pobudzało ich wyobraźnię...

– Jak zwykle nic nie rozumiesz – powiedziała Viviana. – Właśnie to, co jest żywe w ich snach i marzeniach, musi być pod kontrolą Avalonu lub przegramy tę walkę z Chrystusem, a ich dusze pozostaną w niewoli fałszywej wiary! Symbol Smoka zawsze powinien być przed ich oczyma, jako symbol tego, że ludzkość pragnie zwyciężać, a nie myśleć o grzechu i pokucie!

– Nie wiem... – zaczął Kevin powoli – może nie byłoby źle, gdyby istniały takie mniejsze misteria dla głupców, a mądrym można by przekazywać prawdziwe nauki. Być może było to zbyt łatwe dla ludzi, że mogli się udawać do Avalonu, i dlatego tego nie szanowali.

– Chciałbyś, żebym siedziała spokojnie i przyglądała się, jak Avalon coraz dalej pogrąża się w mgły, tak jak czarowna kraina? – spytała Viviana.

– Mówię tylko, Pani – odparł Kevin spokojnie, lecz zdecydowanie – że teraz może być już za późno, by temu zapobiec. Avalon zawsze będzie istniał dla ludzi i odnajdą go, jeśli

będą dobrze szukać, przez wszystkie wieki i wieki następne. Jeśli nie potrafią znaleźć drogi do Avalonu, będzie to znak, że być może nie są na to gotowi.

– A jednak – powiedziała Viviana twardo – ja zatrzymam Avalon w tym świecie lub zginę, próbując tego dokonać!

W sali zapadła cisza i Morgause zdała sobie sprawę, że jest jej lodowato zimno.

– Rozpal ogień, Gwydionie – powiedziała. – I podaj wino. Napij się, dobrze, siostrze? I ty, Mistrzu Harfiarzu?

Niniana uniosła bukłak, ale Gwydion siedział bez ruchu, jakby drzemał lub był w transie. Morgause powtórzyła:

– Gwydionie, zrób, co ci kazałam... – lecz Kevin wyciągnął dłoń i gestem nakazał jej milczenie. Powiedział szeptem:

– Chłopiec jest w transie. Gwydionie, mów...

– Wszędzie jest krew – szepnął chłopiec – krew rozlana, jak krew ofiarna na pradawnych ołtarzach, krew rozlana na tron...

Niniana potknęła się i resztkę wina, czerwonego jak krew, poląła się ponad głową siedzącego Gwydiona i wylądowała na kolanach Viviany. Viviana podniosła się zaskoczona, a Gwydion zamrugnął i otrząsnął się, jak szczeniaczek.

– Co... o przepraszam... zaraz pomogę... – powiedział zmieszany i wyjął bukłak z winem z rąk Niniany. – Och, to wygląda jak rozlana krew, zaraz przyniosę szmatę z kuchni. – Pobiegnął jak normalny, żywy chłopiec.

– No i macie swoją krew – powiedziała Morgause z niesmakiem. – Czy mój Gwydion ma także zagubić się w snach i chorych widzeniach?

Ścierając gęste wino ze swej szaty, Viviana odparła:

– Nie ubliżaj zdolnościom innych dlatego, że sama nie masz daru Wzroku, Morgause!

Gwydion wrócił ze szmatą, ale kiedy pochylił się, by wytrzeć plamy, zachwiał się i Morgause wyjęła ścierkę z jego dłoni i skinęła na jedną ze służących, by wytarła obrus i podłogę. Gwydion wyglądał na chorego, lecz choć normalnie robiłby o to wiele szumu, by zwrócić na siebie jej uwagę, teraz odwrócił się szybko, jakby zawstydzony.

Pragnęła wziąć go w ramiona i utulić, to dziecko, które było jej ostatnim dzieckiem, kiedy wszystkie inne dorosły i wyjechały, wiedziała jednak, że nie byłby jej za to wdzięczny i powstrzymała się, spoglądając w dół na swe splecione dłonie. Niniana wyciągnęła do niego rękę, ale przywołała go także Viviana i spojrzała na niego surowo.

– Powiedz mi prawdę: od jak dawna masz dar Wzroku?

Chłopiec spuścił głowę.

– Nie wiem... nie wiedziałem, jak to nazwać... – Kręcił się, ale nie patrzył jej w oczy.

– I ukrywałeś to z dumy i chęci władzy, czy nie tak? – spytała Viviana cicho. – A teraz Wzrok opanował ciebie i dlatego ty z kolei musisz opanować go. Nie przybyliśmy tu ani o

chwilę za wcześnie, mam nadzieję, że nie jest za późno. Nie czujesz się pewnie na nogach? Więc usiądź tutaj i bądź cicho.

Ku zaskoczeniu Morgause, Gwydion usiadł cicho u stóp obu kapłanek. Po chwili Niniana położyła mu dłoń na głowie, a on oparł się o jej nogi. Viviana znów zwróciła się do Morgause:

– Tak jak ci już powiedziałam, Gwenifer nie urodzi Arturowi syna, ale on jej nie odtrąci. Tym bardziej że jest chrześcijaninem, a ich religia zabrania odsuwać od siebie żonę...

– I co z tego? – Morgause wzruszyła ramionami. – Raz już poroniła, a być może więcej niż raz. A nie jest już taką młodą kobietą. Życie kobiety nie jest pewne.

– Tak, Morgause – powiedziała Viviana – już raz próbowałaś się uciec do tej niepewności ludzkiego życia, by twój syn mógł być bliżej tronu, czyż nie? Ostrzegam cię, siostrze, nie mieszaj się do tego, co postanowili Bogowie!

Morgause odpowiedziała z uśmiechem:

– A ja myślałam, że wystarczająco długo mnie uczyłaś, a może to był Taliesin, iż nic się nie zdarza bez przyzwolenia Bogów. Gdyby Artur umarł, zanim objął tron po Utherze, to Bogowie bez wątpienia znaleźliby kogoś innego, by spełniał ich wolę.

– Nie przybyłam tutaj dyskutować o teologii, nieszczęsna dziewczyno – powiedziała Viviana gniewnie. – Czy myślisz, że gdyby to ode mnie zależało, to powierzyłabym ci życie dziecka z królewskiej krwi Avalonu?

Morgause odpowiedziała z jadowitą uprzejmością:

– Ale Bogini nie chciała, by to od ciebie zależało, tak mi się przynajmniej wydaje, Viviano. Mam już dość tego gadania o starych przepowiedniach... gdyby w ogóle istnieli jacyś Bogowie, czego wcale nie jestem pewna, nie wierzę, by poniżali się do tego, by mieszać się w sprawy ludzi. Nie będę też czekała, aż Bogowie uczynią to, co sama jasno widzę, że musi być zrobione. Kto śmie twierdzić, że Bogini nie może czynić swej woli moimi rękoma tak samo jak rękoma kogoś innego? – Morgause dostrzegła, że Niniana była oburzona, tak, to jeszcze jedna niedorajda, taka sama jak Igriana, która wierzy w całe to gadanie o Bogach. – A jeśli chodzi o królewską krew Avalonu, to sama widzisz, że zadbałam o dobre wychowanie.

– Wydaje się zdrowym i silnym chłopcem – powiedziała Viviana – ale czy możesz przysiąc, że nie zepsułaś go od środka, Morgause?

Gwydion podniósł głowę i odezwał się ostro:

– Moja przybrana matka była dla mnie dobra. Pani Morgiana nie troszczyła się wcale o wychowanie swego syna, ani razu tu nie przyjechała, żeby spytać, czy w ogóle jeszcze żyję!

– Kazano ci odzywać się tylko wtedy, kiedy będziesz pytany, Gwydionie – powiedział Kevin srogo. – Nie wiesz nic o powodach czy pobudkach Morgiany.

Morgause spojrziała ze złością na małego, ułomnego barda. *Czyżby Morgiana zwierzyła się temu przeklętemu kalece, kiedy ja musiałam wydobyć z niej tajemnicę za pomocą zaklęć i Wzroku?* Poczowała narastającą wściekłość, ale Viviana powiedziała:

– Wystarczy. Wychowałaś go dobrze, kiedy ci to odpowiadało, Morgause, ale wiem, że nie zapomniałaś, iż on stoi o krok bliżej tronu, niż stał Artur w jego wieku, a o dwa kroki bliżej niż twój własny syn Gawain! Jeśli chodzi o Gwenifer, to ujrzałam, że ona ma odegrać pewną rolę w losach Avalonu, nie może być całkowicie pozbawiona Wzroku czy widzeń, bo raz już przedarła się przez mgły i stanęła na brzegach Avalonu. Może gdyby urodziła syna, byłaby przekonana o tym, że stało się to dzięki sztuce i za sprawą Avalonu... – Spojrzała na Ninianę. – Jest w stanie zajść w ciążę, z silną kapłanką u boku, która powstrzymałaby ją przed pozbywaniem się dziecka, może urodzić.

– Na to już za późno – powiedział Kevin. – To całkowicie jej wina, że Artur zdradził Avalon i odrzucił sztandar Smoka. Prawda jest taka, jak przypuszczam, że ona jest niespełna rozumu.

– Prawda jest taka – powiedziała Niniana – że masz do niej żal, Kevinie. Dlaczego?

Harfiarz spuścił wzrok i wpatrywał się w swoje powyginane, poznaczone bliznami dłonie. W końcu odpowiedział:

– To prawda. Nie mogę nawet w myślach być sprawiedliwy dla Gwenifer. Jestem tylko człowiekiem. Ale nawet gdybym ją lubił, powiedziałbym, że nie jest to królowa dla króla, który musi rządzić z Avalonu. Nie rozpaczałbym, gdyby wydarzył jej się jakiś wypadek czy nieszczęście. Bo gdyby dała Arturowi syna, uważałaby to jedynie za łaskę Chrystusa, nawet gdyby to sama Pani Jeziora czuwała przy jej łożu. Mogę się jedynie modlić, by nie spotkało jej takie szczęście.

Morgause uśmiechnęła się swoim kocim uśmiechem.

– Gwenifer może i stara się być lepszą chrześcijanką niż sam Chrystus – powiedziała – ale ja znam trochę ich Pismo, bo Lot kazał tu sprowadzić księdza z Iony, by uczył chłopców. W tym Piśmie Świętym jest napisane, że potępiony jest ten, kto odsunie od siebie małżonkę, *chyba że za cudzołóstwo*. A nawet tutaj, w Lothianie, słyszeliśmy, że królowa wcale nie jest taka cnotliwa. Artur często wyjeżdża na wojny, a wszyscy wiedzą, jakimi względami cieszy się u niej twój syn, Viviano.

– Nie znasz Gwenifer – powiedział Kevin – jest pobożna ponad zdrowy rozsądek, a Lancelot jest tak bliskim przyjacielem Artura, że Artur nie wystąpiłby przeciwko nim, chyba żeby ich przyłapał razem w swoim łożu, i to przed całym dworem.

– Nawet i to można załatwić – powiedziała Morgause. – Gwenifer jest zbyt piękna, by inne kobiety ją naprawdę lubiły. Z pewnością ktoś z jej bliskiego grona mógłby wywołać skandal, by w ten sposób zmusić Artura...

Viviana skrzywiła się z niesmakiem.

– Jaka kobieta w ten sposób zdradziłaby inną kobietę?

– Ja bym to zrobiła – odparła Morgause – gdybym była przekonana, że to dla dobra królestwa.

– Ja bym tak nie uczyniła – powiedziała Niniana – a Lancelot to człowiek honoru i najbliższy przyjaciel Artura. Wątpię, by zdradził Artura dla Gwenifer. Jeśli chcemy odsunąć Gwenifer, musimy szukać innego sposobu.

– Jest jeszcze i to – dodała Viviana zmęczonym głosem – nie wiemy, by Gwenifer uczyniła coś złego. Nie możemy jej odsunąć z miejsca u boku Artura tak długo, jak dotrzymuje swojej części przysięgi i jest mu wierną żoną. Jeżeli miałby wybuchnąć skandal, musiałby być prawdziwy. Avalon jest zaprzysiężony, by służyć prawdzie.

– Ale gdyby był prawdziwy skandal? – spytał Kevin.

– Wtedy musiałyby się bronić – odparła Viviana – ale ja nie wezmę udziału w żadnych fałszywych oskarżeniach.

– A jednak ona ma przynajmniej jeszcze jednego wroga – powiedział zamyślony Kevin. – Król Leodegranz z Kraju Lata niedawno umarł, a także jego młoda żona i jego ostatnie dziecko. Gwenifer jest tam teraz królową. Ale Leodegranz miał jakiegoś krewniaka, który twierdzi, że jest jego synem, choć w to nie wierzę. Myślę, że ten człowiek bardzo chciałby uzyskać panowanie na stary sposób Plemion, poprzez zlegnięcie z królową.

– Dobrze, że nie ma takiego obyczaju na tym najbardziej z chrześcijańskich dworów Lota – powiedział Gwydion, ale mówił tak cichutko, że mogli udać, iż go nie słyszeli.

*Jest taki zły, bo nikt nie zwraca na niego uwagi, to wszystko, pomyślała Morgause. Czy mam się złościć dlatego, że szczeniaczek ugryzł mnie swoimi małymi ząbkami?*

– Wedle starego obyczaju – odezwała się Niniana, marszcząc swe piękne czoło – Gwenifer nie jest nikomu zaślubiona tak długo, aż nie urodzi mu syna i dopóki inny mężczyzna może ją zabrać Arturowi...

– Tak, oto jest pytanie – powiedziała Viviana ze śmiechem. – Artur może chcieć zatrzymać swą żonę siłą. I tak robi, w to nie wątpię. – Nagle spoważniała. – Jediną rzeczą, której możemy być pewni, to to, że Gwenifer pozostanie bezdzielna. Gdyby znowu zaszła w ciążę, to istnieją zaklęcia, które sprawią, by nie donosiła tego dziecka do porodu, a nawet nie dłużej niż pierwszych kilka tygodni. Jeśli zaś chodzi o dziedzica Artura... – Zamilkła i spojrzała na Gwydiona, wciąż siedzącego jak zmęczone dziecko, z głową opartą na kolanach Niniany. – Tutaj siedzi syn królewskiej linii Avalonu, syn Wielkiego Smoka.

Morgause wstrzymała oddech. Ani razu, przez te wszystkie lata, nie przeszło jej przez myśl inne tłumaczenie niż to, że Morgiana poczęła to dziecko ze swym przyrodnym bratem jedynie przez straszną pomyłkę. Dopiero teraz zrozumiała złożoność planu Viviany i poraziła ją jego przewrotność. Plan miał posadzić dziecko Avalonu i Artura na tronie jego ojca.

*Cóż stanie się z Królem Bykiem, gdy młody byk dorośnie...?* Przez chwilę Morgause nie wiedziała, czy była to jej własna myśl, czy tylko echo myśli jednej z siedzących przed nią kapłanek Avalonu. Zawsze miała te niepełne, drażniące momenty Wzroku, choć nigdy nie mogła przewidzieć, kiedy się pojawią i znikną, i prawdę mówiąc, nie zależało jej na tym.

Oczy Gwydiona były szeroko otwarte. Pochylił się do przodu z otwartymi ustami.

– Pani – powiedział bez tchu – czy to prawda, że... ja jestem synem... synem Najwyższego Króla?

– Tak – odparła Viviana przez zaciśnięte wargi – chociaż księża nigdy by tego nie uznali. Dla nich byłby to grzech nad grzechy, że syn spłodził syna z córką swej matki. Oni uważają się za świętszych od samej Bogini, która jest matką nas wszystkich. Tak jednak jest.

Kevin obrócił się i powoli, z bólem, zgiął swe kalekie ciało i ukląkł przed Gwydionem.

– Mój książę i mój panie – powiedział – dziecię królewskiej linii Avalonu i synu syna Wielkiego Smoka, przybyliśmy zabrać cię do Avalonu, abys mógł zostać przygotowany na spotkanie twego przeznaczenia. O poranku musisz być gotowy do drogi.

## 2

*O poranku musisz być gotowy do drogi...*

*Sen zamienił się w najgorszy koszmar, kiedy mówili tak otwarcie o tym, co ja przez te wszystkie lata trzymałam w tajemnicy, nawet wtedy, kiedy nikt nie wierzył, że przeżyję po porodzie... Mogłabym umrzeć i nikt by nie wiedział, że urodziłam syna mojemu własnemu bratu. Morgause wydarła jednak ze mnie mój sekret, a Viviana o tym wiedziała... jest takie powiedzenie, że troje może dochować tajemnicy, jeżeli dwoje z nich leży w grobie... Viviana to zaplanowała, posłużyła się mną, tak jak kiedyś posłużyła się Igrianą!*

*Teraz jednak mój sen zaczynał się rwać, zmieniać i zacierać, jakby dział się pod wodą. Walczyłam, by go zatrzymać, słyszeć, co mówią, ale teraz wydawało się, jakby pojawił się tam Artur i z wyciągniętym mieczem nacierał na Gwydiona, a dziecko wyrwało Ekskalibura z magicznej pochwy...*

*Morgiana siedziała wyprostowana na łożu w swojej komnacie w Kamelocie, kurczowo ściskając koc.*

*Nie, mówiła sobie, nie, to był tylko sen, tylko sen. Nie wiem nawet, kto zasiada obok Viviany w Avalonie, bez wątpienia jest to Raven, a nie ta jasnowłosa kobieta, tak podobna do mojej matki, którą wciąż widuję w mych snach. Kto wie, czy taka kobieta w ogóle istnieje na ziemi, a co dopiero w Avalonie, a może jest to tylko przekręcony sen o mojej matce? Nie pamiętam nikogo z Domu Dziewcząt, kto by ją choć trochę przypominał...*

*Powinnam tam być. To ja powinnam być u boku Viviany, a wyrzekłam się tego z mojej własnej woli...*

– Patrz! – krzyknęła Elaine stojąca przy oknie. – Już przybywają konni, a jeszcze trzy pełne dni do wielkiego święta Artura!

Inne kobiety z komnaty stłoczyły się wokół Elaine, patrząc w dół na pole przed Kamelotem; były tam już rozstawione namioty i pawilony.

– Widzę sztandar mego ojca – powiedziała Elaine. – O, tam jedzie, z moim bratem Lamorakiem u boku, mój brat jest już na tyle duży, by być jednym z rycerzy Artura. Ciekawe, czy Artur go wybierze.

– Nie był jeszcze dość dorosły, by walczyć pod Mount Badon, prawda? – spytała Morgiana.

– Nie, ale i tak walczył, jak każdy mężczyzna dość silny, by utrzymać w dłoni miecz, i każdy młody chłopiec – odparła Elaine z dumą.

– A więc nie wątpię, że Artur mianuje go jednym ze swych towarzyszy, choćby tylko po to, by sprawić przyjemność Pellinorowi – powiedziała Morgiana.

Wielka bitwa pod Mount Badon odbyła się równo rok temu, w dniu Zesłania Ducha Świętego, i Artur przysiągł zawsze czcić ten dzień jako największe święto i zbierać w tym czasie swoich rycerzy. W tym dniu miał także przyjmować wszystkich, którzy przedłożą swe prośby, i rozstrzygać spory.

A wszyscy lenni królowie nawet z dalekich krain mieli w tym dniu odnawiać swoje przymierze z Arturem.

– Powinnaś iść do królowej i pomóc jej się ubierać – powiedziała Morgiana do Elaine. – Ja też muszę ruszać, mam wiele do zrobienia, jeśli za trzy dni ma być taka wielka uczta!

– Sir Kaj się tym zajmie – zaprotestowała Elaine.

– Tak, zajmie się jedzeniem i rozlokowaniem gości – odparła Morgiana wesoło – ale to ja muszę dostarczyć kwiaty do sali i dopilnować, by wypolerowano srebrne puchary, i pewnie to ja będę musiała upiec migdałowe ciastka i wszystkie słodczyce, Gwenifer będzie zajęta czym innym.

Morgiana była naprawdę rada z tego, że będzie tyle pracy w dniach poprzedzających święto, to odwróci jej myśli od sennych koszmarów. W tych dniach, kiedy Avalon pojawiał się w jej snach, odpychała z rozpaczą myśli o nim... nie wiedziała, że Kevin pojechał do Lothianu. Nie, powiedziała sobie, teraz też tego nie wiem, to był tylko sen. Kiedy jednak później tego dnia napotkała na dziedzińcu starego Taliesina, skłoniła się przed nim, a gdy wyciągnął nad nią dłoń w błogosławieństwie, spytała nieśmiało:

– Ojcie...?

– Tak, drogie dziecko?

*Dziesięć lat temu, myślała, byłabym zła na to, że Taliesin zawsze zwraca się do mnie, jakbym była tym samym siedmioletnim dzieckiem, które wdrapywało mu się na kolana i ciągnęło go za brodę. Teraz, o dziwo, sprawiło jej to przyjemność.*

– Czy Merlin Kevin ma tu przybyć na święto?

– Nie wiem tego, dziecko – odparł Taliesin z miłym uśmiechem. – Kevin pojechał na północ do Lothianu. Wiem jednak, że kocha cię szczerze i że wróci do ciebie, kiedy będzie mógł. Myślę, że nic nie zatrzyma go z dala od tego dworu, tak długo, jak ty tu jesteś, mała Morgiano.



*Czy wszyscy na dworze wiedzą, że jesteśmy kochankami? Przecież byłam taka ostrożna.*

– Czy to znana dworska plotka, że Kevin Harfiarz spełnia moje zachcianki, kiedy to nawet nie jest prawda? – spytała Morgiana wstydliwie.

Taliesin znów się uśmiechnął.

– Drogie dziecko, nigdy nie wstydz się miłości. A dla Kevina ktoś tak dobry i wdzięczny, i piękny jak ty... oznacza wszystko.

– Czy żartujesz ze mnie, Dziadku?

– A czemuż miałbym to robić, małeńka? Jesteś córką mojej drogiej córki i bardzo cię kocham, i wiesz, że uważam cię za najpiękniejszą i najbardziej utalentowaną z kobiet. A Kevin, w to nie wątpię, ceni cię jeszcze bardziej, jesteś też na tym dworze jedyną osobą, poza mną, i w ogóle jedyną kobietą, która umie z nim rozmawiać o muzyce jego własnym językiem. Jeśli nie wiesz, że dla Kevina słońce wschodzi i zachodzi tam, gdzie ty przebywasz, to jesteś jedyną osobą na tym dworze, która tego nie wie. I zasługujesz na to, by traktował cię jak gwiazdę przewodnią swego życia. A nie jest zabronione, by nawet Merlin Brytanii się żenił, jeśli tak postanowi. Nie jest on królewskiej krwi, lecz serce ma szlachetne i pewnego dnia będzie Wielkim Druidem, jeśli odwaga go nie zawiedzie. I tego dnia, jeśli poprosi o twą rękę, to myślę, że ani ja, ani Artur mu nie odmówimy.

Morgiana pochyliła głowę i patrzyła w ziemię. *Ach, myślała, jak by to było dobrze, gdyby zależało mi na Kevinie tak, jak jemu na mnie. Cenię go, bardzo go lubię, nawet sprawia mi przyjemność dzielenie z nim łoża, ale małżeństwo? Nie, nie, nie, mimo całego jego oddania.*

– Nie mam zamiaru wychodzić za mąż, Dziadku.

– To zrobisz tak, jak zechcesz, dziecko – odparł Merlin łagodnie. – Jesteś panią i kapłanką. Nie jesteś już jednak taka młoda, a skoro opuściłaś Avalon, nie, nie, nie wypominam ci tego, tylko myślałem, że będziesz miała ochotę wyjść za mąż i mieć własny dom. Nie chciałbym, byś spędziła całe życie jako dworka Gwenifer. Jeśli zaś chodzi o Kevina Harfiarza, bez wątpienia przyjedzie tu, jak tylko będzie mógł, ale nie może jeździć tak szybko, jak inni mężczyźni. To dobrze, że nie brzydzisz się jego kalekim ciałem, drogie dziecko.

Kiedy Taliesin odszedł, Morgiana ruszyła w stronę dworskiego browaru, głęboko pogrążona w myślach. Żałowała, że nie może naprawdę tak kochać Kevina, jak myślał Taliesin.

*Dlaczego prześladowuje mnie to uczucie do Lancelota?* Myślała o tym cały czas, gdy przygotowywała różaną wodę do mycia rąk dla gości i przybrania z kwiatów na stoły. Cóż, kiedy był tu Kevin, przynajmniej nie miała powodu, by pożądać Lancelota – nie, żeby to coś osłabiło jej pożądanie, myślała z goryczą. Ono musi być z obu stron albo nic z tego nie wyjdzie. Postanowiła, że kiedy Kevin powróci na dwór, powita go w taki sposób, jakiego by pragnął. *Bez wątpienia, może mi się trafić gorszy los niż poślubienie go... Avalon jest dla mnie*

*stracony... Pomyślę o tym. Rzeczywiście, jak dotąd, mój sen mówił prawdę, Kevin pojechał do Lothianu... a już myślałam, że Wzrok mnie opuścił...*

Kevin powrócił do Kamelotu w wigilię Zielonych Świątek. Przez cały ten dzień lud napływał do Kamelotu i okolic, jakby to były podwójne dożynki i święto wiosny razem. To miało być największe święto, jakie kiedykolwiek obchodzono w tych stronach. Morgiana powitała Kevina pocałunkiem i uściskiem, od którego oczy harfiarza rozbłysły, i zaprowadziła go do gościnnej komnaty, gdzie zdjęła mu płaszcz i podróżne buty, posłała je przez pazia do czyszczenia i podarowała Kevinowi wstążki, by przystroił swą harfę.

– No, Moja Pani będzie piękna jak królowa – powiedział Kevin ze śmiechem. – Nie jesteś zazdrosna o swą jedyną rywalkę, Morgiano, ukochana?

Nigdy wcześniej tak jej nie nazwał. Podeszła i stanęła przy nim, obejmując go w pasie ramieniem.

– Tęskniłem za tobą – powiedział cicho i na chwilę położył twarz na jej piersiach.

– Ja za tobą też, mój drogi – powiedziała. – I kiedy wszyscy pokładą się dziś wieczorem do łóżek, udowodnię ci to... jak myślisz, dlaczego tak to urządziłam, że masz komnatę tylko dla siebie, kiedy nawet najdrożsi przyjaciele Artura muszą spać po czterech w komnacie, a czasem nawet po dwóch w łóżu?

– Myślałem, że to dlatego, by nikt nie musiał dzielić ze mną pokoju – powiedział.

– I tak powinno być ze względu na godność Avalonu – powiedziała Morgiana – choć nawet czcigodny Taliesin dzieli swą komnatę z biskupem...

– Nie pochwalam jego gustu – odparł Kevin – już wolałbym dzielić stajnię z prawdziwymi osłami!

– Dopilnowałam tego, by Merlin Brytanii miał komnatę tylko dla siebie, nawet jeśli ta komnata nie jest większa niż boks w stajni dla jednego z osiołków – powiedziała Morgiana. – Jest jednak dość duża, by zmieścić ciebie i Moją Panią, i... – uśmiechnęła się i znacząco spojrziała na łóżko – i mnie, jeśli tego zapragniesz...

– Zawsze jesteś mile widziana, a gdyby Moja Pani była zazdrosna, to ją odwrócić twarzą do ściany.

Pocałował ją i przez chwilę mocno trzymał w uścisku całą siłą swych słabych ramion. Po chwili, uwalniając ją, powiedział:

– Myślę, że chętnie to usłyszysz... Odwiozłem twego syna do Avalonu. To dobrze wyrośnięty chłopiec, i mądry, i ma po tobie talent do muzyki.

– Śniłam o nim zeszłej nocy – powiedziała. – Wydaje mi się, że w moim śnie grał na piszczalkach, tak jak Gawain.

– Więc śniłaś prawdę – potwierdził Kevin. – Lubię go, i ma Wzrok. Będzie się uczył w Avalonie na Druida.

– A potem?

– Potem? Ach, moja droga, wszystko musi się toczyć swoim torem. Nie wątpię jednak, że wyrosnie z niego bard i ważny mędrzec, nie musisz się o niego obawiać, skoro jest w Avalonie... – Delikatnie dotknął jej ramienia. – On ma twoje oczy.

Chciała zapytać o więcej, ale zmieniła temat.

– Święto będzie dopiero jutro, ale dziś wieczorem najbliżsi przyjaciele Artura zostali zaproszeni na wieczerzę. Jutro Gareth ma być pasowany na rycerza i Artur, który kocha Gawaina jak brata, postanowił wydać na jego cześć rodzinną ucztę.

– Gareth to dobry człowiek i dobry rycerz – powiedział Kevin. – Chętnie go uczczone. Nie lubię zbyt królowej Morgause, lecz jej synowie to zacni ludzie i oddani przyjaciele Artura.

Mimo że było to tylko rodzinne przyjęcie, w wigilię Zielonych Świątek za stołem zasiadło wielu krewnych Artura: Gwenifer i jej krewniaczka Elaine, ojciec Elaine, król Pellinor, i jej brat, Lamorak; Taliesin i Lancelot, i dwóch przyrodnych braci Lancelota – Bors i Lionel, którzy byli synami Bana z Mniejszej Brytanii. Gareth też tam był, a Gawain jak zwykle stanął za krzesłem Artura. Artur zaprotestował, kiedy wszedł do sali:

– Usiądź dziś przy moim boku, jesteś moim krewnym i sam już jesteś królem Orkney, nie chcę, żebyś za mną stał, jak jakiś służący!

– Jestem dumny z tego, że służę memu królowi i panu – odparł Gawain twardo i Artur pochylił głowę.

– Sprawiasz, że czuję się, jak jeden z tych cesarzy – poskarżył się. – Czy muszę być strzeżony w dzień i w nocy w swoim własnym domu?

– Przez godność twego tronu jesteś równy tym cesarzom, a nawet ich przewyższasz – upierał się Gawain, i w końcu Artur roześmiał się bezradnie.

– Nie umiem niczego odmówić swoim towarzyszom.

– A więc – powiedział Kevin półgłosem do Morgiany siedzącej u jego boku – nie jest to pycha czy arogancja, on jedynie chce sprawić przyjemność swoim rycerzom...

– Myślę, że tak jest naprawdę – odpowiedziała Morgiana także półgłosem. – To właśnie najbardziej kocha, siedzieć przy swoim Okrągłym Stole i cieszyć się pokojem, który wywalczył; pomimo swoich win Artur naprawdę kocha porządek i sprawiedliwe rządy.

Po chwili Artur gestem nakazał ciszę i zawołał do siebie młodego Garetha.

– Dziś w nocy będziesz czuwał w kościele przy swym orężu. A rankiem, przed mszą, rycerz, którego wybierzesz, pasuje cię na rycerza i jednego z moich towarzyszy. Służyłeś mi dobrze i z honorem, mimo swej młodości. Jeśli tego pragniesz, sam cię pasuję na rycerza, ale zrozumieć, jeśli zechcesz powierzyć ten zaszczyt swemu bratu.

Gareth miał na sobie białą tunikę; kręcone włosy okalały mu twarz jak złota aureola. Wyglądał prawie jak dziecko, jak wielkie dziecko, górujące nad wszystkimi swym niemal dwumetrowym wzrostem i ramionami szerokimi jak u byka. Jego twarz pokrywał złocisty meszek, zbyt jeszcze delikatny, by go golić.

Odpowiedział, zacinając się trochę z wrażenia:

– Panie, proszę... nie, nie chcę obrazić ciebie ani mego brata, ale... jeśli on się zgodzi, to czy mógłbym być pasowany na rycerza przez Lancelota, mój królu i panie?

– Cóż, jeśli Lancelot się zgodzi, ja się nie sprzeciwiam – odparł Artur z uśmiechem.

Morgiana przypomniała sobie małego chłopczyka, opowiadającego o Lancelocie swoim drewnianym rycerzykom, których sama mu wyrzeźbiła. Zastanawiała się, ilu ludziom spełniają się takie dziecinne marzenia?

– Będę zaszczycony, kuzynie – powiedział Lancelot poważnie, a twarz Garetha pojaśniała, jakby ktoś przystawił do niej pochodnię. Potem Lancelot zwrócił się do Gawaina z ceremonialną dwornością:

– Jednak to od ciebie zależy zgoda, kuzynie, ty zastępujesz temu chłopcu ojca i ja nie śmiałybym uzurpować sobie tego prawa...

Gawain spoglądał dziwnie to na jednego, to na drugiego z nich, a Morgiana zauważyła, jak Gareth przygryza wargi. Może dopiero teraz rozumiał, że to mogła być wielka obraza dla jego brata i że sam król zaszczycił go propozycją pasowania go na rycerza, a on ten zaszczyt odrzucił. Jakież było z niego dziecko, mimo tej wielkiej siły i wzrostu, i wybitnych zdolności we władaniu orężem!

– Któż chciałby być mianowany przeze mnie, skoro zgodził się to zrobić sam Lancelot? – burknął Gawain.

Lancelot objął ich obu ramionami.

– Czyniecie mi obaj zbyt wielki zaszczyt. Cóż, chłopcze, idź do swego oręża – powiedział, puszczając Garetha. – Po północy przyjdę czuwać razem z tobą.

Gawain patrzył za bratem, kiedy chłopiec odchodził swymi wielkimi, trochę niezgrabnymi krokami.

– Powinieneś być jednym z tych starożytnych Greków, o jakich opowiadali w sagach, które czytaliśmy jako chłopcy. Jak on się nazywał, Achilles? Ten, którego prawdziwą miłością był młody rycerz Patrokles, a obaj nie dbali nic o piękne damy na zamku w Troi. Bóg wie, że każdy chłopiec na tym dworze czci cię jak bohatera. Szkoda, że nie masz zamiłowania do greckiej mody w miłości!

Twarc Lancelota pokryła się ciemną purpurą.

– Jesteś moim kuzynem, Gawain, i tobie wolno mówić do mnie takie rzeczy, ale nie zniósłbym tego od nikogo innego, nawet w żartach.

Gawain roześmiał się głośno.

– Czy to także żart, że jesteś oddany jednej z najbardziej cnotliwych królowych!

– Jak śmiesz! – zaczął Lancelot, odwracając się do niego i chwytając go za rękę z taką siłą, że mógł mu zgruchotać nadgarstek.

Gawain wrywał się, ale Lancelot, choć niższy, wykręcił mu rękę do tyłu, charcząc gniewnie jak wściekły wilk.

– Hej! Bez potyczek w królewskiej sali! – Kaj niezdarnie wdarł się między nich, a Morgiana powiedziała szybko:

– Ależ, Gawain, co zatem powiesz o tych księżach, którzy przysięgają swe oddanie jedynie Maryi Dziewicy ponad wszystkimi ziemskimi rzeczami? Czy to dla ciebie znaczy, że mają skandaliczne cielesne pożądanie dla swego Chrystusa? I zaprawdę, słyszymy o Panu Jezusie, że nigdy się nie ożenił, a nawet, że między jego dwunastoma wybranymi apostołami był jeden, który podczas wieczerzy spoczywał na jego łonie...

Gwenifer wydała oburzony okrzyk:

– Morgiano, cicho! Co za bluźnierczy żart!

Lancelot wypuścił ramię Gawaina. Gawain stał, rozcierając siniaka, a Artur odwrócił się w ich stronę.

– Kuzyni, jesteście jak dzieci, sprzeczcacie się i popychacie. Mam was obu wysłać do kuchni, na lanie do Kaja? No już, pogódźcie się! Nie słyszałem tego żartu, ale cokolwiek to było, Lance, z pewnością nie mogło być aż tak poważne!

Gawain zaśmiał się szorstko.

– Żartowałem, Lance. Wiem o tym, że zbyt wiele kobiet się za tobą ugania, by cokolwiek z tego, co powiedziałem, mogło być prawdą.

Lancelot wzruszył ramionami i uśmiechnął się, jak ptak z nastroszonymi piórami. Kaj zachichotał:

– Każdy mężczyzna na dworze zazdrości ci twojej przystojnej twarzy, Lance. – Potarł swą bliznę, która ściągała mu usta w grymas, i dodał: – Może to jednak czasem nie być aż takim dobrodziejstwem, co, kuzynie?

Wszystko obrócono w wesoły śmiech, lecz później, przechodząc przez dziedziniec, Morgiana dostrzegła zmartwionego Lancelota chodzącego tam i z powrotem; piórka miał wciąż nastroszone.

– Co ci jest, kuzynie, co cię trapi?

– Chciałbym opuścić ten dwór – westchnął.

– Lecz moja pani nie pozwoli ci wyjechać...

– Nawet z tobą, Morgiano, nie będę mówił o królowej – odparł sztywno i tym razem westchnęła z kolei Morgiana.

– Nie jestem stróżem twego sumienia, Lancelocie. Jeśli Artur nie ma ci tego za złe, kimże ja jestem, by mówić choć słowo upomnienia?

– Nie rozumiesz! – powiedział porywczo. – Oddano ją Arturowi jak jakąś rzecz kupioną na targu, jak część transakcji z końmi, dlatego że jej ojciec jako część swej zapłaty zapragnął być krewnym Najwyższego Króla! A jednak jest zbyt lojalna, by się sprzeciwić...

– Nie powiedziałam ani słowa przeciwko niej, Lancelocie – przypomniała mu Morgiana. – Słyszysz oskarżenia od samego siebie, nie z moich ust.

*Mogłabym sprawić, by mnie pożądał*, pomyślała. Ta pewność była jednak warta tyle, co garść kurzu. Raz już zabawiła się w tę grę i mimo pożądania bał się jej, tak jak bał się Viviany; lękał się jej aż do granicy nienawiści, właśnie przez to pożądanie. Gdyby jego król mu kazał, poślubiłby ją, lecz wkrótce by ją znienawidził.

Z trudem spojrzał jej prosto w oczy.

– Przekląłeś mnie, Morgiano, i... wierz mi, jestem przeklęty.

I nagle jej stary żal i złość zniknęły. Był tylko tym, kim był.

Zamknęła jego dłoń w swoich.

– Kuzynie, nie kłopotz się tym. To było wiele lat temu i nie wierzę, by jakikolwiek Bóg czy Bogini wysłuchali słów rozgniewanej, młodej kobiety, która poczuła się odepchnięta. A chodziło tylko o to.

Wziął głęboki oddech i znów zaczął chodzić tam i z powrotem.

W końcu powiedział:

– Mogłem dziś wieczorem zabić Gawaina. Rad jestem, że nas powstrzymałaś, choć był to bluźnierczy żart. Musiałem... musiałem to znosić przez całe życie. Kiedy byłem chłopcem, na dworze Bana, byłem nawet ładniejszy, niż Gareth jest teraz. I na dworze w Mniejszej Brytanii, tak jak i w wielu innych miejscach, taki chłopiec musi się strzec bardziej niż każda dziewczica. Jednak żaden mężczyzna tego nie widzi ani w to nie wierzy, dopóki to jego nie dotknie, i myśli, że to tylko taki trochę wulgarny żart, który mówi się o innych. Był czas, że ja też tak myślałem, a potem czas, kiedy myślałem, że chyba rzeczywiście taki jestem...

Zapadła długa cisza, w której Lancelot wpatrywał się ponuro w kamienie dziedzińca.

– Tak więc rzuciłem się w doświadczenia z kobietami, ze wszystkimi... niech Bóg mi wybaczy, nawet z tobą, choć byłaś wychowanicą mojej własnej matki i poświęconą Bogini dziewczicą... lecz było niewiele kobiet, które potrafiły mnie podniecić, choćby trochę, dopóki nie ujrzałem jej... – Morgiana była wdzięczna, że nie wymówił imienia Gwenifer. – I od tamtej chwili nie było już żadnej innej. Przy niej wiem, że jestem w pełni mężczyzną.

– Lecz ona jest żoną Artura – powiedziała Morgiana.

– Boże! Boże! – Lancelot odwrócił się i uderzył dłonią w mur. – Myślisz, że to mnie nie dręczy? On jest moim przyjacielem; gdyby Gwenifer była poślubiona jakimkolwiek innemu mężczyźnie na tej ziemi, już dawno miałbym ją przy sobie, w swoim domu... – Morgiana widziała, jak mięśnie jego szyi poruszają się, kiedy próbował przełknąć ślinę. – Nie wiem, co się z nami stanie. A Artur musi mieć dziedzica dla swego królestwa. Los całej Brytanii jest ważniejszy niż nasza miłość. Kocham ich oboje... i jestem udręczony, Morgiano, udręczony!

Oczy miał dzikie. Przez chwilę Morgianie wydało się, że widzi w nich błysk szaleństwa. Później zawsze zastanawiała się: *Czy było cokolwiek, cokolwiek, co mogłam była zrobić lub powiedzieć tamtej nocy?*

– Jutro – powiedział Lancelot – poproszę Artura, by wysłał mnie na jakąś trudną wyprawę, mogę jechać i do śmierci szukać Pellinorowego smoka albo podbijać ludy Północy

za rzymskim murem, wszystko mi jedno, Morgiano, cokolwiek, cokolwiek, byle tylko wydostać się stąd... – Przez chwilę, słysząc w jego głosie smutek zbyt wielki na łyż, Morgiana chciała wziąć go w ramiona i ukołysać na piersi, jak dziecko. – Myślę, że dziś w nocy byłem blisko zabicia Gawaina, gdybyś nas nie powstrzymała – powiedział Lancelot. – A przecież on tylko żartował, umarłby z przerażenia, gdyby wiedział... – Lancelot odwrócił oczy i dokończył szeptem: – Nie wiem, czy to, co powiedział, nie jest prawdą. Powinienem zabrać Gwenifer i uciec stąd, zanim stanie się to skandalem na wszystkich dworach świata, że kocham żonę króla, a jednak... a jednak to Artura nie mogę opuścić... Nie wiem, czy kocham ją tylko dlatego, że przez to jestem bliżej niego.

Morgiana wyciągnęła rękę, żeby go powstrzymać. Nie mogła tego słuchać. Lancelot jakby tego gestu nie zauważył.

– Nie, nie, muszę to komuś powiedzieć albo umrę, Morgiano. Czy wiesz, w jaki sposób po raz pierwszy zległem z królową? Od dawna ją kochałem, odkąd po raz pierwszy ujrzałem ją w Avalonie, lecz myślałem, że będę żyć i umrę, nigdy nie spełniając tej namiętności, Artur był moim przyjacielem i nigdy bym go nie zdradził... A ona, ona... nie wolno ci nigdy myśleć, że ona mnie kusiała! To... to była wola Artura... to się stało w święto Beltanu... – I wtedy jej opowiedział, a Morgiana stała skamieniała, myśląc tylko: *A więc to w ten sposób zadziałał talizman... oby Bogini poraziła mnie trądem, zanim w ogóle dałam go Gwenifer!*

– Ale nie wiesz jeszcze wszystkiego – wyszeptał. – Kiedy leżeliśmy razem... nigdy, nigdy nic tak... – Po długim namyśle starał się wyrazić słowami to, co Morgiana bała się usłyszeć. – Ja... ja... dotknąłem Artura... dotknąłem go... Kocham ją, Boże, kocham ją, nie rozumiem mnie źle, ale gdyby nie była żoną Artura, gdyby nie to... to wątpię, by nawet ona... – Głos uwiązł mu w gardle i nie mógł skończyć zdania, a Morgiana stała w całkowitym bezruchu, przerażona, nie mogąc wymówić ani słowa.

Czyżby była to zemsta Bogini, że ona, która beznadziejnie kochała tego człowieka, została powiernicą zarówno jego, jak i kobiety, którą kochał, że została powiernicą wszystkich skrywanych lęków, o których nie mógł powiedzieć nikomu innemu, i niepojętych żądz, które trawiły jego duszę?

– Lancelocie, nie powinieneś mi tego mówić, nie mnie. Jakiemuś mężczyźnie, Taliesinowi, jakiemuś księdzu..

– A cóż ksiądz może o tym wiedzieć? – spytał z rozpaczą. – Myślę, że żaden mężczyzna nigdy tego nie czuł, Bóg mi świadkiem, nasłuchałem się dość o męskich żądzach, nie mówią o niczym innym, a od czasu do czasu ktoś wyjawia coś dziwnego, czego pożąda, ale nigdy, nigdy nie słyszałem niczego tak dziwnego i strasznego jak to! Jestem przeklęty! – krzyknął. – To moja kara za pożądanie żony mego króla, że pętają mnie te potworne więzy, nawet Artur, gdyby wiedział, pogardzałby mną i nienawidziłby mnie. Wie, że kocham Gwenifer, ale tego nawet on nie mógłby wybaczyć, a Gwenifer, kto wie, czy ona, czy nawet ona by mnie nie znienawidziła i nie brzydziła by się mną... – Jego głos ucichł.

Morgiana mogła jedynie wypowiedzieć słowa, których nauczyła się w Avalonie:

– Bogini wie, co skrywają ludzkie serca, Lancelocie. Ona cię pocieszy.

– Ale to obraża także Boginię – wyszeptał Lancelot z przerażeniem. – Co ma zrobić człowiek, który widzi tę Boginię w twarzy matki, która go urodziła... do niej nie mogę się zwrócić... niemal kusi mnie, by iść i rzucić się do stóp Chrystusa. Jego księża mówią, że on wybaczy każdy grzech, jakkolwiek godny potępienia, tak jak powiedział słowa przebaczenia do tych, którzy go ukrzyżowali...

Morgiana odparła ostro, że nigdy nie słyszała, by księża byli łagodni i wybacziali grzesznikom.

– Tak, bez wątpienia masz rację – powiedział Lancelot, wpatrując się ślepo w kamienie. – Nie ma dla mnie znikąd pomocy, aż nie zginę w bitwie albo nie odjadę stąd i nie rzucę się w pogoń za jakimś smokiem... – Kopał butem w małą kępkę trawy, która wyrastała pomiędzy kamieniami dziedzińca. – A bez wątpienia grzech, dobro i zło to wszystko kłamstwa wymyślone przez ludzi i księży, a prawda jest tylko taka, że rośniemy, a potem umieramy, o, tak jak ta trawa. – Obrócił się na pięcie. – Cóż, pójdę czuwać wraz z Garethem, tak jak mu obiecałem... przynajmniej on kocha mnie z całą niewinnością, jak młodszy brat albo syn. Gdybym wierzył choć w jedno słowo z tego, co mówią księża, powinienem się bać uklęknąć przed tym ołtarzem, taki jestem potępiony. A jednak, jakżebym chciał, by był taki Bóg, który by mi wybaczył i dał mi znak, że jest mi wybaczone...

Odwrócił się, by odejść, ale Morgiana złapała go za rękaw haftowanej odświętnej szaty, którą miał na sobie.

– Czekaj. Co to za czuwanie w kościele? Nie wiedziałam, że rycerze Artura stali się tacy pobożni.

– Artur często myśli o swym pasowaniu na króla na Wyspie Smoka – odparł Lancelot – i kiedyś powiedział, że i Rzymianie ze swymi wieloma Bogami, a także poganie, mieli coś, co było im w życiu przydatne. Kiedy człowiek bierze na siebie wielki obowiązek, powinien w skupieniu zastanawiać się nad znaczeniem tego czynu. Tak więc porozmawiał z księżmi, a oni zrobili z tego rytuał, że kiedy nowy rycerz, jeszcze nie zaprawiony w bitwie, która już jest próbą, bo w niej mierzy się ze śmiercią, więc kiedy taki nie splamiony krwią mężczyzna ma dołączyć do rycerskiej braci, przechodzi tę specjalną próbę i powinien czuwać przy swym orężu i modlić się całą noc, a rankiem wyznać wszystkie grzechy i otrzymać rozgrzeszenie, i dopiero wtedy być pasowany.

– Tak więc Artur daje im rodzaj inicjacji w Misteria. Ale Artur nie może tworzyć Misteriów, nie ma prawa wprowadzać w nie innych ani ich inicjować, a robi to wszystko pod płaszczykiem i w imię ich Boga Chrystusa. W imię Matki, czy oni zabiorą nam także Misteria?

– Artur radził się Taliesina – bronił króla Lancelot. – I on dał mu na to zgodę.



Morgiana była zaskoczona, że jeden z najwyższych rangą Druidów pozwolił, by tak znieważono Misteria. A jednak był taki czas, jak mówił Taliesin, kiedy chrześcijanie i Druidzi razem oddawali cześć.

– Ważne jest to, co się dzieje w duszy człowieka – powiedział Lancelot – a nie, czy to chrześcijanin, poganin czy Druid. Jeśli Gareth zmierzy się z tajemnicą w swoim sercu i uczyni go to lepszym człowiekiem, czyż ma to znaczenie, skąd to pochodzi, od Bogini czy od Chrystusa, czy od Tego, którego imienia nie wolno wymawiać Druidom, czy też z dobroci, którą Gareth po prostu ma w sobie?

– No, no, dyskutujesz jak sam Taliesin! – powiedziała Morgiana kwaśno.

– O tak, słowa znam. – Usta Lancelota wykrzywiła niesłychana gorycz. – Boże, jakkolwiek Boże, chciałbym odnaleźć w mym sercu coś, co pozwoli mi w te słowa wierzyć, albo takie właśnie ukojenie!

Morgiana mogła tylko powiedzieć:

– Chciałabym, by tak się stało, kuzynie. Będę się za ciebie modliła.

– Tylko do kogo? – spytał i odszedł, zostawiając zmartwioną Morgianę.

Jeszcze nie minęła północ. Widziała światła w kościele, gdzie czuwali Gareth i Lancelot. Pochyliła głowę, wspominając noc własnego czuwania, a jej dłoń automatycznie sięgnęła boku, gdzie zwykle wisiał jej niewielki sztylet, którego nie było tam od wielu lat.

*A ja go wyrzuciłam. Kimże jestem, by mówić o profanowaniu Misteriów?*

Wtedy powietrze nagle zadrgało przed nią, jak wodny wir, czuła, że mogłaby zapaść się pod ziemię tam, gdzie stoi, gdyż przed nią, w świetle księżyca stała Viviana.

Była starsza i chudsza. Jej oczy płonęły jak dwa wielkie węgle pod równymi brwiami, włosy miała niemal całkiem siwe. Wydawało się, że patrzy na Morgianę ze smutkiem i czułością.

– Matko... – wyjąkała Morgiana, nie wiedząc, czy zwraca się do Viviany czy do Bogini. Wtedy obraz zakołysał się i Morgiana zrozumiała, że Viviany tam nie ma. Przesłanie, nic więcej. – Czemu przybyłaś? Czego ode mnie chcesz? – wyszeptwała Morgiana, klęcząc.

Słyszała, jak szaty Viviany szeleszczą na nocnym wietrze. Nad czołem miała koronę z białych kwiatów łożyny, taką, jak korona Pani z czarownej krainy. Zjawa wyciągnęła do niej rękę i Morgiana poczuła, jak wyblakły już półksiężyc rozpałił jej czoło.

Nocny strażnik przeszedł przez dziedziniec, zamigotało światło jego latarni. Morgiana klęczała samotnie, wpatrując się w pustkę.

Pośpiesznie podniosła się na nogi, zanim strażnik mógł ją zauważyć.

Nagle całkowicie straciła ochotę na wizytę w łóżu Kevina. Będzie na nią czekał, ale jeśli nie przyjdzie, on nigdy jej tego nie wypomni.

Cicho wróciła korytarzem do komnaty, którą dzieliła z niezamężnymi dworkami Gwenifer, i wślizgnęła się do łóża obok śpiącej Elaine.

*Myślałam, że Wzrok już na zawsze mnie opuścił. A jednak Viviana przyszła do mnie i wyciągnęła do mnie dłoń. Czy to znaczy, że Avalon mnie potrzebuje? A może znaczy to, że ja także, jak Lancelot, popadam w szaleństwo?*

### 3

Kiedy Morgiana się obudziła, cały zamek wokół niej też się już zbudził ze świątecznym hałasem i zamieszaniem. Zielone Świątki.

Na dziedzińcu powiewały sztandary, a ludzie wchodzili i wychodzili przez bramy, służba przygotowywała listy turniejowe, wokół całego Kamelotu i na zboczach wzgórz wyrastały pawilony jak dziwne i piękne kwiaty.

Nie było czasu na sny i widzenia. Gwenifer przysłała po nią, by ułożyła jej włosy – żadna kobieta w Kamelocie nie miała tak zręcznych rąk jak Morgiana, obiecała więc królowej, że tego ranka zaplecie jej włosy w specjalne warkocze z czterech pasm, tak jak sama czesała się na wielkie okazje. Rozczesując jedwabiste włosy Gwenifer i rozdzielając je do splotów, Morgiana zerkała w bok, na łożo, z którego niedawno wstała jej szwagierka. Artur został już ubrany przez swą służbę i wyszedł. Paziowie i szambelani rozciągali na łożu nakrycia, zdejmowali brudną pościel do prania i wyjmowali świeże szaty, które miała wybrać Gwenifer.

*Dzielili to łożo, wszyscy troje, Lancelot, Gwenifer i Artur...* myślała Morgiana. Nie, takie rzeczy nie były jej całkowicie nie znane, pamiętała coś z czarownej krainy, co jednak nie było jasne w jej umyśle. Lancelot cierpiał, nie miała pojęcia, co o tym wszystkim myśli Artur. Gdy jej smagłe, szybkie dłonie poruszały się na włosach Gwenifer, zastanawiała się, co też czuła jej szwagierka. Nagle jej umysł zalały erotyczne obrazy, wspomnienie tamtego poranka na Wyspie Smoka, kiedy Artur, budząc się, wziął ją w ramiona, wspomnienia owej nocy, gdy leżała na łące w ramionach Lancelota.

Spuściła oczy i wróciła do splatania miękkich włosów.

– Za mocno ciągniesz – poskarżyła się Gwenifer.

– Przepraszam – odparła Morgiana sztywno i zmusiła swe dłonie, by się rozluźniły.

Artur był wtedy tylko chłopcem, ona dziewczyną, Lancelot... czy dał Gwenifer to, czego odmówił jej, czy też królowa także musiała się zadowolić dziecinnymi pieszczotami?

Choć starała się, jak mogła, Morgiana nie potrafiła odwrócić myśli od nienawistnych obrazów, które ją dręczyły, lecz dalej plotła spokojnie, z nieprzeniknioną twarzą.

– No, powinno się trzymać, podaj mi srebrną spinkę – powiedziała, spinając warkocze.

Zachwycona Gwenifer obejrzała się w miedzianym lustrze, które było jednym z jej skarbów.

– Pięknie, droga siostrze, tak bardzo ci dziękuję – powiedziała, odwracając się, i gwałtownie objęła Morgianę, która stała sztywna w jej ramionach.

– Nie jesteś mi winna podziękowań, łatwiej mi to idzie na czyjejs głowie niż na własnej – odparła. – Czekaj, czekaj, ta spinka się wysuwa – dodała i poprawiła fryzurę.

Gwenifer jaśniała, była piękna, Morgiana objęła ją ramionami i na chwilę przytuliła swój policzek do jej policzka. Wydało jej się, że wystarczy, iż na moment dotknie tego piękna, by coś z niego przeszło na nią i dało jej trochę owego blasku i cudowności. Potem znów przypomniało jej się to, co powiedział Lancelot, i pomyślała: *Nie jestem lepsza od niego. Ja też skrywam rozmaite perwersyjne żądze, kimże więc jestem, by wyśmiewać je u innych?*

Zazdrościła królowej, która śmiejąc się, szczęśliwa posłała Elaine do swych kufrów i kazała jej wyciągnąć puchary na nagrody dla zwycięzców turniejowych gier. Gwenifer była prosta i otwarta, jej nigdy nie trapiły takie mroczne myśli; zmartwienia Gwenifer też były proste, jak zmartwienia i kłopoty każdej kobiety – lęk o bezpieczeństwo małżonka, smutek bezdzietności (mimo całego działania amuletu nie widać było po niej żadnych oznak ciąży). *Jeśli jeden mężczyzna nie może dać jej dziecka, to dwóch też nic nie pomoże*, pomyślała Morgiana złośliwie.

Gwenifer uśmiechała się.

– Zejdziemy? Jeszcze nie powitałam gości, jest tu król Uriens z Północnej Walii ze swym dorosłym synem. Nie chciałabyś zostać królową Walii, Morgiano? Słyszałam, że król Uriens chce prosić Artura o żonę spośród jego krewnych...

Morgiana wybuchnęła śmiechem.

– Myślisz, że nadałabym się mu na królową dlatego, że pewnie nie dam mu dziecka, by podważyło prawo do tronu jego najstarszego syna Avallocha?

– To prawda, jesteś za stara na urodzenie pierwszego dziecka – powiedziała Gwenifer. – Choć ja wciąż mam nadzieję, że dam memu panu syna i dziedzica.

Gwenifer nie wiedziała, że Morgiana ma syna, i nigdy nie powinna się o tym dowiedzieć.

Jednak dręczyło to Morgianę.

*Artur powinien wiedzieć, że ma syna. Obwinia siebie, że to on nie może dać Gwenifer dziecka – powinien wiedzieć, dla spokoju własnego sumienia. A gdyby tak się stało, że Gwenifer nigdy nie będzie miała dziecka, to król przynajmniej ma syna. Nikt nie musi wiedzieć, że to syn jego własnej siostry. Gwydion ma w sobie królewską krew Avalonu. A teraz jest już na tyle duży, by być posłanym do Avalonu i wyuczonym na Druida. Zaprawdę, powinnam była pojechać, by zobaczyć jego twarz, już dawno temu...*

– Słuchajcie – powiedziała Elaine – na dziedzińcu grają trąbki, przybył ktoś ważny, musimy się spieszyć, dziś rano w kościele będzie msza.

– A Gareth będzie pasowany na rycerza – dodała Gwenifer – szkoda, że Lot nie dożył tego dnia, by zobaczyć, jak jego najmłodszy syn zostaje rycerzem...

– Nie przepadał za towarzystwem Artura ani Artur za nim. – Morgiana wzruszyła ramionami. *Tak więc, myślała, ulubieniec Lancelota zostanie jednym z rycerzy.* Potem przypomniała sobie, co Lancelot powiedział jej o rytualnym czuwaniu przy orężu, szyderstwie z prawdziwych Misteriów. *Czy jest moim zadaniem, by przypomnieć Arturowi jego obowiązki wobec Avalonu? Do bitwy pod Mount Badon poniósł obraz Dziewicy, odrzucił sztandar Smoka; a teraz jeszcze oddał jedno z najświętszych Misteriów w ręce chrześcijańskich księży. Zapytam o radę Taliesina...*

– Musimy iść na dół – powiedziała Gwenifer i przywiązała do paska sakiewki z kluczami. We fryzurze ze splecionych warkoczy i sukni koloru szafranu wyglądała pięknie i dostojnie. Elaine miała szatę zieloną, a Morgiana czerwoną. Zeszły w tłum zbierający się przed kościołem.

Gawain powitał Morgianę, mówiąc „Krewniaczko”, i skłonił się królowej. Za nim dostrzegła znajomą twarz i lekko zmarszczyła brwi, starając się przypomnieć sobie, gdzie wcześniej widziała tego rycerza. Był wysoki, zwalisty, brodaty, prawie tak jasny jak Sakson czy człowiek z Północy. W końcu sobie przypomniała – przyrodni brat Balana, Balin. Skłoniła mu się zimno. Był głupim, ograniczonym idiotą, mimo to był połączony rodzinnymi więzami z Vivianą, która była przecież jej najbliższą i najdroższą krewną.

– Witaj, sir Balinie.

Skrzywił się trochę, lecz pamiętał o dobrych manierach. Miał na sobie stary, zniszczony kaftan, widocznie przybywał z daleka i nie miał jeszcze czasu, by się przebrać i odświeżyć.

– Idziesz na mszę, pani Morgiano? Czyżbyś wyrzekła się tych diabłów z Avalonu, opuściła to przeklęte miejsce i przyjęła naszego Pana i Zbawiciela Chrystusa, pani?

Morgiana uznała to pytanie za obraźliwe, ale tego nie powiedziała. Z ostrożnym uśmiechem odparła:

– Idę na mszę, by zobaczyć pasowanie naszego krewnego Garetha.

Tak jak miała nadzieję, to odwróciło myśli Balina.

– Tak, mały braciszek Gawaina. Balan i ja nie znamy go tak dobrze, jak innych – powiedział. – Trudno uwierzyć, że to już mężczyzna, w mojej pamięci zawsze zostanie małym chłopczykiem, który przestraszył tego konia na ślubie Artura i omal nie zabił Galahada.

Morgiana przypomniała sobie, że takie było prawdziwe imię Lancelota. Bez wątplenia pobożny Balin był zbyt dumny, by używać innego imienia. Balin skłonił się jej i wszedł do kościoła. Morgiana, idąc z Gwenifer, patrzyła za nim, marszcząc brwi. W jego twarzy był błysk fanatyzmu. Była rada, że nie ma tu Viviany, choć mieli przybyć obaj synowie Pani Jeziora – Lancelot już tu był, spodziewano się także Balana – i z pewnością mogli zapobiec wszelkim poważnym kłopotom.

Kościół był udekorowany kwiatami, a ludzie w swych kolorowych, świątecznych szatach też wyglądali jak kwietne bukiety. Gareth miał na sobie białą lnianą szatę, klęczał przy nim

Lancelot w purpurze, piękny i poważny. Jasny i ciemny, biel i purpura, myślała Morgiana i wtedy nasunęło jej się inne porównanie: Gareth szczęśliwy i niewinny i Lancelot – smutny i udręczony. Jednak kiedy tak klęczał, słuchając, jak ksiądz czyta historię Zesłania Ducha Świętego, wydawał się spokojny i w niczym nie przypominał tego cierpiącego człowieka, który odkrył przed nią swą duszę.

„Kiedy nadszedł wreszcie dzień Pięćdziesiątnicy, znajdowali się wszyscy razem na tym samym miejscu. Nagle dał się słyszeć z nieba szum, jakby uderzenie gwałtownego wichru, i napełnił cały dom, w którym przebywali. Ukazały się im też języki jakby z ognia, które się rozdzieliły, i na każdym z nich spoczął jeden. I wszyscy zostali napełnieni Duchem Świętym, i zaczęli mówić obcymi językami, tak jak im Duch pozwalał mówić.

Przebywali wtedy w Jerozolimie pobożni Żydzi ze wszystkich narodów pod słońcem. Kiedy więc powstał ów szum, zbiegli się tłumnie i zdumieli, bo każdy słyszał, jak przemawiali w jego własnym języku. »Czyż ci wszyscy, którzy przemawiają, nie są Galilejczykami?« – mówili pełni zdumienia i podziwu. »Jakżeż więc każdy z nas słyszy swój własny język ojczysty? – Partowie i Medowie, i Elamici, i mieszkańcy Mezopotamii, Judei oraz Kapadocji, Pontu i Azji, Frygii oraz Pamfilii, Egiptu i tych części Libii, które leżą blisko Cyreny, i przybysze z Rzymu, Żydzi oraz prozelici, Kreteńczycy i Arabowie – słyszymy ich głoszących w naszych językach wielkie dzieła Boże«. Zdumiewali się wszyscy i nie wiedzieli, co myśleć: »Co to ma znaczyć?« – mówili jeden do drugiego. »Upili się młodym winem« – drwili inni.

Wtedy stanął Piotr razem z Jedenastoma i przemówił do nich donośnym głosem: »Mężowie Judejczycy i wszyscy mieszkańcy Jerozolimy, przyjmijcie do wiadomości i posłuchajcie uważnie mych słów! Ci ludzie nie są pijani, jak przypuszczacie, bo jest dopiero trzecia godzina dnia, ale spełnia się przepowiednia proroka Joela:

*W ostatnich dniach – mówi Bóg – wyleję  
Ducha mojego na wszelkie ciało,  
i będą prorokowali synowie wasi i córki wasze,  
młodzieńcy wasi widzenia mieć będą, a starcy – sny«<sup>\*</sup>*

Morgiana, klęcząc cicho na swoim miejscu, pomyślała: *Właśnie splotnął na nich Wzrok, a oni tego nie zrozumieli. Nawet nie chcieli tego zrozumieć, dla nich był to tylko dowód na to, że ich Bóg jest potężniejszy niż inni Bogowie.* Teraz ksiądz mówił o ostatnich dniach świata i o tym, jak Bóg wyleje na wszystkich zdolność wizji i prorokowania, a Morgiana zastanawiała się, czy któryś z tych chrześcijan wie, jak zwyczajne w gruncie rzeczy były te dary? Każdy może opanować te moce, jeśli dowiedzie, że potrafi ich odpowiednio używać. Ale nie wchodziło w grę zadziwianie prostych ludzi głupimi cudami! Druidzi używali swych mocy do czynienia dobra, lecz w tajemnicy, a nie po to, by przyciągać tłumy!

<sup>\*</sup> Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu, Wydawnictwo Pallottinum, Poznań – Warszawa 1980, wydanie III poprawione, Dz 2, 1-17.

Gdy wierni podeszli do ołtarza po swoją część chleba i wina spożywanego na pamiątkę, Morgiana potrząsnęła głową i cofnęła się, choć Gwenifer starała się ją popchnąć do przodu. Nie jest chrześcijanką i nie będzie udawać!

Po mszy, na zewnątrz kościoła przyglądała się ceremonii, w której Lancelot wyciągnął swój miecz i dotknął nim Garetha. Jego silny, melodyjny głos brzmiał czysto i surowo:

– Powstań teraz, Garethcie, odtąd towarzyszu Artura i bracie nas tu zebranych i każdego rycerza Okrągłego Stołu. Nie zapominaj bronić swego króla i żyć w pokoju ze wszystkimi jego rycerzami i wszystkimi ludźmi pokoju na ziemi, lecz pamiętaj zawsze walczyć przeciwko złu i bronić tych, którzy potrzebują opieki.

Morgiana przypomniała sobie, jak Artur otrzymał Ekskalibura z rąk Pani Jeziora. Spojrzała na niego. Ciekawa była, czy on też o tym pamiętał i czy wprowadził tę uroczystą przysięgę i ceremonię dlatego, by młodzi ludzie pasowani na rycerzy na jego dworze także mieli jakiś rytuał do zachowania w pamięci. Może mimo wszystko nie było to jednak szyderstwo z Misteriów, lecz próba zachowania ich, najlepiej jak potrafił...? Tylko dlaczego musi się to dziać w kościele? Czy nadejdzie dzień, kiedy odmówi rycerskiej godności tym, którzy nie są wiernymi chrześcijanami?

Podczas mszy Gareth i jego opiekun i mistrz, Lancelot, pierwsi otrzymali komunię, nawet przed królem.

Czy oddawanie tego rytuału w ręce kościoła nie było równoznaczne z zamienianiem go w jeden z ich sakramentów? Lancelot nie miał prawa tego czynić; nie był upoważniony do przekazywania Misteriów innym. Czy była to profanacja, czy też uczciwa próba wprowadzania Misteriów w serca i dusze wszystkich ludzi na dworze? Morgiana nie wiedziała.

Po mszy była przerwa przed turniejami. Morgiana pozdrowiła Garetha i wręczyła mu podarunek – pięknie farbowany skórzany pas, na którym mógł nosić miecz i sztylet. Schylił się, by ją pocałować.

– Och, jak ty wyrosłeś, malutki, wątpię, czy własna matka by cię poznała.

– To się przydarza nam wszystkim, kuzynko – odparł Gareth z uśmiechem. – Wątpię, czy byś poznała swego własnego syna!

Potem otoczyli go inni rycerze, którzy wiwatowali i gratulowali mu. Artur klasnął w dłonie i przemówił do niego tak, że aż jasna skóra Garetha poczerwieniała z dumy.

Morgiana zauważyła, że Gwenifer bacznie jej się przygląda.

– Morgiano, co to było, co Gareth powiedział o... twoim synu?

– Nigdy ci tego nie mówiłam, szwagierko – odparła Morgiana oschle – gdyż szanuję twą religię. Urodziłam syna Bogini, po ogniach Beltanu. Jest wychowywany na dworze Lota; nie widziałam go od czasu, gdy przestał ssać. Jesteś zadowolona?, czy rozpowiesz wszystkim mój sekret?

– Nie – powiedziała Gwenifer, blednąc. – Jakiż to dla ciebie smutek być oddzieloną od twego dziecka! Przykro mi, Morgiano. Nie powiem tego nawet Arturowi, on też jest chrześcijaninem i byłby wstrząśnięty.

*Nie wiesz nawet, jak bardzo byłby wstrząśnięty*, pomyślała Morgiana mrocznie. Serce jej waliło. Czy może zaufać Gwenifer? Zbyt wiele osób już o tym wie!

Trąbka obwieściła rozpoczęcie turnieju; Artur zgodził się nie stawać na placu boju, gdyż nikt nie chciał atakować króla, lecz jedna z drużyn w bitwie miała być prowadzona przez Lancelota, jako królewskiego kawalera, dowództwo drugiej przypadło w losowaniu królowi Uriensowi z Północnej Walii, silnemu mężczyźnie, który dobrze już przekroczył wiek średni, ale wciąż był krzepki i muskularny. U boku miał swego drugiego syna, Accolona.

Morgiana zauważyła, że kiedy Accolon wciągał rękawice, odsłoniły się jego nadgarstki, a wokół nich wiły się wytatuowane na niebiesko węże.

Przeszedł więc inicjację na Wyspie Smoka!

Gwenifer zapewne tylko żartowała o poślubieniu jej królowi Uriensowi; lecz Accolon... oto był odpowiedni mężczyzna, możliwe, że poza Lancelotem był to najprzystojniejszy rycerz na polu.

Morgiana podziwiała jego styl walki. Zgrabny i dobrze zbudowany, poruszał się z naturalną zwinnością kogoś, komu takie ćwiczenia nie sprawiają trudności i kto dzierży oręż niemal od dziecka. Prędzej czy później Artur będzie chciał wydać ją za mąż; jeśli zaoferuje ją Accolonowi, czy ona odmówi?

Po chwili odwróciła uwagę od walki. Wszystkie inne kobiety już od dawna straciły nią zainteresowanie i plotkowały o walecznych czynach, o których słyszały. Niektóre grały w kości w ukryciu swych siedzeń. Tylko kilka przyglądało się z zainteresowaniem – te, które przypięły wstążki, zapinki lub monety na zbrojach swych mężów, braci lub ukochanych.

– Nie warto się nawet zakładać – powiedziała jedna z nich z niezadowoleniem – bo i tak wiadomo, że wygra Lancelot, on zawsze wygrywa.

– Mówisz, że czyni to niehonorowo? – spytała Elaine z nutką nagany, a nieznajoma kobieta odparła:

– Ależ skąd. Na takich turniejach jednak powinien stać z boku, bo i tak nikt mu nie dorówna.

– Widziałam, jak młody Gareth, brat Gawaina, rzucił go raz tyłkiem prosto na trawę – powiedziała Morgiana ze śmiechem. – A on to całkiem dobrze przyjął. Jeśli jednak chcesz się zakładać, to stawiam purpurową jedwabną wstążkę, że w pojedynku Accolon pokona Lancelota.

– Zakład – odparła kobieta i Morgiana wstała z miejsca.

– Nie lubię patrzeć, jak mężczyźni walczą ze sobą dla zabawy, było już dość prawdziwej walki i nie mogę znieść nawet jej odgłosów. – Gwenifer skinęła głową. – Siostrze, czy mogę wrócić do zamku i sprawdzić, czy wszystko jest gotowe do uczyty?

Gwenifer wyraziła zgodę i Morgiana prześlizgnęła się z tyłu siedzeń i poszła w kierunku głównego dziedzińca. Wielka brama była otwarta, pilnowało jej tylko kilku strażników, którzy nie chcieli iść na turniej. Morgiana już ruszyła do zamku, ale sama nie wiedziała, co za przecucie kazało jej zawrócić z powrotem do bramy i dlaczego stanęła w miejscu, wpatrując się w parę jeźdźców, którzy przybywali spóźnieni na pierwsze uroczystości. Kiedy się zbliżali, przeszedł ją dreszcz, a potem, kiedy wjeżdżali w bramę, zaczęła biec z płaczem.

– Viviano! – krzyknęła i nagle się zatrzymała, bojąc się rzucić w ramiona krewnej. Zamiast tego uklękła na zakurzonej dziedzińcu i pochyliła głowę.

Miękki, znajomy głos, nie zmieniony, taki, jaki słyszała w snach, powiedział łagodnie:

– Morgiano, moje kochane dziecko, to ty! Tak bardzo za tobą tęskniłam przez wszystkie te lata! Wstań, wstań, kochana, nie musisz przede mną klękać.

Morgiana podniosła twarz, ale zbyt drżała, by wstać. Viviana z twarzą ukrytą w welonie pochylała się nad nią. Wyciągnęła dłoń i Morgiana ją ucałowała, a wtedy Viviana przyciągnęła ją do siebie i mocno uściśnęła.

– Kochanie, tyle czasu... – powiedziała, a Morgiana bezsilnie walczyła, żeby się nie rozpłakać.

– Tak się o ciebie martwiłam – powiedziała Viviana, mocno trzymając rękę Morgiany, kiedy obie szły ku wejściu do zamku. – Od czasu do czasu mogłam cię ujrzeć w moim zwierciadle, trochę tylko, ale jestem już stara, rzadko już mogę używać Wzroku. Wiedziałam jednak, że żyjesz, że nie umarłaś przy porodzie ani gdzieś daleko za morzem... Tęskniłam, by ujrzeć twoją twarz, maleńka... – Jej głos był tak czuły, jakby nigdy nie było między nimi żadnej sprzeczki, i Morgianę zalała fala dawnych uczuć.

– Wszyscy ludzie z dworu są na turnieju. Najmłodszy syn Morgause został dziś rano pasowany na rycerza – powiedziała. – Chyba musiałam wiedzieć, że przybywasz... – Wtedy przypomniała sobie chwilę Wzroku z poprzedniej nocy, tak, rzeczywiście, wiedziała. – Dlaczego tu przyjechałaś, Matko?

– Myślałam, że słyszałaś o tym, jak Artur zdradził Avalon – odparła Viviana. – Kevin rozmawiał z nim w moim imieniu, ale bez skutku. Tak więc przyjechałam stanąć przed jego tronem i domagać się sprawiedliwości. W imię Artura inni pomniejsi królowie zabraniają ludziom czczenia starej wiary, niszczą święte gaje, nawet na ziemiach, gdzie prawem dziedziczenia rządzi teraz królowa Artura, a Artur nic z tym nie robi...

– Gwenifer jest zbyt pobożna – zamruczała Morgiana i poczuła, jak jej wargi wyginają się z pogardą.

Taka święta, a jednak bierze sobie do łóżka kuzyna i rycerza swego męża, z przyzwoleniem tego strasznie pobożnego króla! Jednak kapłanka Avalonu nie rozpowiada tajemnic alkowy, jeżeli ktoś je powierzył jej dyskrecji.

Wydało się, że Viviana odgadła jej myśli, bo powiedziała:



– Tak, Morgiano, ale może nadejść czas, że pewne tajemnice, które znam, mogą dać mi broń, którą zmuszę Artura do posłuszeństwa. Jednak jednego, co o nim wiem, ze względu na ciebie nie użyję przed tym dworem. Powiedz mi... – Rozejrzała się wokół. – Nie, nie tutaj. Zaprowadź mnie gdzieś, gdzie będziemy mogły porozmawiać w spokoju i gdzie będę się mogła odświeżyć i doprowadzić do ładu, by stanąć przed Arturem na tej wielkiej uczcie.

Morgiana zabrała ją do komnaty, którą dzieliła z dworkami Gwenifer, bo teraz wszystkie były na turnieju. Służba też sobie poszła, więc sama przyniosła Vivianie wodę do mycia i wino i pomogła jej przebrać się z zakurzonych po podróży szat.

– Spotkałam w Lothianie twego syna – powiedziała Viviana.

– Kevin mi powiedział. – Stary ból ścisnął jej serce. Tak więc Viviana pomimo wszystko dostała od niej to, czego chciała: syna z podwójnej królewskiej linii, dla Avalonu. – Czy zrobisz z niego Druida dla Avalonu?

– Jest zbyt wcześnie, by poznać, co on w sobie ma – powiedziała Viviana. – Obawiam się, że zbyt długo pozostawał pod opieką Morgause. Ale tak czy inaczej, musi być wychowywany w Avalonie i być wierny starym Bogom, tak że gdyby Artur dalej łamał swe przysięgi, będziemy mu mogli przypomnieć, że żyje syn z krwi Pendragona, który może zająć jego miejsce. Nie pozwolimy, by jakikolwiek król zmienił się w przechrztę i tyrana, wmuszając tego boga niewolników, grzechu i wstydu w serca naszego ludu! To my posadziliśmy go na tronie Uthera, możemy go też obalić, jeśli będziemy musieli, i to tym łatwiej, że jest ktoś z królewskiej linii Avalonu, syn Bogini, który może zająć jego miejsce. Artur jest dobrym królem, niechętnie wypowiem takie pogroźki, ale jeśli będę musiała, zrobię to. Mymi czynami kieruje Bogini.

Morgiana zadrżała: czy jej dziecko ma przynieść śmierć swemu własnemu ojcu? Z wysiłkiem odwróciła myśl od pokus Wzroku.

– Nie przypuszczam, by Artur był aż tak fałszywy wobec Avalonu.

– Niech Bogini sprawi, by nie był – powiedziała Viviana – lecz mimo to chrześcijanie nie zaakceptują syna poczętego w naszym rytuale. Musimy dla Gwydiona trzymać miejsce blisko tronu, tak by mógł być dziedzicem swego ojca, i pewnego dnia będziemy znów mieć króla zrodzonego z krwi Avalonu. Pamiętaj o tym, Morgiano, że choć chrześcijanie uznają twego syna za poczętego w grzechu, to dla Bogini jest on najczystszej królewskiej krwi, z matki i ojca obojga wywodzących się od niej, jest święty, nie grzeszny. I musi zacząć siebie za takiego uważać i nie ulegać księżom, którzy powiedzą mu, że jego pochodzenie i urodzenie przynosi mu hańbę. – Spojrzała Morgianie prosto w oczy. – Czy ty uważasz, że to hańba?

Morgiana spuściła głowę.

– Zawsze umiałaś czytać w moim sercu, Matko.

– To wina Igriany – powiedziała Viviana – i moja, że zostawiłam cię aż przez siedem lat na dworze Uthera. W dniu, w którym dowiedziałam się, że jesteś urodzona na kapłankę,

powinnam cię była stamtąd zabrać. Jesteś kapłanką Avalonu, drogie dziecko, czemu nigdy tam nie wróciłaś? – Odwróciła się z grzebieniem w dłoni, jej długie włosy opadały na twarz.

Morgiana odpowiedziała szeptem, łązy próbowały się precyzyjnie przesuwać przez jej półprzymknięte powieki.

– Nie mogę, nie mogę, Viviano. Próbowałam... nie umiałam znaleźć drogi... – I wtedy powrócił do niej tamten wstyd i upokorzenie. Rozpłakała się.

Viviana odłożyła grzebień i przytuliła Morgianę do piersi, trzymając ją, tuląc i kołysząc, jak małe dziecko.

– Kochana, moja kochana dziewczynko, nie płacz, nie płacz... gdybym wiedziała, dziecko, przyszedłbym po ciebie. No, nie płacz już, sama cię tam zabiorę, pojedziemy razem, kiedy tylko przekażę Arturowi moją wiadomość. Zabiorę cię ze sobą i pojedziemy, zanim on sobie ubzdura wydać cię za jakiegoś nudnego chrześcijańskiego głupca... tak, tak, dziecko, wrócimy razem do Avalonu... pojedziemy razem... – Wytarła mokrą twarz Morgiany swym własnym welonem. – No, chodź, pomóż mi się ubrać, bym mogła stanąć przed moim krewnym, Najwyższym Królem...

Morgiana wzięła głęboki oddech.

– Tak, pozwól, że zaplotę ci włosy, Matko. – Spróbowała się zaśmiać. – Dziś rano uczesałam królową.

Viviana odsunęła ją i spytała w wielkim gniewie:

– Czy Artur zrobił z ciebie, kapłanki Avalonu i księżniczki, służącą swej królowej?

– Nie, nie – odparła Morgiana pośpiesznie. – Jestem traktowana z takim szacunkiem, jak sama królowa, uczesałam dzisiaj Gwenifer z przyjaźni; ona tak samo zaplotłaby moje włosy albo i zasznurowała mi suknię, jak to bywa między siostrami.

Viviana odetchnęła z ulgą.

– Nie pozwolę, by ci ubliżano. Jesteś matką syna Artura. Musi się nauczyć szanować cię jako matkę swego dziecka, tak samo córka Leodegranza...

– Nie! – krzyknęła Morgiana. – Nie, błagam cię... Artur nie może się dowiedzieć, nie przed całym dworem... Posłuchaj mnie, Matko – prosiła – ci wszyscy ludzie to chrześcijanie. Chcesz mnie zhańbić przed nimi wszystkimi?

– Muszą się nauczyć, by nie traktować świętych spraw jak czegoś godnego wstydu! – powiedziała Viviana nieubłaganie.

– Ale to chrześcijanie rządzą tą ziemią – tłumaczyła Morgiana – a ty nie zdołasz zmienić ich poglądów kilkoma słowami...

W sercu zastanawiała się, czy starczy wiek nie osłabił umysłu Viviany? Nie było sposobu, by tak po prostu ogłosić, że stare prawa Avalonu mają być znów przestrzegane, a dwieście lat chrześcijaństwa ma iść w niepamięć. Księża wyrzuciliby ją z dworu jako osobę szaloną i dalej robili swoje. Przecież Viviana musi się na tyle znać, na rządzeniu, by o tym wiedzieć! I rzeczywiście, Viviana skinęła w końcu głową i powiedziała:

– Masz rację, musimy pracować powoli, ale przynajmniej trzeba przypomnieć Arturowi o jego obietnicy chronienia Avalonu. A pewnego dnia pomówię z nim w tajemnicy i powiem mu o dziecku. Nie możemy tego ogłosić wśród tych niewiernych.

Później Morgiana pomogła Vivianie uczesać włosy i przywdziać dostojne szaty kapłanki Avalonu, przeznaczone na wielkie ceremonie. Niedługo potem usłyszały odgłosy oznaczające, że turnieje się skończyły. Bez wątplenia tym razem nagrody zostaną wręczone w zamku, podczas uczty. *Ciekawe*, myślała Morgiana, *czy Lancelot wygrał je wszystkie w imieniu swego króla, czy też...* pomyślała kwaśno, *dla swej królowej?*

Zwróciły się w kierunku drzwi i gdy już miały wychodzić, Viviana czule dotknęła jej dłoni.

– Wrócisz ze mną do Avalonu, prawda, drogie dziecko?

– Jeśli Artur mi pozwoli...

– Morgiano, jesteś kapłanką Avalonu i nawet Najwyższego Króla nie musisz prosić o zgodę na wyjazd. Król jest dowódcą w bitwie, ale nie posiada na własność życia swych poddanych, nawet swych lennych królów, jakby był jednym z tych wschodnich tyranów, którzy myślą, że świat należy do nich, a wraz z nim życie wszystkich ludzi. Powiem mu, że potrzebuję cię w Avalonie, i zobaczymy, co na to odpowie.

Morgiana poczuła, że dławią ją nieprzelane łzy. *Och, wrócić do Avalonu, wrócić do domu...* Ale nawet kiedy trzymała dłoń Viviany w swojej, nie mogła do końca uwierzyć, że naprawdę już jutro ma tam pojechać. Później mówiła sobie: Wiedziałam, wiedziałam, i rozpoznawała rozpacz i przeczucie, które ją wtedy ogarnęło, ale w tym momencie była pewna, że to tylko jej własny strach, uczucie, że nie jest godna tego, czego sama się wyrzekła.

Zeszły do wielkiej sali na świąteczną ucztę.

Morgiana pomyślała, że takiego Kamelotu nie widziała nigdy wcześniej i być może nigdy już nie zobaczy. Wielki Okrągły Stół, dar Leodegranza, stał teraz w sali godnej jego wspaniałości. Ściany obwieszono sztandarami i jedwabiem, a wszystko tak było urządzone, że oczy same zwracały się ku miejscu, na którym siedział Artur – ku tronowi ustawionemu na odległym krańcu sali, naprzeciw wejścia. Na czas uczty Artur usadził Garetha między sobą i Gwenifer, a wszyscy jego towarzysze byli usadzeni razem, strojni w piękne szaty, z błyszczącym orężem, damy przybrane kolorowymi kwiatami. Jeden po drugim nadchodzili lenni królowie, klękali przed Arturem i składali mu podarki; Morgiana przyglądała się poważnej, łagodnej twarzy Artura. Spojrzała w bok na Vivianę – bez wątplenia musi widzieć, że Artur wyrósł na dobrego króla, którego nawet Avalon i Druidzi nie mogą lekceważyć. Ale kim ona jest, by osądzać spory między Avalonem i Arturem? Poczowała znajome, niespokojne drzenie, jak w dawnych dniach w Avalonie, kiedy uczono ją otwierać umysł na Wzrok, by posłużyć się nią jako instrumentem. Nagle stwierdziła, że sama, nie rozumiejąc dlaczego, mocno pragnie, by Viviana znalazła się o setki kilometrów stąd!

Spojrzała na rycerzy: Gawain, jasny i silny jak tur, uśmiechał się do swego świeżo pasowanego brata; Gareth błyszczał jak nowo wytopione złoto. Lancelot był ciemny i piękny, myślami jakby po drugiej stronie tego doczesnego świata. Pellinor łagodny i łysiejący, usługiwała mu jego córka Elaine.

Teraz do tronu podszedł ktoś, kto nie był jednym z towarzyszy.

Morgiana nie widziała go nigdy wcześniej, ale spostrzegła, że Gwenifer rozpoznała przybysza i cofnęła się.

– Jestem jedynym synem króla Leodegranza – powiedział – i bratem twej królowej, Arturze. Domagam się, byś przyznał mi władzę nad Krajem Lata.

– Na tym dworze nie stawia się żądań, Meleagrancie – odparł Artur spokojnie. – Rozważę twą prośbę i poradzę się mej królowej, i być może ustanowię cię w tym kraju regentem w jej imieniu. Nie mogę teraz wydać sądu.

– No to może ja wcale nie będę czekał na twój sąd! – wrzasnął Meleagrancie. Był wielkim mężczyzną i przyszedł na ucztę zbrojny nie tylko w miecz i sztylet, lecz także wielki wojenny topór z brązu.

Odziany był w źle wyprawione skóry i futra; wyglądał dziko i potwornie, jak jakiś saksoński bandyta. Jego dwaj giermkowie wyglądali jeszcze straszniej. – Ja jestem jedynym żyjącym synem Leodegranza!

Gwenifer pochyliła się i szepnęła coś do Artura.

– Moja pani powiada, iż jej ojciec stanowczo zaprzeczał, jakoby cię splodził. Bądź pewien, że rozważymy tę kwestię i jeśli twe żądania są prawdziwe, spełnimy je. W tej jednak chwili, panie Meleagrancie, proszę, byś zaufał memu osądowi i dołączył do uczty. Rozpatrzmy sprawę z naszymi doradcami tak, by sprawiedliwości stało się zadość.

– Przeklęta uczta! – krzyknął Meleagrancie gniewnie. – Nie przybyłem tu, by zajadać smakołyki, patrzeć na damy i dziecinne zabawy dorosłych mężczyzn! Mówię ci, Arturze, że jestem królem tego kraju i jeśli śmiesz podważać mą władzę, tym gorzej dla ciebie i dla twej pani!

Położył dłoń na swym wielkim toporze, ale natychmiast znaleźli się przy nim Kaj i Gareth i wykręcili mu ręce do tyłu.

– Nie wolno obnażać oręża w królewskiej sali – rzekł Kaj surowo, gdy Gareth wyrwał topór z dłoni Meleagranta i położył go u stóp tronu Artura. – Idź na swoje miejsce, człowieku, i jedz posiłek. Przy Okrągłym Stole ma panować porządek, i jeśli król powiedział, że sprawę osądzi, to masz czekać, aż sam to uczyni, kiedy będzie miał ochotę!

Okręcili go na pięcie, ale Meleagrancie wyrwał się z ich objęć i powiedział:

– Do diabła z twoją ucztą i do diabła z twoją sprawiedliwością! I do diabła z twoim Okrągłym Stołem i z twoimi rycerzami! – Odwrócił się i wielkimi krokami przeszedł przez całą długość sali ku wyjściu, nie zabierając topora.

Kaj podążył krok za nim, Gawain podniósł się z miejsca, lecz Artur przykazał im, by usiedli.

– Niech idzie – powiedział. – Zajmiemy się nim we właściwym czasie. Lancelocie, jako rycerzowi mej pani, być może tobie przypadnie w udziale rozprawić się z tym gburem i uzurpatorem.

– Z przyjemnością, mój królu – odparł Lancelot, rozglądając się trochę nieprzytomnie, jakby rozbudzony ze snu, i Morgiana przypuszczała, że nie miał najmniejszego pojęcia, na co się właśnie zgodził.

Heroldzi przy drzwiach wciąż obwieszczali, że może się zbliżyć każdy, kto szuka królewskiej sprawiedliwości. Potem był zabawny moment, kiedy przyszedł rolnik i opowiadał, jak on i jego sąsiad kłócą się o mały młyn na granicy ich posiadłości.

– I nie możemy się zgodzić, panie – powiedział, skręcając w dłoniach swój stary, wełniany kapelusz. – No to on i ja żeśmy wymyślili, że to król dał pokój na tej ziemi, żeby ten młyn mógł tu stać, to ja powiedziałem, że tu przyjdę, panie, i spytam, i posłuchamy tego, co nam każesz.

Sprawę rozsządowano wśród wesołego śmiechu, choć Morgiana zauważyła, że Artur jako jedyny wcale się nie śmiał, ale słuchał wieśniaka z całą powagą, wydał sąd i dopiero kiedy człowiek podziękował mu i oddalił się z wieloma pokłonami i kolejnymi podziękowaniami, Artur pozwolił sobie na uśmiech.

– Kaj, dopilnuj, by dano temu człowiekowi coś do jedzenia w kuchni, zanim ruszy do domu, przyszedł tu z daleka. Kto następny szuka sprawiedliwości? Oby było to coś bardziej odpowiedniego na moje sądy, czy już niedługo zaczną prosić o radę, jak hodować konie, i o podobne sprawy?

– To dowód, jak dobrze myślą o swym królu – powiedział Taliesin – lecz powinienes ogłosić, że mogą udawać się także po osąd do swoich panów, by wiadomo było, że oni także odpowiedzialni są za sprawiedliwość w twoim imieniu. – Podniósł głowę, by zobaczyć, kto teraz przyszedł. – O, ta sprawa może być chyba godna królewskiej uwagi, bo nie wątpię, iż ta niewiasta ma prawdziwe kłopoty.

Artur skinął, by kobieta się zbliżyła: była młoda, pewna siebie, wyniosła, miała dworskie manieri. Nie miała ze sobą służby poza maleńkim, brzydkim karłem, nie wyższym niż trzy stopy, lecz o szerokich ramionach i silnych mięśniach, który niósł krótki, mocny toporek.

Skłoniła się przed królem i opowiedziała swoją historię. Służyła pani, która, tak jak wiele innych po tylu latach wojen, została sama na świecie; jej włości były na północy, niedaleko od starego rzymskiego muru, rozciągały się bardzo daleko i stały na nich zrujnowane teraz forty i wiele podupadłych zamków. Jednak pięciu braci tej pani, rebeliantów, umocniło się w pięciu zamkach i doprowadzali całą krainę do ruiny. A teraz jeszcze jeden z nich, który miał czelność nazywać siebie Czerwonym Rycerzem z Czerwonych Ziem, oblegał zamek jej pani. Reszta zaś braci była jeszcze gorsza.

– Czerwony Rycerz, co? – powiedział Gawain. – Znam tego jegomościa. Walczyłem z nim, kiedy wracałem ze swej ostatniej wizyty w kraju Lota i ledwie uszedłem z życiem. Arturze, może warto wysłać armię, by doprowadziła ich do porządku. W tamtej części świata nie ma prawa!

Artur zmarszczył brwi i skinął głową, lecz młody Gareth podniósł się ze swego miejsca.

– Mój królu, to jest na granicach kraju mego ojca. Obiecałeś mi wyprawę, dotrzymaj obietnicy, mój królu, i wyślij mnie na pomoc tej damie w obronie jej krainy przed złymi braćmi!

Młoda kobieta spojrzała na Garetha, na jego błyszczącą twarz bez zarostu, na białą, jedwabną szatę, którą założył na ceremonię pasowania, i wybuchnęła śmiechem.

– Ty? Przecież ty jeszcze jesteś dzieckiem! Nie wiedziałam, że Najwyższemu Królowi usługują przy stole przerośnięte dzieci.

Gareth spłonął się rzeczywiście jak dziecko. Faktycznie, wręczał Arturowi puchar, była to usługa, którą wszyscy dobrze urodzeni chłopcy wychowani na dworze wykonywali podczas wielkich uct.

Gareth po prostu zapomniał, że nie był to już jego obowiązek, a Artur, który lubił chłopca, nie zwrócił mu uwagi.

Kobieta wyprostowała się.

– Mój królu i panie, przybyłam prosić o jednego lub więcej z twoich wielkich rycerzy, zaprawionych w bojach, którzy mogą pokonać owego Czerwonego Rycerza. Gawain czy Lancelot, czy Balin, jeden z tych, którzy znani są ze swej waleczności przeciw Saksonom. Czy pozwolisz, by twoi podkuchenni chłopcy drwili sobie ze mnie, panie?

– Mój rycerz Gareth nie jest podkuchennym, pani – powiedział Artur. – Jest bratem sir Gawaina i będzie tak dobrym rycerzem, jak jego brat, jeśli nie lepszym. W istocie, obiecałem go wysłać na jego pierwszą wyprawę i wyślę go właśnie z tobą. Garethcie – dodał miło – nakazuję ci jechać z tą damą, opiekować się nią i chronić przed niebezpieczeństwami podróży, a gdy przybędziesz do jej kraju, pomóc tej pani zorganizować obronę przeciwko tym złoczyńcom. Gdyby trzeba ci było pomocy, możesz wysłać do mnie posłańca, lecz bez wątplenia ma ona dość zbrojnych, potrzebują tam tylko kogoś z wystarczającą wiedzą i umiejętnością strategii, a tego nauczyłeś się od Kaja i Gawaina. Pani, daję ci dobrego człowieka, by wam dopomógł.

Nie śmiała sprzeciwić się królowi, ale mierzyła Garetha gniewnym wzrokiem, kiedy odpowiedział dwornie:

– Dzięki ci, mój panie. Nauczę gniewu Bożego tych szubrawców, którzy pustoszą ten kraj. – Skłonił się Arturowi i zwrócił się do damy, ale ona zdążyła już odwrócić się na pięcie i wymaszerować z sali.

– On jest na to za młody, panie – powiedział Lancelot ściszym głosem. – Nie powinienesz raczej wysłać Balana, Balina czy kogoś bardziej doświadczonego?

Artur pokręcił głową.

– Naprawdę myślę, że Gareth temu sprostą, a nie chcę, by któryś z mych rycerzy był wywyższany nad innych. Tej damie powinno wystarczyć, iż jeden z nich przybywa na pomoc jej ludowi – Artur oparł się i dał znak Kajowi, by podano mu jedzenie. – Zgłodniałem od tego sądenia. Czy czeka ktoś jeszcze?

– Jedna osoba, panie – powiedziała cicho Viviana, wstając ze swego miejsca pomiędzy damami królowej.

Morgiana uniosła się, by jej towarzyszyć, lecz Viviana skinęła, by wróciła na miejsce. Wyglądała na wyższą, niż była w istocie, bo trzymała się tak prosto.

Częściowo był to też urok, urok Avalonu... jej włosy, prawie srebrne, splecione były wysoko nad czołem, u jej boku wisiał niewielki sztylet w kształcie sierpa, nóż kapłanki, a na czole błyszczał znak Bogini, świecący półksiężyc.

Przez chwilę Artur patrzył na nią zaskoczony, potem ją rozpoznał i skinął, by się zbliżyła.

– Pani Avalonu, dawno już nie zaszczycłaś tego dworu swoją obecnością. Usiądź tu przy mnie, krewniaczkę, i powiedz mi, czym mogę ci służyć.

– Okazaniem czci Avalonowi, tak jak to przysięgałeś czynić – powiedziała Viviana. Jej głos był bardzo czysty i cichy, ale jak każdy szkolony głos kapłanki, słycać go było w najdalszych zakamarkach sali. – Mój królu, proszę, byś spojrział teraz na ten miecz, który nosisz, i pomyślał o tych, którzy włożyli go w twe ręce, i o przysiędze, którą złożyłeś...

W późniejszych latach, kiedy o wszystkim, co wydarzyło się tamtego dnia, opowiadano jak kraj długi i szeroki, żadna spośród ponad dwustu osób, które były wtedy w wielkiej sali, nie mogła się zgodzić co do tego, co stało się najpierw. Morgiana dostrzegła, jak Balin wstaje ze swego miejsca i podbiega, zobaczyła, jak sięga po wielki topór Meleagranta, który wciąż stał oparty o tron. Potem było zamieszanie i krzyk, usłyszała też własny krzyk, kiedy topór, wirując, opadał w dół. Nie widziała uderzenia, tylko białe włosy Viviany nagle czerwone od krwi, kiedy zachwiała się, upadała, nie wydając nawet jednego krzyku.

Potem salę wypełniła wrzawa i zamieszanie. Lancelot, Gawain i Balin splątali się w walce, Morgiana ze swym sztyletem w ręce ruszyła do przodu, lecz chwycił ją Kevin, zaciskając swe powykręcane palce na jej nadgarstku.

– Morgiano, Morgiano, nie, za późno – powiedział, a jego głos był zdławiony łkaniem. – Ceridwen! Matko Bogini! Nie, nie patrz na nią teraz, Morgiano!

Próbował ją odwrócić, lecz Morgiana stała jak wryta, jakby zamieniona w kamień, słyszała tylko, jak Balin na cały głos wykrzykuje przekleństwa.

– Patrzcie na Taliesina – powiedział nagle Kaj.

Staruszek osunął się zemdlony na krzesło. Kaj pochylił się i podtrzymał go, po czym rzucając w stronę Artura szybkie słowa przeprosin, chwycił królewski puchar i wlał wino w gardło starego człowieka. Kevin puścił Morgianę, pokuśtykał do czcigodnego Druida i pochylił się nad nim. Morgiana myślała: *Ja też powinnam do niego iść*, ale jej stopy jakby

przymarły do podłogi, nie mogła zrobić ani kroku. Patrzyła na mdlejącego starca, by nie musieć patrzeć na potworną czerwoną kałużę krwi na podłodze, na szaty, włosy i długi płaszcz przesiąknięte krwią. W swej ostatniej chwili Viviana sięgnęła po swój sztylet. Jej dłoń spoczywała na nim, zbuczona jej własną krwią. Było tyle krwi, tyle krwi. Jej czaszka, jej czaszka została rozbita na pół i wszędzie była krew, *krew na tronie przelana jak krew ofiarnego zwierzęcia, tutaj, na tronie Artura...*

W końcu Artur odzyskał mowę.

– Przeklęty człowieku – powiedział ochryple – cóż uczyniłeś? To morderstwo, morderstwo z zimną krwią, przed samym królewskim tronem...

– Mówisz morderstwo? – przerwał mu Balin swym grubym, szorstkim głosem. – Tak, ona była najbardziej przebiegłą morderczynią w tym królestwie, zasługiwała na podwójną śmierć! Uwolniłem twoje królestwo od złej i występnej czarownicy, mój królu!

W głosie Artura brzmiał raczej gniew niż rozpacz.

– Pani Jeziora była mym przyjacielem i dobroczyńcą! Jak śmiesz mówić tak o mojej krewnej, tej, która pomogła mi zasiąść na tym tronie!.

– Wzywam na świadka rycerza Lancelota, że ona spowodowała śmierć mojej matki – powiedział Balin – dobrej i pobożnej chrześcijanki, imieniem Priscilla, przybranej matki swego syna Balana! To ona zamordowała moją matkę, mówię wam, zamordowała ją złymi czarami. – Twarz mu się wykrzywiła, ogromny mężczyzna płakał teraz jak dziecko. – Zamordowała moją matkę, mówię wam, i pomściłem ją, jak każdy rycerz powinien!

Lancelot zamknął oczy z przerażenia, lecz nie płakał.

– Królu Arturze, życie tego człowieka należy do mnie! Pozwól mi pomścić moją matkę!

– I siostrę mojej matki – dodał Gawain.

– I mojej – dołączył Gaheris.

Unieruchamiający Morgianę trans minął. Krzyknęła:

– Nie, Arturze! Oddaj go mnie! Zamordował Panią Jeziora przed twoim tronem, niechaj kobieta Avalonu pomści krew Avalonu. Patrz, jak czcigodny Taliesin leży bez tchu, to tak, jakby on zamordował także naszego dziadka!

– Siostró, siostró – Artur wyciągnął dłoń do Morgiany – nie, nie, siostró, oddaj mi swój sztylet...

Morgiana stała, potrząsając głową. Wciąż ścisnęła sztylet. Nagle Taliesin podniósł się i wyjął jej broń z ręki swymi drżącymi palcami.

– Nie, Morgiano, nie będzie więcej krwi, na Boginię, to wystarczy... Jej krew została przelana w tej sali jako ofiara dla Avalonu.

– Ofiara! Tak, ofiara dla Boga, bo Bóg powinien powalić wszystkich tych złych czarowników i ich bóstwa! – wrzeszczał Balin jak oszalały. – Daj mi też jego, mój królu Arturze, oczyść ten dwór z całego tego przeklętego nasienia! – Wrywał się tak gwałtownie,



że Lancelot i Gawain z trudem mogli go utrzymać i musieli dać znak Kajowi, który podszedł i pomógł im powalić wciąż opierającego się Balina.

– Cicho! – powiedział Lancelot, wykręcając mu rękę. – Ostrzegam cię, spróbuj tylko wyciągnąć rękę na Merlina czy Morgianę, a dostanę twą głowę bez względu na to, co powie Artur. Tak, mój królu, a potem mogę nawet zgiąć z twojej ręki, jeśli tego zażadasz! – krzyknął z twarzą ściągniętą bólem.

– Mój panie królu! – wrzeszczał Balin – Błagam cię, pozwól mi powalić tych wszystkich czarowników i czarownice, w imię Chrystusa, który ich nienawidzi...

Lancelot uderzył Balina w usta tak mocno, aż ten jęknął i zamilkł, z przeciętej wargi pociekła krew.

– Za pozwoleniem, królu. – Lancelot odpiął swój bogaty płaszcz i przykrył straszne, wykrwawione ciało swej matki.

Teraz, kiedy ciało nie było widoczne, Artur zdawał się oddychać swobodniej. Tylko Morgiana w dalszym ciągu wpatrywała się szeroko otwartymi oczyma w nieruchomy kształt okryty tym samym purpurowym płaszczem, który Lancelot założył na uroczystość.

*Krew, krew na stopniach królewskiego tronu. Krew przelana na kobierzec...* Morgianie wydało się, że słyszy przejmujący krzyk Raven.

– Zajmijcie się panią Morgianą, zaraz zemdleje – powiedział Artur cicho i Morgiana poczuła dłonie delikatnie sadzające ją na miejscu, ktoś trzymał przy jej ustach kielich z winem. Chciała go odepchnąć, lecz wydało jej się, że słyszy głos Viviany mówiący: *Wypij. Kapłanka musi zachować swą siłę i wolę.* Posłusznie wypila, słysząc dostoyny i surowy głos Artura:

– Balinie, jakkolwiek był powód, nie, zamilcz, już słyszałem, ani słowa więcej. Jesteś albo szalony, albo jesteś wyrachowanym mordercą. Cokolwiek byś mówił, zabiłeś moją krewną i wyciągnąłeś oręż przed swym Najwyższym Królem w święto Zesłania Ducha. Jednak nie każę cię zgładzić tam, gdzie stoisz. Lancelocie, odłóż swój miecz.

Lancelot posłusznie włożył swój miecz do pochwy.

– Posłucham twego rozkazu, królu, lecz jeśli nie ukarzesz tego mordercy, proszę o pozwolenie na opuszczenie twego dworu.

– Ukarzę – odparł Artur z mroczną twarzą. – Balinie, czy jesteś na tyle przytomny, by mnie zrozumieć? Oto jest twoja kara: na zawsze jesteś wygnany z tego dworu. Niechaj przygotowują ciało Pani i konie, i mary, a ja rozkazuję ci zawieźć to ciało do Glastonbury i opowiedzieć całą historię arcybiskupowi, i wykonać taką pokutę, jaką on ci zada. Dopiero co mówiłeś o Bogu i Chrystusie, lecz żaden chrześcijański król nie dopuszcza prywatnej zemsty dokonanej bronią przed jego własnym tronem. Czy słyszysz, co do ciebie powiedziałem, Balinie, niegdyś mój rycerzu i towarzyszu?

Balin opuścił głowę. Uderzenie Lancelota złamało mu nos, z ust ciekła mu krew i mówił, sepleniąc przez wybity ząb.

– Słyszałem, mój królu. Pojadę – powiedział i usiadł na ziemi ze spuszczoną głową.

Artur skinął na służbę.

– Proszę, wynieście jej biedne ciało.

Morgiana wyrwała się podtrzymującym ją dłoniom, podbiegła i uklękła nad ciałem Viviany.

– Panie, błagam, pozwól mi przygotować ją do pogrzebu... – Zamilkła, by powstrzymać łzy, których nie chciała ronić.

To nie była Viviana, to martwe, rozłupane ciało, te palce, skurczone jak szpony, wciąż zaciśnięte na sztylcie Avalonu. Morgiana podniosła sztylet, ucałowała go i założyła sobie za pasek. Zatrzyma to, tylko to.

*Wielka, łaskawa Matko, wiedziałam, że nigdy razem nie pojedziemy do Avalonu...*

Nie chciała płakać. Czuła, że Lancelot klęczy bardzo blisko niej.

– Dzięki Bogu, że nie ma tutaj Balana – wyszeptał – utracić matkę i przybranego brata w jednej chwili szaleństwa... ale gdyby Balan tu był, może to by się nie wydarzyło! Czy jest jakiś Bóg czy jakaś litość?

Sercem czuła udrękę Lancelota. Bał się i nienawidził swej matki, ale także czcił ją jako Boginię. Chciała wziąć Lancelota w ramiona, pocieszyć go, pozwolić mu się wypłakać, jednak było w niej także oburzenie. Zbuntował się przeciw swej matce, jak śmiał ją teraz oplakiwać?

Taliesin klęczał przy nich. Odezwał się swym starczym, łamiącym się głosem:

– Pozwólcie mi pomóc, dzieci, to moje prawo.

Odsunęli się, a on cichym głosem odmówił prastarą modlitwę przejścia.

Artur podniósł się z miejsca.

– Nie będzie już dzisiaj więcej ucztowania. Zbyt wielka zdarzyła się tragedia. Ci, którzy są głodni, niech dokończą posiłek i wyjdą w ciszy.

Zszedł powoli do miejsca, gdzie leżało ciało. Położył delikatnie dłoń na ramieniu Morgiany; czuła ją poprzez swą rozpacz i otepienie. Słyszała, jak goście cicho wychodzą z sali, jeden po drugim i poprzez ich szmer usłyszała dźwięk harfy; tylko jedna para rąk w Brytanii mogła tak grać. W końcu poddała się i łzy popłynęły po jej policzkach, gdy harfa Kevina grała żalobny lament dla Pani Jeziora i przy tych dźwiękach powoli wyniesiono Vivianę, kapłankę Avalonu z wielkiej sali Kamelotu. Morgiana idąca przy marach tylko raz odwróciła się i spojrzała na salę i Okrągły Stół, i samotnego, pochylonego Artura stojącego przy harfiarzu. I przez całą swą rozpacz i smutek pomyślała: *Viviana nigdy nie przekazała Arturowi przesłania Avalonu. To jest dwór chrześcijańskiego króla, a teraz nie ma już nikogo, kto powie, że jest inaczej. Jakże radowałaby się Gwenifer, gdyby wiedziała.*

Ręce miał wyciągnięte, nie wiedziała, może się modlił. Dostrzegła wytatuowane na jego rękach węże i pomyślała o młodym byku i nowo obranym królu, który przyszedł do niej z krwią starego Króla Byka na rękach i twarzy, i przez chwilę wydało jej się, że słyszy drwiący

głos królowej z czarownej krainy. A potem nie słyszała już nic, poza płaczącą harfą Kevina i szlochem Lancelota u jej boku, gdy wynosili Vivianę na spoczynek.

### **Mówi Morgiana...**

*Wychodziłam z ciałem Viviany z wielkiej sali Okrągłego Stołu, płacząc po raz drugi w życiu.*

*A jednak później tej nocy pokłóciłam się z Kevinem.*

*Wraz z kobietami królowej przygotowałam ciało Viviany do pochówku. Gwenifer przysłała swe kobiety, przysłała też prześcieradła i pachnidła, i aksamitny całun, ale sama nie przysłała. I dobrze.*

*Kapłanka Avalonu winna być przygotowana do spoczynku przez inne kapłanki. Brakowało mi mych sióstr z Domu Dziewcząt; ale przynajmniej nie dotkną jej żadne chrześcijańskie ręce. Kiedy skończyłam, nadszedł Kevin, by czuwać przy ciele.*

*– Odesłałem Taliesina na spoczynek. Mam teraz takie prawo, jako Merlin Brytanii. Jest bardzo stary i bardzo słaby, to i tak cud, że jego serce dziś nie stanęło. Obawiam się, że zbyt długo jej nie przeżyje. Balin jest już spokojny – dodał. – Myślę, że może nawet wie, co uczynił, ale zrobił to w napadzie szaleństwa. Jest gotowy odwieźć jej ciało do Glastonbury i odbyć taką pokutę, jaką zada mu arcybiskup.*

*Patrzyłam na niego oburzona.*

*– I pozwolisz na to? By dostała się w ręce kościoła? Nie obchodzi mnie, co się stanie z tym mordercą – powiedziałam – lecz Vivianę trzeba zabrać do Avalonu.*

*Przełknęłam łzy, by znów się nie rozplakać. Miałyśmy jechać do Avalonu razem...*

*– Artur wydał rozkaz – powiedział Kevin – że ma być pochowana przed wielkim kościołem w Glastonbury, by wszyscy mogli widzieć jej grób.*

*Kręciłam głową z niedowierzaniem. Czy tego dnia wszyscy poszaleli?*

*– Viviana musi spocząć w Avalonie – powiedziałam – tam, gdzie są pochowane wszystkie kapłanki Matki od początku czasów. A ona była przecież Panią Jeziora!*

*– Była też przyjacielem Artura i jego dobroczyńcą – odparł Kevin – i on pragnie, by jej grobowiec stał się miejscem pielgrzymek. – Wyciągnął dłoń, bym mu nie przerywała. – Nie, wysłuchaj mnie, Morgiano, jest racja w tym, co powiedział. Nigdy jeszcze za rządów Artura nie wydarzyła się tak okrutna zbrodnia. On nie może ukryć jej grobu przed ludzkim wzrokiem i pamięcią. Musi być pochowana w miejscu, które wszystkim ludziom przypomni o królewskiej sprawiedliwości i o sprawiedliwości Kościoła.*

*– I ty na to pozwolisz!*

– Morgiano, moja najdroższa – mówił łagodnie – nie do mnie należy pozwolenie czy odmowa. Artur jest Najwyższym Królem i w tym królestwie spełnia się jego wola.

– I Taliesin też milczy? A może to dlatego posłałeś go na spoczynek, żeby nie wchodził ci w drogę, kiedy do spótki z królem będziesz knuł to bluźnierstwo? Pozwolisz, by Vivianę pochowano według chrześcijańskiego obrządku, ja, która była Panią Jeziora, pozwolisz, by pochowali ją ci ludzie, którzy więżą swego Boga wewnątrz kamiennych murów? Viviana wybrała mnie, bym to ja była po niej Panią Jeziora, i ja tego zabraniam. Zabraniam, słyszysz?!

– Morgiano – odparł Kevin cicho. – Nie, wysłuchaj mnie, kochana, Viviana odeszła, nie wyznaczając następczyni...

– Byłeś tam tego dnia, gdy powiedziała, że wybrała mnie...

– Lecz nie było cię w Avalonie, kiedy umarła wyrzekłaś się tego miejsca – powiedział Kevin, a jego słowa spadły na mą głowę jak zimny deszcz, aż zadrżałam. Patrzył na mą, na których leżało przykryte ciało Viviany. Nie mogłam uczynić nic, by można było oglądać tę twarz po śmierci. – Viviana zginęła, nie wyznaczając po sobie następczyni, tak więc mnie, jako Merlinowi Brytanii, przypada osądzić, co ma być zrobione. A skoro taka jest wola Artura, to tylko Pani Jeziora, a wybacz, moja droga, że to mówię, lecz nie ma teraz Pani na Avalonie, a tylko ona mogłaby się sprzeciwić memu słowu. Uważam, że król ma rację w tym, czego pragnie. Viviana spędziła całe swoje życie, by na tych ziemiach zapanował pokój i prawe rządy...

– Przybyła upomnieć Artura, że zapomniał o Avalonie! – krzyknęłam w rozpacz. – Zginęła, nie dokończywszy swej misji, a teraz ty pozwolisz na to, by leżała na chrześcijańskiej ziemi, wśród dźwięku kościelnych dzwonów, by oni mogli zatryumfować zarówno nad jej śmiercią, jak i nad jej życiem!

– Morgiano, Morgiano, moja biedna dziewczynko! – Kevin wyciągał do mnie dłonie, te zniekształcone dłonie, które tak często mnie pieściły. – Wierz mi, ja też ją kochałem! Ale ona nie żyje. Była wspaniałą kobietą, oddała całe życie dla tej ziemi, czy myślisz, że dla niej ma to jakieś znaczenie, gdzie leży jej pusta skorupa? Odeszła do tego, co oczekuje ją poza śmiercią, a znając ją, wiem, że oczekiwać ją może tylko dobro. Czy myślisz, że miałaby za złe, iż jej ciało spoczywa tam, gdzie najlepiej może służyć temu celowi, któremu poświęciła swe życie? Temu, by królewska sprawiedliwość zatryumfowała nad całym złem na tych ziemiach?

Jego bogaty, kojący, śpiewny głos był tak wymowny, że przez chwilę się zawahałam. Viviana odeszła, przecież tylko ci chrześcijanie przywiązywali tak wielką wagę do poświęconej czy nie poświęconej ziemi, jakby cała ziemia, która jest piersią Matki, nie była święta. Chciałam rzucić się w jego ramiona i płakać w nich za jedyną matką, jaką naprawdę miałam, i nad ruiną wszystkich moich nadziei, że mogę powrócić do Avalonu u jej boku, płakać nad wszystkim, czego się wyrzekłam, i nad tym, jak zmarnowałam swoje życie...

To, co wtedy powiedział, sprawiło, że spojrzałam na niego z przerażeniem.

– Viviana była stara – powiedział – i mieszkała w Avalonie chroniona przed realnym światem. Ja musiałem, wraz z Arturem, żyć w świecie, gdzie trzeba wygrywać bitwy i podejmować prawdziwe decyzje. Morgiano, najdroższa moja, wysłuchaj mnie. Jest już za późno, by wymagać, żeby Artur dochował swej przysięgi Avalonowi w tej samej formie, w jakiej ją złożył. Czas mija, dźwięk kościelnych dzwonów pokrywa te ziemie, a lud jest z tego rad. Kimże my jesteśmy, by twierdzić, iż nie jest to wola Bogów, którzy władają ponad Bogami? Czy tego chcemy czy nie, moja ukochana, to są chrześcijańskie ziemie i my, którzy czcimy pamięć Viviany, nie przysłużymy się jej, ogłaszając, że przybyła tu, by stawiać królowi niemożliwe żądania.

– Niemożliwe żądania? – Wyrwałam dłonie z jego rąk. – Jak śmiesz?

– Morgiano, słuchaj głosu rozsądku...

– Nie rozsądku, lecz zdrady! Kiedy Taliesin się o tym dowie...

– Mówię to samo, co słyszałem, jak mówił Taliesin – odparł łagodnie. – Celem Viviany nie było zniszczenie tego, czego sama dokonała, tworząc pokój na tych ziemiach. Nie ma znaczenia, czyje są to ziemie chrześcijan czy Druidów. Wola Bogini i tak się dokona, jakimkolwiek imieniem nazwie ją ludzkość. Skąd możesz wiedzieć, że nie było to wolą Bogini, iż Viviana została powalona, zanim zdołała znów wywołać konflikt na tej ziemi, która osiągnęła pokój i kompromis? Powiadam ci, ten kraj nie powinien znów być podzielony i gdyby Viviana nie została uderzona przez Balina, ja sam przemówiłbym przeciw jej żądaniom, i myślę, że tak samo postąpiłby Taliesin.

– Jak śmiesz mówić w imieniu Taliesina?

– Taliesin osobiście mianował mnie Merlinem Brytanii – powiedział Kevin – i widocznie musiał mi ufać, że będę przemawiał w jego imieniu, tam gdzie sam nie może tego zrobić.

– Zaraz powiesz, że zostałeś chrześcijaninem! Czemu nie nosisz różańca i krucyfiks?

Odpowiedział tak łagodnym głosem, że myślałam, iż znów się rozplaczę.

– Czy naprawdę uważasz, że to by była taka wielka różnica, Morgiano, nawet gdybym tak uczynił?

Uklękałam przed nim, tak jak zrobiłam rok wcześniej, przycisnęłam jego kaleką dłoń do swej piersi.

– Kevinie, kochałam cię. Dlatego błagam cię, bądź wierny Avalonowi i pamięci Viviany! Wyjedź ze mną teraz, dziś w nocy. Nie czyn tego bluźnierstwa, lecz jedź ze mną do Avalonu, gdzie Pani Jeziora powinna spoczywać obok innych kapłanek Bogini...

Pochylił się nade mną; czułam delikatność i cierpienie w jego zniekształconych dłoniach.

– Morgiano, nie mogę. Najdroższa, czy nie możesz się uspokoić i usłyszeć głosu rozsądku w tym, co mówię?

Wstałam, strząsając jego słaby uścisk, i uniosłam ręce, wzywając moc Bogini. Słyszałam, jak mój głos wibruje mocą kapłanki.

– Kevinie! W imię tej, która do ciebie przysłała, w imię męskości, którą ci podarowała, nakazuję ci postuszeństwo! Masz być wierny nie Arturowi i nie Brytanii, lecz Bogini i swoim słubom! Opuść to miejsce! Udaj się ze mną do Avalonu i zabierz tam jej ciało!

Widziałam wokół siebie aureę blasku samej Bogini. Przez chwilę Kevin klęczał, drżąc, i wiedziałam, że jeszcze moment, a postucha.

I wtedy nie wiem, co się stało – może przeleciało mi przez myśl, że – nie, nie jestem godna, nie mam prawa... odrzuciłam Avalon, wyrzekłam się go, więc jakim prawem rozkazuję Merlinowi Brytanii?

Czar przysł, Kevin wykonał nagły, gwałtowny gest i niezdarnie stanął na nogi.

– Kobieto, nie rozkazuj mi! Ty, która wyrzekłaś się Avalonu, jakim prawem chcesz wydawać rozkazy Merlinowi? To ty powinnaś klęczeć przede mną! – Odepchnął mnie obiema rękami. – Nie kuś mnie więcej!

Odwrócił się i odszedł, kuśtykając. Kiedy wychodził z komnaty, jego cień tworzył dziwaczne, bezkształtne formy na ścianach. Patrzyłam za nim zbyt wstrząśnięta, by łkać.

A cztery dni później pochowano Vivianę z całym chrześcijańskim obrządkiem, na Świętej Wyspie w Glastonbury. Ja tam jednak nie pojechałam.

Przysięgam, że nigdy noga moja nie postanie na Wyspie Księży.

Artur szczerze ją optakiwał i wybudował dla niej wielki grobowiec i kopiec, i przysięgł, że pewnego dnia i on, i Gwenifer spoczną u jej boku.

Co do Balina, to arcybiskup Patrycjusz nakazał mu, by odbył pielgrzymkę do Rzymu i Ziemi Świętej, lecz zanim Balin udał się na wygnanie, Balan usłyszał wszystko od Lancelota i odszukał go, i przyrodni bracia stanęli do walki. Balan zabił Balina jednym uderzeniem miecza; lecz rany Balana zaziębiły się i nie przeżył brata nawet o dzień. Tak więc Viviana – jak mówiono w ułożonej o niej pieśni – została pomszczona, ale co z tego, skoro spoczywała w chrześcijańskim grobowcu?

A ja... nigdy się nie dowiedziałam, kogo wybrano następną Panią Jeziora na jej miejsce, gdyż nie mogłam powrócić do Avalonu... Nie byłam godna Lancelota, nie byłam godna nawet Kevina... Nie potrafiłam go przekonać, by wykonał swój obowiązek względem Avalonu... Powinnam była iść do Taliesina i błagać go, nawet na kolanach, by zabrał mnie do Avalonu, bym mogła odpokutować za wszystkie swe winy i znów powrócić do świątyni Bogini...

Zanim lato dobiegło końca, Taliesin także odszedł; myślę, że nigdy do końca nie dotarło do niego, że Viviana nie żyje, bo nawet po jej pogrzebie mówił tak, jakby miała za chwilę przybyć i wraz z nim powrócić do Avalonu; mówił także o mojej matce, tak jakby żyła i była małą dziewczynką w Domu Dziewcząt. Pod koniec lata umarł w spokoju i został pochowany w Kamelocie, i nawet biskup optakiwał go jako mądrego i wielkiego człowieka.

*A następnej zimy usłyszeliśmy, że Meleagrant zasiadł jako władca na tronie Kraju Lata. Kiedy nadeszła wiosna i Artur był daleko na południu, a Lancelot wyjechał, by dopilnować królewskiego zamku w Caerleon, Meleagrant przysłał posłańca z pokojową flagą, prosząc, by jego siostra Gwenifer przybyła i rozmówiła się z nim w sprawie władania na tej ziemi, do której oboje mieli prawo.*

#### 4

– Czułbym się bezpieczniej i uważam, że mój król także by wołał, gdyby był tu Lancelot i pojechał z tobą – powiedział Kaj roztropnie. – W Zielone Świątki ten człek wyciągnął oręż przed królem i nie chciał czekać na królewski wyrok. Twój brat czy nie, nie podoba mi się, że jedziesz tam sama tylko z dworką i szambelanem.

– On nie jest moim bratem – powiedziała Gwenifer. – Jego matka była przez jakiś czas królewską kochanką, ale odsunął ją, bo znalazł ją z innym mężczyzną. Uważała, i być może tak powiedziała swemu synowi, że Leodegranz jest jego ojcem. Król nigdy go nie uznał. Gdyby Meleagrant był człowiekiem honoru, takim, któremu król mógłby ufać, być może mógłby zostać regentem w moim imieniu, jak każdy inny. Nie pozwolę mu jednak wynosić korzyści z takiego kłamstwa.

– A jednak oddasz się w jego ręce, Gwenifer? – spytała cicho Morgiana.

Gwenifer spojrzała na Kaja i Morgianę, potrząsając głową. Czemu Morgiana jest taka spokojna i nieulekła? Czy Morgiana nigdy się niczego nie boi, czy ta spokojna, nieprzenikniona twarz potrafi ukryć wszelkie emocje? Racjonalnie wiedziała, że Morgiana, jak każdy śmiertelny człowiek, musi czasem cierpieć z bólu, lęku, rozpacz, złości – jednak tylko dwa razy widziała, by Morgiana okazała jakiegokolwiek uczucia, i to dawno temu. Raz, kiedy Morgiana zapadła w trans i śniła o krwi na kobiercu – wtedy krzyknęła ze strachu, i raz, kiedy zamordowano Vivianę na jej oczach – wtedy osunęła się zemdlona.

– Wcale mu nie ufam – powiedziała Gwenifer – wiem tylko, że jest chciwym oszustem. Ale pomyśl, Morgiano. Wszystkie jego żądania opierają się na twierdzeniu, że jest moim bratem. Gdyby odważył się mnie w najmniejszym stopniu znieważać czy potraktować inaczej niż z szacunkiem należnym swej siostrze, dałby dowód, że jego pretensje są fałszywe. Nie ośmieli się więc na nic innego, niż powitać mnie jako swą siostrę i królową, rozumiesz?

Morgiana wzruszyła ramionami.

– Nawet w tym bym mu nie ufała.

– Bez wątplenia, że tak jak Merlin, znasz czary, które ci powiedzą, co się stanie, jeśli pojedę.

– Nie potrzebuję czarów – odparła Morgiana obojętnie – by wiedzieć, że złoczyńca to złoczyńca. Nie potrzebuję nadnaturalnych zdolności, żeby wiedzieć, że złodziejowi nie daje się sakiewki do pilnowania.

Cokolwiek Morgiana by powiedziała, Gwenifer zawsze czuła się zobowiązana, by jej się sprzeciwić. Wiecznie miała uczucie, że Morgiana uważa ją za idiotkę, która nie ma nawet na tyle rozumu, by sobie sama zasznurować buty. Czy Morgiana myśli, że ona, Gwenifer, nie potrafi rozwiązać sprawy stanu, kiedy nie ma tu Artura?

Jednak od czasu tego feralnego święta Beltanu rok temu, kiedy to błagała swą szwagierkę o amulet przeciw swej bezdzietności, nie mogła spojrzeć prosto w twarz Morgiany. Morgiana ostrzegła ją, że zaklęcia często działają nie tak, jak się tego po nich oczekuje...

Teraz, ilekroć patrzyła na Morgianę, myślała, że jej szwagierka także musi o tym pamiętać.

*Bóg mnie karze; może za wdawanie się w czary, może za tamtą przeklętą noc.* I jak zawsze, gdy tylko pozwoliła sobie, by na myśl przyszło jej choćby najłżejsze wspomnienie tej nocy, czuła, jak całe jej ciało płonie z rozkoszy i wstydu. Och, łatwo było mówić sobie, że wszyscy troje byli pijani, lub usprawiedliwiać się, że to, co stało się tamtej nocy, stało się za przyzwoleniem Artura, a nawet za jego namową. To wciąż był straszny grzech, cudzołóstwo.

A od tamtej pory pragnęła Lancelota, w dzień i w nocy, choć z trudem mogli na siebie patrzeć. Nie potrafiła spojrzeć mu w oczy.

Czy nienawidził jej jako bezwstydnej, cudzołożnej kobiety? Musi nią pogardzać. A jednak tęskniła za nim rozpaczliwie.

Po tych Zielonych Świątkach Lancelota niemal nie było na dworze. Nigdy nie przypuszczała, że tak bardzo kochał swą matkę, a tym bardziej swego brata Balana, jednak głęboko opłakiwał ich oboje.

Cały czas przebywał poza dworem.

– Szkoda – powiedział Kaj – że nie ma tu Lancelota. Któż miałby towarzyszyć królowej na takiej misji, jeśli nie rycerz, którego król mianował jej kawalerem i opiekunem?

– Gdyby Lancelot tu był – dodała Morgiana – wiele naszych kłopotów by się rozwiązało, bo on osądziłby Meleagranta w kilku słowach. Nie ma co mówić o tym, czego nie ma. Gwenifer, mam pojechać z tobą i chronić cię?

– W imię Boże – powiedziała Gwenifer – nie jestem dzieckiem, które nie może zrobić kroku bez niańki! Wezmę mego szambelana, sir Lucana, i wezmę Braccę, by sznurowała mi suknie i czesała włosy, gdybym została tam dłużej niż na jedną noc, i by spała u stóp mego łóża. Czego więcej mi trzeba?

– A jednak musisz mieć eskortę odpowiednią do twojej pozycji. Na dworze jest jeszcze kilku rycerzy Artura.

– Wezmę Ektoriusza – powiedziała Gwenifer. – Jest przybranym ojcem Artura, szlachetnie urodzonym, jest weteranem wielu wojen.



Morgiana potrząsnęła głową zniecierpliwiona.

– Stary Ektoriusz i Lucan, który stracił rękę pod Mount Badon? Czemu nie weźmiesz także Kaja i Merlina, będziesz miała kolekcję kalek i staruszków. Powinnaś mieć eskortę z dobrych, walecznych rycerzy, którzy będą w stanie cię obronić, w razie gdyby ten człowiek chciał uwięzić cię dla okupu lub coś jeszcze gorszego.

– Jeśli nie będzie mnie traktował jak siostry, to jego roszczenia stracą podstawy – powtórzyła Gwenifer cierpliwie. – A jakież człowiek miałby znieważać swą siostrę?

– Nie wiem, czy Meleagant jest aż tak dobrym chrześcijaninem – powiedziała Morgiana – ale skoro ty się go nie boisz, Gwenifer... w końcu znasz go lepiej niż ja. Z pewnością bez trudu skompletujesz sobie eskortę ze starych, zdzienniałych weteranów, by z tobą pojechali. Możesz jeszcze zaofiarować Meleagantowi rękę swej krewniaczki Elaine, by jego roszczenia do tronu miały lepsze podstawy, i ustanowić go regentem na twoje miejsce...

Gwenifer zadrżała, przypominając sobie tego olbrzyma odzianego w źle wyprawione skóry i futra.

– Elaine jest delikatnie wychowaną panienką, nie wydałabym jej za takiego człowieka – odparła. – Porozmawiam z nim. Jeśli wyda mi się na tyle uczciwy i waleczny, by móc utrzymać w tym kraju pokój, to wtedy, jeśli by przysiągł lojalność królowi Arturowi, mógłby rządzić na wyspach. Ja na przykład nie lubię niektórych rycerzy Artura, ale wiem, że ktoś może być uczciwym człowiekiem i królem, choć nie umie rozmawiać z damami i dyskutować na dworze.

– Zadziwia mnie, że to mówisz – powiedziała Morgiana. – Słyszac, jak piejesz z zachwyty nad cnotami mego krewnego, Lancelota, myślałam, że uważasz, iż nikt nie może być dobrym rycerzem, jeśli nie jest przystojny i pełen dwornych manier.

Gwenifer nie chciała się znów pokłócić z Morgianą.

– Och, siostró, przecież bardzo lubię Gawaina, a jest szorstkim człowiekiem Północy, który potyka się o swe własne stopy i nie może wydusić słowa do żadnej niewiasty. Z tego, co wiem, Meleagant może się okazać takim samym skarbem pod płaszczykiem gbura i dlatego właśnie jadę tam sama, by to ocenić.

Tak więc następnego ranka Gwenifer wyruszyła pod eskortą sześciu konnych, Ektoriusza, weterana Lucana, swej dworki i dziewięcioletniego pazia. Nie odwiedzała swego rodzinnego domu od czasu, kiedy opuściła go w towarzystwie Igriany, by poślubić Artura.

Nie było to daleko, kilka mil w dół zbocza i do brzegów jeziora, które o tej porze roku obsychało i zamieniało się w pastwiska pełne bujnych traw i dzikich kwiatów: jaskrów, stokrotek i mleczy. Na brzegu czekały dwie łodzie udekorowane sztandarami jej ojca. To była bezczelność, że Meleagant używał ich bez pozwolenia, ale mimo wszystko było przecież możliwe, że ten człowiek naprawdę szczerze wierzył, iż jest dziedzicem Leodegranza. To nawet mogło być prawdą, może to jej ojciec kłamał?

Była na tym brzegu w drodze do Caerleon tyle lat temu... jakaż była wtedy młoda, jaka niewinna! Lancelot jechał u jej boku, lecz los oddał ją Arturowi, Bóg świadkiem, że próbowała być mu dobrą żoną, choć Bóg odmówił im dzieci. I kiedy tak patrzyła na czekające łodzie, ogarnęła ją fala rozpacz. Mogła przecież dać swemu małżonkowi trzech, pięciu, nawet siedmiu synów, a potem mogła przyjść zaraza albo ospa, albo gorączka, i wszyscy by wymarli... takie rzeczy się zdarzały. Jej własna matka urodziła czterech synów, jednak żaden z nich nie dożył nawet pięciu lat, a syn Alienory umarł razem z nią.

Morgiana... Morgiana urodziła syna ich diabelskiemu Bogu czarownic i z tego, co wiadomo, ten syn żyje i ma się wspaniale, gdy tymczasem ona, wierna chrześcijańska żona, nie może urodzić dziecka, żadnego dziecka, a wkrótce będzie już na to za stara.

Przy brzegu czekał na nich sam Meleagant, kłaniał się i witał ją jak szanowaną siostrę, wskazując na swą łódź, mniejszą z tych dwóch. Gwenifer nawet później nigdy nie wiedziała, jak to się stało, że została oddzielona od całej reszty swej eskorty, poza malutkim paziem.

– Słudzy mojej pani mogą jechać w drugiej łodzi, ja sam będę ją tutaj ochraniał – powiedział Meleagant, ujmując jej ramię z poufałością, która jej się nie spodobała, lecz przecież miała zachowywać się dyplomatycznie, a nie rozgniewać go. W ostatniej chwili, w nagłym przyplywie lęku, zawołała sir Ektoriusza.

– Mój szambelan także popłynie ze mną – nalegała, a Meleagant uśmiechnął się, jego wielka, szorstka twarz poczerwieniała.

– Jak sobie życzy moja siostra i królowa – powiedział i pozwolił Ektoriuszowi i Lucanowi wsiąść z nią do mniejszej łodzi.

Z namaszczeniem rozłożył jej chodnik do siedzenia, wiosłarze chwycili za wiosła i ruszyli. Jezioro było płytkie, mocno zarośnięte, o niektórych porach roku nawet całkiem wysychało. I nagle, kiedy Meleagant usiadł przy niej, Gwenifer opanował atak dawnego lęku, żołądek podszedł jej do gardła i przez chwilę myślała, że zwymiotuje.

Uczepiła się siedzenia obiema rękami. Meleagant był zbyt blisko niej, odsunęła się tak daleko, jak na to pozwalała szerokość siedzenia.

Czułaby się lepiej, gdyby to Ektoriusz siedział obok, jego obecność tchnęła ojcowskim spokojem. Zauważyła wielki topór, który Meleagant miał za pasem – taki sam, jak ten, który zostawił obok tronu, jak ten, który Balin pochwycił, by zamordować Vivianę...

– Czy ma siostra słabo się czuje? – spytał Meleagant, pochylając się tak blisko, że jego ciężki oddech aż ją zemdlił. – Czy mej siostrze słabo? Chyba ruchy łodzi ci nie przeszkadzają, wody są takie spokojne...

Odsunęła się od niego i starała się opanować. Jest tu sama, tylko z dwoma starcami, na środku jeziora, a wokół niej nic, tylko trzciny i woda, i daleki horyzont... czemu tu przyjechała? Dlaczego nie jest teraz w swoim bezpiecznym, otoczonym murem ogrodzie w Kamelocie? Tu nie jest bezpiecznie. Pod tym szerokim, otwartym niebem czuła się chora, naga i odsłonięta...

– Wkrótce będziemy na brzegu – powiedział Meleagant – i jeśli chcesz odpocząć, zanim przejdziemy do interesów, siostrze, przygotowałem dla ciebie apartament królowej...

Łódź zaszurała o brzeg. Zauważyła, że jest tu wciąż stara ścieżka, wąska droga prowadząca w górę do zamku, i stary mur, na którym siedziała tamtego popołudnia, patrząc, jak Lancelot biega między końmi. Czuła zamęt, jakby to zaledwie wczoraj była tą małą, nieśmiałą dziewczynką. Ukradkiem wyciągnęła rękę i dotknęła muru, poczuła, jaki jest mocny i solidny, i z ulgą przeszła przez bramę.

Stara sala wydała jej się mniejsza niż wtedy, gdy tutaj mieszkała, przyzwyczaiała się do dużych przestrzeni w Caerleon, a potem w Kamelocie. Na starym tronie jej ojca rozciągnięte były takie same skóry, jakie nosił Meleagant, a u podnóża leżało wielkie, czarne niedźwiedzie futro. Wszystko było zaniedbane, skóry podarte i tłuste, sala nie zamieciona, unosił się w niej słodkawo-kwaśny zaduch. Zmarszczyła nos, ale to była taka ulga znaleźć się znów pod dachem, że było jej wszystko jedno. Zastanawiała się, co się stało z jej eskortą.

– Czy odpoczniesz i odświeżysz się, siostrze? Czy mam pokazać ci twoje komnaty?

– Nie będę tu na tyle długo, by nazywać je moimi – odparła z uśmiechem – choć to prawda, że chciałabym zmyć kurz z rąk i zdjąć płaszcz. Możesz posłać kogoś po moją służącą? Powinieneś mieć żonę, skoro myślisz o tym, by być tu regentem, Meleagrancie.

– Na to jest dość czasu – powiedział – ale zaprowadzę cię do komnat, które przygotowałem dla swojej królowej. – Poprowadził ją w górę starymi schodami. Też były zaniedbane i zapuszczone.

Gwenifer, marszcząc brwi, coraz gorzej myślała o wyborze go na regenta. Gdyby wprowadził się do zamku i wyremontował go, gdyby miał żonę i dobrą służbę, by trzymała porządek i dbała o wszystko, i dobrą waleczną drużynę... ale jego ludzie wyglądali na jeszcze gorszych opryszków niż on sam i jak dotąd nie widziała w tym miejscu ani jednej kobiety. Zaczęła odczuwać lekki niepokój, może nie było rozsądne, że przyjechała tu sama, że nie zażądała, by jej eskorta towarzyszyła jej na każdym kroku...

Odwróciła się na stopniu i powiedziała:

– Chciałabym, by towarzyszył mi mój szambelan, i proszę, by natychmiast posłano po moją służącą!

– Jak moja pani sobie życzy. – Wyszczrzył zęby w uśmiechu, bardzo długie, żółte i poplamione.

*Jest jak dzika bestia...* pomyślała Gwenifer i w panice przywarła do ściany. Jednak jakąś wewnętrzną siłą woli zdołała powiedzieć dobitnie:

– Teraz, proszę. Zawołaj sir Ektoriusza albo natychmiast zejść na dół do sali i poczekam, aż nie zjawi się moja służąca. Nie wypada, by królowa Artura szła sama z nieznanym mężczyzną...

– Nawet z własnym bratem? – spytał Meleagant, ale Gwenifer, schylając się pod jego wyciągniętym ramieniem, dostrzegła wchodzącego do sali Ektoriusza i krzyknęła:

– Przybrany ojcze! Czy możesz mi towarzyszyć?! I poślij sir Lucana po moją służącą!

Staruszek powoli wszedł na schody, minął Meleagranta i wyciągnął ramię, by Gwenifer mogła się na nim oprzeć. Meleagranta nie był z tego zadowolony. Doszli do szczytu schodów, do komnaty, w której kiedyś mieszkała Alienora, Gwenifer zajmowała wtedy mały pokój na tyłach tej komnaty. Meleagranta otworzył drzwi. W środku śmierdziało stęchlizną i Gwenifer zawahała się. Może powinna nalegać, by natychmiast zejść na dół i zacząć rozmowy? I tak nie może odpocząć ani się odświeżyć w komnacie tak brudnej i zaniedbanej, jak ta...

– Nie ty, starcze – powiedział Meleagranta, obracając się nagle i popychając Ektoriusza w dół schodów. – Moja pani teraz nie potrzebuje twych usług.

Ektoriusz zachwiał się, stracił równowagę i w tej chwili Meleagranta wepchnął ją do komnaty i ciężko zatrzasnął za nią drzwi.

Usłyszała zgrzyt opadającej zasuwki i osunęła się na kolana. Kiedy się podniosła, była w komnacie sama i nawet najmocniejsze walenie w drzwi nie dawało żadnego rezultatu.

A więc Morgiana miała rację, ostrzegając ją. Czy wymordowali jej eskortę? Czy zabili Ektoriusza i Lucana? Komnata, w której Alienora żyła, rodziła dzieci i w końcu umarła, była zimna i wilgotna, na łożu leżały tylko jakieś stare strzępy pościeli, a słoma śmierdziała zgnilizną. Stała tu stara, rzeźbiona komoda Alienory, ale była pusta, a drewniane rzeźbienia otłuszczone i brudne. Kominek był zawałony popiołem, jakby od lat nie rozpalano tu ognia. Gwenifer waliła w drzwi i krzyczała, aż zemdlały jej ręce i ochrypl głos. Była głodna i wycieńczona, mdliło ją od smrodu i brudu. Nie mogła wyważyć drzwi, a okienko było zbyt małe, by się na nie wspiąć – za nim i tak była wysoka przepaść. Była uwięziona. Przez okno widziała tylko opuszczoną stodołę i jedną jedyną, wychudzoną krowę, która od czasu do czasu meczała.

Godziny ciągnęły się. Gwenifer musiała się pogodzić z dwoma rzeczami: że nie może się wydostać z tej komnaty o własnych siłach i że nie może zwrócić uwagi nikogo, kto mógłby przyjść jej z pomocą.

Jej eskorta zniknęła, byli martwi lub uwięzieni, w każdym razie nie mogli jej pomóc. Służąca i paż pewnie nie żyli, a z pewnością byli poza jej zasięgiem. Była tu zupełnie sama, na łasce człowieka, który pewnie użyje jej jako zakładniczki, by wymusić coś od Artura.

Ona sama była prawdopodobnie bezpieczna. Tak, jak to tłumaczyła Morgianie, wszystkie jego żądania opierają się na fakcie, że jest jedynym żyjącym synem jej ojca, bękartem, ale królewskiej krwi.

A jednak kiedy pomyślała o jego obleśnym uśmiechu i ogromnej postaci, przeraziła się. Może ją molestować albo starać się ją zmusić, by mianowała go regentem tego kraju.

Dzień ciągnął się powoli, słońce przesunęło się od małego, popękane okienka, przeszło przez pokój i poszło dalej. W końcu zaczęło się ściemniać. Gwenifer poszła do małego pokoiku za komnatą Alienory, w którym mieszkała jako dziecko. Kiedyś jej matka zajmowała komnatę Alienory. W tym małym, ciasnym pomieszczeniu, nie większym od garderoby, czuła

się bezpiecznie. Kto może ją tu skrzywdzić? Nieważne, że było tu brudno i wilgotno, że słoma na łożu przegniła. Wczołgała się na łożo i owinęła swoim płaszczem.

Potem wróciła do większej komnaty i starała się zabarykadować drzwi ciężką komodą Alienory. Odkryła, że jednak bardzo się boi Meleagranta, a jeszcze bardziej jego opryszkowatych ludzi.

Z pewnością on nie pozwoli im jej skrzywdzić – jedyną kartą przetargową, jaką ma, jest przecież jej bezpieczeństwo. Artur go zabije, powiedziała sobie, Artur go zabije, jeśli on w najmniejszy sposób ją skrzywdzi czy obrazi.

A jednak – zapytywała się z kolei w rozpacz – czy Arturowi naprawdę zależy? Choć przez te wszystkie lata był dla niej dobry i kochający i traktował ją z szacunkiem, to jednak może nie być mu przykro rozstać się z żoną, która nie może dać mu dzieci, co więcej, z żoną, która jest zakochana w innym i nie potrafi tego ukryć.

*Na miejscu Artura nie kiwnęłabym palcem przeciw Meleagrantowi. Powiedziałabym mu, że skoro mnie ma, to może mnie sobie zatrzymać i cieszyć się tym.*

Czego chce Meleagranta? Gdyby ona, Gwenifer, była martwa, to nie byłoby już nikogo, kto rościłby sobie choć cień prawa do tronu Kraju Lata. Są jacyś kuzyni i kuzynki – dzieci jej siostr, ale mieszkają daleko i pewnie nawet nie wiedzą o istnieniu tych ziem. Może po prostu ma zamiar ją zamordować albo zagłodzić na śmierć. Noc mijała. Raz usłyszała ludzi i konie poruszających się wokół stajni na dole, podeszła do okienka i wyjrzała, ale zobaczyła tylko słaby blask jednej czy dwóch pochodni i choć wrzeszczała, jak mogła, przez ochrypnięte gardło, nikt nie podniósł oczu ani nie zwrócił na nią najmniejszej uwagi.

Raz, późno w nocy, kiedy zapadła w krótką, pełną koszmarów drzemkę, nagle ocknęła się z wrażeniem, że słyszy Morgianę wołającą ją po imieniu. Usiadła wyprostowana na brudnym łożu, wpatrując się w ciężką ciemność, ale była sama.

*Morgiano, Morgiano, gdybyś mogła zobaczyć mnie dzięki swoim czarom, powiedz memu panu, gdy powróci, że Meleagranta to zdrajca, że to była pułapka... a potem martwiła się, czy Bóg się na nią nie pogniewa za to, że wzywała na pomoc czary Morgiany? Zaczęła się cicho modlić, aż monotonia własnej modlitwy znów ją uspiła.*

Tym razem spała ciężko, bez snów, a gdy się zbudziła, miała sucho w ustach. Spostrzegła, że jest już dzień, i przypomniała sobie, że jest uwięziona w tych pustych i brudnych komnatach. Była głodna i spragniona, mdliło ją od smrodu tego miejsca – nie tylko od przgniłej słomy, ale dlatego, że kąta komnaty musiała użyć jako latryny. Jak długo zostawią ją tu samą? Ranek mijał, a Gwenifer nie miała już nawet siły ani odwagi, by się modlić.

Czy jest to kara za to, że nie doceniała tego, co ma? Była wierną żoną Artura, lecz pragnęła innego mężczyzny. Igrała z czarami Morgiany. Myślała z rozpaczą: *Jednak jeśli to jest kara za cudzołóstwo z Lancelotem, to za co byłam karana, gdy wciąż jeszcze byłam wierną żoną?*

Nawet jeśli Morgiana mogła dzięki swoim czarom zobaczyć, że jest uwięziona, czy zada sobie trud, by jej pomóc? Morgiana nie ma powodów, by ją kochać, a nawet z całą pewnością nią gardzi.

Czy kogokolwiek naprawdę obchodzi jej los? Czemu komuś miałoby zależeć...

Było już po południu, kiedy w końcu usłyszała kroki na schodach.

Skoczyła na równe nogi, szczelnie otuliła się płaszczem i odsunęła się od drzwi. Wszedł Meleagrant, a na jego widok cofnęła się jeszcze bardziej.

– Czemu mi to zrobiłeś? – spytała. – Gdzie moja kobieta, mój paż i szambelan? Co zrobiłeś z moją eskortą? Czy myślisz, że Artur pozwoli ci władać w tym kraju, kiedy obraziłeś jego królową?

– Już nie jego – odpowiedział cicho. – Kiedy z tobą skończę, nie zechce cię z powrotem. W dawnych czasach, pani, kochanek królowej był królem tej ziemi i jeśli cię zatrzymam i urodzisz mi synów, nikt nie podważy mojego prawa do władzy.

– Nie dam ci synów – powiedziała Gwenifer z gorzkim śmiechem. – Jestem jałowa.

– E tam, miałaś za męża nieopierzonego młokosa – odparł i dodał coś jeszcze, czego Gwenifer nie zrozumiała do końca, wiedziała tylko, że było to nieprawdopodobnie sprośne.

– Artur cię zabije – powiedziała.

– Niech spróbuje. Jest trudniej, niż myślisz, napaść na wyspę, a do tego czasu być może już nie będzie chciał, bo wtedy musiałby cię wziąć z powrotem.

– Nie mogę cię poślubić, mam już męża – odparła.

– Nikogo w moim królestwie to nie obchodzi. Jest wielu, którzy gderali na rządy księży i dlatego wyrzuciłem wszystkich przeklętych klechów! Rządzą wedle starych praw i uczynię się królem wedle prawa, które mówi, że rządzi tu twój mężczyzna...

– Nie – wyszeptała i cofnęła się, ale skoczył na nią i przyciągnął ją do siebie.

– Nie jesteś w moim typie – powiedział brutalnie. – Chuda, brzydka, blada, skóra i kości. Lubię kobiety, które mają trochę ciała! Ale jesteś córką starego Leodegranza, chyba że w twojej matce płynęła gorętsza krew, niż sobie wyobrażam! A więc... – Przyciągnął ją jeszcze bliżej.

Broniła się, wyrwała ramię i uderzyła go prosto w twarz.

Krzyknął, kiedy łokciem trafiła go w nos, złapał jej ramię i potrasnął nią mocno; potem walnął ją zaciśniętą pięścią w szczękę.

Usłyszała chrupnięcie i poczuła, jak krew wypełnia jej usta. Raz za razem okładał ją pięściami, przerażona podniosła ręce, by uchronić się od uderzeń, ale on nie przestawał jej bić.

– Teraz – wrzasnął – dosyć tego! Zobaczysz, kto jest twoim panem! – Złapał jej nadgarstek i wykręcił.

– O nie, proszę, proszę, nie rób mi krzywdy, Artur... Artur cię zabije.

Odpowiedział jej tylko przekleństwem, wciąż wykręcał jej ramię.

Rzucił ją na brudne siano na łożu i ukląkł przy niej, ściągając z siebie przyodziewek. Wyrwała się, piszcząc. Uderzył ją znów i zamilkła, kuląc się w rogu łoża.

– Zdejmuj suknię! – rozkazał.

– Nie! – krzyknęła, kurczowo trzymając swe szaty.

Złapał ją za rękę, wykręcił jej ramię i trzymał ją tak, drugą ręką zdzierając jej suknię aż do pasa.

– Teraz ściągniesz czy mam wszystko porwać na kawałki?

Trzęsąc się, łkając, drżącymi palcami Gwenifer zdjęła suknię przez głowę. Wiedziała, że powinna walczyć, ale zbyt się bała jego ciosów, by stawiać opór... Kiedy skończyła, popchnął ją na brudną słomę i ostrym ruchem rozwarł jej nogi. Broniła się tylko trochę, przerażona jego rękoma, mdlił ją jego nieświeży oddech, jego owłosione ciało. Wielki, mięsisty członek wdarł się w nią boleśnie. Pchał i pchał, aż myślała, że rozedrze ją na pół.

– Nie usuwaj się tak przede mną, do diabła! – wrzasnął, pchając gwałtownie.

Krzyknęła z bólu i znów ją uderzył. Leżała, łkając, i pozwoliła mu robić, co chciał. To trwało całą wieczność, jego wielkie ciało napierało i pompowało wciąż i wciąż, aż w końcu poczuła jego spazm, pchnął potwornie mocno. Potem z niej zszedł i opadł trochę dalej na łożu.

Łapała powietrze, próbowała nakryć się swymi szatami. Wstał, chwycił swój pas i pogroził jej.

– Czy teraz mnie puścisz – błagała. – Obiecuję, obiecuję...

– A po co? – Wyszczrzył zęby. – Nie. Mam cię i zostaniesz tutaj. Potrzebujesz czegoś? Jaką suknię w miejsce tej?

Wstała, płacząc, wycieńczona, pohańbiona, omdlała. W końcu powiedziała drżącym głosem:

– Czy... mogę dostać trochę wody i... coś do jedzenia? I... – zaczęła płakać głośniejszym głosem – i... nocnik...?

– Wszystko, czego moja pani pragnie – odparł Meleagant sarkastycznie i wyszedł, zamykając drzwi na zasuwę.

Później garbata starucha przyniosła jej trochę tłustego pieczonego mięsa i kromkę razowego chleba, dzban wody i piwo. Przyniosła też kilka kocy i nocnik.

– Jeśli zanieśiesz wiadomość do króla Artura, dam ci to – powiedziała Gwenifer i wyjęła ze swych włosów złoty grzebień.

Twarz staruchy pojaśniała na widok złota, ale zaraz odwróciła wzrok przerażona i pokuśtykała do wyjścia.

Gwenifer znów wybuchnęła płaczem.

W końcu trochę się uspokoiła, zjadła i wypiła, i spróbowała się trochę umyć. Czuła się chora i sponiewierana, ale najgorsze było uczucie upodlenia, zhańbienia, nieodwracalnego skalania..

Czy to prawda, co powiedział Meleagrant, że Artur już jej nie zechce, teraz, kiedy została tak okrutnie zbrukana? Może tak być... gdyby była mężczyzną, też nie chciałaby niczego, czego używał Meleagrant...

To nie było sprawiedliwe. Ona niczemu nie zawiniła, została schwytana w pułapkę, zniewolona wbrew sobie.

*Och, ale czy zasługuję na coś lepszego... Nie jestem wierną żoną, kocham innego...* Czowała się chora ze wstydu i poczucia winy. Po jakimś czasie zaczęła przychodzić do siebie i zastanawiać się nad sytuacją.

Jest w zamku Meleagranta, w starym zamku jej ojca. Została zgwałcona, jest uwięziona, a Meleagrant przyznał, że chce rządzić na tych ziemiach prawem jej kochanka. Nie do pomyslenia było, że Artur mu na to pozwoli. Nieważne, co o niej pomyśli, ale dla swego własnego honoru, jako Najwyższy Król musi wypowiedzieć Meleagrantowi wojnę. To może być niełatwe, ale nie niemożliwe, by zdobyć tę wyspę. Nie wiedziała, jakim wojownikiem jest Meleagrant – tyle że potrafi biciem zmusić do posłuszeństwa bezbronną kobietę – pomyślała w kolejnym przypływie rozpaczy. Nie jest możliwe, by zdołał stawić czoło królowi, który stał w proch Saksonów pod Mount Badon.

A potem będzie musiała stanąć przed Arturem i opowiedzieć, co jej się przydarzyło. Chyba łatwiej już będzie się zabić. Cokolwiek się stanie, nie wyobrażała sobie, że mówi Arturowi o tym, co z nią zrobił Meleagrant... Powinnam się była wytrwalej bronić. Artur w bitwie stawiał czoło śmierci, a nawet dostał ranę, która przez pół roku trzymała go w łóżu, a ja... ja przestałam walczyć po kilku uderzeniach i kuksańcach... Żałowała, że nie zna czarów Morgiany, zamieniłaby go wtedy w świnie! Ale Morgiana nigdy nie wpadłaby w jego ręce, ona by zgadła, że to pułapka. I użyłaby tego swojego małego sztyletu, może by go nie zabiła, ale straciłby ochotę, a może i zdolność, by zgwałcić kobietę!

Zjadła i wypła, ile mogła, umyła się i wyczyściła swoją suknię.

Dzień chylił się ku końcowi. Nie może mieć nadziei, że ktoś będzie jej szukał, że ktoś po nią przyjedzie, aż Meleagrant nie zacznie się tym chwalić i nie ogłosi się kochankiem córki króla Leodegranza.

Przyjechała ze swej własnej woli, w odpowiednim towarzystwie dwóch rycerzy Artura. Dopóki Artur nie wróci z południowych wybrzeży, a może nawet jeszcze za następny tydzień czy dziesięć dni, kiedy Gwenifer nie wróci w oznaczonym czasie, dopiero wtedy Artur zacznie podejrzewać, że coś jest nie tak.

*Morgiano, czemu cię nie posłuchałam? Ostrzegałaś mnie, że to złoczyńca...* Przez chwilę wydało jej się, że widzi bladą, beznamietną, jakby lekko drwiącą twarz swej szwagierki. Było to tak wyraźne, że aż przetarła oczy. Morgiana się z niej śmieje? Nie, to tylko światło tak drgało, obraz znikł.

*Żeby tak mogła zobaczyć mnie swymi czarami... może by kogoś przystała... nie, ona mnie nienawidzi, śmiała by się z mojego nieszczęścia...* Wtedy sobie przypomniała: Morgiana



śmiała się i drwiła, ale kiedy był prawdziwy kłopot, nikt nie był miłszy. Morgiana opiekowała się nią, kiedy poroniła. Mimo własnego sprzeciwu zdecydowała się jej pomóc amuletem. Może więc Morgiana jej nie nienawidzi?

Może te szyderstwa Morgiany to jej obrona przed dumą Gwenifer, przed jej wzgardą dla kapłanki Avalonu?

Blask księżycyca oświetlał sprzęty w komnacie. Powinna była poprosić o jakieś światło. Pewnie spędzi w tym więzieniu drugą noc i być może Meleagrant powróci... na samą myśl o tym zrobiło jej się słabo z przerażenia. Wciąż była obolała po jego ataku, usta miała spuchnięte, siniaki ciemniały jej na ramionach i, jak przypuszczała, na twarzy. I choć, kiedy była sama, mogła spokojnie myśleć o tym, jak z nim walczyć i może nawet go zniechęcić, jednak wiedziała, z obezwładniającym całe ciało strachem, że kiedy on jej dotknie, znów się skurczy przerażona i pozwoli mu robić, co chce, byle tylko uniknąć ciosów... tak się bała, tak się bała, że znów ją skrzywdzi...

I jak Artur mógłby jej wybaczyć to, że nie dała się pobić do nieprzytomności, ale poddała się jak tchórz, po kilku ciosach i uderzeniach... jak mógłby przyjąć ją z powrotem jako swą królową i dalej ją kochać i szanować po tym, jak pozwoliła się osiąść innemu mężczyźnie...?

Nie miał nic przeciwko temu, że ona i Lancelot... sam brał w tym udział... ale jeśli był grzech, to nie był on całkowicie jej, uczyniła to, czego pragnął jej małżonek...

Tak, ale Lancelot był jego krewnym i najbliższym przyjacielem...

Na dziedzińcu było jakieś zamieszanie. Gwenifer podeszła do okienka i próbowała wyrzucić, ale widziała tylko róg stodoły i tę samą meczącą krowę. Skądś dobiegał hałas, krzyki i nawoływania, i szczęk oręża, ale nic nie widziała, a dźwięk tłumiły grube mury i schody. To mogli być jedynie ci sami opryszkowaci ludzie Meleagranta, którzy krzyczeli i bili się na dziedzińcu, albo nawet – *O Boże, uchwaj!* – mordowali jej eskortę. Próbowała wyciągać szyję, by móc dostrzec coś więcej, ale nic nie zobaczyła.

Na zewnątrz rozległ się jakiś dźwięk. Drzwi się otworzyły i Gwenifer odwracając się ze strachem, ujrzała Meleagranta z obnażonym mieczem w dłoni.

– Właż do tej małej komnaty – wskazał jej mieczem. – Właż i nie wydaj ani dźwięku, bo pożałujesz – rozkazał.

*Czy to znaczy, że ktoś przybył mi na ratunek?* Meleagrant był wściekły i wiedziała, że od niego niczego się nie dowie. Powoli wycofała się do maleńkiej komnaty. Szedł za nią z dłonią na mieczu, Gwenifer kuliała się, całe jej ciało kurczyło się w oczekiwaniu ciosu... czy teraz ją zabije, czy użyje jako zakładniczki przy własnej ucieczce?

Nie dowiedziała się nigdy, co zamierzał. Głowa Meleagranta nagle zamieniła się w fontannę krwi i mózgu. Opadał dziwnie powoli, Gwenifer także opadła, prawie zemdlona, ale zanim dosięgła podłogi, znalazła się w ramionach Lancelota.

– Moja pani, moja królowo, moja ukochana. – Tulił ją do siebie, obejmował, a potem na wpół przytomna Gwenifer poczuła, że obsypuje jej twarz pocałunkami. Nie protestowała, to było jak sen.

Meleagrant leżał na podłodze we własnej krwi, jego miecz leżał tam, gdzie upadł. Lancelot musiał przenieść ją przez jego ciało, zanim mógł postawić ją na ziemi.

– Skąd... skąd wiedziałeś? – wyjąkała.

– Morgiana – powiedział zwięźle. – Kiedy wróciłem do Kamelotu, Morgiana powiedziała mi, że próbowała cię odwieść od tej podróży, dopóki nie przyjadę. Czuła, że to pułapka. Wziąłem konia i wyruszyłem za tobą z półtuzinem ludzi. Znalazłem twą eskortę uwięzioną w lesie, niedaleko, byli związani i zakneblowani. Kiedy ich uwolniłem, a nie było to trudne, bez wątplenia czułem się tu bezpieczny... – Lancelot odsunął ją teraz od siebie na tyle, że mógł zobaczyć siniaki na jej twarzy i ramionach, jej podartą suknię, spuchniętą i rozciętą wargę. Dotykał ich drżącymi palcami. – Teraz żałuję, że umarł tak szybko – powiedział. – Sprawiłoby mi radość kazać mu cierpieć tak, jak ty cierpiełaś, och, moje biedne kochanie, moja najdroższa, tak okrutnie cię sponiewierano...

– Nie wiesz... – wyszeptała – nawet nie wiesz... – powtarzała, łkając i tuląc się do niego. – Przyjechałeś, przyjechałeś, myślałam, że nikt nie przyjedzie, że teraz nikt mnie nie zechce, że nikt już nigdy nie będzie mnie chciał dotknąć... skoro zostałam tak zhańbiona...

Tulił ją, całując raz za razem z niesłychaną czułością.

– Zhańbiona? Ty? Nie, hańba jemu, i drogo za to zapłacił... – szeptał między pocałunkami. – Myślałem już, że utraciłem cię na zawsze, mógł cię zabić, ale Morgiana powiedziała, że żyjesz...

Nawet w tym momencie Gwenifer nie oparła się myślom pełnym lęku i niechęci – czy Morgiana wiedziała, jak ona została zgwałcona, poniżona? Och Boże, żeby tylko Morgiana nie musiała wiedzieć!

Nie zniesie tego, że Morgiana o tym wie!

– A sir Ektoriusz, sir Lucan?

– Lucan ma się dość dobrze; Ektoriusz nie jest młody, doznał wielkiego wstrząsu, ale nie ma powodu przypuszczać, że nie przeżyje – powiedział Lancelot. – Musisz zejść na dół, ukochana, i pokazać się im, muszą wiedzieć, że ich królowa żyje.

Gwenifer spojrzała na swe potargane szaty, niepewnie dotknęła posiniaczonej twarzy.

– Czy mogę mieć trochę czasu, by się przysposobić? – powiedziała załamującym się głosem. – Nie chcę, żeby widzieli, że... – Nie mogła dokończyć.

Lancelot zawahał się, potem skinął głową.

– Tak – odparł. – Niech myślą, że nie ośmielił się ciebie znieważać. Tak będzie lepiej. Wszedłem tu sam, wiedząc, że dam radę Meleagrantowi. Reszta jest na dole. Zajrzę do innych komnat, taki jak on na pewno tu nie mieszkał bez jakichś kobiet.

Zostawił ją na chwilę, z trudem mogła znieść to, że zniknął jej z oczu. Odsunęła się od ciała Meleagranta leżącego na podłodze.

Patrzyła na niego, jakby to było ścierwo wilka ubitego przez pasterza, nie brzydziła jej nawet krew.

Lancelot powrócił po chwili.

– Jest tu obok czysta komnata, a w niej komoda z przyodziewkiem. Myślę, że to był pokój starego króla. Jest tam nawet lustro.

Poprowadził ją wzdłuż korytarza. Ta komnata była zamieciona, a słoma na wielkim łożu była świeża i czysta, były na nim prześcieradła i koce, i futrzane narzuty, niezbyt czyste, ale i nie odpychające. Stała tu rzeźbiona komoda, którą rozpoznała. W środku znalazła kilka sukien, jedną z nich widziała na Alienorze, inne były uszyte na kogoś wyższego. Wyjmując je, myślała ze łzami w oczach: *Musiły być mojej matki, dziwne, że ojciec nigdy nie dał ich Alienorze.* Potem pomyślała: *Nigdy nie znałam dobrze mego ojca. Nie mam pojęcia, jakim był człowiekiem, był dla mnie tylko ojcem.* I to wydało jej się tak smutne, że znów miała ochotę się rozszlochać.

– Założę to – powiedziała i nagle wybuchnęła cichym śmiechem. – Jeśli potrafię się ubrać bez pomocy...

Lancelot delikatnie dotknął jej twarzy.

– Ja cię ubiorę, moja pani – powiedział i zaczął pomagać jej w zdejmowaniu podartej sukni. Nagle jego twarz skurczyła się i unióś ją, na wpół rozebraną, w swych ramionach. – Kiedy pomyślę, że to... to zwierzę cię dotykało... – powiedział z twarzą wtuloną w jej piersi – a ja, który cię kocham, zaledwie śmiem położyć dłoń na twym ciele...

I wtedy, mimo całej swej wierności, Gwenifer doszła do jednego wniosku: to Bóg w ten sposób wynagrodził jej cnotę i wyrzeczenia, rzucając ją w ręce Meleagranta, na gwałt i pobicie! A Lancelot, który ofiarował jej miłość i czułość, który skrupulatnie usuwał się na bok, by przypadkiem nie zdradzić swego króla, on musiał być tego świadkiem! Odwróciła się w jego ramionach i objęła go.

– Lancelocie – wyszeptła – mój ukochany, najdroższy, zabierz ode mnie pamięć o tym, co mi uczyniono... nie odchodźmy stąd jeszcze przez jakiś czas...

Jego oczy wypełniły się łzami. Delikatnie położył ją na łożu, pieszcząc ją drżącymi rękoma.

*Bóg nie wynagrodził mnie za cnotę. Dlaczego mam myśleć, że może mnie ukarać? Ale inna myśl ją przestraszyła: Może w ogóle nie ma Boga ani żadnych innych Bogów, w których wierzą ludzie? Może to wszystko wielkie kłamstwo księży, żeby mogli mówić ludziom, co mają czynić, a czego nie, w co wierzyć, wydawać rozkazy królom.* Uniosła się, przyciągając Lancelota do siebie, jej spuchnięte usta szukały jego ust, jej dłonie błądziły po całym jego ukochanym ciele, tym razem bez lęku i bez wstydu. Było jej wszystko jedno, nie miała zahamowań. Artur? Artur nie obronił jej przed zniewoleniem. Wycierpiała, co musiała

wycierpieć, a teraz przynajmniej będzie miała tyle. To za sprawą Artura po raz pierwszy oddała się Lancelotowi, a teraz robi to, czego sama pragnie.

Dwie godziny później wyjeżdżali z zamku Meleagranta, bok w bok, ich wyciągnięte pomiędzy końmi dłonie dotykały się podczas jazdy, a Gwenifer tego nie ukrywała. Patrzyła prosto na Lancelota, jechała radośnie z wysoko uniesioną głową. To jest jej prawdziwa miłość, nigdy więcej nie będzie się starała tego ukrywać, przed nikim.

## 5

*Sznur kapłanek z pochodniami w rękach wił się wolno wzdłuż zarośniętego wybrzeża Avalonu... Powinnam tam być, między nimi, istniał jednak jakiś powód, że nie mogłam wrócić... Viviana byłaby na mnie zła, że mnie tam nie ma, mnie jednak wydawało się, jakbym stała na odległym brzegu i nie była w stanie wypowiedzieć tego słowa, które by mnie do nich zaprowadziło...*

*Raven szła wolno, jej bladą twarz znaczyły zmarszczki, których nigdy przedtem nie widziałam, długie pasmo siwych włosów opadało wzdłuż skroni... włosy miała rozpuszczone; czy to możliwe, by wciąż była dziewicą, nietkniętą przez nikogo, poza Bogiem? Jej białe szaty poruszały się na wietrze, który chybotał ogniem pochodni. Gdzie jest Viviana, gdzie jest Pani? Święta łódź czekała na brzegu wiecznej krainy, lecz ona już nigdy nie powróci do miejsca Bogini... a to kto, odziany w welon i wieniec Pani Jeziora?*

*Nigdy jej dotąd nie widziałam, tylko w snach...*

*Gęste, jasne włosy koloru dojrzałej pszenicy ma splecione w warkocz i upięte jak koronę, nisko nad czołem; lecz u jej pasa, tam gdzie powinien wisieć zakrzywiony nóż kapłanki... o Bogini! Błóżnierstwo!*

*U paska jej jasnej sukni wisi srebrny krucyfiks! Walczyłam, by rozerwać niewidoczne pęta, podbiec i zerwać tę świętokradczą rzecz, lecz Kevin wszedł między nas i chwycił mnie za rękę, a jego dłonie wiły się i skręcały jak zniekształcone węże... a potem on sam zaczął się wić w moich rękach... a węże kąsały mnie swymi zębami...*

– Morgiano, co ci jest? – Elaine potrząsnęła ją za ramię. – Co ci jest! Krzyczałaś przez sen...

– Kevin – jęknęła i usiadła, rozpuszczone, kruczoczarne włosy spływały wokół niej, jak woda. – Nie, nie, to nie byłaś ty, ale ona miała takie same jasne włosy i krucyfiks...

– Wciąż śniesz, Morgiano – powiedziała Elaine. – Obudź się!

Morgiana zamrugnęła i drgnęła, potem głęboko wciągnęła powietrze i spojrzała na Elaine ze swym zwykłym spokojem.

– Przepraszam, zły sen – powiedziała, lecz w oczach wciąż miała trwogę.

Elaine była ciekawa, co za sny dręczą królewską siostrę; zapewne złe, bo przecież przybyła tu z tej strasznej wyspy czarownic i czarnoksiężników... a jednak sama Morgiana nigdy nie wydała jej się złą kobietą. Jak ona mogła być taka dobra, skoro czciła diabły i wyrzekła się Chrystusa?

Odwróciła się od Morgiany, mówiąc:

– Musimy już wstawać, kuzynko. Dzisiaj wraca król, takie wieści przyniósł ostatni posłaniec.

Morgiana przytaknęła i wstała z łoża. Zdjęła koszulę. Elaine skromnie odwróciła oczy. Morgiana wydawała się bez wstydu – czy nigdy nie słyszała, że cały grzech przyszedł na ten świat poprzez ciało kobiety?

Teraz stała bezwstydnie naga i szukała świątecznej szaty w swojej komodzie. Elaine odwróciła się i zaczęła się ubierać.

– Pospiesz się, Morgiano, musimy iść do królowej...

– Nie ma co za bardzo się śpieszyć, kuzynko – odparła Morgiana z uśmiechem. – Trzeba dać Lancelotowi czas, żeby sobie poszedł. Gwenifer nie będzie ci wdzięczna, jeśli wywołasz skandal.

– Morgiano, jak możesz mówić takie rzeczy? Po tym, co się wydarzyło, nic dziwnego, że Gwenifer boi się być sama w nocy i pragnie, by jej rycerz sypiał u jej drzwi... i zaprawdę to wielkie szczęście, że Lancelot przybył na czas, by ocalić ją od gorszego losu...

– Nie udawaj, Elaine – powiedziała Morgiana znużonym głosem. – Naprawdę w to wierzysz?

– Oczywiście, ty wiesz lepiej, dzięki swoim czarom – wybuchnęła Elaine tak głośno, że inne kobiety śpiące w tej samej komnacie odwróciły głowy, by usłyszeć, o co się kłóci kuzynka królowej z siostrą króla.

Morgiana ściszyła głos i powiedziała:

– Wierz mi, ja nie chcę skandalu, nie bardziej niż ty. Gwenifer jest moją szwagierką, a Lancelot jest moim krewnym. Na Boga, Artur nie powinien mieć Gwenifer za złe tego, co się wydarzyło z Meleagraniem, nieszczęsna, to nie była jej wina i należało ogłosić, że Lancelot przybył w porę, by ją ocalić. Nie mam jednak wątpliwości, że Gwenifer powie Arturowi, przynajmniej w tajemnicy, jak Meleagranta się z nią obszedł, nie, Elaine, widziałam, jak wyglądała, kiedy Lancelot przywiózł ją z wyspy, i słyszałam, co mówiła, widziałam jej przerażenie, że może być w ciąży z tym przeklętym rzezimieszkiem!

Elaine pobladła jak ściana.

– Ale to jej brat – szepnęła. – Czy istnieje człowiek, który by popełnił taki grzech?

– Och, Elaine, na Boga, jakaś ty naiwna! – powiedziała Morgiana. – Uważasz, że to było z tego wszystkiego najgorsze?

– I powiadasz, że Lancelot dzielił jej łożo, kiedy króla nie było...

– Nie dziwię się ani nie sędzę, żeby to było po raz pierwszy – odparła Morgiana. – Miejże rozum, Elaine, żałujesz jej tego? Po tym, co zrobił jej Meleagant, nie zdziwiłabym się, gdyby Gwenifer nie chciała, by kiedykolwiek w ogóle dotykał jej znów mężczyzna, i przez wzgląd na nią jestem zadowolona, że Lancelot potrafi ukoić jej ból. A teraz być może Artur ją odsunie, tak że będzie nawet mogła urodzić Lancelotowi syna.

– Może Gwenifer pójdzie do klasztoru – wyszeptła Elaine, wpatrując się w nią. – Kiedyś mi powiedziała, że nigdy nie była tak szczęśliwa, jak w swoim klasztorze w Glastonbury. Ale czy ją tam przyjmą, skoro była kochanką rycerza swego króla? Och, Morgiano, tak mi za nią wstyd!

– To nie ma nic wspólnego z tobą – powiedziała Morgiana. – Czemu ty się masz wstydzić?

Elaine sama była zaskoczona swoim wybuchem.

– Gwenifer ma męża, jest żoną Najwyższego Króla, a jej małżonek jest najbardziej szanowanym i najlepszym królem, jaki kiedykolwiek władał tą ziemią! Ona nie musi szukać miłości gdzie indziej! A jakże Lancelot miałby zechcieć jakąś inną damę, skoro sama królowa wyciąga do niego rękę?

– Cóż – odparła Morgiana – może teraz ona i Lancelot odejdą z tego dworu. Lancelot ma ziemie w Mniejszej Brytanii, a oni od dawna się kochają, choć myślę, że do tego wypadku żyli jak przykładni chrześcijanie.

W duchu wybaczyła sobie to kłamstwo; to, co Lancelot powiedział jej w swej rozpacz, na wieki musiało pozostać ukryte w głębi jej serca.

– Ale wtedy Artur stałby się pośmiewiskiem każdego chrześcijańskiego króla na tych ziemiach – powiedziała Elaine ostro. – Jeśli jego królowa ucieknie od niego z jego przyjacielem i dowódcą jazdy, będą go nazywać rogaczem albo jeszcze gorzej.

– Nie myślę, żeby Artur zważał na to, co o nim mówią... – zaczęła Morgiana, ale Elaine potrząsnęła głową.

– Nie, Morgiano, on musi na to zważać. Lenni królowie muszą go szanować, by mogli brać z niego przykład, kiedy zajdzie potrzeba. Jak będą to mogli czynić, skoro on zezwoli swej żonie żyć w jawnym grzechu z Lancelotem? Tak, wiem, że mówisz o tych kilku dniach. Ale czy możemy być pewni, że na tym się skończy? Mój ojciec jest przyjacielem Artura i jego wasalem, myślę jednak, że nawet on drwiłby z takiego króla, który nie potrafi rządzić własną żoną, i zastanawiałby się, czy ktoś taki zdolny jest władać całym królestwem.

Morgiana wzruszyła ramionami.

– To co możemy zrobić? Oczywiście, poza zamordowaniem pary winowajców?

– Co za bzdury! – zachnęła się Elaine. – Nie, Lancelot musi opuścić dwór. Jesteś jego krewną, nie możesz sprawić, by to zrozumiał?

– Niestety, obawiam się, że w tej kwestii mam mały wpływ na mego krewniaka – odparła Morgiana i poczuła, jakby coś zimnego zacisnęło na niej swe kły.

– Gdyby Lancelot się ożenił... – zaczęła Elaine i nagle zebrała całą odwagę: – Gdyby był moim mężem! Morgiano, znasz zaklęcia i uroki, czy nie możesz mi dać amuletu, który odwróci wzrok Lancelota od Gwenifer i skieruje go ku mnie? Ja też jestem królewską córką i z pewnością jestem tak samo piękna, jak Gwenifer, ale ja przynajmniej nie mam jeszcze męża!

Morgiana zaśmiała się gorzko.

– Moje uroki, Elaine, mogą sprawić więcej szkody niż pożytku, zapytaj się kiedyś Gwenifer, jak taki urok na niej się zemścił! Ale, Elaine... – nagle zmieniła ton na poważny – czy naprawdę byłabyś na to gotowa?

– Myślę, że gdyby mnie poślubił, to by zrozumiał, że nie jestem mniej godna miłości niż Gwenifer.

Morgiana chwyciła dziewczynę pod brodę i uniosła jej twarz.

– Posłuchaj, moje dziecko... – zaczęła, a Elaine czuła, jakby ciemne oczy kapłanki zaglądały w samo dno jej duszy. – Elaine, to nie będzie łatwe. Mówisz, że go kochasz, ale kiedy dziewczica mówi o miłości, to bywa jedynie przelotne upodobanie. Czy naprawdę wiesz, jakim on jest człowiekiem? Czy to upodobanie przetrwa wszystkie lata małżeństwa? Jeśli chcesz tylko z nim zlegnąć, o to mogłabym się całkiem łatwo postarać. Ale kiedy przeminie czar uroku, on równie dobrze może cię znienawidzić za to, że go oszukałaś. I co wtedy?

– Mimo to... – wyjąkała Elaine – mimo to zaryzykowałabym. Morgiano, mój ojciec swatał mnie różnym mężczyznom, ale obiecał mi, że nigdy mnie nie zmusi. Powiadam ci, jeśli nie mogę poślubić Lancelota, to na resztę życia pójdę do klasztoru, przysięgam!.. – Całe jej ciało drżało, ale nie płakała. – Ale po co ja cię proszę, Morgiano, przecież ty też, jak my wszystkie, jak sama Gwenifer, ty też chciałybyś mieć Lancelota albo za męża, albo za kochanka, a siostra króla może sama wybierać...

I w tym momencie Elaine pomyślała, że wzrok płała jej figle, bo wydało jej się, że zimne oczy czarodziejki wezbrały łzami. Coś w jej głosie sprawiło, że Elaine także zapiekły oczy.

– Nie, dziecko, Lancelot mnie nie zechce, nawet gdyby Artur mu kazał. Wierz mi, Elaine, niewiele zaznasz szczęścia z Lancelotem.

– Myślę, że kobiety nigdy nie mają zbyt wiele szczęścia w małżeństwie – odparła Elaine. – Tylko młode dziewczyny tak myślą, a ja już nie jestem taka młoda. Kobieta musi jednak prędzej czy później wyjść za mąż, więc już wolę za Lancelota... – Nagle wybuchnęła: – Nie wierzę, że w ogóle coś takiego potrafisz! Czemu ze mnie drwisz? Czy twoje zaklęcia i uroki to wszystko wymyślone bzdury?!

Spodziewała się, że Morgiana na nią naskoczy, by bronić swej sztuki, ale tylko westchnęła i potrząsnęła głową.

– Nie pokładam wielkiej wiary w miłosnych zaklęciach, mówiłam ci to już, kiedy pierwszy raz o tym rozmawialiśmy. Są po to, by koncentrować wolę nie wtajemniczonych.

Sztuka Avalonu to coś zupełnie innego i nie wolno jej używać tylko dlatego, że jakaś panienka woli zlegnąć z tym, a nie z innym mężem.

– O, tak zawsze jest z wielkimi mądrościami – prychnęła Elaine z pogardą. – Potrafię niby to czy to, ale nie uczynię tego, bo niesłusznie jest sprzeciwiać się woli Bogów albo układ gwiazd jest nieodpowiedni, albo jeszcze co innego...

Morgiana głośno westchnęła.

– Krewniaczko, mogę ci dać Lancelota za męża, jeśli naprawdę tego właśnie pragniesz. Nie sądzę, by uczyniło cię to szczęśliwą, ale skoro jesteś taka mądra i powiadasz, że nie oczekujesz szczęścia w małżeństwie... wierz mi, Elaine, niczego nie pragnę bardziej, niż ujrzeć Lancelota dobrze ożenionego i daleko od tego dworu i od królowej. Artur jest moim bratem i nie chcę, by spadła na niego hańba, tak jak to prędzej czy później by się stało. Musisz jednak pamiętać, że sama o to prosiłaś. Uważaj, byś nie płakała, kiedy szczęście okaże się gorzkie.

– Przysięgam, że przyjmę wszystko, cokolwiek się wydarzy, jeśli będę mogła mieć go za męża – powiedziała Elaine. – Ale dlaczego to robisz, Morgiano? Tylko z niechęci do Gwenifer?

– Jak chcesz, możesz w to wierzyć albo możesz wierzyć, że zbyt kocham Artura, by pozwolić, żeby skandal zniweczył wszystko, co w życiu osiągnął – odparła Morgiana spokojnie. – Tylko zapamiętaj sobie, Elaine, że zaklęcia rzadko czynią to, czego się po nich oczekuje...

Kiedy Bogowie podejmą decyzję, jakież ma znaczenie, co zrobią śmiertelni, nawet za pomocą czarów i zaklęć? Viviana osadziła Artura na tronie... a jednak Bogini spełniła swoją wolę, a nie Viviany, gdyż odmówiła Arturowi potomka z jego królową. A gdy ona, Morgiana, chciała naprawić to, czego Bogini nie uczyniła, to zaklęcie pchnęło Gwenifer i Lancelota w ten skandaliczny romans.

Cóż, to przynajmniej może naprawić, doprowadzając do tego, że Lancelot się uczciwie ożeni. Gwenifer też była w pułapce. Może nawet będzie rada, jeśli coś rozwiąże tę sytuację?

Jej usta lekko zadrgały, choć nie był to do końca uśmiech.

– Uważaj, Elaine, jest takie mądre powiedzenie: bądź ostrożna, o co się modlisz, bo możesz to otrzymać. Potrafię dać ci Lancelota za męża, ale w zamian zażądam podarku.

– Cóż ja mogę ci dać, co miałyby dla ciebie jakąś wartość, Morgiano? Z tego, co wiem, nie dbasz o klejnoty...

– Nie chcę klejnotów ani kosztowności – odparła Morgiana – tylko jednego. Urodzisz Lancelotowi dzieci, gdyż widziałam jego syna... – Zamilkła, czując jak mrowienie przebiega jej skórę na całej długości kręgosłupa, jak wtedy, gdy nadchodził Wzrok. Błękitne oczy Elaine były wielkie ze zdziwienia. Mogła niemal słyszeć jej myśl: *A więc to prawda, dostanę Lancelota za męża i urodzę mu dzieci...*



*Tak, to prawda, choć nie wiedziałam o tym do chwili, kiedy to wymówiłam... jeśli pracuję zgodnie ze Wzrokiem, znaczy to, że nie zabieram się za coś, co winno być pozostawione Bogini, tak więc droga zostanie mi objawiona,* pomyślała Morgiana.

– Nie powiem ci nic o twoim synu – dokończyła spokojnie. – Czeka go jego własny los...  
– Potrzęsnęła głową, by oczyścić ją z dziwnego mroku nadesłanego przez Wzrok. – Chcę jedynie, byś oddała mi swą pierworodną córkę na nauki do Avalonu.

– Na nauki czarów? – Oczy Elaine były przerażone.

– Matka Lancelota była Najwyższą Kapłanką Avalonu – powiedziała Morgiana – ja nie urodzę córki dla Bogini. Jeśli dzięki mnie dasz Lancelotowi syna, którego pragnie mieć każdy mężczyzna, musisz mi przysiąc, przysiąc na twego własnego Boga, że oddasz mi swoją córkę na wychowanie.

Komnatę wypełniała dźwięcząca cisza. W końcu Elaine odpowiedziała:

– Jeśli wszystko to się sprawdzi, jeśli urodzę Lancelotowi syna, to przysięgam, że dostaniesz jego córkę dla Avalonu. Przysięgam to w imię Chrystusa – dodała i uczyniła znak krzyża.

Morgiana potaknęła.

– A ja z kolei przysięgam – powiedziała – że będzie ona dla mnie jak córka, której nigdy nie dane mi było urodzić Bogini, i że pomści ona wielkie zło...

Elaine zamrugnęła.

– Wielkie zło? Morgiano, o czym ty mówisz?

Morgiana zachwiała się lekko na nogach, dźwięcząca cisza została przerwana. Słyszała teraz odgłos deszczu na dworze, poczuła, że w komnacie jest lodowato zimno. Zmarszczyła brwi.

– Nie wiem, o czym mówiłam... myśli mnie poniosły. Elaine, tego nie możemy uczynić tutaj. Musisz prosić o pozwolenie na odwiedzin u swego ojca. Musisz też zadbać, bym ja również została zaproszona, aby ci towarzyszyć. Ja dopilnuję, by pojawił się tam Lancelot. – Wciągnęła głęboko powietrze i odwróciła się, by sięgnąć po suknię. – Jeśli chodzi o Lancelota, to pewnie dałyśmy mu już dość czasu na opuszczenie komnaty królowej. Chodź, Gwenifer nas oczekuje.

Rzeczywiście, kiedy Elaine i Morgiana dotarły do królowej, nie było tam śladu obecności Lancelota ani żadnego innego mężczyzny.

Jednakże raz, kiedy Elaine znajdowała się poza zasięgiem słuchu, Gwenifer napotkała wzrok Morgiany i Morgiana pomyślała, że nigdy jeszcze nie widziała tak okropnej goryczy.

– Pogardzasz mną, prawda, Morgiano?

*Przynajmniej raz Gwenifer wypowiedziała na głos pytanie, które przez te wszystkie tygodnie zaprzętało jej myśli. Korciło ją, by pospieszyć ze zjadliwą odpowiedzią: – Jeśli tak, to czy nie dlatego, że to ty pierwsza zaczęłaś pogardzać mną? Mimo to odpowiedziała tak łagodnie, jak tylko potrafiła:*

– Nie jestem twoim spowiednikiem, Gwenifer, i to ty, nie ja, wierzysz w Boga, który cię potępi, bo dzielisz łożę z mężczyzną, który nie jest twoim mężem. Moja Bogini jest łaskawsza dla kobiet.

– I powinna być – wybuchnęła Gwenifer, ale zatrzymała się i dokończyła: – Artur jest twoim bratem, w twoich oczach zapewne on nie może uczynić nic złego...

– Ja tego nie powiedziałam. – Morgiana nie mogła znieść udręki na twarzy młodszej kobiety. – Gwenifer, siostrze, nikt cię nie obwinia...

Gwenifer odwróciła się. Syknęła przez zaciśnięte zęby:

– Nie, i nie chcę też twojej litości, Morgiano.

*Chcesz czy nie chcesz, jest twoja*, myślała Morgiana, ale nie powiedziała tego na głos. Nie była medykiem, by leczyć stare rany, które znów krwawiły.

– Jesteś gotowa na śniadanie, Gwenifer? Na co masz ochotę?

*Teraz, kiedy nie ma już wojen, coraz bardziej staję się jej służącą, jakby ona była lepiej urodzona*. Morgiana stwierdziła jednak, że to tylko gra, w którą wszyscy się bawią, i nie miała tego Gwenifer za złe. Byli jednak w tym królestwie szlachetnie urodzeni, którzy mogli mieć. Nie podobało jej się także, że teraz, kiedy nie było wojen, Artur uznał, że jego rycerze powinni przyjąć rolę jego osobistych sług, choć czasem sami byli panami i królami. W Avalonie chętnie usługiwała Vivianie, gdyż starszka była żywą przedstawicielką Bogini, a jej wiedza i magiczne moce stawiały ją niemal ponad ludźmi. Wiedziała jednak, że te same moce są dostępne także jej, gdyby ciężko pracowała, by je osiąść. I mógł nadejść dzień, kiedy jej także będą oddawać cześć, jeśli przyjmie na siebie moc Bogini.

Jednak ani przywódca kraju, ani jego małżonka taka władza się nie należała, z wyjątkiem czasu wojny; gniewało ją więc, że Artur kieruje swym dworem w taki sposób i sięga po władzę, która powinna należeć tylko do najwyższych Druidów i kapłanek. Artur wciąż ma miecz Avalonu i jeśli nie dotrzyma swojej przysięgi, trzeba mu go odebrać.

Nagle wydało się Morgianie, że wokół niej komnatę zaległa dziwna cisza, a przestrzeń się otworzyła; widziała wszystko jakby z bardzo daleka. W jednej chwili wszystko stało się odległe i małe, unosiło się do góry, w jej głowie zapanowała wielka cisza. W tej ciszy ujrzała ściany namiotu i Artura śpiącego z Ekskaliburem w dłoni.

Pochyliła się nad nim – nie mogła zabrać miecza, ale małym sztyletem Viviany odcięła troki, którymi pochwa przymocowana była do pasa. Pochwa miecza była już stara, aksamit wytarty, szlachetny metal haftów matowy i szerniały. Morgiana ujęła ją w dłoń, a potem znalazła się na brzegu wielkiego jeziora, wokół otaczał ją szum trzciny...

– Powiedziałam nie, nie chcę wina, mam dość wina na śniadanie – burknęła Gwenifer. – Może Elaine znajdzie trochę mleka w kuchni? O, Morgiano, czy jest ci słabo?

Morgiana zamrugnęła i wpatrywała się w Gwenifer. Powoli wracała do siebie, starała się skupić wzrok. Nic się nie dzieje, nie jedzie w szaleństwie wzdłuż brzegów jeziora z pochwą miecza w dłoni... a jednak to miejsce wyglądało jak czarowna kraina, jakby widziała

wszystko przez pomarszczoną wodę, to było jak sen, który kiedyś miała... gdyby tylko mogła go sobie przypomnieć... i nawet kiedy zapewniła królową, że czuje się całkiem dobrze, i obiecała, że sama uda się po świeże mleko, jej umysł wciąż błądził po labiryntach tego snu... gdyby tylko mogła sobie przypomnieć, co wtedy śniła, wszystko będzie dobrze...

Kiedy zeszła do spiżarni, gdzie powietrze było chłodne nawet latem, nie czuła już dłużej, że ten świat w każdej chwili może zamienić się w czarowną krainę. Głowa ją bolała, jakby miała pęknąć na pół, i przez cały dzień Morgiana była pod wrażeniem tego dziwnego snu na jawie. Gdyby tylko pamiętała... wyrzuciła Ekskalibur do Jeziora... tak, tak było... zrobiła to, by nie dostała go królowa czarownej krainy... nie, to też nie tak... jej umysł od nowa starał się rozsupłać tę dziwną, obsesyjną zagadkę ze snu.

Po południu, kiedy słońce chyliło się już ku zachodowi, usłyszała dźwięk rogów oznajmiających przybycie Artura i poczuła dreszcz, który przeszedł przez cały Kamelot. Wraz z innymi kobietami pobiegła na wały na zboczu wzgórza i patrzyła, jak zbliża się królewska drużyna z łopoczącymi sztandarami. U jej boku stała drżąca Gwenifer. Była wyższa od Morgiany, lecz z tymi białymi dłońmi, kruchymi, wąskimi ramionami, Morgianie wydała się tylko dzieckiem, wysokim, wychudzonym dzieckiem, zatrwożonym karą za jakąś popełnioną przewinę. Gwenifer drżącą ręką dotknęła rękawa Morgiany.

– Siostrze, czy mój pan musi się dowiedzieć? To się już stało, a Meleagant nie żyje. Nie ma powodu, by Artur wypowiadał komukolwiek wojnę. Dlaczegoż nie miałby myśleć, że mój rycerz Lancelot przybył w porę... w porę, by zapobiec... – Jej głos był cieniutki i drżący, jak głos małej dziewczynki, nie mogła nawet wypowiedzieć tych strasznych słów.

– Siostrze – odparła Morgiana – od ciebie zależy, czy mu powiesz.

– Ale... gdyby usłyszał od kogoś innego...

Morgiana westchnęła. Czy choć raz Gwenifer nie może powiedzieć wprost, o co jej chodzi?

– Jeśli Artur usłyszy jakieś opowieści, nie usłyszy ich ode mnie, a nikt inny nie ma prawa o tym mówić. Ale on nie może cię winić za to, że zostałam uwięziona i biciem zmuszona do uległości.

I wtedy pojęła. Tak jakby sama słyszała ten głos, głos księdza przemawiającego do drżącej Gwenifer – czy to się stało teraz, czy kiedy Gwenifer była dzieckiem? – głos mówił, że żadna kobieta nigdy nie została zhańbiona, chyba że sama skusiła mężczyznę, tak jak Ewa przywiodła naszego pierwszego ojca, Adama, do grzechu, – i że rzymskie męczennice wołały oddawać życie w imieniu Świętej Dziewicy, niżby miały oddać swą cześć... to dlatego Gwenifer tak drżała. Gdzieś głęboko w duszy, mimo że bardzo się starała i chciała zapomnieć o tym w ramionach Lancelota, ona naprawdę wierzyła, że to była jej wina, że zasługiwała na śmierć za ten grzech, iż dała się zgwałcić. I że skoro przy tym nie zginęła, Artur miał prawo ją za to zabić... żadne zapewnienia nigdy nie zagłuszą tego głosu w umyśle Gwenifer.

*Czuje tę winę z powodu Meleagranta, by nie musiała czuć się winna za to, co czyniła z Lancelotem...*

Gwenifer trzęsa się u jej boku, choć słońce mocno grzało.

– Żeby już przyjechał, chcę już wejść do środka, patrz, na niebie latają jastrzębie, boję się ich, zawsze się boję, że mnie zaatakują...

– Obawiam się, że jesteś dla nich za dużym i za twardym kąskiem, siostró – powiedziała Morgiana uspokajająco.

Przy wielkiej bramie krzątała się służba, otwierając ją na przejazd królewskiego orszaku. Sir Ektoriusz wciąż mocno kulał po tamtej nocy, kiedy uwięziony musiał spędzić noc na dworze, ale nadszedł u boku Kaja, a Kaj, jako strażnik zamku, skłonił się przed Arturem.

– Witaj w domu, mój panie i królu.

Artur zsiadł z konia i podszedł, by uściskać Kaja.

– To zbyt formalne powitanie, Kaj, druhu, czy wszystko w porządku?

– Teraz już wszystko jest w porządku, panie – powiedział Ektoriusz – lecz po raz kolejny masz powód, by być wdzięcznym swemu dowódcy.

– To prawda – dodała Gwenifer. Podeszła wsparta na ramieniu Lancelota. – Mój królu i panie, Lancelot wybawił mnie z pułapki zastawionej przez zdrajcę, ocalił mnie od takiego losu, jakiego żadna chrześcijańska kobieta nigdy zaznać nie powinna...

Artur położył jedną dłoń na ramieniu swej królowej, a drugą na ramieniu swego dowódcy jazdy.

– Jak zwykle jestem ci wdzięczny, drogi przyjacielu, tak jak wdzięczna jest ci moja pani. Chodźcie, opowiecie mi o tym na osobności.

Idąc pomiędzy nimi, wszedł na schody prowadzące do zamku.

– Ciekawe, co za kłamstwa nakładają mu do uszu, ta jego cnotliwa królowa i jego najwspanialszy rycerz? – usłyszała Morgiana.

Ktoś z tłumu powiedział to cicho, lecz bardzo wyraźnie, nie mogła jednak rozeznaczyć, z której strony dobiegł głos.

*Być może pokój nie jest całkowitym błogosławieństwem. Bez wojen nie mają na tym dworze nic do roboty, tylko powtarzać każdą plotkę i oczekiwać na skandal.*

– Ale jeśli Lancelot opuści dwór, plotki ucichną. Postanowiła, że cokolwiek trzeba uczynić, by ten cel osiągnąć, należy to zrobić natychmiast.

Tego wieczoru przy wieczerzy Artur poprosił Morgianę, by przyniosła swą harfę i zaśpiewała.

– Już od dawna nie słyszałem twej muzyki, siostró – powiedział, przyciągając ją do siebie i całując. Nie robił tego od bardzo dawna.

– Z chęcią zaśpiewam – odparła – ale kiedyż to Kevin powróci na dwór? – Z goryczą pomyślała o ich kłótni.

Nigdy, nigdy nie wybaczy mu tej zdrady Avalonu! Jednakże wbrew własnej woli tęskniła za nim i z żalem wspominała czasy, kiedy byli kochankami.

*Znudziło mi się sypiać samej, to wszystko...*

To sprawiło, że pomyślała o Arturze i o ich synu w Avalonie... jeśli Gwenifer opuści dwór, to Artur z pewnością ponownie się ożeni, a gdyby Gwenifer została i nigdy nie urodziła syna, to czyż wtedy jej syn, ich syn, nie powinien być uznany za dziedzica swego ojca?

Bez wątplenia jest królewskiej krwi, krwi Pendragona i Avalonu...

Igriana nie żyje, skandal nie będzie mógł jej skrzywdzić.

Usiadła na rzeźbionym stołku blisko tronu, harfa stała na podłodze u jej stóp. Artur i Gwenifer siedzieli blisko siebie, trzymali się za ręce. Lancelot wyciągnął się na podłodze obok Morgiany i przyglądał się harfie, ale widziała, jak od czasu do czasu jego wzrok biegł w kierunku Gwenifer, i niemal namacalnie czuła jego tęsknotę. Jak mógł tak obnażać swe serce przed wszystkimi? I wtedy Morgiana zrozumiała, że tylko ona może czytać w jego sercu, wszyscy inni widzieli jedynie dworzanina, który z szacunkiem spogląda na swą królową, śmieje się i żartuje z nią jako uprzywilejowany przyjaciel jej męża.

Kiedy jej palce zaczęły poruszać się po strunach, świat znów zdawał się oddalać, stał się maleńki i daleki, a zarazem ogromny i dziwny, przedmioty traciły swe kształty, tak że jej harfa była zarazem jak dziecinna zabawka i jak coś monstrualnych rozmiarów, jak wielka, bezkształtna rzecz, która ją dławiła, a ona siedziała gdzieś wysoko na tronie, wpatrując się w przechodzące cienie, patrzyła w dół na młodego mężczyznę o ciemnych włosach, na czole miał wąską koronę, a kiedy na niego spojrzała, przez jej ciało przebiegł ostry ból pożądania, napotkała jego wzrok i to było tak, jakby jakaś ręka dotknęła najintymniejszej części jej ciała, wznecając w niej głód i pragnienie... Poczwała, jak palce ześlizgnęły się po strunach, coś jej się śniło... jakaś twarz się rozpląwała, młody mężczyzna uśmiechał się do niej, nie, to nie był Lancelot, to był ktoś inny... nie, to wszystko były tylko cienie...

Usłyszała wyraźnie głos Gwenifer:

– Pomóżcie pani Morgianie! Moja siostra mdleje...!

Poczwała, jak podtrzymują ją ręce Lancelota, i spojrzała w jego ciemne oczy – to było jak w jej śnie, przepływało przez nią pożądanie, odbierało jej siły... nie, tylko jej się śniło. To nie było prawdziwe. Niepewnie położyła dłoń na czole.

– To ten dym, dym z paleniska.

– Napij się. – Lancelot przytknął puchar do jej ust.

Co to za szaleństwo? Zaledwie jej dotknął, ona poczuła się chora z pożądania, a myślała, że już dawno jej to przeszło, że to się z czasem całkiem wypaliło... a jednak jego dotyk, miły, choć obojętny, wznecił w niej znów tak gwałtowną tęsknotę. Czy to więc o nim śniła?

*On mnie nie chce, on nie chce żadnej kobiety poza królową,* pomyślała i spojrzała na kominek, w którym o tej porze roku wcale nie palił się ogień, tylko wieniec z zielonych gałęzi zasłaniał widok pustej, czarnej dziury. Sączyła wino, które podał jej Lancelot.

– Przepraszam... cały dzień trochę mi słabo – powiedziała, przypominając sobie poranek.  
– Niech ktoś inny teraz zagra, ja nie mogę...

– Za pozwoleniem, moi państwo, ja zaśpiewam! – powiedział Lancelot i wziął harfę. – To jest opowieść z Avalonu, którą słyszałem w dzieciństwie. Myślę, że napisał ją sam Taliesin, choć może skomponował ją z jakiejś innej pieśni.

Zaczął śpiewać starą balladę o królowej Arianrhod, która pewnego razu zatrzymała się przy strumieniu i odeszła stamtąd brzemienna. I przeklęła swego syna, kiedy się narodził, i powiedziała, że nigdy nie będzie miał imienia, dopóki ona mu go nie nada, a on przechytrzył ją, by dała mu imię, a ona znów go przeklęła, mówiąc, że nigdy nie będzie miał żony, ani z krwi i kości, ani z czarownego plemienia, i zrobiła mu kobietę z kwiatów...

Morgiana słuchała, wciąż częściowo pogrążona w swym śnie i wydało jej się, że smagła twarz Lancelota przepelnia okropne cierpienie, i kiedy śpiewał o kwietnej kobiecie, Blodeuwedd, jego oczy na chwilę spoczęły na królowej. Potem jednak odwrócił się do Elaine i dwornie wyśpiewywał, jak to włosy czarowanej kobiety były ze złotych lili, a jej policzki były jak płatki kwitnących kwiatów jabłoni, i jak odziana była we wszystkie kolory kwiatów kwitnących latem na polach: błękit, purpurę, żółć...

Morgiana cicho siedziała na swym miejscu, dłonią podpierając bolącą głowę.

Później Gawain przyniósł piszczałki ze swych północnych ziem i zagrał dziki lament, przepelniony krzykiem morskich ptaków i smutkiem.

Lancelot usiadł obok Morgiany.

– Czujesz się już lepiej, kuzynko? – spytał miło.

– O tak, to się już dziś zdarzyło – odparła. – To tak, jakbym zapadała w sen i widziała wszystko poprzez cienie... – Nie, myślała, to też nie było tak.

– Moja matka raz mówiła mi o czymś takim – powiedział Lancelot, a Morgiana odgadła przez to jego smutek i cierpienie. Z tego, co wiedziała, nigdy dotąd ani jej, ani nikomu innemu nie opowiadał o swej matce i o latach spędzonych w Avalonie. – Wydaje mi się, że uważała, iż to jest coś, co przychodzi samo wraz ze Wzrokiem. Raz powiedziała, że to tak, jakby była wciągnięta do czarownej krainy i oglądała wszystko stamtąd jak więzień, ale nie wiem, czy kiedykolwiek naprawdę była w czarownej krainie, czy to tylko było takie przywidzenie...

*Ale ja tam byłam,* pomyślała Morgiana, *i to nie jest tak, nie całkiem... to tak, jakby starać się sobie przypomnieć sen, który uleciał...*

– Ja sam niewiele doświadczyłem – powiedział Lancelot. – Czasami zdarza się, jakbym nie widział wyraźnie, jakby wszystkie rzeczy były bardzo oddalone i nierealne... i nie mogę ich dotknąć, bo najpierw muszę pokonać ogromną odległość... może to coś w tej czarownej

krwi, którą oboje mamy w sobie... – Westchnął i przetarł oczy. – Kiedy byłaś małą dziewczynką, drażniłem się z tobą pamiętasz? Nazywałem cię Morgianą Czarodziejką, a ty się złościłaś?

– Doskonale pamiętam – potaknęła, myśląc, że mimo udręki na twarzy, nowych zmarszczek, siwizny pobłyskującej na jego ciemnych lokach, teraz był dla niej jeszcze piękniejszy, bardziej ukochany niż jakikolwiek inny mężczyzna, którego kiedykolwiek spotkała. Zamrugła gwałtownie. Tak jest i tak być musi: on kocha ją tylko jako krewną, nic więcej.

I znów wydało jej się, że świat cofnął się za zasłonę z cieni, i nic, co ona robi, nie ma znaczenia. Ten świat nie był bardziej realny niż czarowna kraina. Nawet muzyka wydawała się odległa i niewyraźna, to Gawain wziął harfę i śpiewał jakąś pieśń, którą zasłyszał u Saksonów, o potworze, który mieszkał w wodach jeziora, a jeden z bohaterów zszedł do jeziora i wyrwał potworowi ramię, a potem zmierzył się z matką potwora w jej diabelskiej pieczarze...

– Ponura i krwawa opowieść – powiedziała pod nosem do Lancelota.

– Większość saksońskich pieśni jest taka – odparł z uśmiechem. – Wojny, rozlew krwi, bohaterowie zaprawieni w bojach i raczej w niczym więcej...

– A teraz, jak się wydaje, mamy z nimi żyć w pokoju – powiedziała Morgiana.

– Tak, tak być powinno. Mogę żyć z Saksonami, byle nie z ich muzyką... choć ich pieśni są dość ciekawe, jak myślę, na długi wieczór przy ogniu... – Westchnął i dokończył prawie niesłyszalnie: – Może ja też nie urodziłem się, by siedzieć przy ogniu...

– Chciałbyś znów jechać na wojnę?

Potrząsnął głową:

– Nie, ale mam dość dworu.

Morgiana dostrzegła, jak jego wzrok podąża do Gwenifer siedzącej u boku Artura. Uśmiechał się, słuchając pieśni Gawaina. Lancelot znów westchnął tak ciężko, jakby ten dźwięk wydarł się z głębi jego duszy.

– Lancelocie – powiedziała Morgiana cicho, lecz dobitnie – musisz stąd odejść albo będziesz zgubiony.

– O tak, zgubiony duszą i ciałem – odparł, wpatrując się w ziemię.

– Nie wiem nic o twej duszy, o to musisz zapytać księdza...

– Żałuję, że nie mogę! – powiedział Lancelot z powstrzymaną gwałtownością. Cicho uderzył zaciśniętą pięścią w podłogę. – Chciałbym wierzyć, że istnieje taki Bóg, o jakim mówią chrześcijanie...

– Musisz odejść, kuzynie. Jedź na jakąś wyprawę, jak Gareth, żeby zabijać rebeliantów, którzy łupią jakieś ziemie, albo jedź zabijać smoki, cokolwiek, ale jechać musisz!

Widziała, jak porusza się jego grdyka, kiedy przetykał ślinę.

– A co z nią?

– Wierz mi lub nie, ale jestem jej przyjazna – powiedziała Morgiana cicho. – Nie uważasz, że ona też ma duszę do zbawienia?

– No, dajesz mi tak dobre rady, jak jakiś ksiądz. – Uśmiechnął się gorzko.

– Nie trzeba być księdzem, żeby widzieć, kiedy dwaj mężczyźni i kobieta są w pułapce i nie mogą uciec od tego, co już się wydarzyło. Łatwo by było ją winić o wszystko... Tylko że ja też wiem, jak to jest kochać kogoś, kogo nie można... – przerwała i odwróciła wzrok, czując, jak jej twarz oblewa płomień.

Nie chciała powiedzieć aż tak wiele.

Pieśń się skończyła i Gawain odłożył harfę, mówiąc:

– Po tej ponurej opowieści trzeba nam czegoś lekkiego... może pieśni miłosnej, a to już zostawiam dwornemu Lancelotowi.

– Zbyt długo siedziałem na dworze, śpiewając miłosne pieśni – powiedział Lancelot, wstając i zwracając się do Artura. – Teraz, gdy znów tu jesteś, mój panie, i sam możesz wszystkiego dopilnować, proszę, byś wysłał mnie na jakąś wyprawę.

Artur uśmiechnął się do przyjaciela.

– Tak prędko chcesz wyjechać? Nie mogę cię zatrzymać, jeśli ci spieszno, by być stąd daleko. Ale gdzie pojedziesz?

*Pellinor i jego smok.* Morgiana spuściła oczy i patrzyła w dół, pod powiekami czuła jakby płomień. Z całą siłą, jaką potrafiła w to włożyć, sformułowała w myślach słowa i starała się przekazać je myślom Artura. Lancelot powiedział:

– Zamierzałem odnaleźć smoka...

W oczach Artura zabłyśły wesołe iskierki.

– To może być dobra okazja, by skończyć ze smokiem Pellinora. Opowieści z każdym dniem stają się barwniejsze, że już nawet ludzie boją się podróżować do tej krainy! Gwenifer powiedziała mi, że Elaine poprosiła o pozwolenie na odwiedziny domu. Możesz więc eskortować tam damę i zabraniam ci wracać, póki nie uśmiercisz Pellinorowego smoka.

– No nie – zaprotestował Lancelot ze śmiechem – czy wygnasz mnie ze swego dworu na zawsze? Jak mogę zabić smoka, który jest tylko zjawą?

Artur zachichotał:

– Obyś w życiu nie spotkał smoka groźniejszego niż ten, przyjacielu! Cóż, zobowiązuję cię, byś na zawsze skończył z tym smokiem, nawet gdybyś go musiał unicestwić samym śmiechem i ułożyć o tym balladę!

Elaine wstała i dygnęła przed Arturem.

– Za pozwoleniem, mój królu, czy mogę prosić, by pani Morgiana także odwiedziła mój dom?

– Chciałabym pojechać z Elaine, bracie – powiedziała Morgiana, nie patrząc na Lancelota. – Oczywiście, jeśli królowa może się beze mnie obyć. W tej krainie są zioła i



korzenie, o których niewiele wiem, chcę się o nich nauczyć od wiejskich kobiet. Potrzebne mi są na lekarstwa i amulety.

– Cóż – powiedział Artur – możesz jechać, jeśli chcesz. Tyle że bez was wszystkich będzie tu pusto. – Uśmiechnął się do Lancelota swym rzadkim, łagodnym uśmiechem. – Mój dwór nie jest moim dworem bez najlepszego z moich rycerzy. Nie będę cię tu jednak zatrzymywał wbrew twej woli, ani ja, ani moja królowa.

*Tego nie jestem taka pewna*, pomyślała Morgiana, patrząc, jak Gwenifer walczy, by opanować twarz. Artura nie było długo, niecierpliwił się zapewne, by połączyć się z żoną. Czy Gwenifer powie mu uczciwie, że kocha innego, czy też posłusznie pójdzie z nim do łóżka i znów będzie udawać?

I przez chwilę Morgiana ujrzała siebie jako cień królowej... *jakimś sposobem jej los i mój tak się posplatały...* ona, Morgiana, miała Artura i urodziła mu syna, czego tak pragnęła Gwenifer. Gwenifer miała miłość Lancelota, za którą Morgiana z chęcią zaprzedałaby swą duszę... *to podobne do tego Boga chrześcijan, czynić takie zamiany – on nie lubi kochanków. A może to Bogini tak okrutnie z nas żartuje?*

Gwenifer skinęła na Morgianę.

– Wyglądasz na chorą, siostrze. Wciąż ci słabo?

Morgiana potaknęła. Nie wolno mi jej nienawidzić. Jest tak samo ofiarą jak ja...

– Trochę jestem znużona. Wkrótce się położę.

– A jutro – powiedziała Gwenifer – ty i Elaine zabierzecie nam Lancelota. – Słowa wypowiedziane były lekko, jako żart, lecz Morgiana mogła zajrzeć głęboko w serce Gwenifer, tam gdzie zmagala się z wściekłością i udręką, jak ona sama. *Ach, nasze losy splecione są ze sobą przez Boginię, a któż może walczyć z jej wolą...* lecz utwardziła serce na rozpacz drugiej kobiety i powiedziała:

– Jakiż pożytek z kawalera królowej, jeśli nie wyjeżdża walczyć o coś, co wydaje mu się słuszne? Czy chcesz go zatrzymać na dworze i pozbawić możliwości zdobycia sławy, siostrze?

– Żadne z nas tego nie chce – powiedział Artur – skoro to dzięki odwadze mego przyjaciela i rycerza, mogę zastać tu mą królową bezpieczną. Dobranoc ci, siostrze.

Morgiana stała i patrzyła, jak odchodzą, po chwili poczuła na ramieniu dłoń Lancelota. Nic nie mówił, stał tylko i w milczeniu patrzył na Artura i Gwenifer. Stojąc tak bez ruchu, wiedziała, że gdyby wykonała jeden gest, tej nocy mogłaby mieć Lancelota. Teraz, kiedy widział, jak kobieta, którą kocha, wraca do swego męża, a ten mąż jest mu tak drogi, że nie mógłby podnieść ręki, by mu ją zabrać, teraz, w swej rozpaczycy zwróciłby się ku Morgianie, gdyby go zechciała.

*A on jest zbyt szlachetny, by potem mnie nie poślubić...*

*Nie. Elaine być może zechciałaby go na takich warunkach, ale nie ja. Ona jest szczerą, jej nie znienawidzi tak, jak z pewnością znienawidziłby mnie.*

Delikatnie zdjęła dłoń Lancelota ze swego ramienia.

– Jestem znużona, kuzynie. Ja też idę do łoża. Dobranoc, mój drogi – powiedziała i czując ironię swych słów, dodała jeszcze: – Śpij dobrze.

Wiedziała, że nie będzie spał. Cóż, tym lepiej dla planu, który przygotowała.

Jednakże przez większość tej nocy ona także leżała bezsennie gorzko żałując swej roztropności. Duma, myślała posepnie, to zimny kochanek...

## 6

W Avalonie wznosił się Tor zwieńczony kamiennym kręgiem, a w noc ciemnego księżyca procesja powoli sunęła w górę spiralną drogą przy blasku pochodni. Na przedzie szła kobieta, jasne włosy splecione miała w koronę nad szerokim czołem. Była odziana w biel, nóż w kształcie sierpa wisiał u jej paska. W migotliwym świetle pochodni wydawała się szukać wzrokiem Morgiany – tam, gdzie stała, w cieniu poza kręgiem, a jej oczy pytały: Gdzie jesteś, ty, która winnaś być tutaj, na moim miejscu? Czemu zwlekasz? Twe miejsce jest tutaj...

Królestwo Artura wymyka się spod władzy Pani Jeziora, a ty na to pozwalasz. Już teraz ze wszystkim zwraca się do księży, gdy ty, która winnaś zajmować w jego sercu miejsce Bogini, nic nie czynisz.

On ma miecz Świętych Regaliów; czy to ty zmusisz go, by szanował daną przysięgę, czy też odbierzesz mu miecz i powalisz go? Pamiętaj, Artur ma syna, i jego syn musi dorastać w Avalonie do wieku męskiego, by Artur mógł przekazać królestwo Bogini w jego ręce...

Potem wydało jej się, że Avalon się rozplynął, i zobaczyła Artura w straszliwej walce, z Ekskalibrem w dłoni. Upadł rażony innym mieczem i odrzucił Ekskalibur w wody jeziora, by miecz nie dostał się w ręce jego syna...

Gdzie jest Morgiana, którą Pani przygotowywała na ten dzień?

Gdzie jest ta, która w tej godzinie powinna zajmować miejsce Bogini?

Gdzie jest Wielki Kruk? I nagle, jakby stado kruków nadleciało nad mą głowę, nurkując, dziobały mi oczy, krążyły nade mną, krzycząc głosem Raven: Morgiano! Morgiano! Dlaczego nas opuściłaś, dlaczego mnie zdradziłaś?

– Nie mogę wrócić – krzyczałam. – Nie znam drogi... – Twarz Raven rozplynęła się jednak w oskarżającą twarz Viviany, a potem w cień Śmierci Kostuchy...

Morgiana zbudziła się, wiedząc, że leży w zalanej słońcem komnacie w zamku Pellinora. Ściany pokrywał biały tynk pomalowany w rzymskim stylu. Tylko gdzieś daleko, za oknem, usłyszała krzyk kruków i zadrżała.

Viviana nigdy nie miała skrupułów, by manipulować życiem innych ludzi, jeśli oznaczało to dobro Avalonu lub królestwa. Ona też nie powinna ich mieć. Mimo to ociągała się, choć mijały kolejne słoneczne dni. Lancelot spędzał czas na wzgórzach nad jeziorem, szukając smoka – *jakby tam rzeczywiście był jakiś smok*, myślała Morgiana z naganą – a wieczorami

przysiadł przy ogniu, wymieniał z Pellinorem pieśni i opowieści, śpiewał dla Elaine, siedząc u jej stóp. Elaine była piękna i niewinna, i bardzo podobna do swej kuzynki Gwenifer, lecz o pięć lat od niej młodsza. Morgiana pozwalała, by mijały kolejne słoneczne dni, pewna, że wszyscy muszą jasno widzieć logikę tej sytuacji – Lancelot i Elaine powinni się pobrać.

Nie, powiedziała sobie gorzko, gdyby ktokolwiek kierował się tu rozumem czy logiką, to Lancelot powinien był poślubić mnie już wiele lat temu. Teraz był czas, by działać.

Elaine odwróciła się w łóżu, które dzieliły, i otworzyła oczy.

Uśmiechnęła się i przytuliła do Morgiany. *Ona mi ufa*, myślała Morgiana z bólem. *Myśli, że pomagam jej zdobyć Lancelota z czystej przyjaźni. Gdybym jej nienawidziła, nie mogłabym jej wyrzucić większej krzywdy.*

– Teraz Lancelot miał już dość czasu, by odczuć brak Gwenifer. Twój czas nadszedł, Elaine – powiedziała spokojnie.

– Czy rzucisz na niego urok albo dasz Lancelotowi miłosny eliksir...?

Morgiana się roześmiała.

– Nie ufam zbyt miłosnym zaklęciom i amuletom, choć dziś w nocy dostanie w winie coś, co sprawi, że będzie gotów na każdą kobietę. Dziś w nocy nie będziesz spała tutaj, ale w pawilonie na skraju lasu, a Lancelot otrzyma wiadomość, że Gwenifer przyjechała tu i posyła po niego. I tak przyjdzie tam do ciebie, w ciemności. Nie mogę uczynić więcej, musisz być gotowa na jego przyjęcie...

– I będzie myślał, że ja to Gwenifer... – Zamrugła i przełknęła z trudem ślinę. – Cóż, to...

– Może myśleć, że jesteś Gwenifer, przez krótką chwilę – powiedziała Morgiana – lecz szybko się zorientuje. Jesteś dziewczicą, prawda, Elaine?

Twarz dziewczyny pokryła się purpurą, ale przytaknęła.

– Cóż, po tym, co mu dolegę do wina, nie będzie mógł się powstrzymać – mówiła dalej Morgiana – chyba, że się wystraszysz i będziesz próbowała się bronić, ostrzegam cię, to nie będzie taka znów przyjemność, skoro jesteś dziewczicą. Jak raz to rozpocznę, nie ma drogi powrotu, a więc teraz powiedz, czy chcesz, bym zaczynała.

– Chcę mieć Lancelota za męża i niech Bóg broni, abym się miała cofnąć, zanim nie zostanę jego prawowitą żoną.

– Niech się tak stanie – westchnęła Morgiana. – Teraz... znasz zapach Gwenifer...

– Znam, ale nie bardzo go lubię, jest dla mnie za mocny.

Morgiana potaknęła.

– Zrobiłam go dla niej, wiesz, że potrafię takie rzeczy. Kiedy udasz się do pawilonu, musisz natrzeć nim swe ciało i pościel. To, zwróci jego umysł ku Gwenifer i to wspomnienie go podnieci...

Młodsza kobieta z niesmakiem skrzywiła nos.

– To chyba nieuczciwe...

– To jest nieuczciwe – odparła Morgiana. – Tak więc, zdecyduj się. To, co robimy, jest nieuczciwe, Elaine, ale jest w tym też dobro. Królestwo Artura nie przetrwa, jeśli króla obwołają rogiem! Kiedy przez jakiś czas będziecie małżeństwem, to ponieważ jesteś tak podobna do Gwenifer, bez wątpienia roznieś się wieść, że właśnie ciebie przez cały czas kochał Lancelot. – Podała Elaine buteleczkę z pachnidłem. – Jeżeli masz zaufanego sługę, każ mu rozstawić pawilon, gdzieś gdzie Lancelot nie będzie mógł go zobaczyć aż do wieczora...

– Nawet ksiądz by to pochwalił – powiedziała Elaine – nie wątpię w to, gdyż odciągam go od cudzołóstwa z zamężną kobietą. Ja jestem wolna...

Morgiana czuła, że jej własny uśmiech jest sztuczny i wymuszony.

– Cóż, tym lepiej dla ciebie, że tak potrafisz uspokoić swe sumienie... niektórzy księża rzeczywiście mówią, że liczy się tylko szlachetny cel i wszystko jedno, jakich środków trzeba użyć, by go osiągnąć...

Elaine wciąż stała przed nią jak pouczane dziecko.

– No, idź już, Elaine – powiedziała Morgiana – idź i poślij Lancelota, by jeszcze jeden dzień polował na smoka. Muszę przygotować mój eliksir.

Patrzyła na nich, jak jedli śniadanie z jednego talerza i pili z jednego kubka. Lancelot lubi Elaine – myślała – tak, jak mógłby lubić małego, przyjaznego pieska. Nie będzie dla niej zły, kiedy się pobiorą.

Viviana była tak samo bezwzględna, nie miała skrupułów, wysyłając brata do łoża jego własnej siostry... Morgiana nosiła to wspomnienie z bólem, jak ćmiący ząb. To także będzie uczynione dla dobra królestwa, myślała, wychodząc na poszukiwanie swoich ziół i korzeni, by namoczyć je w winie, a następnie przygotować napój, który poda Lancelotowi. Starła się ułożyć modlitwę do Bogini, która łączy mężczyznę i kobietę w miłości lub w prostej chuci, takiej, jak zwierzęca ruja.

*O Bogini, znam dobrze uczucie pożądania...* myślała, uspokajając dłonie, by sprawnie pokruszyć zioła i wrzucić je do wina. *Czułam też jego pożądanie, choć nie zechciał mi dać tego, czego od niego pragnęłam...*

Siedziała, patrząc, jak zioła powoli wrzały w winie, jak podnosiły się małe banieczki, leniwie pękały, a wokół niej zaczynała roznosić się gorzko-słodka woń oparów. Świat wydawał się bardzo mały i odległy, jej kociołek był jak dziecinna zabawka, za to każda bańka, która pojawiała się na powierzchni wina, była tak wielka, że z łatwością mogłaby w niej popłynąć... całe jej ciało było obolałe tym pożądaniem, którego nigdy nie nasyci. Czuła, że zapada się w stan, w którym możliwa jest potężna magia...

Znajdowała się jakby równocześnie wewnątrz i na zewnątrz zamku, jakby część niej była daleko, na wzgórzach, podążała za sztandarem Pendragona, który czasami nosił Lancelot... wił się ogromny, czerwony smok... ale przecież smoków nie ma, nie takich smoków, a już smok Pellinora był z pewnością jedynie żartem, złudą, tak nierealną, jak ten sztandar, który powiewał kiedyś na południu nad murami Kamelotu, smok wymyślony przez jakiegoś artystę,

by ozdobić sztandar, jak te obrazki, które Elaine tkła na swych kobiercach. Lancelot musiał o tym wiedzieć. Polując na smoka, po prostu cieszył się miłą przejażdżką po słonecznych wzgórzach, ścigał sen i fantazję, to dawało mu możliwość pogrążania się w marzeniach o uściskach Gwenifer...

Morgiana spojrzała na płyn bulgotający w jej małym kociołku, kropla po kropli dodawała do mikstury więcej wina, by się nie wygotowało. Teraz marzy o Gwenifer, a dziś w nocy będzie miał w ramionach kobietę, pachnącą tak, jak ona. Ale najpierw Morgiana da mu tę nalewkę, która sprawi, że on ulegnie swej żądzy i nie będzie się mógł zatrzymać, gdy odkryje, że zamiast doświadczonej kobiety i swej ukochanej, trzyma w ramionach drżącą dziewczę... Przez chwilę Morgianie zrobiło się żal Elaine, bo to, co właśnie przygotowywała z zimną krwią, z pewnością przypominało gwałt. Choć Elaine tak bardzo pragnęła Lancelota, była jednak dziewczcą i nie miała pojęcia o różnicy pomiędzy swymi romantycznymi marzeniami o jego pocałunkach a tym, co naprawdę ją czekało – miał ją osiąść mężczyzna zbyt zamroczony, by wiedzieć, z kim jest. Czegokolwiek doświadczy Elaine, i jakkolwiek odważnie to zniesie, na pewno nie będzie to romantyczny epizod.

Ja oddałam swe dziewictwo dla Króla Byka... a jednak to było co innego. Od dzieciństwa wiedziałam, co mnie czeka, byłam wychowana i wykształcona w czci dla Bogini, która łączy mężczyzn i kobiety tak w miłości, jak i w chuci... Elaine jest wychowana jako chrześcijanka, nauczono ją uznawać tę podstawową życiową siłę za pierwotny grzech, za który ludzkość została skazana na śmierć...

Przez chwilę myślała nawet, by poszukać Elaine, postarać się ją przygotować, pomóc jej myśleć o tym tak, jak uczono o tym myśleć kapłanki: jak o wielkiej sile natury, czystej i bezgrzesznej, witanej jako źródło życia, porywające uczestników w swój nurt... Jednak wtedy Elaine uznałaby to za jeszcze gorszy grzech. Cóż, w takim razie musi sobie z tym sama poradzić. Może jej miłość do Lancelota przeprowadzi ją przez to bez szwanku.

Morgiana znów zwróciła swe myśli do parujących ziół i wina, wydawało jej się, że równocześnie jedzie na wzgórzach... nie był to jednak miły dzień na przejażdżkę; niebo było teraz ciemne i zachmurzone, wiał lekki wiatr, góry były łyse i puste. Poniżej długie ramie morza, które tworzyło jezioro, leżało szare i bezduszne, jak świeżo wykuty metal. Powierzchnia jeziora zaczęła się lekko burzyć, a może to tylko gotowała się nalewka w jej kotle? Ciemne bańki unosiły się, i wypływały z siebie ohydny smród, a potem powoli uniosła się z jeziora długa, wąska szyja, zwieńczona końską głową i końską grzywą... potem długie, obłe ciało zaczęło się wić w kierunku brzegu... wznosiło się, pełzło, w końcu wypłuło na brzeg całą swą długość.

Psy Lancelota wyrwały się do przodu, podbiegły do wody i szczeptały zajadle. Słyszała, jak na nie zawołał, po czym zatrzymał się jak wryty i patrzył sparaliżowany w kierunku wody, nie do końca wierząc własnym oczom. Potem Pellinor zadał w swój róg, by przywołać

innych, a Lancelot spiął konia ostrogami, chwycił włócznię i puścił się pełnym galopem w dół zbocza. Jeden z psów zawył przeraźliwie.

Cisza. Obserwując wszystko ze swego dziwnego oddalenia, Morgiana ujrzała przedziwny, oślizgły ślad wiodący do miejsca, gdzie leżało zmiażdżone ciało psa, do połowy zjedzone przez czarny śluz.

Pellinor nacierał, usłyszała krzyk Lancelota ostrzegający go, by się cofnął i nie jechał prosto na olbrzymią bestię... była czarna, miała ciało wielkiego robaka i jakby na kpinę, końską głowę i grzywę.

Lancelot podjechał bliżej, unikając kołyszącej się głowy i wbił włócznię prosto w ciało. Brzegiem wstrząsnął dziki ryk, jak wycie potępionych dusz... widziała, jak olbrzymia głowa kiwa się szaleńczo w przód i w tył, w przód i w tył... Lancelot zeskoczył ze swego przerażonego, zapierającego się w miejscu konia i na nogach pobiegł w kierunku bestii. Wielka głowa się pochyliła, Morgiana drgnęła, widząc ogromną, otwartą paszczę. Miecz Lancelota przeszył oko smoka, trysnęła krew i jakaś czarna, cuchnąca ciecz... na powierzchni wina znów bulgotały bańki...

Serce Morgiany łomotało gwałtownie. Opadła na krzesło i łyknęła trochę nie przyprawionego jeszcze wina. Czy to był tylko zły sen, czy rzeczywiście widziała, jak Lancelot zabił smoka, w którego nigdy naprawdę nie wierzyła?

Odoczywała przez jakiś czas, mówiąc sobie, że jedynie śniła, potem zmusiła się, by wstać, dodała do nalewki trochę słodkich przypraw, by zabić smak ziół. Na obiad będzie mocno nasolona wołowina, tak że wszyscy będą spragnieni i wypiją dużo wina, zwłaszcza Lancelot. Pellinor jest pobożnym człowiekiem, cóż by pomyślał, gdyby nagle cały jego zamek ogarnęła ruja? Musi się upewnić, że tylko Lancelot dostanie przyprawiony napój, a może, z litości, powinna dać też trochę Elaine...

Zlała przyprawione wino do flaszki i odstawiła na bok. Wtedy usłyszała krzyk i do komnaty wbiegła Elaine.

– Och, Morgiano, chodź szybko, potrzebna jest twoja pomoc, ojciec i Lancelot zabili smoka, ale obaj są poparzeni...

– Poparzeni? Co za bzdury? Naprawdę wierzysz, że smoki latają i zioną ogniem?

– Nie, nie – powiedziała Elaine niecierpliwie – ale ta bestia opluła ich swym śluzem, który pali jak ogień! Musisz przyjść i opatrzyć ich rany...

Wciąż nie dowierzając, Morgiana spojrzała na niebo za oknem.

Słońce stało już bardzo nisko nad horyzontem. Więc siedziała tu cały dzień! Ruszyła szybko, po drodze rozkazując służbie przynieść lniane bandaże.

Pellinor miał wielkie poparzenie wzdłuż jednego ramienia. Tak, to wyglądało zupełnie jak poparzenie, materiał jego tuniki był wyarty wokół rany. Pellinor zawył z bólu, gdy połała ją kojącym balsamem. Lancelot miał lekko poparzony bok, a na jednej nodze śluz przeżarł się przez jego but, tak że ze skórzanej cholewki została tylko cieniutka, galaretowata masa.

– Muszę dobrze oczyścić swój miecz – powiedział – jeśli to tak może zniszczyć skórzany but, pomyślcie, co by mogło zrobić z moją nogą... – Zadrzał.

– No, koniec z gadaniem tych, którzy uważali, że mój smok to tylko wymysł – powiedział Pellinor, podnosząc głowę, by napić się wina, które podała mu Elaine. – I dzięki Bogu, że miałem na tyle rozumu, by opłukać ramię w jeziorze, bo ten śluz zeżarłby mi rękę, tak jak spalił mego biednego psa, widziałeś jego trupa, Lancelocie?

– Psa? A tak – powiedział Lancelot – i mam nadzieję nigdy już nie ujrzeć takiej śmierci... wszystkich ich przekonasz, kiedy zawieszysz łeb smoka nad bramą...

– Nie mogę – odparł Pellinor, żegnając się. – Ta bestia w ogóle nie miała kości, wszystko było miękkie jak mazia albo ziemny robak... i wszystko spaliło się tym śluzem. Starłem się obciąć mu głowę, ale dosłownie topniała w powietrzu... Nie myślę, żeby to była zwyczajna bestia, to coś z piekła rodem!

– Ale jest martwe – powiedziała Elaine – a ty, Lancelocie, wypełniłeś, co król ci rozkazał, raz na zawsze skończyłeś ze smokiem mego ojca... – Ucałowała ojca i dodała nieśmiało przeprosiny: – Wybacz mi, ojcze, ja też myślałam, że twój smok to tylko wymysł.

– Na Boga, wolałbym, żeby tak było – powiedział Pellinor, znów się żegnając. – Wolałbym już być pośmiewiskiem wszystkich, stąd aż do Kamelotu, niż znów spotkać coś takiego! Szkoda, że nie mogę być pewien, iż nie ma już więcej takich bestii... Gawain mówił, że krążą opowieści o tym, co żyje w lochach pod spodem. – Dał znak paziowi, że chce więcej wina. – Myślę, że dobrze będzie upić się dziś wieczór, bo inaczej będę tę bestię widział w koszmarach przez następny miesiąc!

*Może tak by było najlepiej?*, zastanawiała się Morgiana. Nie, jeśli cały zamek się upije, to wcale nie pomoże jej planom.

– Musisz mnie słuchać, jeśli mam wyleczyć twe rany, królu Pellinorze – powiedziała. – Nie powinieneś więcej pić, tylko pozwolić Elaine, by położyła cię do łóżka z gorącymi kamieniami przy stopach. Straciłeś trochę krwi, musisz jeść ciepłą zupę i pić napary, ale już nie ruszaj wina.

Narzekał, ale posłuchał jej i kiedy Elaine i służba odprowadzili go do komnaty, Morgiana została sama z Lancelotem.

– No, to jakbyś chciał uczcić pokonanie swego pierwszego smoka?

Podniósł do ust swój puchar.

– Modląc się, by to był mój ostatni. Naprawdę myślałem, że moja godzina wybiła. Wolałbym już zmierzyć się z całą hordą Saksonów zbrojny tylko w topór!

– Niech Bogini pozwoli, byś nie miał już więcej takich spotkań – powiedziała Morgiana i napełniła jego puchar przyprawionym winem. – Zrobiłam to dla ciebie, jest lecznicze, ulży twym ranom. Muszę iść i sprawdzić, czy Elaine ułożyła Pellinora jak należy.

– Ale wrócisz tu, kuzynko? – spytał, delikatnie chwytając ją za nadgarstek.

Widziała, że wino zaczyna go rozpalać. *A bardziej niż wino, to spotkanie ze śmiercią sprawia, że mężczyzna czuje swą żądzę...*

– Wróć, obiecuję, teraz mnie puść – powiedziała, czując falę gorczy.

*A więc upadłam tak nisko, że chciałabym go mieć nawet zamroczonego, nieświadomego? Elaine chce go w ten sposób... cóż, tym lepiej dla niej. Ona chce go za męża, na dobre i na złe. Ja nie. Jestem kapłanką i wiem, że to, co we mnie płonie, nie pochodzi od Bogini, nie jest święte... czyż jestem taka słaba, że przyjmę nie tylko znoszone szaty Gwenifer, lecz także jej odrzuconego kochanka?* I kiedy jej rozsądek krzychał nie, słabość w całym jej ciele krzychała tak, i idąc korytarzem do komnaty Pellinora, była aż chora z pogardy dla samej siebie.

– Jak się miewa twój ojciec, Elaine? – Zdziwiła się, że głos ma taki spokojny.

– Leży cicho, myślę, że zaśnie.

– Dobrze. Teraz musisz iść do pawilonu, w nocy Lancelot przyjdzie do ciebie. Nie zapomnij pachnidła, którego używa Gwenifer...

Elaine była bardzo blada, błękitne oczy błyszcząły jak w gorączce. Morgiana chwyciła ją za ramię i wręczyła jej flaszkę z przyprawionym winem.

– Najpierw to wypij, dziecko – powiedziała, a jej własny głos drżał.

Elaine podniosła naczynie do ust i wypijała.

– Jest słodkie od ziół... czy to napój miłosny?

– Możesz tak myśleć, jeśli chcesz. – Usta Morgiany wygięły się w ledwie dostrzegalnym uśmiechu.

– Dziwne, to pali mi usta i pali mnie w środku... Morgiano, to nie trucizna? Ty... nie nienawidzisz mnie, Morgiano, za to, że będę żoną Lancelota?

Morgiana przyciągnęła dziewczynę do siebie, przytuliła ją i ucałowała. Ciepłe ciało w jej ramionach dziwnie ją podnieciło, nie wiedziała, czy była to tylko czułość czy pożądanie.

– Nienawidzić cię? Nie, nie, kuzynko, przysięgam ci, nie wzięłabym Lancelota za męża, nawet gdyby mnie błagał na kolanach... no, skończ wino, kochanie... poperfumuj się tutaj i tutaj... pamiętaj, czego on od ciebie oczekuje. Ty możesz sprawić, że zapomni o królowej. Teraz idź, dziecko, i czekaj na niego w pawilonie... – Znów przytuliła Elaine i ucałowała. – Niech Bogini cię błogosławi.

*Taka podobna do Gwenifer. Myślę, że Lancelot już jest w niej na wpół zakochany, ja tylko dokończę dzieła...*

Wzięła długi, drżący oddech i opanowała się, by móc wrócić do sali i do Lancelota. Nie wahał się i nalał sobie więcej przyprawionego wina, a kiedy weszła, podniósł na nią zamglone oczy.

– A, Morgiano, krewniaczko. – Przyciągnął ją, by siadła obok. – Napij się ze mną...

– Nie, nie teraz. Posłuchaj mnie, Lancelocie, przynoszę ci wiadomość...

– Wiadomość, Morgiano?



– Tak. Królowa Gwenifer przyjechała tu, by odwiedzić swą krewną, i nocuje w pawilonie za łąką. – Ujęła go za rękę i pociągnęła w stronę drzwi. – I przesyła ci wiadomość: nie chce pobudzić swych kobiet, więc masz iść do niej bardzo cicho, tam gdzie śpi. Zrobisz to?

W jego ciemnych oczach widziała odurzenie i pożądanie.

– Nie widziałem posłańca, Morgiano, gdybym nie wiedział, że dobrze mi życzysz...

– Nawet nie wiesz, jak dobrze ci życzę, kuzynie.

*Pragnę, żebyś się dobrze ożenił i skończył z tą beznadziejną, przeklętą miłością do kobiety, która może ci tylko przynieść hańbę i rozpacz...*

– Idź – powiedziała łagodnie. – Twoja królowa cię oczekuje. Jeśli w to wątpisz, posyła ci to... – Podała mu chusteczkę. Należała do Elaine, ale jedna chusteczka jest podobna do drugiej, a ta była dosłownie przesiąknięta zapachem, który kojarzył się z Gwenifer.

Przycisnął ją do ust.

– Gwenifer... – wyszeptał. – Gdzie, Morgiano, gdzie?

– W pawilonie. Dokończ wino...

– Wypijesz za mnie?

– Później – powiedziała z uśmiechem.

Kroki miał trochę chwiejne, oparł się na niej, żeby złapać równowagę, i otoczył ją ramionami. Jego dotyk podniecił ją, choć był tak słaby. *Chuć* – pomyślała gniewnie – *zwierzęca chuć, to nic błogosławionego przez Boginię...* Starła się odzyskać spokój. Jest odurzony jak zwierzak, jest mu wszystko jedno, mógłby ją posiąść w tej chwili, bezmyślnie, tak jak mógłby wziąć Gwenifer czy Elaine...

– Idź, Lancelocie, nie pozwól, by twoja królowa czekała.

Widziała, jak znika w ciemności. Wejdzie tam cicho. Elaine będzie na niego czekała, światło lampy będzie padało na jej złote włosy, takie podobne do włosów królowej, ale światło na tyle słabe, że nie rozpozna jej rysów; jej ciało i pościel będą pachnieć Gwenifer. Niespokojnie przemierzając długi, pusty korytarz, dręczyła się wyobrażaniem sobie, jak jego szczupłe, nagie ciało wślizguje się pod nakrycia, jak bierze Elaine w ramiona i obsypuje ją pocałunkami. *Żeby tylko ta mała idiotka miała na tyle sprytu i nie odzywała się, zanim on nie skończy...*

*Bogini! Zamknij przede mną Wzrok, nie pozwól mi zobaczyć Elaine w jego ramionach...* kręcąc się, umęczona, Morgiana nie wiedziała już, czy to jej wyobraźnia czy to Wzrok torturuje ją świadomością nagiego ciała Lancelota, dotyku jego dłoni... jak wyraźnie czuła je w swej pamięci... Wróciła do sali, gdzie służba sprzątała ze stołów, i rozkazała twardo:

– Dajcie mi wina.

Zaskoczony sługa nalał jej kielich. *Teraz pomyślą, że jestem nie tylko wiedźmą, ale i pijaczką.* Nie dbała o to. Opróżniła kielich i poprosiła o więcej. W jakiś sposób to odgrodziło ją od Wzroku, uwolniło od obrazu Elaine, przestraszonej, lecz szczęśliwej, leżącej pod jego twardym, pożądającym ciałem...

Niespokojnie, jak dzika kotka, chodziła po sali, przebłyski Wzroku to nadchodziły, to znikwały. Kiedy oceniła, że nadszedł czas, wciągnęła głęboko powietrze, umacniając się przed tym, co teraz musiała uczynić. Sługa, który spał przed królewskimi drzwiami, spojrzał przerażony, kiedy Morgiana pochyliła się, by go obudzić.

– Pani, o tej godzinie nie wolno przeszkadzać królowi...

– Chodzi o honor jego córki. – Morgiana chwyciła pochodnię wiszącą w uchwycie na ścianie i uniosła ją do góry. Wiedziała, jak musi wyglądać w jego oczach: wysoka i straszna, czuła, jak przybiera na siebie postać rozkazującej Bogini. Odsunął się z trwogą, a ona spokojnie przeszła obok.

Pellinor leżał wysoko na poduszkach, niespokojnie wiercił się przez sen z bólu zabandażowanej rany. On też obudził się zaskoczony, wpatrując się w twarz Morgiany, bladą w świetle pochodni.

– Musisz szybko wstać, mój panie – powiedziała gładko, a w jej głosie brzmiał jej własny, opanowany gniew. – To zdrada gościnności... uważam, że powinieneś o tym wiedzieć. Elaine...

– Elaine? Co?

– Nie śpi w swoim łóżku – powiedziała Morgiana. – Chodź szybko, mój panie.

Mądrze zrobiła, że nie pozwoliła mu pić. Nie dobudziłaby go, gdyby spał twardo po winie.

Pellinor zaskoczony, oszołomiony, narzucił płaszcz, wołając służki swej córki. Morgianie wydało się, że podążają za nią wszyscy w dół schodów i potem na zewnątrz tak gładko, jak wijący się wąż, na czele tej procesji, jak głowa węża, szła ona i Pellinor. Sprawnie odrzuciła jedwabną zasłonę w drzwiach pawilonu. Trzymała pochodnię wysoko i z okrutną satysfakcją patrzyła, jak blask oświeca rozwścieżoną twarz Pellinora. Elaine spała uśmiechnięta i szczęśliwa, ramionami oplatając szyję Lancelota.

Lancelot obudził się od światła, spojrzał dokoła zaskoczony, lecz przytomny, i na jego twarzy odbiła się potworna świadomość zdrady!

Nie powiedział jednak ani słowa.

– Teraz to musisz naprawić, ty przeklęty zboreźniku – wrzeszczał Pellinor. – Zhańbiłeś moją córkę!

Lancelot ukrył twarz w dłoniach. Odezwał się spoza nich zduszonym głosem.

– Wszystko... naprawię... królu Pellinorze... – Potem uniósł twarz i spojrzał prosto w oczy Morgiany.

Wytrzymała jego wzrok bez mrugnięcia, ale poczuła go jak miecz wbity w jej ciało. Do tej pory przynajmniej kochał ją jak krewną. Cóż, lepiej, żeby jej nienawidził. Ona też spróbuje go nienawidzić. Na widok twarzy Elaine, zawstydzonej, lecz uśmiechniętej, chciała się raczej rozplakać i błagać ich, by jej wybaczyli.

## **Mówi Morgiana...**

*Lancelot został poślubiony Elaine w dzień Przemienienia Pańskiego. Niewiele pamiętam z tej uroczystości poza twarzą Elaine, radosną i roześmianą. Do czasu kiedy Pellinor przygotował ślub, wiedziała już, że nosi w łonie syna Lancelota. A on, choć blady, wychudły i udreńczony, był delikatny dla Elaine i dumny z jej pęczniejącego ciała. Pamiętam też Gwenifer, jej twarz szarą od długiego płaczu, i wyraz niewyobrażalnej nienawiści, kiedy zwróciła się w moją stronę.*

*– Czy możesz przysiąc, że to nie twoja sprawka, Morgiano?*

*Spojrzałam jej prosto w oczy.*

*– Czyż żałujesz swej kuzynce męża, tak jak sama masz?*

*Na to nie mogła mi odpowiedzieć. Kolejny raz powiedziałam sobie z przekonaniem: gdyby ona i Lancelot byli uczciwi wobec Artura, gdyby razem uciekli z dworu i żyli poza jego królestwem, tak by Artur mógł sobie wziąć inną żonę, by dała mu dziedzica, wtedy bym się nie mieszała.*

*Ale od tamtego dnia Gwenifer mnie znienawidziła; i tego żałowałam najbardziej, bo w jakiś dziwny sposób kochałam ją. Gwenifer nigdy nie znienawidziła swej krewnej: posłała Elaine bogaty podarek i srebrny puchar, gdy urodził się jej syn, a kiedy Elaine ochrzciła chłopca imieniem Galahad, po ojcu, Gwenifer mianowała się jego chrzestną matką i przysięgła, że on zostanie dziedzicem tronu, gdyby ona nie dała Arturowi syna. Tego samego roku znowu obwieściła, że jest w ciąży, ale nic z tego nie wyszło i myślę, że to było jej ciągle pragnienie dziecka i kolejny wymysł.*

*Małżeństwo nie było gorsze niż większość. Tego roku Artur musiał wyruszyć na wojnę na północne wybrzeże, więc Lancelot niewiele czasu bawił w domu. Jak wielu mężczyzn, spędzał czas na wojaczce, przyjeżdżając do domu dwa, trzy razy do roku, by dopilnować ziem – Pellinor podarował im zamek w pobliżu swego; by zabrać nowe szaty i koszule utkane i wyhaftowane przez Elaine – od czasu poślubienia Elaine, Lancelot zawsze ubierał się tak pięknie, jak sam król; by ucałować syna, a później i córki, by przespać się z żoną raz, a może dwa, i znów wyruszał.*

*Elaine zawsze wyglądała na szczęśliwą. Nie wiem, czy była naprawdę szczęśliwa, będąc jedną z tych kobiet, które znajdują swe szczęście w domu i przy dzieciach, czy też tęskniła za czymś więcej, a jednak dzielnie dotrzymywała umowy, którą zawarła.*

*Jeśli chodzi o mnie, mieszkałam na dworze jeszcze przez dwa lata.*

*A potem, w Zielone Świątki drugiego roku, gdy Elaine była w ciąży ze swym drugim dzieckiem, Gwenifer dokonała swej zemsty.*

Jak każdego roku, dzień Zielonych Świątek był wielkim świętem Artura. Gwenifer nie spała już od świtu. Tego dnia wszyscy rycerze, którzy walczyli u boku Artura, przybędą na dwór, w tym roku powinien przyjechać także Lancelot...

...rok temu nie przyjechał. Przysłano wieść, że musiał się udać do Mniejszej Brytanii na pomoc swemu ojcu, gdyż król Ban starał się zażegnać niepokoje w swym królestwie. W głębi serca Gwenifer wiedziała jednak, dlaczego nie przyjechał, dlaczego wolał być z dala od dworu.

Nie chodziło o to, że ona nie potrafiła wybaczyć mu małżeństwa z Elaine. To zostało uknute przez Morgianę i jej zawiść, przez Morgianę, która nie mogąc mieć Lancelota dla siebie, nie zawahała się przed niczym, by rozdzielić go z tą jedyną, którą naprawdę kochał.

Gwenifer przypuszczała, że aby tylko nie widzieć Lancelota w jej ramionach, Morgiana wolałaby go już raczej ujrzeć w piekle albo w grobie.

Z tego, co widziała, Artur też szczerze tęsknił za Lancelotem.

Choć zasiadał na swym tronie w Kamelocie i sprawiedliwie rządził wszystkimi ludźmi – a był kochany, kochany o wiele bardziej niż jakikolwiek inny król, o którym Gwenifer słyszała – widziała, że zawsze wspominał swe dni bitew i podbojów; przypuszczała, że wszyscy mężczyźni są tacy. Artur zabierze ze sobą do grobu wielkie rany i blizny, które otrzymał w swych wspaniałych bitwach. Kiedy rok za rokiem walczyli o to, by na tych ziemiach zapanował pokój, wtedy mówił, że nie pragnąłby niczego, jak tylko wygodnie siedzieć w domu w Kamelocie i cieszyć się zamkiem. A teraz nigdy nie był tak szczęśliwy, jak wtedy gdy mógł zebrać wokół siebie swych starych kompanów i wspominać te dawne, straszne czasy, kiedy zewsząd nacierali Saksoni i lutowie, i dzikie ludy Północy.

Patrzyła na śpiącego Artura. Tak, wciąż jest najprzystojniejszym i najlepszym spośród wszystkich starych kompanów; czasem myślała nawet, że jest przystojniejszy od samego Lancelota, choć to nie było uczciwe, by ich porównywać, jeden taki smagły, drugi taki jasny.

Poza tym są przecież kuzynami, z jednej krwi... ciekawe, jak też Morgiana dostała się do tej rodziny? Może rzeczywiście była odmieńcem, nie zwyczajną istotą ludzką, ale podrzutkiem zostawionym przez czarowny lud, by czynić zło między ludźmi... czarownicą szkoloną w niechrześcijańskich zabobonach. Artur także jest skażony tym pochodzeniem, choć sprawiła, że często uczęszczał na mszę i mówił o sobie jak o chrześcijaninie. To też nie podobało się Morgianie.

Cóż, będzie walczyć do ostatka, by zbawić duszę Artura! Kocha go, jest najlepszym mężem, jakiego kobieta mogła sobie wymarzyć, nawet gdyby nie był Najwyższym Królem, lecz zwykłym rycerzem.

Z pewnością dawne szaleństwo, które ją opętało, już minęło. Wpadało przecież, by myślała miło o kuzynie swego męża. To przecież z woli samego Artura po raz pierwszy

znalazła się w ramionach Lancelota. Teraz to wszystko było dawno skończone, a ona się z tego wypowiedziała i dostała rozgrzeszenie. Jej ksiądz zapewnił ją, że to tak, jak gdyby grzechu nigdy nie było i że teraz musi się starać o tym wszystkim zapomnieć.

Jednak tego ranka, kiedy Lancelot miał przyjechać na dwór ze swą żoną i synem, nie mogła się powstrzymać, by nie pamiętać, choć trochę... jest żonatym mężczyzną, żonatym z jej własną kuzynką.

Teraz jest nie tylko krewnym jej męża, lecz także jej krewnym. Może więc powitać go pocałunkiem i to nie będzie grzech.

Artur obrócił się, jakby jej myśli przeszkadzały mu spać, i uśmiechnął się do niej.

– To Zielone Świątki, kochanie – powiedział – i cała nasza rodzina i przyjaciele tu przybędą. Uśmiechnij się.

Uśmiechnęła się, a on przyciągnął ją do siebie, całując, dłońmi obejmował jej piersi.

– Jesteś pewna, że to, co dziś uczynimy, nie urazi cię? Nie pozwolę, by ktokolwiek myślał, że mniej dla mnie znaczysz – powiedział z niepokojem. – Nie jesteś stara, Bóg może nam jeszcze dać dzieci, jeśli taka jest jego wola. Jednakże lenni królowie to na mnie wymogli, życie nigdy nie jest pewne, więc muszę ustanowić następcę. Kiedy urodzi się nasz pierwszy syn, kochanie, to będzie tak, jakby dzisiejszy dzień w ogóle się nie wydarzył, a jestem pewien, że młody Galahad nie będzie zazdrościł tronu swemu kuzynowi, lecz służył mu i szanował go, tak jak Gawain szanuje mnie...

*To może być prawda*, myślała Gwenifer, poddając się delikatnym pieszczotom męża. Takie rzeczy opisywano w Biblii: matka Jana Chrzciciela, która była kuzynką Dziewicy – Bóg otworzył jej łono długo po tym, jak minęły jej płodne lata, a ona, Gwenifer, nie miała jeszcze trzydziestu lat... nawet Lancelot powiedział jej kiedyś, że jego matka była jeszcze starsza, kiedy on się urodził. Może tym razem, po tych wszystkich latach, wstanie z łoża swego męża, nosząc w swym łonie ziarno jego syna. A teraz, kiedy nauczyła się nie tylko być mu posłuszną, jak wymaga się tego od dobrej żony, lecz także czerpać przyjemność z jego dotyku, z tego, jak wypełnia ją jego męskość, z pewnością jest bardziej gotowa na to, by zająć w ciążę...

Bez wątpienia wyszło na dobre, że kiedy trzy lata temu myślała, iż nosi dziecko Lancelota, coś znów było nie tak... przez trzy miesiące nie miała wtedy swych miesięcznych krwawień i powiedziała jednej czy dwóm dworkom, że jest przy nadziei, a potem, po kolejnych miesiącach, kiedy powinna poczuć pierwsze ruchy, okazało się, że znowu były to tylko mrzonki... ale teraz, teraz na pewno, z tą nową tkliwością, którą czuje, odkąd się obudziła, tym razem stanie się to, czego pragnie. I Elaine nie będzie znów nad nią tryumfowała... Może sobie nawet przez jakiś czas być matką królewskiego następcy, ale Gwenifer będzie matką królewskiego syna...

Powiedziała coś podobnego później, kiedy się już ubierali, a Artur spojrział na nią zaniepokojony:

– Czy żona Lancelota jest dla ciebie niemiła lub się wywyższa, Gwenifer? Myślałem, że ty i twoja kuzynka jesteście dobrymi przyjaciółkami...

– Tak, jesteśmy – odparła Gwenifer, mrugając, by odpędzić łzy – ale tak zawsze jest z kobietami... kobiety, które mają synów, zawsze uważają się za lepsze od tych, które są bezdzietne. Żona świniarza w swym położu z pewnością myśli z pogardą i litością o królowej, która swemu panu nie może dać nawet jednego syna.

Artur podszedł do niej i pocałował ją w kark.

– Nie, kochanie, nie płacz. Wolę ciebie niż inne kobiety, które mogłyby mi dać nawet i tuzin synów.

– Doprawdy? – spytała Gwenifer, a w jej głosie zabrzmiała szydercza nutka. – A przecież byłam tylko czymś, co mój ojciec dołączył do setki koni, jako część transakcji, a ty potulnie mnie przyjąłeś, by dostać te konie, ale jak widać kiepski ze mnie nabytek...

Uniósł brwi i patrzył na nią z niedowierzaniem w swych błękitnych oczach.

– Czy myślałeś o tym i wyrzucałeś mi to przez wszystkie te lata, moja Gwen? Musisz przecież wiedzieć, że od pierwszej chwili, kiedy ujrzałem twą twarz, nikt nigdy nie był mi droższy! – powiedział i otoczył ją ramionami. Stała sztywno, walczyła ze łzami, a on pocałował ją w kącik oka. – Gwenifer, Gwenifer, pomyśl tylko, jesteś moją żoną, moją ukochaną, mą drogą żoną i nic na świecie nie może nas rozdzielić. Gdybym chciał tylko klaczy, by dała mi synów, Bóg mi świadkiem, że mogłem ich mieć, ile chciałem!

– Ale tego nie zrobiłeś – powiedziała wciąż sztywna i zimna w jego ramionach. – Z chęcią bym wzięła twego syna na wychowanie, by dorastał jako twój następca. Ale ty uznałeś, że nie jestem godna, by wychowywać twego syna... i to ty popchnąłeś mnie w ramiona Lancelota...

– Och, moja Gwen – powiedział z twarzą smutną jak u skarconego dziecka – czy wciąż jeszcze masz mi za złe to stare szaleństwo? Byłem pijany i wydawało mi się, że kochasz Lancelota... Chciałem sprawić ci przyjemność, a gdyby to rzeczywiście była prawda, że jesteś bezdzietna z mojej winy, to tym sposobem mogłaś mieć dziecko z kimś tak mi bliskim, że z czystym sumieniem mógłbym ogłosić moim następcą każde dziecko urodzone po tej nocy. Ale przede wszystkim byłem pijany...

– Czasami – powiedziała z kamienną twarzą – wydaje mi się, że kochasz Lancelota bardziej niż mnie. Czy możesz przysiąc, że to mnie chciałeś sprawić przyjemność, czy też zrobiłeś to dla rozkoszy tego, którego najbardziej kochasz?

Zdjął rękę z jej szyi, jakby poczuł ukłucie.

– A zatem to grzech kochać swego krewnego i myśleć także o jego przyjemności? To prawda, kocham was oboje...

– W Piśmie Świętym mówi się o tym mieście, które zostało zniszczone za takie grzechy – powiedziała Gwenifer.

Twarz Artura była biała, jak jego własna koszula.

– Kocham mego krewniaka Lancelota z całym szacunkiem, Gwen. Sam król Dawid napisał o swym kuzynie i przyjacielu Jonatanie, *Więcej cenilem twą miłość niżeli miłość kobiet\**, a Bóg go za to nie poraził. Tak jest z towarzyszami bitew. Czy śmiesz twierdzić, że taka miłość jest grzechem, Gwenifer? Nie wyprę się jej nawet przed Bożym tronem. – Zatrzymał się, niezdolny, by wymówić coś więcej przez wyschnięte gardło.

Gwenifer usłyszała swój własny, histerycznie łamiący się głos:

– Czy możesz przysiąc, że gdy sprowadziłeś go do naszego łoża... widziałam to, dotykałeś go z większą miłością, niż kiedykolwiek dałeś kobiecie, którą wmusił ci mój ojciec... kiedy przywiódłeś mnie do tego grzechu, czy możesz przysiąc, że to nie był twój własny grzech, a twoje mądre wywody nie były tylko przykrywką dla tego samego grzechu, który sprowadził ogień z nieba na miasto Sodomę?

Wpatrywał się w nią, wciąż śmiertelnie blady.

– Z pewnością jesteś szalona, moja pani. Tej nocy, o której mówisz, byłem pijany, nie wiem, co wtedy mogłaś widzieć. Była noc Beltanu i moc Bogini była w nas wszystkich. Myślę, że te twoje ciągłe modlitwy i rozmyślania o grzechu pomieszały ci rozum, moja Gwen.

– Żaden chrześcijanin by tak nie powiedział!

– I to jest jeden z powodów, dla których nie lubię nazywać siebie chrześcijaninem! – krzyknął, w końcu tracąc cierpliwość. – Jestem zmęczony tym ciągłym gadaniem o grzechu! Gdybym cię od siebie odsunął... a tak radzono mi to, ale nie chciałem, bo tak bardzo cię kochałem gdybym wziął inną kobietę...

– Nie! Ty wolałaś raczej podzielić się mną z Lancelotem i mieć także jego...

– Powtórz to – powiedział bardzo cicho – a żona czy nie, miłość czy nie, zabiję cię, moja Gwenifer!

Ale ona już łkała histerycznie i nie mogła się powstrzymać.

– Mówisz, że chciałeś syna i dlatego przywiódłeś mnie do tego grzechu, którego Bóg nie wybacza, jeśli zgrzeszyłam, i Bóg ukarał mnie bezdzietnością, czy to nie ty namówiłeś mnie do tego grzechu? I nawet teraz to syn Lancelota zostaje twoim następcą, a ty śmiesz twierdzić, że to nie jego kochasz najbardziej, skoro jego syna mianujesz swym dziedzicem, a nie swego własnego syna, kiedy nie chcesz mi dać swego syna na wychowanie...

– Zawołam twe kobiety, Gwenifer – powiedział z głębokim westchnieniem. – Nie panujesz nad sobą. Przysięgam ci, nie mam syna, a jeśli mam, to jakieś przypadkowe dziecko z moich wojennych dni, a kobieta musiała nie wiedzieć, kim byłem. Żadna kobieta w pobliżu moich obozowisk nigdy nie przysłała do mnie, mówiąc, że nosi moje dziecko. Mimo tych księży i grzechu, nie wierzę, by jakakolwiek kobieta wstydziła się przyznać, że urodziła syna bezdzietnemu Najwyższemu Królowi. Nigdy nie wziąłem żadnej kobiety mimo jej woli, nie cudzołożyłem z żoną innego mężczyzny. Co to za szalone uwagi o moim synu, którego chcesz wychowywać na mego następcę? Mówię ci, nie mam syna. Często się zastanawiałem,

\* 2 Sm 1, 26.

czy to może jakaś choroba w dzieciństwie, albo ta wielka rana nie uczyniły mnie bezpłodnym... Ja nie mam syna.

– A właśnie, że to kłamstwo! – powiedziała Gwenifer gniewnie. – Morgiana zakazała mi o tym mówić, ale dawno temu poszłam do niej i błagałam ją o amulet na moją bezdzietność. Byłam w rozpacz. Powiedziałam jej, że oddam się innemu mężczyźnie, bo ty pewnie nie możesz mieć dzieci. I wtedy Morgiana przysięgła mi, że możesz być ojcem i że ona widziała twego syna, wychowywanego na dworze w Lothianie, ale kazała mi obiecać, że o tym nie powiem...

– Wychowywany na dworze w Lothianie... – powiedział Artur i złapał się za pierś, jakby poczuł tam straszny ból. – Och, Boże miłosierny... – wyszeptał – a ja o tym nie wiedziałem...

Gwenifer poczuła, jak przeszywa ją nagła trwoga.

– Nie, nie, Arturze, Morgiana kłamie! Bez wątpienia to była tylko jej złośliwość. To ona uknuła małżeństwo Lancelota z Elaine, bo była zazdrosna... na pewno kłamała, by mnie zranić...

Artur odezwał się nieobecny głosem.

– Morgiana jest kapłanką Avalonu. Ona nie kłamie. Myślę, Gwenifer, że musimy ją o to zapytać. Poślij po Morgianę...

– Nie, nie – błagała Gwenifer. – Przepraszam, że to powiedziałam, nie wiedziałam, co czynię, byłam zaślepiona złością... och, mój drogi panie i mężu, mój królu i panie, przepraszam za każde słowo, które powiedziałam! Błagam, wybacz mi... błagam...

Objął ją ramionami.

– Ty też musisz mi wybaczyć, moja droga pani. Rozumiem teraz, że bardzo cię skrzywdziłem. Jednak pamiętaj, że kto wiatr sieje, burzę zbiera... – Bardzo delikatnie pocałował ją w czoło. – Poślij po Morgianę.

– Och, mój panie, och, Arturze, błagam cię, obiecałam jej, że nigdy ci tego nie powiem...

– A więc złamałaś daną obietnicę – powiedział Artur. – Prosiłem cię, byś zamilkła, ale się upierałaś, a teraz co się stało, to się nie odstanie. – Wyszedł za drzwi komnaty i przywołał swego szambelana: – Idź do pani Morgiany z rozkazem, by przyszła do mnie i mej królowej tak szybko, jak to możliwe.

Kiedy szambelan odszedł, Artur zawołał służącą Gwenifer, a Gwenifer stała jak posąg, kiedy kobieta ubierała ją w świąteczne szaty i zaplatała jej włosy. Upiła łyk ciepłej wody z winem, ale gardło miała zaciśnięte. Powiedziała rzeczy niewybaczalne.

*Ale jeśli to prawda, że tego ranka dał mi swoje dziecko... dziwny ból przeszył całe jej ciało, aż po łono. Czy cokolwiek może się uchować i urosnąć w takiej goryczy?*

Po jakimś czasie do komnaty weszła Morgiana odziana w ciemnoczerwony suknię, we włosach miała wplecione purpurowe, jedwabne wstążki. Pięknie się ubrała na święto, wyglądała żywo i radośnie.



*A ja jestem tylko uschniętym drzewem, myślała Gwenifer. Elaine ma syna Lancelota; nawet Morgiana, która nie ma męża i nie chce go mieć, zachowała się jak ladacznica i urodziła syna komuś tam, a Artur jest ojcem syna jakiejś nieznannej kobiety. Tylko ja... ja nie mam dziecka.*

Morgiana podeszła i ucałowała ją. Gwenifer stała sztywno w jej ramionach. Morgiana zwróciła się do Artura:

– Rozkazałeś mi przyjść, mój bracie?

– Przepraszam, że przeszkadzam ci tak wcześnie, siostró – powiedział. – Ale Gwenifer... no teraz musisz powtórzyć w obecności mojej i Morgiany to, co mi powiedziałaś. Nie pozwolę, by na tym dworze powtarzano skryte oszczerstwa.

Morgiana spojrzała na Gwenifer i dostrzegła ślady łez wokół jej zaczerwienionych oczu.

– Drogi bracie – powiedziała – twoja królowa jest chora. Czy jest znów przy nadziei? A jeśli chodzi o to, co mogła powiedzieć, to jest prawda w powiedzeniu, że nawet najtwardsze słowa nie łamią kości.

Artur spojrzał zimno na Gwenifer i Morgiana zamilkła. To nie był ten sam brat, którego tak dobrze znała, lecz surowe oblicze Najwyższego Króla, kiedy zasiadał na tronie, by wydawać sądy.

– Gwenifer – powiedział – nie tylko jako twój małżonek, ale jako twój król, rozkazuję ci: Powtórz przed Morgianą to, co powiedziałaś za jej plecami, o tym, że ci wyjawiała, iż mam syna na wychowaniu na dworze w Lothianie...

*To prawda, pomyślała Gwenifer w jednym ułamku sekundy. Nigdy przedtem, z wyjątkiem chwili, gdy zamordowano Vivianę na jej oczach, nigdy nie widziałam, by twarz Morgiany była inna niż spokojna, opanowana twarz kapłanki... To prawda, i to bardzo ją dotyka... ale dlaczego?*

– Morgiano – spytał Artur – powiedz mi, czy to prawda? Czy mam syna?

*Co to ma wspólnego z Morgianą? Dlaczego chciała, by to zostało w tajemnicy, nawet przed Arturem? Może chce ukrywać swoje własne wszeteczeństwa, ale dlaczego ukryła przed Arturem, że on ma syna? I nagle uderzyło ją jakby przecucie prawdy, aż głośno złapała powietrze.*

*Kapłanka Avalonu nie kłamie, myślała Morgiana. Ale ja jestem wypędzona z Avalonu, i to właśnie przez to... i żeby moje poświęcenie nie było daremne, muszę teraz skłamać, i to skłamać dobrze i szybko.*

– Kto to był? – spytała Gwenifer ze złością. – Jedna z tych ladacznic, kapłanek Avalonu, które oddają się mężczyznom w grzechu i nierządzie na swych diabelskich rytuałach?

– Nie wiesz nic o Avalonie – powiedziała Morgiana, walcząc, by opanować głos. – Twe słowa są jak wiatr, bez znaczenia...

Artur ujął ją za rękę.

– Morgiano... siostró... – powiedział, a ona myślała, że jeszcze chwila i się rozpłaczę... tak jak on płakał w jej ramionach tamtego ranka, kiedy się dowiedzieli, jak Viviana oszukała ich oboje...

Miała sucho w ustach, oczy ją piekły.

– Powiedziałam o... o twoim synu... tylko dlatego, by pocieszyć Gwenifer, Arturze. Obawiała się, że ty nie możesz dać jej dziecka...

– Szkoda, że nie powiedziałaś tego mi, by mnie pocieszyć – odparł Artur, lecz jego uśmiech był tylko grymasem rozciągającym mu usta. – Przez wszystkie te lata myślałem, że nie mogę spłodzić syna, nawet dla uratowania mego królestwa, Morgiano, teraz musisz powiedzieć prawdę.

Morgiana wzięła głęboki oddech. W śmiertelnej ciszy, która zapanowała w komnacie, słyszała, jak gdzieś za oknem szczeka pies, jak bzyczy jakaś muszka. W końcu przemówiła:

– W imię Bogini, Arturze, skoro pragniesz to wiedzieć... urodziłam syna Króla Byka, dziesięć księżyców po twym pasowaniu na króla na Wyspie Smoka. Morgause ma go pod swą opieką i przysięgła mi, że ty nigdy się o tym nie dowiesz z jej ust. Teraz usłyszałeś to z moich. I niech to wystarczy.

Artur był blady jak śmierć. Chwycił ją w ramiona, czuła, jak cały drży. Łzy spływały mu po twarzy i nawet nie dbał o to, by je wytrzeć czy powstrzymać.

– Och, Morgiano, Morgiano, moja biedna siostrzyczko... wiedziałem, że wyrządziłem ci wielką krzywdę, ale nigdy nie przypuszczałem, że ta krzywda była aż tak wielka...

– To znaczy, że to prawda? – krzyknęła Gwenifer. – Ta nierządna dziwka, twoja siostra śmiała cudzołożyć z własnym bratem?

Artur odwrócił się do niej, ramionami wciąż otaczając Morgianę.

Odezwał się głosem, którego nigdy przedtem nie słyszała:

– Zamilcz! Nie mów ani słowa o mojej siostrze! To nie był ani jej pomysł, ani jej wina! – Głęboko wciągał powietrze, a Gwenifer miała czas usłyszeć echo swych własnych, wstrętnych słów.

– Moja biedna siostró... – powtórzył Artur. – I sama zniosłaś ten ciężar, i nie położyłaś dowodu mej winy przed moimi drzwiami... nie Gwenifer – powiedział szybko, znów się do niej odwracając – to nie tak, jak myślisz. To się zdarzyło na moim pasowaniu i żadne z nas nie znało drugiego, było ciemno, a my nie widzieliśmy się, odkąd ja byłem tak malutki, że Morgiana nosiła mnie w swych ramionach. Była dla mnie tylko Kapłanką Matki, a ja dla niej tylko Rogatym Panem, a kiedy się rozpozналиśmy, było już za późno, zło już się stało – powiedział, siląc się, by jego głos był słyszalny poprzez łązy. Przytulił Morgianę jeszcze mocniej, płacząc: – Morgiano! Morgiano! Powinnaś mi była powiedzieć!

– I znowu myślisz tylko o niej! – krzyknęła Gwenifer. – Nie o swoim największym z możliwych grzechów, to twoja własna siostra, dziecko z łona twej własnej matki, i za taki grzech Bóg cię ukarze...

– Rzeczywiście, już mnie ukarał – powiedział Artur, tuląc Morgianę. – Ale to był grzech nieświadomy, bez pragnienia uczynienia zła.

– Może to właśnie za to – wrzeszczała Gwenifer – Bóg ukarał cię bezpłodnością, ale nawet teraz, gdybyś odprawił pokutę...

Morgiana delikatnie uwolniła się z uścisku Artura. Z wściekłością tak ogromną, że aż nie mogła wymówić słowa, Gwenifer patrzyła, jak Morgiana osusza łązy Artura swą chusteczką, niemal mechanicznie, gestem matki lub starszej siostry, nie było w tym nic z rozpusty, którą Gwenifer pragnęła zobaczyć.

– Gwenifer, zbyt wiele rozmyślasz o grzechu – powiedziała Morgiana. – Nie zgrzeszyliśmy, Artur i ja. Grzech to chęć zrobienia krzywdy. Połączyliśmy się z woli Bogini, z życiodajną mocą, i jeśli przyszło na świat dziecko, to zostało poczęte z miłości, cokolwiek nas tam sprowadziło. To prawda, że Artur nie może uznać syna zrodzonego z ciała swej siostry. Ale też nie jest pierwszym królem, który ma nieślubnego syna, do istnienia którego nie może się przyznać. Chłopiec jest zdrowy i silny i teraz bezpieczny w Avalonie. Bogini, a nawet twój Bóg, to nie jakiś mściwy demon, szukający okazji, by karać ludzi za wymyślone grzechy. To, co się zdarzyło między Arturem i mną, nie powinno się było wydarzyć, ani on, ani ja tego nie pragnęliśmy, ale co się stało, to się nie odstanie. Bogini nie ukarze ciebie bezdzietnością za grzechy innych. Czy możesz obwiniać Artura za swoją własną jałowość, Gwenifer?

– Tak jest! – wykrzyknęła Gwenifer. – To on zgrzeszył i Bóg, go ukarał za kaziurodztwo, za spłodzenie syna z własną siostrą... za służenie Bogini, temu demonowi fałszywej wiary i nierządu... Arturze! – krzyczała – powiedz mi, że się ukorzysz, że jeszcze dziś, w tym świętym dniu, pójdziesz do biskupa i wyznasz mu, jak zgrzeszyłeś, i odprawisz taką pokutę, jaką ci zada, i wtedy może Bóg ci wybaczy i przestanie karać nas oboje!

Zakłopotany Artur spoglądał to na Morgianę, to na Gwenifer.

– Pokuta? Grzech? – spytała Morgiana. – Czy ty naprawdę wierzysz, że twój Bóg to złośliwy staruszek, który zakrada się potajemnie, by śledzić, kto idzie do łoża z cudzą żoną?

– Ja wyznałam swoje grzechy! – krzyknęła Gwenifer. – Odprawiłam pokutę i dostałam rozgrzeszenie! To nie za moje grzechy Bóg nas karze! Powiedz, że tak uczynisz, Arturze! Kiedy Bóg dał ci zwycięstwo pod Mount Badon, przysiągłeś, że odrzucisz ten stary sztandar ze smokiem i będziesz władał jako chrześcijański król, ale nie wyspowiadałeś się z tego grzechu. Teraz odpraw pokutę także za to i pozwól, by Bóg dał ci zwycięstwo w dzisiejszym dniu, tak jak to uczynił pod Mount Badon, i uwolnij się od swych grzechów, i daj mi syna, który po tobie będzie rządził z Kamelotu!

Artur odwrócił się i oparł o ścianę, zakrywając twarz rękoma.

Morgiana chciała do niego podejść, ale Gwenifer wrzasnęła:

– Trzymaj się od niego z daleka... ty...! Chcesz go kusić, by grzeszył jeszcze bardziej? Czyż nie zrobiłaś już dość, ty i ten straszny demon, którego nazywasz Boginią, ty i ta stara wiedźma, którą Balin słusznie zabił za jej przekłętą czary...

Morgiana zamknęła oczy, jej twarz wyglądała tak, jakby zaraz miała się rozplakać. Potem westchnęła i powiedziała:

– Nie mogę słuchać, jak przeklinasz moją religię, Gwenifer. Ja nie bluźnięłam na twoją, pamiętaj o tym. Bóg jest Bogiem, jakkolwiek go nazywasz, i jest zawsze dobry. Myślę, że to jest właśnie grzech, wierzyć, że Bóg może być okrutny i mściwy, a ty myślisz o nim gorzej niż najgorszy z księży. Błagam cię, dobrze się zastanów, zanim oddasz Artura w ręce tych księży...

Odwróciła się, jej purpurowa szata cicho zawirowała wokół niej.

Wyszła z komnaty.

Kiedy Artur usłyszał, że Morgiana wyszła, spojrział na Gwenifer.

Po chwili odezwał się głosem łagodniejszym, niż mówił do niej kiedykolwiek przedtem, nawet gdy leżeli w swych ramionach.

– Moja najdroższa miłości...

– Śmiesz mnie tak nazywać? – spytała gorzko i odwróciła się.

Poszedł za nią, położył jej dłoń na ramieniu i zmusił, by na niego spojrzała.

– Moja najdroższa pani i królowo... czy wyrządziłem ci aż taką krzywdę?

– Nawet teraz – powiedziała, drżąc – nawet teraz potrafisz myśleć tylko o tym, jaką to krzywdę wyrządziłeś Morgianie...

– Czy mam się cieszyć na myśl o tym, co sprowadziłem na własną siostrę? Przysięgam ci, nie poznałem jej, aż do czasu, kiedy już było po wszystkim, a wtedy, gdy ją rozpoznałem, to ona mnie pocieszała, jakbym był tym małym chłopczykiem, który siadywał na jej kolanach... Myślę, że gdyby się wtedy ode mnie odwróciła i oskarżała mnie, a miała pełne prawo to uczynić, to poszedłbym i utopiłbym się w Jeziorze. Nigdy jednak nie przypuszczałem, że tak się to mogło dla niej skończyć... Byłem taki młody, byli ci wszyscy Saksoni i te wszystkie bitwy... – Bezradnie rozłożył ręce. – Starłem się zrobić tak, jak mi radziła, zostawić to za sobą, pamiętać, że to, co uczyniliśmy, zrobiliśmy w niewiedzy. Och, przypuszczam, że to był grzech, ale ja nie chciałem zgrzeszyć...

Był tak załamany, że przez chwilę Gwenifer kusiło, by powiedzieć to, na co czekał, że rzeczywiście nie zrobił nic złego, i by wziąć go w ramiona i pocieszyć. Jednak nie ruszyła się z miejsca. Nigdy, nigdy Artur nie zwrócił się do niej po pociechę, nigdy nie przyznał, że wyrządził jej jakąś krzywdę; nawet teraz, potrafił jedynie upierać się, że grzech, który sprowadził na nich bezdzietność, nie był grzechem. Obchodziła go tylko krzywda, którą wyrządził tej przekłętej wiedźmie, swojej siostrze! Znów się rozplakała i była na siebie wściekła, bo wiedziała, że on pomyśli, iż płacze ze smutku, a nie ze złości.

– Czy uważasz, że to tylko Morgianę skrzywdziłeś? – spytała.

– Nie rozumiem, jak miałbym tym skrzywdzić kogoś innego – odparł z uporem. – Gwenifer, to było, zanim cię w ogóle ujrzałem na oczy!

– Ale poślubiłeś mnie, mając na sumieniu ten wielki grzech, i nawet teraz trwasz w grzechu, choć możesz być oczyszczony i odprawić pokutę, i być uwolniony od kary!

– Moja Gwenifer – odparł zmęczonym głosem – jeśli twój Bóg jest taki, że karze człowieka za grzech, o którym ten nie wiedział, że go popełnia, to czy uchyli swoją karę tylko dlatego, że powiem o tym jakiemuś księdzu i wymamrotam modlitwy, które mi zada i nie wiem, co jeszcze... będę żył o chlebie i wodzie czy co tam jeszcze chcesz...?

– Jeśli szczerze odpokutujesz...

– Boże, a myślisz, że już nie odpokutowałem? – wybuchnął. – Pokutowałem za każdym razem, kiedy patrzyłem na Morgianę, przez ostatnich dwanaście lat! Czy to sprawi, że moja pokuta będzie mocniejsza, jeśli poniżę się przed jednym z tych księży, którzy niczego bardziej nie pragną, niż trzymać króla w swojej mocy?

– Myślisz tylko o swej dumie – powiedziała Gwenifer gniewnie. – A duma to także grzech. Gdybyś tylko się ukorzył, Bóg by ci wybaczył!

– Jeśli twój Bóg jest właśnie takim Bogiem, to nie chcę jego przebaczenia! – krzyknął, zaciskając pięści. – Muszę władać tym królestwem, moja Gwen, a nie mogę tego robić, jeśli uklękę przed jakimś księdzem i przyjmę wszystko, cokolwiek mu się spodoba zadać mi na pokutę! I muszę też myśleć o Morgianie, już teraz księża nazywają ją czarownicą, dziwką, wiedźmą! Nie mam prawa przyznać się do grzechu, który okryje hańbą moją siostrę!

– Morgiana także ma duszę do zbawienia – powiedziała Gwenifer – i jeśli lud tej ziemi zobaczy, że ich król potrafi odłożyć na bok dumę i pomyśleć o swej duszy, pokornie odpokutować za swe grzechy, to im także pomoże zbawić własne dusze, a będzie to twoją zasługą, nawet w niebie.

– Cóż, spierasz się tak dobrze jak moi doradcy, Gwenifer – powiedział z westchnieniem. – Ale ja nie jestem księdzem i nie zajmuję się duszami mych poddanych...

– Jak śmiesz tak mówić? – krzyknęła. – Przecież król stoi ponad całym swym ludem, życie poddanych jest w jego rękach, podobnie i ich dusze! Powinieneś być pierwszy w cnocie, tak jak jesteś w odwadze! Cóż byś powiedział o takim królu, który wysyła swe wojska do bitwy, a sam siedzi bezpiecznie i przygląda się wszystkiemu z daleka?

– Nie powiedziałbym o nim nic dobrego... – odparł Artur, a Gwenifer, wiedząc, że tym razem do niego trafiła, ciągnęła dalej:

– To co w takim razie powiesz o królu, który widząc, jak jego lud stara się iść drogą cnoty i łaski, sam mówi, że nie musi się troszczyć o własne grzechy?

– Czemu ci na tym tak zależy? – westchnął Artur.

– Bo nie mogę znieść myśli o tym, że będziesz cierpieł męki piekielne... i sądzę, że gdy oczyścisz się ze swego grzechu, Bóg może przestanie karać nas bezdzietnością... – Wciągnęła powietrze i znów zaniosła się płaczem.

Otoczył ją ramionami i stał, tuląc jej głowę w swoich ramionach.

– Czy naprawdę w to wierzysz, moja królowo? – spytał cicho.

Pamiętała, że już raz, kiedy namawiała go, by poniość do walki sztandar Dziewicy, przemawiał do niej w ten sposób. I wtedy zatryumfowała i sprowadziła go na drogę Chrystusa, a Bóg dał im zwycięstwo. Tylko że wtedy nie wiedziała, iż miał ten nie wyznany grzech na sumieniu. Potaknęła i usłyszała, jak on wzdycha.

– W takim razie ciebie też skrzywdziłem i muszę to jakoś naprawić. Ale nie rozumiem, dlaczego także Morgiana ma za to być zhańbiona.

– Zawsze tylko Morgiana – powiedziała Gwenifer z furią. – Nie chcesz, by ona cierpiała, w twych oczach ona jest idealna, powiedz mi zatem, czy to w porządku, żebym to ja cierpiała za grzech, który popełniła ona czy ty? Czy kochasz ją o tyle bardziej niż mnie, że pozwolisz, bym całe życie była bezdzienna, tylko dlatego by jej grzech mógł pozostać w tajemnicy?

– Nawet jeśli uczyniłem coś złego, moja Gwenifer, Morgiana jest niewinna...

– O nie, nie jest – wybuchnęła – bo czci tę pradawną Boginię, a księża mówią, że ta jej Bogini jest tym samym diabelskim wężem, którego nasz Pan wygonił z rajskiego ogrodu! Nawet teraz Morgiana trzyma się tych swoich brudnych, pogańskich obrzędów, a Bóg mówi nam, o tak, że ci poganie, którzy nigdy nie słyszeli słowa Pańskiego, mogą być zbawieni, ale co powiesz o niej, która została wychowana w chrześcijańskim domu i potem zwróciła się ku tym plugawym, pogańskim czarom Avalonu? I przez te wszystkie lata na dworze słyszała nauki Chrystusa, a czyż nie powiada się, że ci, którzy słyszeli słowo Pańskie, a nie ukorzyli się i nie uwierzyli w Niego, będą z pewnością potępieni? A zwłaszcza kobiety powinny pokutować, gdyż to przez kobietę pierwszy grzech pojawił się na świecie... – Gwenifer łkała tak mocno, że prawie nie mogła mówić.

– Co zatem chcesz, bym uczynił, moja Gwenifer? – spyta<sup>3</sup> Artur po chwili.

– Dziś jest święty dzień Zesłania Ducha – powiedziała, wycierając oczy i starając się pohamować łkanie – kiedy to Duch Boży zstąpił na ludzi. Czy pójdziesz na mszę i przyjmiesz sakrament z tym strasznym grzechem na sumieniu?

– Przypuszczam... myślę... że nie mogę – powiedział Artur łamiącym się głosem. – Jeżeli naprawdę w to wierzysz, nie odmówię ci tego. Odpokutuję za to na tyle, na ile będę potrafił odpokutować za coś, czego nie uważam za grzech, i wykonam taką pokutę, jaką biskup mi zada... – Jego uśmiech był tylko słabym, wymuszonym grymasem. – Mam nadzieję, dla twego dobra, moja kochana, że nie mylisz się co do Bożej woli.

A Gwenifer, nawet kiedy już otoczyła go ramionami, płacząc z wdzięczności, miała chwilę rozdzierającej trwogi i wątpliwości.

Przypomniała sobie, jak znalazła się w zamku Meleagranta, i wiedziała, że żadne jej prośby i modlitwy nie mogą jej uratować. Bóg nie wynagrodził jej za jej cnotę, a kiedy Lancelot ją ocalił, czyż nie przysięgała sobie, że nigdy już nie będzie się ukrywać i

pokutować, bo Bóg, który nie nagroził jej cnoty, z pewnością także nie ukarze jej grzechu? Bogu jest wszystko jedno...

Ale przecież Bóg ją jednak ukarał: to Bóg zabrał jej Lancelota i dał go Elaine, tak że za całe narażanie swej duszy niczego nie zyskała... wypowiedziała się i odbyła pokutę, ale mimo to Bóg ukarał. A teraz w końcu się dowiedziała, że to mogła być nie tylko jej wina, to także ciężar grzechu Artura, tego grzechu, który popełnił ze swą siostrą. Gdyby oboje byli wolni od grzechu, gdyby odbył pokutę za swój wielki, nie wyznany grzech, i okazał skruchę, to wtedy bez wątpienia Bóg jemu też wybaczy...

Artur ucałował czubek jej głowy i pogładził ją po włosach. Potem odsunął się, a kiedy zabrał swe ramiona, poczuła się zziębnięta i zagubiona, jakby nie była bezpieczna za murami, lecz na dworze, pod ogromnym, otwartym niebem, oszałamiającym, przepelniającym trwogą. Podeszła do niego, by schronić się w jego ramionach, ale on opadł na krzesło i siedział wyczerpany, pokonany, myślami o tysiące mil od niej.

W końcu podniósł głowę i odezwał się z westchnieniem, które jakby wydarło się z samego dna jego duszy:

– Poślij po ojca Patrycjusza.

## 8

Kiedy Morgiana zostawiła Artura i Gwenifer w ich komnacie, chwyciła płaszcz i wybiegła na dwór, nie zważając na deszcz. Poszła na wysokie nasypy i samotnie po nich spacerowała. Namioty rycerzy Artura, lennych królów i innych gości zapelniały równinę do stóp wzgórza, na którym stał Kamelot, i nawet w tym deszczu wszystkie sztandary i flagi błyskały kolorami. Niebo było jednak ciemne, a ciężkie, czarne chmury omal nie dotykały brzegów wzgórza. Chodząc niespokojnie, Morgiana myślała, że Duch Święty mógł już sobie wybrać ładniejszy dzień, by zstąpić na swój lud, a zwłaszcza na Artura.

O tak, Gwenifer nie da mu spokoju, aż on nie odda się w ręce księży. A co z jego ślubami dla Avalonu?

A jednak, skoro takie miało być przeznaczenie Gwydiona, iż pewnego dnia zasiądzie na tronie swego ojca, jeśli to właśnie planował Merlin... żaden człowiek nie umknie swemu przeznaczeniu. *Ani żadna kobieta*, pomyślała z goryczą. Taliesin, który znał najrozmaitsze opowieści, legendy i pieśni, opowiedział jej raz historię o starożytnych, którzy mieszkali na południe od Ziemi Świętej albo gdzieś w tamtych stronach, opowieść o człowieku, na którym ciążyła klątwa, że zabije swego ojca i zlegnie ze swoją matką. Tak więc rodzice usłuchali przepowiedni i posłali go na śmierć, ale został ocalony i wychowany przez obcych i pewnego dnia, kiedy napotkał swego ojca, nie wiedząc, że to on, pokłócił się z nim i zabił go, i poślubił wdowę po nim, tak że to wszystko, co przedsięwzięli, by zapobiec przeznaczeniu, odwróciło

się przeciw nim i spełniło klątwę, bo gdyby się wychowywał w domu swego ojca, nie zrobiłby tego, co uczynił z niewiedzy...

Ona i Artur także uczynili to, co uczynili, nieświadomie, a jednak Pani z czarownej krainy przeklęła jej syna: *pozbadź się tego dziecka albo zabij je po porodzie; cóż się stanie z Królem Bykiem, kiedy młody byk dorosnie?* Wydało jej się, że cały świat wokół niej stał się szary i obcy, jakby zabłądziła we mgłach Avalonu, w głowie dziwnie jej huczało.

Powietrze rozdarło straszliwe, ogłuszające brzęczenie i walenie... nie, to tylko kościelne dzwony biły na mszę. Słyszała kiedyś, że Stary Lud nie może znieść dźwięku kościelnych dzwonów i że właśnie z tego powodu ukrywa się na dalekich wzgórzach i w pieczarach... czuła, że nie zdoła tam wejść, siedzieć spokojnie i słuchać z uprzejmą uwagą, jak to zwykle robiła, gdyż dworki królowej winny świecić dla wszystkich przykładem. Myślała, że kościelne mury ją zaduszą, a mamrotanie księży i smród kadzideł doprowadzi ją do obłądu; lepiej już zostanie tutaj, na czystym deszczu. Dopiero teraz pomyślała, by naciągnąć na głowę kaptur swego płaszcza, wstążki w jej włosach były już całkiem mokre, pewnie się zniszczyły. Wyplotła jedną i czerwień zabarwiła jej palce; źle były ubarwione, choć takie drogie.

Deszcz powoli ustawał i pomiędzy namiotami zaczął się ruch.

– Dziś nie będzie turniejowych bitew – powiedział jakiś głos za nią – bo poprosiłbym o jedną z tych wstążek, które wyrzucasz, i poniosł ją ze sobą do bitwy, jako honorowy sztandar, pani Morgiano.

Drgnęła i starała się przyjść do siebie. Młody mężczyzna, szczupły, ciemnowłosy, ciemnooki; było w nim coś znajomego, ale nie bardzo mogła sobie przypomnieć...

– Nie pamiętasz mnie, pani? – spytał z wyrzutem. – A mówiono mi, że nawet postawiłaś w zakład wstążkę za moje zwycięstwo w takim właśnie turnieju rok temu, dwa... a może to już trzy lata?

Teraz go sobie przypomniwała. Był synem króla Uriensa z Północnej Walii. Accolon, tak miał na imię. Tak, założyła się z jedną z dwerek, która uważała, że w polu nikt nie potrafi sprostać Lancelotowi... Nigdy się nie dowiedziała, jaki był wynik zakładu, bo tego samego dnia została zamordowana Viviana.

– Zaiste, pamiętam cię, panie Accolonie, ale tamte Zielone Świątki, jak może sobie przypominasz, zakończyły się brutalnym morderstwem, a zabita została moja przybrana matka...

Natychmiast się zreflektował.

– W takim razie błagam o wybaczenie, że przypomniłem ci to smutne wydarzenie, pani – powiedział ze skruchą. – Mam jednak nadzieję, że zanim stąd wszyscy wyjedziemy, będzie dość turniejów i gier, bo teraz, gdy panuje pokój, król Artur będzie chciał sprawdzić, czy jego legion nadal jest na tyle sprawny, by nas bronić.

– Nieprędko chyba będzie taka potrzeba – powiedziała. – Teraz nawet dzikie ludy Północy atakują inne ziemie. Tęsknisz za dniami wojen i chwały?



Ma miły uśmiech, pomyślała.

– Walczyłem pod Mount Badon – odparł. – To była moja pierwsza bitwa, i omal że nie ostatnia. Myślę, że wolę już zawody i turnieje. Będę walczył, jeśli trzeba, lecz lepiej jest walczyć na niby, z przyjaciółmi, którzy nie pragną się zabijać, a piękne damy patrzą na nas i podziwiają. W prawdziwej bitwie, pani, nie ma nikogo, by podziwiał rycerskość, i w rzeczy samej, niewiele jest tam na nią miejsca, mimo całego gadania o odwadze...

Rozmawiając, doszli do kościoła i teraz dźwięk dzwonów prawie zagłuszał jego głos; miły, śpiewny głos, myślała Morgiana.

– Nie idziesz na mszę świętą, pani Morgiano?

Uśmiechnęła się i spojrzała w dół na jego nadgarstki, na których wiły się węże. Leciutko przesunęła palcem po jednym z nich.

– A ty?

– Nie wiem, myślałem, by iść zobaczyć twarze przyjaciół... ale nie, chyba nie – powiedział, uśmiechając się do niej – skoro mogę rozmawiać z damą...

– Nie obawiasz się o swą duszę? – spytała, zabarwiając głos ironią.

– Och, mój ojciec jest dostatecznie pobożny za nas obu... nie ma teraz żony i bez wątplenia chce się rozejrzeć w możliwościach i sprawdzić, jakie ma szanse na następny podbój. Uważnie słucha nauk apostołów i wie, że lepiej się ożenić, niż płonąć. A płonie częściej, niż uważam, że wypada człowiekowi w jego wieku...

– Straciłeś swą matkę, Accolonie?

– Tak, jeszcze jako niemowlę, a także macochy, jedną, drugą i trzecią – odpowiedział. – Mój ojciec ma trzech żyjących synów i pewne jest, że nie potrzebuje więcej dziedziców, lecz jest zbyt cnotliwy, by wziąć sobie kobietę jedynie do łoża, więc musi się znów ożenić. A już nawet mój najstarszy brat jest żonaty i ma syna.

– Byłeś dzieckiem jego starych lat?

– Nie, jego lat średnich, nie jestem już taki młody. Gdyby nie było wojny, kiedy byłem młodszy, mogłem być przeznaczony do Avalonu i do służby kapłańskiej, ale na starość mój ojciec został chrześcijaninem.

– Jednak nosisz węże.

– I posiadam trochę wiedzy, za mało jednak, by mi to wystarczało. W dzisiejszych czasach niewiele jest zadań dla młodszego syna. Ojciec powiedział, że dla mnie też będzie szukał żony na tym zjeździe – powiedział z uśmiechem. – Szkoda, że nie jesteś córką jakiegoś mniej znacznego człowieka, pani.

Morgiana poczuła, że rumieni się jak młoda dziewczyna.

– Och, ja jestem dla ciebie za stara. A jestem tylko przyrodną siostrą króla, z pierwszego małżeństwa jego matki. Moim ojcem był diuk Gorlois, pierwszy człowiek zabity przez Uthera Pendragona jako zdrajca...

Zapadła krótka cisza, zanim Accolon znów się odezwał:

– Być może, że w dzisiejszych czasach niebezpiecznie jest nosić węże, albo może tak być, jeśli księża staną się mocniejsi. Słyszałem, że kiedy Artur zasiadał na tronie, miał poparcie Avalonu, a Merlin dał mu miecz Świętych Regaliów. Teraz jednak przemienił swój dwór na chrześcijański... ojciec mówił mi kiedyś, że bał się iż Artur przywróci te ziemie z powrotem władzy Druidów, ale zdaje się, że tak nie jest...

– To prawda – powiedziała i poczuła, jak powraca jej gniew – jednak wciąż nosi miecz Druidów...

Spojrzał na nią uważnie.

– A ty, pani, nosisz sierp Avalonu.

Morgiana znów się zarumieniła. Wszyscy ludzie weszli już do kościoła i zamknięto drzwi.

– Zaczęło znów mocniej padać, pani Morgiano, przemoczysz się i zaziębisz. Musisz się teraz schronić, ale... czy usiądziesz przy mnie na dzisiejszej uczcie?

Wahała się, uśmiechnęła. Pewne jest, że dzisiejszego dnia Artur i Gwenifer nie będą tęsknić za jej towarzystwem przy swoim stole.

*I to ona, która musi pamiętać, jak to było, gdy padła ofiarą chuci Meleagranta... czy wolno jej oskarżać mnie? Jej, która pociesza się w ramionach najdroższego przyjaciela swego męża? Nie, oczywiście, to nie był gwałt, nic podobnego, a jednak zostałam oddana Rogatemu Panu i nikt mnie nie pytał, czy mam na to ochotę... to nie poządanie sprowadziło mnie do łóżka mego brata, lecz posłuszeństwo woli Bogini...*

Accolon wciąż czekał na jej odpowiedź, patrząc na nią gorąco.

Gdybym chciała, to by mnie pocałował, błagałby mnie o przywilej jednego dotyku. Wiedziała o tym i sama ta myśl kołła jej dumę.

Posłała mu uśmiech, od którego się rozpromienił.

– Uczynię tak, jeśli będziemy siedzieć z dala od twego ojca.

I nagle ją to uderzyło: Artur tak właśnie na nią patrzył. To tego boi się Gwenifer. *Ona wie o tym, o czym ja nie wiedziałam, że gdybym wyciągnęła do Artura rękę, mogłabym sprawić, by nie zważał na nic, co ona mówi. To mnie Artur kocha najbardziej, nie pragnę Artura, widzę w nim tylko mego drogiego brata, ale ona o tym nie wie. Lęka się, że skinę ręką i magiczną sztuką Avalonu znów powiodę go do swego łóżka.*

– Proszę, wróć do zamku i zmień... zmień suknię – powiedział Accolon zatroskany.

– Zobaczymy się na uczcie.

Przez całą mszę Gwenifer siedziała samotnie i starała się opanować. Arcybiskup wygłaszał coroczne kazanie mówiące o zstąpieniu Ducha Świętego. *Skoro Artur w końcu wyznał wszystkie swe grzechy i został prawdziwym chrześcijaninem, to muszę złożyć dzięki Duchowi Świętemu, że zstąpił dziś na nas oboje.* Skrycie dotykała palcami brzucha; dzisiaj zlegli ze sobą, możliwe, że na Matki Boskiej Gromniczej będzie trzymała w ramionach

małego następcę tronu... spojrzała na drugą stronę kościoła, gdzie klęczał Lancelot u boku Elaine. Z zazdrością dostrzegła, że Elaine znów rozrastała się w pasie. Kolejny syn lub córka. *A teraz Elaine puszy się u boku mężczyzny, którego kochałam tak bardzo i tak długo, z synem, którego to ja powinnam urodzić... cóż, muszę spuścić głowę i być przez chwilę pokorna, nic mi nie zaszkodzi udawać, że wierzę, iż ich syn zasiądzie na tronie Artura... Och, jestem grzeszną kobietą, mówiłam Arturowi, by poskromił swą dumę, a sama jestem jej pełna.*

Kościół był zatłoczony, jak zawsze w to wielkie święto. Artur był blady i przygaszony; widział się z biskupem, lecz przed mszą nie było czasu na dłuższą rozmowę. Uklękała przy nim i czuła, że jest obcy, bardziej obcy niż wtedy, gdy po raz pierwszy weszła do jego łóża, przerażona niewiadomym, które ją oczekiwało.

*Powinnam się pogodzić z Morgianą...*

*Czemu czuję się winna, to Morgiana zgrzeszyła... Ja odpokutowałam za moje grzechy, wyznałam je i dostałam rozgrzeszenie...*

Morgiany nie było w kościele; pewnie nie miała czelności przyjść w grzechu na świętą mszę teraz, kiedy wyszło na jaw, kim naprawdę jest – kazirodczą, pogańską wiedźmą, czarownicą.

Msza ciągnęła się w nieskończoność, lecz w końcu udzielono błogosławieństwa i ludzie zaczęli wychodzić z kościoła. Przez chwilę znalazła się nagle twarzą w twarz z Elaine i Lancelotem. Opiekuńczo otaczał żonę ramieniem, by jej nie popychano. Gwenifer uniosła oczy, żeby nie patrzeć na brzemienny brzuch Elaine.

– Od dawna nie widzieliśmy cię na dworze – powiedziała.

– Och, wiele jest do zrobienia na Północy – odparł Lancelot.

– Ufam, że nie ma już więcej smoków? – spytał Artur.

– Dzięki Bogu, nie – odparł Lancelot z uśmiechem. – Moje pierwsze spotkanie ze smokiem było chyba ostatnie... Niech mi Bóg wybaczy, że drwiłem z Pellinora, kiedy opowiadał o tej bestii! Teraz, kiedy nie ma więcej Saksonów do zabijania, myślę, że nasi rycerze muszą wyruszać przeciw smokom, bandytom i zbrojcom, i wszelakemu złu, które nęka ludzi.

Elaine uśmiechnęła się nieśmiało do Gwenifer.

– Mój małżonek jest jak wszyscy mężczyźni, woli ruszać do bitwy, nawet przeciwko smokom, niż siedzieć w domu i cieszyć się pokojem, o który tak ciężko walczyli! Czy Artur też jest taki?

– Myślę, że ma dosyć walki tutaj, na dworze, gdzie wszyscy ludzie przychodzą do niego szukać sprawiedliwości – powiedziała, Gwenifer, kończąc temat. – Kiedy oczekujesz rozwiązania? – dodała, patrząc na brzuch Elaine. – Myślisz, że to będzie następny, syn czy córka?

– Mam nadzieję, że syn, nie chcę mieć córki – powiedziała Elaine – ale będzie tak, jak Bóg zrządzi. Gdzie jest Morgiana? Nie przysłała do kościoła? Jest chora?

Gwenifer uśmiechnęła się pogardliwie.

– Myślę, że wiesz, jaka z niej dobra chrześcijanka.

– Morgiana jest moją przyjaciółką – odparła Elaine – i nieważne, jak złą może być chrześcijanką, kocham ją i modłę się za nią.

*Bo masz za co*, myślała Gwenifer z goryczą. Wydała cię za męża, żeby mi dokuczyć. Słodkie, błękitne oczy Elaine wydały jej się lukrowate, głos fałszywy. Jeśli jeszcze chwilę będzie tu stała i słuchała Elaine, to rzuci się na nią i ją udusi. Przeprosiła i odeszła, po chwili Artur dołączył do niej.

– Miałem nadzieję, że Lancelot zostanie z nami przez kilka tygodni – powiedział – ale zaraz znów wyrusza na Północ. Powiedział jednak, że Elaine może zostać, jeśli chcesz jej towarzystwa. Jest bliska rozwiązania, więc on woli, by nie wracała sama. Może Morgiana też stęskniła się za przyjaciółką? Cóż, wy, kobiety, musicie to ze sobą omówić. – Odwrócił się i dopiero gdy spojrzał na nią, dostrzegła, jaki jest przygnębiony. – Muszę iść do arcybiskupa. Powiedział, że porozmawia ze mną zaraz po mszy.

Chciała go powstrzymać, zatrzymać przy sobie obiema rękami, ale sprawy zaszły już za daleko.

– Morgiany nie było w kościele – powiedział – przyznaj się, Gwenifer, czy coś jej powiedziałaś...

– Nie zamieniłam z nią ani słowa, złego czy dobrego – odparła piskliwie. – A co do tego, gdzie jest, to nic mnie to nie obchodzi! Żałuję, że nie jest w piekle!

Otworzył usta i przez chwilę myślała, że ją zrugą, i w jakiś przewrotny sposób pragnęła jego gniewu. On jednak westchnął tylko i spuścił głowę. Nie mogła znieść tego, że jest taki pokonany, jak zbity pies.

– Gwen, błagam cię, nie kłóć się więcej z Morgianą. Jej już się stała dostateczna krzywda... – powiedział i jakby zawstydzony tą prośbą odwrócił się gwałtownie i odszedł w stronę biskupa, który stał i pozdrowiał swych wiernych.

Kiedy Artur się zbliżył, ksiądz skłonił się, powiedział jeszcze kilka słów, by przeprosić innych, i wraz z królem zaczął wychodzić przez tłum.

W zamku było wiele do roboty – musiała powitać gości w sali, rozmawiać z tymi, którzy od wielu lat byli rycerzami Artura, tłumaczyć im, że Artur ma sprawy z jednym ze swych doradców – to nie było kłamstwo, Patrycjusz faktycznie zasiadał w jego radzie – i że się spóźni. Przez jakiś czas wszyscy byli tak zajęci witaniem starych przyjaciół, opowiadaniem o tym, co się wydarzyło w ich rodzinach i posiadłościach, jakie małżeństwa zawarto, które córki wydano, którzy synowie dorośli albo jakie dzieci się urodziły, jakich rabusiów zabito, jakie wybudowano drogi, że czas mijał i mało kto zauważył nieobecność Artura. W końcu jednak nawet wspominki się skończyły i zebrani w wielkiej sali zaczęli szemrać. Jedzenie wystygnie, Gwenifer to wiedziała, ale nie można przecież zaczynać królewskiej uczy bez króla. Dała rozkaz, by podano wino, piwo i kwas, wiedząc, że do czasu, kiedy poda się jadło,

wielu gości będzie zbyt pijanych, by zwrócić uwagę, czy jest ciepło. Daleko w końcu stołu ujrzała Morgianę, jak śmiejąc się, rozmawiała z jakimś mężczyzną, którego Gwenifer nie mogła rozpoznać, tyle tylko, że wokół przedramion miał wytatuowane smoki. Czy spróbuje na nim swych kapłańskich sztuczek, by go uwięzić, tak jak wcześniej uwiodła Lancelota, i Merlina? Jej nierządne sztuczki są tak sprytne, że nie przepuści żadnemu mężczyźnie.

Kiedy Artur w końcu wszedł, wolnym i ciężkim krokiem, ogarnęła ją rozpacz; nigdy go takiego nie widziała, chyba tylko wtedy jak był ciężko ranny i bliski śmierci. Poczła nagle, że oto otrzymał głębszą ranę, niż mogła to pojąć, ranę zadaną duszy, i przez chwilę myślała, czy Morgiana nie miała racji, oszczędzając mu swej tajemnicy? Nie. To co ona zrobiła, jako jego oddana żona, miało zapewnić zdrowie jego duszy i jego przyszłe zbawienie; cóż niewielkie poniżenie mogło znaczyć wobec tego?

Zdjął świąteczną szatę i założył prostą tunikę, bez ozdób; nie włożył też korony, którą nosił na takie okazje. Jego złote włosy sprawiały wrażenie matowych i posiwiałych. Kiedy zobaczono, że wszedł, wszyscy jego starzy kompani wydali głośny, radosny okrzyk. Stał smutny, przyjmując wiwaty, uśmiechnął się i w końcu podniósł rękę.

– Przykro mi, że kazałem wam wszystkim czekać – powiedział. – Proszę, wybaczcie mi i zacznijcie ucztę.

Z westchnieniem usiadł na swoim miejscu. Służba zaczęła roznosić dymiące półmiski i tace. Gwenifer pozwoliła jednemu z szambelanów położyć sobie na talerzu kilka plasterków kaczki, ale tylko bawiła się jedzeniem. Po jakimś czasie ośmieliła się podnieść oczy i spojrzeć na Artura. Mimo zbytku świątecznego jadła na jego talerzu nie było, poza kawałkiem chleba, nawet bez masła, a w kielichu miał tylko wodę.

– Ależ ty nic nie jesz – zaprotestowała.

Uśmiechnął się kwaśno.

– To nie z powodu potraw, jestem pewien, że są wspaniałe, jak zwykle, moja droga.

– Nie wypada pościć w dzień świąteczny...

Skrzywił się.

– Skoro już musisz to usłyszeć – powiedział zniecierpliwiony – biskup orzekł, iż mój grzech jest tak ciężki, że nie może go rozgrzeszyć zwyczajną pokutą, a skoro tego właśnie ode mnie żądałaś, cóż... – Rozłożył ręce bezradnie. – Tak więc przybywam na wielkie święto w prostej koszuli, bez świetnych szat, i muszę modlić się i pościć, aż odprawię całą pokutę, ale twemu życzeniu stało się zadość, Gwenifer.

Uniósł swój kielich i spokojnie napił się wody. Wiedziała, że nie chce z nią więcej rozmawiać.

Ale ona przecież wcale nie chciała, żeby to było *tak*... Gwenifer spięła całe ciało, by tylko znów się nie rozplakać; wszystkie oczy były na nich zwrócone, to był już wystarczający skandal, że król pości na swej własnej, wielkiej uczcie. Na zewnątrz deszcz ostro siekł o dachy. W sali panowała dziwna cisza. W końcu Artur podniósł głowę i poprosił o muzykę.

– Niech Morgiana dla nas zaśpiewa, jest lepsza od wszystkich minstreli!

*Morgiana! Morgiana! Zawsze tylko Morgiana!* Cóż jednak może na to poradzić? Zauważyła, że Morgiana zdjęła barwną suknię, którą miała na sobie tego ranka, i założyła ciemną, surową szatę, jak zakonnica. Teraz już nie wyglądała jak dziwka, bez tych jaskrawych wstążek. Morgiana podeszła i ujęła harfę. Usiadła nieopodal królewskiego tronu, by zaśpiewać.

Skoro wydawało się, że tego właśnie pragnie Artur, rozległy się brawa, zaczęły się żarty, po Morgianie ktoś następny wziął harfę, a potem następny. Wiele było ruchu między stołami, ludzie jedli, rozmawiali, pili.

Lancelot podszedł do nich, a Artur wskazał mu, by usiadł pomiędzy nimi na ławie, jak za starych czasów. Służba roznosiła wielkie półmiski pełne słodczy i owoców, były tam pieczone jabłka ze śmietaną, wszelakiego rodzaju delikatesy i ciastka. Siedzieli tak, nie rozmawiając o niczym specjalnym, i przez chwilę Gwenifer poczuła się szczęśliwa: to było jak w dawnych czasach, kiedy wszyscy byli przyjaciółmi, gdy łączyła ich wszystkich miłość... dlaczego nie mogło zostać tak na zawsze?

Po jakimś czasie Artur podniósł się i powiedział:

– Chyba pójdę i porozmawiam też z innymi rycerzami... moje nogi są młode, a niektórzy z nich starzeją się i siwieją. Pellinor nie wygląda już tak, jakby dał radę walczyć ze smokiem. Chyba ostrzejsza potyczka z pokojowym pieskiem Elaine sprawiłaby mu teraz trudność!

– Odkąd Elaine jest zamężna, to trochę tak, jakby nie miał w życiu nic więcej do roboty – powiedział Lancelot. – Tacy ludzie często umierają zaraz po tym, jak dokonają, co zamierzali. Mam nadzieję, że tak nie będzie w jego przypadku, kocham Pellinora i chciałbym, by jeszcze długo był z nami. – Uśmiechnął się wstydliwie. – Nigdy nie czułem, jakbym naprawdę miał ojca, choć Ban był dla mnie dobry na swój sposób, a teraz po raz pierwszy mam krewnego, który traktuje mnie jak syna. Braci też właściwie nie miałem do czasu, aż byłem już dorosły i synowie Bana, Bors i Lionel, przybyli na dwór. Dorastałem, ledwie mówiąc ich językiem. A Balan miał inne sprawy.

Artur prawie się nie uśmiechał, odkąd wrócił ze spotkania z biskupem, teraz jednak uśmiech rozjaśnił mu twarz.

– Czy kuzyn o tyle mniej znaczy niż brat, Galahadzie?

Lancelot wyciągnął dłoń i chwycił go za rękę.

– Niech mnie Bóg pokarze, gdybym miał o tym zapomnieć, Gwydionie... – Podniósł oczy na Artura i przez chwilę Gwenifer myślała, że Artur go uściska, ale cofnął się i puścił jego dłoń.

Lancelot przyglądał mu się zaskoczony, lecz Artur pośpiesznie wstał.

– Jest tu Uriens i Markus z Kornwalii, ten też się starzeje... Powinni wiedzieć, że ich król nie jest zbyt dumny, by do nich podejść i z nimi porozmawiać. Lance, zostań tu z Gwenifer, niech dziś będzie jak za dawnych dni.

Lancelot uczynił jak go o to poproszono, i został na ławie obok Gwenifer.

– Czy Artur jest chory? – spytał w końcu.

– Nie – potrząsnęła głową. – Sądzę, że ma zadaną pokutę i dlatego jest strapiony.

– No, Artur z pewnością nie może mieć żadnych ciężkich grzechów na sumieniu – powiedział Lancelot – jest jednym z najbardziej nieposzlakowanych ludzi, jakich znam. Dumny jestem, że wciąż jest moim przyjacielem, a wiem, że nie zasługuję na to, Gwen. – Spojrzał na nią z takim smutkiem, że znów myślała, iż się rozplacze.

Dlaczegoż nie mogła kochać ich obu bez grzechu, dlaczego Bóg przykazał, że kobieta ma mieć tylko jednego męża? Stała się tak grzeszna, jak Morgiana, skoro przychodzą jej do głowy takie myśli!

Dotknęła jego ręki.

– Jesteś szczęśliwy z Elaine, Lancelocie?

– Szczęśliwy? Jakież żyjący człowiek jest szczęśliwy? Robię, co mogę.

Spuściła oczy i patrzyła na swe dłonie. Przez chwilę zapomniała, że ten człowiek był jej kochankiem, pamiętała tylko, że był jej przyjacielem.

– Chcę, żebyś był szczęśliwy, naprawdę.

Na chwilę położył swe dłonie na jej dłoniach.

– Wiem, moja droga, Nie chciałem tu dziś przyjeżdżać. Kocham cię i kocham Artura, ale minęły czasy, kiedy mogę się zadowolić tym, że jestem kapitanem jego jazdy i twoim... – głos mu się załamał – ...i kawalerem królowej.

Z dłońmi wciąż w jego dłoniach spojrzała na niego i nagle spytała:

– Czy czasem nie wydaje ci się, że nie jesteśmy już młodzi, Lancelocie?

– O tak, tak – westchnął i pokiwał głową.

Morgiana znów wzięła harfę i śpiewała.

– Jej głos jest tak słodki, jak zawsze – powiedział Lancelot. – Przypomina mi to, jak śpiewała moja matka, nie robiła tego tak dobrze, jak Morgiana, ale miała ten sam słodki, głęboki głos...

– Morgiana jest wciąż taka młoda – zauważyła Gwenifer z zazdrością.

– Tak bywa z ludźmi starej krwi, wydają się wiecznie młodzi, aż pewnego dnia nagle się starzeją – powiedział Lancelot, po czym pochylił się, by dotknąć jej policzka leciutkim pocałunkiem, i dodał szybko: – Nigdy nie myśl, że jesteś mniej piękna od Morgiany, moja Gwen. To jest tylko inny rodzaj piękna.

– Dlaczego to mówisz?

– Kochana, nie mogę znieść, kiedy jesteś nieszczęśliwa...

– Nie wiem chyba, co to w ogóle znaczy być szczęśliwym – powiedziała.

*Jak to jest, że Morgiana jest taka nietknięta przez czas? Ta wiedźma zniszczyła moje życie i życie Artura i nic jej to nie obchodzi, siedzi sobie, śmiejąc się i śpiewając, a ten rycerz z wężami wokół ramion jest nią oczarowany!*

Wkrótce potem Lancelot oświadczył, że musi wracać do Elaine, i zostawił ją samą. A kiedy wrócił Artur, zaczęli do niego podchodzić dawni rycerze i towarzysze. Prosilili o rozmaite przyzwolenia, składali mu podarki lub tylko przypominali swą wierność. Po jakimś czasie podszedł też Uriens z Północnej Walii, stary był już i siwiejący, ale ciągle miał jeszcze wszystkie swoje zęby i sam prowadził ludzi do walki, kiedy musiał.

– Przychodzę do ciebie z prośbą, królu – powiedział. – Chciałbym się znów ożenić i chciałbym być skoligacony z twoją rodziną. Słyszałem, że Lot z Lothianu nie żyje, i proszę cię o zgodę na poślubienie wdowy po nim, królowej Morgause.

Artur roześmiał się sztywno.

– O takie pozwolenie musisz prosić Gawaina. Lothian jest teraz jego królestwem i nie wątpię, że rad będzie wydać za mąż swą matkę, jednakże dama jest na tyle dorosła, by mieć własne zdanie. Nie mogę jej rozkazać, by za ciebie wyszła. To tak, jakbym nakazywał małżeństwo własnej matce...

Gwenifer nagle wpadła na pomysł. To by było idealne wyjście, przecież Artur sam powiedział, że gdyby ten grzech wydał się na dworze, Morgiana byłaby zhańbiona. Wyciągnęła rękę i dotknęła rękawa Artura.

– Arturze, Uriens to ważny sojusznik. Sam mi mówiłeś, że nawet dla Rzymian kopalnie Walii wiele znaczyły, dla ich żelaza i ołowiu... a masz przecież krewną, której małżeństwo zależy tylko od ciebie.

– Uriens jest taki stary! – powiedział zaskoczony.

– Morgiana jest starsza od ciebie, a skoro on ma już dorosłych synów, a nawet wnuki, nie będzie miał nic przeciwko temu, że ona nie może dać mu dzieci.

– To prawda – powiedział Artur, marszcząc brwi. – Ten układ wydaje się dobry. – Podniósł głowę i zwrócił się do Uriensa.

– Nie mogę rozkazać pani Morgause, by wyszła za mąż, lecz moja siostra, księżna Kornwalii, jest niezamężna.

Uriens skłonił się nisko.

– Nie śmiałybym sięgać aż tak wysoko, mój królu, ale jeśli twa siostra zechce być królową w mym kraju...

– Nie zmuszę żadnej kobiety, by wyszła za mąż mimo swej woli – powiedział Artur – ale zapytam ją o to – dodał i przywołał jednego z paziów: – Poproś panią Morgianę, by przyszła do mnie, gdy skończy śpiewać.

Oczy Uriensa spoczęły na Morgianie, która siedziała z harfą, ciemna suknia dodawała jasności jej cerze.

– Twa siostra jest bardzo piękna, panie – powiedział – każdy mężczyzna byłby szczęśliwy, mając taką żonę.

Kiedy Uriens odszedł, Artur w zamyśleniu przyglądał się podchodzącej do niego Morgianie.



– Długo pozostaje niezamężna – powiedział – pewnie tęskni już za własnym domem, w którym sama będzie panią, zamiast wciąż służyć innej kobiecie. Dla wielu młodych mężczyzn jest zbyt wykształcona. Uriens jednak będzie rad, gdyż jest dworna i dobrze poprowadzi mu dom. Szkoda tylko, że jest taki stary...

– Myślę, że będzie szczęśliwsza ze starszym człowiekiem – powiedziała Gwenifer – nie jest jakąś młodziutką trzpiotką.

Morgiana dygnęła w ukłonie. Zawsze w obecności innych była uśmiechnięta i niewzruszona i teraz choć raz Gwenifer była z tego rada.

– Siostrze – zaczął Artur – dostałem dla ciebie ofertę małżeńską. A po tym, co się dziś stało, uważam, że dobrze by było, gdybyś na jakiś czas opuściła dwór.

– Zaiste, z chęcią stąd odejdę, bracie.

– Tak więc, jak by ci się podobało zamieszkać w Północnej Walii? Ponoć jest tam dość odludnie, ale z pewnością nie bardziej, niż w Tintagel...

Ku zaskoczeniu Gwenifer Morgiana splonęła się jak piętnastolatka.

– Nie próbuję nawet udawać, że jestem tym zaskoczona, bracie.

– Ho, ho! – zachichotał Artur – nic mi nie powiedział, że z tobą rozmawiał, wstydlivy człowiek.

Morgiana wciąż zarumieniona bawiła się końcem warkocza.

Gwenifer pomyślała, że ani trochę nie wygląda na swój wiek.

– Możesz mu odpowiedzieć, że z ochotą zamieszkam w Północnej Walii.

– Czy różnica wieku ci nie przeszkadza? – spytał Artur delikatnie.

– Jeśli jemu nie przeszkadza, nie przeszkadza także mnie – odparła, jeszcze bardziej się rumieniąc.

– Niech więc tak będzie. – Artur skinął na Uriensa, który podszedł rozpromieniony. – Moja siostra powiedziała, że z przyjemnością zostanie królową Północnej Walii, przyjacielu. Nie widzę powodów, by nie odprawić wesela jak najszybciej, może nawet w tę niedzielę? – Wzniósł kielich i krzyknął do wszystkich zgromadzonych: – Wypijcie za ślub, przyjaciele, ślub księżny Morgiany z Kornwalii, mej drogiej siostry, i mego dobrego przyjaciela, króla Uriensa z Północnej Walii!

Po raz pierwszy tego dnia coś zabrzmiało jak należyte świąteczne obwieszczenie. Rozległy się wiwaty, krzyki, gratulacje, wszystko naraz. Morgiana stała jak skamieniała.

*Przecież się zgodziła, powiedziała, że on z nią rozmawiał...* myślała Gwenifer i wtedy przypomniała sobie młodego mężczyznę, który cały czas flirtował z Morgianą. Czyż to nie był syn Uriensa, Accolon? Tak, to był Accolon. Ale przecież nie mogła się spodziewać, żeby to on jej się oświadczył, Morgiana jest starsza od niego! Tak, to musiał być Accolon... czy teraz zrobi scenę?, zastanawiała się Gwenifer. Po chwili jednak pomyślała z nową falą nienawiści: *Teraz niech Morgiana sama się przekona, jak to jest być wydaną za człowieka, którego się nie kocha!*

– A więc ty też będziesz teraz królową, siostró – powiedziała, ujmując Morgianę za rękę.  
– Będę twoją druhną na ślubie.

Jednak mimo tych słodkich słów Morgiana spojrzała jej prosto w oczy i Gwenifer wiedziała, że nie zdołała jej oszukać.

*No i dobrze. Przynajmniej się od siebie uwolnimy. I nie będzie więcej udawania przyjaźni.*

## **Mówi Morgiana...**

*Jak na małżeństwo, które miało zakończyć się tak, jak nasze, myślę, że zaczęło się nie najgorzej. Biorąc pod uwagę to, jak mnie nienawidzi, Gwenifer wyprawiła mi piękny ślub. Miałam sześć druhien, aż cztery z nich to były królowe. Artur podarował mi kosztowną, wspaniałą biżuterię – nigdy nie przywiązywałam wagi do klejnotów, nie byłam przyzwyczajona do ich noszenia przez lata spędzone w Avalonie i potem się już nie nauczyłam, choć miałam kilka klejnotów po Igrianie. Teraz Artur dał mi więcej kosztowności, po naszej matce i te, które zdobył na Saksonach. Nie chciałam przyjąć, ale Gwenifer przypomniała mi, że Uriens będzie oczekiwał, by jego żona wyglądała jak przystoi królowej, więc poddałam się i pozwoliłam, żeby mnie obwiesiła jak jakąś lalkę. Pamiętałam jeden bursztynowy naszyjnik, który Igriana nosiła, gdy byłam matką dziewczynką – nigdy go później na niej nie widziałam. Kiedyś zobaczyłam go w jej szkatułce na klejnoty i wtedy powiedziała, że dostała go od Gorloisa i że kiedyś będzie mój, ale zanim podrosłam na tyle, by go nosić, byłam już kaptanką w Avalonie i nie potrzebowałam klejnotów. Teraz był mój, wraz z tyloma innymi rzeczami, których nie chciałam wziąć, twierdząc, że nigdy ich nie założę.*

*Poprosiłam ich tylko o jedno – by odłożyli ślub, zanim nie poślę po Morgause, która była moją jedyną żyjącą bliską krewną – ale się nie zgodzili. Może obawiali się, że przyjdę po rozum do głowy i sprzeciwię się, bo gdy zgadzałam się zamieszkać w Północnej Walii, miałam na myśli Accolona, a nie starego króla. Jestem pewna, że przynajmniej Gwenifer o tym wiedziała. Zastanawiałam się, co teraz myśli o mnie Accolon, przecież prawie że obiecałam mu rękę, a jeszcze tego samego wieczoru zostałam publicznie zaręczona z jego ojcem! Nie miałam już okazji, by z nim rozmawiać.*

*Przypuszczałam jednak, że mimo wszystko Accolon wolał pewnie pojąć za żonę piętnastolatkę niż kobietę w wieku trzydziestu czterech lat. Kobieta po trzydziestce – tak mawiały inne kobiety – winna się zadowolić mężczyzną, który już wcześniej był żonaty i chce jej ze względu na koligacje rodzinne lub dla jej urody albo dostatku, i może jako matkę dla swych dzieci. Cóż, moje koligacje nie mogły być chyba lepsze. Co zaś do reszty – miałam dość klejnotów, jednak nie mogłam sobie wyobrazić siebie jako matki Accolona ani żadnych innych dzieci, które miał ten człowiek. Może jeszcze mogłabym być babcią dla jego wnucząt.*

*Przypomniałam sobie z zaskoczeniem, że matka Viviany została babcią w wieku młodszym, niż ja byłam teraz: urodziła Vivianę, mając lat trzynaście, a pierwsza córka Viviany urodziła się, zanim ona skończyła czternaście lat.*

*Podczas trzech dni, które minęły między dniem Zesłania Ducha i naszym ślubem, rozmawiałam z Uriensem tylko raz. Może łudziłam się, że jako chrześcijański król odmówi, kiedy się o wszystkim dowie, lub że nawet on będzie wolał młodą żonę, która da mu więcej dzieci.*

*Nie chciałam też, by poślubił mnie pod fałszywymi pozorami i później miał pretensje, a wiedziałam przecież, jak wielką wagę ci chrześcijanie przywiązywali do tego, by ich żona była nietknięta przed ślubem. Myślę, że przejęli to od Rzymian, z ich dumą z rodziny i czią dla dziewictwa.*

*– Już dawno przekroczyłam trzydzieści wiosen, Uriensie – powiedziałam – i nie jestem panienką.*

*Nie znałam żadnego dwornego czy uprzejmego sposobu, by mu oznajmić takie rzeczy. Wyciągnął rękę i dotknął błękitnego sierpa księżycy na moim czole. Tatuaz był już wyblakły, widziałam to w lustrze, które było jednym z podarków od Gwenifer. Kiedy przybyłam do Avalonu, sierp Viviany też był już wyblakły, ale ona odnawiała go niebieskim barwikiem.*

*– Byłaś kapłanką Avalonu, jedną z dziewcząt Pani Jeziora i swoje dziewictwo oddałaś Bogom, czy tak?*

*Potaknęłam.*

*– Niektórzy z moich poddanych wciąż tak czynią, a ja specjalnie się temu nie sprzeciwiam. Wieśniacy uważają, że czczenie Chrystusa dobre jest dla królów i wielmożów, którzy mogą opłacić księży, żeby ich wymodlili od piekła, ale ciężko by im było, gdyby Starzy Bogowie, którzy byli czczeni na naszych wzgórzach od niepamiętnych czasów, nie otrzymywali swej ofiary. Accolon jest też tego zdania, ale teraz tak wiele władzy jest w rękach księży, że trzeba się z nimi liczyć. Jeśli chodzi o mnie, wszystko mi jedno, jaki Bóg zasiada na niebiańskim tronie albo jakiego Boga wyznają moi poddani, tak długo, jak w królestwie panuje pokój. Kiedyś jednak i ja nosiłem poroże. Przysięgam, że nigdy ci tego nie będę wyrzuczał, Morgiano.*

*Och, Matko Bogini, myślałam, to jakieś szaleństwo, okrutnie sobie ze mnie żartujesz... Mogłam przecież szczęśliwie wyjść za Accolona. On jednak jest młody i na pewno pragnie młodej żony...*

*– Musisz wiedzieć jeszcze jedno – powiedziałam do Uriensa – urodziłam syna Rogatemu Panu...*

*– Powiedziałem ci już, że nie będę ci wyrzucał niczego z przeszłości, pani Morgiano...*

*– Nie rozumiesz. Było ze mną tak źle po porodzie tego dziecka, że z pewnością nie mogę mieć już więcej dzieci.*

*Król, myślałam, król na pewno chce mieć płodną żonę, a on może nawet bardziej niż jego syn.*

*Poklepał mnie po ręce. Myślę, że autentycznie chciał mnie pocieszyć.*

*– Mam dość synów – powiedział – nie potrzebuję więcej. Dzieci to piękna rzecz, ale ja już mam to za sobą.*

*Jest głupi, jest stary... myślałam... ale jest dobry. Gdyby okazał mi jakieś szaleńcze pożądanie, byłby mi wstrętny, ale z jego dobrocią mogę żyć.*

*– Czy tęsknisz za swym synem, Morgiano? Jeśli chcesz, możesz po niego postać i wychowywać go na naszym dworze, i przysięgam ci, że ani ty, ani on nigdy nie usłyszycie ode mnie przykrego słowa, a on będzie uczciwie wychowywany, jak przystoi na syna księżnej Kornwalii i królowej Północnej Walii.*

*Ta dobroć wzruszyła mnie do łez.*

*– Jesteś bardzo dobry – powiedziałam – ale jemu jest dobrze tam, gdzie jest teraz, w Avalonie.*

*– Cóż, gdybyś zmieniła zdanie, to mi powiedz. Będę rad, mając w domu jeszcze jednego chłopca, a on, jak myślę, jest akurat w dobrym wieku na kompana zabaw dla mego najmłodszego syna, Uwaina.*

*– Myślałam, że to Accolon jest twym najmłodszym, panie.*

*– Nie, nie. Uwain ma dopiero dziewięć lat. Jego matka zmarła przy porodzie... nie myślałaś, że taki starzec, jak ja, może mieć takiego małego synka, co?*

*Cóż, wcale się nie dziwię, pomyślałam. Mężczyźni są tak dumni z tego, że potrafią płodzić synów, jakby to wymagało jakichś specjalnych umiejętności. Jakby każdy kocur nie potrafił tego samego!*

*Kobieta musi nosić dziecko w swoim ciele przez większość roku i cierpieć, by wydać je na świat, tak więc ona ma jakiś powód do dumy; ale mężczyzna robi swoją część bez najmniejszego kłopotu czy zastanowienia. Starłam się jednak zmienić wszystko w żart.*

*– Kiedy byłam mała, panie, było takie powiedzenie w moim kraju: mąż czterdziestoletni może nie zostać ojcem, ale sześćdziesięciolatek z pewnością zostanie!*

*Zrobiłam to specjalnie. Gdyby się zachnął czy obraził rubaszością tego żartu, wiedziałabym, jak mam go traktować w przyszłości, i uważałabym bardzo, by zawsze odzywać się cicho i skromnie.*

*Roześmiał się jednak z całego serca.*

*– Myślę, że ty i ja dobrze się będziemy rozumieć, moja droga – powiedział. – Mam dosyć bycia mężem młodych dziewczyn, które nie umieją się śmiać. Mam nadzieję, że będziesz zadowolona, że wychodzisz za takiego starucha, jak ja. Moi synowie śmiali się ze mnie, bo po śmierci matki Uwaina znów się ożeniłem, ale prawdę mówiąc, pani Morgiano, człowiek się przyzwyczaja do bycia żonatym, nie lubię żyć sam. A kiedy moja ostatnia żona umarła na letnią gorączkę... cóż, to prawda, że chciałem się spowinowacić z twoim bratem, ale przede*

wszystkim byłem samotny. I wydaje mi się, że ty, która przez tyle lat byłaś niezamężna, też może ucieszysz się z tego, że masz dom i męża, nawet jeśli nie jest on młody i przystojny. Wiem, że nie radzono się cię wcześniej... ale mam nadzieję, że nie będziesz nieszczęśliwa.

Pomyślałam, że przynajmniej nie oczekuje, iż będę szaleńczo zachwycona wspaniałą perspektywą bycia jego żoną. Właściwie to nic się nie zmieni – nie byłam nigdy naprawdę szczęśliwa, odkąd opuściłam Avalon, a skoro i tak jestem nieszczęśliwa, gdziekolwiek bym była, teraz przynajmniej będę z daleka od złośliwości Gwenifer. Nie mogłam już dłużej udawać, że jestem jej kochającą krewną i przyjaciółką, i to mnie smuciło, bo był czas, kiedy naprawdę byłyśmy przyjaciółkami, i to nie ja się zmieniłam. Z pewnością nie miałam ochoty okradać jej z Lancelota, ale jakże miałam jej wytłumaczyć, że choć kiedyś go pragnęłam, to także nim pogardzałam, i nie chciałam go za męża, nawet gdyby mi go ofiarowano w prezencie. O tak, gdyby Artur nas ze sobą pożenił, zanim sam poślubił Gwenifer... ale nawet wtedy było już za późno. Po tamtym popołudniu pod gładzi kamiennego kręgu już zawsze było za późno. Gdybym wtedy mu się oddała, nic z tych rzeczy by się nie wydarzyło... ale co się stało, to się nie odstanie, a ja wtedy nie wiedziałam, jakie plany szykuje dla mnie Viviana... i to wszystko przywiodło mnie do ślubu z Uriensem.

Nasza pierwsza noc była mniej więcej taka, jak się spodziewałam.

Popieścił mnie, pogłaskał, poskakał nade mną przez chwilę, charcząc i dysząc ciężko, a potem nagle zszedł ze mnie i zasnął. Nie spodziewając się niczego lepszego, nie byłam rozczarowana. Bez specjalnej przykrości skuliłam się w zagłębieniu jego ramienia. Lubił, jak to robiłam, i choć po pierwszych kilku tygodniach zbliżał się do mnie rzadko, to lubił, jak dzieliłam z nim łóżko, i czasem godzinami trzymał mnie w ramionach, mówiąc o tym i owym, a co więcej, słuchając, co ja mam do powiedzenia. Inaczej niż Rzymianie z południa, ci mężczyźni Plemion nigdy nie stronili od kobiecych rad i mogłam mu być wdzięczna przynajmniej za to, że słuchał mojego zdania i nigdy go nie lekceważył, jako kobiecego gadania.

Północna Walia była piękna, wielkie wzgórza i góry przypominały mi Lothian. Tyle że gdy Lothian był nagi i pusty, kraina Uriensa była żyzna i zielona, pełna drzew i kwiatów, ziemia była dobra, zbiory bogate. Uriens zbudował swój zamek w jednej z najpiękniejszych dolin. Jego syn Avalloch, a także żona Avallocha i jego dzieci ze wszystkim się do mnie zwracali, a najmłodszy syn Uriensa, Uwain, wołał do mnie „matko”. Poznałam, jak to mogłoby być samemu wychowywać swego syna, zajmować się wszystkimi codziennymi kłopotami rosnącego dziecka, które wdrapuje się na drzewa, łamie kości, wyrasta z ubrań albo drze je w lesie, bywa niegrzeczne dla swych nauczycieli albo ucieka na polowanie, kiedy powinno siedzieć nad książkami. Ksiądz, który uczył Uwaina czytać, załamywał ręce, ale chłopiec był chlubą i dumą nauczyciela fechtunku. Choć sprawiał wiele kłopotów, bardzo go kochałam; usługiwał mi przy stole i często siadywał przy mnie, słuchając mojej gry – jak wszyscy mieszkańcy tej krainy, miał muzyczny słuch i czysty, wdzięczny głos; i jak wszyscy na

*dworze, także rodzina Uriensa wolą sama grać, niż słuchać płatnych minstrelów. Po roku czy dwóch zaczęłam uważać Uwaina za własnego syna, a on oczywiście nie mógł pamiętać swej rodzonej matki. Choć tak dziki, dla mnie był zawsze uprzejmy, chłopców w tym wieku ciężko jest utrzymać w ryzach, ale były wzruszające chwile, kiedy po dniach naburmuszenia i gniewu podchodził do mnie i śpiewał z moją harfą albo przynosił mi kwiaty czy źle wyprawioną zajęczą skórkę, a raz czy dwa, niezręczny i nieśmiały jak młody bocian, pochylał się i omiół mój policzek pocałunkiem. Często wtedy żałowałam że nie mam własnych dzieci, które mogłabym sama wychowywać. Niewiele było do roboty na tym spokojnym dworze, daleko od wojen i zamieszek południa.*

*I wtedy, kiedy od roku byłam żoną Uriensa, wrócił do domu Accolon.*

## 9

Lato na wzgórzach; sady i ogrody królowej pokryły się białym i różowym kwieciem. Spacerując między drzewami, Morgiana czuła w całym ciele bolesną tęsknotę za domem, wspominała wiosny w Avalonie i tamte drzewa ukryte w białych i różowych obłokach.

Rok zbliżał się do letniego zrównania. Morgiana zastanowiła się nad tym i stwierdziła, że zacierają się w niej ślady niemal połowy życia spędzonego w Avalonie – fale przyływu nie burzą już jej krwi.

*Nie, czy muszę się okłamywać? To nie tak, że zapomniałam albo że fale nie płyną już w mej krwi, to ja nie pozwalam sobie ich odczuwać.* Przyjrzała się sobie krytycznie – poważna, droga suknia, odpowiednia dla królowej... Uriens dał jej wszystkie szaty i klejnoty należące do jego ostatniej żony, a miała także swoje klejnoty po Igrianie; Uriens lubił widzieć ją wystrojoną jak przystało na jego królową.

*Niektórzy królowie zabijają swych politycznych więźniów lub więżą ich w kopalniach; jeśli królowi Północnej Walii podoba się obwieszać swego więźnia klejnotami i prowadzić u swego boku, i nazywać swą królową, czemu nie?*

Czuła jednak, jak wypełnia ją lato. Gdzieś poniżej, na zboczu, oracz poganiał swego muła cichymi okrzykami. Jutro noc świętojańska.

W następną niedzielę ksiądz poniesie na pola pochodnie i okrąży ziemię w towarzystwie swych ministrantów, śpiewając psalmy i błogosławieństwa. Co bogatsi wielmoże i rycerze, którzy wszyscy byli chrześcijanami, przekonali tutejszy lud, że w chrześcijańskim kraju to właśnie przystoi bardziej niż stare obrzędy, kiedy to ludzie zapalali na polach ogień i czcili Boginię w pradawnym rytuale. Morgiana żałowała – i nie po raz pierwszy – że była tylko jedną z kapłanek, a nie dziedziczką królewskiej linii Avalonu.

*Wtedy wciąż bym tam była, myślała, byłabym jedną z nich, byłabym Panią Jeziora... nie tutaj, jak marynarz z rozbitego statku, zagubiona na obcej ziemi...* Odwróciła się gwałtownie i

przeszła przez kwitnący sad ze spuszczoną głową, nie chcąc więcej patrzeć na kwiecie jabłoni.

*Wiosna wciąż przychodzi od nowa, a za nią lato ze swą płodnością, lecz ja jestem tak samotna i jałowa, jak jedna z tych chrześcijańskich dziewic zamkniętych w klasztornych murach.* Skupiła całą wolę, by nie dopuścić do siebie łez, które w tych dniach jakoś zawsze były tuż-tuż, i weszła do zamku. Za jej plecami zachodzące słońce barwiło pola purpurą, ale ona nie chciała patrzeć; tu w środku wszystko jest szare i jałowe. *Tak szare i jałowe jak ja.*

Jedna ze służących powitała ją w drzwiach.

– Pani, król powrócił i przyjmie cię w swych komnatach.

– Tak przypuszczam – powiedziała Morgiana bardziej do siebie niż do kobiety.

Atak migreny spowodował, że aż przez chwilę nie mogła oddychać, nie mogła się zmusić, by wejść w ciemność zamku, który tej ostatniej mroźnej zimy zamknął się nad nią, jak pułapka. Potem powiedziała sobie, że nie powinna narzekać, zacisnęła zęby i poszła do komnaty Uriensa. Znalazła go na wpół odzianego, rozciągniętego na posadzce, a służący masował mu plecy.

– Znowu się przemęczyłeś – powiedziała, nie dodając: *nie jesteś już na tyle młody, żeby tak objeżdżać swoje ziemie.* Pojechał do pobliskiego miasta, by rozsądzić jakąś kłótnię o miedzę. Wiedziała, że chce, by usiadła teraz przy nim i wysłuchała wszystkich historii, które przywiózł. Usiadła więc w swym własnym krześle i półtuchem słuchała jego opowieści.

– Możesz odejść, Berec. Moja pani poda mi szaty – odprawił sługę, a kiedy ten wyszedł, poprosił: – Morgiano, pomasujesz mi stopy? Twoje ręce są lepsze, niż jego.

– Oczywiście, ale musisz usiąść na krześle.

Wyciągnął ręce, a ona pomogła mu wstać. Podstawiła mu podnózek i uklękła obok, uciskając jego chude, stwardniałe stopy, aż napłynęła do nich krew i znów wyglądały jak żywe. Potem wzięła flakonik i zaczęła wcierać jeden ze swoich ziołowych olejków w wykrzywione paluchy Uriensa.

– Powinieneś sobie kazać zrobić nowe buty – powiedziała. – Pęknięcia w tych starych robią ci odciski, o widzisz, tutaj.

– Ale te stare są takie wygodne, a wysokie buty są takie sztywne, kiedy są nowe – protestował.

– No to zrobisz, jak sam uważasz, mój panie – powiedziała.

– Nie, nie, masz rację, jak zwykle – powiedział. – Każę, by jutro szewc przyszedł i zdjął mi miarę na nowe.

Morgiana, odkładając flakonik z olejkiem i biorąc do ręki parę starych, bezkształtnych butów, myślała: *Ciekawe, czy on wie, że to może być jego ostatnia para butów i dlatego tak z nimi zwleka?* Nie myślała o tym, co dla niej mogłaby oznaczać śmierć króla. Nie chciała mu życzyć śmierci – był dla niej zawsze jedynie dobry i miły. Włożyła mu na nogi miękkie, domowe papcie i wstała, wycierając dłonie w ręcznik.

– Lepiej ci teraz, mój panie?

– Cudownie, moja droga, dziękuję. Nikt nie potrafi tak się mną opiekować, jak ty – powiedział, a Morgiana westchnęła.

Jak będzie miał nowe buty, to zaczną się jeszcze większe kłopoty ze stopami, tak jak słusznie przewidział, buty będą sztywne, a to mu narobi jeszcze gorszych odcisków. Może powinien w ogóle przestać jeździć konno i siedzieć w domu w swoim fotelu, ale na to się nie zgodzi.

– Avalloch powinien jeździć rozsądzać te sprawy. Musi się nauczyć, jak rządzić swym ludem – powiedziała.

Jego najstarszy syn był w tym samym wieku, co ona. Już długo czekał na objęcie tronu, a Uriens wyglądał tak, jakby miał zamiar żyć wiecznie.

– Prawda, prawda, jeśli jednak ja nie pojadę, to pomyślą, że król o nich nie dba – odparł Uriens – ale może następnej zimy, kiedy drogi będą kiepskie, tak właśnie zrobię...

– Lepiej tak zrób – powiedziała – bo jak znowu sobie odmrożisz ręce, to możesz w nich stracić władzę.

– Prawda jest taka, Morgiano – odparł, uśmiechając się do niej swoim dobrotliwym uśmiechem – że jestem starym człowiekiem i na to nic już nie można poradzić. Myślisz, że znajdzie się pieczona wieprzowina na kolację?

– Tak – odparła – i wczesne jagody. Dopilnowałam tego.

– Jesteś wspaniałą gospodynią, moja droga – powiedział i wziął ją pod ramię, gdy wychodzili z komnaty. *On myśli, że jest dla mnie uprzejmy, kiedy tak mówi*, myślała.

Domownicy zamku Uriensa zebrali się wcześniej na wieczorny posiłek: Avalloch, żona Avallocha – Malina, i ich małe dzieci; Uwain, szczupły i smagły, i jego trzech młodszy, przyrodni bracia, i ksiądz, który był ich nauczycielem. Poniżej, przy długiej ławie, zasiadali mężczyźni z drużyny i ich żony, i wyższa służba. Kiedy Uriens i Morgiana zajęli swe miejsca, a Morgiana dała znak, by służba wniosła jedzenie, małe dziecko Maliny zaczęło płakać i hałasować.

– Babcia! Ja chcę do babci na kolana! Niech babcia mnie karmi!

Malina, wysoka, jasnowłosa, blada, młoda kobieta w wysokiej ciąży, zmarszczyła brwi i powiedziała:

– Nie, Conn, usiądź grzecznie i bądź cicho.

Ale mały już dotuptał do kolan Morgiany, a ona zaśmiała się i podniosła go. *Dziwna ze mnie babcia*, pomyślała. *Malina ma prawie tyle lat, co ja*. Wnuczęta Uriensa lubiły ją, a teraz przytuliła mocno chłopczyka, czując z przyjemnością, jak mała główka z kręconymi włoskami wciska się w nią, a pulchne rączki mocno ją obejmują.

Kroiła małe kawałeczki mięsa i karmiła nimi Conna z własnego talerza, potem wykroiła mu kromkę chleba w kształcie świnki.



– Widzisz, teraz masz jeszcze więcej świnki do jedzenia... – powiedziała, wycierając zatłuszczone palce, i zajęła się własnym posiłkiem.

Jadała mało mięsa, teraz też tylko namoczyła chleb w sosie, nic więcej. Szybko skończyła, kiedy pozostali jeszcze jedli.

Oparła się na krzesło i zaczęła cichutko śpiewać Connowi, który zadowolony zwinął się na jej kolanach. Po chwili zdała sobie sprawę, że wszyscy jej słuchają, i pozwoliła, by jej głos powoli zamarł.

– Proszę, śpiewaj dalej, mamu – poprosił Uwain, ale potrząsnęła głową.

– Jestem zmęczona. Słyszycie? Co to za odgłos na dziedzińcu? – Wstała i dała znak słudze, by oświecił jej drogę do głównych drzwi.

Stał za nią, trzymając wysoko pochodnię, i zobaczyła, jak na dziedzińcu wjeżdża ktoś na koniu. Sługa zatknął pochodnię w uchwyt na ścianie i pospieszył pomóc przybyszowi zsiadać.

– Mój pan Accolon!

Podszedł do niej, jego szkarłatna peleryna płynęła za nim, jak rzeka krwi.

– Pani Morgiano – powiedział z głębokim ukłonem – czy może winienem powiedzieć: moja pani matko?

– Proszę, nie rób tego – odparła zniecierpliwiona. – Wejź Accolonie, twój ojciec i bracia ucieszą się na twój widok.

– A ty się nie cieszysz, pani?

Przygryzła wargi, myśląc, że chyba w końcu się rozplacze.

– Jesteś królewskim synem, tak jak ja królewską córką. Czy muszę ci przypominać, jak się układa takie małżeństwa? Ja tego nie zrobiłam, Accolonie, i kiedy rozmawiałam z tobą, nie miałam pojęcia... – Zamilkła, a on spojrzał na nią i pochylił się nad jej dłonią.

Odezwał się tak cicho, że nawet służący nie mógł go usłyszeć.

– Biedna Morgiano. Wierzę ci, pani. A zatem pokój między nami... matko?

– Tylko jeśli nie będziesz nazywał mnie matką – powiedziała z cieniem uśmiechu na ustach. – Nie jestem aż taka stara. To wypada Uwainowi.

A potem, kiedy tylko weszli do sali, Conn podniósł głowę i znów zaczął płakać:

– Babcia!

Morgiana zaśmiała się sucho, podeszła i wzięła malucha na kolana. Czuła na sobie wzrok Accolona. Sama spuściła oczy i patrzyła na dziecko na swych kolanach, słuchając, jak Uriens wita się z synem.

Accolon podszedł uroczyście ucałować brata, skłonił się przed bratową, ukląkł i ucałował dłoń ojca, po czym zwrócił się do Morgiany.

– Oszczędź mi dalszych uprzejmości, Accolonie, ręce mam umazane sosem, karmiłam dziecko, a ono strasznie brudzi.

– Jak rozkażesz, pani – powiedział i podszedł do stołu, gdzie zasiadł do talerza, który przyniosła dla niego jedna ze służących.

Jednak nawet kiedy jadł i pił, wciąż spoglądał na Morgianę.

*Jestem pewna, że wciąż jest na mnie zły. Rano prosi mnie o rękę, a wieczorem widzi mnie przybiecaną jego ojcu... Pewnie myśli, że uległam ambicji – po co poślubić królewskiego syna, skoro można mieć samego króla?*

– Nie – powiedziała zdecydowanie, lekko potrząsając Connem. – Jeśli chcesz zostać u mnie na kolanach, to masz siedzieć spokojnie i nie wycierać swoich tłustych łapek o moją suknię...

*Kiedy widział mnie ostatni raz, byłam odziana w purpurę i byłam królewską siostrą, sławną jako czarownica... teraz jestem babcią z umorusanym dzieciakiem na kolanach, doglądającą domu i łajającą mego starego męża, by nie jeździł w starych butach, od których robią mu się odciski.* Morgiana była boleśnie świadoma każdego swojego siwego włosa, każdej zmarszczki na twarzy. *W imię Bogini, dlaczego ma mi zależeć na tym, co Accolon o mnie myśli?* Ale zależało jej i wiedziała o tym; przywykła do tego, że młodzi mężczyźni obserwują ją i podziwiają, ale teraz czuła się stara, brzydka, niegodna pożądania. Nigdy nie uważała się za piękność, ale zawsze przedtem należała do grona młodych osób, teraz zaś zasiadała w rzędzie starzejących się matron. Znów uciszyła dziecko, bo Malina właśnie spytała Accolona o wieści z dworu Artura.

– Nie ma wieści o wielkich czynach – powiedział – myślę, że dla naszego pokolenia te dni na zawsze się skończyły. Na dworze Artura jest spokojnie, a król wciąż odprawia pokutę za jakiś nieznaną grzech, nie rusza wina, nawet podczas wielkich uct.

– Czy po królowej widać coś, że może nosi jego następcę? – spytała Malina.

– Nic – odparł. – Choć przed turniejem jedna z jej dworek powiedziała mi, że myśli, iż królowa może być brzemienna.

Malina zwróciła się do Morgiany:

– Ty dobrze znałaś królową, prawda, teściowo?

– Znałam – powiedziała Morgiana – i jeśli chodzi o tę pogłoskę, cóż, Gwenifer zawsze myśli, że jest w ciąży, kiedy jej krwawienia przyjdą o dzień za późno.

– Król jest głupcem – wtrącił Uriens. – Powinien ją odsunąć i wziąć sobie jakąś kobietę, która może dać mu syna. Aż nazbyt dobrze pamiętam, jaki chaos zapanował na tych ziemiach, kiedy myślano, że Uther umarł bezpotomnie. Teraz następstwo tronu winno być wyraźnie ustanowione.

– Słyszałem, że król mianował swym następcą jednego ze swych kuzynów – powiedział Accolon – syna Lancelota. Nie podoba mi się to, Lancelot jest synem Bana z Benwick, a my nie chcemy, by obcy królowie panowali nad naszymi.

– Lancelot jest synem Pani Avalonu – powiedziała Morgiana zdecydowanie. – Jest ze starej królewskiej linii.

– Avalon! – rzuciła Malina pogardliwie. – To są teraz chrześcijańskie ziemie. Co ma do nas Avalon?

– Więcej niż przypuszczasz – odparł Accolon. – Słyszałem, że część ludu na wsiach, ci, którzy pamiętają Pendragona, nie są zadowoleni z dworu aż tak chrześcijańskiego, jak dwór Artura, a pamiętaj, że przed swoją koronacją Artur przysięgał chronić lud wierny Avalonowi.

– Tak – potwierdziła Morgiana – i nosi wielki miecz Świętych Regaliów Avalonu.

– Zdaje się, że chrześcijanie mu tego nie wyrzucają – dodał Accolon – i teraz przypomniałem sobie kilka nowin: saksoński król Edrik nawrócił się na chrześcijaństwo i przybył do Glastonbury przyjąć chrzest z całym ceremoniałem, i ukląkł przed Arturem, i złożył przysięgę, że wszystkie saksońskie ziemie uznają go za Najwyższego Króla.

– Artur? Królem Saksonów? Toż cudom nie ma końca! – powiedział Avalloch. – Zawsze słyszałem, że mawiał, iż z Saksonami będzie rozmawiał tylko za pomocą miecza!

– A jednak tak było, saksoński król klęczał w Glastonbury, a Artur przyjmował jego przysięgę i ścisnął mu dłoń – powiedział Accolon. – Może pożeni córkę tego saksońskiego króla i syna Lancelota i zakończy wszelkie wojny? A między doradcami Artura zasiadał Merlin i ktoś mógłby pomyśleć, że taki sam z niego wierny chrześcijanin, jak oni wszyscy!

– No, to Gwenifer musi być w końcu szczęśliwa – powiedziała Morgiana. – Zawsze powtarzała, że Bóg dał Arturowi zwycięstwo pod Mount Badon za to, że poniósł sztandar Świętej Dziewicy. Potem słyszałam nawet, jak mówiła, że Bóg ocalił mu życie, by mógł nawrócić Saksonów na łono kościoła.

Uriens wzruszył ramionami.

– Nie sądzę, żebym zaufał Saksonowi, który stoi mi za plecami z toporem, nawet gdyby nosił biskupią infułę!

– Ani ja – powiedział Avalloch – lecz jeśli saksońscy wodzowie modlą się i odprawiają pokutę za swe dusze, to przynajmniej nie mają czasu najeżdzać i palić naszych wiosek i opactw. A co do postów i pokuty, jak myślisz, co też Artur może mieć na sumieniu? Kiedy walczyłem w jego wojskach, nie należałem do grona jego kompanów i nie poznałem go dobrze, ale zdawał się niezwykle dobrym człowiekiem, a taka długa pokuta oznacza jakiś strasznie wielki grzech. Pani Morgiano, wiesz coś o tym? Jesteś przecież jego siostrą...

– Siostrą, a nie spowiednikiem. – Morgiana wiedziała, że jej głos zabrzmiał ostro, więc zamilkła.

– Każdy człowiek, który piętnaście lat spędził na wojnach z Saksonami, musi mieć więcej na sumieniu, niżby chciał przyznać – powiedział Uriens. – Mało kto jednak jest na tyle wrażliwy, żeby o tym rozmyślać, kiedy bitwa się kończy. Każdy z nas poznał, co to morderstwo, napaści, krew i zabijanie niewinnych. Jednak za naszego żywota nie będzie już bitew. Bóg pozwolił, że uczyniliśmy pokój między ludźmi, możemy więc pomyśleć o uczynieniu pokoju z Bogiem.

*A więc Artur ciągle jeszcze odprawia pokutę, a ten stary arcybiskup Patrycjusz wciąż trzyma w szachu jego duszę! Ciekawe, jak to się podoba Gwenifer?*

– Powiedz coś jeszcze o dworze – prosiła Malina. – Coś o królowej, w co się stroi, kiedy zasiada na tronie?

– Nie znam się na kobiecych szatach – zaśmiał się Accolon.

– Miała coś białego, z perłami... tak, Marhaus, wielki irlandzki rycerz przywiózł je dla niej od króla Irlandii. A jej kuzynka Elaine, jak słyszałem, urodziła Lancelotowi córkę... a może to było w zeszłym roku? Ma już syna, tego, co został wybrany na następcę Artura. A, jest jeszcze jakiś skandal na dworze króla Pellinora, zdaje się, że jego syn, Lamorak, pojechał z misją do Lothianu, a teraz mówi o poślubieniu wdowy po Locie, starej królowej Morgause...

Avalloch zachichotał.

– Chłopak musi być szalony. Morgause ma przynajmniej z pięćdziesiąt lat, a może i więcej!

– Czterdzieści i pięć – powiedziała Morgiana. – Jest o dziesięć lat starsza ode mnie...

Sama się zdziwiła, czemu obraca ostrze noża w swojej własnej ranie...? *Czy pragnę, żeby Accolon uświadomił sobie, jaka jestem stara, że jestem babcią potomków Uriensa...?*

– I rzeczywiście jest szalony – powiedział Accolon – wyśpiewuje ballady, nosi przy sobie jej podwiązkę i wyczynia podobne bzdury...

– Myślę, że z tej podwiązki to można by już zrobić lejce dla konia – dodał Uriens, lecz Accolon potrząsnął głową. – O nie, widziałem wdowę po Locie i jest wciąż piękną kobietą. Nie jest dziewczyną, ale z wiekiem wydaje się jeszcze piękniejsza. Dziwne jest raczej to, że taka kobieta chce nieopierzzonego młodzika. Lamorak ma nie więcej niż dwadzieścia lat.

– Raczej, co taki młody chłopak może widzieć w starej kobiecie? – upierał się Avalloch.

– A może – wtrącił Uriens z rubasznym śmiechem – ta dama jest wielce wykształcona w potyczkach w łożu, choć można by się spytać, gdzie się tego nauczyła, będąc przez tyle lat żoną starego Lota! Bez wątpienia miała też i innych nauczycieli...

Malina zarumieniła się i powiedziała:

– Proszę! Czy takie rzeczy przystoją na chrześcijańskim dworze?

– Jakby nie przystały, synowo, wątpię, by twa kibić tak się rozrosła! – zaśmiał się Uriens.

– Ja jestem kobietą zamężną! – odparła purpurowa Malina.

– Jeśli dom chrześcijański ma polegać na tym, że nie wolno mówić o tym, co bez wstydu się czyni, niech Bogini broni, bym kiedykolwiek miała się nazwać chrześcijanką!

– A jednak – powiedział Avalloch – może rzeczywiście nie wypada siedzieć przy wieczerzy i opowiadać niemiłych historii o krewnej pani Morgiany.

– Królowa Morgause nie ma męża, którego by hańbiła – powiedział Accolon – jest dorosła, jest panią samej siebie. Bez wątpienia jej synowie są kontenci z tego, że zadowala się kochankiem i nie wychodzi za mąż za tego chłopca! Czy ona nie jest również księżną Kornwalii?

– Nie – powiedziała Morgiana – Igriana została księżną Kornwalii, po tym jak Gorlois zdradził Pendragona. Gorlois nie miał synów, a skoro Uther dał Igrianie Tintagel w prezencie ślubnym, więc przypuszczam, że teraz należy on do mnie.

Morgianę nagle ogarnęła tęsknota za tą na wpół zapomnianą krainą, za ciemną sylwetką zamku i krzykami ptactwa na niebie, za ostro opadającymi wśród skał dolinami, wiecznym hałasem morza poniżej zamku... *Tintagel! Mój dom! Nie mogę wrócić do Avalonu, ale nie jestem bezdomna... Kornwalia jest moja.*

– To przypuszczam, moja droga, że wedle rzymskiego prawa, jako twój mąż, jestem też Diukiem Kornwalii – powiedział Uriens.

Morgiana znów poczuła, jak wzbiera w niej gwałtowny gniew. *Po moim trupie!*, pomyślała. *Uriensa nic nie obchodzi Kornwalia, tylko to, czy Tintagel, tak jak ja, jest jego własnością, czy do niego należy! Ach, gdybym mogła tam pojechać, żyć tam sama, jak Morgause w Lothianie, być panią samej siebie, gdzie nikt by mi nie rozkazywał...* Przed oczyma stanęła jej królewska komnata w Tintagel, a ona była malutka, bawiła się na podłodze wrzecionem... *Jeśli Uriens ośmieli się rościć sobie prawo do choćby jednego akra ziemi w Kornwalii, to dam mu sześć stóp tej ziemi\**, i piasek między zębami!

– Opowiedzcie mi teraz, co słychać w tym kraju – powiedział Accolon. – Wiosna była późna, widziałem, że oracze dopiero wychodzą w pola...

– I wybierają Wiosenną Pannę – powiedział Uwain. – Byłem we wsi i widziałem, jak wybierali spośród najładniejszych dziewcząt... nie było cię tutaj w zeszłym roku, matko – zwrócił się do Morgiany. – Najładniejszą ze wszystkich wybierają na Wiosenną Pannę, a ona idzie w procesji dokoła pól, kiedy ksiądz przychodzi je poświęcić... i są też tancerze, którzy tańczą wokół pól... i niosą kukłę zrobioną z siana z poprzednich żniw. Ojcu Elanowi to się nie podoba – dodał – ale nie wiem czemu, to takie ładne...

Ksiądz odchrząknął i odezwał się zażenowany:

– Błogosławieństwo kościoła powinno wystarczać, czemu mielibyśmy potrzebować czegoś więcej ponad słowo Boże, by nasze pola kwitły i rodziły? Ta słomiana kukła, którą obnoszą, to pozostałość ze starych, złych czasów, kiedy palono żywcem ludzi i zwierzęta, by ich ofiara użyźniała pola, a ta Wiosenna Panna to pamiątka po... no cóż, nie będę mówił przy dzieciach o tym grzesznym i bałwochwalczym obyczaju!

– Był czas – powiedział Accolon, zwracając się bezpośrednio do Morgiany – gdy Wiosenną Panną była królowa tej ziemi, była też Panią Plonów, i to ona odprawiała ten obrzęd na polach, by ziemia mogła odzyskać życie i płodność.

Na jego rękach Morgiana znów widziała niebieskie cienie węży Avalonu.

Malina zrobiła znak krzyża i powiedziała przerażona:

– Bogu niech będą dzięki, że żyjemy wśród cywilizowanych ludzi.

– Wątpię, by akurat ciebie poproszono o piastowanie tej funkcji, szwagierko – powiedział Accolon.

\* Zwyczajowa długość i głębokość grobu

– Nie, ona nie jest dość ładna – dodał Uwain, nietaktownie, jak to dziecko – lecz nasza matka jest piękna, prawda, Accolonie?

– Cieszę się, że uważasz, iż moja królowa jest przystojna – rzekł zniecierpliwiony Uriens – ale co było, to minęło, nie palimy już żywcem jagniąt i owiec na polach ani nie zabijamy królewskiego kozła ofiarnego, by jego krwią zraszać ziemię, i nie ma już więcej potrzeby, by królowa w ten sposób błogosławiła pola.

*Nie, pomyślała Morgiana. Teraz wszystko jest czyste, teraz mamy księży i ich krzyże, księży, którzy zabraniają rozpalać ogniska płodności. To cud, że Bogini nie pozbawia tej ziemi plonów z gniewu, iż odmawia się jej należnej czci.*

Krótko potem domownicy udali się na spoczynek. Morgiana wstała jako ostatnia i poszła dopilnować zamknięcia bram i stajni, a potem z małą lampką w ręku poszła sprawdzić, czy należycie wyszykowano kwaterę dla Accolona, gdyż teraz Uwain i jego przyrodni bracia zajmowali komnatę, która należała do niego, kiedy był młodszy.

– Czy wygodnie ci tutaj?

– Mam wszystko, czego mogę zapragnąć – powiedział Accolon. – Poza damą, by uświetniła tę komnatę. Mój ojciec jest szczęśliwym człowiekiem, pani. A ty zasługujesz na to, by być małżonką króla, a nie jego młodszego syna.

– Czy musisz wciąż ze mnie szydzić? – wybuchnęła. – Powiedziałam ci, nie dano mi wyboru!

– Byłaś obiecana mnie!

Morgiana czuła, że krew odpływa jej z twarzy. Zacisnęła usta.

– Co się stało, to się nie odstanie, Accolonie, rzecz jest skończona.

Podniosła swą lampę i odwróciła się.

– Między nami rzecz nie jest skończona, pani – rzucił za nią.

Zabrzmiało to niemal jak groźba. Nie odezwała się. Pospiesznie ruszyła korytarzem do komnaty, którą dzieliła z Uriensem. Jej pokojówka była gotowa, by rozsznurować jej szatę, ale odesłała ją. Uriens siedział, pojękując na brzegu łoża.

– Nawet te papcie są za twarde dla moich stóp! Och, jak dobrze w końcu odpocząć!

– A więc wypoczywaj, mój panie.

– Nie – powiedział i przyciągnął ją do siebie. – Tak więc jutro pola zostaną poświęcone... i może winniśmy być wdzięczni, że żyjemy w cywilizowanej ziemi, a król i królowa nie muszą już błogosławić pól, kładąc się ze sobą publicznie. Ale w wigilię tego święta, droga pani, może powinniśmy uczynić nasze własne błogosławieństwo, po cichu, w naszej komnacie. Co na to powiesz?

Morgiana westchnęła. Niezwykle uważała na dumę swego starzejącego się małżonka. Nigdy nie sprawiła, by nie mógł się poczuć w pełni mężczyzną podczas swych rzadkich i niezdarnych zbliżeń z nią. Accolon obudził w niej jednak niespokojne wspomnienie lat spędzonych w Avalonie – pochodni płonących na szczycie Toru, rozpalanych ogni Beltanu,

kapłanek czekających na zaoranych polach... a dziś wieczorem musiała słuchać, jak jakiś nędzny księżyna szydził z tego, co dla niej było świętsze ponad wszelką świętość.

Teraz zaś wyglądało tak, jakby nawet Uriens sobie z tego drwił.

– Myślę, że takie błogosławieństwo, jakie ty i ja możemy dać polom, lepiej zostawić w spokoju. Ja jestem stara i jałowa, a z ciebie też już nie taki król, który może dać ziemi zbyt wiele życia!

Uriens patrzył na nią zaskoczony. Przez cały rok małżeństwa nigdy nie powiedziała jemu jednego przykrego słowa. Był nazbyt zdziwiony, by robić jej wyrzuty.

– Nie wątpię, że masz rację – powiedział cicho. – Cóż, zatem zostawmy to młodszym ludziom. Chodź do łóża, Morgiano.

Kiedy się położyła obok niego, leżał spokojnie, a po chwili otoczył ją nieśmiało ramieniem. Teraz Morgiana żałowała swych ostrych słów... czuła się zziębnięta i samotna, leżała, zagryzając wargi, by nie płakać, ale kiedy Uriens coś do niej powiedział, udała, że śpi.

Dzień świętego Jana od świtu był jasny i piękny. Wstając wcześnie, Morgiana zdała sobie sprawę, że choćby nie wiadomo jak mocno wmawiała sobie, że słoneczne fale nie burzą już jej krwi, było w niej coś, co kazało jej mocno odczuwać lato. Ubierając się, spojrzała obojętnie na śpiącego męża.

Była głupia. Czemu posłusznie zgodziła się z obwieszczeniem Artura, bojąc się go ośmieszyć przed całym dworem i lennymi królami? Skoro nie potrafi sprawować rządów bez pomocy kobiety, to może nie jest godny, by zasiadać na tronie? Zdradził Avalon, jest krzywoprzysięzcą. Oddał ją w ręce innego zdrajcy wiary. A ona potulnie zgodziła się na to, co dla niej zaplanowali.

*Igriana pozwoliła, by jej życia użyto do celów politycznych. I coś wewnątrz Morgiany, martwe lub drzemiące od dnia, kiedy uciekła z Avalonu, nosząc Gwydiona w swym ciele, nagle zbudziło się i poruszyło, zaczęło pełzać jak powolny wąż, ruchem tak skrytym i niewidocznym, jak pierwsze ruchy dziecka w łonie; to coś mówiło jej czysto i wyraźnie: Skoro nie chciałam pozwolić Vivianie, którą kochałam, użyć siebie w ten sposób, dlaczego mam potulnie chylić czoło i pozwalać się wykorzystywać dla celów Artura? Jestem królową Północnej Walii i jestem księżną Kornwalii, gdzie imię Gorloisa wciąż coś znaczy, i pochodzę z królewskiej linii Avalonu.*

Uriens jęknął ciężko, obracając się na drugi bok.

– Och Boże, boli mnie każdy mięsień, a każdy palec u nogi rwie mnie, jak bolący ząb! Za daleko wczoraj pojechałem. Morgiano, pomasujesz mi plecy?

Już miała rzucić wściekle: *Masz tuzin sług, a ja jestem twoją żoną, a nie niewolnicą!*, ale powstrzymała się. Zamiast tego uśmiechnęła się i powiedziała:

– Tak, oczywiście – i posłała pazia po swe ziołowe olejki.

Niech sobie myśli, że wciąż we wszystkim jest mu posłuszna; uzdrawianie należy do zadań kapłanki. Choćby była to mała rzecz, wciąż jednak dawała jej dostęp do jego planów i jego myśli. Masowała mu plecy i wcierała maść w jego obolałe stopy, słuchając szczegółów kłótni o miedzę, którą pojechał rozsądzać dzień wcześniej.

*Dla Uriensa każda kobieta byłaby dobra na królową. Potrzebuje tylko uśmiechniętej twarzy i zwinnych rąk, by go dopieszczaly. Cóż, będzie to miał, dopóki odpowiada to moim zamiarom.*

– Wygląda na to, że mamy piękny dzień na poświęcenie siewów, w tym dniu nigdy u nas nie pada – powiedział Uriens. – Bogini świeci nad polami, kiedy są jej poświęcane, tak właśnie mawiano, gdy byłem jeszcze młodym poganinem. Mówili, że Wielkie Gody nie mogą być konsumowane w deszczu – zachichotał. – A jednak pamiętam raz, kiedy byłem bardzo młody, że padało na pola ciurkiem przez dziesięć dni, a kapłanka i ja przypominaliśmy świnki walające się w błocie!

Morgiana uśmiechnęła się mimo woli. Obraz, który odmalował w jej wyobraźni, był przezabawny.

– Nawet w obrzędach Bogini lubi sobie żartować – powiedziała – bo jedno z jej imion to przecież Wielka Locha, a my wszyscy jesteśmy jej warchlakami.

– Ach Morgiano, to były dobre czasy – powiedział, lecz po chwili twarz mu spoważniała. – Oczywiście, to było bardzo dawno temu, teraz lud oczekuje od swego króla godności i powagi. Te dni odeszły na zawsze.

*Doprawdy? Ciekawe.* Nic jednak nie odrzekła. Pomyślała, że kiedy Uriens był młody, mógł być na tyle mocnym królem, by oprzeć się fali chrześcijaństwa zalewającej te ziemie. Gdyby Viviana bardziej się postarała, żeby posadzić na tronie króla, który tak szybko i tak silnie nie uzależniłby się od rządów księży... ale oczywiście, któż mógł przewidzieć, że Gwenifer będzie pobożna ponad zdrowy rozsądek? I czemu Merlin niczego nie uczynił?

Skoro nawet Merlin Brytanii i wszyscy mędrcy Avalonu nie zrobili nic, by okiełzać tę falę, która zalewała kraj i zmywała stare obyczaje i starych Bogów, czemu ma obwiniać Uriensa, który przecież był tylko starym człowiekiem i chciał jedynie pokoju? Nie ma powodu, by sobie robić z niego wroga. Kiedy będzie zadowolony, nie będzie go obchodziło, co robi ona... sama jeszcze nie wiedziała, co ma zamiar uczynić, ale wiedziała, że dni jej cichego posłuszeństwa dobiegły końca.

– Żałuję, że cię wtedy nie znałam – powiedziała i pozwoliła, by ucałował jej czoło.

*Gdybym wyszła za niego, kiedy tylko dorostałam do małżeństwa, Północna Walia mogła nigdy nie stać się chrześcijańską krainą. Nie jest jednak za późno. Są tacy, którzy nie zapomnieli, że ich król wciąż nosi na ramionach węże Avalonu, choć są już tak wyblakłe. A posłubił tę, która była kiedyś Wysoką Kapłanką Pani Jeziora.*

*Lepiej wykonałabym pracę dla niej tutaj niż przez te wszystkie lata spędzone na dworze Artura, w cieniu Gwenifer.* Przyszło jej do głowy, że Gwenifer byłaby szczęśliwsza z takim



mężem jak Uriens, którego mogłaby trzymać pod swym wpływem, niż z kimś takim, jak Artur, żyjącym sprawami, do których całkowicie nie miała dostępu.

Był też taki czas, kiedy ona, Morgiana, miała wpływ na Artura – wpływ pierwszej kobiety, którą posiadał, wchodząc w wiek męski, kobiety, która dla niego nosiła twarz Bogini. A jednak, w swej dumie i szaleństwie, pozwoliła, by wpadł w szpony Gwenifer i księży.

Dopiero teraz, kiedy było już za późno, zaczynała rozumieć to, o co chodziło Vivianie.

*Mogliśmy we dwojkę władać tą ziemią; Gwenifer nazywałaby się Najwyższą Królową, ale miałaby Artura tylko ciałem. Sercem, duszą i umysłem należałby do mnie. Ach, jakąż ja byłam głupia... On i ja mogliśmy rządzić – dla Avalonu! Teraz Artur jest stworzeniem księży, i wciąż ma wielki miecz z Regaliów Druidów, a Merlin Brytanii nie robi nic, by go powstrzymać.*

*Ja muszę podjąć pracę, której nie dokończyła Viviana...*

*Och Bogini, tak wiele zapomniałam...*

Nagle zatrzymała się przerażona własną śmiałością. Uriens zrobił przerwę w swej opowieści; przestała masować mu stopy, a on spoglądał na nią pytająco, więc rzuciła szybko:

– Jestem pewna, że postąpiłeś słusznie, drogi mężu – i wtarła resztę słodko pachnącej maści w swoje dłonie. Nie miała pojęcia, w czym mu właśnie przytaknęła, lecz Uriens uśmiechnął się i wrócił do swej opowieści, a ona znów pogрузzyła się w rozmyślaniach.

*Wciąż jeszcze jestem kapłanką. Dziwne, że nagle jestem tego tak pewna, teraz, po tych wszystkich latach, gdy nawet marzenia o Avalonie mnie opuściły.*

Zastanawiała się nad nowinami, które przywiózł Accolon. Elaine urodziła córeczkę. Ona nie mogła dać Avalonowi córki, ale tak jak to uczyniła Viviana, przywiezie Wyspie dziewczynkę na wychowanie. Pomogła Uriensowi się ubrać, zeszła z nim na dół i własnoręcznie przyniosła mu z kuchni świeżo upieczony chleb i trochę jeszcze ciepłego masła. Obsłużyła go, smarując mu chleb masłem. Niech sobie myśli, że jest najwierniejszą z jego poddanych, niech uważa ją tylko za swą słodką i uległą żonę. Dla niej nic to nie znaczyło, ale pewnego dnia może znaczyć bardzo wiele, że będzie miała jego zaufanie, by móc robić to, co będzie chciała.

– Choć jest lato, bolą mnie moje stare kości. Wiesz, Morgiano, myślę, że pojedę na południe do Aque Sulis, do wód. Jest tam stara świątynia Sulii. Kiedy byli tu Rzymianie, wybudowali tam wielkie kąpielisko i część z niego jeszcze się zachowała. Największy basen jest zapchany, a jak Saksoni tędy przechodzili, to zniszczyli większość pięknych budowli i zwalili posągi Bogiń, ale źródło wciąż tam, jest, nietknięte, wrze w chmurach pary, dzień za dniem i rok za rokiem, tryska aż z samego wnętrza ziemi. To wspaniały widok! I są tam gorące jeziora, gdzie człowiek może wymoczyć sobie z kości całe zmęczenie. Nie byłem tam już od dwóch czy trzech lat, ale powinienem znów pojechać, teraz, kiedy w kraju panuje pokój.

– Nie widzę powodu, byś nie miał jechać – powiedziała – skoro wszędzie jest spokojnie.

– Chciałabyś pojechać ze mną, moja droga? Możemy zostawić tu wszystko na głowie moich synów, a stara świątynia może cię zainteresować.

– Chciałabym ją zobaczyć – odparła dość szczerze. Pomyślała o zimnych wodach Świętej Studni Avalonu, bulgotających nieprzerwanie, wiecznie chłodnych i czystych... – Jednak nie jestem przekonana, czy dobrze będzie zostawić wszystko w rękach twych synów. Avalloch to głupiec. Accolon jest bystry, ale jest tylko młodszym synem, nie wiem, czy twoi ludzie będą mu posłuszni. Może gdybym ja tu była, Avalloch słuchałby rad swego młodszego brata.

– Wspaniały pomysł, moja droga – powiedział Uriens radośnie – a i tak to by była dla ciebie za daleka droga. Jeśli ty tu będziesz, to bez najmniejszego wahania zostawię wszystko młodemu ludziom i przykażę im, że mają z każdą rzeczą zwracać się do ciebie o radę.

– I kiedy byś wyruszył?

To wcale nie będzie takie złe, myślała Morgiana, jeśli stanie się rzeczą wiadomą, że Uriens nie waha się zostawiać swego królestwa w mych rękach.

– Może jutro? A może nawet dzisiaj, zaraz po poświęceniu pól. Każesz im spakować moje rzeczy?

– Jesteś pewny, że możesz wyruszyć w tak daleką drogę? To niełatwa podróż nawet dla młodego człowieka...

– Daj spokój, moja droga, nie jestem jeszcze za stary na jazdę – powiedział, lekko marszcząc brwi – a jestem przekonany, że wody dobrze mi zrobią.

– Na pewno. – Morgiana wstała, sama prawie nie tknąwszy śniadania. – Zawołam twojego przybocznego sługę i przygotuję wszystko do twego wyjazdu.

Stała u boku Uriensa, gdy z niewielkiego wzgórza za wioską obserwowali procesję idącą wzdłuż pól i tancerzy skaczących jak młode koziołki... Morgiana zastanawiała się, czy któryś z nich rozumiał znaczenie fallicznych, długich tyczek, owiniętych czerwonymi i białymi girlandami, i ślicznej, młodej dziewczyny z rozpuszczonymi włosami, która szła między nimi spokojna i stateczna. Była młodziutka i świeża, nie miała jeszcze chyba czternastu lat, jej miedzianozłote włosy spływały prawie do kolan. Miała na sobie zieloną suknię, która wyglądała na bardzo starą. Czy ktoś z nich wie, na co właśnie patrzą, albo rozumie niestosowność podążającej za tancerzami procesji – dwóch chłopców odzianych na czarno niosło gromnice i krzyże, a ksiądz intonował modlitwy łamaną łaciną – Morgiana mówiła lepszą łaciną niż on!

*Ci księża tak bardzo nienawidzą życia i płodności, że to naprawdę cud, iż to ich tak zwane błogostawieństwo nie obraca pól w jałową perzynę!*

Usłyszała za sobą cichy głos, który jakby odpowiedział na jej własne myśli.

– Ciekaw jestem, pani, czy poza nami ktokolwiek tutaj naprawdę wie, na co patrzy?

Accolon podał jej ramię, by pomóc jej przejść przez rozkopaną miedzę; znów zobaczyła węże na jego ramionach – świeże i niebieskie.

– Król Uriens wie i stara się zapomnieć. To wydaje mi się większym bluźnierstwem, niż w ogóle nie wiedzieć.

Spodziewała się, że to go rozgniewa, nawet, w jakiś sposób, pragnęła tego. Kiedy mocna dłoń Accolona podtrzymała jej ramię, poczuła ten głód, to ssanie w środku... on jest młody, jest męski, a ona... ona jest starzejącą się żoną jego starego ojca... spoczywają na nich oczy poddanych Uriensa i oczy jego rodziny i ich dworskiego księdza! Nie może nawet swobodnie rozmawiać, musi go traktować z zimną obojętnością: to jej pasierb! Jeśli Accolon zwróci się do niej z pogardą, to chyba zacznie krzyczeć w głos, zacznie sobie wrywać włosy i drzeć skórę i twarz paznokciami...

Accolon odpowiedział jednak głosem tak cichym, że nawet w pobliżu nikt nie mógł go usłyszeć:

– Może Bogini wystarczy to, że my wiemy, Morgiano. Ona nas nie opuści tak długo, jak długo choć jeden wierny będzie oddawał jej cześć.

Przez chwilę zatrzymała na nim spojrzenie. Jego oczy były w niej utkwione i choć jego dłonie podtrzymywały jej ramię ostrożnie, dwornie, obojętnie, wydało jej się, że bije z nich żar, który ogarnia całe jej ciało. Nagle się przestraszyła i chciała się odsunąć.

*Jestem żoną jego ojca i ze wszystkich kobiet jestem tą jedyną, najbardziej mu zakazaną. W tym chrześcijańskim kraju jestem dla niego bardziej zakazana, niż byłam dla Artura.*

I wtedy jej myśli przysłoniło wspomnienie z Avalonu, coś o czym nie myślała od ponad dziesięciu lat. Jeden z Druidów, nauczając młode kapłanki tajemnej wiedzy, powiedział: *Jeśli macie mieć od Bogów wiadomość, jak pokierować swym życiem, szukajcie tego, co się ciągle powtarza, wciąż od nowa. Gdyż to jest właśnie wiadomość przesłana wam przez Bogów, karmiczna lekcja, której musicie się nauczyć podczas tej inkarnacji. To będzie się pojawiała wciąż od nowa, aż nie uczynicie tego częścią swej duszy i swego wiecznego ducha.*

*Co wciąż od nowa do mnie przychodzi...?*

Każdy mężczyzna, którego pożądała, był zbyt blisko z nią spokrewniony – Lancelot był synem jej przybranej matki, Artur synem jej własnej matki, teraz syn jej męża...

*Oni wszyscy są zbyt bliską rodziną tylko wedle praw ustanowionych przez chrześcijan, którzy pragną władać tym krajem... narzucić nową tyranię; chcą nie tylko ustanawiać prawa, lecz władać także umysłem, sercem i duszą ludzi. Czy przez całe życie doświadczam na sobie tyranii tych praw, bym ja, jako kapłanka, zrozumiała, dlaczego muszą zostać obalone?*

Stwierdziła, że jej ręce, wciąż pewnie podtrzymywane przez Accolona, drżą. Starła się zebrać swe rozbiegane myśli.

– Czy naprawdę myślisz, że Bogini odbierze tej ziemi życie, jeśli ludzie, którzy tu mieszkają, nie będą dłużej oddawać jej czci? – spytała.

Była to uwaga, którą kapłanka mogła podzielić się z kapłanem, w Avalonie. Morgiana wiedziała, tak jak każdy, że prawidłowa odpowiedź na to pytanie brzmi, iż Bogowie są tym, kim są, i spełniają na ziemi swą wolę niezależnie od tego, co ludzie myślą o ich czynach.

Jednak Accolon odparł z dziwnym, zwierzęcym błyskiem zębów ukazanych w uśmiechu:

– Tak więc, pani, musimy dopilnować, aby zawsze oddawano jej cześć, bo inaczej życie na tej ziemi umrze...

I wtedy zwrócił się do niej imieniem, którym jedynie kapłan mógł się zwrócić do kapłanki podczas obrzędu, a Morgiana poczuła, że serce bije jej tak mocno, aż robi jej się słabo.

*Bo inaczej życie na ziemi umrze. Bo życie umrze we mnie... przemówił do mnie w imieniu Bogini...*

– Bądź cicho – powiedziała zdenerwowana. – To nie jest ani czas, ani miejsce na takie rozmowy.

– Nie?

Podeszli już do skraju skopanej ziemi. Puścił jej ramię i bez jego dotyku jej własna ręka wydała jej się zimna. Przed nimi tancerze w maskach potrząsali fallicznymi tyczkami i podskakiwali, a Wiosenna Panna z długimi włosami rozwianymi i rozczochranymi przez wiatr obchodziła krąg tancerzy, wymieniając z każdym z nich pocałunek – był to symboliczny, formalny pocałunek, ich usta ledwie dotykały jej policzka. Uriens niecierpliwie przywołał Morgianę do siebie; podeszła zimno i sztywno, a miejsce na nadgarstku, gdzie trzymał ją Accolon, paliło jej lodowate ciało żywym ogniem.

– Teraz twoja kolej, moja droga – powiedział podniecony Uriens – rozdasz te podarki tancerzom, którzy nas zabawiali.

Skinął na sługę, który napełnił dłonie Morgiany cukierkami i kandyzowanymi owocami. Rzuciła je tancerzom i widzom, którzy łapali dary, śmiejąc się i popychając. *Znów kpina z rzeczy uświęconych... pozostałość po dniu, gdy lud bił się o kawałki mięsa i krople krwi ofiarnej... Niech już lepiej obrzędy zupełnie popadną w zapomnienie, lecz nie będą w ten sposób wyszydzane!* Wciąż od nowa napełniano jej dłonie słodyczami, a ona rzucała je w tłum. Nie widzą w tym nic więcej tylko tancerzy, którzy ich zabawiali. Czy wszyscy zapomnieli? Wiosenna Panna podeszła do Morgiany, śmiejąc się i rumieniąc z niewinną dumą. Teraz dopiero Morgiana dostrzegła, że choć była śliczna, to oczy miała puste, dłonie stwardniałe i chropowate od pracy na polach. To jest tylko ładna dziewczyna starająca się wykonać zadanie kapłanki, nie mająca najmniejszego pojęcia o tym, co robi; szaleństwem byłoby mieć jej to za złe.

*A jednak jest kobietą i wykonuje pracę Matki najlepiej, jak potrafi; to nie jej wina, że nie jest wykształcona w Avalonie i przygotowana do wielkich zadań.*

Nie była pewna, czego się od niej teraz oczekuje, lecz kiedy dziewczyna uklękła przed nią na chwilę, Morgiana przybrała na wpół zapomnianą pozycję kapłanki gotowej do błogosławieństwa. Przez moment poczuła, jak coś na nią spływa, ogarnia ją, unosi... położyła dłonie na czole dziewczyny i poczuła, jak przepływa między nimi moc; twarz dziewczyny, raczej głupawa, na moment się przemieniła. *Bogini jest także w niej*, pomyślała Morgiana i

wtedy ujrzała twarz Accolona – patrzył na nią z zachwytem i trwogą. Widziała już ten wyraz na twarzach ludzi, kiedy sprowadzała mgły Avalonu... i przepełniła ją świadomość mocy, jakby w mgnieniu oka narodziła się na nowo.

*Znów jestem żywa. Po tych wszystkich latach znów jestem kapłanką i to stało się za sprawą Accolona...*

A potem napięcie chwili minęło, dziewczynka cofnęła się, potykając, i złożyła królewskiej rodzinie niezgrabny ukłon. Uriens rozdał tancerzom monety i wręczył trochę większą sumę miejscowemu księdzu na świece do wiejskiego kościoła, po czym królewskie towarzystwo ruszyło z powrotem do zamku. Morgiana szła statecznie u boku Uriensa, z nieprzeniknioną twarzą, lecz w środku kipiała życiem. Jej pasierb Uwain podszedł i przyłączył się do nich.

– W tym roku było ładniej niż zwykle, matko. Shanna jest taka urocza, ta Wiosenna Panna, córka kowala Euana. Ale ty, matko, kiedy ją błogosławiłaś, wyglądałaś tak pięknie, to ty powinnaś być Wiosenną Panną...

– Daj spokój – skarciła chłopca ze śmiechem. – Naprawdę myślisz, że mogłabym się ubrać na zielono i z rozpuszczonymi włosami tańczyć w ten sposób po zaoranych polach? No i ja nie jestem panną!

– Nie – odparł Uwain, przyglądając jej się uważnie – ale wyglądałaś jak Bogini. Ojciec Eian mówi, że Bogini tak naprawdę jest demonem, który przyszedł, by powstrzymać ludzi przed służeniem dobremu Chrystusowi, ale wiesz, co ja myślę? Ja myślę, że Bogini była tutaj, żeby ludzie mogli ją czcić, zanim ich nauczono, jak czcić świętą matkę Chrystusa.

Accolon szedł obok nich.

– Przed Chrystusem była Bogini i nie stanie się nic złego, jeśli będziesz o niej myślał jako o Maryi, Uwain. Powinieneś zawsze służyć Pani, nieważne, pod jakim imieniem. Nie radzę ci jednak za wiele o tym mówić ojcu Eianowi – powiedział.

– O nie – odparł chłopiec, z szeroko otwartymi oczyma. – On nie pochwała kobiet, nawet jeśli to Boginie.

– Ciekawe, co myśli o królowych? – mruknęła cicho Morgiana.

Kiedy dotarli do zamku, musiała dopilnować pakowania podróży rzeczy Uriensa i w zamieszaniu całego dnia odsunęła swe nowe odkrycia w głąb myśli, wiedząc, że później będzie się musiała nad nimi jak najpoważniej zastanowić.

Uriens odjechał po południu ze swą drużyną i jednym czy dwoma służącymi. Pożegnał Morgianę czułym pocałunkiem, przykazał Avallochowi słuchać we wszystkim rad Accolona i królowej. Uwain był rozżalony, chciał jechać z ojcem, którego uwielbiał, ale Uriens wołał nie kłopotać się w drodze dzieckiem. Morgiana musiała pocieszać chłopca, obiecując mu coś specjalnego podczas nieobecności ojca. W końcu jednak wszystko się uspokoiło, Malina zabrała swoje dzieci do łóżek i Morgiana mogła usiąść samotnie przed ogniem w wielkiej sali i pomyśleć o tym wszystkim, co wydarzyło jej się tego dnia.

Na dworze zapadał zmierzch, najdłuższy czerwcowy wieczór.

Morgiana wzięła do ręki wrzeciono i kołowrotek, ale tylko udawała, że pracuje, co jakiś czas obracając wrzeciono i pociągając trochę nici; jak zwykle, nie lubiła przedzenia i jedną z niewielu rzeczy, o które poprosiła Uriensa, było to, by najął dwie dodatkowe prządki i uwolnił ją od znieawidzonego zajęcia. Zamiast tego wykonywała podwójną ilość przypadającego na nią tkania. Nie śmiała praść; wprowadzało ją w ten dziwny stan pomiędzy snem a czuwaniem i lękała się tego, co może zobaczyć. Tak więc teraz tylko od czasu do czasu obracała wrzeciono, by nikt ze służby nie mógł powiedzieć, że siedzi z założonymi rękoma... nie, żeby ktokolwiek miał prawo jej to wypomnieć, była zawsze zajęta od rana do nocy...

W sali się ściemniało, wpadało jedynie kilka purpurowych smug światła z zachodzącego słońca, przez kontrast jeszcze bardziej zaciemniając kąty. Morgiana zmrużyła oczy, myśląc o czerwonym słońcu zachodzącym nad kamiennym kręgiem Toru, o kapłankach idących rzędem w czerwonym świetle pochodni rzucającej długie cienie... przez chwilę zamigotała przed nią twarz Raven, cicha, zagadkowa, i wydało jej się, że Raven otwiera usta i wymawia jej imię... w świetle księżycy przesuwają się przed nią twarze: Elaine z rozpuszczonymi włosami, gdy światło pochodni zastało ją w łożu z Lancelotem; Gwenifer, zła i tryumfująca na ślubie Morgiany; spokojna, cicha twarz tej nieznanym kobiecie ze splecionymi, jasnymi włosami, kobiety, którą widywała jedynie w snach, Pani Avalonu... i znów Raven, zalękniona, błagająca... Artur z pokutną gromnicą chodzący między swymi poddanymi... O nie, księża chyba nigdy nie ośmieliliby się zmusić króla do publicznej pokuty? A potem ujrzała łódź Avalonu całą udrapowaną na czarno, na pogrzeb, i swą własną twarz, jak odbicie we mgle, majaczącą wśród twarzy trzech innych kobiet odzianych na czarno, tak jak łódź, a na jej kolanach leżał ranny mężczyzna, błąd i nieruchomy...

W ciemnej sali pochodnia zamigotała purpurą i jakiś głos powiedział:

– Czy próbujesz praść po ciemku, matko?

Zaskoczona światłem Morgiana odwróciła się i odparła zażenowana:

– Mówiłam ci, żebyś mnie tak nie nazywał!

Accolon umieścił pochodnię w uchwycie, podszedł i usiadł u jej stóp.

– Bogini jest matką nas wszystkich, pani, i ją w tobie uznaję...

– Drwisz sobie ze mnie? – spytała zdenerwowana.

– Nie drwię. – Przysunął się bliżej, usta mu drżały. – Widziałem dzisiaj twą twarz. Czy śmiałbym drwić z tego, nosząc to? – Wyciągnął ramiona i przez grę światła niebieskie węże wytatuowane na jego nadgarstkach zdawały się wić, pełzać i podnosić swe namalowane głowy. – Pani, Matko, Bogini... – Jego pomalowane ramiona otoczyły jej kibić, wtulił twarz w jej łono. – Twoja twarz jest dla mnie twarzą Bogini... – wyszeptał.

Poruszając się jakby we śnie, Morgiana wyciągnęła do niego ramiona, pochyliła się, by pocałować jego kark, na którym wiły się miękkie, kręcone włosy. Była równocześnie

zadziwiona i zalekciona. *Co ja wyprawiam? Czy to tylko dlatego, że wezwał mnie w imię Bogini, jak kapitan kapłankę? Czy dlatego, że kiedy mnie dotyka, kiedy do mnie mówi, znów czuję się żywa, doznaję radości bycia kobietą po tylu miesiącach czucia się starą, jałową, na wpół umarłą w tym małżeństwie z martwym człowiekiem, w tym martwym życiu?* Accolon uniósł twarz i pocałował ją prosto w usta, Morgiana poddając się pocałunkowi, czuła jak mięknie, otwiera się, ulega; jego język dotknął jej języka, całe jej ciało przebiegł na wpół bolesny, na wpół rozkoszny dreszcz, budząc uśpione wspomnienia... tak długo, tak długo... cały ten rok jej ciało było obumarłe, nie pozwalała mu się przebudzić, by nie być świadomą tego, co robi Uriens... *Jestem kapłanką! Moje ciało należy do mnie, by złożyć je w hołdzie Bogini! To, co robiłam z Uriensem, to był grzech, poddanie się jego żądzy! To jest prawdziwe i święte!*

Jego dłonie drżały na jej ciele, ale kiedy się odezwał, głos miał spokojny i opanowany.

– Myślę, że wszyscy już śpią. Wiedziałem, że będziesz tu na mnie czekała...

Przez chwilę Morgianę oburzyła jego pewność siebie; potem spuściła głowę. Byli w rękach Bogini i nie sprzeciwił się temu, co porywa ją jak nurt rzeki; długo, długo, jedynie dusiła się na mieliźnie, a teraz znów płynie z czystym prądem życia.

– Gdzie jest Avalloch? – spytała.

– Poszedł do wioski – odparł Accolon z krótkim śmiechem. – Zlegnąć z Wiosenną Panną... to jeden z naszych zwyczajów, o którym ksiądz nie wie. Odkąd nasz ojciec się zestarzał, a my dorosiliśmy, tak właśnie się dzieje, a Avalloch nie uważa, by kłócić się to z jego chrześcijańskimi obowiązkami, sądzi, że jest ojcem swych poddanych, tak wielu, ile zdoła, tak jak Uriens w swej młodości. Avalloch zaoferował, byśmy ciągnęli losy o dzisiejszy przywilej, i nawet zacząłem to robić, ale wtedy przypomniałem sobie twoje dłonie błogosławiące ją i zrozumiałem, gdzie naprawdę winienem oddać cześć...

– Avalon jest tak daleko... – powiedziała w nieśmiałym proteście.

– Lecz Ona jest wszędzie – wyszeptał, tuląc twarz do jej piersi.

– Niech więc tak będzie – szepnęła i wstała. Podała mu rękę, by się podniósł i zrobiła pół obrotu w stronę schodów, ale zatrzymała się. Nie, nie tu. W całym tym zamku nie ma łoża, które mogliby godnie dzielić. Przypomniała jej się maksyma Druidów: *Czy to, co nigdy nie zostało stworzone ani zrobione przez człowieka, można czcić pod dachem zbudowanym ludzkimi rękoma?*

A więc na dwór, w noc. Kiedy wychodzili na pusty dziedziniec, spadająca gwiazda przecięła niebo, tak szybko, że przez chwilę Morgianie wydawało się, że to ziemia cofa się pod jej nogami... gwiazda zniknęła, zostawiając ją oślepioną. *Omen. Bogini wita mnie z powrotem w sobie...*

– Chodź – szepnęła, biorąc Accolona za rękę.

Poprowadziła go do sadu, gdzie białe duchy kwitnących drzew płynęły w ciemności i opadały wokół nich. Rozłożyła swój płaszcz na trawie, jak magiczny krąg pod sklepieniem nieba, wyciągnęła ramiona i znów szepnęła:

– Chodź.

Ciemny cień jego ciała pochylający się nad nią przystonił i niebo, i gwiazdy.

## **Mówi Morgiana...**

*Nawet kiedy jeszcze leżeliśmy tam, pod gwiazdami letniej nocy, wiedziałam, że to, co robimy, nie tyle jest kochaniem się, co magicznym aktem namiętnej mocy; że jego dłonie, dotyk jego ciała, od nowa wyświęcają mnie na kapłankę, i że to jest Jej wola. I mimo że ślepa i głucha byłam na wszystko w tamtej chwili, wokół nas słyszałam w letniej nocy dźwięki i szepty i wiedziałam, że nie jesteśmy sami.*

*Chciał zatrzymać mnie w swych ramionach, lecz podniosłam się kierowana tą mocą, która nade mną panowała, i uniosłam ręce ponad głowę. Opuszczałam je powoli, z zamkniętymi oczyma, w napięciu wstrzymując oddech... dopiero kiedy usłyszałam, jak on chwyta powietrze z zachwytem, odważyłam się otworzyć oczy... ujrzałam jego ciało okolone tym samym bladym światłem, które otaczało także moje ciało.*

*Dokonało się i ona jest ze mną... Matko, jestem ciebie niegodna... ale to powróciło... znów wstrzymałam oddech, by nie zanieść się głośnym szlochem. Po tych wszystkich latach, mimo mej zdrady i niewierności, ona znów do mnie przyszła, na nowo jestem kapłanką.*

*W blasku księżycowego światła dostrzegłam, że na skraju polanki, gdzie leżeliśmy, w ciemności błyszczą oczy, jakby w trawie czaiły się jakieś zwierzęta, choć nie widziałam nawet cienia postaci. Nie byliśmy sami, mali ludzie ze wzgórz wiedzieli, gdzie jesteśmy i co ona tutaj zamierzała, i przybyli zobaczyć spełnienie nie znane tutaj, odkąd Uriens się zestarzał, a świat stał się szary i chrześcijański. Doszło do mych uszu wyszeptane z czcią błogostawieństwo, ledwie słyszalne w miejscu, gdzie ja stałam, a Accolon wciąż klęczał w zachwyceniu.*

*Odpowiedziałam na nie w języku, w którym nie znałam więcej niż może tuzin słów.*

– *Dokonało się i niech tak będzie!*

*Pochyliłam się i pocałowałam go w czoło, powtarzając:*

– *Dokonało się. Idź, mój drogi, bądź błogostawiony.*

*Wiem, że by został, gdybym wciąż była tą samą kobietą, z którą przyszedł do ogrodu; lecz wobec kapłanki oddalił się posłusznie, nie sprzeciwiając się słowom Bogini.*

*Tej nocy nie położyłam się spać. Samotnie spacerowałam do świtu po ogrodzie i wiedziałam już, drżąc z przerażenia, co należało czynić. Nie wiedziałam jak ani czy sama zdołam zrobić to, co rozpoczęłam, ale tak jak wiele lat temu zostałam namaszczona na*



*kapłankę i sama się tego wyrzekłam, tak teraz sama muszę odnaleźć powrotną drogę. Tej nocy otrzymałam wielką łaskę; ale wiedziałam, że nie będzie dla mnie więcej znaków i nie będzie pomocy, aż sama, własnymi siłami nie stanę się znów kapłanką, którą kiedyś byłam.*

*Pod małżeńskim welonem, który podarował mi Uriens, wciąż nosiłam wyblakły znak jej łaski, lecz teraz to nie mogło mi pomóc.*

*Patrząc na blednące gwiazdy, nie wiedziałam, kiedy wschodzące słońce zaskoczy mnie w mym czuwaniu; słoneczne cykle nie płynęły w mej krwi już niemal przez pół życia i nie umiałam dokładnie określić miejsca na horyzoncie, gdzie powinnam się zwrócić, by powitać wschodzące słońce. Nie wiedziałam już nawet, jak księżyc zaznacza swe cykle w mym ciele... tak daleko odeszłam od nauk Avalonu. Samotnie, tylko dzięki bledącym wspomnieniom, muszę jakoś odzyskać tę wiedzę, która niegdyś była częścią mnie.*

*Przed świtem cicho wróciłam do zamku i po ciemku znalazłam jedyną pamiątkę, którą miałam z Avalonu – mały zakrzywiony nóż, który znalazłam przy martwym ciele Viviany, taki sam, jak ten, który nosiłam jako kapłanka i który zostawiłam w Avalonie, gdy stamtąd uciekłam. Przymocowałam go wokół talii, pod ubraniem; już nigdy nie opuści mego boku i będzie ze mną pochowany.*

*I tak nosiłam w ukryciu jedyną pamiątkę, jaką mogłam zatrzymać po tamtej nocy. Nawet nie odświeżyłam barwikiem półksiężyca na czole, częściowo przez Uriensa – wypytywałby o to, a częściowo dlatego, że wiedziałam, iż jeszcze nie jestem godna, by go nosić. Nie będę nosiła sierpa, tak jak on nosi swe wyblakłe węże, jak ozdobę i na wpół zapomnianą pamiątkę po czymś, co kiedyś było i czego już nie ma. Kiedy kolejne miesiące rozciągały się w lata, część mnie poruszała się jak malowana lalka i wykonywała codzienne obowiązki, których ode mnie wymagano – tkalam, przędłam, robiłam ziołowe lekarstwa, zajmowałam się potrzebami syna i wnuka, słuchałam opowieści mego męża, haftowałam mu piękne szaty, doglądałam go w chorobie... Wszystko to robiłam bez większego zastanowienia, myśląc o tym jedynie powierzchownie, a na czas, gdy Uriens pospiesznie i wstrętnie brał w posiadanie moje ciało, zapadałam się w całkowite odrętwienie.*

*Nóż jednak był przy mnie i od czasu do czasu mogłam go dotykać, by dodać sobie odwagi, gdy od nowa uczyłam się obliczać drogi słońca od letniego do zimowego przesilenia i z powrotem... liczyłam je mozolnie, na palcach, jak dziecko lub początkująca kapłanka; minęły lata, zanim poczułam, jak znów płyną w mojej krwi, zanim wiedziałam z dokładnością do grubości włosa, w którym miejscu na horyzoncie księżyc i słońce wzejdą i zajdą, bym mogła oddać im pozdrowienie, którego nauczyłam się od nowa. Późno w nocy, gdy cały dom już spał, studiowałam gwiazdy, pozwalając, by przenikały do mego krwiobiegu, by płynęły i wirowały wokół mnie, aż stawałam się tylko maleńkim punktem odniesienia na nieruchomej ziemi, centrum wirującego tańca planet ponad moją głowę, spiralnej zmiany pór roku. Wstawałam wcześnie i kładłam się późno, by znajdować czas na wycieczki w góry, pod pretekstem zbierania leczniczych ziół i korzeni. Tam odszukiwałam stare linie mocy,*

wytaczałam je od wielkich głazów do stojącej w rozpadlinach wody... była to żmudna praca i minęły lata, zanim odnalazłam choćby kilka tych linii w pobliżu zamku Uriensa.

A jednak nawet tego pierwszego roku, gdy zmagalam się z wyblakłą pamięcią, starając się odtworzyć z niej to, co umiałam tyle lat temu, wiedziałam, że w mych czuwaniach nie jestem samotna. Nigdy nie byłam zupełnie sama, choć też nigdy nie widziałam więcej, niż zobaczyłam tamtej pierwszej nocy – błysk oczu w ciemności, zauważony kątem oka ledwie wyczuwalny ruch... rzadko się ich widziało, nawet tutaj, na dalekich wzgórzach, a już nigdy w wioskach czy na polach; żyli swym własnym tajemnym życiem na odludnych wzgórzach i w gęstych lasach, gdzie umknęli, gdy nadeszli Rzymianie.

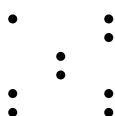
Wiedziałam jednak, że tam są, że mały lud, który nigdy nie stracił jej z oczu, czuwa nade mną.

Kiedyś daleko na wzgórzach znalazłam kamienny krąg, nie taki wielki, jak ten na szczycie Toru w Avalonie, ani jak ten, który niegdyś był świątynią Słońca na ogromnej kredowej równinie; te głazy nawet mnie nie sięgały wyżej niż do ramienia (a nie jestem wysoka), średnica kręgu była mniej więcej na długość dorosłego mężczyzny.

Do połowy zakopany w trawie, pośrodku kręgu leżał niewielki ścięty kamień, znaki na nim wyblakły, był porośnięty mchem. Oczyszczałam go z chwastów i mchów i od tej pory zostawiałam przy nim to, co mogłam niepostrzeżenie wynieść z zamkowych kuchni, przynosiłam jej ludziom to, co sami rzadko mogą zdobyć – bochen razowego, chleba, kawałek sera, osetkę masła. Kiedyś, kiedy tam poszłam, na środku kręgu znalazłam girlandę pachnących kwiatów, które rosną tylko na granicy czarownej krainy; zasuszone – nigdy nie zwiędną.

Kiedy następnym razem wyprowadziłam Accolona z zamku w pełni księżyca, miałam je na czole, gdy łączyliśmy się w tym dostojnym obrzędzie, w którym przestawaliśmy istnieć jako jednostki, a stawaliśmy się Bogiem i Boginią, utwierdzając nieskończone istnienie kosmosu, przepływ mocy między kobietą i mężczyzną, jak między ziemią a niebem. Po tym zdarzeniu nigdy już nie byłam sama poza granicami swego ogrodu. Wiedziałam, że nie powinnam ich szukać, ale byli tam i miałam pewność, że będą zawsze, gdybym ich potrzebowała. Nie na darmo dano mi kiedyś to stare imię, Morgiana Czarodziejka... teraz uznali mnie za swą kapłankę i swą królową.

W wigilię Dnia Zmarłych, gdy księżyc stał nisko na niebie, a oddech czwartej z kolei zimy wiał chłodem, udałam się nocą do kamiennego kręgu. Tam, otulona płaszczem, drżąc z zimna, czuwałam, poszcząc całą noc; gdy wstałam i skierowałam się ku domowi, zaczął padać śnieg, ale kiedy wychodziłam z kręgu, nadepnęłam na kamień, którego tam nie było, gdy przyszłam. Pochyliłam głowę i ujrzałam białe kamienie ułożone we wzór.



*Schyliłam się i przestawiłam jeden z kamieni, układając kolejny z magicznych numerów – fale przesunęły się i teraz byliśmy już pod gwiazdami zimy. Potem przemarznięta wróciłam do domu i opowiedziałam historyjkę, jak to noc zastała mnie w górach i przespałam ją w pustym pasterskim szałasie – Uriens przestraszył się śniegiem i już wystął dwóch ludzi, by mnie szukali. Leżący grubą warstwą w górach śnieg zatrzymał mnie w murach przez większość zimy, ale wiedziałam, kiedy burze śniegowe ucichną, zaryzykowałam podróż do kamiennego kręgu w zimowe przesilenie, wiedząc, że w środku kręgu będzie sucho... śnieg nigdy nie padał we wnętrzu wielkich kręgów, wiedziałam o tym, przypuszczałam więc, że tak samo będzie tutaj, w mniejszych kręgach, gdzie wciąż panuje magiczna moc.*

*I tam, w samym środku kręgu, zobaczyłam maleńkie zawiniątko – kawałek skóry okręcony żyłką. Moje palce odzyskiwały już swą dawną sprawność i nie drżały, gdy rozwijałam supły i wysypałam zawartość zawiniątka na dłoń. Wyglądało to jak kilka zasuszonych ziaren, ale były to maleńkie grzybki, które rosły tak rzadko w pobliżu Avalonu. Nie nadawały się do jedzenia i większość ludzi uważała je za truciznę, bo powodowały wymioty i krwawe biegunki; ale spożywane umiarkowanie, podczas postu, potrafiły otworzyć bramy Wzroku... był to podarunek cenniejszy niż złoto. W tej krainie grzybki nie rosły w ogóle i mogłam tylko zgadywać, jak daleko mali ludzie musieli wędrować, by je zdobyć. Zostawiłam jedzenie, które dla nich przyniosłam, suszone mięso i owoce, i plaster miodu, ale nie jako zapłatę; ich dar był bezcenny. Wiedziałam, że zamknę się w mojej komnacie w zimowe przesilenie i znów spróbuję przywołać Wzrok, którego się wyrzekłam. Mając otwarte bramy wizji, mogłam przywołać i znieść obecność samej Bogini, i błagać ją, by przywróciła mi to, co utraciłam. Nie bałam się, że znów zostanę odrzucona. To ona przesała mi te dary, bym mogła na nowo odnaleźć jej obecność.*

*Uklękałam na ziemi w podziękowaniu, wiedząc, że moje modlitwy zostały wysłuchane, a moja pokuta zakończona.*

## 10

Śnieg zaczynał już topnieć na wzgórzach i kilka pierwszych dzikich kwiatów pokazało się w słonecznych dolinach, gdy Panią Jeziora przywołano do łodzi, by powitała Merlina Brytanii. Kevin był blady i zmęczony, twarz miał pomarszczoną, ciągnął swe powykręcane członki wolniej niż kiedykolwiek, podpierał się grubym kijem. Ukrywając litość, którą poczuła, Niniana zauważyła, że był zmuszony oddać Moją Panią w ręce służącego. Udała, że tego nie widzi, wiedząc, jaki to musiał być cios dla jego dumy. Zwolniła kroku na drodze do swego domu i tam go oficjalnie powitała, przywołała kobiety, by rozpałyły ogień, posłała po wino, którego upił zaledwie łyk i skłonił się w podziękowaniu.

– Cóż sprowadza cię tutaj tak wczesną porą roku, Czcigodny?

– spytała. – Czy przybywasz z Kamelotu?

– Nie – potrząsnął głową. – Byłem tam tylko przez część zimy i wiele rozmawiałem z doradcami Artura, ale wczesną wiosną wyruszyłem z misją do wojsk Paktu, nie, teraz powinienem chyba powiedzieć, do królestwa Saksonów. I przypuszczam, że wiesz, kogo tam spotkałem, Niniano. Ciekawe, czy to twoja robota czy Morgause?

– Żadnej z nas – odparła spokojnie. – To był własny wybór Gwydiona. Wiedział, że powinien zdobyć doświadczenie w bitwie, pomimo wykształcenia na Druida, a bywali już wcześniej Druidzi wojownicy. I postanowił pojechać na południe, do krainy Saksonów, bo są sprzymierzeni z Arturem, lecz tam nie natknie się na Artura. Nie chce, z powodów znanych zarówno tobie, jak i mnie, by Artur zobaczył go na własne oczy. Nie mogę przysiąc, czy Morgause nie wpłynęła na jego wybór – dodała po chwili. – Jeśli Gwydion w ogóle szuka czyjejś rady, to słucha właśnie jej.

– Doprawdy? – Kevin uniósł brwi. – Tak, pewnie tak jest, to jedyna matka, jaką kiedykolwiek znał. I rządziła królestwem Lota tak dobrze, jak każdy król, ba, wciąż rządzi, nawet z nowym kochankiem u boku.

– O, nie wiedziałam, że Morgause ma nowego partnera – powiedziała Niniana. – Nie widzę tak dobrze, co się dzieje w odległych królestwach, jak potrafiła do widzieć Viviana.

– Tak, ona miała Wzrok do pomocy – powiedział Kevin. – I kapłanki ze Wzrokiem, kiedy jej własny wygaś. Ty w ogóle nie masz daru, Niniano?

– Mam trochę – odpowiedziała z wahaniem. – Jednak od czasu do czasu mnie zawodzi... – Zamilkła na chwilę, wpatrując się w posadzkę. W końcu powiedziała: – Myślę, że... Avalon oddala się coraz bardziej od świata ludzi, Lordzie Merlinie. Jaka jest pora w zewnętrznym świecie?

– Minęło dziesięć dni od przesilenia, Pani – odparł Kevin.

Niniana wzięła głęboki oddech.

– A ja obchodziłam to święto dopiero siedem dni temu. Jest tak, jak przypuszczałam, krainy oddalają się od siebie. Na razie jest to tylko różnica kilku dni w miesiącu, lecz obawiam się, że wkrótce będziemy tak daleko od cykli słońca i księżyca, jak ta czarowna kraina, o której opowiadają... jest coraz trudniej przywołać mgły i wyjść z naszego świata.

– Wiem – powiedział Kevin. – Jak myślisz, dlaczego przybyłem przy najśłabszej fali? – Uśmiechnął się swym krzywym uśmiechem i dodał: – Powinnaś się cieszyć, Pani, nie zestarzejesz się jak kobiety w zewnętrznym świecie, lecz pozostaniesz młodsza.

– To niewielka pociecha – odparła, wzruszając ramionami. – Chociaż nie ma w tamtym świecie nikogo, czyj los by mnie obchodził, poza...

– Gwydionem – powiedział Kevin. – Tak przypuszczałem. Jest jednak ktoś jeszcze, kogo losem także powinnaś się przejmować...

– Artur w swoim zamku? On się nas wyrzekł i Avalon już mu więcej nie udzieli pomocy...

– Nie mówię o Arturze, on też nie szuka pomocy Avalonu, nie teraz. Ale... – zawahał się – słyszałem to od ludu ze wzgórz, że w Walii jest znowu królowa i król.

– Uriens? – Niniana zaśmiała się pogardliwie. – Jest starszy niż te jego wzgórza, Kevinie! Cóż on może uczynić dla tego ludu?

– Nie mówię także o Uriensie. Czyżbyś zapomniała? Tam jest Morgiana, a Stary Lud uznał ją za swą królową. Dopóki żyje, będzie ich strzegła, nawet przed Uriensem. Zapomniałaś, że syn Uriensa był tu na naukach i nosi węże wokół nadgarstków?

Przez chwilę Niniana siedziała w milczeniu, bez ruchu.

– Zapomniałam o tym – powiedziała w końcu. – On nie jest najstarszym synem, więc nie przypuszczałam, że dojdzie do władzy...

– Starszy syn to głupiec – powiedział Kevin – choć księża uważają go za dobrego następcę swego ojca i z ich punktu widzenia, taki jest, pobożny i prosty, nie będzie się wtrącał do ich kościoła. Księża nie ufają młodszemu synowi, Accolonowi, bo nosi węże. A odkąd pojawiła się tam Morgiana, on sobie o nich przypomniał i służy jej jako swej królowej. A dla ludzi ze wzgórz to ona jest królową, niezależnie od tego, kto zasiada na tronie wedle rzymskiego prawa. Dla nich królem jest ten, który wiosną ginie wśród jeleni, lecz królowa jest wieczna. I być może, Morgiana w końcu dokona tego, co Viviana zostawiła nie dokończone.

Niniana ze zdziwieniem usłyszała gorycz w swym głosie.

– Kevinie, ani przez jeden dzień od śmierci Viviany, odkąd posadzili mnie na tym miejscu, nie pozwala mi zapomnieć, że nie jestem Vivianą, że po Vivianie jestem nikim. Nawet Raven śledzi mnie tymi swoimi wielkimi, cichymi oczyma, które zawsze mówią: *Nie jesteś Vivianą, nie potrafisz wykonać zadania, któremu Viviana poświęciła całe swe życie.* Wiem doskonale, że zostałam wybrana tylko dlatego, że jestem ostatnią z krwi Taliesina i nie było nikogo innego, wiem, że nie pochodzę z królewskiej linii Królowej Avalonu! Nie, nie jestem Vivianą, i nie jestem Morgianą, ale wiernie służyłam tutaj, na tym miejscu, którego nigdy nie pragnęłam i na którym posadzono mnie ze względu na krew Taliesina. I jestem wierna swoim przysięgom, czy to nic dla nikogo nie znaczy?

– Pani – powiedział Kevin łagodnie. – Viviana była taką kapłanką, jaka pojawia się na tym świecie raz na wiele setek lat, nawet w Avalonie. I jej panowanie było długie, panowała tu przez trzydzieści i dziewięć lat i tylko bardzo nieliczni z nas sięgają pamięcią poza jej czasy. Każda kapłanka, która nastąpi po niej, musi się czuć mniejsza przez porównanie z nią. Nie ma nic, co mogłabyś sobie zarzucić. Jesteś wierna swoim przysięgom.

– Tak jak Morgiana nie była – powiedziała Niniana.

– Prawda. Ale ona pochodzi z królewskiej linii Avalonu i urodziła następcę Króla Byka. Nie do nas należy ją osądzać.

– Bronisz jej, bo byłeś jej kochankiem – wybuchnęła Niniana, a Kevin uniósł głowę. Nie zauważyła dotąd, że oczy na jego smagłej i wykrzywionej twarzy są takie błękitne jak sam środek płomienia.

– Czy starasz się ze mną poróżnić, Pani? – spytał cicho. – Tamto już od lat jest skończone, a gdy ostatni raz widziałem Morgianę, nazwała mnie zdrajcą i jeszcze gorzej, i wypędziła mnie sprzed swych oczu tak ostrymi słowami, jakich żaden mężczyzna, w którego żyłach płynie krew, nie mógłby wybaczyć. Myślisz, że za nią przepadam? Ale ani ty, ani ja nie mamy prawa, by ją osądzać. Ty jesteś Panią Jeziora. Morgiana jest moją królową i królową Avalonu. Wykonuje swą pracę w świecie, tak jak ty wykonujesz swoją tutaj, a ja tam, gdzie Bogowie mnie zaprowadzą. A tej wiosny zaprowadzili mnie do krainy, gdzie na dworze Saksona, który nazywa siebie lennym królem Artura, ujrzałem Gwydiona.

Podczas długiego szkolenia na kapłankę Niniana nauczyła się panować nad wyrazem swej twarzy, ale wiedziała, że Kevin, który posiadał te same nauki, musi widzieć, ile ją to kosztuje wysiłku, czuła, jakby te jego zimne oczy przeszywały ją na wylot. Chciała spytać o Gwydiona, ale zamiast tego powiedziała tylko:

– Morgause twierdzi, że on ma już sporą wiedzę o strategii i nie jest tchórzem w bitwie. Jak więc wie mu się wśród tych barbarzyńców, którzy wolą rozwalać sobie mózgi wielkimi pałkami, niż robić z nich użytek na dworach? Wiedziała, że Gwydion udał się na południe, do królestwa Saksonów, bo jeden z nich pragnął mieć na dworze Druida, który umie pisać i czytać i zna się na liczbach i mapach. Powiedział mi, że chce się zaprawić w bitwach, nie wchodząc w oczy Arturowi, tak więc przypuszczam, że stało się tak, jak tego pragnął. Chociaż w kraju panuje pokój, wśród tych ludów zawsze są jakieś walki; czy Bóg Saksonów jest bogiem bitew i wojen?

– Nazywają tam Gwydiona Mordredem, co w ich języku oznacza „zły doradca”. To komplement, mają na myśli, że źle doradza tym, którzy chcą ich skrzywdzić. Każdemu gościowi nadają imię, tak jak Lancelota nazwali Elfią Strzałą.

– Między Saksonami każdy Druid, nawet bardzo młody, musi się wydawać mądrzejszy, niż jest, w porównaniu z ich własną głupotą! A Gwydion jest sprytny! Nawet jako chłopiec potrafił na wszystko znaleźć dwanaście różnych odpowiedzi!

– Jest mądry – powiedział Kevin powoli – i wie doskonale, jak sprawić, by go kochano, widziałem to. Mnie na przykład powitał, jakbym był jego ukochanym wujaszkiem z dzieciństwa, mówił, jak, to dobrze zobaczyć znajomą twarz z Avalonu, ścisnął mnie, obskakiwał, jakby naprawdę mnie kochał.

– Bez wątpienia jest tam samotny, a ty byłeś jak powiew powietrza z domu – powiedziała Niniana, ale Kevin wzruszył tylko ramionami i upił łyk wina, potem znów odstawił kielich i zapomniał o nim.

– Jak daleko Gwydion jest zaawansowany w naukach magicznych? – spytał.

– Nosi węże – odparła Niniana.

– To może znaczyć wiele, lub nic. Powinnaś to wiedzieć... – i choć jego uwaga była niewinna, Niniana poczuła ją jak ukłucie żądła; kapłanka, która nosi półksiężyc na czole, może być Vivianą albo niczym więcej, jak ona sama.

– Gwydion ma powrócić do Avalonu w letnie przesilenie, by być koronowanym na Króla Avalonu, skoro Artur zdradził tę godność. A teraz on do tego dorósł...

– Nie jest gotowy, by być królem – ostrzegł Kevin.

– Wątpisz w jego odwagę? Czy w jego lojalność...

– Och, odwaga... – powiedział Kevin i zrobił lekceważący gest. – Odwaga i mądrość... ale to jego sercu nie ufam i nie mogę go odczytać. I on nie jest Arturem.

– I dobrze dla Avalonu, że nie jest – powiedziała podniecona Niniana. – Nie potrzeba nam więcej odszczepieńców, którzy przysięgają wierność Avalonowi, a potem łamią daną przysięgę! Księża mogą sobie usadzić na tronie pobożnego hipokrytę, który będzie służył takiemu Bogu, jaki w danej chwili jest dla niego wygodny...

Kevin uniósł swą wykręconą rękę w tak rozkazującym geście, że Niniana natychmiast zamilkła.

– Avalon to nie cały świat! Nie mamy ani siły, ani armii, ani możliwości, a Artur jest kochany ponad wyobrażenie. Nie w Avalonie, o tym wiem, ale wzdłuż i wszerz tych wysp, Artur jest tą dłońią, która stworzyła pokój, tak przez nich ceniony. W tej chwili każdy głos, który podniesie się przeciw Arturowi, będzie uciszony w ciągu kilku miesięcy, jeśli nie w kilka dni. Artur jest kochany, jest uosobieniem całej Brytanii. A nawet gdyby było inaczej, to to, co czynimy w Avalonie, ma już niewielkie znaczenie w zewnętrznym świecie. Jak sama zauważyłaś, usuwamy się w mgły.

– Więc tym bardziej musimy działać szybko, by pokonać Artura i posadzić na tronie Brytanii króla, który przywróci światu Avalon i Boginię...

– Czasem się zastanawiam – powiedział Kevin cicho – czy kiedykolwiek jeszcze będzie to można uczynić... czy przypadkiem wszyscy nie spędziliśmy naszego życia we śnie poza rzeczywistością...?

– I ty to mówisz? Ty, Merlin Brytanii?

– Ja żyję na dworze Artura, nie chroniony na wyspie, która oddala się coraz bardziej od świata – odparł Kevin łagodnie. – Tu jest mój dom i umrę tak, jak przysięgałem... ale to z Brytanią wstąpiłem w Wielki Związek, Niniano, nie tylko z Avalonem.

– Jeśli Avalon zginie, Brytania zostanie bez swego serca i także umrze, gdyż Bogini zabierze swą duszę z całej tej ziemi.

– Tak myślisz, Niniano? – Kevin znów westchnął. – Przemierzam te wyspy wzdłuż i wszerz, w każdą pogodę, w różnych czasach, jako Merlin Brytanii, Posłaniec Bogów, sokół Wzroku, posłaniec Wielkiego Kruka, i teraz widzę w tej ziemi inne serce, a ono bije z Kamelotu.

Zamilkł. Po długiej chwili Niniana powiedziała:

– Czy to wtedy, kiedy wyrzekłeś takie słowa, Morgiana nazwała cię zdrajcą?

– Nie, to było coś innego. Być może, Niniano, nie znamy zamiarów Bogów i ich woli tak dobrze, jak nam się wydaje. Powtarzam ci, jeżeli teraz zrobimy ruch, by obalić Artura, ta ziemia pograży się w większym chaosie niż wtedy, kiedy zmarł Ambrozjusz i Uther musiał walczyć o swój tron. Czy myślisz, że Gwydion będzie potrafił walczyć tak, jak Artur, by władać na tych ziemiach? Rycerze Okrągłego Stołu zjednoczą się przeciw każdemu, kto wystąpi przeciw ich królowi i bohaterowi, on jest dla nich jak Bóg i nie może się mylić.

– Nigdy nie było naszym życzeniem – powiedziała Niniana – by Gwydion wystąpił przeciw swemu ojcu i walczył o jego koronę, ale by pewnego dnia, kiedy Artur będzie wiedział, że nie ma innego potomka, musiał zwrócić się do syna, który pochodzi z królewskiej linii Avalonu i przysiągł lojalność Avalonowi i prawdziwym Bogom. Przed tym jednak musi być obwołany Królem Bykiem w Avalonie, tak by w chwili, gdy Artur będzie szukał następcy, mogły odezwać się głosy, które go poprą. Słyszałam, że Artur wybrał na swego dziedzica syna Lancelota, gdyż królowa jest jałowa. Lecz syn Lancelota to tylko mały chłopiec, a Gwydion już jest dorosłym mężczyzną. Gdyby w tej chwili coś się stało Arturowi, myślisz, że wybraliby Gwydiona, dorosłego wojownika i do tego Druida, czy dziecko?

– Rycerze Artura nie pójdą za obcym, nawet gdyby był podwójnym wojownikiem i Druidem. Najprawdopodobniej obraliby Gawaina regentem w imieniu syna Lancelota, dopóki ten nie dorośnie. A rycerze to w większości chrześcijanie, odrzuciliby Gwydiona z powodu jego pochodzenia, kazirodztwo to między nimi wielki grzech.

– Nie znają się na rzeczach świętych.

– Oczywiście. Muszą mieć czas, by przywyknąć do tej myśli, a ten czas jeszcze nie nadszedł. Ale nawet jeśli w tej chwili Gwydion nie może być uznany dziedzicem Artura, powinno być rzeczą wiadomą, że kapłanka Morgiana, która jest rodzoną siostrą Artura, ma syna, i że ten syn stoi bliżej tronu niż dziecko Lancelota. A tego lata znów będzie wojna...

– Sądziłam – powiedziała Niniana – że Artur uczynił pokój.

– Tutaj, w Brytanii, tak. Ale jest taki jeden w Brytanii Mniejszej, który chce całą Brytanię uznać za swe cesarstwo.

– Ban? – spytała zaskoczona. – Przysięgał już dawno temu, zawarł Wielki Związek na długo przed narodzinami Lancelota. Jest chyba o wiele za stary, by wypowiadać Arturowi wojnę...

– Ban jest stary i słaby – powiedział Kevin. – Na jego miejscu rządzi jego syn Lionel, a brat Lionela, Bors, jest jednym z kompanów Artura i wielbi Lancelota jako bohatera. Żaden z nich nie sprawiałby Arturowi kłopotów. Ale jest ktoś, kto to uczyni. Nazywa siebie Lucjuszem, zdobył gdzieś stare rzymskie orły i ogłosił się cesarzem. I on wyzwie Artura...

Niniana poczuła mrowienie na skórze.

– Czy tę wiedzę posiadłeś Wzrokiem? – spytała.



– Morgiana powiedziała mi kiedyś, że nie trzeba mieć Wzroku, by wiedzieć, że hultaj jest hultajem – odparł Kevin z uśmiechem.

– Nie potrzeba Wzroku, by wywnioskować, że ambitny człowiek zaatakuje, jeśli to sprzyja jego ambicji. Są tacy, którzy mogą myśleć, że Artur się starzeje, gdyż jego włosy nie błyszczą już tak złotem jak kiedyś i już nie nosi sztandaru ze smokiem. Ale nie wolno go nie doceniać, Niniano. Ja go znam, ty nie. To nie jest głupiec!

– Uważam – powiedziała Niniana – że zbytnio go kochasz, jak na człowieka, którego przysięgłeś zniszczyć.

– Kochać go? – Uśmiech Kevina był nieubłagany. – Ja jestem Merlinem Brytanii, posłannikiem Wielkiego Kruka, i zasiadam u jego boku w radzie. Artura łatwo jest kochać. Lecz ja przysięgałem Bogini. – Znów sucho się roześmiał. – Myślę, że pozostaję przy zdrowych zmysłach tylko dzięki temu, iż wiem, że to, co służy Avalonowi, musi także w końcu posłużyć całej Brytanii. Ty postrzegasz Artura jako wroga, Niniano. Ja wciąż widzę w nim Króla Byka, opiekującego się swym stadem i swą ziemią.

Niniana odpowiedziała drżącym szeptem:

– A co się stanie z Królem Bykiem, kiedy młody byk dorośnie?

Kevin oparł głowę na dłoniach. Był stary, chory i zmęczony.

– Ten dzień jeszcze nie nadszedł, Niniano. Nie próbuj popychać Gwydiona zbyt szybko, tylko dlatego, że jest twoim kochankiem, bo zostanie zniszczony. – Podniósł się i kuśtykając, wyszedł z komnaty, nie oglądając się za siebie.

Niniana została posepna i rozgniewana.

*Skąd ten przeklęty człowiek to wie?*

*Ja nie jestem związana ślubami, jak te chrześcijańskie zakonnice! Jeśli decyduję się wziąć sobie do łóżka mężczyznę, to zależy tylko ode mnie... nawet jeśli to będzie mój uczeń, nawet jeśli przybył tu jako mały chłopiec!*

W pierwszych latach zjednął sobie jej serce, ten samotny chłopczyk, zagubiony i osierocony, nie miał nikogo, kto by go kochał, zajmował się nim, interesował się, co się z nim dzieje. Morgause była jedyną matką, jaką znał, a teraz nawet z nią został rozdzielony.

Morgiana musiała nie mieć serca, by zostawić takiego wspaniałego synka, ślicznego, mądrego, uroczego i nigdy nawet nie dowiadywać się, jak się chowa, ani nie przyjechać, by go zobaczyć? Niniana nigdy nie urodziła dziecka, choć czasami myślała, że jeśli powróci z Beltanu z pełnym łonem, chciałaby urodzić dziewczynkę dla Bogini.

Nigdy jednak tak się nie stało i nie buntowała się przeciw swemu przeznaczeniu.

W tych pierwszych latach pozwoliła jednak Gwydionowi zawojować swe serce. A potem od nich odszedł, jak muszą czynić mężczyźni; był już za duży na nauki kapłanek i poszedł do Druidów, a także szkolić się w sztukach wojennych. I któregoś roku powrócił na święto Beltanu i myślała, że chyba specjalnie znalazł się tak blisko niej podczas obrzędów, i właśnie z nim odeszła od ognia...

Nie rozstali się jednak, gdy obrzęd się skończył; i potem za każdym razem, w czasie swych licznych podróży, ilekroć coś przywiodło go do Avalonu, dawała mu do zrozumienia, że go pragnie, a on nigdy jej nie odmawiał. *Jestem najbliższa jego sercu, myślała, to ja znam go najlepiej, cóż Kevin może o nim wiedzieć?*

*A teraz nadszedł czas, gdy powinien powrócić do Avalonu i poddać się próbie jako Król Byk...*

Zwróciła ku temu myśli: gdzie ma znaleźć dla niego dziewicę? *Jest teraz tak niewiele kobiet w Domu Dziewcząt, a żadna nawet w połowie nie nadaje się do tego wielkiego zadania*, myślała i poczuła, jak w jej myśli wkrada się ból i gorz.

*Kevin ma rację. Avalon oddala się, umiera, niewielu przychodzi tu po starodawne nauki, nie ma nikogo, by odprawiać obrzędy... a pewnego dnia w ogóle nikogo nie będzie...* i znów poczuła to niemal bolesne mrowienie na skórze, które czasami przychodziło do niej zamiast Wzroku.

Gwydion wrócił do domu, do Avalonu, na kilka dni przed świętem Beltanu. Niniana powitała go oficjalnie na łodzi, a on skłonił się przed nią z czcią w obecności kapłanek i zgromadzonych mieszkańców Wyspy, lecz kiedy zostali sami, chwycił ją w ramiona i całował, śmiejąc się, aż obojgu zabrakło tchu.

Ramiona mu się rozrosły i miał czerwoną bliznę na twarzy.

Poznała, że walczył, nie miał już tego beztroskiego spojrzenia kapłana i mędrca.

*Mój kochanek i moje dziecko. Czy to dlatego Wielka Bogini nie ma męża, jak u Rzymian, lecz tylko synów, podobnie jak my wszyscy jesteśmy jej dziećmi? A ja, która siedzę na jej miejscu, muszę czuć, że mój kochanek jest także moim synem... gdyż wszyscy, którzy kochają Boginię, są jej dziećmi...*

– Na wszystkich ziemiach panuje podniecenie – powiedział – tu, wokół Avalonu i wśród Starego Ludu ze wzgórz wiedzą, że na Wyspie Smoka znów będą wybierać króla... to dlatego kazałaś mi przybyć, prawda?

Pomyślała, że czasami potrafił być tak nieznośny, jak niegrzeczne dziecko.

– Nie wiem, Gwydionie, czas może nie być po temu, fale przyływu mogą nie sprzyjać. Poza tym nie mogę tutaj znaleźć nikogo, kto odegra dla ciebie rolę Wiosennej Panny.

– Ale to będzie tej wiosny – powiedział cicho – i w czasie tego Beltanu, bo ja to widziałem.

Wygięła usta w cynicznym uśmiechu.

– Czy może zatem widziałeś także kapłankę, która odprawi z tobą obrzęd, kiedy zdobędziesz poroże, zakładając, że twój Wzrok nie zmylił cię i nie zginiesz?

Kiedy tak na nią patrzył, myślała, że zrobił się jeszcze piękniejszy, z tą zimną i spokojną twarzą, w której skrywała się namiętność.

– Widziałem, Niniano. Czy wiesz, że to byłaś ty?

Poczuła, jak do szpiku kości przejmują ją nagły chłód.

– Ja nie jestem dziewicą. Czemu ze mnie drwisz, Gwydionie?

– A jednak to ciebie widziałem – upierał się. – I wiesz o tym równie dobrze jak ja. W niej spotyka się i łączy i Dziewica, i Matka, i Śmierć Kostucha. Jest młoda i stara, jak jej się podoba, jest Dziewicą i Bestią, i Matką, i twarzą Śmierci, w swym blasku, dojrzewaniu, więdnieniu i znów powracaniu do dziewictwa...

– Gwydionie, nie, tak być nie może – powiedziała, spuszczaając głowę.

– To ja jestem jej wybrankiem – mówił spokojnie – i muszę zdobyć to miejsce... to nie jest czas dla dziewicy, tylko księża robią tyle szumu o te bzdury. Ja przywołam ją jako Matkę, by dała mi zwycięstwo i życie...

Niniana czuła się tak, jakby opierała się nieubłaganej fali, która chce ją powalić.

– Tak było od zawsze – powiedziała z wahaniem – że w biegu między jeleniami, choć to Matka go wysyła, on powraca jednak do Dziewicy...

W tym, co mówił, było wiele racji. Oczywiście, że lepiej, by ten obrzęd spełniła kapłanka, która wie, co robi, niż jakaś niedoświadczona dziewczynka, nowa w świątyni, której jedyną kwalifikacją ma być to, że nie jest jeszcze na tyle dojrzała, by poczuć wezwanie ogni Beltanu... Gwydion powiedział prawdę: Matka wiecznie się odradza, jest Matką i Śmiercią, i znów Dziewicą, tak jak księżyc, który chowa się na ciemnym niebie. Spuściła głowę.

– Niech tak będzie – powiedziała. – Wstąpisz w Wielki Związek z ziemią i ze mną w jej imieniu.

Kiedy jednak została sama, znów poczuła trwogę. Jak mogła się na to zgodzić? W imię Bogini, jakąż moc ma Gwydion, że wszyscy ludzie robią to, czego on chce?

Czy to właśnie odziedzyczył po Arturze i po krwi Pendragona?

Znów przeszył ją lodowaty chłód.

*Cóż z Królem Bykiem... Morgiana śniła...*

*Beltan, jelenie biegną na wzgórzach... życie lasu biegnie w jej ciele, jakby każda cząstka lasu była także częścią życia wewnątrz niej... on tam jest, między jeleniami, biegnący byk, nagi mężczyzna z umocowanym na czole porożem, rogi się pochylają, niżej, niżej, jego czarne włosy zlepione krwią... ale wstaje, naciera, nóż błyska w blasku słońca pomiędzy drzewami, a Król Byk pada w dół, jego ryk napędza cały las krzykami rozpacz.*

*A potem znalazła się w ciemnej jaskini, wymalowane tam znaki, to znaki wymalowane na jej ciele, jest jednią z tą jaskinią, a wszędzie wokół niej płoną ognie Beltanu, iskry strzelają w niebo – w ustach ma smak świeżej krwi, a teraz usta jaskini przystania cień poroża... nie powinno być pełni, nie powinna widzieć tak wyraźnie, że jej nagie ciało nie jest szczupłym ciałem dziewicy, lecz jej piersi są miękkie, pełne i różowe, jak wtedy, kiedy urodziła dziecko, omal że nie ociekają mlekiem, a przecież z pewnością sprawdzono ją, czy przychodzi na obrzęd jako dziewica... co o niej powiedzą, skoro nie przyszła do Króla Byka jako Panna...*

*Ukląkł u jej boku, a ona uniosła ramiona, witając go w obrzędzie i w swym ciele, lecz jego oczy były czarne i udreżone. Jego dłonie na jej ciele, delikatne, denerwujące, igrały z jej pożądaniem, kiedy odmawiał jej obrzędu mocy... to nie był Artur, nie, to był Lancelot Król Byk, który obali starego byka, kochanek Wiosennej Panny, ale on patrzył na nią, a w jego oczach było cierpienie, które przeszło całe jej ciało, i powiedział: szkoda, że jesteś taka podobna do mojej matki, Morgiano...*

Przeżrana, z bijącym sercem, Morgiana obudziła się w swej własnej komnacie, u jej boku spał chrapiący Uriens. Wciąż pogrążona w strasznej magii tego snu, potrząsnęła głową, by odpędzić od siebie trwogę.

Nie, Beltan już minął... obchodziła obrzęd z Accolonem, tak jak widziała, że to uczyni, nie leżała w jaskini, oczekując na Króla Byka... i dlaczego, dziwiła się, dlaczego właśnie teraz nawiedził ją ten sen o Lancelocie, dlaczego nie śniła o Accolonie, skoro to jego uczyniła swym kapłanem, Panem Beltanu i swym kochankiem.

Dlaczego, po tylu latach, wspomnienie odrzucenia i świętokradztwa znów uderzyło w sam środek jej duszy?

Starła się uspokoić i znów zasnąć, lecz sen nie nadchodził. Leżała wstrząśnięta, dopóki letnie promienie słońca nie wtargnęły do komnaty.

## 11

Gwenifer zaczęła nienawidzić dnia Zielonych Świątek, kiedy co roku Artur wysyłał wieści, że każdy z jego starych towarzyszy powinien przyjechać do Kamelotu, by odnowić przymierze. Wraz z przedłużającym się pokojem i coraz większym rozproszeniem rycerzy, co roku przybywało ich mniej, większość miała obowiązki we własnych domach, rodzinach, posiadłościach. I z tego Gwenifer była rada, bo te zjazdy zbytnio przywodziły jej na pamięć tamte dni, kiedy Artur nie był jeszcze chrześcijańskim królem, lecz nosił znienawidzony sztandar Pendragona. W Zielone Świątki należał do swych rycerzy i ona nie znajdowała dla siebie miejsca.

Stała teraz za nim, jak podpisywał dwa tuziny kopii, które przygotował jego skryba, po jednej dla każdego z lennych królów i dla wielu dawnych Rycerzy Okrągłego Stołu.

– Dlaczego w tym roku wysyłasz do nich specjalne zawiadomienia? Z pewnością i bez tego wszyscy ci, którzy nie mają innych obowiązków, i tak przyjadą.

– W tym roku to nie wystarczy – powiedział Artur i obrócił się do niej z uśmiechem. Zauważyła, że zaczynał siwieć, choć był tak jasnowłosy, że nikt tego nie mógł dostrzec, chyba żeby stanął bardzo blisko. – Chcę zapewnić takie turnieje i bitwy, by wszyscy ludzie uświadomili sobie, że legion Artura wciąż umie walczyć.

– Myślisz, że ktokolwiek w to wątpi?

– Być może nie. Ale jest ten człowiek, Lucjusz, w Mniejszej Brytanii, Bors przysłał mi wieści, i tak jak wszyscy moi lenni królowie przyszli mi z pomocą, kiedy Saksoni i ci z Północy chcieli zawładnąć tą ziemią, tak ja jestem zobowiązany przyjść im z pomocą. On się nazywa cesarzem, i to rzymskim!

– A ma jakieś prawo, by być cesarzem? – spytała Gwenifer.

– Czy musisz pytać? Z pewnością mniejsze niż ja. Nie ma już żadnego rzymskiego cesarza od ponad stu lat, moja żono. Konstantyn był cesarzem i nosił purpurę, a po nim Magnus Maksymus, który pojechał aż za kanał i starał się zostać wielkim cesarzem, ale nigdy nie powrócił do Brytanii, i Bóg jeden wie, co się z nim stało i gdzie umarł. A po nim Ambrozjusz Aurellianus zjednoczył naszych ludzi przeciwko Saksonom, a po nim Uther i przypuszczam, że każdy z nich mógł się nazywać cesarzem, ja także, lecz mnie wystarczy, że jestem Najwyższym Królem Brytanii. Kiedy byłem chłopcem, czytałem trochę historii Rzymu i to nic nowego, że jakiś początkujący uzurpator zdobywa sobie lojalność jednego czy dwóch legionów i rości sobie prawa do purpury. Ale tutaj, w Brytanii, trzeba czegoś więcej niż sztandaru z orłem, by zostać imperatorem. Bo inaczej to Uriens byłby cesarzem tych ziem! Po niego zresztą też posłałem, już dawno nie widziałem mej siostry.

Gwenifer nie odpowiedziała na to, nie wprost. Wzruszyła ramionami.

– Nie chcę, by te ziemie znów dotknęła wojna, by rozdarły ją walki...

– Ani ja – powiedział Artur – myślę, że każdy król woli mieć pokój.

– Nie jestem taka pewna. Niektórzy z twoich rycerzy nigdy nie przestają rozprawiać o tych dawnych dniach, kiedy od rana do nocy walczyli przeciw Saksonom. A teraz odmawiają tym Saksonom chrześcijańskiej wiary, bez względu na to, co nakazują biskupi.

– Nie sędzę, by tęsknili do wojennych lat – powiedział Artur, znów uśmiechając się do swej królowej. – Myślę, że żałują tych dni, – kiedy wszyscy byliśmy młodzi, i bliskości, która nas łączyła. Ty nigdy nie tęsknisz za tymi dniami, żono?

Gwenifer poczuła, że się rumieni. Zaiste, dobrze je pamiętała... I te dni, kiedy Lancelot był jej rycerzem, i kochali się... chrześcijańska królowa nie powinna myśleć w ten sposób, a jednak nie mogła się powstrzymać.

– Tak, rzeczywiście, mężu. I tak jak mówisz, może to tylko tęsknota za młodością... nie jestem już młoda. – Westchnęła, a on chwycił ją za rękę.

– Dla mnie jesteś tak piękna, najdroższa moja, jak tego dnia, kiedy pierwszy raz poszliśmy do łoża...

Wiedziała, że mówił prawdę. Zmusiła się jednak, by się nie rumienić i zachować spokój. *Nie jestem już młoda, myślała, nie wypada, bym wspominała te dni, kiedy byłam młoda, i żałowała ich, bo w tamtych czasach byłam grzesznicą i cudzołożnicą. Teraz odprawiłam pokutę i zawarłam przymierze z Bogiem, i nawet Artur odprawił pokutę za swój grzech z Morgianą.* Zmusiła się do praktycznego spojrzenia, jak przystało na królową Brytanii.

– Przypuszczam zatem, że w Zielone Świątki będziemy mieli więcej gości niż kiedykolwiek, muszę się naradzić z Kajem i Lucanem, gdzie ich wszystkich розміścimy i czym ich nakarmimy. Czy Bors przybędzie z Mniejszej Brytanii?

– Jeśli będzie mógł – powiedział Artur – choć Lancelot przysłał wiadomość na początku tego tygodnia z prośbą o pozwolenie udania się na pomoc swemu bratu, gdyby ten został obleżony. Odpowiedziałem mu, by przybył tutaj, bo możliwe, że wszyscy wyruszymy... Teraz, kiedy Pellinor odszedł, Lancelot jest tam królem jako mąż Elaine, póki ich syn jest małym chłopcem. Od Morgause przybędzie z Lothianu Agravein, będzie też Uriens, a może tylko jeden z jego synów. Uriens niesłychanie dobrze się trzyma, jak na swoje lata, nie jest jednak nieśmiertelny. Jego młodszy syn jest trochę – przygłupi, ale Accolon to jeden z mych dawnych rycerzy, a Uriens ma Morgianę, by go prowadziła i doradzała mu.

– To nie wydaje mi się słuszne – powiedziała Gwenifer – gdyż święty apostoł rzekł, iż kobiety winny być posłuszne swym mężom, a jednak Morgause wciąż panuje w Lothianie, a Morgiana chce być więcej niż tylko pomocą dla króla Północnej Walii.

– Musisz pamiętać, moja pani, że ja pochodzę z królewskiej linii Avalonu. Jestem królem nie tylko jako syn Uthera Pendragona, ale także dlatego, że jestem synem Igriany, która była córką dawnej Pani Jeziora. Gwenifer, od niepamiętnych czasów tą ziemią władała Pani, a król nie był niczym więcej jak jej doradcą w razie wojny. Nawet w czasach rzymskich legiony musiały uporać się z tymi, którym nadali nazwę *wolne królowe*, to one władały Plemionami, a niektóre były wielkimi wojowniczkami. Nie słyszałaś nigdy o królowej Boadicee? Kiedy jej córki zostały zgwałcone przez żołnierzy legionów, królowa zdołała uciec i została buntowniczką przeciw Rzymowi, zebrała wielką armię i niemal przepędziła Rzymian z naszych wybrzeży.

– Mam nadzieję, że ją zabili – powiedziała Gwenifer z goryczą.

– O tak, i pohańbili jej ciało... a jednak był to znak, że Rzymianie nie mogą mieć nadziei na zwycięstwo, jeśli nie zaakceptują tego, że na tych ziemiach rządzi Pani... każdy władca Brytanii, aż do mego ojca, Uthera, nosił tytuł, który Rzymianie wymyślili dla wojennego przywódcy podległego królowej: *dux bellorum*, diuk wojenny. Uther, a teraz ja po nim, zasiadam na tronie Brytanii jako *dux bellorum* Pani Avalonu, Gwenifer. Nie zapomnij o tym.

– Myślałam, że już z tym skończyłaś – odrzekła zniecierpliwiona – że obwołałaś się chrześcijańskim królem i odbyłaś pokutę za swą służbę dla starego ludu i tej diabelskiej wyspy...

– Moje osobiste życie i moje religijne wyznanie to jedno – odpowiedział z równą niecierpliwością – lecz Plemiona stoją przy mnie dlatego, że noszę to! – Uderzył dłonią w Ekskalibur wiszący u jego boku w purpurowej pochwie. – Przeżyłem wojny dzięki magii tego ostrza!

– Przeżyłaś, ponieważ Bóg cię uchował, byś ochrzcił te ziemie – odpowiedziała Gwenifer.

– Być może tak będzie, pewnego dnia. Ten czas jeszcze nie nadszedł, pani. W Lothianie lud jest rad z tego, że żyje pod rządami Morgause, a Morgiana jest królową Kornwalii i Północnej Walii. Gdyby nadeszła pora na to, żeby te ziemie dostały się pod władanie Chrystusa, wtedy żądałoby króla, a nie królowej. Władam takim krajem, jaki on jest, Gwenifer, nie takim, jakim chcieliby go widzieć biskupi.

Gwenifer spierałaby się dalej, ale dostrzegła w jego oczach irytację i powstrzymała się.

– Być może z czasem nawet Saksoni i Plemiona przyjdą do stóp krzyża. Nadejdzie dzień, tak powiedział biskup Patrycjusz, kiedy Chrystus będzie jedynym królem między chrześcijanami, a królowie i królowe będą jego sługami. Oby Bóg przyspieszył ten dzień – zakończyła zdanie, robiąc znak krzyża.

Artur się roześmiał.

– Chętnie będę sługą Boga – powiedział – ale nie sługą jego księży. Biskup Patrycjusz będzie z pewnością między naszymi gośćmi i możesz go podejmować tak wystawnie, jak ci się podoba.

– I przyjedzie Uriens z Północnej Walii – dodała Gwenifer – i bez wątpienia Morgiana. A z kraju Pellinora Lancelot?

– Przyjedzie. Choć obawiam się, że jeśli byś chciała znów zobaczyć swą kuzynkę Elaine, to sama musisz złożyć jej wizytę; Lancelot przysłał wieści, że znów jest w połogu.

Gwenifer się skrzywiła. Wiedziała, że Lancelot spędza niewiele czasu w domu ze swą małżonką, a jednak Elaine dała Lancelotowi to, czego ona nie mogła – synów i córki.

– Ile lat ma teraz syn Elaine? Ma być moim następcą, powinien się wychowywać na tym dworze – powiedział Artur.

– Zaproponowałam to, kiedy tylko się urodził, ale Elaine powiedziała, że nawet jeśli pewnego dnia miałby zostać królem, to musi dorastać w skromnych i prostych warunkach. Ty też byłeś wychowany jako syn prostego człowieka i to ci nie zaszkodziło.

– Cóż, być może ona ma rację – odparł Artur. – Chciałbym choć raz zobaczyć syna Morgiany. Teraz jest już chyba dorosły, to już siedemnaście lat... Wiem, że nie może po mnie dziedziczyć, księża by na to nie pozwolili, ale jest jedynym synem, jakiego kiedykolwiek spółdziłem, i chciałbym choć raz spojrzeć na chłopaka i powiedzieć mu... Nie wiem nawet, co chciałbym mu powiedzieć. Ale chciałbym go choć raz zobaczyć.

Gwenifer stłumiła w sobie złość i słowa, które cisnęły jej się na usta, ale wiedziała, że kłócąc się o to od nowa, i tak niczego nie zyska.

– Dobrze mu tam, gdzie jest – powiedziała tylko. Mówiła prawdę i kiedy to wypowiedziała, wiedziała, że tak jest rzeczywiście.

Była rada, że syn Morgiany wychowuje się na tej wyspie czarownic, gdzie żaden chrześcijański król nie może pojechać. Skoro tam jest kształcony, tym pewniejsze, że jakiś nieoczekiwany zwrot losu nie posadzi go na tronie po Arturze, księża i lud tego kraju coraz bardziej nie ufają czarom Avalonu. Gdyby wychowywał się na dworze, to ktoś nieświadomy

mógłby zacząć myśleć, że syn Morgiany jest bardziej uprawnionym następcą tronu niż syn Lancelota.

– A jednak ciężko jest mężczyźnie wiedzieć, że ma syna, i nigdy nawet na niego nie spojrzeć – powiedział Artur z westchnieniem. – Może pewnego dnia... – Jednak jego ramiona podniosły się i opadły z rezygnacją. – Na pewno masz rację, moja droga. Co ze świąteczną ucztą? Wiem, że jak zwykle, urządzisz niezapomniany dzień.

I tak właśnie zrobię, myślała Gwenifer tego ranka, patrząc z góry na morze rozstawionych namiotów i pawilonów. Wielkie pole turniejowe zostało wysprzątane i otoczone linami, a flagi i sztandary pół setki pomniejszych królów i więcej niż setki rycerzy powiewały żwawo na letnim wietrze. Tak jakby obozowała tu cała armia.

Szukała wzrokiem sztandaru Pellinora, białego smoka, którego przyjął za swój znak po zabiciu bestii z jeziora. Lancelot powinien tu być... minął już ponad rok, odkąd go widziała, a i wtedy tylko oficjalnie, przed całym dworem. Już od wielu lat nie była z nim sama choćby przez chwilę; w dzień przed ślubem z Elaine przyszedł do niej, by się pożegnać.

On też był ofiarą Morgiany; nie zdradził jej, Gwenifer, oboje stali się ofiarami okrutnej zasadzki, którą zastawiła Morgiana. Kiedy jej o tym opowiadał, płakał, a ona ceniła sobie wspomnienie jego łez jako największy komplement, jaki kiedykolwiek jej dał... któż inny widział płaczącego Lancelota?

– Przysięgam ci, Gwenifer, oszukała mnie... Morgiana przekazała mi fałszywą wiadomość i dała chusteczkę z twoim zapachem. Myślę, że musiała mnie także odurzyć albo rzucić na mnie jakiś urok... – Patrzył w jej oczy, płacząc, ona także płakała. – Morgiana okłamała także Elaine, powiedziała jej, że jestem chory z miłości do niej... i znaleźliśmy się tam razem. Na początku myślałem, że to ty, byłem jak zaczarowany. A potem, kiedy już zobaczyłem, że to Elaine trzymam w ramionach, i tak nie mogłem się zatrzymać. A potem przyszli tam wszyscy z pochodniami... cóż mogłem począć, Gwenifer? Posiadłem dziewicę, córkę mego gospodarza, Pellinor miał pełne prawo zabić mnie tam, na miejscu, w jej łożu... – Lancelot płakał, a potem dokończył łamiącym się głosem: – Na Boga, żałuję, że zamiast tego nie nadziałem się wtedy na jego miecz...

Spytała wtedy: *Czy zatem wcale nie dbasz o Elaine?* Wiedziała, że było to niewybaczalne pytanie, ale nie mogła żyć bez takiego zapewnienia... jednak choć Lancelot mógł odkryć przed nią swe własne tajemnice, nie chciał mówić o Elaine; odpowiedział tylko sztywno, że nic z tego nie było winą Elaine i że jest związany honorem, by starać się uczynić ją tak szczęśliwą, jak tylko potrafi.

Cóż, stało się, Morgiana postawiła na swoim. Tak więc zobaczy Lancelota i powita go jako krewnego swego męża, nic więcej. Stare szaleństwo od dawna minęło, ale zobaczy go, a to lepsze, niż nic.



Starła się odwrócić myśli ku czekającej uczcie. Dwa woły już się piekły, czy to wystarczy? Był też ogromny dziki odyniec upolowany kilka dni wcześniej, a dwie świnie z pobliskiej farmy piekły się w dziurze w ziemi. Już roznosiły się takie zapachy, że grupka głodnych dzieci zebrała się w pobliżu i łakomie pociągała nosami. Były też setki bochenków chleba, z których wiele zostanie wydanych dla ludu, który zgromadził się tłumnie wokół pola, by przyglądać się grom szlachetnie urodzonych – rycerzy, królów i bliskich towarzyszy Artura; były i pieczone jabłka ze śmietaną, i masa orzechów, i cukierki dla dam, miodowe ciasta, króliki i małe ptaszki duszone w winie... jeśli ta uczta nie będzie sukcesem, to z pewnością nie z braku dobrego i dostatniego jedzenia!

Zgromadzili się w jakiś czas po południu, grupa bogato odzianych rycerzy i dam zaczęła wchodzić do sali, gdzie wskazywano im odpowiednie miejsca. Rycerze Okrągłego Stołu jak zwykle zostali usadzeni przy swoim stole, ale choć był tak olbrzymi, nie mógł już pomieścić całego przybyłego towarzystwa.

Gawain, który jak zwykle stał najbliżej Artura, przedstawił matkę, Morgause. Opierała się na ramieniu młodego mężczyzny którego Gwenifer w pierwszej chwili nie rozpoznała; Morgause była jak zwykle szczupła, włosy miała wciąż gęste i piękne, strojne drogimi kamieniami. Złożyła ukłon przed Arturem, który gestem kazał jej wstać i uściskał ją.

– Witaj na mym dworze, ciociu.

– Słyszałam, że jeździsz tylko na białych koniach – powiedziała Morgause – tak więc przywiozłam ci takiego z krainy Saksonów, mam tam wychowanka, który posyła go dla ciebie w prezencie.

Gwenifer dostrzegła, jak Artur mocniej zaciska szczęki, ona mogła zgadnąć, kim musi być ten wychowanek. Artur powiedział tylko:

– Zaiste podarek godny króla, ciociu.

– Nie kazałam wprowadzać konia do sali, co, jak mi powiedziano, jest w zwyczaju na saksońskich dworach – odparła Morgause wesoło. – Nie myślę, by pani Kamelotu rada była z tego, że jej salę przybraną dla gości zamienia się w stajnię! A twoja służba i tak ma pełne ręce roboty, prawda, Gwenifer? – Morgause uściskała królową.

Gwenifer poczuła się ogarnięta ciepłą falą i z bliska mogła dostrzec, że twarz Morgause jest pomalowana, jej jasne oczy obrysowane węglem; ale i tak była piękna.

– Dziękuję ci za wyrozumiałość, pani Morgause – powiedziała Gwenifer – to nie byłoby pierwszy raz, kiedy pięknego psa czy konia wprowadzano tutaj, do sali, przed królewskie oblicze, i wiem, że to się uważa za grzeczność, ale nie wątpię, że twój koń będzie całkiem zadowolony, jeśli poczeka na zewnątrz. Nie myślę, by gościnność Kamelotu zbyt wiele znaczyła nawet dla najpiękniejszych rumaków. Na pewno woli ucztować w stajni! Choć Lancelot opowiadał nam kiedyś historię jakiegoś Rzymianina, który kazał swego konia poić winem ze złotej czary i nadawał mu zaszczyty i laurowe wieńce...

Przystojny młodzieniec u boku Morgause zaśmiał się i powiedział:

– Pamiętam, Lancelot opowiadał tę historię na ślubie mojej siostry. To był boski cesarz Gajusz, który mianował swego ulubionego konia senatorem, a kiedy umarł, następny cesarz powiedział coś takiego, że przynajmniej koń nie dawał złych rad i nie mordował innych. Ale ty nie rób podobnie, królu Arturze, nie mamy krzesła, by usadzić takiego kompana, gdybyś chciał mianować swego rumaka jednym z rycerzy!

Artur zaśmiał się z całego serca i ujął młodego człowieka za ramię, mówiąc:

– Nie zrobię tego, Lamoraku.

Zaskoczona Gwenifer przypomniła sobie, kim musi być ten młodzieniec u boku Morgause: to syn Pellinora. Tak, słyszała o tym jakieś plotki, że Morgause wzięła go sobie za kochanka i faworyta, przed całym dworem... jak ta kobieta może dzielić łóżce z mężczyzną o tyle młodym, że mógłby być jej synem! Przecież nawet teraz Lamorak nie ma więcej niż dwadzieścia i pięć lat! Patrzyła na Morgause z podniecającą trwogą i skrywaną zazdrością. *Wygląda tak młodo, jest wciąż piękna, mimo tych malunków, i czyni to, co chce, i nic sobie nie robi z tego, gdyby nawet wszyscy ją krytykowali!*

Odezwała się lodowatym głosem:

– Czy usiądziesz przy mnie, krewniaczkę? Zostawmy mężczyzn ich rozmowom.

Morgause uściśniła dłoń Gwenifer.

– Dziękuję ci, moja droga, tak rzadko przybywam na dwór, że będę szczęśliwa, mogąc raz usiąść między damami i poplotkować o tym, kto się żeni, a kto sobie wziął kochanka, i o nowej modzie w sukniach i przybraniach! W Lothianie jestem tak zajęta rządzeniem, iż niewiele mam czasu na kobiece sprawy, dlatego to dla mnie prawdziwa przyjemność i luksus... – Poklepała Lamoraka po ramieniu, a gdy myślała, że nikt nie widzi, musnęła jego skroń ukradkowym pocałunkiem. – Zostawiam cię rycerzom, mój drogi.

Jej mocny zapach, ciepła woń jej wstążek i fałd jej sukni niemal dusiły Gwenifer, gdy królowa Lothianu usadowiła się obok niej na ławie.

– Skoro jesteś tak zajęta sprawami stanu – powiedziała Gwenifer – dlaczego nie znajdziesz żony dla Agraveina, nie pozwolisz mu zasiąść na miejscu jego ojca i nie oddasz władzy nad Lothianem? Tamtejszy lud zapewne nie jest szczęśliwy bez króla...

Śmiech Morgause był ciepły i wesoły.

– Ależ wtedy ja musiałabym pozostać na zawsze niezamężna, gdyż na tej ziemi królem jest małżonek królowej, a to, moja droga wcale mi się nie uśmiecha! Lamorak jest jeszcze wprawdzie za młody na królewski tron, no i ma inne obowiązki, lecz ja jestem z niego najbardziej zadowolona.

Gwenifer słuchała z fascynacją i niesmakiem; jak kobieta w wieku Morgause może robić z siebie pośmiewisko, będąc z takim młodym mężczyzną? A jednak on śledzi Morgause oczyma, jakby była najpiękniejszą i najbardziej godną pożądania kobietą na świecie.

Prawie nie spojrzał na Isottę z Kornwalii, która właśnie składała ukłon przed tronem u boku swego starego męża, diuka Markusa.

Isotta była tak piękna, że przez całą salę przebiegł lekki szmer, wysoka i smukła, z włosami koloru świeżo wybitej miedzianej monety. Markusowi, zdaje się, bardziej jednak zależało na irlandzkim złocie, które nosiła na szyi i u pasa sukni, i na irlandzkich perłach, wplecionych w jej włosy niż na klejnocie, który stanowiła jej uroda.

Gwenifer pomyślała, że Isotta jest najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widziała. Przy Isotcie Morgause zdawała się podstarzała i przekwitła, a mimo to Lamorak nie spuszczał z niej wzroku.

– O tak, Isotta jest bardzo piękna – powiedziała Morgause – ale na dworze diuka mówi się, że łaskawiej spogląda na jego następcę, młodego Drustana, niż na samego Markusa, no i któż ją może za to winić? Jest jednak skromna i dyskretna i jeśli będzie miała na tyle rozumu, by chcieć dać staruchowi dziecko, to niebiosa świadkiem, że lepiej jej to wyjdzie przy pomocy tego Drustana. – Morgause zachichotała. – Nie wygląda na niewiastę uszczęśliwianą w małżeńskim łożu. I tak nie przypuszczam, by Markus chciał od niej czegoś więcej niż syna na tron Kornwalii. Pewnie tylko na to czeka, by ogłosić, że Kornwalia należy do tego, kto w niej rządzi, a nie do Morgiany, która odziedziczyła ją po Gorloisie... a właśnie, gdzie moja siostrzenica Morgiana? Chętnie ją uściskam!

– Jest tam, z Uriensem – powiedziała Gwenifer, patrząc w kierunku, gdzie król Uriens z Północnej Walii oczekiwał, by podejść do tronu.

– Artur lepiej by zrobił, gdyby wydał Morgianę w Kornwalii – ciągnęła Morgause – ale pewnie uważał, że Markus jest dla niej za stary, ale przecież mógł ją także wydać za tegoż Drustana, jego matka była spokrewniona z Banem z Mniejszej Brytanii i on jest dalekim kuzynem Lancelota, no i jest prawie tak przystojny, jak sam Lancelot, nieprawdaż, Gwenifer? – Uśmiechnęła się wesoło i dodała: – Och, ależ ja zapomniałam, że ty jesteś taka cnotliwa, iż nigdy nie patrzysz na urodę innych mężczyzn poza swym ślubnym małżonkiem. No tak, ale tobie łatwo być cnotliwą, skoro jesteś poślubiona komuś tak młodemu, przystojnemu i dwornemu, jak Artur!

Gwenifer myślała, że szczebiot Morgause doprowadzi ją do obłędu. Czy ta kobieta nie myśli nigdy o niczym innym?

– Przypuszczam, że powinnaś zamienić kilka uprzejmych słów z Isottą – ciągnęła Morgause – ona jest nowa w Brytanii, słyszałam, że niewiele mówi w naszym języku, tylko w swoim rodzinnym, irlandzkim, ale słyszałam też, że u siebie w kraju jest znana z wiedzy o ziołach i magii, tak że kiedy Drustan bił się z tym irlandzkim rycerzem Marhausem, to uleczyła go, choć nikt nie myślał, że przeżyje, i za to on jest teraz jej wiernym rycerzem i kawalerem, no, przynajmniej on twierdzi, że taki jest właśnie powód... choć ona jest taka piękna, że wcale bym się nie dziwiła... a może powinnam ją poznać z Morgianą, ona też jest mistrzynią sztuki zielarstwa i uzdrawiania. Będą miały o czym rozmawiać, a zdaje mi się, że Morgiana mówi trochę po irlandzku. No i Morgiana też jest żoną człowieka tak starego, że mógłby być jej ojcem, uważam, że to nie było ładne ze strony Artura!

– Morgiana poślubiła Uriensa z własnej woli – odparła Gwenifer sztywno. – Nie myślisz chyba, że Artur wydałby swą najdroższą siostrę bez jej zgody!

Morgause niemal parsknęła:

– Morgiana jest zbyt pełna życia, by zadowolić się łóżem starego człowieka! A gdybym ja miała pasierba tak przystojnego, jak ten Accolon, wiem doskonale, że ja bym nie była wierna staremu mężowi.

– Poproś panią Kornwalii, by się do nas przysiadła – powiedziała Gwenifer, by zakończyć plotkowanie Morgause. – Poproś też Morgianę, jeśli chcesz.

Morgiana była bezpiecznie wydana za Uriensa; cóż to mogło obchodzić ją, Gwenifer, jeśli robiła z siebie idiotkę i narażała swą nieśmiertelną duszę, zabawiając się jak dziwka z innymi mężczyznami?

Uriens z Morgianą i dwoma młodszymi synami podszedł właśnie, by pozdrowić Artura, który ujął starego króla za obie dłonie, nazwał go „szwagrem”, a Morgianę pocałował w policzek.

– I ty przychodzisz, by złożyć mi podarek, Uriensie? Nie potrzebuję darów od mych krewnych, wystarczy mi twoja przyjaźń – powiedział.

– Nie tylko złożyć ci podarek, ale także prosić cię o łaskę – odparł Uriens. – Proszę, byś pasował mego syna Uwaina na rycerza i przyjął go do kompanii Okrągłego Stołu.

Artur uśmiechnął się do szczupłego, ciemnowłosego młodzieńca, który przed nim uklęknął.

– Ile masz lat, Uwainie?

– Piętnaście, mój królu i panie.

– A więc powstań, Uwainie – powiedział Artur uroczyście. – Tej nocy możesz czuwać przy swym orężu, a jutro jeden z mych towarzyszy pasuje cię na rycerza.

– Za pozwoleniem – powiedział Gawain – czy mogę być tym, który obdarzy owym zaszczytem mego kuzyna Uwaina, Arturze?

– Któż mógłby być lepszy niż ty, kuzynie i przyjacielu – odparł Artur – jeśli ty na to przystajesz, Uwainie, niech tak będzie. Przyjmuję cię z ochotą jako mego rycerza dla ciebie samego i dlatego, że jesteś pasierbem mej drogiej siostry. Zróbcie mu miejsce przy Stole, a jutro Uwain może wziąć udział w turnieju w mojej drużynie.

– Dzięki ci królu i pa... panie – wyjąkał Uwain.

– To ja dziękuję ci za ten podarek, siostró – powiedział Artur, uśmiechając się do Morgiany.

– To także dar dla mnie, Arturze – odrzekła Morgiana. – Uwain jest dla mnie jak rodzony syn.

Gwenifer pomyślała z okrutnym zadowoleniem, że Morgiana w końcu wygląda na swoje lata; jej twarz znaczyły delikatne linie, a w kruczoczarnych włosach widać było siwe kosmyki, choć jej ciemne oczy były tak piękne, jak zawsze. I mówiła o Uwainie jak o swoim

synu i patrzyła na niego z dumą i miłością. *A przecież jej własny syn musi być jeszcze starszy...*

*I tak Morgiana, przeklęta, ma aż dwóch synów, a ja nie mam nawet wychowanka!*

Morgiana, siedząc przy stole u boku Uriensa, była świadoma tego, że spoczywają na niej oczy Gwenifer. *Jakże ona mnie nienawidzi! Nawet teraz, kiedy w żaden sposób nie mogę jej już zaszkodzić!* Ona sama nie czuła do Gwenifer nienawiści, przestała nawet mieć jej za złe swe małżeństwo z Uriensem, wiedząc, że w jakiś przewrotny sposób to właśnie pozwoliło jej stać się na powrót tym, kim kiedyś była – kapłanką Avalonu. *Z drugiej strony, gdyby nie Gwenifer, w tej chwili byłabym żoną Accolona, a tak musimy być na łasce jakiegoś sługi, który może nas śledzić i wydać Uriensowi, licząc na nagrodę... a zwłaszcza tu, w Kamelocie, musimy bardzo uważać. Gwenifer nie zawaha się przed niczym, by mi narobić kłopotów.*

Nie powinna była przyjeżdżać. Jednak Uwain bardzo pragnął, by była świadkiem jego pasowania, a przecież była jedyną matką, jaką kiedykolwiek znał.

W końcu Uriens nie może żyć wiecznie, choć czasami, w tych ciągnących się w nieskończoność latach, myślała już, że zdecydował się przeżyć starego króla Metuzaleha, wątpiła też, by nawet najgłupsze świńskie pastuchy w Północnej Walii zaakceptowały Avallocha na króla. Gdyby tylko mogła urodzić Accolonowi dziecko, wtedy nikt nie miałby wątpliwości, że to Accolon powinien rządzić u jej boku.

Mogłaby nawet zaryzykować – w końcu Viviana miała niemal tyle lat, co ona teraz, gdy urodził się Lancelot, a dożyła jeszcze czasów, kiedy był dorosły. Bogini nie zesała jej jednak nawet nadziei na poczęcie, zresztą ona sama też tego nie chciała. Uwain wystarczał jej jako syn, a Accolon nie wymawiał jej bezdzietności, pewnie też wiedział, że nikt tak naprawdę by nie uwierzył, iż to dziecko Uriensa, choć sama Morgiana nie wątpiła, że umiałaby przekonać starego męża, by uznał je za swoje; ufał jej we wszystkim, no i dość często dzieliła jego łóżko – zbyt często, jak na jej gust.

– Nałożę ci jedzenia – powiedziała teraz do Uriensa. – Ta pieczona wieprzowina jest dla ciebie za tłusta, pochorujesz się. Może trochę tych pszennych placków namoczonych w sosie, a tu masz ładne królicze udko. – Skinęła na służącego niosącego tacę wczesnych owoców i wybrała dla męża trochę agrestu i czereśni. – Proszę, wiem, że to lubisz.

– Jesteś dla mnie taka dobra, Morgiano – powiedział, a ona poklepała go po ramieniu. To się opłacało: cały ten czas, który spędzała na dogadzaniu mu, dbaniu o jego zdrowie, haftowaniu mu pięknych koszul i płaszczy, a od czasu do czasu nawet dyskretnie podsyłała mu do łóżka młode kobiety – dawała mu wtedy trochę swych ziołowych wywarów, które przywracały mu resztki normalnej męskości; Uriens był przekonany, że ona go ubóstwia, i nigdy nie wątpił w jej oddanie ani nie odmawiał jej niczego, o co prosiła.

Uczta się kończyła – goście porozchodzili się po całej sali, pogryzając ciasta i słodczyce, wołali o wino i piwo, zatrzymywali się, by porozmawiać z krewnymi i przyjaciółmi, których

widywali tylko raz czy dwa do roku. Uriens wciąż żuł swój agrest, a Morgiana spytała, czy może iść się przywitać ze swą ciotką.

– Jeśli tylko chcesz, najdroższa – wymamrotał. – Powinnaś mi była obciąć włosy, zono, wszyscy rycerze noszą teraz krótkie.

Pogładziła jego rzadkie loki.

– Och, nie, mój drogi, Myślę, że tak bardziej pasuje w twoim wieku. Nie chcesz przecież wyglądać jak uczeń czy mnich – powiedziała. Tak mało masz tych włosów, pomyślała, że jakbym je obcięła krótko, to łysinka by ci świeciła jak morska latarnia! – Spójrz, nawet szlachetny Lancelot wciąż nosi włosy długie i rozpuszczone, a także Gawain i Gareth, a oni przecież nie są starzy.

– Masz rację, jak zwykle – odparł zgodnie. – Tak chyba bardziej przystoi dojrzałemu mężczyźnie. Taki chłopak jak Uwain może sobie ścinać włosy krótko. – Rzeczywiście, włosy Uwaina były przycięte równo przy karku, wedle najnowszej mody. – Widzę, że Lancelot też ma już we włosach siwiznę. Nikt z nas nie jest już młody, moja droga.

Byłeś dziadkiem, kiedy Lancelot się urodził, pomyślała Morgiana złośliwie, ale mruknęła coś, że żadne z nich nie jest już tak młode jak wiele lat temu – tej prawdzie nikt nie mógł zaprzeczyć – i odeszła.

Pomyślała, że Lancelot jest wciąż najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego w życiu spotkała. Tak, miał siwiznę we włosach i w równo przyciętej brodzie; lecz w jego oczach gościł dawny uśmiech.

– Dobry dzień, kuzynko.

Zaskoczył ją jego serdeczny ton. To jednak prawda, co powiedział Uriens, żadne z nas nie jest już młode i niewiele zostało takich, co pamiętają czasy naszej wspólnej młodości. Uściskał ją i ucałował, poczuła na policzku jego jedwabistą, kręconą brodę.

– Nie ma tu Elaine? – spytała.

– Nie, zaledwie trzy dni temu urodziła mi następną córkę. Miała nadzieję, że dziecko urodzi się wcześniej, a ona będzie na tyle silna, by przyjechać na Zielone Świątki, ale to była duża dziewczynka i przyszła na świat, kiedy jej się to podobało. Mieliśmy nadzieję mieć ją już trzy tygodnie temu!

– Ile dzieci masz teraz, Lance?

– Troje. Galahad to już duży siedmiolatek, a Nimue ma pięć lat. Nie widuję ich zbyt często, ale opiekunki mówią, że dzieci są mądre i bystre, jak na swój wiek. Elaine da najmłodszej na imię Gwenifer, po królowej.

– Chyba powinnam pojechać do niej z wizytą – powiedziała Morgiana.

– O, ucieszy się, jestem pewien. Jest tam samotna – odparł.

Morgiana nie sądziła, by Elaine ucieszyła się na jej widok, ale to już była sprawa między nią a Elaine. Lancelot spoglądał w stronę ławy, gdzie Gwenifer zaprosiła Isotę, by się do niej przysiadła, gdy Artur rozmawiał z diukiem Markusem i jego siostrzeńcem.

– Znasz tego Drustana? – spytał Lancelot. – To dobry harfiarz, choć oczywiście nie taki, jak Kevin.

– Czy Kevin ma grać na uczcie? – spytała.

– Nie widziałem go. Królowa go nie lubi, dwór stał się zbyt chrześcijański, choć Artur ceni go jako swego doradcę i jako muzyka.

– Czy ty też zostałeś chrześcijaninem? – spytała śmiało.

– Żałuję, że nie mogę – odparł; wzdychając z głębi serca. – Ta wiara jest dla mnie zbyt prosta, to założenie, że wystarczy tylko uwierzyć, iż Chrystus umarł raz za nasze wszystkie grzechy. Ja poznałem zbyt wiele prawdy... o tym, na czym naprawdę polega życie, że w kolejnych wcieleniach my, tylko my i nikt inny, musimy naprawić zło, które kiedyś uczyniliśmy, dokończyć niegdyś rozpoczęte dzieła. To nie mieści się w ludzkim rozumie, by jeden człowiek, jakkolwiek święty i błogosławiony, mógł odpokutować za wszystkie grzechy wszystkich ludzi popełnione przez nich we wszystkich żywotach. Cóż innego może wyjaśnić to, że jedni ludzie mają wszystko, a inni tak mało? Nie, ja uważam, że to jest okrutne oszustwo księży, którzy chcą, by ludzie uwierzyli, że tylko oni mają kontakt z Bogiem i mogą w jego imieniu przebaczać grzechy... och, chciałbym, żeby to było prawdą. Niektórzy księża to nawet mądrzy i uczciwi ludzie.

– Nigdy nie spotkałam żadnego, który byłby choć w połowie tak uczony lub tak dobry, jak Taliesin – powiedziała Morgiana.

– Taliesin był wielkim człowiekiem – odparł Lancelot – być może jedno życie spędzone na służbie Bogu nie może stworzyć tak ogromnej wiedzy, a on był jednym z Wielkich, którzy służyli mu przez setki lat. Przy nim Kevin tak się nadaje na Merlina, jak mój mały synek na objęcie w tej chwili tronu Artura i przewodzenie w bitwie. Taliesin był na tyle wielki, by nie klócić się z księżmi, wiedząc, że oni służą swemu Bogu najlepiej, jak potrafią, i być może po wielu wcieleniach zrozumieją, że ich Bóg jest potężniejszy, niż sami przypuszczali. Wiem też, że szanował ich wolę życia w celibacie.

– To właśnie jest dla mnie bluźnierstwem i zaprzeczeniem życia – powiedziała Morgiana – i wiem, że Viviana myślała tak samo.

Dlaczego, dziwiła się, stoję tutaj i spieram się o religię, akurat z Lancelotem?

– Viviana, tak jak Taliesin, należała do innego świata i innych czasów – powiedział Lancelot. – W tamtych dniach byli wielcy ludzie, a teraz musimy się zadowolić tymi, których mamy. Ty tak ją przypominasz, Morgiano. – Posłał jej łagodny, rozbijający uśmiech, od którego skurczyło jej się serce; *pamiętała, że już raz powiedział jej coś podobnego... nie, to też tylko śniła, ale nie pamięta wszystkiego...* on tymczasem ciągnął: – Widzę, że przybyłaś z mężem i wspaniałym przybranym synem, będzie pięknym dodatkiem do rycerskiej braci. Zawsze życzyłem ci szczęścia, Morgiano, a przez wiele lat wydawałaś się taka nieszczęśliwa, teraz jednak jesteś królową w swoim własnym kraju i masz wspaniałego syna...

Pewnie, pomyślała, *czegóż więcej może chcieć kobieta...?*

– Ale teraz muszę już iść i złożyć uszanowanie królowej...

– Tak – powiedziała i nie mogła powstrzymać goryczy w swym głosie. – To z pewnością zrobisz z ochotą...

– Och, Morgiano – powiedział zawiedziony – znamy się od tak dawna, wszyscy jesteśmy rodziną, czy nie możemy pogrzebać przeszłości? Czy wciąż tak mną pogardzasz, czy wciąż tak jej nienawidzisz?

Morgiana potrząsnęła głową.

– Nie nienawidzę żadnego z was, dlaczegoż miałabym to robić? Myślałam tylko, że teraz, kiedy jesteś żonaty... Gwenifer też zasługuje na to, by zostawić ją w spokoju.

– Nigdy jej nie rozumiałś – powiedział Lancelot wzburzony. – Wierzę nawet, że nie znosiłaś jej od czasów, kiedy obie byłyście młodymi dziewczętami! To nieładnie z twojej strony, Morgiano! Ona odpokutowała za swój grzech, a ja... cóż, jak sama powiedziałaś, jestem poślubiony innej. Ale nie odtrączę jej, jakby była trędowata. Jeśli chce mej przyjaźni, jako krewnego swego męża, to ją dostanie!

Morgiana wiedziała, że mówił szczerze; cóż, nie jej sprawa. Ona teraz dostaje od Accolona to, czego przez tyle lat pragnęła od niego... i nawet to wspomnienie było bolesne, jak miejsce po wyrwanym zębie; kochała go przez tak wiele lat, że teraz, kiedy mogła patrzeć na niego bez pożądania, czuła pustkę w środku.

– Przepraszam, Lance, przykro mi – powiedziała cicho. – Nie chciałam cię rozgniewać. Tak jak mówisz, to wszystko już przeszłość...

*On chyba rzeczywiście wierzy, że mogą z Gwenifer być tylko przyjaciółmi... może dla niego jest to oczywiste, a Gwenifer taka się zrobiła cnotliwa, że nawet ja w to nie wątpię...*

– A więc tu jesteś, Lancelocie, jak zwykle rozmawiasz z najpiękniejszymi damami – usłyszeli wesoły głos, a Lancelot odwrócił się i zamknął przybysza w niedźwiedzim uścisku.

– Gareth! Jak ci się powodzi na Północy? Tak więc ty też jesteś już żonatym panem domu! Twoja pani dała ci już dwójkę czy też trójkę dzieci? O, jak ty zmężniałeś, wyglądasz lepiej niż kiedykolwiek, teraz Kaj nie mógłby już z ciebie drwić!

– Bardzo bym go chciał mieć znów w moich kuchniach – zaśmiał się Kaj, podchodząc i klepiąc Garetha po ramieniu. – Czterech synów, co? Słyszałem, że pani Lionors urodziła bliźnięta, jak dzika kotka z twojego kraju, czyż nie? Morgiano, zdaje mi się, że z każdym rokiem jesteś coraz młodsza – dodał, pochylając się nad jej dłonią; zawsze ją lubił.

– Lecz kiedy widzę, na jakiego mężczyznę wyrósł Gareth, czuję się starsza niż same wzgórza – zażartowała gorzko Morgiana. – Kobieta wie, że się starzeje, kiedy widząc każdego młodego, wysokiego mężczyznę, mówi sobie: znałam go, zanim nosił spodnie...

– I to prawda przynajmniej w moim przypadku, kuzynko. – Gareth pochylił się, by uściskać Morgianę. – Pamiętam, jak rzeźbiłaś mi drewnianych rycerzyków, kiedy byłem taki maleńki...

– Pamiętasz jeszcze tych drewnianych rycerzy? – spytała.



Sprawił jej tym przyjemność.

– O tak. Jednego z nich Lionors wciąż trzyma wśród moich skarbów – powiedział Gareth.

– Jest pięknie pomalowany na niebiesko i czerwono i mój najstarszy syn bardzo by go chciał mieć, ale to dla mnie zbyt cenna pamiątka. Wiesz, że nazywałem go Lancelotem, kiedy byłem dzieckiem, kuzynie?

Lancelot też się roześmiał i Morgiana pomyślała, że nigdy jeszcze nie widziała go tak beztroskiego i wesołego, jak właśnie w tej chwili, między przyjaciółmi.

– Zdaje się, że twój syn ma prawie tyle samo lat, co mój Galahad. Galahad to wspaniały chłopiec, choć nie jest podobny do nikogo z mojej rodziny. Widziałem go zaledwie kilka dni temu po raz pierwszy od bardzo dawna, od kiedy wyrósł z pieluszek. A dziewczynki są śliczne albo mnie się takie wydają.

Gareth odwrócił się do Morgiany:

– A jak się miewa mój przyrodni brat Gwydion, pani Morgiano?

– Słyszałam, że jest w Avalonie. Nie widziałam go – ucięła krótko i odwróciła się, chcąc zostawić Lancelota przyjaciółom.

W tej chwili jednak dołączył do nich Gawain, pochylając się, by serdecznie uściskać Morgianę. Gawain był ogromnym mężczyzną, odrażająco grubym, ramiona miał tak szerokie, że wyglądało – i pewnie była to prawda – iż gołymi rękami może powalić byka. Twarz miał poznaczoną wieloma bliznami.

– Twój syn Uwain to świetny chłopak – powiedział. – Myślę, że będzie z niego dobry rycerz, a możemy teraz takich potrzebować, widziałeś swego brata Lionela, Lance?

– Nie. Lionel jest tutaj? – spytał Lancelot, rozglądając się wokół, aż zatrzymał wzrok na wysokim, postawnym mężczyźnie, odzianym w płaszcz obcego kroju. – Lionel! Bracie, jak ci się wiedzie w twym mglistym królestwie za morzem?

Lionel podszedł się przywitać. Mówił z tak mocnym akcentem, że Morgiana z trudem rozumiała jego słowa.

– Niedobrze, że cię tam nie ma, Lancelocie, możemy mieć na naszych ziemiach niemałe kłopoty, słyszałeś pewnie? Nie dostałeś wieści od Borsy?

Lancelot potrząsnął głową.

– Nie słyszałem ostatnio nic poza tym, że ma poślubić córkę króla Hoella – powiedział – zapomniałem, jakże jej na imię...?

– Isotta, tak samo, jak królowej Kornwalii – powiedział Lionel. – ale na razie nie było ślubu. Jak wiesz, Hoell nigdy nie potrafi powiedzieć wprost ani tak, ani nie, ale musi się latami zastanawiać nad tym, czy bardziej mu się opłaci przymierze z Mniejszą Brytanią czy z Kornwalia...

– Markus i tak nie może oddać Kornwalii nikomu – powiedział Gawain sucho. – Kornwalia jest twoja, prawda, Morgiano? Pamiętam przecież, że Uther dał ją pani Igrianie, kiedy wstąpił na tron, tak więc ty dziedziczysz ją po obojgu rodzicach, choć Gorlois zdradził

Uthera, jeśli dobrze pamiętam tę historię. To wszystko działo się przed moimi narodzinami, a ty sama byłaś wtedy dzieckiem.

– Diuk Markus opiekuje się krajem w moim imieniu – powiedziała Morgiana – jednak dotąd nie wiedziałam, że rości sobie do niego prawo, choć pamiętam, że kiedyś była mowa o tym, iż powinnam poślubić diuka Markusa lub Drustana, jego siostrzeńca.

– I byłoby dobrze, gdybyś tak zrobiła – powiedział Lionel – bo Markus to człowiek chciwy. Dostał wielkie bogactwa wraz ze swą irlandzką panią i nie wątpię, że będzie się starał połknąć całą Kornwalię, a także Tintagel, myśląc, że mu to ujdzie na sucho i że jak lis umknie ze skradzioną kurą.

– Wolałem te czasy, kiedy byliśmy wszyscy tylko rycerzami Artura – powiedział Lancelot. – Teraz ja rządę w kraju Pellinora, Morgiana jest królową Północnej Walii, a ty, Gawain, powinieneś zostać królem Lothianu, masz do tego prawo...

– Nie mam ani talentu, ani zamiłowania do władzy, kuzynie – uśmiechnął się Gawain. – Jestem wojownikiem, a życie ciągle w jednym miejscu i siedzenie na dworze zanudziłyby mnie na Śmierć! Jestem szczęśliwy, że Agravein włada u boku mej matki. Myślę, że Plemiona najlepiej to wymyśliły: kobiety siedzą w domu i rządzą, a mężczyźni wędrują i walczą. Nie rozstanę się z Arturem, ale przyznaję, że męczy mnie już życie na dworze. Choć bitwa w turnieju to lepsze niż nic.

– Jestem pewna, że wygrasz jakąś nagrodę – powiedziała Morgiana, uśmiechając się do kuzyna. – Jak się miewa twoja matka, Gawain? Jeszcze z nią nie rozmawiałam. Słyszałam, że do rządzenia w twoim królestwie ma też innych pomocników, poza Agraveinem – dodała z nutką złośliwości w głosie.

Gawain szczerze się roześmiał.

– O tak, to już teraz taka moda, to wszystko twoja wina, Lancelocie. Po tym, jak poślubiłaś córkę Pellinora, Lamorak pewnie pomyślał, że rycerz nie może być wielki i dworny i zdobyć sobie sławy, jeśli najpierw nie będzie ko... – zamilkł na widok pochmurnej miny Lancelota i szybko się poprawił – ...wybrany kawalerem wielkiej i pięknej królowej. Ale to chyba nie tylko poza, myślę, że Lamorak naprawdę kocha moją matkę i ja im tego nie mam za złe. Wydano ją za starego króla Lota, kiedy nie miała jeszcze piętnastu lat. Kiedy jeszcze byłam małym chłopaczkiem, dziwiłem się, jak ona może żyć z nim w zgodzie i zawsze być taka miła i dobra.

– Morgause jest naprawdę miła i dobra – powiedziała Morgiana – i rzeczywiście, nie miała z Lotem łatwego życia. Mógł we wszystkim słuchać jej rady, ale dwór był tak pełen jego bękartów, że nie musiał nawet wynajmować zbrojnych do drużyny, a każda kobieta, która pojawiła się na dworze, była jego potencjalną ofiarą, nawet ja, choć byłam siostrzenicą jego żony. I takie zachowanie u króla uważa się za męskie, więc jeśli ktoś odważy się krytykować za to Morgause, to będę mu miała osobiście kilka słów do powiedzenia!

– Wiem doskonale, że jesteś przyjaciółką mej matki, Morgiano – powiedział Gawain – i wiem też, że Gwenifer jej nie lubi Gwenifer... – Spojrzał na Lancelota, wzruszył ramionami i zamilkł, ale odezwał się Gareth:

– Gwenifer jest taka pobożna, no i żadna kobieta nie miała nigdy powodu do narzekania na dworze Artura... Może Gwenifer po prostu ciężko jest zrozumieć, że kobieta może mieć powód, by chcieć od życia czegoś więcej, niż daje jej małżeństwo. Jeśli o mnie chodzi, to jestem szczęśliwy, że Lionors wybrała mnie z własnej woli, a jest wciąż tak zajęta rodzeniem i karmieniem najmłodszego, że nie ma czasu, by rozglądać się za innymi mężczyznami, nawet gdyby chciała. Ale mam nadzieję, że nie będzie miała na to ochoty, bo gdyby chciała, to przynajmniej nie potrafiłbym jej niczego odmówić – dodał ze śmiechem.

Twarz Lancelota straciła ponury wyraz.

– Nie mogę sobie wyobrazić, by kobieta wydana za ciebie mogła patrzeć w inną stronę, Gareth.

– Za to ty powinieneś spojrzeć w inną stronę, kuzynie – powiedział Gawain – bo królowa cię szuka, musisz iść i złożyć jej swoje uszanowanie, jako jej rycerz.

I rzeczywiście, w tym samym momencie jedna z młodziutkich dworek Gwenifer podeszła do nich i odezwała się dziecinnym jeszcze głosem:

– To ty, panie, jesteś sir Lancelot, prawda? Królowa prosi, byś podszedł z nią porozmawiać.

– Pomówimy jeszcze później – powiedział Lancelot, kłaniając się Morgianie, i odszedł. Gareth patrzył za nim, marszcząc brwi.

– Wciąż jeszcze biegnie, ilekroć ona skinie ręką – mruknął.

– A spodziewałaś się czegoś innego, bracie? – spytał Gawain beztrąsco. – Przecież był jej rycerzem od czasu, kiedy poślubiła Artura, a jeśli nawet chodzi też o coś innego, cóż... tak jak mówi Morgiana, skoro takie sprawy uważa się za normalne dla króla czemu mamy je krytykować u królowej? Nie... to teraz tylko taka moda, a może nie słyszałaś opowieści o tej irlandzkiej królowej poślubionej staremu Markusowi, o tym, jak Drustan układa dla niej pieśni i wszędzie za nią jeździ... mówią, że jest tak dobrym harfiarzem, jak sam Kevin! Słyszałaś już, jak gra, Morgiano?

Potrząsnęła głową.

– Nie powinieneś nazywać Isotty królową. Nie ma innej królowej Kornwalii poza mną. Markus rządzi tam jedynie jako mój kasztelan i jeśli o tym sam nie wie, to najwyższy czas mu to przypomnieć.

– Nie sądzę, by Isottę obchodziło to, za kogo uważa się Markus – odparł Gawain, spoglądając w kierunku długiego stołu, przy którym siedziały damy: Morgause, królowa i Isotta, teraz dołączył do nich także Lancelot. Gwenifer uśmiechała się do Lancelota, a Morgause musiała powiedzieć jakiś żart, bo wszyscy się roześmiali, tylko Isotta z Kornwalii patrzyła obojętnie w przestrzeń, jej przepiękna twarz była blada i smutna. – Nigdy nie

widziałem kobiety, która wygląda na tak nieszczęśliwą, jak ta irlandzka królowa – dokończył Gawain.

– Gdybym była żoną diuka Markusa, wątpię, bym była szczęśliwa – powiedziała Morgiana, a Gawain mocno ją przytulił.

– Artur nieładnie postąpił, że wydał cię za tego dziadka Uriensa. Czy ty też jesteś nieszczęśliwa, Morgiano?

Poczuła, jak ścisną jej się gardło, i myślała, że dobroć Gawaina za chwilę doprowadzi ją do płaczu.

– Może dla kobiety w ogóle nie ma zbyt wiele szczęścia w małżeństwie...

– Ja tak nie uważam – powiedział Gareth – moja Lionors wydaje się szczęśliwa.

– No tak, ale ona wyszła za ciebie – odparła Morgiana ze śmiechem. – Mnie to szczęście nie mogło spotkać, bo jestem tylko twoją starą kuzynką.

– A jednak – powiedział Gareth – nie krytykuję mojej matki, była dobra dla Lota przez całe jego życie i póki żył, nigdy nie obnosiła się ze swoimi kochankami. Nie mam jej niczego za złe. Lamorak jest dobrym człowiekiem i dobrym rycerzem. Jeśli zaś chodzi o Gwenifer... – skrzywił się – szkoda wielka, że Lancelot nie zabrał jej z tego królestwa, kiedy dla Artura był jeszcze czas, by mu znaleźć inną żonę, chociaż z drugiej strony myślę, że młody Galahad będzie w swoim czasie dobrym królem. Lancelot pochodzi z królewskiej linii Avalonu i ma też królewską krew Bana z Mniejszej Brytanii.

– Jednakże uważam, że to twój syn stoi bliżej tronu, Morgiano – wtrącił Gareth, a Morgiana przypomniała sobie, że był na tyle duży, by pamiętać narodziny Gwydiona. – A Plemiona poprzę krew siostry Artura. W dawnych czasach, kiedy dziedzictwo przechodziło po linii matki, to syn siostry był naturalnym następcą tronu... – Zmarszczył brwi i zamyślił się na chwilę. – Morgiano, czy Gwydion jest synem Lancelota? – spytał w końcu.

Pytanie było całkiem naturalne, przyjaźnili się w końcu od lat.

Pokręciła głową, starając się zamienić to w żart i nie okazać rozdrażnienia, które naprawdę czuła.

– Nie, Garethcie, gdyby tak było, powiedziałabym ci to. Wiem, że to by cię ucieszyło, jak wszystko, co ma jakiś związek z Lancelotem. Wybacz, kuzynie, ale teraz powinnam iść przywitać się z twą matką, była dla mnie zawsze taka dobra.

Odwróciła się i powoli torowała sobie drogę w kierunku stołu, gdzie siedziały damy. W sali panował coraz większy tłok, gdy prawie wszyscy wstali, by rozmawiać, ludzie przystawali w małych grupkach. Nigdy nie lubiła zatłoczonych miejsc, a ostatnio spędzała zbyt wiele czasu na zielonych walijskich wzgórzach i odzwyczaiała się już od zapachu tylu ciał zgromadzonych w jednym miejscu i od powietrza dusznego od dymu z kominka. Przechodząc bokiem, zderzyła się z człowiekiem, który zachwiał się pod niewielkim przecież ciężarem jej ciała, aż musiał się przytrzymać ściany. I tak znalazła się twarzą w twarz z Merlinem. Nie rozmawiała z Kevinem od dnia śmierci Viviany. Spojrzała mu zimno w oczy i odwróciła się.

– Morgiano...

Zlekceważyła to, ale Kevin odezwał się głosem tak lodowatym, jak jej spojrzenie:

– Czy córka Avalonu odwraca twarz, kiedy mówi do niej Merlin?

Wzięła głęboki oddech.

– Jeśli każesz, bym cię wysłuchała w imieniu Avalonu, proszę słucham. To jednak nie przysługuje tobie, który wydałeś ciało Viviany chrześcijanom. Ja to nazywam czynem zdrajcy.

– A kimże ty jesteś, pani, by mówić o zdradzieckich czynach, ty, która zasiadasz jako królowa na tronie Walii, gdy miejsce Viviany w Avalonie jest puste?

– Raz pragnęłam, byś wysłuchał mnie w imieniu Avalonu, a ty kazałeś mi wtedy zamilknąć! – wybuchnęła, lecz pochyliła głowę nie czekając na jego odpowiedź. *Nie. To on ma rację. Jak śmiem mówić o zdradzie, skoro sama uciekłam z Avalonu, bo byłam młoda i zbyt głupia, by zrozumieć plan Viviany? Dopiero teraz zaczynam pojmować, że ona chciała dać mi władzę nad sumieniem króla, a ja to odrzuciłam i nie użyłam tego, i pozwoliłam, by Gwenifer oddała go w ręce księży...*

– Mów, Merlinie. Córa Avalonu cię słucha.

Przez chwilę się nie odzywał, tylko na nią patrzył. Ze smutkiem przypomniawszy sobie lata, kiedy był jej jedynym przyjacielem i sprzymierzeńcem na tym dworze.

– Twoje piękno, tak jak Viviany, dojrzewa z wiekiem, Morgiano – powiedział w końcu. – Przy tobie każda kobieta na tym dworze, włącznie z tą Irlandką, którą uważają za taką piękną, to pomalowana lalka.

Uśmiechnęła się blado.

– Nie zatrzymałeś mnie chyba w drodze grzmotami Avalonu, by prawić mi miłe komplementy, Kevinie.

– Ach tak? Źle się wyraziłem, Morgiano... jesteś potrzebna w Avalonie. Ta, która tam teraz panuje, jest... – Przerwał zakłopotany. – Czy tak bardzo jesteś zakochana w swym starym mężu, że nie możesz się stamtąd wyrwać?

– Nie – powiedziała – ale tam też wykonuję dzieło Bogini.

– O tym wiem i tak też powiedziałem Ninianie. A jeśli Accolon mógłby zostać następcą swego ojca, cześć Bogini będzie tam kwitła... lecz Accolon nie jest następcą tronu, a starszy syn to sterowany przez księży głupiec.

– Accolon nie jest królem, ale Druidem – powiedziała Morgiana – i śmierć Avallocha niczego by nie zmieniła. Teraz w Walii obowiązują rzymskie prawa, a Avalloch ma już syna.

*Conna, który siada na mych kolanach i woła na mnie babcia...* pomyślała. Kevin odezwał się tak, jakby usłyszał słowa, których nie wypowiedziała:

– Życie dzieci jest niepewne, Morgiano. Wiele z nich nigdy nie dorasta.

– Nie popełnię morderstwa – odparła. – Nawet dla Avalonu. Możesz im to ode mnie powiedzieć.

– Powiesz im to sama. Niniana powiedziała mi, że przybędziesz tam po Zielonych Świątkach.

Morgiana poczuła, jak lodowaty skurcz ścisną jej żołądek, i była rada, że zjadła tak mało ciężkich potraw na ucztę. *A więc wiedzą tam wszystko? Czy obserwują mnie i osądzają, jak zdradzam mego starego i ufnego męża z Accolonem?* Pomyślała o Elaine, zawstydzonej i drżącej w świetle pochodni, kiedy przyłapano ją nagą w ramionach Lancelota. *Czy wiedzą, co zamierzam, nawet zanim ja sama jestem tego pewna?* Robi przecież jednak tylko to, co nakazuje jej Bogini.

– Ale co chciałeś mi przekazać, Merlinie?

– Tylko tyle, że twoje miejsce w Avalonie jest wciąż puste i Niniana także o tym wie. Kocham cię, Morgiano, i nie jestem zdrajcą, boli mnie, że tak o mnie myślisz, ty, która dałaś mi tak wiele. – Wyciągnął do niej swe kalekie ręce. – A więc pokój między nami, Morgiano?

– W imię Bogini, pokój – powiedziała i ucałowała jego poblżnione usta.

*Także dla niego Bogini nosi moją twarz...* przeszył ją nagły ból. *Bogini daje życie i męskość... i często śmierć...* I kiedy jej usta dotknęły jego ust, Kevin wzdrygnął się, a na jego twarzy odmalowała się naga trwoga.

– Wzdragasz się przede mną, Kevinie? Przysięgam na własne życie, że nie popełnię morderstwa. Nie masz się czego bać... – zaczęła, ale wyciągnął swe powykręcane palce, by zatrzymać jej słowa.

– Nie przysięgaj, Morgiano, jeśli nie chcesz ponieść kary za złamanie przysięgi... żadne z nas nie wie, czego Bogini może od nas zażądać. Ja także zawarłem Wielki Związek i tego dnia oddałem jej swe życie. Żyję wedle woli Bogini, a mój żywot nie jest tak słodki, bym miał go specjalnie żałować – powiedział.

Wiele lat później Morgiana wspominała te słowa, by osłodzić sobie najbardziej gorzkie zadanie swojego życia. Teraz pochylił się przed nią w pokłonie oddawanym jedynie Pani Avalonu lub Najwyższemu Druidowi, a potem szybko się odwrócił. Morgiana stała, drżąc, patrzyła za nim, kiedy odchodził. Dlaczego to zrobił? I dlaczego jej się bał?

Ruszyła dalej przez tłum, a kiedy dotarła do stołu, Gwenifer powitała ją zimnym uśmiechem, lecz Morgause wstała i zamknęła ją w swym ciepłym, obfitym uścisku.

– Najdroższa dziecińko, jesteś zmęczona, wiem, że nie przepadasz za tłokiem! – Podniosła do ust Morgiany srebrny kielich.

Morgiana upiła trochę wina i potrząsnęła głową.

– Wydaje się, że wciąż młodniejszy, ciociu!

– Tak na mnie wpływa młode towarzystwo – odparła Morgause, śmiejąc się wesoło. – Widziałas Lamoraka? Skoro on uważa mnie za piękną, to ja też siebie za taką uważam, i taka jestem... i to jedyne czary, jakich potrzebuję! – Dotknęła małym palcem cienkiej zmarszczki pod okiem Morgiany i dodała: – I tobie też to polecam, moja droga, albo zrobisz się stara i

pomarszczona... Czy na dworze Uriensa nie ma młodych, przystojnych mężczyzn, którym podoba się ich królowa?

Ponad jej ramieniem Morgiana dostrzegła zde gustowany grymas Gwenifer, choć ta z pewnością musiała wierzyć, że Morgause tylko żartuje. *Przynajmniej opowieści o mnie i Accolonie nie są tutaj dworską plotką.* Potem ogarnął ją gniew. *W imię Pani, ja się nie wstydzę tego, co czynię, nie jestem Gwenifer!*

Lancelot rozmawiał z Isottą z Kornwalii. Tak, zawsze potrafił dostrzec najpiękniejszą kobietę w towarzystwie i Morgiana widziała, że Gwenifer to się nie podoba.

– Pani Isotto, czy znasz siostrę mego męża, Morgianę? – spytała Gwenifer z nerwową gorliwością.

Irlandzka piękność podniosła na Morgianę nieobecny wzrok i uśmiechnęła się. Była bardzo blada, jej alabastrowa cera była gładka, jak świeże mleko, oczy tak błękitne, że niemal zielone. Morgiana zauważyła, że choć Isottą jest wysoka, kości ma tak drobne, iż wygląda jak dziecko obwieszane klejnotami, perłami i złotymi łańcuchami, które wydają się dla niej zbyt ciężkie. Morgianę ogarnęło nagle współczucie dla dziewczyny i zamiast pierwszych słów, które przyszły jej na myśl: *A więc to ciebie nazywają teraz królową Kornwalii?*, powiedziała tylko: – Moja krewna mówi, że jesteś uczona w ziołarstwie i lekach, pani. Któregoś dnia, zanim wrócę do Walii, jeśli będziemy miały czas, chciałabym o tym z tobą pomówić.

– Z wielką przyjemnością – odparła Isotta dwornie.

– Mówiłem jej właśnie, że jesteś muzykiem, Morgiano. Czy usłyszymy dziś twą grę? – spytał Lancelot.

– Gdy jest tutaj Kevin, moja muzyka jest niczym w porównaniu z jego... – zaczęła Morgiana, ale Gwenifer wzruszyła ramionami i przerwała jej.

– Chciałabym, by Artur mnie posłuchał i odesłał tego człowieka z naszego dworu. Nie podoba mi się, że mamy tu wróżbitów i magów, a taka wstrętne twarz musi oznaczać wewnętrzne zło! Nie rozumiem, jak możesz znosić jego dotyk, Morgiano, uważam, że każdej wybrednej kobiecie zrobiłoby się niedobrze, gdyby jej choć dotknął, a ty go ścisłałaś i całowałaś, jakby był twoim krewnym...

– Najwidoczniej – powiedziała Morgiana – zupełnie brakuje mi właściwych uczuć i bardzo się z tego cieszę.

Isotta z Kornwalii odezwała się swym miękkim, słodkim głosem:

– Jeśli to, czego brakuje na zewnątrz, jest tak wielkie jak to, co jest w środku, to muzyka, którą tworzy Kevin, musi być dla nas znakiem, pani Gwenifer, że jego dusza jest zaprawdę duszą najwyższych aniołów. Gdyż żaden zły człowiek nie mógłby grać tak, jak on.

Dołączył do nich Artur, usłyszał ostatnie słowa Gwenifer i powiedział:

– A jednak nie urażę mej królowej obecnością kogoś, kto jest jej przykry, nie miałbym także czelności, by żądać muzyki od kogoś takiego, jak Kevin, dla kogoś, kto nie potrafi

przyjąć jej z wdzięcznością. – W jego głosie brzmiało niezadowolenie. – Morgiano, czy zatem ty zagrasz dla nas dziś wieczór?

– Moja harfa została w Walii. Może gdyby ktoś mógł mi pożyczyć harfy albo innym razem. Sala jest tak zatłoczona i głośna, nie będzie nic słyszać... Lancelot jest tak samo dobrym muzykiem, jak ja.

– O nie, kuzynko. – Lancelot potrząsnął głową. – Rozróżniam struny, bo byłem wychowany w Avalonie i moja matka włożyła mi do rąk harfę jako zabawkę, kiedy tylko byłem na tyle duży, by ją utrzymać. Nie mam jednak takiego talentu, jak Morgiana ani siostrzeniec Markusa... czy słyszałaś już grę Drustana, Morgiano?

Zaprzeczyła, a Isotta powiedziała:

– Poproszę, by dla nas zagrał.

Posłała po niego pazia. Po chwili podszedł Drustan, delikatny, wysoki młodzieniec, ciemnowłosy i ciemnooki. Morgiana pomyślała, że rzeczywiście było w nim podobieństwo do Lancelota. Isotta poprosiła, by zagrał, a on posłał po swą harfę i usiadł na stopniach przed tronem, grając bretońskie melodie. Były rzewne i smutne, w bardzo starej skali, i sprawiły, że Morgiana pomyślała o starożytnej krainie Lyonesse, odległej i zatopionej daleko poza linią brzegową za zamkiem Tintagel. Drustan miał faktycznie dar przewyższający talent Lancelota, a także, uważała, jej własny. Choć nie był Kevinem, w niczym go nawet nie przypominał, jednak poza nim był najlepszym muzykiem, jakiego kiedykolwiek słyszała. Jego głos także był słodki i melodyjny.

– Jak się miewasz, siostrze – spytał Artur cicho, gdy brzmiała muzyka. – Od dawna nie było cię w Kamelocie, tęskniliśmy za tobą.

– Och, doprawdy? – odparła. – Myślałam, że to dlatego wydałeś mnie za mąż tak daleko, aż do Północnej Walii, by twoja pani – tu ironicznie skłoniła się w kierunku Gwenifer – nie była urażona widokiem czegokolwiek, co jest jej przykre, ani Kevina, ani mnie.

– Jak możesz tak mówić? – spytał Artur. – Bardzo cię kocham, wiesz o tym doskonale, a Uriens to dobry człowiek i zdaje się, że bardzo ci oddany, słucha każdego twego słowa! Chciałem dać ci dobrego i miłego męża, Morgiano, takiego, który ma już synów i nie będzie ci miał za złe, gdybyś nie dała mu dzieci. I dzisiaj z przyjemnością przyjąłem twego wspaniałego pasierba do grona mych towarzyszy. Czegóż jeszcze więcej możesz chcieć, siostrze?

– Zaiste, czego? Czegóż więcej może pragnąć kobieta niż dobrego męża, tak starego, że mógłby być jej dziadkiem, i królestwa na samym końcu świata! Powinam się pokłonić i dziękować ci za to na kolanach, mój bracie!

Artur próbował chwycić ją za rękę.

– Naprawdę, zrobiłem to, co sądziłem, że cię zadowoli, siostrze. Uriens jest dla ciebie za stary, ale nie będzie żył wiecznie. Naprawdę, myślałem, że to cię uczyni szczęśliwą...



Na pewno, myślała Morgiana, mówi absolutną prawdę, tak jak on ją widzi. Jak on może być tak dobrym i mądrym królem i mieć tak mało wyobraźni? A może to jest właśnie sekret jego królowania, że trzyma się prostych prawd i nie pyta o więcej? Czy to dlatego pociągnęła go wiara chrześcijan, bo jest taka prosta i ma tak niewiele prostych praw?

– Lubię, kiedy wszyscy są szczęśliwi – powiedział Artur, a ona wiedziała już, że to rzeczywiście jest prawdziwy klucz do jego charakteru; on naprawdę starał się, by wszyscy byli szczęśliwi, nawet najprostszy z jego poddanych. Pozwalał na to, co działo się między Lancelotem i Gwenifer, bo wiedział, że gdyby ich rozdzielił, uczyni to jego królową nieszczęśliwą, nie chciał też ranić Gwenifer, odsuwając ją od siebie lub biorąc sobie inną żonę, czy choćby kochankę, by urodziła mu syna, którego Gwenifer dać mu nie mogła.

*On nie jest dosyć bezwzględny, by być Najwyższym Królem*, myślała Morgiana, starając się słuchać smętnych pieśni Drustana. Artur skierował teraz rozmowę na kopalnię ołowiu i cyny w Kornwalii; powinna jechać je odwiedzić, diuk Markus musi wiedzieć, że nie jest władcą tego kraju, a ona i Isotta na pewno mogą się zaprzyjaźnić, obie kochają muzykę, ona w takim skupieniu słucha Drustana... *Nie, to nie miłość do muzyki nie pozwala jej oderwać od niego wzroku*, pomyślała Morgiana, ale nic nie powiedziała. Zadumała się nad czterema królowymi, które siedziały przy tym stole i westchnęła: Isotta nie może oderwać oczu od Drustana i nie można jej za to winić? Diuk Markus jest stary i zimny, ma bystre, małe, podejrzliwe oczka, które przypominają jej Lota z Orkney. Morgause właśnie przywołała młodego Lamoraka i szeptała mu coś do ucha; cóż, czyż i ją można za cokolwiek winić? Została wydana za Lota – a nie był to człowiek łatwy – kiedy miała trochę ponad czternaście lat, i przez cały czas jego życia uważała na jego dumę i nigdy nie obnosiła się przed nim ze swymi młodymi kochankami. *A ja nie jestem lepsza od żadnej z nich, jedną ręką dopieszczam Uriensa, a drugą sięgam do łoża Accolona i usprawiedliwiam się, nazywając go swoim kapłanem...*

Ciekawa była, czy jakaś kobieta kiedykolwiek czyniła inaczej.

Gwenifer jest przecież Najwyższą Królową, a to ona pierwsza wzięła sobie kochanka... Morgianie wydało się, że jej serce nagle twardnieje, jak kamień. Ona, Morgause i Isotta zostały wydane za starych ludzi i ciężkie było ich życie. Gwenifer była jednak żoną człowieka przystojnego, niewiele tylko starszego od siebie i do tego Najwyższego Króla – czy ona miała powody do niezadowolenia?

Drustan odłożył swą harfę, skłonił się i ujął róg z winem, by oczyścić gardło.

– Nie mogę więcej śpiewać – powiedział – lecz jeśli Morgiana chciałaby wziąć moją harfę, bardzo proszę, wiele słyszałem o jej muzycznym talencie.

– Tak, zaśpiewaj dla nas, dziecko – powiedziała Morgause a Artur dołączył się do prośby:

– Tak, już od tak dawna nie słyszałem twego głosu, a to wciąż jest najśłodszy głos, jaki w życiu słyszałem... być może dlatego, że to także pierwszy głos, jaki pamiętam... chyba usypiałaś mnie swoimi kołysankami, zanim jeszcze umiałem mówić, a ty sama byłaś wtedy

jeszcze dzieckiem. Zawsze najlepiej pamiętam cię właśnie taką, Morgiano... – powiedział, a wobec bólu w jego oczach Morgiana schyliła głowę.

*Czy to tego Gwenifer nie może wybaczyć, że ja noszę dla niego twarz Bogini?* Wzięła harfę Drustana i pochyliła się nad strunami, dotykając ich jedną po drugiej.

– Ma inny strój niż moja – powiedziała, próbując kilku dźwięków, a potem podniosła głowę, bo przy wejściu do sali zrobiło się zamieszanie. Zagrała trąbka, brzmiąc ostro i nieprzyjemnie w zamkowych murach, słychać było odgłos zbrojnych stóp. Artur uniósł się, po czym znów opadł na krzesło, gdy czterech zbrojnych mężczyzn niosących miecze i tarcze wmaszerowało do sali. Kaj zaszedł im drogę, protestując – było zabronione, by wносить oręż do królewskiej sali w dzień Zesłania Ducha. Brutalnie odepchnęli go na bok.

Mieli na sobie rzymskie hełmy – Morgiana widziała kiedyś jeden czy dwa takie, zachowane w Avalonie – i krótkie wojskowe tuniki, i rzymskie oręża, a także grube, czerwone wojskowe płaszcze, które powiewały za nimi. Morgiana zamrugła – to było, jakby rzymscy legionieści weszli tutaj prosto z przeszłości. Jeden z nich niósł zatkniętą na czubku długiej piki rzeźbioną figurę orła.

– Arturze, diuku Brytanii – krzyknął jeden z przybyszów. – Przynosimy ci wieści od Lucjusza, Imperatora Rzymu!

Artur podniósł się i zrobił jeden krok w stronę mężczyzn w rzymskich strojach.

– Nie jestem diukiem Brytanii, lecz Najwyższym Królem – powiedział spokojnie – i nic nie wiem o żadnym Imperatorze Lucjuszu. Rzym upadł i jest teraz w rękach barbarzyńców i, w co nie wątpię, uzurpatorów. Jednak nie wiesz się psa za impertynencje jego pana. Możecie powiedzieć swe przesłanie.

– Jestem Kastor, centurion legionu Valeria Vitriks – powiedział ten sam, który już wcześniej się odezwał. – Legiony znów uformowały się w Galii, pod sztandarem Lucjusza Valeriusza, Imperatora Rzymu. Przesłanie Lucjusza jest takie: ty, Arturze, diuku Brytanii, możesz dalej rządzić na swój sposób na tych ziemiach, pod warunkiem że złożysz mi w ciągu sześciu tygodni cesarską daninę składającą się z czterdziestu uncji złota, dwóch tuzinów brytyjskich pereł i trzech wozów żelaza, cynku i ołowiu z tego kraju, razem ze stoma belami tkaney brytyjskiej wełny i stu niewolnikami.

Lancelot podniósł się z miejsca i wbiegł przed króla:

– Mój panie Arturze – krzyknął – pozwól mi przegnać te warczące psy i posłać je pokonane do ich pana, by powiedzieli temu idiocie Lucjuszowi, że jeśli chce daniny od Brytanii, to może przyjść i sam spróbować ją wziąć...

– Zaczekaj, Lancelocie – powiedział Artur łagodnie, uśmiechając się do przyjaciela. – To nie jest właściwy sposób. – Przez chwilę przyglądał się legionistom; Kastor miał do połowy wyciągnięty miecz, na co Artur odezwał się surowo: – Żaden oręż nie może być obnażony w tym świętym dniu na mym dworze, żołnierzu. Nie spodziewam się, by barbarzyńcy z Galii znali obyczaje cywilizowanego kraju, ale jeśli natychmiast nie włożysz tego miecza z

powrotem do pochwy, to przysięgam, że Lancelot może podejść i zabrać ci go najlepiej, jak potrafi. A bez wątpienia słyszałeś o sir Lancelocie, nawet w Galii. Nie chcę jednak rozlewu krwi u stóp mego tronu.

Kastor wściekle obnażając zęby, schował swój miecz.

– Nie boję się twego rycerza Lancelota – powiedział. – Jego dni już dawno minęły, w wojnach z Saksonami. Zostałem tu jednak wysłany jako posłaniec z rozkazami, by nie przelewać krwi. Jaką odpowiedź mogę przekazać imperatorowi, diuku Arturze?

– Żadnej, jeśli odmawiasz należnego mi tytułu w mym własnym zamku – powiedział Artur – ale możesz powiedzieć Lucjuszowi to: Uther Pendragon objął tron po Ambrozjuszu Aurelianusie, kiedy nie było tu żadnych Rzymian, by pomóc nam w walce z Saksonami, a ja, Artur, objąłem tron po mym ojcu Utherze, a po mnie na tronie Brytanii zasiądzie mój kuzyn Galahad. Nie istnieje nikt, kto mógłby sobie rościć prawo do purpury imperatora, Imperium Rzymu już nie włada w Brytanii. Jeśli Lucjusz ma ochotę rządzić swą rodzinną Galią, a tamtejszy lud zaakceptuje go jako króla, z pewnością nie przyjdę podważać jego władzy, lecz jeśli będzie rościł sobie prawo do choćby jednego cala ziemi w Brytanii czy Mniejszej Brytanii, to wtedy nie dostanie od nas nic, poza trzema tuzinami brytyjskich strzał w takie miejsce, gdzie doskonale je poczuje.

Kastor pobałdł z wściekłości.

– Mój imperator przewidział taką zuchwałą odpowiedź, jak ta, i oto, co kazał mi powiedzieć: Mniejsza Brytania już jest w jego rękach i uwięził Borsa, syna króla Bana, w jego własnym zamku. I kiedy imperator Lucjusz spustoszy już całą Mniejszą Brytanię, wtedy przybędzie do Brytanii, jak to dawniej uczynił cesarz Klaudiusz, i znów podbije ten kraj, mimo wszystkich twoich pomalowanych dzikich wodzów umazanych barwikiem!

– Powiedz swemu imperatorowi – powiedział Artur – że podtrzymuję swoją ofertę trzech tuzinów brytyjskich strzał, tylko że teraz podnoszę ją do trzech setek, i nie dostanie ode mnie innej daniny, poza jedną z tych strzał w samo serce. Powiedz mu także, że jeśli choć włos spadnie z głowy mego rycerza Borsa, oddam Lucjusza w ręce Lancelota i Lionela, którzy są braćmi Borsa, by go żywcem odarli ze skóry i powiesili jego ścierwo na zamkowych murach. A teraz wracaj do swego imperatora i przekaż mu moją wiadomość, Nie, Kaj, niech nikt nie podnosi na nich ręki, posłaniec jest święty dla swoich Bogów.

Kiedy legioniści wychodzili z sali, towarzyszyła im brzemienna cisza. Odwrócili się wartko na piętach, a ich podkute buty ostro uderzały w kamienną posadzkę. Gdy wyszli, podniosła się wrzawa, ale Artur uniósł dłoń i znów zapadła cisza.

– Z jutrzejszym dniem nie będzie rycerskich turniejów, bo wkrótce będziemy mieć prawdziwą walkę – powiedział. – A jako trofea mogę ofiarować łupy zdobyte na tym samozwańczym imperatorze. Rycerze, chcę byście o świcie byli gotowi wyruszyć na wybrzeże. Kaj, ty zajmiesz się zaopatrzeniem. Lancelocie – kiedy spojrzał na przyjaciela, na ustach Artura pojawił się lekki uśmiech – zostawiłbym cię tutaj, byś strzegł królowej, ale

skoro twój brat jest uwięziony, wiem, że chcesz wyruszyć z nami. Poproszę księdza, by jutro o świcie odprawił mszę świętą dla tych wszystkich, którzy chcą się oczyścić z grzechów, zanim staną do walki. Sir Uwainie – odnalazł wzrokiem swego najnowszego towarzysza, który siedział między młodszymi rycerzami – teraz mogę ofiarować ci sławę w bitwie, miast w turnieju. Proszę cię, byś jako syn mej siostry jechał u mego boku i strzegł mnie od zdradzieckich ciosów.

– To dla mnie zaszczyt, mój kró... królu – wyjąkał Uwain z rozpromienioną twarzą i w tej chwili Morgiana zobaczyła po raz kolejny, w jaki to sposób Artur wzbudza w swych rycerzach tak ogromne oddanie.

– Uriensie, mój dobry szwagrze – ciągnął Artur – powierzam królową twej pieczy, zostań w Kamelocie i strzeż jej, dopóki nie powrócę. – Pochylił się, by ucałować dłoń Gwenifer. – Pani, proszę wybaczyć nam, że nie będziemy dłużej ucztować, ale znów wisi nad nami wojna.

Gwenifer była blada jak jej własny welon.

– Wiesz, że doskonale to rozumiem, mój królu. Niech Bóg ma cię w opiece, drogi mężu – powiedziała i pochyliła się, by go pocałować.

Wstał i zszedł ze stopni tronu.

– Gawain, Lionel, Gareth, wszyscy moi towarzysze, do mnie!

Lancelot zatrzymał się chwilę, nim podążył za Arturem.

– Mnie też pobłogosław na drogę, moja królowo.

– O Boże, Lancelocie – powiedziała Gwenifer i nie bacząc na skierowane na nią oczy, rzuciła się w jego ramiona. Trzymał ją delikatnie i mówił tak cicho, że Morgiana nie słyszała słów, widziała tylko, że Gwenifer płacze. Kiedy jednak znów podniosła głowę, jej twarz była sucha i opanowana. – Ruszaj z Bogiem, moja najdroższa miłości.

– Niech Bóg cię strzeże, miłości mego serca – powiedział Lancelot bardzo cicho. – Czy wrócę czy też nie, niech ma cię w swojej opiece... – Odwrócił się do Morgiany. – Teraz naprawdę się cieszę, że pojedziesz z wizytą do Elaine. Musisz przekazać moje pozdrowienia mej najdroższej żonie i powiedzieć jej, że wyruszyłem z Arturem, by wybawić mego brata Borsę z rąk tego rzezimieszka, który śmie nazywać się imperatorem Lucjuszem. Powiedz jej, by modliła się do Boga, by miał ją w opiece, i przekaż pozdrowienia moim dzieciom. – Chwilę stał w milczeniu i przez tę chwilę Morgiana myślała, że ją też ucałuje. Zamiast tego uśmiechnął się i położył dłoń na jej policzku. – Niech Bóg ciebie też błogosławi, Morgiano, niezależnie od tego, czy chcesz jego błogosławieństwa – powiedział i odwrócił się, by dołączyć do Artura, wokół którego w mniejszej sali zebrali się wszyscy rycerze.

Do tronu podszedł Uriens i skłonił się Gwenifer:

– Jestem do twych usług, pani.

*Jeśli będzie się śmiała ze starego człowieka, uderzę ją w twarz!*, pomyślała Morgiana, czując nagłą solidarność z mężem. Uriens chciał dobrze, a jego obowiązek był tylko czystym ceremoniałem, ukłonem w stronę jego królewskiej dumy. Kamelot będzie jak zwykle świetnie

chroniony przez Kaja i Lucana. Gwenifer jednak знаła się na dworskiej dyplomacji. Odpowiedziała z całą powagą:

– Dziękuję ci, sir Uriensie. Jesteś tu bardzo mile widziany. Morgiana jest moją najdroższą siostrą i przyjaciółką i będę szczęśliwa, mając ją znów przy sobie na dworze.

*Och, Gwenifer, Gwenifer, jaka z ciebie kłamczucha!*

– Niestety, muszę wyjechać, by odwiedzić mą krewniaczkę Elaine – powiedziała Morgiana słodko. – Lancelot powierzył mi przekazanie jej nowin.

– Ty zawsze jesteś taka dobra – powiedział Uriens – a skoro wojna nie jest na naszych ziemiach, tylko za kanałem, pojedziesz, kiedy będziesz chciała. Poprosiłbym Accolona, by cię eskortował, ale prawdopodobnie on też będzie musiał wyruszyć z Arturem na wybrzeże.

*On naprawdę by mnie zostawił pod opieką Accolona, tak dobrze o wszystkich myśli...* Morgiana ucałowała męża z prawdziwą czułością.

– Kiedy odwiedzę już mą krewniaczkę Elaine, mój panie, czy mogę dostać pozwolenie na odwiedziny mych krewnych w Avalonie?

– Możesz robić, co tylko chcesz, moja pani – powiedział Uriens – ale zanim pojedziesz, czy rozpakujesz moje rzeczy? Mój giermek nigdy nie umie tego zrobić tak dobrze, jak ty. I czy zostawisz mi trochę swoich maści i ziołowych olejków?

– Oczywiście – odparła.

Kiedy szła, by przygotować wszystko do drogi, myślała z rezygnacją, że zanim wyjedzie, to bez wątpienia on będzie chciał z nią spać tej nocy. Trudno, zносиła to już wcześniej, zniesie i tym razem.

*Cóż za dziwka się ze mnie zrobiła!*

## 12

Morgiana wiedziała, że ośmieli się na tę podróż tylko wtedy, jeśli pokona ją krok po kroku, mila po mili, dzień po dniu. Tak więc pierwsze kroki prowadziły do zamku Pellinora. Co za gorzka ironia, że jej pierwszym zadaniem było przekazanie pozdrowień dla żony Lancelota i jego dzieci.

Przez cały dzień podążała na północ starą, rzymską drogą pośród wzgórz. Kevin zaofiarował się jej towarzyszyć i kusiło ją to; znów ogarnął ją dawny lęk, że tym razem też nie odnajdzie drogi do Avalonu, że nie będzie śmiała przywołać łodzi, że znów zabłądzi do czarownej krainy i będzie zgubiona na wieki. Nie śmiała tam przecież pojechać nawet po śmierci Viviany...

Teraz jednak musi sprostać temu zadaniu, tak jak wtedy, kiedy pierwszy raz była wyświęcona na kapłankę... wyrzucona samotnie z Avalonu, a jej jedynym zadaniem było

wrócić do niego o własnych siłach... i teraz też musi zdobyć prawo do tego powrotu sama, bez pomocy Kevina.

Mimo wszystko się bała. To już tyle czasu.

Czwartego dnia zobaczyła zamek Pellinora, a w południe tego samego dnia, jadąc wzdłuż błotnistych brzegów jeziora, które teraz nie nosiło ani śladu smoka, niegdyś tu straszącego (choć jej kobiety i przyboczna jazda zbili się razem w kupkę, trzęśli się i opowiadali sobie straszne historie o smoku), dostrzegła trochę mniejszą budowlę, którą Pellinor podarował Elaine i Lancelotowi, kiedy się pobrali.

Była to raczej willa niż zamek; po latach pokoju w tych stronach nie pozostało zbyt wiele ufortyfikowanych budowli. Szerokie trawniki schodziły aż do drogi, a kiedy Morgiana dojeżdżała do zamku, stado gęsi pozdrowiło ją głośnym chórem.

Powitał ją dobrze ubrany szambelan, spytał o jej imię i sprawę, z którą przybywa.

– Jestem pani Morgiana, małżonka króla Uriensa z Północnej Walii. Przynoszę wieści od pana Lancelota.

Zaprowadzono ją do komnaty, gdzie mogła się umyć i odświeżyć, a potem wskazano jej wielką salę, gdzie palił się ogień. Ustawiono przed nią pszenne ciastka z miodem i flaszkę wina. Morgiana stwierdziła, że nużą ją te wszystkie ceremonie, jest w końcu krewną, a nie gościem rangi państwowej. Po jakimś czasie mały chłopczyk zajrzał do sali, a kiedy zobaczył, że jest sama, wszedł do środka. Był jasnowłosy, miał niebieskie oczy i buzię usianą złotymi piegami. Od razu rozpoznała, czyj to syn, choć w niczym nie przypominał swego ojca.

– Czy ty jesteś pani Morgiana, którą nazywają Morgianą Czarodziejką?

– Tak. Jestem twoją kuzynką, Galahadzie – odparła.

– Skąd znasz moje imię? – spytał podejrzliwie. – Czy jesteś czarownicą? Dlaczego cię nazywają Morgianą Czarodziejką?

– Dlatego, że pochodzę ze starej królewskiej krwi Avalonu i tam byłam wychowana. A twoje imię znam nie dzięki czarom, ale dlatego, że wyglądasz jak twoja mamusia, która też jest moją krewną.

– Mój tato też ma na imię Galahad – powiedziało dziecko – ale Saksoni nazwali go Elfią Strzałą.

– Przybyłam tu, by przekazać pozdrowienia od twego ojca tobie i twojej mamie, i twojej małej siostrzyczce – powiedziała Morgiana.

– Nimue to głupia dziewczynka – powiedział Galahad. – Jest duża, bo ma już pięć lat, ale jak tato przyjechał, to płakała i nie pozwoliła mu się wziąć na ręce i pocałować, bo go nie poznała. A ty znasz mego ojca?

– Rzeczywiście, znam – odparła Morgiana. – Jego matka, Pani Jeziora, była moją przybraną matką i moją ciotką.

Przyglądał jej się sceptycznie, marszcząc brwi.

– Moja mama mi mówiła, że Pani Jeziora to zła czarownica.

– Twoja mama jest... – Morgiana zatrzymała się i szukała łagodniejszych słów. Przecież ma przed sobą tylko dziecko. – Twoja mama nie знаła Pani tak dobrze, jak ja. To była dobra i mądra kobieta i wielka kapłanka.

– Tak? – Morgiana widziała, jak Galahad zмага się z tą informacją. – Ojciec Griffin mówi, że tylko mężczyźni mogą być kapłanami, bo mężczyźni są stworzeni na podobieństwo Boga, a kobiety nie. Nimue powiedziała, że jak urośnie, to chce być księdzem i nauczyć się pisać i czytać, i grać na harfie, ale ojciec Griffin jej powiedział, że żadna kobieta nie potrafi robić tych wszystkich rzeczy, a nawet jednej z nich.

– Ojciec Griffin jest w błędzie – powiedziała Morgiana – gdyż ja to wszystko potrafię, a nawet więcej.

– Nie wierzę ci – powiedział Galahad, mierząc ją nieprzyjaznym wzrokiem. – Ty myślisz, że wszyscy się mylą, tylko nie ty, prawda? Moja mama mówi, że dzieci nie powinny zaprzeczać dorosłym, ale ty wyglądasz, jakbyś wcale nie była wiele starsza ode mnie. Nie jesteś wiele większa, prawda?

Morgiana zaśmiała się, widząc rozgniewane dziecko, i powiedziała:

– Ale ja jestem starsza i od twojej mamy, i od twego ojca, Galahadzie, mimo że nie jestem zbyt wysoka.

Coś zaszeleściło przy drzwiach i do komnaty weszła Elaine.

Postarzała się, ciało jej się zaokrągliło, piersi opadły, mimo wszystko – mówiła sobie Morgiana, urodziła przecież troje dzieci, a jedno z nich ciągle karmiła. Była jednak wciąż urocza, jej złote włosy lśniły, jak zwykle. Ucałowała Morgianę, jakby widziały się zaledwie wczoraj.

– Widzę, że poznałaś już mojego synka – powiedziała. – Nimue jest w swojej komnacie, za karę, bo była niegrzeczna dla ojca Griffina, a Gwennie dzięki Bogu usnęła, to marudne niemowlę i nie spałam przez nią przez większość nocy. Czy przybywasz z Kamelotu? Dlaczego mój pan nie przyjechał z tobą, Morgiano?

– Przyjechałam ci o tym opowiedzieć – odparła Morgiana. – Lancelot przez jakiś czas nie powróci do domu. W Mniejszej Brytanii jest wojna, a jego brat Bors został obleżony w swym zamku. Wszyscy towarzysze Artura wyruszyli, by go ratować i obalić człowieka, który chce być imperatorem.

Oczy Elaine napęłniły się łzami, ale twarz małego Galahada promieniała podnieceniem.

– Gdybym był starszy – powiedział – to też byłbym jednym z towarzyszy króla i mój ojciec by mnie pasował na rycerza i pojechałbym z nimi, i biłbym tych starych Saksonów i każdego starego imperatora!

Wysłuchawszy całej historii, Elaine powiedziała:

– Ten Lucjusz to według mnie jakiś szaleniec!

– Szalony czy nie, ma armię i twierdzi, że występuje w imieniu Rzymu – powiedziała Morgiana. – Lancelot przysłał mnie do ciebie i prosił, bym ucałowała od niego dzieci, choć

ten młody człowiek jest pewnie za duży, by go całować jak dziecko – dodała, uśmiechając się do Galahada. – Mój przybrany syn Uwain też uważał, że jest na to za dorosły, kiedy był mniej więcej twojego wzrostu, a kilka dni temu został pasowany na jednego z towarzyszy Artura.

– Ile on ma lat? – spytał Galahad, a kiedy Morgiana odparła, że piętnaście, zmarszczył gniewnie czoło i zaczął liczyć na palcach.

– Jak wyglądał mój drogi pan? – spytała Elaine. – Galahadzie, biegnij do swego nauczyciela, chcę porozmawiać z moją kuzynką – dodała, a kiedy dziecko odeszło, powiedziała: – Miałam więcej czasu, by porozmawiać z moim panem przed Zielonymi Świątkami niż przez wszystkie lata małżeństwa. To był pierwszy raz, przez te wszystkie lata, kiedy spędziłam więcej niż tydzień w jego towarzystwie!

– Przynajmniej tym razem nie zostawił cię brzemienną – powiedziała Morgiana.

– Nie – odparła Elaine. – I był bardzo wyrozumiały, i nie pragnął mego łóża przez te tygodnie, kiedy razem oczekiwaliśmy na narodziny Gwen. Mówił, że jestem zbyt ciężarna i że to nie byłoby dla mnie przyjemne. Ja bym mu i tak nie odmówiła, ale prawdę mówiąc, to myślę, że wcale mu nie zależało... i tu muszę ci się z czegoś zwierzyć, Morgiano...

– Zapomniałaś – powiedziała Morgiana ze smutnym uśmiechem – że znałam Lancelota przez całe swoje życie.

– Powiedz mi, proszę, choć kiedyś ślubowałam sobie, że nigdy cię o to nie zapytam... Czy Lancelot był twoim kochankiem? Czy kiedykolwiek zległaś z nim, Morgiano?

Morgiana spojrzała na jej zatroskaną twarz i odparła łagodnie:

– Nie, Elaine. Był taki czas, że o tym myślałam... ale nigdy do tego nie doszło. Nie kochałam go ani on mnie nie kochał...

Mówiąc to, ku swemu zaskoczeniu stwierdziła, że powiedziała prawdę, choć dotąd o tym nie wiedziała. Elaine wpatrywała się w podłogę, w miejsce, gdzie promień słońca przeświecał przez stary matowy kawałek szkła, który pamiętał jeszcze rzymskie czasy.

– Morgiano, kiedy przyjechał na Zielone Świątki, czy widział królową?

– Ponieważ Lancelot nie jest ślepcem, a ona siedziała na tronie u boku Artura, przypuszczam, że ją widział – odparła Morgiana sucho

– Wiesz przecież, o czym mówię! – Elaine zrobiła zniecierpliwiony gest.

*Czy ona wciąż jest taka zazdrosna? Czy tak bardzo nienawidzi Gwenifer? Ma Lancelota, urodziła jego dzieci, wie, że to człowiek honoru, czego chce więcej?* Jednak widząc, jak młoda kobieta nerwowo wykręca palce, jak na jej rękach wiszą łzy, Morgiana zmiękła

– Elaine, Lancelot rozmawiał z królową i pocałował ją na pożegnanie, kiedy ogłoszono wyjazd na wojnę. Przysięgam ci jednak, że mówił jak dworzanin ze swoją królową, a nie jak kochanek z kochanką. Znają się przecież, odkąd byli młodzi, i jeśli nawet nie mogą zapomnieć, że kiedyś kochali się tak, jak to przydarza się ludziom tylko raz w życiu, nie możesz im mieć tego za złe. To ty jesteś jego żoną, Elaine, i po tym, co mówił, kiedy prosił, bym przekazała ci wieści, widać, że bardzo cię lubi.



– A ja przysięgałam, że tym się zadowolę i nie będę żądała więcej, prawda? – Elaine pochyliła głowę, a Morgiana widziała, jak mruga zawzięcie, żeby się nie rozplakać. W końcu uniosła twarz. – Ty, która miałaś tylu kochanków, czy kiedykolwiek zaznałaś tego, co znaczy miłość?

Przez chwilę Morgiana poczuła się ogarnięta dawnym szaleństwem, szaleństwem miłości, które opanowało ją i Lancelota na zalanym słońcem wzgórzu w Avalonie, szaleństwem, które rzuciło ich sobie w ramiona, które wciąż od nowa zbliżało ich do siebie, wszystko skończyło się goryczą... siłą woli oddaliła te wspomnienia i napełniła umysł myślami o Accolonie, który od nowa wzniecił w jej sercu i ciele słodczy bycia kobietą, kiedy już czuła się stara, opuszczona, martwa... który przywrócił ją Bogini, który zrobił z niej znów kapłankę... czuła, jak przez jej twarz przebiegają purpurowe rumieńce. Powoli skinęła głową.

– Tak, dziecko, poznałam to, wiem, co znaczy kochać.

Widziała, że Elaine ma ochotę zadać jej jeszcze sto innych pytań, i pomyślała, jak to by było dobrze móc podzielić się wszystkim z tą jedyną kobietą, która była jej przyjaciółką, odkąd opuściła Avalon, do której małżeństwa sama doprowadziła, ale powstrzymała się.

Zachowanie tajemnicy było częścią mocy kapłanki, a mówienie o tym, co wiedziała ona i Accolon, byłoby wyniesieniem tego poza magiczne królestwo, zrobiłoby z niej jedynie niezaspokojoną żonę, wkradającą się do łóżka swego pasierba. Zamiast tego powiedziała:

– Teraz Elaine jest coś innego, o czym musimy porozmawiać. Pamiętasz, złożyłaś mi przysięgę, że jeżeli pomogę ci zdobyć Lancelota, dasz mi to, o co cię poproszę. Nimue skończyła pięć lat, jest na tyle duża, by ją oddać na wychowanie. Jutro jadę do Avalonu. Musisz ją przygotować, by mi towarzyszyła.

– Nie! – Był to długi krzyk, niemal skowyt. – Nie, nie, Morgiano, nie mówisz poważnie!

Tego właśnie Morgiana się obawiała. Teraz zmieniła głos na ostry i stanowczy.

– Elaine, przysięgłaś.

– Jak mogłam przyrzec dziecko jeszcze nie narodzone!? Nie wiedziałam, co to znaczy, och nie, nie moja córeczka, nie moja córeczka, nie możesz mi jej zabrać, jest taka mała!

– Złożyłaś przysięgę – powtórzyła Morgiana.

– A jeśli odmówię? – Elaine wyglądała jak wściekła kotka, gotowa, by bronić swych kociątek przed złym psem.

– Jeżeli odmówisz – głos Morgiany był znów spokojny, jak zawsze – to kiedy Lancelot powróci do domu, usłyszysz ode mnie, jak zostało ukartowane jego małżeństwo, jak płakałaś i błagałaś mnie, bym rzuciła na niego urok, tak by odwrócił się od Gwenifer do ciebie. On uważa ciebie za niewinną ofiarę moich czarów, Elaine, i wini mnie, a nie ciebie. Czy ma poznać prawdę?

– Nie uczynisz tego!? – Elaine była biała z przerażenia.

– Przekonaj się – powiedziała Morgiana. – Nie wiem, jak chrześcijanie traktują przysięgę, lecz zapewniam cię, że między tymi, którzy czczą Boginię, bierze się ją z całą powagą. I tak

ja potraktowałam twoją. Czekałam, aż będziesz miała następną córkę, ale wedle danej przez ciebie przysięgi Nimue jest moja.

– Ale... ale co się z nią stanie? To chrześcijańskie dziecko... jak mogę ją odesłać od matki do... do świata pogańskich czarów...

– Mimo wszystko ja jestem jej krewną – powiedziała Morgiana łagodnie. – Od jak dawna mnie znasz, Elaine? Czy kiedykolwiek widziałaś, bym uczyniła coś tak niegodnego lub złego, byś mogła się wahać powierzyć mi dziecko? Przecież nie chcę oddać jej na pożarcie smokowi, dawno też minęły czasy, kiedy nawet zbrodniarze płonęli na ofiarnych ołtarzach.

– A więc co się z nią stanie w Avalonie? – spytała Elaine z takim lękiem, że Morgiana zastanowiła się, czy ona rzeczywiście nie ma podobnych podejrzeń.

– Będzie kapłanką uczoną w mądrościach Avalonu – powiedziała Morgiana. – Pewnego dnia będzie potrafiła czytać w gwiazdach i będzie znała całą mądrość świata i nieba. – Uśmiechnęła się – Galahad powiedział mi, że ona chce się nauczyć czytać i pisać i grać na harfie, a w Avalonie nikt jej tego nie zabroni. Jej życie tam będzie łatwiejsze, niż gdybyś ją oddała do jakiejś szkoły w klasztorze. My z pewnością będziemy od niej wymagać mniej postów i pokuty, zanim nie będzie dorosła.

– Ale... ale co ja mam powiedzieć Lancelotowi...? – błagała Elaine.

– Co chcesz – odparła Morgiana. – Najlepiej by było powiedzieć mu prawdę, że wysłałaś ją na wychowanie do Avalonu, by mogła zapełnić pozostawione tam puste miejsce. Nie obchodzi mnie jednak, czy mu skłamiesz. Jeśli o mnie chodzi, to możesz mu nawet powiedzieć, że utonęła w jeziorze albo że porwał ją duch pellińorowego smoka.

– A co z księdzem? Kiedy ojciec Griffin usłyszy, że posłałam swoją córeczkę, żeby została czarownicą w pogańskiej krainie...

– To, co jemu powiesz, obchodzi mnie jeszcze mniej – odparła Morgiana. – Może wolisz mu przyznać, że zaprzedałaś własną duszę moim czarom, a w zamian zaprzysięgłaś oddać mi swą pierwotną córkę? Nie? Tak myślałam.

– Jesteś okrutna, Morgiano – powiedziała Elaine, z oczu spływały jej łzy. – Czy możesz mi dać kilka dni, bym mogła ją przygotować na to, że ma mnie opuścić, by spakować rzeczy, które będą jej potrzebne...

– Nie potrzeba jej wiele. Zmiana bielizny, jeśli chcesz, i ciepłe rzeczy do jazdy, gruby płaszcz i mocne buty, nic więcej. W Avalonie dadzą jej suknię kapłanki nowicjatki. Wierz mi – dodała łagodnie – będzie traktowana z miłością i czcią, jako wnuczka największej z kapłanek. Poza tym, jak to mówią twoi księża... utemperują jej tam charakter. I nie będzie zmuszana do żadnych wyrzeczeń, dopóki nie będzie na tyle dorosła, by je znieść. Myślę, że będzie tam szczęśliwa.

– Szczęśliwa? W tym przeklętym miejscu? – spytała Elaine z rozpaczą, lecz nieugięte przekonanie w głosie Morgiany poruszyło jej serce.

– Przysięgam ci, byłam szczęśliwa w Avalonie, i każdego dnia, od kiedy go opuściłam, od świtu do nocy tęsknię, by tam powrócić. Czy kiedykolwiek słyszałaś z mych ust kłamstwo? No, chodź, pokaż mi dziecko.

– Kazałam jej samotnie siedzieć w swojej komnacie aż do zachodu. Była opryskliwa wobec księdza i jest ukarana – powiedziała Elaine.

– Ja jednak znoszę tę karę. Teraz ja jestem jej opiekunką i przybraną matką i nie ma już dłużej powodu, by musiała okazywać szacunek temu księdzu. Zaprowadź mnie do niej.

Wyjechały następnego dnia o świcie. Nimue płakała, żegnając się z matką, ale nie ujechały jeszcze godziny, a już zaczęła ciekawie zerkać na Morgianę spod kapturka swojego płaszcza. Była wysoka, jak na swój wiek, nie przypominała matki Lancelota, Viviany, była raczej jak Morgause i Igriana; jasnowłosa, choć w jej złotych lokach było tyle miedzianego połysku, iż Morgiana sądziła, że gdy dorośnie, będzie rudowłosa. Jej oczy były niemal koloru małych leśnych fiołków, które rosły przy strumieniach.

Przed wyjazdem wypily jedynie trochę wina i wody, więc teraz Morgiana zapytała:

– Jesteś głodna, Nimue? Jeśli chcesz, możemy się zatrzymać i zjeść śniadanie, jak tylko znajdziemy polankę.

– Tak, ciociu.

– Bardzo dobrze.

Po chwili zsiadła z konia i zdjęła dziewczynkę z kucyka.

– Ja muszę... – Dziecko spuściło oczy i skrzywiło się.

– Jeśli musisz oddać wody, idź ze służącą za tamto drzewo – powiedziała Morgiana – i nigdy więcej nie wstydz się mówić o tym, co przecież stworzył Bóg.

– Ojciec Griffin mówi, że to nieskromnie...

– I nigdy więcej nie mów mi już o tym, co mówił ci ojciec Griffin – odparła Morgiana łagodnie, ale za miłymi słowami kryło się żelazne zdecydowanie. – To już przeszłość, Nimue.

Kiedy dziewczynka wróciła, podeszła do niej z oczyma szeroko rozszerzonymi ze zdziwienia.

– Widziałam kogoś bardzo małego, jak spoglądał na mnie spoza drzewa. Galahad mówił, że nazywają cię Morgianą Czarodziejką... czy to był elf, ciociu?

– Nie – Morgiana potrząsnęła głową. – To był ktoś ze Starego Ludu ze wzgórz, oni są tak realni, jak ty czy ja. Lepiej jest się do nich nie odzywać, Nimue, ani nie zwracać na nich uwagi. Są bardzo nieśmiali i boją się ludzi, którzy żyją we wsiach i miastach.

– To gdzie oni mieszkają?

– W górach i w lasach. Nie mogą znieść tego, że ziemię, która jest ich matką, gwałci się oraniem i zmusza, by dawała plony, i dlatego nie żyją we wsiach.

– Jeśli nie sieją i nie orzą, ciociu, to co oni jedzą?

– Tylko to, co ziemia daje im ze swej własnej woli – powiedziała Morgiana. – Korzonki, jagody, zioła, owoce i ziarna. Mięso jadają tylko przy wielkich świętach. Tak jak ci powiedziałam, lepiej się do nich nie odzywać, ale możesz im zostawić trochę chleba na skraju polanki, mamy go bardzo dużo.

Ułamała kawał bochna i pozwoliła Nimue zanieść go na skraj lasu. Elaine rzeczywiście dała im dość jedzenia na dziesięć dni drogi, zamiast na krótką podróż do Avalonu. Morgiana sama zjadła niewiele, ale dziecku pozwoliła jeść, ile chciało, i posmarowała chleb Nimue miodem. Będzie jeszcze dość czasu, by ją ćwiczyć, a poza tym wciąż szybko rośnie.

– Ty nie jesz mięsa, ciociu – powiedziała Nimue. – Czy jest dzień postny?

Morgiana nagle przypomniała sobie, jak sama pytała o to kiedyś Vivianę.

– Nie, ja w ogóle rzadko jadam mięso.

– Nie lubisz? Bo ja tak.

– Cóż to je jedz, jeśli chcesz. Kapłanki nie jadają mięsa zbyt często, ale nie jest to zabronione, a już z pewnością nie dziecku w twoim wieku

– Czy one są jak zakonnice? Czy postczą przez cały czas? Ojciec Griffin mówi... – Zamilkła, pamiętając, że zakazano jej cytowania jego słów, i Morgiana była z tego zadowolona, dziecko szybko się uczyło.

– Miałam na myśli to, że nie musisz postępować zgodnie z tym co on mówi, ale możesz mi powtarzać jego słowa, a pewnego dnia sama nauczysz się odróżniać, co z jego słów jest słuszne, a co jest szalone albo jeszcze gorzej.

– On mówi, że kobiety i mężczyźni muszą pościć za swoje grzechy. Czy to prawda?

Morgiana potrząsnęła głową.

– Ludzie Avalonu czasami postczą, by nauczyć swe ciała, żeby czyniły to, co im się każe, i nie stawiały nam wymagań, których czasem nie można zaspokoić. Bywają takie chwile, że człowiek musi się obejść bez jedzenia, wody, czy snu, a ciało musi być sługą umysłu, nie jego panem. Umysł nie może skupić się nad rzeczami świętymi czy wiedzą lub być uspokojony podczas długiej medytacji, która otwiera go na inne wymiary, jeśli ciało krzyczy „Nakarm mnie!” albo „Mam pragnienie!”. Tak więc uczymy się, by uciszać jego żądania. Rozumiesz to?

– No... nie całkiem – powiedziało dziecko z powątpiewaniem.

– Zrozumiesz, kiedy będziesz starsza. A teraz jedz swój chleb i przygotuj się do drogi.

Nimue skończyła jeść chleb z miodem i starannie wytarła rączki w pęk trawy.

– Ojca Griffina także nigdy nie rozumiałam, ale on był wtedy na mnie zły. Zostałam ukarana, kiedy spytałam go, czemu musimy pościć i modlić się za nasze grzechy, skoro Chrystus i tak już je wszystkie wybaczył, a on powiedział, że nauczono mnie pogaństwa, i kazał mamie wysłać mnie do mojej komnaty. Co to jest pogaństwo, ciociu?

– Wszystko, co się nie podoba księdzu – odparła Morgiana. – Ojciec Griffin to głupiec. Nawet najwięksi z chrześcijańskich księży nie kłopotują takich małych dzieci, jak ty, które

jeszcze nie grzeszą, rozprawianiem o grzechach. Będzie dość czasu, by mówić o grzechu, kiedy będziesz zdolna go czynić lub dokonywać wyborów między dobrem a złem.

Nimue posłusznie dosiadła swego kucyka, ale po chwili znów się odezwała.

– Ciociu Morgiano, ja nie jestem dobrą dziewczynką. Ja grzeszę cały czas. I zawsze robię złe rzeczy. Wcale nie jestem zdziwiona, że mama chciała mnie odesłać. To dlatego wysłała mnie do takiego złego miejsca, bo jestem złą dziewczynką.

Morgiana poczuła, jak rozpacz ścisła jej gardło. Właśnie sama miała wsiadać na swego konia, ale podbiegła do kucyka Nimue i zamknęła dziewczynkę w gorącym uścisku, trzymała ją mocno i obsypywała pocałunkami.

– Nigdy, nigdy tak nie mów! – powiedziała bez tchu. – Nigdy, Nimue! To nieprawda, przysięgam ci, że to nieprawda! Twoja mamusia wcale nie chciała cię odesłać i gdyby uważała, że Avalon to złe miejsce, nie pozwoliłaby cię tam zabrać bez względu na to, czym bym ją straszyla!

– Więc dlaczego mnie odesłała? – spytała Nimue cichutko.

Morgiana wciąż tuliła ją z całą siłą swych ramion.

– Dlatego, że zostałam przyrzeczona Avalonowi, zanim się jeszcze urodziłam, moje dziecko. Dlatego, że twoja babcia była wielką kapłanką, i dlatego, że ja nie mam własnej córeczki dla Bogini, a ty zostajesz wysłana do Avalonu, żebyś mogła się nauczyć mądrości i służyć Bogini... – Zauważyła, że na jasną główkę Nimue kapią jej własne łzy. – Kto ci powiedział, że to za karę?

– Jedna z kobiet... kiedy pakowała moje rzeczy – odparła dziewczynka – słyszałam, jak mówiła, że matka nie powinna mnie wysłać do tego przeklętego miejsca, a ojciec Griffin często mówił, że jestem złą dziewczynką...

Morgiana osunęła się na ziemię, trzymając Nimue w ramionach i kołysząc ją.

– Nie, nie – powtarzała łagodnie. – Nie, kochanie, nie. Jesteś dobrą dziewczynką. Jeśli czasem jesteś niegrzeczna czy leniwa, czy nieposłuszna, to nie jest grzech, to tylko dlatego, że jesteś jeszcze za mała, by robić inaczej, a kiedy się nauczysz robić to, co jest dobre, będziesz to robić... – Powiedziawszy to, zdecydowała, że rozmowa zaszła już za daleko jak dla takiego małego dziecka, i nagle zmieniła temat: – Patrz na tego motylka! Nigdy wcześniej nie widziałam motylka w takim kolorze! Chodź, Nimue, wsadzę cię na kucyka – powiedziała i słuchała uważnie, jak mała rozprawia o motylach.

Sama mogłaby dojechać do Avalonu w jeden dzień, ale krótkie nóżki kucyka Nimue nie potrafiły pokonać takiej odległości, tak więc tę noc przespały na polanie.

Nimue nigdy wcześniej nie spała na wolnym powietrzu i ciemność ją przestraszyła. Kiedy więc rozpalono ogień, Morgiana pozwoliła dziecku wtulić się w swe ramiona. Leżąc, wskazywała jej różne gwiazdy na niebie. Mała była zmęczona drogą i wkrótce usnęła, ale Morgiana leżała bezsennie. Z głową Nimue na ramieniu czuła, jak zakrada się do niej lęk. Tak

dawno nie była w Avalonie. Teraz krok po kroku odtworzyła wszystkie nauki i to, co mogła zapamiętać, ale czy nie zapomniała o czymś bardzo istotnym?

W końcu usnęła, ale tuż przed świtem wydało jej się, że słyszy na polanie kroki i stanęła przed nią Raven. Miała na sobie ciemną suknię i poplamioną skórzaną tunikę.

– Morgiano! Morgiano, najdroższa moja! – Jej głos, głos, który Morgiana słyszała tylko raz przez wszystkie swe lata spędzone w Avalonie, był tak przepełniony zdziwieniem i radością, że Morgiana przebudziła się nagle i rozglądała się po polanie, niemal spodziewając się ujrzeć przed sobą Raven z krwi i kości. Polanka była jednak pusta, poza obłokiem mgiełki, która przesłaniała gwiazdy.

Morgiana znów się położyła, nie wiedząc, czy tylko śniła, czy też swym darem Wzroku Raven rzeczywiście wiedziała, że ona się zbliża. Serce biło jej szybko, niemal boleśnie czuła jego uderzenia w piersi.

*Nigdy nie powinnam była odchodzić na tak długo. Powinnam spróbować wrócić po śmierci Viviany. Nawet gdybym zginęła, próbując, powinnam to była uczynić... Czy teraz mnie tam zechcą, starą, znużoną, steraną, kiedy Wzrok powoli mnie opuszcza i niczego nie mogę im ofiarować...*

Dziewczynka u jej boku cicho jęknęła przez sen i poruszyła się. Przekręciła się na bok i wtuliła mocniej w objęcia Morgiany. Morgiana otoczyła ją ramieniem, myśląc: *Przywożę im wnuczkę Viviany. Gdyby jednak pozwolili mi powrócić tylko z tego powodu, byłoby to bardziej gorzkie niż śmierć. Czy Bogini wypędziła mnie na wieki?*

W końcu znowu zasnęła i obudziła się, dopiero kiedy był już jasny dzień, opadały poranne mgły. Źle zaczęty dzień cały okazał się niedobry. Około południa kucyk Nimue złamał podkowę i choć Morgiana była niecierpliwa i wolałaby posadzić dziecko przed sobą, ona sama była przecież najłżejszym z ciężarów dla konia, który mógł unieść dwie osoby jej wagi bez problemu, nie chciała okaleczyć kucyka. Tak więc musieli zjechać z drogi do wioski i znaleźć kowala.

Nie chciała, by po okolicy rozniosły się pogłoski, że królewska siostra jedzie do Avalonu, ale teraz nie było na to rady. W tej części kraju było tak spokojnie, że cokolwiek nowego się wydarzyło, roznosiło się jak na skrzydłach.

Cóż, nie można było temu zaradzić, trudno było winić biedne zwierzę. Zwolnili i znaleźli niewielką wioskę z boku głównego traktu. Cały dzień padał deszcz i mimo że był środek lata, Morgiana drżała, a dziecko było przemoczone i marudne. Morgiana nie zwracała specjalnej uwagi na jej utyskiwania, ale było jej żal dziewczynki, zwłaszcza kiedy Nimue zaczęła cichutko płakać za matką. Temu jednak też nie mogła zaradzić, a jedną z pierwszych lekcji przyszłej kapłanki była nauka znoszenia samotności. Musi sobie po prostu popłakać, aż sama znajdzie pocieszenie lub nauczy się żyć bez niego, tak jak starały się tego nauczyć wszystkie nowicjatki z Domu Dziewcząt.

Było już dobrze po południu, choć chmury były tak gęste, że nie widać było ani śladu słońca. Mimo to o tej porze roku długo było jasno, a Morgiana nie chciała spędzać kolejnej nocy w drodze, zdecydowała, że będą jechać tak długo, dopóki będzie widno, i była zadowolona, że kiedy tylko znów wyruszyli, Nimue przestała pochlipywać i zaczęła się interesować drogą. Byli teraz bardzo blisko Avalonu. Nimue była już taka śpiąca, że kiwała się w siodle i w końcu Morgiana uniosła dziewczynkę z kucyka i usadziła na koniu przed sobą. Kiedy przybyli nad brzegi Jeziora, dziecko się obudziło.

– Czy to już tutaj, ciociu? – spytała, kiedy postawiono ją na ziemi.

– Nie, ale to już bardzo blisko – odparła Morgiana. – Jeśli wszystko pójdzie dobrze, to za pół godziny będziesz mogła zjeść kolację i iść do łóżka.

*A jeśli wszystko nie pójdzie dobrze?* Morgiana nie chciała o tym myśleć. Wątpliwości są zabójcze dla mocy i dla Wzroku... Spędziła pięć długich lat, pracowicie odtwarzając swe nauki od samego początku, i teraz było dokładnie tak, jak kiedyś: była wyrzucona z Avalonu i musiała zdać tylko ten jeden egzamin. *Czy mam moc, by powrócić...?*

– Ale ja nic nie widzę – powiedziała Nimue. – Czy to jest to miejsce? Ale tu nic nie ma, ciociu... – Rozglądała się lękliwie po ginącym we mgle brzegu, po samotnych trzcinach szemrzących na deszczu.

– Przyślą nam łódź – powiedziała Morgiana.

– Ale skąd będą wiedzieli, że tu jesteśmy? Jak nas zobaczą w takim deszczu?

– Zawołam łódź. Bądź cicho, Nimue.

W sercu pobrzmiwało jej jeszcze zalęknione pytanie dziecka, ale teraz, kiedy nareszcie stała u progu swego domu, poczuła, jak powraca do niej dawna wiedza i wypełnia ją jak naczynie, przelewa się przez jego brzegi. Na chwilę pochyliła głowę w najgorętszej modlitwie swego życia, potem wzięła głęboki oddech i uniosła ramiona w inwokacji.

Przez moment, zdrętwiała z przerażenia, nie czuła nic; potem poczuła uderzenie, jakby powoli spływało na nią światło, usłyszała, jak dziewczynka u jej boku chwyta powietrze ze zdziwienia; nie miała jednak czasu się nad tym zastanawiać, czuła, jak jej ciało staje się świetlistym pomostem między Ziemią i Niebem. Nie wypowiedziała świadomie słowa mocy, lecz poczuła, że brzmi ono jak grzmot w całym jej ciele... cisza. Cisza. Błada i przerażona Nimue u jej boku.

A potem coś poruszyło się na ciemnych, zamglonych wodach Jeziora, jakby gotowały się mgły... a potem cień, a potem, długa, ciemna, lśniąca, wynurzyła się z mgieł łódź Avalonu. Morgiana poczuła, jak wypuszcza powietrze w długim westchnieniu, które było niemal jak szloch.

Łódź podpłynęła do brzegu bezgłośnie, jak cień, ale dźwięk dna szorującego o nadbrzeżny piasek był jak najbardziej realny. Kilku niskich, smagłych ludzi wyszło na ląd. Jeden z nich chwycił konie za uzdy.

– Zaprowadzę je innym przejściem, Pani – powiedział, nisko kłaniając się Morgianie. Po chwili zniknął w deszczu. Inni odsunęli się, tak by Morgiana mogła pierwsza wsiąść do łodzi, podsadzili za nią zaszokowane dziecko, pomogli wsiąść przerażonej służbie.

Wciąż w zupełnej ciszy, którą przerwały jedynie słowa tego, który odprowadzał konie, łódź wypłynęła na Jezioro.

– Co to za cień, ciociu? – wyszeptała Nimue, kiedy wiosłarze odbili od brzegu.

– To kościół Glastonbury – odparła Morgiana, zdziwiona, że jej głos brzmi tak spokojnie.

– On jest na innej wyspie, tej, którą można stąd zobaczyć. Twoja babcia, matka twego ojca, jest tam pochowana. Może pewnego dnia zobaczysz jej grobowiec.

– Czy my tam jedziemy?

– Nie dzisiaj.

– Ale łódź płynie prosto tam, słyszałam, że w Glastonbury jest też klasztor...

– Nie – przerwała jej Morgiana. – My tam nie jedziemy. Czekaj i patrz, i bądź cicho.

Teraz nadchodził właściwy test. Mogli zobaczyć ją z Wyspy za pomocą Wzroku i wysłać łódź, ale czy potrafi otworzyć mgły Avalonu... to będzie sprawdzian tego wszystkiego, czego dokonała podczas ostatnich lat. Nie wolno jej podjąć próby i zawieść, musi po prostu wstać i zrobić to, nie wahając się i nie myśląc. Byli teraz na samym środku Jeziora, a kolejne uderzenie wioseł wepchnie ich w prąd, który prowadzi prosto do wyspy Glastonbury... Morgiana podniosła się płynnie, szaty wokół niej zafurkotały. Uniosła ręce.

I znów powróciło wspomnienie... to było jak za pierwszym razem, kiedy to robiła, szalone zdziwienie, że ta niezwykła fala mocy jest cicha, choć powinna rozedrzeć niebo blaskiem błyskawic i hukiem piorunów... nie śmiała otworzyć oczu, dopóki nie usłyszała zalekniętego i zadziwionego okrzyku Nimue...

Deszcz zniknął i w ostatnich blaskach zachodzącego słońca wyspa Avalon leżała przed nimi piękna i zielona. Słoneczny blask na Jeziorze, słoneczny blask rozświetlający głązy na szczycie Toru, białe ściany Świątyni. Morgiana ujrzała to wszystko przez łzy, zachwiała się w łodzi i byłaby upadła, gdyby ktoś nie podtrzymał jej za ramię.

*Dom, dom, jestem tutaj, wracam do domu...*

Poczuła, jak łódź skrobie o piaszczysty brzeg i opanowała się.

Wydało jej się niewłaściwe, że nie ma na sobie szat kapłanki, choć pod jej suknią, jak zawsze, mały nóż Viviany przymocowany był ciasno wokół jej talii. To było nieodpowiednie... te jej jedwabne welony, pierścienie na szczupłych palcach... Królowa Morgiana z Północnej Walii, a nie Morgiana z Avalonu... cóż, to można zmienić. Dumnie uniosła głowę, wzięła głęboki oddech i ujęła dziecko za rękę. Choć tak się zmieniła, choć minęło tyle lat, wciąż jest Morgianą z Avalonu, kapłanką Wielkiej Bogini. Poza tym Jeziorem mgieł i cieni mogła być królową, małżonką starego i zdziecinniałego króla w dalekiej krainie... ale tu jest kapłanką, zrodzoną z królewskiej linii Avalonu.



Kiedy zeszła na ląd, bez zdziwienia ujrzała, że stoi przed nią długi rząd kłaniających się służących, a za nimi oczekują jej ciemno ubrane kapłanki... wiedziały i przybyły, by powitać ją w domu. Poza linią kapłanek zobaczyła twarz i postać, którą dotąd widywała jedynie w snach – wysoką, jasnowłosą kobietę o królewskiej postawie.

Jasne włosy splecione nisko nad czołem. Kobieta podeszła szybko wzdłuż rzędu kapłanek i wzięła ją w objęcia.

– Witaj, krewniaczko – powiedziała cicho. – Witaj w domu Morgiano.

I wtedy Morgiana wymówiła imię, które słyszała tylko we śnie, dopóki Kevin go nie powtórzył, potwierdzając prawdziwość snu.

– Witam cię, Niniano. Przywożę ci wnuczkę Viviany. Będzie tu wychowywana, na imię jej Nimue.

Niniana przypatrywała się jej z ciekawością; Morgiana zastanawiała się, co też ona o niej słyszała przez te wszystkie lata? Po chwili jednak Niniana odwróciła wzrok i spojrzała na dziewczynkę.

– To więc jest córka Galahada?

– Nie – powiedziała Nimue. – Galahad to mój brat. Ja jestem córką dobrego rycerza Lancelota.

– Wiem o tym – odparła Niniana z uśmiechem – ale tutaj używamy imienia, które nadali twemu ojcu Saksoni, a on nosi takie samo imię, jak twój brat. No więc, Nimue, przybyłaś tu, by zostać kapłanką?

Nimue rozglądała się po zalanym słońcem krajobrazie.

– Tak mi powiedziała moja ciocia Morgiana. Chciałabym uczyć się czytać i pisać, i grać na harfie, i wiedzieć wszystko o gwiazdach i o wszystkich innych rzeczach, tak jak ona. Czy naprawdę jesteście tutaj złymi czarownicami? Myślałam, że czarownice są stare i brzydkie, a ty jesteś bardzo piękna... – Przygryzła wargę. – No i znowu jestem nieuprzejma.

Niniana się zaśmiała:

– Zawsze mów prawdę, dziecko. Tak, jestem czarodziejką. Nie sądzę, bym była brzydka, ale sama musisz zdecydować, czy jestem dobra czy zła. Staram się wypełniać wolę Bogini, a to wszystko, co człowiek powinien czynić.

– Ja też się postaram to robić, jeśli mi powiesz jak – powiedziała Nimue.

Słońce opadło za horyzont i nagle brzeg ogarnęła szarość zmierzchu.

Niniana dała znak: służąca trzymająca jedyną dotąd zapaloną pochodnię podała ogień kolejnej i światło szybko i płynnie przechodziło na następne, aż cały brzeg zapłonął ogniem pochodni. Niniana pogłaskała dziewczynkę po policzku.

– Czy do czasu, aż będziesz na tyle dorosła, by sama rozpoznawać wolę Bogini, będziesz przestrzegała tutejszych praw i będziesz posłuszna kobietom, które się będą tobą opiekować? – spytała Niniana.

– Spróbuję – powiedziała Nimue – ale ja zawsze o czymś zapominam. I zadaję za dużo pytań.

– Możesz zadawać tyle pytań, ile chcesz, jeśli pora będzie po temu właściwa – powiedziała Niniana – ale jechałaś cały dzień i jest już późno, tak więc pierwszym poleceniem, które ci dzisiaj daję, jest to, byś była grzeczna, poszła zjeść kolację, wziąć kąpiel i położyła się spać. Teraz pożegnaj się z ciocią i idź z Lheanną do Domu Dziewcząt.

Skinęła na przysadzistą kobietę o matczynym wyglądzie, odzianą w szaty kapłanki. Nimue trochę się cofnęła.

– Czy już teraz muszę się żegnać? Czy nie przyjdiesz się ze mną pożegnać jutro, ciociu Morgiano? Myślałam, że będę tutaj razem z tobą.

– Nie, musisz iść do Domu Dziewcząt i robić to, co ci mówią – odparła Morgiana bardzo łagodnie. Ucałowała delikatny jak płatek róży policzek dziecka: – Niech Bogini cię błogosławi, kochanie. Spotkamy się znowu, gdy taka będzie Jej wola...

I kiedy to mówiła, ujrzała tę samą Nimue dorosłą, wysoką i piękną, bladą i poważną, z błękitnym półksiężycem na czole, i stojący za nią cień Śmierci... zachwiała się, a Niniana wyciągnęła rękę, by ją podtrzymać.

– Jesteś zmęczona, pani Morgiano. Odeślij dziecko na spoczynek i chodź ze mną. Porozmawiamy jutro.

Morgiana złożyła ostatni pocałunek na czole dziecka i dziewczynka posłusznie odeszła u boku Lheanny. Morgiana miała przed oczyma ciemną mgłę; Niniana podała jej ramię.

– Wesprzyj się na mnie, chodźmy do mego domu, gdzie będziesz mogła odpocząć.

Niniana zaprowadziła ją do tego samego domku, gdzie kiedyś mieszkała Viviana i do małego pokoiku, gdzie sypiały kapłanki, które na zmianę pełniły służbę przy Pani Jeziora. W samotności Morgiana jakoś doszła do siebie. Przez chwilę zastanawiała się, czy Niniana przyprowadziła ją właśnie tutaj, by podkreślić, że to ona, a nie Morgiana, jest teraz Panią Jeziora... potem się zreflektowała. Takie intrygi były dobre na dworze, lecz nie w Avalonie. Niniana po prostu dała jej najwygodniejszą i najbardziej prywatną kwaterę, jaką miała.

Kiedyś mieszkała tu Raven w swym uświęconym milczeniu, tak by Viviana mogła ją nauczać...

Morgiana zmyła kurz podróży ze swego zmęczonego ciała, otuliła się długą szatą z nie farbowanej wełny, którą znalazła przygotowaną na łożu, i nawet zjadła trochę z przyniesionego jej jedzenia, nie tknęła jednak ciepłego, przyprawionego ziołami wina. Przy kominku stał kamienny dzban z wodą. Zaczepnęła z niego i piła ze łzami w oczach.

*Kapłanki Avalonu piją tylko wodę ze Świętej Studni...* znów była młodą Morgianą, spędzającą noc we własnym domu. Weszła do łoża i zasnęła jak dziecko.

Nie wiedziała, co ją zbudziło. W komnacie rozległ się jeden krok.

I cisza. Przy ostatnich iskrach gasnącego ognia i księżycowej poświacie przenikającej przez okiennice ujrzała postać w welonie i przez chwilę myślała, że to Niniana przyszła z nią

porozmawiać. Ale włosy, które spływały z ramion tej kobiety, były długie i czarne, a smagła twarz piękna i spokojna. Na jednej ręce widoczna była zgrubiała blizna po dawnej ranie... Raven! Morgiana usiadła i spytała:

– Raven! Czy to ty?

Raven położyła palce na ustach w pradawnym geście milczenia. Podeszła do Morgiany, pochyliła się i pocałowała ją. Bez słowa zrzuciła swój długi płaszcz, położyła się u boku Morgiany i wzięła ją w ramiona. W ciemności Morgiana widziała teraz pozostałe blizny, biegnące wzdłuż ramienia i w poprzek białych, ciężkich piersi, żadna z nich nie wymówiła słowa, ani w tamtej chwili, ani potem. Wydawało się, że nie tylko realny świat, lecz także Avalon gdzieś zniknęły, a Morgiana znalazła się znów pośród cieni czarownej krainy, mocno wtulona w ramiona Pani... w myślach usłyszała słowa prastarego błogosławieństwa Avalonu, gdy Raven dotykała jej powoli, w rytualnym milczeniu, z namaszczeniem, tylko cisza wokół nich wydawała się wibrować dźwiękiem. *Błogosławione niech będą stopy, które przywiodły cię do tego miejsca... błogosławione niech będą kolana, które uklęką przed jej ołtarzem... błogosławiona niech będzie brama Życia...*

A potem świat zaczął płynąć, zmieniać się i wirować wokół niej, przez chwilę nie było przy niej milczącej Raven, lecz kształt otoczony światłem, ten sam, który widziała już raz, wiele lat temu, gdy Raven przekroczyła wielką ciszę... Morgiana wiedziała, że ona też pogrążona jest w światłości... i znów ta głęboka, płynąca cisza. A potem znowu była to tylko Raven, leżąca blisko niej, z włosami mocno pachnącymi ziołami, których używano przy obrzędach, otaczała ją jednym ramieniem, jej ciche usta ledwo dotykały policzka Morgiany. Morgiana widziała, że w czarnych włosach pojawiły się już długie, srebrne pasma.

Raven poruszyła się i wstała. Nic nie mówiła, ale skądś wyjęła srebrny półksiężyc, rytualny ornament kapłanki. Wstrzymując oddech, Morgiana wiedziała, że jest to ten sam naszyjnik, który zostawiła na swoim łóżku w Domu Dziewcząt tego dnia, kiedy uciekła z Avalonu z dzieckiem Artura w łonie... wciąż w ciszy, wydając tylko jedno westchnienie protestu, pozwoliła Raven zawiązać go sobie na szyi; w ostatnim blasku zachodzącego księżyca Raven pokazała jej nóż przywiązany do swej talii. Morgiana przytaknęła, wiedząc, że dopóki żyje, rytualny nóż Viviany nigdy nie opuści jej boku, była więc rada, że Raven nosi ten, który ona zostawiła. Pewnego dnia miała go ujrzeć zawieszzonego u pasa Nimue.

Teraz Raven ujęła ten mały, ostry jak brzytwa nóż, a Morgiana patrzyła jak we śnie, gdy Raven go unosiła; *niech tak będzie, nawet jeżeli ona chce przelać moją krew tutaj, przed Boginią, od której próbowałam uciec...* lecz Raven odwróciła nóż w stronę swego własnego gardła; z kości obojczyka utoczyła jedną jedyną kroplę krwi, a potem Morgiana, pochylając głowę, wzięła nóż i zrobiła niewielkie nacięcie nad własnym sercem.

*Jesteśmy już stare, Raven i ja, już dłużej nie broczymy krwią z łona, lecz tylko z serca...* później zastanawiała się, co ta jej myśl miała znaczyć. Raven pochyliła się nad nią i zlizwała jej krew z niewielkiego skaleczenia. Morgiana podniosła się i dotknęła wargami maleńkiej ranki

na piersi Raven, wiedząc, że to jest pieczęć o wiele mocniejsza od ślubów, które złożyła, kiedy stała się kobietą. Potem Raven znów zamknęła ją w swoich ramionach.

*Oddałam swe dziewictwo Rogatemu Panu. Urodziłam dziecko Bogu. Płonełam z pożądania do Lancelota, a Accolon od nowa stworzył ze mnie kapłankę na zaoranych polach, pobłogosławionych przez Wiosenną Pannę. A jednak nigdy dotąd nie wiedziałam, co znaczy być przyjętą po prostu z miłością...* W tym półśnie Morgianie wydawało się przez chwilę, że leży na kolanach swojej matki... nie, nie Igriany, lecz że jest znów przyjęta przez Wielką Matkę...

Kiedy się obudziła, była sama. Otwierając oczy na słoneczny blask Avalonu, szlochając ze szczęścia, przez moment zastanawiała się, czy tego wszystkiego nie śniła. Jednak nad sercem miała niewielką, zakrzepłą plamkę krwi, a na poduszce obok niej leżał srebrny półksiężyc, rytualny klejnot kapłanek, który zostawiła, gdy uciekała z Avalonu. A przecież była pewna, że Raven zawiązała go na jej szyi...

Teraz Morgiana zawiązała wisiorek wokół swej szyi na cienkim rzemyku; już nigdy go nie zostawi; tak jak Viviana, zostanie pochowana, mając go na sobie. Palce jej drżały, gdy wiazała supełek.

Wiedziała, że było to jej ponowne wyświęcenie. Na poduszce leżało coś jeszcze i przez chwilę jakby poruszało się i zmieniało kształt: nierozwinięty pączek róży zmienił się w rozkwitły kwiat, a gdy Morgiana wzięła go do ręki, był to owoc dzikiej róży, pełny, okrągły, pulsujący ukrytym życiem przyszłego kwiatu. Kiedy patrzyła na niego, skurczył się, wyblakł, leżał zasuszony w jej dłoni; i nagle Morgiana zrozumiała.

*Kwiaty, a nawet owoce, są tylko początkiem. To w nasieniu leży życie i przyszłość.*

Z głębokim westchnieniem zawinęła nasionko w kawałek jedwabiu, wiedząc, że znów musi wyruszyć z Avalonu. Jej praca nie była skończona, a ona wybrała miejsce swej pracy i próby, kiedy uciekła z Avalonu. Pewnego dnia, być może, będzie mogła powrócić, ale ten czas jeszcze nie nadszedł.

*A to, kim jestem, musi pozostać w ukryciu, tak jak róża pozostaje w ukryciu nasionka.* Wstała i włożyła na siebie swoje królewskie szaty. Suknia kapłanki będzie pewnego dnia znów należała do niej, ale jeszcze nie zdobyła sobie prawa, by ją nosić. Potem usiadła i czekała, aż Niniana ją do siebie przywoła.

Kiedy weszła do głównej komnaty, gdzie tak często widywała Vivianę, czas zatrzymał się, zawirował i cofnął, tak że przez chwilę Morgiana myślała, że musi widzieć Vivianę, siedzącą na tym samym miejscu, gdzie zwykle siadywała, zagubioną w wielkim krześle, a jednak imponującą, zapelniającą cały pokój... potem zamrugła i przed sobą znów ujrzała Ninianę, szczupłą i jasnowłosą; Morgianie wydało się, że Niniana jest zaledwie dzieckiem, które dla zabawy usiadło na wysokim tronie.

I wtedy nagle przemknęło jej przez myśl to, co Viviana powiedziała jej wiele lat temu, kiedy ona stała przed nią dokładnie w tym miejscu: *osiągnęłaś stan, w którym posłuszeństwo musi być poddane twemu własnemu osądowi...* i przez chwilę była pewna, że jej własny osąd podpowiada jej, iż sama powinna usunąć się w cień i rzec Ninianie tylko takie słowa, które mogą jej dodać otuchy. Potem jednak ogarnęło ją nagłe oburzenie na myśl, że to dziecko, że ta głupawa i zwyczajna dziewczyna w sukni kapłanki śmie siedzieć na miejscu, gdzie kiedyś siadywała Viviana, i wydawać rozkazy w imieniu Avalonu. Została wybrana tylko dlatego, że pochodzi z krwi Taliesina... *Jak ona śmie siedzieć tutaj i ważyć się mnie wydawać rozkazy...?*

Spojrzała na dziewczynę i wiedziała, że sama nie będąc pewna jak to uczyniła, przybrała na siebie dawny blask i majestat, a potem wydało jej się, że nagłym błyskiem Wzroku czyta myśli Niniany.

*Ona powinna być tu, na moim miejscu,* myślała Niniana, *jakże ja mogę przemawiać władczo do Królowej Morgiany Czarodziejki...* ta myśl rozmyła się, i na wpół z czcią dla tej obcej, pełnej mocy kapłanki, a na wpół ze zwyczajną niechęcią, Niniana myślała: *gdyby nie uciekła od nas i od swych obowiązków, którym ślubowała, ja teraz nie musiałabym walczyć, by zapłacić miejsce, do którego się nie nadaję, o czym obie doskonale wiemy.*

Morgiana podeszła i ujęła jej dłonie, a Niniana była zaskoczona jej łagodnym głosem:

– Przykro mi, moja biedna dziewczyno, oddałabym własne życie, by tu powrócić i zdjąć z ciebie ten ciężar. Ale nie mogę, nie śmiem. Nie mogę się tu ukryć i uciec przed wyznaczonym mi zadaniem, tylko dlatego, że tęsknię za domem. – Nie czuła już do tej dziewczyny, wbrew swej woli osadzonej na miejscu, które powinno należeć do niej, ani pogardy, ani złości, lecz jedynie litość. – Rozpoczęłam w zachodniej krainie zadanie, które musi być ukończone, gdybym zostawiła je w połowie, to już lepiej by było, gdybym w ogóle nie zaczynała. Ty nie możesz zająć tam mego miejsca, tak więc niech Bogini ma nas obie w opiece, musisz zatrzymać moje miejsce tutaj. – Pochyliła się i ucałowała dziewczynę, mocno ją obejmując. – Moja biedna kuzynko, na nas obu ciąży przeznaczenie i nie możemy przed nim uciec... gdybym tutaj pozostała, Bogini inaczej wykonałaby na mnie swą wolę, ale nawet kiedy próbowałam uciec od swych zaprzysiężonych obowiązków, dała mi zadanie gdzie indziej... żadna z nas nie może uciec. Obie jesteśmy w jej rękach i za późno jest, by mówić, że lepiej by było, gdyby się stało inaczej... ona i tak zrobi z nami, co zechce.

Niniana przez chwilę trzymała się sztywno, potem jej niechęć rozpułyła się i przytuliła się do Morgiany niemal tak, jak robiła to Nimue. Mrugając, by odpędzić łzy, powiedziała:

– Chciałam cię nienawidzić...

– A ja być może ciebie... – odparła Morgiana. – Jednak ona chciała inaczej, a w jej obliczu jesteśmy siostrami... – Z wahaniem, zmuszając oporne usta, by wypowiedziały słowa, których tak długo wymawiać nie śmiała, dodała coś jeszcze, a Niniana pochyliła głowę i wyszeptała właściwą odpowiedź.

– Opowiedz mi o swej pracy w zachodniej krainie, Morgiano – poprosiła po chwili. – Nie, usiądź tutaj, przy mnie, wiesz, że między nami nie ma różnicy...

Kiedy Morgiana powiedziała jej tyle, ile mogła, Niniana potaknęła:

– Coś z tego słyszałam już od Merlina. Tak więc w tym kraju ludzie znów zwracają się ku starej wierze... ale Uriens ma dwóch synów, a to starszy jest dziedzicem swego ojca. Tak więc twoim zadaniem jest upewnić się, by Walia miała króla z Avalonu, co oznacza, że to Accolon musi dziedziczyć po swym ojcu, Morgiano.

Morgiana zamknęła oczy i siedziała ze spuszczoną głową. W końcu powiedziała:

– Nie zabiję, Niniano. Zbyt wiele widziałam wojen i przelewu krwi. A śmierć Avallocha niczego by nie rozwiązała, oni przestrzegają teraz rzymskich praw, odkąd nastali tam księża, a Avalloch ma syna.

Niniana wydawała się tym nie trapić.

– Takiego syna można wychować w starej wierze. Ile ma lat? Cztery?

– Tyle miał, kiedy przybyłam do Walii – powiedziała Morgiana, myśląc o dziecku, które siadywało na jej kolanach i wczepiało się w nią swymi klejącymi się paluszkami, i nazywało ją babcią. – Dosyć, Niniano. Zrobiłam wszystko inne, ale nie zabiję, nawet dla Avalonu.

Oczy Niniany rzucały na nią błękitne iskry. Podniosła głowę i powiedziała ostrzegawczym tonem:

– Nigdy nie nazywaj tej studni, z której nigdy nie będziesz piła!

I nagle Morgiana zdała sobie sprawę, że ta kobieta siedząca przed nią to także kapłanka, nie tylko bezbronne dziecko, jakim się wydaje.

Nie mogłaby być tym, kim jest, nigdy nie przeszłaby prób i obrzędów, które konieczne były przy mianowaniu na Panią Avalonu, gdyby nie została zaakceptowana przez Boginię. Z niespodziewaną pokorą zrozumiała, dlaczego została tutaj przysłana.

– Uczynisz to, czego pragnie Bogini, kiedy jej ręka cię dotknie, a to wiem dzięki pamiętce, którą nosisz – powiedziała Niniana niemal gniewnie i jej wzrok spoczął na piersiach Morgiany, jakby przez materię sukni mogła zobaczyć nasienie, które tam leżało, lub srebrny półksiężyc na skórzanym rzemieniu.

Morgiana spuściła głowę i wyszeptwała:

– Wszyscy jesteśmy w jej rękach.

– Niech się tak stanie – powiedziała Niniana i przez chwilę w komnacie zapanowała taka cisza, że Morgiana słyszała pluskanie ryby w Jeziorze za domem. – A co z Arturem, Morgiano? – spytała w końcu. – Wciąż nosi miecz z Regaliów Druidów. Czy w końcu wywiąże się ze swej przysięgi? Czy możesz sprawić, by to uczynił?

– Nie znam serca Artura – powiedziała Morgiana i było to gorzkie wyznanie. *Miałam nad nim moc, ale byłam zbyt wrażliwa, by jej użyć. Zmarnowałam ją.*

– Musi znów przysiąc, że będzie przestrzegał słowa danego Avalonowi, albo musisz mu odebrać ten miecz – powiedziała Niniana. – A ty jesteś jedyną żyjącą osobą, której można

powierzyć to zadanie. Ekskalibur, miecz Świętych Regaliów, nie może pozostawać w rękach człowieka wyznającego Chrystusa. Wiesz, że Artur nie ma syna ze swoją królową i mianował syna Lancelota, imieniem Galahad, swoim następcą, gdyż królowa jest już za stara na urodzenie własnego dziecka.

*Gwenifer jest młodsza ode mnie, a ja wciąż mogłabym urodzić dziecko, gdybym nie była tak okaleczona przy porodzie Gwydiona. Dlaczego oni są tacy pewni, że ona nigdy nie urodzi?*, myślała Morgiana, lecz wobec pewności Niniana nie zadawała pytań. Avalon miał dość magicznej mocy, a bez wątpienia mieli też zaufanych ludzi na dworze Artura; i faktycznie, ostatnią rzeczą, której mogliby pragnąć, byłoby to, by chrześcijanka Gwenifer urodziła Arturowi syna... nie teraz.

– Artur ma syna – powiedziała Niniana – i choć jego dzień jeszcze nie nadszedł, jest królestwo, które może objąć, może zacząć od przejścia ziemi Avalonu. W dawnych dniach królewski syn niewiele znaczył, syn Pani był wszystkim, a syn królewskiej siostry był następcą tronu... czy wiesz, co mam na myśli, Morgiano?

*Accolon musi zostać następcą tronu Walii.* Morgiana znów usłyszała tę myśl, a potem jeszcze jedną, której Niniana nie wypowiedziała: *A twój syn... jest synem króla Artura.* Teraz wszystko było zrozumiałe. Nawet jej własna bezdzietność po porodzie Gwydiona.

Zapytała jednak:

– A co z następcą Artura, synem Lancelota?

Niniana wzruszyła ramionami i przez moment Morgiana pomyślała z przerażeniem, czy przypadkiem nie przeznaczono Nimue, by otrzymała taką samą moc nad sumieniem Galahada, jaką ona dostała kiedyś nad Arturem.

– Nie widzę wszystkiego – powiedziała jednak Niniana. – Gdybyś ty była tu Panią... ale czas mija i trzeba poczynić inne plany. Artur może jeszcze dotrzymać przysięgi danej Avalonowi i zatrzymać miecz Ekskalibur, i wtedy będziemy postępować w jeden sposób. Może też tego nie uczynić, i wtedy będzie inna droga, którą ona przygotowuje, a w obu tych przypadkach każda z nas ma swoje zadania. Cokolwiek jednak nastąpi, Accolon musi objąć władzę w zachodniej krainie, i to jest twoje zadanie. A następny król będzie władał z Avalonu. Kiedy Artur upadnie, choć jego gwiazdy mówią, że dożyje starości, wtedy powstanie król Avalonu. Bo inaczej, tak mówią gwiazdy, zapadną nad tą ziemią takie ciemności, że będzie tak, jakby Artura nigdy nie było. A gdy kolejny król przejmie władzę, wówczas Avalon powróci do głównego nurtu czasu i historii... i wtedy będzie też lenny król w zachodniej krainie, władający swym ludem z Plemion. Accolon zajdzie wysoko jako twój partner i do ciebie należy przygotowanie tej ziemi dla wielkiego króla z Avalonu.

Morgiana znów spuściła głowę i powiedziała:

– Jestem w twoich rękach.

– Teraz musisz wracać – powiedziała Niniana – ale najpierw jest ktoś, kogo winnaś poznać. Jego czas jeszcze nie nadszedł... ale będzie miał dla ciebie jeszcze jedno zadanie. –

Uniosła rękę i w tym momencie drzwi się otworzyły i wysoki, młody mężczyzna wszedł do komnaty tak szybko, jakby czekał w sieni. Na jego widok Morgiana wstrzymała oddech i poczuła ból tak ogromny, iż nie może oddychać. Oto był odrodzony Lancelot – młody i szczupły, jak ciemny płomień, kręcone włosy otaczające policzki, wąska, smągła, uśmiechnięta twarz... Lancelot taki, jaki był tego dnia, kiedy leżeli razem w cieniu kamiennego kręgu, jakby czas zatrzymał się i cofnął, jak w czarownej krainie...

I wtedy zrozumiała, kto to musi być. Podeszedł i pochylił się, by ucałować jej dłoń. Jego chód był także chodem Lancelota, płynne ruchy, które wydawały się niemal tańcem. Nosił jednak szaty barda, na czole miał niewielki tatuaż dębowego wieńca, a wokół jego nadgarstków wiły się węże Avalonu.

*Jeśli Galahad miałby zostać królem tego kraju, to czy mój syn będzie Merlinem, jego ciemnym, ofiarnym bratem bliźniakiem?* Przez chwilę jakby poruszała się wśród cieni; król i Druid... jasny cień, który siedzi na tronie obok Artura, jako jego królowa, i ona sama, która urodziła Arturowi syna cienia... Ciemna Pani Mocy.

Wiedziała, że cokolwiek w tej chwili powie, będzie głupie:

– Gwydionie, nie jesteś podobny do ojca.

– Nie – odparł, potrząsając głową. – Noszę krew Avalonu. Kiedyś widziałem Artura, gdy przybył do Glastonbury z pielgrzymką do księżki, poszedłem tam potajemnie, w przebraniu mnicha. On zbytnio się kłania księżom, ten Artur, nasz król. – Jego uśmiech był nieuchwytny, dziki.

– Nie masz powodu, by kochać którekolwiek ze swych rodziców, Gwydionie – powiedziała Morgiana i jej dłoń zacisnęła się na jego rękę, ale zadziwił ją przelotny błysk w jego oczach, lodowata nienawiść... po chwili zniknął i Gwydion znów był tylko uśmiechniętym, młodym Druidem.

– Moi rodzice dali mi od siebie największy dar – powiedział – królewską krew Avalonu. Chciałbym cię jednak prosić o jeszcze jedną rzecz, pani Morgiano...

Irracjonalnie pomyślała, że chciałaby, żeby choć raz zwrócił się do niej jak do matki.

– Proś i jeśli będę mogła dać, otrzymasz.

– Nie chodzi o jakiś wielki podarek – powiedział Gwydion – lecz o to, byś nie więcej niż za pięć lat od dzisiaj przywiodła mnie przed oblicze Artura i powiedziała mu, że jestem jego synem. Jestem świadomy – rzucił krótki, zakłopotany uśmiech – że on nie może uznać mnie za swego następcę. Chcę jednak, by spojrzał w twarz swojego syna. Nie proszę o nic więcej.

Morgiana spuściła głowę.

– Z pewnością jestem ci winna przynajmniej tyle, Gwydionie.

Gwenifer może sobie myśleć, co jej się podoba – Artur już odbył za to pokutę. Każdy mógłby być jedynie dumny z tego dzielnego i wspaniałego młodego Druida. Ona także... po tych wszystkich latach wiedziała o tym... nie powinna czuć wstydu za to, co się stało... a teraz



wiedziała, że przez wszystkie te lata, odkąd uciekła z Avalonu, to właśnie czuła. Teraz, gdy ujrzała swego dorosłego syna, musiała chylić czoło przed nieomylnością Wzroku Viviany.

– Przysięgam ci, że ten dzień nadejdzie, przysięgam to na Świętą Studnię – powiedziała.

Oczy jej się zaszklily i mrugała ze złością, by odpędzić natrętne łzy. To nie jest jej syn. Uwain, być może, jest jej synem, lecz nie Gwydion. Ten smagły, przystojny mężczyzna, tak podobny do Lancelota, którego kochała jako dziewczyna, to nie jest jej syn, pierwszy raz w życiu patrzący na matkę, która go porzuciła, zanim przestał ssać pierś; on jest kapłanem, a ona kapłanką Wielkiej Bogini, i jeśli nawet nie znaczą dla siebie wiele, przynajmniej nie są sobie obojętni.

Położyła dłoń na jego pochylonej głowie i powiedziała:

– Bądź błogosławiony.

## 13

Królowa Morgause już dawno przestała żałować, że nie ma Wzroku. A jednak aż dwa razy w tych dniach opadających liści, kiedy wielkie czerwone drzewa stały nagie na lodowatym wietrze, który wiał nad Lothianem, śniła o swym przybranym synu Gwydionie i wcale nie była zdziwiona, gdy jeden ze służących doniósł jej, iż na drodze widziano jeźdźca.

Gwydion miał na sobie dziwnie tkany płaszcz, szorstki i spięty kościaną zapinką, jakiej nigdy przedtem nie widziała, a kiedy chciała wziąć go w ramiona, odsunął się i skrzywił.

– Nie, matko – objął ją wolnym ramieniem i wytłumaczył: – Dostałem ranę od miecza w Brytanii, nie, to nic groźnego – zapewnił. – Nie zropiała i być może nie będę miał nawet blizny, ale kiedy się jej dotknie, to wciąż mnie boli!

– A więc walczyłeś w Brytanii? Myślałam, że jesteś bezpieczny w Avalonie – powiedziała z wyrzutem, prowadząc go do sali i sadzając przy ogniu. – Nie mam dla ciebie południowego wina..

– Mam go już dość – odparł ze śmiechem. – Wystarczy jęczmienne piwo albo trochę tej wody ognistej, jeśli masz... z gorącą wodą i miodem, jeśli jest. Zdrętwiałem od jazdy. – Pozwolił, by jedna z kobiet ściągnęła mu wysokie buty i płaszcz, i rozparł się wygodnie. – Jak dobrze tu być, matko. – Podniósł do ust parujący kubek i pił z przyjemnością.

– I przybyłeś z tak daleka, jadąc w takim zimnie z raną? Czy to jakieś wielkie sprawy wymagające omówienia?

– Nie, po prostu tęskniłem za domem, nic więcej – powiedział, potrząsając głową. – Tam wszystko jest takie zielone i bujne i wilgotne, i ta mgła, i kościelne dzwony... tęskniłem za czystym skalnym powietrzem, za krzykiem mew i za twoją twarzą, matko...

– Sięgnął znów po kubek, który wcześniej odstawił, i Morgause ujrzała węże na jego rękach. Nie była zbyt wtajemniczona w sekrety Avalonu, ale wiedziała, że był to znak

najwyższego stopnia kapłańskiego. Dostrzegł jej spojrzenie i skinął głową, ale nic nie powiedział.

– Czy to w Brytanii sprawiłeś sobie ten wstrętny płaszcz, taki zgrzebny i długi, dobry najwyżej dla służącego?

– Chroni mnie od deszczu – zachichotał. – Zabrałem go wielkiemu wodzowi z obcych ziem, który walczył w legionach tego człowieka, co nazywa siebie imperatorem Lucjuszem. Ludzie Artura szybko się z nimi rozprawili, wierz mi, a łupów było dość dla wszystkich, w jukach mam srebrny puchar i złoty pierścień dla ciebie, matko.

– Walczyłeś w wojsku Artura? – spytała Morgause. Nigdy nie podejrzewała, że on to uczyni; zobaczył zaskoczenie na jej twarzy i znów się roześmiał.

– A tak, walczyłem pod wodzą tego wielkiego króla, który mnie spłodził – powiedział z pogardliwym uśmiechem. – O, nie obawiaj się, mam swoje rozkazy z Avalonu. Dopilnowałem, by walczyć między rycerzami Ceardiga, saksońskiego wodza z wojsk Paktu, który mnie bardzo lubi, i nigdy nie wchodzić w oczy Arturowi.

Gawain mnie nie rozpoznał, a uważałem bardzo, by Gareth mnie nie widział, chyba że byłem okutany w ten płaszcz, zgubiłem własny płaszcz w bitwie i bałem się, że jeśli założę płaszcz ze znakami Lothianu, Gareth może przyjść, by odwiedzić rannego ziomka, tak więc zdobyłem ten...

– Gareth rozpoznałby cię wszędzie – powiedziała Morgause – mam nadzieję, że nie sądzisz, iż twój przyrodni brat kiedykolwiek by cię zdradził.

Gwydion uśmiechnął się i Morgause pomyślała, że wygląda zupełnie jak ten mały chłopczyk, którego kiedyś sadzała sobie na kolanach.

– Tęskniłem za tym, by dać się poznać Garethowi, a kiedy leżałem ranny i osłabiony, omal tego nie uczyniłem. Ale Gareth to człowiek Artura i kocha swego króla, widziałem to, więc nie chciałem kłaść takiego ciężaru na sumieniu mego najlepszego z braci – powiedział. – Gareth... Gareth jest jedyny...

Nie dokończył zdania, ale Morgause wiedziała, co chciał powiedzieć; wszędzie czuł się obco i tylko Gareth był jego bratem i jego ukochanym przyjacielem.

Nagle roześmiał się szeroko, odpędzając ten nieuchwytny uśmiech, który sprawiał, że wyglądał tak młodo.

– W całej saksońskiej armii, matko, cały czas wszyscy w kółko mnie pytali, czy jestem synem Lancelota! Ja sam tak bardzo nie dostrzegam tego podobieństwa, ale też nie znam za dobrze swej własnej twarzy... patrzę w lustro tylko wtedy, kiedy się golę!

– A jednak – powiedziała Morgause – każdy, kto widział Lancelota, a zwłaszcza jeśli ktoś znał go za młodu, patrząc na ciebie, nie może nie domyślać się, że jesteś jego krewnym.

– I tak właśnie im odpowiadałem, czasami przybierałem bretoński akcent i mówiłem, że ja też jestem krewnym starego króla Bana – odparł Gwydion. – Wydaje mi się jednak, że nasz Lancelot, z tą swoją twarzą, która przyciąga kobiety jak magnes, musiał spłodzić

wystarczająco dużo bękartów, że nie powinno nikogo dziwić, iż jest ktoś, kto nosi jego twarz! Nieprawdaż? Ciekawe – ciągnął dalej – ale wszystko, co słyszałem o Lancelocie, to to, że być może spłodził syna z naszą królową, a dziecko ukryto i oddano na wychowanie tej krewnej, którą wydali za Lancelota... Wiele jest opowieści o Lancelocie i królowej, a każda bardziej nieprawdopodobna od poprzedniej, wszyscy jednak są zgodni, że dla każdej innej stworzonej przez Boga niewiasty Lancelot ma tylko miłe słowa i uprzejme gesty. Są nawet kobiety, które narzucają się mnie, mówiąc, że skoro nie mogą mieć Lancelota, to wezmą jego syna... – Znów się szeroko uśmiechnął. – To musi być ciężkie dla szlachetnego Lancelota. Ja tam lubię ładne kobiety, ale kiedy tak mi się narzucają, cóż...

Komicznie wzruszył ramionami. Morgause się zaśmiała.

– A więc Druidzi nie zabraniają ci tego, mój synu?

– W żadnym wypadku – powiedział. – Tyle że większość kobiet jest taka głupia, więc wolę nie kłopotać się i nie zawracać sobie głowy tymi, które oczekują, że będę je traktował jak coś wyjątkowego i wysłuchiwał tego, co mówią. Zepsułaś mnie dla głupich kobiet matko.

– Szkoda, że tego samego nie można powiedzieć o Lancelocie – powiedziała Morgause. – Gdyż nikt nigdy nie uważał, by Gwenifer miała więcej rozumu, niż jej potrzeba do tego, by sobie zasznurować stanik, a kiedy wchodził w grę Lancelot, to obawiam się, że nie miała go nawet tyle.

*Masz twarz Lancelota, mój chłopcze, ale umysł masz swojej matki!*, pomyślała. A on jakby usłyszał tę myśl, bo odstawił pusty kubek i odprawił służącą, która chciała znów go napełnić.

– Nie, więcej nie, jestem tak zmęczony, że jeśli wypiję jeszcze jeden łyk, będę pijany! Zjem za to kolację. Mam już dosyć pożywienia myśliwych, dosyć mięsa, i tęsknię za domową owsianką i plackiem... Matko, zanim wyruszyłem do Bretanii, widziałem w Avalonie panią Morgianę.

*Ale dlaczego mi o tym mówisz?*, zastanawiała się Morgause. Nie spodziewała się, by czuł do rodzonej matki jakąkolwiek miłość i nagle poczuła się winna. *To ja sprawiłam, by nie kochał nikogo, prócz mnie.* Cóż, uczyniła to, co musiała, i nie żałuje tego.

– Jak wygląda moja krewna?

– Nie wygląda młodo – powiedział Gwydion. – Wydało mi się, że jest starsza od ciebie, matko.

– Skąd – zaprzeczyła Morgause – Morgiana jest ode mnie młodsza o dziesięć lat.

– A jednak jest stara i zmęczona, a ty... – Uśmiechnął się do niej i Morgause poczuła nagłą falę szczęścia. *Żadnego z mych synów nie kocham tak, jak jego*, pomyślała. *Morgiana dobrze zrobiła, że zostawiła go pod moją opieką.*

– Och – powiedziała – ja też się starzeję, mój chłopcze... pamiętaj, że kiedy ty się urodziłeś, miałam już dorosłego syna!

– A więc jesteś dwa razy tak wielką czarodziejką, jak ona – powiedział Gwydion – gdyż można by przysiąc, iż długo przebywałaś w czarownej krainie, gdzie czas się dla ciebie zatrzymał... dla mnie wyglądasz tak samo, jak tego dnia, kiedy odjeżdżałem do Avalonu, moja mateczko. – Chwycił jej dłoń, przyciągnął do swych ust i ucałował, a ona podeszła i objęła go ramieniem, uważając, by nie dotknąć jego rany. Gładziła jego ciemne włosy.

– Tak więc Morgiana jest teraz królową w Walii.

– Prawda – odparł. – I jak słyszę, w wielkich łaskach u króla Uriensa. Artur uczynił jej pasierba, Uwaina, członkiem swej własnej przybocznej straży, obok Gawaina, a on i Gawain są bliskimi przyjaciółmi. Uwain to dobry chłopak, nawet przypomina Gawaina, obaj są mocni i prawi, i tak oddani Arturowi, jakby słońce wschodziło i zachodziło tam, gdzie on sika... – Morgause zauważyła jego krzywy uśmiech. – To jednak słabość, którą ma wielu ludzi. I o tym też chciałbym z tobą porozmawiać, matko. Czy wiesz coś o planach Avalonu?

– Wiem tyle, co powiedzieli mi Niniana i Merlin, kiedy przyjechali cię ze sobą zabrać – powiedziała Morgause. – Wiem, że masz być następcą Artura, choć on wierzy, iż zostawi królestwo temu synowi Lancelota. Wiem, że to ty jesteś tym młodym bykiem, który obalił starego Króla Byka... – Ostatnie zdanie powiedziała w starym języku, a Gwydion uniósł brwi.

– A więc wiesz wszystko – powiedział. – Ale być może nie wiesz o tym... że tego nie można uczynić teraz. Ponieważ Artur pokonał tego Rzymianina, który chciał być imperatorem, tego Lucjusza, jego gwiazda nigdy nie świeciła jaśniej niż w tej chwili. Każdy, kto podniósłby rękę przeciw Arturowi, zostałby rozszarpany przez tłum albo przez jego towarzyszy, nigdy nie widziałem człowieka tak uwielbianego. Myślę, że to właśnie dlatego chciałem choćby z daleka ujrzeć jego twarz, by zobaczyć, co takiego jest w tym królu, że tak go kochają...

Jego głos powoli zamarł w ciszę, a Morgause poczuła się nieswojo.

– I uczyniłeś to?

Gwydion powoli przytaknął.

– On zaiste jest królem... nawet ja, który nie mam powodu, by go kochać, czułem ten urok, jaki wokół siebie tworzy. Nie wyobrażasz sobie, jak jest czczony.

– Dziwne – powiedziała Morgause – ja na przykład nigdy nie uważałam, by był taki wyjątkowy.

– Nie, bądź sprawiedliwa – odparł Gwydion. – Nie ma wielu, a być może nie ma na tej ziemi nikogo innego, kto potrafiłby połączyć wszystkie strony, jak on to uczynił! Rzymian, Walijszczyków, Kornwalijszczyków, ludzi zachodnich ziem, Anglików ze wschodu, ludy Bretanii, Stary Lud, ludzi Lothianu... Wszyscy na całej tej ziemi, wszyscy zjednoczeni pod gwiazdą Artura. Nawet ci Saksoni, którzy niegdyś walczyli na śmierć i życie przeciw Utherowi, przysięgają, że Artur ma być ich królem. Jest wielkim wojownikiem... nie, nie w samej walce, nie walczy lepiej od innych rycerzy, nawet w połowie nie tak dobrze jak

Lancelot, a nawet Gareth, ale jest wielkim przywódcą. I jest coś... jest w nim coś... Łatwo go kochać. I skoro wszyscy tak go uwielbiają, ja nie mam nic do roboty.

– A więc – powiedziała Morgause – ich miłość musi zostać jakoś umniejszona. Musi zostać obnażony. Nie jest lepszy od pozostałych ludzi, Bogowie to wiedzą. Spłodził ciebie ze swą własną siostrą, wiadomo także zarówno tutaj, jak i za granicą, że nie postępuje po męsku ze swoją królową. Jest nazwa na takiego mężczyznę, który spokojnie patrzy, jak inny adoruje jego małżonkę, i nie taka znów ładna nazwa, jak wiesz.

– Jestem pewien, że coś z tego można zrobić – powiedział Gwydion. – Choć mówi się, że ostatnimi czasy Lancelot trzyma się z dala od dworu i uważa, by nigdy nie zostać sam na sam z królową, tak by nawet cień skandalu nie padł na jej imię. Mówią jednak, że płakała, jak dziecko, i tak samo płakał Lancelot, kiedy żegnał się z nią, odjeżdżając, by walczyć u boku Artura przeciw Lucjuszowi. Nigdy też nie widziałem człowieka walczącego tak, jak Lancelot. Można by pomyśleć, że chciał się umyślnie wystawić na śmierć. Nigdy jednak nie otrzymał choćby jednej rany, jakby jego życie było zaczarowane. Ciekawe... on jest synem Wielkiej Kapłanki Avalonu... – Zamyślił się. – Być może, że ma nad sobą jakąś nadnaturalną ochronę.

– Morgiana by o tym wiedziała – powiedziała Morgause sucho – ale nie radzę ci jej o to pytać.

– Wiem, że czary chronią życie Artura – ciągnął Gwydion – bo nosi uświęcony Ekskalibur, miecz z Regaliów Druidów, i do niego magiczną pochwę, która chroni go przed utratą krwi. Bez niej, jak mi powiedziała Niniana, wykrwawiłby się na śmierć w bitwie pod Celidonem, a także potem... Morgiana jako pierwsze zadanie otrzymała rozkaz, by odebrać ten miecz Arturowi, jeśli on od nowa nie przysięgnie, że będzie wierny Avalonowi. I nie wątpię, że moja matka jest na tyle silna, by to uczynić. Wątpię, by moja matka przed czymś się zawahała. Myślę, że z nich dwojga, to już wolę swego ojca, sądzę, że nie wiedział, jakie zło czyni, kiedy mnie płodził.

– Morgiana też tego nie wiedziała – zaprotestowała Morgause ostro.

– Och, dość już mam Morgiany... Nawet Niniana poddała się jej urokowi – odparł Gwydion równie ostro. – Chociaż ty nie zaczynaj jej przede mną bronić, matko!

*Viviana też była taka, potrafiła oczarować każdego mężczyznę, by postępował wedle jej woli, i każdą kobietę...* myślała Morgause. *Na jej życzenie Igriana posłusznie poślubiła Gorloisa, a potem uwiodła Uthera... a ja poszłam do łóżka Lota... a teraz Niniana czyni to, czego chce Morgiana.* Podejrzewała też, że jej przybrany syn również posiada coś z owej mocy. Nagle z nieoczekiwanym bólem przypomniała sobie Morgianę, gdy z pochyloną głową, jak małe dziecko, pozwalała czesać sobie włosy tej nocy, kiedy urodziła Gwydiona. Morgianę, która była dla niej jak córka, której nigdy nie miała, a teraz ona była rozdarta między Morgianą i jej synem, który był jej droższy nawet od rodzonych synów.

– Czy tak bardzo jej nienawidzisz, Gwydionie?

– Nie wiem, co czuję – odparł, spoglądając na nią tymi smutnymi oczyma Lancelota. – To zdaje się być niezgodne ze słubami Avalonu, bym aż tak nienawidził matki, która mnie zrodziła, i ojca, który mnie spłodził... Żałuję, że nie byłem wychowywany na dworze mego ojca, jako jego syn i wierny sojusznik, a nie gorzki wróg... – Położył głowę na ramionach i powiedział zduszonym głosem: – Jestem zmęczony, matko. Jestem zmęczony i mam dosyć walki, wiem, że Artur czuje to samo... przyniósł pokój tym wyspom, od Kornwalii po Lothian. Nie chcę myśleć, że ten wielki król, ten wielki człowiek, jest moim wrogiem, i że dla dobra Avalonu muszę go obalić, sprowadzić na niego śmierć lub hańbę. Wolałbym go kochać, tak jak wszyscy. Chciałbym móc spojrzeć na moją matkę, nie, nie na ciebie, mamu, na panią Morgianę, chciałbym móc spojrzeć na tę, która mnie urodziła, jak na swoją matkę, nie jak na wielką kapłankę, której jestem zaprzysiężony słuchać, cokolwiek mi rozkaże. Chciałbym, żeby była dla mnie matką, nie Boginią. Chciałbym, by Niniana kiedy leży w mych ramionach, była tylko moją najdroższą ukochaną którą kocham dlatego, że ma twoją słodką twarz i twój uroczy głos. Tak mam dosyć bogów i bogiń... Chciałbym być synem twoim i Lota, i niczym więcej, tak jestem zmęczony moim losem...

Przez długą chwilę siedział w milczeniu, z ukrytą twarzą, ramiona mu drżały. Z wahaniem Morgause pogładziła go po włosach. W końcu podniósł głowę i odezwał się z gorzkim uśmiechem, który miał ją przekonać, by nic sobie nie robiła z tej jego chwili słabości:

– A teraz napiję się jeszcze kubek tego mocnego trunku, który pędzicie tu w górach, ale tym razem bez wody i miodu... – A kiedy przyniesiono napój, osuszył kubek, nawet nie spoglądając na parującą owsiankę i placek, które wniosła służąca. – Jak to było napisane w tych starych księgach Lota, kiedy to ksiądz prał mnie i Garetha, aż nam tyłki krwawiły, gdy starał się nas nauczyć rzymskiego języka? Co to był za Rzymianin, który powiedział: „Nie nazywaj żadnego człowieka szczęśliwym, póki nie jest martwy”? Tak więc moim zadaniem jest dać memu ojcu to największe szczęście, czemuż się więc buntuję przeciw swemu przeznaczeniu? – Dał znak, by znów mu nalano, a gdy Morgause się zawahała, sam sięgnął po flaszkę i napełnił swój kubek.

– Będziesz pijany, drogi synu. Zjedz najpierw kolację, nie chcesz?

– No to będę pijany – odparł Gwydion gorzko. – I cóż z tego? Piję za śmierć i zniesławienie... Artura i moją! – Znów osuszył kubek i rzucił go w kąt komnaty, a naczynie upadło z metalicznym dźwiękiem. – No więc niech będzie tak, jak tego chce przeznaczenie... *gdyż wszystkie zwierzęta narodziły się i potoczyły z innymi ze swego gatunku, i żyły, i spełniały wolę natury, aż w końcu oddały swe dusze znów pod opiekę Bogini...* – Wymówił te słowa z dziwnym, ostrym naciskiem, a Morgause, choć nieuczona w tajemnicach Druidów, wiedziała, że są to słowa obrzędu, i zadrżała, kiedy je wymawiał.

Wziął głęboki oddech. Potem powiedział:

– Lecz dzisiejszej nocy będę spał w domu mojej matki i zapomnę o Avalonie i królach, i bykach, i przeznaczeniu. Prawda? Prawda? – I kiedy mocny trunek w końcu nad nim zapanował, padł w ramiona Morgause. Trzymała go, gładząc jego miękkie włosy, tak podobne do włosów Morgiany, a on spał z głową na jej piersiach.

Jednak nawet we śnie wiercił się, jęczał i stękał, jakby jego sny były koszmarem, a Morgause wiedziała, że nie był to tylko ból nie zagojonej rany.

# Księga czwarta

## WIĘZIEŃ DĘBU

### 1

Na dalekich wzgórzach Północnej Walii deszcz padał dzień za dniem, a zamek króla Uriensa zdawał się płynąć we mgle i wilgoci.

Drogi pokrywało błoto po kostki, brody na rzekach zalała woda spływająca rwącymi strumieniami z gór, wszystko przenikał wilgotny ziąb. Morgiana otulona szalem i grubym płaszczem, czuła, jak jej palce kostnieją i sztywnieją na czółnie, gdy przeciąga je przez osnowę. Nagle spojrzała w górę, czółno wypadło z jej zziębniętej dłoni.

– Co się stało, matko? – spytała Malina, mrugając na odgłos ostrego dźwięku w pustej sali.

– Na drodze jest jeździec – powiedziała Morgiana. – Musimy się przygotować na jego przyjęcie. – A potem, widząc zalękniony wzrok swej przybranej synowej, skłęta się w duchu; znów pozwoliła sobie zapaść w ten połowiczny trans, który w tych dniach wciąż ją ogarniał, gdy tylko wykonywała kobiece prace. Już od dawna przestała prząść, ale tkanie, które lubiła, wydawało się dotąd bezpieczne, jeśli nie traciła koncentracji i nie poddawała się jego usypiającej monotonii.

Malina patrzyła na nią w ten na wpół zalękniony, na wpół bezradny sposób, w jaki zawsze reagowała na nieoczekiwane przepowiednie Morgiany. Nie, żeby Malina wierzyła, że jest w tym coś diabelskiego lub magicznego, to było tylko takie dziwactwo jej teściowej. Tyle że Malina powie o tym księdzu, a on znów przyjdzie i będzie się starał delikatnie wybadać, skąd to się bierze, a ona będzie musiała zrobić niewinną minę i udawać, że nie wie, o czym on mówi.

Któregoś dnia będzie zbyt znużona lub nieostrożna, by o to dbać, i powie mu to, co naprawdę myśli. Wtedy dopiero będzie miał rzeczywiście o czym mówić...



Cóż, stało się i teraz nie może temu zaradzić. Miała dotąd dość dobre układy z ojcem Eianem, który był też nauczycielem Uwaina, i jak na księdza, był człowiekiem wykształconym.

– Powiedz ojcu Eianowi, że jego uczeń będzie tu na kolacji – powiedziała Morgiana i po raz wtóry zdała sobie sprawę, że jej się to wyrwało; wiedziała, że Malina myśli o księdzu, i odpowiedziała jej myśli, a nie na słowa. Wyszła z komnaty, zostawiając zdziwioną młodą kobietę samą.

Przez całą zimę, ciężką od deszczy, śniegu i ciągłych burz, nie przybył tu ani jeden podróżny. Nie odważyła się pruć, to zbyt szybko otwierało bramy transu. A teraz zdaje się, że tkanie zaczęło działać tak samo. Pracowała niestrudzenie, szyjąc szaty dla wszystkich domowników, od Uriensa, aż po najmłodsze dziecko Maliny, ale od ślęczenia nad igłą bolały ją oczy; zimą nie miała dostępu do świeżych roślin i ziół i nie mogła przygotowywać maści i lekarstw!

Nie miała towarzystwa – jej dworki były żonami zbrojnych Uriensa i były jeszcze głupsze niż Malina; żadna z nich nie umiała przeczytać nawet linijki z Biblii i były zaszokowane, że Morgiana umie pisać i czytać i zna łacinę i grekę. Nie mogła też wciąż siedzieć przy harfie.

Tak więc spędziła zimę w nudzie i zniecierpliwieniu...

...było jej tym trudniej, że zawsze istniała pokusa, by prześnić, pozwolić, by umysł zawiódł ją daleko, na dwór Artura w Kamelocie albo do Accolona na jego wyprawie... Trzy lata temu stwierdziła, że Accolon powinien spędzić jakiś czas na dworze Artura, tak by Artur dobrze go poznał i mu ufał. Accolon nosił węże Avalonu i to mogło się okazać cennym związkiem z Arturem. Tęsknota za Accolonem była jak nieustanny ból; w jego obecności była tym, kim zawsze ją widział – wielką kapłanką, pewną swego celu i siebie samej. Była to jednak tajemnica między nimi. Tej długiej, samotnej zimy Morgianę ogarniały rozmaite wątpliwości i lęki; czy nie jest jednak tylko tym, co sądził o niej Uriens, samotną, starzejącą się królową, której serce, ciało i umysł usychają i marnieją?

Wciąż jednak mocną ręką trzymała dom, zarządzając zarówno zamkową służbą, jak i ludem z wiosek, tak że wszyscy zwracali się do niej po mądrość i radę. W kraju mówiono: *Królowa jest mądra. Nawet król nie czyni niczego bez jej pozwolenia.* Wiedziała, że Ludzie Plemion i Stary Lud darzą ją niemal czcią, choć nie odważała się zbyt często pojawiać na starych obrzędach.

Teraz wydała w kuchni polecenia do wystawnego obiadu albo choć do takiego, jaki mogli przyrządzić teraz, pod koniec zimy, kiedy wszystkie drogi były nieprzejezdne. Ze spiżarni Morgiana wydała trochę ze swych żelaznych zapasów rodzynek i suszonych owoców i trochę kuchennych przypraw do ostatniego kawałka boczku. Malina powie ojcu Eianowi, że na wieczery jest oczekiwany Uwain. Ona sama powinna zanieść tę wieść Uriensowi.

Poszła na górę do jego komnaty, gdzie leniwie grał w kości z jednym ze swych zbrojnych; komnata zalatywała zgnilizną, duchotą, starością i wilgocią. *Przynajmniej dzięki*

*jego długiej płucnej gorączce tej zimy nie musiałam dzielić z nim łoża, pomyślała Morgiana. Nawet dobrze się złożyło, że Accolon spędził tę zimę na dworze Artura; moglibyśmy postępować nieostrożnie i zostać odkryci.*

Uriens odłożył kubek do kości i spojrzął na nią. Był chudszy, wycieńczony długim zmaganiem z gorączką. Było nawet kilka takich dni, że Morgiana myślała, iż już nie przeżyje, i ciężko walczyła o jego życie; po części dlatego, że mimo wszystko lubiła go i nie chciała widzieć go martwym, a częściowo dlatego, że Avalloch natychmiast odziedziczyłby po nim tron.

– Nie widziałem cię cały dzień. Byłem samotny, Morgiano – powiedział Uriens z nutką rozżalenia i wyrzutu. – Na tego Huwa ani w połowie tak miło się nie patrzy, jak na ciebie.

– Cóż – odparła Morgiana, przyjmując żartobliwy ton, który Uriens tak lubił – specjalnie zostawiłam was samych, myśląc, że na stare lata zacząłeś gustować w przystojnych młodzieńcach... jeśli ty go nie chcesz, mężu, czy to znaczy, że ja mogę go sobie wziąć?

Uriens zachichotał.

– Biedny człowiek się rumieni! – powiedział z uśmiechem. – Ale jeśli zostawiasz mnie samego na cały dzień, to co innego mam czynić, jak tylko jęczeć i robić słodkie oczy do niego albo i do psa?

– No to przysłałam przynieść ci dobre nowiny. Dziś wieczorem zaniosą cię na wieczerzę na dół, do sali, Uwain jest w drodze i przybędzie przed posiłkiem.

– No to dzięki Bogu – powiedział Uriens. – Tej zimy myślałem już, że umrę, nie zobaczywszy moich synów.

– Przypuszczam, że Accolon powróci do domu na święta letniego przesilenia... – Kiedy Morgiana pomyślała o ogniach Beltanu, teraz już odległych zaledwie o dwa miesiące, w całym ciele poczuła pożądanie tak silne, że aż bolesne.

– Ojciec Eian znów mnie nachodził, bym zakazał obrzędów – powiedział Uriens zrzędliwie. – Mam dość słuchania jego narzekań.

Wbił sobie do głowy, że jeśli wytniemy gaje, to lud zadowolony się jego błogosławieństwem dla pól i nie będzie rozpałał ogni Beltanu. Prawdą jest, że z każdą wiosną praktykuje się coraz więcej starych obrzędów, a ja myślałem, że jak rok za rokiem starzy ludzie będą wymierać, to będzie tego mniej. Chciałem pozwolić, by to samo wygasło wraz ze Starym Ludem, który nie może się przyzwyczaić do nowego sposobu życia. Ale jeśli teraz nawet młodzi ludzie z powrotem wracają do pogańskich obyczajów, to musimy z tym coś zrobić... Może nawet ściąć gaj.

*Jeśli to zrobisz, popełnię morderstwo,* pomyślała Morgiana, lecz zmusiła swój głos do łagodności.

– To by nie było rozsądne. Dęby dają pożywienie świniom i pożywienie dla ludzi we wsiach, nawet my w ciężkich czasach używamy żółdej mąki. A las stoi tam od setek lat, te drzewa są święte...

– Ty sama mówisz za bardzo jak poganka, Morgiano.

– Czy możesz powiedzieć, że dębowy gaj nie jest stworzony przez Boga? – odparła. – Czy mamy karać niewinne drzewa dlatego, że głupi ludzie używają ich na swój sposób, który z kolei nie podoba się ojcu Eianowi? Myślałam, że kochasz swe ziemie.

– No bo i kocham – powiedział Uriens niepewnie – lecz Avalloch też mówi, że powinienem las ściąć, żeby poganie nie mieli gdzie się zbierać. Możemy tam wybudować kościół albo kaplicę.

– Lecz Stary Lud to także twoi poddani, a ty w swej młodości zawarłeś Wielki Związek z tą ziemią. Czy pozbawisz Stary Lud lasu, który jest ich pożywieniem i schronieniem, i ich własną świątynią zbudowaną rękami Boga, a nie człowieka? Czy tym samym skażesz ich na śmierć lub głód, jak to się stało na niektórych wytrzebionych ziemiach?

Uriens spojrział na swe sękaty, starcze nadgarstki. Błękitne tatuaże niemal całkiem już wyblakły i były tylko sinymi plamami.

– Cóż, to ciebie nazywają Morgianą Czarodziejką, Stary Lud nie mógłby mieć lepszego obrońcy. Skoro ty prosisz o zachowanie ich schronienia, moja pani, to dopóki żyję, oszczędzę las, ale po mnie Avalloch zrobi, jak zechce. Czy podasz mi moje buty i szatę, żebym mógł zjeść w sali jak król, a nie jak stary dziadek w nocnej koszuli i łapciach

– Oczywiście – powiedziała Morgiana – ale ja cię nie uniosę – Huw będzie musiał cię ubrać.

Kiedy mężczyźni skończyli z ubieraniem, sama uczesała włosy Uriensa i przywołała innych ludzi, którzy czekali w sieni. Dwóch z nich podniosło go, robiąc siodełko ze swych ramion, i zaniósło do wielkiej sali, gdzie Morgiana wymościła jego tron poduszkami i pilnowała, gdy układali na nich jego chude, stare ciało.

Słyszała już wtedy krzątającą się służbę i jeźdźców na dziedzińcu... Uwain, pomyślała, prawie nie podnosząc oczu, gdy młodzieńca wprowadzano do sali.

Trudno jej było pamiętać, że ten wysoki, młody rycerz z szerokimi ramionami i długą bitewną blizną na policzku to ten sam chłopczyk, który przychodził do niej jak dzikie, oswojone zwierzątko, tego pierwszego, samotnego i rozpaczliwego roku, spędzonego przez nią na zamku Uriensa.

Uwain ucałował rękę ojca i skłonił się przed Morgianą.

– Ojczy, droga matko...

– Dobrze cię znów widzieć w domu, chłopcze – powiedział Uriens, lecz wzrok Morgiany spoczywał na drugim mężczyźnie, który również wszedł do sali. Przez chwilę nie wierzyła własnym oczom, to było jak zobaczenie ducha... *Gdyby był tu naprawdę, najpierw zobaczyłabym go Wzrokiem...* a potem zrozumiała. *Tak bardzo się starałam nie myśleć o Accolonie, żeby nie oszaleć...*

Accolon był szczuplejszy od swego brata i nie taki wysoki. Kiedy klękał przed ojcem, posłał Morgianie jedno rozpalone spojrzenie, ale kiedy się do niej zwrócił, jego głos był zupełnie opanowany.

– Dobrze jest być znów w domu, pani...

– Miło was widzieć – powiedziała spokojnie – obu. Uwain, opowiedz nam, jak zdobyłeś tę straszną bliznę na policzku. Myślałam, że od śmierci imperatora Lucjusza, wszyscy ludzie przysięgli Arturowi, iż nie będzie więcej walk!

– Zwyczajnie – powiedział Uwain wesoło. – Jakiś bandyta wprowadził się do opuszczonego fortu i zabawiał się, rabując okolice i nazywając się królem. Syn Lota, Gawain, pojechał tam ze mną i szybko się z nim rozprawiliśmy, a Gawain zdobył nawet żonę, ta dama to wdowa z bogatymi ziemiami. A co do tego – lekko dotknął swej blizny – to gdy Gawain walczył z bandytą, ja wziąłem na siebie giermka, ohydneho bękarta, który bił się lewą ręką i zmylił mą czujność. A jaki był niezdarny, wolę już walczyć z dobrym szermierzem niż ze złym! Gdybyś tam była, matko, nie miałbym takiej blizny, chirurg, który mi to zszywał, miał łapy jak głowy kapusty! Czy to aż tak bardzo szpeci mi twarz?

Morgiana wyciągnęła rękę i delikatnie dotknęła rozciętego policzka pasierba.

– Dla mnie zawsze będziesz najprzystojniejszy, mój synu. Być może jednak coś jeszcze da się zrobić, jest tu ropień i opuchlizna; zanim pójde spać, zrobię ci na to okłady, żeby się lepiej goiło. Musi cię boleć.

– Boli – przyznał Uwain. – Ale i tak uważam, że mam szczęście, iż nie dostałem od tego szczękościsku, jak kiedyś jeden z moich ludzi. Oj, co za śmierć! – Zadrżał. – Kiedy rana spuchła, myślałem, że to już to, ale mój przyjaciel Gawain powiedział, że tak długo, jak mogę pić wino, nie ma niebezpieczeństwa, i dobrze mnie w nie zaopatrywał. Przysięgam, że przez dwa tygodnie byłem pijany, matko! – Zaśmiał się rubasznie. – Oddałbym wtedy wszystkie łupy z zamku tego bandyty za talerz twej zupy, nie mogłem gryźć chleba ani suszonego mięsa i niemal się zagłodziłem na śmierć. Straciłem też aż trzy zęby...

Morgiana wstała i bliżej przyjrzała się ranie.

– Otwórz usta. No tak – powiedziała i skinęła na jedną ze służących. – Przynieś Uwainowi trochę zupy i rozgotowanych owoców – przykazała. – Nie wolno ci przez jakiś czas nawet próbować żuć twardego jedzenia po kolacji się tym zajmę.

– Nie odmówię, matko. To ciągle boli jak diabli, a poza tym jest taka dziewczyna na dworze Artura... nie chcę, żeby się ode mnie odsuwała, jakbym miał diabelską twarz – zachichotał.

Jednak mimo wielkiego bólu w ranie jadł z wielkim apetytem i opowiadał historie z dworu, aż wszyscy pokładali się ze śmiechu. Morgiana nie śmiała zdjąć oczu z pasierba, ale cały czas podczas wieczerzy czuła na sobie wzrok Accolona, ogrzewający ją, jakby po długim zimowym chłodzie stała w końcu w słonecznych promieniach.

Była to wesoła biesiada, lecz Uriens zaczął wyglądać na znużonego i Morgiana przywołała jego służących.

– To pierwszy dzień gdy opuściłeś łóże, mężu, nie powinienes się zbytnio przemęczać.

– Pozwól, że ja cię zaniosę, ojcie – powiedział Uwain, wstając.

Uniósł ciało chorego, jakby to było dziecko. Morgiana, wychodząc z nimi, odwróciła się jeszcze i powiedziała:

– Dopilnuj tu wszystkiego, Malino, opatrzę policzek Uwaina, nim udam się na spoczynek.

Wkrótce Uriens spoczął w swym łóżu, a Uwain został przy nim, kiedy Morgiana zeszła do kuchni, by przygotować napar na jego policzek. Musiała obudzić kucharza i wysłać go, by nagotował więcej wody nad kuchennym ogniem... powinna mieć stojak i kociołek w swojej własnej komnacie, jeśli ma zamiar zajmować się taką pracą, dlaczego nigdy wcześniej o tym nie pomyślała? Wróciła do komnaty i posadziła Uwaina, by móc robić mu okłady z gorących ręczników namoczonych w parującym, ziołowym wywarze. Młody człowiek westchnął z ulgą, kiedy wywar zaczął ściągać ropę z opuchniętej rany.

– Och, jak dobrze, matko, ta dziewczyna na dworze Artura nie wiedziałaby, jak to zrobić. Kiedy się z nią ożenię, matko, czy nauczysz ją trochę swej sztuki? Ma na imię Shana i jest z Kornwalii. Była jedną z dworów królowej Isotty. Jak to jest, matko, że Markus nazywa siebie królem Kornwalii? Myślałem, że Tintagel należy do ciebie?

– Bo należy, mój synu, po Igrianie i diuku Gorloisie. Nie wiedziałam, że Markus zamierza tam rządzić – powiedziała Morgiana. – Czy Markus śmie uważać Tintagel za swój?

– Nie, z tego, co ostatnio słyszałem, nie miał tam swego szambelana – odparł Uwain. – Bo sir Drustan poszedł na wygnanie do Bretanii...

– Czemu? Czy był jednym z ludzi tego imperatora Lucjusza? – spytała Morgiana. Rozmowa o sprawach dworu była jak powiew życia w martwocie tego odludnego miejsca.

– Nie... mówi się, że on i królowa Isotta za bardzo mieli się ku sobie – powiedział. – I trudno się dziwić tej biednej damie... Kornwalia jest na końcu świata, diuk Markus jest stary i zrzedliwy, a jego pokojowi twierdzą też, że jest impotentem, ciężkie życie dla tej biednej pani, a Drustan jest przystojny i gra na harfie, a pani kocha muzykę.

– Nie znasz innych dworskich plotek poza tymi o słabościach żon innych mężczyzn? – spytał Uriens, krzywiąc się, a Uwain się roześmiał.

– Cóż, powiedziałem pannie Shanie, że jej ojciec może wysłać do ciebie posłańca, i mam nadzieję, drogi ojcie, że kiedy przybędzie, nie odprawisz go z kwitkiem. Shana nie jest bogata, ale ja nie potrzebuję wielkiego posagu, zdobyłem dosyć dóbr w Bretanii, muszę wam pokazać trochę z moich łupów, a mam też podarki dla matki. – Uniósł dłoń i pogłaskał Morgianę po policzku, gdy pochylała się nad nim, by zmienić okład na świeży. – Bo ja wiem, że ty nie jesteś taką kobietą, jak ta pani Isotta, by odwrócić się od mego dobrego ojca i zabawiać w nierządnicę.

Poczuła rumieniec na policzkach; pochyliła się nad parującym kociołkiem, marszcząc nos od gorzkiego zapachu ziół. Uwain uważał ją za najlepszą z kobiet i to zaufanie było jej słodkie, jednak zabarwione goryczą, gdyż wiedziała, że jest niezasłużone.

*Przynajmniej ja nigdy nie wystawiłam Uriensa na pośmiewisko i nigdy nie zostałam przyłapaną z jakimś kochankiem...*

– Kiedy ojciec wydobrzeje na tyle, by móc podróżować, to jednak powinniście pojechać do Kornwalii – dodał Uwain bardzo poważnie, krzywiąc się lekko, kiedy gorący okład dotknął nowego miejsca na zropiałym policzku. – Powinno dać się jasno do zrozumienia, matko, że Markusowi nie wolno rościć sobie prawa do tego, co jest twoje. Nie pokazywałaś się w Tintagel od tak dawna, że prosty lud może zupełnie zapomnieć, iż w ogóle ma królową.

– Jestem pewien, że do tego nie dojdzie – powiedział Uriens – ale jeśli tego lata będę się dobrze czuł, to kiedy pojedziemy na dwór Artura na Zielone Świątki, to wtedy go zapytam o sprawę ziem Morgiany.

– A gdyby Uwain ożenił się w Kornwalii – dodała Morgiana – to by za mnie rządził w Tintagel. Chciałbyś być moim kasztelanem, Uwain?

– Nie wyobrażam sobie niczego wspanialszego.

– Wypij to – poleciła Morgiana, dolewając do jego wina trochę lekarstwa z jednej ze swych małych flaszeczek – a obiecuję ci sen

– Chyba zasnąłbym i bez tego, pani, tak jestem szczęśliwy, znów będąc we własnym domu i we własnym łóżku, pod opieką mojej matki.

Uwain schylił się i ucałował ojca, złożył pocałunek na ręce Morgiany.

– Ale z ochotą przyjmuję twoje lekarstwo. – Połknął lecznicze wino i przywołał jednego z pokojowych Uriensa, by poświecił mu w drodze do komnaty.

Przyszedł też Accolon, ucałował ojca i powiedział:

– Ja też już idę do łoża... pani, czy są tam poduszki, czy też komnata jest całkiem pusta? Nie było mnie w domu tak długo, że w tym starym pokoju, gdzie kiedyś sypiałem i gdzie ojciec Eian starał się wbić mi do głowy trochę łaciny, pewnie gołębie uwiły już sobie gniazda.

– Przykazałam Malinie, by dopilnowała, żebyś miał wszystko, czego potrzebujesz – powiedziała Morgiana – ale przyjdę i sprawdzę. Czy będziesz mnie jeszcze potrzebował, mój panie – zwróciła się do Uriensa – czy ja też mogę się udać na spoczynek?

Odpowiedziało jej tylko ciche chrapanie, a jego człowiek, Huw, układając głowę króla wyżej na poduszkach, powiedział:

– Proszę iść, pani Morgiano, gdyby się w nocy obudził, ja go będę doglądał.

– Co gnębi mego ojca? – spytał Accolon, kiedy wychodzili z komnaty.

– Miał tej zimy płucną gorączkę, a nie jest już młody.

– I na tobie spoczywał cały ciężar opieki nad nim... biedna Morgiano... – powiedział i dotknął jej ręki.

Na dźwięk jego współczującego głosu przygryzła wargę. Coś twardego i zimnego wewnątrz niej, zamrożonego przez całą tę zimą, teraz zaczynało topnieć i myślała już, że cała rozpułynie się we łzach. Spuściła głowę i nie patrzyła na niego.

– A ty, Morgiano, nie masz dla mnie nawet jednego słowa, czy choćby spojrzenia? – Wyciągnął dłoń i dotknął jej, aż musiała odpowiedzieć przez zaciśnięte zęby:

– Czekaj. – Posłała służącą po świeże poduszki i jeden czy dwa koce. – Gdybym wiedziała, że przyjedziesz, przygotowałabym tu najlepsze koce i prześcieradła, i świeżą słomę.

– To nie świeżej słomy pragnę w moim łóżu – powiedział szeptem, ale ona bała się zwrócić ku niemu twarzą, podczas gdy służące ścieliły łóżo, przynosiły świeżą wodę i światło, rozwieszały jego oręż i szaty. – Czy później mogę przyjść do twojej komnaty, Morgiano? – szepnął znowu, kiedy przez chwilę w komnacie nie było nikogo poza nimi.

Potrząsnęła głową i odpowiedziała również szeptem:

– To ja przyjdę do ciebie, mogę zawsze znaleźć jakąś wymówkę, czemu nie ma mnie w łóżu w środku nocy, ale odkąd twój ojciec zachorował, często mnie do niego wołają, nie mogą cię u mnie zastać... – W milczeniu, pospiesznie uściśnęła jego palce. Jego dłoń niemal ją parzyła. Potem poszła z szambelanem na ostatni obchód zamku, by się upewnić, że wszystko jest bezpiecznie pozamykane.

– Niech Bóg da ci dobrą noc, pani. – Szambelan pożegnał ją ukłonem i odszedł.

Na palcach przeszła przez salę, gdzie sypiała drużyna, a potem bezgłośnie weszła na schody, przeszła obok komnaty, gdzie spał Avalloch z Maliną i swymi młodszymi dziećmi, obok komnaty, gdzie kiedyś spał Conn ze swym nauczycielem i przyrodnymi braćmi, zanim biedne dziecko nie zmarło na płucną gorączkę. W dalszym skrzydle była komnata Uriensa i ta, którą Morgiana teraz trzymała dla siebie, i jeszcze jedna, zwykle przeznaczona dla ważnych gości, a na samym końcu komnata, gdzie zostawiła Accolona. Podeszła pod drzwi, czuła suchość w ustach, miała nadzieję, że pamiętał, by zostawić drzwi otwarte... mury były stare i grube i nie było możliwości, żeby usłyszał ją przez zamknięte drzwi.

Zajrzała wcześniej do swojej komnaty, weszła cichutko i rozścieliła łóżo. Jej pokojówka, Ruach, była stara i głucha i tej zimy Morgiana przeklinała ją za głuchotę i tępotę, ale teraz to się przyda... nawet jednak ona nie powinna obudzić się rankiem i zastać łóżo Morgiany nietkniętego; także stara Ruach wiedziała, że król Uriens nie jest na tyle zdrowy, by dzielić swe łóżo z królową.

*Jak często powtarzałam sobie, że nie wstydzę się tego, co robię... a jednak nie powinna sprowadzić hańby na swoje imię, bo inaczej niczego tu nie dokona. Ta konieczność ukrywania się i przemykania była jej jednak nienawistna.*

Zostawił drzwi otwarte. Wślizgnęła się do środka z bijącym sercem i pchnęła drzwi; natychmiast została zamknięta w głodnym uścisku, który gwałtownie obudził jej ciało do życia. Jego usta przywarły do jej ust tak mocno, jakby on też tęsknił za tym i pragnął tego

równie gorąco jak ona... wydało jej się, że cała samotność i ból tej zimy zniknęły, a ona jest jak topniejący lud, który za chwilę całkiem się roztopi i przeleje... Przycisnęła swe ciało do Accolona i walczyła, by się nie rozpląkać.

Wobec tego ogromnego głodu, który teraz czuła, wszystkie dawane sobie samej zapewnienia, że Accolon nie jest dla niej niczym więcej niż kapłan dla kapłanki, że nie pozwoli między nimi na żadne uczuciowe więzy, spaliły na panewce. Czuła takie oburzenie na Gwenifer za to, że sprowadza na dwór hańbę i swego króla naraża na pogardę innych... lecz teraz, w objęciach Accolona, to wszystko było nieważne. Osunęła się w jego ramiona i pozwoliła mu zanieść się do łóżka.

## 2

Noc była już bardzo późna, gdy Morgiana wyslizgnęła się z łóżka Accolona. Spał mocno, pogładziła palcami jego włosy, delikatnie go pocałowała i wyszła z komnaty. Nie spała tej nocy – bała się, że zaśpi i dzień ją zaskoczy. Przetarła piekące oczy. Gdzieś na zewnątrz zaszczekał pies, jakieś dziecko zapłakało i ktoś je uspokoił, ptaki ćwierkały w ogrodzie. Patrząc przez wąskie okienko w murze, Morgiana pomyślała: *Jeszcze jeden miesiąc i o tej porze będzie już jasny dzień*. Na chwilę oparła się o ścianę, przytłoczona wspomnieniami ostatniej nocy.

*Nigdy nie wiedziałam, myślała, nigdy dotąd nie wiedziałam, co to znaczy być tylko kobietą. Urodziłam dziecko, jestem mężatką od czternastu lat, miałam kochanków... ale dotąd nie wiedziałam nic, nic...*

Nagle poczuła ciężką dłoń na swoim ramieniu. Chrapliwy głos Avallocha powiedział:

– A ty co tu robisz, przemykając się po zamku o tej porze, dziewczyno?

Najwidoczniej wziął ją za jedną ze służących, niektóre z nich też były niskie i smagłe, miały krew Starego Ludu.

– Puść mnie, Avallochu – powiedziała, spoglądając na słabo widoczną twarz swego starszego pasierba. Ta twarz była ciężka i nalana, policzki obwisłe od tłuszczu, oczy małe i rozstawione blisko siebie. Accolon i Uwain byli przystojni, widać było, że Uriens też kiedyś musiał być przystojny na swój sposób. Ale nie Avalloch.

– Ależ to moja pani matka! – powiedział, cofając się i składając jej przesadny ukłon. – Powtarzam, co tu robisz o tej porze?

Wciąż trzymał rękę na jej ramieniu, odtrąciła ją, jakby to był pelzający robak.

– Czy muszę się tobie spowiadać ze swych kroków? To mój dom i poruszam się po nim tak, jak mi się podoba, to moja jedyna odpowiedź.

*On mnie nie cierpi prawie tak, jak ja jego*, myślała.



– Nie drwij sobie, pani – powiedział. – Myślisz, że nie wiem, w czyich ramionach spędziłaś tę noc?

– Czyżbyś to teraz ty bawił się w czary i przepowiednie? – spytała z pogardą.

Ściszył głos i przybrał kpiący ton:

– Oczywiście, że musi to być dla ciebie przykre, być poślubioną człowiekowi tak staremu, że mógłby być twym ojcem, ale ja nie zranię mego ojca, mówiąc mu o tym, gdzie jego żona spędza noce, pod warunkiem... – Otoczył ją ramieniem i siłą przyciągnął do siebie. Pochylił głowę i pocałował ją w szyję, czuła, jak drapie ją jego nie ogolony policzek. – Pod warunkiem, że część tych nocy będziesz spędzała ze mną.

Odsunęła się od niego i starała się, by jej głos zabrzmiał żartobliwie:

– Daj spokój, Avallochu, po cóż miałbyś się uganiać za swoją starą macochą, kiedy Wiosenna Panna jest twoja i wszystkie śliczne dziewczyny w wiosce...

– Ale ja zawsze uważałem, że jesteś piękną kobietą – powiedział, a jego dłoń zaczęła pieścić jej ramię, wsuwać się pod nie dosznurowany stanik sukni. Znowu odskoczyła, a jego twarz wykrzywiła się w paskudny grymas. – Przy mnie to udajesz skromną panienkę! Czy to był Accolon czy Uwain, a może obaj naraz?

– Uwain to mój syn! Jestem jedyną matką, jaką ma!

– I ja mam wierzyć, że to by cię powstrzymało, pani Morgiano? Na dworze Artura wszyscy wiedzieli, że byłaś kochanką Lancelota i starałaś się go odciągnąć od królowej i że dzieliłaś łóżko Merlina, że nie powstrzymałaś się nawet przed kazirodczą miłością z własnym bratem, i to dlatego król odesłał cię z dworu, byś więcej nie mogła go kusić i odciągać od chrześcijańskiej wiary, więc dlaczego miałabyś się powstrzymać przed pasierbem? Czy Uriens wie, jaką nierządną, kazirodczą ladacznice wzięł sobie za małżonkę, pani?

– Uriens wie o mnie wszystko, co powinien wiedzieć – odparła. Morgiana zdziwiona, że jej głos jest taki opanowany. – Jeśli zaś chodzi o Merlina, to oboje byliśmy wówczas wolni, a żadne z nas nie przejmuję się prawami chrześcijańskiego dworu. Twój ojciec o tym wiedział i wybaczył mi to. I nikt poza nim nie ma prawa uskarżać się na moje prowadzenie, i jeżeli on to zrobi, to jemu odpowiem, bo tobie nie mam obowiązku się tłumaczyć, panie Avallochu. A teraz wracam do swej komnaty i radzę ci zrobić to samo.

– Nie rzucaj mi tu w twarz pogańskich praw Avalonu – powiedział Avalloch charczącym szeptem. – Dziwko, jak śmiesz udawać, że jesteś taka cnotliwa... – Chwycił ją, rozgniół ustami jej usta.

Morgiana wbiła sztywne palce w jego brzuch, jęknął i puścił ją, rzucając przekleństwo.

– Ja niczego nie udaję i nie muszę się tobie spowiadać ze swych czynów, a jeśli coś powiesz Uriensowi, to ja mu z kolei powiem, że w sposób niegodny położyłeś ręce na żonie swego ojca, a wtedy zobaczymy, komu on uwierzy.

Avalloch wycharczał:

– Coś ci powiem, pani, możesz sobie oszukiwać mego ojca, jeśli chcesz, ale on jest stary, a w dniu, kiedy ja zostanę w tym kraju królem, możesz być pewna, że nie będzie łaski dla wszystkich tych, którzy jeszcze żyją tylko dlatego, że mój ojciec nie może zapomnieć, iż kiedyś nosił węże!

– No, pięknie! – powiedziała Morgiana z pogardą. – Najpierw dobierasz się do żony swego ojca, a potem odgrażasz się, jakim to będziesz dobrym chrześcijaninem, kiedy ziemia twego ojca będzie twoja!

– To ty pierwsza rzuciłaś na mnie urok, dziwko!

Morgiana nie mogła powstrzymać śmiechu:

– Urok? Na ciebie? A to po co? Avallochu, gdyby nawet wszyscy mężczyźni oprócz ciebie zniknęli z powierzchni tej ziemi, prędzej już podzieliłabym swe łożo ze szczeniciem! Twój ojciec może i jest na tyle stary, by być nawet moim dziadkiem, ale już prędzej zlegnę z nim niż z tobą. Myślisz, że zazdrozczę Malinie? Wiesz, że za każdym razem, kiedy idziesz do wioski na żniwa czy inne święto, ona śpiewa? Gdybym rzuciła jakiś urok, to nie po to, by korzystać z twej męskości, lecz ci ją odebrać! A teraz zabieraj ze mnie łapy i idź tam, gdzie może ktoś cię zechce, bo jeśli jeszcze raz mnie dotkniesz, choćby koniuszkiem palca, to przysięgam, że przeklnę twą męskość!

Uwierzył, że ona rzeczywiście może to uczynić, było to jasne po sposobie, w jaki od niej odskoczył. Jednak ojciec Eian z pewnością o tym od niego usłyszy, a wtedy zacznie ją wypytywać, a potem wypytywać Accolona, a potem służbę, a potem znów będzie dręczył Uriensa, by ściął święte gaje i zniósł stare obrzędy. Avalloch nie zatrzyma się, dopóki nie skłóci ze sobą całego dworu.

*Nienawidzę Avallocha!* Morgiana była zaskoczona, że jej gniew jest wręcz fizyczny, czuła go jak świdrujący ból za mostkiem, całe jej ciało drżało. *Niegdyś byłam dumna; kapłanka Avalonu nie kłamie. A teraz istnieje coś takiego, że muszę omijać prawdę. Nawet Uriens uznałby mnie za zdradliwą żonę, w tajemnicy wykradającą się z czystej żądzy do łoża Accolona...* Szlochła z wściekłości, wciąż czując gorące dłonie Avallocha na swych ramionach i piersiach. Teraz już prędzej czy później zostanie oskarżona i nawet jeśli Uriens jej uwierzy, zacznie jej pilnować. *Och, po raz pierwszy w życiu byłam naprawdę szczęśliwa, a teraz to wszystko zostało zbrukane...*

Cóż, słońce już wschodziło, wkrótce obudzą się domownicy, a ona musi wydać rozporządzenia na ten dzień. Czy on tylko zgadywał? Uriens musi pozostać w łożu, Avalloch na pewno nie waży się dziś przeszkadzać ojcu. Powinna naparzyć więcej lekarstwa na ranę Uwaina i trzeba będzie wyrwać korzeń po jednym z jego złamanych zębów. Uwain ją kocha, on z pewnością nie da wiary żadnym oskarżeniom, jakie może stawiać Avalloch. I w tym momencie znów poczuła potworną, przygniatającą wściekłość. Wspominała słowa Avallocha: *Czy to był Accolon czy Uwain, a może obaj naraz...? Jestem dla Uwaina matką tak, jakbym to ja go urodziła! Za jaką kobietę on mnie uważa? Ale czy rzeczywiście na dworze Artura*

chodziła ta plotka, że dopuściła się kazirodztwa z samym Arturem? *Jak w takim razie, w tej sytuacji, mam przekonać Artura, by uznał Gwydiona za swego syna? Galahad jest następcą Artura, lecz mój syn musi być uznany, a z nim królewska linia Avalonu. Jednak na moje imię nie może już paść choćby cień skandalu, a zwłaszcza takiego, że popełniłam kazirodztwo ze swym pasierbem...*

Chwilę zastanawiała się nad sobą. Kiedy się dowiedziała, że nosi w łonie dziecko Artura, wpadła w straszny szal, a teraz wydawało jej się to takie nieistotne; przecież ona i Artur wtedy nie wiedzieli, że są bratem i siostrą. Ale Uwain, z którym przecież nie miała żadnej więzi krwi, był dla niej o wiele bardziej synem niż sam Gwydion; dla Uwaina była prawdziwą matką...

Cóż, w tej chwili i tak nie może nic zdziać. Zeszła do kuchni i usłyszała, jak kucharz skarży się, że zjedzono cały boczek, a spiżarnie są prawie puste, tak że ciężko będzie wyżywić przybyłych gości.

– A zatem musimy dzisiaj wysłać Avallocha na polowanie – powiedziała Morgiana i zatrzymała na schodach Malinę, która niosła mężowi poranną porcję grzanego wina.

– Słyszałam, jak rozmawiałś z Avallochem, co on ci takiego mówił? – spytała Malina, marszcząc brwi, a Morgiana, czytając w jej myślach, co było bardzo łatwe z kobietą tak głupią, jak Malina, zdała sobie sprawę, że jej synowa lęka się jej i jest zazdrosna, że uważa, iż to niesprawiedliwe, że Morgiana wciąż jest szczupła i zgrabna, kiedy ona, Malina, jest gruba i zmęczona ciągłym rodzeniem; że Morgiana ma lśniące, czarne włosy, a ona, Malina, zajęta wciąż dziećmi, nigdy nie ma czasu się uczesać i zapleść swych włosów, by też lśniły.

Morgiana odpowiedziała prawdę, ale tak, by oszczędzić uczuć swej synowej:

– Rozmawialiśmy o Accolonie i Uwainie. Ale spiżarnie są niemal puste i Avalloch musi dziś zapolować na dzika...

I wtedy to, co musi uczynić, przemknęło przez jej głowę jak błyskawica, tak że przez chwilę stała zupełnie odrętwiała, w myślach kołatały jej słowa Niniany: *Accolon musi dziedziczyć po swym ojcu*, i jej własna odpowiedź... Malina wpatrywała się w nią, czekając, by dokończyła zdanie, i Morgiana szybko się opanowała. – Powiedz mu, że musi wyruszyć na dzika dzisiaj, jeśli może, a najpóźniej jutro, bo inaczej zbyt szybko skończymy całe zapasy mąki.

– Oczywiście, że mu powiem. Będzie zadowolony z okazji, by wyjechać – powiedziała Malina, a z tonu jej głosu Morgiana wywnioskowała, iż ulżyło jej, że chodzi tylko o to.

*Biedna kobieta, poślubiona tej świni.* Przypomniało jej się znów to, co mówił jej Avalloch: *W dniu kiedy zostanę królem tej ziemi, nie będzie więcej łaski dla wszystkich tych, którzy żyją tylko dlatego, iż mój ojciec nie może zapomnieć, że kiedyś nosił węże.*

A więc to było jej zadanie: musi sprawić, by Accolon został następcą swego ojca, nie dla swego dobra czy swojej zemsty, lecz dla dobra starej wiary, którą ona i Accolon przywrócili na tych ziemiach. *Gdybym miała pół godziny, żeby o wszystkim powiedzieć Accolonowi,*

*pojechałby na polowanie z Avallochem i bez wątplenia wszystko by rozwiązał. Czy powinnam jednak powierzyć to Accolonowi i sama zachować czyste ręce?*, myślała z zimną kalkulacją.

Uriens jest stary, ale może żyć kolejny rok albo i kolejnych pięć lat. Teraz, kiedy Avalloch wie o wszystkim, wraz z ojcem Eianem będzie pracował nad tym, by zniszczyć wszelki wpływ, jaki Accolon i Morgiana mają na króla, i to wszystko, czego dotąd dokonała, pójdzie na marne.

*Jeśli Accolon chce tego królestwa, być może to on powinien się tym zająć. Jeżeli Avalloch umrze od trucizny, to ja z kolei zginę jako czarownica. Jednak jeśli pozostawię to Accolonowi, to będzie za bardzo tak, jak w tej starej balladzie, tej, która mówi: Dwóch braci poszło na łowy...*

*Czy mam powiedzieć wszystko Accolonowi i pozwolić, by działał w gniewie?* Zakłopotana, wciąż niepewna, co powinna uczynić, poszła do komnaty Uriensa, gdzie zastała Accolona, który właśnie mówił:

– Dzisiaj Avalloch jedzie polować na dzika, spiżarnie są niemal puste. Pojadę z nim. Już tak dawno nie polowałem na własnej ziemi.

– Nie – rzuciła Morgiana ostro. – Zostań dziś przy ojcu. Będzie cię potrzebował, a Avalloch ma wielu myśliwych do pomocy.

*Jakoś muszę mu powiedzieć, co zamierzam uczynić*, myślała, lecz po chwili zmieniła zdanie. Jeżeli będzie wiedział, co ona planuje, to choć sama nie była jeszcze pewna, w jakiej formie zdecyduje się działać, on nigdy się na to nie zgodzi, może tylko w chwili pierwszego oburzenia, gdy usłyszy, co Avalloch jej proponował.

*A gdyby się zgodził, to choć wydaje mi się, że znam go tak dobrze, jednak pragnienie mojego ciała mogło zmylić mój osąd i on może mieć mniej honoru, niż ja mu przypisuję. A gdyby okazał się takim człowiekiem, który się na to godzi, wtedy stałby się tego częścią, a przez to byłby przeklęty jako bratobójca i nie byłby takim człowiekiem, któremu mogłabym ufać we wszystkim, co jeszcze nas czeka. Z Avallochem jestem spowinowacana tylko przez swoje małżeństwo, nie ma między nami więzów krwi, które musiałabym splamić. Jedyne gdybym urodziła Uriensowi syna, wtedy zaciążyłaby na mnie klątwa krwi.* Teraz była rada, że nie ma z Uriensem dzieci.

– Niech Uwain zostanie z ojcem – powiedział Accolon. – Skoro masz mu jeszcze robić okłady na policzek, to on powinien zostać w zamku i siedzieć w cieple.

*Co mam zrobić, żeby zrozumiał? Jego ręce muszą pozostać czyste; on musi być tutaj, kiedy nadejdą wieści... co mam mu powiedzieć, by pojął, że to ważna, może najważniejsza rzecz, o jaką go kiedykolwiek prosiłam?* Pośpiech i niemożność wypowiedzenia myśli uczyniły jej głos ostrym.

– Czy możesz zrobić to, o co proszę, bez dyskutowania, Accolonie? Skoro ja mam się zajmować raną Uwaina, nie będę miała czasu, aby również doglądać twego ojca, a ostatnio zbyt często musiał być zostawiany na łasce służących!

*A jeśli Bogini mi pomoże, to zanim ten dzień dobiegnie końca, twój ojciec będzie cię potrzebował u swego boku bardziej niż kiedykolwiek...*

– Proszę cię o to jako twoja matka – dodała szybko, niewyraźnie wypowiadając słowa i mając nadzieję, że Uriens ich nie dosłyszycy. Całą siłą woli i myśli mówiła mu jednak: W imię Matki rozkazuję ci... – Bądź mi posłuszny.

Odwróciła się bokiem do Uriensa i dotknęła szybko wyblakłego półksiężyca na swym czole, tak by tylko Accolon to zobaczył.

Accolon patrzył na nią pytająco, zdziwiony, ale ona odwróciła się i tylko lekko potrząsnęła głową, mając nadzieję, że w końcu zrozumie, dlaczego ona nie może mu wszystkiego wyjaśnić.

– Oczywiście – odparł, marszcząc brwi. – Jeśli tak bardzo ci na tym zależy, z radością zostanę z moim ojcem.

Morgiana widziała, jak Avalloch wyjeżdża o późnym poranku z czterema myśliwymi, i kiedy Malina była w wielkiej sali, wślizgnęła się do ich komnaty i szukała w brudnym pokoju, w porzrzuconych szatach, dziecinnych ubrankach, nie wypranych pieluchach najmłodszego dziecka. W końcu znalazła niewielką bransoletę z brązu, którą widziała na ręce Avallocha. W komodzie Maliny były też jakieś złote przedmioty, ale nie śmiała zabrać niczego wartościowego, czego brak mogliby zauważyć, kiedy służba Maliny przyjdzie sprzątać. I w tej chwili weszła służąca Maliny.

– Czego tu chcesz, pani? – spytała.

Morgiana udała gniew:

– Nie będę żyła w domu, który przypomina świński chlew! Patrz na te wszystkie brudne pieluchy, na smród dziecięcej kupy! Weź to zaraz na dół i daj praczkom, a potem pozamiataj i wywietrz tutaj, czy może ja mam założyć fartuch i sama się wziąć do roboty?!

– Nie pani – odparła służąca, kuląc się, i wzięła wszystkie śmierdzące rzeczy, które Morgiana rzuciła jej na ręce. Morgiana zatknęła sobie bransoletę z brązu za stanik i zeszła na dół przykazać kucharzowi, by nagrzał wodę na ranę Uwaina. To musi zrobić najpierw i musi jakoś tak zorganizować prace w całym domostwie, by po południu być sama i wolna... Przykazała, by pojawił się chirurg ze swymi najlepszymi narzędziami, kazała Uwainowi usiąść i otworzyć usta, by sama mogła odnaleźć złamany korzeń. Ze stoickim spokojem znosił podważanie i wyciąganie (choć ząb złamał się pod dziąsłem i trzeba było go dosłownie wydłubywać, na szczęście szczeka była opuchnięta i zdrętwiała). Kiedy cały ząb został usunięty, Morgiana polała ranę najmocniejszym ze swoich znieczulających eliksirów i znów zrobiła okład na spuchnięty policzek. W końcu wszystko było zrobione i Uwain został wysłany do łoża, a wcześniej solidnie napojony mocnym alkoholem. Protestował, mówiąc, że jeździł konno, a nawet walczył, kiedy był w o wiele gorszym stanie, ale Morgiana surowo przykazała, żeby się położył i pozwolił lekarstwom zadziałać. Tak więc Uwain był także

bezpiecznie usunięty z drogi i poza wszelkimi podejrzeniami. Ponieważ wysłała wszystkie służące do prania, żadnej z nich nie było pod ręką i Malina zaczęła narzekać:

– Jak mamy mieć nowe szaty na Zielone Świątki i jak płaszcz Awallocha ma być skończony... wiem, że ty nie lubisz prać, matko, ale ja muszę się wziąć za tkanie tego płaszcza, a wszystkie kobiety grzeją kotły wody i przygotowują pranie...

– Och, rzeczywiście, zapomniałam o tym – powiedziała Morgiana. – Cóż, nie możemy nic poradzić, muszę więc sama prać, chyba że chcesz, żebym to ja tknęła...

*To nawet lepsze, myślała, niż bransoleta, płaszcz robiony na jego miarę przez jego żonę.*

– Mogłabyś to zrobić, matko? Ale ty masz płaszcz dla króla zaczęty na drugich krosnach...

– Uriens go nie potrzebuje tak bardzo, jak Awalloch – powiedziała Morgiana. – Będę tknęła płaszcz Awallocha.

*A kiedy skończę, pomyślała, czując, jak przez jej serce przebiega dreszcz, już nigdy nie będzie potrzebował żadnego płaszcza...*

– No to ja będę przedła – powiedziała Malina – i jestem ci bardzo wdzięczna, matko, tkasz o wiele lepiej ode mnie. – Podeszła i przytknęła swój policzek do policzka teściowej. – Jesteś dla mnie zawsze taka dobra, pani Morgiano.

*Tyle że nie wiesz, co ja dzisiaj będę tknęła, dziecko.*

Malina usiadła i wzięła wrzeciono. Zatrzymała się chwilę, przyciskając dłonie do pleców.

– Źle się czujesz, synowo?

– To nic, tylko moje krwawienia spóźniają się o cztery dni. Obawiam się, że znowu jestem brzemienna, a miałam nadzieję, że pokarmię to niemowlę piersią jeszcze przez rok... – Westchnęła. – Awalloch ma dostatecznie wiele kobiet w wiosce, ale myślę, że wciąż nie traci nadziei, iż dam mu następnego syna, by zajął miejsce Conna! Dziewczynki nic go nie obchodzą, nawet nie zapłakał, kiedy w zeszłym roku umarła Maeva, i to tuż przed moim następnym porodem, a kiedy znów urodziłam dziewczynkę, był na mnie naprawdę zły. Morgiano, jeśli ty rzeczywiście znasz jakieś zaklęcia, czy mogłabyś coś zrobić, bym następnym razem urodziła syna?

Morgiana uśmiechnęła się, przewlekając czótno przez osnowę.

– Ojcu Eianowi nie spodobałoby się to, że prosisz mnie o czary. Powiedziałby ci, że masz się modlić o syna do Maryi Dziewicy.

– No, jej syn był cudem, a ja już zaczynam myśleć, że jeśli kiedykolwiek znowu urodzę syna, to będzie kolejny cud – powiedziała Malina. – Może to jednak tylko ta straszna, wietrzna pogoda.

– Zrobię ci na to ziołowej herbaty – powiedziała Morgiana. – Jeżeli rzeczywiście jesteś brzemienna, przysięgam, że ci nie zaszkodzi, ale jeśli to tylko opóźnienie z powodu zimna, to sprowadzi twoje krwawienia.

– Czy to jedno z twoich magicznych zaklęć z Avalonu, matko?

Morgiana potrząsnęła głową.

– Nie, to sztuka zielarska, nic więcej – odparła i poszła do kuchni, gdzie nastawiła kociołek z ziołami na ogniu. Przyniosła wywar Malinie i powiedziała: – Wypij to tak gorące, jak tylko możesz, i kiedy przedziesz, okręć się szalem, staraj się trzymać ciepło.

Malina przyjęła wywar, opróżniła niewielki gliniany kubek i skrzywiła się:

– Och, okropne!

– Powinam była dodać do tego miodu – powiedziała Morgiana z uśmiechem – tak, jak to robię, kiedy daję napój dzieciom, gdy mają gorączkę.

Malina westchnęła i znów wzięła wrzeciono i przedzę.

– Gwyneth jest dość duża, żeby prząć, ja już przedłam, kiedy miałam pięć lat.

– I ja też – powiedziała Morgiana. – Proszę cię jednak, odłóż tę lekcję na inny dzień, bo skoro mam tutaj tkąć, to nie chcę hałasu i zamieszania.

– Dobrze, powiem niańce, żeby trzymała wszystkie dzieci na górze – powiedziała Malina.

Morgiana wyrzuciła ją ze swych myśli, gdy tylko zaczęła powoli przeciągać czółno przez osnowę, uważając, by nie pomylić wzoru. Był to szachowy wzór z brązowych i zielonych kwadratów, niezbyt skomplikowany dla dobrej tkaczki; tak długo, jak automatycznie liczyła rzędy, nie musiała w ogóle o tym myśleć... choć kołowrotek byłby lepszy... jednak wszyscy tak doskonale znali jej niechęć do przedzenia, że gdyby nagle z własnej woli się za nie wzięła, zapamiętano by to.

Czółna ślizgały się po osnowie: zielony, brązowy, zielony, brązowy, co kilka rzędów ujmowała inne czółno, zmieniając kolor. Nauczyła Malinę, jak uzyskać przy farbowaniu tę zieloną barwę, tak jak sama nauczyła się tego w Avalonie... zielony kolor młodych wiosennych liści, brązowy kolor ziemi i zwiędłego listowia, w którym dzikie świny grzebią w poszukiwaniu żółędzi... czółno ślizga się przez osnowę, grzebień dociska kolejne utkane rzędy nici, jej ręce poruszają się automatycznie, w prawo, w lewo, docisnąć rząd, chwycić drugie czółno... *żeby tak koń Avallocha poślizgnął się i upadł, a on żeby skręcił kark i wybawił mnie od tego, co muszę zrobić...* było jej zimno, drżała, ale ignorowała to siłą woli, koncentrując się tylko na przeciąganiu czółna i liczeniu rzędów... w prawo i w lewo, niech obrazy swobodnie powstają w myślach... widzi Accolona w komnacie Uriensa, grającego z ojcem w kości; widzi śpiącego Uwaina, pojękującego przez sen i wiercącego się z bólu, który czuje ból mimo znieczulenia, ale teraz rana zagoi się czysto... *żeby tak dzik rzucił się na niego, a myśliwi Avallocha spóźnili się z pomocą...*

*Powiedziałam Ninianie, że nie zabiję. Nigdy nie nazywaj tej studni, z której nie będziesz pić...* w myśli zobaczyła Świętą Studnię Avalonu, wodę tryskającą ze źródła, spływającą ze zbocza góry. Czółno w tę i z powrotem, brązowy i zielony, brązowy i zielony, jak słoneczne promienie prześwitujące przez opadłe liście na brązową ziemię, w której wzbierają wiosenne fale i napęniają las życiem, soki płyną w brązowych pniach drzew... czółno miga szybciej i

szybciej, świat zaczyna zamazywać się przed jej oczyma... *Bogini! Tam, gdzie biegniesz w gęstwinie wraz z jeleniami... wszyscy ludzie i wszystkie zwierzęta są w twych rękach...*

Wiele lat temu była Dziewicą Łowczynią, błogosławiła Rogatego Pana i wysyłała go, by biegł z jeleniami i zwyciężył lub poległ, tak jak nakaże Bogini. Powrócił do niej... Teraz nie jest już tą Dziewicą, która ma wielką moc Łowczyni. Jako Matka, z całą mocą swej płodności, utkała sieć, która przywiodła Lancelota do łóża Elaine, lecz dla niej samej macierzyństwo zakończyło się wraz z krwią przelaną przy porodzie Gwydiona... Teraz siedzi tu z czółnem w dłoni i tka śmierć, sama jak cień starej Śmierci Kostuchy. *Wszyscy ludzie są w twoich rękach, na życie i na śmierć, Matko...*

Czółno migoce, przesuwają się, ginie sprzed jej oczu, brązowy i zielony, zielony, jak liście i połączone korony drzew, tam gdzie żyją one, zwierzęta... locha węszy i chrząka, i ryje swymi długimi kłami, locha i małe prosiaczki podążające za nią w zagajniku... czółno śmiga w jej dłoniach, a ona nie widzi nic, tylko pochrząkującą i ryjącą lochę w głębi lasu.

Ceridwen, Bogini, Matko, Śmierci, Wielki Kruku... Pani życia i śmierci... Wielka Locho, pożeraczko swych młodych... Wołam cię, przyzywam cię... jeśli to jest zaprawdę to, czego żądasz, do ciebie należy wykonanie tego... wokół niej czas zatrzymał się i posunął, leży na łące, a słońce grzeje jej kark, gdy ona równocześnie biegnie przez las z Królem Bykiem, porusza się po lesie cicho, miękko... węsząc... poczuła życie, to myśliwi jadą i krzyczą. *Matko! Wielka Locho...!*

W odległym zakamarku swego umysłu Morgiana wiedziała, że jej ręce wciąż poruszają się równomiernie, zielony i brązowy, brązowy i zielony, lecz pod półprzymkniętymi powiekami nie widziała już komnaty i czółna, a tylko świeżą trawę wyrastającą pod drzewami, błoto i suche liście, zbrązowiałe po zimie, jakby na czterech nogach brodziła po pachnącym błocie... *życie Matki jest tutaj, pod drzewami...* za sobą słyszy ciche pochrząkiwania i popiskiwanie swoich prosiątek, gdy jej kły ryją ziemię w poszukiwaniu korzeni i zołędzi, brązowy i zielony, zielony i brązowy...

Przez całe jej ciało przebiega prąd, budzi każdy nerw, gdy docierają do niej odległe kroki i krzyki w lesie... jej ciało siedzi nieruchomo przed krosnami, tka brązowe nici i zmienia je na zielone, czółno za czółnem, tylko jej palce żyją, lecz z nagłym dreszczem przerażenia i ślełą wściekłością naciera do przodu, pozwala, by płynęło teraz przez nią życie lochy...

*Bogini! Oby tylko nie ucierpieli niewinni... myśliwi nic tobie nie zawinili...* Nie może uczynić nic, patrzy z przerażeniem, drży, zatacza się od zapachu krwi, krwi swojego samca... krew tryska z wielkiego dzika, to dla niej jednak nic nie znaczy, on musi zginąć tak jak Król Byk... skoro jego czas nadszedł, jego krew musi zostać przelana na ziemię... za sobą słyszy przerażone piski swoich prosiaków i nagle, jakby wypełniła ją Wielka Bogini, nie wie już, czy jest Morgianą czy Wielką Lochą, słyszy swój własny wściekły kwik i chrząkanie – i tak jak w Avalonie, gdy wznosiła ręce, by sprowadzić w dół mgły Bogini, tak teraz odrzuca głowę do tyłu, drżąc, charcząc, słysząc przerażone kwiczenie swych małych, które tupią nieprzytomne,



biegają wkoło niej, trykają jej głowę... jest niemal oszalała od tych obcych zapachów, od krwi, żelaza, obcości, wróg na dwóch nogach zbliża się, żelazo i krew i śmierć, czuje, jak sama naciera, słyszy krzyki, czuje ukłucie metalu i czerwona mgła zalewa jej oczy i brąz i zieleń lasu, czuje, jak w tej samej chwili, gdy w przejmującym bólu uchodzi z niej życie, jej kły coś rozdzierają, czuje, jak tryska krew, i wie, że nie wie już nic więcej... a czółno pracuje dalej, ciężkie teraz jak z ołowiu, ponad rozdzierającym bólem w jej brzuchu i czerwona mgła przesłaniają jej oczy, i jej łomoczącym sercem, w cichej sali, gdzie nie słyhać nic, poza szelestem czółna i cichym terkotaniem kołowrotka, w jej uszach wciąż brzmią krzyki... zachwiała się w swoim transie, wycieńczona... przechyliła się, opadła na krosna i leżała tam bez ruchu. Po jakimś czasie usłyszała głos Maliny, ale ani jej nie odpowiedziała, ani się nie poruszyła.

– Och! Gwyneth, Morg... Matko, czy ci słabo!? Och Boże, chce tkać, a potem zawsze od tego choruje... Uwain! Accolona! Chodźcie, matka upadła przy krosnach!

Czuła, jak kobiety pospiesznie rozcierają jej dłonie, wołają jej imię, usłyszała głos Accolona, czuła, jak ją bierze na ręce i podnosi. Nie mogła ani się poruszyć, ani przemówić. Pozwoliła się położyć na łożu, przynieśli jej wina, czuła, jak napój spływa w jej gardle, chciała powiedzieć, wszystko w porządku, zostawcie mnie, ale usłyszała tylko, jak wydaje ciche, przerażone chrząknięcia, i zamilkła, rozdzierał ją ból, ale wiedziała, że umierając, Wielka Locha uwolni ją, lecz najpierw ona też musi przejść agonię... i nawet kiedy tak leżała, oślepią, zamroczone, umierająca, usłyszała odgłos myśliwskich rogów i wiedziała, że przywożą do zamku ciało Avallocha, zabitego przez lochę w kilka chwil po tym, jak on zabił dzika. Przed śmiercią Avalloch zdążył z kolei zabić lochę... śmierć i krew, i odrodzenie, i przepływ życia wewnątrz lasu, jak czółno śmigające po krosnach... w tę i z powrotem...

Minęło wiele godzin. Wciąż nie mogła poruszyć żadnym mięśniem, by nie czuć potwornego, rozdzierającego bólu, ale przyjmowała ten ból niemal z wdzięcznością. *Ta śmierć nie może mi ujść zupełnie bezkarnie, lecz ręce Accolona są czyste...* Spojrzała mu w oczy. Pochylił się nad nią z troską i lękiem, byli przez chwilę sami.

– Czy możesz już mówić, moja ukochana? – szepnął. – Co się stało?

Potrząsnęła tylko głową, nie mogła mówić. Jego dłonie na jej ciele były delikatne, przynosiły ulgę. *Czy wiesz, co dla ciebie uczyniłam, ukochany?*

Pochylił się i pocałował ją. Nigdy się nie dowie, jak blisko byli nieszczęścia i zguby.

– Muszę wracać do ojca – powiedział łagodnie, smutno. – Szłocha i powtarza, że gdybym pojechał, mój brat by nie zginął, zawsze mnie o wszystko obwinia... – Jego ciemne oczy spoczęły na niej, był w nich cień niepokoju. – To ty mi zakazałaś jechać – powiedział – czy wiedziałaś o tym dzięki swoim czarom, ukochana?

Przez wyschnięte gardło zdołała wydobyć cichy głos.

– To była wola Bogini, by Avalloch nie zdołał zniszczyć tego, czego my tu dokonaliśmy – powiedziała.

Z wielkim bólem zdołała poruszyć palcem i dotknąć węży wytatuowanych na nadgarstku ręki, która gładziła jej policzek.

Jego twarz nagle się zmieniła, wyrażała teraz przerażenie.

– Morgiano! Czy masz z tym coś wspólnego?

*Och, mogłam zgadnąć, jak by na mnie, patrzył, gdyby wiedział...*

– Jak możesz pytać? – wyszeptała. – Przez cały dzień tkiałam w sali na oczach Maliny i służby, i dzieci... to była jej wola i jej czyn, nie mój.

– Ale wiedziałas? Wiedziałas?

Jej oczy napełniły się łzami i powoli potaknęła, a on znów się pochylił i ucałował jej usta.

– Niech tak będzie. To była wola Bogini – powiedział i odszedł.

### 3

Było takie miejsce w lesie, gdzie płynący strumień zbierał się pomiędzy skałami w głębokie jezioro. Morgiana siedziała tam na płaskim kamieniu nad wodą, Accolon zaś przy niej. Tutaj nikt ich nie zobaczy, poza małymi pradawnymi ludźmi, a oni nigdy by nie zdradzili swojej królowej.

– Mój drogi, od tylu lat pracujemy razem, powiedz mi, jak sądzisz, co my właściwie czynimy?

– Pani, wystarczy mi, że wiem, iż ty masz cel – odparł. – I nie muszę ci zadawać pytań. Gdybyś szukała jedynie kochanka... – uniósł rękę i chwycił jej dłoń – znaleźliby się inni, bardziej odpowiedni do takich zabaw... Kocham cię, Morgiano, i jestem szczęśliwy, szczęśliwy i dumny, że do mnie się zwróciłaś, choćby tylko po towarzystwo i odrobinę czułości, ale nie to mnie do ciebie przywiodło, jako kapłana do kapłanki... – Wahał się, rozkopując piasek czubkiem buta. – Zdaje mi się też, że jest w tym coś więcej niż tylko życzenie kapłanki, by odnowić obrzędy na tej ziemi, lub twoja potrzeba, by między nami płynęły księżycowe fale... Szczęśliwy jestem, mogąc to z tobą dzielić i wraz z tobą odnawiać wiarę, pani. Bo Panią tych ziem jesteś naprawdę, zwłaszcza dla starego ludu, który widzi w tobie twarz Bogini. Przez czas jakiś myślałem, że zostaliśmy powołani jedynie do tego, by przywrócić tu starą religię! Teraz jednak wydaje mi się, nie wiem dlaczego... – dotknął węży wijących się na jego nadgarstkach – ...że przez to jestem związany z tą ziemią, by cierpieć, a może i zginąć, jeśli zajdzie potrzeba.

*Wykorzystałam go, myślała Morgiana, tak bezwzględnie, jak Viviana wykorzystała mnie.*

– Wiem – powiedział – że taka ofiara nie była wymagana ani razu od ponad stu lat. Ale kiedy dawano mi to – końcem smagłego palca znów dotknął węży, okalających mu ręce – to pomyślałem, iż być może ja rzeczywiście zostanę wyznaczony przez Panią do pradawnej ofiary. W latach, które potem nadeszły, traktowałem tamtą myśl tylko jako zbyt bujną

wyobraźnię młodego chłopaka. Jeśli jednak mam umrzeć... – Jego głos zamarł, jak fale na spokojnej wodzie. Było bardzo cicho; słycać było, jak jakiś owad bzyka w żdźbłach trawy. Morgiana nie wyrzekła słowa, choć czuła jego lęk.

On musi sam, bez pomocy, pokonać barierę strachu, tak jak pokonała ją ona... czy Artur, czy Merlin, czy każdy, kto miał zostać poddany ostatecznej próbie. A jeżeli on ma się tej próbie poddać, musi na nią iść z własnej woli. W końcu zapytał:

– Czy zatem jest mi to przeznaczone, pani, że mam umrzeć? Myślałem, że jeśli potrzebna jest ofiara krwi, to kiedy Avalloch padł jej ofiarą... – Widziała, jak poruszają się mięśnie na jego twarzy, zacisnął szczękę i przełknął ślinę.

Wciąż nic nie rzekła, choć serce ją bolało z litości. Z jakiegoś powodu usłyszała w myślach głos Viviany: *Przyjdzie czas, że będziesz mnie nienawidziła tak bardzo, jak teraz mnie kochasz...* i znów poczuła falę miłości i bólu. Jednak utwardziła swe serce; Accolon jest starszy, niż był Artur, kiedy przystąpił do tego testu. A jeśli nawet Avalloch był rzeczywiście krwawą ofiarą złożoną Bogini, to krew innej osoby nie może go wykupić i śmierć Avallocha nie może uwolnić jego brata od obowiązku zmierzenia się z ostatecznością. W końcu Accolon westchnął głęboko i powiedział:

– Niech tak się stanie, w bitwach często stawiałem czoło śmierci. Przysięgałem Jej, nawet na śmierć, i nie złamię przysięgi. Wyjaw mi Jej wolę pani.

Dopiero wtedy wyciągnęła rękę i zamknęła jego dłoń w swojej.

– Nie sądzę, by to śmierci od ciebie żądano, a już z pewnością nie na ofiarnym ołtarzu. Jednak potrzebna jest próba, a w takiej próbie śmierć zawsze czyha u drzwi. Czy uspokoi cię, jeśli ci powiem, że ja też w ten sposób zmierzyłam się ze śmiercią? A jednak siedzę tu, u twego boku. Powiedz mi, czy jesteś zaprzysiężony Arturowi?

– Nie jestem jednym z jego towarzyszy. Widziałas sama, jak Uwain mu przysięgał, ale ja nie, tylko z własnej woli walczyłem w jego wojsku.

Morgiana była rada, choć wiedziała, że teraz użyłaby przeciw Arturowi nawet przysięgi jednego z jego towarzyszy.

– Posłuchaj mnie, kochany – powiedziała. – Artur po dwakroć zdradził Avalon a tylko król z Avalonu może znów władać na tych ziemiach. Próbowałam wiele razy przemówić do sumienia Artura i przypomnieć mu przysięgę. Nie chciał mnie jednak słuchać i wciąż z dumą dzierży swój miecz, Ekskalibur, miecz Świętych Regaliów, a z nim magiczną pochwę, którą sama dla niego zrobiłam.

Widziała, jak jego twarz blednie.

– Naprawdę masz zamiar to uczynić? Chcesz obalić Artura?

– Nie tak. Nie, chyba że znów odmówi honorowania przysięgi. Dam mu każdą okazję, by mógł stać się tym, czym być przysięgał. A syn Artura nie jest jeszcze dojrzały do takiego wyzwania. Ty nie jesteś chłopcem, Accolonie, i jesteś uczony w sztuce królowania, a nie w sztuce Druidów, mimo tego. – Szczupłym palcem dotknęła jego tatuażu. – Powiedz więc,

Accolonie z Walii, czy jeśli wszystkie inne środki zawiodą, będziesz rycerzem Avalonu i wzwiesz tego zdrajcę, by odebrać mu miecz, który ma dzięki zdradzie?

Accolon wziął głęboki oddech.

– Wyzwać Artura? Najpierw pytasz, Morgiano, czy jestem gotowy na śmierć, i mówisz do mnie zagadkami. Nie wiedziałem, że Artur ma syna.

– Jego syn to dziecię Avalonu i wiosennych ogni – powiedziała Morgiana. Myślała, że już dawno wyzbyła się tego wstydu. *Jestem kapłanką, żadnemu człowiekowi nie muszę się spowiadać ze swoich czynów...* Nie mogła się jednak przemóc, by napotkać wzrok Accolona.

– Słuchaj, a wszystko ci opowiem.

Siedział w milczeniu, gdy opowiadała mu o rytuale na Wyspie Smoka i o tym, co jej się przydarzyło. Kiedy jednak mówiła o tym, jak uciekała z Avalonu i o narodzinach Gwydiona, ujął jej małą dłoń i zamknął w mocnym uścisku.

– On już przeszedł swoją próbę – powiedziała Morgiana – ale jest młody i niedoświadczony; nikt nie sądził, że Artur złamie swą przysięgę. Artur też był młody, ale rozpoczął królowanie, gdy Uther był stary i umierający, i wszyscy rozpaczliwie szukali króla z linii Avalonu. Teraz gwiazda Artura stoi wysoko, a sława jego jest ogromna, i nawet z poparciem wszelkich mocy Avalonu Gwydion nie mógłby teraz sięgnąć po jego tron.

– To dlaczego uważasz, że ja mogę wyzwać Artura i odebrać mu Ekskalibur, i nie być natychmiast zabitym przez jego ludzi? – spytał Accolon. – A nie ma takiego miejsca na ziemi, gdzie mógłbym go wyzwać, kiedy będzie bez swojej straży.

– To prawda – powiedziała Morgiana – ale ty nie musisz z nim walczyć na tym świecie. Są inne wymiary, które nie należą do tego świata, i w jednym z takich wymiarów możesz odebrać mu Ekskalibur, do którego on stracił choćby cień prawa, a także magiczną pochwę, która chroni go przed śmiercią. Rozbrojony, nie jest niczym więcej niż każdy człowiek. Widziałam jego towarzyszy: Garetha, Lancelota, Gawaina, jak zwyciężali z nim podczas turniejów. Bez swego miecza Artur jest łatwą ofiarą. Nie jest największym z wojowników, a dzięki mocy tego miecza i pochwy nigdy zresztą nie musiał nim być. A gdy Artur zginie...

Zatrzymała się i uspokoiła głos, wiedząc, że naraża się na klątwę bratobójczyni, tę samą klątwę, na którą wahała się narażać Accolona, Gdy musiał zginąć Avalloch.

– Kiedy Artur zginie – powtórzyła w końcu, już spokojnie – ja będę stać najbliżej jego tronu, jako jego siostra. Będę rządziła z Avalonu, a ty będziesz mym mężczyzną i diukiem wojennym. To prawda, gdy nadejdzie czas, ty też zostaniesz wyzwany i powalony jako stary Król Byk... lecz zanim ten dzień nadejdzie, będziesz Królem u mego boku.

– Nigdy nie myślałem, by być królem – westchnął Accolon. – Lecz jeśli mi rozkażesz, pani, muszę czynić twoją i jej wolę. Jednakże walczyć o miecz Artura...

– Nie powiedziałam, że musisz to uczynić bez wszelkiej pomocy, jaką mogę ci dać. Dlaczegoż przez te wszystkie lata zgłębiałam tajniki magii i po co uczyniłam cię mym kapłanem? I jest ktoś większy niż ja, kto pomoże nam obojgu w tej próbie.

– Mówisz o tych magicznych królestwach? – spytał Accolon prawie szeptem. – Nie rozumiem cię.

*To mnie nie dziwi, bo sama nie wiem, co zamierzam uczynić ani co mówię,* myślała Morgiana, ale zauważyła, że w jej umyśle powstaje ta dziwna mgła przesłaniająca jej własne myśli, jak wtedy, gdy możliwa jest wielka magia. *Teraz muszę zaufać Bogini i pozwolić, by mnie prowadziła. Muszę zaufać nie tylko ja, lecz także ten, który stoi u mego boku, który weźmie miecz z rąk Artura.*

– Ufaj mi i bądź posłuszny... – Wstała, bezszelestnym, lekkim krokiem weszła w las, szukając... czego ona szuka? Kiedy się odezwała, usłyszała swój głos zmieniony, brzmiący jakby z oddali: – Czy w tym lesie rośnie leszczyna, Accolonie?

Potaknął, a ona poszła za nim do zagajnika, o tej porze roku właśnie wybuchającego młodymi liśćmi i kwieciami. Dzikie świny, które tu żerowały, wyjadły ostatki orzechów; kawałki łupin pokrywały leśne poszycie grubą warstwą. Jednak młode pędy już wystrzeliły w górę do światła, a z nich wyrosną nowe drzewa, tak by życie lasu nigdy nie umarło.

*Kwiaty, owoce i nasienie. I wszystko to powraca i rośnie, i przychodzi na światło, aż w końcu znów oddaje swe ciało Pani. Ona, która pracuje sama, w ciszy, w sercu przyrody, nie mogłaby dokonywać swych czarów bez Jego siły, tego, który biegnie z jeleniami, a w letnim upale zapładnia bogactwem jej toni.* Pod drzewami leszczyny patrzyła na Accolona i choć była świadoma, że ten człowiek jest jej kochankiem, jej wybranym kapłanem, wiedziała też, że teraz zgodził się na taką próbę, której ona sama mogłaby nie sprostać.

Na długo przed tym, nim Rzymianie przybyli na te wzgórza w poszukiwaniu ołowiu i cyny, leszczynowy gaj był miejscem świętym. Na jego skraju było jeziorko leżące między trzema świętymi drzewami: wierzbą, leszczyną i olchą – była to magia starsza nawet od magii dębu. Na powierzchni jeziorka leżało trochę uschłych liści i patyków, lecz woda była czysta i ciemna, odbijała wyraźnie brąz lasu. Kiedy Morgiana schyliła się i zaczerpnęła wody dłonią, zobaczyła w niej odbicie swej twarzy, dotknęła wodą czoła i warg. Przed jej oczyma odbita w wodzie twarz poruszyła się i zmieniła i Morgiana ujrzała dziwne, głębokie oczy kobiety ze świata starszego niż ten.

A od tego, co zobaczyła w tych oczach, coś w niej aż skurczyło się z przerażenia.

Wokół nich świat delikatnie zawirował, myślała dotąd, że ten dziwny, stary świat leży na granicach Avalonu, a nie w odległych wzgórzach Północnej Walii. Jednakże jakiś głos powiedział cicho w jej umyśle: *Ja jestem wszędzie, tam, gdzie leszczyna odbija się w świętej wodzie, tam i ja jestem.* Usłyszała, jak Accolon wzdycha z lękiem i podziwem, i odwracając się, ujrzała, że pani czarownicy krainy jest wraz z nimi, że stoi milcząca i wyprostowana, w swych połyskujących szatach, a nad jej czołem bieli się korona z nagich kwiatów łożyny.

Czy to ona przemówiła, czy pani?

*Są inne próby niż bieg jeleni...* i nagle przez leszczynowy gaj przeszedł jakby dźwięk myśliwskiego rogu, daleki i nieuchwytny. A może to tylko gaj szumiął? A potem leżące liście

uniosły się i zawirowwały, i nagle powiał porywisty wiatr, gałęzie trzeszczały i gięły się, a po całym ciele i we krwi Morgiany przebiegł dreszcz strachu.

On nadchodzi...

Powoli, trwożliwie obejrzała się i zobaczyła, że nie są już tylko w trójkę w leszczynowym gaju... tam, na skraju światów, stał on...

Nigdy nie zapytała Accolona, co on wtedy ujrzał... z miejsca, gdzie stali, ona widziała tylko cień korony poroża, jasne liście mieniające się złotem i czerwienią... ciemne oczy... kiedyś zległa z nim na leśnej ściółce, takiej jak ta, lecz tym razem nie przyszedł do niej, i wiedziała o tym. Teraz i ona, i nawet pani, muszą się usunąć. Jego krok, choć tak lekki, wciąż jednak wzniewał wiatr, który miotał liśćmi i giął drzewa. Rozwiane włosy opadły jej na czoło, dokoła furkotały na wietrze jej szaty. Był ciemny i wysoki i wydawało się, że jest zarazem odziany w najdroższe szaty i w same liście, a równocześnie mogłaby przysiąc, że połyskiwało przed nimi jego nagie, gładkie ciało. Dał znak, podnosząc smukłą dłoń, i Accolon jak zaczarowany zaczął powoli, krok po kroku, podchodzić do niego... i równocześnie ona widziała Accolona w koronie z poroża, odzianego w szaty z liści, migoczącego w tym dziwnym, nieruchomym, zaczarowanym świetle. Wiatr ją oślepił, dusił, miotał nią; wiedziała, że w gaju są też inne twarze i postaci, których jednak nie widziała wyraźnie, ta próba nie była dla niej, lecz dla mężczyzny u jej boku. Wydało jej się, że znów słyszy dźwięk myśliwskich rogów i tętent końskich kopyt, czy ci jeźdźcy byli w powietrzu, czy podkowy uderzały o ziemię z tym wielkim hałasem, który zagłuszał wszelkie myśli? Wiedziała, że Accolona nie ma już przy niej. Stała, obejmując pień leszczyny, chowając twarz; nie wiedziała, nigdy się nie dowie, nie dla niej była wiedza, jaką formę przybrała próba Accolona... nie w jej mocy było rozkazywać czy rozumieć. Przywołała moce Rogatego Pana poprzez Panią, a on poszedł tam, gdzie ona udać się nie mogła.

Nie wiedziała, jak długo tam stała, wczepiona w drzewo leszczyny, przyciskając boleśnie czoło do dziupli w pniu... a potem wicher ustał i Accolon był przy niej. Stali razem, sami w leszczynowym gaju, słysząc jedynie uderzenia gromów na ciemnym, lecz bezchmurnym niebie, na którym tarcza słońca świeciła matowo jak metal spoza okręgu księżyca, a na dziennym niebie pojawiły się gwiazdy. Accolon objął ją ramieniem.

– Co to jest? Co to jest? – wyszeptał.

– To zaćmienie. – Jej głos był spokojniejszy, niż sama się tego spodziewała. Czowała, jak pod dotknięciem jego ręki, cieplej i żywej, bicie jej serca powraca do normalności. Pod jej stopami ziemia znów była twarda i pewna, ziemia leszczynowego gaju, a gdy spojrzała na powierzchnię jeziora, ujrzała kawałki gałęzi przywiane tym niesamowitym wichrem, który wcześniej szalał po lesie. Gdzieś odezwał się ptak przestraszony nagłą ciemnością, a u jej stóp mały, różowy prosiaczek rył w kupce zwiędłych liści. Nagle zaczęło się pojawiać niesamowicie jasne światło, a ona ujrzała, że cień księżyca opuszcza słoneczną tarczę.

– Odwróć oczy! Możesz teraz oślepnąć, ciemność ustępuje!

Pochylił nad nią twarz. Włosy miał wciąż potargane wiatrem nie z tego świata, a do nich uczepiony był purpurowy liść, na widok którego Morgiana zadrżała, gdy tak stali, tuląc się pod świeżo rozkwitającymi pączkami leszczyny.

– On odszedł... – powiedział Accolon szeptem. – I ona... a może to byłaś ty? Morgiano, czy to się wydarzyło? Czy to było rzeczywiste?

Morgiana, patrząc w jego piękną twarz, ujrzała w jego oczach coś, czego nigdy tam przedtem nie było... błysk czegoś nieludzkiego.

Wyciągnęła purpurowy liść z jego włosów i pokazała mu go.

– Ty, który nosisz węże... czy potrzebujesz pytać?

– Och... – Poczowała, jak przez jego ciało przebiega dreszcz.

Gwałtownym, dzikim ruchem wyrwał z jej dłoni purpurowy liść i rzucił go na ziemię. – Wydawało mi się, że jadę wysoko ponad światem – powiedział, wciągając głęboko powietrze – i że widzę takie rzeczy, jakich żadnemu śmiertelnikowi nigdy nie dane było oglądać... – A potem przygarnął ją, ze ślepym pośpiechem zaczął zdzierać z niej suknię i popchnął ją na ziemię.

Pozwoliła mu to robić i leżała oszołomiona na wilgotnej ściółce, gdy wdarł się w nią dziko, ponaglany siłą, której sam nie rozumiał. Kiedy milcząc, poddawała się tej niesamowitej mocy, wydało jej się, że jego twarz znów ocienia poroże, lub purpurowe liście; nie odczuwała bólu, była tylko pasywną ziemią pod uderzeniami wiatru i deszczu, gromu i piorunów, a potem było tak, jakby piorun uderzył w nią samą, przeszył ją wskroś i wszedł w ziemię pod jej ciałem...

Potem ciemności całkiem ustąpiły, a dziwne gwiazdy świecące w środku dnia zniknęły. Dłonie Accolona były znów delikatne i przeprasające, pomagały jej wstać, włożyć pogniecioną i potarganą suknię. Pochylił się, by ją pocałować, wyjąkać jakieś wytłumaczenie jakieś słowo przeprosin, lecz ona uśmiechnęła się i położyła mu palec na ustach.

– Nie, nie, nie trzeba...

Las znów był cichy, a wokół nich rozlegały się tylko zwyczajne odgłosy spokojnego dnia.

– Musimy wracać, ukochany – powiedziała spokojnie. – Zauważą, że nas nie ma, a wszyscy pewnie teraz krzyczą i rozpamiętują zaćmienie, jakby to był jakiś przedziwny cud natury... – Uśmiechnęła się do siebie; dzisiaj widziała coś o wiele dziwniejszego niż zaćmienie. Ręka Accolona była chłodna i spokojna w jej dłoni.

– Nigdy nie wiedziałem, że ty... – szepnął, kiedy szli – ...że...ty wyglądasz tak jak ona, Morgiano...

*Bo ja jestem nią.* Jednak Morgiana nie wypowiedziała tych słów głośno. Dopiero zaczynał. Być może powinien być lepiej przygotowany na tę próbę, a jednak stanął do niej, gdy musiał, i został przyjęty przez coś daleko przewyższającego jej własną, słabą moc.

Nagle przeszedł ją chłód i spojrzała w jego uśmiechniętą, ukochaną twarz. Został przyjęty. To jednak nie znaczy, że zwycięży. To znaczy jedynie, że może przystąpić do ostatecznej próby, dla której to było zaledwie początkiem.

*Nie czułam się tak, gdy jako Panna Wiosenna wysyłałam Artura na jego próbę. Och Bogini, jakże młoda byłam wtedy, jacy młodzi byliśmy oboje... gdyż nie wiedzieliśmy dokładnie, co czynimy. A teraz, kiedy jestem na tyle dojrzała, by wiedzieć, co czynię, jak mam znaleźć odwagę, by wystać go na spotkanie śmierci?*

#### 4

W wigilię Zielonych Świątek Artur i jego królowa zaprosili na prywatną kolację wszystkie osoby powiązane z tronem więzami krwi. Następnego dnia miała się odbyć zwyczajowa wielka ucza dla lennych królów, rycerzy i towarzyszy Artura, lecz Gwenifer, starannie dobierając szaty, czuła, że to ten wieczór będzie dla niej trudniejszym przeżyciem. Od dawna pogodziła się już z nieuniknionym.

Jutro jej pan i małżonek publicznie ogłosi to, co od dawna było rzeczą wiadomą. Jutro Galahad zostanie pasowany na rycerza Okrągłego Stołu. Och, wiedziała o tym od lat, tak, lecz wtedy Galahad był tylko małym, jasnowłosym chłopczykiem, wychowywanym gdzieś daleko na ziemiach Pellinora. Kiedy o nim myślała, nawet bywała zadowolona; to syn Lancelota z jej własną kuzynką Elaine, teraz już nieżyjącą, gdyż zmarła przy kolejnym porodzie. Był odpowiednim kandydatem na następcę tronu. Teraz jednak czuła, że jest on żywym zarzutem wobec starzejącej się królowej, której życie nie dało owoców.

– Jesteś strapiona – powiedział Artur, przyglądając się jej twarzy, gdy zakładała na czoło wąską koronę. – Przykro mi, Gwenifer, myślałem, że to będzie dobra okazja, by poznać chłopca, a muszę to uczynić, jeśli ma przejąć po mnie tron. Mam im powiedzieć, że niedomagasz? Nie musisz się pokazywać. Możesz go spotkać przy innej okazji.

Gwenifer zacisnęła usta.

– Ta chwila jest tak samo dobra jak każda inna.

– Nie widuję Lancelota tak często, jak dawniej, to będzie dobra okazja, by znów z nim porozmawiać – powiedział Artur, ujmując ją za rękę.

Jej usta drgnęły w grymasie, który nie był bynajmniej uśmiechem, jaki chciała okazać.

– Dziwię się, że tak mówisz. Nie nienawidzisz go?

Artur uśmiechnął się zmieszany.

– Byliśmy wtedy o tyle młodszy. Wydaje się, jakby to wszystko wydarzyło się w innym świecie, a Lance jest ciągle moim najdroższym przyjacielem, niemal bratem, tak jak Kaj.



– Kaj jest twoim przybranym bratem – powiedziała Gwenifer – a jego syn Artur jest jednym z twych najwierniejszych rycerzy. Wydaje mi się, że z niego byłby lepszy następca tronu niż z Galahada...

– Młody Artur to dobry człowiek i godny zaufania rycerz. Lecz krew Kaja nie jest królewska. Bóg jeden wie, ile razy przez te lata żałowałem, że Ektoriusz nie był naprawdę moim rodzonym ojcem... jednak nie był nim i to kończy sprawę, Gwen. – Po chwili wahania odezwał się ciszej, nigdy wcześniej o tym nie mówił, od czasu tamtych pamiętnych, strasznych Zielonych Świątek... – Słyszałem, że ten drugi chłopiec... syn Morgiany, jest w Avalonie.

– Nie! – Gwenifer wyciągnęła rękę, jakby chciała osłonić się przed ciosem.

– Załatwię to tak, żebyś ty nie musiała go spotykać – powiedział, nie patrząc na nią. – Jednak królewska krew to królewska krew i coś powinienem dla niego uczynić. Nie może objąć mego tronu, księża na to nie pozwolą...

– O – wybuchnęła Gwenifer – a gdyby księża się zgodzili, to przypuszczam, że ogłosiłbyś swym następcą syna Morgiany!

– Będą tacy, którzy spytają, czemu tego nie uczyniłem – odparł Artur. – Chcesz, bym spróbował im to wytłumaczyć?

– Więc powinienes trzymać go z dala od dworu – powiedziała Gwenifer, myśląc: *Nie wiedziałam, że mam taki piskliwy głos, kiedy jestem zła.* – Czego na tym dworze może szukać ktoś, kto był wychowywany w Avalonie jako Druid?

– Merlin Brytanii jest jednym z moich doradców – odrzekł sucho. – I tak było zawsze, Gwen. Ci, którzy uznają Avalon, też są moimi poddanymi. Napisane jest: *Mam też inne owieczki, które nie są z mego stada...*

– Bluźnierczy żart – zauważyła Gwenifer, starając się odezwać już łagodniejszym głosem – i niezbyt odpowiedni na wilię Zielonych Świątek.

– Przed tym świętem zawsze było letnie przesilenie, moja kochana. Teraz przynajmniej nie płoną już w tym dniu ognie, nawet na Wyspie Smoka, ani, o ile mi wiadomo, nigdzie w odległości trzech dni drogi od Kamelotu, poza samym Avalonem.

– Jestem pewna, że księża ustawili strażę na wyspie Glastonbury, tak by nikt nie mógł tam pojechać ani stamtąd wrócić...

– To będzie smutny dzień, kiedy na zawsze stracimy Avalon – powiedział Artur – tak jak przykro jest ludziom na wsiach, że tracą swe własne święta... ci w miastach być może nie czują potrzeby starych obrzędów. O tak, wiem, jest tylko jedno imię w niebiesiech, które może nas zbawić, lecz być może ci, którzy żyją w tak bliskim związku z ziemią, potrzebują czegoś więcej niż zbawienia...

Gwenifer już miała się odezwać, ale zachowała milczenie. Kevin jest tylko starym, powykręcany kaleką i Druidem, a dni Druidów wydawały jej się teraz tak odległe, jak czasy Rzymian. Kevin bardziej jest zresztą znany na dworze jako wspaniały harfiarz, niż jako

Merlin Brytanii. Księża nie szanują go jako dobrego i miłego człowieka, tak jak niegdyś Taliesina. Język Kevina jest szybki i cięty w debatach. Jednak jego wiedza o starych obrzędach i prawach przewyższa nawet wiedzę Artura i Artur nauczył się zwracać do niego, jeśli tylko istniał problem dotyczący starych obyczajów czy praw, który wymagał rozwiązania.

– Jeśli to nie jest ściśle rodzinna uczta, to dam rozkaz, by Kevin dziś dla nas zagrał.

Artur uśmiechnął się i powiedział:

– Mogę posłać i go zaprosić, jeśli chcesz, lecz takiej muzyki, jak jego, nie można mieć na rozkaz, nawet królewski. Mogę go zaprosić, by wieształ przy naszym stole, i błagać, by zaszczylił nas pieśnią.

– A więc król błaga swego poddanego? Czyż nie powinno być odwrotnie?

– We wszystkim trzeba zachować równowagę – powiedział Artur. – To jedna z rzeczy, której się nauczyłem podczas mego panowania, że w pewnych sprawach król nie może rozkazywać, a musi prosić. Być może rzymscy cesarze upadli właśnie dlatego, iż popadli w to, co mój nauczyciel nazywał *hubris*, myśląc, że ich władza jest nieograniczona... Cóż, moja pani, goście czekają. Czy jesteś już dostatecznie piękna?

– Znowu sobie ze mnie żartujesz – odparła. – Wiesz, ile mam lat.

– Nie jesteś starsza ode mnie – powiedział Artur – a mój szambelan powiada, że ze mnie wciąż przystojny mężczyzna.

– Och, to co innego. Mężczyźni nie starzeją się tak jak kobiety. – Spojrzała na jego twarz, na której z latami pojawiły się tylko nieliczne zmarszczki. Był mężczyzną w sile wieku.

– Nie wypadaloby, żebym miał u swego boku młodą dziewczynę – powiedział, biorąc ją za rękę. – Ty do mnie pasujesz.

Podeszli do drzwi, gdzie szambelan coś po cichu powiedział do Artura, a ten z kolei zwrócił się do Gwenifer:

– Będą przy naszym stole niespodziewani goście. Gawain przysłał wiadomość, że przyjechała jego matka, tak więc musimy zaprosić również Lamoraka, bo jest jej partnerem i towarzyszem podróży. Nie widziałem Morgause od wielu lat, lecz to także moja krewna. I będzie król Uriens i Morgiana ze swymi synami...

– No to rzeczywiście będziemy mieli rodzinną ucztę...

– O tak, i będzie Gareth i Gawain, Gaheris jest w Kornwalii, a Agravein nie mógł opuścić Lothianu – powiedział Artur, a Gwenifer poczuła dawny ból... Lot z Lothianu miał tylu synów... – Cóż, moja droga, wszyscy nasi goście zebrali się już w małej sali. Czy pójdziemy ich powitać?

Wielka sala Okrągłego Stołu była dominium Artura, męskim miejscem, gdzie zbierali się rycerze i wojownicy. Gwenifer czuła się naprawdę królową dopiero w tej małej sali, udekorowanej kobiercami, które specjalnie zamówiła z Galii, i wysokimi stołami i ławami. Z każdym dniem stawała się większym krótkowidzem; kiedy teraz weszła do sali, najpierw

dostrzegła tylko kształty i kolory kobiecych sukien i barwnych szat mężczyzn. Ta olbrzymia postać, z szopą piaskowych włosów, tak, to jest Gawain – podszedł skłonić się królowi, a gdy się wyprostował, zamknął swego kuzyna w wielkim, niedźwiedzim uścisku. W jego ślady, choć skromniej, poszedł Gareth, a Kaj podszedł, klepnął Garetha w ramię i nazwał go po staremu „Przystojniakiem”. Zaczął też wypytywać o gromadę jego dzieci, które były jeszcze za małe, by przybyć na dwór. Pani Lionors jak zwykle była właśnie w połogu z ostatnim, a Gareth mieszkał teraz w ich zamku na północy, blisko rzymskiego muru. Czy ma już dziewięcioro dzieci czy ośmioro? – wypytywał Kaj. Gwenifer tylko dwa razy widziała panią Lionors, bo wedle tego, co mówił Gareth, ona zawsze akurat albo karmiła, albo za chwilę znów miała rodzić. Gareth nie miał już tej ślicznej twarzy, lecz był przystojny jak zawsze. W miarę jak Artur, Gawain i Gareth starzeli się, podobieństwo między nimi stawało się bardziej widoczne. Teraz Garetha ścisnął szczupły człowiek z czarnymi, kręconymi włosami, w których przeblyskiwały pasemka siwizny i Gwenifer przygryzła wargę; Lancelot ani trochę się nie zmienił przez te lata, jedynie stał się jeszcze przystojniejszy.

Uriens nie miał nic z tej magicznej odporności na czas. W końcu zaczął wyglądać bardzo staro, choć wciąż był silny i trzymał się prosto. Włosy miał całkiem białe, a Gwenifer usłyszała, jak tłumaczył Arturowi, że dopiero co wydobrzył z płucnej gorączki, a tej wiosny pochował najstarszego syna, zabitego przez dziką lochę.

– Tak więc teraz ty zostaniesz pewnego dnia królem Północnej Walii, panie Accolonie? Cóż, niech i tak będzie, Bóg dał, Bóg wziął, jak mówi Pismo – powiedział Artur.

Uriens chciał się skłonić, by ucałować dłoń Gwenifer, lecz zamiast tego ona się nachyliła i ucałowała policzek staruszka. Był śmiesznie ubrany na zielono i miał na sobie piękny brązowo-zielony płaszcz.

– Nasza królowa robi się coraz młodsza – powiedział, uśmiechając się miło. – Można by pomyśleć, że długo przebywałaś w czarownej krainie, krewniaczk.

Gwenifer się zaśmiała:

– Być może winnam sobie wymalować na twarzy zmarszczki, by biskupi nie pomyśleli, że nauczyłam się zakłęb niegodnych chrześcijańskiej kobiety, lecz takie żarty nie przystoją w wilię świętego dnia. Cóż, Morgiano – choć raz mogła powitać swą szwagierkę żartem – ty wydajesz się nawet młodsza ode mnie, a wiem, że jesteś starsza. Jakie czary ty stosujesz?

– Żadnych – odparła Morgiana swym pięknym, niskim głosem. – Tyle że w tej krainie na końcu świata tak niewiele spraw zaprzęta mój umysł, iż wydaje mi się, że czas tam nie płynie, więc może dlatego się nie starzeję.

Teraz, kiedy Morgiana podeszła bliżej, Gwenifer mogła jednak zauważyć niewielkie ślady czasu na jej twarzy; skóra była wciąż gładka, lecz wokół oczu pojawiły się maleńkie zmarszczki, a powieki lekko opadały. Dłoń, którą podała Gwenifer, była chuda i koścista, tak że pierścienie luźno dzwoniły na palcach. *Morgiana jest przynajmniej pięć lat starsza ode*

*mnie*, myślała Gwenifer i nagle wydało jej się, iż nie są wcale dwoma kobietami w średnim wieku, lecz tymi młodymi dziewczętami, które spotkały się w Avalonie.

Lancelot podszedł i najpierw przywitał się z Morgianą. Gwenifer nie przypuszczała, że wciąż może być targana tym dzikim uczuciem zazdrości... *Teraz, gdy Elaine nie żyje... a mąż Morgiany jest tak stary, że z pewnością nie doczeka kolejnego Bożego Narodzenia...* Słyszała, jak Lancelot wypowiada jakiś komplement, słyszała słodki, niski śmiech Morgiany.

*Ale ona nie spogląda na Lancelota jak na kochanka... jej oczy szukają księcia Accolona, z niego także piękny mężczyzna... cóż, jej mąż ma dwa razy tyle lat, co ona...* i Gwenifer odczuła uzasadnione oburzenie.

– Powinniśmy siadać do stołu – powiedziała i skinęła na Kaja. – Galahad musi odejść o północy, by czuwać przy swym orężu, a być może, jak wielu młodych ludzi, będzie przedtem chciał wypocząć, by nie był śpiący...

– Nie będę śpiący, pani – odparł młodzieniec, a Gwenifer znów poczuła ten ból. Z miłą chęcią chciałyby mieć tego jasnowłosego chłopca za syna. Był wysoki, barczysty i o wiele przerastał Lancelota. Jego twarz wydawała się błyszczeć od szorowania i od cichej radości. – To wszystko jest dla mnie takie nowe, Kamelot to takie piękne miasto, że aż mi trudno uwierzyć, iż to wszystko prawdziwe! I przyjechałem tu z moim ojcem, całe życie matka opowiadała mi o nim, jakby był królem albo świętym, daleko ponad śmiertelnymi ludźmi.

– Och, Lancelot jest całkowicie śmiertelny, Galahadzie – powiedziała Morgiana – i jeśli dostatecznie dobrze go poznasz, sam się o tym przekonasz.

Galahad grzecznie skłonił się Morgianie.

– Pamiętam cię, pani – powiedział. – To ty przyjechałaś i zabrałaś od nas Nimue, a moja matka płakała... Czy moja siostra ma się dobrze, pani?

– Nie widziałam jej od kilku lat, ale gdyby nie miała się dobrze, usłyszałabym o tym.

– Pamiętam tylko, że byłem na ciebie zły, bo mówiłaś mi, że nie mam racji we wszystkim, byłaś taka pewna wszystkiego, a moja matka...

– Nie wątpię, że matka powiedziała ci, iż jestem złą czarownicą – powiedziała Morgiana i uśmiechnęła się. Chytra jak kotka, pomyślała Gwenifer, gdy purpurowy rumieniec pokrył twarz Galahada. – Cóż, Galahadzie, nie ty pierwszy tak o mnie sądzisz... – Teraz uśmiechnęła się do Accolona, a on odwzajemnił jej uśmiech tak otwarcie, że Gwenifer była zaskoczona.

– Czy zatem jesteś czarodziejką, pani? – zapytał Galahad śmiało.

– Cóż – powiedziała Morgiana z tym swoim kocim uśmiechem. – Twoja matka miała swoje powody, by tak o mnie myśleć. Skoro już odeszła, mogę wam wszystko wyjawić. Lancelocie, czy Elaine nigdy nie opowiadała ci, jak płakała i błagała mnie o zaklęcie, które zwróci na nią twoje oczy?

Lancelot odwrócił się do Morgiany i Gwenifer wydało się, że jego twarz ścisnął grymas bólu.

– Po co sobie żartować z czasów, które dawno minęły, kuzynko?

– Och, ależ ja wcale nie żartuję – powiedziała Morgiana i na chwilę podniosła wzrok, by napotkać oczy Gwenifer. – Pomyślałam wtedy, że i tak już czas, byś przestał łamać kobiece serca w obu królestwach Brytanii i Galii. Tak więc doprowadziłam do tego małżeństwa i wcale nie żałuję, bo teraz masz wspaniałego syna, który jest dziedzicem królestwa mego brata. Gdybym się nie wtrąciła, nie ożeniłbyś się i wciąż byś łamał serca nas wszystkich... Czyż nie tak, Gwen? – dodała z radosnym okrucieństwem.

*Wiedziałam, ale nie sądziłam, że Morgiana wyzna to tak otwarcie...* Gwenifer szybko skorzystała z królewskiego przywileju zmiany tematu.

– A jak się miewa moja imienniczka, mała Gwenifer?

– Jest przyrzeczona na żonę synowi Lionela i pewnego dnia będzie królową Mniejszej Brytanii. Biskupi orzekli, że pokrewieństwo jest zbyt bliskie, ale można dostać dyspensę, zapłaciłem kościołowi wielką sumę, by przymknął na to oko, Lionel także zapłacił. Dziewczynka ma dopiero dziewięć lat i ślub będzie nie prędzej jak za kolejne sześć.

– A twoja starsza córka? – spytał Artur.

– Ona jest w klasztorze, panie – odparł Lancelot.

– Czy to właśnie powiedziała ci Elaine? – spytała Morgiana, w jej oczach znów pojawił się złośliwy błysk. – Nimue jest w krainie twej rodzonej matki, w Avalonie, Lancelocie. Nie wiedziałeś o tym?

– To wszystko jedno – odparł spokojnie. – Kapłanki z Domu Dziewcząt są jak zakonnice w świętym kościele, żyją w czystości i spędzają czas na modlitwach, i na swój sposób też służą Bogu... – Lancelot szybko odwrócił się do królowej Morgause, która właśnie do nich podchodziła. – Cóż, ciociu, nie mogę powiedzieć, byś była absolutnie nietknięta przez czas, lecz ten czas potraktował cię nadzwyczaj łaskawie.

*Ona wygląda zupełnie jak Igriana! Słyszałam tylko plotki i śmiałam się z niej, ale teraz sama mogę uwierzyć, że młody Lamorak jest przez nią oczarowany i jest z nią z miłości, nie dla zaszczytów!* Morgause była wysoką kobietą, wciąż miała bujne, rude włosy, spływające teraz w luźnych splotach na zieloną suknię uszytą z ogromnej ilości brokatowego jedwabiu, haftowanego perłami i złotymi nićmi. W jej włosach błyszczał wąski diadem z pięknym topazem.

Gwenifer wyciągnęła ramiona i uściskała krewniaczkę, mówiąc:

– Jak ty przypominasz Igriane, królowo Morgause! Bardzo ją kochałam i wciąż często o niej myślę.

– Kiedy byłam młodsza, to zdanie by mnie doprowadziło do rozpacz, Gwenifer. Byłam wściekła, że moja siostra jest piękniejsza ode mnie i że ma u swych stóp tylu panów i królów. Teraz pamiętam jedynie, że była piękna i dobra, i jestem szczęśliwa, wiedząc, że wciąż ją przypominam. – Odwróciła się, by ucałować Morgianę, a Gwenifer zauważyła, jak Morgiana dosłownie zginęła w uścisku wyższej kobiety; tak Morgause nad nią góruje... *Dlaczego kiedykolwiek bałam się Morgiany? To tylko taka maleńka osoba, i królowa nieważnego*

królestwa... Morgiana była odziana w suknię z prostej, ciemnej wełny i nie miała na sobie żadnych klejnotów, poza skromnym naszyjnikiem i jakąś srebrną bransoletką. Jej włosy, jak zawsze czarne i bujne, były zwyczajnie zaplecione i owinięte wokół głowy.

Podszedł do nich Artur, by przywitać się ze swą siostrą i ciotką.

Gwenifer ujęła dłoń Galahada w swoją:

– Usiądziesz przy mnie, kuzynie. – *O tak, to jest syn, jakiego powinnam była urodzić Lancelotowi albo Arturowi...* – A teraz, kiedy już poznałeś swego ojca – mówiła, kiedy siadali – czy odkryłeś, tak jak powiedziała Morgiana, że nie jest on świętym, lecz po prostu przemiłym człowiekiem?

– Tak, ale czymże innym są święci? – spytał Galahad, oczy mu błyszczały. – Nie mogę o nim myśleć jedynie jako o zwykłym człowieku, pani, bo on z pewnością jest kimś więcej. On też jest królewskim synem i jestem przekonany, że gdyby wybierano najlepszego, a nie najstarszego, to właśnie on by teraz władał w Mniejszej Brytanii. Myślę, że szczęśliwy jest człowiek, którego ojciec jest także jego bohaterem. Miałem trochę czasu, by porozmawiać z Gawainem, on pogardzał swym ojcem i bardzo źle o nim myślał, lecz o moim ojcu nikt nigdy nie wyraża się inaczej, jak tylko z podziwem i miłością!

– Mam więc nadzieję, że będziesz go zawsze postrzegał jako bohatera bez skazy – powiedziała Gwenifer.

Usadziła Galahada pomiędzy sobą i Arturem jak przystało na adoptowanego następcę tronu. Artur postanowił posadzić po swej drugiej stronie królową Morgause, dalej Gawaina, a przy nim Uwaina, który był przyjacielem i protegowanym Gawaina, tak jak kiedyś Gareth był młodym przyjacielem Lancelota.

Przy stole prostopadłym do królewskiego siedziała Morgiana ze swym mężem i inni goście; wszyscy byli spokrewnieni, lecz Gwenifer nie widziała wyraźnie ich twarzy. Wykręcała szyję i mrużyła oczy, sama siebie za to ganiąc – od mrużenia oczu będzie wyglądała brzydko. Pomasowała małą zmarszczkę między brwiami. Nagle przyszło jej do głowy, czy przypadkiem jej dawny lęk przed otwartą przestrzenią nie brał się stąd, że po prostu zawsze była krótkowidzem? Czy bała się świata tylko dlatego, że nigdy nie mogła go tak naprawdę zobaczyć?

– Czy zaprosiłeś Kevina na naszą ucztę? – spytała Artura przez ramię Galahada, któremu dopisywał apetyt wciąż rosnącego chłopca.

– Tak, ale przysłał odpowiedź, że nie może przyjść. Skoro nie może być w Avalonie, być może świętuje ten dzień na swój własny sposób. Zaprosiłem też biskupa Patrycjusza, ale on czuwa w kościele, spotkasz się tam z nim o północy, Galahadzie.

– Myślę, że pasowanie na króla czy rycerza musi być podobne do składania kapłańskich ślubów – powiedział Galahad wyraźnie.

Była akurat przerwa w ogólnej rozmowie, tak że jego słowa usłyszano w najdalszych krańcach stołu.

– Ja czułem właśnie coś takiego, chłopcze – powiedział Gareth. – Niech Bóg da, abys zawsze myślał w ten sposób.

– Zawsze chciałem, by moi rycerze byli ludźmi oddanymi dobrej sprawie – dodał Artur. – Nie wymagam, by byli święci, lecz zawsze miałem nadzieję, że będą dobrymi ludźmi.

– Może tej młodzieży dane będzie żyć w świecie, w którym łatwiej jest być dobrym – powiedział Lancelot do Artura, a Gwenifer wydało się, że w jego głosie brzmi smutek.

– Ależ ty jesteś dobry, ojcze – powiedział Galahad. – Wzdłuż i wszerz tych ziem mówi się, że jesteś najlepszym rycerzem Artura.

Lancelot zaśmiał się zawstydzony.

– O tak, jak ten saksoński bohater, który wyrwał ramię bestii z jeziora. Moje czyny i przygody opiewa się w pieśniach, bo prawdziwe opowieści nie są na tyle podniecające, by je powtarzać przy zimowym ogniu.

– Ale ty zabiłeś smoka, prawda, ojcze? – spytał Galahad.

– O tak, i to była dostatecznie potworna bestia, tak myślę. Twój dziadek ma jednak w jego zabiciu taki sam udział, jak ja – odparł Lancelot. – Gwenifer, moja pani, nigdy tak dobrze się nie ucztuje, jak przy twoim stole.

– Za dobrze – wtrącił Artur, wesoło klepiąc się po brzuchu. – Gdyby takie ucztzy zdarzały się częściej, byłbym taki gruby, jak któryś z tych saksońskich królów. A jutro Zielone Świątki i kolejna uczta, dla jeszcze większej liczby gości, nie wiem, jak moja pani to robi!

Gwenifer poczuła radosną dumę.

– Ta uczta jest moja, ale ta jutrzejsza to wyczyn Kaja, prosiaki już się na nią pieką. Panie Uriensie, ależ ty w ogóle nie jesz mięsa...

– Może tylko małe ptasie udko – powiedział Uriens. – Od czasu, kiedy zginął mój syn, przysiągłem sobie nie tknąć mięsa dzikiej świni.

– A twa królowa dzieli z tobą te śluby? – spytał Artur. – Morgiana jak zwykle pości, nie dziwota, że jesteś taka drobna i delikatna, siostrz!

– To dla mnie żadne wyrzeczenie nie jeść dziczyzny.

– Czy twój głos jest tak słodki, jak dawniej, siostrz? Skoro Kevin nie mógł przybyć, może ty dla nas zaśpiewasz i zagrasz?

– Gdybyś mnie uprzedził, to bym się tak nie objadła. Teraz nie mogłabym śpiewać, może później.

– No to ty, Lancelocie – nalegał Artur.

Lancelot ociągał się, ale skinął na służącego, by podał mu harfę.

– Kevin zaśpiewa wam jutro jak należy, ja nie mogę się z nim równać. Ułożyłem słowa z pieśni saksońskiego barda. Kiedyś mawiałem, że mogę wytrzymać z Saksonami, byle nie z ich muzyką.

Ale kiedy mieszkałem między nimi w zeszłym roku, usłyszałem tę pieśń i zapłakałem, kiedy jej słuchałem, i spróbowałem na swój skromny sposób przełożyć ją na nasz język... –

Wstał ze swego miejsca i ujął niewielką harfę. – To dla ciebie, mój królu, gdyż mówi o smutku, który poznałem, gdy żyłem z dala od dworu i mego króla. Melodia jest jednak saksońska. Przedtem sądziłem, że wszystkie ich pieśni mówią tylko o wojnach i bitwach, i walce.

Zaczął grać piękną, smutną melodię, jego palce nie były tak sprawne jak palce Kevina, lecz ta rzewna pieśń miała swą własną moc, która wkrótce uciszyła całe towarzystwo. Śpiewał lekko zachrypniętym głosem niewprawnego śpiewaka:

*Jaki smutek równy jest rozpaczy człeka samotnego?  
Kiedyś żyłem blisko mego umiłowanego króla,  
A dłoń ma ciężka była od pierścieni, które mi darował.  
A serce moje ciężkie od złota jego miłości.  
Twarz króla jest jak słońce, dla tych, co go otaczają,  
Lecz teraz me serce jest puste  
I samotnie błąkam się po świecie.  
Gaje zakwitają,  
Krzewy i kwiaty pachną,  
Lecz kukułka, ten smętny śpiewak,  
Wyplakuje samotny smutek mego wygnania,  
A serce moje spragnione  
Tego, czego już nie ujrzę nigdy,  
Wszystkie twarze są dla mnie jednakie, odkąd nie widzę lica mego króla,  
I krainy wszystkie są jednakie,  
Odkąd nie mogę ujrzeć jasnych pól i łąk mej ojczyzny.  
Wstanę więc i pójdę za tęsknotą serca  
Bo czymże są piękne pola i łąki,  
Skoro nie widzę twarzy mego pana,  
A ciężar na mej dłoni to tylko pasek złota,  
Kiedy w sercu już nie ma ciężaru miłości.  
A więc pójdę wędrować,  
Tam, gdzie płyną ryby,  
I tam, gdzie żyją wieloryby,  
I poza krainę fal.  
Nikt nie będzie mi towarzyszył,  
Jeno pamięć o tych, których kocham  
I pieśni, które śpiewałem z radością,  
I płacz kukułki w mej pamięci...*



Gwenifer pochyliła głowę, by ukryć łzy. Twarz Artura też była pochylona, oczy zakryte dłonią. Morgiana patrzyła prosto przed siebie, a Gwenifer widziała strużki łez wolno spływające po jej twarzy. Artur wstał i obszedł stół dookoła; otoczył Lancelota ramionami i powiedział załamującym się głosem:

– Lecz teraz znów jesteś ze swym królem i swym przyjacielem, Galahadzie.

Gwenifer poczuła w sercu dawną gorycz. *Śpiewał o swym królu, a nie o swej królowej i swej ukochanej. Jego miłość do mnie zawsze była jedynie częścią jego miłości do Artura.* Zamknęła oczy, by nie widzieć ich uścisku.

– To było przepiękne – powiedziała Morgiana miękko. – Któż mógłby przypuszczać, że jakiś saksoński barbarzyńca potrafi stworzyć taką muzykę... to jednak musiał ułożyć Lancelot.

Lancelot potrząsnął głową.

– Muzyka jest ich, a słowa to tylko ubogie echo ich poezji...

– Między Saksonami są poeci i muzycy, tak samo jak wojownicy, pani... – usłyszeli jakiś miły głos, który brzmiał zupełnie jak echo głosu Lancelota.

Gwenifer odwróciła się w stronę tego głosu. Młody mężczyzna w ciemnym stroju, szczupły, ciemnowłosy, twarz zamazywała się przed jej oczyma. Ten głos, choć miał lekki akcent północnych krain, brzmiał jednak identycznie jak głos Lancelota, miał ten sam ton, tę samą modulację. Artur skinął na młodzieńca.

– Jest przy moim stole ktoś, kogo nie znam. Na rodzinnym przyjęciu to nie wypada. Królowo Morgause...?

Morgause wstała z miejsca.

– Miałam zamiar przedstawić ci go, zanim zasiedliśmy do stołu, ale byłeś tak zajęty rozmową ze starymi przyjaciółmi, mój królu. To syn Morgiany, którego wychowywałam na moim dworze, Gwydion.

Młody człowiek podszedł i skłonił się nisko.

– Królu Arturze – powiedział ciepłym głosem, który wciąż był jak echo głosu Lancelota. Przez chwilę niema radość uderzyła Gwenifer: *przecież to jest syn Lancelota, na pewno Lancelota, a nie Artura!* A potem przypomniała sobie, że ciotka Morgiany, Viviana, była matką Lancelota.

Artur uścisnął młodzieńca. Odezwał się głosem zbyt drżącym, by ktoś mógł go słyszeć choć na kilka kroków:

– Syn mojej najdroższej, ukochanej siostry winien być przyjęty na moim dworze, jak mój syn. Gwydionie, chodź i usiądź przy mnie, mój chłopcze.

Gwenifer spojrzała na Morgianę. Ta miała na policzkach purpurowe rumieńce, tak jasne, jak namalowane, swymi małymi, ostrymi ząbkami przygryzała dolną wargę. Czyżby zatem Morgause nie uprzedziła jej, że zaprezentuje jej syna jego ojcu, królowi? Nie ma podstaw, by sądzić, że chłopak w ogóle wie, kto jest jego ojcem, upomniała się ostro Gwenifer. Chociaż

jeśli kiedykolwiek w życiu patrzył w lustro, to niezależnie od tego, co mu powiedziano, musi być przekonany, że jest synem Lancelota.

No i nie jest to już chłopiec. Musi mieć co najmniej lat dwadzieścia i pięć. To mężczyzna.

– Twój kuzyn, Galahadzie – powiedział Artur, a Galahad radośnie wyciągnął dłoń.

– Jesteś zatem bliżej spokrewniony z królem niż ja, kuzynie, masz większe prawo, by zajmować moje miejsce – powiedział z chłopięcą szczerością. – Dziwię się, że mnie nie nienawidzisz

– A skąd wiesz, że tak nie jest, kuzynie? – spytał Gwydion z uśmiechem i przez moment Gwenifer zamarła, aż nie dostrzegła tego uśmiechu. Tak, to jest syn Morgiany, ma ten sam koci uśmiech, który czasami widziała! Galahad mrugał przez chwilę, potem zrozumiał, że to miał być tylko żart. Gwenifer niemalże słyszała myśli Galahada: *Czy to jest syn mego ojca? Czy Gwydion jest moim bratem bękartem, zrodzonym z królowej Morgiany?* Wyglądał na zranionego, jak mały szczeniaczek, którego szczerą ofertę przyjaźni odtrącono.

– Nie, kuzynie. To, co myślisz, nie jest prawdą – powiedział Gwydion, a Gwenifer, wstrzymując oddech, pomyślała, że on ma nawet ten sam urokliwy uśmiech Lancelota, który przemienia raczej ponurą i poważną twarz i nadaje jej zniewalający blask, jakby padał na nią promień słońca i całkowicie ją odmieniał.

– Ja nie... nie, ja... – bronił się Galahad.

– Nie – przerwał Gwydion miło – niczego nie powiedziałeś, lecz zbyt jest oczywiste, co sobie pomyślałeś. – Nieznacznie podniósł głos, ten głos tak podobny do głosu Lancelota, choć lekko zabarwiony akcentem z północy. – W Avalonie, kuzynie, liczymy nasze pochodzenie od linii matki. Jestem z królewskiej krwi Avalonu i to mi w zupełności wystarczy. Żadnemu człowiekowi nie wolno sobie rościć prawa do tego, że jest ojcem dziecka Najwyższej Kapłanki Avalonu. Oczywiście, jak większość ludzi, chciałbym wiedzieć, kto mnie spłodził, nie wystarczy mi to, co myślą o mnie, czyli że jestem synem Lancelota. Już dawno zauważono to podobieństwo, zwłaszcza wśród Saksonów, z którymi spędziłem trzy lata, ucząc się na wojownika – dodał. – Twa sława między nimi jest wciąż niezwykle żywa, sir Lancelocie! Nie mogę zliczyć, ile razy mi powtarzali, że nie jest hańbą być bękartem takiego człowieka, jak ty, panie! – Jego cichy śmiech był jak niesamowite echo śmiechu mężczyzny, na którego patrzył. Widać było, że Lancelot jest skrepowany. – W końcu jednak zawsze musiałem im mówić, że to, co myślą, nie jest prawdą, i że ze wszystkich mężczyzn w tym królestwie, którzy mogli mnie spłodzić, ten jeden z całą pewnością nie jest moim ojcem. Tak więc musiałem powtarzać, że to jedynie rodzinne podobieństwo, nic więcej. Jestem twoim kuzynem, Galahadzie, nie twoim bratem. – Rozparł się wygodnie na krześle. – Czy będzie cię to bardzo krępowało, że każdy, kto nas zobaczy, tak właśnie pomyśli? Przecież nie możemy chodzić i każdemu z osobna mówić, jak jest naprawdę!

Galahad był zbity z tropu.

– Nie miałbym nic przeciwko temu, gdybyś rzeczywiście był moim bratem, Gwydionie – powiedział.

– Ale wtedy musiałbym być synem twego ojca i może to ja byłbym królewskim następcą – powiedział Gwydion i znów się uśmiechnął.

Gwenifer uderzyło nagle, że wprawianie wszystkich zgromadzonych w zakłopotanie sprawia mu po prostu przyjemność; tak, jest synem Morgiany, co przejawiał choćby w tych drobnych złośliwościach.

Morgiana odezwała się swym niskim głosem, który słyhać było tak wyraźnie i daleko, mimo iż był cichy:

– Dla mnie także nie byłoby to niemiłe, gdyby to Lancelot cię spółdził, Gwydionie.

– Tak właśnie przypuszczałem, pani – odparł Gwydion. – O, wybacz mi, pani Morgiano, lecz to królową Morgause przywykłem nazywać matką.

Morgiana roześmiała się.

– Tak jak ja jestem dla ciebie obcą matką, tak i ty jesteś dla mnie obcym synem, Gwydionie. Jestem ci wdzięczna za to rodzinne przyjęcie, Gwenifer – dodała – bo inaczej mogłabym spotkać mego syna dopiero jutro, na wielkiej uczcie, bez wcześniejszego ostrzeżenia.

– Myślę, że każda kobieta może być dumna z takiego syna – powiedział Uriens. – A jeśli chodzi o twego ojca, młody Gwydionie, to kimkolwiek on jest, wiele stracił, że cię nie uznał za swego.

– Och, nie sądzę – odparł Gwydion, a Gwenifer, obserwując iskierki w jego oczach, pomyślała: *Dla jakichś powodów może udawać, że nie wie, kim jest jego ojciec, ale kłamie.* Ta świadomość sprawiła, że poczuła się nieswojo. Jednakże o ile gorzej by się czuła, gdyby zażądał wyjaśnień, dlaczego jego syn nie jest równocześnie jego następcą? Avalon to przeklęte miejsce! Chciałaby, by zapadło się w morze na wieczność, jak ta kraina Ys ze starych baśni!

– Ale to jest specjalna noc Galahada – powiedział Gwydion – podczas gdy ja przyciągam uwagę innych. Czy będziesz dziś czuwał przy swym orężu, kuzynie?

– Taki jest zwyczaj rycerzy Artura – odparł Galahad.

– Ja byłem pierwszy – powiedział Gareth. – I dobry to obyczaj. Przypuszczam, że wtedy człowiek świecki jest trochę jak ksiądz, gdyż składa śluby, że swym orężem zawsze będzie służył swemu królowi i ziemi, i Bogu. Jaki był ze mnie wtedy głupiec, mój królu – zaśmiał się. – Czy przebaczyłeś mi, iż odmówiłem, byś to ty własnoręcznie pasował mnie na rycerza, i poprosiłem o to Lancelota?

– Wybaczać ci, chłopcze? – spytał Artur z uśmiechem. – Myślisz, że nie wiem, iż Lancelot jest z nas dwóch większym wojownikiem?

Kaj odezwał się po raz pierwszy, jego poważna twarz, oszpecona blizną, wykrzywiła się w uśmiechu:

– Powiedziałem mu wtedy, że dobrze walczy i pewnie będzie dobrym rycerzem, ale dworzanin to z niego żaden!

– I tym lepiej – odparł Artur serdecznie. – Bóg wie, że dworzan mi nie brak! Czy wolisz może, by to twój ojciec pasował cię na rycerza, Galahadzie? Pasował wielu z moich rycerzy.

Chłopiec spuścił głowę.

– Panie, o tym winien zdecydować król. Wydaje mi się jednak, że ten zaszczyt przychodzi od Boga i nie ma znaczenia, kto mi go nada. Nie... nie chciałem, żeby to tak zabrzmiało, panie... miałem na myśli, że śluby, owszem, składane są tobie, lecz przede wszystkim Bogu...

Artur powoli pokiwał głową.

– Doskonale wiem, co masz na myśli, mój chłopcze. Tak samo jest z królem. Ślubuje władać swym ludem, lecz przysięgę składa nie ludziom, lecz Bogu...

– Albo – wtrąciła Morgiana – Bogini, w której imieniu przejmuje rządy nad ziemią. – Mówiąc, patrzyła prosto na Artura, aż odwrócił wzrok, a Gwenifer zacisnęła usta...

Morgiana znowu przypomina Arturowi, że związał się przysięgą z Avalonem... Przeklęta!

Ale to już przeszłość, Artur jest teraz chrześcijańskim królem... i odpowiada tylko przed Bogiem.

– Wszyscy będziemy się za ciebie modlić Galahadzie, byś był szlachetnym rycerzem, a pewnego dnia dobrym królem – powiedziała Gwenifer.

– Kiedy składasz takie śluby, Galahadzie – dodał Gwydion – to w pewnym sensie zawierasz taki sam Święty Związek z ziemią, jaki zawierali królowie w dawnych dniach. Tyle że ty nie będziesz musiał, jak sądzę, przejść tak ciężkiej próby.

– Mogłabym o tym pomyśleć – powiedziała Morgiana. – Bo jeśli pewnego dnia masz władać nad Avalonem tak samo, jak nad chrześcijańską ziemią, to i tak będziesz musiał przejść taką próbę, Galahadzie.

– Oby ten dzień był jak najdalej – odrzekł chłopak przez zaciśnięte gardło. – Jestem pewien, mój panie, że będziesz rządził jeszcze przez wiele, wiele lat, a do tego czasu wszyscy ci, którzy uważają, że muszą słuchać pogańskiej wiary, dawno powymierają.

– Nie sądzę – powiedział Accolon, który odezwał się po raz pierwszy tego wieczoru. – Święte gaje wciąż stoją, a w nich odprawiane są stare obrzędy, tak jak odprawiane były od początku świata. Nie obrażamy Bogini, odmawiając jej czci, by nie zwróciła się przeciw swemu ludowi, nie poraziła plonów i nie zaćmiła słońca, które daje nam życie.

Galahad był zaskoczony.

– Ale to chrześcijańskie ziemie! Czyż żaden ksiądz nie powiedział ci, że starzy Bogowie, między którymi rządził Szatan, nie mają już nad nami mocy? Biskup Patrycjusz powiedział mi, że wszystkie święte gaje zostały już wycięte!

– O nie – odparł Accolon. – I nie będą wycięte, dopóki rządzi mój ojciec, a ja po nim.

Morgiana otworzyła już usta, by coś powiedzieć, ale Gwenifer dostrzegła, jak Accolon kładzie dłoń na jej przegubie. Morgiana uśmiechnęła się tylko do niego i nie rzekła nic. Za to głos zabrał znów Gwydion:

– Nie jest też tak w Avalonie, dopóki żyje Bogini. Królowie przychodzą i odchodzą, lecz Bogini przetrwa na wieczność.

*Jaka szkoda*, myślała Gwenifer, *że ten przystojny młody człowiek jest poganinem! Cóż, Galahad to dobry i pobożny rycerz i będzie z niego chrześcijański król!* Kiedy jednak pocieszała się tą myślą, przebiegł ją lekki dreszcz.

I tak, jakby myśli Gwenifer go niepokoiły, Artur pochylił się ku Gwydionowi z zafrasowaną twarzą:

– Czy przybyłeś na dwór, by pasować cię na mego rycerza, Gwydionie? Nie muszę ci chyba mówić, że chętnie powitam syna mej siostry między moim rycerstwem.

– Przyznaję, że po to go tutaj przywiozłam – powiedziała Morgause. – Nie wiedziałam jednak, że to będzie wielkie święto Galahada. Nie ośmieliłabym się przysłaniać blasku jego ceremonii. Z pewnością będzie jeszcze po temu czas.

– Chętnie podzielę moje czuwanie i śluby z moim kuzynem – powiedział Galahad wielkodusznie.

– Jesteś bardzo hojny, kuzynie – zaśmiał się Gwydion. – Ale niewielkie masz pojęcie o sztuce królowania. Następca tronu musi zostać namaszczoney sam i nikt nie może dzielić z nim tej chwili. Gdyby Artur pasował nas obu w tym samym czasie, a ja jestem o tyle od ciebie starszy, i o tyle bardziej podobny do Lancelota... Cóż, już dostatecznie wiele plotek krąży o tym, kto jest moim ojcem; to nie powinno przyćmić twego rycerskiego święta ani... – dodał ze śmiechem – mojego.

– I tak będą zawsze plotkować o królewskiej rodzinie, Gwydionie – powiedziała Morgiana, wruszając ramionami. – Daj im więc jakiś smaczny kąsek na pożarcie!

– Jest coś jeszcze – odparł Gwydion swobodnie. – Nie mam zamiaru czuwać przy swym orężu w chrześcijańskim kościele. Jestem z Avalonu. Jeśli Artur przyjmie mnie do grona swych rycerzy takim, jaki jestem, to dobrze, a jeśli nie, to drugie dobrze.

Uriens uniósł swe stare, sękatę ręce, tak by widoczne były na nich wyblakłe węże.

– Ja zasiadam przy Okrągłym Stole bez żadnych takich chrześcijańskich ślubów, przybrany synu!

– Ja także – powiedział Gawain. – My zdobyliśmy nasze rycerskie tytuły, my wszyscy, którzy walczyliśmy w tamtych dniach, i nie trzeba nam było takiej ceremonii. Niektórzy z nas mieliby z tym poważne kłopoty, gdyby wtedy do rycerskiego stanu upoważniały takie dworskie śluby, jak teraz.

– Nawet ja – dodał Lancelot – miałbym pewne opory przed składaniem takich ślubów, gdyż jestem tak grzesznym człowiekiem. Jestem jednak człowiekiem Artura na życie i na śmierć, i on o tym wie.

– Niech Bóg broni, bym kiedykolwiek miał w to zwątpić – powiedział Artur, uśmiechając się do przyjaciela z głębokim uczuciem. – Ty i Gawain jesteście filarami mego królestwa. Gdybym kiedykolwiek utracił któregoś z was, to myślę, że mój tron rozleciałby się i spadł z samego szczytu Kamelotu!

Uniósł głowę, gdyż w dalekim krańcu sali otworzyły się drzwi i weszli księża w białych sukniach. Galahad wstał pospiesznie.

– Za twym pozwoleniem, mój królu...

Artur także wstał i uściskał swego następcę.

– Niech cię Bóg błogosławi, Galahadzie. Idź na swe czuwanie.

Chłopiec skłonił się i odwrócił, by objąć ojca. Gwenifer nie dosłyszała, co Lancelot mu powiedział. Wyciągnęła dłoń, a Galahad pochylił się, by ją ucałować.

– Daj mi swe błogosławieństwo, pani.

– Zawsze, Galahadzie – odparła Gwenifer, a Artur dodał:

– Odprowadzimy cię do kościoła. Czuwać musisz sam, ale kawałek pójdziemy z tobą.

– To dla mnie wielki zaszczyt, mój królu. Czy ty nie czuwałeś przed swą koronacją?

– O tak, czuwał – wtrąciła Morgiana z uśmiechem. – Ale to było całkiem inne czuwanie...

Kiedy całe towarzystwo posuwało się w kierunku kościoła, Gwydion zwolnił kroku, aż znalazł się obok Morgiany. Spojrzała na syna. Nie był taki wysoki jak Artur, który miał wzrost po Pendragonach, lecz przy jej boku wydawał się wysoki.

– Nie spodziewałam cię tu ujrzyć, Gwydionie.

– Ja nie przypuszczałem, że tu będę, pani.

– Słyszałam, że walczyłeś w tym roku wśród saksońskich aliantów Artura. Nie wiedziałam, że jesteś wojownikiem.

– Nie miałaś wielu okazji, by cokolwiek o mnie wiedzieć, pani – odparł ze wzruszeniem ramion.

Nie wiedziała wcale, co ma zamiar powiedzieć, dopóki nie usłyszała swych własnych słów:

– Czy nienawidzisz mnie za to, że cię opuściłam, mój synu?

Zawahał się.

– Być może było tak przez jakiś czas, kiedy byłem młody – powiedział w końcu. – Ale ja jestem dzieckiem Bogini i to zmusiło mnie, bym nauczył się nie tęsknić za moimi ziemskimi rodzicami. Teraz nie mam już do ciebie żalu, Pani Jeziora.

Przez chwilę obraz przed jej oczyma zamazał się. To było tak, jakby przed nią stał młody Lancelot... syn podtrzymał ją ramieniem.

– Uważaj, droga tutaj nie jest równa...

– Co słyhać w Avalonie? – spytała.

– Niniana ma się dobrze, a w tej chwili niewielkie mnie łączą więzy z innymi.

– Czy widziałeś tam siostrę Galahada, dziewczynę imieniem Nimue? – Morgiana zmarszczyła brwi, starając się przypomnieć sobie, ile lat może mieć teraz Nimue. Galahad ma szesnaście, więc ona musi mieć co najmniej czternaście, jest prawie dorosła.

– Nie znam jej – odparł Gwydion. – Ta stara kapłanka wyroczni, Raven, prawda?, zabrała Nimue w odosobnienie i życie w milczeniu. Żaden człowiek nie może oglądać jej twarzy.

*Ciekawe, dlaczego Raven to uczyniła?* Wstrząsnął nią nagły dreszcz, lecz powiedziała tylko:

– Jak zatem miewa się Raven? Czy jest zdrowa?

– Nie słyszałem nic innego – odparł Gwydion – choć kiedy widziałem ją ostatnio na obrzędach, wydawała się starsza od samych dębów. Jej głos był jednak słodki i młody. Ale nigdy z nią osobiście nie rozmawiałem.

– I nie uczynił tego żaden żyjący mężczyzna, Gwydionie – powiedziała Morgiana. – Tylko kilka kobiet. Spędziłam tam dwanaście lat jako dziewczyna, a słyszałam jej głos może ze sześć razy... – Nie chciała jednak ani rozmawiać, ani myśleć o Avalonie, wołała trzymać się przyziemnych tematów. – Tak więc zdobyłeś u Saksonów doświadczenie bitewne?

– Tak, a także w Bretanii, spędziłem jakiś czas na dworze Lionela. Lionel myślał, że jestem synem Lancelota i kazał mi się nazywać wujem, a ja go nie wyprowadzałem z błędu. Nie zrobi Lancelotowi krzywdy, jeśli będą uważać, że zdolny był spłodzić bękarta. I tak jak to było z dobrym Lancelotem, Saksoni wodza Ceardiga dali mi imię. Jego nazwali Elfią Strzałą, ci ludzie dają imię każdemu, kto czymś się wykaże. Mnie nazwali Mordred, co w naszym języku znaczy mniej więcej „Śmiertelny Doradca”, czy nawet „Diabelski Doradca”, i wcale nie myślę, by był to komplement!

– Nie trzeba wielkiej sztuki, by w radzie przechytryć Saksona – zauważyła Morgiana. – Powiedz mi jednak, co cię skłoniło, by przybyć tu przed czasem, który ja wyznaczę?

– Pomyślałem, że dobrze będzie zobaczyć mego rywala.

Morgiana obejrzała się trwożnie.

– Nie mów tego głośno!

– Nie mam powodu, by się bać Galahada – odparł spokojnie. – Nie wygląda mi na takiego, który pożyje na tyle długo, by rządzić.

– Czy to Wzrok?

– Nie potrzeba mi Wzroku, by wiedzieć, że trzeba kogoś silniejszego niż Galahad, by zasiąść na tronie Pendragonów. Ale jeśli to uspokoi twoje sumienie, pani, przysięgnę ci na Świętą Studnię, że Galahad nie zginie z mojej ręki. Ani... – zawahał się, a widząc jej drzenie, po chwili dodał: – ...ani z twojej. Skoro Bogini nie chce go na tronie nowego Avalonu, to sądzę, że możemy jej pozostawić tę sprawę.

Na chwilę położył swą dłoń na dłoni Morgiany. Choć jego dotyk był tak delikatny, ona znów zadrżała.

– Chodź – powiedział, a jej wydało się, że jego głos jest tak współczujący, jak głos księdza dającego rozgrzeszenie. – Odprowadzimy naszego kuzyna na czuwanie. Nic nie powinno mu zepsuć tej wspaniałej chwili w jego życiu. Może ich już nie mieć zbyt wiele...

## 5

Niezależnie od tego, jak często Morgause z Lothianu odwiedzała Kamelot, nigdy nie nużyło jej dworskie życie. Teraz siedziała w kościele obok Morgiany, świadoma faktu, że jako jednej z lennych królowych Artura, a także matce aż trzech z jego najbliższych towarzyszy, na turnieju, który miał być główną atrakcją tego dnia, przysługiwać jej będzie uprzywilejowane miejsce. Pod koniec mszy Galahad miał zostać pasowany na rycerza. Teraz klęczał między Arturem i Gwenifer, blady, poważny i promieniejący z podniecenia.

Sam biskup Patrycjusz przybył z Glastonbury, by celebrować w Kamelocie uroczystą mszę w dniu Zesłania Ducha Świętego. Stał teraz przed wiernymi odziany w białą suknię i intonował: *Tobie ofiarujemy ten chleb, ciało twego Jednorodzonego...*

Morgause zasłoniła usta pulchną dłonią, skrywając ziewnięcie, Choć często uczestniczyła w chrześcijańskich ceremoniach, jednak nigdy nie zaprzętała sobie nimi uwagi; nie były nawet tak interesujące, jak obrzędy w Avalonie, gdzie spędziła dzieciństwo. Odkąd skończyła czternaście lat, czy mniej więcej w tym właśnie wieku, zaczęła uważać, że wszyscy Bogowie i religie to tylko gry, w które ludzie bawią się w swych umysłach. Nie miały przecież nic wspólnego z prawdziwym życiem. Jednak kiedy przyjeżdżała na Zielone Świątki, posłusznie szła na mszę, by zrobić przyjemność Gwenifer – ta kobieta była przecież jej gospodynią, Najwyższą Królową, a poza tym bliską krewną. Teraz, wraz z resztą królewskiej rodziny Morgause podeszła do ołtarza, by przyjąć święty chleb. Morgiana siedząca u jej boku była jedyną osobą z królewskiego towarzystwa która nie przystąpiła do komunii. Morgause pomyślała leniwie, że Morgiana jest naprawdę bardzo głupia. Nie tylko zraza tym do siebie prostych ludzi, ale już nawet na dworze co pobożniejsi po cichu nazywają ją czarownicą, wiedźmą, nawet jeszcze gorzej. A w końcu jakąż to robi różnicę? Jedna religia jest przecież tak dobra jak inna, nieprawdaż? O, ten król Uriens ma już więcej oleju w głowie.

Morgause podejrzewała, że stary Uriens nie jest bynajmniej bardziej religijny od jej domowego kota, widziała przecież węże Avalonu wokół jego ramion, a jednak, tak samo jak jego syn Accolon, szedł, by przyjąć sakrament.

Kiedy jednak rozpoczęły się dalsze modlitwy, a między nimi ta za zmarłych, Morgause stwierdziła, że ma łzy w oczach. Tęskniła za Lotem – za jego cynicznym poczuciem humoru, za jego dość dziwną lojalnością i przywiązaniem, a poza tym to w końcu on dał jej czterech wspaniałych synów. Gawain i Gareth klęczyli w pobliżu między domownikami Artura, Gawain, jak zawsze, był najbliższy króla, a Gareth klęczał ramieniem ze swym młodym



przyjacielem Uwainem, pasierbem Morgiany. Słyszała, że Uwain wołał na Morgianę „matko”, a kiedy ona się do niego zwracała, Morgause usłyszała w jej głosie prawdziwą matczyną nutę, choć nigdy nie podejrzewała, że Morgiana jest do czegoś takiego zdolna.

Z szelestem szat i cichym pobrzękiwaniem mieczy i klejnotów, cały dwór wstał z klęczek i przeszedł na kościelny dziedziniec.

Gwenifer, choć już trochę przywydła, była wciąż piękna z długimi, złotymi warkoczami na ramionach i we wspaniałej sukni, przewiązanej jasnym, złożonym pasem. Artur też wyglądał wspaniale.

Ekskalibur wisiał u jego boku w haftowanej, aksamitnej pochwie, tej samej, którą nosił już od ponad dwudziestu lat. Morgause dziwiła się, dlaczego Gwenifer przez tyle lat nie uszyła mu nowej i ładniejszej?

Galahad ukląkł przed królem. Artur wziął z rąk Gawaina piękny miecz i powiedział:

– Tobie, mój drogi krewniaku i przybrany synu, ofiaruję to. – Skinął na Gawaina, który przypasał miecz do szczupłej talii chłopca.

Galahad uniósł twarz i powiedział ze swym dziecinnym jeszcze uśmiechem:

– Dzięki ci, mój królu. Obym nosił go zawsze i wyłącznie w twojej służbie.

Artur położył dłoń na głowie Galahada.

– Z radością przyjmuję cię do grona mych towarzyszy, Galahadzie i powierzam ci godność rycerza. Bądź zawsze wierny i sprawiedliwy i zawsze służ tronowi i dobrej sprawie.

Podniósł młodzieńca, uściskał go i ucałował. Gwenifer także go ucałowała i królewskie towarzystwo udało się w kierunku wielkiego turniejowego pola, a reszta podążyła za nimi.

Morgause znalazła się pomiędzy Morgianą i Gwydionem, a Uriens, Accolon i Uwain szli tuż za nimi. Trybuny udekorowano zielonymi tyczkami pookręcanymi wstęgami, a teraz kapitanowie turnieju wytyczali miejsca walk. Widziała, jak Lancelot obejmuje Galahada i wręcza mu białą tarczę.

– Czy Lancelot będzie dziś walczył? – spytała.

– Chyba nie – odparł Accolon. – Słyszałem, że ma być mistrzem ceremonii, zbyt wiele razy wygrywał w turniejach. Między nami mówiąc, nie jest już taki młody i mógłby stracić dotychczasową sławę kawalera królowej, gdyby jakiś dopiero co pasowany na rycerza młodzik wysadził go z siodła. Słyszałem, że Gareth pokonał go więcej niż jeden raz, a także młody Lamorak...

– Cenię Lamoraka za to, że nie przechwala się wszędzie tym zwycięstwem – powiedziała Morgause z uśmiechem. – Niewielu może się poszczycić tym, że pokonało Lancelota, choćby tylko w turnieju!

– Nie – powiedziała Morgiana cicho. – Myślę, że wielu młodych rycerzy byłoby nieszczęśliwych na myśl o tym, że Lancelot nie jest już królem igrzysk. Wciąż jest ich bohaterem.

Gwydion zachichotał.

– Czy to znaczy, że młode byczki powstrzymują się przed tym, by wyzwąć rycerza, który jest między nimi Królem Bykiem?

– Sądzę, że nawet żaden ze starszych by tego nie uczynił – powiedział Accolon – a między młodym rycerstwem niewielu jest takich, którzy dorównywaliby mu siłą i doświadczeniem. Gdyby go wyzwali, jeszcze by im potrafił pokazać kilka swoich sztuczek.

– Ja bym tego nie uczynił – powiedział Uwain spokojnie. – Nie ma chyba na tym dworze rycerza, który by nie kochał Lancelota. Gareth mógłby go przecież powalić w każdej chwili, lecz nie zrobiłby mu wstydu w Zielone Świątki, a on i Gawain zawsze sobie dorównywali. Kiedyś właśnie w to święto Lancelot i Gawain walczyli ze sobą przez ponad godzinę i Gawain raz nawet wytrącił mu miecz z dłoni. Nie wiem, czy ja mógłbym mu dorównać w pojedynku, lecz dla mnie on może pozostać zwycięzcą i bohaterem tak długo, jak żyje, i nie uczynię nic, by to zmienić.

– Spróbuj go kiedyś wyzwąć – poradził Accolon ze śmiechem. – Ja tak zrobiłem i w pięć minut pozbawił mnie złudzeń! Może być stary, ale ma wielką siłę i umiejętności. – Accolon usadził Morgianę i swego ojca na wyznaczonych dla nich miejscach. – Wybaczcie, ale pójdę się wpisać na listy, zanim nie będzie za późno.

– Ja też – powiedział Uwain, pochylając się, by ucałować dłoń ojca. Potem odwrócił się do Morgiany. – Nie mam damy, matko, czy dasz mi od siebie znak, bym go poniósł w tym turnieju?

Morgiana uśmiechnęła się uszczęśliwiona i podała mu wstążkę ze swego rękawa, którą Uwain zawiązał na ramieniu, mówiąc: – Umówiłem się z Gawainem, że wyzwę go na próbę siły.

– No, pani, to chyba lepiej odbierz mu ten znak, chyba że chcesz prędko pozbawiać się honoru. – zażartował Gwydion ze swym uroczym uśmiechem.

Morgiana roześmiała się i spojrzała na Accolona, a Morgause, obserwując, jak cała jej twarz się rozjaśnia, pomyślała: *Uwain jest jej synem o wiele bardziej niż Gwydion, lecz Accolon, co widać wyraźnie, znaczy dla niej więcej. Ciekawe, czy stary król o tym wie, czy go to w ogóle obchodzi?*

Właśnie podszedł do nich Lamorak, a Morgause poczuła się dumna i doceniona, na turnieju było przecież wiele pięknych, młodych dam, mógł dostać wstążkę od każdej z nich, a jednak na oczach wszystkich, przed całym Kamelotem, jej drogi młody człowiek przyszedł i ukląkł właśnie przed nią.

– Pani, czy mogę ponieść do walki twój znak?

– Z przyjemnością, mój drogi. – Morgause podała mu kwiat z bukieciku przypiętego do stanika. Ucałował kwiat, a ona podała mu dłoń, próżnie świadoma tego, że jej rycerz jest jednym z najprzystojniejszych mężczyzn na turnieju.

– Lamorak zdaje się przez ciebie oczarowany – powiedziała Morgiana, a Morgause, mimo że przecież dała mu swój znak na oczach całego dworu, na dźwięk opanowanego głosu Morgiany poczuła, że się rumieni.

– Czy myślisz, że już potrzebuję do tego uroków i czarów, kochana?

– Powinam była użyć innego słowa – zaśmiała się Morgiana. – Młodzi mężczyźni zdają się zwykle pragnąć jedynie ładnej buzi i niewiele więcej.

– Cóż, Morgiano, Accolon jest młodszy od ciebie, a ty z pewnością zaprzątasz go do tego stopnia, że on też nie pragnie młodszej kobiety ani ładniejszej. Nie, ja jestem ostatnia, by ci to wyrzucać, moja droga. Wydano cię wbrew twojej woli, a twój mąż mógłby być twym dziadkiem.

– Czasami myślę, że Uriens o wszystkim wie – odparła Morgiana, wzruszając ramionami.

– Być może jest nawet zadowolony z tego, że mam takiego kochanka, który nie będzie mnie kusił, bym opuściła męża.

Z lekkim wahaniem – od narodzin Gwydiona nigdy nie zadała Morgianie żadnego osobistego pytania – Morgause spytała:

– Czy zatem jesteś poróżniona z Uriensem?

Morgiana znów wzruszyła ramionami w ten sam, obojętny sposób.

– Myślę, że Uriensowi nie zależy na mnie na tyle, by się ze mną w ogóle spierać.

– Jak ci się podoba Gwydion? – Morgause zmieniła temat.

– Przeraza mnie – odparła Morgiana. – Choć byłoby trudno nie dać mu się oczarować.

– A czego się spodziewałaś? Ma urodę Lancelota i twoją bystrość umysłu i jest tak samo jak ty ambitny.

– Jakie to dziwne, że lepiej ode mnie znasz mojego własnego syna – odparła Morgiana.

Pierwszą reakcją Morgause było rzucić jakąś ostrą ripostę, przecież Morgiana porzuciła swego syna, czemu ją to teraz dziwi? W głosie Morgiany usłyszała jednak tyle gorzkości, że tylko pogłaskała ją po rękę i odparła łagodnie:

– Och, moja droga, myślę, że jak syn raz wyrośnie na tyle, by zejść ci z kolan, każdy inny człowiek zna go lepiej od jego własnej matki! Jestem pewna, że Artur, jego towarzysze, a nawet twój Uwain, wszyscy oni znają Gawaina lepiej ode mnie, a on nie jest przecież kimś trudnym do rozgryzienia, to człek absolutnie prostolinijny. Gwydion zaś... nawet gdybyś sama wychowywała go od maleńkiego, wciąż i tak byś go nie rozumiała. Ja z własnej woli przyznaję, że go nie pojmuję!

Jedyną odpowiedzią Morgiany był skępowany uśmiech. Odwróciła głowę i patrzyła w kierunku szranków, gdzie zaczynały się pierwsze atrakcje. Dworscy klauni i błazni tańczyli prześmiesznie, parodiując rycerskie pojedynki, zamiast oręża dzierżyli świńskie pęcherze i kije, a w miejsce tarcz mieli krzykliwie pomalowane płachty. Publiczność nagradzała ich pląsy rubasznym śmiechem.

Kiedy zakończyli ukłonem, Gwenifer, parodiując gest, którym później miała wręczać zwycięzcom nagrody, pochyliła się i rzucała w ich stronę cukierki i słodycze. Bili się o nie, znów wzbudzając śmiech i oklaski, po czym odeszli w płasach na dobry obiad, który oczekiwał ich w kuchniach.

Jeden z heroldów ogłosił, że pierwszy pojedynek będzie między kawalerem królowej, sir Lancelotem z Jeziora, a rycerzem króla, sir Gawainem z Lothianu. Kiedy stanęli w szranki, powitały ich gromkie oklaski i wiwaty. Lancelot był szczupły, smagły i mimo zmarszczek na twarzy i siwizny we włosach wciąż tak przystojny, że Morgianie aż zaparło dech.

*Tak, myślała Morgause, przypatrując się twarzy swej siostrzenicy, ona wciąż go kocha, choć minęło tyle lat. Może nawet sama o tym nie wie, ale tak właśnie jest.*

Ich walka przypominała skomplikowany i doskonale ułożony taniec. Chodzili dokoła siebie, tarcze i miecze dzwoniły głośno.

Morgause nie mogła powiedzieć, by któryś z nich miał choćby najmniejszą przewagę, a gdy w końcu opuścili miecze, skłonili się królowi i uściskali się nawzajem, zostali nagrodzeni równym aplauzem, żaden z nich nie był faworyzowany przez publiczność. Potem przyszedł czas na pokazy jeździeckie, a także na pokazy ujeżdżania dzikich jeszcze rumaków. Morgause z trudem próbowała sobie przypomnieć czasy, kiedy to sam Lancelot robił coś podobnego, może to było na ślubie Artura, w każdym razie bardzo dawno temu. Potem były indywidualne pojedynki na koniach – piki były stępione, lecz mimo to można nimi było wysadzić przeciwnika z siodła i powalić na ziemię. Jeden z jeźdźców upadł nieszczęśliwie na podwiniętą nogę i strasznie krzyczał, trzeba go było znieść z pola, a jego noga sterczała pod dziwnym kątem. To był jedyny poważny wypadek, jednak wiele było sińców, zmiżdżonych palców, omdleń, a jeden z rycerzy o włos uniknął stratowania przez końskie kopyta. Pod koniec tych zawodów Gwenifer rozdała nagrody. Artur poprosił także Morgianę, by wręczała mniejsze trofea.

Accolon zdobył jedną z nagród za jazdę, a gdy zbliżył się, by przyjąć ją z rąk Morgiany, Morgause z zaskoczeniem usłyszała gdzieś na trybunach cichy, lecz wyraźny gwizd niechęci. Ktoś szepnął równie cicho, lecz słyszalnie: – Czarownica! Dziwka!

Morgiana zaczerwieniła się, lecz gdy wręczała Accolonowi puchar jej ręce nie zadrżały. Artur cicho nakazał jednemu z giermków:

– Dowiedz się, kto to! – I dworzanin zniknął w tłumie, lecz Morgause była pewna, że w takim ścisku nikt nie rozpozna właściciela głosu. Kiedy na początku drugiej części igrzysk Morgiana wróciła na swoje miejsce, była blada i zła. Morgause zauważyła, że teraz dłonie Morgiany drżą, oddycha szybko i płytko.

– Moja droga, nie przejmuj się tym – powiedziała. – Myślisz, że jak mnie nazywają, kiedy zdarzy się rok złych plonów albo kiedy wymierzy się sprawiedliwość komuś, kto myślał, że mu zły uczynek ujdzie na sucho?

– Myślisz, że mi zależy na tym, co ten motloch o mnie myśli? – odparła Morgiana ze wzgardą w głosie, lecz Morgause wiedziała, że tylko udaje obojętność. – W moim własnym kraju jestem wystarczająco kochana – dodała.

Drugą część turnieju rozpoczęli wojownicy saksońscy, demonstrując sztukę zapasów. Byli ogromni i zarośnięci, włosy pokrywały nie tylko ich twarze, lecz całe, niemal nagie ciała. Zwierali się, nacierali i zmagali, wydając ochrypte okrzyki, ściskali się i miotali sobą z mocą zdolną miażdżyć kości. Morgause wychyliła się do przodu, bezwstydnie podziwiając ich męską siłę, ale Morgiana odwróciła wzrok z wyraźnym niesmakiem.

– Daj spokój, Morgiano, robisz się taka pruderyjna, jak nasza królowa. Co za mina! – Mówiąc to, Morgause osłoniła oczy dłonią i spojrzała dalej na boisko. – Zdaje się, że zaraz zacznie się wielka bitwa. Spójrz! Czy to nie Gwydion? Co on tam wyprawia?

Gwydion przeskoczył przez barierkę i pomachał do herolda, który chciał go powstrzymać. Krzyknął głośnym i wyraźnym głosem, który słychać było na najdalszych krańcach trybun:

– Królu Arturze!

Morgause zauważyła, że Morgiana odchyliła się do tyłu, blada jak śmierć, obie dłonie mocno zacisnęła na barierce. Co ten chłopak chce uczynić? Czy ma zamiar zrobić scenę przed połową królewskiego rycerstwa i poddanych, i teraz zażądać, by król uznał go za syna?

Artur wstał i Morgause pomyślała, że on też wygląda na zdenerwowanego, lecz jego głos był mocny i czysty:

– Tak, siostrzeńcze?

– Słyszałem, iż jest taki zwyczaj, który pozwala wyzwąć kogoś na prawdziwy pojedynek, jeśli król zezwoli. Proszę więc, by sir Lancelot spotkał się ze mną w walce!

Morgause pamiętała, jak Lancelot mówił kiedyś, że takie wyzwania są zmorą jego życia. Każdy młodzik pragnął pokonać rycerza królowej. Głos Artura zabrzmiał poważnie:

– Taki zaiste jest obyczaj, lecz nie mogę mówić w imieniu Lancelota. Jeśli on zgodzi się na tę potyczkę, nie mogę mu odmówić, ale musisz osobiście go wyzwąć i uszanować jego decyzję.

– Och, przeklęty chłopak! – rzuciła Morgause. – Nie miałam pojęcia, że coś takiego planuje...! – Jednak Morgiana czuła, że Morgause wcale nie jest aż tak bardzo niezadowolona.

Zerwał się wiatr i dmuchał w ich stronę kurz z boiska. W tumanach pyłu Gwydion podszedł do skraju placu, tam gdzie na ławie siedział Lancelot. Morgause nie słyszała, co do siebie powiedzieli, lecz Gwydion odwrócił się i krzyknął gniewnie:

– Panowie! Zawsze słyszałem, że obowiązkiem mistrzów jest spotykać się z każdym nowo przybyłym! Królu, domagam się, by Lancelot przyjął moje wyzwanie lub zrezygnował ze swego tytułu kawalera królowej na moją korzyść! Czy ma ten przywilej dzięki sile swego oręża czy też z jakiegoś innego powodu, królu Arturze?!

– Ach, szkoda, że twój syn nie jest już na tyle mały, żeby mu ściągnąć gatki i zdrowo przetrzepać tyłek! – powiedziała Morgause.

– Czemuż winić jego? – spytała Morgiana. – Czemu nie winić Gwenifer, za to, że naraża swego męża na takie upokorzenia?! Każdy w tym królestwie wie o tym, jak faworyzuje Lancelota. A jednak, kiedy ona pokazuje się publicznie, nikt za nią nie krzyczy „czarownica” czy „dziwka”!

Lancelot wstał i podszedł do Gwydiona, uniósł dłoń w rękawicy i szybko uderzył młodszego mężczyznę w usta.

– Teraz zaprawdę dałeś mi powód, by uciszyć twój niewyparzony język, młody Gwydionie! Teraz się okaże, kto się wzdraga przed pojedynkiem!

– Po to tu przybyłem – powiedział Gwydion, niewzruszony uderzeniem i ostrymi słowami, choć w kąciку jego ust pojawiła się kropla krwi. – Przyznaję ci nawet, że utoczyłeś już pierwszą krew, sir Lancelocie. Wypada, by człek w twoim wieku miał jakąś przewagę.

Lancelot rozkazał, by jeden z rycerzy zajął jego miejsce jako mistrz ceremonii. Kiedy Lancelot i Gwydion chwycili miecze i stanęli przed królem do ceremonialnego pokłonu rozpoczynającego pojedynek, na trybunach rozległ się głośny szmer. Jeśli w tym tłumie jest choć jeden człowiek, który wątpi, że to ojciec i syn, to musi mieć słaby wzrok, pomyślała Morgause.

Obaj mężczyźni unieśli miecze. Ich twarze zakrywały hełmy.

Byli niemal identycznego wzrostu. Jediną różnicą między nimi było to, że miecz i tarcza Lancelota były stare i zużyte w boju, oręż Gwydiona zaś był nowszy i mniej poplamiony. Powoli chodzili wokół siebie, potem natarli i po chwili Morgause przestała rozróżniać pojedyncze uderzenia, następowały zbyt szybko, by oko mogło je wychwycić. Widziała jednak, jak Lancelot przez moment szykuje się do ataku, a potem naciera i wymierza potężny cios. Gwydion przyjął cios na brzeg tarczy, lecz sama siła uderzenia była tak wielka, że cofnął się, stracił równowagę i całą długością ciała runął na ziemię.

Zaczął się podnosić. Lancelot odłożył miecz i podszedł, by podać dłoń przeciwnikowi i pomóc mu wstać. Morgause nie słyszała, co przy tym powiedział, ale gest był naturalny i mówił sam za siebie:

„Masz dość, młodziku?” Gwydion wskazał na cienką strużkę krwi, która spływała z niewielkiej rany na nadgarstku Lancelota. Jego głos wyraźnie docierał na trybuny.

– Ty przelałeś pierwszą krew, sir, a ja drugą. Czy rozstrzygnie kolejna porażka?

Podniosła się wrzawa i gniewne gwizdy. Skoro walczone na ostrą broń, pierwsza krew winna zakończyć pojedynek. Artur podniósł się z miejsca. – To jest święto i honorowa walka, nie pojedynek! Nie pozwolę tutaj na wyrównywanie porachunków, chyba że będziecie walczyć na pięści i pałki! Jak chcecie, walczcie dalej, ale ostrzegam, jeśli któryś zada poważną ranę, obaj będziecie u mnie w wielkiej niełasce!

Skłonili się i znów odstępili od siebie, okrążając się wzajemnie, potem równocześnie natarli, a Morgause aż jęknęła, widząc ich zapamiętanie. Wydawało się, że w każdej chwili miecz któregoś z nich może ześlizgnąć się po tarczy i zadać śmiertelną ranę! Jeden z nich opadł teraz na kolana, na jego tarczę spadł deszcz uderzeń, miecze zwały się i jeden z nich był coraz to bliżej, ziemi...

Gwenifer wstała i krzyknęła:

– Nie pozwolę, by to trwało dłużej!

Artur rzucił swe berło na miejsce walki. Wedle zwyczaju gest ten natychmiast zatrzymywał pojedynek, lecz żaden z walczących tego nie dostrzegł i dopiero inni rycerze musieli ich siłą rozdzielić. Gwydion stał świeży i wyprostowany, gdy zdjął swój hełm. Giermek Lancelota musiał pomóc swemu panu podnieść się. Lancelot oddychał ciężko, po twarzy spływała mu krew i pot. Podniosła się burza gwizdów, gwizdali nawet obecni na polu rycerze. Zawstydzając bohatera, Gwydion nie zyskał nic na popularności. Teraz jednak, skłonił się starszemu rycerzowi:

– Jestem zaszczycony, sir Lancelocie. Przybyłem na ten dwór jako obcy, a nie będąc nawet jednym z towarzyszy Artura, jestem ci niezwykle wdzięczny za tę lekcję sztuki władania mieczem – powiedział, a jego uśmiech był lustrzanym odbiciem uśmiechu Lancelota. – Raz jeszcze dziękuję, panie.

Lancelot jakoś zdobył się na swój ujmujący uśmiech. Podkreśliło to niemal karykaturalnie niesłychane podobieństwo między nimi.

– Sprawileś się bardzo dzielnie, Gwydionie.

– A więc – powiedział Gwydion, klękając przed nim na zakurzonej ziemi – proszę cię, panie, byś zaszczycił mnie pasowaniem na rycerza.

Morgause wstrzymała oddech. Morgiana siedziała sztywno jak zamieniona w posąg. Jednak z miejsc, gdzie siedzieli Saksoni, podniósł się wesoły aplauz: – Wspaniały pomysł, zaiste! Świetnie, świetnie chłopcze! Jakże teraz mogą ci odmówić, skoro stawileś w walce czoło ich mistrzowi!

Lancelot spojrział na Artura. Król siedział nieruchomo jak skamieniały, lecz po chwili skinął głową. Lancelot dał znak swemu giermkowi, by przyniósł nowy miecz, po czym ujął go i przypasał Gwydionowi.

– Noś go zawsze w służbie swego króla i sprawiedliwej sprawy – powiedział ze śmiertelną powagą. Uśmiezek i szyderstwo zniknęły zupełnie z twarzy Gwydiona. Z oczyma uniesionymi na Lancelota wyglądał wzniośle i słodko, a Morgause dostrzegła, że usta mu drżą. Wzbudził w niej ogromne współczucie. Ten bękart, którego nikt nie chciał uznać, był tu nawet bardziej obcy niż kiedyś Lancelot. Kto mógł winić Gwydiona za ten wybryk, którym chciał zmusić swych krewnych, by go zauważyli? *Już dawno temu powinniśmy go, przywieźć na dwór Artura i kazać królowi prywatnie uznać syna skoro nie mógł uczynić tego publicznie. Królewski syn nie powinien być zmuszany do takich gestów...* myślała.

Lancelot położył dłoń na czole Gwydiona.

– Za zgodą twego króla nadaję ci zaszczytny tytuł jego towarzysza i Rycerza Okrągłego Stołu. Zawsze wiernie mu słuź, a skoro zdobyłeś tę godność bardziej sztuką niż samą siłą, choć tej zaiste też dałeś świadectwo, zatem nadaję ci nowe imię i od tej chwili zwać się będziesz już nie Gwydionem, lecz Mordredem. Wstań, sir Mordredzie, i zajmij miejsce między towarzyszami króla Artura.

Gwydion – nie, Mordred, upomniała się Morgause, gdyż nadanie rycerskiego imienia było obrzędem nie mniej poważnym od chrztu – wstał i serdecznie odwzajemnił uścisk Lancelota. Był głęboko wzruszony, chyba nawet nie słyszał oklasków i wiewatów.

Głos mu się łamał, kiedy mówił:

– To ja zdobyłem główną nagrodę dzisiejszego dnia, sir Lancelocie, niezależnie od tego, kogo obwołają zwycięzcą turnieju.

– Nie – powiedziała cicho Morgiana. – Ja go nie rozumiem. To ostatnia rzecz, której bym się spodziewała.

Rycerze ustawili się do ostatniej, zbiorowej bitwy turnieju dopiero po długiej przerwie. Niektórzy chcieli wcześniej napić się wody czy szybko przełknąć kawałek chleba; inni zbierali się w małych grupkach, rozprawiając, do której drużyny przyłączą się podczas walki, jeszcze inni poszli doglądać swych koni. Morgause wybrała się na pole, gdzie zebrało się kilku młodych rycerzy, między nimi Gareth. Górował nad pozostałymi o pół głowy, przez co łatwo było go odnaleźć. Morgause myślała, że jej syn rozmawia z Lancelotem, dopiero kiedy podeszła bliżej, odkryła, że wzrok ją zawiódł. Gareth stał przed Gwydionem, a jego głos brzmiał gniewnie. Usłyszała jedynie kilka ostatnich słów:

– ...czym on cię kiedykolwiek skrzywdził? Tak go ośmieszyć przed wszystkimi...

Gwydion zaśmiał się i powiedział:

– Jeśli twój kuzyn potrzebuje obrony, będąc otoczony przyjaciółmi, niech Bóg ma w opiece Lancelota, kiedy znajdzie się między Saksonami czy ludźmi Północy! Daj spokój, bracie, jestem pewien, że on sam doskonale potrafi bronić swej reputacji! Czy to wszystko, co masz mi do powiedzenia po tylu latach, bracie, tylko pretensje, że ośmieliłem się zdenerwować kogoś, kogo tak kochasz?

Gareth roześmiał się w końcu i zwarł się z Gwydionem w potężnym uścisku:

– Ty przekorny smarkaczu! Co ci strzeliło do głowy, żeby to robić? Przecież Artur by cię pasował na rycerza, gdybyś go poprosił!

Morgause przypomniała sobie: Gareth nie wie wszystkiego o pochodzeniu Gwydiona. Zapewne miał na myśli jedynie: *gdyż jesteś synem jego siostry*.

– Jestem tego pewien, Artur zawsze jest miły dla krewnych – powiedział Gwydion. – Ciebie też by mianował na rycerza, Garethcie, z powodu Gawaina, a jednak ty też nie obrałeś



tej drogi, przyrodni bracie. Poza tym uważam, że Lancelot jest mi coś winien za te wszystkie lata, przez które obnoszę po świecie jego twarz! – Zachichotał.

– No cóż, wydaje się, że on się na ciebie nie gniewa, więc chyba ja też muszę ci wybaczyć. Teraz ty również się przekonałeś, jaki on jest wielkoduszny!

– O tak – odparł Gwydion cicho. – Rzeczywiście jest... – Podniósł głowę i zobaczył Morgause. – Matko, co ty tu robisz? W czym mogę ci służyć?

– Przyszłam tylko przywitać się z Garethem, który dziś jeszcze ze mną nie rozmawiał – powiedziała, a wielki mężczyzna pochylił się, by ucałować jej dłoń. – Po której stronie będziesz walczył w bitwie? – spytała.

– Jak zawsze – powiedział Gareth. – Walczę po stronie Gawaina, wśród ludzi króla. Masz tu konia do walki, prawda, Gwydionie? Przystąpisz do naszej drużyny? Znajdzie się miejsce.

Gwydion odpowiedział ze swym mrocznym, tajemniczym uśmiechem:

– Skoro to Lancelot pasował mnie na rycerza, przypuszczam, że powinienem walczyć w drużynie sir Lancelota z Jeziora, u boku Accolona, jako syn Avalonu. Dziś jednak w ogóle nie stanę do walki, bracie.

– Dlaczego? – spytał Gareth i położył dłoń na ramieniu młodszego mężczyzny, patrząc na niego tak, jak zawsze to czynił. Morgause pomyślała o młodym Garecie uśmiechającym się do młodszego braciszka. – Tego się oczekuje od nowo pasowanych rycerzy. Wiesz, że Galahad też będzie walczył.

– A po której stronie? – spytał Gwydion. – Swego ojca Lancelota czy króla, który uczynił go dziedzicem swego królestwa? Czyż to nie okrutna próba jego lojalności?

Gareth był zaskoczony.

– A jak inaczej byś rozdzielił siły do tej bitwy, jeśli nie pod dowództwo dwóch największych między nami rycerzy? Czy myślisz, że Lancelot albo Artur wierzą w jakąś próbę lojalności? Artur sam nie staje do walki tylko dlatego, by nikt nie musiał walczyć przeciw swemu królowi! Ale Gawain jest jego rycerzem od czasów koronacji! Czy ty może znowu chcesz wywołać jakiś skandal?

– Nic mi do tego, skoro i tak nie walczę po żadnej ze stron...

– Ale co oni o tobie pomyślą? Że jesteś tchórzem, że stronisz od walki...

– Na tyle długo walczyłem w wojskach Artura, że nie obchodzi mnie, co ktokolwiek o mnie teraz pomyśli – powiedział Gwydion. – Jednak jeśli chcesz, możesz im powiedzieć, że koń mi okulał i nie chcę bardziej ranić zwierzęcia. To honorowa wymówka.

– Mogę ci pożyczyć konia od Gawaina – odparł zaskoczony Gareth. – Ale jak wolisz honorować wymówkę, rób, jak chcesz. Tylko czemu, Gwydionie? Czy może teraz winienem cię zwać Mordredem?

– Zawsze nazywaj mnie tak, jak masz ochotę, bracie.

– To nie powiesz mi, czemu tchórzysz przed walką, Gwydionie?

– Nikt oprócz ciebie nie mógłby wymówić tego słowa bezkarnie – odparł Gwydion. – Skoro jednak nalegasz, powiem ci. To dla twego dobra, bracie.

– Co na Boga masz na myśli? – spytał gniewnie Gareth.

– Niewiele wiem o Bogu i niewiele mnie on obchodzi – zaczął Gwydion, patrząc w dół na swe buty. – Skoro jednak chcesz znać prawdę, bracie... wiesz od dawna, że mam Wzrok...

– No i co z tego? – przerwał mu Gareth niecierpliwie. – Czy miałeś jakiś zły sen, że nadzieję się na twoją włócznie?

– Nie, nie żartuj sobie z tego – powiedział Gwydion poważnie, a gdy znów spojrzął na Garetha, Morgause poczuła w żyłach lodowate zimno. – Wydawało mi się... – przełknął ślinę, jakby słowa nie chciały mu przejść przez gardło – ...że widzę, jak ty leżysz umierający, a ja klęczę u twego boku, lecz ty nie chcesz się do mnie odezwać, a ja wiem, że to z mojej winy życie z ciebie uchodzi.

Gareth wyduł wargi i bezgłośnie zagwizdał. Po chwili jednak poklepał brata siarczyście po ramieniu.

– E tam, ja nie wierzę w te sny i wizje, mój mały. A przed losem i tak nikt nie ucieknie. Czy tego cię nie nauczyli w Avalonie?

– O tak – odparł Gwydion cicho. – I gdybyś nawet zginął z mojej ręki w bitwie, byłoby to przeznaczenie... ja jednak nie chcę kusić losu dla czej zabawy, bracie. Jakiś zły przypadek mógłby pchnąć mą rękę i skierować cios... Daj spokój, Gareth. Nie wezmę dziś udziału w walce, niech sobie mówią, co chcą.

Gareth wciąż stał zmartwiony.

– No cóż, rób, jak chcesz, chłopcze – powiedział w końcu. – Zostań zatem i zaopiekuj się naszą matką, bo Lamorak będzie walczył w barwach Lancelota.

Pochylił się, raz jeszcze ucałował dłoń matki i odszedł.

Zaintrygowana Morgause już chciała zacząć wypytywać Gwydiona o to, co zobaczył, ale on stał nieruchomo, ze zmarszczonymi brwiami, tępo wpatrywał się w ziemię. Powiedziała więc tylko:

– Cóż, skoro mam u swego boku młodego rycerza, czy możesz mi przynieść trochę wody, zanim znów wrócę na swoje miejsce?

– Oczywiście, matko – odparł i szybkim krokiem poszedł w stronę beczek z wodą.

Morgause zawsze się męczyła, oglądając te finalne, zbiorowe bitwy. Słońce prażyło coraz mocniej, głowa ją bolała, zadowolona była, kiedy wreszcie wszystko się skończyło. Była też głodna, a zapach pieczonego mięsa czuć było już z daleka. Gwydion siedział przy niej i tłumaczył jej bitwę, choć mało się znała na detalach i punktach i doprawdy niewiele ją one obchodziły. Zauważyła jednak, że Galahad dobrze się spisywał i nawet wysadził z siodła dwóch jeźdźców była tym trochę zaskoczona, wydawał się takim spokojnym chłopcem. O Garecie też myślała jako o łagodnym dziecku, a był jednym z najbardziej zaciekłych wojowników. Po bitwie Gareth otrzymał nagrodę po stronie króla, w drużynie, którą dowodził

Gawain. Dla nikogo nie było zaskoczeniem, że w drużynie Lancelota nagrodę dostał Galahad. Taki był zwyczaj w stosunku do młodzieńca którego tego dnia pasowano na rycerza.

– To ty mogłeś dostać tę nagrodę, Gwydionie – powiedziała ale on zaśmiał się tylko i potrząsnął głową.

– Nie potrzebuję jej matko. Po co psuć to święto memu kuzynowi. Poza tym Galahad naprawdę dobrze walczył, nie powinno mu się zazdrościć tej nagrody.

Było także wiele pomniejszych nagród, a gdy już wszystkie zostały rozdane, rycerze odeszli w okolice namiotów, gdzie giermkowie zdejmowali z nich zbroje, wylewali na nich całe kubły wody, a potem przebierali ich w świeże szaty. Morgause wraz z innymi damami udała się do komnaty oddanej im do dyspozycji, gdzie mogły poprawić sobie suknie i fryzury i zmyć z twarzy pot i kurz.

– I jak uważasz? – spytała Morgause. – Czy Mordred zyskał sobie dziś wroga?

– Nie sędzę – odparła Morgiana. – Widziałeś, jak się obejmowali?

– Wyglądają jak ojciec i syn! Szkoda, że nimi nie są!

Twarz Morgiany była nieporuszona.

– Jest o wiele lat za późno żeby jeszcze o tym mówić, ciociu.

*Może ona zapomniała, że ja wiem, czym on naprawdę jest synem?*, zastanawiała się Morgause. Jednak wobec lodowatego spokoju Morgiany potrafiła powiedzieć jedynie:

– Czy chcesz, żebym ci pomogła zapleść włosy z tyłu? – I chwyciła grzebień, a Morgiana się odwróciła. – Mordred.. – mówiła, czesząc ją – no, pokazał dzisiaj iście diabelską sztuczkę! Zdobył sobie tytuł walką i odwagą, tak więc nie musi prosić o niego Artura i powoływać się na swoje pochodzenie. Saksoni dali mu dobre imię. Nie wiedziałam jednak, że taki z niego wojownik. Z całą pewnością udało mu się zostać bohaterem dzisiejszego dnia! I choć to Galahad zdobył nagrodę, nikt nie będzie mówił o niczym innym, tylko o śmiałym wyczynie Mordreda!

Podeszła do nich jedna z dworek królowej.

– Pani Morgiano, czy sir Mordred jest twoim synem? Nie wiedziałam, że masz syna...

– Byłam bardzo młoda, kiedy się urodził – odparła Morgiana spokojnie. – Wychowała go królowa Morgause. Sama omal nie zapomniałam o jego istnieniu.

– Jakże musisz być z niego dumna! I czyż nie jest przystojny? Tak piękny, jak sam Lancelot – powiedziała kobieta z błyskiem w oczach.

– Jest piękny, to prawda – zgodziła się Morgiana tonem tak uprzejmym, że tylko Morgause, która znała ją tak dobrze, wiedziała, jaka jest zła. – To podobieństwo jest kłopotliwe dla nich obu, niestety, ale ja i Lancelot jesteśmy kuzynostwem w pierwszej linii i kiedy byłam małą dziewczynką, bardziej byłam podobna do Lancelota niż do mego własnego brata. Nasza matka była wysoka i rudowłosa, jak królowa Morgause, lecz pani Viviana pochodziła ze starej krwi Avalonu.

– Kto jest zatem jego ojcem? – spytała kobieta, a Morgause zauważyła, jak dłonie Morgiany zaciskają się w pięści. Odpowiedziała jednak z miłym uśmiechem:

– On jest dzieckiem ogni Beltanu, a takie dzieci uważa się za spłodzone przez Boga. Z pewnością pamiętasz, że jako młoda dziewczyna byłam jedną z kapłanek Pani Jeziora.

Kobieta, chcąc być uprzejma, wybąkała tylko:

– O, zapomniałam... czy tam wciąż odprawia się te stare obrzędy?

– Nawet w tej chwili – odparła Morgiana spokojnie. – I niech Bogini sprawi, by je odprawiano do końca świata.

Tak jak zamierzała, to w końcu uciszyło dworękę, a Morgiana zwróciła się do Morgause:

– Jesteś gotowa, ciociu? To zejdźmy do wielkiej sali.

Kiedy wyszły z komnaty, wydała głębokie westchnienie ulgi i dezaprobaty.

– Gdakające idiotki! Słyszałaś to? Nie mają do roboty nic lepszego, niż plotkować?

– Pewnie nie – powiedziała Morgause. – Ich niezwykle chrześcijańscy mężowie i ojcowie robią wszystko, by nic innego nie zaprzętało im umysłów.

Drzwi do wielkiej sali Okrągłego Stołu były zamknięte, tak by wszyscy goście mogli wejść równocześnie.

– Z każdym rokiem Artur wymyśla więcej dworskich ceremonii. Pewnie teraz będzie uroczysta procesja przy wejściu?

– A czego się spodziewałaś? – spytała Morgiana – Teraz, kiedy nie ma wojen, musi jakoś pobudzać wyobraźnię swych poddanych, a jest na tyle mądry, by urządzić im takie pokazy. Słyszałam, że to Merlin mu tak poradził. I pospólstwo, i wielmoże, wszyscy lubią święta i ceremonie, Druidzi wiedzieli o tym od czasów, kiedy zapalono pierwsze ognie Beltanu. Gwenifer spędziła wiele lat, by Zielone Świątki w Kamelocie stały się najwspanialszym świętem na wszystkich chrześcijańskich ziemiach. – Mówiąc to, po raz pierwszy tego dnia naprawdę się uśmiechnęła. – Nawet Artur wie, że nie zadowoli swych poddanych samą tylko mszą i ucztą, i jeśli nie ma do pokazania żadnego specjalnego cudu, to już z pewnością on i Merlin jakiś wymyślą! Jaka szkoda, że nie mogli sobie na dzisiaj zorganizować zaćmienia słońca!

– Przyglądałaś się zaćmieniu w Walii? Moi ludzie byli przerażeni – powiedziała Morgause. – Och, już widzę, jak te przygłupie damy Gwenifer musiały tu piszczeć i krzyczeć, jakby się świat kończył!

– Gwenifer uwielbia się otaczać idiotkami – odparła Morgiana. – Ona sama wcale nie jest taka głupia, choć lubi za taką uchodzić, Ciekawe, jak ona je znosi?

– Powinnaś im okazywać więcej cierpliwości – poradziła Morgause, ale Morgiana tylko wzruszyła ramionami.

– Nie obchodzi mnie, co głupcy o mnie sądzą.

– Nie wyobrażam sobie, jak możesz od tylu lat mieszkać na dworze Uriensa jako jego królowa i do tej pory nie nauczyć się dyplomacji – powiedziała Morgause. – Niezależnie od

tego, co sądzą o kobiecie mężczyźni, to jest ona zawsze zależna od sympatii innych kobiet, czyż tego nie uczyłaś się w Avalonie?

– Kobiety Avalonu nie były takie głupie – odparła Morgiana twardo, lecz Morgause wiedziała, że jej gniewny ton miał ukryć prawdziwe cierpienie i samotność.

– Morgiano, dlaczego nie wrócisz do Avalonu?

Morgiana spuściła głowę, wiedząc, że jeśli Morgause jeszcze raz tak serdecznie się do niej odezwie, to nie wytrzyma i się rozpłacze.

– Mój czas jeszcze nie nadszedł. Rozkazano mi nadal pozostać przy Uriensie...

– I Accolonie?

– O tak, i Accolonie. Mogłam się spodziewać, że mi to wypomnisz...

– Nic podobnego – odparła Morgause. – Poza tym Uriens nie będzie już żył długo...

– Tak właśnie myślałam tego dnia, wiele lat temu, kiedy go poślubiłam – powiedziała Morgiana z twarzą tak zaciętą, jak jej głos. – On chyba będzie żył tak długo, jak sam Taliesin, a Taliesin był już po dziewięćdziesiątce, kiedy umarł.

Nadeszli Artur i Gwenifer i teraz posuwali się wolno na czele zgromadzonych. Artur wspaniale odziany w białe szaty, Gwenifer u jego boku w białych jedwabkach i klejnotach. Wielkie drzwi zostały otwarte i królewska para weszła do środka, tuż za nimi Morgiana ze swym mężem i synami, jako królewska siostra, potem Morgause i jej rodzina, jako królewska ciotka. Następnie Lancelot i jego domownicy, za nim zaś pozostali rycerze. Wszyscy podchodzili do Okrągłego Stołu, by zająć swe miejsca. Kilka lat wcześniej jakiś rzemieślnik wypisał złotą i purpurową farbą imię każdego towarzysza na zwykle zajmowanym przez niego miejscu. Teraz, gdy weszli, Morgause zauważyła, że miejsce tuż przy królu, przez wszystkie te lata rezerwowane dla jego następcy, zostało udekorowane imieniem Galahada.

Dostrzegła to jednak tylko kątem oka, gdyż na wielkich tronach, na których siadywali Artur i Gwenifer, ktoś udrapował dwie flagi, podobne do tych barwnych płacht, z którymi swe komiczne pojedynki wytańcowywali błażni i klauni. Na obu płachtach wyrysowane były malowidła, ohydne karykatury – na jednym tronie był sztandar przedstawiający rycerza stojącego na głowach dwóch ukoronowanych postaci diabolicznie podobnych do Artura i Gwenifer; w poprzek drugiej flagi widniało obleśne malowidło, na widok którego nawet Morgause, kobieta bynajmniej nie pruderyjna, poczuła, że się rumieni. Przedstawiało drobną, ciemnowłosą kobietę, kompletnie nagą, w objęciach wielkiego, rogatego diabła, a wokół niej grupa nagich mężczyzn przyjmowała od niej dziwaczne i perwersyjne usługi seksualne.

Gwenifer krzyknęła piskliwie:

– Boże i Maryjo, obrońcie nas!

Artur zatrzymał się jak wryty. Grzmiącym głosem zawołał do służby:

– Jak to... to... – zabrakło mu słów i tylko machnął ręką w kierunku malowideł – jak to się tu znalazło?

– Panie – wyjął szambelan – tego tu nie było, kiedy skończyliśmy dekorować salę. Wszystko było w porządku, nawet kwiaty przed tronem królowej...

– Kto tu był ostatni? – zagrmiał Artur.

Kaj, kuśtykając, wyszedł naprzód.

– Mój panie i bracie, to byłem ja. Przyszedłem upewnić się, czy wszystko jest w należytym porządku, i przysięgam, jak Bóg mnie tu widzi, wszystko było na czas gotowe, by powitać mego króla i jego panią. I jeśli kiedykolwiek złapię tego parszywego psa, który wślizgnął się tutaj, by to zawiesić, to ukręcę mu kark, o tak! – Zrobił gest, jakby skręcał szyję kurczęciu.

– Pomóżcie swej pani! – powiedział Artur ostro.

Kobiety szeptały między sobą, a w tym czasie Gwenifer zaczęła osuwać się zemdlna. Morgiana ją podtrzymała, mówiąc ostrym, lecz bardzo cichym głosem:

– Gwen, nie dawaj im tej satysfakcji! Jesteś królową, co cię obchodzi, że jakiś głupiec coś wymalował! Opanuj się!

– Jak oni mogli... – płakała Gwenifer – jak mogli... dlaczego ktoś aż tak mnie nienawidzi?

– Nie ma takiej osoby, która może przeżyć życie, nie obrażając po drodze jakiegoś idioty – powiedziała Morgiana i podprowadziła Gwenifer do jej tronu. Bardziej obleśne z malowideł wciąż tam jednak wisiało i Gwenifer cofnęła się, jakby dotknęła czegoś nieczystego. Morgiana rzuciła flagę na ziemię, po czym dała znak jednej z dam dworu, by napełniła winem kielich królowej. – Nie przejmuj się tym tak strasznie, Gwen – powiedziała, to zdaje się być przeznaczone dla mnie. Wiem, że mówią, iż biorę sobie diabły do łóżka, no i co z tego?

– Wynieście to ścierwo i spalcie, i przynieście pachnącego drzewa i kadzidła, by przepędzić diabelski smród! – powiedział Artur.

Kiedy paziowie rzucili się wykonać rozkaz, Kaj zapewnił:

– Dowiemy się, kto to uczynił, mój panie. To pewnie jakiś sługa, którego zwolniłem, chciał mnie ośmieszyć, bo byłem w tym roku taki dumny z dekoracji sali. No, podajcie wino i piwo, wypijemy pierwszy toast na pohybel temu cuchnącemu psu, który chciał nam zepsuć święto. Czy pozwolimy mu na to? Wypijcie wszyscy za króla Artura i jego panią!

Kiedy Artur i Gwenifer skłonili się zebranim, podniósł się jednak tylko słaby aplauz. Gdy wszyscy goście usiedli, Artur rozkazał:

– Wprowadźcie tych, którzy mają do mnie sprawy!

Morgause przysłuchiwała się jakiemuś kmiotkowi z głupią prośbą o rozsądzenie sporu o miedzę. Potem przyszedł ziemianin i uskarżał się, że poddany upolował w jego lesie jelenia. Morgause siedziała blisko Gwenifer, pochyliła się więc i szepnęła do królowej

– Po co Artur sam wysłuchuje tych spraw? Każdy z jego szeryfów dałby sobie z tym radę, przecież to strata czasu.

– Ja też tak kiedyś myślałam – szepnęła Gwenifer – ale każdego roku na Zielone Świątki Artur przyjmuje jedną czy dwie takie sprawy, żeby pospolity lud nie myślał, iż król dba tylko o bogaczy i swoich rycerzy.

Cóż, pomyślała Morgause, *to nawet całkiem mądre*. Było jeszcze kilka drobnych petycji, a potem podano mięsa, a żonglerzy i akrobaci bawili zebrane towarzystwo. Był też człowiek, który robił sztuczki i wyciągał małe ptaszki i jajka z najbardziej niesamowitych miejsc.

Morgause wydawało się, że Gwenifer jest już spokojna, i zastanawiała się, czy kiedykolwiek uda im się złapać autora tych potwornych malowideł. Jedno przedstawiało Morgianę jako dziwkę, i to już było dość okropne; ale to drugie, jak sądziła, było znacznie bardziej niebezpieczne – pokazywało Lancelota skaczącego na obojgu królu i królowej. Tego dnia wydarzyło się coś znacznie gorszego niż publiczne poniżenie kawalera królowej, stwierdziła Morgause. Tamto zdarzenie mogło zostać zapomniane dzięki wspaniałomyślności, jaką Lancelot okazał młodemu Gwydionowi – nie, Mordredowi – i dzięki temu, że na koniec najwyraźniej nie rościli do siebie żadnych pretensji. Jednakże mimo wielkiej przyjaźni Lancelota z królem i wszystkimi rycerzami, istnieli bez wątpienia tacy, którym nienawistna była wyraźna słabość królowej do jej kawalera.

– Co się będzie teraz działo? – spytała Morgause. Królowa się uśmiechnęła. Cokolwiek obwieszczał gromki dźwięk rogów u drzwi, to coś najwyraźniej ją radowało.

Drzwi otwarto na oścież, znów zagrały rogi, ostre rogi Saksonów.

I wtedy do sali Okrągłego Stołu weszło trzech olbrzymich Saksonów, strojnych w masywne złote napierśniki i złote bransolety na ramionach, odzianych w stroje ze skór i futer. Nieśli ogromne miecze, a na głowach mieli hełmy z rogami i złote korony. Za każdym z nich podążał orszak.

– Mój panie Arturze – zawołał jeden z nich. – Jam jest Adelric, pan Kentu i Anglii, a to moi bracia królowie. Przybyliśmy prosić, byś pozwolił złożyć sobie hołd, jako największemu chrześcijańskiemu królowi, i zawarł z nami wieczne przymierze!

– Lot to się chyba w grobie przewraca, lecz Viviana byłaby z tego rada... – zauważyła Morgause, ale Morgiana jej nie odpowiedziała.

Biskup Patrycjusz wstał z miejsca i podszedł powitać saksońskich królów. Powiedział do Artura:

– Panie mój, po wielu wojnach to dla mnie wielka radość. Proszę cię, byś wziął tych ludzi za swych lennych królów i przyjął od nich przysięgę, na znak, że wszyscy chrześcijańscy królowie winni być braćmi.

Morgiana była blada jak śmierć. Zaczęła już wstawać, by zabrać głos, lecz Uriens spojrział na nią tak groźnie, że znów opadła na krzesło.

– Pamiętam czasy, kiedy biskupi odmawiali wysłania księży, by ochrzcić tych barbarzyńców – powiedziała Morgause wesoło. – Lot mi mówił, że biskupi przysięgali wtedy, iż nie zaprzyjaźnią się z Saksonami nawet w niebie, i że nigdy nie wyślą im misjonarzy, bo

uważali, że Saksoni powinni wszyscy skończyć w piekle. No, ale cóż, to było trzydzieści lat temu!

– Odkąd objąłem panowanie – powiedział Artur – tęskniłem za tym, by zakończyły się wojny pustoszące te ziemie. Utrzymujemy pokój od wielu lat. Teraz więc przyjmuję was panowie do mego dworu i mego towarzystwa.

– Jest naszym zwyczajem składać przysięgę na oręż – powiedział jeden z nich, ale już nie Adelric, bo jak zauważyła Morgause płaszcz Adelrica był brązowy, a ten nosił dziwny, niebieski płaszcz – Czy możemy więc złożyć ją na krzyż rękojeści twego miecza królu Arturze, na znak, że spotykamy się jako chrześcijańscy królowie pod Jedynym Bogiem, który włada nami wszystkimi?

– Niech się tak stanie – powiedział Artur i zszedł ze stopni tronu.

Stał przed Saksonami. W świetle wielu lamp i pochodni obnażony Ekskalibur zaśnił jak błyskawica. Artur ustawił go przed sobą prosto, rękojeścią do góry i wielki chybotający cień, cień krzyża padł na całą długość sali. Królowie uklękli.

Gwenifer była zadowolona, Galahad promieniał radością. Tylko Morgiana była sina ze złości, Morgause słyszała, jak szepcze do Uriensa:

– Ośmielił się w ten sposób użyć świętego miecza Avalonu! Jako kapłanka Avalonu nie będę na to patrzyła w milczeniu!

Zaczęła wstawać, lecz Uriens chwycił ją za nadgarstek. Zmagała się z nim w ciszy, lecz Uriens, choć stary, był jednak wojownikiem, a Morgiana drobną kobietą. Przez chwilę Morgause bała się, że Uriens zgruchota delikatne kostki jej nadgarstka, lecz Morgiana nawet nie jęknęła z bólu. Zaciśnęła zęby i jakoś wyrwała mu rękę.

Odezwała się na tyle głośno, że Gwenifer na pewno mogła to usłyszeć:

– Viviana zginęła, nie dokończywszy swego dzieła. A ja siedziałam spokojnie, gdy dzieci dorastały do wieku męskiego i zostawały rycerzami, Artur zaś dostał się w ręce księży!

– Pani – powiedział Accolon, pochylając się nad jej krzesłem – nawet tobie nie wolno zakłócić tego świętego dnia lub potraktują cię tak, jak Rzymianie potraktowali Druidów. Porozmawiaj z Arturem na osobności, pokłód się z nim nawet, jeśli musisz, jestem pewien, że Merlin ci pomoże!

Morgiana spuściła oczy, przygryzła wargi zębami.

Artur jeden po drugim uściśnął saksońskich królów i poprowadził ich na miejsca blisko swego tronu.

– Wasi synowie, jeśli będą tego godni, przyjęci zostaną z radością do grona mych towarzyszy – mówił, gdy służba przynosiła dla gości prezenty: miecze i piękne sztylety, bogaty płaszcz dla Adelrica.

Morgause wzięła kawałek miodowego placka i dosłownie wetknęła go w zaciśnięte usta Morgiany.



– Zbyt kochasz posty, Morgiano – powiedziała. – Zjedz to! Jesteś taka blada, że za chwilę zemdlejesz na miejscu!

– To nie z głodu jestem blada – odparła Morgiana, lecz przyjęła ciasto, a Morgause wyraźnie widziała, jak bardzo drżą jej ręce.

Na jednym nadgarstku pojawiły się już ciemne sińce pozostawione przez palce Uriensa.

I wtedy Morgiana wstała.

– Nie martw się, ty mój najukochańszy małżonku – powiedziała cicho do Uriensa. – Nie powiem nic, co by mogło obrazić ciebie czy twego króla. – Potem odwracając się do Artura, spytała głośno i wyraźnie: – Mój królu i bracie! Czy mogę cię prosić o łaskę?

– Moja siostra i żona mego lojalnego przyjaciela, króla Uriensa, może mnie prosić, o co chce – odparł Artur radośnie.

– Najmniejszy z twych poddanych, panie, może cię prosić o prywatne posłuchanie. Proszę więc, abys i mnie przyznał taką audiencję – powiedziała.

Artur uniósł brwi, lecz podjął jej formalny ton.

– Dziś wieczorem, przed spoczynkiem, przyjmę cię w mych komnatach, w towarzystwie małżonka, jeśli sobie tego życzysz.

*A ja sobie życzę, myślała Morgause, żebym mogła być muchą na ścianie podczas tej audiencji!*

## 6

W komnacie, którą Gwenifer przydzieliła Uriensowi i jego rodzinie, Morgiana sztywnymi palcami ponownie zaplotła sobie włosy i kazała swej dworce zasznurować na sobie świeżą suknię. Uriens narzekał, że za bardzo się objadł i opił i że wcale mu się nie chce iść na audiencję.

– A więc idź spać – powiedziała Morgiana. – To ja mam mu coś do powiedzenia i nie ma to nic wspólnego z tobą.

– O nie – odparł Uriens. – Ja też byłem na naukach w Avalonie. Czy myślisz, że mnie jest przyjemnie, kiedy widzę, jak świętych rzeczy używa się w służbie chrześcijańskiego Boga, który chce pozbawić ten świat całej wiedzy? Nie, Morgiano, nie tylko ty, jako kapłanka Avalonu, powinnaś wyrazić swoje oburzenie. Winno to uczynić także królestwo Północnej Walii, ja osobiście jako jego władca i Accolon, który obejmie władanie, gdy ja odejdę.

– Ojciec ma rację, pani. – Mówiąc to, Accolon patrzył jej w oczy. – Nasz lud ufa, że go nie zdradzimy, że nie pozwolimy, by kościelne dzwony rozbrzmiewały w ich świętych gajach... – Przez moment, choć doskonale wiedziała, że żadne z nich się nie poruszyło, Morgianie wydało się, że ona i Accolon stoją razem w jednym z tych magicznych gajów, połączeni mocą Bogini. Uriens oczywiście nic nie ujrzał.

– Niech Artur wie, Morgiano, że królestwo Północnej Walii tak łatwo nie podda się władaniu chrześcijan – nalegał..

– Jak sobie życzysz – odparła, wzruszając ramionami.

*Byłam głupia, myślała. To ja byłam kapłanką na jego pasowaniu na króla, ja urodziłam Arturowi syna, powinnam była użyć tego wpływu, który miałam, na króla, sprawić, bym to ja, a nie Gwenifer rządziła spoza jego tronu. Kiedy się kryłam, jak zwierzę liżące rany, straciłam swą władzę nad Arturem. I tam, gdzie kiedyś to ja mogłabym rozkazywać, teraz muszę żebrać, nie mając nawet mocy Pani Jeziora!*

Już mieli wychodzić, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Sługa otworzył i do komnaty wszedł Gwydion. Wciąż miał u pasa saksoński miecz, który Lancelot podarował mu przy pasowaniu na rycerza, zdjął jednak zbroję i przywdział bogatą, szkarłatną szatę. Morgiana nie przypuszczała, że Gwydion może wyglądać tak wspaniale. Dostrzegł jej zaciekawione spojrzenie.

– To Lancelot dał mi tę szatę. Piliśmy na dole i przyniesiono wiadomość, że król chce mnie widzieć w swych komnatach... Powiedziałem, że moja jedyna tunika jest brudna i przesiąknięta krwią a on na to, że jesteśmy tego samego wzrostu i że mi pożyczy stroju. Kiedy to włożyłem, powiedział, że wygląda na mnie lepiej niż na nim i że powinienem to sobie zatrzymać, bo dostałem tak mało prezentów na moje pasowanie, a Galahadowi król dał wiele bogatych darów. Czy on wie, że Artur jest moim ojcem, skoro tak powiedział?

Uriens zamrugał zaskoczony, lecz nie rzekł nic. Accolon potrząsnął głową.

– Nie, przyrodni bracie. Lancelot jest najbardziej szczodrym z ludzi, to wszystko. Kiedy Gareth po raz pierwszy przybył na dwór, nie rozpoznany nawet przez swych krewnych, to Lancelot podarował mu ubrania i oręż, by Gareth mógł wyglądać jak przystało na rycerza. A gdyby cię interesowało, czy może Lancelot lubi widzieć swoje dary na ciałach pięknych młodzieńców, cóż, takie rzeczy mówiono już wcześniej, lecz nie znam na tym dworze żadnego mężczyzny, młodego czy starego, który kiedykolwiek usłyszałby od niego coś, co by wykraczało poza rycerską uprzejmość.

– Doprawdy? – spytał Gwydion, a Morgiana widziała, że zapamiętuje tę informację i odkłada ją na później, jak złoto do szkatułki. – Teraz sobie przypominam – powiedział powoli – taką historię, którą słyszałem na dworze Lota, wydarzyło się to ponoć, kiedy Lancelot sam był jeszcze bardzo młody. Włożono mu w dłonie harfę i poproszono, by wystąpił; zaśpiewał jakąś balladę z czasów rzymskich, czy nawet dni Aleksandra, nie wiem dokładnie, ale była o miłości między dwoma rycerzami i strasznie go za to wyśmiano. Od tej pory wszystkie jego pieśni mówią o urodzie naszej królowej lub rycerskich wyczynach i smokach.

Morgiana myślała, że nie zniesie dłużej szyderstwa w jego głosie.

– Jeżeli przyszedłeś, by dostać podarek na swoje pasowanie, porozmawiamy o tym później, kiedy zobaczę się z Arturem, ale nie teraz – powiedziała sucho.

Gwydion spuścił wzrok. Po raz pierwszy ujrzała go nie tylko hardym i pewnym siebie.

– Matko, król posłał także po mnie... czy mogę iść w twoim towarzystwie? – spytał.

Teraz, kiedy potrafił w ten sposób przyznać się do własnej słabości, podobał jej się o wiele bardziej.

– Artur z pewnością nie chce cię skrzywdzić, mój synu, ale jeśli masz ochotę iść do niego razem z nami, najwyżej cię odeśle i powie, że woli z tobą rozmawiać na osobności.

– Chodźmy więc, przybrany bracie – powiedział Accolon, ujmując ramię Gwydiona w taki sposób, by młodszy mężczyzna mógł zobaczyć węże wytatuowane na jego przedramionach. – Król powinien iść pierwszy, ze swą panią, a ty i ja pójdziemy za nimi...

Morgiana, idąc u boku Uriensa, myślała, że podoba jej się to, iż Accolon przyjaźnie traktuje jej syna i nazywa go bratem. Równocześnie poczuła, że drży.

Uriens ujął ją za rękę.

– Jest ci zimno, Morgiano? Włóż płaszcz...

W komnatach królewskich płonął ogień i Morgiana usłyszała dźwięk harfy. Artur siedział na drewnianym krześle wymoszczonym poduszkami. Gwenifer haftowała wąski kawałek materiału, który pobłyskiwał złotą nicią. Służący zaanonsował ceremonialnie:

– Król i królowa Północnej Walii, ich syn Accolon i sir Lancelot...

Na dźwięk imienia Lancelota Gwenifer podniosła oczy, a potem się roześmiała:

– Nie, choć jest bardzo podobny. To sir Mordred, którego pasowanie dziś widzieliśmy, nieprawdaż?

Gwydion skłonił się królowej, lecz nie rzekł nic. Na takim rodzinnym spotkaniu Artur nie chciał jednak przedłużać ceremoniału.

– Siadajcie wszyscy, zaraz poślę po wino...

– Ja już mam na dzisiaj dosyć, Arturze – powiedział Uriens – tym, co wypilem, mógłbym zatopić statek! Ja więc dziękuję, ale może młodzi mężczyźni mają mocniejsze głowy.

Gwenifer podeszła do Morgiany, lecz ta wiedziała, że jeśli teraz odezwie się do szwagierki, to Artur zacznie po swojemu rozprawiać z mężczyznami, a ona będzie musiała siedzieć w kącie razem z królową i być cicho lub szeptem rozmawiać o kobiecych haftach, o sługach, o tym, kto na dworze jest brzemienny...

Skinęła na sługę niosącego wino.

– Ja wypiję kieliszek powiedziała, pamiętając z bólem w sercu, że jako kapłanka Avalonu dumna była kiedyś z tego, że pija jedynie wodę ze Świętej Studni. – Jestem bardzo zbulwersowana powitaniem saksońskiej delegacji, Arturze – powiedziała. – Nie – uciszyła go, kiedy chciał się odezwać. – Nie mówię tego jako zwykła kobieta, która próbuje się mieszać w sprawy stanu. Jestem królową Północnej Walii i księżną Kornwalii i to, co się tyczy królestwa, dotyczy również mnie.

– A więc powinnaś być rada z pokoju – powiedział Artur. – Całe moje życie, niemal od czasu, gdy dorosłem na tyle, by utrzymać w dłoni miecz, poświęciłem temu, żeby zakończyć

wojny z Saksonami. Wtedy myślałem, że wojnę można jedynie zakończyć, przeganiając ich z powrotem za morza, skąd przybyli. Jednakże pokój to pokój i jeśli można go osiągnąć poprzez zawarcie z nimi przymierza, niech i tak będzie. Jest więcej sposobów na pokonanie byka, niż upiec go na obiad. Można go równie dobrze wykastrować i kazać mu ciągnąć twój pług.

– Lub zachować go, by służył twym jałówkom jako rozplodowy samiec? Czy rozkażesz swym lennym królom, by wydawali swe córki za Saksonów, Arturze?

– Może i tak – odparł. – Saksoni to także ludzie. Przypominasz sobie tę pieśń, którą śpiewał Lancelot? Oni tak samo tęsknią za pokojem, oni też żyli na ziemiach wciąż od nowa palonych i grabionych. Czy chcesz powiedzieć, że powinienem był walczyć tak długo, aż ostatni z nich by nie poległ lub nie uciekł? Myślałem, że kobiety pragną pokoju.

– Ja też go pragnę i rada mu jestem, nawet jeśli to pokój z Saksonami – powiedziała Morgiana. – Ale czyżbyś kazał im również wyrzec się ich Bogów i przyjąć twego własnego Boga, skoro musieli ci przysięgać na krzyż?

Gwenifer przysłuchiwała się z uwagą.

– Nie ma innych Bogów, Morgiano. Oni się zgodzili zapomnieć o diabłach, które czcili i zwali Bogami, to wszystko. Teraz uznają jedynego prawdziwego Boga i jego syna Chrystusa, którego Bóg nam zesłał w swoim imieniu, by zbawił ludzkość.

– Jeżeli naprawdę w to wierzysz, moja pani i królowo – powiedział Gwydion – to dla ciebie rzeczywiście jest to prawda, gdyż wszyscy Bogowie są jednym Bogiem, a wszystkie Boginie jedną Boginią. Lecz czy ośmielisz się ogłosić jedną prawdę dla całej ludzkości, na całym świecie?

– I ty to nazywasz odwagą? To jest jedyna prawda – powiedziała Gwenifer – i musi nadejść dzień, kiedy wszyscy ludzie, wszędzie, to uznają.

– Drzę o swój lud, kiedy tak mówisz – rzekł Uriens. – Ja przysięgałem chronić święte gaje, a po mnie mój syn.

– Ależ ja byłam pewna, że jesteś chrześcijaninem, królu Północnej Walii...

– Bo jestem – odparł Uriens – lecz nie będę mówił źle o Bogach innych ludzi.

– Ale takich Bogów nie ma... – zaczęła znów Gwenifer.

Morgiana już otworzyła usta, by jej odpowiedzieć, lecz pierwszy był Artur:

– Wystarczy już tego, wystarczy! Nie zaprosiłem was tutaj, by rozprawiać o teologii! Jeżeli macie na to ochotę, to jest dość księży, którzy będą tego słuchać i chętnie się spierać. Ich możecie nawracać, skoro musicie! O czym chciałaś ze mną rozmawiać, Morgiano? Tylko o tym, że martwi cię nowa wiara Saksonów i przysięgi na krzyże czy o czymś jeszcze?

– O tak – powiedziała Morgiana i dopiero wtedy zauważyła, że w komnacie jest także Kevin. Siedział w cieniu ze swoją harfą Dobrze. Merlin Brytanii winien być świadkiem tego protestu w imieniu Avalonu! – Wzywam Merlina na świadka, że gdy kazałeś im przysięgać

na krzyż, użyłeś do tego świętego miecza Avalonu i dla tej przysięgi zmieniłeś Ekskalibur, miecz Świętych Regaliów, w krzyż! Lordzie Merlinie, czy to nie jest świętokradztwo?

– To był tylko gest, by pobudzić wyobraźnię zebranych, Morgiano – odparł Artur szybko.

– Taki sam gest, jaki uczyniła Viviana, gdy na ten sam miecz kazała mi przysięgać, że będę walczył o pokój w imieniu Avalonu.

– Morgiano, moja droga – zaczął Merlin swoim miękkim głosem – krzyż jest symbolem starszym od Chrystusa i czczonym na długo przedtem, zanim w ogóle pojawili się wyznawcy Nazarejczyka. A w Avalonie byli księża, których przywiódł tu Józef z Arymathei i którzy oddawali Bogu cześć u boku Druidów...

– Ale to byli księża, którzy nie próbowali mówić, że ich Bóg jest jedynym Bogiem – odparła Morgiana gniewnie. – I nie wątpię, że taki biskup Patrycjusz uciszyłby ich, gdyby mógł, i dalej głosił jedynie swój własny fanatyzm!

– Biskup Patrycjusz i jego wiara nie są tutaj problemem, Morgiano – powiedział Kevin. – Niechże nie wtajemniczeni myślą sobie, że Saksoni rzeczywiście przysięgali na krzyż Chrystusowej ofiary. My także mamy Boga, który się poświęcił, czy widzimy go na krzyżu, czy też w zielonych liściach, które muszą zwiędnąć i umrzeć, by znów powstać z martwych...

– Twoi Bogowie, Lordzie Merlinie – przerwała mu Gwenifer – potrzebni byli tylko do czasu, aż nie przyszedł Chrystus, by zgiąć za ludzkie grzechy...

Artur niecierpliwie machnął ręką:

– Uczście się wszyscy! Saksoni przysięgali zachować pokój i przysięgali na taki symbol, który dla nich wiele znaczy... – zaczął, ale Morgiana mu przerwała:

– To z Avalonu dostałeś święty miecz, i to Avalonowi przysięgałeś, że zachowasz i obronisz Święte Misteria! A teraz zmieniłeś miecz Misteriów w krzyż śmierci, w szubienicę! Kiedy Viviana przybyła na dwór, przyjechała tu domagać się od ciebie, byś dotrzymał danej Avalonowi przysięgi. I wtedy została zamordowana! Teraz ja przychodzę, by dokończyć dzieło, którego ona nie zdążyła, i by zażądać od ciebie zwrotu świętego miecza Ekskalibura, który ośmieliłeś się pokalać i użyć w służbie twego Chrystusa!

– Nadejdzie dzień, gdy wszyscy fałszywi Bogowie upadną i wszystkie pogańskie symbole zostaną oddane w służbę jedynego prawdziwego Boga i jego Chrystusa! – powiedziała gorąco Gwenifer.

– Nie mówiłam do ciebie, ty skamląca dewotko! – rzuciła Morgiana wściekle. – A ten dzień nadejdzie po moim trupie! Wy, chrześcijanie, macie swoich świętych i męczenników, myślicie, że Avalon nie będzie ich miał?! – Gdy to mówiła, zadrżała, wiedząc, że nieświadomie przemówił przez nią Wzrok i ujrzała ciało rycerza, okryte czarnym całunem i sztandarem ze znakiem krzyża... Chciała się odwrócić i rzucić w ramiona Accolona, lecz nie mogła przecież uczynić tego na oczach wszystkich.

– Jak ty strasznie wszystko wyolbrzymiasz, Morgiano! – powiedział Artur, próbując się roześmiać, i ten jego śmiech ostatecznie ją rozwścieczył, odganiając zarówno lęk, jak i

Wzrok. Podniosła się i wyprostowała, wiedząc, że po raz pierwszy od wielu lat przemawia zbrojna w całą moc i autorytet Wielkiej Kapłanki Avalonu.

– Słuchaj mnie, Arturze z Brytanii! Tak jak moc i siła Avalonu posadziły cię na tym tronie, tak siła i moc Avalonu mogą cię obrócić wniwecz! Dobrze się zastanów, gdy bezczęścisz Święte Regalia! Nie próbuj nigdy używać ich w służbie twego chrześcijańskiego Boga, bo każda rzecz Mocy niesie swe własne przekleństwo...

– Dosyć! – Artur podniósł się ze swego krzesła, a jego głos brzmiał jak burza. – Siostra czy nie, nie ośmielaj się dawać rozkazów Królowi Brytanii!

– Nie mówię do swego brata – odparła – lecz do Króla! Avalon osadził cię na tym tronie, Arturze, Avalon dał ci ten miecz, który zbrukałeś, i teraz w imieniu Avalonu wzywam cię, byś zwrócił go Świętym Regaliom! Jeśli chcesz go używać jedynie jako miecza, to każ swym snycerzom wykuć sobie nowy!

Zaległa śmiertelna cisza i Morgianie przez chwilę wydawało się, że jej słowa padają w te wielkie, rozbrzmiewające echem, puste przestrzenie pomiędzy światami, że daleko stąd, w Avalonie, te słowa musiały obudzić Druidów, że nawet Raven musi teraz krzyczeć przez sen, wstrząśnięta zdradą Artura. Pierwszym jednak dźwiękiem, jaki usłyszała, był nerwowy kobiecy śmiech.

– Co ty za bzdury opowiadasz, Morgiano! – powiedziała Gwenifer. – Wiesz dobrze, że Artur nie może tego zrobić!

– Nie wtrącaj się, Gwenifer – rzuciła Morgiana ze śmiertelną groźbą w głosie. – To nie ma nic wspólnego z tobą, chyba że to ty namówiłaś Artura, by złamał swe śluby, miej się zatem na baczności!

– Uriensie – powiedziała Gwenifer – czy będziesz siedział spokojnie i pozwalał swej niewychowanej żonie w ten sposób zwracać się do Najwyższego Króla?

Uriens odkaslnął. Gdy się odezwał, jego głos brzmiał tak samo niepewnie i nerwowo, jak głos Gwenifer:

– Morgiano, być może jesteś nierozsądna... Artur zrobił dramatyczny gest z powodów politycznych, by przemówić do wyobraźni tłumu. Jeżeli uczynił to za pomocą miecza Mocy, cóż, to chyba lepiej. Bóg potrafi się sam troszczyć o swą cześć, moja droga, czy myślisz, że Bogini potrzebują twojej pomocy, by bronić swojej?

Gdyby w tym momencie Morgiana miała przy sobie broń, zabiłaby Uriensa. Przyszedł tu, by ją wspierać, a teraz w ten sposób ją opuścił?

– Morgiano, skoro tak cię to martwi – znów odezwał się Artur – pozwól, że powiem coś tylko dla twoich uszu: nie zamierzałem niczego bezczęścić. Jeżeli miecz Avalonu służy także jako krzyż do przysięgi, czyż nie znaczy to, że siły Avalonu biorą udział we władaniu tą ziemią? Tak mi poradził Kevin...

– O tak, wiem, że jest zdrajcą, od czasu kiedy kazał pochować Vivianę poza Świętą Wyspą... – zaczęła Morgiana.

– Och, tak czy inaczej – przerwał jej Artur – dałem saksońskim królom to, czego chcieli, przysięgę na mój miecz!

– Tyle że to nie jest twój miecz! – krzyknęła Morgiana z furją. – To miecz Avalonu! I jeżeli nie będziesz go nosił tak, jak ślubowałeś, niechaj zostanie oddany w ręce kogoś, kto dotrzyma swej przysięgi!

– Może pokolenie temu był to miecz Avalonu – odparł Artur, teraz już równie wściekły jak Morgiana. Zacisnął dłoń na rękojeści Ekskalibura, jakby w każdej chwili ktoś mógł próbować mu go odebrać. – Miecz należy do tego, kto go używa, a ja zdobyłem sobie prawo, by nazywać go moim, gdy wypędziłem z tych ziem wszystkich wrogów! Miałem go w bitwie, a te ziemie wygrałem pod Mount Badon...

– I chciałeś go oddać w służbę chrześcijańskiemu Bogu – przerwała mu Morgiana. – Teraz w imieniu Bogini żądam, by miecz powrócił do świątyni Jeziora!

Artur wziął głęboki oddech. Potem odezwał się, specjalnie opanowując głos:

– Odmawiam. Jeśli Bogini chce zwrotu tego miecza, to będzie musiała sama odebrać go z moich rąk... – Potem głos mu zmiękł: – Moja droga siostrze, błagam cię, nie kłóć się ze mną o imię, pod jakim czcimy naszych Bogów. Przecież ty sama mnie uczyłaś, że wszyscy Bogowie są Jednym Bogiem.

*I on nigdy nie zrozumie, dlaczego w tym, co mówi, nie ma racji* – myślała Morgiana z rozpaczą. *A jednak przywołał Boginię, powiedział, by przyszła i wzięła sobie jego miecz, jeśli go chce. Niech więc tak będzie. Pani, jestem w twoich rękach.* Przez chwilę stała z pochyłą głową.

– Tak więc to Bogini pozostawiam decyzję co do miecza – powiedziała wreszcie. *A kiedy ona z tobą skończy, Arturze, będziesz żałował, że nie chciałeś mieć raczej ze mną do czynienia...*

Usiadła na swym miejscu obok Gwenifer. Artur skinął na Gwydiona.

– Sir Mordredzie – zaczął – gdybyś mnie poprosił, w każdej chwili pasowałbym cię na rycerza i uczynił jednym z mych towarzyszy. Zrobiłbym to dla Morgiany i dla siebie... nie musiałeś podstępem zdobywać tego zaszczytu.

– Uważałem, że gdybyś pasował mnie na rycerza bez jakiegoś poważnego powodu – odparł Gwydion – mogłyby zacząć krążyć plotki, których wolałbyś uniknąć. Czy zatem wybaczysz mi ten podstęp, panie?

– Jeżeli Lancelot ci wybaczył, ja nie mam powodu, by mieć do ciebie żal – powiedział Artur – a skoro on hojnie cię obdarował, to oznacza, że nie chowa urazy. Żałuję, że nie leży w mej mocy, by uznać cię za syna, Mordredzie. Jeszcze kilka lat temu w ogóle nie wiedziałem o twoim istnieniu, Morgiana nie powiedziała mi, co wynikło z tamtego obrzędu. Wiesz, tak przypuszczam, dla księży i biskupów samo twoje istnienie jest już czymś grzesznym...

– Czy ty także w to wierzysz, panie?

Artur spojrział swemu synowi prosto w oczy.

– Och... czasami wierzę w jedno, czasami w drugie... jak każdy człowiek. To nieważne, w co ja wierzę. Fakty są jednak takie, że nie mogę przed światem uznać cię za syna, choć jesteś takim synem, z którego każdy mężczyzna, a tym bardziej bezdzietny król, może być dumny i szczęśliwy. Jednak to Galahad musi odziedziczyć mój tron.

– Jeśli dożyje – powiedział Gwydion, a na widok zaskoczonego wzroku Artura, dodał cicho: – Nie panie, nie grozę jego życiu. Złożę przysięgę, jaką tylko chcesz, na krzyż czy dąb, na Świętą Studnię lub na węże, które noszę – wyciągnął przed siebie ramiona – a ty nosiłeś je przede mną: niech Bogini ześle na mnie żywe węże, takie, jak te, jeśli kiedykolwiek podniosę rękę na mego kuzyna Galahada. Ale ja to widziałem... on zginie, z honorem, za ten sam krzyż, który czci.

– Boże, uchwaj nas od zła wszelkiego! – krzyknęła Gwenifer.

– Zaiste pani. Lecz jeśli Galahad nie będzie żył na tyle długo, by objąć po tobie tron, mój ojciec i mój król, bo przecież on jest rycerzem i wojownikiem, i jest tylko śmiertelnym człowiekiem, a ty możesz żyć tak długo, że będziesz starszy niż teraz król Uriens, to co wtedy?

– Jeżeli Galahad umrze, zanim będzie mógł objąć mój tron, niech Bóg strzeże go od wszelkiego zła – powiedział Artur – nie będę miał wyboru. Królewska krew to królewska krew, a twoja jest królewska zarówno z Pendragonów, jak i z Avalonu. Gdyby taki straszny dzień nadszedł, to myślę, że nawet biskupi woleliby ujrzeć na tronie ciebie, niż narazić te ziemie na taki chaos, jaki tu zagrażał, gdy umarł Uther.

Podniósł się i stał teraz, obie ręce opierając na ramionach swego syna. Patrzył mu w oczy.

– Żałuję, że nie mogę rzec więcej, mój synu. Lecz co się stało to się nie odstanie. Powiem ci tylko jedno: z całego serca żałuję, że nie jesteś synem mej królowej.

– I ja także – powiedziała Gwenifer, wstając, by go uściskać

– Nie będę cię jednak traktował, jak nie chcianego bękarta – powiedział Artur. – Jesteś synem Morgiany. Mordredzie, diuku Kornwalii, towarzyszu i Rycerzu Okrągłego Stołu, powierzam ci zadanie, byś był głosem Okrągłego Stołu między saksońskimi królami. Będziesz miał prawo wymierzać sprawiedliwość w imieniu króla, zbierać dla mnie podatki i lenna i zostawiać z nich sobie odpowiednią część, by utrzymywać takie domostwo, jakie przystoi królewskiemu doradcy. I jeśli byś tego zapragnął, to z góry daję ci zgodę na poślubienie córki jednego z saksońskich królów, co da ci twój własny tron, nawet gdybyś nigdy nie zasiadł na moim.

– Jesteś hojny, panie – powiedział Gwydion, kłaniając się.

*O tak, pomyślała Morgiana, a to usunie Gwydiona z drogi na tak długo, dopóki nie będzie potrzebny, jeśli w ogóle kiedykolwiek będzie. Artur ma talent do rządów!* Uniosła głowę i powiedziała:

– Byłeś tak hojny dla mego syna, Arturze, czy mogę raz jeszcze odwołać się do twej dobroci?



Artur miał zmęczoną twarz, ale odrzekł:

– Poproś mnie o coś, co mogę dać, siostrze, a z przyjemnością to obiecuję.

– Uczyniłeś mego syna diukiem Kornwalii, lecz on na razie mało zna tamtejsze ziemie. Słyszałam też, że teraz diuk Markus uważa je wszystkie za swoje. Czy pojedziesz ze mną do Tintagel i zbadasz sprawę jego roszczeń?

Twarz Artura rozpuściła się. Czyżby obawiał się, że ona znów poruszy sprawę Ekskalibura? *O nie, mój bracie, już nigdy więcej na tym dworze. Kiedy znów wyciągnę rękę po Ekskalibur, będzie to na mej własnej ziemi, w miejscu należącym do Bogini.*

– Nie byłem w Kornwalii od tak dawna, że sam już nawet nie pamiętam kiedy – powiedział Artur – nie mogę co prawda opuścić teraz Kamelotu, lecz zostańcie tutaj jako moi goście, to po tych świętach pojedziemy razem do Tintagel zobaczyć się z tym diukiem Markusem czy jakimkolwiek innym śmiertelnikiem, który ośmiela się podważać prawa Artura i Morgiany, księżnej Kornwalii. No to teraz wystarczy już tych poważnych spraw – zakończył, odwracając się do Kevina. – Lordzie Merlinie, nie ośmielałam się rozkazywać ci, byś dla mnie śpiewał przed całym dworem, ale czy w zaciszu mej własnej komnaty i w towarzystwie najbliższej rodziny, mogę poprosić cię o pieśń?

– Zagram z przyjemnością – odparł Kevin – jeśli pani Gwenifer nie ma nic przeciwko temu... – Spojrzał na królową, ale ta siedziała w milczeniu, więc oparł harfę o ramię i zaczął grać.

Morgiana siedziała spokojnie u boku Uriensa, słuchając muzyki. Artur rzeczywiście miał dla swej rodziny iście królewski podarek – muzykę Kevina. Gwydion słuchał z dłońmi splecionymi na kolanach, zamyślony i oczarowany. *Przynajmniej w tym jest moim nieodrodnym synem*, pomyślała Morgiana. Uriens przysłuchiwał się z grzeczną uwagą. Morgiana na chwilę podniosła oczy i napotkała wzrok Accolona. *Tej nocy jakoś musimy się spotkać, nawet gdybym miała podać Uriensowi środek nasenny; muszę mu tak wiele powiedzieć...* potem spuściła wzrok. Nie jest lepsza od Gwenifer...

Uriens trzymał ją za rękę, głaskał jej palce i dłonie; czuła, jak dotyka siniaków, które tego wieczoru zrobił jej na nadgarstku, i poprzez ból poczuła także obrzydzenie. Będzie musiała iść do jego łóżka, jeśli on tego zapragnie. Tu, na tym chrześcijańskim dworze, ona jest jego własnością, jak koń czy pies, którego on może sobie głaskać lub bić, zależnie od ochoty!

Artur zdradził zarówno ją, jak i Avalon. Uriens też ją opuścił, i Kevin, ten też ją zdradził... Ale Accolon jej nie zawiedzie. Accolon powinien władać dla Avalonu, jako król, którego nadejście przepowiedziała Viviana, król Avalonu i całej Brytanii.

*A wraz z Królem, Królowa, władająca w imieniu Bogini, jak za dawnych dni...*

Kevin uniósł głowę i napotkał jej wzrok, a Morgiana zadrżała, wiedząc, że musi ukryć swe myśli. *On ma Wzrok i jest człowiekiem Artura. To jest Merlin Brytanii, a mimo to jest moim wrogiem!*

– Skoro to jest rodzinne przyjęcie, a ja też bardzo chciałbym posłuchać muzyki, czy w zamian za swój występ mogę poprosić, by zaśpiewała teraz pani Morgiana? – spytał Kevin miękko.

Podeszła, by zająć jego miejsce. Czuła w dłoniach moc jego harfy.

*Muszę ich oczarować, by nie podejrzewali niczego złego,* myślała, układając palce na strunach.

## 7

– Nie wiedziałem, że twoje prawo do własności Tintagel znów zostało podważone – powiedział Uriens, gdy znaleźli się sami w swej komnacie.

– Rzeczy, o których nie wiesz, mój mężu, jest tak wiele, jak żołędzi dla dzikich świń w lesie – odparła Morgiana zniecierpliwiona. Jak w ogóle do tej pory mogła znosić tego głupca? Tak, jest miły, nigdy nie był dla niej niedobry, ale jego głupota wyprowadzała ją już z równowagi. Chciała być sama, zastanowić się nad wszystkim, naradzić z Accolonem, a tymczasem musi się zajmować uspokajaniem tego starego idioty!

– Powinienem wiedzieć, jakie masz plany. – Głos Uriensa był urażony. – Jestem zły, że nie naradziłaś się ze mną co do tego, co się dzieje w Tintagel. Jestem twoim mężem i to mnie pierwszemu powinnaś była o tym powiedzieć, zamiast skarżyć się Arturowi!

W jego urażonym głosie brzmiała też nutka zazdrości i Morgiana nagle przypomniała sobie, że on przecież dopiero dziś poznał tajemnicę, którą ukrywała przez wszystkie lata – kto jest ojcem jej syna Czy jednak Uriens mógł rzeczywiście myśleć, że po półwieku ona ma z tego powodu jeszcze jakiś wpływ na Artura, albo że dla nich obojga ma jeszcze znaczenie coś, co jedynie głupcy i chrześcijanie uważają za grzech? *Cóż, jeśli on nie ma na tyle rozumu, by sam ocenić to, co ma przed oczyma, dlaczego ja mam mu wszystko wyjaśniać słowo po słowie, jak małemu dziecku?*

– Artur był na mnie zły, gdyż uważa, że kobieta nie powinna się z nim spierać w ten sposób – powiedziała w końcu. – Dlatego właśnie poprosiłam go o pomoc, by uwierzył, że nie jestem wrogo nastawiona.

Nie powiedziała nic więcej. Jest kapłanką Avalonu, nie będzie kłamać, nie ma jednak obowiązku wyjawiać więcej prawdy, niż jest to konieczne. Jeśli Uriens chce, niech sobie myśli, że pragnęła jedynie zażegnać swą kłótnię z Arturem.

– Jakaś ty mądra, Morgiano – powiedział, głaszcząc ją po posiniaczonej ręce.

Krzywiąc się z bólu, pomyślała, że on już pewnie zapomniał, skąd ma te sińce. Poczuła, że usta jej drżą, jak małemu dziecku. *Chcę Accolona. Chcę leżeć w jego ramionach, chcę, żeby mnie pieścił i pocieszał, ale jakże w tym miejscu możemy się choćby spotkać i spokojnie porozmawiać?* Zamrugnęła, by odpędzić łzy. Siła jest teraz jej jedyną bronią. Siła i skrytość.

Uriens poszedł się wypróżnić i wrócił, ziewając.

– Słyszałem, jak strażę obwieszczały północ. Musimy iść do łoża, pani. Jesteś bardzo znużona, moja droga? – spytał, zdejmując swe odświętne szaty.

Nie odpowiedziała, wiedząc, że jeśli się odezwie, zacznie płakać.

Wziął jej milczenie za zgodę i przyciągnął ją do siebie, całując jej szyję, potem pociągnął ją w stronę łoża. Znosiła zbliżenie, myśląc o tym, czy potrafi sobie przypomnieć jakieś zaklęcie lub zioła, które położą kres jego zbyt długo trwającej potencji. Przeklęty, w jego wieku już dawno nie powinien być do tego zdolny, nikomu nawet przez myśl nie przejdzie, że to skutek jej czarów. Gdy już było po wszystkim, leżała z otwartymi oczyma, zastanawiając się, dlaczego nie znosi tego po prostu z zupełną obojętnością, nie pozwala mu się posiąść, nawet o tym nie myśląc, tak jak to robiła przez tyle lat... jakież to ma dla niej znaczenie, dlaczego ma zwracać na niego większą uwagę niż na jakiegoś psiaka węszącego koło jej spódnicy?

Spała niespokojnie, śniąc o tym, że znalazła jakieś niemowlę, które musi wykarmić, lecz jej piersi są suche i potwornie bołą... Obudziła się, wciąż czując ten ból. Uriens pojechał na polowanie z rycerzami Artura, było to zaplanowane od wielu dni. Poczuli się słabo. *Zjadłam więcej, niż zazwyczaj zjadam w trzy dni, myślała. Nic dziwnego, że mnie mdli.* Kiedy jednak sznurowała sobie suknię, piersi wciąż były nabrzmiące i obolałe. Wydało jej się, że brodawki, zwykle niewielkie i brązowe, też są nabrzmiące i różowe.

Opadła na łożo, jakby ktoś podciął jej nogi. Jest przecież jałowa!

Była tego pewna, powiedzieli jej to po porodzie Gwydiona, że prawdopodobnie nigdy już nie urodzi dziecka i przez te wszystkie lata, nigdy, żaden mężczyzna nie uczynił jej brzemienną! Co więcej, ma już prawie czterdzieści i dziewięć lat, dawno minął czas jej płodności. A jednak, mimo wszystko, najwyraźniej jest w ciąży! Była przekonana, że już od dawna nie ma w ogóle takiej możliwości. Jej krwawienia stały się nieregularne, czasami przez kilka miesięcy pod rząd w ogóle ich nie miewała, myślała, że niebawem całkowicie zanikną. Teraz jej pierwszą reakcją był strach: przecież omal nie umarła przy porodzie Gwydiona...

Uriens byłby z pewnością zachwycony tym dowodem swojej męskości. Jednak kiedy to dziecko zostało poczęte, Uriens chorował na płucną gorączkę, a i tak istniało bardzo małe prawdopodobieństwo, że to może być dziecko Uriensa. Czyżby poczęła je z Accolonem w dniu zaćmienia słońca? A więc jest to dziecko Boga, który przyszedł do nich w leszczynowym gaju.

*Co ja zrobię z niemowlęciem, ja, stara kobieta? Może jednak urodzę kapłankę dla Avalonu, tę, która będzie władała po mnie, gdy zdrajca, którego Viviana posadziła na tronie, zostanie obalony...*

Za oknem padał mżący, zimny deszczyk, było szaro i ponuro.

Pole, gdzie wczoraj odbywał się turniej, tonęło w błocie, w którym walały się porwane wstęgi i dekoracje. Na dziedzińcu kilku lennych królów szykowało się już do odjazdu, a

kuchenne kobiety, wysoko podwinąwszy spódnice, by nie upaprać ich w błocie, niosły naręcza bielizny do prania.

Rozległo się pukanie do drzwi. Głos sługi był cichy i pełen szacunku:

– Królowo Morgiano, Najwyższa Królowa zapytuje, czy ty pani, i królowa Lothianu przyjdziecie zjeść z nią śniadanie. A Merlin Brytanii pyta, czy przyjmiesz go u siebie w południe.

– Pójdę do królowej – odparła Morgiana. – Merlinowi też powiedz, że go przyjmę.

Wzdragąła się na myśl o obu tych spotkaniach, lecz w tej chwili nie śmiała uchylić się przed żadnym z nich. Gwenifer zawsze będzie jedynie jej wrogiem. To za jej sprawą Artur wpadł w ręce księży i zdradził Avalon. *Być może, zastanawiała się Morgiana, planuję upadek niewłaściwej osoby. Gdybym jakoś zdołała sprawić, by to Gwenifer opuściła dwór, niechby nawet uciekła z Lancelotem do jego zamku, teraz, kiedy jest wdowcem i może ją sobie wziąć...* ale odrzuciła ten pomysł.

*Pewnie to Artur ją poprosił, żeby się ze mną pogodziła, myślała cynicznie. On dobrze wie o tym, że nie może sobie pozwolić na waśnie z lennymi królami, a gdybym ja pozostała skłócona z Gwenifer Morgause jak zwykle wzięłaby moją stronę. Zbyt poważna rodzinna sprzeczka, a mógłby stracić Uriensa, a także synów Morgause. Nie może sobie pozwolić na utratę Gawaina, Garetha i ludów Północy...*

Morgause już siedziała w komnacie królowej. Zapach jedzenia znów zemdlił Morgianę, lecz opanowała się siłą woli. Powszechnie było wiadomo, że ona nigdy nie je dużo, więc pewnie tego w ogóle nie zauważą. Gwenifer podeszła i ucałowała ją i Morgiana na chwilę znów poczuła prawdziwą czułość do tej kobiety. *Dlaczego mamy być wrogami? Byłyśmy przyjaciółkami, kiedyś, tak dawno temu...* To nie samej Gwenifer nienawidziła, tylko księży, którzy mieli na nią tak przemożny wpływ.

Siadła przy stole, wzięła kawałek świeżego chleba z miodem, ale go nie jadła. Obecne w komnacie damy dworu były zwykłymi pobożnymi idiotkami, którymi Gwenifer zawsze lubiła się otaczać.

Powitały Morgianę zaciekawionymi spojrzeniami i wylewnym pokazem fałszywej serdeczności.

– Twój syn, Mordred, jakiż to piękny chłopiec, musisz być z niego bardzo dumna – powiedziała jedna z nich, a Morgiana, krusząc swój chleb, odpowiedziała spokojnie, że właściwie nie widziała go od czasu, gdy był niemowlęciem.

– To Uwain, syn mego męża, jest bardziej moim własnym synem i to z jego rycerskich wyczynów jestem najbardziej dumna – dodała. – To jego wychowałam od dziecka. Ty jednak jesteś dumna z Mordreda jak z własnego syna, prawda Morgause?

– To syn Uriensa nie jest twoim rodzonym synem? – spytała inna z dam dworu.

– Nie – odparła Morgiana cierpliwie. – Gdy poślubiłam króla Północnej Walii, Uwain miał dziewięć lat.

Jedna z dziewcząt zauważyła, chichocząc, że gdyby była Morgiana, to zwracałaby większą uwagę na tego drugiego pasierba, Accolon, tak mu na imię, prawda? *Czy powinnam zabić tę kretynkę?* myślała Morgiana, zaciskając zęby. Ale nie; kobiety na dworze Gwenifer nie miały rzeczywiście nic innego do roboty, poza spędzaniem czasu na bezmyślnych żartach i plotkach.

– A teraz powiedz mi – spytała, chichocząc, Alais, która była damą dworu jeszcze w czasach, kiedy przebywała tu Morgiana – czy on naprawdę nie jest synem Lancelota?

Morgiana uniosła brwi i spytała:

– Kto? Accolon? Zmarła żona króla Uriensa nie byłaby ci wdzięczna za to posądzenie, pani.

– Och, wiesz, kogo mam na myśli – prychnęła Alais. – Lancelot jest synem Viviany, a ona cię wychowywała, któż więc, mógłby cię o to winić? Powiedz mi prawdę, Morgiano, kto jest ojcem tego przystojnego chłopca? Przecież nie może być nim nikt inny tylko Lancelot, prawda?

Morgause roześmiała się, próbując rozładować napięcie.

– Cóż, wszystkie oczywiście kochamy się w Lancelocie – powiedziała. – Och, biedny Lancelot, cóż za ciężar musi znosić!

– Ale ty znów nic nie jesz, Morgiano – zauważyła Gwenifer. – Jeśli to ci nie smakuje, może posłać po coś do kuchni? Plasterek szynki? Może jakieś lepsze wino?

Morgiana potrząsnęła głową i włożyła do ust kawałek chleba. Czy to wszystko już się kiedyś nie zdarzyło? A może tylko o tym śniła... I poczuła straszne mdłości, przed oczyma zatańczyły jej szare plamki. To dopiero dałoby im powód do plotek i ożywiło wiele nudnych dni, gdyby stara królowa Północnej Walii zwiymiotowała jak ciężarna kobieta! Wbiła mocno paznokcie w dłoń i jakoś zdołała opanować najgorszą falę mdłości.

– Wypiłam zbyt wiele wczoraj na uczcie, wiesz od dwudziestu lat, że nie mam mocnej głowy do wina, Gwenifer.

– Ach, a jakież to było dobre wino – powiedziała Morgause cmokając ze smakiem, a Gwenifer uprzejmie obiecała jej, że beczka tego wina pojedzie wraz z nią do Lothianu. Morgiana, przez chwilę miłosiernie pozostawiona w spokoju, walczyła z bólem głowy, który zaciskał się na jej skroniach jak żelazna obręcz do tortur. Poczula na sobie pytający wzrok Morgause.

Ciąża to jedna z tych rzeczy, których nie można ukryć... nie... dlaczego ma to ukrywać? Jest prawnie zaślubioną mężatką, ludzie mogą się śmiać, że stary król Północnej Walii i jego starzejąca się żona zostali w swoim zaawansowanym wieku rodzicami, ale będzie to śmiech dobroduszny. Mimo to Morgianie wydawało się, że ogrom wzbierającego w niej gniewu za chwilę eksploduje i rozerwie ją na kawałki. Czuła się jak jedna z tych ognistych gór, o których opowiadał jej Gawain, tych, które widział w dalekich krainach...

Kiedy wszystkie dworki sobie poszły i została w komnacie sama z królową, Gwenifer odezwała się zatroskanym głosem:

– Przykro mi Morgiano, wyglądasz na chorą. Może powinnaś wrócić do łóża?

– Być może powinnam – odparła Morgiana. *Gwenifer nigdy by nie zgadła, co mi jest. Gdyby to się jej przydarzyło, byłaby szczęśliwa, nawet teraz!*

Królowa zarumieniła się pod gniewnym wzrokiem Morgiany.

– Przykro mi, nie chciałam, by moje damy tak z ciebie żartowały, ja... powinnam je była uciszyć, moja droga.

– Czy myślisz, że obchodzi mnie to, co one mówią? Są jak gdaczące kury i mniej więcej tyle samo mają rozumu – powiedziała Morgiana z pogardą tak wielką, jak ból, który rozsadał jej czaszkę. – A ileż to z twoich kobiet rzeczywiście wie, kto naprawdę jest ojcem mego dziecka? Kazałaś Arturowi się z tego spowiadać czy także zwierzyłaś się z tego wszystkim swoim dworkom?

Gwenifer była przestraszona:

– Nie... nie sędzę, by wiele z nich wiedziało... tylko te, które były tu wczoraj, kiedy Artur go uznał, no, te na pewno. I biskup Patrycjusz... – wyjąkała, podnosząc oczy na Morgianę.

*Jak łaskawie lata się z nią obeszły, pomyślała Morgiana. Ona z wiekiem staje się coraz piękniejsza, a ja usycham jak stara wierzba...*

– Wyglądasz na zmęczoną, Morgiano – powtórzyła Gwenifer, a Morgianę uderzyło to, że pomimo wszystkich starych zatargów między nimi, w jej głosie była także miłość. – Idź odpocząć, droga siostró.

*A może to tylko dlatego, że zostało nas już tak niewiele, nas, które razem byłyśmy młode?*

Merlin także się postarzał, dla niego czas nie był tak łaskawy jak dla Gwenifer. Pochylił się jeszcze bardziej, sztywną nogę ciągnął za sobą, podpierając się łaską, a jego ręce i ramiona, pokryte silnymi, łykowatymi mięśniami, wyglądały jak sękaty, pogięte gałęzie starego dębu. Można by go teraz wziąć za jednego z tych krasnoludów, o których baśnie prawiły, że mieszkają w jaskiniach pod górami.

Tylko ruchy jego dłoni były wciąż precyzyjne i piękne, mimo powykręcanych palców. I te wdzięczne ruchy sprawiły, że Morgiana pomyślała o dawnych dniach, o swej długiej nauce gry na harfie i nauce języka gestów i mowy dłoni.

Kevin machnięciem ręki odmówił wina, które zaproponowała, i swym dawnym zwyczajem ciężko opadł na krzesło, nie pytając jej o pozwolenie.

– Uważam, że nie masz racji, Morgiano, ponagłając Artura w sprawie Ekskalibura.

Wiedziała, że jej własny głos zabrzmiał ostro i nieprzyjemnie:

– Nie spodziewałam się twojej akceptacji, Kevinie. Ty bez wątplenia uważasz, że cokolwiek on zrobi z mieczem Świętych Regaliów, będzie słuszne.

– Nie widzę w tym nic złego. Wszyscy Bogowie są Jednym, tak by powiedział nawet Taliesin, i jeśli połączymy się w służbie Jednemu...

– Ale ja właśnie z tym się nie zgadzam – przerwała mu Morgiana. – Bo to ich Bóg będzie tym Jednym, i jedynym, i wyprze nawet wspomnienie o Bogini, której my służymy. Kevinie, posłuchaj mnie, czy nie rozumiesz, jak to zawęży świat, jeżeli jest w nim jeden Bóg, a nie wielu? Ja uważam, że błędem było robienie z Saksonów chrześcijan. Myślę, że ci starzy księża, którzy kiedyś mieszkali w Glastonbury, mieli rację. Dlaczego wszyscy mamy się spotykać w jednym życiu pośmiertnym? Dlaczego nie ma istnieć wiele ścieżek? Saksoni mogą podążać swoją, my naszą, wyznawcy Chrystusa mogą czcić jego, jeśli tak chcą, jednak nie ograniczać innych wyznań...

Kevin potrząsnął głową:

– Moja droga, nie wiem. Wydaje się, że zaszła wielka zmiana w sposobie ludzkiego myślenia, w tym, że ludzie patrzą na świat, tak jakby teraz jedna prawda musiała wypierać wszystkie inne, tak jakby wszystko, co nie jest ich prawdą, było kłamstwem.

– Jednak życie nie jest takie proste – zauważyła Morgiana.

– Ja to wiem, ty to wiesz, i gdy czas się dopełni, nawet księża się o tym przekonają.

– Lecz jeśli najpierw przepędzą z tego świata wszystkie inne prawdy, będzie już za późno.

Kevin westchnął:

– Istnieje przeznaczenie, którego żaden człowiek nie może powstrzymać, i myślę, że taki ostateczny dzień właśnie nadchodzi, Morgiano... – Wyciągnął swe sękaty ręce i ujął jej dłonie. Chyba nigdy jeszcze nie słyszała, by mówił tak łagodnie: – Nie jestem twoim wrogiem, Morgiano. Znałem cię, kiedy jeszcze byłaś młodą dziewczyną. A potem... – Zatrzymał się, widziała, jak porusza się jego grdyka, gdy przełykał. – Kocham cię, Morgiano. Życzę ci jedynie dobrze. Był taki czas, o tak, to było dawno temu, ale ja nigdy nie zapomniałem, jak bardzo cię kochałem i jaki dumny się czułem, że wolno mi się do ciebie zwracać słowami miłości... Żaden człowiek nie może walczyć z przeznaczeniem. Może gdybyśmy wcześniej pomyśleli o nawróceniu Saksonów na chrześcijaństwo, zostałyby to dokonane przez tych samych księży, którzy wzniesli świątynię, w której oni i Taliesin razem oddawali cześć Bogom. Nasz własny upór do tego nie dopuścił, tak więc to zadanie dostało się fanatykom, takim jak Patrycjusz, którzy w swej dumie widzą Stwórcę jedynie jako mściwego Ojca swych żołnierzy, a nie jako kochającą Matkę płodnych pól i ziemi... Powiadam ci, Morgiano, oni są jak fala, która zmiecie wszystkich ludzi przed sobą jak żdźbła trawy.

– Zło już się stało. Lecz jaka jest odpowiedź? – spytała Morgiana.

Kevin spuścił głowę, a Morgianę uderzyła myśl, że jedyne, czego on tak naprawdę w tej chwili pragnie, to położyć tę głowę na jej piersiach. Już nie jak mężczyzna na piersiach kobiety, lecz tak, jakby ona była Boginią Matką, która potrafi uciszyć jego lęk i rozpacz.

– Może... – zaczął łamiącym się głosem – może w ogóle nie ma odpowiedzi? Może jest tak, że w ogóle nie ma żadnych Bogów ani Bogiń, a my się spieramy o puste słowa? Nie chcę się z tobą kłócić, Morgiano z Avalonu, ale też nie będę siedział spokojnie i pozwalał ci, byś pograżyła te ziemie znowu w chaosie i wojnie, zniszczyła ten pokój, który Artur nam dał. Jakaś wiedza, jakaś pieśń, jakieś piękno musi przetrwać, zanim świat znów pograży się w ciemności. Powiadam ci, Morgiano, widziałem zbliżające się ciemności. Być może w Avalonie zdołamy przechować tajemną wiedzę. Minał jednak czas, kiedy moglibyśmy znowu głosić tę wiedzę światu. Czy myślisz, że lękam się zginąć za to, by coś z piękna Avalonu mogło przetrwać dla ludzkości?

Powoli, jak zauroczona, Morgiana wyciągnęła dłoń, by dotknąć jego twarzy, by otrzeć mu łzy. Ale cofnęła rękę z nagłym przerażeniem, bo oto położyła dłoń na nagiej, płaczącej czaszce, a jej własna ręka wydała się kredowobiałą, chudą ręką Śmierci Kostuchy... On też to ujrzał i wpatrywał się w nią przerażony, skamieniały. Potem wizja zniknęła i Morgiana usłyszała swój normalny, choć wzburzony głos:

– Tak więc ty wolałbyś wynieść święte rzeczy na świat, tak by miecz Avalonu mógł się stać mściwym mieczem Chrystusa?

– To jest miecz Bogów – powiedział Kevin – a wszyscy Bogowie są Jednym. Tak, wolę, by Ekskalibur był na świecie, gdzie ludzie mogą za nim podążać, niż żeby leżał ukryty w Avalonie. Tak długo, jak za nim podążają, czyż ma znaczenie to, jak nazywają Boga, w imieniu którego to czynią?

– Zginę, by właśnie do tego nie dopuścić – odparła Morgiana powoli. – Strzeż się, Merlinie Brytanii: zawarłeś Wielki Związek i ślubowałeś oddać życie w obronie Misteriów. Miej się na baczności, by nie zażądano od ciebie wypełnienia tej przysięgi!

Jego piękne oczy patrzyły prosto w jej oczy:

– Och, moja pani i moja Bogini, błagam cię, naradz się z Avalonem, zanim zaczniesz działać! Naprawdę uważam, że nadszedł czas, byś powróciła do Avalonu... – Położył swą dłoń na jej dłoni. Nie cofnęła jej. Jej głos łamał się od łez, które powstrzymywała przez cały ten dzień:

– Tak bym chciała... móc wrócić... lecz właśnie dlatego, że tak bardzo za tym tęsknię, tak bardzo tego pragnę, nie ośmielam się tego uczynić... Wiem, że nie pojedę do Avalonu wcześniej niż wtedy, kiedy już nigdy nie będę mogła go opuścić...

– Ty tam wrócisz, bo ja to widziałem – powiedział Kevin czule. – Ale nie ja. Nie wiem dlaczego, Morgiano, moja ukochana, lecz wydaje mi się, że już nigdy w życiu nie będę pił ze Świętej Studni.

Patrzyła na to brzydkie, kalekie ciało, na piękne dłonie, piękne oczy. *Kiedyś kochałam tego człowieka. I mimo wszystko ciągle go kocham, będę go kochać, aż oboje nie pomrzemy. Znam go od początku czasu, razem służyliśmy naszej Bogini. Czas się zatrzymał i Morgianie wydało się, że oto oboje znajdują się poza czasem, że ona daje mu życie, że ścina go jak*



drzewo, że on znów podnosi się jako młody pęd i ginie z jej woli, a ona bierze go w ramiona i z powrotem przywraca życiu... pradawny dramat, rozgrywający się, zanim jeszcze Druidzi czy chrześcijanie postawili nogę na tej ziemi.

*I on chce to zniweczyć?*

– Jeśli Artur nie dotrzyma przysięgi, czyż nie powinnam go z niej rozliczyć?

– Pewnego dnia Bogini rozprawi się z nim na swój własny sposób – odparł Kevin. – Pamiętaj jednak, że to właśnie z woli Bogini Artur jest królem całej Brytanii. Morgiano z Avalonu, powtarzam ci, miej się na baczności! Czy ośmielisz się stawić czoło przeznaczeniu, które rządzi tą ziemią?

– Uczynię to, co Bogini przykazała mi czynić!

– Bogini, czy też twoja własna wola, duma i ambicja lub ambicja wobec tych, których kochasz? Morgiano, raz jeszcze powiadam ci, uważaj. Bo jest też możliwe, że dni Avalonu już minęły, a twe dni wraz z nim.

I wtedy całkowicie straciła panowanie nad sobą.

– I ty śmiesz się nazywać Merlinem Brytanii!?! – krzyknęła. – Idź precz, przeklęty zdrajco! – Chwyciła wrzeciono i rzuciła w jego głowę. – Precz! Precz z moich oczu, bądź na wieki przeklęty! Wynoś się! Precz powiadam!

## 8

Dziesięć dni później król Artur ze swą siostrą Morgianą i jej małżonkiem, Uriensem z Północnej Walii, wyruszyli w drogę do Tintagel.

Morgiana miała dość czasu, by zdecydować, co uczyni, a dzień wcześniej znalazła także sposobność, by porozmawiać z Accolonem na osobności.

– Czekaj na mnie na brzegu Jeziora. Bądź ostrożny, by ani Artur, ani Uriens cię nie dostrzegli. – Wyciągnęła do niego dłoń na pożegnanie, lecz on przygarnął ją do siebie i zaczął namiętnie całować.

– Pani! Nie mogę pozwolić, byś narażała się na takie niebezpieczeństwo!

Przytuliła się do niego na chwilę. Była taka zmęczona, taka zmęczona tym, że zawsze musi być silna, że musi wciąż czuwać, by wszystko było tak, jak trzeba! On jednak nigdy nie może jej podejrzewać o słabość!

– Nie ma na to rady, ukochany. Inaczej nie będzie innego rozwiązania, tylko śmierć. Ty zaś nie możesz wstąpić na tron z rękoma zbrukanyymi krwią swego ojca. A kiedy już zasiądziesz na tronie Artura, z mocą Avalonu za tobą i mieczem Ekskaliburem w dłoni, wtedy możemy odesłać Uriensa z powrotem na jego ziemię, by tam rządził tak długo, jak Bóg zechce.

– A Artur?

– Artura też nie chcę skrzywdzić – odparła z przekonaniem. – Nie chcę, by został zabity. Lecz przez trzy dni i trzy noce przebywał będzie w czarownej krainie, a gdy powróci, tutaj minie pięć lat albo i więcej. Zarówno Artur, jak i jego tron, będą wtedy tylko opowieścią pamiętaną przez starych ludzi, a niebezpieczeństwo panowania księży będzie już przeszłością.

– A jeśli on jakoś znajdzie drogę powrotną?

Głos Morgiany zadrżał. *Cóż się stanie z Królem Bykiem, kiedy młody byk dorosnie?*

– Wtedy z Arturem stanie się tak, jak będzie chciało przeznaczenie. Ale to ty będziesz miał jego miecz.

*Zdrada*, myślała teraz z bijącym sercem, gdy jechali w szarości pochmurnego poranka. Cienka mgła podnosiła się nad wodami Jeziora. *Kocham Artura. Nie zdradziłabym go, lecz to on pierwszy naruszył przysięgę, którą dał Avalonowi.*

Wciąż trochę ją mdliło, a ruchy konia jeszcze to pogarszały. Nie pamiętała już, czy było jej tak niedobrze, gdy nosiła Gwydiona, nie – Mordreda, upomniała się w myślach. Jednak może być tak, że gdy jej syn obejmie tron, będzie chciał włączyć pod swym własnym imieniem, tym, które niegdyś nosił także Artur i które nie przypominało chrześcijańskich czasów. A kiedy Kevin zobaczy już dokonane dzieło, on też bez wątpienia poprze nowego Króla Avalonu.

Mgła gęstniała, czyniąc plan Morgiany nawet łatwiejszym do przeprowadzenia. Znów zadrżała i szczerze okrzykiła się płaszczem.

Musi to zrobić teraz, bo inaczej za chwilę wjadą na drogę wiodącą na południe, do Kornwalii. Mgła była już teraz tak gęsta, że Morgiana sama z trudem rozróżniała postaci trzech zbrojnych, którzy jechali przed nimi. Odwróciła się w siodle i stwierdziła, że trzej inni, jadący z tyłu, są tak samo mało widoczni. Drogę można było zobaczyć tylko na kilka kroków do przodu, mgła otulała ich coraz mocniej jak gruba kotara.

Morgiana wyciągnęła ręce, unosząc się wysoko w siodle. Wyszepiała słowa zaklęcia, którego dotąd nigdy nie ważyła się wymówić. Poczwała chwilę czystej trwogi – wiedziała jednak, że to tylko chłód, pochodzący z tego, że moc czerpie siły z jej ciała.

Uriens podniósł dłoń i odezwał się niepewnym głosem:

– W życiu nie widziałem takiej mgły, na pewno się zgubimy i będziemy musieli spędzić noc na brzegach Jeziora! Może powinniśmy poprosić o gościnę opata w Glastonbury...

– Nie zgubiliśmy drogi – powiedziała Morgiana. Mgła była już tak gęsta, że nie widziała kopyt własnego konia. *Ach, jako dziewczyna, kiedy mieszkałam w Avalonie, byłam taka dumna z tego, że zawsze mówię jedynie prawdę! Czy zatem musiałam zostać królową, by kłamać w służbie Bogini?* – Znam każdy cal drogi, którą jedziemy, tej nocy możemy się schronić w znanym mi miejscu, niedaleko brzegu, a rano znów wyruszyć.

– Nie mogliśmy ujechać tak znów daleko – powiedział Artur – bo słyszałem przed chwilą, jak dzwony w Glastonbury wzywały na Anioł Pański...

– We mgle dźwięki niosą daleko – odparła Morgiana. – A we mgle tak gęstej, jak ta, niosą jeszcze dalej. Zaufaj mi, Arturze.

– Zawsze ci ufałem, moja droga siostrze – odparł, uśmiechając się do niej z miłością.

O tak, ufał jej zawsze, od dnia, gdy Igriana powierzyła go jej opiece. Z początku nienawidziła płaczącego malca, a potem zrozumiała, że Igriana opuściła i zdradziła ich oboje, a ona musi się nim zająć, i wtedy otarła jego łzy... Zniecierpliwiona tym wspomnieniem Morgiana utwardziła swoje serce. To działało się całe życie temu. Od tego czasu Artur zawarł Świąty Związek z tą ziemią i złamał dane przysięgi, oddał ziemie, które ślubował chronić, w ręce księży, którzy chcieli przegnać wszystkich Bogów żywiących tą ziemię, czyniących ją płodną. To jej rękoma, jako kapłanki, Avalon osadził go na tronie, a teraz... Avalon, jej rękoma, z tego tronu go zepchnie.

*Nie skrzywdzę go, Matko... tak, zabiorę mu miecz Świątych Regaliów i oddam go temu, który będzie go nosił w imię Bogini, lecz nigdy nie tknę Artura...*

*A co się stanie z Królem Bykiem, gdy młody byk dorośnie?*

Takie jest prawo natury i nie wolno go zmieniać dla jej osobistych uczuć. Artur spotka swe przeznaczenie, nie będąc chroniony czarami, które dotąd posiadał. Nie będzie już miał pochwy, którą uszyła dla niego po tym, jak połączyła się z nim w Wielkim Związku, kiedy to sama jeszcze nie wiedziała, że nosi w swym łonie jego dziecko.

Często słyszała, jak jego rycerze rozprawiali o tym, że życie Artura jest zaczarowane, że może dostać nawet najstraszniejszą ranę i nigdy nie traci na tyle krwi, by zginąć. Nie, ona nigdy nie położyła ręki na synu swej matki i ojcu swojego dziecka. Jednakże to zaklęcie, które przygotowała dla niego już po utracie z nim dziewictwa, może mu odebrać. A potem stanie się z nim tak, jak zechce Bogini. Magiczna mgła wokół nich zgęstniała tak bardzo, że Morgiana prawie nie widziała konia, na którym u jej boku jechał Uriens. Jego zła, zmartwiona twarz wynurzyła się nagle z oparów.

– Jesteś pewna, że wiesz, gdzie nas prowadzisz, Morgiano? Nigdy tu wcześniej nie byłem, mógłbym przysiąc. Nie znam tego wzgórza...

– Przysięgam ci, że ja znam każdy cal tej drogi, nawet we mgle – zapewniła Morgiana. Tuż przed sobą dostrzegła dziwne skupisko krzewów, nie zmienione od dnia, kiedy szukała przejścia do Avalonu, tego dnia, gdy nie odważyła się przywołać łodzi... *Bogini*, modliła się do siebie w duchu, *spraw, by kościelne dzwony nie odezwały się w chwili, gdy będę próbowała przejść, bo inaczej ścieżka znów zniknie we mgle, a ja nigdy nie znajdę drogi do tej krainy...*

– Tędy – powiedziała, ściągając cugle i ponaglając konia ostrogami. – Za mną, Arturze.

Płynnie wjechała we mgłę, wiedząc, że oni nie mogą dotrzymać jej kroku z braku światła. Za sobą słyszała, jak Uriens zachrypniętym głosem rzuca przekleństwa, jak Artur uspokoja swego konia. Przez myśl przemknął jej obraz końskiego szkieletu, a na nim strzepy jej własnej uprzęży i siodła... cóż, będzie, jak musi być. Mgła zaczęła rzednąć i oto nagle jechali

w pełnym dziennym świetle, wśród kolorowych drzew, przez które sączyło się czyste, zielone światło, choć nie widzieli słońca. Usłyszała zdziwiony okrzyk Artura.

Z lasu wyszło dwóch ludzi.

– Arturze, mój panie! Z radością cię tu witamy! – krzyknął wyraźnie jeden z nich.

Artur zatrzymał konia niemal w miejscu, by nie strącić mężczyzn.

– Kim jesteście i skąd znacie moje imię? – spytał. – I co to za miejsce?

– Ależ, mój panie, to jest zamek Chariot, a nasza królowa od dawna pragnie cię u siebie gościć!

– Nie wiedziałem, że w tych stronach jest jakiś zamek – odparł Artur zaskoczony. – W tej mgle musieliśmy zajechać dalej, niż nam się zdawało.

Uriens patrzył podejrzliwie, Morgiana widziała jednak, że znajomy czar tej krainy zaczyna już działać na Artura, tak że jemu nie przyszło do głowy zadawać dalszych pytań. Jak we śnie, to, co tu zastał, po prostu się wydarzało, nie było potrzeby, by się nad tym zastanawiać. Ona jednak musi zachować trzeźwość umysłu...

– Królowo Morgiano – powiedział jeden z tych pięknych, smagłych ludzi, którzy wyglądali jak przodkowie lub szlachetne wersje mieszkańców Avalonu – nasza królowa oczekuje cię i przyjmie z radością. A ciebie, królu Arturze, zabierzemy ze sobą na ucztę...

– Po tej szalonej jeździe we mgle ucztę to wspaniały pomysł – powiedział Artur wesoło i pozwolił jednemu z ludzi wprowadzić swego rumaka w las. – Czy ty znasz panią tych ziem, Morgiano?

– Znam ją, odkąd byłam młodą dziewczyną.

*I ona mnie ostrzegła... i chciała wychowywać moje dziecko w czarownym świecie...*

– To zadziwiające, że nigdy nie przybyła do Kamelotu, zawrzeć ze mną przymierze – powiedział Artur, marszcząc brwi. – Nie pamiętam dobrze, ale coś mi się zdaje, że dawno temu słyszałem o zamku Chariot, bardzo, bardzo dawno temu... ale już nie pamiętam. Cóż, w każdym razie ci ludzie wydają się przyjaźni. Pozdrów ode mnie królową, Morgiano, zresztą bez wątpienia zobaczę się z nią na tej uczcie.

– Bez wątpienia – powiedziała Morgiana i patrzyła, jak mężczyźni zabierają go ze sobą.

*Muszę zachować przytomność umysłu; użyję bicia swego serca by liczyć czas. Nie mogę się zapomnieć, bo inaczej wpadnę we własne sidła i zostanę w czarownej krainie...* obiecywała sobie przed spotkaniem z królową.

Ta nie zmieniła się, zawsze ta sama, wysoka kobieta, która miała jednak w sobie coś z Viviany, tak jakby ona i Morgiana też były ze sobą spokrewnione. Uściskała i ucałowała Morgianę jak kogoś bliskiego.

– Cóż sprowadza cię z własnej woli do naszej krainy, Morgiano Czarodziejko? – spytała.

– Twój rycerz jest tutaj, jedna z moich dziewcząt go znalazła... – Skinęła dłonią i stanął przy nich Accolon. – Znaleźli go błąkającego się w trzcinach nad brzegiem, zgubił drogę we mgle...

Accolon mocno uściśnął dłoń Morgiany; jego ręka była silna, realna... lecz nawet w tej chwili Morgiana sama nie wiedziała, czy znajdują się wszyscy wewnątrz czy na zewnątrz, czy szklany tron królowej stoi pośrodku przepięknej polany czy w wielkiej, strojnej sali, o wiele piękniejszej niż sala Okrągłego Stołu w Kamelocie.

Accolon ukląkł przed tronem, a królowa położyła swe dłonie na jego głowie. Uniosła jeden z jego nadgarstków, a węże zdały się poruszać i wić wokół jego ramienia, po czym spełżyły na dłoń królowej, a ona bawiła się nimi, głaszcząc je od niechcienia po małych, niebieskich łebkach.

– Dobrze wybrałaś, Morgiano – powiedziała. – Myślę, że ten nigdy mnie nie zdradzi. Patrz, Artur już dobrze podjadł i tam spoczywa. – Wskazała na miejsce, gdzie ściana jakby się rozstała i w bladym świetle Morgiana ujrzała Artura, który spał z jedną ręką pod głową, drugą otaczając nagie ciało młodej dziewczyny z długimi, ciemnymi włosami. Dziewczyna wyglądała jak córka królowej albo... jak sama Morgiana.

– Oczywiście, on będzie pewien, że to byłaś ty i że to był sen zesłany mu przez samego diabła – powiedziała królowa z uśmiechem. – Tak bardzo się od nas oddalił, że spełnienie swego najskrytszego marzenia będzie uważał za hańbę... nie wiedziałaś, że o tym właśnie marzy, Morgiano, moja kochana? – spytała, a Morgianie wydało się, że słyszy głos Viviany, senny, pieszczotliwy. Jednak to wciąż mówiła królowa: – Oto śpi król, w ramionach tej, którą będzie kochał aż do śmierci... a co będzie, kiedy się obudzi? Czy zabierzesz Ekskalibur, a jego porzucisz nagiego na brzegu, by przez wieczność szukał cię we mgle?

Morgiana znów przypomniała sobie szkielet konia leżący pod zaczarowanymi drzewami...

– Nie – odparła, drżąc.

– W takim razie powinien pozostać tutaj, ale jeśli jest rzeczywiście tak pobożny, jak mówisz, i pomyśli o tym, by zmówić swoje modlitwy, które oddziela go od uludy, wszystko to zniknie, a on zażąda swego konia i swego miecza, i co wtedy zrobimy, moja droga?

– Ja będę miał ten miecz i jeśli Artur potrafi mi go odebrać proszę bardzo – powiedział Accolon zdecydowanie.

Podeszła do nich ciemnowłosa dziewczyna, niosąc Ekskalibura w magicznej pochwie.

– Zabrałam mu, kiedy spał – powiedziała. – Zawołał mnie wtedy twoim imieniem, pani...

Morgiana dotknęła wysadzanej klejnotami rękojeści.

– Dziękuję ci, dziecinko – powiedziała królowa. – Czy nie byłoby lepiej od razu zwrócić miecz do Świętych Regaliów, do Avalonu, i pozwolić Accolonowi sięgnąć po królewski tron za pomocą jedynie takiego miecza, jaki sam potrafi zdobyć?

Morgiana zadrżała. W tej sali czy lesie, czy cokolwiek to było, zrobiło się naraz bardzo ciemno. Czy Artur leży uśpiony tuż u jej stóp, czy też jest bardzo daleko?

Accolon wyciągnął rękę i chwycił miecz.

– Ja wezmę i Ekskalibur, i pochwę – powiedział, a Morgiana uklękła u jego stóp i przypięła mu miecz do pasa.

– Niech się tak stanie, ukochany. Noś go wierniej niż ten, dla którego uszyłam tę pochwę...

– Niech Bogini broni, bym kiedykolwiek miał cię oszukać, choćby przyszło mi za to oddać życie – wyszeptał głosem drżącym ze wzruszenia. Podniósł Morgianę z klęczek i ucałował. Wydawało jej się, że stoją złączeni tak długo, aż cień nocy nie zaczął ustępować, a nad nimi wciąż chybotał słodki, choć drwiący uśmiech królowej czarownicy krainy.

– Kiedy Artur zażąda swego miecza, powinien jakiś dostać... i coś podobnego do tej pochwy, co jednak nie będzie go strzegło od utraty krwi... Dajcie miecz moim snycerzom – rozkazała królowa dziewczynie, a Morgiana patrzyła na to jak we śnie. Czy to tylko we śnie przypasała Ekskalibur Accolonowi? Teraz królowa i dziewczyna zniknęły, a jej wydało się, że ona i Accolon leżą sami w wielkim lesie i że jest to czas ogni Beltanu, a on bierze ją w ramiona, jak kapłan kapłankę. A potem byli już tylko mężczyzną i kobietą, a czas się zatrzymał, jej ciało zlało się z nim w jedno, jakby ona w ogóle nie miała ciała ani kości, a jego pocałunki były jak ogień i lód na jej wargach... *Król Byk musi go wyzwąć, a ja muszę go na to przygotować...*

Jak to się stało, że leży z nim w środku lasu, a jej nagie ciało pokrywają namalowane znaki, jak to się stało, że jej ciało jest młode i gibkie, a kiedy położył się na niej, poczuła przeszywający ból, jakby on znów posiadał jej dziewictwo, które oddała Rogatemu Panu tak dawno temu? Jak to się stało, że przyszła do niego znów jako dziewica, jakby połowa jej życia nigdy się nie wydarzyła? Dlaczego wydaje jej się, że nad jego czołem widzi cień poroża? Kim jest ten człowiek w jej ramionach i jak długo są ze sobą? Leży teraz na niej, ciężki, zaspokojony, jego oddech jest słodki jak miód; pocałowała go, a kiedy trochę się odsunął, nie była pewna, kim on jest, czy włosy, które dotykają jej policzka są ciemne czy złote? Wydało jej się, że małe węże delikatnie pełzają po jej piersiach, które są teraz różowe, jędrne, niemal dziecięce, nie do końca rozwinięte. Małe błękitne węże okręcają się wokół jej sutków, a ich dotyk przynosi jej i niesłychaną rozkosz, i przejmujący ból.

I wtedy zrozumiała, że jeśli rzeczywiście tego zechce, czas się zatrzyma i cofnie, a ona będzie mogła zacząć od nowa, od tego poranka w jaskini z Arturem, i tym razem użyje swej mocy nad nim, by przywiązać go do siebie na zawsze, i nic z tego, co się już wydarzyło, nigdy się nie stanie...

A potem usłyszała, jak Artur woła o swój miecz, jak przeklina czary. Zobaczyła go jakby z bardzo, bardzo daleka i z wysoka, widziała, jak się zbudził. Wiedziała, że ich los, ich przeszłość i przyszłość, są teraz w jego rękach. Jeśli on będzie potrafił zrozumieć to, co było między nimi, jeśli zawoła jej imię i będzie błagał, by do niego przyszła, jeśli będzie miał odwagę przyznać się sam przed sobą, że tylko ją kochał przez te wszystkie lata i nikt inny nigdy nie stanął między nimi...

*Wtedy Lancelot dostanie Gwenifer, a ja będę królową Avalonu... ale królową z dzieckiem mego pana... a gdy czas się wypełni, Króla Byka pokona młody byk...*

Tym razem Artur nie odwróci się od niej przerażony tym, co uczynili, a ona nie odepchnie go z dziecinnymi łzami... Przez chwilę wydawało się, że cały świat czeka, czeka na to, co powie Artur...

Przemówił i zabrzmiało to w czarownym królestwie jak echo pogrzebowego dzwonu, jakby sama materia czasu zadrżała i załamała się pod ciężarem lat.

– Jezusie, Maryjo, brońcie mnie przed złem wszelakim! – krzyknął. – To jakieś przekłete czary, uknute przez mą siostrę i jej magiczne sztuki! Przynieście mi mój miecz!

Morgiana poczuła ten krzyk jak ból rozdzierający jej serce. Wyciągnęła rękę do Accolona i znów wydało jej się, że nad jego czołem widzi cień poroża, a Ekskalibur znów jest u jego pasa – czy może zawsze tam był? – a węże, które wiły się na jej nagim ciele znów są tylko wyblakłymi śladami na jego rękach.

– Patrz, przynieśli mu miecz, który wygląda zupełnie jak Ekskalibur – powiedziała spokojnie. – Snycerze czarownej krainy wykuli go dziś w nocy. Pozwól mu odejść, jeżeli możesz. Lecz jeśli nie możesz, cóż, czyn to, co musisz, ukochany. I niech Bogini cię strzeże. Będę na ciebie czekała w Kamelocie, kiedy przybędziesz tam w chwale. – To mówiąc, ucałowała go i odeszła.

Nigdy wcześniej nie zdawała sobie z tego w pełni sprawy: jeden z nich musi dzisiaj zginąć, kochanek lub brat – dziecko, które trzymała w swych ramionach, Rogaty Pan, który był jej kochankiem, i kapłanem, i królem...

*Cokolwiek stanie się tego dnia, ja już nigdy, już nigdy więcej nie zaznam ani chwili szczęścia, gdyż jeden z tych, których kocham, musi zginąć...*

Artur i Accolon zniknęli gdzieś, gdzie nie mogła ich już dostrzec.

Był tu jeszcze Uriens i przez chwilę Morgiana zastanawiała się, czy nie zostawić go w czarownej krainie. Chodziłby sobie szczęśliwy po zaczarowanych lasach i salach, aż do śmierci... *nie. Cokolwiek się stanie, dosyć już śmierci*, postanowiła i skupiła swe myśli tak, by zobaczyć Uriensa. Leżał uśpiony, a gdy do niego podeszła, obudził się, jeszcze pijany i nieprzytomny.

– Tutejsze wino jest dla mnie za mocne – powiedział. – Gdzieś ty była, moja droga, i gdzie jest Artur?

*Dziewczyna z czarownego ludu przyniosła Arturowi miecz tak podobny do Ekskalibura, że będąc pod wpływem uroku on uwierzy, że to naprawdę jego miecz... Och Bogini, powinnam była odesłać miecz Regaliów do Avalonu, dlaczego ktoś musi za niego umierać? Jednakże nie było sposobu, by Accolon mógł władać jako nowy król Avalonu bez Ekskalibura... Kiedy ja zostanę Królową, na tych ziemiach będzie panował pokój, a ludzkie sumienia będą wolne, żadni księża nie będą rozkazywać, co ludzie mają robić i w co wierzyć...*

– Artur wyjechał przed nami – powiedziała miło do Uriensa. – Chodź, mój drogi mężu, musimy wracać do Kamelotu.

Urok czarownej krainy był tak silny, że Uriens w ogóle tego nie kwestionował. Przeprowadzono ich konie i piękni, wysocy ludzie odprowadzili ich aż do miejsca, gdzie jeden z nich powiedział:

– Stąd już z pewnością znajdziecie drogę.

– Jak szybko zniknęło słoneczne światło – narzekał Uriens, gdy nagle wjechali w gęstą mgłę i deszcz. – Morgiano, jak długo byliśmy w kraju tej królowej? Czuję się tak, jakbym miał gorączkę albo jakbym był zaczarowany i poruszał się w jakiejś malignie...

Nie odpowiedziała. Była pewna, że on też używał sobie z pannami w czarownej krainie, i dlaczego nie? Nie obchodziło jej, jak się tam zabawiał, tak długo, jak ją zostawiał w spokoju.

Ostra fala nudności przypomniała jej, że w czarownej krainie ani razu nie pomyślała o swojej ciąży, a teraz, kiedy wszyscy będą czekali na jej decyzje, gdy Gwydion obejmie tron, a Accolon rozpocznie rządy w jego imieniu, ona będzie ciężka, chora, groteskowa... z pewnością jest już za stara, by urodzić dziecko, nie ryzykując życia. Czy jest już za późno, by zażyć zioła, które uwolnią ją od tego nie chcianego ciężaru? Z drugiej strony, gdyby mogła urodzić Accolonowi dziecko właśnie teraz, kiedy władza będzie w jego rękach, o ileż bardziej ceniłby ją jako swoją królową? Czy powinna zrezygnować z tej władzy, którą może nad nim mieć? *Dziecko, które mogę sama wychować, dziecko, które mogę trzymać w ramionach, dziecko, które mogę kochać...*

Wciąż pamiętała słodycz Artura, gdy był dzieckiem, jego małe rączki oplatające jej szyję. Gwydiona jej zabrano, Uwain miał już dziewięć lat, gdy została jego matką. Jej ciałem wstrząsał tępy ból, a równocześnie wypełniała je słodycz przerastająca nawet miłość – głód, by znów trzymać w ramionach dziecko... jednak rozsądek mówił jej, że w tym wieku nie może przeżyć porodu. Jechała u boku Uriensa jakby pogrążona we śnie. Nie, nie przeżyje porodu tego dziecka, a jednak czuła, że nie znajdzie siły, by podjąć nieodwracalny krok i skazać je na śmierć przed urodzeniem.

*Moje ręce już będą skalane krwią tego, kogo kocham... O Bogini, dlaczego tak mnie doświadczasz?* I wydało jej się, że przed oczyma zamigotała jej twarz Bogini, raz przypominała królową czarownej krainy, to znów Raven, poważną i współczującą, to znów była jak Wielka Locha, która odebrała życie Avallochowi... *I ona pożre dziecko, które noszę...* Morgiana czuła, że jest na skraju delirium, szaleństwa. *Później, później podejmę decyzję. Teraz moim obowiązkiem jest odwieźć Uriensa z powrotem do Kamelotu.* Zastanawiała się, jak długo przebywała w czarownej krainie. Chyba nie dłużej niż miesiąc, bo wtedy już znacznie silniej odczuwałaby obecność dziecka... miała nadzieję, że było to tylko kilka dni. Nie za krótko, bo inaczej Gwenifer dziwiłaby się, jak zdołali zająchać i wrócić tak szybko. Niezbyt długo, bo wtedy byłoby za późno, żeby zrobić to, co jednak zrobić musi: nie zdoła urodzić tego dziecka i przeżyć.



Dojechali do Kamelotu późnym rankiem. Podróż nie trwała zbyt długo. Morgiana była wdzięczna losowi, że Gwenifer nie było nigdzie w pobliżu, a gdy Kaj zapytał o Artura, powiedziała mu, tym razem kłamiąc bez chwili wahania, że coś go zatrzymało w Tintagel.

*Skoro mogę zabijać, kłamstwo nie jest aż takie straszne*, myślała, a jednak czuła się tym kłamstwem zbrukana. Jest kapłanką Avalonu, winna cenić wartość swoich słów...

Zaprowadziła Uriensa do ich komnaty. Staruszek był zmęczony i zdezorientowany. *Robi się już za stary, by rządzić. Przeżył śmierć Avallocha bardziej, niż mogłam przypuszczać. Jednakże on też był wychowany w starych prawdach Avalonu – a co się dzieje z Królem Bykiem, gdy młody byk dorasta?*

– Połóż się, mężu, i odpocznij – powiedziała, lecz on był niespokojny.

– Powiniennem wracać do Walii. Accolon jest za młody, by rządzić, to młody psiak. Mój lud mnie potrzebuje!

– Mogą poczekać jeszcze jeden dzień – uspokajała go – a ty musisz się wzmocnić.

– Już i tak za długo mnie tam nie ma – marudził. – A dlaczego nie pojechaliśmy do Tintagel? Morgiano, ja już nie pamiętam, po co my w ogóle wyjechaliśmy? Czy naprawdę byliśmy w krainie, gdzie słońce zawsze świeci...?

– Chyba coś ci się śniło – odparła. – Czemu się teraz trochę nie prześpisz? Mam posłać po śniadanie? Zdaje się, że dziś rano jeszcze nie jadłeś...

Kiedy przyniesiono jedzenie, sam jego widok i zapach znów zemdleł Morgianę. Odwróciła się szybko, by to ukryć, ale Uriens zdążył zauważyć.

– Co się stało, Morgiano?

– Nic – odparła gniewnie. – Zjedz i idź spać.

On jednak uśmiechnął się do niej i przyciągnął ją do siebie.

– Chyba zapomniałaś, że ja byłem już wcześniej żonaty. Potrafię poznać brzemienną kobietę, kiedy tylko ją zobaczę. – Był najwyraźniej zachwycony. – Po tych wszystkich latach, Morgiano, jesteś przy nadziei! Ależ to cudowne! Straciłem jednego syna, ale będę miał następnego, czy nazwiemy go Avalloch, jeśli to będzie syn, moja kochana?

– A ty chyba zapomniałeś, ile mam lat – odparła, odsuwając się. – Mała jest nadzieja, że donoszę to dziecko tak długo, by mogło przeżyć. Nie rób sobie nadziei na syna w twoim wieku.

– Ale my się tobą dobrze zaopiekujemy – mówił Uriens. – Musisz się poradzić jednej z akuszerki samej królowej, a jeśli powrotna droga do domu byłaby dla ciebie groźna, to zostaniesz tutaj aż do narodzin dziecka.

Korciło ją, by wykrzyknąć: skąd ta pewność, że to w ogóle twoje dziecko, staruchu? To z pewnością jest dziecko Accolona... ale sama nie mogła się pozbyć lęku, że to faktycznie może być dziecko Uriensa... dziecko starego człowieka, słabowite, albo jakiś potwór, jak Kevin... nie, chyba zwariowała! Kevin nie jest potworem, tylko w dzieciństwie przeżył pożar, został

okaleczony, tak że jego kości krzywo się rozrosły. Ale dziecko Uriensa na pewno byłoby powykęcane, zdeformowane, chorowite, a dziecko Accolona byłoby silne, zdrowe... a ona, przecież ona sama jest już stara, dawno po płodnych latach, więc czy jej dziecko nie będzie jakimś potworem? Czasami, kiedy kobiety zbyt stare rodziły dzieci, tak się zdarzało... Czy ona oszalała, że w ogóle dopuszcza do siebie takie myśli i pozwala, by ją dręczyły?

Nie. Nie chce umierać, a nie ma nadziei, by urodziła to dziecko i żyła. W jakiś sposób musi zdobyć zioła... ale jak? Nie ma na tym dworze nikogo zaufanego, żadnej z dworek Gwenifer nie może poprosić o te rzeczy, a gdyby jakoś się wydało, że stara królowa Morgiana zasła w ciążę ze swym jeszcze starszym mężem, ależ by miały uciechę!

Jest jeszcze Kevin, Merlin, lecz ona sama go przepędziła, odrzuciła jego miłość i ofertę przyjaźni... cóż, przecież muszą być na dworze akuszerki i może uda jej się przekupić którąś z nich na tyle, żeby trzymała język za zębami. Opowie jakąś wzruszającą historię o tym, jak potworny był poród Gwydiona i jak w tym wieku bardzo się boi kolejnego porodu. To są przecież kobiety, potrafią to chyba zrozumieć. A w swoich torbach ma nawet jedno czy dwa z potrzebnych jej ziół. Zmieszane z trzecim, samym w sobie nieszkodliwym, dadzą efekt, jakiego pragnie. Nie będzie w końcu pierwszą kobietą na tym dworze, która pozbywa się niechcianego dziecka. Musi to jednak zrobić w tajemnicy, bo inaczej Uriens nigdy jej nie wybaczy... na Boginię, a co ją to obchodzi? Do czasu, kiedy to się stanie, ona będzie już tutaj królową u boku Artura, nie, Accolona, a Uriens może sobie być w Walii albo martwy w piekle...

Zostawiła śpiącego Uriensa i na palcach wyszła z komnaty.

Odszukała jedną z akuszerok królowej i poprosiła o to trzecie, nieszkodliwe zioło. Wróciła do komnaty i nad ogniem zmieszała miksturę. Wiedziała, że będzie po niej śmiertelnie chora, ale nie było innej rady. Ziołowy wywar był gorzki jak piołun. Wypiła go duszkiem, krzywiąc się, i starannie wymyła naczynie.

Gdybyż tylko mogła wiedzieć, co się dzieje w czarownej krainie!

Gdyby mogła zobaczyć, jaki jest los jej kochanka i Ekskalibura...

Czuła nudności, ale była zbyt podniecona, by położyć się u boku Uriensa. Nie chciała zostawać sama z tym śpiącym człowiekiem, bała się zamknąć oczy, by nie zobaczyć obrazów śmierci i krwi, które mogły ją nawiedzić.

Po jakimś czasie wzięła swój kołowrotek i wrzecziono i zesła na dół do mniejszej sali. Wiedziała, że znajdzie tu królową, jej dworki, a nawet Morgause, przy nie kończącym się przedzeniu i tkaniu. Nigdy nie straciła swej niechęci do kołowrotka, ale tym razem postara się zachować trzeźwość umysłu, a to jest lepsze niż siedzenie w samotności. A gdyby nawet przedzenie otworzyło przed nią bramy Wzroku, cóż, przynajmniej pozbędzie się tej straszliwej niepewności, co się dzieje z tymi, których kocha, na brzegach czarownej krainy...

Gwenifer powitała ją lodowatym pocałunkiem i zaprosiła do ognia, proponując nawet swoje własne krzesło.

– Nad czym pracujesz? – spytała Morgiana, przyglądając się pięknemu gobelinowi w rękach szwagierki.

Gwenifer z dumą rozwinęła robótkę.

– To na ołtarz w kościele, widzisz, tu jest Maryja Dziewica i anioł, który przyszedł jej oznajmić, że urodzi Syna Bożego... a tu stoi zadziwiony Józef, widzisz, zrobiłam go starego, starego, z taką długą brodą...

– Gdybym była taka stara, jak ten Józef, a moja przyszła żona, po tym, jak była zamknięta z takim przystojnym młodzieńcem jak ten anioł, powiedziałyby mi, że jest przy nadziei, miałabym kilka pytań do tego anioła – powiedziała Morgause ze śmiechem.

Po raz pierwszy Morgiana zastanowiła się, jak cudowne było w rzeczywistości to niepokalane poczęcie? Kto poza matką Jezusa może być pewien, czy ona po prostu nie była na tyle sprytna, by wytłumaczyć swoją ciążę wspaniałą opowieścią o aniołach... a jednak we wszystkich innych religiach to, że dziewica zostaje zapłodniona przez Boga, nie jest niczym niezwykłym...

*Nawet ja sama, myślała, czując, że jest na skraju histerycznego śmiechu, ja sama oddałam moje dziewictwo Rogatemu Panu i urodziłam syna Króla Byka... Czy Gwydion osadzi mnie na niebiańskim tronie jako Matkę Boską?*

– Jesteś taka bezbożna, Morgause – poskarżyła się Gwenifer, a Morgiana nagle pochwaliła ją za wspaniałe ścięgi i spytała, kto jej narysował te postaci.

– Sama to narysowałam – powiedziała Gwenifer. Zaskoczyła tym Morgianę. Nigdy nie przypuszczała, że Gwenifer może mieć takie zdolności. – Ojciec Patrycjusz obiecał też, że nauczy mnie kopiować litery w złocie i purpurze – pochwaliła się Gwenifer. – On mówi, że jak na kobietę, mam do tego dobrą rękę... Nigdy nie przypuszczałam, że będę to potrafiła, a jednak ty sama wyhaftowałaś tę piękną pochwę, którą nosi Artur, sam mi powiedział, że zrobiłaś to dla niego własnymi rękoma. Jest bardzo piękna. – Gwenifer szczebiotała, jak młoda dziewczyna. – Kazałam uszyć dla niego inne pochwy, i to wiele razy, byłam urażona tym, że jako chrześcijański król wciąż nosi pogańskie symbole, ale on powiedział, że zrobiła ją specjalnie dla niego jego jedyna, najukochańsza siostra i że nigdy jej nie wyrzuci. I w rzeczy samej, to przepiękna robota... czy miałaś do tego złote nici zrobione w Avalonie?

– Nasi kowale robią wspaniałe rzeczy – powiedziała Morgiana – a ich ozdoby ze złota i srebra nie mają sobie równych.

Obroty wrzeczona przyprowadziły ją o nudności. Jak długo to potrwa, nim zawładnie nią potworna słabość po wypitych ziołach?

Komnata była zamknięta, duszna, wydało jej się, że śmierdzi tu zatęchłym życiem, jakie prowadzą te kobiety, wciąż tylko przędąc i tkając, i szyjąc, i znów przędąc bez końca, by mężczyźni mieli się w co ubrać... Jedna z dam dworu Gwenifer była w wysokiej ciąży i szyła ubranka dla niemowlęcia... inna zszywała brzegi bogato haftowanego płaszcza dla ojca czy

brata, czy męża, czy syna... tylko Gwenifer robiła piękną robótkę na ołtarz, mogła sobie pozwolić na taką rozrywkę, bo miała inne kobiety, by za nią przędły i tkwały.

Wkoło, wkoło kręci się wrzeciono; dłoń sprawnie przeciąga nić.

Kiedy się tego nauczyła? Nawet nie pamiętała już czasów, kiedy jeszcze nie potrafiła prząść gładkiej nici... jednym z jej najwcześniejszych wspomnień było to, jak siedzi przy ścianie w Tintagel, obok Morgause, i przędzie. Już wtedy jej nić była równiejsza niż nitka jej ciotki, starszej przecież od niej o całe dziesięć lat.

Przypomniała o tym Morgause, a inne kobiety się roześmiały.

– O tak, potrafiłaś prząść o wiele lepiej ode mnie, kiedy miałaś siedem lat! – potwierdziła królowa Lothianu.

Wkoło, wkoło kręci się wrzeciono, ręka nawija równą nić... i tak jak przędzie tę wełnianą nić, tak przędzie życie innych ludzi... cóż dziwnego w tym, że jednym z wyobrażeń Bogini jest kobieta, która przędzie... Od momentu, kiedy mężczyzna przychodzi na świat, my przędziemy mu dziecinne ubranka, a na końcu tkamy mu całun. Bez nas życie mężczyzn rzeczywiście byłoby nagie...

W czarownej krainie wydawało jej się, że widzi poprzez ścianę, jak Artur śpi w ramionach dziewczyny z jej własną twarzą... a teraz znów otworzyła się przed nią wielka przestrzeń i kiedy wrzeciono bez przerwy się obracało, Morgianie wydało się, że przędzie twarz Artura... Artur błąka się po lesie, z mieczem w ręce... a teraz się odwraca, dostrzega Accolona, niosącego Ekskalibur... och, walczą, walczą, nie widzi już ich twarzy, nie słyszy słów, które do siebie krzyczą...

Walczą tak zaciekle, że Morgianę aż dziwi, iż nie słyszy szczęku ich oręża, a wrzeciono wciąż się kręci, niezmiennie, równomiernie... teraz Artur zamierza się i opuszcza potężny cios, z pewnością zabiłby Accolona, gdyby go trafił, lecz Accolon przyjmuje cios na tarczę i dostaje tylko ranę w nogę, a rana zamyka się bez kropli krwi, Artur zaś dostaje ostry cios w ramię i zaczyna krwawić, purpurowe plamy znaczą szatę na jego ramieniu, patrzy na to zaskoczony, przerażony, jedną ręką szybko sięga do swego boku, gdzie zwykle wisi magiczna pochwa jego miecza... ale to tylko fałszywa pochwa, teraz powiewa przed oczyma Morgiany... Połączyli się w śmiertelnym uścisku, miecze zwały się ze sobą, wolnymi rękoma starają się dosięgnąć przeciwnika... Accolon wygina się z wysiłku i miecz w dłoni Artura, fałszywy Ekskalibur wykuty w jedną noc przez snycerzy czarownej krainy, łamie się tuż przy rękojeści. Morgiana widzi jeszcze, jak Artur błyskawicznie się okręca, by uniknąć śmiertelnego ciosu, i leżąc na plecach, gwałtownie kopie. Accolon zwija się z bólu, a Artur wyrzuca prawdziwy Ekskalibur z jego dłoni i odrzuca go tak daleko, jak tylko może, po czym rzuca się na leżącego Accolona i próbuje dosięgnąć magicznej pochwy. Kiedy tylko ma ją w dłoni, wielka rana na jego ramieniu przestaje krwawić, natomiast krew tryska z rany na udzie Accolona...

Przygniatający ból przeszył całe ciało Morgiany, zgięła się wpół pod jego ciężarem.

– Morgiano! – krzyknęła Morgause. – Królowa Morgiana jest chora! Pomóżcie jej!

– Morgiano? – zawołała Gwenifer. – Morgiano, co ci jest?

Wizja zniknęła. Choć starała się z całych sił, nie mogła już dostrzec obu mężczyzn, nie wiedziała, który zwyciężył, a który leży martwy, tak jakby przesłoniła ich wielka, czarna zasłona... słyszała tylko kościelne dzwony... w ostatnim mgnieniu wizji zobaczyła jeszcze, jak na noszach ciągniętych przez konie mnisi wwożą dwóch rannych mężczyzn do opactwa Glastonbury... tam już nic zobaczyć nie mogła...

Zacisnęła dłonie na poręczach krzesła. Podeszła do niej Gwenifer i jedna z dam dworu, która uklękła i uniosła głowę Morgiany.

– O Boże, jej suknia jest mokra od krwi, to nie jest zwyczajne krwawienie.

– Nie... byłam brzemienna i to jest poronienie... Uriens będzie na mnie zły... – wyszeptwała Morgiana resztką sił przez wyschnięte z bólu wargi.

Jedna z kobiet, jowialna i zażywna, mniej więcej w wieku Morgiany, powiedziała:

– Sza! Sza...! Wielki mi wstyd! A więc jego wysokość król Walii będzie zły, tak? No, pięknie, pięknie, a kimże on jest, Bogiem? Powinnaś była trzymać tego starego capa z dala od swego łoża, pani, to niebezpieczne dla kobiety ronić w tym wieku! Hańba staremu rozpustnikowi, że cię na to naraził! I on ma być zły, tak?

Gwenifer, zapominając o całej swej niechęci do Morgiany, szła u jej boku, gdy wynoszono ją z sali, rozcierała jej lodowate dłonie.

– Och, biedna Morgiano, jakie to smutne, kiedy znów miałaś nadzieję. Rozumiem aż nadto dobrze, jakie to musi być dla ciebie straszne, moja biedna siostrzyczko! – powtarzała, wciąż trzymając zimne dłonie Morgiany. Tulila ją później i podtrzymywała jej głowę, gdy Morgiana wymiotowała, wciąż skrecając się z bólu. – Posłałam już po Brokę, to najlepsza z tutejszych akuserek, ona ci pomoże, moja droga...

Morgiana myślała, że te współczujące słowa Gwenifer ją zadławiają. Miotaly nią kolejne ataki przeszywającego bólu, czuła, jakby ostry miecz rozpruwał jej wnętrzności, ale mimo to, mimo to nie było jeszcze tak źle, jak przy porodzie Gwydiona, a przecież tamto przeżyła... trzęsąc się, wymiotując, starała się nie stracić przytomności, być świadomą tego, co się wokół niej dzieje. Może i tak była już gotowa, by poronić, atak nastąpił zbyt szybko po wypiciu wywaru...

Przyszła Broka, zbadała ją, powąchała wymiociny i znacząco uniosła brwi.

– Powinnaś była bardziej uważać, pani – powiedziała cicho do Morgiany. – Ta mieszanka mogła cię zabić. Ja znam lek, który by dokonał tego, czego chciałaś, szybciej i z mniejszą szkodą. Nie obawiaj się, słowa nie pisnę Uriensowi, jeśli nie miał na tyle rozumu, by nie starać się nie zrobić dziecka kobiecie w twoim wieku, to nie zaszkodzi mu, jak nie będzie wiedział wszystkiego.

Morgiana poddała się chorobie. Po jakimś czasie dotarło do niej, że jest z nią gorzej, niż mogła się tego spodziewać...

Gwenifer pytała nawet, czy w takiej sytuacji nie ma życzenia zobaczyć się z księdzem; potrząsnęła głową i zamknęła oczy. Leżała w milczeniu, zbuntowana, było jej już wszystko jedno, czy będzie żyła, czy umrze. Skoro Accolon lub Artur muszą zginąć, ona też odejdzie w cień... dlaczego ich nie widzi, nie widzi, co się z nimi dzieje w Glastonbury? Który z nich powróci? Księża z pewnością zaopiekują się Arturem, ich chrześcijańskim królem, lecz czy zostawią Accolona, by się wykrwawił?

*Jeśli to Accolon musi odejść w krainę cieni, niechaj odejdzie tam z duchem swego syna, by mu towarzyszył*, myślała, leżąc bez ruchu, tylko łzy wolno spływały po jej twarzy. Jakby z bardzo daleka dotarł do niej głos starej akuszerki Broki:

– Tak, już po wszystkim, przykro mi, wasza wysokość, a wasza wysokość wie równie dobrze jak ja, że królowa jest za stara by rodzić dzieci. Tak, panie, proszę wejść i zobaczyć...

– Jej głos był teraz ostry i pełen nagany: – Mężczyźni nigdy nie myślą, kiedy to robią, nie myślą o całej tej krwawej jatce, którą kobiety muszą cierpieć za ich przyjemność! Nie, o wiele za wcześnie na to, by powiedzieć, czy to był chłopczyk czy nie, ale ona ma już jednego pięknego syna, bez wątpienia urodziłaby następnego, gdyby była na tyle młoda i na tyle silna, by go móc nosić!

– Morgiano, najdroższa, spójrz na mnie – błagał Uriens. – Tak mi przykro, tak przykro, że to się stało. Ale nie martw się, moja kochana wciąż jeszcze mam dwóch synów, nie winie cię za to...

– O, nie winisz, co? – rzuciła akuszerka jadowitym głosem. – Lepiej nawet nie wspominać o jakiejś winie, wasza wysokość, jest wciąż bardzo słaba i bardzo chora. Wstawimy tu jeszcze jedno łóże, żeby ona mogła wygodnie leżeć, zanim całkiem nie wydobrzeje. No, kochana. – Morgiana poczuła pod głową troskliwą, kobiecą rękę, do ust przytknięto jej kubek z czymś ciepłym. – Tak, kochanie, teraz to wypij, to jest napój z miodem i lekarstwami, żebyś przestała krwawić, wiem, że ci niedobrze, ale choć spróbuj to wypić, mimo wszystko, o tak, dobra dziewczynka...

Morgiana przełknęła gorzkawy napój, łzy zamazywały jej obraz przed oczyma. Przez chwilę zdawało jej się, że jest dzieckiem, a Igriana tuli ją i pociesza w jakiejś dziecięcej chorobie.

– Matko – jęknęła. Mówiąc to, sama wiedziała, że to delirium, że Igriana nie żyje od wielu lat, że ona nie jest już dzieckiem ani dziewczyną, ale starą, starą kobietą, zbyt starą, by leżeć tutaj z takiego potwornego powodu, tak bliska śmierci...

– Nie, wasza wysokość, ona nie wie, co mówi... O tak, tak, kochana, leż teraz spokojnie i staraj się usnąć, położymy ci gorące cegły pod stopy i za chwilę się ogrzejesz...

Morgiana odpięła w sen. Śniło jej się, że znów jest małą dziewczynką w Avalonie, a Viviana mówi do niej coś, czego nie mogła sobie potem do końca przypomnieć, coś o tym, jak Bogini przedzie ludzkie życie, i wręczyła Morgianie wrzeciono, i kazała jej prząść, lecz nitka nie chciała dać się wyrównać i wychodziła spod jej palców cała w supełkach. W końcu

rozgniewana Viviana powiedziała: „O popatrz, daj mi to...”, a Morgiana wręczyła jej porwane nici i wrzecziono i wtedy zobaczyła, że nie ma już przed sobą Viviany, tylko przerażającą twarz Bogini, a ona, Morgiana, jest taka maleńka, taka maleńka... że przedzie i przedzie tymi rękami zbyt jeszcze małymi, by utrzymać wrzecziono, a Bogini ma teraz twarz Igriany...

Oprzytomniała dzień czy dwa później. Gorączka minęła, czuła tylko dziwny, pusty ból w ciele. Położyła dłonie na obolałym miejscu i myślała z goryczą: *Mogłam sobie oszczędzić wiele bólu; powinnam była wiedzieć, że i tak jestem już na skraju poronienia. Cóż, co się stało, to się stało, a teraz muszę się przygotować na przyjęcie wiadomości o tym, że Artur nie żyje, muszę się zastanowić nad tym, co mam zrobić, gdy Accolon powróci. Gwenifer powinna odejść do klasztoru, ale jeśli będzie chciała wyjechać za morze wraz z Lancelotem, ja ich nie zatrzymam...*

Wstała i ubrała się, zaczęła się czesać, chciała być piękna.

– Powinnaś jeszcze leżeć w łóżu, Morgiano – powiedział Uriens. – Jesteś taka blada.

– Nie, nadchodzą ważne wydarzenia, mój mężu, a my musimy być na nie gotowi – powiedziała i dalej zaplatała we włosy purpurowe wstążki i klejnoty. Uriens wyglądał przez okno.

– Patrz, rycerze się ćwiczą w walce. Myślę, że Uwain jest wśród nich najlepszym jeźdźcem. Spójrz, moja droga, czyż on nie jeździ tak samo dobrze, jak Gawain? A ten u jego boku to Galahad. Morgiano, nie rozpaczaj za tym dzieckiem, które straciłaś. Uwain zawsze będzie cię uważał za swoją matkę. Już kiedy się pobieraliśmy, powiedziałem ci, że nigdy nie będę ci wypominał bezdzietności. Oczywiście, że bym się ucieszył z kolejnego potomka, ale skoro to nie było pisane, to cóż, nie mamy co rozpaczać. Poza tym – dodał, nieśmiało biorąc ją za rękę – może to i lepiej... Nie zdawałem sobie sprawy, jak bliski byłem tego, że cię mogę utracić...

Stała przy oknie. Uriens otaczał ramieniem jej kibić, a ona czuła równocześnie obrzydzenie i wdzięczność za jego dobroć. Nigdy nie powinien się dowiedzieć, że to był syn Accolona, myślała.

Niech sobie będzie dumny, że na stare lata jest jeszcze zdolny spłodzić dziecko.

– Patrz – powiedział Uriens, wyciągając szyję, by lepiej widzieć. – Co to jest? Kto to wjeżdża przez bramę?

Byli to: konny jeździec, mnich w czarnym habicie jadący na mule i koń niosący ciało.

– Chodź – rozkazała Morgiana, ciągnąc go za rękę. – Musimy teraz zejść na dół.

Blada i milcząca schodziła u jego boku na dziedziniec, czuła się wysoka i dostojna, jak przystało na przyszlą Najwyższą Królową.

Czas zdał się zatrzymać, tak jakby znów znaleźli się w czarownej krainie. Dlaczego nie ma z nimi Artura, jeśli to on zwyciężył? Jeśli jednak przywieźli martwe ciało Artura, to gdzie cała ceremonia i lament nad śmiercią króla? Uriens wyciągnął ramię, by ją podtrzymać, lecz

odepchnęła je i stała, trzymając się kurczowo drewnianej ramy drzwi. Mnich odrzucił swój kaptur i zapytał:

– Czy ty jesteś królową Morgianą z Walii?

– To ja – odparła.

– Mam więc dla ciebie wiadomość. Twój brat Artur leży ranny w Glastonbury, opiekują się nim tamtejsze zakonnice. Wyzdrowieje. A w prezencie przesyła ci to. – Wskazał dłonią na owinięte w całun ciało, przewieszane przez koński grzbiet. – Kazał mi także powiedzieć ci, że ma swój miecz Ekskalibur i pochwę do niego... – Mówiąc to, odsłonił materię zakrywającą ciało, a Morgiana ujrzała skierowane w niebo, niewidzące oczy Accolona.

Wszystkie siły nagle z niej uszły, jak rwący strumień wody. Uriens wydał dziki, śmiertelny okrzyk. Uwain przedarł się przez tłum, który zebrał się już wokół schodów, i gdy jego ojciec padał zemdlony na ciało swego syna, Uwain złapał go i podtrzymał.

– Ojcze! Drogi ojcze! O Boże, dobry Boże, Accolon! – Zachwiał się, gdy zobaczył ciało na koniu. – Gawain, przyjacielu, proszę, podaj ramię memu ojcu, muszę pomóc matce, ona mdleje...

– Nie – powiedziała Morgiana. – Nie. – Usłyszała swój własny głos jak echo, nie była nawet pewna, czemu chciała zaprzeczyć. Chciała podbiec do Accolona, rzucić się na jego ciało i wyć z rozpacz, lecz Uwain trzymał ją mocno.

Na schodach pojawiła się Gwenifer, ktoś szeptem wyjaśnił jej sytuację. Zeszła na dół, patrząc na Accolona.

– Zginął w buncie przeciw Najwyższemu Królowi – powiedziała dobitnie. – Nie będzie dla niego chrześcijańskiego pogrzebu! Niech jego ciało rzucą krukowi, a jego głowa niech zawiśnie na murach jako głowa zdrajcy!

– Nie! Ach, nie! – krzyknął zapłakany Uriens. – Błagam cię, błagam cię, królowo Gwenifer, wiesz, że jestem najwierniejszym z twych poddanych, a mój biedny chłopiec już zapłacił za swą zbrodnię... błagam cię, pani, Jezus także umarł jak zwyczajny zbrodniarz między rzeźmieszkami, lecz nawet dla tego złodzieja wiszącego na krzyżu obok była łaska... Okaż miłosierdzie, jakie On by okazał...

Gwenifer zdawała się tego nie słyszeć.

– Jak ma się mój pan, Artur?

– Zdrowieje, pani, lecz utracił wiele krwi – powiedział dziwny mnich. – Prosił jednak, byś się nie lękała. Wydobrzeje.

Gwenifer westchnęła głęboko.

– Królu Uriensie, ze względu na naszego wiernego rycerza Uwaina spełnię twoją prośbę. Niech zanoszą ciało Accolona do kaplicy i tam je po...

– Nie, Gwenifer! – Morgiana jakimś cudem wydobyła z siebie głos, by zaprotestować. – Złóż jego ciało godnie, w ziemi, jeśli w swym sercu znajdziesz tyle litości, lecz on nie był



chrześcijaninem, nie dawaj mu chrześcijańskiego pochówku. Uriens tak jest zrozpaczony, że sam nie wie, co mówi.

– Bądź cicho, matko – powiedział Uwain, mocno ściskając jej ramię. – Dla dobra mojego i mojego ojca nie rób tutaj skandalu. Skoro Accolon nie służył Chrystusowi, to teraz tym bardziej potrzebuje Bożego miłosierdzia, gdyż zginął jako zdrajca!

Morgiana chciała dalej się sprzeciwiać, ale głos ją zawiódł. Pozwoliła Uwainowi wprowadzić się do zamku, ale gdy tylko znaleźli się w środku, odepchnęła jego ramię i dalej szła o własnych siłach.

Była jak skamieniała, bez czucia. Przecież jeszcze tak niedawno, wydawać by się mogło, że zaledwie kilka godzin temu, leżała w ramionach Accolona w czarownej krainie, przypięła miecz Ekskalibur do jego pasa... Teraz stoi po kolana w nieubłaganej fali, patrząc, jak ta fala zmywa wszystko spod jej stóp, a cały świat wypełniony jest oskarżającym wzrokiem Uwaina i jego ojca.

– Tak, wiem, że to ty uknułaś tę zdradę! – powiedział Uwain. – I nie czuję litości dla Accolona, który dał się tak omamić kobiecie! Miej na tyle godności, matko, i nie wciągaj mego ojca dalej w swoje diabelskie knowania przeciw naszemu królowi! – Rzucił jej wściekłe spojrzenie, po czym szybko odwrócił się do swego ojca, który stał jak zakłęty, kurczowo trzymając się jakiegoś mebla. Uwain posadził staruszka na krześle, ukląkł i ucałował jego rękę. – Ojcze, kochany ojcze, ja wciąż jestem u twego boku...

– Och mój syn, mój syn... – powtarzał zrozpaczony Uriens.

– Odpocznij tutaj, ojcze, musisz być teraz silny – powiedział Uwain. – Muszę się zająć matką, ona też jest chora...

– I ty ją wciąż nazywasz matką! – wykrzyknął Uriens, stając nagle prosto i patrząc na Morgianę z niewysłowioną nienawiścią. – Nie chcę nigdy więcej słyszeć, byś tę przekłętą kobietę nazywał matką! Myślisz, że nie wiem, że to ona swoimi czarami zmusiła mego dobrego syna do buntu przeciw naszemu królowi? Teraz także myślę, że swoimi diabelskimi zaklęciami musiała jakoś sprowadzić śmierć na Avallocha! O tak, i na tego następnego syna, którego mogła mi urodzić! Już trzech moich synów wysłała na śmierć! Uważaj, żeby ciebie też nie uwiodła swoimi czarami i nie przywiodła do śmierci i upodlenia... O nie, to nie jest twoja matka!!!

– Ojcze! Mój panie! – Uwain próbował go uciszyć, równocześnie wyciągnął rękę do Morgiany. – Wybacz mu, matko, on nie wie, co mówi, jest oszalały z rozpacz, oboje jesteście, błagam was w imię Boże, uspokójcie się, już dość mamy nieszczęścia w dzisiejszym dniu...

Morgiana jednak prawie go nie słyszała. Ten człowiek, ten mąż którego nigdy nie chciała, to wszystko, co jej teraz zostało, co zostało z jej planów! Powinna go była zostawić na pewną zgubę w czarownej krainie, a teraz on się tu panoszy pełen swojego bezużytecznego życia, a Accolon leży martwy, ten Accolon, który próbował przywrócić to wszystko, co jego ojciec

ślubował i czemu się sprzeniewierzył, wszystko, co Artur przysięgał Avalonowi i o czym zapomniał... i nie zostało jej już nic, tylko ten zmurszały starzec...

Sięgnęła po ostry sztylet Avalonu ukryty pod fałdami sukni i odtrąciła otaczające ją ramiona Uwaina. Rzuciła się do przodu z nożem uniesionym wysoko nad głowę. Gdy opuszczała cios, sama do końca nie wiedziała, co miała zamiar uczynić.

Żelazny uścisk uchwycił jej nadgarstek i wykręcił go. Ręka Uwaina o mało nie połamała jej kości, gdy się z nim szarpała.

– Nie, matko, przestań... matko! – błagał. – Matko, czy szatan cię opętał? Matko, spójrz, to tylko ojciec... o Boże, czy nie masz krzty litości dla jego rozpacz? On cię nie chciał oskarżyć, jest tak nieszczęśliwy, że naprawdę sam nie wie, co mówi, kiedy odzyska zmysły, zrozumie, że to, co mówił, to czyste szaleństwo... Ja też cię nie oskarżam... Matko, matko, posłuchaj mnie, oddaj mi sztylet, proszę cię...

Powtarzane okrzyki „matko”, a także miłość i rozpacz w głosie Uwaina, w końcu przedarły się jakoś przez mgłę otaczającą umysł i wzrok Morgiany. Pozwoliła Uwainowi wyjąć sobie z ręki nóż, i jakby przyglądając się temu z odległości tysięcy mil, zauważyła, że na jej palcach jest krew, ostrze przecięło skórę, kiedy walczyła. Dłoń Uwaina też krwawiła, a on odłożył nóż i włożył sobie rozcięty palec do ust, i ssał krew jak mały chłopiec.

– Ojczy drogi, wybacz jej – błagał po chwili, pochylając się z kolei nad Uriensem, który leżał na łożu blady jak śmierć. – Jest w szoku, ona też kochała mego brata, a pamiętaj, że ciężko chorowała, dzisiaj wcale nie powinna jeszcze wstawać z łoża! Matko, pozwól mi zawołać twoje kobiety, by cię położyły, o, proszę, pewnie chcesz to mieć... – dodał, wciskając jej sierp Avalonu z powrotem w dłoń. – Wiem, że masz go po swojej przybranej matce, Pani Avalonu, powiedziałaś mi to, kiedy byłem małym chłopcem. Och, moja biedna mateczka... – wyszeptał, otaczając ją ramionami. Pamiętała czasy, gdy była wyższa od niego, kiedy on był tylko malutkim chłopczykiem, z kosteczkami kruchymi jak u ptaszka, a teraz górował nad nią, delikatnie ją do siebie przytulając. – Mateczko najdroższa, moja kochana mateczko, proszę cię, nie płacz, nie płacz, wiem, że kochałaś Accolona tak samo, jak kochasz mnie, moja biedna mateczko...

Morgiana żałowała, że rzeczywiście nie może się rozplakać, że nie może pozwolić, by cały ten potworny smutek i rozpacz wypłynęły z niej wraz ze łzami. Czują gorące łzy Uwaina kapiące na jej czoło.

Uriens także siedział i szlochał, tylko ona stała zimna, bez jednej łzy w oku. Cały świat wydawał jej się szary, rozpadał się, kruszył, i wszystko, na co tylko spojrzała, przybierało jakieś monstrualne, szydercze kształty, a równocześnie było jakby oddalone, bardzo maleńkie, że mogłaby to podnieść jak dziecinną zabawkę... nie śmiała się poruszyć, by wszystko wokół nie rozpadło się pod jej dotykiem na maleńkie kawałki... niemal nie zauważyła, kiedy weszły jej kobiety. Uniosły jej sztywne, odrętwiałe ciało i położyły je na łożu. Zdjęły z niej królewską koronę i piękną szatę, którą włożyła na chwilę swego tryumfu, a

ona jakąś częścią świadomości wiedziała, że jej halki i spódnice znów są mokre od krwi, ale nie miało to już dla niej znaczenia.

Po dłuższym czasie doszła do siebie i zauważyła, że jest czysto wymyta i przebrana i że leży w łożu obok Uriensa, a jedna z jej kobiet drzemie na krześle nieopodal. Uniosła się trochę i spojrzała na śpiącego mężczyznę, na jego czerwoną i opuchniętą od płaczu twarz, i czuła, że patrzy na całkiem obcego człowieka.

Tak, był dla niej dobry na swój własny sposób. *Teraz jednak to już wszystko przeszłość, a moje zadanie na jego ziemiach jest ukończone. Dopóki żyję, nigdy już nie zobaczę jego twarzy ani się nie dowiem, gdzie będzie leżał po śmierci.*

Accolon jest martwy, a jej plany leżą w gruzach. Artur wciąż ma Ekskalibur i zaczarowaną pochwę, która chroni jego życie. A skoro ten, któremu powierzyła to zadanie, zawiódł ją, uciekając w śmierć, gdzie ona podążyć nie może, w takim razie to ona sama musi stać się karzącą ręką Avalonu, która powali Artura.

Poruszając się tak bezszelestnie, że nie zbudziłyby nawet śpiącej muchy, Morgiana ubrała się i przypasała swój sztylet Avalonu.

Zostawiła wszystkie piękne szaty i wszystkie klejnoty, które podarował jej Uriens, wkładając na siebie najskromniejszą czarną suknię, jaką miała, podobną do sukni kapłanki lub zakonnicy. Odnalazła swoją torbę z ziołami i lekami i w ciemności, kierując się tylko dotykiem, namalowała na swym czole ciemny księżyc. Potem okręciła się najzwyczajszym płaszczem, jaki mogła znaleźć – nie swoim, haftowanym złotą nicią i drogimi kamieniami, lecz zgrzebnym płaszczem z kapturem należącym do którejś ze służących – i cichutko zeszła na dół po schodach.

Z kaplicy doszły ją odgłosy psalmów; Uwain jakoś wyprosił ten obrządek nad ciałem Accolona. Cóż, to nie ma znaczenia. Accolon jest już wolny, co za różnica, czy nad tym nie zamieszkanym kawałkiem gliny, jakim jest teraz jego ciało, księża odprawia swe zawodzenia? Teraz nic już nie ma znaczenia poza jednym – odzyskaniem miecza Avalonu. Odwróciła się od kaplicy. Pewnego dnia będzie miała czas, by go opłakać; teraz musi podjąć zadanie tam, gdzie on zawiódł.

Cicho weszła do stajni i odnalazła swego konia. Słabymi rękami jakoś udało jej się założyć siodło. Poprowadziła zwierzę do niewielkiej bocznej bramy.

Była jeszcze zbyt osłabiona, by dosiadać konia. Przez chwilę niepewnie kiwała się w siodle. Nie wiedziała, czy zaraz nie spadnie. Może powinna poczekać lub poprosić Kevina, by jej pomógł? Merlin Brytanii ślubował posłuszeństwo woli Pani Jeziora. Kevinowi też jednak nie może ufać, przecież zdradził Vivianę i oddał jej ciało tym samym księżom, którzy teraz wyśpiewują psalmy nad bezbronnym ciałem Accolona. Szepnęła coś do konia, pozwoliła mu wejść w lekki trucht. Gdy zjechała ze wzgórza, odwróciła się, by po raz ostatni spojrzeć na Kamelot.

*Przybędę tu jeszcze tylko raz w tym życiu, a potem nie będzie już Kamelotu, do którego mogłabym powrócić.* Kiedy szeptała do siebie te słowa, sama się zastanawiała, co mogą znaczyć.

Choć tyle razy była w Avalonie, Morgiana tylko raz jeden postawiła stopę na ziemi Wyspy Księży. Podróż do klasztoru w Glastonbury, gdzie pochowana była Viviana i gdzie Igriana spędziła także wiele lat, była dla niej dziwniejsza niż przekraczanie mgieł i wchodzenie w tajemne światy. Dostrzegła prom i dała przewoźnikowi drobną monetę, by przewiózł ją przez Jezioro. Płynąc, zastanawiała się, co też ten człowiek by zrobił, gdyby nagle wstała, tak jak to czyniła, płynąc na łodzi Avalonu, i wypowiedziała zaklęcie, które opuszcza mgły i otwiera drogę do Avalonu. Jednak nie uczyniła tego. *Czy to dlatego, że nie potrafię?*, pytała samą siebie.

Wyszła na brzeg. O tej godzinie, tuż przed świtem, powietrze było czyste i chłodne. Dźwięk kościelnych dzwonów rozległ się w nim głośno i wyraźnie. Morgiana zauważyła długi sznurek odzianych na szaro postaci, drepczących w kierunku kościoła. Braciszki wstawali wcześniej, by się modlić i wyśpiewywać swoje hymny. Morgiana stała przez chwilę w skupieniu, słuchając. Jej matka, i matka Artura, jest tu chyba pochowana. Także Viviana została złożona na wieczny odpoczynek w zasięgu tych śpiewów. Muzykalne ucho Morgiany, zawsze podatne na piękno, chłonęło te delikatne pieśni, niesione porannym wiatrem. Stała bez ruchu, oczy piekły ją od łez. I ona planuje zbrodnię w tym świętym miejscu? *Poniechajcie tego, niechaj zapanuje między wami pokój, dzieci...* zdawało jej się, że tak szepce do niej od dawna zapomniany głos Igriany.

Teraz wszystkie szare postaci zniknęły już w kościele. Słyszała wiele o tutejszym klasztorze. Wiedziała, że jest tu bractwo mnichów, a w pewnej odległości od nich dom zakonnic, które ślubują do śmierci być dziewicami Chrystusa. Morgiana skrzywiła twarz z niesmakiem.

Bóg, który woli, by kobiety i mężczyźni kierowali wszystkie swe myśli tylko ku niebu, zamiast ku ziemi, która przecież została im darowana, by uczyli się i wzrastali duchem, taki Bóg zawsze był jej obcy, a teraz, kiedy na własne oczy zobaczyła te kobiety i mężczyzn łączących się w obrzędzie bez żadnego ze sobą kontaktu, dotyku czy porozumienia, poczuła obrzydzenie. O tak, w Avalonie też były święte dziewice – ona sama żyła w czystości, aż nadszedł odpowiedni czas, a Raven oddała Bogini nie tylko swoje ciało, lecz nawet własny głos. Teraz jest tam jej własna wychowanka, córka Lancelota, Nimue, która została wybrana przez Raven do życia w całkowitym odosobnieniu... jednakże Bogini wiedziała, że to są specjalne przypadki, nie wymagała takich ofiar od każdej kobiety, która chciała jej służyć.

Morgiana nie wierzyła w to, co czasami mówiono w Avalonie; mnisi i zakonnice tylko udają świętość i czystość, by swymi wyrzeczeniami zrobić wrażenie na wieśniakach, a za murami klasztorów wyprawiają wszelkie wszeteczeństwa, na jakie mają ochotę. Tak czymś

takim naprawdę by pogardzała. Ci, którzy dokonali wyboru by służyć raczej duchowi niż ciału, winni to czynić uczciwie; zakłamanie zawsze ją brzydziło. Jednakże to przekonanie, że oni naprawdę żyją w czystości, że jakakolwiek siła nazywająca się Boską, woli jałowość od żyźności – to właśnie było dla niej potworną zdradą tych samych mocy, które dają światu życie.

Głupcy, lub jeszcze gorzej, zawężający swoje życie i przez to pragnący ograniczyć życie wszystkich innych ludzi do swoich ciasnych przekonań...

Nie wolno jej jednak zwlekać. Odwróciła się od kościoła i ruszyła w kierunku domu gościnnego, wzywając na pomoc Wzrok, by zaprowadził ją tam, gdzie przebywa Artur.

W pierwszej izbie domu dla gości zastała trzy kobiety. Jedna drzemała na krześle przy drzwiach, druga mieszała w kotle z owsianką, wiszącym nad ogniem, z tyłu komnaty, a trzecia siedziała przy innych drzwiach, za którymi Morgiana bardzo niewyraźnie poczuła obecność Artura – musiał być głęboko uspiiony. Kiedy weszła kobiety w ciemnych sukniach poruszyły się niespokojnie. To też były święte kobiety i miały dar podobny do Wzroku – w jej obecności wyczuwały coś dla nich obcego i groźnego, być może dotyk inności Avalonu.

Jedna z nich stanęła przed Morgianą i spytała szeptem:

– Kim jesteś i po co tu przyszedłeś tak wcześnie?

– Jam jest królowa Morgiana z Północnej Walii i Kornwalii – odparła Morgiana swym niskim, rozkazującym głosem. – Przybyłam zobaczyć się z moim bratem. Czy ośmielisz się zabronić mi tego?

Wytrzymała spojrzenie kobiety, potem dłonią wykonała najprostszy z magicznych znaków, których ją uczono, znak dominacji, a kobieta opadła na krzesło niezdolna ani się odezwać, ani jej zatrzymać.

Później Morgiana dowiedziała się, że kobieta ta opowiadała przerażającą historię o czarach, lecz naprawdę było to bardzo zwyczajna prosta dominacja silnej woli nad taką, która sama, z wyboru, zdecydowała się na posłuszeństwo.

W drugiej komnacie paliło się słabe światło i w jego blasku Morgiana ujrzała Artura. Był nie ogolony, wynędzniały, jego jasne włosy pociemniały od potu. Magiczna pochwa leżała w nogach łoża... Musiał się spodziewać jakiegoś ruchu z jej strony, nie pozwolił, by położono pochwę poza zasięgiem jego ręki. W dłoni ścisnął rękojeść Ekskalibura.

*W jakiś sposób jego umysł go ostrzegł*, Morgiana nie mogła wyjść z podziwu. A więc on także ma Wzrok, choć jest tak jasny i niepodobny do ludu Brytanii, on także pochodzi ze starej królewskiej linii Avalonu i może dosięgać jej myśli. Wiedziała, że jeśli teraz spróbuje wyjąć mu z dłoni Ekskalibur, on wcześniej wyczuje jej zamiar, obudzi się i zabije ją, co do tego nie miała złudzeń. Tak, jest dobrym chrześcijaninem, albo przynajmniej za takiego się uważa, lecz posadzono go na tym tronie po to, by zabijał swych wrogów... Morgiana wyczuła też, nie do końca to sama rozumiejąc, że w jakiś tajemny sposób Ekskalibur połączył się z duszą i istotą panowania Artura.

Gdyby tak nie było, to przecież Artur mógłby bez oporów oddać miecz do Avalonu i kazać sobie zrobić inny, nawet lepszy i mocniejszy... lecz Ekskalibur stał się dla niego widowym i najważniejszym symbolem tego, kim jest jako król.

*A być może jest też tak, że to sam miecz związał się i zrósł z duszą i królowaniem Artura i sam mnie zabije, z własnej woli, gdybym go próbowała Arturowi odebrać... a kimże ja jestem, by próbować przeciwstawić się woli takiego magicznego symbolu?* Morgiana patrzyła na miecz, powtarzając sobie, że nie ma się czego lękać. Chwyliła swój sztylet. Jest przecież ostry jak brzytwa, a ona, jeśli trzeba, umie się poruszać tak błyskawicznie jak atakujący wąż. Obserwowała niewielką żyłkę na szyi Artura. Wiedziała, że jeśli zrobi szybkie, głębokie cięcie i dostanie się do wielkiej arterii leżącej pod nią, Artur będzie martwy, zanim nawet zdąży krzyknąć.

Już przedtem zabijała. Bez wahania wysłała na śmierć Avallocha, a niecałe trzy dni temu zamordowała niewinne dziecko w swoim łonie... ten, który tu przed nią leży uśpiony, to przecież największy ze zdrajców. Jeden cios, sprawny i szybki... och, ale to jest to samo dziecko, które Igriana włożyła w jej ramiona, jej pierwsza miłość, ojciec jej syna, Rogaty Bóg, Król... *Uderzaj, głupia! Po to tutaj przyszedłaś!*

*Nie. Było już zbyt wiele krwi. Zrodziliśmy się z tego samego łona, nie mogłabym spojrzeć w twarz mej matki w krainie umarłych, mając na rękach krew mego brata... i przez chwilę, choć wiedziała, że znajduje się na granicy obłądu, słyszała wyraźnie zniecierpliwiony głos Igriany wołający: Morgiano, mówiłam ci, żebyś zajęła się dzieckiem...*

Wydało jej się, że poruszył się we śnie, jakby on też usłyszał ten głos. Morgiana włożyła swój sztylet z powrotem pod fałdy sukni, wyciągnęła rękę i chwyciła pochwę Ekskalibura. To przynajmniej ma prawo wziąć – zrobiła to swymi własnymi rękoma, wszyte tu zaklęcia należą do niej.

Ukryła pochwę pod płaszczem i szybkim krokiem ruszyła w kierunku promu. Robiło się coraz jaśniej. Kiedy przewoźnik wiozł ją przez Jezioro, poczuła mrowienie na skórze i niemalże dostrzegła płynącą równo z nimi, jak cień, łódź Avalonu... Kiedy wysiadła na drugim brzegu, już na nią czekali, cała załoga łodzi Avalonu. Teraz szybko, szybko, musi się dostać do Avalonu... lecz już wschodziło słońce, a cień kościoła leżał w poprzek wód Jeziora. I nagle słońce zalało swym blaskiem cały krajobraz i wraz z jego promieniami powietrze wypełnił dźwięk kościelnych dzwonów. Morgiana stała jak skamieniała. W tym dźwięku nie zdoła ani przywołać mgieł, wymówić zaklęcia.

– Czy możecie mnie zabrać do Avalonu? Teraz, szybko? – spytała jednego z mężczyzn.

– Nie potrafię, Pani – odparł, drżąc. – To coraz trudniejsze, jeśli nie ma kapłanki, by wypowiedziała zaklęcie, a nawet jeśli jest, to o świcie, w południe i o zachodzie, kiedy oni dzwonią na modlitwy, nie ma sposobu, by przekroczyć mgły. Nie teraz. O tej porze zaklęcie nie otwiera już drogi, ale jeśli poczekamy, aż dzwony zamilkną, to może uda nam się powrócić.

Dlaczego tak się dzieje?, dziwiła się Morgiana. Czy ma to coś wspólnego z wiedzą, że świat jest taki, jaki jest, gdyż ludzie wierzą, że jest właśnie taki...?

Rok po roku, w ciągu tych ostatnich trzech czy czterech pokoleń, umysły ludzkie nakłaniano do wiary w to, że jest tylko jeden Bóg, jeden świat, jeden sposób opisywania rzeczywistości, a wszystkie idee, które zaprzeczają tej obowiązującej jedności, muszą być złe i pochodzić od diabła, i że jedynie dźwięk dzwonów i cień świętych kościołów potrafi te diabły utrzymać z daleka. I im mocniej ludzie w to właśnie wierzyli, tym bardziej tak się działo, a Avalon stawał się nie więcej niż snem czy marzeniem, dryfującym w już niemal niedostępnym innym świecie.

O tak, na pewno wciąż potrafi przywołać mgły... ale nie tutaj, nie tu, gdzie cień kościoła kładzie się na wodzie, a huk dzwonów napełnia jej serce trwogą. Są więc uwięzieni na brzegach Jeziora!

Teraz czuła także, że z drugiego brzegu, na Wyspie Księży, odpływa już inna łódź, która jedzie jej szukać. Artur zapewne się obudził, ujrzał brak magicznej pochwy i teraz zarządził pościg...

Cóż, niechaj ją ściga, tak jak umie, są jeszcze inne drogi do Avalonu, tam gdzie cień kościoła nie wzbroni jej przejścia. Szybko wskoczyła na konia i puściła się pędem, klucząc wzdłuż brzegu jeziora. W końcu dotrze do miejsca, gdzie, przynajmniej jeszcze zeszłego lata, mogła przejść przez mgły, do tego samego miejsca, gdzie kiedyś razem z Lancelotem znaleźli Gwenifer, gdy oddaliła się od swego klasztoru. Tam nie ma już wody, tylko mokradła, i można wejść do Avalonu od tyłu, za wzgórzem Tor.

Wiedziała, że mali, smagli ludzie biegną tuż za jej koniem, że mogą tak biec, dotrzymując kroku zwierzęciu nawet przez pół dnia, jeśli trzeba. Teraz słyszała już odgłos innych końskich kopyt... ścigali ją. Artur jechał co koń wyskoczy, a z nim byli inni rycerze.

Wbiła ostrogi w boki swego konia, ale był to koń damski, nie nadający się do ucieczki przed pościgiem...

Zsunęła się z siodła, pochwę trzymała w dłoni.

– Rozproście się – szepnęła do swoich ludzi. Jeden po drugim jakby rozpływali się we mgle... kiedy było trzeba, potrafili się poruszać jak cienie i żaden żywy człowiek nie mógł ich znaleźć, jeśli oni tego nie chcieli. Morgiana mocniej ścisnęła pochwę miecza i pobiegła wzdłuż brzegu. W myślach słyszała głos Artura, czuła jego gniew...

Miał Ekskalibur, czuła to, święty przedmiot Avalonu świecił w jej umyśle jak wielka błyskawica... ale już nigdy nie będzie miał pochwy. Ujęła ją w obie dłonie, zakreśliła nią nad głową i rzuciła z całych sił daleko w Jezioro. Widziała, jak znika w głębokiej, spokojnej wodzie. Żadna ludzka ręka nigdy jej już nie wydobędzie, będzie tam leżała, aż skóra i aksamit przegnią, a złoto i srebro nitek poczernieje i poskręca się, a w końcu wszyte węń zakłęcia na zawsze znikną ze świata.

Artur już ją doganiał z nagim Ekskaliburem w dłoni... ale ona i jej świta zniknęli. Morgiana wycofała się w ciszę, stała się częścią cienia i drzew, jakby esencja jej istoty odeszła do czarownej krainy.

Kiedy stała tak nieruchomo, w miejscu, okryta milczeniem kapłanki, nikt ze świata żywych nie mógł zobaczyć więcej, poza jej cieniem...

Artur krzyknął jej imię:

– Morgiano! Morgiano! – Za trzecim razem krzyknął bardzo głośno, ze złością, lecz wokół niego były tylko ciche cienie, i w końcu zmęczony jazdą w kółko – raz podjechał tak blisko niej, że Morgiana czuła oddech jego konia – dał za wygraną i przywołał swą eskortę. Znaleźli go chwiejącego się w siodle, bandaże powoli znów nasiąkały krwią. Zabrali go ze sobą tam, skąd przyjechali.

Wtedy Morgiana uniosła rękę i znów normalny dźwięk ptaków, wiatru i drzew powrócił do świata.

## **Mówi Morgiana...**

*W późniejszych latach słyszałam opowieści o tym, jak to wykradłam pochwę Ekskalibura za pomocą czarów i jak Artur ścigał mnie z setką rycerzy, a ja miałam ze sobą również setkę zaczarowanych rycerzy, a gdy pogoń Artura zbliżyła się, zamieniłam siebie i swoich ludzi w głazy kamiennego kręgu... Któregoś dnia pewnie dodadzą jeszcze, że gdy było już po wszystkim, przywołałam swój rydwan zaprzężony w skrzydlate smoki i odleciałam do krainy czarów...*

*Jednak to nie było tak. Wszystko polegało jedynie na tym, że mali ludzie umieją się ukryć w lesie i stać się jednym z drzewem i cieniem, a tego dnia ja byłam jedną z nich, tak jak mnie tego nauczono w Avalonie; a kiedy eskorta Artura zabrała go niemal omdlałego z wielkiego wysiłku, z otwartą raną, ja pożegnałam się z ludźmi Avalonu i odjechałam do Tintagel. Kiedy tam jednak przybyłam, nie miało już dla mnie znaczenia, co się dzieje w Kamelocie, bo przez długi czas byłam śmiertelnie chora.*

*Nawet teraz nie wiem, co mi wtedy było. Wiem tylko, że lato dobiegło końca, liście zaczęły opadać, a ja wciąż leżałam w łóżu pod opieką służących, które zastałam w zamku, nie wiedząc i nie przykładając wagi do tego, kiedy wstanę i czy w ogóle kiedykolwiek wstanę.*

*Wiem, że miałam niską gorączkę i byłam tak niestychanie zmęczona, że nie mogłam się zmusić, by prosto usiąść czy jeść, mój umysł był tak strasznie ociężały, że było mi wszystko jedno, czy przeżyję, czy umrę. Moje służące – jedną czy dwie z nich pamiętałam jeszcze z czasów, gdy mieszkaliśmy tu jako małe dziecko wraz z Igrianą – uważały, że jestem zaczarowana, i nawet mogły mieć rację.*



*Markus z Kornwalii złożył mi hołd, a ja pomyślałam, że gwiazda Artura musi błyszczeć wysoko, bez wątpienia Markus uważał, że przybyłam tu z jego woli i przynajmniej w tej chwili nie chciało mu się przeciwstawiać, nawet w obronie tych ziem, które uważał za swoje własne. Rok wcześniej mogłam się z tego śmiać, a może nawet dogadać się z Markusem, by za obietnicę tych ziem poprowadził swą drużynę przeciw Arturowi. I nawet teraz przeszło mi to przez myśl, ale po śmierci Accolona nic już nie miało dla mnie znaczenia. Artur miał Ekskalibur... jeśli Bogini chce, by mu został odebrany, będzie musiała sama przyjść i go sobie zabrać, gdyż ja zawiodłam, nie byłam już dłużej jej kaptanką...*

*...Myślę, że to właśnie najbardziej mnie bolało; to, że zawiodłam, zawiodłam Avalon i że ona nie wyciągnęła swej dłoni, by pomóc mi spełnić jej wolę. Siła Artura, księży i tego zdrajcy Kevina była większa od magii Avalonu i nikt już nie pozostał.*

*Nikt nie pozostał. Nikt. Bez końca optakiwałam Accolona i dziecko, które zakończyło swe życie, zanim je jeszcze zaczęło, wyrzucone jak jakaś padlina. Rozpaczałam nad Arturem, teraz moim wrogiem, na zawsze dla mnie utraconym, a nawet, w co trudno uwierzyć, nad Uriensem i ruiną mego życia w Walii, jedyne go spokoju, jakiego zaznałam.*

*Zabiłam, odepchnęłam lub strąciłam w objęciach śmierci wszystkich, których kiedykolwiek kochałam. Igriana odeszła, Viviana została zamordowana i leżała między księżmi tego Boga śmierci i potępienia. Odszedł Accolon, kapłan, którego sama wyświęciłam na tę ostatnią bitwę przeciwko chrześcijańskim księżom. Artur był moim wrogiem. Lancelot nauczył się mnie lękać i nienawidzić i ja sama nie byłam tutaj bez winy. Gwenifer bała się mnie i pogardzała mną, nawet Elaine już nie było... i Uwain, który był dla mnie jak rodzony syn, też mnie nienawidził. Nie było już nikogo, komu zależałoby na tym, czy żyję, czy umarłam, tak więc mnie też już na tym nie zależało...*

*Opadły ostatnie liście i nad Tintagel zaczęły szaleć straszne zimowe burze, gdy pewnego dnia jedna z moich kobiet przyszła mi powiedzieć, że jakiś człowiek przybył się ze mną zobaczyć.*

*– W taką pogodę? – Spojrzałam za okno, gdzie nieustający deszcz lał z nieba szarego i pochmurnego jak wnętrze mego własnego umysłu. Jakiż podróżny mógł przybyć w taką potworną pogodę, walcząc z zamiecią i ciemnością? Nie, ktokolwiek to był, nic mnie to nie obchodziło. – Powiedz mu, że księżna Kornwalii nie przyjmuje nikogo, a potem go odpraw.*

*– Na deszcz, w taką noc, jaka właśnie zapada, pani? – Zaskoczyło mnie, że kobieta mi się sprzeciwia; większość z nich uważała, iż jestem czarownicą i bała się mnie, a ja byłam z tego całkiem zadowolona. Ta kobieta miała jednak rację; Tintagel zawsze był miejscem gościnnym, gdy był w rękach mego od dawna nieżyjącego ojca czy Igriany... no dobrze. – Okaż podróżnemu gościnność należną jego pozycji, daj mu jadło i łożę, powiedz mu jednak, że jestem chora i nie mogę go przyjąć.*

*Odeszła, a ja leżałam, wpatrując się w zacinający deszcz i ciemność, widoczne przez uchylone okiennice. Starłam się znów odnaleźć mój otepiały spokój, w którym teraz czułam*

się najbardziej sobą. Po niedługim czasie drzwi jednak znów się otwały i służąca wróciła. Wbiłam w nią wzrok, trzęsąc się ze złości, a była to pierwsza jakakolwiek reakcja, jaką odczułam od wielu tygodni.

– Nie wzywałam cię i nie pozwoliłam ci wracać! Jak śmiesz?

– Przekazano mi wiadomość dla ciebie, pani – powiedziała – taką wiadomość, której dostarczenia nie śmiałam odmówić, nie odmawia się, gdy mówi jeden z wielkich... Powiedział: „Nie zwracam się do księżnej Kornwalii, lecz do Pani Avalonu, a ona nie może odmówić Postąncowi Bogów, gdy Merlin pragnie posłuchania i rady”. – Kobieta zatrzymała się i dodała: – Mam nadzieję, że to tak... kazał mi to aż dwa razy powtarzać, żeby mieć pewność, iż dobrze zapamiętałam.

Wbrew własnej woli poczułam ciekawość. Merlin? Kevin jest przecież człowiekiem Artura, on z pewnością by do mnie nie przyjechał. Czyż ten zdrajca Avalonu nie sprzymierzył się serdecznie z Arturem i chrześcijanami? Może jednak już ktoś inny nosi miano Postąnca Bogów, Merlina Brytanii... Pomyślałam więc o mym synu Gwydionie, nie, teraz już Mordredzie. Może to teraz jest jego funkcja, bo tylko on mógłby jeszcze o mnie mówić jako o Pani Avalonu... Po długim milczeniu zadecydowałam:

– Powiedz mu, że go przyjmę... ale nie tak. Przyślij tu kogoś, by mnie ubrał.

Wiedziałam, że jestem za słaba, by sama włożyć szaty. Nikogo jednak nie przyjmę w ten sposób, nędzna, chora, w łóżu. Ja, kapłanka Avalonu, zdołam stanąć przed Merlinem na własnych nogach, nawet jeśli on przyniósł mi wyrok śmierci za moje wszystkie przewinienia... Wciąż jestem Morgianą!

Jakoś dałam radę wstać, kazałam sobie włożyć suknię, buty, zapleść włosy i nakryć je welonem kapłanki. Kiedy dłonie niezdarnej służącej dwa razy zawiodły, sama namalowałam księżyc na swoim czole. Moje ręce – miałam wrażenie, jakby należały do kogoś innego – drżały, a ja byłam tak słaba, że musiałam pozwolić, by służąca pomogła mi powoli zejść ze schodów. Jednak Merlin nie powinien zobaczyć mej słabości.

W wielkiej sali rozpalono ogień, kopał trochę, jak to zwykle bywało, kiedy padał deszcz, i poprzez dym mogłam jedynie zauważyć siedzącą przy kominku postać, odwróconą do mnie plecami, okręconą w szary płaszcz, lecz u jego boku stała wysoka harfa, którą poznałabym wszędzie, i teraz dzięki Mojej Pani wiedziałam, kim on jest. Włosy Kevina były już całkiem siwe, lecz kiedy weszłam, z trudem podniósł swe kalekie ciało i stanął przede mną wyprostowany.

– A więc – zaczęłam – to ty wciąż nazywasz siebie Merlinem Brytanii, choć służysz tylko Arturowi i opuściłeś Avalon?

– Sam nie wiem, jak się mam teraz nazywać – odpowiedział Kevin cicho – może jedynie sługą tych, którzy służą Bogom, którzy są Jednym Bogiem.

– Po co więc tu przybyłeś?

– Tego też nie wiem – powiedział melodyjny głos, który tak kiedyś lubiłam – może tylko po to, by spłacić jakiś stary dług, zaciągnięty, zanim jeszcze powstały te wzgórza, moja droga... – Po chwili głośniejszawołał na służącą: – Twoja pani słabnie! Podaj jej krzesło!

W głowie mi się zakręciło, oczy przysłoniła mi szara mgła, a kiedy się ocknęłam, siedziałam przy ogniu naprzeciw Kevina, a służącej już nie było.

– Biedna Morgiana, biedna dziewczynka – powiedział i po raz pierwszy, odkąd śmierć Accolona zamieniła mnie w kamień, poczułam, że mogę płakać. Mocno zacisnęłam zęby, wiedząc, że jeśli uronię choć jedną łzę, wszystko wewnątrz mnie roztopi się i zacznę płakać i płakać, i płakać, i nie przestanę płakać, aż cała nie zamienię się w jedno jezioro łez...

– Nie jestem dziewczynką, Kevinie Harfiarzu – powiedziałam sucho przez zaciśnięte zęby – a ty zdobyłeś sobie do mnie drogę podstępem. Teraz powiedz, co masz do powiedzenia, i odejdz.

– Pani Avalonu...

– Nie jestem nią – przerwałam mu i wtedy przypomniałam sobie, że kiedy ostatni raz widziałam tego człowieka, przegnałam go sprzed mych oczu, rzuciłam się na niego, nazwałam go zdrajcą. To teraz nie było istotne. Może to już takie przeznaczenie, że dwoje zdrajców Avalonu ma tu razem siedzieć przy ogniu, bo przecież ja też złamałam swe śluby... jak śmiem osądzać Kevina?

– Kimże więc jesteś? – spytał cicho. – Raven jest stara i milczy już od wielu lat. Niniana nigdy nie będzie miała dość mocy, by władać. Jesteś tam potrzebna...

– Kiedy rozmawialiśmy ze sobą ostatnim razem – przerwałam mu – powiedziłeś, że dni Avalonu minęły. Dlaczegoż więc na miejscu Viviany miałby zasiadać ktoś inny, prócz tego dziecka niezdatnego na ten urząd, i czekać na dzień, aż Avalon na zawsze zniknie we mgle? – Czuję w gardle palącą gorycz. – Skoro zaprzedałeś Avalon dla sztandaru Artura, czyż twoje zadanie nie będzie łatwiejsze, jeśli w Avalonie nie będzie u władzy nikogo poza staruszką-wyrocznią i pozbawioną mocy kapłanką...?

– Niniana jest miłością i stworzeniem Gwydiona – powiedział Kevin. – I wydaje mi się, że twój głos i twoje dłonie są tam potrzebne. Nawet jeśli przeznaczeniem Avalonu jest odejść we mgły, czyż odmówisz odejścia razem z nim? Nigdy nie uważałem cię za tchórza, Morgiano... – Potem uniósł na mnie oczy i dodał: – Umrzesz tutaj, Morgiano, umrzesz z rozpacz i samotności...

Odwróciłam od niego twarz.

– Po to tutaj przybyłam... – odparłam. I po raz pierwszy zdałam sobie sprawę z tego, że rzeczywiście przyjechałam tu, by umrzeć. – Wszystko, co próbowałam zrobić, leży w gruzach, przegrałam, przegrałam... powinieneś tryumfować Merlinie, gdyż to Artur zwyciężył.

– O nie, moja droga, to nie tryumf – powiedział Kevin, potrząsając głową. – Ja czynię to, co każą mi czynić Bogowie, nic więcej, a ty robisz to samo. I jeżeli rzeczywiście twoim przeznaczeniem ma być ujrzenie końca tego świata, który oboje znaleźliśmy, cóż, moja

najdroższa miłości, niech to przeznaczenie znajdzie każdego z nas na przypisanym mu miejscu, czyniących to, co Bogowie nam przykazali... Powinienem przywrócić cię Avalonowi, Morgiano, sam nawet nie wiem dlaczego. Masz rację, moje zadanie byłoby łatwiejsze, gdyby władała tam jedynie Niniana, ale, Morgiano, twoje miejsce jest w Avalonie, a moje tam, gdzie Bogowie mnie poślą. A w Avalonie możesz zostać uzdrowiona...

– Uzdrowiona – powtórzyłam z pogardą. Nie zależało mi na tym.

Kevin patrzył na mnie smutno. Nazwał mnie „swoją najdroższą miłością”. Wydało mi się nagle, że on jest jedyną żyjącą istotą, która zna mnie taką, jaką jestem; przed każdą inną osobą, nawet przed Arturem, nosiłam różne maski, zawsze starałam się wydać lepszą, niż byłam; nawet przed Vivianą – chciałam, by uważała mnie za bardziej godną miana kapłanki... Dla Kevina byłam tylko Morgianą i nikim więcej. Wydało mi się, że nawet gdybym wyciągnęła po niego dłoń jako Śmierć Kostucha, on nie zobaczy nic więcej, tylko mą własną twarz, twarz Morgiany... Zawsze uważałam, że miłość to co innego, że to jest namiętność, którą czułam do Lancelota, do Accolona. Do Kevina czułam niewiele poza tym spokojnym współczuciem, przyjaźnią, dobrocią, a jednak... a jednak tylko on pomyślał o tym, by do mnie przyjechać, tylko on zmartwił się tym, że umrę tutaj z rozpacz.

A jednak jak śmiał wtargnąć w mój świat, kiedy już niemal osiągnęłam ten głębszy spokój, który czeka poza życiem? Odwróciłam się od niego i powiedziałam jedno słowo:

– Nie.

Nie chciałam już powracać do życia, walczyć i cierpieć, żyć ze świadomością nienawiści tych wszystkich, którzy niegdyś mnie kochali... Jeśli wybiorę życie, jeśli powrócę do Avalonu, będę znów musiała wrócić do tej śmiertelnej walki z Arturem, którego kocham, będę musiała widzieć Lancelota wciąż uwięzionego w miłości do Gwenifer. Już dłużej nie chciałam, nie mogłam już znieść tego bólu, który czułam w sercu...

Nie. Jestem tutaj, w ciszy i spokoju, a już niedługo nawet sama nie zauważę, jak przejdę granicę jeszcze większego spokoju... ta słabość, która była prawie jak śmierć, zbliżała się do mnie coraz bardziej, bliżej, a ten Kevin, ten zdrajca, chce mnie zawrócić z drogi?

Zakryłam twarz dłońmi.

– Nie – powtórzyłam raz jeszcze. – Zostaw mnie teraz w spokoju.

Nie poruszył się, nie powiedział słowa, a ja siedziałam w milczeniu z welonem opuszczonym na twarz. Po jakimś czasie on w końcu musi wstać i odejść, bo ja sama nie mam siły, by się stąd ruszyć. A ja... a ja będę tu sobie siedziała, aż służące nie zanoszą mnie do łoża, i potem nie wstanę już nigdy więcej.

I wtedy, w tej ciszy, usłyszałam miękkie dźwięki harfy. Kevin grał, a po chwili zaczął śpiewać.

Słyszałam już wcześniej część tej ballady, gdyż czasem śpiewał ją na dworze Artura, była to opowieść o bardzie z antycznych czasów, Orfeuszu, który swoją grą sprawiał, że drzewa tańczyły, a głązy ustawiały się w krąg i wirowały, a wszystkie dzikie zwierzęta wychodziły z

lasu i zamiast rozszarpać go swymi pazurami, kładły się u jego stóp. Teraz jednak Kevin zaśpiewał także drugą część, która była tajemnicą, i której nigdy wcześniej nie słyszałam. Śpiewał o tym, jak Orfeusz utracił tę, którą kochał, i szedł do podziemnego świata umarłych i stanął przed Panami Śmierci i błagał o nią, i dostał pozwolenie, by udać się do krainy ciemności i wyprowadzić ją stamtąd, i jak odnalazł ją na wiecznych równinach... i wtedy jego głos przemówił z głębi duszy... a ja usłyszałam coś, co było jakby moim własnym, błagającym głosem:

– Nie próbuj mnie stąd wyprowadzić, kiedy już postanowiłam zostać tutaj, w krainie śmierci. Tu, na tych wiecznych polach wszystko jest spokojne, nie ma tu bólu ani walki; tutaj mogę w końcu zapomnieć i o miłości, i o rozpacz.

Komnata wokół mnie rozplynęła się, nie czułam już dymu z kominka, nie słyszałam ulewnego deszczu uderzającego w okiennice. Nie byłam już świadoma swego chorego, osłabionego ciała, siedzącego na krześle. Wydało mi się, że stoję w ogrodzie pełnym kwiatów bez zapachu, wypełnionym wiecznym spokojem, a w ciszy pobrzmiwał jedynie z oddali głos harfy. Ta harfa śpiewała dla mnie, choć wcale tego nie chciałam.

Śpiewała o wietrze z Avalonu, niosącym woń kwitnących jabłoni i zapach dojrzałych owoców, przyniosła mi chłodną świeżość mgieł nad Jeziorem i dźwięk jeleni biegnących rączo w leśnej gęstwinie, tam gdzie wciąż żyją mali ludzie, i przyniosła mi tamto zalane słonecznym blaskiem letnie popołudnie, gdy leżałam w ramionach Lancelota, a zew życia po raz pierwszy burzył krew w moich żyłach.

Potem znów poczułam w swoich ramionach słodki ciężar mojego synka, jego miękkie włoski taskotały mój policzek, jego mleczny oddech był słodki i delikatny... a może to był Artur na moich kolanach, tulący się do mnie, jego małe rączki głaskały moją twarz... dłoń Viviany znów dotknęła mego czoła w błogostawieństwie, a ja, podnosząc obie ręce w inwokacji, znów poczułam się łącznikiem, pomiędzy ziemią a niebem... porywisty wiatr hulał po gaju, gdzie leżałam z młodym Królem Bykiem w mroku zaćmienia, a głos Accolona wymówił moje imię...

I teraz słyszałam już nie tylko harfę, lecz także głosy żywych i umarłych wołające do mnie: „Wróć, wróć do życia, samo życie woła cię ze wszystkimi swymi rozkoszami i bólem...” A potem w głosie harfy pojawił się nowy ton.

– To ja cię przyzywam, Morgiano z Avalonu... kapłanko Matki...

Uniosłam głowę, nie ujrzałam jednak kalekiego ciała Kevina i jego zasmuconej twarzy, natomiast tam, gdzie przedtem on siedział, teraz stał Ktoś, wysoki i jaśniejący, blask bił z jego twarzy, w dłoniach trzymał Harfę i Łuk. Wstrzymałam oddech na widok Boga, a głos śpiewał dalej... – Powróć do życia, powróć znów do mnie... ty, która ślubowałaś... poza tą ciemnością śmierci oczekuje cię znów życie...

Walczyłam, by odwrócić głowę.

– To nie Bóg może mi rozkazywać, lecz Bogini...

– A jednak – odparł ten znajomy głos w ciszy wieczności – to ty jesteś Boginią i to ja wzywam ciebie...

Przez chwilę, jakbym patrzyła w spokojne wody zwierciadła Avalonu, ujrzałam samą siebie odzianą w szaty i wspaniałą koronę Pani Życia...

– Ale ja jestem już stara, stara, należę do śmierci, nie do życia... – szepnęłam i w tej wiecznej ciszy usłyszałam słowa powtarzane tak często podczas obrzędów. Te słowa ożyły teraz na ustach Boga.

– ...Ona będzie i stara, i młoda, tak jak jej się spodoba... – I przed moimi oczyma moja własna twarz była znów młoda i świeża, jak tego dnia, gdy wysłałam Młodego Byka na bieg z jeleniami... tak, przecież byłam już stara, gdy wysłałam na próbę Accolona, a jednak posłałam go tam, nosząc już w łonie jego dziecko... i choć byłam stara i od lat jałowa, to jednak życie tętniło we mnie jak wieczne życie ziemi, i Pani Życia... a Bóg wciąż stał przede mną, ten wieczny Bóg, który przyzywał mnie na powrót do życia... i wtedy zrobiłam krok, a potem następny, a potem zaczęłam się wspinać, wspinałam się, wspinałam się do góry, by wyjść z ciemności, kierując się odległym głosem harfy, która śpiewała mi o zielonych wzgórzach Avalonu i o wodzie życia... Kiedy się ocknęłam, stałam o własnych siłach, wyciągając ręce do Kevina... Delikatnie odłożył harfę i złapał mnie, niemal malejącą, w swe ramiona. I przez chwilę parzył mnie dotyk dłoni jaśniejszego Boga... a potem już tylko słodki, śpiewny, lekko drwiący głos Kevina mówił:

– Nie mogę cię utrzymać, Morgiano, wiesz o tym dobrze... – i delikatnie posadził mnie na krześle. – Kiedy ty ostatni raz coś jadłaś, Morgiano?

– Nie pamiętam – przyznałam i nagle zdałam sobie w pełni sprawę z mej śmiertelnej słabości; Kevin zawołał służące i przykazał swym łagodnym, lecz stanowczym głosem Druida i uzdrowiciela:

– Przynieście swej pani chleba i trochę ogrzanego mleka z miodem.

Uniosłam dłoń, by zaprotestować, a służąca stała niezdecydowana. Przypomniałam sobie teraz, że już dwa razy próbowała mnie namówić do zjedzenia tych samych rzeczy. Posłuchała jednak jego rozkazu, a gdy wróciła, Kevin wziął trochę chleba, namoczył w mleku i karmił mnie nim troskliwie, po małym kawałeczku.

– Starczy – powiedział w końcu. – Pościłaś zbyt długo, ale zanim się położysz, musisz wypić jeszcze trochę ciepłego mleka z ubitym jajkiem... pokażę im, jak mają to przygotować. Być może już pojutrze będziesz na tyle silna, by wyruszyć w drogę.

I wtedy nagle zaczęłam płakać. W końcu płakałam nad Accolonem leżącym na marach, nad Arturem, który teraz mnie nienawidził, i nad Elaine, która była moją przyjaciółką... i nad Vivianą, która leżała martwa w chrześcijańskim grobie, i nad Igrianą, i nad sobą, nad sobą, która to wszystko musiała przeżyć...

– Biedna Morgiana, biedna dziewczynka – powiedział znowu Kevin i tulił mnie do swej chudej piersi, a ja płakałam i płakałam, aż w końcu umilkłam, a on zawołał moje kobiety, by odprowadziły mnie do łóża.

*I po raz pierwszy od wielu dni usnęłam. A w dwa dni później pojechałam do Avalonu.*

Niewiele pamiętam z tej podróży, wciąż byłam chora na ciele i duszy. Nawet się nie zdziwiłam, gdy Kevin mnie opuścił, zanim dojechaliśmy do Jeziora. Przybyłam na brzeg o zachodzie słońca, gdy wody Jeziora płonęły purpurą, a całe niebo jakby stało w ogniu; i z tej wody i nieba koloru płomieni wynurzyła się Łódź, cała pomalowana i udrapowana na czarno, wiosła zanurzały się w wodę w sennej ciszy. Przez chwilę wydało mi się, że to jest Święta Łódź z tego bezbrzeżnego morza, o którym nie wolno mi mówić, a czarna postać na dziobie to Ona, a ja w jakiś sposób połączyłam przestrzeń między niebem i ziemią... nie wiem jednak, czy to się naprawdę zdarzyło, czy był to tylko sen. A potem wokół nas opadły mgły, a ja w samej głębi duszy poczułam tę zmianę, która mówiła mi, że znów jestem w domu.

Niniana powitała mnie na brzegu, wzięła mnie w ramiona, nie jak obcą, którą spotkała zaledwie raz czy dwa, lecz jak córka witająca matkę, której nie widziała od wielu lat. Potem zabrała mnie do domu, gdzie niegdyś mieszkała Viviana. Tym razem nie przysłała młodych kapłanek, by mi służyły, lecz zajęła się mną osobiście, położyła mnie do łóża w mniejszej komnacie, przyniosła mi wodę ze Świętej Studni a kiedy jej spróbowałam, wiedziałam już, że choć leczenie będzie trwało długo, mogę jeszcze wyzdrowieć.

Zaznałam już w życiu dosyć mocy. Teraz byłam rada z tego, że mogę zapomnieć o problemach tego świata; nadszedł czas, by pozostawić je innym i pozwolić mym córkom, by się mną opiekowały.

Powoli, powoli odzyskiwałam swe siły w ciszy Avalonu. Tutaj mogłam w końcu opłakiwać samego Accolona, nie tylko porażkę mych nadziei i planów... teraz rozumiałam, jakim były szaleństwem. Byłam kapłanką Avalonu, nie Królową. Mogłam jednak opłakiwać to krótkie i gorzkie lato naszej miłości; mogłam też rozpaczać po dziecku, które nie żyło na tyle długo, by się urodzić, i mogłam raz jeszcze cierpieć z tego powodu, że to ma własna ręka wysłała je do krainy cieni.

Był to długi okres żałoby i czasami zastanawiałam się, czy będę musiała tak rozpaczać do końca życia i nigdy się już od tej rozpaczki nie uwolnię; w końcu jednak mogłam wspominać bez płaczu i przypominać sobie dni miłości bez tego nieopisanego smutku, wzbierającego jak łzy w samej głębi mej duszy. Nie ma większego smutku od wspomnienia miłości, gdy wiemy, że jest na zawsze utracona; nawet w snach nigdy już nie ujrzałam jego twarzy, i choć za nią tęskniłam, to rozumiałam, że może to i lepiej, bo inaczej do końca życia żyłabym już tylko we śnie... w końcu nadszedł jednak dzień, gdy mogłam spokojnie patrzeć wstecz i wiedziałam, że czas żałoby się zakończył.

*Mój ukochany i moje dziecko byli już na drugim brzegu, i nawet jeśli w jakiś sposób spotkam ich poza bramami śmierci, żadne z nas nie będzie tego wiedziało... ale ja żyję, jestem w Avalonie i teraz moim zadaniem jest być tu Panią Jeziora.*

*Nie wiem, przez ile lat mieszkałam w Avalonie przed końcem.*

*Pamiętam tylko, że unosiłam się w ogromnym i bezimiennym spokoju, poza radością czy smutkiem, znając jedynie ukojenie i drobne zajęcia dnia codziennego. Niniana zawsze stała u mego boku. Poznałam także Nimue, która wyrosła na wysoką, cichą, jasnowłosą dziewczynę, tak piękną, jak Elaine, kiedy pierwszy raz ją ujrzałam. Stała się dla mnie córką, której nigdy nie miałam, przychodziła do mnie każdego dnia, a ja uczyłam ją wszystkiego, czego sama nauczyłam się od Viviany w moich pierwszych latach w Avalonie.*

*W tych dniach byli też tacy, którzy widzieli, jak Święty Głóg pierwszy raz zakwitł dla wyznawców Chrystusa, a oni czcili swego chrześcijańskiego Boga w pokoju, nie starając się przepędzić z tego świata całego piękna, lecz kochać go takim, jakim stworzył go Bóg.*

*Byli to ci, którzy w tamtych dniach przybywali licznie do Avalonu, by uciec przed straszną, nieubłaganą falą prześladowań i fanatyzmu. Patrycjusz wprowadził nowe nakazy religijne, a z nimi obraz świata, w którym już w ogóle nie było miejsca na prawdziwe piękno i tajemnicę cudów natury. I właśnie od tych chrześcijan, którzy przybyli do nas, by schronić się przed fanatyzmem swych współwyznawców, w końcu dowiedziałam się czegoś o Nazarejczyku, synu cieśli, który osiągnął boskość swym własnym życiem i głosił miłość i tolerancję.*

*I wtedy zrozumiałam, że nigdy nie kłóciłam się z Chrystusem, lecz tylko z jego głupimi i ograniczonymi księżmi, którzy swe własne wyobrażenie brali za jego postanie.*

*Nie wiem, czy przed końcem minęły trzy lata czy pięć, czy może nawet dziesięć. Słyszałam szepty z zewnętrznego świata, ale były jak cienie, jak echo kościelnych dzwonów, które czasem słyszeliśmy na naszym brzegu. Wiedziałam, kiedy umarł Uriens, lecz nie opłakiwałam go, dla mnie był już martwy od wielu lat, miałam jednak nadzieję, że na koniec znalazł jakąś pociechę w swej rozpacz. Był dla mnie dobry, tak jak potrafił, niech więc spoczywa w spokoju.*

*Od czasu do czasu dochodziły do mnie pogłoski o różnych wyczynach Artura i jego rycerzy, lecz w spokoju Avalonu wydały się bez znaczenia. Te wszystkie wyczyny brzmiały dla mnie jak stare baśnie i legendy, tak że nigdy nie byłam pewna, czy mówią o Arturze, Kaju i Lancelocie czy o Llyrze i dzieciach Daany. A gdy szepetano miłosne historie o Lancelocie i Gwenifer, czy też o żonie Markusa, Isottcie i młodym Drustanie, sama nie wiedziałam, czy one wszystkie nie są po prostu powtórzeniem starej baśni o Diarmidzie i Grainne z pradawnych czasów. To nie miało dla mnie znaczenia, tak jakbym te wszystkie historie słyszała już kiedyś, dawno temu, w dzieciństwie.*

*I wtedy, pewnej wiosny, gdy ziemia pięknie się zieleńiła, a pierwsze jabłonie Avalonu stały białe od kwiecica, Raven krzykiem przerwała swą wieloletnią ciszę i mój umysł został*



*zmuszony do tego, by raz jeszcze zwrócić się ku sprawom tego świata, który miałam nadzieję na zawsze już pozostawić za sobą.*

## 9

– Nie ma już miecza Misteriów... teraz szukajcie kielicha, teraz szukajcie wszystkich Świętych Regaliów... zniknęły, zniknęły, zabrano je nam...

Ten krzyk wyrwał Morgianę ze snu, a jednak, kiedy na palcach podeszła pod drzwi komnaty, w której sypiała Raven, jak zwykle w samotności i milczeniu, kobiety, które czuwały pod jej drzwiami, spały. Nie słyszały tego krzyku.

– Ależ nie ma nic, poza ciszą, Pani – powiedziały Morgianie. – Jesteś pewna, że to nie był tylko zły sen?

– Jeśli to był zły sen, to musiał także przyśnić się kapłance Raven – odparła Morgiana, patrząc na spokojne twarze młodych kapłanek. Pomyślała, że z każdym rokiem nowicjatki z Domu Dziewcząt zdają się młodsze i bardziej dziecinne... jakże takim małym dziewczynkom można powierzać święte rzeczy? To dzieci, których piersi jeszcze nawet nie dojrzały... cóż one mogą wiedzieć o życiu Bogini, która jest także życiem całego świata?

I znów ten rozdzierający krzyk zabrzmiał w całym Avalonie, podnosząc wszędzie alarm. Jednak gdy Morgiana spytała:

– A teraz słyszycie? – Dziewczęta spojrzały na nią ze zdziwieniem.

– Czy ty wciąż śnisz, Pani, z otwartymi oczyma? – pytały, a Morgiana zdała sobie sprawę, że w tym gorzkim krzyku przerażenia i rozpaczki nie było żadnego dźwięku.

– Pójdę do niej – powiedziała.

– Ależ nie wolno ci tego uczynić... – zaczęła jedna z dziewcząt, lecz po chwili odsunęła się, z otwartymi z przerażenia ustami, bo uprzytomniła sobie, kim naprawdę jest Morgiana. Opuściła tylko pokornie głowę, gdy Morgiana weszła do środka.

Raven siedziała na swym łożu, jej długie, czarne włosy były rozrzucone w nieładzie, oczy miała szeroko otwarte z przerażenia.

Przez chwilę Morgiana myślała, że może faktycznie jej własny umysł usłyszał jakiś zły sen starej kapłanki, że Raven żyje już w świecie snów...

Raven potrząsnęła głową i w jednej chwili była całkiem rozbudzona i trzeźwa. Morgiana widziała, że stara się coś powiedzieć, pokonać lata milczenia, ale teraz głos najwyraźniej nie chciał jej słuchać. W końcu, drżąc na całym ciele, wyjąkała:

– Widziałam... widziałam to... zdrada, Morgiano, w samym środku świętego miejsca Avalonu... nie dostrzegłam jego twarzy, ale widziałam w jego dłoni wielki miecz Ekskalibur...

Morgiana wyciągnęła dłoń, by ją uciszyć.

– Spojrzymy w zwierciadło, gdy słońce wstanie. Nie trudź się teraz mówieniem, najdroższa.

Raven wciąż drżała. Morgiana mocno zacisnęła swą dłoń na jej dłoni i w migoczącym świetle pochodni ujrzała, że jej własna ręka jest już pomarszczona i usiana starczymi plamami, a palce Raven są jak poskręcane liny oplecione wokół cienkich, delikatnych kości. *Jesteśmy już obie stare, pomyślała, my, które przybyłyśmy tu jako dzieci, by służyć Vivianie... och Bogini, tyle lat już minęło...*

– Ale ja teraz muszę mówić – szepnęła Raven. – Milczałam już zbyt długo... milczałam nawet wtedy, kiedy już zaczęłam się obawiać, że to się może stać... słuchaj tych grzmotów i deszczu, nadchodzi burza, burza, która rozpęta się nad Kamelotem i Avalonem i zmyje je wraz z powodzią... i na ziemi zapanują ciemności...

– Cicho, moja kochana! Nic nie mów! – wyszeptała Morgiana i objęła drżącą kobietę ramionami. Zastanawiała się, czy umysł nie zwodzi już starej kapłanki, czy to wszystko nie jest tylko jej przywidzeniem, snem w gorączce... nie było grzmotów ani deszczu, na dworze księżyc jasno świecił nad Avalonem, a sady stały białe od kwiecia w księżycowej poświacie. – Nie bój się. Zostanę tu z tobą a rankiem spojrzymy w zwierciadło, by się przekonać, czy coś z tego jest prawdą.

Raven uśmiechnęła się smutno. Zgasiła pochodnię Morgiany. W nagłej ciemności przez szpary w okiennicach Morgiana dostrzegła dalekie światło błyskawicy. Cisza; a potem, gdzieś bardzo daleko niski odgłos grzmotu.

– Ja nie śnię, Morgiano. Nadchodzi burza, a ja się boję. Ty masz więcej odwagi ode mnie. Ty żyłaś w świecie i zaznałaś prawdziwych smutków, nie tylko wizji... ale teraz, być może ja też muszę stąd wyruszyć i już na zawsze przerwać swe milczenie... i tak się boję...

Morgiana położyła się przy niej, naciągając na siebie i Raven okrycie, i wzięła ją drżącą w ramiona. Leżąc w ciszy, słuchając oddechu drugiej kobiety, wspominała tę noc, kiedy przywiozła Nimue, a Raven przyszła do niej, by powitać ją w Avalonie... *dlaczego wydaje mi się, że ze wszystkich miłości, jakie poznałam, ta jest najprawdziwsza...* Teraz tylko delikatnie tuliła Raven, która leżała z głową na jej ramieniu. Po długiej chwili, gdzieś niedaleko, z ogromną siłą uderzył piorun, a Raven, drżąc spytała:

– Widzisz?

– Cicho, moja kochana, to tylko burza...

Kiedy to mówiła, lunął deszcz, do komnaty wdarł się zimny wiatr zapierający oddech. Morgiana leżała w milczeniu, palce splatając z palcami Raven. *To tylko burza*, myślała, ale coś z trwogi Raven jej też się udzieliło i stwierdziła, że sama również drży.

*Burza, która przyjdzie z nieba i uderzy w Kamelot, i zrujnuje lata pokoju, które Artur dał tej ziemi...*

Próbowała przywołać do siebie Wzrok, ale dźwięk grzmotów rozpraszał myśli; mogła jedynie leżeć u boku Raven, powtarzając sobie w kółko: *To tylko burza, burza, deszcz, wiatr i grzmoty, to nie jest gniew Bogini...*

Po długim czasie burza ucichła i Morgiana obudziła się w nowym skąpanym do czysta świecie. Niebo było jasne i bezchmurne, na każdym liściu i źdźble trawy błyszczały krople, jakby cały świat został zanurzony w wodzie i nie otrząśnięty do sucha. Gdyby burza, której lękała się Raven, naprawdę miała rozpętać się nad Kamelotem i Avalonem, to czy pozostawiłaby po sobie świat tak piękny i czysty?

Jakoś nie mogła w to uwierzyć.

Raven obudziła się i spojrzała na nią oczyma wielkimi ze strachu.

Morgiana odezwała się cicho i jak zwykle spokojnie:

– Natychmiast pójdziemy do Niniany, a potem do zwierciadła, zanim słońce wstanie. Jeżeli ma na nas spaść gniew Bogini, musimy wiedzieć jak i dlaczego.

Raven, milcząc, skinęła głową, ale kiedy były już ubrane i gotowe do wyjścia, dotknęła ramienia Morgiany.

– Ty idź do Niniany – szepnęła z widocznym trudem, zmuszając swój od dawna nie używany głos do posłuszeństwa. – Ja przyprowadzę Nimue. Ona też jest częścią tego...

Przez chwilę Morgiana była tak zaskoczona, że już miała zaprotestować. Potem, rzucając jedno spojrzenie na blednące niebo, wyszła. Może być tak, że Raven w swym strasznym wieszczym śnie zobaczyła powód, dla którego Nimue została tutaj wychowana w zupełnym odosobnieniu. Pamiętając dzień, gdy Viviana wyjawiała jej przeznaczone dla niej samej zadanie, Morgiana pomyślała, Biedna dziewczyna! Taka była jednak wola Bogini, a one wszystkie są w jej rękach. Idąc samotnie przez mokry sad, zobaczyła, że jednak nie było tu tak pięknie i spokojnie, jak jej się z początku wydawało... wichura zerwała z drzew kwiaty i nagi sad pokryty był teraz białym dywanem jak świeżym śniegiem. Tej jesieni będzie niewiele owoców.

*My możemy siać ziarno i orać ziemię. Jednak tylko jej łaska daje owoce i plony...*

*Dlaczego więc ja się martwię? Będzie tak, jak ona tego zechce...*

Niniana, zbudzona ze snu, spojrzała na nią, jakby była szalona.

Ona nie jest prawdziwą kapłanką, myślała Morgiana. Merlin mówił prawdę, została wybrana tylko dlatego, że jest córką Taliesina. Może już nadszedł czas, by przestać udawać, kto tu jest prawdziwą Panią Avalonu, i zająć należne mi miejsce? Nie chciała jednak obrazić Niniany ani walczyć o władzę i odbierać młodszej kobiecie jej rangi, zaznała już w życiu dość władzy... ale żadna prawdziwa kapłanka, wybrana przez Boginię, nie mogłaby przespać tego krzyku Raven.

Jednakże ta kobieta w jakiś sposób przeszła wszystkie trudne próby wymagane przy kapłańskich święceniach, a Bogini jej nie odrzuciła.

Cóż więc Bogini chce, by ona, Morgiana, teraz uczyniła?

– Powiadam ci, Niniano, ja to widziałam, tak jak widziała to Raven... Przed wschodem słońca musimy koniecznie spojrzeć w zwierciadło!

– Och, nie pokładam w tych rzeczach specjalnej wiary – powiedziała Niniana cicho. – Co się ma wydarzyć, to i tak się z pewnością wydarzy... ale jeśli chcesz, Morgiano, to pójdę z tobą...

W ciszy, jak czarne punkty na tym białym, do czysta skąpanym świecie, szły w kierunku zwierciadła leżącego poniżej Świętej Studni. Idąc, kątem oka Morgiana widziała wysoką, ciemną postać Raven, a u jej boku, jak jasny cień, bladą jak jutrzienka postać Nimue. Morgianę uderzyła uroda dziewczyny – nawet Gwenifer w kwiecie swej młodości nigdy nie była aż tak piękna. Morgiana poczuła ukłucie zazdrości i goryczy. *Ja, za wszystko, co musiałam poświęcić, nie otrzymałam od Bogini takiego daru...*

– Nimue jest dziewicą – powiedziała Niniana. – To ona powinna spojrzeć w zwierciadło.

W spokojnej wodzie jeziora odbijały się teraz ich cztery ciemne postaci. Na niebie kilka lekko różowych obłoczków zwiastowało rychły wschód słońca. Nimue przysunęła się na sam kraj jeziora, dłońmi odgarniając swe długie, jasne włosy, a Morgiana w myślach zobaczyła siebie samą, patrzącą w wodę w srebrnej miednicy, i skupioną, hipnotyczną twarz Viviany...

– Czego sobie życzysz, co mam zobaczyć, matko? – Nimue spytała cichym, jakby nieobecny głosem.

Morgiana czekała, aż przemówi Raven, ale ta milczała. W końcu więc sama się odezwała:

– Czy Avalon padł ofiarą zdrady? Co się stało z resztą Świętych Regaliów?

Cisza. Tylko ptaszki cicho ćwierkały gdzieś na drzewach, a woda z cichym szumem miękko spływała ze źródła Świętej Studni i po skałach wpadała w jezioro zwierciadła. Poniżej Morgiana widziała stojące w ciszy, osypane z kwiecia sady, a ponad nimi blade kontury kamiennego kręgu na szczycie Toru.

Cisza. W końcu Nimue poruszyła się i wyszeptała:

– Nie widzę jego twarzy... – Na powierzchni wody pojawiły się drobne zmarszczki, a Morgianie wydało się, że też widzi zgarbioną postać, poruszającą się wolno i z trudem... i podziemną komnatę, w której stała u boku Viviany tego dnia, gdy Taliesin włożył Ekskalibur w dłoń Artura, słyszała nawet jego zakazujący głos...

– *Nie, śmierć temu, kto dotknie Świętych Regaliów nie przygotowany...*

Przez chwilę Morgiana wyraźnie słyszała głos Taliesina, a nie głos Nimue... ale ten, którego widziały, miał prawo, był teraz Merlinem Brytanii, i zabrał Regalia z ich tajnej kryjówki, włócznię i kielich, i talerz, i ukrył święte przedmioty pod swym płaszczem, i wyszedł, i przebył Jezioro, i poszedł tam, gdzie na drugim brzegu, w ciemności świecił miecz Ekskalibur... Święte Regalia zostały znów połączone.

– Merlin! – szepnęła Niniana. – Ale dlaczego?

Morgiana wiedziała, że jej własna twarz jest jak wykuta z kamienia.

– Kiedyś mi o tym mówił – przyznała. – Powiedział, że Avalon jest już poza światem, a święte przedmioty powinny być na świecie, w służbie człowieka i Bogów, pod jakimkolwiek imieniem ludzie tych Bogów czczą...

– On je sprofanuje – powiedziała Niniana z oburzeniem. – i odda je na służbę temu Bogu, który chce wypędzić wszystkich innych Bogów!

W ciszy Morgiana usłyszała śpiewy mnichów. Potem blask słońca dotknął powierzchni zwierciadła i zamienił je w lawinę wybuchających płomieni, które oślepiły ją, oszołomiły, tak że w jasnych promieniach wschodzącego słońca wydało jej się, jakby cały świat płonął blaskiem gorejącego krzyża... Zamknęła oczy i zakryła twarz dłońmi.

– Pozwól im odejść – wyszeptwała Raven. – Bogini z pewnością potrafi sama zadbać o swoją własność...

Morgiana znów usłyszała śpiew mnichów: – *Kyrie eleison, Christe eleison... Panie zmiłuj się, Chryste zmiłuj się...* Święte Regalia były symbolami. Bogini z pewnością pozwoliła, by to się stało, na znak, że Avalon już ich nie potrzebuje, że powinny wrócić do Świata i być w służbie człowieka...

Gorejący krzyż wciąż płonął przed oczyma Morgiany. Odwróciła głowę od słońca.

– Nawet ja nie mogę zwolnić Merlina z jego ślubów. Złożył wielką przysięgę i zawarł w imieniu Najwyższego Króla Wielki związek z tą ziemią, a teraz złamał śluby, jest wyklęty. Lecz zanim zajmę się samym zdrajcą, muszę się zająć zdradą. Regalia muszą wrócić do Avalonu, nawet jeśli miałabym je tu sprowadzić własnymi rękoma. O świecie wyruszam do Kamelotu.

I nagle ujrzała w głowie cały, gotowy plan, gdyż Nimue szepnęła:

– Czy ja też muszę się tam udać? Czy moim zadaniem jest pomścić Boginię?

Ona, Morgiana, zajmie się Regaliami. Zostały powierzone jej opiece i gdyby tylko zajęła tu swoje właściwe miejsce, zamiast pogrążyć się we własnej rozpacz i myśleć tylko o swoim ukojeniu, to wszystko nigdy by się nie wydarzyło. Nimue zaś będzie narzędziem kary dla zdrajcy.

Kevin nigdy nie widział Nimue. Ze wszystkich ludzi, którzy bywali w Avalonie, Merlin nigdy nie ujrzał tej, która przebywała w odosobnieniu i ciszy. I tak jak to zwykle bywa, kiedy Bogini wymierza swoją sprawiedliwość, jego najskrytsza, bezbronna forteca stanie się przyczyną jego upadku.

Mówiła teraz powoli, zaciskając pięści... jakże kiedykolwiek mogła uwierzyć temu zdrajcy?...

– Tak, ty też pojedziesz do Kamelotu, Nimue. Jesteś kuzynką królowej Gwenifer i córką Lancelota. Uprosisz ją, byś mogła zostać jej damą dworu, i będziesz ją błagać, by to, że kiedykolwiek mieszkałaś w Avalonie, utrzymała w ścisłej tajemnicy, nawet przed Arturem. Udawaj nawet, jeśli będzie trzeba, że zostałam chrześcijanką. I tam poznasz Merlina. Ma on wielką słabość. Uważa, że kobiety stronią od niego, gdyż jest brzydki i jest kaleką. Lecz dla

kobiety która nie okaże przed nim lęku ani obrzydzenia, dla tej kobiety, która znów pozwoli mu poczuć się mężczyzną, czego tak bardzo pragnie, i bardzo się lęka, on zrobi wszystko, poświęci nawet własne życie... Nimue – ciągnęła, patrząc prosto w przestraszone oczy dziewczyny – uwiedziesz go do swego łóża. Przywiążesz go do siebie tak zaklęciami, by stał się twym niewolnikiem, ciałem i duszą.

– A później? – spytała Nimue, drżąc. – Co potem? Czy mam go zabić?

Morgiana chciała odpowiedzieć, ale pierwsza odezwała się Niniana:

– Taka śmierć, jaką ty możesz zadać, byłaby zbyt lekka dla takiego zdrajcy. Musisz go sprowadzić, zauroczonego, do Avalonu, Nimue. A tutaj zginie śmiercią wyklętego zdrajcy, w dębowym gaju.

Sama drżąc z przerażenia, Morgiana wiedziała, jaki los go czeka – będzie żywcem odarty ze skóry i żywcem wepchnięty w szczelinę dębu, która zostanie zatkana gliną i gipsem, ale w taki sposób, żeby dochodziło do niego akurat tyle powietrza, by nie umarł zbyt szybko... Spuściła głowę, starając się ukryć to, jak jest wstrząśnięta.

Oślepiające słońce nie odbijało się już od wody; blade, niskie chmury pokrywały niebo.

– Nasza praca tutaj jest zakończona, chodźmy, matko – powiedziała Niniana, ujmując jej ramię, ale Morgiana wyrwała rękę.

– Nie jest skończona – odparła stanowczo. – Ja też muszę wyruszyć do Kamelotu, muszę się dowiedzieć, w jaki sposób ten zdrajca użyje Świętych Regaliów.

Westchnęła głęboko. Miała nadzieję nigdy już nie opuszczać brzegów Avalonu, ale nie było nikogo innego, kto mógłby wykonać to, co musiało być zrobione. Raven wyciągnęła do niej dłoń. Drżała tak mocno, że Morgiana przestraszyła się, iż za chwilę upadnie.

Zaczęła szeptać swym zniszczonym głosem, który brzmiał jak odległy poświst i drapanie, jak szeleszczące na wietrze gałęzie:

– Ja też muszę iść... to moje przeznaczenie, że nie umrę tutaj, w tej czarodziejskiej krainie... Jadę z tobą, Morgiano.

– O nie, Raven – zaprotestowała Morgiana. – Nie ty!

Raven od pięćdziesięciu lat nigdy nie postawiła stopy poza Avalonem... nie przeżyje takiej podróży! Jednakże nic, co mówiła Morgiana, nie mogło zmienić decyzji starej kapłanki. Choć drżała z przerażenia, była nieugięta: zobaczyła swoje przeznaczenie i teraz za wszelką cenę musi towarzyszyć Morgianie.

– Ale ja nie jadę tak, jakby podróżowała Niniana, nie wjadę do Kamelotu w świetności i blasku kapłanki, w lektyce Avalonu – tłumaczyła jej Morgiana. – Przebiorę się za starą wieśniaczkę, jak to często robiła Viviana w dawnych czasach.

– Każdą drogę, którą ty możesz przebyć, Morgiano, ja też pokonam – upierała się Raven.

Morgiana wciąż czuła śmiertelną trwożę, nie o siebie, lecz o Raven. Jednak w końcu powiedziała:

– Niech tak będzie.

Poszły przygotować się do drogi. Później tego samego dnia tajemnym przejściem opuściły Avalon. Nimue jechała z pompą, jako krewna królowej, głównym traktem, a Morgiana i Raven, okręcone starymi łachmanami żebraczek, udały się do Kamelotu na piechotę, przemykając bocznymi drogami.

Raven była silniejsza, niż Morgiana mogła przypuszczać. Kiedy tak szły, mozolnie, w trudzie, dzień po dniu, krok za krokiem, czasem wydawało się nawet, że Raven jest z nich obu mocniejsza. Prosiły o resztki jadła w wiejskich gospodarstwach, skradły kawałek chleba zostawiony dla psa na tyłach jakiegoś domostwa, raz spędziły noc w opuszczonej willi, a innej nocy spały pod stogiem siana. I tej właśnie nocy, po raz pierwszy podczas tej milczącej podróży, Raven przemówiła:

– Morgiano – powiedziała, kiedy leżały obok siebie, okręcone płaszczami – jutro w Kamelocie jest Wielkanoc, a my koniecznie musimy tam być o świcie.

Morgiana chciała zapytać dlaczego, wiedziała jednak, że Raven nie powie jej nic poza tym, że ujrzała to jako ich przeznaczenie.

Odpowiedziała zatem:

– Tak więc wyruszmy stąd przed świtem. To już nie więcej niż godzina drogi, mogliśmy nawet dzisiaj iść dalej i spędzić noc pod murami Kamelotu, gdybyś mi o tym wcześniej powiedziała, Raven.

– Nie mogłam – wyszeptwała. – Bałam się... – Morgiana usłyszała, że Raven płacze w ciemności. – Tak się boję, Morgiano, tak bardzo się boję!

– Mówiłam ci, że powinnaś była zostać w Avalonie! – odparła Morgiana ostro.

– Ale mam do wypełnienia zadanie od Bogini – wyszeptwała Raven. – Przez te wszystkie lata żyłam w bezpiecznym schronieniu Avalonu i teraz Ceridwen, Nasza Matka, żąda ode mnie wszystkiego w zamian za to schronienie i bezpieczeństwo, które od niej otrzymałam... ale ja tak się boję, tak się boję, Morgiano... och, przytul mnie, proszę, tak bardzo się boję...

Morgiana przytuliła ją i pocałowała, kołysząc ją w ramionach jak dziecko. Potem jakby razem wkroczyły w wielką ciszę, a ona mocno przyciskała Raven, dotykała, pieściła ją, ich ciała przywarły do siebie w całkowitym zapamiętaniu. Obie milczały, ale Morgiana czuła, jak świat drga wokół nich w dziwnym, sakramentalnym rytmie, i nie w świetle, lecz w mroku ciemnej strony księżyca – kobieta z kobietą afirmowały życie w cieniu śmierci. Tak jak dziewczyna z mężczyzną w blasku wiosennego księżyca i ogniu Beltanu potwierdzali życie w rozkwitającej wiosnie i rui, która jemu zapowiadała śmierć w polu, jej zaś śmierć przy porodzie, tak teraz, w cieniu i ciemności złożonego w ofierze Boga, przy czarnym księżycu, kapłanki Avalonu wspólnie wezwały Boginię życia i ta w ciszy odpowiedziała im... Potem leżały cicho w swych ramionach i łkanie Raven w końcu ustało. Leżała jak martwa, a Morgiana wyczuwając, że jej serce coraz bardziej zwalnia, pomyślała: *Musze jej pozwolić odejść nawet w cień śmierci, jeśli taka jest wola Bogini...*

I nawet nie potrafiła zapłakać.

W zamieszaniu i tłoku, jaki tego ranka panował u bram Kamelotu, nikt nie zwrócił najmniejszej uwagi na dwie już niemłode wieśniaczki. Morgiana nawykła do takiego tłumu, ale Raven, która tak długo żyła w osamotnieniu i ciszy Avalonu, pobladała jak kreda i starała się ukryć twarz pod swym podartym, starym szalem. Morgiana także szczelnie się okryła – byli tacy, którzy mogli rozpoznać panią Morgianę nawet z włosami przyprószonymi siwizną i w przebraniu żebraczki.

Wieśniak wiozący przez dziedziniec cielaka na wozie omal nie najechał na Raven i jej nie przewrócił. Kiedy wgapiła się w niego przerażona, zaklął siarczyście.

– Moja siostra jest głucha i niema – powiedziała Morgiana szybko, a wyraz jego twarzy natychmiast się zmienił.

– Och, biedactwo, idźcie tędy, tam wszystkim dają darmo dobry obiad w mniejszej sali królewskiego zamku. Możecie nawet przecisnąć się przy drzwiach i popatrzeć sobie, jak wszyscy możni wchodzi, bo na dzisiaj król z jednym z księży zaplanował jakąś wielką niespodziankę w głównej sali. Pewnie jesteście z daleka i nie znacie tutejszych obyczajów? No, bo tutaj każdy wie, że to już taki królewski zwyczaj, on nigdy nie zasiada do stołu w wielkie święta, jeśli najpierw nie pokaże jakiegoś wspaniałego cudu, a chodzą słuchy, że dzisiaj ma się wydarzyć coś naprawdę nadzwyczajnego.

*W to nie wątpię*, pomyślała Morgiana cynicznie, ale grzecznie podziękowała człowiekowi, mówiąc z silnym akcentem, którego już wcześniej używała. Pociągnęła Raven za sobą w kierunku mniejszej sali, która zapełniała się bardzo szybko. Hojność króla Artura w dni wielkich świąt była dobrze znana, a to był często najlepszy obiad, jaki bardzo wielu z tych ludzi miało zjeść w ciągu całego roku.

W powietrzu unosił się silny zapach pieczonego mięsa i większość tłoczących się wokół niej osób z radością to komentowało. Morgianie zrobiło się od tego zapachu niedobrze, a po jednym spojrzeniu na pobielającą i przerażoną twarz Raven zdecydowała się wycofać.

*Ona nie powinna była tu przychodzić. To ja nie zdołałam wyczuć zagrożenia dla Świętych Regaliów; to ja nie rozumiałam, że Merlin to zdrajca. A jeśli już uczynię to, co muszę uczynić, to jak zdołam zbiec do Avalonu z Raven w takim stanie?*

Znalazła ką, z którego mogły dość dobrze widzieć, co się dzieje w wielkiej sali. Stał tu ogromny Okrągły Stół, który był już niemal legendą w całym kraju, ze wspaniałym podwyższeniem i tronem dla króla i królowej, i imionami towarzyszy Artura wymalowanymi na przypisanych im miejscach. Na ścianach wisały barwne sztandary.

Po latach spędzonych w skromności Avalonu wszystko to wydało się Morgianie zbyt pełne czczego przepychu.

Po długim czasie tłum się poruszył i gdzieś rozległ się odgłos trąbek, a wśród cisnących się ludzi szeptano. *Dziwne będzie zobaczyć dwór z zewnątrz, po tym, jak sama byłam tak długo jego częścią!*, myślała Morgiana. Kaj otwierał teraz wielkie drzwi na drugim końcu sali.



Morgiana skurczyła się, Kaj rozpozna ją zawsze, niezależnie od przebrania! Ale dlaczego miałby w ogóle spojrzeć w jej stronę?

Ile lat spędziła, spokojnie dryfując w ciszy Avalonu? Nie miała pojęcia. Artur wydawał się nawet wyższy, bardziej majestatyczny, włosy miał tak jasne, że nikt nie mógłby poznać, czy w tych starannie ułożonych lokach były pasma siwizny. Gwenifer także trzymała się prosto i zdawała się smukła jak zawsze, choć piersi już jej trochę opadały pod wspianą i wyszukaną suknią.

– Patrzcie tylko, jak młodo wygląda nasza królowa – mruknęła któraś z sąsiadek Morgiany – a przecież Artur poślubił ją tego samego roku, kiedy ja urodziłam swojego pierwszego syna, a patrzcie na mnie! – Morgiana rzeczywiście spojrzała na mówiącą, bezzębną kobietę, zgiętą w pół jak stara gałąź. – Słyszałam, że ta wiedźma, siostra króla, Morgiana Czarodziejka, dała im obojgu amulety, żeby się nie starzeli...

– Co tam czary – burknęła inna bezzębna starucha – jakby królowa Gwenifer musiała od świtu do nocy harować w polu, co roku rodzić nowego dzieciaka i go karmić piersią, to nic by jej z tej piękności nie zostało, niech ją Bóg ma w opiece! Świat jest taki, jaki jest, ale niech no jakiś ksiądz mi wytłumaczy, dlaczego ona ma w życiu wszystko, co najlepsze, a ja tylko nędzę?

– Nie narzekaj – odparła pierwsza z kobiet. – Dzisiaj się najesz do syta i zobaczysz wszystkich wielkich panów i damy, a sama wiesz, co starzy Druidzi mówili o tym, dlaczego świat jest taki, jaki jest. Królowa Gwenifer ma piękne suknie i klejnoty, i całe to królowanie, bo w przeszłych żywotach robiła dobre uczynki, a tacy jak ty czy ja, są wstrętni i biedni, bo byliśmy źli, ale jeśli teraz będziemy uważać na to, co czynimy, to i dla nas może nadejść lepsze życie.

– No, na pewno – burknęła jeszcze inna starucha. – Księża czy Druidzi, oni są wszyscy tacy sami. Druidzi mówili jedno, a księża prawią, że jak będziemy spełniać swoje obowiązki w tym życiu, to pójdziemy do nieba i będziemy mieszkać z Jezusem i ucztować z nim, i już nigdy nie będziemy musieli powracać na ten zły świat! To wszystko na jedno wychodzi, cokolwiek oni mówią, bo niektórzy rodzą się w biedzie i umierają w biedzie, a inni mają wszystko, co najlepsze!

– Ale jak słyszałam, ona i tak nie jest wcale taka szczęśliwa – odezwała się kolejna ze ściśniętej grupy kobiet. – Mimo swego królestwa nigdy nie urodziła ani jednego dziecka, a ja mam dobrego syna, który mi pomaga w gospodarstwie, i córkę wydaną za gospodarza z sąsiedztwa, i drugą córkę, która służy zakonnicom w Glastonbury. A królowa Gwenifer musiała na następcę Artura adoptować tego sir Galahada, co to jest synem Lancelota i jej kuzynki Elaine!

– O, akurat, to oni tak mówią – rzuciła kolejna. – Ale ty wiesz i ja wiem, że kiedy królowej nie było na dworze w siódmym czy szóstym roku ich małżeństwa, coś koło tego, myślisz, że wszyscy wtedy nie liczyli na palcach? Żona mego przyrodniego brata była wtedy

podkuchenną na dworze i ponoć wszyscy wtedy mówili o tym, że królowa spędza noce nie tylko w łożu swego małżonka...

– Ucisz się, stara plotkaro – powiedziała ta, która odezwała się pierwsza. – Niech no tylko któryś z kasztelanów usłyszy, co wygadujesz, to od razu cię wrzucą do fosy! Ja mówię, że Galahad to dobry rycerz i będzie z niego dobry król, niech Bóg długo zachowa króla Artura! A co ma do rzeczy, kto jest jego matką? Ja tam myślę, że to musi być dzieciak Artura, taki podobny, taki jasny jak on. A patrzcie z kolei na sir Mordreda, każdy przecież wie, że to bękart króla z jakąś dziwką.

– Ja słyszałam, że jeszcze gorzej – wtrąciła inna. – Podobno Mordred jest synem jednej z tych czarownic, a Artur wziął go na dwór i zaprzedał własną duszę, żeby żyć ponad sto lat. Zobaczycie, on też się nie zestarzeje, ten Mordred. A popatrzcie tylko na Artura, musi być już dobrze po pięćdziesiątce, wygląda zaś, jakby miał zaledwie ponad trzydzieści!

Inna kobieta rzuciła pospolite przekleństwo.

– A co mnie to wszystko obchodzi? – dodała. – Jakby diabeł rzeczywiście mieszał się w takie sprawy, to by uczynił tego Mordreda podobnym do Artura, tak żeby każdy mógł go przyjąć za jego syna! Matka Artura była ze starej krwi Avalonu, nie widziałyście nigdy pani Morgiany? Ona też była taka ciemna, i Lancelot, który jest jego krewniakiem, też był taki... Ja już raczej uwierzę w to, co inni mówią, że Mordred jest bękartem Lancelota z panią Morgianą! Wystarczy tylko na nich popatrzeć, a pani Morgiana była też piękna na swój sposób, choć taka mała i smągła.

– Nie ma jej tutaj wśród dam – zauważyła inna z kobiet, a ta, która znała była podkuchenną odparła autorytatywnie:

– No bo pokłóciła się z królem Arturem i odeszła do czarownej krainy, ale każdy wie, że w wilię Wszystkich Świętych lata nad zamkiem na miotle, a każdy, kto tylko ją ujrzy, natychmiast ślepnie.

Morgiana musiała schować twarz w swym podartym szalu, by stłumić chichot. Raven, słysząc ostatnie słowa, zwróciła ku niej przerażone spojrzenie, ale Morgiana tylko potrząsnęła głową. Muszą siedzieć cicho i nie dać się zauważyć.

Rycerze sadowili się na swych starych miejscach. Lancelot usiadł i bacznie rozglądał się po sali, a Morgianie przez chwilę zdawało się, że ją dostrzegł, że jego oczy napotkały jej wzrok. Drżąc, opuściła głowę. Po obu stronach sali uwijali się szambelani, nalewali wina rycerzom i ich damom, wśród tłumu wieśniaków zgromadzonych w mniejszej sali roznoszono skórzane antałki z dobrym, ciemnym piwem. Morgiana podała do napełnienia kubek swój i Raven, a kiedy ta odmówiła, szepnęła:

– Wypij! Jesteś blada jak śmierć, a musisz mieć siłę na to, co nadejdzie.

Raven przytknęła drewniany kubek do ust i upiła łyk, ale z trudem mogła przełknąć. Kobieta, która wcześniej powiedziała, że pani Morgiana była piękna na swój sposób, teraz spytała:

– Czy twoja siostra jest chora?

– Jest przestraszona – odparła Morgiana. – Nigdy w życiu nie widziała dworu.

– Piękni są, prawda, ci panowie i damy? Ale widowisko! I do tego dostaniemy jeszcze dobry obiad. – Kobieta mówiła do Raven, a po chwili zwróciła się do Morgiany: – Co to, ona nie słyszy?

– Nie jest głucha, tylko niema – powiedziała Morgiana. – Myślę jednak, że rozumie jedynie trochę z tego, co ja do niej mówię, ale nikt inny.

– Teraz, jak to powiedziałaś, to rzeczywiście widzę, że wygląda na ograniczoną – rzuciła inna kobieta i poklepała Raven po głowie jak pieska. – Czy zawsze taka była? Jaka szkoda, a ty się musisz nią opiekować. Dobra z ciebie kobieta. Czasem jak dzieci takie są, to rodzina je przywiązuje do drzewa jak psy, a ty nawet ją przyprowadziłaś na dwór. Patrzcie na tego księdza w złotych szatach! To biskup Patrycjusz, mówią, że wygonił z tych ziem wszystkie węże... pomyślcie tylko! Myślicie, że wyrzucał je kijami?

– To takie powiedzenie, które znaczy, że przegonił Druidów, bo to ich zowie się węzami mądrości – powiedziała Morgiana.

– A skąd taka jak ty może wiedzieć takie rzeczy? – prychnęła rozmówczyni Morgiany. – Ja słyszałam z całą pewnością, że to były węże, a tak czy inaczej, wszyscy ci mądrzy, i księża, i Druidzi, trzymają się przecież razem, po co mieliby się kłócić!

– Pewnie racja – odparła Morgiana, nie chcąc zwracać na siebie więcej uwagi. Spojrzała na biskupa Patrycjusza. Za nim stał ktoś w szatach mnicha – zgarbiona postać, pochylona do przodu i poruszająca się z trudem. – A cóż Merlin robi w otoczeniu biskupa? – odezwała się, zapominając nawet o tym, że nie powinna przyciągać uwagi. – Co teraz będzie? Myślałam, że mszę odprawili już rano w kościele, ze wszystkimi panami i damami...

– Słyszałam – odparła jedna z kobiet – że skoro w kaplicy mieści się tak niewielu ludzi, to dzisiaj specjalna msza będzie odprawiona tutaj, dla wszystkich, widzisz, ludzie biskupa wnoszą już ołtarz nakryty białym obrusem. Cicho, słuchajcie!

Morgiana myślała, że w tej chwili oszaleje z rozpacz i wściekłości. Czy mają zamiar sprofanować i zbezcześcić Święte Regalia ponad wszelką możliwość ich oczyszczenia? Użyć ich do chrześcijańskiej mszy?

– Przystąpcie do ołtarza Bożego – zaintonował biskup. – Gdyż dzisiaj stary obyczaj daje drogę nowemu. Chrystus zatryumfował nad wszystkimi starymi i fałszywymi Bogami, którzy odtąd czcić będą imię jego. Gdyż prawdziwy Chrystus rzekł ludzkości: *Jam jest Droga i Prawda, i Życie*, i powiedział także: *Nikt nie może przyjść od Ojca mego, jeśli nie przyjdzie w imię moje, gdyż nie ma innego imienia w niebiesiach, w którym uzyskacie zbawienie*. I na znak, że wszystkie te rzeczy, które kiedyś poświęcone były fałszywym Bogom, zanim ludzkość poznała prawdę, teraz winny być poświęcone Chrystusowi i na nowo oddane w służbę Prawdziwego Boga...

Morgiana nie słyszała więcej. Nagle zrozumiała, co zamierzają.

*Nie! Jestem zaślubiona Bogini! Nie mogę pozwolić na to świętokradztwo!* Odwróciła się i dotknęła ramienia Raven. Nawet tutaj, wśród ściśniętej ciżby ludzkiej, były na siebie otwarte. *Użyją Świętych Regaliów Bogini, by przywołać Obecność... która jest Jednym... ale uczynią to tylko w imieniu Chrystusa, który innych Bogów zwie demonami, chyba że wzywani są w imię jego!*

*Kielich, którego chrześcijanie używają w swojej mszy, jest inwokacją wody, tak jak talerz, na którym kładą swój święty chleb, to święte naczynie żywiołu ziemi. Teraz, używając do tego przedmiotów Bogini, przywołają jedynie swojego własnego Boga, a zamiast czystej wody ze świętej ziemi, wypływającej z kryształowego źródła Bogini, brukają kielich winem!*

*W kielichu Bogini zawiera się kocioł Ceridwen, z którego żywią się wszyscy ludzie i z którego cała ludzkość czerpie wszelkie dobro tego świata. Przywołałeś Boginię, ty niebaczny księżu, lecz czy starczy ci odwagi, gdy ona przybędzie?* Morgiana złożyła dłonie w najgorliwszej modlitwie swego życia. *Jestem twą kapłanką, o Matko! błagam cię, użyj mnie wedle woli swojej!*

Poczuła, jak gwałtowną falą spływa na nią moc. Czuła, jak staje się coraz wyższa i wyższa, a przez jej duszę i ciało przepływa strumień mocy i napełnia ją; nie była już świadoma podtrzymujących ją ramion Raven, z których płynęła w nią siła, wypełniając ją świętą obecnością jak kielich winem...

Ruszyła do przodu i ujrzała, jak Patrycjusz, zadziwiony, cofa się przed nią. Nie czuła lęku, choć wiedziała, że dotknięcie Świętych Regaliów przez osobę nie wtajemniczoną oznacza śmierć. Jak, zastanawiała się gdzieś w odległym zakamarku swego świadomego umysłu, *jak Kevin zdołał przygotować na to biskupa? Czy ten sekret także zdradził?* Wiedziała teraz z pewnością, że całe jej życie było jedynie przygotowaniem do tej chwili, gdy jako sama Bogini uniosła kielich w obu dłoniach.

Później słyszała, jak niektórzy opowiadali, iż widzieli Święty Kielich obnoszony wokół sali przez dziewczynę odzianą w świetlistą biel; inni mówili, że słyszeli, jak salę napełnił porywisty wicher i dźwięk wielu harf. Morgiana wiedziała jedynie, że unosi kielich w obu rękach, widziała, że błyszczy on jak ogromny mieniący się klejnot, jak rubin, że pulsuje w jej dłoniach jak żywe, bijące serce... zbliżyła się do biskupa, a on padł przed nią na kolana.

– Pij, oto Święta Obecność – wyszeptwała.

Wypił, a ona przez moment ciekawa była, co też zobaczył, ale już po chwili został z tyłu, gdy ona szła dalej, a może to tylko kielich płynął w powietrzu, unosząc ją ze sobą... nie była pewna. Usłyszała odgłos wielu skrzydeł, jakby lecących przed nią, czuła słodki zapach, który nie był ani perfumami, ani kadzidłem...

Niektórzy mówili później, że kielich był niewidzialny; inni powiadali, że świecił jak wielka gwiazda, tak jasno, aż nie można było na niego patrzeć... Każda osoba znajdująca się w sali znalazła na swoim talerzu takie przysmaki, o których najbardziej marzyła...

Morgiana w kółko słyszała potem opowieści właśnie o tym i na ich podstawie wiedziała, że to, co trzymała w dłoniach, było kotłem Ceridwen. Jednak dla innych opowieści nie potrafiła znaleźć wytłumaczenia ani go zresztą nie potrzebowała. *Ona jest Boginią, ona czyni wedle woli swojej...*

Kiedy zbliżyła się do Lancelota, usłyszała, jak szepcze w zadziwieniu: – Czy to ty Matko? Czy ja śnię?... – Przytknęła kielich do jego warg, czując niewysłowioną czułość; dziś jest matką ich wszystkich. Nawet Artur ukląkł przed nią, gdy na moment kielich dotknął jego ust.

*Jam jest wszystkim – Dziewicą i Matką, i tą, która daje życie i śmierć. Zgubieni będziecie wy, którzy wzywacie imion Innych... wieźcie bowiem, że jam jest Jednym... Ze wszystkich zebranych w wielkiej sali chyba tylko jedna Nimue zobaczyła ją i rozpoznała, spojrzała na nią zdziwiona i przerażona. Nimue była jednak wychowana tak, by rozpoznawać Boginię niezależnie od postaci, jaką na siebie przyjmuje. – Ty także, moje dziecko – szepnęła do niej z niesłychanym współczuciem. Gdy Nimue uklękła, by się napić, Morgiana poczuła gdzieś w sobie dalekie echo pożądania i zemsty i pomyślała: *Tak, to także jest część mnie...**

Morgiana zachwiała się, poczuła, jak podtrzymuje ją siła Raven... czy Raven jest tu obok niej, czy trzyma kielich? Czy to tylko złudzenie, czy Raven wciąż kuli się w kącie i obiema rękami podtrzymuje jej ciało, przepelniona mocą, która napelnia je obie i płynie z nich do Bogini dzierżącej kielich...? Później Morgiana nigdy nie była pewna, czy to naprawdę ona sama obnosiła kielich, czy to też było częścią ogromnej magii, którą przywołały dla Bogini... Teraz jednak wydawało jej się z całą pewnością, że obnosi kielich wokół sali, że każda kobieta i każdy mężczyzna po kolei klęka i pije z niego, a ją wypełnia słodycz i światłość, że porusza się jakby unoszona na tych skrzydłach, których szelest słyszy przed sobą... Nagle pojawiła się przed nią twarz Mordreda.

*Nie jestem twoją matką, jestem Matką Wszystkich...*

Galahad był blady, przejęty grozą. Czy widzi przed sobą kielich życia, czy tylko święty kielich Chrystusa? A czy to ma znaczenie?

Gareth, Gawain, Lucan, Bediver, Palomides, Kaj... byli tu wszyscy starzy towarzysze i wielu nowych, których nie znała, a w końcu wydało jej się, że przenoszą się gdzieś poza przestrzeń tego świata i że wszyscy, którzy kiedykolwiek żyli pośród nich, nawet ci, którzy już dawno odeszli z tego świata, przybyli teraz, by wspólnie ucztować przy Okrągłym Stole – Ektoriusz, Lot, martwy od czasów Mount Badon; młody Drustan, zamordowany w szale zazdrości przez Markusa; Lionel, Bors; Balin i Balan, znów ręka w rękę, znów jak bracia, poza granicą śmierci... wszyscy ci, którzy kiedykolwiek gromadzili się tutaj, przy Okrągłym Stole, dzisiaj znów przy nim razem zasiedli, w tej magicznej chwili poza czasem. Dostrzegła także mądre, stare oczy Taliesina. A potem ukląkł przed nią Kevin, kielich dotknął jego warg...

*Nawet ty. Tego dnia wszystkim wybaczam... cokolwiek ma nadejść w przyszłości...*

W końcu uniosła kielich do swych własnych ust i wypła. Woda ze Świętej Studni była słodka na jej wargach. Widziała, że wszyscy zgromadzeni w sali zabrali się już do jedzenia, a kiedy ona ugryzła kawałek chleba, wydało jej się, że ma w ustach słodki miodowy placek, jaki piekła dla niej Igriana, gdy ona była jeszcze małą dziewczynką w Tintagel.

Odstawiła kielich na ołtarz. Świecił na nim jak gwiazda.

*Teraz! Teraz Raven, czas na Wielką Magię! Trzeba było całej siły wszystkich Druidów, by przesunąć Avalon poza granice tego świata, ale teraz nie musimy działać aż tak wiele... tylko kielich i talerz, i włócznia muszą zniknąć... muszą na wieki odejść z tego świata, bezpiecznie wrócić do Avalonu, by nigdy już nie dotknęła ich ani nie zbrukała dłoń śmiertelnego człowieka. Nigdy już nie będą mogły być, użyte do naszej magii w kamiennym kręgu, gdyż zostały zbezczeszczone przez tę chwilę na chrześcijańskim ołtarzu. Ale też nigdy więcej nie będą już zbrukane przez księży tego ograniczonego Boga, który: zaprzecza wszystkim innym prawdom...*

Poczuła dotyk Raven, jej wczepione w siebie dłonie, wydało jej się także, że poza rękoma Raven czuje jeszcze inne ręce, ale nie wiedziała czyje... a w wielkiej sali olbrzymie skrzydła jakby załopotały po raz ostatni, przeleciał podmuch porywistego wichru i wszystko ucichło. Dienne światło wypełniło wnętrze, a ołtarz stał pusty, biały obrus leżał na nim zmięty i samotny. Widziała bladą, przerażoną twarz biskupa Patrycjusza.

– Bóg nas nawiedził – wyszeptał – i dzisiaj piliśmy wino życia ze Świętego Graala...

Gawain skoczył na równe nogi.

– Ale kto ukradł święte naczynie? – krzyknął. – Widzieliśmy je, nakryte... przysięgam zatem, że wyruszę, by je odnaleźć i znów sprowadzić na dwór! I na wyprawie spędzę dwanaście miesięcy i jeden dzień, aż nie zobaczę go znów na tym miejscu...

*Oczywiście, że to musiał być Gawain, myślała Morgiana, zawsze pierwszy, by stanąć twarzą w twarz z niewiadomym! A zatem wpadł w jej sidła. Galahad także wstał, blady i jaśniejący podnieceniem.*

– Dwanaście miesięcy, sir Gawainie? Ja przysięgam, że jeśli będzie trzeba, poświęcę całe swoje życie, aż znów nie ujrzę Graala na własne oczy...

Artur wyciągnął dłoń i chciał przemówić, lecz gorączka opanowała ich wszystkich i krzyczeli jedni przez drugich, składając przysięgi i mówiąc równocześnie.

*Nie ma teraz innej sprawy równie drogiej ich sercu, myślała Morgiana. Wojny zostały wygrane, w kraju panuje pokój. Nawet rzymscy cesarze mieli na tyle rozumu, by między wojnami wysyłać swoje legiony na budowy dróg i podboje nowych ziem. Teraz uważają, że ta wyprawa połączy ich znów we wspólnej sprawie. Raz jeszcze czują się towarzyszami Okrągłego Stołu, lecz to wyzwanie rozproszy ich na cztery wiatry... i to w imię tego samego Boga, którego postawiłeś ponad Avalonem, Arturze! Bogini czyni swoją wolę...*

Właśnie podniósł się Mordred i przemawiał, lecz Morgiana zwracała teraz uwagę tylko na Raven, która leżała na ziemi. Wokół nich stare wieśniaczki wciąż rozprawiły o wspaniałych przysmakach i napojach, których próbowały pod czarem kielicha.

– To było białe wino, bogate i słodkie, jak świeży miód i winogrona... Piłam takie tylko raz jedyne w życiu, wiele lat temu...

– Ja jadłam śliwkowe ciasto, nadziewane rodzynkami i owocami, polane sosem na ciężkim, czerwonym winie... Nigdy nie jadłam niczego tak dobrego...

Raven leżała cicho, blada jak śmierć, a gdy Morgiana pochyliła się nad nią, wiedziała już to, co przeczuwała od pierwszej chwili, kiedy zobaczyła ją na ziemi. Brzemie Wielkiej Magii było zbyt ciężkie dla przerażonej kobiety; trzymała się dzielnie, zasilana mocą Wielkiej Magii, aż do chwili, gdy Graal odszedł do Avalonu, całą swoją siłę wspaniałomyślnie przelała na Morgianę, by umocnić ją w jej pracy dla Bogini; a potem, gdy ta siła się wyczerpała, wraz z nią odeszło jej życie. Morgiana tuliła ją do siebie w strasznym żalu i rozpacz.

*Ją także zabiłam. Zaprawdę, zaprawdę, teraz zabiłam ostatnią, którą mogłam kochać... O Matko Bogini, dlaczego to nie mogłam być ja? Nie mam już po co żyć, nie mam nikogo, by go kochać, a Raven nigdy w życiu nie skrzywdziła żadnej żywej istoty, nigdy, nigdy...*

Morgiana zauważyła, jak Nimue schodzi ze swego miejsca u boku królowej i rozmawia z Merlinem, jak spogląda na niego ciepło i ze słodyczą, jak podaje mu pomocną dłoń. Artur rozmawiał z Lancelotem, łzy spływały po twarzach ich obu; widziała, jak obejmują się i całują, tak jak robili to, gdy byli chłopcami. Potem Artur zostawił Lancelota i ruszył do mniejszej sali wypełnionej poddanymi.

– Czy wszystko dobrze, moi ludzie?

Wszyscy mówili mu o cudownej uczcie, ale kiedy się zbliżał w jej stronę, ktoś krzyknął:

– A tu leży stara głucha i niema kobieta, królu Arturze, martwa, nie wytrzymała, umarła z wrażeń!

Artur podszedł do ciała Raven, które Morgiana tuliła w ramionach. Morgiana nie podniosła głowy. Czy ją rozpozna, krzyknie, oskarży o czary...?

Jego głos był miły i znajomy, lecz daleki. *Oczywiście, myślała, nie zwraca się teraz do swej siostry czy kapłanki, czy kogoś równego sobie, widzi tylko zgarbioną, starą wieśniaczkę, siwą, odzianą w łachmany.*

– To twoja siostra, dobra kobieto? Przykro mi, że spotkało ją to podczas święta, ale Bóg zabrał ją w błogosławionej chwili, odeszła w ramionach jego anioła. Czy pragniesz, by została tutaj pochowana? Może leżeć na cmentarzu przy kościele, jeśli chcesz.

Kobiety wokół niej wstrzymały oddech, a Morgiana wiedziała, że to największe dobrodziejstwo, jakie król mógł ofiarować. Jednak z twarzą wciąż ukrytą w szalu odpowiedziała:

– Nie. – A potem nagle, jakby coś ją do tego zmusiło, spojrzała mu prosto w oczy.

Tak bardzo się zmienili oboje... ona jest już stara i wynędzniała, ale Artur także różni się od młodego Króla Byka...

Ani w tamtej chwili, ani nigdy potem Morgiana nie wiedziała czy Artur ją wtedy rozpoznał. Ich oczy spotkały się na chwilę, on powiedział łagodnie:

– A więc wolisz ją zabrać do domu? To niech tak będzie, matko. Powiedz moim stajennym, by dali ci konia, pokaż im... to. – Włożył w jej dłoń pierścień.

Morgiana pochyliła głowę, mocno zaciskając powieki, by powstrzymać łzy, a gdy znów podniosła oczy, Artura już nie było.

– Daj, pomogę ci ją nieść – powiedziała jedna z kobiet, dołączyła do niej jeszcze jedna i tak wspólnie wyniosły lekkie ciało Raven z sali. Morgiana czuła pokusę, by raz jeszcze rzucić okiem na wielką salę Okrągłego Stołu, wiedziała bowiem, że już nigdy więcej jej nie zobaczy, a jej stopa już nigdy nie postanie w Kamelocie.

Jej praca jest skończona, może wrócić do Avalonu. Wróci jednak sama. Teraz już zawsze będzie sama.

## 10

Gwenifer obserwowała przygotowania w wielkiej sali, słyszała nawoływanie biskupa Patrycjusza: *Przystąpcie do ołtarza Bożego*, i targały nią mieszane uczucia. Część jej umysłu mówiła: *ta piękna rzecz, tak jak tego pragnie Patrycjusz, powinna być poświęcona służbie Chrystusa; nawet Merlin w końcu przyszedł do Krzyża...*

Inna część jej umysłu upierała się jednak zupełnie wbrew jej woli: *Nie. Już lepiej by było to zniszczyć, a jeśli trzeba, to nawet stopić złoto i zrobić z niego nowy kielich, od pierwszej chwili poświęcony prawdziwej służbie prawdziwego Boga. Bo ten należy do Bogini, jak ją zowią, a ta Bogini to ta sama nierządnica, która od początku wszechczasów była wielkim wrogiem Boga... Księża mówią prawdę, że wraz z kobietą na ten świat przyszło złoto...* Była jednak skonfundowana – przecież to niemożliwe, na pewno nie wszystko, co pochodzi od kobiety, jest złe... przecież nawet Bóg wybrał kobietę na matkę swego syna, a Chrystus opowiadał o niebie, które oczekuje zarówno jego uczniów, jak i ich siostry i żony...

*Przynajmniej jedna dusza odżegnała się od tej Bogini.* Czuła, jak bezwiednie się uśmiecha, kiedy patrzy na Nimue, córkę Elaine. Nimue, tak podobną do Elaine, gdy była w tym wieku, a nawet jeszcze piękniejszą, gdyż miała w sobie coś z radosnej wesołości i gracji młodego Lancelota. Nimue była tak słodka i piękna, że Gwenifer nie wyobrażała sobie, by mogło w niej być coś złego.

A przecież ona od dziecka wychowywała się i służyła w przybytku Bogini. Teraz jednak porzuciła tę straszną służbę i przybyła do Kamelotu, błagając królową, by nikt nie dowiedział się, że kiedykolwiek mieszkała w Avalonie, nawet biskup Patrycjusz. Nawet Artur.



Gwenifer stwierdziła, że ciężko by było odmówić Nimue czegokolwiek; z radością obiecała utrzymać sekret dziewczyny.

Spojrzała poza ramieniem Nimue na biskupa Patrycjusza. Był gotów, by unieść w dłoniach kielich. I wtedy...

...i wtedy nagle wydało się, że to wielki, świetlisty anioł ze skrzydłami ukrytymi w cieniu swej jaśniejącej postaci podniósł kielich, który błyszczał jak ogromna, świecąca gwiazda. Był purpurowy, jak bijące serce, jak mieniący się rubin... nie, był też błękitny jak samo niebo, a w powietrzu roznosiła się woń wszystkich róż ze wszystkich ogrodów, w jakich Gwenifer była w życiu. Salę napełnił nagle rześki, czysty powiew wiatru, a Gwenifer, choć wiedziała, że uczestniczy w świętej mszy, poczuła, że jest gotowa, by natychmiast wybiec na dwór, na te wielkie przestrzenie, które należą do Boga, pod jego ogromnym, wspaniałym niebem. Wiedziała, wiedziała głęboko w sercu, że już nigdy więcej nie będzie się bała opuścić więzienia swych komnat i zamkowych murów, że może już chodzić po wzgórzach i pod otwartym niebem bez lęku, bo gdziekolwiek pójdzie, będzie z nią Bóg. Uśmiechnęła się i z niedowierzaniem usłyszała swój własny, głośny śmiech, a to małe, uwięzione stworzonko, które kiedyś nią władało, spytało ze złością: *Na świętej mszy?, ale prawdziwa Gwenifer, wciąż śmiejąc się, odparła – choć nikt tego nie słyszał – Jeśli nie mogę radować się Bogiem, to na cóż mi Bóg?*

A potem, wśród tych słodkich zapachów i uczucia radości anioł stanął tuż przed nią, nachylił kielich do jej warg. Wypiła, drżąc i spuszczać wzrok, ale po chwili poczuła dotyk na głowie i podniosła oczy, i ujrzała, że to nie był anioł, lecz kobieta okryta błękitnym welonem, z wielkimi, smutnymi oczyma. Nie było żadnego dźwięku, lecz kobieta powiedziała jej: *Zanim w ogóle pojawił się Chrystus, byłam ja i jestem ja, i to ja stworzyłam cię taką, jaka jesteś. I dlatego, moja ukochana córko, zapomnij o wszelkim wstydzie i raduj się, bo ty także jesteś w swej istocie taka, jak ja.*

Gwenifer poczuła, że całe jej ciało i serce stworzone jest z czystej radości. Nie czuła się taka szczęśliwa od czasów, gdy była małym dzieckiem. Nawet w ramionach Lancelota nie zaznała nigdy takiego całkowitego szczęścia. *Ach, gdybym tylko mogła oddzielić tym mego ukochanego!* Wiedziała, że anioł czy jakakolwiek to była Obecność, która jej dotknęła, poszła dalej, a ona zasmuciła się, że już jej nie ma, lecz radość wciąż w niej pulsowała. Spojrzała z miłością w stronę, gdzie anioł nachylał kielich do warg Lancelota. *Ach, gdybyż tylko mógł ci dać taką samą radość, mój zasmucony kochanku!*

Białe płomienie i porywisty wiatr raz jeszcze napełniły sale i zniknęły. Gwenifer jadła i piła, choć nigdy potem nie wiedziała, co to było, tyle że było słodkie i pyszne, a ona poddała się rozkoszy jedzenia. *Z pewnością cokolwiek się dziś między nami pojawiło, jest święte...*

W sali zapanowała cisza; wewnątrz wydało się blade i puste w dziennym świetle, a potem Gawain podniósł się i krzyknął. A za nim Galahad.

– Ja przysięgam, że jeśli będzie trzeba, poświęcę całe swoje życie, aż znów nie ujrzę Graala na własne oczy...

Biskup Patrycjusz pobladł, Gwenifer przypomniała sobie, że jest już bardzo stary. Ołtarz, na którym przed chwilą stał święty kielich był pusty. Szybko wstała z miejsca i podeszła do biskupa.

– Ojciec – powiedziała, podając mu kubek wina. Upił kilka łyków, a gdy rumieniec powoli wrócił na jego pomarszczoną twarz, powiedział cicho:

– Zaprawdę, nawiedziło nas coś świętego... Naprawdę ucztowałem dziś przy Bożym stole i piłem z tego samego kielicha, z którego pił nasz Pan tamtej świętej nocy, zanim poszedł na swą mękę...

Gwenifer zaczynała rozumieć, co się stało – cokolwiek nawiedziło ich dzisiaj z woli Bożej, była to wizja.

– Czy widziałaś, moja królowo, ów prawdziwy kielich Chrystusa? – wyszeptał Patrycjusz.

– Nie, niestety, drogi ojciec – odparła łagodnie – być może nie byłam tego godna, ale myślę, że widziałam anioła, i przez chwilę wydawało mi się, że stoi przede mną Święta Matka Chrystusa...

– Bóg każdemu z nas dał wizję – powiedział Patrycjusz. – Jakże ja mocno się modliłem, by coś takiego na nas zstąpiło i napełniło tych wszystkich ludzi prawdziwą miłością i wiarą w drogę Chrystusa...

Gwenifer przypomniało się w tym momencie prastare przysłowie: *Uważaj, o co się modlisz, bo możesz to otrzymać*. Oczywiście, coś zainspirowało tych ludzi. Jeden po drugim powstawali, przysięgali, że spędzą rok i jeden dzień na poszukiwaniach, a ona myślała: *Teraz cały Okrągły Stół rozproszy się na cztery wiatry*.

Spojrzała na ołtarz, gdzie przedtem stał kielich. *Nie, pomyślała, biskupie Patrycjuszu i ty, Kevinie Merlinie, nie mieliście racji, Artur także się mylił. Nie wolno wam było w ten sposób wzywać Boga, by służył waszym własnym celom. Bóg przelatuje nad ludzkimi pragnieniami jak potężny wiatr, jak łopot anielskich skrzydeł, który słyszałam dzisiaj w tej sali, i w nicość obraca wszelkie ludzkie zamierzenia...*

Po chwili jednak zdziwiła się: *Co się ze mną dzieje, że myślę o tym, by krytykować Artura, a nawet samego biskupa za to, co uczynili? A potem, z nową siłą, znów pomyślała: Na Boga, tak! Oni nie są Bogami, są tylko ludźmi i ich cele nie są święte!* Spojrzała na Artura, który teraz chodził wśród wieśniaków i innych poddanych zgromadzonych w mniejszej sali... coś się tam stało, jakaś wieśniaczka umarła, być może nie zniosła zachwytu Świętą Obecnością.

Wrócił z zasmuconą twarzą.

– Gawainie, czy naprawdę musisz jechać? I ty też, Galahadzie? Nie, chyba nie ty także, mój synu... Bors, Lionel... co... wszyscy?

– Królu Arturze – zawołał Mordred. Jak zwykle był odziany w szkarłatne szaty, w których tak mu było do twarzy i które jeszcze bardziej, niemal do przesady, podkreślały jego podobieństwo do Lancelota.

– O co chodzi, drogi chłopcze? – spytał Artur łagodnie.

– Królu, proszę cię o pozwolenie pozostania z tobą – powiedział. – Choć wszyscy twoi rycerze mogą odczuwać taką potrzebę, jednak ktoś musi przecież zostać u twego boku.

Gwenifer poczuła dla tego młodego człowieka niewypowiedzianą tkliwość. *Och, to jest prawdziwy syn Artura, nie ten Galahad, myślący tylko o smach i wizjach!* Czy kiedykolwiek był rzeczywiście taki czas, kiedy nie lubiła Mordreda i nie ufała mu?

– O Boże, dzięki ci, Mordredzie – powiedziała z wdzięcznością, a młodzieniec uśmiechnął się do niej.

Artur pochylił głowę na znak przyzwolenia i powiedział:

– Niech tak będzie, mój synu.

Po raz pierwszy Artur nazwał go synem w obecności innych i po tym Gwenifer odgadła, jaki musi być strapiony.

– Niech Bóg ma nas wszystkich w opiece, Gwydionie, nie, Mordredzie, tyłu z moich towarzyszy rozproszy się na cztery strony świata i Bóg jeden wie, czy kiedykolwiek w ogóle jeszcze powrócą... – To mówiąc, ujął ręce Mordreda w obie dłonie, a po chwili Gwenifer wydało się, że oparł się na silnym ramieniu swego syna.

Podszedł do niej Lancelot i złożył ukłon.

– Pani, czy wolno mi cię pożegnać?

Gwenifer była tak samo bliska łez, co przepelniona radością.

– Och, ukochany, czy musisz jechać na tę wyprawę? – spytała i nie obchodziło jej, czy ktoś usłyszy te słowa. Artur też był zmartwiony.

Wyciągnął dłoń do swego przyjaciela i kuzyna.

– Czy ty też nas opuścisz, Lancelocie?

Skinął głową. W jego twarzy było coś niesamowitego, jakiś blask nie z tego świata. A więc na niego także zstąpiła ta wielka radość?

To dlaczego musi wyruszać na jej poszukiwanie? Czyż nie ma jej już w swym sercu?

– Przez wszystkie te lata, mój ukochany – powiedziała Gwenifer – powtarzałeś mi wciąż, że nie jesteś tak dobrym chrześcijaninem, jak my. A więc dlaczego musisz teraz ode mnie uciekać na tę wyprawę?

Widziała, jak z trudem szuka słów, aż w końcu powiedział:

– Przez wszystkie te lata nie wiedziałem, czy Bóg nie jest tylko starą baśnią wymyśloną przez księży, by nas zastraszyć. Teraz ujrzałem... – Zwilżył wargi językiem, starając się znaleźć słowa na opisanie czegoś, co go przerastało. – Widziałem... coś. Jeżeli ktoś może sprowadzić taką wizję, czy to będzie Bóg czy diabeł...

– Ależ, Lancelocie – przerwała mu Gwenifer – to z pewnością pochodziło od Boga.

– Tak ty mówisz, bo po tym, co ty widziałaś, ty wiesz – odparł, przyciskając jej dłoń do swego serca. – Ja nie jestem taki pewien... mnie się zdaje, że to moja matka ze mnie zadrwiła... albo... albo wszyscy Bogowie są Jednym, jak mawiał Taliesin, a teraz ja jestem rozdarty pomiędzy ciemnością wiecznej niepewności a niewysłowioną światłością, która mówi mi... – Znow zatrzymał się, szukając słów. – To było tak, jakby zawołał mnie wielki dzwon, gdzieś z oddali, jakbym zobaczył światło, jak te światełka migocące daleko na moczarach, i one wołały do mnie: *Chodź...* i wiem już, że prawda, ta prawdziwa prawda, jest właśnie tam, tam, tuż za zasięgiem mej ręki, gdybym tylko mógł za nią podążyć i dogonić ją, i zerwać z niej ten welon, który ją przesłania... ona tam jest, jeśli tylko zdołam po nią sięgnąć, moja Gwenifer. Czyż zabronisz mi wyruszyć na poszukiwanie, teraz, kiedy wiem, że rzeczywiście istnieje coś, czego szukać warto?

Wydawało jej się, że są sami w jakiejś komnacie, a nie w wielkiej sali pełnej ludzi. Wiedziała, że może go nakłonić niemal do wszystkiego, lecz komuż wolno stanąć między człowiekiem a jego duszą?

Bóg widać nie uznał za stosowne, by darować mu łaskę pewności, a ona rozumiała, że on musi jej teraz szukać, bo gdyby ona sama czuła, że prawda i radość istnieje, lecz nie była jej pewna, to także poświęciłaby resztę życia na jej poszukiwanie. Wyciągnęła do niego obie ręce, czując się tak, jakby całowała go w obecności wszystkich, w jasny dzień.

– Jedź więc, ukochany, i niech Bóg nagrodzi twe poszukiwania prawdą, której tak pragniesz.

– Niech Bóg zawsze będzie z tobą, moja królowo, i niech sprawi, bym pewnego dnia powrócił do ciebie.

Potem odwrócił się do Artura, lecz Gwenifer nie słyszała, co do siebie mówili, widziała tylko, że ucałowali się tak jak wtedy, gdy byli jeszcze młodzi i niewinni.

Artur, obejmując ramieniem Gwenifer, patrzył za nim, gdy odchodził.

– Czasami myślę – powiedział cicho – że Lance jest najlepszy z nas wszystkich...

– Ja też tak uważam, mój najdroższy – odparła, patrząc na niego z sercem przepelnionym miłością do tego wielkiego człowieka, który był jej mężem.

To, co powiedział potem, zaskoczyło ją.

– Kocham was oboje, Gwenifer. Nigdy, nigdy nie myśl, że znaczysz dla mnie mniej niż cokolwiek innego na tym świecie. Jestem niemal rad, iż nigdy nie urodziłaś mi syna – dodał prawie szeptem – bo wtedy mogłabyś myśleć, że kocham cię tylko za to, a teraz mogę ci powiedzieć, że kocham cię i stawiam ponad wszystko, jedynie poza moim obowiązkiem dla tej ziemi, na której Bóg dał mi służbę, a o to nie możesz być zazdrosna...

– Nie – powiedziała cicho. I wtedy, po raz pierwszy w życiu, mówiąc to z absolutną pewnością, bez żadnych zastrzeżeń, wyznała: – I ja ciebie kocham, Arturze, nigdy o tym nie zapomnij.

– Nigdy, nawet przez chwilę, nigdy w to nie wątpiłem, moja kochana.

Uniósł obie jej dłonie do swych warg i ucałował, a Gwenifer raz jeszcze poczuła tę przepełniającą ją, ogromną radość. *Jakaż kobieta miała w życiu tak wiele jak ja, którą kochają dwaj najwspanialszy mężczyźni na tych ziemiach?*

Wokół nich znów podnosił się gwar dworu, życie domagało się uwagi. Zdawało się, że każdy z obecnych zobaczył coś innego – jedni anioła, inni dziewczynę niosącą świętego Graala, niektórym, tak jak jej, wydało się, że widzieli Świętą Panienkę; a wielu, wielu innych nie widziało nic, nic, tylko cudowne światło, zbyt jasne dla oczu, i wypełnił ich spokój i radość, i jedli takie potrawy, i pili takie napoje, jakich najbardziej pragnęli.

Teraz podnosiły się głosy, że za sprawą Bożej łaski ujrzeli świętego Graala, z którego Chrystus pił podczas Ostatniej Wieczerzy ze swymi uczniami, wtedy, gdy połamał chleb i dzielił się winem, jakby były ciałem i krwią pradawnej ofiary. – Czy to biskup Patrycjusz wybrał tę chwilę, kiedy wszyscy byli jeszcze zaszokowani i nikt dokładnie nie wiedział, co zobaczył, by rozpowszechnić tę opowieść?

Gwenifer, czyniąc znak krzyża, przypomniała sobie, jak Morgiana opowiadała jej kiedyś, że w Avalonie mówiono, iż Jezus z Nazaretu przybył tu w swej młodości, by pobierać nauki u mądrych Druidów w Glastonbury, a po jego śmierci jego przyrodni ojciec, Józef z Arymathei, przyjechał tu i wbił swoją łaskę w ziemię Avalonu, a laska zakwitła jako Święty Głóg. Czyż więc nie było prawdopodobne, że ten sam Józef przywiózł ze sobą także kielich ofiarny?

Z pewnością cokolwiek się wydarzyło, było święte, bo przecież gdyby nie pochodziło od samego Boga, to nie mogłoby być nic innego, niż najbardziej diabelski z czarów, a jakże takie piękno, taka radość mogą być złe?

Jednak mimo to, co prawda biskup, był to także zły podarek, myślała Gwenifer, drżąc. Jeden po drugim towarzysze podnosili się i wyjeżdżali na swoje wyprawy, a teraz patrzyła na salę Okrągłego Stołu, która prawie całkiem opustoszała. Odjechali... wszyscy rycerze poza Mordredem, który przyrzekł pozostać, i prócz Kaja, który nie mógł wyruszyć, bo był za stary i kulawy. Artur przez chwilę rozmawiał z Kajem i Gwenifer wiedziała, że pewnie go pociesza, że musiał zostać.

– Och, ja też powinienem być wyruszyć wraz z nimi, lecz nie mogę. Nie chcę rozwiewać ich marzeń – powiedział Artur.

Własnoręcznie naląła mu wina i nagle zapragnęła, by znaleźli się już w ciszy swej własnej komnaty, a nie w tej pustej sali, sami przy wielkim Okrągłym Stole.

– Arturze, ty to zaplanowałaś, mówiłaś mi przecież, że na tę Wielkanoc szykuje się coś nadzwyczajnego...

– Tak – odparł, ze znużeniem odchylając się do tyłu na tronie i opierając plecy – przysięgam ci jednak, że nie wiedziałem dokładnie, co zamierzają biskup Patrycjusz i Merlin. Wiedziałem tylko, że Kevin przywiózł tu Święte Regalia z Avalonu... – Położył dłoń na rękojeści swego miecza. – Dostałem ten miecz na swojej koronacji, a teraz został poświęcony tej ziemi i służbie Chrystusa. Wydawało mi się słuszne to, co mówił Merlin, że teraz

najświętsze z Misteriów starego świata winny zostać oddane w służbę Boga, gdyż wszyscy Bogowie są Jednym, tak jak zawsze powtarzał nam Taliesin. W dawnych czasach Druidzi zwali swego Boga innymi imionami, lecz te święte przedmioty należą do Boga i jemu powinny służyć. A jednak nie wiem, co się dziś wydarzyło w tej sali...

– Nie wiesz? Ty? Nie wydaje ci się, że byliśmy świadkami prawdziwego cudu, że sam Bóg przyszedł do nas, by pokazać nam, że święty Graal winien być zwrócony jego służbie?

– W jednej chwili myślę właśnie tak... – odparł Artur powoli – a potem znów zastanawiam się... czy to nie była magia Merlina, która nas oczarowała, byśmy mieli wizję i uznali ją za prawdę? Bo teraz wszyscy moi towarzysze odjechali i kto wie, czy w ogóle kiedykolwiek powrócą? – Uniósł ku niej twarz. Zauważyła, że jego brwi są już całkiem siwe, a w złotych włosach mocno pobłyskuje srebro. – Wiesz, że była tutaj Morgiana? – spytał.

– Morgiana? – Gwenifer zdziwiona potrząsnęła głową. – Nie, nie wiedziałam... czemu nie przyszła się z nami przywitać?

– Jeszcze pytasz? – odparł z uśmiechem. – Opuściła nasz dwór w mojej wielkiej niełasce... – Zacisnął usta i raz jeszcze położył dłoń na rękojeści Ekskalibura, jakby chciał się upewnić, że wciąż ma go u boku. Miecz był teraz schowany w skórzanej pochwie, brzydkiej i pospolitej. Gwenifer nigdy nie śmiała go spytać, co się stało z pochwą, którą Morgiana uszyła dla niego tyle lat temu, teraz jednak odgadła, jaka była przyczyna ich kłótni.. – Nie wiedziałas o tym... zbuntowała się przeciw mnie. Chciała na moim tronie posadzić swego kochanka Accolona...

Gwenifer myślała, że po zachwycie i radości, jakich zaznała dzisiejszego dnia, już nigdy w życiu nie poczuje do nikogo nienawiści, i rzeczywiście, to, co teraz czuła do Morgiany, było głównie litością, współczuła też Arturowi, wiedząc, jak bardzo kochał ją i ufał tej siostrze, która go zdradziła.

– Dlaczego mi o tym nie powiedziałeś? Ja jej nigdy nie ufałam.

– Właśnie dlatego – odpowiedział, ściskając delikatnie jej dłoń. – Wydawało mi się, że nie zniosę tego, jak będziesz mówiła, że nigdy jej nie ufałaś, i jak często mnie przed nią ostrzegałaś. Ale Morgiana była tu dzisiaj, w przebraniu starej wieśniaczki. Była stara, Gwenifer, stara, chora i bezbronna. Myślę, że może przyszła w przebraniu, by raz jeszcze rzucić okiem na to miejsce, gdzie kiedyś znaczyła tak wiele, i może raz jeszcze ujrzeć swego syna... Wyglądała starzej niż nasza matka, kiedy umarła... – Umilkł na chwilę, powoli licząc na palcach, w końcu powiedział: – Ależ tak, ona jest starsza, tak jak ja mam już więcej lat, niż kiedykolwiek miał mój ojciec, moja Gwenifer... Nie sądzę, by Morgiana przybyła uczynić jakiegoś zła, a jeśli nawet miała taki zamiar, to z pewnością przeszkodziła jej w tym święta wizja... – Zamilkł.

Gwenifer wiedziała, była o tym absolutnie przekonana, że nie chciał na głos powiedzieć, iż wciąż kocha Morgianę i wciąż za nią tęskni.

*Z biegiem lat coraz więcej jest rzeczy, których ja nie mogę powiedzieć Arturowi, a on mnie... ale przynajmniej dziś oboje porozmawialiśmy o Lancelocie i o miłości, która nas wszystkich łączy. I przez chwilę wydawało jej się, że właśnie ta miłość jest największą prawdą w jej życiu i że miłości nigdy nie da się zmierzyć czy wycenić, powiedzieć, że warta jest tyle a tyle, lecz że jest to wieczny przepływ... gdyż im bardziej się kocha, tym więcej miłości ma się do ofiarowania, tak jak teraz ona dawała ją wszystkim, a jej samej miłość została podarowana w tej pięknej wizji.*

Dzisiaj czuła falę ciepła i czułości nawet wobec Merlina.

– Patrz, jak Kevin męczy się ze swoją harfą, czy mam posłać mu kogoś do pomocy, Arturze?

– Nie trzeba – odparł z uśmiechem. – Nimue już mu pomaga, widzisz?

I znów poczuła tę falę miłości, tym razem do córki Lancelota i Elaine – do dziecka dwojga ludzi, których kochała najbardziej.

Ręka Nimue podtrzymawała ramię Merlina... jak w tej starej baśni o dziewczynie, która zakochała się w dzikiej bestii z głębin lasu! Ach, lecz dzisiaj ona także czuła miłość nawet do Merlina i rada była, że jest przy nim silne, pomocne ramię Nimue.

Kiedy mijały kolejne dni na niemal opustoszałym dworze w Kamelocie, Nimue stawiała się dla Gwenifer coraz bardziej jak córka, której królowa nigdy nie miała. Dziewczyna uprzejmie i z uwagą słuchała, gdy Gwenifer opowiadała, umiejętnie prawila jej komplementy, skora była w każdej chwili jej usługiwać. Tylko w jednym Nimue martwiła królową – stanowczo zbyt wiele czasu spędzała, słuchając Merlina.

– On może się nawet teraz zwać chrześcijaninem, drogie dziecko – ostrzegała Gwenifer – ale w sercu zawsze pozostanie starym poganinem, zaprzysiężonym w tych barbarzyńskich obrzędach Druidów, których sama się wyrzekłaś... wciąż widoczne są te węże na jego nadgarstkach!

Nimue dotknęła swych własnych, atłasowych ramion.

– Artur też je nosi – odparła łagodnie. – I ja także mogłam je nosić, kuzynko, gdybym nie ujrzała wielkiego światła. Merlin jest mędrcom, a w całej Brytanii nie ma drugiego człowieka, który tak wspaniale umiałby grać na harfie.

– No i łączą was wspomnienia z Avalonu – powiedziała Gwenifer, może odrobinę ostrzej niż zamierzała.

– Nie, nie – broniła się Nimue. – Błagam cię, kuzynko, nigdy mu o tym nie mów! On nigdy nie widział mej twarzy w Avalonie, nie zna mnie stamtąd, a ja nie chcę, by uważał mnie za zdrażczynię jego wiary...

Miała tak zmartwioną minę, że Gwenifer zapewniła ją:

– Skoro tak tego pragniesz, to mu nie powiem. Nawet Arturowi nie powiedziałam, że przyjechałaś od nas z Avalonu.

– A ja tak bardzo kocham muzykę i grę na harfie – prosiła Nimue – czy naprawdę nie wolno mi z nim rozmawiać?

Gwenifer uśmiechnęła się mimo woli.

– Twój ojciec był także wspaniałym muzykiem, kiedyś mi powiedział, że jego matka dała mu harfę do zabawy, gdy był taki malutki, że jeszcze nawet nie umiał utrzymać drewnianego mieczyka. I pokazała mu, jak naciskać struny. To prawda, że bardziej bym lubiła Merlina, gdyby zajmował się tylko swoją harfą i nie nalegał, by być jednym z doradców Artura... – W końcu wzruszyła ramionami i zakończyła impulsywnie: – Dla mnie ten człowiek to potwór!

– Przykro mi, że tak bardzo go nie lubisz – powiedziała Nimue ze smutkiem. – Ale to nie jego wina, jestem pewna, że wolałby być tak przystojny, jak mój ojciec, i tak silny, jak Gareth!

Gwenifer spuściła głowę.

– Wiem, wiem, że to z mojej strony nie po chrześcijańsku... ale od dziecka czułam wstręt do ludzi tak zdeformowanych. Nie jestem pewna, czy to właśnie widok Kevina nie spowodował mojego poronienia, kiedy ostatni raz miałam nadzieję urodzić syna. A skoro Bóg jest dobry, to czy nie wydaje ci się logiczne, że to, co pochodzi od Boga, winno być piękne i idealne, a to, co jest wstrętne i kalekie, musi być dziełem szatana?

– Nie – odparła Nimue. – To nie wydaje mi się prawdopodobne. Przecież sam Bóg sprowadzał nieszczęścia na ludzi z Pisma Świętego, na Hioba zesłał trąd i czyraki, spowodował, że Jonasza połknęła olbrzymia ryba. I wciąż od nowa, jak wiemy, sprawiał, że jego wybrany lud cierpiał, gdyż taka była wola Boga, że oni winni cierpieć bardziej od innych. Być może Kevin cierpi teraz za jakiś grzech, który popełnił w którymś poprzednim żywocie.

– Biskup Patrycjusz mówi, że to pogańskie przesady i że żaden chrześcijanin nie powinien wierzyć w to potworne kłamstwo, że rodzimy się ciągle od nowa. Bo inaczej jakże moglibyśmy iść do nieba?

Nimue uśmiechnęła się, przypominając sobie słowa Morgiany. – *Nigdy już nie mów mi o tym, co powiedział ci ojciec Griffin.* – Czuła że chciałaby to teraz powtórzyć Gwenifer, ale odpowiedziała miłym i usłużnym głosem:

– Ależ nie, kuzynko, bo nawet Pismo Święte mówi o tym, jak wielu ludzi pytało Jana Chrzciciela, kim jest. Niektórzy twierdzili, że Jezus Chrystus jest Eliaszem, który znów przyszedł na ziemię, a on im na to odpowiadał: *Powiadam wam, że Eliasze już do was przyszedł, a wyście go nie rozpoznali.* I wtedy ludzie zrozumieli, jak mówi Pismo, że mówił o Janie. Tak więc, skoro nawet sam Chrystus wierzył w to, że ludzie rodzą się na nowo, dlaczego ma być grzechem, że wierzą w to ludzkie?

Gwenifer zdziwiła się, skąd Nimue ma taką wiedzę o Piśmie Świętym, skoro mieszkała w Avalonie. Potem przypomniała sobie że Morgiana także zdawała się często znać Pismo o wiele lepiej niż ona sama.



– Myślę, że być może księża nie chcą, byśmy myśleli o przyszłych żywotach, bo pragną, byśmy byli dobrzy już w tym życiu – powiedziała Nimue. – Wielu księży uważa, że nie zostało już wiele czasu do końca świata, kiedy to Chrystus przyjdzie ponownie, więc boją się, że ludzie będą czekali na to, by być dobrymi w przyszłym życiu, i nie zdążą się oczyścić przed przyjściem Chrystusa. Gdyby ludzie byli pewni, że urodzą się na nowo, czyż tak bardzo staraliby się być idealni w tym życiu?

– To w ogóle bardzo niebezpieczna doktryna – odparła Gwenifer – bo gdyby ludzie wierzyli, że w końcu, w którymś kolejnym życiu i tak osiągną zbawienie, cóż by ich powstrzymywało przed popełnianiem grzechów w obecnym życiu, w nadziei, że Bóg miłosierdzie i tak w końcu zwycięży?

– Uważam, że ani strach przed księżmi, ani przed Bożym gniewem, ani przed niczym innym, nigdy nie powstrzyma ludzkości przed popełnianiem grzechów – powiedziała Nimue. – Jedyne to, że we wszystkich swoich żywotach zdobędą tyle wiedzy i mądrości, by zrozumieć, że na błędach nic się nie zyskuje, a za każde zło trzeba zapłacić, prędzej czy później.

– Och! Zamilcz, dziecko! – przykazała Gwenifer. – Niechby tylko ktoś usłyszał, że wygadujesz takie herezje! Chociaż... to prawda – dodała po chwili – że od tamtego wielkanocnego dnia wydaje mi się, iż w Bożej miłości jest nieskończone miłosierdzie i być może Bóg wcale tak bardzo nie dba o nasze grzechy, jak chcą nam to wmówić niektórzy księża... no i teraz ja także prawię herezje!

Nimue znów się uśmiechnęła. *Nie przybyłam na ten dwór, by oświecać królową Gwenifer, myślała. Mam o wiele straszniejszą misję i nie do mnie należy uświadamianie jej prawdy, że wszyscy ludzie, zarówno mężczyźni, jak i kobiety, pewnego dnia muszą osiągnąć oświecenie.*

– Czy ty nie wierzysz, że Chrystus znowu nadejdzie, Nimue?

*Nie, pomyślała Nimue. Nie wierzę. Wierzę, że wielcy oświeceni nauczyciele, jak Chrystus, przychodzą tylko raz, po wielu żywotach, w których zdobywali mądrość, a potem na zawsze odchodzą w wieczność. Wierzę jednak, że Boskie istoty będą zsyłać kolejnych wielkich mistrzów, by nieśli ludzkości prawdę, a ludzkość zawsze przyjmie ich krzyżem, ogniem stosów lub ukamienowaniem.*

– To, w co ja wierzę, jest nieistotne, kuzynko. Ważna jest prawda. Niektórzy księża nauczają, że ich Bóg jest Bogiem miłości, a inni, że jest zły i mściwy. Czasami czuję, jakby księża zostali przysłani, by ukarać ludzi, skoro nie chcieli słuchać Chrystusa i jego przesłania miłości, Bóg zesłał księży z ich posłaniem nienawiści i zakłamania. – Zamilkła nagle, bo nie chciała rozgniewać Gwenifer.

Królowa powiedziała jednak:

– Cóż, Nimue, przyznaję, że znałam takich księży...

– A skoro niektórzy księża są złymi ludźmi – ośmieliła się dokończyć Nimue – uważam, że to wcale nie jest takie nierozsądne, by myśleć, iż niektórzy Druidzi mogą być bardzo dobrzy.

*W tym rozumowaniu musi z pewnością być jakiś błąd*, myślała Gwenifer, ale nie potrafiła go jasno wskazać.

– Cóż moja droga, możesz mieć rację. Tyle że słabo mi się robi, jak widzę cię z tym Merlinem. Choć wiem, że Morgiana bardzo go lubiła... na dworze chodziły nawet plotki, że są kochankami. Często się wtedy zastanawiałam, jak kobieta tak wyrafinowana, jak Morgiana, może w ogóle znieść, by jej dotykał.

Nimue nie wiedziała o tym i teraz zapamiętała tę informację, by później starannie ją rozważyć. Czy to właśnie w ten sposób Morgiana dowiedziała się o jego „bezbrotnej fortecy”?

– Ze wszystkiego, czego uczono mnie w Avalonie, najbardziej kochałam muzykę – powiedziała. – A w Piśmie Świętym najbardziej podoba mi się to, że jeden z autorów psalmów kazał nam czcić Boga lutnią i harfą. Kevin obiecał, że pomoże mi znaleźć harfę, bo przybyłam tu bez mojej własnej. Czy mogę teraz po niego posłać, kuzynko?

Gwenifer zawahała się, lecz nie mogła odmówić tej prośbie wyrażonej dodatkowo miłym spojrzeniem i słodkim uśmiechem dziewczyny.

– Oczywiście, że możesz, moje drogie dziecko – odparła.

## 11

Po jakimś czasie przyszedł Merlin. *Nie, upomniała się Nimue, muszę o tym pamiętać, on nie jest już niczym więcej, tylko Kevinem Harfiarzem, zdrajcą Avalonu. Za nim szedł sługa niosący Moją Panią. Teraz widać, że został chrześcijaninem, nie obowiązuje go już prawo, że innowiercy nie wolno dotknąć jego harfy; no tak, to łatwiejsze, niż mieć wciąż przy sobie osobę wtajemniczoną, by nosiła instrument, kiedy jego siły zawodzą...*

Kevin szedł o dwóch laskach, z trudem ciągnąc swe udręczone ciało. Uśmiechnął się jednak do dam i powiedział:

– Musicie sobie wyobrazić moje panie, ty królowo i ty pani Nimue, że mój duch właśnie złożył wam dworny ukłon, którego moje nędzne ciało, niestety, nie jest już w stanie wykonać.

– Błagam cię, kuzynko, poproś go, by usiadł, on nie może zbyt długo stać... – szepnęła Nimue.

Gwenifer skinęła na znak przyzwolenia i choć raz zadowolona była ze swego krótkiego wzroku, bo dzięki niemu nie musiała teraz widzieć tego kalekiego ciała. Przez chwilę Nimue lękała się, że sługa Kevina może jednak być kimś z Avalonu i rozpoznać ją, a nawet powitać, ale był to tylko zwyczajny dworski paź. W jaki sposób Morgiana i stara Raven były w stanie

wybiec myślą tak daleko do przodu, by już jako dziecku nakazać jej życie w odosobnieniu, tak że gdy osiągnęła kobiecą dojrzałość, była jedyną w pełni wyszkoloną kapłanką Avalonu, której twarzy Merlin nigdy w życiu nie widział?

Rozumiała teraz, że sama jest tylko narzędziem do celu, zbrojnym w swą urodę, wiedzę i cnotę, wysłanym, by dokonać dzieła zemsty w imieniu Bogini i pokonać tego człowieka, który zdradził ich wszystkich.

Nimue podłożyła poduszkę ze swego własnego krzesła pod chore ramię Merlina. Krzywe kości niemal przebijały się przez skórę, a kiedy leciuteńko musnęła jego łokieć, wydało jej się, że opuchnięte stawy są tak rozpalone, że parzą jej dłoń. Poczwała litość i sprzeciw.

*Przecież Bogini i tak okrutnie karze tego człowieka! On już dostatecznie cierpi! Ich Chrystus cierpiał na krzyżu tylko jeden dzień, a ten człowiek jest ukrzyżowany w swym kalekim ciele przez całe życie!*

A jednak tylu ludzi płonęło za swą wiarę i nie załamało się ani nie zdradziło Misteriów. Choć z sercem z kamienia odezwała się jednak słodko:

– Lordzie Merlinie, czy zechcesz zagrać dla mnie na swej harfie?

– Dla ciebie, pani – odparł swym pięknym głosem – zagram, co tylko zechcesz, i żałuję, iż nie jestem tym bardem z pradawnych czasów, który swą grą sprawiał, że drzewa tańczyły!

– Ależ to lepiej, że nim nie jesteś – powiedziała Nimue, śmiejąc się radośnie. – Cóż byśmy poczęli, gdyby drzewa tańcząc, wtargnęły aż tutaj? Zabrudziłyby ziemią całą podłogę i wszystkie nasze służące ze szmatami i miotłami nie dałyby rady tego posprzątać! Zostaw już lepiej drzewa tam, gdzie stoją, panie, i proszę, zaśpiewaj!

Merlin ułożył dłonie na harfie i zaczął grać. Nimue usiadła tuż przy nim, na podłodze, wznosząc ku niemu swe piękne, wielkie oczy.

Merlin spoglądał w dół na dziewczynę takim wzrokiem, jakim wielki pies może patrzeć na swego pana – z pokornym i bezgranicznym oddaniem. Gwenifer uważała taką reakcję niemal za naturalną. Sama przecież była tak często obiektem miłości i podziwu, że już nawet nie zwracała na nie uwagi – był to dla niej hołd, jaki mężczyźni składali kobiecej piękności. Może jednak powinna ostrzec Nimue, żeby nie zawróciło jej to w głowie? Nie mogła sobie wyobrazić, jak Nimue może w ogóle siedzieć tak blisko tego potwora i słuchać go z taką uwagą.

Było w Nimue coś, co niepokoiło Gwenifer. W jakiś dziwny sposób skupienie słuchającej muzyki dziewczyny nie było do końca naturalne. Nie był to zachwyt, z jakim jeden muzyk podziwiał dzieło innego, nie był to też podziw naiwnej dziewczyny dla uczonego i dojrzałego mężczyzny. *Nie, to nie to*, myślała Gwenifer. Nie była to także nagła namiętność; to mogłaby nawet zrozumieć i w jakiś sposób jej współczuć – sama przecież знаła tę nagłą, wszechmocną siłę miłości, która lekceważy wszelkie przeciwieństwa. To właśnie taka miłość uderzyła w nią, jak grom z jasnego nieba, i zniweczyła wszelkie nadzieje, że jej małżeństwo z Arturem będzie udane i szczęśliwe. To uczucie było jak przekleństwo i Gwenifer doskonale wiedziała,

że pojawiło się samo z siebie i ani ona, ani Lancelot nie mieli nad nim żadnej władzy. Sama nauczyła się z tym godzić i teraz umiałyby zrozumieć, gdyby to samo przytrafiło się Nimue – choć Kevin zdawał jej się najmniej prawdopodobnym obiektem miłości.

To jednak nie było takie uczucie... nie wiedziała, skąd to wie, ale wiedziała...

*Zwykłe pożądanie?* Tak mogło być ze strony Kevina – Nimue była piękna i choć Merlin był tak bardzo podejrzliwy i stronił od ludzi, ona była w stanie oczarować każdego człowieka. Gwenifer nie mogła jednak uwierzyć, by sama Nimue zapałała żądzą właśnie do niego, skoro nawet dla najprzystojniejszych młodych rycerzy pozostawała dworna, lecz obojętna i nieosiągalna.

Nimue ze swego miejsca u stóp Kevina czuła, że królowa ją obserwuje. Nie odwróciła jednak oczu od harfiarza. *W pewien sposób, myślała, ja go teraz oczarowuję. Jej zadanie wymagało, by stał się absolutnie posłuszny jej woli, by był jej niewolnikiem i jej ofiarą.* Znów musiała odpędzić od siebie uczucie litości. *Ten człowiek zrobił coś o wiele gorszego niż wyjawienie Misteriów czy tajemnych nauk; on wydał same święte przedmioty w ręce chrześcijan, by je zbezczeszili.* Mimo woli przyszła jej do głowy myśl, że chrześcijanie nie mieli przecież na myśli profanacji, lecz uświęcenie. Nie wiedzieli nic o wewnętrznych prawdach Misteriów... Tak czy inaczej, Merlin złamał złożoną przez siebie wielką przysięgę.

*I sama Bogini pojawiła się, by zapobiec tej profanacji...*

Nimue była wystarczająco zaawansowana w Misteriach, by wiedzieć, czego była wtedy świadkiem; nawet teraz, na samo wspomnienie tego, co zdarzyło się na dworze w dniu tamtej uczy, dreszcz przebiegł jej po plecach. Nie rozumiała tego do końca, wiedziała jednak, że dotknęła wówczas największej świętości.

A Merlin chciał to pokalać. Nie, on musi umrzeć jak nędzny pies, którym jest.

Muzyka umilkła. Kevin zwrócił się do Nimue:

– Mam dla ciebie harfę, pani, jeżeli zgodzisz się ją przyjąć. Zrobiłem ją własnymi rękoma, jeszcze jako chłopiec w Avalonie, kiedy pierwszy raz tam przybyłem. Od tego czasu zrobiłem inne, lepsze, lecz ta również jest dobra, a ja grałem na niej przez długi czas. Jeśli ją przyjmiesz, jest twoja.

Nimue zaprotestowała, że jest to zbyt cenny podarek, w duchu była jednak uradowana. Jeżeli wejdzie w posiadanie czegoś tak dla niego wartościowego, czegoś, co z trudem wykonał własnymi rękami, ten przedmiot zwiąże ją z nim nawet mocniej niż pukiel jego włosów czy kropla jego krwi. Nawet w Avalonie niewiele było osób, które wiedziały, że prawa magii idą aż tak daleko i że coś, co jest tak osobiście związane z czymś umysłem, sercem i namiętnością – a jak sama zdążyła się przekonać, muzyka była jego największą namiętnością – taki przedmiot zawiera w sobie nawet więcej ludzkiej duszy, niż odcięty z głowy pukiel włosów ma w sobie esencji całego ciała.

*On sam, ze swej własnej, nieprzymuszonej woli oddaje swą duszę w moje ręce,* myślała z satysfakcją. Kiedy kazał przynieść harfę, pogłaskała ją; była mała i dość surowa, z jednej

strony drewno było mocno wytarte od przyciskania do ciała, jego ciała, a strun tego instrumentu dotykał wielokrotnie z miłością...

Lekko uderzyła w struny, sprawdzając ich dźwięk. Harfa miała naprawdę piękny ton. W jakiś sposób udało mu się uzyskać ten idealny łuk i kształt, który sprawia, że rama rezonuje dźwięki strun najśłodszym brzmieniem. A przecież zrobił to jako mały chłopiec, tymi kalekami rękoma... Nimue znów poczuła litość i ból. *Dlaczego nie trzymał się swojej muzyki, po co się mieszał w najwyższe sprawy wagi państwowej?*

– Jesteś dla mnie zbyt łaskaw, panie. – Pozwoliła, by głos jej zadrżał, tak by on pomyślał, że to namiętność, a nie tryumf... *dzięki tej harfie wkrótce będzie mój, oddany mi duszą i ciałem.*

Było jednak jeszcze za wcześnie. Wielkie fale Avalonu płynące w jej krwi mówiły jej, że księżycza przybywa. Tak ogromną magię, jakiej będzie potrzebowała, można czynić jedynie w chwili ciemnego księżyca, w tym krótkim czasie, gdy Pani nie daje ziemi swego światła i wyjawia swoje najskrytsze zamiary.

Nie może też pozwolić, by ta namiętność urosła poza bezpieczne granice, a wraz z nią jej własne współczucie dla niego.

*Będzie mnie pragnął o pełni księżyca; ta więź, którą sama tkam, to miecz o dwóch ostrzach, lina o dwóch końcach... Ja również będę pragnęła jego, tego nie mogę uniknąć.* Aby czar był absolutny, musiał angażować zarówno czarującego, jak i osobę oczarowywaną. Wiedziała, drżąc z przerażenia, że ta nić, którą snuje, ją również oplącze, na niej również się odbije. Nie mogła jedynie udawać namiętności i pożądania, musiała je także odczuwać. Z lękiem, który ścisnął jej serce, zdawała sobie sprawę z tego, że tak jak Merlin może być bezbronny w jej rękach, równie dobrze ona też może stać się bezbronna wobec niego. *I co się ze mną wtedy stanie, o Bogini, Matko... to zbyt wielka cena do zapłacenia... nie pozwól, aby to na mnie zstąpiło, och, nie, tak się boję...*

– Cóż, moja kochana – powiedziała Gwenifer – teraz, gdy masz już w rękach harfę, czy zagrasz i zaśpiewasz dla mnie?

Włosy osłaniały jej twarz, gdy Nimue wstydliwie spojrzała na Merlina, pytając:

– Czy mogę?

– Proszę cię, zagraj, pani – odrzekł. – Głos twój jest słodki, a słyszę już, że twe dłonie mogą wyczarować ze strun prawdziwe cuda...

*I wyczarują, jeśli Bogini mi sprzyja.* Nimue ułożyła dłonie na strunach, pamiętając o tym, że nie wolno jej zagrać żadnej pieśni z Avalonu, którą mógłby pamiętać i rozpoznać. Zaczęła grać frywolną pieśń biesiadną, którą знаła z dworu, słowa nie były zbyt odpowiednie dla dziewczyny. Widziała, że Gwenifer jest tym wzburzona, i myślała: *Dobrze, jeśli jest wstrząśnięta moim nieprzystojnym zachowaniem, nie będzie się zbyt zastanawiała nad pobudkami, które mną kierują.* Potem zagrała wolny lament, który słyszała u harfiarza z

północy, smutną pieśń o rybaku, który daleko na morzu wypatruje na brzegu światła swego domostwa. Gdy skończyła, wstała i znów nieśmiało spojrzała na Merlina.

– Dziękuję ci za pożyczenie harfy, panie, czy będę mogła kiedyś znów na niej zagrać, by moje dłonie nie straciły wprawy?

– To jest podarunek dla ciebie – powiedział Kevin. – Teraz, kiedy usłyszałem, jaką muzykę potrafisz z niej wydobyć, nie mogłaby należeć do nikogo innego. Proszę cię, pani, zatrzymaj ją, ja mam wiele harf.

– Jesteś dla mnie zbyt łaskawy – wyszeptała – ale proszę, teraz, kiedy sama mogę już grać, nie opuszczaj mnie i nie pozbawiaj rozkoszy słuchania ciebie.

– Będę dla ciebie grał, kiedy tylko sobie zażyczysz – odparł, a ona czuła, że mówił to z głębi serca.

Kiedy się schylała, by odłożyć harfę, otarła się o niego delikatnie. Odezwała się przy tym tak cicho, żeby Gwenifer nie mogła usłyszeć.

– Same słowa nie potrafią wyrazić mojej wdzięczności. Być może nadejdzie czas, gdy będę ją mogła wyrazić bardziej odpowiednio...

Spojrzał na nią zamglonym wzrokiem, a ona przyłapała się na tym, że odwzajemnia jego spojrzenie z tym samym żarem.

*To naprawdę obosieczny czar. Ja także jestem jego ofiarą...*

Merlin odszedł, a ona posłusznie usiadła przy królowej, starając się całą uwagę skupić na przędzeniu.

– Jak ty pięknie grasz, Nimue – powiedziała Gwenifer. – Nie muszę pytać, gdzie się tego nauczyłaś... Kiedyś słyszałam, jak Morgiana śpiewała ten lament.

– Opowiedz mi coś o Morgianie – poprosiła Nimue, unikając wzroku królowej. – Odeszła z Avalonu, zanim ja tam przybyłam. Wyszła za męża za jakiegoś króla... chyba w Lothianie?

– W Północnej Walii... – zaczęła Gwenifer.

Mimo że Nimue doskonale o tym wszystkim wiedziała, jej pytanie nie było do końca fałszywe. Morgiana pozostawała dla niej zagadką, ciekawiło ją też, jak pani Morgiana była odbierana przez tych, którzy znali ją na tym świecie i na dworze.

– Morgiana była jedną z moich dam dworu – ciągnęła Gwenifer. – Artur mi ją podarował w dniu naszego ślubu. Oczywiście, trzeba pamiętać, że oni się wychowywali osobno i on sam prawie jej nie znał...

Słuchając bardzo uważnie, Nimue, która umiała odczytywać ludzkie uczucia, odkryła, że pod wyraźną niechęcią, jaką Gwenifer żywiła do Morgiany, kryło się coś jeszcze: szacunek, podziw, a nawet jakaś czułość. Gdyby Gwenifer nie była tak bezmyślną, fanatyczną chrześcijanką, to kochałaby Morgianę.

Kiedy Gwenifer opowiadała o Morgianie, choć potępiała ją, jako złą czarownicę, to przynajmniej w tym samym czasie nie bredziła tych pobożnych nonsensów, które zanudzały Nimue na śmierć. Nie mogła jednak do końca skupić się na opowieściach królowej. Siedziała,

śluchając z pozornym zainteresowaniem, wydawała odpowiednie okrzyki zdziwienia czy oburzenia, jednak jej umysł pracował nieprzerwanie.

*Boję się. Mogę tak samo stać się niewolnicą i ofiarą Merlina, jak on moja...*

*Bogini! Wielka Matko! To nie ja muszę się z nim zmierzyć, lecz ty...*

Księżyc przybywało. Do pełni zostało około czterech nocy.

A ona już czuła, jak wzbiera w niej fala życia. Myślała o głębokim spojrzeniu Merlina, o jego magicznych oczach, o jego pięknym głosie i wiedziała, że już teraz jest mocno oplatana tym czarem, który sama przędła. Przestała nawet odczuwać choćby najmniejsze obrzydzenie wobec jego kalekiego ciała, czuła tylko jego siłę i pulsujące w nim życie.

*Jeżeli oddam mu się przy pełni księżyca, wtedy fale życia płynące w nas obojgu zostaną porwane przez jeden prąd, wtedy mój cel stanie się jego własnym, wtedy będziemy złączeni jak jedno ciało...* poczuła gorzki ból pożądania, pragnęła, by te delikatne dłonie tuliły ją i pieściły, chciała czuć przy swoich ustach jego ciepły oddech. Wszystko aż ją bolało z tego głodu, który, wiedziała o tym, był częściowo echem jego pożądania i namiętności. Magiczne połączenie, które między nimi stworzyła, sprawiało, że teraz ona także musiała być dręczona jego udręką.

*Kiedy życie płynie najpełniej, wraz z brzemennym księżycem, w tym czasie niechaj Bogini przyjmie w siebie ciało swego kochanka...*

To jest przecież całkiem możliwe! Ona jest córką kawalera królowej i najbliższego przyjaciela króla. Kevin, choć kapłan, nie jest chrześcijańskim księdzem i wolno mu się żenić. Dwór byłby rad ze ślubu tak wysoko postawionej pary, choć z pewnością niektóre z nich byłyby oburzone tym, jak ona może oddać swe młode ciało komuś kogo one uważają za potwora. Artur na pewno zdaje sobie sprawę że Kevin, po tym, co uczynił, już nigdy nie może powrócić do Avalonu, dlatego postara się, by zawsze miał zapewnione miejsce na dworze jako królewski doradca. Poza tym jest niesłychanie utalentowanym, nieprześcignionym muzykiem. *Mielibyśmy tu swoje miejsce... i szczęście... gdy księżyc będzie pełny, tętniący życiem, on pocznie dziecko w moim łonie... a ja je urodzę z radością... on nie jest potworem z urodzenia, jego kalectwo pochodzi z wypadku w dzieciństwie... jego synowie będą piękni...* zatrzymała się, przerażona mocą swych własnych fantazji. Nie, nie wolno jej się tak poddawać temu czarowi. Mimo iż zbliżający się do pełni księżyc dręczy bólem pożądania każdą kosteczkę w jej ciele, musi to wytrzymać i odmówić mu siebie. Musi czekać, czekać...

Tak jak czekała przez te wszystkie lata... Z poddaniem się prądowi życia wiąże się wielka magia. Kapłanki Avalonu wiedzą o tym, gdy kładą się na polach w czas ogni Beltanu i przywołują Boginię w swe serca i ciała... ale jest jeszcze głębsza magia, która powstaje z przeciwstawienia się tej sile, z jej nagromadzenia. Chrześcijanie musieli coś o tym wiedzieć, gdy żądali, by ich święte dziewice żyły w czystości i odosobnieniu i dzięki temu mogły płonąć ciemniejszym światłem tej okiełznanej mocy, a ich czyści księża mogli przelewać całą swoją zebraną siłę w ich Misteria. Nimue czuła tę moc emanującą z najmniejszego gestu czy

szeptu Raven, która nigdy nie traciła słów na nic przyziemnego, tak że jej siła, gdy jej używała, była przeogromna. Nimue często samotna w świątyni Avalonu, gdy zabraniano jej spotykać się z innymi dziewczętami, czy brać udział w obrzędach, czuła tę życiową moc płynącą w jej żyłach z taką siłą, że czasem aż wybuchała histerycznym płaczem, drapała sobie twarz i wrywała włosy... zadawała sobie wtedy pytanie, czemu ją na to skazują, czemu musi znosić ten potworny ciężar i nie może zaznać ukojenia? Ufała jednak Bogini i posłuszna była swym mistrzom, a teraz powierzono jej to wielkie zadanie i ona nie może ich zawieść przez własną słabość.

Była naczyniem przepełnionym mocą, jak Święte Regalia, których dotknięcie przez osobę nie przygotowaną groziło śmiercią. Cała ta moc nagromadzona w ciągu długich lat przygotowań posłuży jej teraz, by przywiązać do siebie Merlina... Musi jednak czekać, aż fale się odwrócą, aż księżyc znów zacznie maleć; przy ciemnym księżycu musi schwytać tę drugą falę, która nadchodzi z innej strony księżyca... nie jest ona płodna, lecz jałowa, nie ma mocy życia, lecz moc ciemnej magii, starszej niż historia całej ludzkości...

A Merlin wie o tym wszystkim, zna przekleństwo ciemnego księżyca i jałowego łona... musi być więc przez nią tak absolutnie oczarowany, by nawet nie zastanawiać się, dlaczego odmówiła mu siebie w czasie pełni, a pragnie go przy ciemnym księżycu. Ma tylko jedną przewagę: on nie wie, że ona zna te tajemnice, nigdy nie widział jej w Avalonie. Jednakże łącząca ich nić działa w obie strony: jeśli ona będzie mogła czytać jego myśli, on będzie czytał jej. Musi się mieć na baczności w każdej chwili, bo inaczej on wejrzy w nią i odgadnie jej cel.

*Muszę go tak zupełnie oślepić pożądaniem, by o wszystkim zapomniał... by zapomniał wszystkiego, czego nauczył się w Avalonie... Równocześnie jej samej nie wolno się poddać jego pożądaniu i musi też okiełznać swe własne. To nie będzie łatwe.*

Zacząła planować swój kolejny krok. *Opowiedz mi o swoim dzieciństwie, poprosi go. Opowiedz mi, w jaki sposób zostałeś tak strasznie okaleczony. Współczucie będzie następną silną więzią. Wiedziała już, jak go wtedy dotknie, najdelikatniej, tylko czubeczkami palców... Wiedziała też, zrozpaczona, że sama również szuka okazji, by być blisko niego i dotykać go, nie tylko dla osiągnięcia swego celu, lecz dla zaspokojenia tego głodu...*

*Czy potrafisz rzucić ten czar i nie doprowadzić do zagłady samej siebie?*

– Nie było cię na ucztach u królowej – szepnął Merlin, patrząc jej głęboko w oczy. – A ja ułożyłem dla ciebie nową pieśń... Była pełnia księżyca, a w księżycu jest ogromna moc, pani...

Spojrzała na niego niewinnie.

– Naprawdę? Tak niewiele wiem, o tych rzeczach... Czy ty jesteś czarnoksiężnikiem, lordzie Merlinie?! Czasem czuję się taka bezbronna, jakbyś rzucał na mnie swoje czary...



Specjalnie ukryła się podczas pełni, wiedząc, że gdyby wtedy spojrział jej w oczy, z pewnością mógłby odczytać jej myśli i może nawet odgadnąć jej zamiary. Teraz, kiedy moc tej fali już minęła, być może uda jej się dostatecznie przed nim obronić.

– Musisz mi zatem zaśpiewać tę nową pieśń, panie.

Siedziała, słuchając, i czuła, że całe jej ciało drży, tak jak struny drżą pod dotykiem jego palców.

Nie zniosę tego dłużej, nie mogę... Kiedy tylko księżyc będzie ciemny, muszę działać. Wiedziała, że jeśli zaczeka jeszcze jeden miesiąc i nadejdzie kolejna pełnia, podda się tej fali namiętności, która coraz silniej wzbierała między nimi z każdym dniem... *I wtedy już nigdy nie będę w stanie go zdradzić... Na zawsze będę już należała do niego, w tym życiu i poza nim...*

Wyciągnęła rękę i dotknęła jego powykęcanych kości, i od samego dotyku znów zadrżała z tęsknoty. Tylko z nagłego zwięzienia jego źrenic, z jego szybkiego i krótkiego oddechu mogła sobie wyobrazić, jak na niego podziałał ten gest.

*Zdrada*, myślała. Wedle nienaruszalnych praw przeznaczenia, zdrada była po tysiackroć karana przez Boginię; w kolejnych żywotach zarówno zdrajca, jak i zdradzony musieli się znów spotykać, w miłości i nienawiści, przez tysiące lat... Ona jednak czyni to na rozkaz Bogini, została wszakże wysłana, by ukarać tego, który zdradził... czy zatem ona też będzie ukarana? Jeśli tak, to znaczy, że nawet w królestwie Bogów nie ma sprawiedliwości...

*Chrystus mówi, że prawdziwa skrucha zmazuje każdy grzech...*

Nie można jednak tak łatwo obejść przeznaczenia i praw kosmosu. Gwiazdy nie zatrzymują się przecież w swym biegu, tylko dlatego, że ktoś krzyknie: *Stój!*

Cóż, niech będzie, co ma być. Może ona musi zdradzić Merlina w związku z czymś, co jedno z nich uczyniło, zanim jeszcze pradawne ziemie zapadły się w głębię oceanu? To jest jej przeznaczenie i ona nie śmie go kwestionować. Kevin przestał grać i delikatnie położył dłoń na jej ręce, a ona, jak oczarowana, przytknęła usta do jego ust. *Teraz jest już za późno, by zawrócić.*

Nie. Było za późno już w chwili, gdy posłusznie pochyliła głowę i przyjęła zadanie, które postawiła przed nią Morgiana. Było za późno już wtedy, gdy składała przysięgę na wierność Avalonowi...

– Powiedz mi coś więcej o sobie – szepnęła. – Chcę wiedzieć o tobie wszystko, mój panie...

– Nie nazywaj mnie tak, mam na imię Kevin.

– Kevin – powtórzyła słodkim i czułym głosem, znów delikatnie muskając dłonią jego ramię.

Dzień po dniu tkąła swój czar, dotykiem, spojrzeniem, szeptanymi słówkami, a księżyc zbliżał się do ciemnej fazy. Po tym pierwszym, nieśmiałym pocałunku, znów się wycofała, tak jakby się go wystraszyła. Bo to prawda. Co gorsza, przestraszyła się sama siebie...

Nigdy, nigdy, w ciągu wszystkich lat swego osamotnienia nie podejrzewała, że jest zdolna do takiej namiętności, do takiego głodu; wiedziała też, że jej zakłęcia potęgowały jeszcze to uczucie nie tylko w nim, lecz w niej również. W pewnej chwili, doprowadzony do ostateczności muśnięciami jej palców i słodkim dotykiem jej włosów na jego policzku, gdy się ku niemu nachylała, by odłożyć harfę, odwrócił się, pochwycił ją i mocno przygarnął do siebie. Po raz pierwszy opierała mu się naprawdę, nie udając.

– Nie, nie, nie mogę, zapominasz się... Błagam cię, puść mnie! – krzyknęła, a kiedy przycisnął ją jeszcze mocniej i zanurzył twarz w jej piersiach, obsypując je pocałunkami, zaczęła cicho łkać. – Nie, proszę, boję się, boję się...

Wtedy ją puścił i odsunął się jak zamroczony. Oddychał szybko i chrapliwie. Siedział z zamkniętymi oczyma, jego powykręcane ręce zwisały bezwładnie. Dopiero po chwili szepnął:

– Moja ukochana, moja cudowna, mała ptaszyno, mój najdroższy skarbie, wybac mi, wybac mi...

Nimue zrozumiała, że teraz może posłużyć się nawet własnym, prawdziwym strachem:

– Ufałam ci, ufałam ci – powtarzała, wciąż szlochając.

– Nie powinnaś była – odparł chmurnie. – Jestem tylko człowiekiem, i mimo wszystko jestem wciąż mężczyzną... Jestem mężczyzną z krwi i kości – dodał z niesłychaną goryczą. – I kocham cię, Nimue, a ty się ze mną bawisz, jakbym był domowym pieskiem, i oczekujesz, że będę łagodny jak wykastrowany kucyk... czy myślisz, że kaleka nie jest mężczyzną?

W swych myślach Nimue słyszała, czysto i wyraźnie, jak wypowiadał te same słowa do pierwszej kobiety, z którą się w życiu złączył, i zobaczyła przed oczyma twarz Morgiany, odbitą w jego oczach i jego umyśle. Nie tej Morgiany, którą ona знаła, lecz twarz czarnowłosej, czarującej kobiety o miękkiem głosie, dla niego równie kochanej co przerażającej – uwielbiał ją i lękał się jej, bo nawet w szale namiętności pamiętał, że nagle może uderzyć błyskawica...

Nimue wyciągnęła do niego obie dłonie. Drżały, lecz on nigdy nie będzie wiedział dlaczego. Starannie ukryła swe myśli i powiedziała:

– Nigdy tak nie myślałam, wybac mi, Kevinie, ja... ja tak się przestraszyłam...

*I to wszystko prawda, o Bogini, to prawda. Tyle że nie tak, jak on myśli. On słyszy co innego, niż ja naprawdę mówię.*

Mimo całej litości i pożądania, czuła też do niego odrobinę pogardy. Bo inaczej nie potrafiłabym tego znieść ani uczynić, co uczynić muszę... a człowiek tak nagi wobec swego pożądania jest godny pogardy... Ja też drzę, ja też cierpię... nie pozwolę sobie jednak, by znaleźć się na łasce głodu mego ciała...

I to właśnie dlatego Morgiana dała jej klucz do tego człowieka, oddała go całkowicie w jej ręce. Teraz nadszedł właściwy czas, by wymówić słowa, które utwierdzą czar, które oddadzą go jej ciałem i duszą, tak by mogła sprowadzić go do Avalonu na wyznaczoną karę.

*Udawaj! Udawaj, że jesteś jedną z tych głupawych panien, którymi otacza się Gwenifer, tych, które mają rozum między nogami!*

– Och, tak mi przykro – powtarzała – tak mi przykro, wiem, że jesteś mężczyzną, przepraszam, że się przestraszyłam... – Rzuciła mu powłóczyście, zamglone spojrzenie, skryte za opadającymi włosami. Bała się, że jeśli on spojrzy jej głęboko w oczy, odkryje cały jej fałsz. – Ja... tak chciałam, żebyś mnie pocałował, ale stałeś się taki gwałtowny i dlatego się zlekłam. To nie jest ani dobry czas, ani miejsce, ktoś mógłby wejść i nas zobaczyć, a wtedy królowa byłaby zła, bo jestem jedną z jej dworek, a ona nas ostrzegała, że nie wolno nam się uganiać za mężczyznami...

*Czy on jest na tyle głupi, żeby uwierzyć w te bzdury, które wygaduję?*

– Moje biedne maleństwo! – Kevin obsypał jej dłonie pocałunkami. – Cóż za zwierzę ze mnie, żeby tak cię wystraszyć... tak cię kocham... kocham cię tak bardzo, że nie mogę już tego znieść! Nimue, Nimue, czy tak bardzo boisz się gniewu królowej? Nie mogę... – zatrzymał się i ciężko dyszał – ...nie mogę już dłużej tak żyć... czy chcesz zatem, żebym odszedł z tego dworu? Nigdy, nigdy nie myślałam... – Znow przerwał, żeby złapać oddech. Wciąż trzymał jej dłonie w swoich. – Nie mogę bez ciebie żyć. Muszę cię mieć albo umrzeć. Czy nie masz dla mnie żadnej litości, ukochana?

Spuściła wzrok i głęboko westchnęła. Spod rzęs obserwowała jego wykrzywioną bólem twarz.

– Cóż mam ci powiedzieć? – szepnęła w końcu.

– Powiedz, że mnie kochasz!

– Kocham cię. Wiesz o tym, że cię kocham.

– Powiedz, że dasz mi całą swoją miłość, powiedz to... Och Nimue, Nimue, jesteś tak młoda i piękna, a ja taki stary i kaleki, nie mogę uwierzyć, że choć trochę mnie lubisz, nawet teraz wydaje mi się, że śnię, że z jakiegoś własnego powodu podniecasz mnie w ten sposób, by móc się wyśmiewać z potwora, który wyje u twych stóp jak wierny pies...

– Nie – powiedziała i szybko, jakby sama zaskoczona tym, co robi, pochyliła się i złożyła na jego powiekach dwa delikatne pocałunki.

– Nimue, czy przyjdiesz do mego łóżka?

– Boję się... – wyszeptała. – Ktoś może nas zobaczyć, a ja nie chcę być taka rozwiązła... mogą nas odkryć... – Złożyła usta w dziecinny grymas. – Gdyby nas odkryli, to wszyscy by uznali, że przez to ty jesteś jeszcze bardziej męski i nikt by nie śmiał cię zganić, ale ja... ja jestem dziewczyną, więc gardzono by mną jak nierządnicą albo jeszcze gorzej... – Pozwoliła, by łzy spływały po jej policzkach, lecz w duchu tryumfowała. *Mam go teraz bezpiecznie w swojej pułapce.*

– Zrobię wszystko, wszystko, by cię przed tym uchronić, zapewniam cię... – powiedział Kevin, a głos drżał mu szczerością.

– Wiem, że mężczyźni lubią się chwalić swymi miłosnymi podbojami – odparła. – Skąd mam wiedzieć, że nie będziesz rozpowiadał w całym Kamelocie, że cieszysz się względami krewniczki królowej i że zdobyłeś jej dziewictwo?

– Zaufaj mi, błagam cię, zaufaj mi... co mam zrobić? Jaki mam ci dać dowód mej szczerości? Wiesz, że należę do ciebie ciałem, sercem i duszą...

Poczuła gniew. *Nie chcę twej przeklętej duszy, myślała bliska płaczu.*

Objął ją obiema rękami i spytał:

– Jak? Kiedy będziesz moja? Co mam uczynić, by ci udowodnić, że kocham cię ponad wszystko?

– Nie... nie mogę cię wziąć do swego łóża – powiedziała z wahaniem. – Sypiam w jednej komnacie z czterema innymi kobietami, a każdego mężczyznę, który by tam próbował wejść, zatrzymają strażę.

– Moja ukochana, moja maleńka. – Pochylił głowę, by znów okryć jej dłonie pocałunkami. – Nigdy nie sprowadzę na ciebie hańby. Mam własną komnatę, jest bardzo ciasna i mam ją głównie dlatego, że żaden z ludzi króla nie chce dzielić ze mną mieszkania. Może mogłabyś tam do mnie przyjść...

– Ale musi być chyba jakiś lepszy sposób – szepnęła, pamiętając, by jej głos był wciąż słodki i kuszący. *Przeklęty, jak mam ci to zaproponować, nie zdradzając, że moja naiwność i głupota są tylko udawane?* – Nie potrafię sobie wyobrazić ani jednego takiego miejsca w całym zamku, gdzie naprawdę moglibyśmy być bezpieczni... A tak bardzo... – Wstała i przytuliła się do niego, gdy siedział na krześle, piersiami dotykając jego czoła.

Otoczył ją ramionami i ukrył twarz w jej ciele, plecy mu drżały.

W końcu powiedział:

– O tej porze roku jest ciepło i ładnie i rzadko pada. Czy odważysz się wyjść ze mną poza mury, Nimue?

– Po to, by móc być z tobą, najdroższy, odważę się na wszystko... – wyszeptała.

– A więc dziś w nocy...?

– Och – jęknęła przestraszona – księżyc świeci tak jasno, zobaczą nas... poczekajmy kilka dni, wtedy nie będzie księżycy...

– Kiedy księżyc jest ciemny... – Kevin skrzywił się i Nimue wiedziała, że to niebezpieczna chwila, chwila, w której tak ostrożnie podbierana rybka może urwać się z haczyka i odpłynąć wolno.

W Avalonie kapłanki zamykały się w odosobnieniu podczas ciemnego księżycy, a wszystkie obrzędy odwoływano, magia była zabroniona... ale on nie wie, że ona jest z Avalonu.

Czy wygra jego strach czy pożądanie? Stała bez ruchu, głaskała powoli jego palce.

– To nie jest dobry czas... – zaczął.

– Ale ja się tak boję, że nas ktoś zobaczy... Nawet nie wiesz jak bardzo królowa by była na mnie zła, gdyby wiedziała, że jestem taka grzeszna i tak cię pożądam... – Przytuliła się do niego trochę mocniej. – Przecież ty i ja nie potrzebujemy księżycy, żeby się widzieć...

Trzymał ją mocno, przyciskał twarz do jej piersi i pokrywał je namiętными pocałunkami. W końcu wyszeptał:

– Moja ukochana, niech będzie, jak ty chcesz, przy pełnym czy ciemnym księżycu...

– A czy potem zabierzesz mnie z Kamelotu? Nie chcę się okryć hańbą...

– Gdziekolwiek zechcesz – powiedział. – Przysięgam... jeśli chcesz, przysięgnę nawet na twego Boga.

Pochyliła twarz nad jego głową, palcami przeczesywała jego jedwabiste, kręcone włosy.

– Chrześcijański Bóg nie lubi kochanków – powiedziała zduszonym głosem – i nienawidzi, gdy kobiety kładą się z mężczyznami... przysięgnij mi na swojego Boga, Kevinie, przysięgnij na te węże na twoich rękach...

– Przysięgam – szepnął, a ciężar tej przysięgi zdał się wibrować w powietrzu wokół nich.

*Och, głupcze, zaprzysięgałeś własną śmierć...* Nimue zadrżała, lecz Kevin z twarzą wciąż ukrytą w jej piersiach oddychał ciężko i nie był w stanie zauważyć niczego poza słodyczą jej piersi pod swymi wargami. Teraz bardziej już pewny swego, ośmielił się dotykać tych piersi, pieścić je, nawet próbował odsunąć na bok stanik jej sukni i zamknąć je nagie w dłoniach.

– Nie wiem, nie wiem, jak zdołam znieść to oczekiwanie – wyszeptał.

– Ani ja... – przyznała Nimue i mówiła to szczerze, z głębi serca.

*Żeby to już się stało...*

Księżycyca nie będzie widać, ale faza i fala księżycyca odwróci się dokładnie za trzy dni, w dwie godziny po zachodzie słońca; już czuła jej wibracje jak wielką niemoc, która wysysa życie z całego ciała.

Większość z tych trzech dni przesiedziała w swojej komnacie, tłumacząc się przed królową, że jest chora. I nie było to dalekie od prawdy. Ten samotny czas spędziła głównie z dłońmi na harfie Kevina, medytując, czując siłę magicznej więzi, która spajała ich ze sobą coraz mocniej.

To czas czarnej magii, Kevin o tym wiedział równie dobrze jak ona. Był jednak zbyt zaślepiony obietnicą jej miłości, by na to zważać.

Nastał świt dnia, w którym księżyc miał wejść w ciemną fazę. Nimue czuła jego moc w całym ciele. Przygotowała sobie ziołowy napar, by powstrzymać nadejście miesięcznego krwawienia, nie chciała zrazić Kevina widokiem swej krwi, bała się też, by nie przypomniał sobie wtedy o rytualnych zakazach Avalonu. Musiała odwrócić myśli od fizycznych aspektów tego aktu; zdawała sobie sprawę, że mimo całego swego wtajemniczenia w tej chwili jest tylko przestraszona dziewczicą, dokładnie taką, jaką wcześniej udawała.

Cóż, to nawet lepiej, nie będzie musiała dłużej udawać. Może być po prostu tym, kim jest – dziewczyną, po raz pierwszy oddającą się mężczyźnie, którego kocha i pragnie. A co do późniejszych zdarzeń... cóż, będzie tak, jak rozkazała jej Bogini.

Nie wiedziała, jak ma wytrzymać to czekanie. Pogaduszki dwórek Gwenifer nigdy jeszcze nie wydawały jej się tak bezsensowne, tak puste. Po południu nie mogła się skupić na przedzeniu, więc przyniosła podarowaną jej przez Kevina harfę i grała dla nich. To też nie było łatwe, bo musiała wciąż uważać, by nie zaśpiewać jakiejś pieśni z Avalonu, a w tym zdenerwowaniu głównie te pieśni przychodziły jej do głowy. Jednak nawet najdłuższy dzień kończy się kiedyś zachodem słońca. Umyła się, natarła ciało pachnącym olejkiem i zasiadła do wieczerzy obok Gwenifer. Prawie nie tknęła jedzenia, było jej słabo, raziły ją prostackie maniere ludzi przy stole, leżące pod stołem psy. Widziała Kevina siedzącego między doradcami króla, w pobliżu dworskiego księdza, który był spowiednikiem niektórych dam. Ten ksiądz nie dawał jej spokoju, wypytywał ciągle, dlaczego nie szuka duchowej porady, a kiedy odpowiadała, że nie czuje takiej potrzeby, marszczył brwi, jakby była największą grzesznicą. Kevin. Niemal czuła jego wygłodniałe dłonie na swoich piersiach, wydało jej się, że spojrzenie, które posłał jej przez stół, musiało być prawie słyszalne.

*Dziś w nocy. Dziś w nocy, ukochany. Dziś w nocy.*

*Och Bogini, jakże mogę uczynić to temu człowiekowi, który mnie kocha, który oddał w me ręce swą własną duszę... Przysięgam. Muszę dochować przysięgi albo stanę się taką samą zdrajczynią, jak on.*

Kiedy damy dworu rozeszły się do swych komnat, spotkali się na chwilę w mniejszej sali.

– Ukryłem twojego i mojego konia w zagajniku tuż za bramą – powiedział cicho i bardzo szybko. – Potem... potem zabiorę cię pani, gdzie tylko zechcesz – dodał drżącym szeptem.

*Nie wiesz jeszcze, gdzie ja cię zaprowadzę. Już jest za późno, by się cofnąć.*

– Och, Kevinie... Kocham cię – powiedziała przez łzy, których nie mogła powstrzymać. Wiedziała, że mówi prawdę. Tak mocno oplatała się wokół jego serca, że nie miała pojęcia, nie potrafiła sobie nawet wyobrazić, jak potem będzie mogła znieść życie bez niego.

Wydawało jej się, że całe nocne powietrze przepiękne jest magią, że inni też muszą dostrzegać to nieustanne drganie powietrza i wielką ciemność krążącą nad jej głową.

Musi coś wymyślić, by kobiety uwierzyły, że udała się na kilka godzin w jakichś ważnych sprawach. Powiedziała tym, z którymi dzieliła komnatę, że obiecała żonie jednego z szambelanów zająć się jej bolącym zębem i pewnie nie będzie jej przez dłuższy czas. Potem włożyła swój najciemniejszy, gruby płaszcz, do pasa przywiązała kapłański sztylet i wymknęła się cicho. Po chwili zatrzymała się w ciemnym zakamarku i przełożyła nóż do ukrytej kieszeni sukni.

Cokolwiek się stanie, Kevin nie powinien go zobaczyć.

*Jeśli zbyt wcześnie wydałoby się, że zawiodłam jego zaufanie, serce by mu pękło, myślała. A on by nawet nie wiedział, jakie to dla niego szczęście...*

Ciemność. Na ciemnym dziedzińcu nie było widać nawet cieni.

Ostrożnie stawiała kroki przy bladym świetle gwiazd. Po jakimś czasie weszła w jeszcze większą ciemność i usłyszała jego chrapliwy głos:

– Nimue?

– To ja, ukochany.

*Co jest większą zdradą – złamać przysięgę daną w Avalonie czy w ten sposób kłamać Kevinowi? Obie rzeczy są straszne... czy kłamstwo może w ogóle być dobre?*

Ujął ją pod ramię i dotyk jego ręki rozgrzał całe jej ciało. Oboje byli teraz pod silnym urokiem tej magicznej pory. Powiodł ją za bramę, w dół wzgórza, na którym wznosiło się miasto Kamelot. Zimą było tu grząsko i bagniście, teraz ziemia była sucha, pokryta bujną roślinnością. Zaprowadził ją do zagajnika.

*Bogini, zawsze wiedziałam, że tego dnia, kiedy oddam swoje dziewictwo, będzie to w gaju... nie wiedziałam jednak, że będzie to przy całej magii ciemnego księżyca...*

Przyciągnął ją do siebie i pocałował. Całe jego ciało płonęło.

Rozłożył ich oba płaszcze na trawie i pociągnął ją w dół. Jego powykręcane ręce drżały tak mocno, że sama musiała uporać się z rozwiązaniem tasiemek swej sukni.

– Dobrze, że jest tak ciemno... – powiedział głosem, który ledwie rozpoznała. – Nie przerazisz się mego kalekiego ciała...

– Nic, co twoje, nie mogłoby mnie przerazić, kochany – szepnęła i wyciągnęła do niego obie dłonie. W tej chwili mówiła absolutną prawdę, była całkowicie omotana zaklęciem, które sama na niego rzuciła. Wiedziała, że ten człowiek jest w jej rękach ciałem, sercem i duszą. Jednakże mimo wszystkich czarów była niedoświadczona i kiedy dotknęła jego twardniejącej męskości, cofnęła się z prawdziwym lękiem. Całował ją, pieścił i kołysał w ramionach.

Czuła płomień martwej fali, czuła, jak nadchodzi i zagęszcza się ciemność godziny czarów. Dokładnie w chwili, gdy fala osiągnęła szczyt, pociągnęła go na siebie. Wiedziała, że jeśli zaczeka, aż na niebie ukaże się nowy księżyc, utraci większość swej mocy.

– Nimue, Nimue, moja kochana... jesteś dziewicą, jeżeli chcesz, możemy sobie dać rozkosz, ale nie muszę brać twego dziewictwa – wyszeptał, kiedy poczuł, jak drży ze strachu.

To sprawiło, że miała ochotę się rozpłakać – to, że on, choć tak zaślepiiony swoją żądzą, z tą wielką rzeczą sterczącą mu między nogami, wciąż pamiętał, by pomyśleć o jej uczuciach... Krzyknęła jednak:

– Nie! Nie! Chcę ciebie! – I gwałtownie go przyciągnęła, wprowadzając go w siebie własnymi dłońmi. Niemal z radością, powitała ból; ból, krew, jego żądza, doprowadzały ją samą do jakiegoś szaleństwa, przywarła do niego mocno, jęczała, krzyczała z rozkoszy. A potem, w ostatniej chwili, odsunęła się od niego, a kiedy dyszał i błagał, szepnęła:

– Przysięgnij! Jesteś mój?

– Przysięgam! Już nie mogę... nie mogę... pozwól mi...

– Czekaj! Przysięgnij! Jesteś mój! Powiedz to!

– Przysięgam! Przysięgam na mą duszę!

– I po raz trzeci, czy jesteś mój...

– Jestem twój! Przysięgam! – Kiedy to powiedział, poczuła, jak wstrząsnął nim strach, zrozumiał, co się stało, ale teraz był na łasce swego podniecenia, poruszał się w niej gwałtownie, krzyczał i dyszał ciężko, jęczał, jakby w potwornym bólu. Dokładnie w tym samym momencie, gdy krzyknął po raz ostatni i opadł na nią wycieńczony, poczuła, jak zmienia się faza księżyca, a na nią spływa magiczny urok. Czuła, jak wlewa się w nią jego nasienie. Leżał cicho, jak martwy, a ona zadrżała. Oddychała z trudem, jak po wielkim wysiłku. Nie było w tym tak wiele przyjemności, o której tyle słyszała, było jednak coś większego niż przyjemność – nieopisany tryumf. Czar ciężko otaczał ich oboje, a ona miała w swoim władaniu jego ducha, i duszę, i esencję. Dłonią namacała jego spermę, która zmieszała się z krwią jej dziewictwa dokładnie w momencie, gdy księżyc się odwrócił. Wzięła jej trochę na palce i naznaczyła jego czoło. Pod tym dotykiem opadł na niego wielki urok. Usiadł prosto, sztywny i zamroczony.

– Kevinie – powiedziała. – Wsiądź na konia i jedź.

Podniósł się powoli, jakby ciało miał z łożowiu. Odwrócił się w kierunku koni, wtedy zrozumiała, że przy tak mocnym uroku musi być bardziej precyzyjna.

– Najpierw się odziej – przykazała.

Mechanicznie włożył swą szatę, zawiązał w pasie. Poruszał się sztywno, w nikłym blasku gwiazd zobaczyła jego oczy; mimo całkowitego zniewolenia jego ciała, wiedział już, że go zdradziła. Rozpacz i litość ścisnęły jej gardło, chciała go do siebie przytulić i zdjąć czar, i obsypać jego biedną twarz pocałunkami, i płakać, płakać nad zdradą ich miłości.

*Ja także przysięgałam. To przeznaczenie.*

Włożyła suknię i płaszcz, wsiadła na konia. Cicho odjechali drogą wiodącą do Avalonu. O świcie na brzegu będzie na nich czekała łódź wysłana przez Morgianę.

Na kilka godzin przed świtem Morgiana zbudziła się z niespokojnego snu, czując, że zadanie Nimue zostało wykonane. Cicho wstała, ubrała się, zbudziła Ninianę i pozostałe kapłanki. Powoli, w szeregu, zeszły na brzeg Jeziora. Wszystkie miały ciemne suknie, poplamione skórzane tuniki, włosy splecione w pojedynczy warkocz na plecach, ostre sztylety o czarnych rączkach przypasane do talii. Szły w milczeniu, Morgiana i Niniana na przedzie. Gdy niebo zaczęło rozblęyskać pierwszym bladym różem, Morgiana dała znak oczekującej łodzi. Patrzyła, jak znika we mgle.

Czekały. Robiło się coraz jaśniej. W chwili gdy słońce zaczęło wschodzić, powracająca łódź wynurzyła się z mgły. Morgiana widziała Nimue stojącą na dziobie. Kaptur płaszcza miała zarzucony na głowę, stała wysoka i wyprostowana. Twarz miała jednak ukrytą w cieniu kaptura. Na dnie łodzi leżał bezwładny tłumok.



*Co ona mu zrobiła? Czy jest martwy czy tylko zauroczony?* Morgiana pomyślała, że wolałaby, by rzeczywiście był martwy, by z rozpaczy, czy przerażenia, sam odebrał sobie życie. Po dwakroć rzuciła się w gniewie na tego człowieka i nazwała go zdrajcą Avalonu, a za trzecim razem okazał się naprawdę największym ze zdrajców, tym, który wykradł Święte Regalia z ich świątyni. O tak, zasługuje na śmierć, nawet na taką śmierć, jaką mu zgotowano tego ranka. Naradziła się z Druidami i oni się zgodzili co do jednego, że winien skonać w dębowym gaju i że nie zasługuje na szybką i miłosierną śmierć. Tak wielkiej zdrady nie znano w Brytanii od czasów kapłanki Eilany, która potajemnie poślubiła rzymskiego prokonsula i ogłosiła fałszywe przepowiednie, powstrzymując tym Plemiona od powstania przeciw Rzymianom. Eilana zginęła na stosie, a wraz z nią trzy inne, będące z nią w zмовie kapłanki. Czyn Kevina też nie był tylko zwykłą zdradą, lecz świętokradztwem, jak w przypadku Eilany, która podszyła się pod głos Bogini. Taki czyn musi zostać odpowiednio ukarany.

Dwóch ludzi z załogi pomogło Merlinowi wstać. Był niekompletnie ubrany, luźno związana szata ledwie skrywała jego nagość. Włosy miał w nieładzie, twarz bladą i nieprzytomną... omamiony ziołami czy czarami? Usiłował ruszyć się z miejsca, ale bez swoich lasek zachwiał się i szukał oparcia. Nimue stała bez ruchu. Nie patrzyła na niego, twarz wciąż miała ukrytą pod kapturem, ale kiedy pojawiły się pierwsze promienie słoneczne, odrzuciła kaptur i w tym samym momencie Kevin, dotknięty słonecznym blaskiem, obudził się z letargu. Morgiana widziała, jak na jego twarzy pojawia się świadomość i zaskoczenie. Wiedział już chyba, gdzie jest i co się stało.

Morgiana widziała, jak spogląda na Nimue, jak mruga z niedowierzaniem na widok łodzi Avalonu. A potem, w jednej chwili, w jego oczach pojawiło się całkowite zrozumienie zdrady, której padł ofiarą. Pochylił głowę zaskoczony i zawstydzony.

*A więc teraz dowiedział się, jak to jest nie tylko zdradzać, ale i być zdradzonym...*

I wtedy Morgiana spojrzała na Nimue. Dziewczyna była blada, jakby krew całkowicie odpłynęła z jej twarzy, długie włosy miała rozrzucone w nieładzie, choć widać było, że starała się je jakoś zapleść. Nimue patrzyła teraz na Kevina, a gdy z niechęcią odwrócił od niej głowę, wargi jej zadrżały.

*Ona go kocha, czar zemścił się na niej. Powinnam była przewidzieć, że zakłęcie tak pełne mocy pociągnie za sobą także osobę, która je rzuca,* myślała Morgiana.

Nimue złożyła jednak niski ukłon, jak wymagały tego zwyczaje Avalonu.

– Pani i matko – powiedziała bezbarwnym głosem. – Przeprowadziłam ci zdrajcę, który wykradł Święte Regalia.

Morgiana wyszła krok do przodu i uściskała dziewczynę, która aż skurczyła się pod jej dotykiem.

– Witaj w domu, Nimue, kapłanko, siostró – powiedziała, całując ją w mokry od łez policzek. Całym swym ciałem czuła bezgraniczną rozpacz dziewczyny. *Och Bogini, czy ją także ma to zniszczyć? Jeśli tak, to zapłaciłyśmy za życie Kevina zbyt wielką cenę...*

– Idź teraz, Nimue – powiedziała ze współczuciem. – Pozwól, niech cię odprowadzą do Domu Dziewcząt, twoje zadanie jest skończone. Nie musisz być świadkiem tego, co się teraz stanie, wykonałaś swoją część i dosyć się już nacierpiałaś.

– A co się stanie z... z nim? – szepnęła Nimue.

Morgiana mocno ją przytuliła.

– Dziecinko, dziecko moje, to już ciebie nie dotyczy. Wykonałaś swoje zadanie z siłą i odwagą, to wystarczy.

Nimue wstrzymała oddech, jakby miała się rozplakać, ale nie zrobiła tego. Raz jeszcze spojrzała na Kevina, lecz ten znów odwrócił oczy, w końcu, drżąc tak mocno, że ledwie mogła iść, pozwoliła się zabrać dwóm kapłankom. Morgiana przykazała im bardzo cicho:

– Nie dręczcie jej pytaniami. Zrobiła, co musiała. Dajcie jej spokój.

Kiedy Nimue odeszła, Morgiana zwróciła się do Kevina. Spojrzała mu w oczy i uderzył ją wypełniający je ból. Ten mężczyzna był kiedyś jej kochankiem, ale był też kimś więcej; był jedynym człowiekiem, który nigdy nie próbował jej wciągnąć w żadne polityczne układy, nigdy nie próbował wykorzystać jej wysokiego urodzenia i pozycji, nigdy nie prosił jej o nic, z wyjątkiem miłości. Przywrócił ją życiu i wyciągnął z piekła w Tintagel, przyszedł do niej jako Bóg, możliwe, że był jedynym prawdziwym przyjacielem, jakiego miała w życiu. Mimo bólu, który zaciskał jej gardło, zmusiła się, by przemówić.

– Cóż, Kevinie Harfiarzu, fałszywy Merlinie, krzywoprzysięzco, czy masz jej coś do powiedzenia, zanim usłyszysz jej wyrok?

Kevin potrząsnął głową.

– Nie mam do powiedzenia nic, co uznałabyś za ważne, Pani Jeziora.

Poprzez ogłuszającą ją rozpacz, jak przez gęstą mgłę przypomniała sobie, że on był pierwszym, który przyznał jej ten tytuł.

– Niech więc tak będzie – odparła, zachowując kamienną twarz. – Zaprowadźcie go na sąd.

Zrobił jeden krok pomiędzy swymi strażnikami, ale zatrzymał się, odwrócił i spojrzał jej prosto w twarz.

– Nie, poczekajcie – powiedział. – Okazuje się, że jednak mam ci coś do powiedzenia, Morgiano z Avalonu. Powiedziałem ci kiedyś, że moje życie to niewielka cena w ofierze dla Bogini, i teraz chcę, byś wiedziała, że to dla niej zrobiłem to wszystko.

– Czy chcesz powiedzieć, że to dla Bogini wykradłeś Święte Regalia i oddałeś je w ręce księży? – spytała Niniana oburzonym głosem. – W takim razie jesteś nie tylko zdrajcą, jesteś także szalony! Odprowadźcie tego zdrajcę! – rozkazała, lecz Morgiana dała znak, by się powstrzymano.

– Nie, zostanie wysłuchany.

– Tak właśnie było – powiedział Kevin. – Pani, powiedziałem ci to już raz, dni Avalonu dobiegły końca. Nazarejczyk zwyciężył, a my musimy odejść we mgły, coraz dalej i dalej, aż staniemy się jedynie legendą czy marzeniem. Czy więc zabierzesz Święte Regalia w tę ciemność wraz ze sobą, zachowując je na świt tego nowego jutra, które teraz już nigdy nie nastąpi? I jeśli nawet Avalon musi zniknąć, to uważałem za słuszne, by święte przedmioty pozostały na świecie, w służbie Boga, pod jakimkolwiek imieniem, czy imionami, ludzie będą go czcić. I dzięki temu, co uczyniłem, Bogini choć raz ukazała się w zewnętrznym świecie, i to w sposób, który nigdy nie ulegnie zapomnieniu. Uczta Świętego Graala będzie pamiętana, moja Morgiano, kiedy ty i ja od dawna będziemy już tylko legendą lub baśnią opowiadaną dzieciom przy kominku. Nie uważam, by stało się to nadaremnie, i ty też nie powinnaś tak sądzić, ty, która niosłaś tego dnia kielich jako jej kapłanka. A teraz zrób ze mną, co chcesz.

Morgiana spuściła głowę. Wspomnienie tamtej chwili ekstazy i objawienia, gdy jako sama Bogini obnosiła między ludźmi Graala, pozostanie z nią do samej śmierci. A życie tych, którzy doświadczyli tej wizji, niezależnie od tego, co w niej ujrzeli, nigdy już nie będzie takie samo. Teraz jednak musi być dla Kevina Boginią Zemsty, Śmiercią Kostuchą, szalejącą lochą, która pożera swoje własne młode, Wielkim Krukiem, Panią Zniszczenia...

A jednak on dał Bogini tak wiele. Wyciągnęła do niego rękę... i zatrzymała się, bo pod dłonią, tak jak kiedyś, znów ujrzała nagą, trupa czaszkę...

*...nie, to tylko on widzi już swą własną śmierć, a ja ją widzę jego oczyma... Nie powinien cierpieć i umierać w męczarniach. Powiedział prawdę: uczynił to, co Bogini przykazała mu uczynić, a teraz ja muszę uczynić to samo...*

Zaczekała, aż głos jej się uspokoi. W oddali usłyszała niski pomruk grzmotu. W końcu się odezwała:

– Bogini jest miłosierna. Zabierzcie go do dębowego gaju, jak uradzono, lecz tam zabijcie go szybko, jednym ciosem. Pochowajcie go pod wielkim dębem i od tej chwili niechaj to miejsce na wieki będzie omijane przez wszystkich ludzi. Kevinie, ostatni z Posłańców Bogini, przeklinam cię, abyś zapomniał wszystko, byś narodził się powtórnie bez przywilejów kapłańskich i bez oświecenia, niechaj wszystko, czego nauczyłeś się w poprzednich żywotach zostanie wymazane, a ty podzielisz los ludzi raz narodzonych. I będziesz powracał przez sto żywotów, Kevinie Harfiarzu, zawsze szukając Bogini i nigdy nie mogąc jej odnaleźć. Jednakże na końcu, Kevinie, niegdyś Merlinie, powiadam ci, jeżeli ona cię zechce, bądź pewien, że znów ją odnajdziesz.

Kevin patrzył prosto na nią. Uśmiechnął się tym swoim dziwnym, słodkim uśmiechem i powiedział niemal szeptem:

– Tak więc żegnaj, Pani Jeziora. Powiedz Nimue, że ją kochałem... choć możliwe, że sam jej to powiem. Bo zdaje mi się, że minie wiele, bardzo, bardzo wiele czasu, zanim ty i ja znów się spotkamy, Morgiano.

Jego słowom towarzyszyły kolejne, ciche grzmoty. Gdy ruszył przed siebie, kuśtykając, Morgiana zadrzała. Nie obejrzał się za siebie, podpierał się na ramionach swych strażników.

*Dlaczego czuję taki wstyd? Okazałam miłosierdzie; przecież mogłam go kazać torturować. Mnie też mogą teraz nazwać zdrajczynią za moją słabość i za to, że nie zabrano go do dębowego gaju na takie tortury, by modlił się o własną śmierć i krzyczał tak, aż same drzewa zadrzą ze strachu... Czy okazałam tę słabość tylko dlatego, że nie mogę skazać na męczarnie człowieka, którego kiedyś kochałam? Jeśli jego śmierć będzie tak łatwa, to czy Bogini nie zechce się potem zemścić na mnie? Niech tak będzie, nawet gdybym to ja musiała wycierpieć te same katusze, których jemu chciałam oszczędzić.*

Otrząsnęła się z zamyślenia i spojrzała na szare, burzowe chmury pokrywające niebo.

*Kevin cierpiał przez całe swoje życie. Nie dodam do jego losu niczego więcej, poza śmiercią.* Błyskawica rozświetliła niebo, a ona pomyślała przeszyta nagłym dreszczem – a może tylko zatrzęsła się z zimna, które przyszło wraz z pędzącym wichrem? *Tak odchodzi ostatni z wielkich Merlinów, odchodzi w burzę, która rozpełtała się nad Avalonem.*

Skinęła na Ninianę.

– Idź i dopilnuj, by moje rozkazy zostały należycie wykonane, niech zabiją go jednym ciosem i nie zostawiają jego ciała na ziemi nawet przez godzinę.

Widziała, jak zdziwiony wzrok młodszej kobiety sonduje jej twarz, czy zatem wszyscy wiedzą, że Kevin był niegdyś jej kochankiem?

Ale Niniana zapytała tylko:

– A ty, Pani?

– Ja pójdę teraz do Nimue. Będzie mnie potrzebowała.

Nimue nie było jednak w przeznaczonych dla niej komnacie w Domu Dziewcząt ani nigdzie w całym budynku. Kiedy Morgiana pobiegła przez zalany deszczem dziedziniec, stwierdziła także, że nie ma jej w małym domku na uboczu, gdzie kiedyś Nimue mieszkała z Raven. Nie było jej nigdzie w całej świątyni, a jedna z kapłanek powiedziała, że Nimue odmówiła strawy, wina, a nawet kąpieli.

Straszne podejrzenie narastało w Morgianie z każdym uderzeniem gromu, z każdą błyskawicą, a potworna burza zdawała się szaleć coraz bliżej. Kazała przywołać kapłanki, chciała im rozkazać, by szukały Nimue w całym Avalonie. Zanim to jednak zdążyła uczynić, przysłała Niniana, blada jak śmierć, a z nią ci, którzy byli świadkami śmierci Kevina.

– Co się stało? – spytała Morgiana – Czy nie wykonano mojego rozkazu?

– Został zabity jednym ciosem, Pani Jeziora – wyszeptła Niniana – lecz równocześnie z ciosem spadł wielki piorun i uderzył w święty dąb, i rozdarł go na pół. I teraz w świętym dębie jest wielka szczelina, od korony aż po ziemię...

Morgiana czuła, jak rosnąca kula zatyka jej gardło. *To całkiem normalne, że z burzą nadchodzą pioruny, a one zawsze uderzają w najwyższe punkty. Jednak stało się to dokładnie w tej samej chwili, kiedy Kevin przepowiedział koniec Avalonu...*

Znów zadrżała i okręciła się szczerzej płaszczem, by ci, którzy na nią patrzą, nie widzieli jej drżenia. Jak może wytłumaczyć im ten omen, bo był to z pewnością omen, i nie mówić o nieuniknionym końcu Avalonu?

– Tak więc Bóg sam przygotował miejsce dla zdrajcy. Pochowajcie go zatem w tej szczelinie dębowego pnia...

Złożyli niski ukłon i odeszli, wśród ulewnego deszczu i odgłosów piorunów, a Morgiana dopiero teraz zorientowała się, że zapomniała o Nimue. Jednak jakiś głos wewnętrzny powiedział jej: *Teraz jest już za późno.*

Znaleźli ją w samo południe, w chwili gdy po wielkiej burzy znów wyjrzało słońce. Unosiła się między trzciniami na wodach Jeziora. Jej długie włosy rozpościerały się na powierzchni jak złote wodorosty, a Morgiana, choć oszalała z rozpacz, w głębi serca nie potrafiła żałować, że Kevin nie odszedł samotnie do cieniejszej krainy poza śmiercią.

## 12

W mrocznych dniach, które nadeszły po śmierci Kevina, Morgiana często rozmyślała nad tym, że Bogini chyba rzeczywiście postanowiła zniszczyć Rycerzy Okrągłego Stołu. Dlaczego jednak było jej wolą także zniszczenie Avalonu?

*Starzeję się. Nie żyje Raven, nie żyje także Nimue, która miała być po mnie Panią Jeziora. A Bogini nie położyła swej dłoni na nikim innym, by służył jako jej wieszczka. Kevin leży pochowany w dębie. Co się teraz stanie z Avalonem?*

Wydawało się, że świat się zmienił, tamten świat poza zasłoną z mgieł zdawał się biec w coraz to szybszym tempie. Już nikt poza nią samą i kilkoma najstarszymi kapłankami nie potrafił otworzyć magicznego przejścia przez mgły. Nie było zresztą zbyt wielu powodów, by to robić. Bywało tak, że odchodziła trochę dalej i nagle przestawała widzieć księżyc czy słońce – wiedziała wtedy, że przekroczyła granice czarownej krainy. Widywała jednak tylko niejasne zarysy jej mieszkańców, przemykające między drzewami, nigdy więcej nie ujrzała już ich królowej.

Zastanawiała się, czy Bogini rzeczywiście ich nie opuściła, bo niektóre z kapłanek z Domu Dziewcząt wróciły do zewnętrznego świata, a inne zapuściły się do czarownej krainy i już nigdy nie powróciły do Avalonu.

*Bogini po raz ostatni przyszła na ten świat w dniu, kiedy niosła Graala przez wielką salę Kamelotu, myślała, a potem zastanawiała się, niepewna, czy to faktycznie Bogini trzymała wtedy kielich, czy też była to tylko iluzja wywołana przez nią samą i przez Ravena?*

*Przywołałam Boginię i znalazłam ją w sobie.*

Morgiana wiedziała, że już nigdy więcej nie będzie mogła szukać ukojenia czy rady gdziekolwiek na zewnątrz, poza sobą samą. Mogła już spoglądać tylko w siebie. Nie było już

nikogo: ani wieszczki, ani Druidów czy doradców, ani Bogini, by się do nich zwrócić. Nikogo, poza nią samą. Od czasu do czasu, z przyzwyczajenia, próbowała przywołać obraz Bogini, ale nie widziała nic, czasem tylko Igrianę – nie tę starą, posłuszną księżom żonę i wdowę po Utherze, lecz piękną i młodą matkę, która kiedyś kazała jej opiekować się Arturem i która oddała ją w ręce Viviany. Czasami widywała też twarz Viviany, która posłała ją do łoża Rogatego Pana, czy Raven, która stała u jej boku w tamtej wielkiej chwili.

*One są Boginiami, i ja jestem Boginią, i nie ma żadnej innej.*

Nie wierzyła już zbyt w magiczne zwierciadło, lecz od czasu do czasu, przy ciemnym księżycu, chodziła się napić ze źródła i spojrzeć w taflę wody. Widywała tylko niejasne migawki: Rycerze Okrągłego Stołu jeździli tu i tam, ścigając swe marzenia, kierowani przeczuciem i wizjami, ale żaden z nich nie odnalazł prawdziwego Graala. Niektórzy zupełnie zapomnieli o celu wyprawy i jeździli jedynie w poszukiwaniu przygód; niektórzy napotkali tak wiele przeszkód, że nie byli w stanie im sprostać, i zginęli; jedni robili dobre uczynki, inni złe. Jeden czy dwaj, w chwilach porażającej wizji, przyśnili swego własnego Graala i także umarli. Inni, idąc za rozkazem swych wizji, udali się na pielgrzymki do Ziemi Świętej; jeszcze inni, niesieni wихrem, który w tych czasach zdawał się szaleć na całym świecie, wycofali się w samotność i pustelnicze życie, w swych prymitywnych jaskiniach i lepiankach szukając ciszy i zadośćuczynienia, Morgiana nie wiedziała jednak, jakie wizje ich nawiedzały – Graala czy też zupełnie inne.

Raz czy dwa mignęły jej twarze, które znała. Ujrzała Mordreda w Kamelocie, u boku Artura. Widziała też Galahada, jak wciąż szukał Graala; ale potem nie zobaczyła go już nigdy więcej i zastanawiała się, czy nie spotkała go śmierć.

Raz widziała biegnącego po lesie Lancelota, na wpół nagiego, odzianego w zwierzęce skóry; włosy miał długie i skołtunione, nie miał przy sobie oręża. W jego oczach był błysk szaleństwa. Cóż, już wcześniej odgadła, że ta wyprawa może go doprowadzić jedynie do szaleństwa lub rozpacy. Potem co miesiąc wciąż próbowała go znów zobaczyć w zwierciadle, ale przez długi czas jej się to nie udawało. Potem ujrzała go, jak śpi, niemal nagi, w łachmanach, gdzieś na sianie, a wokół niego wznoszą się ściany lochu czy więzienia... i nie widziała go już więcej.

*Och, Bogowie, czy on także odszedł... wraz z tyloma innymi ludźmi Artura...*

*Zaprawdę, Graal nie był dla dworu Artura błogostawieństwem, lecz przekleństwem...*

*I stało się sprawiedliwie, Graal rzucił przekleństwo na zdrajcę, który chciał go sprofanować...*

*A teraz na zawsze zniknął z Avalonu.*

Przez długi czas Morgiana wierzyła, że z Kamelotu Graal został zabrany przez samą Boginię do siedziby Bogów, tak by ludzkość już nigdy więcej nie mogła go zbezczeszczyć. Była z tego rada, gdyż Graal został zbrukany winem chrześcijan, które było zarówno winem, jak i krwią, i sama nie wiedziała, jak można by go oczyścić.

Czasem docierały do Morgiana wieści z zewnętrznego świata.

Przynosili je starzy kapłani, którzy w tych dniach licznie przybywali do Avalonu, niektórzy byli chrześcijanami, z tych, którzy jeszcze oddawali Bogu cześć pospołu z Druidami i wierzyli, że sam Chrystus żył kiedyś w Avalonie, gdzie pobierał nauki. Teraz uciekali przed tym nowym pokoleniem chrześcijan, którzy w swym fanatyzmie pragnęli wytrzebić wszystkie inne formy wiary, poza swoją. Od nich to Morgiana dowiedziała się czegoś o Graalu.

Księża głosili teraz w całym kraju, że był to rzeczywiście ten sam kielich, z którego Chrystus pił podczas Ostatniej Wieczerzy, i że został zabrany do nieba, i już nigdy więcej nie ukaże się na tym świecie. Równocześnie chodziły plotki, że widywano Graala na tej drugiej wyspie, Ynis Witrin, jak błyszczy w głębinie ich studni, tej samej studni, która w Avalonie była zwierciadłem Bogini; i dlatego mnisi i księża z Ynis Witrin zaczęli to miejsce nazywać Studnią Kielicha.

Kiedy starzy księża już od dawna mieszkali w Avalonie, Morgiana usłyszała od nich, że od czasu do czasu Graala można ujrzeć nad ołtarzem w ich kaplicy. *To musi być wola Bogini. Oni go nie sprofanują.* Nie wiedziała jednak, czy kielich rzeczywiście jest w tym starym kościele chrześcijańskich księży... a ten kościół stał dokładnie w tym samym miejscu co świątynia na drugiej wyspie, mówiono nawet, że w dniach, kiedy mgła rzedła, starzy księża z Avalonu mogli słyszeć mnichów śpiewających w swoim kościele, na Ynis Witrin.

Morgiana pamiętała jeszcze tamten dzień, gdy mgły zrzędyły na tyle, że Gwenifer przedostała się do Avalonu.

Czas w Avalonie płynął teraz bardzo dziwnie. Morgiana nie wiedziała, czy termin dwunastu miesięcy i jednego dnia – czas przysięgi rycerzy – już minął czy nie, czasami myślała, że w zewnętrznym świecie musiały już chyba upłynąć całe lata...

Długo rozmyślała nad słowami, które powiedział Kevin:... *mgły zamykają się nad Avalonem.*

A potem, któregoś dnia, zawołano ją nad brzeg Jeziora. Nie potrzebowała Wzroku, by odgadnąć, kto stoi na dziobie łodzi. Kiedyś Avalon był także jego domem. Włosy Lancelota były teraz całkiem siwe, a twarz chuda i zapadnięta, ale kiedy wyszedł z łodzi, a ona podeszła i podała mu obie dłonie, nie dostrzegła w jego twarzy ani śladu szaleństwa.

Spojrzał jej w oczy i nagle wydało się, że ona znów jest Morgianą z dawnych dni, gdy Avalon był żywą świątynią pełną kapłanek i Druidów, a nie opuszczoną ziemią zagubioną we mgle, z maleńką garstką starych kapłanek, kilkoma starymi Druidami i garścią na wpół zapomnianych, dawnych chrześcijan.

– Jak to się stało, że jesteś tak nie tknięta przez czas, Morgiano?! – zapytał. – Wszystko inne się zmieniło, nawet tutaj, w Avalonie, patrz, nawet kamienny krąg już zginął we mgle!

– Skąd, wciąż tam stoi – odparła – choć niektórzy z pewnością zgubiliby drogę, gdyby chcieli tam teraz dojść.

Przypomniała sobie, jak ostry ból w sercu, dzień – och, to było całe życie temu – ten dzień, kiedy ona i Lancelot leżeli razem w cieniu wielkich głązów.

– Myślę, że któregoś dnia krąg rzeczywiście całkiem odejdzie we mgłę i w ten sposób nigdy nie powali go ani ludzka ręka, ani wichry dziejów. Nie ma już nikogo, by odprawiał tam obrzędy... nawet ogni Beltanu nie rozpała się już w Avalonie, choć słyszałam, że stare obrzędy wciąż żyją w lasach i górach Północnej Walii i Kornwalii. Mały lud nie pozwoli im zniknąć, dopóki ktokolwiek z nich żyje. Jestem zaskoczona, że udało ci się tu dotrzeć, kuzynie.

Uśmiechnął się i dopiero wtedy dostrzegła ślady bólu i rozpaczy, i nawet szaleństwa – tak, nawet szaleństwa – wokół jego oczu.

– Sam nie wiedziałem, że tu właśnie jadę, kuzynko. Pamięć płata mi ostatnio figle. Byłem szalony, Morgiano. Wyrzuciłem swój miecz i żyłem w lasach jak dzikie zwierzę, a potem był czas, nie wiem nawet, jak długi, gdy byłem zamknięty w dziwnym lochu.

– Widziałam to – szepnęła. – Nie wiedziałam tylko, co to znaczy.

– Ja też nie wiedziałem, do dziś tego nie wiem – powiedział Lancelot. – Bardzo niewiele z tego pamiętam, myślę, że to łaska Boska, iż nie mogę pamiętać, co wtedy robiłem. I to chyba nie jest pierwszy raz... wiesz, były takie czasy, w ciągu tych lat małżeństwa z Elaine, że też prawie nie wiedziałem, co czynię...

– Ale teraz masz się już dobrze – powiedziała szybko. – Chodź i zjedz ze mną śniadanie, kuzynie, jest i tak za wcześnie na cokolwiek innego, obojętnie, w jakim celu tu przybyłeś.

Ruszył za nią, a Morgiana zaprowadziła go do swojej siedziby.

Jeśli nie liczyć usługującej jej kapłanki, Lancelot był pierwszą osobą, która tu weszła od bardzo dawna. Tego ranka podano świeżą rybę z Jeziora. Morgiana nałożyła mu ją własnymi rękoma.

– Och, jakie to dobre – powiedział i jadł z wielkim apetytem.

Ciekawa była, od jak dawna nie miał niczego w ustach. Włosy miał ułożone starannie, jak zwykle, te jego kręcone włosy – teraz już całkiem siwe, pojawiły się też siwe pasma w jego brodzie, krótko i elegancko przyciętej, a jego płaszcz, choć stary i wytarty, był czysty i wyszczotkowany. Zauważył, że ona patrzy na ten płaszcz, i zaśmiał się cicho.

– W dawnych czasach nie użyłbym tego płaszcza nawet jako derki pod siodło – powiedział. – Straciłem i odzież, i konia, i oręż, sam nie wiem gdzie, być może mnie z nich obrabowano albo sam wszystko wyrzuciłem w szaleństwie. Wiem tylko, że pewnego dnia usłyszałem, jak ktoś wymawia moje imię, a był to jeden z rycerzy, Lamorak, chyba... choć to wszystko wciąż jest bardzo mgliste w moim umyśle. Byłem zbyt słaby, by podróżować, ale choć on odjechał następnego dnia, ja zacząłem powoli odzyskiwać zmysły, a oni dali mi szatę i pozwolili mi jeść przy stole nożem, miast, jak dotąd, rzucać mi ochłapy do świńskiego koryta... – Jego śmiech był niepewny, nerwowy. – Podobno nawet gdy nie wiedziałem, że jestem Lancelotem, wciąż miałem tę swoją ogromną siłę i chyba kilku z nich nieźle



poraniłem. Zdaje się, że straciłem w ten sposób prawie rok z mojego życia... Pamiętam tylko urywki i to, że przez długi czas moją główną myślą było, by nikt się nie dowiedział, że jestem Lancelotem, żeby nie przyniosło to hańby Arturowi... – Zamilkł, a Morgiana odgadła jego cierpienie z tego, czego nie powiedział. – Cóż, powoli odzyskałem na tyle siły, by móc podróżować, a Lamorak zostawił tym ludziom pieniądze na konia i odzież dla mnie. Jednak większość z tego roku to ciemność...

Wziął kolejny kawałek chleba leżący na stole i starannie wytarł nim reszkę rybiego sosu.

– A co z wyprawą? – spytała Morgiana.

– No właśnie, co? Niewiele słyszałem, tu i tam, to i owo, kiedy jechałem przez te ziemie. Ponoć pierwszy powrócił do Kamelotu Gawain.

Morgiana uśmiechnęła się niemal wbrew swej woli.

– Ten zawsze umiał zadbać o swoje...

– Nie, najpierw o Artura. Jest bardziej oddany Arturowi niż najwierniejszy pies! – powiedział Lancelot. – A gdy tutaj jechałem, spotkałem jeszcze Garetha.

– Drogi Gareth! To najlepszy z synów Morgause. I co ci powiedział?

– Powiedział, że miał wizję – odparł Lancelot powoli – w której kazano mu wrócić na dwór i do swych obowiązków względem króla i ziemi i nie zwlekać dłużej, i nie dać się mamici wizjami świętych rzeczy. Rozmawiał ze mną bardzo długo, błagał mnie, bym porzucił poszukiwanie Graala i powrócił do Kamelotu.

– Dziwne, że tego nie uczyniłeś – powiedziała Morgiana.

– Ja też się sobie dziwię, kuzynko – odparł z uśmiechem. – A przecież obiecywałem powrócić tak prędko, jak tylko będę mógł... – Jego twarz nagle spoważniała. – Gareth mi powiedział, że Mordred jest teraz zawsze u boku Artura, i powiedział mi jeszcze, że skoro nie chcę wraz z nim wrócić na dwór, najlepsze, co mogę uczynić, to jak najszybciej znaleźć Galahada i przekonać go, by natychmiast przyjechał do Kamelotu, bo Gareth nie ufa Mordredowi i martwi go jego wpływ na Artura... Przykro mi, że źle mówię o twoim synu, Morgiano.

– Mordred powiedział mi kiedyś, że Galahad nie dożyje dnia, w którym mógłby objąć tron... ale przysiągł mi, że nie przyłoży ręki do jego śmierci i nie ośmieli się złamać przysięgi.

Lancelot był zmartwiony.

– Widziałem, jakie diabelskie przygody mogą się przytrafiać rycerzom na tej przeklętej wyprawie. Niech Bóg sprawi, bym odnalazł Galahada, nim padnie ofiarą jednej z nich!

Zapadła cisza, a Morgiana myślała: *Wiedziałam o tym, to dlatego Mordred odmówił wyruszenia na tę wyprawę.* Stwierdziła nagle, że już od dawna przestała w ogóle wierzyć, iż jej syn kiedykolwiek będzie tym wielkim Królem w imię Avalonu. Zastanawiała się teraz kiedy zaczęła się w sercu godzić z tą myślą. Być może już wtedy kiedy zginął Accolon, a Bogini nie wyciągnęła ręki, by chronić swych wybranych.

*Galahad będzie królem i będzie królem chrześcijańskim.*

*A to może równie dobrze oznaczać, że zabije Gwydiona. Cóż się stanie z Królem Bykiem, gdy młody byk dorosnie?* Jeżeli jednak dni Avalonu dobiegły już końca, to Galahad może objąć tron w pokoju, nie będzie musiał zabijać swego rywala.

Lancelot spojrzął poza nią, w kąt komnaty.

– Czy to harfa Viviany?

– Tak – potwierdziła. – Zostawiłam swoją w Tintagel. Ale myślę, że wedle prawa dziedziczenia ona jest twoja, możesz ją wziąć, jeśli chcesz.

– Nie gram już, nie mam ochoty grać, Morgiano. Wedle prawa ona jest twoja, tak jak wszystkie rzeczy, które należały do mojej matki.

Morgiana przypomniała sobie słowa, które niegdyś tak bardzo zraniły jej serce: *Gdybyś nie była tak podobna do mojej matki, Morgiano!* Teraz to wspomnienie nie niesło już ze sobą bólu, tylko ukojenie. Viviana nie odeszła całkowicie z tego świata, jeśli coś z niej przetrwało w Morgianie.

– Zostało nas już tak niewiele – powiedział Lancelot, zacinając się – tych... co pamiętają jeszcze... nasze wspólne dni w Caerleon... a potem w Kamelocie...

– Jest wciąż Artur i Gawain, i Gareth, i Kaj, i wielu, wielu innych, mój drogi. I bez wątplenia codziennie zapytują się wzajem: *Gdzie jest Lancelot?* Dlaczego więc jesteś tutaj, a nie tam?

– Mówiłem ci, że umysł mnie zawodzi... wcale nie wiedziałem, że tutaj jadę – powiedział Lancelot. – Ale skoro już tu jestem, to powinienem zapytać... kiedyś powiedziałaś, że jest tu Nimue...

Przypomniała sobie, tak, sama mu to powiedziała, kiedy on był pewien, że jego córka jest w tym samym klasztorze, gdzie kiedyś była Gwenifer.

– Powinienem więc chyba spytać, czy ma się dobrze? – powtórzył. – Czy jest szczęśliwa między kapłankami?

– Przykro mi – odparła. – Mam dla ciebie same złe wieści. Nimue zmarła rok temu.

Nie powie mu nic więcej. Lancelot nie wiedział nic o zdradzie Merlina ani o wizycie Nimue na dworze – przybyła tego samego dnia, gdy wszyscy ruszyli na wyprawę. Poznanie całej prawdy tylko by mu przysporzyło więcej bólu. Nie zadawał pytań, jedynie westchnął ciężko i wbił oczy w podłogę. W końcu zaczął znów mówić, wciąż nie podnosząc oczu.

– Najmłodsza, Gwenifer, jest już mężatką, mieszka w Mniejszej Brytanii, a ta wyprawa pochłonęła Galahada. Nie znałem moich dzieci... nigdy nawet nie próbowałem ich poznać. Wydawało mi się, że są wszystkim, co mogę dać Elaine, tak więc zostawiłem je całkowicie pod jej opieką, nawet chłopca. Przez jakiś czas jechałem wraz z Galahadem, tego dnia, gdy opuściliśmy Kamelot, i przez te dziesięć dni wspólnej jazdy poznałem go lepiej, niż przez całe szesnaście lat jego życia. Myślę, że jeśli przeżyje, może z niego być dobry rycerz...

Spojrzał na Morgianę niemal z błaganiem, a ona zrozumiała, że szuka potwierdzenia, ale nie mogła dać mu tej pociechy. W końcu powiedziała:

– Jeżeli przeżyje, będzie dobrym królem, myślę jednak, że będzie królem chrześcijańskim. – Przez chwilę wydało się, jakby wszystkie dźwięki Avalonu na moment umilkły, tak jakby same wody Jeziora i szumiące na brzegu trzciny całkowicie się uciszyły, by usłyszeć, jak ona mówi. – Jeśli przetrwa tę wyprawę po Graala, a nawet jeśli ją porzuci, to wszystko jedno, jego władanie będzie otoczone przez księży i na całych tych ziemiach będzie tylko jeden Bóg i jedna religia.

– Czy to będzie taka tragedia, Morgiano? – spytał Lancelot cicho. – Na wszystkich tych ziemiach chrześcijański Bóg przynosi duchowe odrodzenie, czy to takie zło, że ludzkość zapomniała o Misteriach?

– Nie zapomnieli o Misteriach – powiedziała. – One były dla nich za trudne. Oni chcą Boga, który się nimi zaopiekuje i nie będzie żądał, by trudzili się, żeby osiągnąć oświecenie. Chcą Boga, który przyjmie ich takimi, jakimi są, ze wszystkimi ich grzechami, i zmaże te grzechy, jeśli odpokutują. Prawda nie jest taka, nigdy taka nie będzie, być może jest to jednak jedyny sposób, w jaki nieoświeceni mogą myśleć o swoim Bogu.

Lancelot uśmiechnął się gorzko.

– Być może religia, która wymaga, by człowiek życie po życiu pracował na swoje zbawienie, jest za trudna dla ludzkości. Nie chcą czekać na Boską sprawiedliwość, lecz dostać ją już teraz. I to właśnie jest nagroda, którą ich mają chrześcijańscy księża.

Morgiana wiedziała, że powiedział prawdę. Strapiona spuściła głowę.

– A skoro to ich wizja Boga kształtuje całą rzeczywistość... trudno, widocznie tak musi być. Bogini istniała, dopóki ludzie wciąż oddawali jej cześć, i z nich czerpała swoją formę. Teraz ludzie stworzą sobie takiego Boga, jakiego wydaje im się, że pragną, i może będzie to właśnie taki Bóg, na jakiego zasługują.

Cóż, tak być musi, bo tak jak ludzie postrzegają rzeczywistość; taką ona się staje. Kiedy starzy Bogowie i Boginie byli postrzegani jako dawcy życia, taka rzeczywistość była natura. Kiedy księża nauczyli ludzi uważać całą naturę za coś złego, obcego, groźnego, a starych Bogów za demony, to oni takimi się stali, rządząc tą częścią ludzkiej natury, którą człowiek teraz chce w sobie stłumić, o której chce zapomnieć, miast, jak kiedyś, pozwalać, by go prowadziła...

Przypomniały jej się urywki czegoś, co czytała w starych księgach należących do księdza w pałacu Uriensa.

– I teraz ludzie staną się tacy, jak ten apostoł, co napisał, że winni być eunuchami królestwa Bożego... Myślę, że nie chciałabym żyć w tym świecie, Lancelocie.

Zmęczony rycerz westchnął i potrząsnął głową.

– Ja chyba też nie, Morgiano. A jednak będzie to świat prostszy od naszego i łatwiej będzie w nim rozpoznać, co należy czynić. Dlatego przyjechałem tu szukać Galahada, bo choć będzie chrześcijańskim królem, wciąż uważam, że będzie lepszym królem niż Mordred...

Morgiana zacisnęła pięści ukryte pod długimi rękawami sukni. *Nie jestem Boginią! Nie do mnie należy wybór!*

– Przyjechałeś go szukać tutaj, Lancelocie? Nigdy nie był jednym z nas. Mój syn, Gwydion-Mordred, był wychowany w Avalonie. On, gdyby opuścił dwór, mógł przyjechać właśnie tu. Ale Galahad? Jest tak pobożny, jak Elaine, nie ośmieliłby się postawić stopy na tej nieczystej ziemi diabłów i czarów!

– Ale tak jak ci powiedziałem, nie wiedziałem, że to tutaj jadę. Chciałem dotrzeć do Ynis Witrin i na Wyspę Księży, bo słyszałem pogłoski, iż w tamtejszym kościele pojawia się i znika magiczna światłość, a także to, że ich studnię zowią teraz Studnią Kielicha... myślałem, że może tam właśnie pojechał Galahad. I jakiś stary nawyk przywiódł mnie tutaj.

– Co naprawdę myślisz o tej wyprawie, Lancelocie? – spytała go bardzo poważnie, patrząc mu prosto w twarz.

– Nie wiem, naprawdę nie wiem, kuzynko – powiedział Lancelot. – Kiedy na nią wyruszałem, to było tak jak wtedy, gdy pojechałem zabić smoka starego Pellinora, pamiętasz to, Morgiano? Nikt z nas w to nie wierzył, a jednak w końcu znalazłem smoka i zabiłem go. Wiem tylko, że coś, coś bardzo świętego nawiedziło Kamelot tego dnia, gdy ujrzeliśmy Graala... Nie, nie mów mi, że to sobie wyobraziłem, Morgiano, nie było cię tam, nic o tym nie wiesz! Po raz pierwszy w życiu uwierzyłem, że jest gdzieś Tajemnica większa niż życie, nie z tego świata. Tak więc wyruszyłem, choć równocześnie czułem, że to szaleństwo... i kiedy przez jakiś czas jechałem z Galahadem, wydawało mi się, jakby jego wiara drwiła sobie z mojej, bo on był taki czysty, a jego wiara taka prosta i dobra, a ja byłem stary i zbrukany... – Lancelot wpatrywał się w podłogę, widziała, jak z trudem przetyka. – I dlatego w końcu musiałem się z nim rozstać... żeby nie zniszczyć tej jego jaśniejszej wiary... a potem nie wiem już, gdzie pojechałem, gdyż mgła zasnuła mój umysł, mgła i ciemność, i wydawało mi się, że Galahad musi znać wszystkie grzechy mego życia i musi mną za nie pogardzać.

Jego głos narastał w podnieceniu i Morgiana zauważyła, jak przez chwilę niezdrowy błysk powraca do jego wzroku, ten błysk, który widziała w oczach nagiego Lancelota biegnącego po lesie.

– Nie myśl już o tym, mój drogi, to już minęło – powiedziała szybko.

Wziął długi, głęboki oddech, widziała, jak błysk w jego wzroku powoli gaśnie.

– Teraz moim zadaniem jest odnalezienie Galahada. Nie wiem, co on wtedy zobaczył, może anioła... nie wiem też dlaczego, dlaczego wezwanie Graala tak mocno opętało jednych, a innych prawie wcale. Myślę, że ze wszystkich rycerzy jedynie Mordred nie ujrzał nic, a jeśli ujrzał, to zatrzymał to dla siebie.

*Mój syn wychowywał się w Avalonie. Nie dał się zwieść magii Bogini,* pomyślała Morgiana i już miała zamiar powiedzieć Lancelotowi, co wtedy naprawdę zobaczył. W młodości przeszedł przecież inicjację w Avalonie i nie powinien myśleć o tym, co się stało, jak o jakimś chrześcijańskim misterium. Słyszając jednak znów tę dziwną nutę w jego głosie,

opuściła głowę i nie rzekła nic. Bogini dała mu wizję ukojenia i nie wolno jej tego zniszczyć jednym słowem.

Tego pragnęła, nad tym pracowała. Artur wyrzekł się Bogini, a ona rozproszyła jego rycerzy wichrem wiejącym z jej świętego miejsca. Największą ironią było to, że najświętsza z jej wizji natchnęła największą legendę chrześcijańskiej wiary. Po długiej chwili Morgiana wyciągnęła do niego dłoń i powiedziała:

– Czasami zaczynam wierzyć, Lancelocie, że to, co my robimy, nie ma żadnego znaczenia. Bogowie robią z nami, co chcą, a nam się tylko wydaje, że to nasze czyny. Jesteśmy tylko narzędziami w ich rękach.

– Gdybym w to uwierzył – odparł Lancelot – musiałbym oszaleć raz na zawsze.

Morgiana uśmiechnęła się smutno.

– A ja chyba bym oszalała, gdybym w to właśnie nie wierzyła. Ja muszę wierzyć, że nie w mojej mocy było czynić inaczej, niż robiłam.

*...muszę wierzyć, że nigdy nie miałam wyboru... wyboru, by odmówić Wielkiego Związku, wyboru, by móc zniszczyć Mordreda przed narodzeniem, wyboru, by odmówić, gdy Artur oddawał mnie Uriensowi, wyboru, by nie przyłożyć ręki do śmierci Avallocha, i wyboru, by zatrzymać Accolona u mego boku... wyboru, by oszczędzić Kevina, i Nimue...*

– A ja muszę wierzyć, że człowiek ma moc, by rozpoznawać, co jest słuszne, by móc wybierać między dobrem i złem i wiedzieć, że jego wybór ma znaczenie... – powiedział Lancelot.

– O tak... jeżeli wie, co jest dobre. Lecz czy nie wydaje ci się, kuzynie, że na tym świecie zło zawsze nosi maskę dobra? Czasami myślę, że to Bogini sprawia, iż zło wydaje nam się dobrem, a jedyne, co możemy uczynić...

– Ależ wtedy Bogini byłaby właśnie takim diabłem, jak mówią o niej księża – przerwał jej Lancelot.

– Lancelocie – powiedziała cicho, pochylając się do przodu i patrząc mu głęboko w oczy.

– Nigdy nie obwiniaj siebie. Czyniłeś zawsze to, co musiałeś! Uwierz, że takie było twoje przeznaczenie.

– O nie, musiałbym się natychmiast zabić, by Bogini nie mogła się już dłużej mną posługiwać i czynić więcej zła – odparł Lancelot gorąco. – Morgiano, ty masz dar Wzroku, a ja nie mogę... nie mogę uwierzyć, że jest wolą Boga, by Artur i cały jego dwór wpadli w ręce Mordreda! Powiedziałem ci, że przyjechałem tu nieświadomie, bo umysł mnie zwiódł, ale teraz myślę, że być może stało się lepiej, niż sam przypuszczałem. Ty, która masz Wzrok, możesz przecież spojrzeć w zwierciadło i zobaczyć dla mnie, gdzie powędrował Galahad! Nawet narażając się na jego gniew, zażądam od niego stanowczo, by przerwał tę wyprawę i powrócił do Kamelotu!

Morgianie wydało się, że ziemia osuwa się pod jej stopami.

Kiedyś nieopatrznie weszła na ruchome piaski i poczuła, jak ziemia usuwa się pod nią. Teraz czuła podobnie, czuła, że natychmiast musi rzucić się na bezpieczny grunt... usłyszała swój głos, jakby dochodził z bardzo daleka:

– Zaprawdę, powrócisz do Kamelotu ze swoim synem, Lancelocie... – I zastanawiała się, dlaczego w całym ciele poczuła przenikliwy chłód. – Spojrzę dla ciebie w zwierciadło, kuzynie. Pamiętaj jednak, że nie znam Galahada i mogę nie ujrzeć niczego, co będzie tobie pomocne.

– Obiecuj mi jednak, że zrobisz, co będziesz mogła – błagał Lancelot.

– Powiedziałam ci już, spojrzę w zwierciadło. Ale będzie tak, jak zechce Bogini. Chodź.

Słońce stało już wysoko i kiedy schodzili ze wzgórza w kierunku Świętej Studni, nad ich głową zakrakał kruk. Lancelot przeżegnał się, by odpędzić zły omen, lecz Morgiana spojrzała w górę i spytała:

– Co mówisz, siostrze?

*Nie bój się*, usłyszała głos Raven w swoim umyśle. *Mordred nie zabije Galahada. To Artur zabije Mordreda.*

– Więc Artur wciąż będzie Królem Bykiem... – powiedziała Morgiana na głos.

Lancelot odwrócił się i przyglądał jej się zaskoczony:

– O czym ty mówisz, Morgiano?

*Nie do Świętej Studni, tylko do kaplicy. Natychmiast. To wyznaczony czas*, powiedział głos Raven w jej głowie.

– Gdzie my idziemy? – spytał po chwili Lancelot – Czyżbym zapomniał drogi do Świętej Studni?

Morgiana podniosła głowę i zobaczyła, że nogi same zaprowadziły ją nie do Studni, lecz do małej kaplicy, w której swoje modły odprawiało bractwo starych chrześcijan. Powiadano, że kaplica została wzniesiona przez pierwszych chrześcijan, w czasach, kiedy Józef wbił w ziemię swoją łaskę na wzgórzu zwanym Wearvall.

Wyciągnęła dłoń i zerwała kolec Świętego Głogu. Ukłuł jej palec aż do kości, a ona, niemal nie wiedząc, co robi, naznaczyła swoją krwią czoło Lancelota.

Patrzył na nią zdziwiony. Słyszała, jak starzy księża śpiewają cicho *Kyrie eleison, Christe eleison*. Szybko weszła do środka i ku swemu zaskoczeniu, uklękła. Kaplicę wypełniała mgła, a Morgianie wydało się, że poprzez mgłę widzi tę drugą świątynię, tę na Ynis Witrin, i słyszy głosy obu chórów, śpiewające... *Kyrie eleison...* słyszała również kobiece głosy; tak, to musi być śpiew z Ynis Witrin, bo w kaplicy Avalonu nie ma kobiet, to muszą być głosy zakonnice z tamtejszego klasztoru. Przez chwilę wydało jej się, że klęczy przy niej Igriana i że słyszy jej głos, czysty i dźwięczny, jak śpiewa *Christe eleison*. Przy ołtarzu stał ksiądz, ale jej wydało się, że widzi tam Nimue, piękną i młodą, jak Gwenifer, gdy była w tamtym klasztorze, jej złote włosy spływały kaskadą na plecy. Tym razem Morgiana patrzyła na te włosy nie z palącą zazdrością, lecz z czystym umiłowaniem piękna... Mgły zgęstniały, z trudem mogła już

dostrzec Lancelota klęczącego u jej boku, ale przed sobą ujrzała wyraźnie Galahada, klęczącego tuż przy ołtarzu w tej drugiej świątyni, jego uniesiona twarz jaśniała, odbijał się w niej blask... i zrozumiała, że on także wejrzał poprzez mgły i że on z kolei zobaczył świątynię w Avalonie, i ten ołtarz, na którym stał Graal...

Usłyszała, jak w tym drugim kościele dzwonią małe dzwoneczki, usłyszała też... nie wiedziała, czy to słowa tego księdza, który jest tu, w Avalonie, czy tego z Ynis Witrin... ale w jej umyśle był to łagodny głos Taliesina... „Gdyż tej nocy, której nasz Pan został zdradzony, wziął kielich, błogosławił i podawał swoim uczniom, mówiąc: *Pijcie z niego wszyscy, to jest bowiem krew moja, która za was zostanie przelana. Czyńcie to zawsze na moją pamiątkę.*”

Widziała cień księdza, który uniósł kielich w błogosławieństwie, a równocześnie widziała, że czyni to kapłanka Graala, Nimue... a może to ona sama, Morgiana, przytknęła kielich do jego ust?

Lancelot rzucił się do przodu, krzycząc:

– Światłość! Światłość! – I padł na kolana, zasłaniając oczy rękoma, a potem upadł twarzą na ziemię.

Pod dotykiem Graala cała twarz młodego Galahada pojaśniała i stała się realna, bliska, rzeczywista, mgła nagle zniknęła. Galahad naprawdę klęczał teraz przy ołtarzu w Avalonie i pił z kielicha.

...Gdyż tak, jak sok z wielu gron musiał zostać wyciśnięty, by zrobić to wino, tak my wszyscy łączymy się w tej bezkrwawej ofierze, by stać się Jednością z Wielkim Światłem i Nieskończonością...

I gdy niezmierna jasność wciąż świeciła mu prosto w twarz, Galahad wchłonął absolutną radość i spojrzał prosto w to światło.

Wyciągnął dłoń, by pochwycić kielich... i upadł do przodu, osunął się ze stopni ołtarza na posadzkę kaplicy i leżał tam nieruchomo.

*To śmierć, jeśli osoba nie przygotowana dotknie świętych przedmiotów...*

Morgiana zobaczyła Nimue – a może to była ona sama? – jak zakrywa twarz Galahada białym welonem. A potem Nimue już nie było, a kielich stał na ołtarzu, już tylko złoty kielich Misteriów, bez śladu tego niezmiernego światła... nie była nawet pewna, czy naprawdę tam stoi... znów otaczały go mgły. A Galahad leżał martwy w kaplicy Avalonu, zimny i nieruchomy, tuż obok Lancelota.

Minął długi czas, zanim Lancelot się poruszył, a gdy w końcu uniósł głowę, Morgiana widziała, że jego twarz kryje rozpacz.

– A ja nie byłem godzien, by pójść za nim... – wyszeptał.

– Musisz go zabrać ze sobą do Kamelotu – powiedziała Morgiana łagodnie. – On zwyciężył w wyprawie po Graala, ale była to jego ostatnia wyprawa. Nie mógł znieść światła.

– Ja też nie mogłem – szepnął Lancelot. – Patrz, to światło jest wciąż na jego twarzy! Co on ujrzał?

Powoli pokręciła głową, czując, jak chłód wpełza na jej ramiona.

– Ani ty, ani ja, nigdy się tego nie dowiemy, Lancelocie. Wiem tylko tyle, że umarł z Graalem przy ustach.

Lancelot spojrział na ołtarz. Księża cicho odeszli, zostawiając Morgianę samą z umarłym i żywym. A kielich, otoczony mgłą, wciąż tam stał, rzucając miękki blask.

Lancelot wstał.

– Tak. A to również pojedzie wraz ze mną do Kamelotu, by wszyscy ludzie mogli się dowiedzieć, że wyprawa została zakończona... i już żaden rycerz nie będzie musiał wyruszać w pogoń za niewiadomym ani umierać, ani szaleć...

Zrobił jeden krok w kierunku ołtarza, na którym błyszczał Graal, ale Morgiana otoczyła go ramionami i powstrzymała całym ciałem.

– Nie! To nie jest dla ciebie! Sam jego widok cię powalił! Ten, kto nie przygotowany dotknie świętego przedmiotu, zginie!

– A więc zginę dla niego – powiedział, lecz Morgiana trzymała go mocno i wkrótce poczuła, że ustępuje. – Dlaczego, Morgiano? – zapytał. – Dlaczego to samobójcze szaleństwo ma wciąż trwać?

– Nie – odparła zdecydowanie. – Wyprawa po Graala jest zakończona. Ciebie oszczędzono, byś powrócił do Kamelotu i powiedział im o tym. Ale nie możesz zabrać kielicha ze sobą. Żaden człowiek nie może go dotykać ani więzić. Ci, którzy w niego wierzą... – Słyszała własny głos, chociaż wcale nie wiedziała, co ma zamiar powiedzieć, zanim sama tego nie usłyszała: – Ci, którzy wierzą, zawsze go odnajdą, tutaj, poza światem śmiertelnych. Gdyby jednak powrócił z tobą do Kamelotu, wpadłby w ręce tych fanatycznych i ograniczonych księży i stał się dla nich narzędziem władzy... – Czuła, jak łyzy zmieniają jej głos. – Błagam cię, Lancelocie. Zostaw go tutaj, w Avalonie. Niechaj w tym nowym świecie pozbawionym magii będzie choć jedno Misterium, jedna tajemnica, której księża nie umieją opisać i zdefiniować raz na zawsze, której nie mogą włożyć w swój wąski dogmat, mówiący, co istnieje, a czego nie ma... – Głos całkiem jej się załamał. – W dniach, które nadchodzą, księża będą mówić ludzkości, co jest dobrem, a co złem, co trzeba myśleć, o co się modlić, w co wierzyć. Nie ma kresu tego... być może ludzkości potrzebny jest ten czas ciemności, tak by pewnego dnia mogła docenić, jakim błogosławieństwem jest światło. Lecz w tej ciemności, Lancelocie, niechaj pozostanie jeden błysk nadziei. Graal raz już przybył do Kamelotu. Niech pamięć tamtej wizyty nigdy nie będzie skalana widokiem Graala uwięzionego na jakimś ziemskim ołtarzu. Zostaw ludziom jedną Tajemnicę, jedno źródło wizji, za którym mogą podążać... – Słyszała, jak głos jej zamiera, aż staje się suchy, jak krakanie kruka.

Lancelot skłonił jej się nisko.



– Morgiano, czy też naprawdę jesteś Morgiana? Chyba już nie wiem, kim jesteś ani czym jesteś. Jednak to, co mówisz, jest prawdą. Niech Graal na zawsze pozostanie w Avalonie.

Morgiana dała znak ręką i niscy ludzie Avalonu podnieśli ciało Galahada i cicho zanieśli je do łodzi. Trzymając dłoń Lancelota w swojej, Morgiana także wyszła z kaplicy i poszła na brzeg. Spojrzała na leżące w łodzi ciało. Przez chwilę wydało jej się, że leży tam Artur, lecz obraz zniknął i widziała już tylko Galahada, z tym nieziemskim spokojem i światłem na twarzy.

– I tak wracasz do Kamelotu ze swym synem – powiedziała cicho – ale nie tak, jak przepowiedziałam. Wzrok jest nam chyba dany, by z nas drwić, widzimy to, co Bogowie chcą, byśmy widzieli, ale nigdy nie wiemy, co to znaczy. Myślę, że już nigdy więcej w życiu nie użyję Wzroku, kuzynie.

– Oby Bóg dał. – Lancelot na chwilę zamknął obie jej dłonie w swoich, potem pochylił się i ucałował je. – A więc w końcu się rozstajemy – powiedział cicho. I wtedy, mimo że jeszcze przed chwilą wyrzekała się Wzroku, Morgiana ujrzała w jego oczach to, co on teraz widział, kiedy na nią patrzył – dziewczynę, z którą leżał w kamiennym kręgu i od której odwrócił się z lęku przed Boginią; kobietę, do której przyszedł w szale pożądania, starając się zdusić w sobie miłość do Gwenifer i Artura; kobietę, którą widział bladą i straszną, gdy wysoko trzymała pochodnię, gdy przyłapano go w łożu z Elaine; a w końcu spokojną, cichą Panią Jeziora, otoczoną blaskiem, która kazała wynieść ciało jego martwego syna, a jego błagała, by pozostawił Graala na wieki poza realnym światem.

Morgiana złożyła pocałunek na jego czole. Nie potrzebowali słów, oboje wiedzieli, że jest to równocześnie pożegnanie i błogosławieństwo. Kiedy powoli odwrócił się i ruszył w kierunku czarodziejskiej łodzi, Morgiana obserwowała jego przygarbione ramiona, widziała, jak słońce odbija się od jego włosów. Były już całkiem białe... *Ja też jestem stara*, pomyślała.

I wtedy zrozumiała, dlaczego już nigdy więcej nie ujrzała królowej czarownicy krainy.

*Ja jestem teraz królową.*

*Nie ma innej Bogini, poza nią, a ja jestem nią...*

*A jednak ona jest ponad wszystkim, jest także w Igrianie i Vivianie, i Morgause, i Nimue, i królowej. A one wszystkie żyją także we mnie, a ona...*

*A w Avalonie wszystkie żyją na wieki.*

## 13

Daleko na północ, do krainy Lothianu, wieści o poszukiwaniu Graala docierały z rzadka i nie można było na nich polegać. Morgause oczekiwała na powrót swego młodego kochanka, Lamoraka. Pół roku później dostała wiadomość, że zginął na wyprawie. *Nie jest pierwszym, myślała, i nie będzie ostatnim, który straci życie z powodu potwornego szaleństwa, które*

*skazuje mężczyzn na pogoń za nieznanym! Zawsze uważałam, że religie i Bogowie to rodzaj szaleństwa. Wystarczy spojrzeć, co to przyniosło Arturowi! A teraz jeszcze zabrało mojego Lamoraka w tak młodym wieku!*

Cóż, odszedł i choć tęskniła za nim i wiedziała, że na swój sposób zawsze będzie go jej brakowało – był u jej boku dłużej niż ktokolwiek inny, poza Lotem – nie musi się jeszcze skazywać na samotność i puste łóżko. Obejrzała się w swoim starym lustrze z brązu, otarła ślady łez i znów się przejrzała. Jeżeli nawet nie ma już tej wybujałej urody, która rzuciła oczarowanego Lamoraka do jej stóp, wciąż jest przystojną kobietą; jest jeszcze w tym kraju dość mężczyzn, a przecież nie wszystkich ogarnęła gorączka tej wyprawy. Jest bogata, jest królową Lothianu i ma swoją kobiecą broń – jest ciągle piękna, ma wszystkie zęby, choć musi już przyciemniać brwi i rzęsy... zrobiły się ostatnio takie bladokóre. Cóż, mężczyźni zawsze się znajdują; wszyscy są głupcami, a mądra kobieta potrafi z nimi zrobić, co chce. Ona nie jest taka głupia, jak Morgiana, by poświęcać się dla cnoty czy wyższej sprawy, nie jest też pobożną idiotką, jak Gwenifer, by w kółko rozmyślać o swej duszy.

Od czasu do czasu dochodziły do niej różne opowieści o wyprawie, jedna bardziej nieprawdopodobna od drugiej. Dowiedziała się, że Lamorak pojechał do starego zamku Pellinora, przyciągnięty plotką, jakoby jakieś tajemnicze naczynie było ukryte w krypcie pod zamkiem. I tam właśnie umarł, krzycząc przed śmiercią, że widzi przed sobą Graala w dłoniach młodej dziewczyny, w dłoniach jego siostry, Elaine, takiej, jaką była w dzieciństwie... Morgause zastanawiała się, co też naprawdę zobaczył. Z krainy położonej blisko rzymskiego muru nadeszły wieści, że Lancelot jest więziony w lochu, gdzieś na dawnych ziemiach sir Ektoriusza, jako szaleniec, i że nikt nie śmie donieść o tym Arturowi; potem usłyszała, że przybył tam jego brat Bors i rozpoznał go, a Lancelot odzyskał zmysły i odjechał stamtąd. Nie wiedziała, czy znów wyruszył na poszukiwania, czy też powrócił do Kamelotu, i wcale jej to nie obchodziło. Być może, myślała, przy odrobinie szczęścia on też postrada życie na tej wyprawie, bo inaczej urok Gwenifer znów zwabi go na dwór Artura.

Tylko jej rozsądny Gwydion nie wyruszył na poszukiwania, lecz został w Kamelocie, blisko Artura. Żeby tak Gawain i Gareth mieli na tyle rozumu, by zrobić to samo! Teraz przynajmniej jej synowie zajmowali przy królu takie pozycje, które zawsze im się należały!

Miała jednak inne sposoby, by wiedzieć, co się dzieje. Kiedy była młodą dziewczyną w Avalonie, Viviana powiedziała jej, że ona nie ma ani cierpliwości, ani wytrwałości koniecznych do inicjacji w Misteria. Wiedziała, że tym razem Viviana miała rację, któż by chciał na tak długo wyrzekać się życia? Przez wiele lat wierzyła, że bramy Wzroku i magii są przed nią zamknięte, jeśli nie liczyć kilku prostych sztuczek, których sama się nauczyła. A potem, od chwili gdy po raz pierwszy użyła czarów, by odkryć, kto jest ojcem Gwydiona, zaczęła rozumieć, że sztuka magii jest tutaj, w zasięgu jej ręki, że nie potrzebuje do niej niczego więcej, poza swoją własną wolą; że magia nie ma nic wspólnego ze skomplikowanymi druidycznymi prawami, zakazami i ograniczeniami co do jej użycia ani

kłamstwami o Bogach. Jest to po prostu część życia, zwyczajna i dostępna, nie ma nic wspólnego z dobrem czy złem, lecz jest dostępna każdemu, kto ma w sobie dosyć silnej woli i bezwzględności, by jej użyć.

*Wszyscy ci, którzy wymyślają religie, myślała Morgause, chcą jedynie zatrzymać źródła mocy w swoich rękach. Teraz jednak ja mogę tych mocy używać do woli, bez wiązania się przysięgami i ślubami co do ich celu i zasięgu.*

Tak więc tej nocy, zamknięta w komnacie przed swą służbą, czyniła niezbędne przygotowania. Czuła obojętną litość dla białego pieska, którego tu przyprowadziła; poczuła też chwilę niekłamanego obrzydzenia, kiedy podcięła mu gardło i podstawiła pod nie miskę, by nałapać świeżej krwi; ale był to przecież jej pies, tak samo jej, jak prosiak, którego mogła kazać ubić na wieczerzę, a moc świeżej krwi była silniejsza i działała szybciej niż moc nagromadzona przez długie modlitwy i wyrzeczenia wymagane od kapłanek Avalonu. Przed kominkiem leżała już jedna z jej służących, oszołomiona i gotowa.

Tym razem Morgause nie wybrała żadnej, którą by w najmniejszym stopniu lubiła lub jej potrzebowała. Tej lekcji nauczyła się ostatnim razem. Teraz pomyślała z żalem o utracie dobrej prządki podczas poprzedniego seansu. Ta przynajmniej nie będzie stratą dla nikogo, nawet dla kucharki, która i tak ma pół tuzina podkuchennych więcej, niż naprawdę potrzebuje.

Wciąż jeszcze podczas tych przygotowań odczuwała lekką odrazę. Krew, którą musiała naznaczyć dłonie i czoło, była nieprzyjemnie lepka, wydało jej się jednak, że nawet gołym okiem może już zobaczyć delikatne fale magicznej mocy, unoszące się nad tą krwią jak dym. Księżyc skurczył się do rozmiarów najcieńszej z niteczek, wiedziała więc, że ta, która czeka w Kamelocie na jej wezwanie, będzie gotowa. Dokładnie w chwili, gdy księżyc przesunął się w odpowiednie miejsce na niebie, wylała resztę krwi na ogień i po trzykroć głośno zawołała:

– Morag! Morag! Morag!

Zamroczona kobieta przy kominku – Morgause niejasno przypomniała sobie, że na imię ma Bekka czy coś takiego – poruszyła się, jej puste oczy zaczęły nabierać głębi i wyrazu, a kiedy się podniosła, przez moment wydawało się, że jest odziana w piękne szaty jednej z dworek Gwenifer. I nie odezwała się z ciężkim akcentem przygłupiej wieśniaczki, lecz wyszukaną mową damy z północy.

– Przybywam na twe wezwanie. Czego ode mnie żądasz, Królowo Ciemności?

– Opowiedz mi o dworze. Co u królowej?

– Jest bardzo samotna, odkąd Lancelot wyjechał, lecz często woła do siebie młodego Gwydiona. Słyszano ponoć, jak mówiła, że jest on dla niej jak syn, którego nigdy nie miała. Sądzę, że sama już zapomniiała, iż jest to syn królowej Morgiany – powiedziała dziewczyna, a ta wyszukana wypowiedź komicznie nie pasowała do jej tępej twarzy, bezmyślnych oczu, chropowatych rąk i kuchennych łachmanów.

– Czy wciąż dodajesz lekarstwa do jej wieczornego wina?

– Nie ma takiej potrzeby, moja królowo. – Usłyszała obcy głos, który wydobywał się przez dziewczynę, jakby spoza niej. – Krwawienia królowej ustały już od ponad roku, tak więc przestałam dawać jej ten środek. A poza tym król i tak bardzo rzadko przychodzi teraz do jej łóża.

Tak więc największa obawa Morgause została zażegnana – że w jakiś sposób, wbrew wszelkim przewidywaniom, Gwenifer urodzi jeszcze dziecko, które zagrozi pozycji Gwydiona. Poddani króla i tak by nie zaakceptowali dziecka na tronie, po tych wszystkich latach pokoju za panowania Artura. Przypuszczała też, że w razie czego sam Gwydion nie miałby skrupułów, by pozbyć się takiego małego, nie chcianego rywala. Lepiej jednak było nie ryzykować – przecież właśnie sam Artur uszedł śmierci, pomimo wszystkich starań jej i Lota, i dożył wieku, by zasiąść na tronie.

*Czekałam zbyt długo. To Lot powinien zostać Najwyższym Królem tych wszystkich ziem, wiele lat temu, a ja jego królową. Teraz jednak nikt mnie nie powstrzyma. Viviana odeszła, Morgiana jest stara; Gwydion uczyni mnie królową. Jestem jedyną żywą istotą, której rady on posłucha.*

– A co z sir Mordredem, Morag? Czy król i królowa mu ufają?

Głos dziewczyny zaczął słabnąć i znacznie zwolnił.

– Nie potrafię powiedzieć... Mordred często jest u boku króla, raz słyszałam, jak król mówił do niego... *Rany, ale mnie głowa boli, co ja tu robię przy ogniu? Przecie mnie kucharka ze skóry obedrze...* – Był to głupawy głos Bekki, jeszcze tylko na wpół przytomny, i Morgause wiedziała, że daleko w Kamelocie Morag znów zapadła w swój dziwny sen, w którym stała przed królową Lothianu, czy też Królową Ciemności...

Morgause chwyciła naczynie z krwią i strzepnęła na ogień kilka ostatnich kropeł.

– Morag! Morag! Usłysz mnie, wróć tutaj, rozkazuję ci!

– Moja królowo – głos damy dochodził teraz jak z oddali – sir Mordred ma zawsze u swego boku jedną z tych kapłanek Pani Jeziora, mówią, że to jakaś krewna Artura...

*Niniana, córka Taliesina, pomyślała Morgause. Nie wiedziałam, że opuściła Avalon. Ale też i po co miałyby tam zostawać?*

– Sir Mordred został mianowany kapitanem królewskiej jazdy na czas, gdy nie ma Lancelota. Chodzą też słuchy... *Ojej, ile dymu, pani, czy chcesz podpalić cały zamek?* – Bekka przecierała oczy i krztusiła się. Rozwścieczona Morgause popchnęła ją mocno i dziewczyna, krzycząc, wpadła w ogień, ale wciąż była zamroczona i nie potrafiła się o własnych siłach wygrzebać z płomieni.

– Przeklęta, obudzi mi cały zamek! – Morgause chciała wyciągnąć dziewczynę z ognia, ale jej własna suknia też się zajęła, a potworne wrzaski dziewczyny kaleczyły uszy Morgause jak ostre igły. *Biedna dziewczyna, nic już dla niej nie można zrobić – jest taka poparzona, że nie będzie z niej żadnego pożytku, nawet jak przeżyje!*, pomyślała. Szybko wyciągnęła wrzeszczącą, szarpiącą się dziewczynę z płomieni i nie zważając na poparzenia własnych rąk,

położyła się na niej, przyciskając czoło do jej czoła, jakby chciała ją uspokoić, potem jednym cięciem poderżnęła jej gardło od ucha do ucha. Krew trysnęła na ogień, a dym uniósł się wysoko w komin.

Morgause poczuła, że cała się trzęsie od niespodziewanego przyływu mocy, a potem zaczęła się jakby rozrastać na cały pokój, na cały Lothian, na cały świat... Nigdy wcześniej nie ośmieliła się na tak wiele, ale teraz wydarzyło się to przypadkiem. Wydało jej się, że oto bezcielesna unosi się nad całym krajem. Po latach pokoju na drogach znów widoczne były wojska, a na zachodnim wybrzeżu lądowały wielkie statki brodatych wojowników, którzy grabili i palili miasta, burzyli klasztory, uprowadzali z nich kobiety... byli jak szkarłatny wichur, dochodzący już nawet do granic Kamelotu...

Morgause nie wiedziała, czy to, co widzi, rzeczywiście już dzieje się na tych ziemiach, czy też ma dopiero nadejść.

Krzyknęła w narastający mrok:

– Chcę zobaczyć mych synów na wyprawie po Graala!

Komnatę wypełniła ciemność, nagła i gęsta, przesiąknięta dziwnym zapachem spalenizny, a Morgause znalazła się na podłodze, na czworakach, powalona nagłą falą mocy. Dym trochę zrzędł, w ciemności pojawiło się niewielkie przejaśnienie, powietrze wokół niego drgało jak wywar gotujący się w kotle. Potem, w tym narastającym świetle, Morgause zobaczyła twarz swego najmłodszego syna, Garetha. Był brudny i strudzony, szaty miał w strzępach, lecz na twarzy miał swój dawny, radosny uśmiech, a w miarę, jak światła przybywało, Morgause ujrzała wyraźnie, że osoba, na którą on patrzy, to Lancelot.

Oj, teraz Gwenifer już by do niego nie wzdychała, nie spojrzaby nawet na tego schorowanego, wycieńzonego człowieka z siwymi włosami i śladami cierpienia i szaleństwa w zmarszczkach wokół oczu... przecież on wygląda jak strach na wróble wystawiony na polu, by odstraszać ptactwo od ziarna! Stara nienawiść przeszła jej serce; to nie do pomyślenia, że jej najmłodszy i najlepszy syn tak szanuje tego człowieka, że wciąż tak go kocha i poważa, jak wtedy kiedy był małym chłopcem bawiącym się drewnianymi rycerkami...

– Nie, Gareth – słyszała teraz cichy głos Lancelota – wiesz doskonale, dlaczego nie wracam na dwór. Nie chodzi mi o spójność własnej duszy, ani nawet o spójność królowej, ale o to, że ślubowałem poszukiwać Graala przez rok i jeden dzień.

– Ależ to czyste szaleństwo! Czym u diabła jest Graal wobec naszego króla w potrzebie? Ja przysięgałem jemu, i ty także, na wiele lat przedtem, zanim w ogóle usłyszeliśmy o Graalu! Kiedy myślę, że król Artur jest zupełnie osamotniony, że nie ma przy nim nikogo z jego wiernych rycerzy i towarzyszy, poza kilkoma starcami i kalekami, i tchórzami... to czasem się zastanawiam, czy ta wyprawa nie jest dziełem diabła przebranego za Boga, który pojawił się, by rozproszyć rycerzy Artura po całym świecie!

– Ja jestem pewien, że to było dzieło Boga – odparł Lancelot – Proszę, nie próbuj pozbawić mnie tej pewności – dodał gorąco i przez chwilę wydało się, że w jego oczach znów błysnęły iskierki szaleństwa.

Gareth odpowiedział dziwnie zduszonym głosem:

– A jeżeli Bóg czyni to samo, co diabeł? Nie wierzę, że jest wolą Boga, by to, nad czym Artur pracował tak ciężko przez ponad ćwierć wieku, teraz legło w gruzach! Czy wiesz, że na wybrzeżach znów lądują dzicy najeźdźcy z Północy, a kiedy tamtejszy lud woła o pomoc legiony Artura, nie ma nikogo, kto by przybył im na ratunek!?! Tak więc na odsiecz zbierają się saksońskie wojska, podczas kiedy Artur siedzi beczynnie w Kamelocie, a ty zajmujesz się sprawami własnej duszy... Lancelocie, błagam cię, skoro ty sam nie chcesz wrócić na dwór, to przynajmniej odzyskaj Galahada, każ jemu powrócić i zająć miejsce u boku Artura! Skoro król się starzeje i jego wola słabnie, oby Bóg uchował, żebym nie musiał być tego mówić... to może twój syn będzie mógł zająć jego miejsce, gdyż wszyscy wiedzą, że jest królewskim dziedzicem i adoptowanym synem!

– Galahad? – Głos Lancelota sposepniał. – Myślisz, że ja mam jakiś wpływ na mego syna? Ty i inni przysięgaliście poszukiwać Graala przez rok i jeden dzień, ale ja jechałem czas jakiś z Galahadem i wiem, że on jest zdecydowany dotrzymać tego, co ślubował owego dnia, że jeśli będzie trzeba, on nie zaprzestanie poszukiwań choćby przez całe życie!

– Nie! – Gareth pochylił się w siodle i chwycił Lancelota za ramiona. – Musisz koniecznie sprawić, by zrozumiał, iż za wszelką cenę powinien wrócić do Kamelotu! O Boże, Gwydion nazwałby mnie zdrajcą swej własnej krwi, a ja kocham Gwydiona, ale... jak mam to powiedzieć nawet tobie, mój kuzynie i bracie mego serca...? Nie ufam wpływowi tego człowieka na naszego króla! Saksoni, przybywający w misjach do Artura, rozmawiają teraz zawsze z Gwydionem, uważają go przede wszystkim za syna siostry Artura, a wśród nich, jak sam wiesz, panuje przekonanie, że to właśnie syn siostry jest dziedzicem...

– Przypomnij więc sobie, Garecie – odparł Lancelot z miłym uśmiechem – że tak samo było wśród ludzi Plemion, zanim przybyli Rzymianie. A my nie jesteśmy Rzymianami, ani ty, ani ja.

– Czy nie chcesz walczyć o prawa własnego syna? – spytał Gareth.

– Tylko Artur może postanowić, kto zajmie jego miejsce na tronie... jeżeli po nim w ogóle będzie jeszcze jakiś król. Czasami, gdy błąkałem się zagubiony w wizjach mego szaleństwa... nie, nie chcę ci o tym mówić, lecz wydaje mi się, że to było coś na kształt Wzroku... wydawało mi się wtedy, że kiedy Artur odejdzie, nad tą ziemią zapadną ciemności...

– I będzie tak, jakby Artura nigdy nie było? A co z twoją przysięgą złożoną Arturowi? – spytał Gareth, a Lancelot westchnął.

– Jeżeli tak tego chcesz, odzyskam Galahada.

– Tak szybko, jak tylko potrafisz – nalegał Gareth – i musisz go przekonać, że jego obowiązek wobec króla jest ponad wszelkie wyprawy, poszukiwania, Graale i Bogów...

– A jeśli nie zechce wrócić? – spytał Lancelot ze smutkiem.

– Jeśli nie zechce – odparł Gareth powoli – to być może nie jest takim królem, jakiego nam będzie trzeba po Arturze. W każdym razie jesteśmy w rękach Boga i oby nam obu dopomógł!

– Kuzynie i więcej niż bracie – powiedział Lancelot, obejmując go – wszyscy jesteśmy w Boskich rękach, cokolwiek się wydarzy. Jednak ślubuję ci, że odnajdę Galahada i przywiodę go ze sobą do Kamelotu, przysięgam...

I wtedy drganie powietrza i światło zniknęły. Twarz Garetha rozmyła się w ciemności i przez chwilę widoczne były tylko oczy Lancelota, przenikliwe i tak podobne do oczu Viviany, że Morgause wydało się, iż to jej siostra kapłanka patrzy na nią, marszcząc gniewnie brwi, jakby chciała powiedzieć: *Morgause, coś ty znowu zrobiła?* Potem i one zniknęły, a Morgause była sama przy kominku, krztusząc się dymem, z którego wyparowały już wszystkie magiczne moce. Obok leżało bezwładne, wykrwawione, białe ciało martwej kobiety!

Lancelot! Ten przeklęty Lancelot znów może pomieszać wszystkie jej plany! Morgause czuła swą nienawiść jak przeszywający całe ciało ból, jak skurcz, który chwycił za gardło i schodził w dół, aż do łona. Bolała ją głowa, czuła się śmiertelnie osłabiona, jak zwykle po tak wielkiej magii. Nie miała ochoty na nic innego, jak tylko zapaść w sen i spać całe godziny, ale musi być silna, silna mocą czarów które wywołała; jest przecież królową Lothianu! Królową Ciemności! Otworzyła drzwi i wyrzuciła ścierwo psa na kupę odpadków, nie zważając na mdlący odór. Nie mogła jednak sama unieść ciała dziewczyny. Już miała zawołać o pomoc, ale zatrzymała się z dłońmi przy twarzy. Ręce i twarz wciąż miała umazane krwią. Nie mogą jej tak zobaczyć. Podeszła do konwi z wodą, nalała jej do miednicy starannie się umyła i na nowo zaplotła włosy. Nie mogła nic poradzić na plamy na sukni, ale teraz, kiedy ogień wygasł, w komnacie nie było zbyt wiele światła. W końcu przywołała jednego z szambelanów. Stanął w drzwiach, na jego twarzy malowało się zdziwienie i zaniepokojenie.

– Co się stało, królowo? Słyszałem krzyki i wrzaski... czy stało się coś złego? – Uniósł do góry pochodnię, a Morgause wiedziała doskonale, jaka mu się teraz musi wydawać – piękna, władca w nieładzie; niemalże widziała siebie jego oczyma, była to jeszcze pozostałość Wzroku. *Mogę teraz wyciągnąć rękę i pojąć go obok martwego ciała tej dziewczyny*, myślała, czując znajomy dreszcz pożądania. Roześmiała się w duchu, ale roztropnie odsunęła od siebie ten pomysł, na to będzie miała jeszcze dość czasu.

– Tak, mam wielkie zmartwienie. Biedna Bekka... – Wskazała na nieruchome ciało. – Wpadła do ognia, a kiedy chciałam jej pomóc i rozciąć jej suknię, wyrwała mi z ręki nóż i podcięła sobie gardło, pewnie była oszalała z bólu, biedactwo. Patrz, cała jestem umazana jej krwią.

Mężczyzna cicho krzyknął z przerażenia i podszedł bliżej obejrzeć martwe ciało.

– No cóż, biedaczka nie była całkiem rozgarnięta. Nie powinnaś jej była tutaj wpuszczać, pani.

Morgause zaniepokoiła nuta wyrzutu, którą usłyszała w jego głosie; czy rzeczywiście myślała, by tego człowieka wziąć sobie do łóża?

– Nie przywołałam cię tutaj, byś mnie pouczał. Zabierz ją stąd i każ ją godnie pochować. I przyślij tu moje kobiety. O świcie wyruszam do Kamelotu.

Zapadała noc, gęsty, mżący deszcz przesłaniał drogę. Morgause była przemoczona i zziębnięta. Zirytowała się, kiedy kapitan jej drużyny znów podjechał do niej i spytał:

– Czy jesteś pewna, pani, że znajdujemy się na właściwej drodze?

Miała na niego oko od kilku miesięcy; na imię miał Cormac, był wysoki, młody, miał jastrzębią twarz, szerokie ramiona i mocne uda. Tyle że w tej chwili wszyscy mężczyźni wydawali jej się głupcami, już lepiej by zrobiła, gdyby zostawiła Cormaca w zamku i sama poprowadziła drużynę. Były jednak rzeczy, których nie wypadało czynić nawet królowej Lothianu.

– Nie rozpoznaję żadnej z tych dróg. Ale po odległości, jaką dziś od świtu przejechaliśmy, poznaję, że musimy być już blisko Kamelotu, chyba że w jakiś sposób zgubiłeś drogę we mgle i jedziemy z powrotem na północ, Cormac!

W innych warunkach nawet byłaby zadowolona z jeszcze jednej nocy w podróży, którą by spędziła w swym przestronnym namiocie, gdzie miała wszelakie wygody, a być może kiedy kobiety by posnęły, wzięłyby sobie Cormaca, by zagrał jej łożo.

*Odkąd znalazłam drogę do czarów, mam wszystkich mężczyzn u swoich stóp. Ale teraz, wydaje mi się, że na żadnym mi już nie zależy... Dziwne, od czasu gdy nadeszła wieść o śmierci Lamoraka, nie zbliżyłam się do żadnego mężczyzny. Czyżbym się starzała?* Wzdrygnęła się na tę myśl i postanowiła, że dziś w nocy posiadzie Cormaca... ale najpierw muszą dojechać do Kamelotu. Musi się tam znaleźć, by ochraniać Gwydiona i służyć mu radą.

– Droga musi tu gdzieś być, durniu – powiedziała niecierpliwie. – Odbylam tę podróż więcej razy niż mam palców u obu rąk! Myślisz, że jestem głupia?

– Niech Bóg broni, pani. Ja też często tędy jeździłem, a jednak wygląda na to, że się zgubiliśmy... – powiedział Cormac, a Morgause pomyślała, że za chwilę udusi się z wściekłości. W myślach, odtworzyła sobie drogę, którą tyle razy przebyła; jadąc z Lothianu, zjeżdżało się z rzymskiej drogi i brało się często uczęszczany trakt wzdłuż moczarów, wokół Wyspy Smoka, aż dojeżdżało się do skrzyżowania z drogą do Kamelotu, którą Artur kazał poszerzyć i wyrównać, że była prawie tak dobra, jak stara rzymska droga.

– A jednak minąłeś drogę do Kamelotu, durniu, bo tutaj jest ten stary kawałek rzymskiego muru... W jakiś sposób jesteśmy o pół godziny drogi za skrajem na Kamelot! –



zrugła go Morgause. Nie było innej rady, tylko odwrócić całą karawanę, a już zaczynało się ściemniać. Morgause wciągnęła na głowę kaptur i popędziła konia przez szary zmierzch. O tej porze roku powinno być widno jeszcze przez jakąś godzinę, ale jedynie na wschodzie widać było zanikające, mdłe światło.

– O, to tutaj – powiedziała jedna z kobiet. – Widzicie te cztery jabłonie, co stoją razem? Któregoś lata przyszłam tutaj wziąć z nich szczepki do ogrodu królowej.

Nie było jednak drogi, tylko wąska ścieżka wiła się po zboczu wzgórza, ponad którym, nawet przy tej mgle, powinno już być widać światła Kamelotu.

– Bzdura – powiedziała Morgause – tu nie ma żadnej drogi. Minęliśmy ją. A może mi powiesz, że w królestwie Artura jest tylko jedno miejsce, gdzie rosną przy sobie cztery jabłonki?

– Ale ona powinna tu być, przysięgam, pani – wymamrotał Cormac i mimo to znów popędził całą karawanę konnych, wozów i jucznych mułów w ten deszcz, który padał i padał, jakby rozpadał się na początku świata i zapomniał przestać. Morgause była zziębnięta i zmęczona, tęskniła za wieczerzą przy stole Gwenifer, za grzonym winem i miękkim łóżem, i kiedy Cormac znów do niej podjechał, spytała wściekła:

– A teraz co, durniu? Czy znów ci się udało zabłądzić i nie zauważyć szerokiego traktu?

– Królowo, przykro mi, ale... w jakiś sposób... spójrz, znów wróciliśmy w to samo miejsce, gdzie zatrzymaliśmy się na popas, kiedy zjechaliśmy ze starej rzymskiej drogi... o, wyrzuciłem tu tę szmatę, używałem jej do czyszczenia konia...

Tym razem Morgause wybuchnęła.

– Czy jakakolwiek królowa była pokarana tyloma przekłętymi idiotami! – krzyczała. – Czy musimy szukać największego miasta na północ od Londinium po całym Kraju Lata? A może mamy jeździć po tej drodze tam i z powrotem przez całą noc? Jeśli nawet nie widać światła Kamelotu w tej mgle, to powinniśmy go przynajmniej słyszeć, w zamku jest ponad setka rycerzy i służba, i konie, i krowy. Ludzie Artura patrolują wszystkie okoliczne drogi, wszystko, co porusza się po tej drodze jest doskonale widoczne ze strażniczych wież!

W końcu jednak nie było innego wyjścia, jak tylko zapalić lampy i znów zawrócić na południe. Tym razem Morgause sama jechała na przedzie, u boku Cormaca. Mgła i deszcz jakby wchłaniały wszelkie dźwięki, nawet echo. Po jakimś czasie, wciąż w mglistej mżawce, znów znaleźli się przy tym starym kawałku rzymskiego muru, skąd raz już zawracali. Cormac zaklął, ale był też wyraźnie przestraszony.

– Pani, przykro mi, nie pojmuję...

– Niech was wszystkich piekło pochłonie! – wrzasnęła Morgause. – Czy będziemy tak jeździć w kółko przez całą noc? – Ale ona także poznała ruiny muru. Westchnęła przeciągle z rezygnacją i wyczerpaniem. – Może rankiem deszcz ustanie. A jeśli będzie trzeba, to zawrócimy aż do starej rzymskiej drogi. Wtedy przynajmniej będziemy wiedzieć, gdzie jesteśmy!

– Jeżeli w ogóle gdziekolwiek jesteśmy i nie zabłądziliśmy do samej czarownej krainy – mruknęła jedna z kobiet, z lękiem czyniąc znak krzyża. Morgause zauważyła ten gest i syknęła:

– Dostyc tego! Wystarczy, że zgubiliśmy drogę w deszczu i mgle, nie potrzeba nam jeszcze głupiego gadania! No, co tak wszyscy stoicie? Dziś w nocy już nie możemy jechać, pospieszcie się i rozbijcie obóz, a rankiem się okaże, co trzeba zrobić.

Zamierzała zawołać do siebie Cormaca, choćby po to, by nie mieć czasu na strach, który zaczynał się podkradać także do niej... czy rzeczywiście nie zbczyli z realnego świata i nie wjechali w nieznane? Teraz jednak leżała bezsennie między swymi kobietami i w myślach po raz kolejny odtwarzała każdy krok ich podróży. Z zewnątrz nie dochodziły żadne dźwięki, nie słychać było nawet rechotu zab na mokradłach. Nie jest możliwe, by zaginęło całe miasto Kamelot; a jednak przepadło bez śladu. *A może to tylko ona, razem z całą swoją drużyną, i kobietami, i końmi, zniknęła w świecie czarów?* Za każdym razem, kiedy w myślach dochodziła do tego momentu, żalowała, że dała się ponieść złości i rozkazała Cormacowi trzymać straż nad obozowiskiem. Gdyby leżał u jej boku, nie miałaby tego przerażającego wrażenia, że cały świat wokół niej po prostu się rozplynął...

Wciąż od nowa usiłowała zasnąć, ale tylko wpatrywała się w ciemność, całkowicie rozbudzona.

W ciągu nocy deszcz przestał padać; kiedy wstał dzień, niebo było bezchmurne, choć gęsta, wilgotna mgła unosiła się nad ziemią.

Morgause obudziła się z krótkiej, płytkiej drzemki. Śniła jej się Morgiana, stara i siwa, patrząca w lustro, podobne do tego, jakie ona miała... Morgause wyszła z namiotu, mając nadzieję, że spojrzy ponad wzgórze i ujrzy Kamelot stojący na swoim miejscu, tam gdzie stać powinien, że szeroka droga zawiedzie ich prosto pod jego mury. Bo inaczej mogą rzeczywiście być o wiele, wiele mil od miejsca, gdzie mieli dotrzeć. Jednak obozowali przy niewielkim kawałku rzymskiego muru, który znajdował się zaledwie o milę na południe od Kamelotu. Kiedy konie i ludzie szykowali się do drogi, z drzeniem spojrzała na odległe wzgórze, na którym powinien stać Kamelot, ale wzgórze było zielone, porośnięte trawą, puste.

Powoli ruszyli drogą, na której w błocie widoczne były jeszcze ich własne ślady, które zrobili, jeżdżąc w tę i z powrotem poprzedniej nocy. Na polu pojawiło się stado owiec, ale kiedy ludzie Morgause chcieli porozmawiać z pasterzem, lękliwie ukrył się wśród skał i nie dało się go odszukać.

– I to ma być słynny pokój, uczyniony przez Artura? – spytała Morgause.

– Zdaje mi się, pani – powiedział Cormac bardzo ostrożnie – że... że tu muszą być jakieś czary... bo cokolwiek to jest, nie jest to Kamelot.

– To cóż to jest takiego, na Boga? – spytała Morgause, ale on tylko burknął:

– Na Boga, cóż w istocie? – I więcej się nie odezwał.

Uniosła głowę, słuchając przestraszonego szlochania jednej z kobiet. Przez chwilę znów jej się wydało, jakby słyszała w myślach głos Viviany mówiący to, w co sama Morgause nigdy nie chciała uwierzyć, że Avalon naprawdę zniknął we mgle i że ktokolwiek tam wyruszy, nawet Druid czy kapłanka, a nie będzie znał przejścia, to dotrze jedynie do Wyspy Księży i Glastonbury...

Mogą wrócić aż na rzymską drogę... Morgause czuła narastający niepokój i lęk zmieszany z ciekawością: a jeśli się okaże, że rzymskiej drogi także nie ma, że zniknął również Lothian? Czy została sama na całym świecie, jedynie z garstką kobiet i mężczyzn? Drżąc, przypomniała sobie kilka słów z Pisma, które słyszała od księdza Gwenifer, mówiły o końcu świata... *Powiadam wam, dwie kobiety będą metły ziarno, lecz tylko jedna zostanie zabrana, a druga pozostanie...* Czy cały Kamelot i wszyscy, którzy w nim byli, zostali zabrani do chrześcijańskiego nieba, czy świat się już skończył i tylko kilku morderców, takich jak ona, pozostało, by błądzić po tej przeklętej ziemi?

Nie mogła jednak tak stać i wpatrywać się w pusty trakt.

– Wrócimy po własnych śladach aż do rzymskiej drogi – powiedziała. *Jeśli*, myślała równocześnie, *ta droga ciągle tam jest, jeżeli cokolwiek w ogóle jeszcze istnieje*. Kiedy patrzyła na gęste mgły unoszące się nad moczarami, wydawało jej się, jakby cały świat rzeczywiście zniknął, nawet słońce było jakieś obce. Morgause nie należała do kobiet lękliwych; powiedziała sobie, że lepiej się ruszyć i starać się wrócić, niż stać bezczynnie w tej niesamowitej ciszy. Kamelot jest realny. To prawdziwy zamek w prawdziwym, realnym świecie. Nie mógł tak po prostu zniknąć bez śladu.

*A jednak, gdybym to ja postawiła na swoim, gdyby mnie i Lotowi udały się knowania przeciw matemu Arturowi, być może wszystkie te ziemie dziś tak właśnie by wyglądały – ciche, opustoszałe, pełne strachu...*

Czemu jest tak strasznie cicho? Jakby na całym świecie nie istniał żaden inny dźwięk poza uderzeniami kopyt jej koni, a nawet te brzmiały jak odgłos kamieni wrzucanych w wodę, głuche i zamierające w ciszę. Niemalże dojechali już do rzymskiej drogi – albo raczej do miejsca, gdzie powinna być rzymska droga – gdy usłyszeli przed sobą równy tętent kopyt. Od strony Glastonbury nadciągał powoli jakiś jeździec. We mgle widać było ciemną postać na koniu, a z tyłu drugie, objuczone zwierzę. Po chwili ktoś z jej orszaku krzyknął:

– Patrzcie! Ależ to sir Lancelot z Jeziora! Bóg z tobą, panie!

– Kto jedzie? – Był to rzeczywiście dobrze jej znany głos Lancelota, a kiedy podjechał bliżej, normalny i realny dźwięk kopyt jego konia i muła jakby uwolniły otaczający ich świat. Nagle dało się słyszeć we mgle dźwięki odległego życia – jakieś psy ujadły ostro, może kłócąc się o stawę, gdzieś gdakało stado gęsi. Te normalne, codzienne odgłosy przerwały niesamowitą ciszę i spokój.

– To królowa Lothianu – krzyknął Cormac, a Lancelot podjechał prosto do niej, zatrzymując swego konia niemal w miejscu.

– Ciociu, nie spodziewałem się ciebie tu spotkać! Czy są może z tobą moi kuzyni, Gawain albo Gareth?

– Nie – odparła. – Jadę do Kamelotu sama. *Jeżeli*, znów pomyślała z irytacją, *takie miejsce jeszcze w ogóle istnieje na powierzchni tej ziemi!* Nie spuszczała oczu z Lancelota, gdy mówił jakieś grzeczne powitalne formułki. Wyglądał na zmęczonego i strudzonego drogą, szaty miał marne i nie pierwszej czystości, płaszcz tak stary, że dawniej nie dałby go nosić nawet swojemu służącemu. *No, piękny Lancelocie, Gwenifer już nie będzie cię uważała za takiego wspaniałego mężczyznę! Nawet ja nie ruszyłabym teraz palcem, by cię zaprosić do swego łóża* – I wtedy się uśmiechnął, a Morgause pomyślała: Pomimo wszystko ciągle jest piękny.

– Czy zatem pojedziemy razem? Ja jednak wiozę ze sobą najsmutniejszą z możliwych wieści...

– Słyszałam, że ty też wyruszyłeś na poszukiwania Graala. Czy go zatem odnalazłeś? A może go nie znalazłeś i dlatego masz taką smutną minę?

– Nie jestem człowiekiem godnym tego, by odnaleźć to największe z Misteriów. Jednak wiozę ze sobą tego, który rzeczywiście trzymał Graala w dłoniach. Tak więc jadę ogłosić wszystkim, że wyprawa jest zakończona, a Graal na zawsze odszedł z naszego świata.

I wtedy Morgause spostrzegła, że na objuczonym mule leży okryte całunem ciało.

– Kto..? – szepnęła.

– Galahad – powiedział Lancelot cicho. – To mój syn odnalazł Graala i teraz już wiadomo, że żaden człowiek nie może go ujrzeć i przeżyć. Żałuję, że to ja nie mogłem się znaleźć na jego miejscu... gdyż teraz muszę zanieść memu królowi wieść, że ten, który miał po nim zasiąść na tronie, odszedł od nas do świata, gdzie na wieki będzie mógł cieszyć się tym, co odnalazł...

Morgause zadrżała. *Teraz w rzeczy samej będzie tak, jakby Artura nigdy nie było, te ziemie nie będą miały innego króla poza królem w niebiesiech, rządzić tu będą ci księża, którzy już mają Artura w swoich rękach... Ze złością odpędziła te myśli. Galahad odszedł. Artur musi wybrać Gwydiona na swego następcę.*

Lancelot patrzył ze smutkiem na muła objuczonego ciałem Galahada.

– Możemy jechać? – spytał po chwili. – Nie miałem zamiaru spędzać tej nocy przy drodze, ale mgła była tak gęsta, że bałem się zgubić drogę. Myślałem już, że jestem w samym Avalonie!

– My też nie mogliśmy odnaleźć Kamelotu w tej mgle, zniknął jak sam Avalon... – zaczął Cormac, ale Morgause przerwała mu zirytowanym głosem:

– Daj już spokój z tymi bredniami! – powiedziała. – Po prostu źle skręciliśmy, Lancelocie, i musieliśmy jeździć po ciemku w tę i z powrotem przez pół nocy! Nam też jest spieszno, by dotrzeć do Kamelotu, siostrzeńcze.

Kilku ludzi z drużyny Morgause znało Lancelota i jego syna.

Teraz tłoczyli się blisko ciała z wyrazami współczucia i pociechy.

Lancelot słuchał wszystkiego, co mówili, ze smutną twarzą, w końcu delikatnie im przerwał:

– Później, moi drodzy, później. Będzie dość czasu, by go opłakiwać. Bóg mi świadkiem, że nie spieszy mi się, by dostarczyć te wieści Arturowi, ale zwłoka niczego tu nie zmieni... Jedźmy.

W miarę jak słońce nabierało wysokości, mgły rzedły i szybko znikwały. Znow ruszyli drogą, po której Morgause ze swoim orszakiem błędziła bezskutecznie tej nocy, lecz nie ujechali daleko, gdy kolejny dźwięk przerwał ciszę tego dziwnego poranka. Był to głos trąbki, czysty i srebrzysty, dochodził z murów Kamelotu. A przed oczyma Morgause, tuż obok czterech stojących razem jabłoni, rozciągał się szeroki, wspaniały trakt wybudowany przez ludzi Artura dla jego legionów.

Przyjęła to niemal za coś naturalnego, że pierwszym człowiekiem, którego ujrzała w Kamelocie, był jej syn, Gareth. Wyjechał za mury i spotkał się z nimi przed wielką bramą wjazdową. Z daleka już poznawszy Lancelota, ponaglił konia. Lancelot wychylił się z siodła i objął Garetha mocno w serdecznym uścisku.

– A więc to ty, kuzynie...

– A tak, Kaj jest już za stary, żeby pilnować murów. Och, dobry to dzień, skoro wracasz do Kamelotu, kuzynie. Widzę jednak, że nie odnalazłeś Galahada, Lance?

– Niestety, odnalazłem... – odparł Lancelot ze smutkiem.

Twarz Garetha, wciąż dziecinna mimo porastającej ją gęstej brody, zamarła na widok ciała przytroczonego do grzbietu muła.

– Muszę natychmiast przekazać tę wieść Arturowi. Zaprowadź mnie do niego, Garecie.

Gareth spuścił głowę. Objął Lancelota ramieniem.

– Boże, co za straszny dzień dla Kamelotu. Raz już ci powiedziałem, że według mnie ten cały Graal to robota jakiegoś diabła, a nie Boga!

Lancelot potrząsnął głową, a Morgause wydało się, że bije od niego dziwna jasność, jakby jego ciało było przezroczyste. A w jego smutnym uśmiechu była również ukryta radość.

– Nie, mój drogi kuzynie – odparł. – Musisz na zawsze zapomnieć o tym, co powiedziałaś. Galahad otrzymał to, co Bóg dla niego przygotował, taka jest dola nas wszystkich. Jego dni są zakończone i jest już wolny od ludzkiego losu. Nasza godzina dopiero wybije, Garecie, i niech Bóg sprawi, byśmy wyszli jej na spotkanie z taką odwagą, jak on to uczynił.

– Amen – powiedział Gareth i ku przerażeniu Morgause przeżegnał się. I dopiero wtedy, jakby nagle przebudzony, spojrzął na nią.

– Matko, czy to ty? Wybacz... nie spodziewałem się, że Lancelot może podróżować w twoim towarzystwie... – Pochylił się nad jej dłonią i złożył na niej uprzejmy pocałunek. –

Pozwól, pani, że zawołam szambelana, by zaprowadził cię do królowej. Ona cię powita, podczas gdy Lancelot będzie rozmawiał z królem.

Morgause pozwoliła się odprowadzić, dopiero teraz zastanawiając się, po co właściwie tu przyjechała? W Lothianie włada i rządzi jako samodzielna królowa, a tu może jedynie przesiadywać w towarzystwie dam dworu i wiedzieć zaledwie tyle, ile jeden z jej synów uzna za stosowne jej przekazać.

– Powiedz memu synowi Gwydionowi, sir Mordredowi, że przybyła jego matka i prosi, by się z nią zobaczył, jak tylko będzie mógł najszybciej – przykazała szambelanowi. Zastanawiała się, pogrążona w czarnych myślach, czy na tym dziwacznym dworze Gwydion zada sobie choćby tyle trudu, co Gareth, by ją należycie powitać. I po raz wtóry poczuła, że źle uczyniła, przybywając do Kamelotu.

## 14

Przez wiele lat Gwenifer uważała, że kiedy na zamku obecni byli rycerze Okrągłego Stołu, Artur nie należał do niej, lecz do nich. Nie znosiła tego, jak przeszkadzali jej w prywatnym życiu, jak panoszyli się w Kamelocie. Często myślała, że gdyby Artur nie był ciągle otoczony dworem, być może mogliby mieć szczęśliwsze życie niż to, które wiedli jako król i królowa w Kamelocie.

Jednakże tego roku, gdy wszyscy wyruszyli na poszukiwania Graala, zaczęła sobie zdawać sprawę z tego, jakie miała wcześniej szczęście, bo bez rycerzy, Kamelot był pusty jak wymarła wioska, a Artur snuł się po zamku jak duch, cicho przemierzając opustoszałe komnaty.

Nie, żeby nie sprawiało jej przyjemności towarzystwo Artura, kiedy w końcu należał wyłącznie do niej. Tyle że dopiero teraz pojęła, jak wiele swej duszy Artur oddał tworzeniu legionów i budowaniu potęgi Kamelotu. Okazywał jej teraz nieustanne zainteresowanie i uprzejmość, miała więcej jego towarzystwa niż przez wszystkie lata wojen i lata pokoju, które po nich nastąpiły. A jednak było tak, jakby jakaś część jego istoty była wciąż nieobecna wraz z rycerzami, a tylko niewielki ułamek jego myśli pozostał z nią w Kamelocie.

Kochała Artura-mężczyznę nie mniej niż Artura-króla, lecz teraz jasno zrozumiała, o ile mniej znaczył ten mężczyzna, bez wszystkich królewskich spraw, którym poświęcił tak wiele swego życia. I było jej wstyd, że tak późno to zauważyła.

Nigdy nie rozmawiali o tych, których nie było. W roku wyprawy po Graala żyli spokojnie z dnia na dzień, rozmawiając jedynie o sprawach dnia codziennego, o chlebie i mięsie, o owocach z sadu i winie z piwnic, o nowym płaszczu czy sprzączce do buta. Kiedyś, rozglądając się po pustej sali Okrągłego Stołu, Artur powiedział:

– Czy nie powinniśmy go gdzieś wystawić? Nawet w tej wielkiej komnacie ciasno jest się poruszać, a teraz, gdy nikogo nie ma...

– Nie – odparła szybko – zostaw go. Ta wielka sala była zbudowana specjalnie dla Okrągłego Stołu i bez niego będzie wyglądała jak pusta szopa. Zostaw go. Ty, ja i pozostali domownicy możemy na razie jadać w mniejszej sali.

Uśmiechnął się i widziała, że był zadowolony z jej odpowiedzi.

– A kiedy rycerze powrócą z tej wyprawy, to znów urządzimy tu wielką ucztę – powiedział, lecz nagle zamilkł, a ona wiedziała, że zastanawia się, ilu z nich w ogóle powróci.

Był z nimi Kaj i stary Lucan, i dwóch czy trzech innych towarzyszy, którzy byli starzy, chorzy lub ranni. A Gwydion-Mordred, jak go teraz nazywali, był zawsze u ich boku, jak dorosły syn; Gwenifer często patrzyła na niego i myślała: *To jest syn, którego mogłam urodzić Lancelotowi...* i całe jej ciało ogarniała gorączka, a ona znów wspominała tamtą noc, kiedy po raz pierwszy Artur popchnął ją w ramiona Lancelota. Coraz częściej ogarniały ją takie fale gorąca i zaraz mijały, tak że sama nie wiedziała, czy to w komnacie było gorąco, czy też trawił ją wewnętrzny żar. Gwydion był dla niej bardzo grzeczny i uprzejmy, zawsze mówił do niej – pani, a czasami, wstydliwie – ciociu. Zakłopotanie, w które wprawiało go używanie tego słowa wskazującego na ich pokrewieństwo, czyniło go jeszcze droższym jej sercu. Był bardzo podobny do Lancelota, lecz spokojniejszy i mniej radosny. Tam gdzie Lancelot zawsze miał gotowy jakiś żart czy grę słów, Gwydion tylko się uśmiechał lub miał w zanadru ripostę ciętą jak brzytwa. Tak, jego żarty bywały złośliwe, ale z drugiej strony, trudno się było z nich nie śmiać.

Pewnej nocy, gdy ich uszczuplone towarzystwo siedziało przy wieczerzy, Artur powiedział:

– Póki Lancelot do nas nie powróci, siostrzeńcze, chcę, byś objął jego funkcję i został kapitanem mej jazdy.

Gwydion zachichotał.

– To będzie łatwe zadanie, mój wuju panie, niewiele bowiem jest teraz koni w tutejszych stajniach. Najlepsze twoje konie odjechały z rycerzami i towarzyszami i kto wie, czy właśnie któryś z tych koni nie odnajdzie Graala, którego szukają!

– Cicho bądź – powiedziała Gwenifer. – Nie wolno ci żartować z ich wyprawy.

– A czemu nie, ciociu? Księża w kółko nam powtarzają, że jesteśmy owieczkami na łące Pana, a jeśli owca może dostąpić duchowej obecności, to cóż, ja zawsze uważałem konia za zwierzę szlachetniejsze od owcy. Któż więc może wiedzieć, czy właśnie szlachetniejsze stworzenie nie osiągnie celu wyprawy? Nawet jakiś stary zasłużony w boju ogier może pewnego dnia dostąpić duchowej łaski, skoro mówią, że pewnego dnia lew zlegnie obok jagnięcia i w tym momencie bynajmniej nie pomyśli o obiedzie.

Artur zaśmiał się zmieszany.

– Czy będziemy jeszcze potrzebować naszych koni do walki? Od czasów Mount Badon, dzięki Bogu, mieliśmy na tych ziemiach pokój...

– Poza przypadkiem Lucjusza – powiedział Gwydion. – A jedyną rzeczą, której się na pewno w życiu nauczyłem, jest prawda, że pokój to coś, co nie trwa wiecznie. Dzikie ludy z północy na swych wielkich statkach znów lądują na wybrzeżach, a gdy ludzie wzywają legiony Artura, by stanęły w ich obronie, dostają jedynie odpowiedź, że rycerze Artura odjechali, by szukać pokoju swych dusz. Tak więc zwracają się po pomoc do saksońskich królów z południa. Bez wątpienia, gdy ta wyprawa się zakończy, znów zwrócą się do Artura i Kamelotu, a gdy ten dzień nadejdzie, może nam brakować koni. Lancelot jest tak zajęty Graalem i innymi przygodami, że nie ma czasu, by doglądać stanu królewskich stajni.

– Dlatego ci powiedziałem, że pragnę, byś zajął jego miejsce – odrzekł Artur, a Gwenifer uderzyło, że brzmiał jak człowiek niepewny i stary, bez tej mocy, którą kiedyś roztaczał wokół siebie. – Jako kapitan jazdy masz teraz prawo skupować konie w moim imieniu. Lancelot układał się z handlarzami gdzieś z południa, aż za Bretanią...

– A więc ja też tak uczynię – powiedział Gwydion. – Co prawda dawniej najlepsze były konie z Hiszpanii, ale teraz, mój wuju i panie, te najlepsze pochodzą z jeszcze dalszych stron. Sami Hiszpanie skupują konie z Afryki, z pustynnej krainy. Saraceni, którzy stamtąd pochodzą, ponoć podbijają już nawet samą Hiszpanię, słyszałem to od tego saraceńskiego rycerza, Palomidesa, który przywędrował aż tutaj i był czas jakiś twym gościem, a potem pojechał dalej szukać przygód wśród Saksonów. On nie jest chrześcijaninem i wydało mu się bardzo dziwne, że wszyscy twoi rycerze wyruszyli szukać Graala, kiedy w kraju szykuje się wojna.

– Rozmawiałem z Palomidesem – powiedział Artur. – Miał miecz ze stali, wykuty gdzieś na południu Hiszpanii, sam bym chętnie chciał taki mieć, choć chyba nie był lepszy od mojego Ekskalibura. Ale żaden inny miecz w naszym kraju nie mógł się z nim równać, był ostry jak brzytwa. Dobrze, że na turniejach nie musiałem nigdy stawać przeciw komuś z takim mieczem. Ci z północy mają dobre pałki i toporki, ale ich broń nie jest nawet tak dobra, jak oręż Saksonów.

– Są jednak zajadlejszymi wojownikami – odparł Gwydion. – Wpadają w bitewny szal, jak to czasem czyniły ludy Plemion z Lothianu, w bitwie odrzucają nawet tarcze... Nie, mój królu, mieliśmy pokój przez wiele lat, ale tak jak ci Saraceni zaczynają zdobywać Hiszpanię, tak na naszych brzegach lądują ci z północy, a z nimi jeszcze dzicy Irlandczycy. Po latach okaże się pewnie, że Saraceni przydali się Hiszpanii, tak jak kiedyś Saksoni przydali się naszym ziemiom...

– Przydali się tym ziemiom? – Artur spojrział na niego zaskoczony. – O czym ty mówisz, Mordredzie?

– Kiedy Rzymianie nas opuścili, mój panie i królu, zostaliśmy tu sami, na końcu świata, jedynie w towarzystwie na wpół dzikich Plemion. Wojna przeciw Saksonom zmusiła nas,



byśmy otworzyli się na świat. Zaczęliśmy handlować z Mniejszą Brytanią i z Hiszpanią, i z krajami na południu, musieliśmy wymieniać swoje dobra za oręż i konie, wybudowaliśmy nowe miasta, twój Kamelot jest tego najlepszym przykładem, panie. Nie wspominał już nawet o tym, że księża dotarli w końcu aż do Saksonów i sprawili, że nie są to już obrońcy barbarzyńcy, lecz lud, który ma własne miasta i własny handel, i swoich cywilizowanych królów, którzy są twymi lennikami. Na cóż innego czekały te ziemie? Teraz Saksoni mają nawet klasztory i uczonych, spisujących księgi, i wiele więcej... Bez wojen przeciw Saksonom stare królestwo Uthera poszłoby w niepamięć jak imperium Maksymusa.

W oczach Artura błyszczały iskierki rozbawienia.

– A więc ty bez wątpienia uważasz, że te dwadzieścia lat pokoju były niebezpieczne dla Kamelotu i potrzeba nam wojen i bitew, by znów nas zbliżyć do świata? Od razu widać, że nie jesteś wojownikiem, młodzieńcze. Ja bowiem nie mam tak romantycznych poglądów na wojnę!

Gwydion szeroko się uśmiechnął.

– Cóż każe ci myśleć, że ja nie jestem wojownikiem, mój panie? Walczyłem w twojej armii przeciw Lucjuszowi, który chciał się obwołać cesarzem i miałem dość czasu, by wyrobić sobie własne zdanie na temat wojen i ich wartości. Bez wojen byłbyś bardziej zapomniany niż ci dawni królowie Walii czy ziemi Eire. No, proszę, któż dziś potrafi wymienić królów Tary?

– I ty uważasz, że pewnego dnia taki los może spotkać Kamelot, mój chłopcze?

– Och, mój wuju i królu, czy chcesz usłyszeć mądrość Druida, czy pochlebstwo dworzanina?

– Posłuchajmy sprytnej rady niejakiego Mordreda – odparł, Artur ze śmiechem.

– Dworzanin powiedziałby, mój panie, że królestwo Artura trwać będzie wiecznie, a pamięć o nim nigdy nie zniknie z tego świata. Druid zaś by powiedział, że wszyscy ludzie są śmiertelni i pewnego dnia wszyscy, wraz ze swą mądrością i zwycięstwami i chwałą, zapadną się pod ziemię, jak Atlantis. Jedynie Bogowie trwają.

– A co powiesz ty, mój siostrzeńcze i przyjacielu?

– Twój siostrzeniec uważa, mój wuju i panie... – Położył na to słowo akurat tyle nacisku, by Gwenifer zauważyła, że powinien powiedzieć twój syn. – Otóż on uważa, że żyjemy dla dnia dzisiejszego, nie dla tego, co za tysiąc lat powie o nas historia. Zatem twój siostrzeniec radzi, by twe stajnie znów godne były tych dni chwały, gdy konne legiony i armia Artura wszędzie były znane i wzbudzały lęk. Nikt nie powinien mieć powodu, by mówić, że król się starzeje, że jego rycerze się porozjeżdżali, a on nie dba o to, by trzymać ludzi i jazdę gotowych do walki.

Artur przyjaźnie poklepał go po ramieniu.

– Bardzo dobrze drogi chłopcze. Ufam twoim sądom. Poślij zaraz do Hiszpanii i do Afryki, jeśli chcesz, po takie konie, jakie najgodniej będą reprezentowały legiony Artura. I dopilnuj ich ujeżdżenia i ćwiczenia.

– Muszę do tego nająć Saksonów – odparł Gwydion – a oni nie znali dotąd tajników naszej walki na koniach. Zawsze powtarzałeś, że nie powinni tego umieć. Skoro teraz są już naszymi sprzymierzeńcami, czy zatem jest twoją wolą, by poznali także nasze techniki walki?!

– Obawiam się, że tę decyzję także muszę pozostawić tobie – powiedział Artur zakłopotany.

– Postaram się zrobić, co w mojej mocy – rzekł Gwydion. – Jednak zbyt długo już nad tym rozprawiamy, mój panie, zanudziliśmy damy. Wybacz mi to, pani – dodał, skłaniając z uśmiechem głowę przed Gwenifer. – Czy posłuchamy muzyki? Jestem pewien, że pani Niniana z chęcią weźmie do rąk harfę i zaśpiewa dla nas, mój królu i panie.

– Zawsze z radością słucham mej drogiej krewniaczki – powiedział Artur poważnie. – Oczywiście, jeśli takie jest również życzenie mej pani.

Gwenifer skinęła Ninianie, która ujęła swą harfę i zaczęła śpiewać. Gwenifer z przyjemnością słuchała muzyki – Niniana grała pięknie, miała słodki głos, choć nie tak czysty i mocny, jak głos Morgiany. Jednak kiedy Gwenifer spojrzała na Gwydiona wpatrzonego w córkę Taliesina, pomyślała: *Dlaczego tak się dzieje, że my, na naszym chrześcijańskim dworze zawsze musimy mieć jedną z tych służek Pani Jeziora?* Martwiło ją to, choć Gwydion zdawał się tak samo dobrym chrześcijaninem, jak wszyscy na dworze, w niedzielę zawsze przychodził na mszę, tak zresztą jak sama Niniana. Gwenifer zdała sobie teraz sprawę, że wcale nie pamięta, jak też Niniana została jedną z jej dam dworu, tyle że Gwydion przywiózł ją na dwór i poprosił o gościnę dla niej jako dla krewnej Artura i córki Taliesina.

Gwenifer miała jak najmilsze wspomnienia o Taliesinie i z radością powitała jego córkę, teraz jednak wyglądało na to, że w jakiś dziwny sposób, nigdy nawet o to nie zabiegając, Niniana zajęła miejsce pierwszej damy dworu. Artur zawsze traktował ją z największym szacunkiem i często prosił, by dla niego śpiewała, a Gwenifer czasem nawet zastanawiała się, czy on przypadkiem nie spogląda na nią trochę inaczej niż tylko na krewną.

Ależ nie, z pewnością nie. Jeżeli Niniana ma na tym dworze kochankę, to jest nim bez wątplenia Gwydion. Gwenifer widziała teraz, jak młodzieniec na nią patrzy... i serce ścisnął jej żal. Ta kobieta jest jeszcze młoda, młoda, jak niegdyś ona sama, a ona? Ona jest starzejącą się matroną, włosy jej matowieją, policzki bledną, ciało wędnie... Kiedy więc Niniana skończyła grać, a Artur podszedł, by podać ramię swej królowej, Gwenifer gniewnie zmarszczyła brwi.

– Wyglądasz na zatroskaną, żono. Co cię martwi?

– Gwydion powiedział, że jesteś stary...

– Moja kochana, zasiadam na tronie Brytanii od trzydziestu i jeden lat, a ty u mego boku. Czy myślisz, czy ktokolwiek w tym królestwie może nas jeszcze nazwać młodymi? Większość z naszych poddanych nawet się jeszcze nie narodziła, gdy ja obejmowałem panowanie. Chociaż muszę przyznać, moja droga, że nie wiem, jak to się dzieje, lecz ty wyglądasz coraz młodziej.

– Och, mężu, wcale nie czekałam na komplement – odparła zniecierpliwiona.

– Moja droga, powinnaś być wdzięczna, że Gwydion nie traktuje mnie jak starzejącego się króla, nie zbywa pustymi pochlebstwami i nie uspokaja miłymi słówkami. Mówi szczerze i otwarcie i za to go cenię. Chciałbym...

– Wiem, czego byś chciał – przerwała mu ostrym tonem. – Chciałbyś móc go uznać za syna, tak by to on, a nie Galahad mógł po tobie zasiąść na tronie...

Zarumienił się.

– Gwenifer, czy zawsze musisz być taka drażliwa na tym punkcie? Księża nie pozwolą mu zostać królem i na tym sprawa się kończy.

– Nie mogę zapomnieć, czyim jest synem...

– A ja nie mogę zapomnieć, że on jest moim synem – odparł już łagodniej.

– Nie ufam Morgianie, a ty sam się przecież przekonałeś, że...

Twarz mu się nagle zmieniła i Gwenifer zrozumiała, że lepiej dla niej będzie nie poruszać więcej tego tematu.

– Gwenifer, mojego syna wychowywała królowa Lothianu, a wszyscy jej synowie są podporą i ostoją mego królestwa. Cóż bym począł bez Gawaina czy Garetha? A teraz Gwydion okazuje się takim, jak oni, miłym i wiernym rycerzem i najlepszym przyjacielem. Nie będę myślał źle o Gwydionie dlatego, że postanowił zostać przy mnie, gdy wszyscy inni opuścili mnie dla tej wyprawy.

Gwenifer nie chciała wszczynać kłótni. Ujęła delikatnie jego dłoń.

– Wierz mi, mój panie, kocham cię ponad wszystko na świecie.

– Ależ wierzę ci, kochana – powiedział trochę zaskoczony. – Saksoni mają takie powiedzenie, że szczęśliwy jest mężczyzna, który ma dobrego przyjaciela, dobrą żonę i dobry miecz. A ja mam to wszystko, moja Gwenifer.

– Ach, ci Saksoni – odparła ze śmiechem. – Przez te wszystkie lata walczyłeś przeciwko nim, a teraz nawet cytujesz ich mądrości...

– Cóż, jaki byłby pożytek z wojen, jak mówi Gwydion, gdybyśmy nie mogli się uczyć mądrości od naszych wrogów? Dawno temu ktoś powiedział, może to był Gawain, coś o Saksonach i o wojnie. Powiedział, że to jest tak, jak z tą kobietą, co została zgwałcona, a jednak kiedy napastnicy odjechali z naszych wybrzeży, urodziła zdrowego syna... Czy lepiej jest widzieć tylko samo zło, czy też, kiedy zło się już stało i nie można go naprawić, wziąć także to, co z tego zła może wyniknąć dobrego?

– Tylko mężczyzna może sobie w ten sposób żartować! – oburzyła się Gwenifer.

– Och, nie chciałem ci przypominać dawnych trosk, moja najdroższa, ale zrozum, wiele lat temu mnie i Morgianie wyrządzono krzywdę... – Zauważyła, że po raz pierwszy od dawna wymówił imię swej siostry bez tego bolesnego skurczu twarzy. – Czy byłoby lepiej, gdyby z tego grzechu, który popełniłem z Morgianą, nie wyniknęło żadne dobro? Chociaż to tylko ty się upierasz, że to był grzech... Czy też powinienem być wdzięczny, że skoro zło już się stało i nie ma dla nas powrotu do niewinności, Bóg dał mi w zamian za tę krzywdę wspaniałego syna? Morgiana i ja nie rozstaliśmy się w przyjaźni i nie wiem, gdzie ona jest ani co się z nią dzieje, i nie sądzę, bym jeszcze kiedykolwiek miał ujrzeć jej twarz, nie po tej stronie życia. Lecz jej syn jest teraz ostoją mego tronu. Czy mam mu nie ufać przez pamięć o matce, która go tylko urodziła?

Gwenifer miała ochotę powiedzieć: *Ja mu nie ufam, bo był wyuczony w Avalonie*, ale nie chciała zaczynać dyskusji, dała więc spokój. Przy drzwiach do jej komnaty Artur ujął jej dłoń.

– Czy masz życzenie, bym odwiedził cię dzisiejszej nocy, pani? – spytał cicho.

– Nie... jestem znużona – odparła, unikając jego wzroku.

Starła się nie zauważyć wyrazu ulgi w jego oczach. Ciekawa była, czy to Niniana, czy ktoś inny dzieli w tych dniach jego łożę; nie mogła się jednak poniżyć do tego, by o to wypytywać szambelana.

*Skoro to nie ja, to co może mnie obchodzić, kto to jest?*

Nadeszły ciemności zimy, a po nich przyszła wiosna. Pewnego dnia Gwenifer wybuchnęła:

– Chciałabym, żeby ta wyprawa już się zakończyła i wszyscy rycerze powrócili, z Graalem czy bez Graala!

– Uspokój się moja droga, oni ślubowali – powiedział wtedy Artur, lecz jeszcze tego samego dnia jakiś rycerz rzeczywiście pokazał się na drodze do Kamelotu. Już z daleka rozpoznali Gawaina.

– To ty, kuzynie? – Artur uściskał go i ucałował w oba policzki. – Nie miałem nadziei, że ujrzę cię, zanim nie minie rok, czyż nie przysięgałeś szukać Graala przez rok i jeden dzień?

– Tak uczyniłem – odparł Gawain. – Jednak nie złamałem swych ślubów, panie, i twój książę nie powinni na mnie patrzeć jak na krzywoprzysięcę. Ostatnim bowiem razem widziałem Graala tutaj, w twoim własnym zamku, Arturze, i jest tak samo prawdopodobne, że znów ujrzę go choćby w tym kącie, jak i na samym końcu świata. Jeździłem wzdłuż i wszerz, tu i tam, i nigdy nie usłyszałem o nim choćby jednej wieści, i wtedy zrozumiałem, że równie dobrze mogę go szukać w tym miejscu, gdzie już go widziałem, w Kamelocie, blisko mego króla, nawet gdybym co tydzień musiał go szukać na ołtarzu podczas mszy i nigdzie więcej...

Artur uśmiechnął się i znów go uściskał, a Gwenifer spostrzegła, że ma wilgotne oczy.

– Chodź, kuzynie – powiedział w końcu. – Witaj w domu.

A kilka dni później powrócił również Gareth.

– Miałem prawdziwą wizję i wydaje mi się, że pochodziła od samego Boga – powiedział, kiedy wieczorem siedzieli przy wieczerzy. – Śniłem, że widzę Graala, tuż przed moimi oczyma, a ze światła, które go otaczało, dotarł do mnie głos i powiedział: „Garecie, rycerzu Artura, w tym życiu tylko tak ujrzysz Graala. Dlaczego wciąż gonisz za wizjami i sławą, gdy twój król potrzebuje cię w Kamelocie? Bogu możesz służyć, kiedy pójdziesz do nieba, lecz póki żyjesz na ziemi, powróć do Kamelotu i służ swemu królowi”. A kiedy się obudziłem, przypomniałem sobie, że nawet Chrystus mówił, by cesarzowi oddawać to, co cesarskie, tak więc wyruszyłem do domu, a po drodze spotkałem Lancelota i jego też prosiłem, by wrócił.

– Czy myślisz zatem, że faktycznie odnalazłeś Graala? – spytał Gwydion.

– Może Graal jest jedynie snem? – Roześmiał się Gareth. – A kiedy śniłem o Graalu, on sam rozkazał mi dopełnić obowiązku względem mego pana i króla.

– Spodziewam się zatem, że wkrótce ujrzemy wśród nas także Lancelota?

– Mam nadzieję, że serce nakłoni go do powrotu – powiedział Gawain. – Bo zaiste jest nam tu potrzebny. Ale i tak zbliża się już Wielkanoc, a wtedy wszystkich ich ujrzemy z powrotem.

Potem Gareth poprosił Gwydiona, by przyniósł swą harfę i dla niego zaśpiewał.

– Od tak dawna nie słyszałem żadnej muzyki, nawet tej, którą komponują Saksoni, a ty, siedząc w domu, pewnie miałeś dość czasu, by ćwiczyć swą sztukę.

Gwenifer nie byłaby zdziwiona, gdyby Gwydion zamiast siebie, zaproponował Ninianę, lecz przyniósł harfę, którą natychmiast rozpoznała.

– Czy to nie jest harfa Morgiany?

– A tak. Zostawiła ją w Kamelocie, kiedy stąd odeszła, i jeśli by ją chciała, zawsze może po nią przysłać albo sama mi ją zabrać. Do tego czasu harfa jest moja i wątpię, by mi jej pożalowała, skoro nie dała mi nigdy nic innego.

– Oprócz twego życia... – powiedział Artur z lekkim wyrzutem, a Gwydion odwrócił twarz i spojrzał na niego z taką goryczą, że Gwenifer aż się wzdrygnęła. Odezwał się tak cicho, że nikt inny nie mógł go słyszeć:

– I za to mam być wdzięczny, mój królu i panie?

Zanim Artur zdążył odpowiedzieć, ułożył palce na strunach i zaczął grać. Pieśń, którą zaśpiewał, jeszcze bardziej przeraziła Gwenifer.

Śpiewał o Królu Rybaku, który mieszkał w zamku na wielkim pustkowiu; i tak jak starzał się król i uchodziły z niego siły, tak jałowiła ziemia i nie dawała plonów, i tak miało być do dnia, aż zjawi się młody człowiek, który zada miłosierny cios i krew starego króla zrosi ziemię. Wtedy ziemia znów będzie płodna, wraz z nowym królem, i będzie dawała owoce, zasilona mocą jego młodości.

– Tak uważasz? – spytał Artur niepewnie. – Że ziemia, na której włada stary król, może być tylko ziemią jałową?

– Ależ skąd, mój panie – odparł Gwydion. – Cóż byśmy poczęli bez mądrości twych lat? Jednak w tamtych zamierzchłych czasach wśród Plemion panowało przekonanie, że jedynie Bogini jest wieczna, a król włada tylko tak długo, jak jej się to podoba. A gdy Król Byk się starzeje, ze stada wyłania się młody byk, który go obala... To jest jednak chrześcijański dwór i nie panują na nim te pogańskie prawa, mój panie. Myślę, że ta ballada o Królu Rybaku jest raczej symbolem trawy, która nawet w naszym Piśmie Świętym jest porównywana do ludzkiego ciała, gdyż trwa tylko przez swój czas... i tak król jałowej ziemi jest symbolem przyrody, która umiera wraz z zieloną trawą i odradza się z wiosną... nawet Chrystus odszedł, tak jak Król Rybak, gdy zginął na krzyżu, a teraz powraca każdej Wielkanocy... wciąż od nowa... – Gwydion znów dotknął strun i zaśpiewał cicho:

*I tak dni człowiecze są jak liść, co spada, i jak trawa, co usycha, Ty też odejdiesz w zapomnienie, jak ten kwiat, co upadł na murawę, jak wino, które rozlane wsiąka w ziemię.*

*A jednak, kiedy powraca wiosna, wraz z nią kwitnie ziemia i kwitnie życie, które znów powróci...*

– Czy to z Pisma Świętego, Gwydionie? – spytała Gwenifer. – To jakiś psalm?

Gwydion potrząsnął głową.

– To starodawny hymn Druidów, a są tacy, którzy wierzą, iż jest jeszcze starszy niż Druidzi, że przywieziono go być może z tych ziem, które teraz leżą w głębiach oceanu... Każda religia ma podobny hymn. Być może rzeczywiście wszystkie religie są Jedną...

– Czy ty jesteś chrześcijaninem, mój chłopcze? – spytał Artur cicho.

Przez chwilę Gwydion nic nie odpowiadał. W końcu zaczął:

– Zostałem wychowany jako Druid, a ja nie łamię ślubów, które raz złożyłem. Nie mam na imię Kevin, mój królu. Ty jednak nie wiesz o wszystkich ślubach, jakie złożyłem... – Nagle wstał z miejsca i bez słowa wyszedł z komnaty.

Artur, patrząc w ślad za nim, nie wyrzekł nawet słowa krytykującego ten brak dobrych manier, lecz Gawain gniewnie zmarszczył brwi.

– Czy pozwalasz mu ot tak sobie wychodzić, mój panie?

– Och, daj spokój, daj spokój – uciszył go Artur. – Wszyscy tu jesteśmy krewnymi i nie żądam, żeby mnie cały czas traktował, jakbym oficjalnie siedział na tronie! On doskonale wie o tym, że jest moim synem, tak jak wiedzą to wszyscy obecni w tej sali! Czy zawsze ma udawać dworzanina?

Jednak Gareth też był oburzony.

– Z całego serca pragnę, by Galahad już powrócił na dwór – powiedział cicho. – Oby Bóg dał mu taką wizję, jak mnie, gdyż on jest ci tu potrzebny bardziej niż ja, Arturze. I jeśli wkrótce nie powróci, to sam pojedę go szukać.

Do Zielonych Świątek zostało zaledwie kilka dni, gdy Lancelot w końcu wrócił do domu. Widziano z murów zbliżającą się karawanę – konnych, damy, służbę i juczne zwierzęta, i Gareth zwołał wszystkich, by wyszli powitać gości. Gwenifer, stojąc u boku Artura, nie zwracała większej uwagi na Morgause, była tylko ciekawa, dlaczego królowa Lothianu tu przyjechała. Lancelot ukląkł przed Arturem i przekazał swe smutne wieści, a Gwenifer także poczuła ten ból, który widziała w jego oczach... zawsze, zawsze tak było, że cokolwiek zasmuciło jego serce, ona też czuła bolesne ukłucie. Artur pochylił się, ujął Lancelota za ramiona, podniósł go i ścisnął, a w oczach miał łzy.

– Ja także straciłem syna, nie mniej niż ty, przyjacielu. Będziemy go wszyscy szczerze opłakiwać...

Gwenifer nie mogła już dłużej wytrzymać. Wysunęła się do przodu, ujęła Lancelota za rękę i zwróciła się do niego głośno, przy wszystkich obecnych:

– Bardzo pragnęłam, byś jak najszybciej do nas powrócił, Lancelocie, lecz przykro mi, że musisz wracać z tak smutnymi nowinami.

– Zabierzcie Galahada do kaplicy, gdzie został pasowany na rycerza – rozkazał Artur swoim ludziom. – Tam będzie spoczywał, a jutro zostanie pochowany jak przystoi na mego syna i dziedzica... – Kiedy się odwrócił, lekko się zachwiał, a Gwydion szybko podał mu ramię, by go podtrzymać.

Gwenifer rzadko ostatnio płakała, ale czuła, że nie powstrzyma łez, widząc twarz Lancelota, taką zmienioną, taką wynędzniałą. Co się z nim działo w ciągu tego roku, gdy szukał Graala? Długa choroba, długie posty, zmęczenie, rany? Nigdy, nigdy nie widziała go jeszcze tak zrozpaczonego, nawet wtedy, gdy przyszedł jej opowiedzieć o konieczności małżeństwa z Elaine. Patrząc na Artura wspierającego się teraz na ramieniu Gwydiona, westchnęła ciężko, a Lancelot lekko uściśnął jej rękę i powiedział cicho:

– Teraz jestem nawet szczęśliwy, że Artur poznał swego syna i że go szanuje. To zmniejszy jego ból.

Gwenifer aż zacisnęła powieki, nie chcąc nawet myśleć, co śmierć Galahada znaczy dla Artura i Gwydiona. Syn Morgiany! Syn Morgiany ma być następcą Artura?! Nie! Teraz jednak nie można już na to nic zaradzić!

– Pani, jest tutaj moja matka... – powiedział w tym momencie Gareth, składając jej głęboki ukłon. Gwenifer przypomniała sobie, że nie wypada jej wedle własnego uznania pozostać z mężczyznami, że jej miejsce jest między kobietami i że nie może teraz zanieść słów pociechy ani Arturowi, ani Lancelotowi.

– Jestem szczęśliwa, że mogę cię tu powitać, królowo Morgause – powiedziała zimno. Czy będę się musiała wypowiadać, jak z grzechu, z tego, że skłamałam królowej? *Czy to by było mniej grzeszne, gdybym powiedziała jej prawdę: Witam cię, bo tego wymaga obowiązek, ale wcale nie jestem rada z tego, że cię widzę, i jeśli o mnie chodzi, to żałuję, że nie zostałam w*

*Lothianie albo nawet i w samym piekle!* Kątem oka dostrzegła, że u boku Artura pojawiła się Niniana i że Artur stoi teraz między nią a Gwydionem. Zmarszczyła brwi.

– Pani Niniano – rozkazała zimno – kobiety teraz odejdą. Znajdź komnatę gościnną dla królowej Lothianu i dopilnuj, by wszystko zostało należycie przygotowane.

Gwydion rzucił jej gniewne spojrzenie, ale nic nie mógł powiedzieć, a Gwenifer, opuszczając dziedziniec wraz ze swymi damami, pomyślała, że są jednak pewne dobre strony bycia Najwyższą Królową.

Przez cały dzień Rycerze Okrągłego Stołu zjeżdżali się z powrotem na dwór Artura i Gwenifer była bardzo zajęta przygotowaniami do uczty na dzień następny, na który wyznaczono również pogrzeb.

W dniu Zesłania Ducha Świętego wszyscy rycerze, którzy powrócili, mieli znów zebrać się razem. Rozpoznała sporo twarzy, ale wiedziała, że wielu innych nigdy już nie wróci: Perceval i Bors, i Lamorak – spoglądała już nawet łaskawszym okiem na Morgause, wiedząc, że ta szczerze oplakuje Lamoraka. Uważała wcześniej, że ta starsza już kobieta robi z siebie pośmiewisko, biorąc tak młodego kochanka, lecz rozpacz to rozpacz, a gdy na żałobnej mszy za Galahada ksiądz mówił o tych wszystkich, którzy zginęli na wyprawie, widziała, że Morgause ukrywa łzy pod welonem, a po mszy jej twarz była czerwona i spuchnięta.

Całą poprzednią noc Lancelot czuwał w kaplicy przy ciele syna i Gwenifer nie miała sposobności, by porozmawiać z nim w cztery oczy. Teraz, po żałobnej mszy, poprosiła, by usiadł przy niej na uczcie Artura, a napełniając mu kielich, miała nadzieję, że upije się na tyle, by zapomnieć o rozpaczach. Sama rozpacziała nad jego poznaczoną zmarszczkami twarzą, tak wynędzniałą z cierpienia, i nad lokami otaczającymi jego twarz, które teraz były całkiem białe. A ona, która przecież kochała go najbardziej ze wszystkich, nie mogła nawet przytulić go i wraz z nim zapłakać. Przez tyle lat było to dla niej jak żywa rana w sercu, że nigdy nie będzie jej wolno publicznie się do niego zwrócić, że mogą jedynie sztywno siedzieć u swego boku i zachowywać się jak królowa i jej krewny. Teraz odczuwała to boleśniej niż kiedykolwiek dotąd, bo on nawet się do niej nie odwrócił, nawet nie napotkała jego oczu.

Stojąc, Artur wznosił toast za tych rycerzy, którzy już nigdy nie powrócą z wyprawy.

– Tu, wobec was wszystkich przysięgam, że żadna z ich wdów czy sierot nigdy nie zazna głodu i niczego im nie zbraknie, póki ja żyję i póki w Kamelocie stoi choćby kamień na kamieniu. Podzielał wasz ból. Następca mego tronu także zginął na tej wyprawie... – Artur odwrócił się powoli i wyciągnął dłoń do Gwydiona, który podszedł i stanął u jego boku. W prostej, białej tunice, z włosami przepasanymi złotą szarfą, wyglądał na młodszego, niż był.

– Moi towarzysze i przyjaciele – powiedział Artur – wiecie dobrze, że król nie może, tak jak zwyczajny człowiek, zbyt długo pograżać się w żałobie. Proszę was, byście wraz ze mną oplakiwali mego kuzyna i przybranego syna, który już nigdy nie będzie władał u mego boku. Lecz choć nasza żałoba jest jeszcze całkiem świeża, proszę też, byście przyjęli Gwydiona, sir



Mordreda, syna mej jedynej siostry, Morgiany z Avalonu, na mego następcę. Gwydion jest młody, lecz stał się już jednym z mych mądrych doradców... – Uniósł i przechylił puchar. – Piję za ciebie, mój synu, i za twoje panowanie, gdy moje dobiegnie końca!

Gwydion ukląkł przed Arturem.

– Oby twe panowanie było długie, mój ojczy.

Gwenifer dostrzegła, że Gwydion mruganiem powstrzymuje łzy i za to bardziej go lubiła. Rycerze wypili, a potem, idąc za przykładem Garetha, zaczęli wydawać radosne okrzyki.

Tylko Gwenifer siedziała cicho. Wiedziała, że to musi nastąpić, nie spodziewała się jednak, że zdarzy się już na żałobnej uczcie Galahada! Odwróciła głowę do Lancelota i szepnęła:

– Mógł poczekać! Powinien był porozmawiać z doradcami!

– Nie wiedziałaś, że to planuje? – spytał Lancelot. Ujął jej dłoń i delikatnie zamknął w swojej, potem zaczął gładzić jej palce pod pięknymi pierścieniami. Pomyślała, że jej palce są teraz takie kościste i suche, a nie miękkie i gładkie jak kiedyś, zawstydziała się tego i chciała cofnąć rękę, lecz jej nie pozwolił. – Artur nie powinien był ci tego robić bez ostrzeżenia! – szepnął, wciąż pieszcząc jej dłoń.

– Ja nie mam prawa się uskarżać, bo ja nie potrafiłam dać mu syna, tak że teraz musi się zadowolić synem Morgiany...

– A jednak powinien był cię uprzedzić – powtórzył Lancelot.

Gwenifer pomyślała, że to się zdarzyło po raz pierwszy w życiu, iż Lancelot powiedział choć jedno krytyczne słowo na temat Artura.

Delikatnie uniósł jej dłoń do swych ust, lecz nagle puścił, bo zbliżali się do nich Artur z Gwydionem. Służba zaczęła roznosić dymiące półmiski z mięsami, tace owoców i chleba, co kilka miejsc na stole ustawiano talerze ze słodyczami. Gwenifer pozwoliła sobie nałożyć trochę mięsa i owoców, lecz niemal nie tknęła jedzenia. Zauważyła z uśmiechem, że przydzielono jej talerz do dzielenia z Lancelotem, jak to często dawniej bywało na ucztach w Zielone Świątki. Niniana, zaś, siedząca po drugiej ręce Artura, z nim dzieliła swój talerz. Raz usłyszała, jak Artur nazywa ją córką, co w pewien sposób przyniosło jej ulgę – być może Artur już uważał ją za przyszłą żonę swego syna.

Ku jej zaskoczeniu, Lancelot jakby czytał w jej myślach, bo zapytał:

– Na następne święto pewnie będziemy mieć na dworze ślub? Choć ja bym powiedział, że pokrewieństwo jest chyba zbyt bliskie...

– A czy w Avalonie to by miało jakieś znaczenie? – spytała Gwenifer głosem ostrzejszym, niż zamierzała. Stare rany wciąż się odzywały.

– Nie wiem – powiedział Lancelot, wzruszając ramionami. – Jako chłopiec w Avalonie słyszałem nawet o takiej krainie, daleko na południu, gdzie rodzina królewska zawsze pobierała się między sobą, tak że następca tronu poślubił własną siostrę, by królewska krew nie została splamiona krwią zwykłych ludzi, i ta dynastia przetrwała tysiąc lat.

– Paganie – prychnęła Gwenifer. – Nic nie wiedzieli o Bogu, nie wiedzieli nawet, jak strasznie grzeszyli...

Jednak Gwydion zdawał się wcale nie ucierpieć na grzechu swego ojca i swej matki; dlaczegoż więc on, wnuk, nie, prawnuk Taliesina, miałby się wahać przed poślubieniem córki swego pradziadka?

*Bóg ukarze Kamelot za ten grzech, pomyślała nagle i za grzech Artura, i za mój... i Lancelota...*

Usłyszała, jak Artur zwraca się do Gwydiona:

– Powiedziałeś kiedyś, i to w mojej obecności, że Galahad nie wygląda na kogoś, kto dożyje swojej koronacji.

– Więc zapewne pamiętasz także, mój ojczy i panie – odparł Gwydion cicho – iż przysiągłem ci wtedy, że nie przyłożę ręki do jego śmierci, lecz że Galahad zginie z honorem za ten sam krzyż, który tak czci. I tak właśnie się stało.

– Co jeszcze widzisz, mój synu?

– Nie pytaj mnie o to, panie. Bogowie mają rację, kiedy mówią, że żaden człowiek nie powinien znać swego własnego końca. Nawet gdybym wiedział, a wcale nie twierdzę, że wiem, niczego bym ci nie wyjawiał.

*Być może, pomyślała Gwenifer z nagłym drżeniem, Bóg nas już, dostatecznie ukarał, kiedy nam przysłał tego Mordreda... a potem, patrząc na młodzieńca, sama się zawstydziała. Jak mogę tak myśleć o tym, który jedyny zachował się wobec Artura jak prawdziwy syn? Jego nie można winić o to, jak został poczęty!*

– Artur nie powinien był tego czynić, nim Galahad nie ostygł w grobie! – powiedziała do Lancelota.

– Nie mów tak, pani. Artur doskonale zna swoje królewskie obowiązki. Czy myślisz, że tam, gdzie jest teraz Galahad, ma dla niego jakiegokolwiek znaczenie, kto zasiądzie na tronie, którego on i tak nie pragnął? Zrobiłbym lepiej, gdybym posłał mego syna na księdza, Gwenifer...

Patrzyła na Lancelota, który myślami był teraz tysiące mil od niej, zapadł się w siebie, odszedł gdzieś, gdzie ona nie miała do niego dostępu. Po chwili spytała nieśmiało:

– Czy zatem ty też nie zdołałeś odnaleźć swojego Graala?

Widziała, jak Lancelot powoli wraca do rzeczywistości.

– Byłem tak blisko, jak tylko taki grzesznik, jak ja, może się do niego zbliżyć i nie paść trupem. Oszczędzono mnie jednak, bym powrócił na dwór Artura i ogłosił, że Graal na wieki zniknął z tego świata... – Znów zamilkł, a kiedy się odezwał, jego głos brzmiał jakby z wielkiej oddali: – Ja bym za nim podążył, aż na tamten świat... lecz nie dano mi wyboru.

*A więc to nie z mojego powodu powróciłeś na dwór, pomyślała.*

I wtedy stało się dla niej jasne, że Lancelot bardziej przypomina Artura, niż sama chciała to przyznać, i że ona nigdy nie była dla żadnego z nich niczym więcej niż tylko rozrywką

między wojnami i wyprawami; że prawdziwe życie mężczyzn toczy się w świecie, gdzie miłość jest niczym. Całe swoje życie Lancelot poświęcił na walce u boku Artura, a teraz, kiedy już w końcu nie było wojen, oddał serce poszukiwaniu Tajemnicy. Graal stanął pomiędzy nimi, tak jak kiedyś Artur stanął pomiędzy ich miłością a honorem Lancelota.

Teraz nawet Lancelot zwrócił się do Boga, a bez wątpienia to ona przywiodła go do ciężkiego grzechu... Ten ból był nieznośny. W całym swoim życiu nie miała niczego poza nim... Nie mogła się powstrzymać, by nie chwycić jego dłoni i mocno nie zamknąć w swojej.

– Brakowało mi ciebie – szepnęła i sama się zdziwiła ogromną tęsknotą w swoim głosie; *pomyśli, że nie jestem lepsza od Morgause, że mu się narzucam...* Przytrzymał jej dłoń i powiedział cicho:

– Ja też za tobą tęskniłem, Gwen... – a potem, jakby potrafił czytać w głębi jej spragnionego serca, dodał: – Graal czy nie Graal, nic nie mogłoby mnie z powrotem sprowadzić na ten dwór, gdyby nie myśl o tobie. Spędziłbym tam resztę życia na modlitwach, by móc choć raz ujrzeć tę Tajemnicę, która pozostała ukryta dla mych oczu. Ale jestem tylko mężczyzną, moja ukochana...

Wiedziała, co chciał przez to powiedzieć, i ponownie ścisnęła jego dłoń.

– Czy więc mam dziś w nocy odesłać moje kobiety?

Zawahał się przez chwilę, a Gwenifer poczuła dawny lęk... jak śmiała być taka bezpośrednia, jak mogła zapomnieć o kobiecej skromności...? Ten moment był zawsze jak śmierć. On jednak mocniej zacisnął palce wokół jej dłoni.

– Tak, kochana.

Kiedy samotnie oczekiwała go w ciemności swej komnaty, zastanawiała się, czy to jego „tak” nie było takie, jak „tak” Artura, jak jego propozycje składane jej od czasu do czasu z litości lub by nie urazić jej dumy. Teraz, gdy nie było już najmniejszej nadziei, że urodzi dziecko, Artur mógł w ogóle przestać do niej przychodzić, lecz był zbyt dobry, by dawać jej kobietom powód do złośliwych uśmiezków za jej plecami. Wciąż jednak czuła to jak cios w samo serce, że Artur odczuwał widoczną ulgę, kiedy go odsyłała. Bywało nawet tak, że zapraszała go do siebie i tylko rozmawiali albo jedynie leżała w jego ramionach, zadowolona z tego, że ją tuli i jest obok, i nie żądała od niego niczego więcej. Zastanawiała się też, czy Artur przypadkiem nie myśli, że jego pieszczoty mogą jej być niemiłe i dlatego tak rzadko je proponuje, czy też po prostu już jej przestał pożądać. Czy on w ogóle kiedykolwiek jej prawdziwie pragnął, czy też przychodził do niej tylko dlatego, że była jego żoną i jego obowiązkiem było dać jej dzieci?

*Wszyscy mężczyźni podziwiali mą urodę i pragnęli mnie, poza moim prawowitym małżonkiem. A teraz, myślała, może nawet Lancelot przyjdzie do mnie tylko dlatego, że jest zbyt dobry, by mi odmówić...* Znów załała ją fala gorąca, czuła je w całym ciele mimo lekkiej nocnej koszuli, cała pokryła się kropelkami potu. Wstała i ochłodziła się zimną wodą z konwi.

Z niesmakiem dotknęła swych wędnących piersi. *Och, jestem stara, to go na pewno oburzy, że to stare i wstrętne ciało jest wciąż tak go spragnione, jak wtedy, kiedy byłam młoda i piękna...*

I wówczas usłyszała za sobą jego lekkie kroki; wziął ją w ramiona i zapomniała o wszystkich lękach. Jednak kiedy już odszedł, nie mogła zasnąć.

*Nie powinnam tak ryzykować. W dawnych dniach to było co innego; teraz jesteśmy chrześcijańskim dworem i oczy biskupa wiecznie mnie śledzą.*

*Ale ja nie mam w życiu nic innego...* i nagle uświadomiła sobie, że Lancelot też nie ma. Jego syn nie żyje, i jego żona, a jego dawna przyjaźń i bliskość z Arturem już nieodwołalnie minęła.

*Gdybym tak mogła być jak Morgiana, która nie potrzebuje miłości mężczyzny, by czuć się żywa i prawdziwa...* Mimo to Gwenifer wiedziała, że nawet jeśli ona nie potrzebowałaby tak bardzo Lancelota, to on potrzebował jej. Bez niej byłby zupełnie samotny. Wrócił na dwór, bo potrzebował jej nie mniej niż ona jego.

Więc jeśli nawet to był grzech, jeszcze większym grzechem byłoby pozostawienie Lancelota samego.

*Nawet gdybyśmy mieli być oboje za to potępieni, nigdy, przenigdy się od niego nie odwrócę. Bóg jest Bogiem miłości, jak więc może potępić jedyny związek w moim życiu, który narodził się z prawdziwej miłości? A jeśli potępi, myślała, sama przerażona swym bluźnierstwem, to nie jest takim Bogiem, którego całe życie czciłam, i nie obchodzi mnie wcale, co on myśli!*

## 15

Latem tego roku znów rozpętała się wojna. Najeźdźcy z północy grabili zachodnie wybrzeża i legion Artura pospieszył z nimi walczyć, tym razem jadąc na czele wojsk saksońskiego króla Ceardiga.

Królowa Morgause pozostała w Kamelocie; nie było na tyle bezpiecznie, by samotnie mogła wrócić do Lothianu, a wszyscy rycerze wyjechali na wojnę i nie było nikogo, kto mógł ją eskortować.

Powrócili późnym latem. Morgause siedziała akurat w wielkiej sali wraz z Gwenifer i jej damami dworu, gdy usłyszały głos trąbek z murów.

– To Artur wraca! – krzyknęła Gwenifer, podnosząc się z miejsca. Wszystkie kobiety natychmiast porzuciły swoje wrzeciona i stłoczyły się wokół niej.

– Skąd wiesz, pani?

Gwenifer się roześmiała.

– Bo posłaniec wczoraj przywiózł mi wieści – odparła. – Myślicie, że w moim wieku bawię się w czary? – Spojrzała na podniecone dziewczęta. Dla Morgause prawie wszystkie dworki Gwenifer były zaledwie dziewczynkami, miały po piętnaście czy nawet po czternaście lat i tylko szukały wymówki, by oderwać się od przędzenia i tkania. Teraz też królowa zlitowała się nad nimi. – To co, pójdziemy wszystkie popatrzeć?

Chichocząc, szczebiocząc, wybiegły z sali w grupkach po dwie i trzy, zostawiając wrzeczona tam, gdzie popadały. Gwenifer przywołała służącą, by doprowadziła komnatę do porządku, po czym statecznym krokiem wyszła u boku Morgause. Udały się na skraj wzgórza, skąd mogły dobrze widzieć drogę prowadzącą do Kamelotu.

– Patrzcie, tam jedzie król...

– A u jego boku sir Mordred...

– Jest też sir Lancelot, o patrzcie, ma bandaż wokół głowy, a ramię na temblaku!

– Gdzie?! – spytała Gwenifer i odepchnęła dziewczyny.

Morgause rzeczywiście rozpoznała Gwydiona jadącego u boku Artura, zdaje się, że nie był ranny, więc odetchnęła z ulgą. Dalej, między rycerzami, widziała też Cormaca, on również pojechał na wojnę razem ze wszystkimi – on też nie był ranny. Najłatwiej było jej odszukać wzrokiem Garetha, był najwyższym mężczyzną ze wszystkich jeźdźców otaczających Artura, a jego złote włosy połyskiwały w słońcu jak aureola. Gawain, jak zwykle jadący z tyłu za Arturem, trzymał się prosto w siodle, lecz kiedy podjechali bliżej, Morgause dostrzegła wielki siniec na jego twarzy, podchodzący aż pod oko, i to, że usta miał spuchnięte, jakby miał wybite co najmniej ze dwa zęby.

– Patrzcie, jaki sir Mordred jest przystojny – powiedziała jedna z dziewcząt. – Słyszałam, jak królowa mówiła, że on wygląda dokładnie tak, jak Lancelot, kiedy był młody – dodała, chichocząc, i trąciła drugą dziewczynkę w zębra. Tuliły się teraz i coś do siebie szeptały, a Morgause, patrząc na nie, znów głęboko westchnęła.

Takie były wszystkie młodziutki, takie śliczne z tymi jedwabistymi, jasnymi, czarnymi czy rudymi włosami, uczesanymi w warkocze lub loki, policzki miały gładkie, jak płatki kwiatu, i miękkie jak u niemowląt, talie takie szczuplutkie, dłonie takie białe i miękkie... Jej serce ścisnęła zazdrość; kiedyś ona była piękniejsza niż którakolwiek z nich. Dziewczynki wciąż się popychały, szeptały sobie plotki o różnych rycerzach.

– Patrzcie, jacy ci saksońscy rycerze są zarośnięci, dlaczego wolą wyglądać jak jakieś psy?

– Moja mama mówi, że pocałować mężczyznę bez brody, to tak, jakby całować drugą kobietę albo małego braciszka! – odparła rezolutnie jedna z dziewczynek, a była to córka któregoś z saksońskich królów, imię miała tak barbarzyńskie, że Morgause nawet nie potrafiła go wymówić, Alfresz czy coś takiego.

– A jednak sir Mordred gładko goli swoją twarz, a nie ma w nim nic z dziewczyny... – powiedziała inna i zwróciła się do Niniana stojącej cicho i spokojnie z boku. – Czyż nie tak, pani Niniano?

Niniana odpowiedziała z cichym śmiechem:

– Wszyscy ci brodaci mężczyźni wydają mi się starzy. Kiedy byłam małą dziewczynką, tylko mój ojciec i najstarsi z Druidów nosili brody.

– A teraz również biskup Patrycjusz nosi brodę – zauważyła inna dziewczyna. – Słyszałam nawet, jak mówił, że w pogańskich czasach mężczyźni deformowali swoje twarze, goląc sobie brody, i że wszyscy mężczyźni powinni nosić brody, bo takich ich Bóg stworzył. To może dlatego Saksoni je noszą?

– Ależ to całkiem nowa moda – wtrąciła Morgause. – Te mody przychodzą i odchodzą. Kiedy ja byłam młoda, zarówno chrześcijanie, jak i poganie, wszyscy gładko golili twarze, a teraz po prostu moda się zmieniła. Nie myślę, żeby to miało cokolwiek wspólnego z ich pobożnością. Pewnego dnia nawet Gwydion może zapuścić brodę. Czy wtedy będzie ci się mniej podobał, Niniano?

– Nie, kuzynko – odparła Niniana ze śmiechem. – Będzie dla mnie zawsze ten sam, z brodą czy bez. Och, patrzcie, teraz nadjeżdża król Ceardig i inni, czy oni wszyscy będą gościć w Kamelocie? Pani, czy mam iść i zawiadomić szambelanów?

– Proszę, idź moja droga – powiedziała Gwenifer i Niniana odeszła do zamku. Dziewczynki wciąż się przepychały, żeby lepiej widzieć i Gwenifer w końcu zaczęła je strofować: – No, wystarczy tego, wracajcie do pracy. Nie wypada wam w ten sposób gapić się na młodych mężczyzn. Nie macie nic lepszego do roboty, niż tylko nieskromnie plotkować o mężczyznach? No już, dalej, wszystkie, zobaczycie ich dziś wieczorem w wielkiej sali, będzie uczta, a to oznacza moc pracy dla nas wszystkich.

Posmutniały, ale posłusznie wróciły do zamku, a Gwenifer, idąc wolno u boku Morgause, pokręciła głową i westchnęła.

– Na niebiosa, czy widziałas kiedy podobną zgraję roztrzepanych dziewcząt? A wszystkie są pod moją opieką i muszę w jakiś sposób strzec ich cnoty! Cały czas spędzają na chichotach i plotkach, zamiast się wziąć za wrzeciona. Jestem zawstydzona, że mój dwór pełen jest takich nieskromnych, małych trzpiotek!

– Och, daj spokój, moja droga – odparła Morgause leniwie. – Przecież sama miałaś kiedyś piętnaście lat. Nie byłaś chyba taką znów chodzącą skromnisią. Nigdy ci się nie zdarzyło zerknąć na przystojnego młodzieńca i pomyśleć sobie, jak by to było się z nim całować, z brodą i bez brody?

– Nie wiem, co ty robiłaś, kiedy miałaś piętnaście lat – rzuciła gniewnie Gwenifer – ale ja żyłam za murami klasztoru! I zdaje się, że to było właśnie było najlepsze miejsce dla tych nieobyczajnych dziewcząt!

– Kiedy ja miałam czternaście lat – zaśmiała się Morgause – miałam oczy szeroko otwarte na wszystko, co nosiło spodnie. Pamiętam, jak siadałam czasem na kolanach Gorloisa, był wtedy mężem Igriany, zanim zakochał się w niej Uther, i Igriana dobrze wiedziała, co się święci, bo kiedy wyszła za Uthera, pierwsze, co zrobiła, to zapakowała moje manatki i jak najszybciej wydała mnie za Lota, który mieszkał tak daleko od dworu Uthera, jak tylko można, bez przepływania przez morze! Och, Gwenifer, czy możesz przysiąc, że nawet za tymi twoimi klasztorными murami nigdy nie zerkałaś na żadnego przystojnego młodzieńca, który przybył ujeżdżać konie twego ojca, ani na szkarłatny płaszcz pewnego pięknego młodego rycerza?

Gwenifer spuściła wzrok.

– To było tak dawno temu... – A potem, zmieniając temat, dodała szybko: – Myśliwi przynieśli wczoraj jelenia, powinnam dać rozkazy, by go pocięto i upieczono na obiad, i może trzeba będzie jeszcze zabić z jedną świnię, jeśli mamy gościć tych wszystkich Saksonów. No i trzeba posłać świeże siano w komnatach, gdzie będą spać. Przecież nie starczy tu łóżek dla tych wszystkich ludzi!

– Poślij swoje dworki, żeby tego wszystkiego dopilnowały – poradziła Morgause. – Muszą się nauczyć, jak podejmować gości, bo po cóż innego są pod twoją opieką, Gwenifer? A obowiązkiem królowej jest osobiście przywitać swego pana, kiedy wraca z wojny.

– Masz rację – zgodziła się Gwenifer i wysłała swego pazia, by przekazał jej rozkazy. A one we dwie ruszyły w kierunku wielkiej bramy. *No, proszę, tak jakbyśmy przez całe życie były najlepszymi przyjaciółkami*, pomyślała Morgause. Przyszło jej też do głowy, że tak już niewiele żyje tych, którzy byli razem młodzi...

Podobne uczucie miała, zasiadając tego wieczoru w wielkiej sali, która została pięknie udekorowana i mieniła się od wielobarwnych strojów dam i rycerzy. Było prawie tak, jak za dawnych dni wspaniałości Kamelotu. A jednak tak wielu dawnych towarzyszy odeszło na wojny lub na wyprawę po Graala i już nigdy nie powrócą. Morgause rzadko sobie przypominała, że jest stara, to ją przerażało. A teraz niemal połowa miejsc przy Okrągłym Stole była zajęta przez tych brodatych Saksonów w zgrzebnych szatach lub przez młodzieńców, którzy zdawali się niemal za młodzi, by już nosić oręż. Nawet jej najmłodsze dziecko, Gareth, był teraz jednym z najstarszych rycerzy a co młodszy odnosił się do niego z taką estymą, wołali do niego „sir”, pytali o radę, a jeśli się z nim nie zgadzali, to i tak woleli się z nim nie spierać. Jeśli chodzi o Gwydiona – większość zwała go teraz Mordredem – zdawał się naturalnym przywódcą wszystkich młodszych rycerzy i tych Saksonów, których Artur wybrał na swych towarzyszy.

Dworki i służba Gwenifer dobrze się spisali; było w bród pieczonego i gotowanego mięsa, i wielkie placki z mięsnym sosem, tace z wczesnymi owocami, gorący chleb i grochówka. Kiedy wszyscy podjedli, a Saksoni pili i bawili się w swoją ulubioną grę w zagadki, Artur poprosił Ninianę, by dla niego zagrała. Gwenifer miała u swego boku

Lancelota z zabandażowaną głową i ręką na temblaku – został zraniony wielkim toporkiem jakiegoś dzikusa. Nie mógł ruszać ręką i Gwenifer kroїła dla niego mięso na kawałeczki. *I nikt*, pomyślała Morgause, *nie zwraca na nich najmniejszej uwagi*.

Gareth i Gawain siedzieli trochę dalej od króla, a obok nich Gwydion, który dzielił swój talerz z Ninianą. Morgause podeszła, by się przywitać z synami. Gwydion zdążył się już wykapać i ufryzować sobie włosy w piękne loki, ale jedną nogę miał zabandażowaną i ułożoną wysoko na stołku.

– Jesteś ranny, synku?

– Goi się dobrze – odparł. – Jestem już za stary, matko, by biec do ciebie i wskakiwać ci na kolana, kiedy sobie stłukę palec!

– To mi jednak wygląda na coś poważniejszego – powiedziała, patrząc na zakrzepłą na opatunku krew – ale jak sobie życzysz, to zostawię cię w spokoju. To nowa tunika?

Była uszyta na wzór, który widziała u wielu Saksonów, z rękawami tak długimi, że zachodziły na nadgarstki i zakrywały dłoń niemal do połowy. Tunika Gwydiona była z błękitnego jedwabiu haftowanego szkarłatną nicią.

– To podarek od Ceardiga. Mówi, że to dobry wzór na chrześcijański dwór, bo zakrywa węże Avalonu. – Gwydion wykrzywił usta w kwaśnym uśmiechu. – Może powinienem podarować memu panu Arturowi taką tunikę na Nowy Rok!

– Wątpię, by ktokolwiek się zorientował, że to potrzebne – powiedział Gawain. – Teraz nikt już nie myśli o Avalonie, a węże Artura wystarczająco wyblakły, by nikt nie wiedział, co to jest, nawet gdyby je zauważył.

Morgause spojrzała na posiniaczoną twarz Gawaina. Rzeczywiście stracił chyba więcej niż jednego zęba, dłonie także miał całe posiniaczone i pokaleczone.

– Ty też zostałeś ranny, mój synu?

– Nie przez wroga – burknął Gawain. – To zarobiłem od naszych saksońskich przyjaciół, od takiego jednego z armii Ceardiga. Niech ich wszystkich piekło pochłonie, gruboskórne bękarty! Było lepiej, jak byli naszymi wrogami!

– Biłeś się z nim?

– Tak, i jeszcze raz go stłukę, jeśli się ośmieli otworzyć swój niewyparzony pysk na temat naszego króla! – rzucił Gawain gniewnie. – I nie potrzebuję, żeby mi Gareth przychodził z pomocą, jakbym nie był dość duży, żeby staczać swoje własne potyczki, młodszy braciszek nie musi mi wcale przybiegać na pomoc...

– On był dwa razy większy od ciebie – powiedział Gareth, odkładając łyżkę. – No i już cię powalił na ziemię, i myślałem, że ci kark skręci albo że ci pogruchota żebra, nawet nie jestem pewien, czy faktycznie nie masz połamanych. Miałem siedzieć spokojnie, kiedy ten parszywy opryszek bił mego brata i oczerniał mego króla? Teraz pomyśli dwa razy, a nawet trzy, zanim znów otworzy usta z podobną gadką.



– A jednak – powiedział Gwydion cicho i spokojnie – pomyśl, Gareth, nie możecie we dwóch uciszyć całej saksońskiej armii, zwłaszcza jeżeli to, co mówią, jest prawdą. Jest takie imię, i nie jest to ładne imię, którym nazywa się mężczyznę, nawet jeśli ten mężczyzna jest królem, ale siedzi cicho i nic nie czyni, gdy ktoś inny spełnia jego małżeńskie obowiązki w łóżu jego żony...

– Jak śmiesz! – Gareth lekko uniósł się w miejscu, odwrócił się do Gwydiona i oburącz złapał go za saksońską tunikę przy samej szyi. Gwydion podniósł ręce, by uwolnić się z uścisku.

– Spokojnie, bracie! – W uchwycie ogromnego Garetha Gwydion wyglądał jak małe dziecko. – Czy potraktujesz mnie tak samo, jak tamtego Saksona, tylko dlatego, że tu, między samymi krewnymi, mówię prawdę? A może ja też mam się zająć miłym dworskim życiem, gdy wszyscy doskonale widzą Najwyższą Królową z kochankiem i nic na to nie mówią?

Gareth powoli zwolnił uścisk i opuścił Gwydiona z powrotem na siedzenie.

– Skoro Artur się nie uskarża na zachowanie swojej pani, to kimże ja jestem, by ją krytykować?

– Przekłeta kobieta! – warknął Gawain. – Przekłeta! Szkoda, że Artur się jej nie pozbył, kiedy był jeszcze po temu czas! Wcale mi się nie podoba, że ten dwór zrobił się taki chrześcijański i do tego pełen Saksonów! Kiedy zostałem rycerzem u boku Artura, na całych tych ziemiach nie było ani jednego Saksona, który by był bardziej religijny niż świnia w chlewie!

Gwydion jęknął z niesmakiem i Gawain zwrócił się do niego:

– Ja ich znam lepiej niż ty! Walczyłem z Saksonami, kiedy ty jeszcze sikałeś w pieluchy! Mamy teraz zmieniać obyczaje na dworze Artura zgodnie z tym, co te owłosione opryszki o nas myślą?!

– Nie znasz Saksonów nawet w połowie tak dobrze, jak ja – odparł spokojnie Gwydion. – Nie poznaje się człowieka podczas bitewnego zgiełku. Ja mieszkałem na ich dworach, piłem z nimi, uwodziłem ich kobiety i ośmielałem się stwierdzić, że znam ich dobrze, a ty nie. I to jedno jest prawdą: oni uważają, że Artur i cały ten dwór jest zepsuty, zbyt pogański.

– O, to do nich rzeczywiście pasuje – burknął Gawain.

– A jednak – ciągnął Gwydion – to wcale nie jest takie miłe, że ci ludzie bezkarnie mogą tak nazywać Artura...

– Bezkarnie, powiadasz? – przerwał mu Gareth. – Zdaje mi się, że my z Gawainem zdrowo im pokazaliśmy!

– I macie zamiar się bić z całą saksońską armią? Chyba mądrzej będzie zlikwidować powód tych pomówień – powiedział Gwydion. – Czy Artur nie może lepiej pilnować własnej żony?

– O, to trzeba by kogoś od ważniejszego niż ja, by powiedzieć Arturowi w twarz coś złego na temat Gwenifer – rzucił Gawain.

– Należy to jednak zrobić – powiedział Gwydion. – Jeżeli Artur ma być Najwyższym Królem nad tymi wszystkimi ludźmi, nie może być dla nich pośmiewiskiem. Skoro przezywają go rogaczem, to czy złożą mu przysięgę na wierność i posłuszeństwo w wojnie i pokoju? Artur musi naprawić to zepsucie na swoim dworze, nie wiem, może wysłać tę kobietę do klasztoru albo wypędzić Lancelota...

Gawain trwożnie rozejrzał się wokół.

– Na Boga, ścis� głos, bracie! Takich rzeczy nie wolno tu mówić nawet szeptem!

– Chyba lepiej, byśmy to my je szepotali, niż gdyby szepetano o nich wzdłuż i wszerz całego kraju – powiedział Gwydion. – W imię Boże, sami patrzcie, siedzą sobie tuż obok niego, a on się jeszcze do nich obojga uśmiecha! Czy cały Kamelot ma się stać pośmiewiskiem, a Okrągły Stół publicznym burdelem?

– A teraz zamknij się albo ci w tym osobiście pomogę! – krzyknął cicho Gawain, chwytając ramię Gwydiona w swój żelazny uścisk.

– Gdybym mówił kłamstwa, Gawain, mógłbyś próbować mnie uciszyć, ale czy pięściami zwalczysz prawdę? A może wciąż utrzymujesz, że Gwenifer i Lancelot są niewinni? Jeśli chodzi o ciebie, Gareth, to przez całe życie byłeś jego pupilkiem i ulubieńcem, więc rozumiem, że nie możesz myśleć niczego złego o swym przyjacielu i dobroczyńcy...

– To prawda – odparł Gareth przez zaciśnięte zęby – chciałbym ujrzyć tę kobietę na dnie najgłębszego morza albo za murami najsurowszego z klasztorów w Kornwalii. Póki jednak Artur nic na to nie mówi, ja też nie będę. Oni są dostatecznie dorośli, by zachować dyskrecję. Wszyscy przecież wiedzą od lat, że Lancelot przez całe życie był jej kawalerem...

– Gdybym tylko miał jakieś dowody, może Artur by mnie wysłuchał – powiedział Gwydion.

– Do diabła, jestem pewien, że Artur doskonale wie wszystko, co wiedzieć powinien. Od niego jednak zależy, czy będzie na to pozwalał, czy coś z tym zrobi... a on nie chce słyszeć złego słowa na temat żadnego z tych dwojga... – Gawain przełknął ślinę i ciągnął dalej. – Lancelot jest moim krewnym i moim przyjacielem, ale... do stu diabłów, czy myślisz, że już nie próbowałem?

– I co na to powiedział Artur?

– Powiedział, że królowej nie pozwoli krytykować i cokolwiek ona czyni, ma absolutną rację. Był uprzejmy, ale widziałem, że doskonale wie, o czym mówię, i w ten sposób mnie ostrzega, żebym się nie wtrącał.

– Gdyby jednak zwrócić jego uwagę w taki sposób, którego nie mógłby zignorować? – spytał Gwydion cicho, po czym przez chwilę nad czymś się zastanawiał. Skinął głową i przywołał do siebie Ninianę.

Siedziała wciąż u stóp Artura, delikatnie trącając palcami struny harfy. Na znak Gwydiona poprosiła króla o pozwolenie odejścia i szybko do nich podeszła.

– Pani – powiedział Gwydion – czy nie jest prawdą, że ona – tu delikatnie odwrócił głowę w stronę Gwenifer – często odsyła na noc swoje kobiety?

– Nie czyniła tego, kiedy rycerzy nie było w Kamelocie – odparła Niniana cicho.

– To przynajmniej wiemy, że dama jest wierna – rzucił Gwydion cynicznie – i nie rozdaje swych wdzięków na prawo i lewo.

– Nikt jej nigdy nie oskarżał o zwykłą rozpustę – powiedział Gareth gniewnie. – A w ich wieku, Boże, przecież oni oboje są starsi od ciebie, Gawain, cokolwiek czynią, nie może to już chyba być nic takiego złego...

– Ja mówię poważnie – przerwał mu Gwydion z równą złością. – Jeżeli Artur ma pozostać Najwyższym Królem...

– Czy nie chcesz przez to powiedzieć, że jeśli ty masz być po nim Najwyższym Królem...

– A co ty myślisz, bracie? Że chcę, by po odejściu Artura władanie na tych ziemiach przejęli Saksoni? – Ich głowy niemal się stykały, mówili do siebie syczącym szeptem.

Morgause wiedziała, że zapomnieli nie tylko o jej obecności, ale w ogóle o jej istnieniu.

– No cóż, myślałem, że bardzo lubisz Saksonów – powiedział Gareth pogardliwie. – Nie chciałbyś, żeby to oni rządili?

– Zamknij się i słuchaj – przerwał mu Gwydion, ale Gawain chwycił go za ramię i szepnął:

– Cały dwór was usłyszy, jeżeli zaraz nie ściszyacie głosów, patrzcie, Artur was obserwuje, zaczął patrzeć w tę stronę, od kiedy zawołałeś Ninianę! Może Artur nie jest tu jedynym, który powinien lepiej pilnować swej pani albo...

– Zamilcz! – przerwał mu Gwydion, wrywając się z uścisku.

Wtedy zawołał do nich Artur:

– A cóż to, moi wierni kuzyni z Lothianu kłócą się między sobą? Proszę o spokój w mej sali, panowie! Pozwól tu Gawainie, król Ceardig prosi, byś zagrał z nim w zagadki!

Gawain wstał z miejsca, a Gwydion rzucił za nim cicho:

– Masz tu ode mnie zagadkę: kiedy jakiś człowiek nie pilnuje swojej własności, co powinni zrobić ci, których interes na tym cierpi?

Gawain odszedł ciężkim krokiem, udając, że tego nie słyszał, a Niniana pochyliła się do Gwydiona i szepnęła:

– Poniechaj ich na razie. Tu jest zbyt wiele oczu i uszu. Zasiałeś już ziarno. Teraz porozmawiaj z innymi rycerzami. Myślisz, że tylko wy zauważyliście to? – Mówiąc, delikatnie poruszyła łokciem.

Morgause, śledząc oczyma jej gest, zobaczyła, że Gwenifer i Lancelot razem pochylają się nad jakąś grą, ułożoną na ich kolanach, a ich dłonie się stykają.

– Myślę, że wielu jest takich, którzy uważają, że to plami honor Artura i całego Kamelotu – mruknęła Niniana. – Musisz tylko znaleźć tych, którzy są mniej... stronniczy niż twoi bracia z Lothianu, Gwydionie.

Gwydion ze złością patrzył na Garetha.

– Lancelot! – warknął cicho przez zęby. – Zawsze tylko Lancelot! – A Morgause, patrząc to na Gwydiona, to na swego najmłodszego syna, pomyślała o malutkim chłopczyku przemawiającym do wyrzeźbionego w drewnie i pomalowanego na czerwono i żółto rycerzyka, którego nazywał Lancelotem.

Potem pomyślała o jeszcze mniejszym Gwydionie, który chodził wszędzie za Garethem krok w krok, jak wierny piesek. *Gareth jest jego Lancelotem. Co z tego wyniknie? Ale tę obawę zwyciężyła szybko złośliwość. Najwyższy czas po temu, żeby Lancelot odpowiedział za wszystko, co uczynił.*

Niniana stała na skraju wzgórza i patrzyła w dół na mgły otaczające Kamelot. Usłyszała za sobą kroki i nie odwracając głowy, spytała:

– Gwydion?

– A któż by inny. – Otoczył ją z tyłu ramionami i mocno przytulił.

Odwróciła się, by go pocałować.

– Czy Artur całuje cię tak samo? – spytał, przytrzymując ją w ramionach.

Uwolniła się z uścisku.

– Jesteś zazdrosny o króla? Czy to nie ty sam kazałeś mi zdobyć jego zaufanie?

– Artur już dostał dosyć z tego, co należy do mnie...

– Artur jest chrześcijaninem. Więcej nic ci na ten temat nie powiem. A ty jesteś moim ukochanym. Ja jednak jestem Niniana z Avalonu i nikomu nie muszę się spowiadać z tego, co robię z tym, co jest moje... tak, moje, nie twoje. Nie jestem Rzymianką, by jakiś mężczyzna mówił mi, co mogę czynić z tym, co dostałam w darze od Bogini. A jeśli to ci się nie podoba, Gwydionie, to wracam do Avalonu.

Gwydion uśmiechnął się tym swoim cynicznym uśmiechem, który najmniej u niego lubiła.

– Jeśli znajdziesz drogę – powiedział. – To już może nie być takie proste. – Cyniczny uśmiezek zniknął z jego twarzy. Stał teraz ze spuszczoną głową, lekko ściskając dłoń Niniany. – Nie obchodzi mnie, co Artur będzie robił w czasie, który mu pozostał. Niech sobie ma swoje miłe chwile, bo tak jak kiedyś Galahadowi, jemu też niewiele ich pozostało... – Spojrzał na mgły otaczające Kamelot. Wyglądały jak gęste wody oceanu. – Kiedy mgła opadnie, zobaczymy stąd Avalon, a może i Wyspę Smoka... Wiesz, że niektórzy Saksoni zaczynają się osiedlać w tych stronach i polują na jelenie na Wyspie Smoka, chociaż Artur surowo tego zabronił?

– Trzeba temu położyć kres! To miejsce jest święte i jelenie...

– I mały lud, który się troszczy o jelenie... lecz Saksoni Aedwina wybili już ten lud. A on tłumaczył się Arturowi, że strzelali do jego zbrojnych zatrutymi strzałami, więc pozwolił im zabić tyłu z nich, ilu zdołają. Teraz polują na jelenie. Wiem, że Artur wypowie, o to wojnę

Aedwinowi, jeśli będzie musiał. Żałuję, ale w tym ja też będę musiał wystąpić przeciw Saksonom. Honor nakazuje mi walczyć u boku tych, którzy bronią Avalonu.

– I Artur stanie w obronie Avalonu? Myślałam, że się go wyrzekł – powiedziała zaskoczona Niniana.

– Być może wyrzekł się Avalonu, lecz nie opuści bezbronnych ludzi z wysp.

Gwydion zamilkł, a Niniana widziała, że wspomina dzień swojej próby na Wyspie Smoka. Dotknął palcami węży wytatuowanych na nadgarstkach, potem znów zasłonił je długimi rękawami saksońskiej tuniki.

– Ciekawe, czy ciągle bym jeszcze potrafił obalić byka gołymi rękami, zbrojny tylko w sztylet...?

– Na pewno, gdyby zaszła taka potrzeba... Pytanie jednak, czy potrafiłby to uczynić Artur? Bo jeżeli nie...

Nie dokończyła zdania. Gwydion wciąż wpatrywał się w gęste mgły.

– Chyba już się nie przejaśni. Ostatnio ciągle wiszą tu mgły, czasem są tak gęste, że posłańcy saksońskich królów nie mogą znaleźć drogi... Niniano! Czy Kamelot także odejdzie we mgły?

Już chciała mu odpowiedzieć jakimś żartem, uciszyć jego lęk, zatrzymała się jednak w pół słowa.

– Nie wiem – odparła po chwili. – Wyspa Smoka jest skalana, tamtejszy lud ginie lub już jest martwy, święte stada padają łupem saksońskich myśliwych. Najeźdźcy z północy nekają wybrzeża. Czy pewnego dnia pochłoną Kamelot, tak jak Goci zalali Rzym?

– Gdybym o tym wcześniej wiedział. – Gwydion z trudem opanowywał złość, bezsilnie zaciskając pięści. – Gdyby Saksoni powiedzieli o tym Arturowi, mógł mnie tam wysłać, mnie albo kogoś innego, by uchronić świętą wyspę, gdzie został pasowany na Króla Byka, gdzie zawarł Święty Związek z ziemią! Teraz obalono świątynię Bogini, a skoro on nie zginął w jej obronie, jego królowanie jest bezprawne.

Niniana usłyszała też słowa, których nie wypowiedział: *i moje również*.

– Nie wiedziałeś przecież, że grozi niebezpieczeństwo.

– I za to także obwiniam Artura. Za to, że Saksoni ośmielili się to uczynić, nawet nie pytając go o zgodę! Czy to nie najlepszy dowód na to, jak niewiele sobie cenią jego Królewską Wysokość? A czemu tak nisko go cenią? Powiem ci, Niniano, bo nie darzy się szacunkiem króla, który jest rogaczem, który nie umie upilnować własnej kobiety...

– I ty, wychowany w Avalonie, chcesz osądzać Artura wedle saksońskich praw? – spytała Niniana ze złością. – Przecież oni są nawet gorsi niż Rzymianie! Chcesz trwanie lub upadek całego królestwa uzależnić od obyczaju, wedle którego mężczyzna powinien mieć władzę nad kobietą? A sam masz zostać Najwyższym Królem, Gwydionie, właśnie dlatego, że płynie w tobie królewska krew Avalonu, a ty jesteś dzieckiem Bogini...

– Tfu! – Gwydion splunął i zmełł w ustach przekleństwo. – A nie przyszło ci nigdy do głowy, że Avalon upadł z tego samego powodu, co niegdyś Rzym? Że upadł dlatego, iż w jego sercu kwitło zepsucie? Wedle praw Avalonu Gwenifer nie uczyniła niczego złego, dama może tam sama wybierać, kto będzie jej mężczyzną, tak więc wedle tych praw Lancelot powinien teraz obalić Artura i objąć władanie! A przecież Lancelot jest synem samej Najwyższej Kapłanki, więc może to jego posadzimy na tronie w miejsce Artura? Czy mamy zatem wybierać kogoś na króla tylko dlatego, że jakaś kobieta zapragnęła wziąć go sobie do łóża? – Znów splunął pod nogi. – Nie, Niniano, tamte czasy minęły! Najpierw Rzymianie, a teraz Saksoni pokazali nam, jak świat powinien być urządzony. Świat nie jest już wielkim łonem rodzącym ludzkość. Teraz wojsko i siła ustanawiają prawa. Czy dzisiejsi ludzie zaakceptują moje panowanie dlatego, że jestem synem tej, a nie innej kobiety? Nie, bo teraz to syn króla obejmuje władzę. Czy mamy odrzucić bardzo dobre prawo tylko dlatego, że pierwsi przynieśli go nam Rzymianie? A to dzięki nim mamy teraz lepsze statki, możemy nawet odkryć nowe lądy, leżące hen poza tą ziemią, która zapadła się w morze. Czy Bogini, przywiązana do tego jednego skrawka ziemi, podąży tam za nami? Patrz na ludy północy najeżdżające nasze wybrzeża, czy powstrzymują ich przekleństwa Matki? Tych kilku kapłanek pozostałych w Avalonie nigdy nie zgwałcą ani Saksoni, ani dzicy najeźdźcy, bo Avalon nie należy już do tego świata, w którym żyją ci napastnicy. Jednak te kobiety, które żyją w obecnym i nadchodzącym świecie, będą potrzebowały mężczyzn, by ich bronili. Ten świat, Niniano, nie jest już światem Bogiń, lecz Bogów, być może nawet jednego Boga. Ja nie muszę obalać Artura. Czas i zmiany same to uczynią.

– A co będzie z tobą, Królu Byku z Avalonu? Co z Matką, która posłała cię w swoim imieniu?

– Myślisz, że mam zamiar odejść we mgły razem z Avalonem i Kamelotem? O nie, mam zamiar być Najwyższym Królem po Arturze, a żeby móc to uczynić, muszę utrzymać świetność i sławę dworu Artura. Tak więc Lancelot musi odejść, co oznacza, że Artura należy zmusić, by wygnał jego i prawdopodobnie Gwenifer również. Czy zatem jesteś ze mną, Niniano?

Jej twarz była trupio blada. Zacisnęła pięści, żałując, że nie ma mocy Morgiany, mocy Bogini, by unieść się jak pomost między niebem a ziemią i uderzyć w niego porażającym gromem rozgniewanej Bogini. Półksiężyc palił jej czoło, jak rozżarzone żelazo.

– Mam pomóc tobie, zdradzając inną kobietę za to, że wykorzystwała prawo, które Bogini dała wszystkim kobietom? Prawo wyboru swojego mężczyzny?

Gwydion roześmiał się szyderczo.

– Gwenifer pozbawiła się tego prawa w chwili, gdy po raz pierwszy uklękła u stóp Boga niewolników!

– Mimo to ja nie przyłożę ręki do tej zdrady.

– A więc nie dasz mi znać, gdy ona znów odeśle na noc swoje kobiety?

– Nie – powiedziała Niniana stanowczo. – Na Boginię, nie uczynię tego. A zdrada Artura jest niczym wobec twojej! – Odwróciła się od niego i zamierzała odejść, ale chwycił ją i zatrzymał.

– Zrobisz to, co ci rozkażę!

Zaczęła się z nim szarpać i w końcu uwolniła posiniaczone ramię z jego uścisku.

– Rozkażesz?! Mnie?! Nie, nawet za tysiąc lat! – krzyknęła, z trudem łapiąc oddech. – Miej się na baczności, ty, który podniosłeś rękę na Panią Avalonu! Artur dowie się teraz, jaką zmiję hoduje na własnym łonie!

Zaślepiiony wściekłością Gwydion złapał ją za ramię i przyciągnął do siebie, drugą ręką z całej siły uderzając ją w skroń. Upadła na ziemię, nie wydając jednego okrzyku. Był tak pełen złości, że pozwolił jej upaść i nawet nie próbował jej złapać.

– Dobrze imię nadali ci Saksoni – powiedział nagle niski, gniewny głos, dochodzący z gęstej mgły. – *Diabelski doradca, Mordred morderca!*

Odwrócił się przerażony i dopiero teraz spojrzął na skurczone, leżące na ziemi ciało Niniany.

– Morderca? Nie! Tylko byłem na nią zły... Nigdy bym jej nie skrzywdził... – Wodził dokoła wzrokiem, ale nie mógł niczego dostrzec w coraz to gęstszej mgle.

Rozpoznał jednak głos.

– Morgiana! Pani... matko!

Ukląkł, lęk zaciskał mu gardło. Uniósł głowę Niniany, szukał bicia jej serca, ale leżała w jego ramionach cicha i martwa.

– Morgiano; gdzie jesteś?! Gdzie jesteś? Pokaż się, do diabła! – krzyczał, lecz obok niego była tylko nieruchoma Niniana. Tulił ją do siebie, błagając: – Niniano! Niniano, ukochana moja, kochanie, powiedz coś, przemów do mnie...

– Ona już nigdy nie przemówi – powiedział głos bez twarzy, lecz kiedy Gwydion znów się odwrócił i z przerażeniem wpatrywał się w gęstą mgłę, wyszła z niej realna kobieca postać.

– Och, cóż się stało, mój synu?

– Czy to ty? Czy to ty? – dopytywał Gwydion histerycznie, łamiącym się głosem. – Czy to ty nazwałaś mnie mordercą?

Morgause zatrzymała się zaskoczona.

– Nie, ja przyszłam dopiero w tej chwili. Coś ty uczynił?

Gwydion rzucił się w jej ramiona, a ona tuliła go, głaskała, jak to robiła, kiedy miał dwanaście lat.

– Niniana mnie rozzłościła... ona, ona mi groziła... Bogów wzywam na świadków, matko, nie chciałem jej skrzywdzić, ale ona groziła, że pójdzie do Artura i powie mu, że knuję coś przeciwko jego ukochanemu Lancelotowi... – Gwydion wyrzucał z siebie słowa, niemal się

nimi krztusząc. – I wtedy... uderzyłem ją, ale przysięgam, przysięgam, chciałem ją tylko przestraszyć, tylko przestraszyć, ale ona upadła...

Morgause puściła Gwydiona i uklękła przy Ninianie.

– Zadałeś nieszczęśliwy cios, mój synu. Ona nie żyje. Nic już nie można dla niej uczynić. Musimy iść i powiedzieć o tym szeryfom i strażom Artura.

Cała krew odpłynęła mu z twarzy.

– Matko... i co powie Artur?

Morgause poczuła, jak serce jej topnieje. Oto Gwydion jest całkowicie w jej rękach, jak wtedy, gdy był małym dzieckiem, a Lot chciał go zabić... Jego życie znów należy do niej i on o tym wie.

Przytuliła go do piersi.

– Moje kochane dziecko, nie powinieneś za to cierpieć, przecież to tak, jakbyś zabił kogoś w bitwie – powiedziała, patrząc z tryumfem na martwe ciało Niniany. – Mogła się sama potknąć i upaść w tej mgle... a stąd do podnóża góry daleka droga... – dodała, patrząc na tonącą we mgle przepaść. – No, to ty złap ją za stopy. O tak. Co się stało, to się nie odstanie, i dla niej nie ma to już żadnego znaczenia.

Dawna nienawiść do Artura dodała jej siły. Gwydion obali go z tronu i uczyni to przy jej pomocy. A gdy to się dokona, ona zasiądzie u jego boku, jako ta, która posadziła go na tronie! Niniana nie stoi już między nimi! Tylko ona, Morgause, będzie mu teraz służyła pomocą i radą.

Lekkie ciało Pani Avalonu cicho zniknęło we mgle. Później tego dnia Artur przywołał ją do siebie, a gdy się nie pojawiła, posłał ludzi na poszukiwanie. Teraz jednak Gwydion jak zahipnotyzowany wpatrywał się we mgłę i przez chwilę myślał, że gdzieś na wodach pomiędzy Kamelotem a Wyspą Smoka widzi cień łodzi Avalonu.

Wydało mu się, że Niniana odziana na czarno, jak Śmierć, stoi na dziobie i przyzywa go skinieniem ręki... potem wszystko zniknęło.

– Chodźmy, synu – powiedziała Morgause. – Cały ten ranek spędziłeś w moich komnatach, a przez resztę dnia musisz być blisko Artura. Pamiętaj, w ogóle nie widziałeś dzisiaj Niniany, a kiedy spotkasz Artura, to pierwszy musisz o nią zapytać, możesz nawet wydać się trochę zazdrosny, jakbyś się obawiał, że mógłbyś ją znaleźć w jego łóżu.

Przytulił się do niej i wyszeptał:

– Tak zrobię, tak zrobię, matko. Jesteś najlepszą ze wszystkich matek i najlepszą ze wszystkich kobiet!

Było to jak balsam dla jej serca. Tuliła go jeszcze przez chwilę i znów go pocałowała, by w pełni nacieszyć się swą nową władzą.



Gwenifer leżała w ciemności z szeroko otwartymi oczyma i czekała, aż usłyszy kroki Lancelota. Myślała jednak nie o nim, lecz o Morgause, gdy uśmiechając się i mrużąc oczy, mruknęła: – Och, jak ja ci zazdroszczę, moja droga! Cormac to wspaniały mężczyzna, i jurny, nie ma jednak nic z tej gracji i urody twojego kochanka!

Gwenifer spuściła wtedy głowę i nic nie odpowiedziała. Kim ona jest, by ganić Morgause, skoro sama robi to samo? I to jest coraz bardziej niebezpieczne. W ostatnią niedzielę sam biskup wygłosił kazanie o wielkim grzechu cudzołóstwa, powtarzając, że cnotliwość żon leży u podstawy chrześcijańskiego życia, gdyż tylko poprzez wierność małżeńską kobiety mogą odpokutować za straszny grzech Ewy. Gwenifer przypomniała sobie wtedy tę opowieść o kobiecie, którą przyłapano na cudzołóstwie i zaprowadzono przed Chrystusa, a on powiedział: *Niechaj ten z was, kto jest bez winy, pierwszy rzuci kamieniem*. I nie znalazł się wtedy nikt niewinny, by rzucić kamień, ale tutaj, na jej dworze, wielu jest ludzi cnotliwych, Artur pierwszy mógłby go rzucić... Chrystus powiedział tamtej kobiecie: *Idź i nie grzesz więcej*, i tak właśnie ona powinna uczynić...

To nie jego ciała pragnęła. Morgause zachwalająca jurność swojego młodego kochanka nigdy by nie uwierzyła, jak niewielkie znaczenie to miało dla nich obojga. W istocie rzadko tylko Lancelot brał ją w ten sposób, który był grzeszny i cudzołożny – jedynie w tamtych pierwszych latach, gdy mieli przyzwolenie Artura, by starać się sprawdzić, czy Gwenifer może dać królestwu następcę tronu. Były inne sposoby, żeby znaleźć rozkosze, które ona uważała za mniej grzeszne i nie były dla niej takim pogwałceniem praw Artura do jej ciała. A nawet wtedy nie tak bardzo pożądała Lancelota, tylko za wszelką cenę chciała przy nim być... wciąż uważała, że jest to bardziej pragnienie duszy niż ciała. Dlaczego Bóg miłości miałby to potępić? Może potępić grzech, którego się dopuścili i za który wciąż od nowa odprawiała pokuty, ale jakże mógłby potępić najczystsza miłość jej serca?

*Nie zabrałam Arturowi nic, czego on by pragnął lub ode mnie oczekiwał. Musi mieć królową, panią, by utrzymywała w porządku jego zamek; co do reszty, to nigdy nie chciał ode mnie niczego, poza synem, a to nie ja, lecz Bóg mu go odmówił.*

W ciemności usłyszała ciche kroki.

– Lancelot? – szepnęła.

– Niekoniecznie.

Zaskoczył ją błysk maleńkiej lampki, przez chwilę wydało jej się, że widzi ukochaną twarz, która nagle odmłodziła, po chwili pojęła kto to.

– Jak śmiesz? Moje kobiety nie są tak daleko i mogą na nie zaraz krzyknąć, a nikt nie uwierzy, że sama cię tu zawołałam!

– Leż cicho – powiedział. – Masz na gardle nóż, moja pani.

Cofnęła się przerażona, naciągając na siebie pościel.

– Och, nie pochlebiaj sobie, nie przyszedłem tu, by cię zgwałcić. Twoje wdzięki są dla mnie zbyt uwiędłe, moja pani, i nadto zużyte.

– Wystarczy – powiedział zduszony głos w ciemności, za plecami Gwydiona. – Nie drwij z niej! To brudna sprawa, tak się zakradać do czyjejś sypialni, i już żałuję, że się w to dałem wciągnąć! Bądźcie wszyscy cicho i pochowajcie się w kątach komnaty!

Kiedy jej oczy przywykły do mdłego światła, rozpoznała twarz Gawaina, a za nim znajomą postać.

– Gareth? Co ty tu robisz? – spytała ze smutkiem. – Myślałam, że jesteś najdroższym przyjacielem Lancelota.

– Bo jestem – odparł ponuro. – Przyszedłem, by nie stało mu się nic gorszego, niż nakazuje sprawiedliwość. Bo ten – tu pogardliwym gestem wskazał na Gwydiona – chciał mu poderznąć gardło i ciebie oskarżyć o morderstwo!

– Cicho bądź – rozkazał Gwydion i światło zgasło. Gwenifer czuła łaskotanie ostrza na szyi. – Jeśli choć piśniesz, by go ostrzec, pani, poderznę ci gardło, a dopiero potem będę się martwił, jak to wytłumaczyć Arturowi. – Czubek noża wbił jej się boleśnie w skórę i Gwenifer nie wiedziała, czy już jej nie zranił do krwi. Słyszała ciche odgłosy – szmer szat, dźwięk wyciąganego oręża; ilu ludzi przyprowadził na tę zasadzkę? Leżała cicho, wykręcając palce w desperacji. Gdyby tylko mogła ostrzec Lancelota... ale leżała jak maleńkie, przerażone zwierzątko, cicha i bezsilna.

Minuty ciągnęły się w nieskończoność, gdy ona wciąż kuliła się w potrzasku między poduszką a nożem. Po długiej chwili usłyszała cichutki dźwięk, jakby gwizd małego ptaszka. Gwydion wyczuł skurcz jej mięśni i spytał charczącym szeptem:

– Sygnał Lancelota? – Znow mocniej wbił czubek noża w jej skórę, a ona pocąc się z przerażenia, szepnęła:

– Tak.

Usłyszała cichy szelest słomy w materacu, gdy Gwydion wstał z łoża.

– W komnacie jest tuzin ludzi. Spróbuj tylko go ostrzec, a nie przeżyjesz trzech sekund.

Teraz słyszała odgłosy w pakamerze; płaszcz Lancelota... jego miecz, o Boże, czy chcą go pojmać nagiego i bezbronnego? Spięła wszystkie mięśnie, w wyobraźni czując już zagłębiające się w jej ciało ostrze. Musi znaleźć sposób, by go jakoś ostrzec, musi krzyknąć... już otworzyła usta, lecz Gwydion – *czy to Wzrok mu pomógł?, skąd o tym wiedział?* – położył jej na twarzy mocną dłoń, brutalnie tłumiąc okrzyk. Wiła się pod tą duszącą dłonią i wtedy poczuła obok siebie ciężar Lancelota.

– Gwen? – szepnął. – Co się stało? Czy słyszałem twój płacz, kochana?

Udało jej się uwolnić spod ręki Gwydiona.

– Uciekaj! – krzyknęła. – To zasadzka, pułapka!

– Niech to piekło... – Poczowała, że Lancelot wyskakuje z łoża jak kot. Błysnęła lampa Gwydiona; płomień przechodził szybko z rąk do rąk, aż światło wypełniło całą komnatę. Do

przodu wysunęli się Gawain, Gareth i Kaj, za nimi stało tuzin innych postaci. Gwenifer skuliła się pod pościelą. Lancelot stał w miejscu, całkiem nagi, bezbronny.

– Mordred! – powiedział z pogardą. – Taki czyn jest ciebie wart!

Gawain wystąpił krok do przodu i przemówił oficjalnym tonem:

– W imieniu Najwyższego Króla, oskarżam ciebie, Lancelocie, o zdradę stanu. Oddaj mi swój miecz.

– Daj sobie spokój – przerwał mu Gwydion. – Sam idź i go weź.

– Gareth?! W imię Boże, dlaczego ty dałeś się w to wciągnąć?

W świetle lamp oczy Garetha błyszczały, jakby były pełne łez.

– Bo nigdy w to nie wierzyłem, Lancelocie – powiedział. – Przysięgam Bogu, że wolałbym zginąć w bitwie, niż dożyć tego dnia.

Lancelot spuścił głowę i Gwenifer zobaczyła jego oczy, rozbiegane, lustrujące komnatę.

– O Boże – szepnął, jakby do siebie. – Pellinor patrzył na mnie w ten sposób, kiedy przyszedł z pochodniami, by pojmać mnie w łóżu Elaine... czy całe życie muszę wszystkich i wszystko zdradzać?

Chciała do niego podbiec, zapłakać z bólu i litości, wziąć go w swoje ramiona. Ale on nie patrzył na nią.

– Twój miecz – powtórzył Gawain cicho. – I odziej się, Lancelocie. Nie zaprowadzę cię przed oblicze Artura nagiego i pohańbionego. Już dosyć ludzi jest świadkami twego poniżenia.

– Nie pozwól mu dotknąć miecza – zaprotestował jakiś głos w ciemności, lecz Gawain skinął dłonią i głos posłusznie zamilkł.

Lancelot powoli poszedł do maleńkiej pakamery, gdzie zostawił oręż i szaty. Słyszała, jak się ubiera. Kiedy ponownie się pojawił, odziany, lecz bez broni, Gawain stanął przed nim z dłonią na rękojeści swego miecza.

– Tym lepiej dla ciebie, że zgadzasz się pójść z nami w spokoju – powiedział Gwydion. – Matko! – Odwrócił się, a zaskoczona Gwenifer zobaczyła, że w cieniu stoi Morgause. – Ty dopilnuj królowej. Będzie pod twoją strażą, póki Artur się nią nie zajmie.

Morgause podeszła do łóża. Gwenifer nigdy przedtem nie zwróciła uwagi, jaka to duża kobieta, jak bezwzględna i mocna ma twarz.

– No, moja pani, załóż suknię – powiedziała teraz. – A ja ci pomogę związać włosy, nie chcesz chyba stanąć przed królem tak bezwstydnie naga. I bądź rada, że jest tu druga kobieta. – Spojrzała z pogardą po zebranych. – Oni chcieli zaczekać, aż przyłapią go wewnątrz ciebie!

Gwenifer skuliła się, słysząc te brutalne słowa; powoli, odrętwiałymi rękoma, zaczęła naciągać na siebie suknię.

– Czy muszę się ubierać przy tych wszystkich mężczyznach?

Gwydion nie czekał na odpowiedź Morgause.

– Nie próbuj nas tu zwodzić, rozpustna kobieto! Jeszcze śmiesz udawać, że została ci jakaś skromność czy cnota? Wkładaj tę suknię, pani, albo moja matka okreści cię nią jak workiem!

*Nazywa ją matką. Nic dziwnego, że Gwydion jest taki okrutny i bezwzględny, skoro wychowała go królowa Lothianu!* A przecież Gwenifer zawsze widziała w niej tylko leniwą, zachłanną, wesołą kobietę – co ją do tego skłoniło? Usiadła na skraju łoża, powoli sznurując buciki.

– A więc chcesz mego miecza? – spytał Lancelot cicho.

– Już to powiedziałem – odparł Gawain.

– W takim razie – poruszając się tak szybko, że niemal trudno to było dostrzec gołym okiem, Lancelot doskoczył do Gawaina i kocim ruchem wyrwał mu z dłoni miecz – chodź i go sobie weź, do diabła!

Z mieczem Gawaina natarł na Gwydiona, który natychmiast upadł w poprzek łoża, wyjąc i strasznie krwawiąc z wielkiej rany na plecach; po chwili, gdy do przodu wysunął się Kaj z mieczem, Lancelot chwycił z łoża poduszkę i pchnął nią Kaja w tył z taką siłą, że Kaj wpadł na innych nacierających mężczyzn, a ci poprzewracali się na niego. Lancelot wskoczył na łożo i cicho rzucił do Gwenifer:

– Bądź zupełnie cicho i w gotowości!

Złapała powietrze i pokornie skuliła się w kącie. Znowu na niego nacierali; jednego przebił mieczem, na krótko stał się z innym, po czym, przeskakując przez jego martwe ciało, zadał cios kolejnemu napastnikowi, który wyłonił się z cienia. Olbrzymia postać Garetha powoli opadła na podłogę. Lancelot już walczył z kimś innym, lecz Gwydion, wciąż krwawiąc, krzyknął:

– Gareth! – I rzucił się na ciało swego przybranego brata.

W tej potwornej chwili, gdy Gwydion klęczał i szlochał nad ciałem Garetha, Gwenifer poczuła, jak Lancelot chwytą ją w ramiona, unosi w powietrzu, okręca się, zabija kogoś jeszcze w drzwiach – nigdy się nie dowiedziała, kto to był – a potem w jednej chwili znalazła się na własnych nogach w korytarzu, a Lancelot popychał ją przed sobą w ogromnym pośpiechu. Ktoś zastąpił im drogę w ciemności, Lancelot też go zabił, i pobiegli dalej.

– Biegnij do stajni! – krzyknął. – Na koń i w drogę, szybko!

– Czeka! – Chwyciła go za ramię. – Jeśli zdamy się na łaskę Artura... albo ty uciekniesz, a ja zostanę i mu wyjaśnię...

– Gareth może chcieć sprawiedliwości. Ale jeśli wmieszał się w to Gwydion, to myślisz, że któremuś z nas uda się żywemu dotrzeć do króla? Dobrze go nazwałem, Mordred! – Pociągnął ją w kierunku stajni, błyskawicznie zarzucił siodło na swego konia. – Nie ma czasu siodłać twojego. Usiądź za mną i dobrze się trzymaj, muszę sforsować strażę przy bramie!

Gwenifer zdała sobie sprawę, że widzi zupełnie nie znanego sobie Lancelota, nie kochanka, lecz twardego wojownika. Ilu ludzi zabił tej nocy? Nie miała czasu na strach, gdy podniósł ją na siodło i wskoczył na miejsce przed nią.

– Trzymaj się mnie mocno – rzucił. – Nie będę mógł cię pilnować. – Odwrócił się i pocałował ją długo i mocno. – To moja wina. Powiniennem wiedzieć, że ten piekielny bękart będzie nas śledził, cóż, cokolwiek się stanie, przynajmniej koniec z tym wszystkim. Koniec kłamstw, koniec ukrywania się. Jesteś moja na wieki... – Ruszył z kopyta. Czują, że zadrżał, lecz zdecydowanie spał konia ostrogami. – W drogę!

Morgause patrzyła przerażona, jak Gwydion, szlochając i płacząc, pochyła się nad jej najmłodszym synem.

Te słowa, które wypowiedział niemal w żartach, tyle lat temu – odmówił wtedy udziału w turnieju w towarzystwie Garetha, nawet w wielkiej bitwie... *Wydawało mi się, że leżysz umierający...* – powiedział wtedy – *...a ja wiedziałem, że to z mojej winy nie ma w tobie iskry życia... Nie chcę kusić losu.*

Lancelot to uczynił, ten Lancelot, którego Gareth zawsze kochał bardziej niż kogokolwiek na świecie.

– Oni uciekają! – powiedział któryś z mężczyzn pozostałych w komnacie.

– Myślisz, że mnie to obchodzi? – jęknął Gwydion i Morgause dopiero teraz zobaczyła, jak strasznie krwawi, jak jego krew spływa na podłogę i miesza się z krwią Garetha. Chwyciła lniane prześcieradło z łoża, rozdarła i przyłożyła do rany Gwydiona.

– Żaden człowiek w całej Brytanii nie ośmieli się dać im schronienia – powiedział Gawain ponuro. – Lancelot jest banitą. Został przyłapany na zdradzie swego króla, nad jego głową ciąży wyrok. Boże! Jakże żałuję, że do tego doszło! – Pochylił się i spojrział na ranę Gwydiona, ale tylko wzruszył ramionami. – To płytkie zadraśnięcie, krwawienie już ustaje, zagoi się, tyle że przez kilka dni nie będziesz mógł wygodnie siedzieć. Gareth... – Głos mu się załamał i ten wielki, surowy, siwiejący mężczyzna zaczął płakać jak dziecko. – Gareth miał mniej szczęścia i Lancelot zapłaci za to życiem, choćbym nawet sam miał zginąć z jego ręki! O Boże, Gareth, mój maleńki, mój maleńki braciszek... – Gawain uklęknął i kołysał ogromne ciało brata w swych ramionach. – Czy było warto, Gwydionie? Czy to było warte życia Garetha? – pytał, dławiąc się łzami.

– Chodź, mój synu – powiedziała Morgause przez zaciśnięte gardło. Gareth, jej dziecko, jej najmłodszy syn... dawno już straciła go dla Artura, lecz wciąż pamiętała tego małego, jasnowłosego chłopczyka, zaciskającego w piastce drewnianego rycerzyka. *I pewnego dnia ty i ja razem wyruszymy na wyprawę, sir Lancelocie...* zawsze Lancelot. Ale teraz Lancelot wyjawiał, kim naprawdę jest, i wszyscy ludzie, w całym kraju, zwrócą się przeciwko niemu. A ona wciąż ma jeszcze swego Gwydiona, swego ukochanego Gwydiona, który pewnego dnia będzie Najwyższym Królem, a ona zasiądzie wtedy u jego boku.

– Chodź, chłopcze, chodźmy stąd. Dla Garetha nic już nie można uczynić. Pozwól, że opatrzę ci ranę, a potem pójdziemy do Artura i opowiemy mu, co się stało, by wysłał pościg za tymi zdrajcami...

Gwydion strząsnął jej dłoń ze swego ramienia.

– Nie dotykaj mnie, przeklęta! – krzyknął straszonym głosem. – Gareth był najlepszym z nas i nie poświęciłbym go nawet za tuzin królów! To przez ciebie i twoją nienawiść do Artura, to ty zawsze mnie judziłaś przeciw niemu, jakby mi zależało na tym, z kim sypia królowa... jakby Gwenifer była gorsza od ciebie, a to ty, odkąd tylko pamiętam, zawsze miałaś kogoś nowego w swoim łożu...

– Och, mój synku – szepnęła Morgause przerażona. – Jak możesz tak do mnie mówić? Gareth był także moim synem...

– A co ciebie kiedykolwiek obchodził Gareth czy którykolwiek z nas? Zależało ci tylko na własnych przyjemnościach i na własnych ambicjach! Chciałaś mnie widzieć na tronie nie dla mego dobra, lecz dla własnej władzy! – Znów odtrącił jej wyciągnięte ręce. – Wynoś się z powrotem do Lothianu albo i do samego piekła, jeśli diabły cię tam zechcą, lecz jeżeli jeszcze raz cię zobaczę, to przysięgam, że zapomnę o wszystkim, poza tym, że to ty zamordowałaś jedyne brata, którego kochałem, mego jedyne przyjaciela... – Kiedy Gawain w pośpiechu wypychał ją z komnaty, słyszała jeszcze szloch Gwydiona: – Och, Gareth, Gareth, to ja powinienem był zginąć pierwszy...

– Cormac, odprowadź królową Lothianu do jej komnaty – rozkazał sucho Gawain.

Silne ramię rycerza mocno ją podtrzymywało, a kiedy zeszli w dół schodami, kiedy ucichło to przeraźliwe łkanie, Morgause zaczęła znów swobodnie oddychać. Jak on mógł tak się na nią rzucić?

Przecież zawsze robiła wszystko wyłącznie dla jego dobra! Musi okazać stosowną rozpacz po śmierci Garetha, to pewne, ale Gareth był człowiekiem Artura i sam Gwydion z pewnością to zrozumie, prędzej czy później. Podniosła oczy na Cormaca.

– Nie mogę iść tak szybko, zwolnij, proszę.

– Jak sobie życzysz, pani.

Była niezwykle świadoma jego silnego ramienia, które ją pod trzymywało. Pozwoliła sobie lekko się na nim oprzeć. Przechwalała się przed Gwenifer swoim młodym kochankiem, ale tak naprawdę jeszcze nigdy nie wzięła go do swego łoża. Pozwalała mu czekać, pragnąć. Teraz przytuliła głowę do jego ramienia.

– Wiernie służysz swojej królowej – powiedziała cicho.

– Jestem wierny moim władcom, tak jak zawsze była cała moja rodzina. – Młodzieniec odpowiedział w ich własnym języku, a ona się uśmiechnęła.

– Tu jest moja komnata, pomóż mi wejść do środka, proszę. Ledwie się trzymam na nogach...

Pomógł jej ułożyć się na łożu.

– Czy jest życzeniem mojej pani, bym zawołał jej kobiety?

– Nie – szepnęła, chwytając jego dłonie, świadoma, że jej łyzy są w tej chwili bardzo pociągające. – Byłeś mi wierny, Cormac, i teraz twe oddanie zostanie wynagrodzone... chodź do mnie...

Wyciągnęła ramiona i przymknęła oczy, po czym znów je otworzyła, zaskoczona, gdyż on niezręcznie się cofnął.

– Myślę... ty chyba niedomagasz, pani – wyjąkał. – Za kogo mnie bierzesz? Z kim mnie mylisz?... Pani, ja mam przecież dla ciebie tak wielki szacunek, jak do mej własnej babki! Czyż ośmieliłbym się wykorzystać taką starą kobietę, wiedząc, że jest oszalała z rozpacz? Pani, pozwól, że zawołam twoje kobiety, one ci zrobią gorący napar, a ja przysięgam, że zapomnę o tym, co powiedziałaś w tym szaleństwie.

Morgause czuła, że jego słowa uderzają ją jak ostrze miecza, w żołądek, w serce, wciąż nowe uderzenia... *moja własna babka... stara kobieta... oszalała z rozpacz...* Cały świat nagle zwariował – Gwydion oszalał z niewdzięczności, ten człowiek, który od tak dawna patrzył na nią pożądliwie, nagle odwraca się od niej... Chciała krzyknąć, zawołać służbę i kazać go wychłostać, tak mocno, by jego plecy ociekały krwią, by ściany drżały od jego krzyków i błagania o litość! Gdy jednak tylko otworzyła usta, cały ciężar jej życia opadł na nią śmiertelnym znużeniem.

– Tak... – powiedziała cicho. – Sama już nie wiem, co mówię... zawołaj moje kobiety... i powiedz, żeby mi przyniosły trochę wina. O świcie ruszamy do Lothianu.

A kiedy odszedł, usiadła na łożu i nie miała nawet siły, by podnieść rękę.

*Jestem starą kobietą. Straciłam mego syna, Garetha, i straciłam Gwydiona, i nigdy już nie będę Królową Kamelotu. Żyję już zbyt długo.*

## 17

Tuląc się do pleców Lancelota, z suknią podciągniętą nad kolana i z nagimi nogami, zwisającymi po bokach konia, Gwenifer zamknęła oczy, gdy tak szaleńczo pędzili w noc. Nie miała pojęcia, gdzie jadą.

Lancelot był teraz kimś obcym, twardym wojownikiem, mężczyzną, którego nigdy przedtem nie знаła. *Dawniej – myślała – byłabym przerażona, tutaj, pod tym otwartym niebem, w nocy... ale teraz czuła się podniecona, radosna.* W jej myślach był również ból, rozpaczła nad łagodnym Garethem, który był dla Artura jak rodzony syn i zasługiwał na coś więcej niż tak okrutna śmierć – zastanawiała się, czy Lancelot w ogóle wiedział, kogo zabił! Była w niej także rozpacz za całym życiem u boku Artura i za wszystkim, co ich przez te długie lata łączyło. Po tym, co się stało dzisiejszej nocy, nie było już dla niej powrotu. Musiała się mocniej pochylić, by w porywistym wietrze usłyszeć głos Lancelota.

– Musimy się niebawem zatrzymać, koń musi wypocząć. Nie możemy jechać w dzień, nasze twarze są znane wszystkim w tych okolicach.

Przytaknęła. Nie mogła złapać tchu, by coś powiedzieć. Po jakimś czasie wjechali w zagajnik. Lancelot zatrzymał konia i delikatnie zsadził ją z siodła. Zaprowadził konia do wodopoju, potem rozłożył na ziemi swój płaszcz, by mogła usiąść. Spojrzał na miecz u swego boku.

– Wciąż mam miecz Gawaina. Kiedy byłem chłopcem, słyszałem opowieści o bitewnym szale, nie wiedziałem jednak, że coś takiego płynie w mojej krwi... – Ciężko westchnął. – Na tym mieczu jest krew. Kogo zabiłem, Gwenifer?

Nie mogła znieść tego smutku i poczucia winy na jego twarzy.

– Więcej niż jednego... – powiedziała cicho.

– Wiem, że uderzyłem Gwydiona-Mordreda, niech go piekło pochłonie. Pamiętam, że go zraniłem, wtedy jeszcze wiedziałem, co czynię. Nie przypuszczam... – głos mu się zmienił – bym to jego miał szczęście zabić?

Milcząc, potrząsnęła głową.

– Więc kogo?

Nie odpowiedziała. Pochylił się i chwycił ją za ramiona tak gwałtownie, że przez chwilę przestraszyła się wojownika, tak jak nigdy nie bała się kochanka.

– Gwen! Powiedz mi! Na Boga, czy zabiłem mego kuzyna Gawaina?!

Na to mogła odpowiedzieć bez wahania, rada, że wymienił imię Gawaina.

– Nie, przysięgam, nie zabiłeś Gawaina.

– To zresztą mógł być każdy – powiedział po chwili, wciąż wpatrując się w miecz. Wstrząsnął nim nagły dreszcz. – Przysięgam ci, Gwen, nie wiedziałem nawet, że mam w rękach ten miecz. Uderzyłem Gwydiona, jakby był jakimś psem, a potem nie pamiętam już nic więcej, aż do chwili, kiedy jechaliśmy konno... – Ukłękł przed nią, wciąż drżąc na całym ciele. – Myślę, że znów jestem szalony, Gwen, tak jak już raz byłem szalony... – wyszeptał.

Wyciągnęła ręce i zamknęła go w mocnym uścisku.

– Nie, nie – szeptała. – O nie, mój kochany, to moja wina, ja to na ciebie ściągnęłam i hańbę, i banicję...

– I ty to mówisz, kiedy to wszystko stało się przeze mnie, zabrałem ci wszystko, co dla ciebie cokolwiek w życiu znaczyło...

– Na Boga! Żałuję, żeś nie zrobił tego wcześniej! – powiedziała, tuląc się do niego coraz mocniej.

– Och, jeszcze nie jest dla nas za późno, z tobą u boku znów jestem młody, a ty, ty nigdy nie byłaś piękniejsza, moja najdroższa, moje kochanie... – Pchnął ją na rozłożony płaszcz i nagle wybuchnął szczerym śmiechem. – Ach, teraz już nikt nie stanie między nami, nikt nam nie przerwie, och, moja Gwen, Gwen, Gwen...



Kiedy trzymał ją w ramionach, przypomniała sobie wschodzące słońce i komnatę w zamku Meleagranta. Teraz było tak, jak wtedy.

Przywarła do niego, jakby na całym świecie nie istniało nic innego, dla żadnego z nich, już nigdy.

Spali potem przez jakiś czas, przytuleni i owinięci jego płaszczem. Obudzili się w swoich ramionach, przez zielone gałązki zaglądało do nich słońce. Uśmiechnął się, dotykając jej twarzy.

– Czy wiesz, że nigdy dotąd nie obudziłem się w twych ramionach bez strachu? A teraz jestem szczęśliwy, pomimo wszystko... – Wybuchnął śmiechem, w którym zabrzmiała nuta szaleństwa.

W siwe włosy i brodę miał wplątane liście, jego tunika była pognieciona. Uniosła ręce i wyczuła, że też ma liście i źdźbła trawy w rozpuszczonych włosach. Nie miała się czym uczesać, lecz rozdzieliła włosy palcami na pasma i zaplotła, związując końce kawałkiem materiału oddartego z rąbka sukni.

– Ależ z nas para obdarcuichów! – powiedziała ze śmiechem. – Kto by teraz rozpoznał Najwyższą Królową i jej dzielnego Lancelota?

– Przeszkadza ci to?

– Nie, kochany. Ani trochę.

Oczyścił swoje włosy i odzienie z liści i trawy.

– Muszę złapać naszego konia – powiedział. – Może gdzieś w pobliżu jest jakaś farma, gdzie dostaniemy trochę chleba i piwa... Nie mam przy sobie ani jednej monety, ani niczego wartościowego, poza mieczem i tym. – Dotknął maleńkiej złotej spinki przy tunice. – Przynajmniej na razie jesteśmy żebrakami, ale jeśli zdołamy dotrzeć do zamku Pellinora, mam tam wciąż dom, w którym mieszkałem z Elaine, i służbę, i złoto, by opłacić naszą podróż za morze. Czy pojedziesz ze mną do Mniejszej Brytanii, Gwenifer?

– Gdziekolwiek – szepnęła łamiącym się głosem i w tamtej chwili naprawdę tak myślała. Do Mniejszej Brytanii czy do Rzymu, czy do krainy na samym końcu świata, byle tylko zawsze już mogła z nim być. Przyciągnęła go do siebie i raz jeszcze zapomniała w jego ramionach o całym świecie.

Kiedy jednak, kilka godzin później, znów podsadził ją na konia i ruszyli, była cicha i zamyślona. Tak, bez wątplenia uda im się uciec za morze. Tylko że kiedy wydarzenia tej nocy rozniosą się po całym kraju, hańba i wstyd spadnie także na Artura, więc dla obrony własnego honoru będzie musiał kazać ich ścigać. A prędzej czy później Lancelot dowie się, że zabił jedynego przyjaciela, który poza Arturem był tak drogi jego sercu. Uczynił to w szale walki, wiedziała jednak, jak rozpacz i poczucie winy będą go trawić i za każdym razem, kiedy spojrzy na nią, nie będzie myślał o tym, że ją kocha, lecz o tym, że to przez nią i dla niej zabił przyjaciela; i że dla niej zdradził Artura. Jeśli przez nią będzie jeszcze musiał walczyć z Arturem, zniechędzi ją...

Nie. Wciąż będzie ją kochał, ale nigdy nie zapomni, czyja krew opłacała to uczucie. Nigdy, ani jedno, ani drugie, ani miłość, ani nienawiść, nie zawładną nim całkowicie, będzie żył z nimi oboma; będą targać jego serce, aż pewnego dnia rozerwą jego umysł na strzępy i znów popadnie w szaleństwo. Tuliła się mocno do jego ciepłego ciała, opierając głowę na jego plecach, i płakała. Po raz pierwszy zrozumiała, że ona jest silniejsza od niego i ból przeszył jej serce.

Kiedy znów się zatrzymali na popas, oczy miała suche, choć wiedziała, że jej płacz przeniósł się głębiej, aż do serca, i że już nigdy nie przestanie rozpaczać.

– Nie pojedę z tobą za morza, Lancelocie, i nie rozpocznę wojny pomiędzy wszystkimi Rycerzami Okrągłego Stołu. Jeśli... jeśli Mordred dopnie swego, wszyscy będą skłóceni, a wkrótce może nadejść dzień, gdy Artur będzie potrzebował wszystkich swoich przyjaciół. Nie chcę być jak ta kobieta z antycznych czasów, jakże ona miała na imię... chyba Helena, ta piękność z sagi, którą mi opowiadałeś, ta, przez którą wszyscy królowie i rycerze bili się pod Troją...

– Ale co chcesz uczynić? – spytał, a ona starała się nie słyszeć, że poza niedowierzaniem i żalem w jego głosie brzmiała także ulga.

– Zawieszysz mnie na wyspę Glastonbury – powiedziała. – Jest tam klasztor, w którym się uczyłam. Tam się udam. Powiem im, że z mego powodu złe języki skłóciły ciebie i Artura. Kiedy minie jakiś czas, pošlę wiadomość do Artura, żeby wiedział, gdzie jestem, i żeby był pewien, że nie jestem z tobą. I wtedy będzie mógł się z tobą pogodzić, zachowując swój honor.

– Nie! Nie! – zaprotestował. – Nie mogę ci na to pozwolić... – Ale ona wiedziała, z bólem serca, że nie będzie jej trudno go przekonać. Możliwe, że mimo wszystko miała jednak nadzieję, iż będzie o nią walczył, że zabierze ją do Mniejszej Brytanii samą siłą swej woli i miłości. Ale Lancelot nie był taki. Był tym, kim był, i nigdy nie był nikim innym, nawet wtedy, gdy po raz pierwszy go pokochała. Taki był także w tej chwili, a ona będzie go takim kochała do końca życia. W końcu przestał się jej sprzeciwiać i skierował konia w stronę Glastonbury.

Kiedy weszli do łodzi, która miała ich zawieźć na wyspę, długi cień kościoła kładł się na wodach Jeziora. Dzwony biły na Anioł Pański. Gwenifer pochyliła głowę i wyszeptała słowa modlitwy.

*Mario, Matko Boża, zmiłuj się nade mną, grzeszną kobietą...* i przez chwilę wydało jej się, że stoi pod wielkim snopem światła, jak tamtego dnia, gdy Graal przepłynął przez salę Kamelotu. Lancelot siedział na dziobie ze spuszczoną głową. Nie dotknął jej od chwili, kiedy powiedziała mu, co zadecydowała, i była mu za to wdzięczna.

Jeden dotyk jego dłoni mógł zniszczyć jej najmocniejsze postanowienia. Nad wodą leżały mgły i znów przez chwilę wydało jej się, że widzi jakby cień równoległy do ich łodzi – inną

łódź udrapowaną na czarno, z ciemną postacią stojącą na dziobie... ale nie. To był tylko cień, tylko cień...

Łódź dotknęła brzegu. Pomógł jej wsiąść.

– Gwenifer, jesteś pewna?

– Jestem pewna – odparła, starając się zabrzmieć bardziej przekonująco, niż w istocie czuła.

– Więc odprowadzę cię do bram klasztoru – powiedział, a ona zrozumiała, że to kosztuje go więcej odwagi niż wszystkie zabójstwa, których dokonał, by ją ratować.

Stara przeorysza rozpoznała Najwyższą Królową i była niezwykle zaskoczona, że chce powrócić, ale Gwenifer opowiedziała jej historię, którą przygotowała, i spytała, czy może schronić się w klasztorze, aż Artur i Lancelot nie zażegnają kłótni, którą rozpętały złe języki. Staruszka pogłaskała ją po policzku, jakby Gwenifer wciąż była małą dziewczynką, która kiedyś pobierała tu nauki.

– Możesz zostać tak długo, jak tylko chcesz, moje dziecko. Nawet na zawsze, jeśli taka jest twoja wola. W domu Bożym przyjmujemy każdego. Tutaj jednak nie będziesz królową – ostrzegła – tylko jedną z naszych sióstr.

Gwenifer westchnęła z prawdziwą ulgą. Do tej chwili sama nie zdawała sobie sprawy, jak wielki był dla niej ciężar bycia królową.

– Muszę się pożegnać z moim rycerzem i życzyć mu powodzenia, i prosić, by zażegnał kłótnię z moim mężem.

Przeorysza potaknęła.

– W dzisiejszych czasach nasz dobry król Artur nie może utracić ani jednego rycerza, a już z pewnością nie dzielnego Lancelota.

Gwenifer wróciła do sieni, gdzie wciąż czekał Lancelot, chodząc w tę i z powrotem. Ujął jej dłonie.

– Nie, nie mogę cię tutaj zostawić, Gwenifer... Och, moja pani, moja ukochana, czy musi tak być?

– Tak być musi – odparła zdecydowanie, wiedząc, że po raz pierwszy w życiu czyni coś, nie myśląc wyłącznie o sobie. – Twoje serce zawsze należało do Artura, najdroższy. Czasami nawet myślę, że największym grzechem nie była nasza miłość, lecz to, że ja stanęłam na drodze miłości, którą wy do siebie czuliście. *Gdyby między nami trojgiem zawsze mogło być tak, jak wtedy, w tę noc Beltanu, gdy miałam amulet od Morgiany, to byłby mniejszy grzech, myślała. Grzechem nie było to, że leżeliśmy razem, ale to, że zrodził się z tego konflikt i zostało mniej miłości.* – Odsyłam cię do Artura całym sercem, kochany. I powiedz mu ode mnie, że wciąż bardzo go kocham.

Jego twarz nagle się odmieniła.

– Teraz to wiem – powiedział. – I wiem również, że ja także go kocham, i zawsze czułem, że czynię ci krzywdę, kochając go... – Chciał ją pocałować, ale nie wypadało tego uczynić w

tym świętym miejscu. Pochylił się nad jej dłonią. – Kiedy będziesz w domu Bożym, módl się za mnie, pani.

*Moja miłość do ciebie jest modlitwą, myślała. Miłość to jedyna modlitwa, jaką znam. Nigdy chyba nie kochała go tak bardzo, jak w tej chwili, gdy słyszała, jak bramy klasztoru zatrząskują się za nim ciężko i ostatecznie. Poczowała, że ściany zamykają się wokół niej.*

W dawnych dniach te mury mogły sprawić, że czułaby się taka bezpieczna. Teraz wiedziała tylko, że pozostanie wśród nich przez resztę swojego życia. *Kiedy miałam wolność, wcale jej nie pragnęłam, lękałam się jej. A teraz, kiedy nauczyłam się ją kochać i jej pragnąć, wyrzekam się jej w imię mojej miłości.* Czowała, że tak właśnie być powinno – że to z jej strony dar i poświęcenie, które zaniesie przed oblicze Boga. Kiedy jednak szła klasztornym korytarzem, ściany zamykały się nad jej głową jak ogromna pułapka.

*Dla mojej miłości. I dla miłości Boga,* myślała i poczuła, jak w jej sercu powoli zaczyna gościć spokój. On na pewno pójdzie teraz do kościoła, gdzie umarł Galahad, i tam się będzie modlił. Może przypomni sobie tamten dzień, kiedy mgły Avalonu otwały się przed nią, a on i Morgiana znaleźli ją, zagubioną, po kolana w wodzie. Z nagłą miłością i tęsknotą pomyślała również o Morgianie. *Maryjo, Matko Boża, bądź także z nią, i pewnego dnia zabierz ją do siebie...*

*Te mury, te mury doprowadzą ją do szaleństwa, nigdy już nie będzie wolna...* Nie. Dla miłości, i z miłości do Boga, nauczy się znów kochać to zamknięcie. Składając dłonie do modlitwy, Gwenifer powoli szła długim korytarzem w kierunku bramy dla sióstr. Przekroczyła ją na zawsze.

## **Mówi Morgiana...**

*Myślałam, że już straciłam Wzrok; Viviana rzekła się go, kiedy była o wiele młodsza ode mnie i wybrała kogoś innego, by zajął miejsce Pani Jeziora. Nie było jednak nikogo, kto po mnie mógłby zasiąść w świątyni, nikogo, kto mógłby zwracać się do Bogini.*

*Widziałam, bezsilna, jak umiera Niniana, i nic nie mogłam zaradzić.*

*To ja wydałam na świat tego potwora i ja przyzwoliłam na to, by powierzyć mu zadanie obalenia Króla Byka. I patrzyłam z oddali, gdy daleko, na Wyspie Smoka, kalano święte miejsca i polowano na jelenie bez miłości, bez wyzwania, bez potrzeby i prośby do tej, która dawała ludziom jelenie; były tylko śmiercionośne strzały, szczęk oręża i jej lud ścigany tak samo, jak jelenie. Cały świat się zmieniał.*

*Bywało, że widziałam, jak Kamelot również pogrąża się we mgle, a wojny szaleją wzdłuż i wszerz całego kraju, najeźdźcy z północy grabią i mordują... nowy świat, i nowi Bogowie.*

*Zaprawdę, Bogini odeszła, nawet z Avalonu, a ja, śmiertelna istota, pozostałam tu zupełnie sama...*

*A jednak, pewnego dnia, jakiś sen, jakieś widzenie, jakiś okrucuch Wzroku, sprawiły, że w godzinie ciemnego księżyca znów poszłam do zwierciadła.*

*Najpierw ujrzałam jedynie wojny pustoszące cały kraj. Nigdy się nie dowiedziałam, co zaszło między Arturem i Gwydionem, tyle że po ucieczce Lancelota i Gwenifer między dawnymi towarzyszami Artura zapanowała niezgoda, Gawain ogłosił śmiertelną zemstę na Lancelocie. Później, gdy Gawain leżał na łożu śmierci, ten wielkoduszny człowiek ostatnim swym tchnieniem błagał Artura, by pogodził się z Lancelotem i przywołał go do Kamelotu. Było jednak za późno.*

*Nawet Lancelot nie mógł już zjednoczyć legionów Artura, zbyt wielu rycerzy poszło za Gwydionem, który teraz przewodził połowie dawnych ludzi Artura i prawie wszystkim Saksonom, i nawet niektórym ludom północy.*

*W pewnej chwili, tuż przed świtem, zwierciadło wyciszyło się i w końcu ujrzałam w nim twarz mego syna. Z mieczem w dłoni zataczał powoli koła w ciemności, kogoś szukał...*

*Tak jak pewnego dnia uczynił to Artur, on też szukał pojedynku z Królem Bykiem. Zapomniałam już, jakim niewielkim mężczyzną jest Gwydion, zupełnie jak Lancelot: niski, smagły i zabójczo niebezpieczny. Artur przerastał go niemal o głowę.*

*Tak, w dniach Bogini mężczyźni stawiali czoło staremu królowi, by objąć po nim władanie! Artur poczekał jednak na śmierć swego ojca, ale teraz nowy obyczaj zapanował na tych ziemiach – ojcowie i synowie stawiali się wrogami, synowie walczyli z ojcami o koronę...*

*Wydało mi się, że widzę ziemię skapaną we krwi, ziemię, na której synowie nie mogą się doczekać śmierci swych własnych ojców i dnia koronacji. I teraz, w tej ciemności, ujrzałam także Artura, jasnowłosego, wysokiego, samotnego, odciętego od swojej drużyny... w jego dłoni potyskiwał nagi Ekskalibur.*

*A równocześnie, jakby poprzez ich kluczące w ciemnościach postaci, widziałam Artura śpiącego niespokojnie w swoim namiocie, i czuwającego przy nim Lancelota; a gdzie indziej widziałam Gwydiona śpiącego między swym wojskiem. Jednak jakaś część każdego z nich czujnie okrążała brzegi Jeziora, z nagim mieczem w dłoni.*

*– Arturze! Arturze! Stań do walki, a może zbyt się mnie lękasz?*

*– Żaden człowiek nie może powiedzieć, że kiedykolwiek uchyliłem się od walki! – Artur odwrócił głowę, gdy Gwydion wyszedł z ciemności. – A... więc to ty Mordredzie – powiedział. – Nigdy do końca nie wierzyłem, że zwróciłeś się przeciwko mnie, aż do tej chwili, gdy widzę to na własne oczy. Sądziłem, że ci, którzy mi o tym mówią, chcą osłabić mego ducha, wymyślając najgorsze, co może mnie spotkać. Cóż ci uczyniłem? Dlaczego zostałeś moim wrogiem? Dlaczego, mój synu?*

*– Czy naprawdę wierzyłeś, że kiedykolwiek nim nie byłem, ojcze? – Ostatnie słowo powiedział z ogromną goryczą. – Po cóż innego zostałem poczęty i narodzony, jeśli nie dla tej*

*chwili, kiedy stanę do walki z tobą, walki dla sprawy, której już nawet nie ma na tym świecie? Ja sam już nawet nie wiem, po co mam z tobą walczyć, wiem tylko, że w moim życiu nie pozostało już nic, nic, poza tą nienawiścią.*

*– Wiem, że Morgiana mnie nienawidziła – powiedział Artur, cicho – ale nie wiedziałem, że nienawidziła mnie aż tak bardzo. Czy nawet teraz musisz być posłuszny jej woli, Gwydionie?*

*– Czy sądzisz, że spełniam jej wolę, ty głupcze? – warknął Gwydion. – Jeżeli cokolwiek mogłoby mnie skłonić, bym cię poniechał, to właśnie to, że wypełniam wolę Morgiany, że ona pragnie, bym cię zabił. Bo nie wiem nawet, czy bardziej nienawidzę jej czy ciebie...*

*A potem ja również weszłam w ten ich sen czy wizję, czy cokolwiek to było. Znalazłam się na brzegu Jeziora, tam gdzie mieli ze sobą walczyć. Stałam pomiędzy nimi, odziana w szaty Najwyższej Kapłanki.*

*– Czy to musi się stać? Wzywam was obu, w imię Bogini, pogódźcie się. Zgrzeszyłam wobec ciebie, Arturze, i wobec ciebie, Gwydionie, ale wasza nienawiść jest skierowana przeciwko mnie, a nie przeciw sobie nawzajem. A więc w imię Bogini błagam was...*

*– A kimże jest dla mnie Bogini? – Artur zacisnął dłoń na rękojści Ekskalibura. – Widziałem ją zawsze w twojej twarzy, Morgiano, lecz ty się ode mnie odwróciłaś, a skoro Bogini się mnie wyrzekła, poszukałem sobie innego Boga...*

*– A ja nie potrzebowałem Bogini – powiedział Gwydion z pogardą – lecz kobiety, która mnie urodziła, a ty oddałaś mnie w ręce tej, która nie znała lęku ani przed Boginią, ani przed żadnym innym Bogiem!*

*Chciałam krzyknąć: – Nie miałam wyboru! To nie ja wybrałam... – Lecz oni już ruszyli na siebie, przeszli przeze mnie, jakbym była powietrzem, i zdawało mi się, że ich miecze zwały się wewnątrz mego ciała... a potem znów byłam w Avalonie, z przerażeniem wpatrując się w zwierciadło, ale nie widziałam już nic, nic, poza wielką plamą krwi rozlewającą się na wodach Świętej Studni.*

*W ustach miałam suchość, serce waliło mi tak, jakby chciało wybić dziurę i wyrwać się z klatki mego ciała, na wargach miałam gorzki smak śmierci i upadku.*

*Zawiodłam! Zawiodłam! Zawiodłam! Zawiodłam Boginię, jeśli rzeczywiście była jakaś Bogini poza mną samą; zawiodłam Avalon, zawiodłam Artura, zawiodłam i brata, i syna, i kochanka... a wszystko, czego pragnęłam, leżało w gruzach. Na niebie pojawił się blady, czerwieniejący blask, w miejscu, gdzie niebawem miało wzejść słońce; a ja wiedziałam, że gdzieś poza mgłami Avalonu, pod zimnym niebem, Artur i Gwydion spotkają się tego dnia po raz ostatni.*

*Kiedy zeszałam na brzeg, by przywołać łódź, czułam, że wokół mnie cicho krążą mali ludzie, że dla nich wciąż jestem kapłanką, którą zawsze byłam. Stałam w łodzi sama, a jednak wiedziałam, że wraz ze mną stoją tam inne postaci, w bogatych szatach i koronach. Morgiana Dziewica, która wysłała Artura na bieg między jeleniami i pojedynkę z Królem Bykiem, i*

*Morgiana Matka, która niemal nie umarła przy porodzie Gwydiona, i Królowa Północnej Walii, przywołująca zaćmienie, by wystąpić Accolona na bój przeciw Arturowi, i Ciemna Królowa czarownej krainy... a może to sama Śmierć Kostucha stała u mego boku? A kiedy łódź zbliżyła się do drugiego brzegu, usłyszałam, jak któryś z ludzi Artura krzyczy: – Patrzenie! Patrzenie, tam jedzie łódź, a na niej cztery wielkie królowe! To czarodziejska łódź Avalonu!*

*Leżał na brzegu, włosy miał skąpane we własnej krwi. Mój Gwydion, mój kochanek, mój syn... a u jego stóp leżał martwy drugi Gwydion, mój syn, dziecko, którego nie znałam. Pochyliłam się i zakryłam jego twarz własnym welonem. I wiedziałam, że oto jest koniec epoki. W dawnych dniach to młody byk powalał Króla Byka i stawał się Królem w jego miejsce; lecz jelenie wymordowano, a teraz Król Byk zabił młodego byka, a po nim nie będzie już następnego...*

*I Król Byk także musi umrzeć.*

*Uklękałam u jego boku.*

*– Miecz, Arturze, Ekskalibur. Weź go do ręki. Weź go i odrzuć, wrzuć go w wody Jeziora. Święte Regalia na zawsze odeszły z tego świata, a ostatnie z nich, wielki miecz Ekskalibur, musi odejść wraz z nimi.*

*Ale on trzymał go mocno i resztką sił wyszeptał:*

*– Nie... on musi pozostać dla tych, którzy przyjdą po mnie... by ich zjednoczyć w słusznej sprawie, to miecz Artura... – Spojrzał w oczy Lancelota. – Ty go weź Galahadzie, czy nie słyszysz, jak trąbki Kamelotu wzywają legion Artura? Weź go... dla rycerzy...*

*– Nie – powiedziałam cicho. – Te dni minęły. Nikt po tobie nie może już nosić miecza Artura... – Delikatnie zwolniłam jego uścisk z rękojęści. – Weź go, Lancelocie – powiedziałam cicho – ale wyrzuć go daleko w wody Jeziora. Pozwól, by mgły Avalonu pochłonęły go na zawsze.*

*Lancelot w milczeniu posłuchał mojego rozkazu. Nie wiem, czy mnie naprawdę widział, a jeśli nawet tak, to za kogo mnie wziął. A ja tuliłam Artura do swojej piersi. Życie szybko z niego uchodziło; wiedziałam o tym, ale nie mogłam płakać.*

*– Morgiana – wyszeptał. Oczy miał zadziwione i pełne cierpienia. – Morgiano, czy to wszystko było na nic, wszystko, co uczyniliśmy, wszystko, co próbowaliśmy osiągnąć? Dlaczego przegraliśmy?*

*Mnie nurtowało to samo pytanie i nie znałam na nie odpowiedzi; ale nagle skądś do mnie przyszła.*

*– Ty nie przegrałeś, braciszku, mój ukochany, moja dziecinko. Utrzymałeś pokój na tych ziemiach przez wiele, wiele lat, nie pozwoliłeś ich zniszczyć Saksonom. Zatrzymałeś ciemności na całe pokolenia, aż nawet Saksoni stali się ludźmi cywilizowanymi, z nauką, muzyką, wiarą w Boga... ci ludzie będą walczyć, by zachować coś z piękna tych czasów, które minęły. Gdyby te ziemie dostały się w ręce Saksonów po śmierci Uthera, wtedy wszystko, co kiedykolwiek*

*było dobre i piękne, na zawsze by zniknęło z Brytanii. Tak więc ty nie przegrałeś, mój kochany. Nikt z nas nie wie, jak ona spełni swoją wolę, wiemy tylko, że będzie spełniona...*

*I nawet wtedy nie wiedziałam, czy to, co mówię, jest prawdą, czy też mówię tak, by go pocieszyć, z miłości, tak jak pocieszałam tamto małe dziecko, które Igriana włożyła w me ramiona, gdy sama jeszcze byłam dzieckiem; Morgiano, powiedziała, opiekuj się swoim małym braciszkiem, a więc zawsze to robiłam, i zawsze to będę robić, teraz, i poza granicą śmierci... a może to sama Bogini oddała Artura pod moją opiekę?*

*Przyłożył omdlałe dłonie do wielkiej rany na piersi.*

*– Gdybym tylko miał teraz tę pochwę, którą dla mnie zrobiłaś, Morgiano... nie leżałbym tu taki bezsilny, życie by ze mnie nie uchodziło... Morgiano, śniłem i w moim śnie wołałem ciebie, ale nie mogłem cię odnaleźć...*

*Przytuliłam go mocno. W pierwszych promieniach wschodzącego słońca widziałam Lancelota, jak podnosi Ekskalibur wysoko ponad głowę i odrzuca go z całych sił. Miecz leciał w powietrzu, obracając się powoli, słońce odbijało się od niego, jak od skrzydła wielkiego, białego ptaka; potem wirując, wpadł w wodę i nie widziałam go więcej; oczy miałam przestonięte łzami i oślepione słońcem.*

*Potem usłyszałam głos Lancelota:*

*– Widziałem dłoń, która podniosła się z Jeziora... ta ręka chwyciła miecz, trzy razy zamachała nim w powietrzu i zniknęła pod wodą...*

*Ja nie widziałam nic, tylko odbłask na wodzie, jakby nad powierzchnię wyskoczyła rybka; ale nie wątpię, iż on zobaczył to, co powiedział, że zobaczył.*

*– Morgiano – wyszeptał Artur – czy to naprawdę ty? Nie widzę cię, Morgiano, tak tu ciemno... czy słońce już zachodzi? Morgiano, zabierz mnie do Avalonu, tam mi wyleczysz tę ranę... zabierz mnie do domu, Morgiano...*

*Jego głowa spoczywała na mojej piersi, ciężka jak tamto dziecko w moich dziecinnych ramionach, ciężka jak młody Król Byk, który przyszedł do mnie w chwale zwycięzcy. Morgiano, zawołała matka niecierpliwie, zajmij się dzieckiem... i całe życie nosiłam go ze sobą.*

*Przytuliłam go wtedy do siebie i ocierałam jego łzy swoim welonem, a on wyciągnął rączkę i złapał moją dłoń.*

*– Ale to naprawdę ty – szepnął – to ty, Morgiano... wróciłaś do mnie... i jesteś taka młoda i piękna... zawsze widziałem Boginię w twojej twarzy... Morgiano, już nigdy mnie nie zostawisz, prawda?*

*– Nigdy cię już nie opuszczę, mój braciszku, moje dziecko, mój ukochany – szepnęłam i ucałowałam jego oczy.*

*Umarł w chwili, gdy uniosły się mgły i nad brzegami Avalonu jasno zaświeciło słońce.*



## EPILOG

Wiosną, następnego roku, Morgiana miała dziwny sen.

Śniło jej się, że jest w starej, chrześcijańskiej kaplicy, zbudowanej w Avalonie przez Józefa z Arymathei, który przybył tutaj z Ziemi Świętej. A tam, przed tym samym ołtarzem, przed którym umarł Galahad, stał Lancelot odziany w szaty księdza, jego poważna twarz jaśniała dziwnym blaskiem. W swoim śnie Morgiana podeszła do ołtarza i tak jak tego nigdy nie uczyniła w realnym życiu, przystąpiła do komunii chleba i wina, a sam Lancelot przytknął kielich do jej ust.

A potem śniło jej się, że on z kolei uklęknął i powiedział do niej:

– Weź ten kielich, ty, która służyłaś Bogini. Gdyż wszyscy Bogowie są Jednym i my wszyscy jesteśmy Jednym, którzy służą Jednemu.

I kiedy wzięła kielich z jego rąk, by z kolei przytknąć go do jego ust jak kapłanka do ust kapłana, Lancelot stał się młody i piękny, jak wiele lat temu. I wtedy zobaczyła, że kielich w jej dłoniach to Graal.

I wtedy on krzyknął, tak samo, jak w dniu, gdy Galahad klęczał przed tym ołtarzem: – Och, światłość, światłość! – I upadł do przodu, i leżał na kamieniach bez ruchu; Morgiana obudziła się w swej komnacie w Avalonie, a ten krzyk wciąż dźwięczał jej w uszach. I była sama.

Było jeszcze bardzo wcześnie i mgły zalegały grubą warstwą nad całym Avalonem. Wstała cicho i ubrała się w ciemne szaty kapłanki, lecz welon włożyła w ten sposób, by półksiężyc na jej czole nie był widoczny.

Cicho wyszła w ciemność i ruszyła ścieżką w dół, mijając Świętą Studnię. Choć było tak cicho, czuła za sobą bezdźwięczne kroki, lekkie jak cienie. Nigdy nie była sama; mały, smagły lud zawsze jej strzegł i choć rzadko ich teraz widywała, wciąż była ich matką i kapłanką i wiedziała, że nigdy jej nie opuszczą. Jednak kiedy doszła do starej chrześcijańskiej kaplicy, kroki powoli zamarły; tutaj nie mogli za nią iść. Morgiana stanęła w drzwiach.

Wewnątrz kaplicy tliło się nikłe światełko, to światełko, które zawsze paliło się w ich świątyni. Przez chwilę wspomnienie jej snu stało się tak żywe, że poczuła pokusę, by wejść

do środka... niemal nie mogła uwierzyć, iż nie widzi tu Lancelota, powalonego magicznym blaskiem Graala... ale nie. Nie miała tu czego szukać, nie chciała przeszkadzać ich Bogu; a jeśli nawet Graal rzeczywiście tu był, to znajdował się poza jej zasięgiem.

Mimo to sen wciąż ją prześladował. Czy został jej zesłany jako ostrzeżenie? Lancelot jest przecież młodszy od niej... nie wiedziała jednak, jak teraz upływa czas w zewnętrznym świecie. Avalon odszedł już tak daleko we mgły, że mogło być z nim tak, jak z czarownicą krainą za jej młodych lat – możliwe, że gdy w Avalonie mijał jeden rok, to na świecie mijały trzy, pięć, a nawet siedem lat. Tak więc to, co powinna uczynić, musi zrobić teraz, kiedy wciąż jeszcze może się poruszać między oboma światami.

Uklękała przed Świętym Głogiem, szepcząc cichą modlitwą do Bogini i prosząc drzewo o pozwolenie. Potem odcięła szczerpkę do zasadzenia. Nie był to pierwszy raz. W ostatnich latach, jeśli ktokolwiek przybywał do Avalonu i powracał do świata, jakiś wędrujący Druid czy pielgrzym... bo nieliczni wciąż umieli tu trafić i odwiedzali starą kaplicę... wysyłała wraz z nim szczerpkę Świętego Głogu, by mógł wciąż kwitnąć na świecie. To, co zamierzała teraz, musi jednak uczynić własnymi rękoma.

Nigdy, poza koronacją Artura i wyprawą po magiczną pochwę, nie postawiła stopy na tej drugiej wyspie... może jeszcze tylko tego dnia, kiedy mgły się otworzyły i Gwenifer w jakiś sposób przeszła na drugą stronę. Teraz Morgiana przywołała łódź i kiedy znaleźli się na środku Jeziora, skierowała ją w mgły, tak że kiedy znów wypłynęli na słoneczne światło, zobaczyła długi cień kościoła, kładący się na wodach Jeziora, i usłyszała cichy dźwięk dzwonów. Dostrzegła, jak załoga łodzi kuli się od tego dźwięku; wiedziała, że tutaj też nie mogą za nią podążyć ani zejść na ląd. Tym lepiej, ostatnią rzeczą, której pragnęła, było to, by księża i mnisi z przerażeniem gapili się na łódź Avalonu. Tak więc niewidzialnie pomknęli wzdłuż brzegu, a ona wyszła na ląd nie zauważona przez nikogo. Widziała, jak udrapowana na czarno łódź znów znika we mgle. Z koszem na ramieniu cicho ruszyła ścieżką w górę. *Wyglądam jak jakaś zwyczajna kobieta wracająca z targu albo przybywająca tu z pielgrzymką*, myślała.

*Minęło zaledwie sto lat, a może i mniej, z pewnością mniej w Avalonie, odkąd te światy się rozdzieliły; a jednak ten świat jest już zupełnie inny!* Drzewa były tu inne, i ścieżki. Zatrzymała się zaskoczona u stóp wzgórza – *czegoś takiego z pewnością nie ma w Avalonie!* Była dziwnie pewna, że ziemia będzie tu taka sama, jedynie budynki inne, bo przecież była to dokładnie ta sama wyspa, rozdzielona tylko magiczną mocą... ale teraz spostrzegła, że te wyspy są zupełnie różne.

Potem zobaczyła procesję mnichów schodzącą w dół wzgórza, w kierunku małego kościółka. Nieśli ze sobą ciało na marach.

*A więc widziałam prawdę, choć myślałam, że to tylko sen.* Zatrzymała się, a kiedy mnisi złożyli ciało na ziemi przed wniesieniem go do kościoła, podeszła do nich i odsłoniła całun z twarzy zmarłego.

Twarz Lancelota była zapadnięta i pomarszczona, o wiele starsza niż kiedy się rozstali... nie chciała nawet myśleć, o ile starsza. To jednak tylko na chwilę zatrzymało jej uwagę; potem, jedyne, co widziała na jego twarzy, to cudowny i słodki spokój. Leżał, uśmiechając się, patrzył gdzieś daleko, hen, poza nią. Wiedziała, na czym spoczywał jego wzrok w chwili śmierci.

– A więc w końcu odnalazłeś swego Graala... – szepnęła.

Jeden z mnichów niosących mary zapytał:

– Znałaś go może za życia, siostrze? – Zrozumiała, że w tej ciemnej sukni wziął ją za jedną z zakonnicek.

– Był... moim krewnym.

*Kuzynem, kochankiem, przyjacielem... ale to było dawno temu. Na końcu byliśmy kapłanem i kapłanką.*

– Tak właśnie pomyślałem – powiedział mnich. – W dawnych czasach, na dworze Artura nazywali go Lancelotem, ale tu, między nami, nosił imię Galahad. Był z nami wiele lat, a zaledwie kilka dni temu przyjął święcenia i został księdzem.

*A więc aż tak daleko zaszedłeś w poszukiwaniu takiego Boga, który nie będzie z ciebie drwił, kuzynie!*

Mnisi znów podnieśli mary. Ten, który z nią rozmawiał, powiedział jeszcze:

– Módl się za jego duszę, siostrze.

Spuściła głowę. Nie potrafiła odczuwać rozpacz. Nie teraz, gdy ujrzała odbicie tego niezmiernego światła na jego twarzy.

– Nie chciała wchodzić za nimi do kościoła. *Tutaj zastona jest cienka. To tutaj klęczał Galahad, gdy zobaczył światło Graala w tej drugiej kaplicy, kaplicy Avalonu, i sięgnął po nie, sięgnął poprzez światy, i zginął...*

*I w tym samym miejscu Lancelot w końcu podążył śladem swego syna.*

Morgiana znów ruszyła wolno wzdłuż ścieżki, niemal zdecydowana, by poniechać swego planu. Jakże to teraz miało znaczenie? Ale kiedy zatrzymała się na chwilę, wciąż się wahając, stary ogrodnik klęczący nad rabatką kwiatów podniósł głowę i zapytał:

– Nie znam cię siostrze, nie jesteś jedną z tych, które tu mieszkają. Przybyłaś z pielgrzymką?

*No, niezupełnie taką, jak on myśli, ale tak...*

– Szukam miejsca spoczynku mojej krewniej. Była... Panią Jeziora...

– A, tak, to było dawno, dawno temu, za panowania naszego dobrego króla Artura – odparł staruszek. – To tam, gdzie wszyscy pielgrzymi mogą zobaczyć grób. A z tamtego miejsca droga prowadzi prosto do żeńskiego klasztoru i jeśli jesteś głodna, siostrze, to na pewno dadzą ci poczęstunek.

*Czy doszło już do tego, że biorą mnie za żebraczkę? Ten człowiek nie chciał jej jednak obrazić, więc podziękowała mu i poszła w kierunku, który wskazał.*

Artur postawił Vivianie wspaniały grobowiec. Ale to, co w nim leży, to już nie Viviana, tylko kości, powoli powracające do ziemi, z której powstały... *i na końcu wszelkie stworzenie znów odda swe ciało i ducha Bogini...*

Dlaczego kiedyś było to dla niej takie istotne? Viviany i tak tu przecież nie ma. A jednak, gdy ze spuszczoną głową stanęła nad grobem, spostrzegła, że płacze.

Po jakimś czasie podeszła do niej starsza kobieta w czarnej sukni i białym welonie, bardzo podobnym do jej własnego.

– Czemu płaczesz, siostrze? – spytała. – Ta, która tu spoczywa, jest już w ramionach Boga, nie trzeba jej oplakiwać. A może to była jakaś twoja krewna?

Morgiana potaknęła i bardziej pochyliła głowę, by ukryć łzy.

– Zawsze się za nią modlimy – powiedziała zakonnica. – Choć nie znam jej imienia, wiem, że w czasach, które minęły, była wielkim przyjacielem i dobroczyńcą naszego króla Artura.

Kobieta pochyliła głowę i zaczęła szeptać modlitwę. W tej samej chwili rozzwoniły się dzwony. Morgiana cofnęła się kilka kroków. A więc zamiast harf Avalonu Viviana słyszy tylko te przeraźliwe dzwony i płaczliwe psalmy?

*Nigdy nie przypuszczałam, że będę stała tutaj, u boku jednej z tych chrześcijańskich zakonnice i dzieliła z nią modlitwę.* Potem przypomniała sobie, co Lancelot powiedział jej we śnie.

*Weź ten kielich, ty, która służyłaś Bogini. Gdyż wszyscy Bogowie są Jednym...*

– Chodź ze mną do klasztoru – powiedziała zakonnica, uśmiechając się i kładąc rękę na jej ramieniu. – Musisz być głodna i strudzona.

Morgiana poszła z nią aż do klasztornej bramy, ale nie chciała wejść do środka.

– Nie jestem głodna – powiedziała – ale gdybym mogła napić się wody...

– Oczywiście. – Kobieta w czerni skinęła dłonią i podeszła do nich młoda dziewczyna z dzbankiem wody. Napełniła kubek. – My pijemy tylko wodę ze studni kielicha, to święte miejsce – powiedziała, gdy Morgiana przytknęła kubek do ust.

Było to jak echo głosu Viviany: *Kapłanki piją tylko wodę ze Świętej Studni...*

Starsza zakonnica i młoda dziewczyna, też odziana na czarno, odwróciły się i pochyliły głowy przed inną kobietą, która właśnie wyszła z klasztoru.

– To nasza przeorysza – wyjaśniła Morgianie starsza z nich.

*Gdzieś już ją widziałam,* pomyślała Morgiana, ale zanim zdążyła się zastanowić, kobieta powitała ją serdecznie:

– Morgiano, nie poznajesz mnie? Myśleliśmy, że już od dawna nie żyjesz...

Morgiana uśmiechnęła się zakłopotana:

– Przepraszam... ale nie...

– Nie, oczywiście, nie możesz mnie pamiętać – powiedziała przeorysza. – Choć ja czasem widywałam cię w Kamelocie. Byłam wtedy o wiele młodsza. Mam na imię Lionors.

Byłam małżonką Garetha, a kiedy wszystkie moje dzieci dorosły, przyszedłam tutaj, by zakończyć moje dni. A więc przybyłaś na pogrzeb Lancelota? Och, powinnam powiedzieć ojca Galahada, ale łatwo się pomylić, a teraz, kiedy on jest już w niebie, to przecież bez różnicy. – Znów się uśmiechnęła. – Nawet nie wiem, kto jest teraz królem ani czy Kamelot w ogóle jeszcze stoi, wszędzie wojna, nie jest już tak, jak było za czasów Artura... To się wydaje tak dawno, dawno temu... – dodała zamyślona.

– Przybyłam odwiedzić grób Viviany. Jest tu pochowana, wiesz o tym?

– Widziałam ten grobowiec – odparła przeorysza – ale to było, zanim jeszcze wysłałam za mąż i przyjechałam do Kamelotu.

– Chcę cię prosić o przysługę – powiedziała Morgiana i dotknęła koszyka na swoim ramieniu. – Mam tu szczepkę Świętego Głogu, który rośnie na wzgórzach Avalonu, mówią, że to Józef, uczeń czy przybrany ojciec Chrystusa, wbił tam swoją łaskę, a ona zakwitła. Chciałabym zasadzić tę szczepkę na grobie Viviany.

– Oczywiście, jeśli tylko chcesz – powiedziała Lionors. – Chyba nikt by się temu nie mógł sprzeciwić. Ja też uważam, że Głóg powinien być tutaj, na Bożym świecie, a nie ukryty w Avalonie. – I nagle spojrzała na Morgianę zaskoczona. – Powiedziałaś, że rośnie w Avalonie! Czy przybyłaś tu z tej nieczystej wyspy?

*Kiedyś bym się na nią za to rozgniewała, pomyślała Morgiana.*

– Nie, Lionors, to nie jest nieczysta wyspa, cokolwiek by mówili o niej księża – odparła spokojnie. – Pomyśl sama, czy przybrany ojciec Chrystusa posadziłby tam swoją cudowną łaskę, gdyby ta ziemia wydała mu się nieczysta? Czyż Duch Święty nie jest wszędzie?

Kobieta pochyliła głowę.

– Masz rację. Przyślę nowicjatkę, żeby ci pomogły.

Morgiana wołała być sama, wiedziała jednak, że to był miły gest.

Nowicjatkę wydały jej się zaledwie dziećmi. Miały może po osiemnaście, do dwudziestu lat, a ona, zapominając, że sama w tym wieku została kapłanką, zastanawiała się, jakże one mogą mieć dostateczne pojęcie o sprawach ducha, by dokonywać wyboru na całe życie.

Myślała wcześniej, że zakonnice w chrześcijańskich klasztorach są smutne, nieszczęśliwe i wciąż rozpamiętują to, co księża powtarzają im o grzechu bycia kobietą, ale te dziewczynki były niewinne i wesołe jak szczygiełki. Radośnie opowiadały Morgianie o budowie nowej kaplicy i prosiły, by sobie odpoczęła i pozwoliła im wykopać miejsce pod sadzonkę.

– To tutaj leży twoja krewna, matko? – spytała jedna z dziewcząt. – Potrafisz przeczytać, co tutaj napisane? Ja nigdy nie myślałam, że się nauczę czytać, bo moja matka mówiła, że to nie przystoi kobiecie, ale kiedy przybyłam tutaj, to powiedziano mi, że muszę umieć czytać z książeczki do nabożeństwa, no i teraz potrafię już przeczytać po łacinie! – powiedziała z dumą i zaczęła czytać: – „Król Artur postawił ten grobowiec dla swej przyjaciółki i dobroczyńcy, Pani Jeziora, zamordowanej zdradliwie na jego dworze w Kamelocie...” – Nie umiem odczytać daty, ale to musiało być bardzo dawno temu.

– To pewnie była bardzo świątobliwa kobieta – powiedziała inna z dziewcząt – bo mówią, że Artur był najlepszym i najbardziej chrześcijańskim królem. Nie pozwoliłyby tu pochować tej kobiety, gdyby naprawdę nie była święta!

Morgiana uśmiechnęła się mimo woli; tak jej przypominały nowicjatki z Domu Dziewcząt...

– Nie nazwałabym jej świętą, choć ją kochałam. Za jej życia byli nawet tacy, którzy nazywali ją złą czarownicą.

– Król Artur nigdy by nie pozwolił pochować złej czarownicy tutaj, w tym świętym miejscu, między pobożnymi ludźmi – powiedziała oburzona dziewczyna. – A jeśli chodzi o czary... no cóż, są tacy ograniczeni księża i tacy mężczyźni, którzy bardzo szybko skłonni są krzyknąć *czarownica!*, gdy tylko jakaś kobieta jest choćby trochę mądrzejsza od nich! Czy zamierzasz zostać w tutejszym klasztorze, matko? – spytała, a Morgiana zaskoczona tym pytaniem dopiero teraz zdała sobie sprawę, że te dziewczynki odnoszą się do niej z takim samym szacunkiem, jak jej nowicjuszek z Domu Dziewcząt, jakby była między nimi kimś starszym rangą.

– Ja już ślubowałam gdzie indziej, moja córko.

– Czy twój klasztor jest tak piękny, jak ten? Matka Lionors to dobra kobieta – powiedziała dziewczyna – a my wszystkie jesteśmy tu bardzo szczęśliwe. Raz nawet miałyśmy między naszymi siostrami kobietę, która kiedyś była królową! No i wiem, że wszystkie pójdziemy do nieba. – Uśmiechnęła się do Morgiany. – Skoro jednak złożyłaś śluby gdzie indziej, to też pewnie jest piękne miejsce. Tylko myślałam, że może zechcesz zostać tutaj, by móc się modlić za duszę twojej krewnej, która jest tu pochowana. No, teraz możesz już zasadzić swoją szczepkę, matko – dodała, wstając i otrzepując suknię. – A może chcesz, bym ja to za ciebie zrobiła?

– Nie, nie, ja to zrobię – odparła Morgiana i uklękła, by uklepać miękką ziemię wokół sadzonki. Kiedy skończyła, dziewczyna zaproponowała:

– Jeżeli chcesz, matko, to obiecuję ci, że w każdą niedzielę będę tu przychodziła, by zmówić modlitwę za twoją krewną.

Z niewiadomego powodu Morgiana poczuła, że łzy napływają jej do oczu.

– Modlitwa jest zawsze dobra. Jestem ci wdzięczna, moja córko.

– A ty w swoim klasztorze, gdziekolwiek on jest, też się za nas módl – powiedziała dziewczyna, podając Morgianie dłoń i pomagając jej wstać. – Pozwól, matko, otrzepię ziemię z twojej sukni. A teraz musisz odwiedzić naszą kaplicę.

Przez chwilę Morgiana chciała odmówić. Kiedy po raz ostatni opuszczała dwór Artura, przysięgła sobie, że już nigdy w życiu noga jej nie postanie w żadnym chrześcijańskim kościele; ale te dziewczynki były tak podobne do jej własnych, młodzieńskich kapłanek, że nie chciała lekceważyć imienia, pod którym czciły swego Boga. Pozwoliła się zaprowadzić do świątyni.

*W tym drugim świecie, myślała, dokładnie w tym samym miejscu musi stać ten stary kościółek, w którym modlą się chrześcijanie; jakaś świętość, jakaś tajemnica Avalonu musi z pewnością przenikać poprzez światy, poprzez mgły... nie uklękła, by się przeżegnać, lecz pochyliła głowę przed głównym ołtarzem. Dziewczyna delikatnie pociągnęła ją za rękaw.*

– Chodźmy stąd – powiedziała. – Ten wielki ołtarz należy do Boga i ja zawsze trochę się tutaj boję... ale nie widziałaś naszej kaplicy, kaplicy siostr... chodźmy, matko.

Morgiana poszła za dziewczyną do niewielkiej kaplicy, położonej z boku. Było tam mnóstwo kwiatów, a gałęzie kwitnących jabłoni stały przed figurą kobiety w welonie ze świetlistą koroną na głowie; w ramionach trzymała dziecko. Morgiana, drżąc, wciągnęła powietrze i nisko pochyliła głowę przed Boginią.

– Tutaj mamy Matkę Chrystusa – powiedziała dziewczyna – Maryję Pannę. Bóg jest taki wielki i straszny, że zawsze się lękam przed jego ołtarzem, ale tutaj, w kaplicy Maryi, my, które jesteśmy jej dziewicami, możemy się do niej zwracać jak do naszej własnej matki. Patrz, a tutaj mamy inne figury naszych świętych, o, tu jest Maryja, która kochała Jezusa i wytarła mu nogi swoimi włosami, i Marta, która gotowała dla niego obiad... wiesz, lubię myśleć o Jezusie, kiedy był prawdziwym człowiekiem, kiedy robił coś dla swojej matki, jak wtedy, gdy zmienił wodę w wino na weselu, żeby się nie martwiła, że wina nie starczy dla wszystkich. A tutaj jest bardzo stara figura, którą dał nam nasz biskup, pochodzi z jego rodzinnego kraju... to jedna z ich świętych, ma na imię Brygida...

Morgiana spojrzała na figurę Brygidy i poczuła ogromną moc, która z niej emanowała i wypełniała całą kaplicę. Skłoniła głowę.

*Ależ Brygida nie jest wcale chrześcijańską świętą, myślała, nawet jeśli Patrycjusz tak uważa. To Bogini, taka, jaką czczą w Irlandii. Doskonale o tym wiem i nawet jeżeli one myślą inaczej, to te kobiety znają moc Nieśmiertelnych. Choćbyście ją z całych sił przepędzali, ona przetrwa. Bogini nigdy nie opuści ludzkości.*

Wciąż z pochyłą głową, Morgiana wyszeptła pierwszą szczerą modlitwę, jaką kiedykolwiek zmówiła w chrześcijańskim kościele.

– Patrz, matko – powiedziała nowicjotka, gdy obie wyszły już na dzieńne światło. – My też tu mamy Święty Głóg, nie tylko ten, który posadziłaś na grobie swojej krewnej.

*A ja sądziłam, że mam tu coś do powiedzenia?*, pomyślała Morgiana. Kiedy mgły się rozstępowały, wiatr musiał przywiał nasionka i tak święta roślina sama przywędrowała z Avalonu do tego świata ludzi, w którym najbardziej była potrzebna.

– Tak, macie tu Święty Głóg i w dniach, które nadejdą, tak długo, jak przetrwa ta ziemia, każda królowa będzie w Boże Narodzenie dostawała Święty Głóg, na pamiątkę tej, która jest królową w niebiesiech, jak i królową w Avalonie.

– Nie wiem, o czym mówisz, matko, ale dziękuję ci za błogosławieństwo – powiedziała dziewczyna. – Matka przełożona czeka na ciebie w domu gościnnym, zje z tobą śniadanie.

Może jednak chcesz teraz zostać chwilę sama w kaplicy i się pomodlić? Czasem, jak się zostaje samemu ze Świętą Panią, to ona wyjaśnia wiele rzeczy...

Morgiana skinęła głową, nie mogąc wymówić ani słowa.

– To dobrze – powiedziała nowicjatka. – Kiedy będziesz gotowa, po prostu przyjdź do domu gościnnego. – Pokazała Morgianie drogę i odeszła.

Morgiana wróciła do kaplicy, pochyliła głowę, a w końcu, poddając się, osunęła się na kolana.

– Matko – wyszeptała – wybac mi. Myślałam, że ja muszę robić to, co, jak teraz widzę, potrafisz uczynić sama. Bogini jest wśród nas, to prawda, lecz teraz rozumiem, że ty jesteś także na całym świecie, teraz i zawsze, tak jak jesteś w Avalonie, tak jesteś w sercach wszystkich ludzi. Bądź także we mnie i prowadź mnie, i mów mi, kiedy wystarczy, bym to tobie pozostawiała wypełnianie twej woli...

Zamilkła i długo jeszcze klęczała ze spuszczoną głową. Nagle, jakby przywołana, podniosła oczy... i tak jak go widziała na ołtarzu starego chrześcijańskiego kościoła w Avalonie, jak go widziała, obnosząc go po sali Okrągłego Stołu na dworze Artura, ujrzała światło na ołtarzu, a w dłoniach Pani... cień, tylko cień kielicha...

*Jest w Avalonie, ale jest również tutaj. Jest wszędzie. A ci, którzy na tym świecie potrzebują znaku, zawsze będą go mogli zobaczyć.*

Powietrze wypełniał słodki zapach, który nie był zapachem kwiatów; przez chwilę Morgianie wydało się, że szepce do niej głos Igriany... ale nie mogła rozróżnić słów... i że dłonie Igriany dotykają jej głowy. Kiedy wstała, oslepiona łzami, nad jej głową przemknęła jakby ogromna światłość...

*Nie, nie ponieśliśmy porażki. To, co powiedziałam Arturowi, by go pocieszyć w chwili śmierci, to wszystko była prawda. Ja wykonywałam pracę Matki w Avalonie, aż do czasu kiedy ci, którzy nadejdą po nas, będą gotowi przyjąć ją na tym świecie. Nie zawiodłam. Robiłam to, co nakazała mi czynić. To nie ona, lecz ja w swej pysze uważałam, że powinnam była uczynić więcej.*

Na dworze jasno świeciło słońce, a w powietrzu unosił się świeży zapach wiosny. Tam, gdzie na porannym wietrze poruszały się gałęzie kwitnących jabłoni, widziała kwiaty, z których narodziła się nowe owoce.

Zwróciła twarz w kierunku domu gościnnego. Czy ma tam iść i zjeść posiłek z zakonnicami, być może powspominać z przeoryszą dawne czasy w Kamelocie? Uśmiechnęła się do siebie. Nie. Czowała do tamtych dni taką samą miłość i czułość, jak do tych kwitnących jabłoni, ale należały już do przeszłości. Odwróciła się od klasztoru i ruszyła w stronę Jeziora, starą ścieżką wzdłuż brzegu. Tu jest miejsce, gdzie welon oddzielający oba światy jest najcieńszy. Nie musi już wcale wzywać łodzi, wystarczy, że przejdzie w tym miejscu przez mgły i znajdzie się w Avalonie.

Jej praca dobiegła końca.



## Podziękowania

Każda książka o tak złożonej strukturze zmusza autora do korzystania z tak wielu źródeł, iż nie sposób ich tu wszystkich wymienić.

Myślę, że na początku winnam wspomnieć mego zmarłego dziadka, Johna Roscoe'a Conklina, który pierwszy podarował mi stare wydanie *Opowieści o Królu Arturze* Sidneya Laniera. Czytałam je tak często, że zanim skończyłam dziesięć lat, właściwie znałam całą książkę na pamięć. Moją wyobraźnię pobudzały wtedy jeszcze inne źródła, jak na przykład cotygodniowe odcinki *Opowieści o Mężnym Księciu*. Mając piętnaście lat, urywałam się ze szkoły na wagary i wpadłam na pomysł, by szukać schronienia w bibliotece Departamentu Edukacji w Albany (w stanie Nowy Jork). Tam przedzierałam się przez dziesięciotomowe wydanie *Złotej Gałęzi* Jamesa Frazera i piętnastotomowy zbiór ksiąg z religioznawstwa komparatywnego, w skład którego wchodził opasły tom poświęcony druidom i religiom celtyckim.

W bezpośrednim związku z niniejszą książką muszę podziękować Geoffrey'owi Ashe, którego prace zasugerowały mi różne kierunki dalszych poszukiwań. Bardzo dopomógł mi Jamie George z księgarni Gothic Image w Glastonbury, który nie tylko pokazał mi hrabstwo Somerset, domniemane miejsce położenia Kamelotu i królestwa Guinewry (dla potrzeb książki przyjąłam obecną teorię, że Kamelot znajdował się w miejscu zamku Cadbury w Somerset), lecz był także moim przewodnikiem w pielgrzymce po Glastonbury. On również zwrócił moją uwagę na wciąż żywą tradycję dotyczącą Studni Kielicha w Glastonbury oraz na stare podanie głoszące, że to Józef z Arymathei zasadził Święty Głóg na wzgórzu Wearvall; odszukałam też wiele materiałów badających stare celtyckie legendy, mówiące o tym, że Jezus Chrystus był kształcony w religii i mądrości druidów w świątyni, która niegdyś stała na szczycie Toru w Glastonbury.

Materiały o chrześcijaństwie okresu preaugustyniańskiego czerpałam, za zgodą autora, ze znajdującego się wyłącznie w prywatnym obiegu manuskryptu ojca Randalla Garretta, zatytułowanego *Msza prekonstantyńska: Przypuszczenie*. Korzystałam również z materiałów liturgii syro-chaldejskich, w tym z *Holy Orbana* św. Serapiona oraz tekstów liturgicznych lokalnych grup Chrześcijan św. Tomasza i grup Katolików Prenicejskich. Cytowane w książce fragmenty Pisma Świętego, a zwłaszcza historia Zesłania Ducha Świętego i Magnificat zostały zaczerpnięte z Greckiego Testamentu Waltera Breena; winnam również

wymienić książki: *The Western Mystery Tradition* Christine Hartley oraz *Avalon of the Heart* Dion Fortune.

Każda próba zrekonstruowania religii prechrześcijańskich wysp brytyjskich musi opierać się na przypuszczeniach, ponieważ sukcesorzy tych religii dokonali wszelkich możliwych wysiłków, by zatrzeć choćby najmniejsze ich ślady; uczeni różnią się w swych teoriach tak bardzo, iż nie poczuwałam się do winy, wybierając z rozmaitych źródeł te elementy, które najbardziej odpowiadały potrzebom mojej książki. Przeczytałam, choć nie trzymałam się ich ściśle, prace Margaret Murray i wiele książek na temat garderyjskiego kultu Wicca. Chciałabym także wyrazić swe wielkie podziękowania lokalnym grupom neopogańskim, które umożliwiły mi dostęp do swych rytuałów; dziękuję Alison Harlow i Zakonowi Bogini, Otter i grupie Morning Glory Zell, Isaakowi Bonewitsowi i Nowym Zreformowanym Druidom, Robin Goodfellow i grupie Gaia Dzikich Lasów, Philipowi Wane i grupie Kryształowej Studni, a przede wszystkim Starhawk, której książka *Spiralny taniec* okazała się nieoceniona i pomogła mi odtworzyć możliwy przebieg szkolenia pogańskiej kapłanki. Za ogromną pomoc emocjonalną (włącznie z pocieszaniem i masażem pleców) podczas procesu pisania, dziękuję Dianie Paxson, Tracy Blackstone, Elisabeth Waters i Anodei Judith z Koła Ciemnego Księżyca.

W końcu muszę wyrazić swą ogromną wdzięczność mojemu mężowi, Walterowi Breenowi, który w decydującym momencie mojej kariery pisarskiej powiedział, że czas już, bym przestała bezpiecznie pisać popularne czytadła i zapewnił mi finansowe wsparcie, bym mogła skorzystać z jego rady. Dziękuję również Donowi Wollheimowi za to, że zawsze we mnie wierzył, i jego żonie Elsie.

A przede wszystkim, z całego serca dziękuję Lesterowi i Judy-Lynn del Rey, którzy pomogli mi przełamać konwencje w pisarstwie, co zawsze jest sprawą niebezpieczną. Na końcu, lecz tak samo gorąco, dziękuję memu synowi Davidowi za dokładne przygotowanie ostatecznej wersji manuskryptu.